

Wydanie I
Warszawa 2017

© copyright by Piotr Dmochowski
© copyright by Mawit Druk 2017

ISBN 978-83-61443-16-3

Wydawnictwo
www.md-24.pl **MD**
redakcja@md-24.pl

WSTĘP

Ci, którzy czytali "Zmagania o Beksińskiego" znają moją wersję naszej dwudziestodwuletniej współpracy i znajomości. Czytając niedawno opublikowane fragmenty dziennika Mistrza, mogą sobie zdać sprawę z tego, jak on to widział. Wreszcie obecna publikacja części korespondencji jaką wymieniliśmy, rzuci na te stosunki dodatkowe światło.

Korespondencja trwała od momentu naszego poznania się, do dnia jego śmierci, czyli od 1983 do 2005 roku. Zebrało się tego trzy tomy.

Pierwszy tom obejmuje lata 1983 do 1995, to znaczy od początku korespondencji do daty zerwania współpracy oraz znajomości w wyniku narastających między nami konfliktów.

Po upływie około czterech lat, 12 maja 1999 roku, Zdzisław napisał do mnie list z propozycją "wypalenia fajki pokoju".

Okres od tego dnia do 2003 roku stanowi treść drugiego tomu.

Tom trzeci obejmuje okres od 2004 do daty jego tragicznej śmierci, czyli do 21 lutego 2005.

O ile podział pomiędzy pierwszym a drugim tomem jest logiczny, bo wynika z ważnych wydarzeń jakimi były zerwanie, a potem wznowienie stosunków, o tyle podział pomiędzy drugim a trzecim tomem jest arbitralny.

Wszystkie trzy tomy były przez szereg lat publikowane na mojej stronie internetowej dmochochowskigallery.net. Wielu miłośników Mistrza zna więc już naszą korespondencję w całości.

W wersji papierowej publikuję ją po raz pierwszy i to tylko drugi jej tom. Jeśli wzbudzi zainteresowanie tych, którzy jej jeszcze nie znają, to w nie-dalekiej przyszłości zostanie opublikowany tom trzeci.

Co do pierwszego tomu to postanowiłem, że zostanie on opublikowany na papierze za kilka lat, po mojej śmierci.

Muszę uprzedzić czytelnika, że publikuję te listy bez żadnych cięć, prócz kilku stron, w których Beksiński wyjaśnia mi, jak posługiwać się komputerem. Co dziś już nie ma znaczenia, bo każdy potrafi to robić. Dodaję też, że listy były pisane najpierw na papierze i przesyłane zwykłą pocztą. Potem wysyłaliśmy sobie już tylko e-maile. Nie zawsze kolejne wysyłki są połączone treścią, bo w międzyczasie rozmawialiśmy przez telefon lub ja byłem u niego z wizytą i wiele rzeczy zostało powiedziane ustnie. Tak jest zwłaszcza na samym początku, gdy na list Zdzisława, proponujący wypalenie fajki pokoju odpowiadam listem z 7 czerwca 1999 roku, w którym nie odnoszę się do jego propozycji i mówię o czymś zupełnie innym. A to dlatego, że będąc w międzyczasie w Warszawie i dowiedziawszy się przez telefon do żony, że Zdzisław napisał, zaraz go odwiedziłem i wszystko zostało powiedziane bezpośrednio.

Wreszcie sygnalizuję pewne utrudnienie dla czytelnika wynikające z tego, że pisząc maile, nie tytułowaliśmy ich. Co powoduje, że czasami nie można od razu zorientować się kto pisze do kogo. Dopiero podpis to wyjaśnia. Proponowałem wydawcy, by moje listy były pisane jedną czcionką, a listy Zdzisława inną. To pozwalałoby natychmiast zorientować się, kto jest autorem danego listu. W końcu jednak przystałem na to, by tego różnicowania nie robić.

Piotr Dmochowski

Warszawa, środa 12 maja 1999, 8:47

Drogi Piotrze!

Do napisania tego listu zmobilizował mnie fax, który wysłałeś do SARP i który przyniesiono mi dopiero wczoraj wieczorem do domu, bo faxu nadal nie posiadam. Podalem Cię kurtuazyjnie w liście zaproszeń, ale (po obejrzeniu jej przedwczoraj) nie sądzę, by akurat wystawa w SARP była tą, na którą warto przyjechać, bo ta instytucja nie jest wyspecjalizowana w wystawiennictwie i cała impreza ma charakter cokolwiek amatorski, związany z tym, że byłem dawniej architektem i coś nagle odbiło moim starym przyjaciółom. Prace wydrukowała im jakaś firma, zaś SARP nie dysponuje ani dobrym oświetleniem ani odpowiednią salą ani innymi materiałami do ekspozycji. Na pewno lepsza będzie wystawa tych samych fotomontaży komputerowych, którą planuje zrobić znany Ci pan Lonty z Częstochowy, bo należy on do zapaleńców-perfekcjonistów i ma dostęp do lepszych chyba drukarni. Podobno nie najgorzej wygląda też wystawa zrobiona w Gliwicach przez zapaleńca z firmy komputerowej (załączę folder, o ile wejdzie do koperty), ale mieści się dla odmiany w korytarzu firmy (jak mi napisali ludzie, którzy tam byli). Jeśli chcesz, to mogę Ci nagrać na CD-R (w formacie WINDOWS - Macintosh tego nie odczyta) zestaw najlepszych prac w pełnym formacie, bo udostępniam je za darmo, tyle że nie każdemu nagrywam, bo mi się nie chce, bo to zajęcie ślamazarne i upierdliwe. Ja niestety mogę je wydrukować tylko na bardzo przeciętnym poziomie, a i tak trwa to potwornie długo. Są więc w dużej części dostępne w internecie pod adresem <http://www.webmarket.com.pl/bekinski> i można je stamtąd ściągnąć w rozdzielczości 1600/1200 i formacie JPEG. Ja mogę Ci (o ile chcesz) zrobić kopie pełne, czyli format TIFF/RGB z rozdzielczością 3200/2400. Robiłem to jak w gorączce przez cały 1998 rok, a teraz już mi ten pierwszy zapal trochę mija.

Nie wiem na ile jesteś zorientowany w moich sprawach osobistych. Pewnie nie, bo skąd? Jestem teraz sam: Zosia umarła w dniu 22 września ubiegłego roku. W grudniu 1995 roku przypadkowy rentgen, który wykonała, bo bolały ją silnie plecy, wykazał istnienie wielkiego tętniaka aorty zstępującej na obszarze piersiowo-brzusznym. Po dokładnych badaniach tomografem i rezonansem magnetycznym okazało się, że bez

przeprowadzenia operacji ma przed sobą "trzy lata życia". Operacja łączna aorty piersiowo brzusznej nie jest jeszcze przeprowadzana w Polsce. Najlepsze wyniki ma Houston, ale nawet tam śmiertelność wynosi 15%, a kolejne 15% paraliż dolnej połowy ciała, nawet po udanej, z punktu widzenia kardiologii, operacji.

Zosia nie chciała się operować, (mimo iż chciał ją operować profesor Hertzl w Berlinie, który na bieżąco był zapoznawany z jej rezonansami, a nawet chciał z ekipą przyjechać do Anina i zrobić na Zosi pokazową operację dla polskich kardiologów), bo panicznie obawiała się nie tyle śmierci, ile paraliżu. Postanowiła (to było jej postanowienie, ale nie wiem czy sam zdecydowałbym inaczej), że będzie czekać na naturalny koniec. Teściowa zmarła w styczniu 1996 roku, po czym przez prawie trzy lata prowadziliśmy wsteczne odliczanie, robiąc cztery razy do roku rezonanse magnetyczne i tomografie. Przez pierwsze dwa lata przyrost był stały, lecz niewielki, ale na początku roku 1998 tętniak zaczął się raptownie powiększać. W maju średnica przekroju na obszarze płuc wynosiła już 9 cm i dalszy jej wzrost postępował szybko. Noszczyk pokazał mi na rezonansie, że w jednym miejscu jest dodatkowe wybrzuszenie i ono może strzelić w każdej sekundzie. W zasadzie nie była pod kontrolą Noszczyka, lecz doc. Biedermana z Kliniki kardiologii w Aninie. Namawiał ją nieustannie na przeprowadzenie operacji w Berlinie, ale nie ukrywał, że jest bardzo ryzykowna. Berlin to niestety nie Houston i ryzyko było o wiele większe. Wymiana całej aorty zstępującej, jest podobno najtrudniejszą operacją kardiologiczną. Ponieważ tętniak nieustannie się powiększał, to w 1998 roku liczyliśmy już dni i godziny. W dniu 22 września rano, mieliśmy pojechać do Anina na okresowe badanie, ale przyszedł wyz, piękna pogoda i Zosia miała od rana podniesione ciśnienie (miała 144, a nie wolno jej było przekroczyć 110). Nie chciała wziąć pod język nifedipiny, bo bała się, że ją to rozmyje, a miała w perspektywie prowadzenie wozu do Anina, gdyż do końca nie chciała z tego rezygnować. Panicznie się bała, gdy ktoś inny prowadził i zawsze reagowała histerycznie na jazdę taksówką. Poszła do kuchni zjeść śniadanie, a ja pisałem coś na komputerze, gdy usłyszałem, że coś w kuchni spadło. Byłem już wyczulony na takie odgłosy i poszedłem zaraz, ale drzwi były zablokowane od wewnątrz tak, że musiałem odepchnąć je siłą. Spadła z taboretu

i leżała na ziemi oparta głową o drzwi, jeszcze słabo oddychała, ale mimo otwartych oczu, była już całkowicie nieprzytomna. Po minucie przestała oddychać. Miała w ustach ugryziony kawałek kanapki, więc pocieszam się, że chyba w ogóle nie wiedziała, co się dzieje. Musiała stracić przytomność w kilka sekund. Pogrzeb odbył się w Sanoku. Tak więc zostałem sam i nie umiem sobie z tym poradzić od strony psychologicznej, bo od strony ściśle technicznej nauczyłem się już funkcjonować w oparciu o pralnię, Pizzę Hut i wyrzucanie rzeczy, które wymagają zszycia. Sprząta tu raz w tygodniu jakaś sprzątaczką. Gdy ktoś popatrzy z boku może pomyśleć, że nie się nie zmieniło: maluję, pracuję na komputerze, gapię się na durne filmy w TV.

Chciałbym Ci zaproponować wypalenie fajki pokoju i skreślenie przeszłości, co zrobiłbym chyba już dawniej, ale Zosia nie mogła Ci wybaczyć, że w książce opisałeś w kilku miejscach naszą rodzinę, głównie chodziło jej o Tomka. Tomek też nadal nie jest (mówiąc najdelikatniej) Twoim entuzjastą, ale książki chyba nie czytał, bo go ona nie interesowała. Zosia wręcz ukrywała ją przed nim. Mnie też na początku krew zalała, ale mnie takie rzeczy mijają. Potem czułem raczej niesmak, że w końcu w 1995 zerwałem nasze stosunki w sposób tak gwałtowny, ale nastąpiło to właśnie dokładnie wtedy, gdy podpisano na Zosię wyrok i gdy zaczęło się odliczanie. Umierająca za ścianą teściowa w połączeniu ze świadomością, że oto "spokojna starość" zamienia się nam w oczekiwanie na wybuch bomby pod podłogą spowodowały, że nie znajdowałem w sobie odporności psychicznej na nic więcej. Byłem na krawędzi nerwowego załamania. Co noc i co rano nasłuchiwałem, czy oddycha i czy nie umarła we śnie. Można powiedzieć, że przerabialiśmy to umieranie przez prawie trzy lata, chociaż na zewnątrz Zosia była zdrowa. Bolały ją tylko nieustannie plecy i pod koniec miała płytszy oddech, bo potężny tętniak działał chyba jak odma. Jeszcze w wieczór poprzedzający śmierć, oglądała przez parę godzin zeznania Clintona w telewizji. Prowadziła często samochód. Dobrze, że nie stało się to na drodze w trakcie prowadzenia wozu. Mogli zginąć inni ludzie. Nie miałem w ogóle wyobrażenia, że to będzie aż tak szybko. Noszczyk mówił "kilka minut", ale miał na myśli zapewne nie tyle utratę przytomności, co ustanie oddechu.

Pojutrze jadę na parę dni do Sanoka, bo są jej imieniny. Porażający

idiotyzm, ale nie umiem sobie tego poskładać w głowie. Będę stać jak skończony dureń przed kawalkiem obłożonego granitem betonu i patrzeć na palącą się świeczkę. Co z tym zrobić? Odejść głupio, stać głupio, przechodzący sanoczenie będą się kłaniać, a ja będę się zastanawiać, czy mam odpowiedni wyraz twarzy. Nie tędy droga, ale czy w ogóle jest jakaś droga? Miliardy ludzi przerabiałą tą lekcję i nadal ją przerabiają, więc byłoby objawem niestosownej pychy mniemać, że przeżywam coś specjalnego.

Pięknie Was oboje pozdrawiam.

Zdzisław

Marly le Roi, 7 czerwca 1999

Drogi Zdzisławie,

Przesyłam Ci katalog wystawy Hernandeza w Panorama Museum w wschodnich Niemczech, koło Erfurtu, tam gdzie miała miejsce dwa lata temu wystawa Twoich 80-ciu obrazów z mojej kolekcji.

Sądzę, że dyrektor tego muzeum przesłał Ci katalog. Jeśli nie, daj mi znać to Ci go prześlę, bo mam kilka egzemplarzy.

Jest to dziwne zjawisko: ogromny, kolisty gmach na wzgórzu, wokół szczerre pole, a na dole małe miasteczko. W owym muzeum znajduje się gigantyczny sufit z wypędzloną przez niejakiego Tubke wojną chłopską, która tam miała miejsce. Władze NRD zażyczyły sobie tego malowidła ku wiecznej chwale wieśniaczych mas.

Do muzeum zjeżdżają się wycieczki i wałą tłumy. Choć znajduje się ono na uboczu, to na frekwencję nie narzeka. Toteż jest zamożne i może sobie pozwolić na różne dodatkowe imprezy.

Otóż właśnie dyrektorem tego muzeum jest niejaki Lindner, młody, energiczny, zorganizowany facet, który mocno pogardza tym, czym zarządza na co dzień, a tak naprawdę to lubuje się w malarstwie figuratywnym, klasycznym i fantastycznym. Co roku organizuje w przestronnym hallu muzeum jedną wielką wystawę poświęconą jednemu i zawsze dobremu malarzowi.

Gdy zwrócił się do mnie z propozycją wystawy Twoich obrazów, trochę się

wahalem, bo nie wiedziałem, komu je powierzam. Ale dobrze się stało, że się zgodziłem, bo zrobił to tak, jakbym ja sam to zrobił, gdybym miał na to odpowiednie pieniądze i pomieszczenie.

Miedzy innymi wystawił już Anderle, mniej mnie interesującego Baka, a obecnie wystawia Hernandeza, z którego pracami zapoznał się wertując album, który znalazł u mnie.

Ten album pokazywałem Ci już dawniej i pamiętam, że podobał Ci się. Ja jestem tym malarzem zachwycony. Tak, jak byłem zachwycony wystawą, którą mu zorganizował Lindner. Niestety obrazy tego wielkiego malarza, choć mało znane poza Hiszpanią, są dla mnie o wiele za drogie, bym mógł je nabyć do mojej kolekcji.

Przejrzyj katalog. Będąc w Polsce pod koniec lata odbiorę go, bo mam tylko jeden egzemplarz a wiem, że Ty katalogów nie zbierasz.

U nas wszystko w porządku. Kończę sesję egzaminacyjną. Ania, która po długiej karierze modelki zapisała się na studia prawnicze na moim uniwersytecie (za rok będzie moją studentką), też skończyła egzaminy i oboje z psami wyjeżdżamy na południe Francji, gdzie wynajęliśmy dom na trzy tygodnie. Jest to urocze miejsce, ciepłe, pełne zieleni, lawendy i słońca. W pobliżu miasteczko jak z pocztówki.

Po zamknięciu galerii powróciłem do moich prac naukowych i do książki prawniczej, którą rozpocząłem jeszcze w 1979, którą następnie porzuciłem na szesnaście lat pełnych przygód, które są Ci znane, a do której teraz wracam.

Ściskamy Cię oboje mocno, Ania i ja.

Piotr

Warszawa, niedziela 25 lipca 1999, 10:27

Drogi Piotrze!

Nadal nie otrzymałem listu od Ciebie, o którym wspominałeś przez telefon. Powstają jednak pewne problemy, jeśli idzie o wspólny wyjazd do Sanoka w pierwszej połowie sierpnia. Wprawdzie miałeś jeszcze zatelefonować zanim wyjedziesz, ale już teraz widzę, że najprawdopodobniej akurat w tym okresie zbije się kupa drobnych spraw, które wymagać

będą mojej stałej obecności w Warszawie.

Po pierwsze kwestia mego samopoczucia. Nie wiem, być może nie wyzdrowiałem do końca po przeziębieniu, a może nie było to przeziębienie tylko jakaś infekcja. Dzień po Twoim telefonie zaczęło się coś, co na zdrowy rozum wyglądało na zatrucie gronkowcem z Pizzy. Nieprawdopodobna sraczka, gorączka, calonocne rzyganie i utrzymująca się do tej chwili obolałość całego (nazwijmy to) "brzucha", mimo zażywania jakichś środków przeciwbakteryjnych, przepisanych mi przez lekarza (obok nas mamy teraz prywatny "Szpital Damiana", gdzie dowlokłem się po przerzyganej nocy). Ponieważ jednak obecnie jak bumerangiem zaczyna wracać do mnie łaskotanie w oskrzelach i kaszel, to zastanawiam się czy obie te sprawy nie są we wzajemnym związku i czy to nie jest jakaś infekcja lub poronna forma grypy, ale nie mam siły gadać z zaprzyjaźnionymi lekarzami, bo wszyscy na urlopiach, a na dodatek to prawie bez wyjątku chirurdzy. Oni mają trochę skrzywiony sposób reagowania: chory organ najlepiej usunąć, co jak złośliwie zauważył przed laty Gałczyński, sprowadza się do amputacji głowy, jeśli boli głowa.

Poza tym sprawy schorzeń kompleksowych, to w ogóle coś, czego lekarze podzieleni dziś na wąskie specjalności nie chcą, i chyba nie umieją interpretować. Zapakują mnie na obserwację do szpitala, gdzie zastosują wszystkie ju-ju jakie są w ich dyspozycji od tomografu po doplera, a w międzyczasie wyzdrowieję lub umrę, bo i tak nikt nie wyciągnie łącznych wniosków z badań, gdyż nie ma jeszcze ju-ju, które kojarzyłoby wyniki wszystkich badań analitycznych i wyciągało wnioski, a żaden lekarz tego już od lat nie potrafi.

Póki co, próbuję więc przeczekać, ale stale coś zmusza mnie do przerwania kuracji: wczoraj np. musiałem pojechać do Hospicjum w Wołominie, w którym położono moją kuzynkę z Komorowa i tak wytrząsałem się w samochodzie, że bóleści w brzuchu się wzmogły. Powinienem był chyba leżeć, ale musiałem tam pojechać.

I tu zaczyna się druga sprawa. Może się okazać i jest to bardzo prawdopodobne, że ona umrze właśnie w pierwszej połowie sierpnia i z wielu powodów powinienem wtedy być pod ręką, czyli w Warszawie.

Kolejna sprawa to przebudowa mojej kuchni w związku z pojawieniem się prusaków, o czym Ci wspominałem przez telefon. Szwagier, który robi

mieszkanie Tomka (gdzie są już na etapie lakierowania parkietu), powiedział, że w nadchodzącym tygodniu zamierza przystąpić do robót u mnie, co wymagać będzie jednak mojej stałej obecności. Ma to trwać przez 3 tygodnie i zajmie jak widać (o ile wszystko pójdzie tak, jak przewiduję) całą pierwszą połowę sierpnia.

W tej całej zbitce nie bardzo widzę szansę na wspólny wyjazd do Sanoka, chociaż każdy z elementów układanki powyżej może nie wypalić lub wypalić w innym terminie.

Oczywiście miło by mi było widzieć Was w Warszawie, ale trudno jest mi podejmować zobowiązania, co do wspólnego wyjazdu do Sanoka. OK?

Poza tym nic nowego. Nic nie robię. Choruję, czuję się osłabiony. Od trzech dni jestem na (prawie) ścisłej diecie. A może to już przyszła kryska na Matyska?

Pięknie pozdrawiam Was oboje.

Zdzisław

Warszawa, środa 11 sierpnia 1999, 9:31

Drogi Piotrze!

Wczoraj wieczorem doszedł list od Ciebie wysłany 30 lipca. Po Twoim telefonie, zabrałem się za kopiowanie CDR dla Ciebie i do dziś skończyłem. Nagrywanie na moim sprzęcie pochłania masę czasu i jedna płyta nagrywa się prawie przez 2 godziny, a jeśli wystąpi jakiś błąd, to po tych dwóch godzinach można ją wyrzucić i trzeba zaczynać od nowa. Oczywiście nie jest to kwestia ceny płyt, bo te są tanie jak paczka papierosów, tylko kwestia upierdliwej roboty w trakcie której nie można pracować na komputerze, trzeba też odłączyć modem, wyłączyć programy pracujące w tle i w ogóle chodzić koło sprzętu jak koło śmierdzącego jajka, bo każdy najmniejszy impuls elektryczny powoduje, że kolejna płyta jest do wyrzucenia i kolejne dwie godziny razem z nią. Ta technologia jest niedopracowana. Najbardziej boję się, że u Ciebie nie da się tego odczytać z powodu różnicy standardów i cała moja praca pójdzie na marne. Uwaga: z płytami CDR należy się obchodzić bardzo delikatnie, nie dotykać palcami od strony zapisu, nie wystawiać na światło słoneczne etc...

Masz nagrane to samo, co było eksponowane na wystawie w SARP na monitorze, a nawet chyba cztery prace więcej, bo je zrobiłem już po wystawie. Od 13 czerwca nie robiłem już nic.

Na piątej płycie (BEKSIŃSKI 5) na końcu jest, nagrany mały programik MGI, który umożliwia odczytanie plików w formacie TIFF i JPEG i w trybie RGB (monitorowym) oraz zrobienie "slide show" takiego, jaki był w SARP. Nagrałem tam także czelowy w świecie program do grafiki rastrowej Adobe Photoshop 5.0. Jeden i drugi program instalujesz klikając dwukrotnie lewym klawiszem myszy w ikonę o nazwie Setup (tą, przy której nie ma literki "e"). Reszta idzie automatycznie.

Czy w rewanżu za mój trud mogę Cię prosić o wysłanie mojej znajomej "Zmagania o Beksińskiego", które na pewno jej się nie spodoba, ale mnie prosiła już parę razy o wypożyczenie, a mam tylko swój egzemplarz. Jeśli mógłbyś załączyć jakiś mój album, byłaby uszczęśliwiona. To uboga emerytka, przyjaciółka mojej żony, która teraz od czasu do czasu koresponduje ze mną. Adres: Zofia Przywara...

Teraz powstaje problem czy wysłać te 5 CD do Francji w paczce, czy też zaczekać do Waszego przyjazdu do Polski. Powiedziałeś, że za dwa tygodnie wyjedziecie na urlop, a więc należy się obawiać, że jeżeli przesyłka dojechałaby do Francji przed 23 sierpnia, to mogłaby, na skutek nie odebrania w terminie, wrócić do Polski. Poczekam więc z jej wysłaniem jakieś 7 dni, chyba że przedtem będę mieć jakiś telefoniczny kontakt z Tobą.

Pięknie pozdrawiam Was oboje.

Zdzisław

Warszawa, czwartek 26 sierpnia 1999, 16:52

Drogi Piotrze!

Ponieważ jak wiesz należę do wietrzących podsłuch paranoików, to nie chciałem na Twój dzisiejszy telefon odpowiadać ze szczegółami telefonicznie. Chodzi o tą wystawę handlową u Wahl. Nie życzę źle ani Tobie ani sobie, zresztą nie mam pojęcia, jaki będzie do tej sprawy stosunek Wahl czy też Żurka. O co więc chodzi: nie wiem, jakie są Twoje wyobrażenia o polskich realiach finansowych i to jest właśnie to, czego

nie chciałem poruszać telefonicznie. Ja mam z pewną umiarkowaną regularnością klientów u siebie w domu, ale nie mam złudzeń, że mam ich dlatego, iż ceny w galeriach wydają się im za wysokie. Kupując u mnie w domu, pozostają anonimowi i nie muszą informować fiskusa skąd wzięli pieniądze na zakup, a z kolei ja nie muszę zarobionych pieniędzy deklorować z zeznaniu PIT, jeśli nie buduję domu, ani nie kupuję samochodu, lecz wydaję je na "wino, kobiety i śpiew" (czytaj: programy komputerowe, narzędzia do pracy i utrzymanie), a więc rzeczy, których nie sposób ująć statystycznie, co stwarza sytuację, w której obie strony są zainteresowane w tym, aby taką imprezę zachować w dyskrekcji, a to z kolei powoduje, że cena jest nieporównywalnie niższa niż w galerii. Każda galeria bierze ca 40%. Każda galeria musi na dodatek zadeklarować w zeznaniu podatkowym, komu za obraz zapłaciła, co owocuje następnymi ca 40% od sumy netto, które z początkiem roku nadchodzącego płaci autor dzieła. U mnie w domu obraz można kupić w tym roku za 14.000 zł. (w ubiegłym za 12.000, ale co roku podwyższam zaokrągloną cenę o oficjalny raport GUS o wzroście cen towarów i usług) natomiast w galerii ceny te muszą być nieporównywalnie wyższe, abym po odtrąceniu zysku galerii i po zapłaceniu podatku, mógł wyjść na swoje lub choćby "nieomal na swoje". To powoduje, że nie mam nadmiernych sukcesów handlowych w galeriach, a można by zaryzykować cyniczną hipotezę, że ceny w nich zastępują nagonkę na polowaniu, która ma za zadanie wpędzić zwierzynę wprost na myśliwego. Nie jestem oczywiście aż do tego stopnia makiaweliczny. Piszę Ci o tym, bo po prostu obawiam się, że poniesiesz koszt, a nie odniesiesz zysków. Uczciwie też dodaję, że mam też w odradzaniu Ci i własny interes, bo jeśli wystawisz jako wystawę moich prac selekcję najsłabszych mych obrazów (jak to powiedziałeś), to może spowodować niemile dla mnie pomruki miarodajnej opinii, która przecież nie będzie wnikać dostatecznie głęboko w to, "co za tym się kryje", tylko zaopiniuje, że Beksiński jest coraz gorszy, ale tym może niepotrzebnie się przejmuję, bo i tak nie bywam lubiany powszechnie. Oczywiście nie wiem, o jakich cenach myślisz, a także nie wiem jak wygląda sprawa manipulacji fiskalnych, jeśli obrazy wstawia do galerii obcokrajowiec. Być może masz tu swoją kalkulację, ale to, co ja wiem i co jako tako wypraktykowałem, wygląda tak jak wyżej. To tylko tyle tego, czego nie chciałem mówić

przez telefon. Ufam, że utrzymasz to w dyskrekcji.
Trzymaj się. Ukłony dla Twojej Żony.

Marly le Roi, 15 września 1999

Drogi Zdzisławie,

Zgodnie z tym, co Ci zapowiedziałem przez telefon przesyłam Ci książkę po francusku. Tytuł w wersji francuskiej brzmi (w tłumaczeniu na polski): "Notatki o sytuacji ogólnej. Opis porażki".

U nas wszystko w porządku i bez wielkich zmian. Ania z mozołem здаje sesję poprawkową i zapowiada, że dalej studiować nie ma zamiaru. Ja ją od tego odwodzę i pokrzepiam jak mogę, ale widzę, że tym razem to chyba naprawdę rzuci Uniwersytet.

Moja książka naukowa powoli posuwa się naprzód, ale jest tego już ponad dwa tysiące stron i zastanawiam się, kto mi to wyda. Zapewne jak zwykle ja sam.

Nie wiem, czy wybierzemy się jesienią do Polski, bo samemu mi się nie chce, a Ania ma zawsze kłopot, co zrobić z psami. Namawiam ją wprowadzić argumentując, że sam je zabiorę samochodem, a ona przyleci samolotem, ale nie wyraża zachwytów tym projektem.

Twoich programów do oglądania CD-romów z fotomontażami mój technik nie zdążył mi założyć w ubiegłą sobotę. Przyrzeka, że zrobi to w tym lub w przyszłym tygodniu. Wiele sobie po tym obiecuję, bo chciałbym pokazać Twoje prace Ani, która ubiegłym razem nie pojechała ze mną do Warszawy (stale psy) i nie widziała wystawy u architektów.

Po twoim liście w sprawie wystawy mocno się waham czy rzeczywiście ją u Wahlówny robić. Bo prawdą jest, że chciałbym się pozbyć tylko słabych obrazów. Na rozstanie się z dobrymi mnie nie stać. A słusznie piszesz, że słabych nikt nie kupi, tym bardziej, że będzie je mógł kupić taniej u Ciebie. Czy zastanawiałeś się nad ewentualnością, która mi chodzi po gło-

wie: jeśli darowujesz wszystkie najlepsze obecne obrazy Sanokowi, to sam wchodzisz w pułapkę, której bałeś się, gdy zorientowałeś się, że ja najlepsze obrazy zachowuję w jednych jedynych, moich rękach. Myślałeś wprawdzie o pożarze, (o którym i ja stale myślę) lub o innej katastrofie. W wypadku Sanoka wystarczy, że po Banachu (bo chyba tak się nazywa dyrektor tamtejszego muzeum) przyjdzie jakiś bałwan, który nie będzie lubił Twojej twórczości i wszystko zepchnie do piwnicy na długie lata lub na zawsze. Wielokrotnie mi o tym mówiłeś, że rozsądnym jest rozsiać obrazy po świecie. Po stu latach, sporach, aukcjach, handlach i podróżach po globie i tak wszystkie spłyną do polskich i obcych muzeów.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, środa 29 września 1999, 10:21

Drogi Piotrze!

Dziękuję za książkę, z której niestety nie przeczytam ani słowa, gdyż nie rozumiem języka. Czytałem ją zresztą po polsku, a pewne fragmenty wielokrotnie i w trakcie tych kilku lat zmieniłem o niej zdanie, bo na początku byłem cholernie wkurzony, w czym podtrzymywało mnie otoczenie, a wkurzony najbardziej tym, że jak sam zauważyłeś jestem wstydlivy i nie chciałem, by nasze i moje sprawy intymne stały się własnością ogółu. Tym niemniej portret, jaki mi namalowałeś jest (jak oceniłem nawet wtedy) najlepszym, jaki mi do tej pory zrobiono, mimo iż w pewnych miejscach rozminąłeś się, mniej lub bardziej świadomie, z prawdą. Np. nigdy nie brałem udziału w zebraniach ZMP, pogardzałem tą instytucją bardziej niż "ukochaną partią" i nigdy nie byłem jej członkiem. To było wręcz nie do pomyślenia! Doszedłem potem do wniosku, że chyba pomyliłeś sobie ZMP z ZBM (Zjednoczenie Budownictwa Mieszkaniowego), w którym pracowałem, (o czym Ci opowiadałem) i gdzie raczej ja byłem piętnowany na zebraniach, a nie ja piętnowałem. Oczywiście popelniałem tam samokrytyki, bo to było w tamtych czasach taktycznie rozsądne zachowanie, ale nie były to na Boga samokrytyki polityczne! Raz, chyba w roku 1948 lub 49 maszerowałem ze szturmówką w pochodzie pierw-

szomajowym, ale z własnej woli, dla draki (i z głupoty, bo nie zdawałem sobie sprawy, że czasy nie sprzyjają błazeństwu), jako wolny strzelec, a nie jako zrzeszony komsomolec. W innym miejscu książki opisując jak telefonujesz do mnie, informujesz o tym, co myślę w oparciu o to, co mówię. Ja tak nie myślałem, bo to kompletnie nie mój sposób myślenia. Nie pamiętam już tej rozmowy ani tego, co myślałem, ale jeśli oprzeć się na tym, co piszesz o tej rozmowie (str. 180 i następne) to w tego typu rozmowach staram się zawsze, z fałszywie zrozumianej uprzejmości, mówić w miarę możliwości to, czego oczekuje ode mnie rozmówca, ale za moim stereotypowo uprzejmym potakiwaniem w takich wypadkach, nie kryje się absolutnie prawie żadna myśl i nic takiego, czego się w tym konkretnym wypadku doszukujesz.

Inna sprawa: drażniło mnie też u Ciebie utyskiwanie, (co potem podkreślałeś w swoim wywiadzie dla Pegaza), że nikt Ci nie pomógł. Nie mogłem pojąć, na jakiej podstawie i z jakiego tytułu oczekujesz od osób trzecich (Wajdy, Polańskiego etc.) pomocy?! Nigdy nikogo nie prosiłem o pomoc i byłem potwornie zażenowany tym, że prosiłeś niejako w moim imieniu! Dla mnie było to osobiście cholernie poniżające. Raniło moją dumę i mniemanie o sobie. Tu wcale nie chodziło o to, by nie być zmuszonym do powiedzenia "dziękuję", (co kilkakrotnie sugerujesz). Jeżeli kiedykolwiek nie chciałem być zmuszony do mówienia "dziękuję", to TYLKO w stosunku do Władzy Ludowej.

Takich punktów, które każdy rozumiał po swojemu były setki. Np. scena, którą doskonale pamiętam, bo stanowiła dla mnie, (czego nie zauważyłeś) poważną cezurę w naszych obopólnych układach: pokazujesz mi pierwszą wersję folderu pierwszej wystawy. Tą scenę mam do tej pory wręcz w oczach. Jest to wieczorem w mieszkaniu, w którym zostałeś zakwaterowany, gdzieś w rejonie Hali Mirowskiej. Reprodukcje są na poziomie technicznym, o którym wtedy w Polsce nie można było nawet marzyć, a obok tego STRASZLIWE liternictwo i układ graficzny na poziomie zaproszenia na zabawę w remizie strażackiej w Skaryszewie. Wiele wykrojów i rozmiarów czcionki na jednej stronie! Zupełnie niedobre do siebie! Do tego nieeleganckie reklamowanie się nazwiskami posiadaczy obrazów... Pytam nieśmiało (by wy badać grunt), czy to już ostateczna wersja, na co kategorycznie oświadczasz, że nakład jest już wydrukowany.

Czułem się jakby mnie ktoś obrzygał. Nie zdajesz sobie może sprawy, ale właśnie wtedy, w tym momencie, zawałiło się wszystko, na czym opierałem nadzieję na sukces. Nie wiedziałem jak Ci o tym powiedzieć, bo widać było po Tobie, że oczekujesz, iż zostanę powalony na kolana! Nie uwierzysz, ale nie powiedziałem tego, co myślałem z tego samego powodu, dla którego nie umiem skrytykować kiepskiego rysunku, który mi ktoś przynosi do oceny. Bąkam wtedy coś bez sensu. Fakty jednak wyglądały tak, że jeszcze nigdy w Polsce nie widziałem równie szpetnego katalogu, mimo iż jakość druku była wtedy w Polsce na poziomie pieczątki z kartofla. Widziałem, że Ty tego po prostu nie widzisz i nie ma na to rady. Tym niemniej świadomość, że masz to kompromitujące paskudztwo rozesłać dziesiątkom prominentnych ludzi, których adresy wypisujesz w bibliotece z jakiegoś Who is Who, była dla mnie PRZERAŻAJĄCA: więc ja mam być reklamowany na Zachodzie czymś takim??? Obłożenie tego potem w sztywną okładkę, też już niczego nie zmieniło, szczególnie, że wykrój liter w moim nazwisku też był fatalny. Napisałem, że to była cezura, bo dokładnie od tego momentu zacząłem być pewien, że z całej tej mąki pt. "lansowanie Beksińskiego" chleba nie będzie, a miałem silnie wzbudzone nadzieje i oczekiwanie. Powietrze ze mnie wyszło. Doszedłem do wniosku, że się sprzedałem i nie ma co narzekać, bo zrobiłem to z własnej woli, ale w zamian za kompromitację, (bo tak to widziałem), liczyć już mogę tylko na pieniądze, ale na nic więcej. Potem doszedł film. Boże miłosierny! Jak ja się czułem! Nie zdajesz sobie nawet z tego sprawy, bo wstydziłem się to głośno Ci powiedzieć... Takich rzeczy, co do których każdy miał swoją własną optykę, jest w tej książce wiele. Oczywiście mówię tylko o tych fragmentach, które związane były bezpośrednio ze mną. Mam nadzieję, że po tylu latach już Cię to nie dotknie i że mnie zrozumiesz. Jesteś już przecież innym człowiekiem i dziś odebrałbyś to wszystko tak samo jak ja wtedy.

A propos Sanoka. Już sam Banach zwrócił mi uwagę na to, że zawsze będzie dyrektorem, bo ryją pod nim jak pod każdym, ale jeżeli idzie o moje ostatnie obrazy, to ja ich nie darowałem, lecz przekazałem je w depozyt. Oczywiście w głębi serca uważam, że jest to depozyt na wieki wieków. Znam kiepskie warunki, w jakich przyjdzie im wegetować w Sanoku, ale wiem też, że przez całe lata Sanok robił w całej Polsce szereg moich

wystaw z posiadanych zbiorów i nie spowodował ewidentnych zniszczeń, co w polskich i nie tylko polskich warunkach jest pewnym fenomenem. Moje życie dobiega końca. Tomkowi moje obecne obrazy się po prostu nie podobają. Obawiałem się, że nagle przekręcę się zaś problem, co zrobić z tym całym chlamem, będzie większy niż wtedy, jeśli zadbam o to sam. Wprawdzie słucham stale z lewej i z prawej informacji, że "w pańskim wypadku każde polskie muzeum przejmie to z pocałowaniem ręki", ale wiem też, jak wyglądają takie deklaracje gdy dochodzi do konkretów. Polskie muzea, tak jak polskie więzienia, są niedofinansowane, magazyny wszędzie są podmoknięte, a zbiory poskładane byle jak. W Sanoku będzie to przynajmniej wisieć na ścianach, a w lecie bywają tam turyści i wycieczki, w jakimś sensie ekspozycja stanowi jedną z turystycznych atrakcji tego miasta. Poza tym Sanok robi ze swoich zbiorów, co jakiś czas, wystawy na terenie kraju, co też było dla mnie problemem, bo po prostu bywam zarówno chwalony jak i ganiony za to, co robiłem przed dwudziestu laty, a nie za to, co robię obecnie, gdyż samemu nie chce mi się robić wystaw i ludzie znają mnie tylko z albumu i z tego, co demonstrował tu i tam Sanok. Poza tym chodziło mi o święty spokój, bo gdy ktoś pisze z Torunia czy Bydgoszczy, że mają wspaniałą salę, przysyła jej fotografie i plan wraz z deklaracją, że chętnie by zrobili moją wystawę, to zamiast się wykრęcać, jak do tej pory, odsyłam tego kogoś do Sanoka, niech gada z Sanokiem. Tak to wygląda.

Niestety album, który wydrukowano w Hong Kongu będzie równie nieprawdziwy kolorystycznie jak wszystkie do tej pory, pomijając album ARKAD oraz pogardzany przez publiczność i Ciebie album RAMSAY. Może jednak dzięki temu zyska uznanie publiczności, która nie zna lub nie pamięta oryginałów? Widziałem już wydruk, bo Rosikoń (fotograf) przywiózł mi go wczoraj, by pokazać. Jak zwykle do tej pory, zabrakło czasu na kilka kolejnych korekt, bo termin gonił. Oczywiście katalogi z Niemiec i Austrii są bardzo dobre, ale na prawach katalogu. Mam zresztą tylko po jednym egzemplarzu.

Pięknie pozdrawiam Ciebie i Twoją Żonę.

Marly le Roi, 2 października 1999

Drogi Zdzisławie,

1) Sądziłem, że nie zyczysz sobie byśmy poruszali kwestię książki. Toteż sam nie zaczynałem niczego na ten temat.

Przyznam Ci się, że jeśli zdecydowałem się ją wydać za mego życia, bo w pierwszym zamyśle miała być opublikowana dopiero po mojej śmierci, to z ciekawości o opinię trzech osób: mojej żony, mojego francuskiego przyjaciela Jacques'a Parisot i Ciebie.

Oczywiście nie miałem wątpliwości, że najpierw obrazisz się na mnie, bo doskonale wiedziałem, że publikowanie intymnych informacji o Tobie i o Tomku, sparaliżuje Cię ze złości i wstydu. Niemniej, znając Cię wiedziałem również (i zdaje się miałem rację), że po pewnym czasie uznasz wartość książki choćby jako zwykłego dodatku do całego przedsięwzięcia promocji Twojej twórczości. Poza tym wiedziałem, że książka jest napisana dobrze i z tego też powodu byłem pewien, że w końcu przekonasz się do niej. Tym bardziej, że z jej lektury miałeś dowiedzieć się ogromnej ilości detali o całym moim przedsięwzięciu "lansowania" Twojej sztuki. A to nie mogło Ci być obojętnym.

Cieszę się więc, że moje przypuszczenia nie zawiodły mnie.

Co do szczegółów, które zawiera książka, to wiele z nich musiało być, siłą rzeczy, spaczonych, zważywszy że nie porozumiewaliśmy się przy pisaniu jej i nie korygowali razem tego, co niedokładne.

Toteż o ile będziesz powracał od czasu do czasu w naszej korespondencji do książki i prostował, komentował lub krytykował to, co w niej o Tobie napisałem, każę ją wydać po naszej śmierci wraz z Twoimi uwagami i sprostowaniami, które będą w niej figurowały w formie przypisów lub post scriptum. Jest to w moim interesie, bo książka nabierze wówczas wagi dokumentu i charakteru prawie obiektywnego. A mnie przecież o to chodzi, a nie o to, by była określana jako "paskudny paszkwil niegodny otworzenia, bo przecież tak niesprawiedliwy dla Beksińskiego".

Co do ZMP to najprawdopodobniej coś pokręciłem. Za co przepraszam i jeszcze raz proszę o wytknięcie mi wszystkich błędów.

Za liternictwo pierwszej plakietki nie odpowiadam, lub nie odpowiadam w pełni. Ania nie mogła się zdecydować na żadne liternictwo przez wiele tygodni. Toteż idiota drukarz poirytowany zwłoką, bez żadnego porozu-

mienia się ze mną, postawił mnie przed faktem dokonanym i sam wydrukował stronę tytułową. Reszta plakietki była banalna, lecz nie, jak twierdzisz, straszna. Tekst był dobry, a dołączona druga plakietka z przetłumaczonymi na francuski fragmentami Twoich wywiadów, poprawna. Aby Ci to udowodnić przesyłam Ci jeden egzemplarz każdej z nich. Dziś w plakietce zawierającej reprodukcje, zmieniłbym tylko liternictwo słowa BEKSINSKI, wstawiając na jego miejsce prawdopodobnie Twój podpis, jaki znajduje się na odwrocie Twoich obrazów. Nie robiłbym również białego szlaczka wokół reprodukcji na stronie tytułowej i odwrocie. Z resztą obu plakietek nadal się zgadzam.

2) Co do ram trochę się biję w piersi, lecz ta pierwsza, kupiona do obrazu, który nazywam "Żydem", a który przedstawia lysego faceta z kryzą wokół szyi na czarnym tle, tak znakomicie pasowała (i nadal pasuje), że od razu zakupiłem w tym sklepie cały szereg dalszych, które wydawały mi się w podobnym stylu. Gdy zorientowałem się, że popełniłem błąd, bo do innych już nie pasowały było już za późno, bo były drogie, a na inne nie miałem już forsy.

Poza tym do dziś twierdę, że choć mocno mi się zmieniły w międzyczasie gusta, to nie byłem całkiem ślepy i głuchy na to, co estetycznie jest do przyjęcia, w momencie pierwszej wystawy w 85 roku, (o czym według Ciebie miało świadczyć liternictwo owej plakietki). Dowodem tego była cała owa wystawa, która była udana, lub nawet bardzo udana i to w opinii wielu ludzi, których o zły gust nie można posądzać. A plakietka i ramy były tylko małymi, zagubionymi wśród masy innych, elementami. Jak mówią Francuzi "l'arbre ne doit pas te cacher la forêt" ("drzewo powinno Ci zasłaniać lasu"). Następne wystawy również były poprawne, choć zawierały sporo błędów (na przykład pomieszenie obrazów z różnych epok). Galeria też była dobrym, a nawet niezbędnym krokiem naprzód (choć w sumie nic ów krok nie przyniósł). Jej wystrój był prosty i elegancki, do dziś tak twierdę, a ze mną twierdzą tak wszyscy, którzy w niej byli. Co do moich albumów też obstaję przy swoim, choć twierdzisz, że są przekolorowane i publiczność kupując je stale przyznaje mi rację. Można powiedzieć, że publiczność się nie zna i nie liczy się. Ale w takim razie, kto się liczy? Hołota dziennikarskich krytyków sztuki, impotentów, którzy nie odczuwają niczego i którym nigdy nie staje, bo ni-

gdy nie zaznali prawdziwej estetycznej emocji? Przypominam również, że bardziej nawet podobał Ci się drugi tom albumu, ten, który przecież ja sam z Anią połamałem i ułożyłem. Do dzisiejszego dnia się za to wszystko nie wstydzę. Wprawdzie, jak wspomniałem, mocno się zmieniły moje gusta od kilkunastu lat i czuję się często zażenowany przypominając sobie na przykład dekorację mego mieszkania dwadzieścia lat temu, ale za pierwszą wystawę, albumy i galerię czuję się raczej dumny niż wstydlivy. Tym bardziej, że były to moje pierwsze kroki w chmurach.

3) Co do filmu to po prostu różnimy się zdaniem. Mimo jego ewidentnych wad, mimo całej pogardy i nienawiści, jaką żywię do tego s... Dziworskiego za wszystkie oszustwa, jakich się dopuścił w stosunku do mnie, nadal twierdzą, że film jest fajny. Nie oglądałem go już od dawna, bo robiłem to zawsze, gdy kogoś zapraszałem do domu, a od lat już nie zapraszam nikogo. Ale sądzę, że znów mi się spodoba, gdy go ponownie zobaczę.

Piszesz, że czujesz się upokorzony tym, iż prosiłem o pomoc w lansowaniu twego malarstwa Wajdę czy Polańskiego. Dlaczego? Przecież nie Ty prosiłeś, a ja nie w Twoim imieniu to robiłem, a w moim własnym. Prosiłem zresztą nie tylko ich dwóch. Prosiłem co najmniej stu innych. Jak wiesz wszyscy odmówili. Ty na początku Twej kariery w Polsce nie musiałeś nikogo o nic prosić, bo tak się złożyło z tysiąca i jednego powodu, że "poszło" samo. Kilku liczących się ludzi spontanicznie poparło Cię. Mnie nie "poszło" samo, więc prosić musiałem. Dziś oczywiście nie prosiłbym nikogo, bo już wiem jak to funkcjonuje. Ale skąd mogłem wtedy wiedzieć? W domu, w szkole, w książkach uczono mnie, że ludzie pomagają i że ludziom należy pomóc. A właściwie nigdy nie mając potrzeby prosić kogokolwiek o cokolwiek ważnego przed rozpoczęciem "zmagania" z tutejszym światem sztuki o Twoją twórczość, nie miałem w tej domenie doświadczenia i nie bardzo wiedziałem jak to naprawdę wygląda.

4) Pozostawiło to na mnie zresztą okropne ślady. Owe "zmagania" wręcz zmieniły mój charakter. Od tego czasu nienawidzę ludzi, nie utrzymuję z nimi kontaktu, żyję samotny, nie spotykam się na kolacjach z moimi studentami, z którymi nie zamieniam również ani słowa w przerwach pomiędzy wykładami, nie przyjmuję żadnych gości w domu i do nikogo nie chodzę, gdy iść muszę to na przyjęciu nie odzywam się słowem, stałem

się zapalonym zwolennikiem kary śmierci, nie daję jałmużny żebrakom, nie pomagam w niczym nikomu i z zaciekawieniem jak na dobry mecz patrzę w telewizji na okrucieństwo, z jakim ludzie zabijają ludzi. Żal mi tylko zwierząt i wręcz nie mogę patrzeć na trzepoczącą się z braku powietrza rybę w sieci. Gdy widzę na ekranie prowadzone na ubój krowy zmieniam kanał. Tak jest już od wielu lat, toteż sądzę, że niewiele się już zmieni w przyszłości. Ale w sumie to wszystko dotyczy mnie, nie Ciebie. Toteż powtarzam, nie widzę, w czym możesz się czuć dotknięty i upokorzony. Nikt nigdy mnie nie pytał "A czy Bekiński dołącza się do pańskich próśb?" i ja też nikogo o tym nie zapewniałem. Robiłem to na własny rachunek dbającego o własne interesy kolekcjonera. Tak zresztą wszyscy to odbierali, włącznie z tymi, którzy odmówili wszelkiej pomocy. Sam też tak to widziałeś.

Wbrew temu, co by logicznie wynikało z tego, co powyżej powiedziane jestem szczęśliwy. Od czasu, gdy zamknąłem galerię żyję tylko w towarzystwie mojej żony i moich dwóch ukochanych psów i jestem głęboko, prawdziwie szczęśliwy. Nie gonią mnie już pasje, nadzieje ani przedsięwzięcia. Nie mam kariery do robienia ani ludzkości do uszczęśliwiania. Piszę powoli mój traktat o prawie międzynarodowym, o którym wiem z góry, że nie nastąpi po nim nic: ani sława, ani porażka, ani nawet gorycz. Nic. Tak jak nie ma dziś nic po piętnastu latach mych "zmagania" o Twoją twórczość. Mogę zresztą tę pracę pisać jeszcze przez dziesięć lat. Nie gonią mnie żadne terminy, nie mam żadnych obowiązków prócz sześciu godzin tygodniowo, które muszę poświęcić na wykłady i kilku dalszych, które poświęcam na załatwianie formalności, jakich wymagają nieliczne sprawy moich klientów. Prócz tego, a jest to ważne, przestał mnie gonić seks. Tym samym moje życie rodzinne układa się pogodnie, bez kłótni, bez wyrzutów, bez zazdrości i scen. Przy tym Ania uczy się rzeczy, które znam, tak, iż prócz absolutnej identyczności gustów artystycznych nawet na polu intelektualno-zawodowym mamy zawsze sobie coś do powiedzenia. W sumie osiągnąłem stan, jaki Ty z pewnością znałeś za życia Twojej żony, o której wiem, że była Ci równie bliska jak moja mnie.

Co do Sanoka to rozumiem doskonale Twoje kalkulacje, bo tak jak Ty jestem realistą. Niemniej przykład Wrocławia, gdzie pochopnie zamiast oddać w depozyt, oddałeś na własność swoje rzeźby, napawa mnie nie-

pokojem na przyszłość. Stwierdziłem bowiem w czasie naszej wspólnej wyprawy do Centrum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, chyba w 94 roku, że rzeźby te zostały w międzyczasie powyginane i wręcz zniszczone. Powinny im być natychmiast odebrane.

Ustaliłem wczoraj z Żurkiem, że urządzę u nich wystawę wiosną 2000 roku. Będzie się ona składała z obrazów tak zwanych "nowych", to znaczy z tych, jakie nabyłem lub dostałem od Ciebie w ostatnich miesiącach naszej współpracy, a które on sam sobie wybierze podczas swego pobytu w Paryżu.

Sądzę, że dojdziemy wówczas do jakiegoś kompromisu pomiędzy obrazami, które on będzie chciał a tymi, które ja będę gotów poświęcić. Jeśli ma tam być kilka bardzo dobrych obrazów, to po prostu będą już "sprzedane" zanim się zacznie wystawa. Prócz tego na wystawie znajdzie się kilka rysunków, też spośród "nowych".

Będę się starał, żeby całość była koherentna, bo od dawna przekonałem się, że miałeś rację przestrzegając mnie przed "podpieraniem" wystaw z jednej epoki obrazami z innej.

Że nie zarobię na wystawie u Wahl kokosów wiem doskonale, tym bardziej, że jak to sam mówisz pt. klienci kochają głównie "dawne" obrazy i prawdopodobnie wystawiając "nowe" nie sprzedam nic lub prawie nic. Niemniej uważam, że owe "nowe" obrazy znajdujące się w moim posiadaniu, powinny być wystawiane i krążyć. Zresztą przy sposobności sprzedam z pewnością trochę albumów. I to mi wystarczy.

5) Fizycznie czuję się marnie. Przypominam sobie, że gdyśmy się poznali miałeś moje lata i byłeś o wiele sprawniejszy ode mnie. Ciąłeś wówczas sam płytę pilśniową i majsterkowałeś ramy do obrazów. Co przecież wymagało siły fizycznej i sprawnego serca.

6) Stale czytając popularno-naukowe miesięczniki widzę, że chwila, gdy wszystko to się skończy, gdy zniknie śmierć i choroby, a zwłaszcza ludzka głupota i agresywność, jest już niedaleko. Ale nas już nie będzie. Czuję się jak ów bohater książki dla młodzieży Marii Remarque'a "Na Zachodzie bez zmian", który ginie od ostatniej kuli jaka została wystrzelona podczas Pierwszej Wojny Światowej, w minutę przed podpisaniem zawieszenia broni.

7) Jutro, w niedzielę, przychodzi do mnie technik by założyć program

do wizualizacji Twoich fotomontaży. Mam nadzieję, że uda mu się instalacja, bo jak dotychczas to wszystkie komputery, jakie miałem funkcjonowały fatalnie i założenie każdego nowego programu było zawsze kwadraturą koła.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

3 października 1999

Program został zainstalowany i dziś obejrzę sobie razem z Anią wszystkie Twoje prace. Ale na moim marnym ekranie nie wychodzi to najlepiej. Najważniejsze jest jednak to, że będę mógł teraz dać wszystkie fotomontaże do wydruku.

Marly le Roi, 9 października 1999

Drogi Zdzisławie,

Otóż i mój wybór Twoich fotomontaży, które prosiłbym Cię o wygrawerowanie mi na CD-romie, tak bym mógł go dać do drukarni nie ryzykując, że mi zgubią wszystkie pięć, które mi wysłałeś.

Najlepiej zrób mi tego dwa egzemplarze.

Jak przyrzekłem, ofiaruję Ci w zamian za to podczas mej następnej bytności (o ile przyjadę samochodem) 20 albumów Ramsay, które Ty zdaje się dosyć lubisz, bo mają przygaszone kolory, a których ja nie cierpię, jak również nie cierpi ich publiczność, która za nic nie chce ich kupować. Będziesz je miał na rozdawanie ludziom, którzy Cię o to proszą.

Pozdrawiam serdecznie.

Piotr

Warszawa, poniedziałek 18 października 1999, 19:40

Drogi Piotrze!

Niestety foldery musiałem wydobywać z Hermesa przy użyciu kombinerki. Naprawdę nie pamiętam czy je widziałem już poprzednio, czy nie widziałem, ale ja nie pisałem w poprzednim liście o tym, jakie w konsekwencji foldery były, lub jakimi się stały, lecz chodziło mi raczej o porównanie tego, co ja zapamiętałem z tym, co Ty zapamiętałeś i opisałeś, oraz o wyznaczenie punktów, które dla nas były punktami kluczowymi konkretnego wydarzenia. Widziałeś tą sprawę po swojemu, ja miałem na temat tej sprawy diametralnie inną optykę. W sytuacji, w której dostrzeżę tylko moją czarną niewdzięczność lub obojętność dla Twego trudu, ja dostrzegałem coś całkiem innego. Wiele momentów, które były dla mnie wręcz wstrząsem, od którego chwiała się cała konstrukcja i które powodowały, że od tej chwili inaczej patrzyłem na wszystko i w związku z tym inaczej się zachowywałem, zostały przez Ciebie kompletnie zignorowane, tak jakby ich nie było. Z kolei ja w innym świetle widziałem Twoją motywację, jak też rzeczywiście nie doceniałem dna finansowego, jakie osiągnąłeś. Gdy pisałem o tym wieczorze, kiedy zademonstrowałeś mi pierwszą wersję foldera, nie mogłem przewidywać, co będzie potem, na ile zmienisz sposób reklamowania i na ile zmieni się sam folder (nawiasem mówiąc nadal nie budzi on mego entuzjazmu, ale przynajmniej nie budzi przerażenia). Przez myśl, w najśmielszych i najdzikszych domniemaniach, nie przeszłoby mi, że piramidalne ceny zostały wymyślane po to, by mi zaimponować. Sądziłem raczej, że kompletnie utraciłeś kontakt z rzeczywistością i pograżasz się w jakichś urojeniach, co powiększało tylko moją panikę. Wydawało mi się także, że za pięć dwunasta miałeś przebłysk jasności, iż wpakowałeś się w sytuację bez wyjścia, fantazmaty się skończyły, a teraz zaczną się schody. Nie pamiętam już szczegółów, ale przed pierwszą wystawą, zacząłeś coś takiego u mnie w pracowni mówić, co by wskazywało na to, że ogarnęła Cię panika.

Teraz z innej beczki: W całej książce nie poruszasz w ogóle tego, co powiedziałeś mi pod koniec okresu, jaki był w niej opisany, a powiedziałeś konkretnie, że aby dokuczyć czy też zademonstrować tym kretynom francuskim, którzy przez całe życie rzucali Ci kłody pod nogi, każesz po swojej śmierci spalić wszystkie moje obrazy. Ja w tej konstrukcji myślowej

w ogóle nie występowałem, tak jakby to nie były już moje obrazy i ponieważ udalem, że tego nie usłyszałem (po roku, pół żartem, o to Cię jednak pytałem, udając, że mnie to niewiele obchodzi), bo nie wiedziałem dlaczego o tym mi mówisz. Zastanawiałem się, czy masz w tym jakiś cel. Byłem jednak tym DOGŁĘBNIIE SPANIKOWANY i mimo że zarówno Wahl jak i inni twierdzili, że to było "tylko takie gadanie", to ja nie byłem tego bynajmniej pewien. Nie wiem czy nawet dziś zdajesz sobie sprawę z rozmiarów podcięcia tymi słowami gałęzi, na której siedziałeś lub siedzieliśmy obaj i z tego, że gdy idzie o moje obrazy to wszelka moralność dla mnie się kończy, żadne najświętsze umowy nie mają znaczenia i jestem gotów nawet bez skrupułów zabić! To było dla mnie zawsze biologiczne i poza jakąkolwiek dyskusją, jak stosunek matki do swojego dziecka. Od tego momentu JEDYŃĄ moją myślą było jak się mam uwolnić i jak uchronić najlepsze moje obrazy. Pojawili się Japończycy i przez rok myślałem, że zaświeci słońce, bo obsypany forszą, nie będziesz już miał potrzeby demonstrowania Francuzom swojej frustracji, ale gdy się odczepili, to moje łęki wróciły z dwukrotną siłą. W każdym razie, gdy mi powiedziałeś, że chcesz spalić moje obrazy, był rok 1988 lub koniec 1987. W tej chwili nie jestem sobie w stanie przypomnieć dokładnej daty. To, co wtedy powiedziałeś, było dla Ciebie zapewne tak mało znaczące i tak mało ważne (może raczej mieli ci, którzy mówili mi, że było to tylko pieprzenie), że nawet nie zanotowałeś tego w swym dzienniku, a dla mnie była to cezura ostateczna.

Teraz ta sprawa, którą już poruszaliśmy, czyli zwracania się o pomoc. Ty masz swój punkt widzenia, ja mam swój. Nic tu się nie da zmienić. To, że obciąłem sprawę Wałęsy nie wynikało z mej wrogości i (jak piszesz) z pogardy inteligenta dla przedstawiciela ludu, (choć Wałęsa nie był nigdy bohaterem mego romansu), lecz z zażenowania, że ktoś ma w mojej sprawie prosić kogoś nie zainteresowanego, tylko dlatego, że jest znany i ma tą samą narodowość co ja, o wsparcie, a w tym wypadku o napisanie wstępu do katalogu (pomijam już śmieszność tej sytuacji i to, że czułbym się nie tylko poniżony ale i ośmieszony i to nie dlatego że Wałęsa, bo to samo czułbym przy Zbigniewie Brzezińskim lub przy Karolu Wojty-le). Jest to dla mnie zachowanie podstawowe: Chciałbym oczywiście być zauważony, ale nie za wszelką cenę. Być zauważonym przez grzeczność

i za cenę zwracania się z prośbą do luminarzy, w ogóle nie chcę. To już stokroć lepiej nie być zauważonym w ogóle i nigdy. Masz inną naturę - Twoje prawo, ale ja taki nie jestem, nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Zapewne jestem zarozumiały, można też powiedzieć, że jest to objaw pychy i w ogóle można na wiele sposobów deprecjonować moje zachowanie, ale taką mam naturę i tego nie zmienię. Ja wiem, że zwracałeś się i do Miłosza i do Jeleńskiego i do wielu innych i NIE jestem Ci za to wdzięczny, a wręcz przeciwnie. Do dnia dzisiejszego czuję niesmak. Nie piszę tego wszystkiego po to, by się spierać lub sprawić Ci przykrość. Jestem w tej chwili pod wieloma względami już innym człowiekiem. Niedługo skończę 71 lat, a to wszystko to już przeszłość, do której bym nie wracał, gdyby się tak nie złożyło.

Do weselszych spraw: rozmowa z Tobą przez telefon w sprawie filmów amerykańskich i innych uzmysłowiła mi, iż nie bierzesz pod uwagę faktu, że ja tylko wyjątkowo oczekuję od filmu doznań ARTYSTYCZNYCH. Z reguły oczekuję rozrywki, bo zmęczony po całym dniu, gotów jestem przystać na stereotyp, czy też formułę, która sama w sobie jest w sposób oczywisty sztuczna: na półtorej godziny przenoszę się w inny świat i uczestniczę w historyjce o utalentowanej programistce komputerowej w opalach, mimo iż wiem, że to nie programistka tylko Sandra Bullock, która najprawdopodobniej nie ma pojęcia o obsłudze najprostszego komputera (był taki film przed paru laty i zakwalifikowałem go jako "dobry", choć dla Ciebie był to zapewne seryjny chłam). Bardzo trudno jest namówić mnie na film "artystyczny", a jeśli, to tylko wtedy, gdy owa "artystyczność" wiąże się z pewnym typem wizyjności i muzyczności, który jest mi bliski. Nie potrafię się też na filmie wzruszać czymś innym niż napięciem wynikającym z faktu, że ktoś wisi na jednej ręce uczepiony płozy helikoptera, a w drugiej trzyma rewolwer z dwoma ostatnimi nabojami i czy zdąży (choć wiem, że zdąży) po zastrzeleniu bandyty... aaaaaa (już spadł do morza) potem pilota (też bandyty - już dostał!), wdrapać się do helikoptera, w którym pierwszy bandyta przed śmiercią uruchomił bombę zegarową nastawioną na 3 minuty (nie zadaję sobie pytania po co) i dolecieć do samotnej laguny na horyzoncie, na której oczekuje przywiązana do palmy atrakcyjna dziewczyna w stroju topless, a nad nią przyczepiony przez złych ludzi sznurem przepalonym słońcem

przez soczewkę, slój z kwasem azotowym, który za chwilę spadnie jej na głowę, zaś pod helikopterem jest tylko morze, a okolica jak już dowiedzieliśmy się przedtem, obfituje w żarłoczne rekiny. Domyślam się też, że na tym rzecz się jeszcze nie skończy, bo bohaterowie wylądują niedługo na Alasce gdzie będą musieli podróżować saniami ciągniętymi przez 20 psów rasy husky, którym sprzedajni byli agenci KGB podali podstępnie w pożywieniu truciznę, mającą zmienić je po pół godzinie w krwiozercze potwory i to w samym sercu Alaski i gdyby nie linia kolejowa, którą podąża do punktu kontaktowego, opanowany przez odeskich gangsterów pociąg ze złotem. Wściekle psy zżerają na punkcie kontaktowym gangsterów, a bohaterowie chcą zwrócić ojczyźnie zrabowane złoto ale dopiero wtedy domyślamy się, że cała sprawa porwania pociągu upozorowana była przez CIA w celu zdobycia złota dla wykonania przewrotu na Kubie i teraz na naszych bohaterów poluje już cała policja USA i tak dalej i tak dalej... Nie jestem wprawdzie idiotą, który by się dał na coś takiego nabrać, ale bardzo to lubię i w zasadzie niczego więcej od kina nie wymagam.

Przepraszam, ale do tego listu podchodzę już chyba piąty raz. W tej chwili jestem na etapie poszerzania pracowni komputerowej o drugie stanowisko i nieustannie muszę wyjeżdżać po coś do miasta lub też kontaktować się ze specjalistami.

Trzymaj się kupy, pozdrowienia dla Żony.

Zdzisław

Warszawa, środa 20 października 1999, 11:09

Drogi Piotrze!

Dostałem list z wykazem prac i zrobię je, gdy tylko uruchomię komputery i znajdę chwilę czasu. Mam szereg kłopotów komputerowych, a w perspektywie wyjazd na promocję do Krakowa. Wczoraj pracowaliśmy z technikiem do godziny 3 rano, po czym od godziny 7 do godziny 1 po północy siedziałem nad tym non stop, a dziś siedzę od rana i jestem jeszcze w lesie, a technik przyjdzie wieczorem. Nie będę Cię wtajemniczał, bo to dosyć skomplikowana sprawa i nawet specjaliści nie mogą się w tym połapać.

Czasami myślę, że komputer to gówno i walnę tym przez okno. Urocze są te wyobrażenia naiwnych paniusz: "to nie Ty zrobiłeś, tylko komputer" lub "komputer ułatwia". Kurwa mać z takim ułatwianiem. Wiele ludzi nie ma bladego wyobrażenia ile pracy to kosztuje i jakie to jest ciągle prymitywne i chimeryczne urządzenie. To pędzel ułatwia. Pięknie pozdrawiam i wysyłam poprzedni list, który od dwóch dni leży na stole...

Zdzisław

Marly le Roi, 26 października 99

Drogi Zdzisławie,

1) Scenariusz o pogoni za ładunkiem przeznaczonego na przewrót na Kubie złota godny jest najlepszych, hollywoodzkich skryptów.

Wyjaśnienia, które zazwyczaj podają ludzie, gdy im zadają pytanie, jak mogli doczekać na koniec jakiejś monumentalnej chały, albo, dlaczego czytają brukową prasę polegają, tak jak u Ciebie, na tym, że po pracy, zmęczeni chcą się rozerwać i zapomnieć o problemach. Ale jak tu można się rozerwać i jak tu można zapomnieć, kiedy przez dwie godziny, lub na każdej szpalcie slychać niesamowity zgrzyt, który nie daje sekundy odprężenia, tylko wręcz katapultuje człowieka z siedzenia i pcha go ku drzwiom. Natomiast na "Sombre" pojedź, jeśli tylko gdzieś go umiejscowisz w Warszawie. Kupiłem sobie kasetę video tego filmu, ale jest ona nagrana we francuskim SECAMie. Toteż nie mogę Ci jej przesłać, bo nic nie zobaczysz. Poszukam, może mają w PALu. Ale i wtedy oglądanie tego filmu na ekranie telewizyjnym nie pozwoli Ci go docenić. Z wyjątkiem krótkiego pasażu jest on cały rzeczywiście "sombre", to znaczy "mroczny" i ledwo coś na ekranie widać. W dodatku kamera drga (umyślnie) i kadruje na pozór bezładnie. Głos również jest niewyraźny, tak, iż do końca nie wiadomo czy facet, który kocha się ze swoimi licznymi partnerkami doprowadza je do orgazmu, czy też morduje je, a one dyszą i jęczą walcząc ze śmiercią. A tego na małym ekranie nie można docenić. Film jest po prostu niesamowity i absolutnie nowy. Tak nigdy, nikt, o ile wiem, filmu nie zrobił. Dźwięk, światło, kamera, dialog, gra aktorów i cały scenariusz są na antypodach tego, co się zazwyczaj, ba, zawsze robi. Obejrzałem ten film już z osiem razy i zachwyty trwa nadal.

Czy widziałeś "L'année dernière à Marienbad", Alain Resnais? Tekst, czytany "off" i dialogi są tam ważne, bo bez nich zanika część atmosfery, jaką stwarzają. Treść tych słów jest banalna, bez materialnego znaczenia i bez prawdziwej fabuły. Lecz ich dobór i ton, jakim są powiedziane są pełne poezji w najlepszym tego słowa znaczeniu - bez konkretnego sensu, ale za to najważniejsze. Ale ponieważ są po francusku, to ich nie zrozumiesz, (choć wiem, że Robe Grilleta czytałeś i znasz jego prozę). Niemniej, jeśli gotów jesteś zrobić wysiłek i zobaczyć film o wielkich (i zasłużonych) ambicjach artystycznych, to Ci go wyślę w PALu. Bo te dwa filmy "Sombre" i "L'année dernière à Marienbad" (oba zrobione przez pierdolonych Francuzików) są moimi filmami kultowymi, lub po prostu najlepszymi jakie widziałem.

2) Dzięki za list z 18 października. Oczywiście zdrowy rozsądek jest jak zwykle najlepszą odtrutką na imaginacyjne stresy. Gdybyś posłuchał tego, co mówili ludzie kierujący się zdrowym rozsądkiem, nie stwarzałbyś sobie apokaliptycznych wizji, nie wierzyłbyś w nie, a zwłaszcza nie postępowałbyś zgodnie z ich absurdalną logiką.

Sądząc, że moje intencje są czysto komercyjne, nie mogłeś (lub nie chciałeś) nawet dopuścić myśli o mym, ewidentnie bałwochwalczym stosunku, jaki miałem (i nadal mam) do Twoich obrazów. Rzeczywiście, myśl o sprawieniu im najmniejszej nawet krzywdy byłaby dla mnie jak myśl o zrobieniu krzywdy na przykład Ani, lub moim ukochanym psom, w których obronie wymordowałbym pół ludzkości. Podejrzewam, że kwaśno się uśmiechniesz czytając, iż porównuję Twoje obrazy do moich psów, ale i Ty nazywasz ulubione przez Ciebie obrazy, które wiszą w twoim mieszkaniu, "zwierzętami domowymi". A na dodatek wiele matek tak nie kocha swoich dzieci, jak ja kocham moje psy.

Z Twoją obawą, że zrealizuję moją groźbę jest trochę tak, jak z braniem na poważnie zapewnienia kochanka, iż zabije kochankę, jeśli ta go rzuci. W to wierzą tylko histeryczne dzierlatki, które zaraz biegną do adwokata i żądają, żeby ich dom obstawiała policja.

Pocieszyła mnie również wiadomość, że to dlatego, iż uwierzyłeś w te bzdurne gadanie, odmówiłeś wykonania postanowień naszej umowy, która upoważniała mnie do wyboru obrazów w ramach "odszkodowania", a zwłaszcza, mimo ustania jej pozostałych postanowień, do nabywania sta-

le, co roku, pięciu obrazów po niezmiennej podstawowej cenie.

Bo przyznam się, że gdy po naszym zerwaniu próbowałem sformułować jakieś wyraźne zarzuty pod Twoim adresem, to mimo wielu drobnych, banalnych i dość powszechnych wad, które Ci zresztą wytknąłem w mojej książce, jasno i niezaprzeczalnie mogłem sformułować tylko te dwa.

Wprawdzie przypominam, iż sprzedawałeś mi nadal najlepsze nawet obrazy (za wyższą cenę) po tym jak zapowiedziałem, że na złość ludzkości (bo w moim delirium walczyłem z całym światem, a nie tylko z jakimiś tam, pierdolonymi zabojadami), każę je spalić. Ale tłumaczenie, jakie podajesz, że jak dla matki, "gdy idzie o moje obrazy to wszelka moralność dla mnie się kończy, żadne najświętsze umowy nie mają znaczenia i jestem gotów nawet bez skrupułów zabić!" przyjmuję i chcę w nie wierzyć. Nie tylko wyjaśnia mi ono ten najczarniejszy punkt naszych stosunków, ale nawet (w drobnej części) jakoś tam usprawiedliwia go, bo to mogę zrozumieć i przyjąć za jakiś tam powód.

W sumie popełniłem błąd nie biorąc na poważnie tego, co przecież podkreśliłem w portrecie, jaki Ci wypędzowałem, to znaczy twej predylekcji do katastrofizmu.

3) Zapewniasz mnie, że nie chcesz mi sprawić przykrości broniąc się przed moimi zarzutami "wygarniętymi" Ci w książce i robić mi samemu zarzuty za sposób, w jaki się do tego wszystkiego zabrałem.

Nie tylko nie czynisz mi tym przykrości, ale wręcz przeciwnie, oddajesz mi tym przysługę. Pozwalasz bowiem na wzbogacenie mojej książki o Twoją własną wizję spraw. A jak Ci to już napisałem, zależy mi na tym, bo wtedy zblaknie trochę jej stroniczość, natomiast całość nabierze charakteru dokumentu. Mimo złośliwości, jakich się dopuściłem pod Twoim adresem, sądzę, że jest z nią trochę tak, jak to powiedział mi Szajna po jej przeczytaniu: "wprawdzie przypiął mu pan kilka łatek, ale jednocześnie tą książką wystawił mu pan pomnik". I tak sądzę przeczytają to przyszłe pokolenia. O ile dzięki Twoim uwagom, krytykom i wyjaśnieniom straci ona swą nieprzyjemną aurę waśni, to stanie się rzetelnym opisem wielkiego przedsięwzięcia.

Bo była to przygoda niesamowita. Dziś już minęły napięcia, które tak okropnie mnie poraniły i widzę to z daleko większym spokojem. I ze spokojem mogę dziś powiedzieć, że było to ogromne "zmaganie", któ-

re mimo porażki nadało całemu mojemu życiu prawdziwy sens. Mogę dziś z dumą powiedzieć, że coś się w nim zdarzyło i że ja się do tego przyłożyłem. To, że nic się nie udało, niczego nie zmienia. Bo zawsze bardziej niż ogląda i sukcesy fascynowała mnie szpetota i klęski. Są patetyczne, a patos mną wstrząsa. Nawet, jeśli jestem jego zdychającą w boleściach ofiarą. Tym bardziej, że pogodziliśmy się i że w ten sposób jakby wszystko, choć w części, skończyło się happy endem. A na dodatek mam masę wspaniałych obrazów, które zostały mi w rękę i które są namacalną spuścizną, a nie tylko wspomnieniami, goryczą czy mrzonkami.

Nawet blizny, jakie mi pozostały biorę za korzyść, bo z moim obecnym światopoglądem, obojętnym lub wręcz niechętnym w stosunku do świata, czuję się daleko lepiej i czystiej niż z poprzednim, walczącym i pełnym dobrych chęci. Daleko bardziej czuję się sobą mając wszystko w dupie, prócz tego, co mi najdroższe i najbliższe, niż czułem się w roli walczącego o "sprawy" kowboja. To wręcz przyjemne z obojętnością patrzeć na ohydłą rzeczywistość, która dawniej doprowadzała mnie do pasji, do buntu i do szamotaniny. Szamotaniny, z której za każdym razem wychodziłem przegrany i z moralnym kacem, bo szlachetne i wzniosłe pobudki z reguły mieszały się u mnie z przyziemnymi kalkulacjami i poszukiwaniem osobistych awantazy. Co zamiast jak wino, upijało jak denaturat. Dziś nareszcie rzeczy są jasne i proste: wszystko, prócz najbliższych ludzi i rzeczy wisi mi zwiędłym kalafiozem. Co zresztą jest cechą większości ludzi. Tak, iż po prostu wróciłem do szeregu.

4) Czekam na CD-rom z wybranymi przeze mnie pracami i zaraz po otrzymaniu go zacznę chodzić po drukarniach i dokonywać prób ich reprodukcji.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, środa 27 października 1999, 10:02

Drogi Piotrze!

Nie napisałeś w końcu czy ma to być format TIFF w trybie RGB czy TIFF w trybie CMYK, więc ponieważ prosiłeś o dwie płyty, zrobiłem jedną

w RGB, a jedną w CMYK. Aby łatwiej było odróżnić po wyjęciu z pudełka, nagranie w trybie CMYK jest na płycie VERBATIM, a w trybie RGB na płycie SAMSUNG. Nagrania w trybie CMYK nie obejrzysz na PhotoSuite SE, bo ten program nie czyta trybu CMYK i sfalszuje kompletnie kolory. Możesz zainstalować sobie Photoshop, który skopiowałem Ci poprzednio na dysku BEKSINSKI 5 i wtedy obejrzysz i porównasz oba nagrania. Ważne jest to, jak to będzie drukowane i jaki tryb potrzebny będzie konkretnej drukarce.

Błagam tylko: nie każ mi jeszcze raz tego robić, bo zarówno nagrywanie jak i nadawanie tego na pocztę, która jest przy Placu Konstytucji (jadę tam metrem i mam tam czasowo najbliższej), odbiera mi w praktyce jeden dzień pracy. Nie mogę jechać wieczorem po pracy, bo są potworne kolejki, więc jadę przed południem, ale i tak tracę na to ze dwie godziny, a jestem teraz z racji wieku na tyle słaby, że po takiej "eskapadzie" nie mam już szans na to, by jako tako "kreatywnie" zaczynać pracę przy sztalugach, więc do wieczora robię już coś innego.

Jeśli byś zamiast obiecanych mi albumów RAMSAY, wygrzebał gdzieś nawet o połowę mniejszą ilość katalogów "Visionen aus dem Nichts", to byłbym bardziej uszczęśliwiony, gdyż te 5, które dostałem od Lindnera rozeszły mi się błyskawicznie, więc dostawszy inne, mógłbym je ulokować w instytucjach, które prowadzą moje portfolio. Są bardzo solidnie wydrukowane i na dodatek plombowane folią, więc jeśli byś je miał, to wołałbym je od Ramsaya. W zasadzie prezenty to sprawa nader sporadyczna. Idzie głównie o instytucje. Na prezenty jest teraz nowy album, który wygląda bardzo reprezentacyjnie. Kolory wyszły na wielu pracach przeczerwienione i wydawca uważa, że jest to wina faceta z przygotowalni, któremu zafundował tygodniowy pobyt w Hong Kongu i który miał osobiście rzecz przypilnować, a tego nie zrobił, bo zdaniem wydawcy, przeczerwienione są nie konkretne zdjęcia, lecz konkretne arkusze wydawnicze, więc nie wynika to ze złej korekcji zdjęć, lecz z banalnego niedopatrzania. Ludziom się jednak podoba. Jeśli czerwono, to ładnie! Gdy telefonowałeś, siedziałem na targach, w boxie i dusząc się od gorąca podpisywałem plakaty i albumy. Akurat w tym momencie było luźniej i jakaś dziennikarka przepytywała mnie "na okoliczność".

Siedziałem tam non stop od godziny 11 do 18, a przedtem jeszcze musia-

lem mieć wywiad w studio w radio krakowskim. Jak mnie znasz byłem na czczo i odżywiałem się tylko non stop gumą Wrigley's bezcukrową, aby mi nie śmierdziało z gęby. Potem wydawca zaciągnął nas (był także z żoną fotograf Bujak, ten od papieża) na kolację. Hotelik, w którym mieszkałem i poza który nie chciałem się wydalać, należy do Murzyna i restauracja serwowała bez wyjątku albo Missimba z czosnkiem albo Mombassa z cebulą i kaparami albo lody Makumba albo pierożki z Jemenu, które zamówiłem, mając cichą nadzieję, że nie są z kota, bo skąd mogę wiedzieć, co żrą w Jemenie. Nawet nie wiem gdzie jest cały ten Jemen. Na szczęście piwo było polskie. A tak bym chętnie zjadł zrazy z kaszą gryczaną! Teraz w Polsce jest moda na restauracje egzotyczne i nawet koło mnie zamiast polskiej, otworzyli chińską Nie chodzę tam, bo obawiam się, że podadzą szczury kandyzowane w cukrze. Jeśli w erze socjalizmu była w Warszawie restauracja chińska, to Chińczycy byli ze Szmulek, a surowce z Pelcowizny. Obecnie wszędzie stoją, miauczą i wywijają szablastymi nożami kosookie oryginały znak Mekongu lub Yangtsekiangu, a surowce dowożą im codziennie samolotem. Tomek to lubi, ale ja nie. Milion razy bardziej wolę MacDonalda. Częściej odżywiam się jednak w Burger Kingu, bo mam bardziej po drodze.

No to tyle, pięknie pozdrawiam Was oboje. Mam nadzieję, że uda mi się dziś to nadać, bo akurat leje jak z cebra, więc na razie nie chce mi się nosa z domu wyściubiać.

Zdzisław

Warszawa, niedziela 07 listopada 1999, 15:17

Drogi Piotrze!

Nie ulega wątpliwości, że pójdę na film SOMBRE, gdy tylko będę mieć taką okazję, ale wydaje mi się, że w dziedzinie oceny filmów, stosujemy jednak nieco inne kryteria. Widziałem przed laty "Zeszłego lata w Marienbadzie" i przystępowałem do oglądania prawie na kłęczkach, tym niemniej film mnie chyba zawiódł i niewiele zostawił po sobie. Już więcej szczęścia od Robbe Grilleta, którego książki zrobiły na mnie przed laty olbrzymie wrażenie, miała współczesna mu Marguerite Duras, bo

dwa filmy według jej scenariusza "Moderato Cantabile" i "Taka długa nieobecność", utkwily mi niesłychanie mocno w głowie, chociaż trudno byłoby powiedzieć, czy wytrzymały próbę czasu (a propos: czy widziałeś chyba meksykańsko-amerykański film "Santa Sangre"? Radzę obejrzeć). Z filmem dzieje się coś podobnego jak z softporno: niesłychanie szybko się starzeje. Zachodzi pytanie, czy kiedykolwiek stare filmy powrócą w inny sposób niż w klubach entuzjastów i koneserów, którzy entuzjasmują się tym trochę jak malarstwem naiwnym, estetyką kiczu, czy epitafiami nagrobnymi. Znany Ci Shawn Bryan, uważał za najwybitniejszy film wszech czasów "Dzieci raj" Marcela Carné. Powtarzał chyba jednak czyjąś opinię. Inni na tym miejscu stawiali "Pancernik Potiomkin" Eisensteina, ale wszystko przemija. Nie weryfikowałem "Dzieci Raju", ale "Pancernik Potiomkin" jest już dziś nie do oglądania. Chyba film w zbyt silnym stopniu związany jest z rozwijającą się bazą technologiczną i techniczny prymitywizm, a może też zmieniające się kryteria estetyczne (wreszcie każda epoka ma swego adresata - obecnie podobno jest nim "14-letni murzyński chłopak analfabeta", specjaliści uważają, że to bardzo uważany i wymagający odbiorca, tyle że ma specyficzny rodzaj wymagań), wywołują jego szybkie starzenie się. Nie mogę powiedzieć, że wybitne filmy nie powstawały w Hollywood, bo nie zestarzały się jeszcze filmy takie jak te, które w tej chwili przychodzą mi do głowy, czyli: pierwsza wersja "Gwiezdných wojen", "Burton Fink" czy też "Bladerunner", chociaż nie ulega wątpliwości, że czas działa na ich niekorzyść. Zachwycałem się filmami radzieckimi. Nie wiem czy z tego powodu, że mało rzeczy na świecie było dla mnie tak odstręczających jak Związek Radziecki, czy też z tego, że nad filmem partia miała największą kontrolę, bo była to zgodnie z doktryną Lenina "najważniejszą ze sztuk", ale nie widziałem filmu radzieckiego (z lat po 1938), który by mi się podobał. Wyczuwałem w każdym ujęciu i w każdej kwestii jakiś fałsz, który mnie odstręczał. Najbardziej jeszcze podobał mi się "Iwan Groźny", ale ze względu na stylistykę. Na "Aleksandra Newskiego" chodziłem wielokrotnie, ale tylko ze względu na muzykę. Nie było wtedy jeszcze płyt wolnoobrotowych. Film mnie odstręczał i to zarówno tematyką, wydźwiękiem, jak też grą aktorów. "Los człowieka", "Tam gdzie lecą żurawie" i inne filmy z tego okresu, zostawiły mnie niechętnym lub obojętnym. Nie dzielił-

bym filmów na francuskie, czy amerykańskie. Mówię teraz oczywiście o filmie artystycznym, a nie rozrywkowym. Najbliższy był mi w minionych latach Fellini. Nie zawiodłem się prawie na żadnym jego filmie. Na "Amarcord" zawsze się wzruszam do łez. Nawiasem mówiąc, to prawie moje własne dzieciństwo. Nawet postacie są te same. Skąd wzięła się taka identyczność? Nie tylko współbrzmienie wizji, ale identyczność postaci! W tej chwili oglądam seryjne (nie artystyczne) filmy, wyłącznie na zasadzie przyjęcia pewnego stereotypu "prostej rozrywki" z jednej strony i "efektów wizualnych" z drugiej. Kompletnie kretyński film jak np. "Twister" potrafię obejrzeć z satysfakcją dla perfekcjonizmu technicznego. Bardzo lubię "patrzeć". O wiele bardziej niż "przejmować się". Wielokrotnie chodziłem na występy iluzjonistów (nawet niekoniecznie tak doskonałych jak David Cooperfield) i mogę powiedzieć, że robiły i robią na mnie nadal potężne wrażenie! Lubię czerpać satysfakcję z patrzenia. A czy inaczej ogląda się zdjęcia porno?

Wracając do filmu, to dziś dochodzimy do jakiejś granicy, po której taśma filmowa nic więcej już wizualnie nie da i następnym krokiem będzie rzeczywistość wirtualna, która stoi już za progiem i filmy, które wyrosną z dzisiejszych kretyoidalnych gier komputerowych, ale kretyoidalność nie musi stanowić ich cechy nabytej. Wszystko jak zwykle wyniknie z ekonomii. O ile narzędzia będą dostępne finansowo dla Janka Muzykanta, to nie ulega wątpliwości, że czekają nas (no, już może nie mnie) całkiem nowe arcydzieła, o ile jednak narzędzia będą zbyt kosztowne, to w najlepszym wypadku dostanie je jakiś tam Jarre, a w jeszcze gorszym wyłącznie Hollywood. Co nie znaczy, że je zmarnuje, ale nadal będzie to kretynizm dla mas. Skoro świat składa się w 98% z kretynów, a idzie o wydrenowanie z nich forsy, to trzeba im dać pożywkę, jakiej potrzebują. Problem więc dla twórcy sztuki pop, będzie polegać na tym, by dając rozrywkę kretynowi nie zapomnieć równocześnie o inteligentach (jeśli takowi jeszcze będą) i nie zapewniając im wprawdzie przeżyć artystycznych, dać im przynajmniej rozrywkę, od której nie będą musieli się porzygać. Zaznaczam, że mam bardziej od Ciebie odporną przeponę i wprawdzie trudno powstrzymać mi się od rzygania na "TekWars" czy "Johny Mnemonic", ale już "Matrix" wytrzymałem, chociaż nie jestem entuzjastą cyberpunku. Było tam jednak coś i dla mnie: profesjonalna robota. Dynamiczny mon-

taż. Doskonała fotografia. Interesujące efekty komputerowe. Oczywiście film jest głupi i stanowi postmodernistyczny zlepek klisz kulturowych od Alicji w Krainie Shaolin po PepsiZen, tym niemniej jest do obejrzenia. Nie mogę natomiast oglądać amatorszczyzny, jakiej jest pełno i nigdy dawniej nie sądziłem, że Hollywood oferuje też filmy, w których sześciu bohaterów rozmawia ze sobą stojąc w planie amerykańskim przodem do nieruchomej kamery i skręcając do siebie głowy. Są sterty takiej amatorszczyzny i przestają to oglądać po kilku minutach. Ostatnio wytrzymałem jeden do końca (drzwi do piekieł były w lodówce), bo jego boski idiotyzm w połączeniu z niezaradnością warsztatową przerósł wszystko, czego mogłem oczekiwać. To było równie zabawne jak "Romeo i Julia" w wykonaniu tresowanych koni.

Oczywiście można sobie pomarzyć, by filmy był arcydziełami intelektualnej subtelności i poetyckiego olśnienia, w połączeniu z perfekcyjną techniką za dziesiątki milionów dolarów, ale na to nie ma i nie będzie szans. Dziesiątki milionów dolarów muszą się zwrócić i przynieść zysk. Albo finansowy, albo ideologiczny (jeśli idzie o państwa totalitarne).

W Polsce Wajda nakręcił "Pana Tadeusza". Sam pomysł kręcenia filmu według poematu wydaje się idiotyzmem. Film może w ten sposób powstać nawet wybitny, ale jaki ma sens przekładanie na język obrazów czegoś, co jest słowem. Wreszcie siła "Pana Tadeusza" nie polega na głębi psychologicznej, przenikliwości socjologicznej, czy błyskotliwości akcji, bo taki sam albo i lepszy scenariusz dałaby radę wysmażyć Gretkowska (polska Françoise Sagan). Należałoby więc oczekiwać by teraz młody Kuroń lub Bikont, którzy są w Polsce arbitrami dobrej kuchni i artystami podniebienia, przetłumaczyli "Boską Komedie" Dantego na kotlety wieprzowe.

Z moim komputerem nadal jestem w lesie. Rzecz polega na tym, że sprawiłem sobie dodatkowy, pomocniczy komputer, bo sądziłem, że kłopoty z nieustannym zawieszaniem się, zawdzięczam temu, że mam zbyt wiele sprzętu, przełączników i programów w jednym komputerze i to wszystko żre się ze sobą. Obwinałem też o to siebie, bo obecny mój komputer zaprojektowałem w kwietniu 1998 sam, w oparciu o prospekty i katalogi podzespołów i potem poleciłem, zgodnie z własnymi dyrektywami, skleć w firmie specjalistycznej. Uświadamiano mi, że sam zawiniłem. Teraz za-

żądałem tylko, by komputer był szybki. Zastosowano najnowszy procesor i całą resztę "troskliwie" (jak głosiła reklama) dobrali fachowcy, w oparciu o moje życzenie, by był "szybki". Efekt powstał taki, że średniej wielkości plik, na którym dokonałem testów porównawczych (TIFF=87 MB) otwiera się na moim nowym komputerze przez 51 sekund, a na starym, wymyślonym przeze mnie jeszcze przed półtorej rokiem (dla komputera to wręcz epoka), ten sam plik w tym samym programie, otwiera się przez 17 sekund. Stosunek równo 1:3 na korzyść starego trupa. Wyjaśniam, że nie kupuję nigdy komputera "markowego" w całości, bo żadna propozycja mnie nie zadowala - są one z reguły skonfigurowane dla innych potrzeb niż moje. Jeśli więc odliczyć monitor, skaner, drukarkę A3, zewnętrzną stację JAZ 2GB i skaner do slajdów NIKON, które kupiłem sobie sam oddzielnie, to za sklecony w firmie komputer, zapłaciłem raptem tylko 2.000 \$, ale jednak nawet w tej sumie powinienem dostać coś lepszego. Tak więc po licznych perturbacjach i wizytach technika, jak też próbach wyjaśnienia mi, że czarne to po prostu ciemno białe, a białe to jasno czarne, komputer wrócił do producenta i jest przerabiany. Miałem go dostać w piątek, ale w piątek, przerzucono to na poniedziałek.

Teraz czekam. Czekam i płaczę, a u mych stóp samotny kopią grób, jak pisał bodajże Kasprowicz. Już sobie wyobrażam, jakby to wyglądało na filmie Wajdy.

Pięknie pozdrawiam

Zdzisław

Marly le Roi, 20 listopada 1999

Drogi Zdzisławie,

Nie odpowiadałem na Twój list z 7 bm., bo sądziłem, że w międzyczasie uda się nam skoczyć do Polski na tydzień i że się po prostu zobaczymy.

Wyjazd do Polski oddala się jednak, bo Ania ma jakieś kolokwia, a ja kilka spraw w Sądzie z terminami, których przeskoczyć nie mogę. Natomiast moja żona kategorycznie odmówiła wyjazdu na Święta Bożego Narodzenia, ze strachu o psy. Gdyby się coś stało, chce być na własnym terenie. Może uda się nam wreszcie wyrwać w styczniu.

W moim poprzednim liście poruszyłem kilka spraw, na które nie odpowiedziałeś skupiając się wyłącznie na filmach. Szkoda, ale niech i tak będzie. Zgadzam się na ogół z tym, co na ich temat napisałeś, z pewnymi jednak zastrzeżeniami.

Wiem, że jesteś perfekcjonistą i zachwyca Cię doskonałość techniczna. Widziałem jednak i nawet wystawiłem w galerii obraz pewnej Kanadyjki zupełnie nieporadny technicznie, a jednak tak ekspresywny, że go do dzisiejszego dnia nie zapomniałem i żałuję, że go w końcu sam nie kupiłem. Tak samo rysunki pewnego sanitariusza ze szpitala dla umysłowo chorych (a nie wariata) tak mi się podobały dzięki ich ekspresji, że choć bardziej podobne były do bohomazów niż do pracy rysownika, to jednak jeden z nich od niego wyszabrowałem.

Tak samo może jest z "Sombre". Bo gdy go pokazałem memu tutejszemu przyjacielowi i koledze po fachu, a wielkiemu kinomanowi, Delpoïo, to wzruszył ramionami i powiedział, że jest to według niego praca czeladnika, który bez ładu i składu nawalił na siebie kupę różnych zapożyczonych u wielkich mistrzów wątków i pomysłów.

Co do wyczerpanych już możliwości taśmy filmowej przypominam również, że kretyni z Centrum Pompidou twierdzą że możliwości pędzla są również wyczerpane i że w związku z tym malarstwo jest już na zawsze martwe. Toteż malarstwa prawie już nie pokazują. Oczywiście masz rację, że nowe narzędzia stworzą nowe powołania i ci, którzy niczym by nie mogli dziś zablysnąć, bo akurat ani nie umieją czytać z nut ani nie wiedzą jak ruszać pędzlem, jutro okażą się genialnymi artystami w nowych domenach. W końcu gdyby nie istniał tenis to taka Hingis (czy jak się tam pisze jej nazwisko) byłaby może sprzątaczką w szpitalu, a nie wielką mistrzynią. Ja jednak twierdzę, że z kina można jeszcze nie jedno wycisnąć, mimo że, jak słusznie mówisz, szybko się przeżywa i starzeje. Owe "Moderato cantabile" Duras, które na mnie również w młodości zrobiło wrażenie, poirytowało mnie swą pretensjonalnością kilka tygodni temu, gdy puścili je w telewizji. Tak, iż po dwudziestu minutach po prostu przeszedłem na inny kanał. A ileż poprzednio łączyłem z tym filmem wspomnień i wrażeń...

Dziś być może "Los człowieka" znudziłby mnie, bo kochałem go nie za jego filmowe zalety, choć jego prostota i przejrzystość są walorami, któ-

rym do dzisiejszego dnia holduję, a za jego humanistyczny wydzźwięk. Nawet, jeśli chodziło tam o radzieckiego, dzielnego człowieka, który mógł wypić litr wódki na czczo nie zakąszając (o ile pamiętasz tę scenę). Obecnie walory humanistyczne wiszą mi, tak, iż prawdopodobnie nie odczuję niczego gdybym go znów zobaczył.

Dziś to zabawiłyby mnie autentyczne kroniki przemocy. Dziennikarze na całym świecie nakręcają tego masę, bo okazji jest wiele, ale cenzura demo-liberalna nie dopuszcza tego do ekranu: zaledwie minuta lub dwie pokazywane są w dziennikach, i to po wybraniu najmniej drastycznych fragmentów. To mógłbym oglądać godzinami. Tak jak mogę godzinami oglądać walki, jakie mają miejsce w Ameryce na gołe pięści, bez żadnych reguł, pomiędzy specjalistami wszystkich konkurencji walk (na przykład dzudoka z bokserem, lub z aikido z zapaśnikiem etc.) i to aż do krwawego nokautu. Jest to coś tak brutalnego, że można się na to zapatrzeć jak na najpiękniejszy film. O, to, to mógłbym jeść łyżkami! Przemoc zawsze wywoływała u mnie uczucia odrazy i fascynacji. Samemu zresztą zdarzyło mi się stosunkowo niedawno, że wkurwiony czyjąś jazdą wyprzedziłem go, zatarasowałem mu drogę, wyszedłem z samochodu, otworzyłem jego drzwiczki i szybko walnąłem mu pięć razy w twarz.

Natomiast nienawidzę przemocy, gdy dotyczy zwierząt. Cierpienie zwierzęcia zadane przez człowieka powoduje u mnie przyływ fali nienawiści do rodzaju ludzkiego. Dochodzi to do rozmiarów obsesyjnych: ilekroć jem mięso (a obecnie jestem na diecie mięsnej żeby schudnąć) odczuwam zażenowanie, że zjadam trupa nikomu niewinnego zwierzęcia, które tak jak ja, pragnęło żyć. Sądzę, że z tym melanzem cikliwości i okrucieństwa, byłbym (przynajmniej dzisiaj) dobrym kapitanem SS.

Prawdą jest, że jeden Fellini nie przeżywa się. Niedawno obejrzałem po wtórnie "Ginger i Fred" z Massiną i Mastroianim i to bez zmęczenia, choć był to w końcu jeden z mało "felliniowskich" filmów. Również obejrzałem po raz enty "Rok temu w Marienbadzie". I też z wielkim przeżyciem, mimo że taśma video zestarzała się i ledwo co widziałem. Jest jeden film, który obejrzałem ze trzydzieści razy, a może więcej. Wiem, że go widziałeś i że go nie cenisz: "Nosferatu" Herzoga. Natomiast nie widziałem pierwowzoru Mirnau. Film Herzoga jest dla mnie jak poezja, muzyka i literatura. Ty widziałeś go w tłumaczeniu polskim lub w pol-

skim dubbingu. Ja widziałem go w dubbingu francuskim (lub raczej w wersji francuskiej, bo zarówno Gantz jak i Adjani mówią w nim własnymi głosami). Dialogi są tak pięknie napisane, że mogę ich słuchać na okrągło, a nawet znam ich fragmenty na pamięć. Co do muzyki, to choć ani się na muzyce poważnej nie znam, ani jej specjalnie nie lubię, to ostatnia scenę, z jeźdźcem pędzącym przez piaski i z "Sanctus" Gounoda (czy się nie mylę?), puszcza ją, cofam się, puszcza ją od nowa i tak w kółko przez wiele minut. To bajka dla dorosłych nie nudzi mi się już od wielu lat.

Z literaturą też tak jest, że mój zachwyt wywołuje obecnie autor marginalny, w ogóle we Francji nieznany, niejaki Jean Mekert i jego książka "Ciosy" ("Les coups"). Tą też już przeczytałem ileś tam razy i nowe przeczytanie, jednej choćby strony od czasu do czasu, jest jak owa scena z Nosferatu: napawa mnie wrażeniem, że obcuję z czymś znakomitym. O ile Celine jest głębszy i potężniejszy (a obaj piszą podobnie), o tyle Mekert jest łatwiejszy w czytaniu i przez to chyba jeszcze bardziej mi bliski.

Z niecierpliwością czekam na "Pana Tadeusza" Wajdy, bo ponoć zdjęcia są piękne.

Sarraute zmarła miesiąc temu, a kopia muszli klozetowej podpisanej przez Marcela Duchamp (w wiele lat po wystawieniu oryginału) osiągnęła u Christie's 1 760 000 dolarów.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, niedziela 28 listopada 1999, 22:43

Drogi Piotrze!

Nie jestem do końca pewien czy wypowiedziałem się negatywnie na temat "Nosferatu" Herzoga. Raczej chyba z rezerwą. Nawiasem: muzyka Gounoda, na którą się powołujesz, to "Missa Santa Cecilia". Możesz kupić ją na płytach i zapewne nie tylko Sanctus Ci się spodoba. Jak zwykle u Gounoda, jest to dzieło bardzo melodyjne. Ale wracając do Herzoga. Mam na jego temat rozmaite i nie sprecyzowane zdania. W jego filmach

są fragmenty genialne: czasem jest to tylko jedna kwestia lub jeden obraz, tak jak te słowa "matko, jestem taki pusty" w "Historii Caspara Hausera" czy finał "Szklanego Serca", czy konkwistador na tratwie pełnej małp w "Aquira" i tak dalej. Po za tym są to filmy, które się pamięta, mimo iż w trakcie oglądania wydają się często rozwlekle i archaiczne formalnie. Tomek jest entuzjastą "Nosferatu" i tłumaczył ten film dla TV, a ostatnio nawet zapowiadał go (chyba w programie 1), stojąc lub przechadzając się w pelerynie wampira na tle baszty i ruin zamczyska w Czersku. Była to pierwsza w Polsce emisja pełnej wersji niemieckiej. Może właśnie z powodu tej wampirologii domowej, odczuwam pewną rezerwę, gdy w kinie pojawiają się wampiry. Murnau'a znam ale miałem trudności z oglądaniem tego w inny sposób jak tylko "edukacyjny".

Nawiasem mówiąc od kilku miesięcy, znowu mam czerwony alert, jeśli idzie o Tomka. Wiesz, o co chodzi. Pozbawia mnie to spokoju potrzebnego do pracy, a wiem, że rzecz szybko nie przeminie.

Jeśli idzie o filmy, to w przeciwieństwie do Ciebie akceptuję jako rozrywkę przede wszystkim te, w których postaci są całkowicie, ale to całkowicie i bez reszty papierowe. Takim pozytywnym przykładem były i są nadal przygody Bonda oraz inne filmy utrzymane w tej stylistyce. Ja po prostu nie chcę się angażować emocjonalnie w losy bohaterów. To mnie zbyt wiele kosztuje, gdy muszę martwić się, że czyjaś żona umiera na raka, ktoś traci w wypadku dziecko, lub po prostu nie może sobie poradzić z życiem. Tomek lubi się utożsamiać z Bondem lub podobnymi mu, a ja wcale nie. Ja po prostu cieszę się, że to smakuje tak jak lody, fanta lub coca cola, jest efektowne, ale całkowicie płytkie i nieprawdziwe: można się w to w ogóle nie angażować emocjonalnie, a tylko patrzeć jak na fajerwerki. Oczywiście mówię wyłącznie o rozrywce. Nie można żyć w oparciu wyłącznie o lody i coca colę, więc od czasu do czasu trafia mi się jakieś arcydzieło, ale też wolę, jeśli nie jest to arcydzieło wciągające mnie w jakieś moralne dylematy i problemy na platformie doznań ogólnoludzkich, lecz raczej arcydzieło zatykające dech w piersiach samym sposobem zobaczenia i ukazania tego, co zostało ukazane. Na dzień dzisiejszy w 99% zależny jestem od wyboru Tomka. To on, co piątek, zaznacza mi w gazecie, jakie filmy i z jakich programów mam obowiązek (!) nagrać w celach rozrywkowych. On je ogląda po pracy z "rowerka" lub machając

hantlami, ja też po pracy, z fotela, opychając się krakersami maczanymi w jakimś serku i popijając colą. Tytuły, które naklejone są na kasetach, świadczą o klasie tych filmów, z których połowę zwijam po 10 minutach oglądania.

Włonez się do gry, Magłownica, Za zasunom mrokó, Guenboka czerwjeń, Zuy glina, Czaszka, Oszókać śmjerć, Nie ófaj opcym, Gzehy głuwne, Ócieczka do nikont, Do djabua s prawem.

To właśnie porcja, która czeka jeszcze na obejrzenie. Na każdej nalepce staram się wykonać maksimum błędów ortograficznych. Jeśli nawet nie mogę przerobić tytułu "Nocny lot" to piszę "Lot nocnika" lub "Latający nocnik". Nie wiem, po co to robię, ale chyba z upodobania do wszelkich makaronizmów i małych min. Może zresztą wyraża się w tym mój stosunek do tych filmów?

Nawiasem: moje czytanie "po polsku" nazw francuskich, interpretowałem w sposób racjonalny jako próbę ukrycia zawstydzającej mnie nieumiejętności posługiwania się obcymi językami. Był to strzał na aut.

To działał raczej ten sam mechanizm, który działa teraz w przekręcaniu ortografii polskiej. Jeśli już szukać jakiegoś wytłumaczenia, to raczej było ono nacjonalistyczne: jeśli każdy Żabojad przekręca moje nazwisko, czytając je po francusku, to ja tak samo zrobię ze słowem Peugeot, ale to też nie wyjaśnia sprawy do końca. To raczej potrzeba nieustannego błaznowania oraz autoironia, która jest we mnie bardzo mocno zakorzeniona. Nie wstydzę się niezajomości języków. Niby czego się tu wstydzić. Ty nie znasz się na komputerach, a przecież nie wstydzisz się tego. Nie wstydzę się więc, lecz raczej boleję nad tym faktem, bo znajomość obcych języków (jestem zbyt leniwy, by się ich uczyć, podobnie jak nie zamierzam się już uczyć prowadzenia samochodu), ułatwiłaby mi obcowanie choćby z niezbędnymi tekstami w internecie.

Nie cierpię przemocy, nie znoszę oglądania takich scen. Ostatnio ktoś na konferencji prasowej, którą miałem w Interpressie, w związku z promocją nowego albumu, udowadniał mi "okrucieństwo". Pokazywał na dowód określony obraz, który przedstawiał zdeformowaną głowę, ale głowa miała być w założeniu raczej "smutna" i nie więcej. Jestem maksymalnie łagodny w stosunku do wszystkiego, co tylko jest i mnie otacza: zarówno żywe jak i martwe. Przecież ludzie są też zwierzętami, więc jak można

odróżniać ludzi i zwierzęta? Mam też trudności z niszczeniem martwych przedmiotów. Myślę, nie całkiem jasno, że nie mam prawa zniszczyć niczego, czego sam nie stworzyłem, a już szczególnie tego, czego sam nie potrafiłbym stworzyć. Ta myśl oczywiście nie jest racjonalna i podobnie jak Ty, mam opory w jedzeniu mięsa, chociaż przecież jedne zwierzęta pożywiają się innymi, a jedyną różnicą są nasze cholerne rzeźnie, na które rzeczywiście trudno przystać, jeśli reaguje się i myśli w sposób emocjonalny. Myślałem nawet, że ciekawą rzeczą byłoby wprowadzenie kartek na mięso, które otrzymywaliby wyłącznie ci, którzy zarzną własnoręcznie cielę, świnię lub choćby tylko kurę, w ilości statystycznie przypadającej w jednostce czasu na jednego obywatela. To oczywiście utopia, ale zbliżałoby nas to do zrozumienia, w jakim stopniu jesteśmy elementem samo pożerającej się przyrody. Poza tym wzrosłaby od razu ilość wegetarianów. W każdym razie ja na pewno zostałbym wegetarianinem. Ludzkość podzieliłaby się jak u Wellsa na Ełojów i Morloków. Swego czasu myślałem nad scenariuszem filmu, w którym przerastające nas intelektualnie i technologicznie istoty z innej cywilizacji (o wyglądzie np. dużych kur) hodowałyby nas na taśmach produkcyjnych jak kurczaki pułkownika Sandersa, wyłącznie w celu schrupania w barach z fast food.

Czy faceci ze Strasburga wysłali Ci w rezultacie zaproszenie na wystawę? Bo obiecywali mi, że to zrobią, ale ponieważ nic nie wspominasz o tej wystawie, więc zacząłem żywić obawę, że tego nie uczynili. Pewnie już się skończyła. Ja też jedyne zaproszenie, jakie od nich dostałem, dostałem bezpośrednio do rąk własnych w momencie, gdy na kilka dni przed otwarciem, facet przyjechał do mnie, bym podpisał wydruki zrobione w Łodzi. Zrobili duże wydruki, prawie na A1, ale są to wydruki na ploterze, więc trochę zagubiły się półtony w niektórych bardziej rozbudowanych tonalnie pracach. Podobnie teraz w Polsce, jest równocześnie 5 wystaw moich prac komputerowych, które zorganizowano w Warszawie, Poznaniu i trzech ośrodkach prowincjonalnych. Tak sobie wymyślili organizatorzy, bo ode mnie dostali tylko to, co dostałeś także Ty, mianowicie płytę z nagranyimi pracami. Ponieważ jednak prac było 37 x 5, to musiałem podpisać (numerując!) około 200 razy, co było czynnością nader męczącą. Poza tym nagle stałem się "wywiadowcą" i bez przerwy przeprowadzają ze mną wywiady: nie wiem czy myślą, że już niedługo

umrę? Nie wiem już, co mam gadać, by się niemilosiernie nie powtarzać, bo pytania są stale takie same. Na dodatek niektórzy traktują mnie jak eksperta komputerowego, którym nie jestem i muszę udzielać odpowiedzi wręcz technologicznych.

No to tyle dobrych i niedobrych wiadomości. Pięknie pozdrawiam Ciebie i Twoją Żonę.

Zdzisław

PS

Dzwoniłeś przed chwilą, ale już nie zmieniałem napisanego listu, bo musiałbym od nowa poprawiać aliterację.

Marly le Roi, 4 grudnia 1999

Drogi Zdzisławie,

List z 28 listopada dostałem.

1) Cała różnica polega na tym, że o ile ludzie są również zwierzętami, to pies czy krowa nie premedytują jak tu zrobić żeby drugiego psa lub drugą krowę jak najbardziej zabolalo.

A o ile ludzie cokolwiek dobrego zrobili na tej ziemi, to najwyżej rykoszetem, w pierwszym rzędzie myśląc o sobie i poszukując własnej satysfakcji. Tak, iż nawet ich dobre uczynki nie usprawiedliwiają ich egzystencji.

Poza tym jest nas już ponad sześć miliardów. A za dwadzieścia lat będzie nas miliardów dziesięć. Po co? Nie mówiąc o tym, że kilka lat temu było 6 milionów słoni, a dziś jest już ich tylko sto tysięcy. Za dwadzieścia lat będzie ich sto egzemplarzy w Zoo, tak jak już dziś jest tylko dwieście tygrysów w Indiach.

Zawsze powtarzam: jeśli chcecie już zabijać, to zabijajcie dzieci. Jest ich za dużo. Nie zabijajcie lwów ani żyraf, bo prawie ich już nie ma.

Zupełnie na serio myślę, że gdyby tak SIDA wytruła ze trzy miliardy tego robactwa, powietrze byłoby czystsze. A ponieważ sam już nie poluję na panienki, toteż i ja bym przeżył. Tyle, co do poglądów ogólnych.

Wyobrażam sobie że na tle Twoich kłopotów z Tomkiem, o których

piszesz, brzmi to jak zgrzyt. Ale przecież część moich poglądów na to znasz, bo je fragmentami wyłożyłem w mojej książce. Choć wtedy byłem jeszcze "humanistą"...

2) W tej samej książce pisałem, że nie mogę sobie nagratulować kilku decyzji w moim życiu, a jedną z nich jest ta, że nie mam dzieci. Boże, gdybym je miał, byłbym dziś już siwy jak królik angora. Syn naszego sąsiada, szesnastoletni gówniarz, podcina sobie żyły, narkotyzuje się i ucieka z domu. Czy na to, żeby przez kilka pierwszych lat życia brzdąca słyszeć go mówiącego "Papa, jaki Ty jesteś piękny!", warto potem przez dziesięć lub dwadzieścia lat żyć chorym z niepokoju i ze zdenerwowania?

Jedno szczęście, że Ania nigdy nie namawiała mnie na dzieci i przyjęła mój wstręt do nich pasywnie.

3) Dziś jeszcze będąc w Paryżu kupię sobie "Missa Santa Cecilia". Rzeczywiście ten fragment, który grany jest na zakończenie "Nosferatu" nie opuszcza mnie. Jeżeli całość jest równie piękna, to zapowiadam sobie miły dzisiejszy wieczór.

4) Cieszę się, że powróciłeś krótko do wyjaśniania zarzutów, jakie Ci poczyniłem w książce. Oczywiście, tak jak Ci to już pisałem, umieszczę w jej następnym wydaniu wszystkie Twoje sprostowania i kontr zarzuty w przypisach, na odpowiadającej każdemu z nich stronie.

Wiem, że nie lubisz żadnej systematyczności ani żadnego przymusu. Toteż nie proponuję Ci regularnej obrony przed szpilkami, którymi Cię pokłułem. Niemniej, jeśli będziesz od czasu do czasu do nich wracał i odpierał ataki, będę tylko zadowolony.

5) Ucieszyła mnie wiadomość, że zamierzasz robić coś z dźwiękiem. Szkoda bowiem, że mając talent do wielu różnych warsztatów artystycznych ograniczyłeś go przez wiele lat tylko do pędzla i ołówka. To, co zrobiłeś z fotomontażami z komputera jest udane. Sądzę, że z dźwiękiem będzie podobnie. Poza tym stale liczę, że jeśli już amatorska aparatura video osiągnie profesjonalny poziom, a cena jej będzie dostępna, to nakręcisz film, jeśli nie z udziałem ludzi, bo to rzeczywiście wymaga nieprzyjemnej współpracy z nimi, to przynajmniej z przedmiotami lub zwierzętami, z którymi przecież można się dogadać.

6) Jeśli powtarzasz się przed dziennikarzami to dlatego, że to oni się powtarzają. Przez pewien czas, gdy mieliśmy galerię, mnie również często

"przesłuchiwano". Ale szybko straciło to swój wdzięk, bo pytania były zawsze takie same i jeśli tylko próbowałem zmienić rozmowę i skierować ją na interesujące mnie tematy, dziennikarze powracali do czterech czy pięciu stereotypowych kwestii: a za ile Pan sprzedaje Beksińskiego? A jak go Pan poznał? A dlaczego właśnie on? A kogo Pan wystawi następnego? A czy to tylko polska galeria? Etc.

7) Ze Strasburga nie dostałem żadnego zaproszenia. Szkoda, bo bym się wybrał. Wprawdzie widziałem Twoje komputerowe prace w Warszawie, ale na małych formatach. Sam do reprodukcji tych fotomontaży, które sobie wybrałem jeszcze się nie zabrałem. Myślę to zrobić przed Świętami. Zobaczą wtedy, jak to się naprawdę przedstawia. Bo wymagają one rozmiarów. Małe karteluski, na których je widziałem u architektów, nie wystarczają.

8) Ale gdzie ja je zawieszę? Skarżysz się na ciasnotę. A przecież na siebie samego masz ponad osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Ja żyję z Anią, dwoma psami i przez pół roku z jej matką, która u nas spędza jesienią, zimą i wiosną. Poza tym jedna izba jest całkowicie załadowana obrazami od podłogi do sufitu. Samych Twoich jest tam około 180. Tak, iż izb do poruszania się mam praktycznie tylko dwie. Ściany oblepione są obrazami, w tym 11 Twoich, dziesięć dużych rozmiarów Henricot, jeden dwumetrowy Starowieyski, ogromny Szalek, duży Braun, kilka małych Starowieyskich i Lelier. Po prostu nie mam gdzie umieścić tego wszystkiego. A mam przecież ponad to pięć pięknych, ogromnych obrazów Rousseva, cztery spore prace Szajny i trzy czy cztery jego prace na papierze, sześć dalszych sporych prac Starowieyskiego, jedną ogromną i z cztery mniejsze prace Stasysa... Boże, a ileż setek rysunków Twoich i innych artystów, rzeźb, nie mówiąc o dziesiątkach radzieckich obrazów socrealistycznych po dwa metry na dwa (Ci to walili sakramenckie rozmiary!). Oczywiście wszystko to w przechowalni mebli.

I co ja z tym wszystkim zrobię? Z pewnością część sprzedam na starość, jak już przestanę zarabiać i będąc na emeryturze będę potrzebował pieniędzy. Ale prawie wszystkie te prace są tragiczne, mroczne, "morbides". Czy w ogóle ktoś to kupi? Reszta przypadnie prawdopodobnie jakimś muzeom.

A apetyt stale jest i stale coś nowego kupuję. Ledwo się pojawiają pie-

niądze w domu, a zaraz lecimy z Anią do jakiegoś artysty, czy do jakiejś galerii, by je wydać i nabytą pracę wstawić do przechowalni mebli. To wręcz nałóg. Tak iż stale właściwie jesteśmy bez pieniędzy.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, piątek 17 grudnia 1999, 19:59

Drogi Piotrze!

Jeszcze nie wiem czy coś będę robić z dźwiękiem. Na razie muszę poznać programy, ale nawet jeśli je poznam, to mój ewentualny i jeszcze nie postanowiony start w tej dziedzinie, jest bardzo utrudniony tym, że jedyny rodzaj sztuki, który jako tako znam, to muzyka. Być może znasz anegdotę o facecie, który chciał w Amsterdamie, podzielić na pół olbrzymi diament. Żaden ze specjalistów nie chciał się tego podjąć, ale wreszcie któryś tam z rzędu wrzasnął: "Dawidek, choć tu i podziel ten diament". Z zaplecza wyszedł szesnastolatek, wziął młotek, przypierdolił i podzielił diament na pół. Wtedy ów klient spytał: dlaczego ani pan, ani nikt inny z tej branży, nie chciał tego zrobić, a kazał pan to wykonać chłopakowi. "Bo on nie wiedział ile to jest warte" brzmiała odpowiedź.

Jest w tej anegdocie wielka ilość prawdy i po części wytłumaczenie tego, dlaczego znając muzykę, boję się zabierać do kreowania czegokolwiek, co by ją mogło przypominać. To nawet nie lęk zdobycia tytułu najlepszego kompozytora między malarzami, lecz świadomość gdzie jest łąka, na której stoję, gdzie są regły, hale, gdzie góry, a gdzie pogrążone w chmurach szczyty. Ja wiem ile jest wart diament i obawiam się, że zadrży mi ręka. Przecież żebym nie wiem jak chciał, to nie mam szansy by doczołgać się do najniższych krzaków kosodrzewiny. Nie jestem i nie będę znany jako malarz, ale mam świadomość, że wiem, co robię i jeżeli patrzę na innych znanych i sławnych, to czuję się przy nich jako równy przy równych, niezależnie od głupot, jakie mogą usłyszeć od krytyków.

Tutaj czuję się maleńki jak pchła, która stoi przed pasmem Andów. Nie

do przeskoczenia. No nic. Jeszcze nie wiem. Na razie była u mnie jedna z krajowych wokalistek lekkiej muzy, która ma równocześnie komputerowego fioła i chciała mi zainstalować w komputerze około 60 programów do robienia dźwięku. Przytargała tego cały worek.

Ublągałem ją, bo miała cholernie szybkie palce, by mi niczego nie instalowała, bo się potem nie połapię co jest od czego i poprzestaliśmy na tym, że skopiowała mi 9 najważniejszych (jej zdaniem) programów, a ja sobie będę instalować je pojedynczo, ale nie ma do nich podręczników, a dziewczyna umie śpiewać, ale nie bardzo umie formułować jasno myśli więc wiem tylko, że połowa programów służy to tworzenia plików WAVE, a połowa do tworzenia plików MIDI, ale mam bardzo mętne wyobrażenie o tym, czym jedno różni się od drugiego. Na siłę do oddzielnego foldera, skopiowała mi jeszcze ze 30 pluginów do tych programów. Do tego wszystkiego brak jest jakiegokolwiek instrukcji, bo wszystko są to programy kradzione przez hackerów i trzeba oprócz numerów instalacyjnych zastosować specjalne procedury, które usiłowała mi bezskutecznie wytłumaczyć, kopiując mi całą kupę ściągniętych z internetu "kraków" (crack), które to kraki, są kodami hackerów, służącymi do łamania zabezpieczeń programów przed nielegalnym kopiowaniem. Aby więc dojść do szalasu, gdzie są rakiety śnieżne, w których ruszę na hale, skąd być może dostrzegę szczyty, muszę najpierw obrabować sklep obuwniczy, zabić policjanta i zjeść jego psa na surowo, razem z futrem i zębami. Miejmy nadzieję, że to wszystko zechce mi się zrobić. Oryginalne programy są podobno cholernie drogie (choć może dla mnie nie do tego stopnia jak dla niej), a ja na dodatek nie wiem jeszcze, na jakich programach i co będę robić, więc też nie wiem, jakich programów potrzebuję. Masz już wstępne pojęcie o skali trudności? Teoretycznie trudności miałbym może o jeden stopień mniejsze, gdyby mi zainstalowała to wszystko, ale to tak tylko wygląda z pozoru, bo każdy program instalując się, zaśmieca dysk całym szeregiem dziwacznych plików o egzotycznych nazwach jak MSDpod32.DLL. Może to mój osobisty bzik, ale mogę myśleć o jakim takim sukcesie tylko wtedy, gdy wiem co gdzie jest i do czego mi służy. Gdy zainstaluję sobie jeden program i się z nim z grubsza zapoznam, to zapoznając się także z jego architekturą, z tym co, gdzie i na ile dodatkowo zainstalował oraz w jakim celu tego używa, do czego to służy i tak dalej. Po

pewnym czasie poruszam się po komputerze jak po własnym mieszkaniu: to jest od tego, tamto jest od tamtego. Inaczej nie umiem. Dosyć o komputerach, bo Cię to zapewne nudzi. Nawiasem tylko, bo przeczytałem w poprzednim liście, że lękacie się daty 2000, czyli 2KY. Ten cały bzik jest moim zdaniem wyłącznie biciem piany przez producentów oprogramowania i komputerów. Obroty w branży spadały, a teraz zaczęły podobno rosnąć. Cyfra 2000, stanowi teraz handlowy znak magiczny. Widziałem już Fonty 2000, a nawet program do produkcji lodów z oznakowaniem "2000, ready". Moja głucha znajoma z Zakopanego, zawiadomiła mnie, że wyjęła pieniądze z banku, kupiła zapas konserw i świece na wszelki wypadek, butle z gazem do gotowania i inne takie bajery ze szkoły przetrwania. Poradziłem jej, by przed północą położyła się na podłodze brzuchem do dołu i na wszelki wypadek przykryła głowę poduszką, ale uszu już nie musi zatykać, bo jest uprzywilejowana.

Piotrze: nie strzelam do słoni ani do lwów, nie kopię psa, nie zabijam nawet muchy i w miarę możliwości, gdy jest upierdliwa, łapię ją do szklanki i wypuszczam za okno. Doceniam, że zamiast zwierząt, proponujesz zabijając dzieci, ale żeby się nie marnowały radziłbym je zjadać. Pacholę z marchwią w zębach i w wytrawnym sosie cebulowym, do tego proponowałbym Chateau Margaux. Nie najgorszy jest rocznik 93. Co byś powiedział na scenariusz z roku powiedzmy 1399, przy założeniu, że w roku 1327, nastąpiło zakrzywienie i rozdwojenie czasu. Rzecz dzieje się w tym innym czasie, gdy na skutek upadku komety, nastąpiła wśród ludzi cholerna rozrodczość, każda kobieta rodzi na raz sześcioraczkę. Z Polski peregrynuje pokutnie do Rzymu, do papieża Leona 38, niejaki Piotrko z Dmochowic. Rzecz w tym, że papież wydał bullę zakazującą zjadania nadmiaru dzieci, bez ich uprzedniego bierzmowania, bo ich dusze nie mogą dostać się do raju. A Piotrko zabijając, w obronie idei papieża, miejscowego wikarego, który był lokalnym emisariuszem biskupiej schizmy, walczącej z papieską bullą i paląc go w jego stodole razem z jego zwolennikami, spalił przy okazji i przez przypadek świętą krowę i teraz grozi mu ekskomunika oraz papieska klątwa, mimo iż działał z porywu czystego serca i w obronie wartości. No, ale Święta krowa nie żyje! Poza tym skoro wikary nie żyje, zaś biskup jest schizmatykiem, nie ma już komu bierzmować odkarmionych pacholąt i włościom Piotrka grozi albo popadnięcie zbuntowanego ludu

w schizmę, albo głód. Jak widzisz sytuacja staje się mocno zapętlona: nie kijem to pałką. I tak źle i tak niedobrze. Do tego szerzy się zaraza. Styl widziałbym wczesno bergmanowski, a w roli Piotrka odmlodzony komputerowo Max von Sydow. Najlepszy był wtedy, gdy nosił kolczugę i psią skórę, zamiast marynarki. Wszystko nakręcone na czarno białym materiale. Można wymyślać dalsze szczegóły: las, kruczata z krzyżami niejadalnych dzieci dotkniętych zarazą, które rozpaczają, że są przeklęte i nie zostaną zjedzone, a nad nimi stada czarnych świętych ptaków, niemowlę-upiór, które pojawia się Piotrkowi o północy przy źródle i wygłasza mądre, ale groźnie brzmiące teksty, gdyż zarżnięte było w stanie nie bierzmowanym i jego niewinna duszyczka nie może dostać się do raju, szalony ksiądz (szkoda że Kiński już nie żyje), który zatrul się zjadłszy naznaczone piętnem zarazy dziecko, prorokuje koniec świata. Dalszy ciąg wymyśl w trakcie Wieczery Wigilijnej.

Pięknie pozdrawiam i życzę wszystkiego dobrego w związku ze Świętami i Nowym Rokiem, dla Ciebie i całej Twojej Rodziny.

Zdzisław

Warszawa, niedziela 30 kwietnia 2000, 12:58

Drogi Piotrze!

Piszę z pytaniem, bo przyznam się, że trochę zbulwersowała mnie imponująca cena 60 dolarów, za którą został sprzedany na licytacji mój obraz, który według Twojej opinii należał do obrazów "dobrych", chociaż jak mniemam nie widziałeś go na własne oczy, a całą sprawę znasz z drugiej ręki, bo przecież chyba miałeś przy sobie równowartość 100 dolarów, by przelicytować nabywcę, a o ile Cię znam, to z "dobrego" obrazu byś nie zrezygnował. Owóż problem polega na tym, że nijak nie mogę sobie przypomnieć obrazu "rycerza" ze stojącym fiutem i (chyba) niebieskim uchem. Piszę "chyba", bo niestety nie nagrywałem rozmowy, co czynię z reguły i to nie dla przyczyn, jakie zawsze podejrzewałeś, tylko z takiego właśnie powodu jak obecnie: nie potrafię sobie ex post przypomnieć istotnych szczegółów.

Otóż problem, który mi się nasunął wygląda następująco: przed okolo

dwoma czy trzema miesiącami, doniósł mi telefonicznie Żurek, że za cenę 12.000 zł był w jakiejś galerii w Warszawie (podobno przy Alejach Ujazdowskich) do nabycia rzekomo mój obraz z roku 1984. Obraz ten był według Żurka kopia mego obrazu z roku 1975, który wisi w Muzeum w Sanoku i jest na 60 stronie albumu Arkad oraz 36 nowego albumu wydanego przez BoSz. Według galerzystek (wszystko to wiem od Żurka), miała to być replika obrazu znajdującego się w Sanoku, namalowana przeze mnie w 1984 roku. Ponieważ w życiu nie namalowałem repliki, co powiedział zainteresowanym Żurek, to obraz zapewne wycofano z galerii, ale nie jest wykluczone, że jego autor wpadł na genialny pomysł opchnięcia rzeczy w Paryżu. Zmienił datę na 1974 i być może domalował tam fiuta. Od biedy postać znajdującą się na obrazie można by nazwać "rycerzem". Być może jednak są to tylko moje domniemania, ale gdybyś zdobył choćby najmniejszą reprodukcję tego obrazu, to albo mógłbym potwierdzić tą wersję, która przyszła mi teraz do głowy albo też przypomniałbym sobie, co namalowałem przed laty, a czego już nie pamiętam.

To tyle. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Marly le Roi, 16 maja 2000

Drogi Zdzisławie,

Z pewną dozą goryczy przyjąłem wiadomość, że myślisz w tym jeszcze roku oddać Twoje "zwierzęta domowe" do muzeum w Sanoku.

Jeśli byłeś lojalny nie sprzedając po cichu obrazów podczas naszej dwunastoletniej współpracy, jeśli byłeś lojalny oddając mi 50 obrazów przy zerwaniu, czyż nie warto być lojalnym do końca i dotrzymać święcie danego słowa, które upoważniało mnie do ich wyboru?

Argumentowałeś wówczas, gdy o to prosiłem, tym, że dałeś je już Tomkowi, lub tym, że część z nich należy do twej Żony.

Nie wracam do moich argumentów, którymi starałem się Cię wówczas przekonać. W każdym razie dziś oboje oni już nie żyją.

Czyż nie warto więc dotrzymać teraz słowa, gdy podane przez Ciebie wówczas przeszkody zniknęły?

Tym bardziej, że wybór, (czyli wymiana tych, które mam, na Twoje "zwierzęta domowe") dotyczyćby tylko pięciu obrazów (postać ze zniczem, dwie niebieskie altany, płonąca góra i o ile go jeszcze masz, miasto czerwone, które zostało uszkodzone wodą z przedziurawionych wodociągów). W zamian zwrócę Ci dziesięć obrazów spośród tych, które mi przekazałeś za odszkodowanie.

Z nadzieją czekam na odpowiedź.

Twój Piotr

Warszawa, sobota 27 maja 2000, 10:17

Drogi Piotrze,

Dopiero dziś wróciłem z prawie tygodniowego pobytu w Sanoku, który kosztował mnie masę zdrowia, a na dodatek spowodował silne lumbago tak, że ledwie siedzę odpisując na Twój list, który czekał na mnie w skrzynce pocztowej. Do Sanoka pojechałem w sprawie wykończenia grobowca rodzinnego, w którym leżą Zosia i Tomek oraz moi rodzice i kupa jeszcze innych przodków. Wspominałem poprzednio, że cokolwiek i otoczenie było siłami sanockimi trzykrotnie wykonywane i trzykrotnie spartaczone i wreszcie pojechaliśmy we czwórkę: szwagier, ja i dwóch murarzy z Warszawy. Wszystkim im płaciłem hotel i wyżywienie w restauracji hotelowej oraz oczywiście zapłaciłem za robociznę, ale nareszcie jest to zrobione tak, jak powinno być wykonane od początku. W Sanoku nie ma fachowców, bo inaczej nie sposób tego wytłumaczyć, że nikt tego nie potrafił zrobić, mimo iż nigdy się nie targowałem. Nareszcie kamień spadł mi z serca, bo Zosi zależało, by to było wykonane porządnie, a od dwóch lat nie byłem w stanie tego wygzekwować i bałem się, że nagle umrę i wszystko zostanie jak było. Ja osobiście wolę grobowce zapadnięte i omszałe, ale nie ja tutaj decydowałem.

Co do Twego listu, to niestety uzgodniłem już z Banachem, w trakcie obecnego pobytu w Sanoku, że na jesieni wezmą ode mnie wszystkie gipsy i wszystkie stare obrazy, bo wreszcie gdybym nagle zmarł, to nie byłoby szansy, by to planowo przeprowadzić. Oni tam w Sanoku dobudowują powoli, i dużym wysiłkiem finansowym, całe poddasze zamku specjalnie na moją stałą ekspozycję, wygląda to bardzo zachęcająco i wydawało mi

się najsensowniejszą rzeczą, by tak właśnie zdecydować. Do jesieni obrazy mają zostać w Warszawie, bo obiecałem już Żurkowi, że jakieś trzy czy cztery obrazy wypożyczę im na wystawę, której scenariusza jeszcze nie znam, ale która chyba zawierać będzie obrazy od Ciebie (o ile czegoś tu nie pokręciłem, bo teraz wiele rzeczy mi się płacze).

Niezależnie od tego jednak co postanowiłem, to i tak nie mógłbym postąpić w sposób jaki proponujesz. Powiedzmy prawdę: Zosia przez ostatnie lata była na Ciebie cholernie zła, do czego walnie przyczyniła się książka, którą odebrała tak, jak odebrała - każdy wreszcie odbiera po swojemu. To, że zaproponowałem Ci wypalenie fajki pokoju dopiero po jej śmierci, nie znaczy, że nie deklarowałem takiego zamiaru o wiele wcześniej, ale jej reakcja była taka, że póki ona żyje, to nie życzy sobie najmniejszych kontaktów z Tobą i nie chce Cię widzieć na oczy. Po jej śmierci, z kolei Tomek oskarżał mnie o nielojalność "w stosunku do matki" za to, że postąpiłem jak postąpiłem. On Cię wręcz nie cierpiał (zresztą chyba Ty jego też nie). Zosia po przeczytaniu całej książki, zabroniła mi pokazywania jej Tomkowi oraz nawet informowania go, że taka książka się ukazała. Była do końca jej życia schowana. Tomka zresztą guzik to wszystko obchodziło i nie przeczytałby zapewne ani jednego zdania, ale czytały ją z innych źródeł jego koleżanki i koledzy i jeśli wierzyć temu co mówili do mnie, lub co za pośrednictwem osób trzecich docierało do mnie, to ich reakcja była podobna do reakcji Zosi. Najbardziej negatywnie pod Twoim adresem wypowiadała się do mnie jego ostatnia dziewczyna i chyba on w części wyrażał jej opinię, gdy miał mi za złe, że nawiązałem z Tobą kontakt, bo do książki na pewno nawet nie zajrzał.

Przystępuję do wniosków mowy: chodzi mi o to, że w naszej kulturze umarłych uważa się za "żywych inaczej". Jest to zapewne bezsensowne, ale na pewno i Ty nosisz kwiaty i zapalasz świeczki, a jeśli nawet tego nie robisz, to mówiłeś mi wielokrotnie, że jeździsz do Lasek na grób rodziców, więc zapewne nie uznasz tego za dziwactwo i zaakceptujesz jako zrozumiały fakt, że to, co sobie życzyła moja żona i to, co sobie życzył Tomek jest dla mnie święte i nie do podważenia właśnie od chwili gdy nie żyją, nawet jeśli osobiście się z tym czy owym nie zgadzałem wtedy, gdy żyli. To nie jest tak, że jak piszesz "zniknęły przeszkody". One się dopiero teraz pojawiły w całej okazałości i to takie, które są dla mnie poza jakąkolwiek

dyskusją. Nawiasem: wiąże się to nie tylko z obrazami, ale np. facetem, który przejął dziewczynę, z którą Tomek zerwał i który potem traktowany był przez niego jako najgorszy wróg. Nie podzielałem do końca tej opinii, bo w moim odczuciu spora część winy za to, co się stało leżała po stronie Tomka, ale Tomek jeszcze przed śmiercią bluznął mi przy jakiejś okazji, że "będziecie sobie mogli prawić grzeczności na moim pogrzebie" i teraz PANICZNIE boję się przypadkowego spotkania z tym facetem, bo każdą formę kontaktu z nim odczuwam jako nielojalność w stosunku do Tomka. Wiem, że to nieracjonalne i może głupie, ale tak to czuję.

Wracając więc do sprawy podstawowej: nie do pomyslenia jest dla mnie bym mógł w jakiś sposób przekazać Tobie obrazy, które należały do Zosi i które zostały w domu (czym się niejednokrotnie w towarzystwie szczyła) tylko dzięki temu, że nie zgodziła się na to, bym je sprzedał Tobie (Japończykom odmówiła sprzedania ich po 40.000 \$). Tak to wygląda i dlatego czegoś takiego, co proponujesz, zrobić po prostu nie mogę.

Obawiam się, że może tego nie zrozumiesz, bo pewne rzeczy widzimy w całkiem innym świetle i trzeba się zapewne z tym pogodzić. Przykładem jest np. nasza rozmowa w trakcie Waszego ostatniego pobytu. Gdy zeszło na to, że prosiłeś Polańskiego czy Wajdę o poparcie dla moich obrazów w Paryżu, powiedziałeś mi wtedy: "czuleś się upokorzony, że Wajda i Polański odmówili". Gdy to usłyszałem, to aż mnie zatkało! Nie czulem się tym w najmniejszym stopniu upokorzony, lecz czulem się upokorzony wyłącznie faktem, że Ty ich o to prosiłeś! Ty tego jak dowodnie widać w ogóle nie rozumiesz, ale na szczęście dla mnie, dość spora ilość ludzi myśli tak, jak ja. W przeciwnym wypadku czułbym się może dziwakiem. Trzeba więc przyjąć, że każdy ma swoją prawdę i swoje widzenie. Obawiam się więc, że mojego myślenia w sprawie obrazów Zosi też nie podzielasz, ale ja to właśnie tak widzę. Nie mogę postąpić inaczej.

Mam nadzieję, że zaakceptujesz to, co napisałem, bo nie żywię nadziei, że to zrozumiesz. Pod wieloma względami jesteśmy inni. Pięknie pozdrawiam Ciebie i Twoją Żonę.

Zdzisław

Marly le Roi, 30 maja 2000

Drogi Zdzisławie,

Przed chwilą otrzymałem Twój list.

Przyznam, że długi brak odpowiedzi zaniepokoił mnie i zdziwił. Pytałem się siebie, czy aby nie poczułeś się przyparty do muru i w związku z tym nie zdecydowałeś się nie odzywać, uważając, że jest to najlepszy sposób na rozwiązanie problemu. Byłem wręcz rozdrażniony w miarę upływu dni bez odpowiedzi. Cieszę się, że to podejrzenie okazało się fałszywe i że milczenie wynikało po prostu z tego, że byłeś w Sanoku.

Wbrew temu, co sądzisz Twoje stanowisko rozumiem, przynajmniej w tej jego części, która dotyczy wykonywania woli kogoś bliskiego, a zmarłego. Rzeczywiście, ja również chodzę na grób rodziców ilekroć jestem w Warszawie, składam tam kwiaty i palę świeczki, a co najważniejsze myślę o Nich i rozmawiam z nimi wielokrotnie w myślach, tak mi są nadal bliscy i ważni, mimo iż zbliżam się sam do sześćdziesiątki.

Wprawdzie można by się zapytać, czy twoja żona wymagała tego, żeby obrazy poszły do Sanoka. Bo jeśli nie, to wcale nie spełniasz jej woli, zawożąc je tam i wcale nie jesteś związany żadnym jej życzeniem.

Ale niech będzie. Bardziej mi zależy na dobrych stosunkach z Tobą niż na polemikach.

Chciałbym żebyś jednak zrozumiał równie nieracjonalne, a przecież przemożne pobudki, które mną kierują: mimo iż ogromnie cenię Twoją obecną twórczość, to kocham, bo nie jest to przesadne słowo, tak wielką radością napawają mnie wielokrotnie w ciągu dnia kiedy na nie patrzę, również Twoje obrazy "dawne". Mam nimi wytapetowane ściany (nie-toperz, chichot króla, madonna od Ściegiennego, głowa z kryzą z kości, Żyd, czyli żart z holenderskich portretów, głowa kapuściana, kołyska, głowa turkusowa, drzewo od Ściegiennego, para mumii, Katyń, dwa brązowe ukrzyżowania, wawóz z piszczelami kupiony od Twego syna, dama z flakami, mała niebieska katedra, niebieskie morze, tak zwany Makowski, Don Kichot, czyli dwie postacie na koniu). Te obrazy wiszą u mnie i nieustannie, powtarzam nieustannie na nie patrzę i mówię sobie: to są moje skarby. Ja również miałem amatorów, którzy proponowali mi duże pieniądze za te właśnie obrazy. Nie jestem jednak w stanie się z nimi rozstać za żadną cenę. I tak już chyba będzie do końca życia.

To wyjaśnia moją prośbę, a nawet presję dotyczącą obrazów z tego samego okresu, które wiszą u Ciebie.

Toteż proponuję Ci następujące wyjście (ponieważ uważam, że mam ku temu prawo, zastrzegłszy w chwili podpisywania naszej umowy, że jeśli zostanie przez Ciebie zerwana to właśnie te, a nie inne obrazy mi się dostaną, bo będę miał prawo do wyboru): jeśli przyjdzie Ci kiedyś ochota namalować kilka obrazów w starym stylu, równie barwnych, równie fantastycznych i to niezależnie od tematu, to namaluj je. Namaluj je choćby na to, żeby mieć ze mną spokój. Nie sprzedawaj ich nikomu, zawiadom mnie o nich, a natychmiast przyjadę do Polski i kupię je od Ciebie po pięć tysięcy dolarów, czyli po obecnie stosowanej przez Ciebie cenie.

Zgoda?

Przecież Ty masz je w palcach, wystarczy, że je po prostu przeniesiesz na płytę pilśniową, nawet jeśli wymagać to będzie mechanicznej pracy przez wiele dni. Mówiłeś wprawdzie, że malowanie dawnych pejzaży jest dla Ciebie jak rodzenie martwych dzieci. Ale to nie muszą być pejzaże. Wszystko, co namalujesz w starym stylu, z tymi przepięknymi, głębokimi barwami jest już z góry zaadoptowane przeze mnie.

Tylko mi nie mów, że znów robisz u Ciebie zamówienie, a Ty zamówień nie znosisz, bo masz złe wspomnienie z nieudanego doświadczenia. Namalujesz, co chcesz, kiedy chcesz, jak chcesz. A ja nareszcie przestanę Cię o to męczyć. Przecież mam choć ku temu prawo, nie?

Szykuję na jesieni, w Szwajcarii, w muzeum sztuki fantastycznej w Gruyère, niesprzedaną wystawę trzydziestu Twoich obrazów (a propos, jak się nazywa holenderski zdaje się ser, który lubisz, a którego marna polska kopia nie zadawała Cię? Napisz a przysył Ci go).

Poza tym będzie wystawa, tym razem sprzedajna, u Wahl należących do mnie dwudziestu obrazów, które mniej lubię. To do tej właśnie wystawy Żurek prosi Cię o wypożyczenie kilku starych obrazów tak by nazywało się, że to wystawa "z dawnych czasów". W rzeczywistości z dawnych czasów będą tylko dwa obrazy do mnie należące, bo tych nie żał mi sprzedać. Cała reszta będzie złożona z obrazów bliższych naszemu czasom, głównie pochodzących z "odszkodowania".

Uporałem się z pierwszym tomem (z 2000 pozostało tego 600 stron!) mojego życiowego dzieła z prawa międzynarodowego (będzie tego w su-

mie trzy sążniste tomiska). Tak, iż mogę jechać na wakacje w spokoju ducha.

Na koniec dodam, że nie bardzo zrozumiałem niuans, który miał polegać na tym, że nie byłeś upokorzony faktem, iż Wajda i Polański odmówili napisania czegoś na Twój temat, za to czuleś się upokorzony tym, że to ja ich o to poprosilem. Są to cienkości, które umykają memu prostemu umysłowi.

Co zaś się tyczy książki "Zmagania..." to moje doświadczenia są inne niż Twoje. Wszyscy Ci, którzy ją czytali (a byli to albo Twoi entuzjaści albo osoby trzecie, które nie znały w ogóle Twojej twórczości) zwracali uwagę prawie wyłącznie na te pasáže, które Ciebie nie dotyczyły. O ile jakiś komentarz padał, co do części, które o Tobie traktowały, to na ogół ograniczał się on do ogólnikowej uwagi w stylu "opisuje pan słabostki i wady swego idola". To wszystko. Tak więc, niechęć Twojej żony była w dużym stopniu nieuzasadniona, bo wcale tam tak źle o Tobie nie pisałem, podkreślając jednocześnie jak bałwochwalczy mam stosunek do Twoich dzieł i jak daleko ten stosunek jest ważniejszy od żali, które do Ciebie żywiłem. Chyba, że niechęć Twojej żony do mnie dotyczyła wyłącznie fragmentów poświęconych Tomkowi. Tu jednak uważam, że byłem wręcz zbyt łagodny, zbyt umiarkowany, tak potępiłem stosunek Tomka do Was obojga. Ściskam Cię serdecznie.

Piotr

Marly le Roi, 16 czerwca 2000

Drogi Zdzisławie,

Ponieważ do dzisiejszego dnia nie dostałeś mego listu z 30 maja, przesyłam Cię jego kopię.

W rozmowie telefonicznej, którą miałem z Tobą przed chwilą zapomniałem Cię zapytać czy drukarz, który zrobił Ci odbitki z Twoich prac komputerowych (tych, które pokazywałeś mi w kwietniu w Warszawie. Leżały one w waszej byłej sypialni na stole. Znajdowały się za matową folią lub werniksem. Były dużych rozmiarów), mógłby mi porobić podobne z podanych przeze mnie około dwudziestu numerów? I ile by to kosztowało? Chciałbym, bowiem, móc nareszcie popokazywać te prace na prawo

i lewo, a stale jestem sparaliżowany na samą myśl, że szukanie jakiegoś tutejszego drukarza łączyć się będzie musiało z koniecznością przekazywania mu komputerowych zapisów. A ja jestem w tym wszystkim, co dotyczy komputera tak słaby, iż na samą myśl, że trzeba mu będzie coś technicznego tłumaczyć, zwlekam i odkładam na później.

Napisz więc, czy to możliwe. Powtarzam, że chodziłoby mi o około dwadzieścia prac, które sobie szczególnie upodobałem.

Ściskam Cię serdecznie. Piotr

Marly le Roi, 22 lipca 2000

Drogi Zdzisławie,

Ponieważ dwa moje ostatnie listy zaginęły w drodze i nigdy do Ciebie nie dotarły przesyłam Ci ich kopie listem poleconym.

Prośba, jaką do Ciebie skierowałem w pierwszym z nich nie powinna Ci spędzać snu z powiek. Ogromnie chciałbym mieć kilka Twoich nowych obrazów malowanych w starym stylu, bo z wiekiem coraz bardziej wrażliwy jestem na kolory. Tak więc, byłoby dla mnie dowodem prawdziwej przyjaźni gdybyś, mimo nieuniknionych oporów, prośbie uległ.

Lecz jeśli miałyby to być ponad Twoje siły, przeboleję odmowę.

Wracam w kilku słowach do Twoich kompleksów w stosunku do mistrzów warsztatu, o których mi mówiłeś w naszej wczorajszej rozmowie telefonicznej. Oczywiście rozumiem to, co niezrozumiałe, bo nieracjonalne, to znaczy obsesje i urazy. Bo Twoje obawy, że ktoś potrafi lepiej odpędzlować szklankę, należą oczywiście do tej kategorii.

Zamiast jednak Cię pocieszać, że nie jesteś słabym rzemieślnikiem i nie masz powodu do wstydu powiem Ci coś odwrotnego: ten kompleks jest o tyle absurdalny, że wszyscy zawsze mamy nad sobą kogoś lepszego od nas. Tylko pycha każe nam się czuć upokorzonymi, gdy ktoś jest od nas bieglejszy. A Ty twierdzisz, że pyszny nie jesteś. Otóż facetów, z którymi na polu warsztatu nie masz co walczyć, bo są od Ciebie daleko bieglejsi, jest sporo. Wszyscy Ci, od "trompe l'oeil" biją Cię, bo potrafią tę Twoją sławetną szklankę odpędzlować tak, że chce się ją wręcz wziąć w rękę, tak jest ludzka. Za to ich świat jest karłowaty, naiwny, bez wrażeń

i bez wyobraźni. Może z jedynym wyjątkiem, niejakiemu Poirier, który jest z nich zresztą warsztatowo najlepszy, ale który poza tym jest prawdziwym artystą. Jego kompozycje, kolory, doборы przedmiotów są doskonałe.

Poza tym, choć nieustannie biegam po wystawach i muzeach całego świata i widziałam wielu malarzy z pokrewnej Ci rodziny, to tylko Hemandez i Henricot mogą się z Tobą mierzyć, bo dysponują zarówno techniką jak i wyobraźnią, wewnętrznym światem, oryginalnością i emocją.

Tak więc, zapomnij o swoich kompleksach, bo niewielu jest na świecie malarzy Twojej klasy, to znaczy takich, którzy by łączyli w sobie wiele wartości na wysokim poziomie, a nie tylko jedną, wyśrubowaną do obłądu. Zapomnij też o swojej pysze, bo warsztatowo i tak wielu jest i zawsze będzie od Ciebie lepszych. Tak jest z nami wszystkimi i to w każdej dziedzinie.

Będziemy z Anią w Warszawie w połowie października.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, piątek 28 lipca 2000, 16:55

Drogi Piotrze,

List Twój dotarł chyba wczoraj o godzinie 15:10. Mimo, iż nawet na 1 minutę nie opuszczałem mieszkania, to facet wrzucił mi do Hermesa karteczkę, że ponieważ nie zastał mnie w domu, to po odbiór przesyłki mam się zgłosić na pocztę. Na naszej dzielnicowej nowej poczcie, o której wszyscy marzyliśmy przez ponad 20 lat, okres oczekiwania na cokolwiek jest nie mniejszy niż 2 godziny, także wszystko staram się wysłać około godziny 22:30 z całodobowej poczty głównej, którą mam w zasięgu metra. Krócej to trwa. Tym niemniej tym razem (znalazłem to zawiadomienie dziś około godziny 12, gdy wychodziłem załatwić sprawunki) załatwiłem sprawę od ręki, bo jak nie mam zwyczaju otwierać dzioba tak tym razem rozdarłem się, że facet bezczelnie skłamał i tak dalej i jakoś załatwiono mnie poza kolejką.

Ponieważ tych Twoich listów jest w kopercie na raz kilka, a ja chciałbym odpowiedzieć odwrotnie, to wybacz jeśli moja odpowiedź będzie

niekompletna ale myślę, że odpowiem na wszystko co najbardziej istotne:

1. Moje obrazy po Zosi, w ogóle wszystko, co było zrobione dawniej (w tym gipsy etc.) przekazałem w dniu 20 czerwca do Sanoka. Nie byłś jedyną osobą, która na mnie naciskała, prosiła lub skrobała do drzwi, a ponieważ znam siebie, że jestem miękki i w końcu ustępuję, zadzwoniłem do Banacha, by to zabrali, bo w ten sposób problem molestowania spada mi niejako z głowy. Mam teraz puste ściany i jeszcze do tego nie przywykłem. Jesienią obrazy przyjadą na wystawę u Wahl już z Sanoka.
2. Jeżeli kiedykolwiek wrócę do dawnego sposobu malowania lub czegoś zbliżonego, to przecież nie jesteś skreślony jako potencjalny nabywca. To, że z lekka ocipiałem gdy proponowałaś mi jakąś transakcję ostatnio w Warszawie, oznaczało tylko to, że Twoja propozycja maksymalnie mnie zaskoczyła. Nie wykluczam, że przyjdzie mi coś takiego do głowy, bo ludzie dają mi do zrozumienia niejednokrotnie, że teraz maluję nie tak dobrze, jak przedtem. Nawet gdybym nie brał tego pod uwagę w sposób bezpośredni (bo jakoś nie potrafię w sobie wykrzesać entuzjazmu dla "Żyda", "Mumii" czy też "Głowy z kryzą z kości" figurującą tu czy tam w internecie jako "Stone Priest"), to czasami budzi się we mnie wątpliwość w imię czego mam lekceważyć potrzeby tych, którym się to podoba. Może raczej należałoby im sprawiać przyjemność? Jest to wątpliwość o charakterze nie tyle artystycznym ile moralnym, ale mnie od paru lat prześladowuje. Jest jednak czasami jakiś poza świadomy opór i poczucie wypalenia się świętego ognia. Coś w rodzaju braku wiary u księdza. Jak można z przekonaniem śpiewać "Sanctus Deus Sabaoth", gdy człowiek dostrzega tylko Nic. Pewnych rzeczy nie daje się zrobić na zimno. "Zakochaj się w Kazi". To przecież nie ode mnie zależy. Można tylko udawać. Myślę, że jeżeli udałoby mi się odczuć w sobie potrzebę, to wszystko byłoby bardziej możliwe do zrealizowania. Może najtrudniej byłoby mi obecnie uwierzyć w "kolory". Namalowałem nawet aktualnie i z przekonaniem dla siebie (puste ściany) dwa obrazy, które jakoś tam wiążą się stylistycznie z tym, co było dawniej, ale są monochromatyczne: coś w stylu krucyfiksu w płaszczu, czy rozwiewanego przez wiatr szarego kościoła, które są w Twoim posiadaniu. Obiecałem też molestującej mnie kierownicze galerii SD, że namaluję jej prywatnie jakiś krajobraz z morzem, bo wiele ode mnie kupuje i dzięki niej ostatnio żyję, więc może spróbuję się złamać,

bo ona to chce mieć dla siebie, a nie na sprzedaż - tylko boję się, że jeśli się jej spodoba to zacznę mnie mękolić, bym podobne obrazy odwaliał na sprzedaż. Ilekroć bowiem coś takiego zrobię, choćby jako powtórkę z rozrywki na własny użytek, bo mi żal, że rozeszły się te obrazy, to zaraz zaczyna się męczenie z lewej i z prawej. Czerwoną katedrę, która jest na tylnej stronie obwoluty albumu wydanego przez Cowana w USA, namalowałem dla siebie na ścianę. Przyszła Alicja i zaczęła się regularnie awanturować, że mam jej ten obraz dać do galerii (początkowo po zerwaniu umowy były cholerne trudności, by ruszyć ze sprzedażą z martwego punktu). Wreszcie ustąpiłem i kupił go od niej Cowan, który zachował obraz dla siebie pod tytułem "najlepszy obraz Beksińskiego", ale od razu zaczął mnie namawiać bym to dalej pociągnął. Najważniejsze jest więc, bym miał choć cień przekonania w sobie, a o to jest najtrudniej, zaś molestowanie paradoksalnie jeszcze mi to bardziej utrudnia. Wiem też z kilkakrotnego doświadczenia, że mam tak ułożoną psychikę, iż najlepiej mi się pracuje, gdy pracuję dla siebie. Po zerwaniu umowy namalowałem, i to cholernie szybko jak na mnie, kilka czarnych ukrzyżowań, które ocenilem jako jedne z najlepszych w mej karierze (najlepsze z nich są teraz w Sanoku), a przecież przed zerwaniem byłem w takim artystycznym dole, że nie słyszałem już pukania od spodu. To zresztą widać było po obrazach. Po zerwaniu czułem, że spadły ze mnie kajdany, że jest tak, jak w młodości: nikt ode mnie niczego nie chce, pracuję dla siebie i odrywam się od ziemi. To było coś niepowtarzalnego. Potem powoli kajdany zaczęły się odradzać, tylko z innej strony i inne. To samo było, gdy sięgnąłem za komputer. Wszyscy byli przeciwni i patrzyli na mnie jak na psychicznego. Byłem w siódmym niebie i pracowało mi się wręcz śpiewająco. Teraz zaczynają się już domagać prac komputerowych, czuję zaciskającą się pętlę i czuję już jak narasta we mnie agresja.

3. Jeśli idzie o miejsce ulokowania obrazów, to nie wiem na czym zależałyby Zosi, wiem natomiast na czym zależy mnie w związku z Zosią. Początkowo miałem trudności nawet z wyrzuceniem jej lakierów do włosów. Nasza psychika wyładowana jest bez reszty irracjonalizmem. Walka z nim jest jednak również objawem braku racjonalizmu. Czasami trzeba ulec. Tak samo rozmawiam ze zmarłymi i czuję ich obecność. To jest nie do zwalczania, a więc w imię czego z tym walczyć? Gdzie jest ten tatuś, któ-

ry pochwali nas za niezłomność? Ze wszech miar nie chcę by oni (Zosia i Tomek) oraz ich świat, zostali za mego życia zapomniani. W końcu wszyscy odejdziemy bezpowrotnie, ale nie chcę i w miarę mych sił nie pozwolę na to, by stało się to z nimi za mego życia. Dlatego udzielałem wywiadów w sprawie Tomka nawet całkiem kretyńskim dziennikarzom, zgodziłem się zagrać w filmie dokumentalnym, który o nim robią studenci z Łodzi, dlatego też pilnuję by nawet moje zdjęcia w katalogach czy internecie były podpisane fot. Zofia Beksińska i by w Muzeum w Sanku była jakaś kolekcja Zofii Beksińskiej, podobnie jak jest już kolekcja Tomasza Beksińskiego.

4. "Zmagania o Beksińskiego". Polski tytuł był taki jaki był, więc czytali książkę przede wszystkim Ci którzy są albo mymi znajomymi, albo zainteresowanymi moją twórczością. Stąd pomijali wszystko, co nie było związane z nazwiskiem Beksiński. Czytelnik francuski nie miał Beksiński w tytule, zna mnie wreszcie słabo lub wcale, stąd zwracał uwagę na całkiem inne rzeczy. Czytelnik polski, biorący do ręki książkę tak zatytułowaną, liczył chyba podświadomie na fragmenty skandaliczne. Rozważania o sytuacji francuskiej, traktował jako niepotrzebne przynudzenie i odchodzenie od tematu. Zabawne były głosy, które po lekturze książki docierały do mnie przez telefon w formie kondolencji. Każdy usiłował się wytłumaczyć dlaczego nie przeczytał do końca, tak jakby mnie akurat na tym miało zależeć. "A" osoba nerwowo chora, nie mogła przeczytać, bo zbyt ją to wyprowadza z równowagi.

"G" osoba zorientowana pravicowo i patriotycznie przekartkowała i zobaczyła, że Dmochowski pozytywnie wyraża się o Jaruzelskim, więc przeprosiła (mnie!!!), że dalej czytać nie będzie, bo ona nie ma zwyczaju czytywać kanałii. "B" zadzwoniła do mnie nabuzowana nie przeczytawszy chyba ani słowa, lecz rozmawiała przedtem z Zosią i doszła do wniosku, że Dmochowski to na pewno parch, bo tylko parch takie rzeczy wypisuje, zaś jej bardziej umiarkowany mąż, który nie używa słowa "parch" potwierdził jednak, że tylko Żyd może być taką świnia, a jeśli się nazywa Dmochowski to na pewno, na mur jest Żydem. W tle jednak czuło się to, że nikomu nie chciało się po prostu brnąć przez 600 stron, gdzie nie było tłustych kawalców, na które chyba oczekiwali. Najzabawniejsze jednak było to, że usprawiedliwiali się przede mną, tak jakbym był propagato-

rem tej książki. Uczciwie muszę dodać, że sam byłem też złośliwy (mam nadzieję że się nie obrazisz) i gdy mnie pytano o czym jest ta książka, miałem gotową formułę, że jest to wykaz i sprawozdanie z obiadów, które Dmochowski zjadł w mojej sprawie. Te które sam stawiał były przewspañiale, ale Francuzi bezwstydnie domagali się więcej, zaś te na które go zaproszono były nędzne i musiał się męczyć dla dobra sprawy.

5. Wydruki. Nie wiem ile kosztuje wydruk jednej pracy, ale jakiś cymbał, który teraz w celach charytatywnych nadrukował tego w tej właśnie firmie chyba ze 40 sztuk i przyszedł do mnie, bym to sygnował, powiedział mi, że płacił po 200 zł za wydruk jednej pracy w formacie A1 zaklejonej matową folią i podklejonej 5-8 mm sztywną "gąbką", ale bez oprawy. Z oprawą zdaje się, że cena wynosi około 400. Mogę Ci dać namiary na firmę, to możesz z facetem wszystko uzgodnić, a ja w każdej chwili mogę dać CD z potrzebnymi pracami. Nie chciałbym pośredniczyć, bo nie mam na to miejsca w domu, ani siły by to wnosić, transportować, zabezpieczać etc, a on robi wydruki dosłownie w dwa czy trzy dni.

Wysłałam namiary w formie kserokopii dwóch wizytówek. Firma FOTOTYPE robi wydruki o których wyżej, zaś firma FOTO-FALTER wykonuje fotokopie na naświetlarkach. Mają one niewielki rozmiar, bo tylko 30/40, ale za to robione techniką naświetlania na papierze fotograficznym. Szyba naświetlająca promieniem lasera i przesuwająca się wzdłuż papieru fotograficznego, sterowana jest z komputera. Papier fotograficzny wywołany jest w normalnym minilabie i jakość wychodzi taka jak na zdjęciach z minilabu: duża głębia kolorów, połysk, po prostu normalna fotografia. Przy tym jednak powiększeniu i przy tej jakości wyraźniej też występują niedoskonałości techniczne samego materiału wyjściowego.

Przepraszam za oschły styl i być może niepełną odpowiedź, ale jestem potwornie zmęczony. Przez dwa ostatnie dni wymieniano mi okna w mojej pracowni w pokoju obok (w obu pozostałych pokojach wymienię nieco później). W tej mojej ciasnocie był to lokalny Armagedon. Dzisiaj krótka jednodniowa przerwa i jutro przystępujemy jeszcze do pewnych prac wykończeniowych, które się z tą wymianą łączą. Dziś mam jeszcze do załatwienia kilka spraw technicznych, więc muszę już wychodzić z domu. Pięknie pozdrawiam. Uklony dla Pani Anny. Zdzisław

Marly le Roi, 4 sierpnia 2000

Drogi Zdzisławie,

Nareszcie Twój list z 28 lipca dotarł do Marly. Odpisuję natychmiast.

1) Będę w Polsce w połowie października w związku z wystawą posiadanych przeze mnie Twoich tak zwanych "starych obrazów". Na marginesie dodam, że jak Ci to już pisałem, będą tam tylko dwa naprawdę "stare" obrazy. Myślę o mieście burzącym się od dołu i o trzech postaciach, w tym jednej z członkiem we wzwodzie (o którym twierdziłeś, że tylko wskazuje kierunek ruchu wiatru). Bo jak Ci to już wielokrotnie mówiłem i pisałem, wszystkie inne "stare" obrazy chowam skrzętnie i nawet z rzadka wystawiam, bo boję się, że coś mogłyby się im stać. (A raz się przecież stało, choć nie był to "stary" obraz, tak, iż musiałeś, jak to sobie z pewnością przypominasz, interweniować i naprawiać.)

2) Tak więc, będę w Polsce w połowie października. Pogadamy wtedy o wszystkim na żywo. Już teraz mogę jednak napisać Ci, że spodziewałem się, iż odmówisz namalowania mi kiedyś, przecież bez żadnego narzucanego tematu, przecież bez żadnego terminu ani stylu, kilku "starych" obrazów. Choć jak sam się przyznałeś, właściciele galerii SD obiecałeś takowy "dawny" obraz odpędzłować...

W związku z Twoją odmową chcę zastąpić moją poprzednią prośbę dwoma propozycjami, nad którymi chciałbym, żebyś się zastanowił.

Pierwsza propozycja: jeśli przez przypadek namalujesz obraz w starym stylu (lub jakiś inny, równie piękny jak owe ciemne ukrzyżowania które wysłałeś do Sanoka, a które ja widziałem w Częstochowie), zawiadom mnie o tym i nie sprzedawaj go innym do mego przyjazdu. Przyjadę jak najszybciej, zobaczę i najprawdopodobniej kupię. Przecież takie rozwiązanie chyba Cię nie krępuje, niczego Ci nie narzuca, nie ogranicza Twjej wolności twórczej, nie tyranizuje Cię, nie zmusza Cię do płodzenia martwych dzieci, do prostytuowania się, nie zabija twjej inwencji twórczej, nie doprowadza Cię do ataków agresji, nie napawa nienawiścią do świata, nie narzuca Ci kajdan, nie każe kochać Kazi etc. etc. etc. No, chyba nie powiedziałem niczego takiego, za co mógłbyś na mnie pomstować...

Druga propozycja: jak sam przyznajesz, Twoje obrazy, sprzed zerwania

naszych układów, były słabe. Piszesz na ich temat "przed zerwaniem byłem w takim artystycznym dole, że nie słyszałem już pukania od spodu. To zresztą widać było na obrazach". Te obrazy, a było ich około czterdziestu, leżały u mnie w komisie, bo sam ich kupić nie chciałem. W momencie zerwania naszej współpracy zostały mi one narzucone w ramach "odszkodowania", bez możliwości wyboru. Chciałbym więc, choć część z nich móc wymienić na Twoją obecną twórczość, której nie mam wcale. W końcu jest Ci chyba obojętnym czy przez pewien czas sprzedawać będziesz osobom trzecim lub galerii SD obrazy, które Ci zwrócę, bo mi się nie podobają, czy też sprzedawać im będziesz obecną produkcję. Im zresztą chyba też, bo jak o tym dobrze wiesz, spora część pt. klientów kupuje Twoje obrazy dla nazwiska, a nie dla ich piękna.

Bardzo Cię o to proszę!

Będąc w Polsce w połowie października przywiozę ich ektachromy, tak byś mógł sobie przypomnieć, o które chodzi. Wymieniając się będę nawet gotów poczynić pewne ustępstwa i w niektórych wypadkach dać dwa obrazy z puli czterdziestu, których nie lubię za jeden nowy, nawet monochromatyczny, malowany jak to mówisz "siateczką".

Tą propozycją nie poczujesz się chyba zaagresowany. Przecież przed jej akceptacją nie mogą Cię wstrzymywać żadne psychiczne względy dotyczące Tomka, Twojej żony, czy Twej wolności twórczej...

Za to ja będę miał zadośćuczynienie mojego przewidzianego w umowie prawa wyboru, do którego, jak widzisz obsesyjnie wracam i będę wracał. W ogóle, dlaczego dziwi Cię (piszesz: "To, że z lekka ocipiałem gdy proponowałeś mi jakąś transakcję ostatnio w Warszawie oznacza tylko, że Twoja propozycja maksymalnie mnie zaskoczyła"), że nadal chcę nabywać Twoje obrazy z obecnej twórczości? Moja kolekcja jest jak moje dziecko, o które dbam i na które chucham żeby mi dobrze rosło i dobrze się uczyło. Wprawdzie nie gwarantuję, że części z niej nie sprzedam na stare lata, żeby z czegoś żyć. Ale reszta ma być moim biletem wstępu do Historii. A na to musi być największa i najwspanialsza, większa i wspanialsza nawet niż ta w Sanoku. A przynajmniej nie gorsza.

3) Przyjeżdżając do Polski załatwię sam sprawę odbitek Twoich prac komputerowych. Byłbym Ci tylko wdzięczny za wygrawerowanie na CD-romie wskazanych Ci już uprzednio numerów (które na wszelki wypadek

powtarzam) tak, bym mógł ów CD-rom sam zanieść do drukarza i sam z nim wszystko załatwić.

Numerami do wygrawerowania są numery: 34, 68, 77, 239, 413, 453, 487, 542, 547, 659, 759, 801, 807, 833, 855.

Prócz tego z pewnością porobiłeś od tego czasu nowe prace, które być może też będą chciał dać do drukarni. Przewidź więc tę ewentualność w momencie grawerowania.

4) Wbrew temu, co piszesz, wielu ludzi nie tylko we Francji, ale i w Polsce przeczytało moją książkę tak, jak tego chciałem, to znaczy w całości, bez ekskluzywny i bez przywiązywania wagi do jednych elementów, a przekartkowania lub przeskoczenia innych. Ponieważ jesteś odludkiem i nie masz kontaktu z inteligencją polską, a tylko z kilkoma zwariowanymi wielbicielkami lub pociotkami, toteż echa, jakie od nich odebrałeś są błędne. To zaś, że jestem w ich mniemaniu parchem, napawa mnie radością. Bo jak kogoś nienawidzę to klepie się dłońmi po kolanach z uciechy, gdy uda mi się go doprowadzić do wściekłości. A Ci panowie i panie, którzy uważają, że "tylko Żyd może być taką świnią" są ludźmi, których choćby za sam bezmyślny antysemityzm chętnie bym wysłał do Oświęcimia. W ogóle uważam, że jakiś mały aneks, Treblinka lub Majdanka, powinien stale być na chodzie, żeby można tam było podusić w komorach gazowych i popalić w piecach kilku chujów. Wprawdzie te chuje są głównie tutaj, we Francji, ale gotów byłbym im nawet zafundować darmowy bilet lotniczy do obozów w Polsce, gdyby była szansa wytruć tam całe to robactwo.

Zresztą Francuzi, którzy za czasów wojny byli takimi samymi faszystami jak hitlerowcy i czynnie z nimi kolaborowali, sami mieli tutaj taki miły, zaciszny obóz przejściowy, Drancy, do którego zwozili ludzi autobusami z Paryża, przed wysłaniem ich do Oświęcimia. Tak, iż wystarczyłoby żeby owo Drancy dalej funkcjonowało, a reszta poszłaby już jak z płatka. Sam odeskortowałbym paryskim autobusem kilka tysięcy członków kulturalnego, francuskiego establishmentu najpierw na stadion (tak zwany Vel d'hiv), bo tak się to odbywało, potem do Drancy, a potem "oust!" do Oświęcimia, do pieca!

Ściskam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, środa 16 sierpnia 2000, 9:41

Drogi Piotrze!

Trudno mi się pisze, bo przed kilkoma dniami odciąłem sobie kawałek palca, a dziś rozwalilem go przez nieostrożność ponownie.

Co do propozycji wymiany: jeżeli nie chcesz mnie psychicznie zniszczyć, to błagam: daj spokój podobnym propozycjom. Umiem pracować tylko w atmosferze wolności. Pisząc do Ciebie w ubiegłym roku z propozycją wypalenia fajki pokoju, prosiłem równocześnie o skreślenie przeszłości, a więc i odwoływania się do tej nieszczęsnej umowy i wszystkiego, co się z nią wiązało. Teraz zaczynasz powracać pod rozmaitymi pretekstami do tego wszystkiego, co szczęśliwie udało mi się jakoś pogrzebać w niepamięci. To ja Cię proszę i zaklinam: zapomnijmy o tym wszystkim. Każdy z nas ma tu swój "rachunek krzywd" i licytowanie się tym - nawet w najłagodniejszej formie - odgrzebuje tylko upiory. Nigdy, w najgorszym nawet okresie, nie skreślałem Cię jako potencjalnego klienta, nie musisz więc powoływać się na jakieś "mam ku temu prawo". Na Boga! Do kupowania u mnie obrazów, nie potrzebujesz żadnego "prawa"! Pisałem zresztą chyba o tym, w którymś z listów w trakcie zrywania umowy, a zresztą już nie pamiętam czy go dostałeś, bo nie wszystkie wersje potem wysyłałem, a nie chce mi się zaglądać do archiwum, bo nawet spojrzenie na obrazy, które wtedy malowałem, wywołuje u mnie nawrót złych wspomnień.

Nie chcę się mieniać za stare obrazy (jakie by one nie były: lepsze lub gorsze) - myśleć o nich wręcz nie mogę bez niechęci i bez uczucia, że wracam do okresu, w którym nie byłem zależny sam od siebie!

Mały przykład: z moich notatek wynikało, że w ramach rozliczenia miałem dostać od Ciebie jeszcze "dobry" obraz ON ze strony 74 drugiego albumu, a wręcz bałem się, że go dostanę. Nie chcę go widzieć. Każdy obraz z tamtego okresu wywołuje lawinę złych wspomnień. Te ostatnie lata umowy, były dla mnie koszmarem, w trakcie którego czułem się jakbym nieustannie niósł na plecach przez bagno szafę wyladowaną żelastwem. Nade wszystko nie chciałem i nie chcę do tego wracać! Jedyne marzenie to odciąć się i zapomnieć! Kilka jeszcze z obrazów, które oddałeś mi

w ramach rozliczenia, leży u mnie do dziś na regale, ani jednego nie sprzedałem, dwa czy trzy zabrała na początku "na siłę" Alicja, bo nie miałem nic innego, ale przez dwa lata nie mogła żadnego sprzedać - ze dwa trzy dałem potem temu czy innemu nudziarzowi za darmo, by się ode mnie odkleił. Także na aukcje na dobroczynność daję tylko nowe obrazy - nie umiem dawać czegoś, do czego nie mam przekonania. Chyba tylko raz jeden na pierwszą Aukcję Wielkiego Serca, dałem jeden ze zwróconych przez Ciebie obrazów, ale to było niedługo po zerwaniu umowy i niczego innego technicznie wykończonego i sfotografowanego jeszcze nie miałem, a sprawa była na "już". To, że Ty wzięłeś przed laty w komis tamte obrazy, które teraz chciałbyś wymienić na współczesne, wynikało z warunków, które sam narzucałeś. Umowa tego od Ciebie nie wymagała. Ja nie malowałem ich złośliwie tak, aby były "złe" (zresztą chyba nie wszystkie były "złe"), mimo iż zdaje mi się, że zarzucałeś mi coś takiego w swojej książce. Ani dobrego, ani złego obrazu nigdy nie planuję, to po prostu wynika z kondycji, a kondycja pośrednio wynika z istniejących warunków. Za to, że te obrazy były takie, jakie były i że moje możliwości były wtedy takie, jakie były, ponosisz w tym samym stopniu odpowiedzialność jak i ja. Zjedliśmy do spółki tę zabę, rzygaliśmy chyba dosyć długo i boleśnie, więc - na Boga - nie wracajmy już do przeszłości. Możliwe, że każdy chciał dobrze, ale wyszło źle.

Wspominasz, że "odpędzlowuję" obraz właścicielce galerii. Okazało się to nie takie proste. Męczyłem go przez 10 dni i wreszcie przed kilkoma dniami wyrzuciłem. Gdy wróci z urlopu, powiem jej, że nie dałem rady. Na dodatek spowodowało to u mnie nawrót złej kondycji psychiczno-artystycznej. Fatalnie mi się teraz pracuje, mimo iż przed kilkunastoma dniami, lekkomyślnie jej to obiecując, byłem w świetnej formie. "Odpędzlowując" to gównno, czułem się tak, jak w trakcie malowania tych cholernych 16 obrazów na zamówienie, a był to jeden z najgorszych okresów w moim życiu! Nie umiem tak pracować. Jeśli coś mi samo wychodzi, to wyjdzie, nawet gdyby stylistycznie nawiązywało do przeszłości, ale jeśli mam poczucie, że robię to nie dla siebie, lecz dla kogoś i niejako na zamówienie, to z całą siłą wraca do mnie koszmar uzależnienia. Może dla innych coś takiego nie byłoby koszmarem, ale dla mnie jest.

W tej chwili nie mam "wolnych" obrazów i zapewne do końca roku mieć

ich nie będę, bo obiecałem Alicji Wahl wystawę handlową nowych obrazów, zaraz po wystawie jaką Ty robisz i aktualnie mam pewien niedobór ilościowy, wynikający z tego, że pod koniec czerwca udało mi się sprzedać naraz 5 obrazów, a musiałem to zrobić, bo miałem w perspektywie spore płatności, a byłem całkiem bez forsy. Jeśli idzie o powiadamianie Cię o nowych obrazach, które w danym momencie są "na zbyciu", to trudno mi jest oceniać co Tobie może się spodobać. Przede wszystkim maluję teraz bez porównania mniej: ca 16 obrazów rocznie i to "o ile". W ostatnim roku namalowałem chyba tylko 12. Jestem coraz mniej wydajny. Nie oprawiam ich samemu, chyba że dla siebie na ścianę (ostatnio mam całkiem puste ściany - zresztą to mnie pozytywnie mobilizuje, bo ramek mam już niewiele i są raczej kiepskie. Galerzystka bierze obrazy nie oprawione, ale nie ma tak dobrze, by brała dla nazwiska "jak leci". Sama zresztą jest malarką. Wybierają obie (bo ma współniczkę) i to powoli z tego oczywiście, co dają im do wyboru, ale nie jest to tak jak sobie to wyobrażasz. Jeden z mych prywatnych klientów wybiera obraz dla siebie czasem przez 5 godzin, mimo iż dają mu do wyboru nie więcej jak 5-6 obrazów. Dosłownie cierpi przy tym. Na dwie coroczne aukcje na dobroczynność dają zawsze "dobre" obrazy. Noblesse oblige. Jedna to Stowarzyszenie Brata Alberta, druga to Aukcja Wielkiego Serca. Dają też co roku rysunek na Instytut Hematologii. Ponadto dają zawsze jeden lub dwa obrazy na nieprzewidziane aukcje na jakiś cel, raczej staram się, by były to aukcje zagraniczne, by nie psuć płytkiego rynku polskiego. Jeden obraz rocznie rezerwuję dla stałego odbiorcy, któremu zapewniam pierwszeństwo wyboru (po mnie). To fotograf Rosikoń, który robi fotografie mych prac. Chowam dla siebie te obrazy, których w danym momencie (lub może w ogóle) nie chcę się pozbyć, ale tego co ukrywam nie jest procentowo wiele. Nie chcę operować procentami, bo to jest raz tak, a raz inaczej i obawiam się, że zaczniesz uściślać, gdyż zawsze uwielbiałeś ujmować wszystko w sztywne ramy limitów, przepisów, warunków i praw. W każdym razie aukcje na dobroczynność i galerie są u mnie (jeśli idzie o jakość obrazów) na równych prawach. Nie zarabiam kroci, ale żyję na luzie i w zgodzie ze sobą i nie chciałbym tego lekkomyślnie stracić, wpadając w jakieś uzależnienie, którego charakteru nie umiałbym nawet teraz przewidzieć. Myślę jednak, że póki co, mogę uznać Twój priorytet

przed galeriami i przed aukcjami (bo chyba o to Ci chodzi?), ale jak to rozwiązać technicznie, nie wiążąc sobie i Tobie rąk na czas przeznaczony na korespondencję? Np. gdybyś miał internet i adres mailowy... Zrobienie cyfrową idiotenkamerą orientacyjnego cyfrowego zdjęcia z każdej pracy i wysłanie go mailem, jest problemem niewielkim, nie wymagającym fotografa, wywoływania, odbijania, pakowania do koperty, chodzenia na pocztę i oczekiwania tygodniami na listy. Odpowiedź "tak" lub "nie" może być udzielona w ciągu paru minut. Tym niemniej takie zdjęcie nie jest reprodukcją na wysokim poziomie. To orientacyjna fotka, informująca jak mniej więcej wygląda obraz. Ja nie potrafiłbym w oparciu o taką fotkę dokonać wyboru, gdyż zwracam uwagę na fakturę malowidła, tym niemniej są ludzie, którym to wystarcza.

Na marginesie: w lutym 1995 napisałem "Regulamin dla Klientów", który potem w marcu 1995 ostatecznie zredagowałem. Regulamin obciążony jest być może nadmiernie tym, co było dla mnie po zerwaniu umowy najbardziej "nabolale". Potem życie spowodowało, że z tego regulaminu nie musiałem w ogóle korzystać, bo przez pierwsze dwa lata, w ogóle nie miałem klientów, a Ci którzy pojawili się potem, nie wymagali pokazywania im regulaminu, bo jak się okazało przyjmowali a priori za oczywistość to, co tam zostało sformułowane. Regulamin jest poza tym przestarzały, bo w tej chwili obrazów nie oprawiam, gdyż nie mam już na to siły i nie ma mi kto pomagać (pomagała zawsze Zosia, a po jej śmierci pomagał mi jeden raz Tomek). Inne jednak zasady regulaminu zostały właściwie bez zmian i stosowane są przeze mnie do dnia dzisiejszego. Być może nasze nieporozumienia w przeszłości wynikały wyłącznie ze sztywnych reguł umowy, która nas wiązała i jeśli nie jesteś związany umową, to nie różnisz się od innych PT Klientów, tym niemniej obawiam się, że może niektóre przynajmniej konfliktowe sytuacje z naszej przeszłości, spowodowane były nie tyle sztywnymi regułami umowy, ile różniącymi nas sposobami myślenia. Aby więc uniknąć nieporozumień w przyszłości, mogę Ci wysłać kopię tego regulaminu, wyłącznie jako materiał pogładowy, bo czas wprowadził tu zmiany (oprawianie). Chodzi o to, byś nie sądził, że wprowadzam teraz jakieś nowe restrykcje wyłącznie w stosunku do Ciebie. Mam nadzieję, że nie będzie to dla Ciebie stresujące, ale sam zdecyduję czy mam Ci to wysłać.

Pięknie pozdrawiam.
Zdzisław

Marly le Roi, 19 sierpnia 2000

Drogi Zdzisławie,

Widzę, że z tego programowego nie wracania w nijaki sposób do przeszłości i zapomnienia o niej, zarobię jeden obraz, o którym rzeczywiście zupełnie zapomniałem, a który, jak mi to bardzo à propos przypominasz wskazując dokładnie książkę, stronę, numer i jakość ("dobry") miałem Ci zwrócić. Niech i tak będzie.

Co do internetu to czekam na powrót mego Murzynka Bambo. Jest to mój nauczyciel komputera, miły i inteligentny facet z Wybrzeża Kości Słoniowej. Będzie prawdopodobnie z powrotem już w najbliższych dniach. On mi to wszystko załatwi i jeśli trzeba, wezmę dodatkową linię telefoniczną. Zrobię to tym bardziej, że przez pewien czas będę bezczynny.

Pierwszy tom mego życiowego trzytomowego dzieła z prawa międzynarodowego nie ukaze się przed rokiem. A nie chce mi się zabierać do drugiego, nie wiedząc czy pierwszy nie wzbudzi oburzenia. Toteż przez rok będę się bawił internetem, o ile nie znudzi mnie natychmiast.

Jak Ci to już pisałem w początkach października będziemy z Anią w Warszawie i mamy nadzieję Cię zobaczyć.

Ściskam Cię serdecznie.

Piotr

Warszawa, bez daty

Drogi Piotrze,

Przez cały dzień uczciwie pracowałem. Rano po zjedzeniu śniadania zajrzałem jak zwykle do poczty, ale nic nie było. Teraz o godzinie 20:50 było chyba 5 listów od Ciebie. Pierwszy całkowicie pusty inne OK. Chyba doszło wszystko, co wysyłałeś. Jeśli list znajduje się w wykazie wysłanej korespondencji, to na pewno poszedł.

Co do pomijania Twego nazwiska, to chyba nie jest to jakaś działalność przemyślana. Po pierwsze nawet wczoraj, zaglądając na jakąś stronę o sobie (sprawdzałem z myślą o Tobie czy można szukać Beksiński jako Beksiński na polskim serwerze) znalazłem informacje o sobie i o tym, że "od do" związany byłem z paryskim marszandem Piotrem Dmochowskim, więc nie ma mowy o pomijaniu.

Co do albumu BoSz, to miał on początkowo zawierać tylko te obrazy, które są w Muzeum Sanockim, bo powstał z inicjatywy Muzeum i miał to być rodzaj katalogu zbiorów sanockich. Z wyliczenia jakichś tam arkuszy (nie znam się na tym) wyszło, że trzeba dodać kilka prac. W rezultacie i tak facet z ASP, który to układał (albo przygotował gdzie robiono skany), zgubił chyba kilka prac sanockich, a dodał nie to co trzeba było dodać, ale takie rzeczy dzieją się nagminnie. Nie sądzę, by ktoś celowo usiłował Cię skreślić, a już na pewno nie byłem to ja. Strony w internecie poświęcone moim obrazom robili jacyś polscy Bambo, których nawet nie znam i na oczy nie widziałem. Internet wytworzył ogromną ilość bezinteresownych entuzjastów, którzy działają bez nadziei na zysk, a wyłącznie dla zaistnienia. Jeśli akurat lubił moje obrazy, to umieszczając je, nie pytał się mnie o zgodę. To tam istnieje na zasadzie śmietnika. Znalazłem nawet w jakimś amerykańskim serwerze obrazy Jerki, podpisane jako obrazy Beksińskiego. Z całą pewnością 99% tych stron przygotowują ludzie, którzy nie mają najmniejszego wyobrażenia o naszych sporach i zaszłościach, o książce "Zmagania o Beksińskiego", o tym, że nie zrobiłem w Paryżu ani na świecie kariery etc. To raczej naiwna młodzież, która chce zaistnieć. Mówiono mi, że jak dłużej poszukać, to można nawet znaleźć facetki o skłonnościach ekshibicjonistycznych, które poumieszczały w swym mieszkaniu kamery fotografujące je co 5 minut: w łazience, na kiblu, w trakcie pierdolenia, samogwałtu czy też sprzątanania mieszkania i wszystko to idzie non stop w internet, a facetka czy facet czekają na oklaski.

Ja na to nie trafiłem, ale prawdę mówiąc nie tak wiele i nie tak często szukam. Widzę, że już dziś znalazłeś więcej niż ja. Co do założenia własnej strony, czy też własnego zestawu stron w internecie, to mam mętne wyobrażenie. Podobno trzeba zarejestrować domenę, ale jak to się robi tego nie wiem, zapewne nie trzeba w tym celu odchodzić od własnego biurka. Mnie nigdy nie interesowało propagowanie własnego nazwiska,

a już w żadnym wypadku nie radziłbym Ci ujawniać publicznie własnego adresu, chyba że kochasz otrzymywanie zwalów korespondencji. Trafiłem raz na to francuskie stowarzyszenie do promocji obrazów Beksińskiego, które założyłeś. Gdzieś to jest lub było w internecie, ale nie pamiętam już gdzie to znalazłem. Znalazłem też przed rokiem centrum kulturalne Margonari i dowiedziałem się (ktoś mi przetłumaczył), że Margonari nie żyje.

Aha. W DrpiD (?) czy w PLAYBOY-u było coś o Tobie (powiedziane przeze mnie). Wywiad ze mną przeprowadzono w lipcu ubiegłego roku i rzeczywiście coś tam mówiłem, ale do dziś się nie ukazało, więc chyba się już nie ukáže. Zapewne nie było w nim osobistych wspomnień erotycznych i dlatego też mało atrakcyjne dla panów redaktorów. W grudniu robiono mi do tego wywiadu fotografie, ale wywiadu chyba nie było, bo przecież by mi ktoś o tym powiedział albo zadzwoniłaby facetka, która ze mną rozmawiała.

Co do innych rzeczy internetowych, to opanujesz to szybko, a jeśliby Ci były potrzebne jakieś programy np. do kompresji zdjęć czy coś podobnego, to chętnie Ci je skopiuję i prześlę.

Pięknie pozdrawiam Ciebie i Twoją Żonę.

Zdzisław

Warszawa, piątek 1 września 2000, 10:38

Drogi Piotrze,

Otrzymałem Twój list i wróżę, że internet znudzi Cię od razu i nawet byłoby źle, gdyby Cię nie znudził, gdyż alternatywą jest utonięcie w internecie. Ludzie toną na rozmaite sposoby. Np. w klubach dyskusyjnych, gdzie jako partnerów do dyskusji ma się zazwyczaj idiotów, a poza tym trzeba biegle pisać na maszynie, a np. ja robię tysiące aliteracji. Nie umiem ani jednego słowa napisać bez błędu.

Inne utonięcie, to utonięcie w kolekcjonerstwie. Znajomy facet, który był pośrednią przyczyną samobójstwa Tomka, zajmował się i chyba nadal zajmuję się "ściągnięciem" z internetu zdjęć rozebranych pańienek. Oczywiście jakość techniczna jest gorsza niż w czasopismach branżowych, ale za

to podaż nieograniczona, tylko co na Boga można jeszcze wymyślić w tej branży. Te same pozy, które w lwiej części (no bo są wyjątki) niewiele mają wspólnego z erotyzmem, a więcej wspólnego z codzienną pracą ginekologa i ćwiczeniami na drabinkach gimnastycznych w szkole. To wszystko pomnożone w miliony. Może to ja jestem tu nietypowym odbiorcą, bo nigdy nie byłem zbyt biegły w erotyzmie stosowanym i moje doświadczenie jest zerowe. Nadmierna dominacja fizjologii raczej mnie razi i odstręcza. Lubię raczej łagodne zdjęcia, takie jakie zamieszcza PLAYBOY. Ale czego by się nie zaczęło, to po pewnym czasie człowiek się w to wciąga, co wiesz sam po sobie jako kolekcjoner obrazów, który na początku chyba nie wyobrażał sobie, że w tym utonie. Internet jest wygodny (o ile serwer nie padnie) do szybkiej wymiany korespondencji z dowolnym punktem świata i do wyszukania np. najniższej ceny jakiejś rzeczy, o której wiesz jak się nazywa i kto ją produkuje. Możesz także kupować przez internet mniej wartościowe przedmioty, których nie musi się dokładnie obmacać i wypróbować przed kupnem, ale wtedy trzeba mieć dwa konta i na koncie, którego nazwę i numer ujawnisz nigdy nie mieć więcej jak kilkaset dolarów. Czasem internet służyć może informacją. Np. 28 sierpnia rano moje zegarki kwarcowe w liczbie 4 kompletnie zwariowały i zaczęły pokazywać fantastyczne godziny. Jeden z nich regulowany jest automatycznie przez radio DCF77 we Frankfurcie nad Menem, inne są standardowe. Nie zwariowały wszystkie zegarki kwarcowe w domu, bo mam ich chyba ponad 30, jeśli nie więcej (wbudowane są i w komputery, i palmtopy, i timery, i termometry, i w kuchenkę, i magnetowidy, i w aparaty fotograficzne, prawie każde urządzenie elektroniczne ma też zegarek i datownik kwarcowy), ale wystarczyły te cztery, bym zaczął snuć domniemania na temat wybuchu atomowego w kosmosie, nigdy bowiem do tej pory nie zaobserwowałem podobnego fenomenu. Aby sprawdzić dokładny czas do jednej tysięcznej sekundy, połączyłem się więc przy pomocy internetu z NASA, co trwało minutę i otrzymałem czas z dokładnością do jednej milionowej sekundy. Do takich nieprzewidzianych rzeczy internet się przydaje, ale czasami poszukiwanie bywa upierdliwe i beznadziejne. W każdej prawie dziedzinie są tysiące, a nawet miliony odpowiedzi. Jak dokopać się do właściwej? Tak więc nie przeceniałbym internetu, ale ponieważ zabawka jest tania i jednak przydaje się czasami (jak wyżej) to zainstalowałem sobie to.

Trzeba się tylko pilnować, by nie upubliczniać adresu!!! Uzyskujesz np. z bannera informację, że będziesz bezpłatnie dostawać zdjęcia pornograficzne (na szczęście tylko w tej dziedzinie jest taka oferta, bo chyba jest to najbardziej wzięta wśród ludu bożego dziedzina, nikt jakoś nie oferuje bezpłatnie reprodukcji obrazów), a tylko wpisz swój adres i kliknij myszą, a codziennie spływać będzie na Twój adres całkowicie bezpłatnie wybrany zestaw wysokiej jakości fotek w takim rodzaju jaki sobie zażyczysz: Teens, Fucking, BDSM, Face sitting, Animal sex etc. No, ale jeśli klikniesz, to już przepadłeś, bo oprócz tych fotek dostawać będziesz non stop przez cały dzień reklamy proszków do prania, podpasek higienicznych, biur turystycznych oraz polityków, którzy przekonywać Cię będą, że warto na nich głosować i już tego nie da się przerwać inaczej (a walić tego będą całe tony), jak tylko zmieniając adres. Nie wiem jak jest we Francji, ale w Polsce po wystukaniu na przeszukiwarce np. "dupa" i "szukaj" uzyskujesz tysiące rodzimych kanałów z gołymi panienkami i nie tylko, ale co najzabawniejsze rodzimi politycy, wiedząc gdzie są konfitury, reklamują się jako kandydaci na prezydenta nie tylko w kościołach, ale także tam. Tak więc gdy otworzysz niewinnie brzmiący tytuł "Licealistki z Poznania pokazują swoje różowe cipeczki" z wytwornym podtytułem: dupa, dupy, dupeczki, baby, dziewczyny, pierdolenie, ruchanie, ciupcianie, chuj, pizda, jebać, rznąć, walić, dupczyć (chodzi o to by zmieściło się to w pierwszej linijce, bo wyszukiwarka szuka przede wszystkim w pierwszej linijce i chodzi o to, by zarówno kardynał jak i kierowca TIR-a trafili bezbłędnie na te różowe cipeczki, operując językiem swojej klasy społecznej). No więc gdy w swym zainteresowaniu dla różowych cipeczek i młodzieży uczącej się, otworzysz taki tytuł oraz przeszkodzisz zastrzeżenie, że strona jest przeznaczona tylko dla dorosłych, to trafiasz na stronę tytułową cipeczek, na której oczywiście dodatkowo reklamują się na bannerach (takie paski z fotografiami z prymitywną animacją, na których reklamują się rozmaite atrakcje - kliknięcie w taki pasek, wiedzie Cię do kolejnych okien) także inne cipeczki, a to jakaś przystojna brunetka liże dwa kutasy, a to jakiś pan wpycha i wyjmuję, a to fizjologia raz z bliska i z oddali, wszystko w miniaturach, ale wśród tego, wśród atrakcyjnych bannerów "Ogniem i chujem" lub "Zajebka u Ciepela" pojawia się banner z falującą flagą i orłem w koronie oraz tytułem "wybory prezydenckie", bo któryś z kandydatów szuka

elektoratu. Wiadomo, gdzie najefektywniej można go poszukiwać. Przebywa on właśnie tam i ogląda różowe cipeczki, zarówno w trakcie pracy i po pracy, jeśli ma w domu komputer i modem, a dzieci już śpią. Pewnie we Francji jest podobnie. Świat staje się zunifikowany.

Pięknie pozdrawiam. Ukłony dla Pani Anny.

Zdzisław

Sobota, 2 września 2000, 18:26

Wysłałem zdjęcie* digital, zrobione na samowyzwalaczu przed 10 minutami, zmniejszone i z pogorszoną jakością tak, aby szybciej poszło. Odpisz czy zostało u Ciebie odczytane. Podaj mi rozdzielczość Twojego monitora, a zawsze dostosuję wielkość zdjęcia.

Zdzisław

* *zdjęcie znajduje się na stronie xxx*

4 września 2000

Drogi Zdzisławie,

Jeszcze nie bardzo sobie daję radę z internetem i z e-mailami, więc napisałem dwa teksty próbując je wysłać. Nie wiem czy choć jeden przeszedł, bo gdy naciskam klawisz "wysłać" to pokazują mi się różne okienka, potem tekst ginie, nie mogę go odnaleźć etc.

Oczywiście nie bierz zbyt poważnie mojego zachnięcia się na systematyczne przemilczenie mnie w Twoich wywiadach i Twoich życiorysach. Po prostu na przyszłość sam będę się musiał zająć reklamą mojego nazwiska.

Piotr

3 września 2000, 14:08

Już nic nie znajduję. Zgubiłem adresy serwerów polskich, które mi przesłałeś, bo nie wiedziałem jak je zafiksować (enregistrer). Szukam je po całym outlooku i nie widzę nigdzie spinacza, który wskazuje że załączyłeś ten dokument.

Powtarzam to, co napisałem przed chwilą i starałem się przesłać, ale chyba nie przeszło: nie przejmuj się moim atakiem złości na systematyczne pomijanie mego nazwiska. Na przyszłość sam zajmę się autoremklamą.

Piotr

4 września 2000, 13:25

Dostałem Twoje dwie wiadomości. Gdy wysyłałeś mi próbkę polskich liter przeszła znakomicie. Natomiast teraz zamiast polskich liter są kwadraciki. Jak to się stało? Czy można to wyprostować? Bo przynajmniej czytanie jest mocno utrudnione.

Co do stworzenia mojej strony to myślę, tak zresztą jak mi to sugerujesz, zrobić coś bardzo jasnego i prostego. Po prostu jak najwięcej Twoich reprodukcji, nigdzie dotąd nie reprodukowanych, a przede mną posiadanych, obrazów i rysunków. Co do tekstów to tylko moje dane i dane o książkach Ciebie dotyczących.

Nie wiem jak wygląda korespondencja z nieznanymi osobami na Twój temat. Mam nadzieję, że podając wszystkim mój adres nie wpadnę na kupę nudziarzy i głupków, lecz na rzetelnych entuzjastów, z którymi rozmowa będzie ciekawa.

Ostatnio byli tu u mnie dwaj młodzi ludzie z Polski, Twój wielbiciele. Bardzo mi było miło ich poznać i z nimi rozmawiać. Zaprosiłem ich nawet do super eleganckiej restauracji na Polach Elizejskich.

Jeśli rozmowy z przyszłymi korespondentami mają być na tym poziomie, to chętnie będę je prowadził. Jeśli nie, to zamknę ten adres i otworzę inny, tajny. Mam prawo do pięciu adresów.

Zapytam Bambo i serwera, który otworzył mi połączenie kablowe o to, jak się otwiera swoją stronę.

Piotr

3 września 2000, 13:36

Dostałem Twoją listę polskich serwerów. Przejrzałem wszystko, co Ciebie dotyczy. Z uśmiechem stwierdziłem, że moje nazwisko zostało wszędzie starannie wymazane. Wszyscy Ci panowie bojąc się Ciebie, albo starając Ci się spodobać, woleli przemilczeć dwanaście lat naszej współpracy, książki, które o Tobie wydałem, lub które zostały wydane przy mojej współpracy, film, galerię, wystawy etc. A może oni po prostu słysząc to, co mówiłeś o mnie w Polityce (i podobno w Playboyu), zlitowali się nade mną i woleli nic nie pisać niż opisać mnie takim, jakim mnie Ty opisywałeś?

Już Twój album BoSza rozbawił mnie tym systematycznym wymazywaniem całej Twojej twórczości przez dwanaście lat, po to tylko, by nie musieć wspomnieć, że w międzyczasie pracowałeś dla mnie i że posiadam obecnie ponad sto osiemdziesiąt Twoich obrazów z tego okresu.

Przypomina mi to historie pewnej fotografii Stalina w otoczeniu Politi-biura radzieckiego. Co którego zabił, to ten zniknął z oficjalnego zdjęcia. Tak, iż na koniec wydać by się mogło, że członków było tylko trzech, bo tyłu przeżyło.

Piotr

Niedziela, 3 września 2000, 17:04

Jak małpa naciskając bezmyślnie klawisze, odnalazłem załączony przez Ciebie wskaźnik danych czterech polskich serwerów (Ty je nazywałeś inaczej). Tym razem mam nadzieję, że nie zginą mi już w przepaściach.

Na jednym z nich znalazłem wiele Twoich współczesnych prac malar-skich, choć nie najlepiej zreprodukowanych.

Nie wiem jeszcze jak to się robi, ale muszę otworzyć moją własną stronę z Twoimi pracami zrobionymi od 85 do 93 roku oraz z Twoimi rysunkami. Do kogo należy się zwracać? Czy na to potrzeba najpierw jakiegoś pozwolenia? Komu się płaci i ile? No i jak się to technicznie wykonuje i wkłada do internetu? Jeśli masz pojęcie, to napisz. Jeśli nie, to zwrócę się

do Bambo. Próbuję nadać ten e-mail. Zobaczymy czy coś z tego wyjdzie.
Piotr

Bez daty

Drogi Piotrze,

Nie przyszło mi wczoraj do głowy, że założenie własnej strony (lub raczej kilku stron) w internecie, wymagać będzie jednak współpracy specjalistycznej firmy i myślę, że takowe ogłaszają się w internecie. Chodzi o to, że zarejestrowanie własnej domeny to jedno, a zaprojektowanie i wykonanie strony to drugie. Między zarejestrowaniem domeny, a wykonaniem strony, strona ta ma napis, że jest "under construction" lub "under reconstruction" - z takimi napisami już się chyba spotkałeś, ja tego wszystkiego zrobić dla Ciebie nie umiem. Nie mam pojęcia jak to się robi, mimo iż całkiem jest to możliwe, że robi się to przy użyciu oprogramowania graficznego, które posiadam. Taka strona ma swoją planszę tytułową, na której są guziczki, strzałeczki, czy też inna metoda podążania dalej. Jedyna moja strona, którą robiono w porozumieniu ze mną, przed ponad rokiem, to strona firmy WEBMARKETING, gdzie jest galeria moich prac komputerowych. Zresztą zdaje się, że zapał im już minął, bo mieli potem pokazywać moje prace plastyczne, ale przestali to uaktualniać. Nie mam teraz z nimi kontaktu, tym niemniej kreowanie tej strony wyglądało tak, że dostarczono mi na CD kilka projektów, które normalnie działały na komputerze. Na jednym, na jakiejś zdaje się linie, wisiały medaliony, a w medalionach pulsowały zmniejszone fragmenty moich prac i po kliknięciu w taki medalion pokazywała się ona powiększona i bodajże w złotej ramie. Może coś tu pomyliłem. Dominował przerost formy nad treścią. Ta którą wybrałem i która ostatecznie została, też była na początku "bogatsza", bo klawisze po lewej znajdowały się na tle czegoś w rodzaju zielonej choinki, lub takiej jakiejś zielonej, nieregularnej piły. Poprosiłem, by wywalili wszystkie ozdoby i zostało tak, jak jest, ale potem spotkałem się z krytyką ludu bożego, że moja strona jest oschła i uboga. Gusta ludu są, jakie są. Postąpisz jak Ci w duszy gra. Może to być nawet widok sądu lub waszego domu, w którym świeci się jedno okno, a jak w nie klikniesz

to pokazuje się gabinet i mecenas Dmochowski, a na biurku są kolejne pstryczki z kolejnymi kierunkami jakie mamy zwiedzić, do tego licznik abyś wiedział, ile osób już to obejrzało, ale nie spodziewaj się cudów. Im strona prostsza i im mniej animacji, tym szybciej się "ładuje" i szybciej można ją obejrzeć. Szczególnie w krajach takich jak Polska, gdzie łącznie jest analogową linią telefoniczną. To tyle. Nie wiem dlaczego nie napisałem Ci tego wczoraj. Pewnie byłem wieczorem zbyt zmęczony i nie myślałem jasno. Pozdrowienia.

Zdzisław

Bez daty

Drogi Piotrze,

Wygląda na to, że ja również wysłę 5 listów zamiast jednego. Poruszyłeś sprawę wydawnictwa BoSz i tego, że pominięto Twoje obrazy i Twoje zbiory...

Po pierwsze, jeśli o mnie idzie, to nieustannie podkreślam, w każdej rozmowie, w każdym wywiadzie i w każdych negocjacjach, że dwa najważniejsze zbiory moich obrazów to Muzeum w Sanoku i zbiory Dmochowskiego. Nie rozmawiałem na ten temat z Bogdanem Szymanikiem (właściciel oficyny BoSz), bo jak wiesz i niejednokrotnie to podkreślałem, nie cierpię występować z jakąkolwiek inicjatywą. Tym niemniej jeśli Szymanik i Ty wyrażacie na to zgodę, to mogę wam udostępnić Wasze numery telefonów i adresy internetowe i spróbujcie się dogadać. Szymanik to przemyśły facet, ale oczywiście człowiek interesu i wydawca, więc rozumować będzie kategoriami rynku, zysku etc. Jeśli uzupełniając (jak o tym pisałem) album, który obecnie jest na rynku, nie zamieściliśmy żadnego Twojego obrazu, to z prostej przyczyny, że nie było do nich dostępu. Poza tym, być może (tego nie wiem) Szymanik obawiał się, że zażądaś za to honorarium, a zarówno Muzeum jak i ja udostępniłszy mu materiał za darmo, poza tym Szymanik chce i podkreśla to zawsze, by wszystkie zdjęcia dla niego robił Rosikoń i nie chciał korzystać ze zdjęć Glinickiego, mimo iż dałem mu jego adres, w jego opinii fotograf powinien być jeden, materiał wyjściowy jeden i tak dalej. Ja nie podejmowałem na ten temat dyskusji, bo to nie moja broszka i nie znam się na

tym, ale zdjęcia z Sanoka, Glinickiego, były lepsze niż Rosikononia, może dlatego, że robił je przed 15 laty, gdy obrazy nie były jeszcze do tego stopnia zmatowiały. Dla Szymanika pracują Rosikoń i Bujak. Jeśli idzie o reprodukcje dzieł sztuki, robi je wyłącznie Rosikoń. Rosikoń również ma swoją oficynę wydawniczą "Rosikoń Press" i wydał kilka bardzo dobrych wydawnictw albumowych np. "Madonny Europy". To byłby wstęp wyjaśniający who is who. Szymanik dzwonił do mnie kilkakrotnie w ostatnich dwóch miesiącach i miał najpierw ideę dodruku tego albumu, który jest jeszcze na rynku, ale z poprawieniem zdjęć zrobionych w Sanoku oraz ze skorygowaniem kolorów, co nawet zrobiłem dla niego (z pamięci) na swoim komputerze. Ta idea została wyparta przez inną: by wydać inny album zawierający także najnowsze prace, prace od mojej żony, prace od Tomka i być może z innych miejsc. Byłem nawet zaproszony do niego na koniec sierpnia w tym celu wraz z Rosikonem (który i tak jedzie do Sanoka, by powtórzyć zdjęcia tych prac, na których są ewidentne błędy fotograficzne), prof. Plutą (układ graficzny) i jeszcze kimś, ale jak to w moim wypadku bywa, użyłem wszelkich wpływów aby się od tego wykręcić (jako, iż nie cierpię jeździć gdziekolwiek), co mi się udało. Dyrektor Muzeum Banach wytłumaczył mnie przed Szymanikiem. Nie wykluczam, że idea wydania dużego albumu, wraz ze wskazanymi przeze mnie moimi pracami z Twoich zbiorów, zainspirowałaby Szymanika, ale musiałbyś się w tym wypadku liczyć, że zdjęcia prac przyjedzie do Paryża robić Rosikoń, bo Szymanik do tej pory zawsze stawiał taki warunek, że wszystko robi Rosikoń. Rosikoń to nie ja i stale jest albo w Los Angeles, albo w Kijowie, albo w Tokio, tak więc wyjazd do Paryża będzie dla niego normalką. Ja na pewno widziałbym chętnie takie wydawnictwo, w którym byłby wybór najlepszych, w moim odczuciu, prac zarówno z Sanoka jak i od Ciebie, ale sam z taką ideą nie wystąpię, bo każdy autor chciałby być wydawany, ale nie chciałby, by znajomi ponieśli na tym straty, a rynek w Polsce jest w tej chwili straszliwie przesycony, istnieje podobno około 2000 oficyn wydawniczych, które wydają wszystko: od dowcipów antysemickich po Pismo Święte i pornografię. Do mnie już kilkakrotnie zwracano się w sprawie wydania "wywiadu rzeki", ale wykręcałem się, bo nie znam dostatecznie wydawnictw i nie chciałbym współpracy z takim, które wydało równocześnie "Protokoły

Mędrców Syjonu", a strasznie trudno, nawet mając internet, rozeznaczyć kto jest kto. Tak więc to by było to, co na ten temat (i na dzień dzisiejszy) wiem i myślę. Nie występowałbym z takim listem, gdyby nie to, że wyczułem u Ciebie żal o to, że nie wydano żadnych prac, które są w Twoich zbiorach i pominięto je milczeniem. Reszta do dogadania. Ja mogę pośredniczyć w udostępnieniu kontaktów, o ile oczywiście obie strony wyrażą na to zgodę. Z Szymanikiem na ten temat nie rozmawiałem. Piszę najpierw do Ciebie. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Poniedziałek, 4 września 2000, 13:42

Jeszcze jedno. Twoje wczorajsze wiadomości nie zawierały daty. Nie zapomnij dorzucić jej za każdym razem, bo ja potem to drukuję i odkładam do akt. A w przyszłości wszystko się pokielbasi, jeśli nie będzie można tego ułożyć datami.

Piotr

Poniedziałek, 4 września 2000, 15:23

Krotki list zapisał się czcionką francuską to znaczy bez liter polskich, ale i bez kwadracików. Tak jak wyglądają moje listy do Ciebie. Co już ułatwia lekturę. Natomiast oba listy w załączniku są napisane tym razem czcionką polską. Tak więc jest OK. Nie wiem co zrobileś, ale rób tak dalej.

Co do wydawnictwa to chętnie udostępnię ektachromy Twoich obrazów do wydawnictwa polskiego i to za darmo. Natomiast nie będę mógł się zgodzić na powtórne fotografowanie ich, bo są one tak ułożone, że wyciągnięcie ich i przywiezienie do domu w celu fotografowania byłoby kwadraturą koła. Toteż, jeśli facet zgodzi się na ektachromy Glinickiego i Burego (te ostatnie są szczególnie udane), to dobrze. Jeśli nie, to sprawa upada.

Pisz daty.

Piotr

Poniedziałek, 4 września 2000, 14:23

Drogi Piotrze,

Musiał Ci jednak ten Twój Bambo zainstalować tę czcionkę, którą Ci wysłałem. O ile teraz listy będą dobrze odczytane to znaczy, że tak się stało. Pisałeś i mówileś, że nic nie instalował, a mimo to czyta po polsku. Odpowiedz czy teraz jest poprawnie? W przyszłości listy będą datować.
Zdzisław

Poniedziałek, 4 września 2000, 21:40

Drogi Piotrze,

Narzekasz, że w Polsce nikt o Tobie nie wspomina, a tymczasem po wypisaniu nazwiska Dmochowski w polskiej wyszukiwarce Arena, na 9 pozycji jest książka ZMAGANIA O BEKSIŃSKIEGO. Załączam kopię.
Piszę czcionką Lucida Casual wprost na Outlooku. Ciekaw jestem, czy będą polskie litery.
Beksiński

Wtorek, 5 września 2000

Drogi Piotrze,

Chyba nie można przecenić tego co masz: dom i spokój. Gdy siedzę czasami przez trzy czy cztery dni bez jednego telefonu i bez jednego dzwonka do drzwi, bo moi przyjaciele już prawie bez reszty pomarli, czuję się jak rozbitek w balii na ogromnym pustym oceanie, a zresztą cóż warte puste rozmowy, nawet z przyjaciółmi, gdy nie ma już rodziny. Piszesz, że rozmawiałeś o mnie z setkami ludzi, a ja milczę. Mój Boże. Przecież ja też rozmawiałem i rozmawiam o Tobie może nie z setkami, bo setek nie poznałem i zapewne nie poznam, ale z wszystkimi, z którymi mam okazję rozmawiać. Wyrzucasz mi, że nic o Tobie nie powiedziałem w interne-

cie. Ależ ja tylko jeden jedyny raz miałem wywiad w internecie! Robiła go dwudziestoparoletnia dziewczyna, pracująca w firmie komputerowej i zainteresowana głównie internetem, chyba nawet nie wiedziała, że przedtem miałem jakiś "kontrakt paryski" (jak to w Polsce nazywają). W innych wywiadach jeśli coś powiem, to dziennikarze wiedzą, co chcą usłyszeć i wszystko inne wyrzucają. Żeby zresztą nie mówić w tym miejscu o Tobie, bo temat może być śliski, to wspomnę o Szymaniku. Facet wydał album o mnie i prosił mnie, bym go przy okazji rozmów i wywiadów zareklamował. Zareklamowałem go co najmniej 30 razy i za każdym absolutnie razem wycinano ten fragment, czy to z wywiadu, czy to z taśmy video, raz jedyny poszedł podobno w jakiejś audycji radiowej w programie 2, którą dają w przerwie koncertu i której pewnie prawie nikt nie słucha. Dziennikarze zawsze wybiorą sobie dokładnie to, co chcą usłyszeć. Nadysyłają potem autoryzację, ale jeśli rozmowa trwała 2 godziny, a przeczytanie tekstu trwa 5 minut, to wiadomo, że zostanie z niej tylko to, co zainteresowało dziennikarza. Jest to oczywiście prawda, chociaż niepełna prawda nie jest prawdą, no i nie zawsze (stylistycznie rzecz biorąc) jest to prawda. Ja mówię i piszę stylem ironicznym i autoironicznym, coś co w jakiś tam sposób brzmi (lub choćby ma brzmieć) podobnie jak u Dickensa i innych XIX wiecznych pisarzy angielskich. NIKT, ale to absolutnie NIKT tego tak nie czyta i jeśli nawet autoryzując poprawię to czy owo w wywiadzie, aby styl nabral lekkości, to później jakaś idiotka adiustatorka skreśli to lub przerobi styl po swojemu, bo nie rozumie o co chodzi, no i wychodzi z tego wypracowanie szkolne. Gdy ostatnio, krytykując swój brak stanowczości i swoją "dla świętego spokoju" uległość, porównałem się do Chamberlaina, który ludził się, że po Monachium przywozi pokój dla współczesnego mu pokolenia, ale przywiózł de facto wojnę, to idiotka jakaś napisała, że moim idolem i wzorem życiowym był Chamberlain i włożyła ten kretynizm w moje usta. Ostatnio jakieś jasnowidzące mają wizje, w których dusza Tomka prosi ich o modlitwę, bo nie może się zwrócić wprost do ojca, bo to człowiek "zimny jak gład". To też są popłuczyny po dziennikarskich bredniach. W ilustrowanym i elegancko wydawanym miesięczniku "Wróżka", który dostałem z drugiej ręki z prawie 2 miesięcznym opóźnieniem (nie zaglądam do takich pism), był trzystronicowy, ilustrowany artykuł o Tomku, w którym objawiono narodowi, że Tomek popełnił

samobójstwo, bo był spragniony miłości, a ojciec go nie kochał, tylko się nim brzydził. Jeszcze wyżej wstrzelił się jakiś dziennikarz, którego tekst przeczytano mi z jakiegoś pisma z horoskopami przez telefon z Chorzowa. Tam stało czarno na białym, że przyczyną samobójstwa Tomka była grobowa atmosfera w domu jego ojca, słynnego na cały świat malarza horrorów. Nasz dom postrzegany był jak dom Adams Family lub Willa Batesa z "Psychozy" Hitchcocka i następców i nie ma na to rady, chociaż naprawdę czasami jest to trudne do zniesienia. Idioci widzą tylko tyle, ile może dostrzec idiota - trudno im nawet mieć to za złe. Gdy ktoś mnie osobiście poznał, to jego uwagi są z reguły takie same: "Inaczej sobie pana wyobrażałam i nie wiedziałam, że pan jest taki bezpośredni i wesoły".

Wracając do dziennikarzy od sztuki. Trudno par force naprowadzać na rozmowę o Tobie i moim "kontrakcie paryskim" (jak utarło się nie wiem dlaczego mówić w Polsce), ostatnio przepytany bywam głównie z komputerów, a pytania formułowane są w stylu "profesorisch": "co pan, artysta poruszający się na obszarze nowego medium, może powiedzieć o komunikacji międzyludzkiej we współczesnym, połączonym przez informację świecie i jak ta zwielokrotniona łączność wpływa na pańską twórczość i jej odbiór i tak dalej". Jak niby z takich górnych rejestrów zejść na "kontrakt paryski" i w ogóle na coś, o czym chciałoby się pogadać. Nie wspomnę już o ple ple dla magazynów kobiecych: "Czy pan sam gotuje?" Odpowiadam może trochę nie na temat, ale ja nie napisałem o Tobie książki i nie miałem okazji wypowiadać się publicznie, a na pewno nie wykręcałem się, gdy mnie pytano. Zresztą nie wiem jakbyś to odebrał, bo nie umiem wystawiać laurów, ale byłoby może dla Ciebie bardziej do przyjęcia, gdybym to ja powiedział, a nie ktoś inny skrócił i zbarbaryzował do poziomu wypracowania szkolnego to, co ja mu powiedziałem. Mówiłeś w Warszawie, że powinienem żądać, by "do jednego przecinka" było to to samo, co powiedziałem. To żądanie absurdałne w polskich warunkach. Tutaj do autoryzacji dostaję tekst, który ma (założymy) 14.000 znaków i dziennikarz prosi żebym się mniej więcej z dokładnością do (powiedzmy) 200 znaków zmieścił w tym tekście, bo tyle miejsca przeznaczono już na wywiad. Teraz do jakiegoś pisemka URODA zmieściłem się z dokładnością do 8 znaków, mimo iż wiele zmieniałem - uzyskuję w tym pewien rodzaj specjalizacji, ale w ten sposób nie można napisać wybitnego tekstu.

Po tym jeszcze Ty mi mówisz, że Cię obraziłem. Przecież tak naprawdę to tekst wywiadu pisze nie ten, który udziela wywiadu, lecz dziennikarz. Za każdym prawie razem jest to 5 minut zrobione z dwóch godzin. Mój wysiłek zmierza wyłącznie do tego, by nie było tam jawnych idiotyzmów w rodzaju tego Chamberlaina. Chowam te oryginalne i nie autoryzowane teksty i załączam jeden typowy, byś zobaczył, jak wygląda surowiec, z którego muszę coś zrobić, by nie wyjść na idiotę. To jest efekt 3 godzinnej (jak pisze sam autor) rozmowy. No to tyle dobrego, bo nie mam już dziś siły na pisanie. Pozdrowienia.

Zdzisław

Załącznik:

Prędko, gdzie sztalugi? Są. Stoją przy oknie. Dziwne jakieś, wyglądają jak deska kreślarska. Jeśli jej się dobrze przyjrzeć, można dostrzec płamę w kształcie podwójnego profilu twarzy. Trochę jak andrzejkowa wróżba z wosku przelanego przez oko klucza. Pukam w płamę - płyta piłśniowa. Najnowszy obraz? Jestem rozczarowany. Gdzie te zapierające dech w piersi "pejzaże metafizyczne", z których artysta słynie od z górą dwudziestu lat; otaczane kultem przez młodych intelektualistów i przedstawicieli najbardziej demonicznych subkultur? Sam widziałem tatuaż, będący cytatem z obrazu pod tytułem... Tytułu nie ma. Tytuły utrudniają swobodną grę wyobraźni. Artysta swoje wizje numeruje, ale nie nazywa. Ludzie muszą mieć informację, ciągle mnie pytają o znaczenie tego co namalowałem - dziwi się. - Często wystarcza im informacja, która niczego nie tłumaczy. Jeśli na pierwszym planie pojawi się stygmatyczka, której zrastają się rany nikt nie wie, co o tym myśleć. Co to znaczy? - kombinują. Jeśli powiedzieć im, że to histeria, są uspokojeni, chociaż to nadal niczego nie tłumaczy. Na obrazach Vermeera, jednym z najlepszych w historii malarstwa, widzę kobiety nalewające mleko, one równie dobrze mogłyby nalewać coca colę albo czyścić rower. Jesliby to było namalowane tak jak ten obraz, warstwa semantyczna nie ma żadnego znaczenia.

Na biurku, obok deski kreślarskiej udającej sztalugi, kalkulatory, notes i słowniki elektroniczne, komputer, jakieś przyrządy pomiarowe. Do pracowni wchodzi ciepło uśmiechnięty starszy pan: - Mówią, że jestem egzystencjalistą? Nie. Nie czytałem nawet Heideggera, No, może trochę Sar-

tre'a, na studiach. Bo był wtedy modny. Natomiast z całą pewnością jestem pesymistą. Ale pesymista nie musi być człowiekiem na co dzień ponurym i niekonstruktywnym, który tak się martwi tym przemijaniem, że nawet nosa za drzwi nie wystawi. Wydaje mi się, że na własny użytek mogę połączyć pesymizm z pogodnym sposobem bycia. Skąd zatem to przypisywane mu powszechnie zamiłowanie do czaszek, piszczeli, wywalonych żył i ścięgien? Przeglądamy albumy.

- Wszyscy znajdują na moich obrazach jakieś dziwne rzeczy, w najlepszym wypadku powiedzą: przerażający, a w najgorszym - czaszki, piszczele, co do czaszki, zaczynam się domyslać skąd taka percepcja. Maluję bez włosów, bo na włosy nie bardzo potrafię znaleźć formę. A forma w moim rozumieniu to coś takiego, co pozwala odróżnić jednego malarza od drugiego, że jak ktoś spojrzy na mój obrazek, powie: o, Beksiński, niezależnie od tego, co tam będzie namalowane, i wydaje mi się, że, aby stworzyć własną formę, trzeba zastosować deformację, tzn. formę, którą znamy z codziennego oglądu, trzeba poddać przeróbce, zgodnie z własnymi preferencjami. Nie można poddać deformacji czegoś, co z samej swojej natury jest nie uformowane i anarchiczne, a włosy i np. chmury takie właśnie są.

- Ale czaszki też są, o proszę tutaj... i tutaj. I do tego żywe.

- Oczywiście, że kilka czaszek namalowałem, ale nie więcej niż drzew, a nikt nie mówi, że jestem malarzem drzew. Istnieją tylko dwa rodzaje powierzchni malarskiej - nudna i interesująca. Nie znoszę dużych, gładkich powierzchni. Bo w gładkim kształcie, z punktu widzenia dzieła malarskiego, nic się nie dzieje, stąd te wszystkie pryszcze, żyły i ścięgna.

- Nawijającemu ironicznie do stylistyki malarstwa XIX-wiecznego artysty, szybko przyszyto latkę postmodernisty.

Beksiński najlepiej się czuje z etykietą romantyka, choć wolałby, żeby pozostać przy abstrakcjonście.

- Abstrakcjonizm nie polega tylko na zestawianiu ze sobą kolorowych kwadratów, prostokątów, bądź zalewania obrazu farbą, z drugiej strony taka np. twarz ludzka, została namalowana na miliardach obrazów i sama w sobie nie stanowi tematu. Jest dla mnie tylko pretekstem do malowania. To tak jak w muzyce jazzowej, gdzie istnieją głównie standardy. I te standardy mogą być przerabiane na miliony rozmaitych sposobów. Jeśli muzyk prezentuje zupełnie dzięki improwizację, ale da się w niej wyczuć szczytki

standardu, uważny słuchacz wylapie, gdzie tu bije serce. Jeśli się czuje ten standard, łatwiej przyswoić cały utwór. Podobnie z obrazem, łatwiej namalować i odebrać np. romans abstrakcyjny, jeśli mamy pretekst: postać, zarys drzewa, krajobraz.

Artysta chętnie nawiązuje do muzyki, w pracowni równiutko stoi kilkaset płyt CD, najwyższej klasy magnetofony i odtwarzacze laserowe. Prawie wszystko jest tu podwójne, bo Beksiński nie ma zaufania do techniki.

- Do obrazu podchodzę podobnie jak kompozytor do partytury, i jeśli czasem kładę jakiś błysk, czy agresywną formę, wyobrażam sobie, jakby ta część brzmiała jako utwór muzyczny. Muzyki słucham w trakcie malowania prawie zawsze, kiedyś więcej rocka i popu, teraz - klasyki. Szczególnie bliski jest mi Alfred Sznitke. Jego muzyka ma charakter parodii, czasem cytatu, persyflażu. Rozmawiamy ze trzy godziny, a on co chwila zerka na sztalugi, gdzie rozpanoszyła się plama z dwoma profilami. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie spytać, co to jest. A może - co będzie?

- Nie wiem. Zawsze na początku maluję kwadrat przecięty osią pionową i poziomą - przekrój belki, to zostało mi z architektury. Później zamalowuję go i zastępuję czymś innym. I znów zamalowuję, a przyczyny tego zastępowania nie są już rozumowe.

Klasyczne malowanie obrazów - najpierw przeprócha, konturowanie, malowanie ugiem, podmalunek temperą, a na końcu farba olejna i laserunek - mogłoby mnie koszmarnie znużyć. Gdybym sobie założył, że namaluję w ten sposób Madonnę z dzieckiem, po pierwszej przeprórze miałbym ochotę dać jej zamiast dziecka jakieś zwierzę, a w efekcie przerobić na drzewo, w tym momencie odwraca się w stronę sztalug. Na początku była tam lecąca postać i druga, wrzeszcząca, z dołu. Wtedy obraz został porzucony, a kiedy wrócił na sztalugi, pojawiła się głowa. Teraz chciałbym jej ściąć czoło. Proszę nie pytać dlaczego. Nie wiem. Tak po prostu widzę.

Wtorek, 5 września 2000, 21:35

Tak dostałem i potwierdzam tą samą drogą, chociaż listy wolę pisać jako załącznik w formacie Word. Zacząłem nawet odpisywać, ale jestem kurwsko wymęczony, bo dzień przeszedł na sprawach administracyjnych.

Jutro to samo. W dniu 8 września mam postępowanie spadkowe w Sądzie. Nie wstawiam daty, bo gdy się piszę wprost na Outlooku, to wydruk zawiera wszystkie elementy: od kogo do kogo datę etc.

Zdzisław

5 września 2000, 21:01

Pisząc przed chwilą do Ciebie w odpowiedzi na list przesłany pocztą i e-mail o "Zmaganiach" wypróbowałem skrót, który się nazywa: "Odpowiedz do nadawcy". Ponieważ nie wiem, czy manewrowałem właściwie i czy wiadomość przeszła, potwierdź czy dostałeś.

Piotr

Środa, 6 września 2000, 11:58

Był taki okres, gdy mając galerię, a zwłaszcza po Japończykach, o których się szybko rozniosło, bo to była duża forsa, byłem na świeczniku i co rusz to dawałem jakiś wywiad w polskich gazetach. Mogłem wtedy stwierdzić, do jakiego stopnia Ci ludzie potrafią przeinaczyć moje wypowiedzi i jakie niesamowite, wysrane z palca bzdury, potrafią zacytować w cudzysłowie, czyli wyjmując mi z ust.

Toteż, gdy przychodziło do dużych wywiadów na przykład w "Rzeczpospolitej", czy innych mniej głupich pismach, z góry zastrzegąłem sobie: wszystko ma być nagrane na magnetofonie od A do Z i wszystko, co na magnetofonie, ma być zreprodukowane co do przecinka na piśmie. Inaczej żadnego wywiadu nie dam. Zachowywałem sobie taśmę, by mieć dowód w razie przekroczenia moich warunków. Toteż odnajdywałem potem wierne odtworzenie mojego tekstu, bez skręcania się ze złości, że znów wyszedłem na idiotę. Radzę być równie twardym i stosować tę metodę. Jeśli przychodzi do poprawiania już sporządzonego przez dziennikarza tekstu, czyli do jego autoryzowania, to jest za późno.

Co do doceniania moich układów rodzinnych to wierz mi, że je doceniam i wiem co zawdzięczam małżeństwu i obecności mojej żony. Za dużo miałem w życiu momentów samotności, by nie zdawać sobie sprawy ze skarbu, jaki mam. Bo moje układy małżeńskie są podobne do tych,

które (wydaje mi się) miałaś i Ty: wszystko co istotne kręci się wokół domu, wokół rozmów z żoną, wokół naszych uczuć. Praca, Sąd, uczelnia są raczej albo przykrym obowiązkiem, albo obojętnym przesuwaniem koralików różańca. Nawet prowadząc samochód żyję domem i żoną, i o nich myślę (jeśli nie myślę ze wściekłością o jakimś idiocie, który właśnie przed sekundą naraził mnie na śmierć zajeżdżając mi drogę lub niebezpiecznie mijając mnie).

Toteż mieszkanie urządziłem sobie tak, że chce mi się do niego wracać. A wracam tym chętniej, że wiem, że czeka tam na mnie Ania, zawsze w dobrym humorze.

Ale też widząc, co Ciebie trafiło, z trwogą myślę o chwili, gdy to wszystko weźmie w łeb. Bo jestem, tak jak Ty, pesymistą z charakteru (nawet, jeśli prozak spowodował to, że ten pesymizm nie objawia się już codziennym przygnębieniem) i wiem, że wszystko, co dobre ma swój, zawsze za prędko, koniec. Gdyby więc Ani coś się stało, to chyba przestałbym brać prozak i szybko pożegnał się z życiem. Bo jeśli Ty skarżysz się, że przez cztery dni potrafisz nie mieć dzwonka lub telefonu, to ja nie miałbym ich przez cztery miesiące. Właściwie nie utrzymuję kontaktów z nikim, prócz rzadkich telefonów z pewnym adwokatem francuskim, moim byłym studentem, a dziś kolegą po fachu. Jednak rozmowy z nim krążą stale wokół dwóch czy trzech tematów: czy komory gazowe w Oświęcimiu naprawdę istniały, (bo on w nie nie wierzy), że za dużo jest we Francji Żydów, (bo on ich nie cierpi) i że zawód adwokata jest gównem, które codziennie musimy jeść udając apetyt (na ten ostatni temat obaj zgadzamy się całkowicie).

Dwóch moich kumpli z Lido i z sal sportowych, których znałem od lat i z którymi przyjaźniłem się, obraziło się na mnie za to, co o jednym z nich napisałem w mojej książce (chodzi o niejakiego Wojtka). Drugi obraził się na mnie chyba przez solidarność z poprzednim.

Kilka dawnych przygód seksualnych odezwowało się do mnie, próbując odnowienie kontaktów, lecz ponieważ ten okres jest już u mnie zamknięty, a na dodatek panienki stały się już paniami prawdopodobnie dzieciatymi i z tuzą, wykręciłem się. Na uczelni nie udzielam się wcale i właściwie nikogo nie znam. Zresztą nie lubię ich wszystkich i z nikim, prócz dzień dobry, nie zamieniam słowa od czasu, gdy oficjalnie stanąłem w obronie pewnego, nieznanego mi kandydata na stanowisko docenta, a który na-

piisał pracę habilitacyjną o jakimś nazistowskim prawniku. Pewien profesor, mój były przyjaciel, Żyd, starał się na mnie wyrzucić presję, bym głosował przeciwko temu kandydatowi. Co tak mnie wkurzyło, że gdy przyszło do głosowania wyjawilem publicznie wywieraną na mnie presję i powiedziałem, że głosuję właśnie za kandydatem. Na co trzydziestu członków jury jednogłośnie głosowało przeciw mnie, (choć nie czytali ani prac tego kandydata, ani jego akt osobistych). Wyszedłem z zebrania zaznaczając, iż nigdy moja noga nie postanie już w żadnej komisji i na żadnym uniwersyteckim forum. Tak więc, jestem na Uniwersytecie nie-lubiany i sam kolegów nie lubię.

Z młodymi pracownikami naukowymi, z którymi dawniej stosunki były dobre, też ostatnio ochłodziły się. W wykładzie z prawa międzynarodowego określiłem się przed studentami jako negator tego prawa (uważam, że prawa tam jest za grosz, a reszta to polityka, moralność i dyplomacja). Na pisemnym egzaminie na koniec roku studenci dość krytycznie się więc wyrażali o tym prawie. Moi asystenci, którzy poprawiali prace, (bo jest tego ponad pięćset sztuk i sam nie mógłbym tego sprawdzić) byli tym tak oburzeni, że napisali petycję do dziekana i do kierownika działu prawa międzynarodowego, że chcą być zwolnieni z obowiązku współpracy ze mną, ponieważ z mego wykładu "ulatnia się powiew negacji prawa międzynarodowego".

Na co dostałem od kolegi, który jest kierownikiem działu prawa międzynarodowego list, w którym wręcz grozi mi, że wystąpi o odebranie mi tego wykładu. Jak widzisz atmosfera wolności i tolerancji na Wydziale nie sprzyja nawiązywaniom przyjaźni. Toteż ich nie mam.

Jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi (i mówię to bez przesady ani emfazy) są dwaj prości robotnicy: mój pan Bryński, o którym piszę w książce i mój Bambo murzynek, który klepie bidę i daje lekcje komputera takim beztalenciom jak ja. Ale wielka sympatia jaką ich darzę, nie zmienia faktu, że pogadać sobie z nimi nie mogę, choć Bambo ma nawet pewne intelektualne ambicje. Jako adwokat pracuję bez współpracowników, bez sekretarki, bez "czeladników". Wprawdzie dzielę gabinet z innym kolegą, (który właściwie użycza mi go bezpłatnie), ale widzujemy się rzadko i rozmawiamy tylko o kinie i o filmach.

Tak więc rozumiesz, że wszystkie moje myśli krążą wokół domu, bo tam

mi jest ciepło, radośnie i spokojnie. O nie, ja doceniam to, co mam!
Ściskam.
Piotr

Środa, 6 września 2000

Drogi Piotrze,

A propos wywiadów "co do przecinka". Ty inaczej mówisz niż ja. Nie pograżasz się w dygresje i nie odbiegasz od tematu. Najprawdopodobniej jako student prawa byleś uczony sztuki oratorskiej oraz umiejętności wstępnego odsiewania ziarna od plew. Znam zresztą sporo takich ludzi i podziwiam, że potrafią mówić od razu tak, jakby czytali gotowy tekst. Ja tak po prostu nie potrafię!!! We wszystkim co robię: w malowaniu, w wypowiedaniu własnych myśli, a nawet w myśleniu jestem chaotyczny i nieuporządkowany, ale mam czelność sądzić, że moja siła, jeśli ją w ogóle posiadam, bierze się właśnie z tak chaotycznie zagospodarowanej psychiki. Gdyby co do przecinka wydrukowano mój tekst, byłoby to coś równie żenującego jak wypociny tych idiotów, którzy przeprowadzają ze mną wywiady, natomiast na żywo i bez skrótów mógłby on iść bez przeszkód w telewizji. Nie ma na to rady, bo tego się już nie nauczę, gdyż jest to jakaś skaza mej psychiki. Prawdopodobnie jest to jedno z oblicz dysleksji, która od wielu lat nieustannie się u mnie nasila tak, że nawet pisanie listów, które dawniej kochałem, staje się dziś dla mnie torturą, bo piszę zdania z inną kolejnością wyrazów niż by należało, słowa z inną kolejnością liter, a na dodatek robię przerwy międzywyrazowe wewnątrz słów, łącząc koniec jednego słowa z początkiem drugiego i wstawiając jakieś litery, które biorą się nie wiadomo skąd. Nasila się to przy obniżonym ciśnieniu barycznym, zmęczeniu lub złym samopoczuciu i to czasem do tego stopnia, że sam nie wiem co napisałem. Na szczęście umiem to (jak na razie?) poprawić tzn. wydaje mi się, że wiem na czym polega dobra budowa zdania i rozsądne przeprowadzenie ciągu myśli, tym niemniej piszę list w 5-10 minut, a poprawiam czasem przez godzinę, a czasem przerażony ogromem zadania, zostawiam to sobie do drugiego i trzeciego dnia. Sądzę, że ten sam mechanizm oddziałuje na mnie gdy mówię. Gdy połączę

swą wypowiedź z gestykulacją, anegdotami, uśmiechami i oczekiwaniem na replikę, wysłuchaniem repliki i nawiązaniem do niej, wydaje mi się, że jestem rozumiany, względnie przejrzysty, a na dodatek inni zapewne nie słyszą (o ile nie są purystami), że coś tu jest zbyt chaotyczne. Gdy to zostanie wydrukowane, brzmi przerażająco. Gdy ktoś niedostatecznie sprawny intelektualnie usiłuje z 2 godzin wypełnionych takimi pędzącymi i skłębionymi obłokami, zrobić jeden talerz zupy Knorra, mamy to, co Ci wysłałem. Niby ja to powiedziałem. Tym niemniej całego tego belkotu nie powiedziałem w takiej kolejności, jednym tchem i na przydechu, lecz w trakcie trzech godzin swobodnej i raczej luźnej rozmowy. Żebym nie wiem jak się starał i sobie obiecywał, to w momencie gdy ktoś zaczyna ze mną rozmawiać, puszczają tamy i zaczynam wstawiać dygresje, opowiadać anegdoty, odchodzić od tematu i tak dalej, czyli wywiad "co do przecinka", to w moim wypadku utopia i żadne stanowcze postawienie sprawy tego nie załatwi.

To by było na tyle, bo już muszę pędzić, gdyż za chwilę przyjedzie po mnie szwagierka i być może korektę tego listu przeprowadzę dopiero wieczorem. Cześć.

Zdzisław

PS. Załączam z archiwum komputerowego kopię fragmentu listu jaki wysłałem do faceta, który robił ze mną ten wywiad, który dostałeś wczoraj. Wyjaśnia on, o czym mniej więcej była mowa.

Szanowny Panie!

We wczorajszej rozmowie telefonicznej, sprawiał Pan wrażenie zdumionego, że w wywiadzie trzeba było cokolwiek zmieniać. (...)

Upredzałem, że tak będzie. Mówię z dygresjami i w sposób nie uporządkowany. Gdy się to skróci, wypadają nonsensy. Po kolei:

1. Jaka znów stygmatyczka "pojawia się na pierwszym planie"? Mógłby ktoś pomyśleć, że na moim obrazie. Powoływałem się na marginesie rozmowy, na przykład przytoczony przez Junga.

2. Na obrazie Vermeera kobieta nalewa mleko, a nie kobiety nalewają mleko.

3. Nie "mówią", że jestem egzystencjalistą. To Pan tak powiedział, a na

tydzień przed Panem ktoś inny w wywiadzie dla TV. Przedtem z opinią taką, nie zetknąłem się od chyba 40 lat.

4. *Co ma wspólnego, wystawianie nosa za drzwi z pesymizmem?*

5. *Co to jest: "romans abstrakcyjny"?*

6. *Mówiłem Panu o tym, że obraz powstaje w podobny sposób jak rysunek konferencyjny, a na pytanie co to jest rysunek konferencyjny, wyjaśniłem i powiedziałem, że sam zwykle na konferencjach, rysuję belkę w przekroju. Pan zrobił z tego wszystkiego skrót myślowy, z którego wynika, iż obrazy zaczynam, rysując kwadrat przecięty osią pionową i poziomą. To bez sensu. Ani jednego obrazu tak nie zacząłem.*

7. *Nie ma czegoś takiego jak "pierwsza przeprócha", bo była (w malarstwie dawnym) tylko jedna.*

I tak dalej, bo wyłowilem od ręki tylko kilka rodzyneków. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że to wywiad dla tygodnika dla panienek, a nie dla kwartalnika filozoficznego, tym niemniej gdy coś powiem, to czasem po 20 latach nawet, ktoś to cytuje jako moją opinię. (...)

Czwartek, 7 września 2000, 17:56

1) No tak, w takim razie rozumiem już, o co chodzi. Poza tym w wywiadach Ty mówisz o tym, o czym chce mówić dziennikarz. Ja natomiast za czasów, gdy w ogóle ktoś miał ochotę ze mną przeprowadzać wywiady, rozmawiałem o tym, o czym ja chciałem rozmawiać. Toteż szybko kierowałem rozmowę na tematy mnie interesujące.

2) Jeśli pisanie listów jest dla Ciebie taką katorgą, bo trzeba je poprawiać, spróbuj pisać do mnie bez żadnego poprawiania. Jeśli zrozumiem, to możemy tak kontynuować. Jeśli nie zrozumiem, będziemy do siebie po prostu pisywali rzadziej starą metodą.

3) Próbką wywiadu, jaki mi wysłałeś rzeczywiście zdumiewająca. Gdy wczoraj przeczytałem w nim, że zaczynasz każdy nowy obraz od narysowania poprzecznej i pionowej belki pomyślałem sobie: "przecież ja nigdy tego nie wiedziałem. A to Ci nowość!". A tu okazuje się, że idiota wszystko pokręcił i belkę rysowaną w przekroju, żeby zabić czas jak na nudnych konferencjach, przedstawił jako pierwszy Twój ruch pędzlem, gdy pod-

chodzisz do nowego obrazu.

Tak, to chyba Ty mi kiedyś powiedziałeś cytując jakiegoś eminenta radzieckiego że "Rewolucja uwolniła nas od wyzyskiwaczy, ale nie uwolniła nas od idiotów".

4) Składnego pisania nauczyłem się nie na studiach, a grubo, grubo potem, gdy pisałem pracę habilitacyjną. Po czym przyszły różne artykuły w prasie fachowej, a wreszcie korespondencja kancelaryjna. Wszystko to na długą metę, zmusza do jasnego, klarownego i dość zwięzłego wyrażania się. Toteż dziś przychodzi mi to bez trudu. Za to nie umiem malować obrazów...

Sztuki krasomówczej rzeczywiście się uczyłem na jakiś kursach w Łódzkim Domu Kultury, gdy miałem 16 lat. Marzyło mi się wówczas stać się współczesnym Demostenesem. Potem nawet chciałem się dostać do szkoły teatralnej, z tym samym zamysłem: być kiedyś wielkim mówcą.

Dziś mówię przed sądem na co dzień i robię to poprawnie. Ostatnio zmiażdżyłem największą francuską sławę, niejakiego Leviego, którego pełno na wszystkich wielkich procesach i w telewizji. Obaj broniliśmy, jeszcze z trzecim kolegą trzech gwałcicieli. Wszyscy oni popełnili ten sam czyn, z tą samą dziewczyną i w takich samych okolicznościach. Toteż prokurator żądał dla każdego tej samej kary: 12 lat. Tu byłem lepszy od Leviego (wyjątkowo nadętego, pewnego siebie i aroganckiego w stosunku do nas obu, a zwłaszcza w stosunku do mnie, małego adwokacyny). Po jego przemowie jego klient dostał 10 lat. Po mojej mój dostał tylko sześć. Tak, dziś już potrafię robić jak zawodowiec to, o czym mi się marzyło w młodości. Tyle tylko, że dziś mam już 58 lat i za chwilę trzeba się będzie żegnać z życiem. Przyszło mi to wszystko grubo za późno.

5) Kupiłem dziś nowy samochód. Kilka dni temu, w związku z jakąś szczególnie udaną sprawą sądową, wpadło mi trochę gotówki. Toteż zaproponowałem Ani, by zmienić nasz dwuletni Sharan Volkswagen na nowy, bo tamten miał już pięćdziesiąt tysięcy kilometrów (codzienna prawie jazda do Paryża i z powrotem to już za każdym razem około stu kilometrów). W pierwszym zamysle chcieliśmy kupić taki sam Sharan tyle, że nowy model. Toteż zwróciłem się do garażu, w którym kupiliśmy poprzedni. Umówiłem cenę z urzędnikiem zajmującym się sprawami handlowymi i dziś poszedłem zapłacić. Na co wpadam na innego urzędnika, który

mówi mi, że on to sprawdził i że warunki się zmieniły w stosunku do tych, które były wczoraj ze mną uzgodnione. Mówi to tonem aroganckim i nie znośącym sprzeciwu.

Trafił mnie szlag. Natychmiast pojechaliśmy z Anią do innego garażu pytać o taki sam Sharan. Tam znów czekaliśmy dziesięć minut na zjawienie się urzędnika od spraw handlowych. Tym razem wkurzona Ania mówi: "Spływamy." I na głos "Dziękujemy. Do widzenia".

Skończyło się na tym, że w następnym garażu, gdzie "handlowy" przyjął nas sympatycznie, od razu i z uśmiechem, płacąc zresztą o tysiąc dolarów drożej niż zapłacilibyśmy za Sharan, kupiliśmy Chryslera.

Toteż mamy nowego, dużego, Chryslera.

Zresztą historia się powtarza. Po Japończykach, z napęczniałym portfelem zjawiliśmy się u Mercedesa, by kupić duży model, w którym można by przewozić obrazy. "Handlowy" przyjął nas między dwoma drzwiami wyraźnie nas lekceważąc. Natychmiast kupiliśmy obok Volvo combi.

Tu rozumiem, że wiele zależy od sprzedawcy i chyba w części sam sobie byłem winien, że galeria nie poszła. Ja uśmiechać się łatwo i mile przyjmować klientów, ot, po prostu nie potrafiłem. Toteż zbankrutowałem.

Ściskam. Piotr

Czwartek, 7 września 2000

Drogi Piotrze,

Nie bardzo potrafię wysłać Ci próbkę tego jak piszę, bo moje pisanie jest bardziej skomplikowane dla mnie niż mógłbyś nawet sądzić. Otóż mając trudności z pisaniem, mam je jeszcze w większym stopniu, gdy piszę na klawiaturze amerykańskiej w układzie QWERTY, która jest w każdym PC. Nauczyłem się przed laty pisać na klawiaturze maszyny do pisania Łucznicz. Gdy kupiłem przed laty Macintosha to dlatego, że Macintosh lansował na polskim rynku komputery z polskim oprogramowaniem i klawiaturą właśnie Łuczniczki. Generalnie różni się ona od klawiatury QWERTY umieszczeniem liter Z oraz Y (są ustawione Z tam gdzie Y i Y tam gdzie Z) oraz tym, że są tam normalnie wszystkie polskie diakrytyki. Gdy piszę list i drukuję oraz wysyłam pocztą, problem polega tyl-

ko na mojej dysleksji, tak więc abyś zobaczył jak wygląda próbka mojego tekstu po napisaniu jej na przyjaznej mi klawiaturze polskiej, wysyłam zeskanowaną próbkę tekstu, którą mam od roku w komputerze i który wysyłam zawsze każdemu, kto nie może zrozumieć mych trudności. Taki tekst poprawiam ręcznie, potem po raz drugi w oparciu o autokorektę i gdy jest poprawny, drukuję. Jeśli jednak mam wysłać mail, a mail mam podłączony do komputera PC z amerykańską klawiaturą, która ma funkcję pisania po polsku, ale wszystkie polskie diakrytyki są w innych miejscach niż na polskiej klawiaturze, a dodatkowo znaki Z i Y są ustawione przeciwnie, zaś znaki interpunkcyjne etc znajdują się całkiem gdzie indziej np. kropka tam, gdzie przecinek i przeciwnie, dwukropek tam, gdzie znak & i tak dalej, muszę cały tekst po napisaniu i przeprowadzeniu korekty skonwertować na klawiaturę amerykańską, a potem (pisząc np. do Ciebie) skonwertować na czcionkę, w której Ty możesz tekst odczytać na francuskim oprogramowaniu i dopiero po tym wszystkim wysłać. Jest to trochę robota szyfranta wykonywana przez faceta, który ma wprawdzie umiejętności technologiczne w tym zakresie, ale kompletny brak umiejętności manualnych (dysleksja). Tej dysleksji nie miałem jeszcze przed 10 laty, a w każdym razie nie miałem jej w tym stopniu. To narasta z roku na rok i to wręcz lawinowo. Miejmy nadzieję, że to nie Alzheimer. Napisawszy tekst na Macintoshu i poprawiwszy go, kopiuję go i wklejam na taki dokument, na którym jest u dołu tekst "Koń i żółw grali w kości z piękną ćmą u źródła". Ten tekst jest bardziej rozbudowany, bo zawiera także to samo dużymi literami, oraz większość znaków interpunkcyjnych, ale aby sobie uprościć unikam większości znaków interpunkcyjnych w swoich tekstach, jak też czasami pominię w konwersji duże litery, bo te trafiają się raz lub dwa razy na cały tekst, a staram się to zrobić możliwie szybko, w każdym edytorze jest do tego narzędzie typu "znajdź" "zamień" "zamień wszystko". Nie szukając na całym tekście, a tylko na zdaniu magicznym o koniu i żółwiu, szukam znaku, który jest w miejscu litery "ń" i każę zamienić wszystkie te znaki w całym liście na "ń". Konwersja całego listu trwa około 3 minuty, bo umiem to już robić prawie na pamięć. Muszę to też robić przy każdym wywiadzie, bo jeden napisany jest na Macintoshu, drugi na PC, trzeci na Amidze oraz na jeszcze na czymś innym, tak więc konwertuję teksty szybko albo z PC na Macintosha albo przeciwnie,

albo z dowolnego standardu z reguły na Macintosha (bo na nim piszę), a potem z powrotem przerabiam na standard w którym tekst dostałem i wysyłam lub nagrywam na dyskietkę (nie każdy dysponuje mailem). Pewnie się już w tym pogubiłeś, skoro nie chciałeś nawet spróbować prostej konwersji samej tylko czcionki francuskiej na polską w jednym dokumencie, co proponowałem Ci w jednym z poprzednich listów. Na moim liście, który piszę z błędami, są czasami jakieś przedziwne znaki, których nawet nie mógłbym skonwertować bez odszukania na tabeli znaków klawisza pod jakim się ukrywają i odszukania na tabeli znaków w drugim komputerze znaku, który ukrywa się pod tym samym klawiszem. Tak więc mój przykład dostaniesz w formie zeskanowanej z drukarki Macintosha. Skonwertować go nie mogę z przyczyn jak wyżej (za wiele zachodu), a gdybym Ci wysłał bez konwersji, to tekst wyglądałby prawie jak szyfr DES lub PGP otworzony bez dekryptowania. To była jedna z przyczyn, dla których Tomek pogardzał komputerami i twierdził, że jest z nimi więcej kłopotu niż pożytku. To fakt, ale ten fakt zawdzięczamy po pierwsze dwóm podstawowym i co najmniej pięciu pomniejszonym standardom komputerowym, jak też wielu znakom narodowym w narodach takich jak Polacy, Francuzi, Chorwaci etc., bo trzeba przyznać, że tylko Niemcy jak na razie dostosowali się do alfabetu angielskiego, wiedząc że od niego nie ma już ucieczki w globalnej internetowej wiosce, która jest tuż za progiem. Języki narodowe zostaną jeszcze dość długo, ale alfabet musi ulec ujednoliceniu już teraz. Niemcy wrócili do pisania dwuliterowego Fuehrer, Strasse, uebermensch i tak dalej. Uczą już tak dzieci w szkołach. Polska nie ma jeszcze recepty na to jak to zrobić. Francuzi, o ile mam o nich wyobrażenie, będą najpierw usiłowali cały świat upodobnić do siebie, a jak to się nie uda, bo nie może się udać, to się najpierw obrażą na cały świat, ale w końcu też padną. Nie ma już ucieczki od alfabetu angielskiego. Tu w swej pracy o językoznawstwie miał rację Stalin, chociaż myślał o innym języku i nie przewidywał jeszcze powstania internetu. Standardy muszą zostać ujednolicone, bo inaczej wszyscy zmienimy się w szyfrantów. A szyfrant z dysleksją (tak jak ja), to już tragedia. Niezależnie od tego, istnieją jeszcze oczywiście języki i alfabety orientalne, pisanie od prawej do lewej etc. Jeszcze się z tym może nie zetknąłeś, ale gdy wejdziesz choćby na serwery japońskie, to w wielu wypadkach Twój kompu-

ter poprosi Cię o zainstalowanie czcionki japońskiej (podobno dla celów internetu przeszli na jeden system znaków, bo mieli ich kilka). Koreańska różni się od japońskiej, hebrajska od arabskiej, rosyjska od bułgarskiej i tak dalej. Jeśli je zainstalujesz to i tak zapewne niczego nie zrozumiesz (ja znalazłem raz coś o sobie po japońsku i to pod hasłem "sex ") więc nie ma po co tego robić, bo serwer otwiera takie strony tyle, że zamiast ideogramów pojawiają się tam jakieś chaotyczne znaki alfabetu łacińskiego.

No to tyle wykładu, który zapewne Cię znudził. Odpowiadam na pytanie: oczywiście, że gdy rozmawiam z dziennikarzem, to on kieruje pytaniami i rozmową, a nie ja. Myślę że na tym polega istota wywiadu, zresztą gdyby o mnie chodziło, to w ogóle bym nie gadał o niczym, bo szkoda słów, ale nie można się wykręcić, bo się na Ciebie wszyscy obrażą, a tego bym nie chciał, w miarę możliwości chciałbym być lubiany.

Trzymaj się, gratuluję Chryslera. Pozdrowienia i ukłony dla Pani Anny.
Zdzisław

Czwartek, 7 września 2000, 23:11

Objet: konwersja i dysleksja

Załącznik:

Drogi Panie

Tak Jak Qbuolex eaiem zabnrafem się wezy oraza drukowa bnie dlka P ana
iea zrobilem to trocchęŁ; inacze(f niO oczopątkowo zuamierzafero. Bę-
dzuie to wyfdad poglądowny.któprzy ma za zadanie pórzuylfely x ć Anpou
to o co chodzi i to jak sięŁ to robwi. Proszę o wybaczenire zew szytstko
wydrukowąairnersa nędzne) "plujce" biuwoej ale ona drukujeszybko,
a do celów pogiąęSdowycholop wy7 x starczaD.ówie prace wydukowałme
potwózmle w nieco większym romfacie i na oiec» Ipszerym standardzie
aby pokazać że to codmo nsftujęcie jest aż tak nędzne tchemieznie jak
to z pozoiru wygiąda. To co ^ystioclzk spod "pliuiki" biuwoej ma roz-
dzielczość 6CK3/300 dpi. Papeir jest zwykfąy drukarkowy.To GO jest
na nieco węcłsszym formacie jest zrobione z rozdzielczością 720/720
dpi, n& innej drukarce i na speejianym papierze kredowanym. Jeszcze
wyższystandar?d wydruku {1440/1440} możOna uzyskać na tej samej

drukarc e pod waruokiemuż ycia specjlanegożpą>ieru "fotograficznego" o blyszczącej powierzchni. Jest on cholemie drogi.więc jeszczego ndigy nie używałem ale wiązőę z nim pewne nadzieję, bo rtuatdrkitym bardziejemużą im grosza się! im sięzdaje ropózdziieczoś- i im groszy papier, a wriąc mogę żyfwić nadzSeję na to że przy papierze najlepszym smusnie bądzie niewidoczne. Btyszcąca powioierzchnia jest mniej "szlachetna" od matopwej aafekażdy f wotografii ożywa SięŁ jej nie tyle z przyczyn arystystyoznych co dla iuzyskania wuększej rozpiąłtości tonalnej i czystszych oraz bardziej iorrtnesywnych kollorów. To by bu,yf wstęp technicznmy.

Bardzo proszę nie pokazuj tego tekstu nikomu.

Zdzisław

Piątek, 8 września 2000

Drogi Piotrze,

Dzisiejszy dzień zszedł mi na pobycie w miejscu, w którym zapewne nader często bywasz, w Sądzie. Miałem dziś postępowanie spadkowe, czy jak to się zwie. Był to mój trzeci w życiu pobyt w Sądzie i chyba ostatni. Mam nadzieję, że do końca życia instytucję tę uda mi się omijać kilometrowym łukiem. Pierwsze zetknięcie z Sądem miałem w latach 1993-95, gdy Zosia zawzięła się i chciała koniecznie przeprowadzić zrzeczenie się przez całą rodzinę praw do spadku po jej matce, tak aby całość dostała jej bratanica, uboga nauczycielka wiejska z Dynowa. Inaczej ten pozał się Boże "majątek" zostałby rozparcelowany na prosek. Moje wyobrażenie o Sądzie wtedy ugruntowało się i powziąłem postanowienie, że jeśli kiedykolwiek będę miał zamiar dochodzenia swych praw, to kupię od Rosjan na bazarze Nagana i naboje i przeprowadzę to po prostu tak jak na Dzikim Zachodzie. No, ale jestem człowiekiem łagodnym, tak więc taka perspektywa miała znaczenie wyłącznie teoretyczne. Potem musiałem przeprowadzić postępowanie spadkowe po Zosi. Chyba nawet nie musiałem, ale mój szwagier, który jest z zawodu emerytowanym inżynierem górnikiem, ale ma do prawa taki stosunek, jak Ty do kolekcjonowania sztuki i pełni w naszej rodzinie rolę prawnika amatora, zmusił mnie wręcz do przeprowadzenia tego postępowania. Ja byłem zdania, że nieruchawe prawo pol-

skie nie zdąży za mego życia zauważyć mego istnienia, tak więc szkoda na to czasu. Teraz jednak musiałem przeprowadzić postępowanie sądowe, bo konta Tomka, na których są moje zasoby finansowe, są zablokowane, mieszkań nie można ani sprzedać, ani zamienić, czyli musiałem wejść w intymny kontakt z tą pieprzoną instytucją, chyba po raz ostatni w moim życiu. Na wokandzie widniała pani Berksińska więc już w korytarzu zacząłem sobie układać, że wszedłszy powiem, iż włożyłam spodnie, bo w sukience było dziś za zimno, ale szwagier błagał mnie nieomal na kolanach, bym dał spokój, bo za obrazę Wysokiego Sądu zostanę ukarany grzywną. Czy żartem można kogoś obrazić? Strasznie ten Wysoki Sąd jest obraźliwy. Myszka protokolantka pojawiała się po każdej sprawie, skreślała ją na wokandzie i dziwnym śpiewnym belkotem, który przypominał skrzyżowanie muezina z londyńskim licytатorem na aukcji, wywoływała kolejne strony. Ani jednego słowa nie sposób było zrozumieć. Byłaby dobra w młodzieżowym radio, a nie w sądzie. Gdy przyszła kolej na nas wyteżyłem słuch i dobrą wolę do maksimum i usłyszałem coś w rodzaju "zblumete m sltrent beeeeeerskiska lmetome twourmmgl". W nazwisku Beksińska akcent był na "eeee". Weszliśmy do środka wraz ze szwagrem. Kazano nam zająć miejsca. Pani sędzia spytała mnie o coś, a gdy odpowiedziałem, poinformowała mnie, że odpowiadając Wysokiemu Sądowi trzeba wstać. Tak więc wstałem. Za chwilę powiedziała, że mogę już usiąść. Usiadłem, ale znowu o coś zapytała, więc zerwałem się i odpowiedziałem. Za trzecim razem, gdy zrywałem się do każdej odpowiedzi, jak w szkole powszechnej lub w wojsku, poinformowała mnie, że mogę już siedzieć i nie muszę wstawać. Dobre i to. Następnie wezwany zostałem na jakąś mównicę z balaskami i przepytany, na co odpowiadałem tak, jak mnie pouczył szwagier: tak, nie, nie wiem, akceptuję, nie wnoszę. Nie wstawiłem żadnego bon motu ani żadnego dowcipu, chociaż aż mnie swędział język i kosztowało mnie to bardzo wiele, tak że potem byłem osłabiony przez dobre pół dnia. Zostałem spadkobiercą, sprawa nabierze mocy urzędowej w ciągu trzech tygodni, a potem decyzję mam odebrać w kancelarii sądowej. To straszna instytucja! Nigdy więcej! Pozwolę się obrażać, a nawet pluć na siebie, ale do Wysokiego Sądu nie pójdę. Tak mi dopomóż Bóg!

Nic dziś nie zrobiłem, bo "przed" strasznie się denerwowałem, a "po" by-

lem osłabiony jak po stosunku płciowym z żyrafą. Pięknie pozdrawiam.
Zdzisław

Piątek, 8 września 2000, 23:28

Widzę, że już jesteś mądrzejszy w te klocki ode mnie. Przysłałeś mi poprzednio wiadomość "oflagowaną". Dostaję czasami takie wiadomości, ale do dziś nie wiem, co to znaczy. Jest w menu takie polecenie "oflaguj wiadomość". No, ale co to daje? Nie wiem.

Zdzisław

Sobota, 9 września 2000, 13:39

Ja również nie mam pojęcia, co znaczy "oflagować" i jeśli moja wiadomość została "oflagowana" to przypadkowo, bo prawdopodobnie nieświadomie nacisnąłem jakiś klawisz, który "oflaguje". Tak więc, gratulujesz mi przedwcześnie.

1) Nie wiem czy w Twoim procesie spadkowym była jakaś niewiadoma i czy miałeś się czego bać, lub przynajmniej niepokoić o wynik. Ja stanąłem przed Sądem dwa razy w życiu jako podsądny i za każdym razem po prostu zawirowało mi w głowie. Były to przeżycia tak silne, że przez lata nie mogłem się z nich otrząsnąć.

Pierwszy raz stanąłem przed Trybunałem pracy w sporze z moim pracodawcą. Czekalem na moją kolej w nabitej po brzegi sali przez chyba trzy czy cztery godziny. Gdy przyszło do podejścia do stołu sędziowskiego, ziemia mi się zakręciła pod nogami i nie mogłem wykrztusić słowa. Na dodatek na przywitanie sędzia ucałował w rękę adwokatkę przeciwnej strony i pozostało mi to w pamięci jako jawny dowód stronniczości. Latami widziałem to ucałowanie ręki i dusiłem się z oburzenia. Oczywiście sprawę przegrałem. Nie rozumiałem niczego, co do mnie mówiono i wszystko na sali odbywało się jak w malignie, gdzieś za oparami, za mgłami. Z zaświatów dochodziły mnie dalekie głosy...

Drugim razem było jeszcze okropniej, bo stawka była wyższa.

Pobitem pewnego faceta, który mi był winny pieniądze i wyparł się za-

placenia ich. Najpierw odbyło się śledztwo, a po trzech latach dopiero rozprawa. Miałem więc trzy lata na banie się. Na tej rozprawie byłem tak zastraszony, że gdy sędzia zaczął zadawać mi pytania, wskazałem tylko głową na mego adwokata w oczekiwaniu, że on coś za mnie odpowie, bo sam nie mogłem otworzyć ust. Sędzia rozzłościł się na mnie i zaczął krzyczeć. Tu już myślałem, że się mi ziemia rozstępuje pod nogami i że wpadam w jakąś głęboką czeluść. Huczało mi w głowie. Mój adwokat powiedział mi potem, że nawet, gdy nic nie mówię mam talent to jeżenia ludzi, bo ten właśnie sędzia słynny był z uprzejmości i z łagodności. Co do łagodności to się zgadzało, bo wlepił mi tylko tysiąc franków grzywny. Ale wspomnienie po tym stanie gorączki, prawie nieprzytomności w czasie, gdy on na mnie wrzeszczał, zostało mi przez lata.

Dziś oczywiście nie odczuwam tego, lecz te dwa wspomnienia pozwalają mi zrozumieć mych klientów i uprzytomnić sobie za każdym razem, gdy mnie wkurzają, że tam, gdzie dla mnie jest to tylko rutyna i codzienność, dla nich każda sekunda przynosi wielkie i nie do zatarcia wrażenia. Toteż na ogół z cierpliwością odnoszę się do ich obsesji, nieustannych pytań, niepewności i innych objawów strachu.

3) Wczorajsza kolacja była, jak wszystkie prośzone kolacje, gdzie jest więcej niż cztery osoby: puste gadanie, w którym każdy prześcigał się w powiedzeniu jakiegoś "głębokiego" zdania i mądrej myśli lub dowcipnego żartu, a ja nudziłem się, milczałem i czekałem aż wszystko się skończy. Ponieważ gospodyni miała jeden z albumów o Tobie, wyciągnąłem go i pokazałem siedzącemu obok mnie inżynierowi z IBM. Na to tylko, by po raz trzy tysięczny z rzędu usłyszeć tą samą odpowiedź: "ja bym tego sobie w sypialni nie powiesił. Jak Państwo możecie z tym żyć? To znakomicie namalowane, ale takie koszmary, te trupy, te kości..." No i oczywiście zaraz potem ogólna rozmowa o Oświęcimiu, o tych Polakach, którzy tyle wycierpieli (każdy się przechwala ile to wie z historii tego "wspaniałego narodu"), a co z polskimi Żydami, a czy on Żyd etc.

Nie doczekałem do końca i o dwunastej zdecydowanie rzuciłem hasło, że trzeba się rozchodzić. Gdzie tam, dla nich wieczór dopiero się zaczynał. Inni więc zostali z pewnością komentując Twoje koszmary i nasze dziwactwo. Lecz myśmy z Anią nareszcie byli wolni. Cóż za ulga!

Ściskam Piotr.

Sobota, 9 września 2000, 21:20

Drogi Piotrze,

Tylko dwa słowa, bo dziś dawny młodociany entuzjasta, który odwiedzał mnie w Sanoku, przyjechał do Warszawy. Wyglądał przed laty jak aniołek i nosił adekwatne nazwisko Hibs. Teraz wygląda jak Gunter Grass, co uzmysławia mi, jak ja muszę wyglądać. Przyszedł o godzinie 10, a wyszedł o 17:30. Jestem wykończony. Gdy rano dzwonił do drzwi, łączyłem się właśnie z internetem, o czym natychmiast zapomniałem. Potem dziwiłem się, że telefon nie dzwoni, a gdy o 17:30 mój gość usiłował wydzwonić taksówkę, okazało się, że non stop byłem połączony z internetem. Dostanę zapewne wspaniałą rachunek telefoniczny.

Pozdrawiam.

Zdzisław

Niedziela, 10 września 2000, 22:52

Mam nadzieję, że już odetchnąłeś po Twoim entuzjaście. Wprawdzie to zazwyczaj nudziarze, ale gdybym miał takich tutaj więcej i to nie krościciach młokosów, to może lepiej by mi poszło.

Przekonałem się bowiem, po całej tej przygodzie z lansowaniem Cię na Zachodzie, że absolutnie wszystko jest sprawą mas. Już wielki Lenin powiedział...

Bez ogromnej ilości ludzi, którzy są wplątani lub sami się wplątują w jakieś przedsięwzięcie, właściwie jest ono skazane na niepowodzenie. Otóż nie sposób opłacić wszystkich i entuzjaści darmowi są absolutnie konieczni. Bez poparcia przez nie opłacanych entuzjastów, wszystkiemu nie byłem w stanie podolać.

Wprawdzie mówię sobie czasem, że jak tu zabiegać o entuzjastów, gdy reakcje na Twoje malarstwo we Francji były na ogół takie, jak te podczas wczorajszego wieczoru. Tłumaczę sobie, że entuzjastów w krainie żabojadów nie znajduję. Ale to nie jest przekonywujące tłumaczenie.

Bo Ty w Polsce masz takich entuzjastów, którzy nawet gotowi są stworzyć własną stronicę, na własny koszt w internecie, by pokazać innym Twoje obrazy, których nawet nie posiadają.

Jeśli jednak trudność, jaką miałem w znalezieniu entuzjastów, nie zależała od charakteru francuskiego i ich rewulsji na Twoje obrazy, to może powodem był mój brak charyzmy, którą bym pociągał ludzi?

Ale jeśli miałyby to być to, to i tak nie rozumiem. Bo w takim razie, dlaczego w Polsce Ty masz entuzjastów? Przecież charyzmy Ty również nie masz. Więc skąd polscy entuzjaści?

Mimo tylu doświadczeń nadal tych podstawowych pytań nie rozwiązałem i umrę tak głupi, jak byłem. Jak sprowokować sukces? Jak pociągnąć za sobą innych? Jak spowodować lawinę?

Bo jakoś rzeczy, jaką się proponuje, jest tylko małą częścią odpowiedzi. Wiem na przykład, po reakcjach moich czytelników, że książka moja wywołuje silną reakcję i że moje albumy były dobre.

A przecież, gdy książkę moją wystawiłem przez miesiąc w polskiej księgarni w Paryżu, nie kupił jej nikt, mimo iż leżała na samym wierzchu. Tak samo będzie (już nawet nie mówię "prawdopodobnie") z moją obecnie pisaną książką prawniczą. Już nawet nie odczuwam goryczy z tego powodu. Jestem już tak przyzwyczajony do tego, że nie zdobywam sobie entuzjastów do czegokolwiek bym się zabrał (mimo, iż zarówno na Uniwersytecie jak i w adwokaturze jestem często lepszy od innych i ludzie mówią mi to), że już nawet nie robię ruchu ręką, aby ich sobie pozyskać. Dziś już nie robię w tym celu niczego. Nawet nie proponuję wydawcom tego, co piszę i wszystko wydaję na mój własny koszt. Zresztą nie wiem, po co, bo potem i tak nikt tego nie czyta.

Ściskam Piotr.

Wtorek, 12 września 2000

Drogi Piotrze,

Nie potrafię wyjaśnić skąd biorą się entuzjaści i dlaczego ich mam.

Nie wiem jak interpretujesz określenie "charyzma", ale sądzę, że rozumiesz pod tym rodzaj image publicznego, taki jaki miał Hitler czy Wa-

łęsa przed laty. Oczywiście, że nie mam czegoś takiego. Jestem jednak człowiekiem z zasady ustępliwym i uprzejmym, a Ty nie. Zbyt by to było proste, bym uważał to za receptę na sukces, wreszcie entuzjasta najczęściej mnie nie zna, gdy zaczyna wpadać w entuzjazm. Na dodatek nie jestem bynajmniej dumny ze swej ustępliwości, o czym świadczy to porównanie się do Chamberlaina. Bierze się ona zapewne z obawy, by inni się ode mnie nie odwrócili i jest to rodzaj kompleksu jedynaka, który nie miał nikogo na zasadzie rodzinnego automatyzmu i musiał dbać o to, by ogół go akceptował, bo w przeciwnym wypadku zostałby zupełnie sam. Sytuacja taka jaką opisywałeś, czyli poparcie kogoś wbrew ogółowi, z narażeniem się równocześnie na zarzut złamania uświęconych reguł PC, byłoby dla mnie bardzo trudną próbą i chyba nie potrafiłbym postąpić tak, jak Ty. Wybrałbym zapewne postępowanie pośrednie, kunktatorstwo i uniki. Oczywiście jest jakaś granica uników i na pewno przyparty moralnie do muru, wybiorę to, co uważam za słuszne, nie patrząc już wtedy na kretyńskie, jakby nie było, reguły PC, ale tym niemniej użyję uprzednio wszystkich sił, by nie dopuścić do postawienia sprawy na ostrzu noża. Ty jak widzę uwielbiasz prowokować awanturę. Podobny do Ciebie był Tomek. Gdybym więc musiał poprzeć ewidentnego neofaszystę, antysemitę i ekstremistę, bo np. namalował genialny obraz, przeciw gremium przeciętniaków, którzy uznaliby moje poparcie, za poparcie poglądów tego faceta, miałbym cholernie trudne zadanie przed sobą: jak wylawirować z tej sytuacji zachowując twarz, ale też popierając dobrego malarza przeciw miernotom. Ty byś powiedział, że masz w dupie miernoty, zachowujesz się czasami tak, jakbyś oczekiwał okazji, że nareszcie możesz komuś dokopać. Ja też nie lubię miernot, ale nie przepadam za ekstremistami i chciałbym jakoś być akceptowany przez wszystkich. Już nieboszczyk Witz powiedział mi raz "wszystkich pan nie kupi". Jak widać przejrzał mnie i moją słabość. Jeszcze jeden problem w tym, że mam dużą trudność w uzyskaniu jakiegokolwiek poczucia słuszności własnego postępowania. Może bierze się to z kompleksu winy, a może z psychastenicznego nadmiaru wątpliwości w każdej sprawie. To stawia mnie w trudniejszej niż innych sytuacji, gdy mam dokonać oceny moralnej, politycznej, a nawet artystycznej, wszystko wydaje mi się płynne i nie dość pewne, wszystko zawieszona jest w nieskończonej przestrzeni, bez punktów odniesienia.

Nie mam po prostu poglądów i kręgosłupa moralnego, jak to się mówiło w dawnych, dobrych czasach.

Wczoraj dla odmiany była tu entuzjastka. Kserowała z albumu jakieś moje prace, do jakiejś swojej pracy i pożyczyła przed tygodniem albumy (ARKADY i Cowana), a teraz odniosła. Wpadła na pomysł, że może napisze na mój temat pracę. Dziewczę jest strasznie rezolutne, inteligentne, ale też ze skłonnością do definiowania. Tworzenie definicji, przychodzi jej z niepokojącą łatwością i już wypróbowywała na mnie swoje możliwości z nie najgorszym zresztą skutkiem, ale jak wiesz niczego tak się nie lękam jak ścisłych definicji. Gdybym został zdefiniowany, a definicja w moim odczuciu zubaża obiekt definiowany, byłbym jak motyl przypięty szpilką w pudełku: niby to samo, a jednak coś innego. Na razie panienka nie ma rozeznania w obszarze, na którym chce się poruszać. Coś jak młody Dmochowski sprzed 20 lat. Nie wie gdzie są kapliczki kultu, nie wie, które krowy są święte i gdzie ich szukać, wdepnie w to wszystko, jak ślepy na pole minowe. No ale jest dostatecznie inteligentna, by dać sobie szybko radę. No, to tyle na razie.

Kupiłem sobie przed dwoma czy trzema tygodniami radiomagnetofon do WC i nagrałem nawet "Cwałowanie Walkirii", które wydało mi się kompozycją wysoce moczopędną, aliści teraz okazało się, że chciałbym mieć taki radiomagnetofon także w sypialni, bo łatwiej się rano wstaje, gdy gra radio. Kupiłem więc radiomagnetofon, ale inny i on w ogóle nie chce odbierać, lecz sygnał nieustannie odbija się od elementów biernych i powstają zniekształcenia. Cóż za chwilę będzie tu Ochman, a potem go poproszę, by podrzucił mnie swoim wozem pod sklep i spróbuję to radio oddać, a kupić drugie identyczne z tym, które już jest w WC i ustawić w sypialni. Tamto odbiera, jak nic więc nie ma co szukać innego.

Pozdrowienia, list poprawię i wyślę jak wrócę z wymienionym radiem, bo za chwilę będzie Ochman.

Cześć.

Zdzisław

PS. Kupiłem drugi radiomagnetofon, dokładnie taki sam jaki już mam, nie miałem zdrowia, by wybierać (jest ich ze 60 modeli), chciałem mieć typ sprawdzony. Na razie jest OK. Ochman stojąc obok, pomagał mi

w sensie moralnym, bo ja cholernie nie lubię niczego zwracać do sklepu. O kurczę. Muszę od ręki odpowiedzieć, mimo iż chciałem się wziąć za malowanie. NA PEWNO nie miałem najmniejszej ochoty ani Cię antagonizować, ani obrazić. Przeczytałem teraz swój list raz jeszcze, bo mówisz, że nie wyraziłem się jasno. Dla mnie jest to jasne, ale problemy zapewne są na łączach, lub na częstotliwości. Zapewne pewne rzeczy zarówno w kontaktach na linii ja-ty, jak i w przeciwnym kierunku, nadawane są często w innej intencji, a odbierane w innej.

Wyjaśniam, że powoływałem się nie tyle na opisywaną przez Ciebie kolację, lecz na jeden z Twoich listów poprzednich, sprzed 3 czy 4 dni, a w którym opisywałeś, jak usiłowano Cię na uczelni wstępnie ustawić byś głosował przeciw czyjejś kandydaturze, co Cię tak wkurzyło, że głosowałeś właśnie za, a na dodatek opieprzyłeś szanowne grono, które w konsekwencji tego, obróciło się do Ciebie tyłem. Zastanawiałem się jakbym sam w podobnej (bo nie identycznej - takie mi się nie trafiają) sytuacji postąpił i czułem, że ja póki to byłoby (moralnie rzecz biorąc) dla mnie możliwe, usiłowałbym trzymać głowę w piasku. Bynajmniej nie podziwiam swego postępowania ani swojego charakteru, wiem jaki jest. Gdy piszę listy i piszę o sobie, nie należy tego odczytywać NIGDY jako obrony mego stanowiska. Mam o sobie raczej kiepskie wyobrażenie i bardzo często jestem krytyczny i autoironiczny. Obawiam się, że często nie jest to odczytywane. Ludzie na ogół są nieporównywalnie bardziej asertywni niż ja. Każdy pcha się do drzwi pierwszy, podczas gdy ja nadal mam wątpliwości, czy mimo swych prawie 72 lat, nie ustępować innym miejsca w tramwaju i siłą trzymam się na siedzeniu, zaklinając się w myślach: jesteś stary, masz prawo, siedź idioto, bo niedługo już będziesz tylko leżał, a jeszcze się nie nasiedziałeś i tak dalej.

Co do definicji, to chętnie się zgadzam, że są rzeczy dające się zdefiniować i nawet nie zaczynałbym na ten temat dyskusji. Mówiłem raczej o tych twórcach szkoły jasnego i przejrzystego myślenia o WSZYSTKIM, która okazuje się tworzeniem mitów, bo definicje nie definiują, a tylko barbaryzują coś, co jest niedefiniowalne. Może nie tyle niedefiniowalne, bo zawsze można wierzyć, że dorośniemy kiedyś definicji, ale umykające zdefiniowaniu przy naszym dzisiejszym poziomie wiedzy. Wszelka kartezyjańska jasność myślenia, której jesteś jak widzę wyznawcą, budzi

najdalej posunięte moje wątpliwości i wolę już zostać w oparach niemieckiej metafizyki, połączonej ze słowiańskim mętniactwem myślowym. Nie uznasz krytyki jasności myślenia z tej właśnie mojej platformy, nawet gdybym w ogóle odważył się krytykować, podobnie jak ja nie uznaję Twojej, gdyż w tym jasnym świetle, nie widać w ogóle tego co dla mnie najbardziej interesujące. "Nie widać" nie jest oczywiście zarzutem pod Twoim adresem.

Aha: przykład przytoczony przez Ciebie, to historyjka wymyślona przez św. Sierpniayna, z autoironią, co podkreślam, bo opisał to w pierwszej osobie! Pozdrowienia, wracam do pracy.

Zdzisław

PS. Najgorzej jest, gdy zacznę odpisywać na list od razu, a tu zamiast zabrać się do malowania, zabrałem się na gorąco za odpisywanie i muszę nieustannie robić sprostowania i uzupełnienia. Odszedłem teraz od sztalug przypomniawszy sobie, że nie wyjaśniłem co ukrywa się pod skrótem PC. Nie wiem jak jest ostatnio, ale przed paru laty gdy pojawił się termin Political Corectness, prasa amerykańska używała tego skrótu nagminnie i myślałem, że jest nadal stosowany powszechnie. Nie napisałem całymi słowami, bo obawiałem się, że zrobię błędy ortograficzne, a teraz, gdy Tomek nie żyje, nie mam nawet w tej sprawie do kogo zatelefonować. Oczywiście mogłem zajrzeć do słownika, ale tak jak napisałem, wydawało mi się najprościej i sądziłem, że zostaną zrozumiany, mimo iż w Polsce też PC oznacza komputer (popularny Pecet), a także partię Porozumienie Centrum. Na razie.

Zdzisław

Wtorek, 12 września 2000, 14:26

Nie zapominaj o datach.

Trzy Twoje dzisiejsze wiadomości dostałem.

A propos kartezyjanizmu: mimo, iż żyjemy ze sobą już dwadzieścia sześć lat, nasze rozmowy z moją, poza tym kochaną żoną, wyglądają mniej więcej tak: "Wiesz, ta siostra tej to powiedziała, że ten facet jej powiedział,

że tamta jest mu winna dziesięć."

Z rzadka się zdarzy, aby zdanie było rozpoczęte od początku. Na ogół zaczyna je od środka lub od końca. Wszyscy bohaterowie jej opowieści to "on", "ona" i "oni". Jest ich czasami troje czy czworo. Ale wszyscy do końca nazywają się nie odmiennie tak samo. Mimo zakłęb i nieustannego zżymania się na nawiązywanie do sytuacji, o których ona wie, bo o nich właśnie myśli, ale ja nie wiem nic, bo akurat, o czym innym myślałem; nieustanne prośby by najpierw określiła miejsce, czas, nazwała postacie i przypomniała poprzedni odcinek opowieści, otrzymuję w odpowiedzi tylko krótkie "idiota" lub "dureń" i wzruszenie ramionami na moją bezdenną głupotę i niezdolność do łapania w lot tego, co "przecież każdy inteligentny człowiek zrozumiałby w pół słowa."

O wszystkim bym pomyślał, lecz nie o tym, że nie uprzedzając mnie nawiązujesz do mej wiadomości sprzed czterech czy nawet pięciu dni i do opisanej w nim sytuacji.

Ponieważ stwierdziłeś, że jestem "nieuprzejmy" i że "szukam awantury" to pomyślałem, bo kto by pomyślał inaczej, że nawiązując do mojej ostatniej wiadomości masz mi za złe, że Ci odmówiłem (jak zresztą i sobie) charyzmy.

Błagam: wyrażaj się jasno określając, do czego pijesz i o kim mówisz. Ja może jestem, jak to twierdzi moja małżonka, półgłówkiem, ale nijak nie mogę zrozumieć jak mi się nie zacznie od pieca. A zwłaszcza, jeśli się do mnie mówi skrótami, szyfram lub zaimkami.

Również z łatwością rzucasz nazwami po polsku z zakresu komputera i internetu. Nie mówiąc już o tym, że ja jestem absolutną nogą w tych sprawach i z najwyższym trudem rozeznaję się w pierwszych krokach, to ponadto nazwy polskie nie mają nic wspólnego z nazwami francuskimi, do których jestem przyzwyczajony, a które już same są pisane szyfrem, bo dopiero po wytłumaczeniu mi przez Bambo rozumiem, że miały jakiś sens.

Co malujesz? Czy to byłoby bardzo trudne, gdybyś mi przesłał, tak jak przesłałeś mi Twoje zdjęcie, zdjęcia Twoich prac, które posiadasz w domu na sprzedaż? Czy rysujesz? Gdzieś mi po pamięci chodzi, że powiedziałeś w jakimś wywiadzie czy też mnie w jakimś liście, że już od czasu wystawy w Częstochowie nie rysujesz. Jeśli tak, to jest to wielka szkoda, bo były to

rysunki znakomite. Chętnie bym kilka nabył. Na razie lecę do dentysty na drugą trzydziestkę, bo mi się ząb ukruszył.

Cześć.

Piotr

Wtorek, 12 września 2000, 19:59

Pardon, zapomniałem odpowiedzieć w sprawie rysunków. Nie mam ani jednego, a muszę ze trzy cztery zrobić, bo obiecałem Jurkiewiczowi od Brata Alberta, że mu zrobię na koniec października, który zaczyna raptownie się zbliżać. Jemu to potrzebne na prezenty dla większych sponsorów. Ja to robię za darmo w ramach dobroczynności. Taka robota na siłę nie daje jednak dobrych rezultatów. Fotografie dwóch ostatnio namalowanych obrazów zrobię jutro, gdy będzie światło dzienne (chyba żeby lało). Wysyłanie więcej jak dwóch na raz zablokowałoby mój serwer na pół dnia. Będiesz za miesiąc w Warszawie, to je zobaczysz. I tak są nie do kupienia, bo nadal jadę na minusie, chyba że Alicja mi odpuści i zrezygnuje z wystawy. Pisałem już o tym.

Zdzisław

Wtorek, 12 września 2000, 19:18

W związku z tym co piszesz, najlepiej zrobię odpowiadając Ci zawsze według zasady "re", co jest być może skrótem od zagranicznego określenia odpowiedzi. Niektórzy z reguły tak mi odpowiadają na moje listy. Wtedy wiadomo, na co się odpowiada. W momencie gdy dostałem od Ciebie list na tematy uniwersyteckie, na który odpowiedziałem lub raczej poruszyłem temat z tego listu wczoraj, nie byłem w stanie odpowiedzieć, bo jak mętnie sobie przypominam byłem albo potwornie zmęczony, albo miałem gościa, albo coś w tym stylu, więc tylko potwierdziłem, że list dostałem. Teraz nawet po miesiącu otworzę stary list i wyślę do niego RE. Co do "charyzmy" to po pierwsze bardzo trudno spowodować, bym się obraził, więc absurdalne było przypuszczenie, że obraziłbym się o to, że

piszesz, iż nie mam "charyzmy". Pytałem co przez to rozumiesz, bo ja (chyba zgodnie z etymologią?) przez charyzmę rozumiem "dar", a więc także talent np. malarski, który jak mniemam w jakimś tam stopniu posiadam, ale jak widzę słusznie domyśliłem się, że rozumiesz przez to dar konsolidowania tłumu. OK.

Twój list przyszedł razem z około 30 innymi. W jednym z nich, ktoś kogo nie znam, ale związany chyba z Hewlett Packard, objawia mi, że wciążą moją domenę na czarną listę i nie będzie mi więcej wysyłał czegoś tam. Okazało się, że sprawa się rozeszła i dostałem w tej sprawie około 30 RE na zasadzie "odpowiedz wszystkim", że nie wiedzą o co chodzi. Ktoś wysłał to do sporej grupy osób, adresując automatycznie, a mój adres był pewnie w jakimś folderze, więc ta grupa wysłała teraz message do wszystkich innych, którzy byli wymienieni. Panicznie się boję, że za chwilę, zgodnie z zasadami słynnej przypowieści o zapłacie za wynalazek szachów (połóż na pierwszym polu jedno ziarno pszenicy, a na każdym następnym dwa razy więcej niż na poprzednim), otrzymam kilkanaście tysięcy listów i mój serwer się zatka, nie będę mógł wysłać odpowiedzi, a Ty uznasz, że się o coś obraziłem.

Pozdrowienia.

Zdzisław

Wtorek, 12 września 2000, 22:04

1) Ja po prostu od razu drukuję zarówno Twoje jak i moje wiadomości. Bo tak naprawdę to wierzę tylko w papier, mimo że jest łatwopalny. Wszystko, co piszę zawsze drukuję, by pewnego dnia nie być ofiarą jakiegoś problemu z maszyną. Ponieważ potem i tak można to zeskanować i z papieru znów przenieść na automat, to natychmiastowe drukowanie nie grozi mi nawet koniecznością przepisywania później wszystkiego ponownie w razie wypadku.

A ponieważ i tak wiadomości nie mają podpisu napisanego Twoją ręką to i wartość numizmatyczna takich kopii ze skanera nic nie straci, bo i oryginały tej wartości nie mają.

2) Żałuję mocno, że nie chce Ci się rysować i że robisz to na siłę. Nie

wiem ile Cię to kosztuje pracy i czy jest równie wymagające skupienia i wysiłku jak malowanie. Mnie się wydawało, że rysunek idzie Ci łatwiej choćby dlatego, że nie wymaga całej tej strony technicznej, chemicznej. Jeśli byś narysował coś i zanim to przekażesz jakiemuś tam facetowi, który potrzebuje Twoich rysunków na prezenty, to jednak sfotografuj i prześlij mi internetem. Bo tak jak Twoje dzisiejsze obrazy tak i Twoje dzisiejsze rysunki, choćby w niewielkiej ilości, muszę mieć w mojej kolekcji.

3) Oczywiście, jeśli przekazywanie zdjęć obrazów ma blokować Twój komputer na pół dnia, to daj spokój. Ja będę w Warszawie już za trzy tygodnie. I wtedy zobaczę.

4) Nic nie zrozumiałem z tej historii lawiny e-maili, które Ci spadły na głowę.

5) Z Twoich dwóch wiadomości jedna jest pisana bardzo drobnymi literami, a druga zupełnie czytelnymi. Jeśli możesz używaj "police" (czyli wykroju liter) dość dużego. Na kartce papieru łatwiej się to czyta, a jak Ci to przed chwilą powiedziałem, wszystko od razu drukuję i odczytuję potem z wydruku.

6) Co to jest RE nie wiem. Domyślałem się tylko z treści wiadomości, że chodzi chyba o odpowiedź wraz z otrzymanym przez Ciebie, moim mailem. To znów przykład tego, że u Ciebie na komputerze widnieją napisy w wersji polskiej lub angielskiej, które w wersji francuskiej u mnie są przetłumaczone zupełnie inaczej i wcale nie dosłownie. Co powoduje, że tylko mogę domniemywać, co ten podawany przez Ciebie bez wyjaśnień skrót znaczy. Wydaje mi się, że metodą jeszcze prostszą jest po prostu powiedzenie wyraźne, do czego Twoja wiadomość nawiązuje.

Ściskam.

Piotr

Środa, 13 września 2000, 09:49

Wysłałem jak obiecałem fotki dwóch ostatnich obrazów.* Był o tyle problem, że słońce, jak w kwietniu, pokazywało się i chowało, więc miałem tylko sekundy by pstryknąć, gdy się schowało, bo inaczej na obrazie pojawiały się cienie od futryny i żaluzji.

Pozdrowienia,
Zdzisław

* *zdjęcie znajduje się na stronie xxx*

Środa, 13 września 2000, 20:26

Tak naprawdę to może nawet nie lenistwo, co strach powoduje, że jak tylko słyszę szyfrowe tłumaczenia komputerowe lub internetowe, to zaraz uciekam w niewiedzę. Ja tego po prostu nienawidzę. Nic z tego nie rozumiem i gubię się przy najmniejszej trudności. Jeśli działam to tylko jak nauczona, a nic nie rozumiejąca małpa. Jak mi dokładnie wskażą, co nacisnąć i kiedy, to nacisnę. Ale jak tylko przychodzi do tłumaczeń, bo bez tego nie można posunąć się do przodu, to natychmiast rezygnuję. Już Ci to chyba kiedyś powiedziałem, że w liceum był taki zbiór zadań fizycznych niejakiego Zilingera. Miał z dwieście stron i setki problemów, od najłatwiejszych do bardzo trudnych. Próbowałem rozwiązać choć jeden. Nie udało mi się nawet z tym, który znajdował się na pierwszej stronie. Najstraszniejszą mordęgą była matematyka, fizyka i chemia. Nie rozumiałem z tych przedmiotów niczego i mogłem liczyć tylko na ściągę na klasówce lub na egzaminie. Toteż ściągałem, ale do dziś się tego nie wstydzę. Boże ileż tysięcy godzin utraciłem na darmo. W czasie, gdy zmuszano mnie do nauki przedmiotów ścisłych, mogłem nauczyć się biegle dwóch obcych języków, które naprawdę przydałyby mi się w życiu. A poza tabliczką mnożenia nawet te marne strzępy matematyki, jakich się nauczyłem, nie przydały mi się w życiu na nic. Tyle zmarnowanego czasu!

Broniąc matematyki dla takich głabów jak ja, moi profesorowie twierdzili, że przedmioty ścisłe wyrabiają dyscyplinę myślenia i logikę. Gówny prawda. Mimo, iż z tych przedmiotów nie rozumiałem i nie nauczyłem się nigdy niczego, to piszę składnie i logicznie. Mówię też tak, że mnie ludzie bez trudu rozumieją. Ale bardziej upartych ludzi niż matematycy nie znajdziesz. Będą męczyli dzieci przez całe pokolenia, bez zadania sobie trudu na sprawdzenia choćby powierzchownych rezultatów (żadnych) i przydatności ich nauki (żadnej), dla takich jak ja.

Dziś tak samo jest z cybernetyką. I tak jak przed tamtymi przedmiotami, tak i przed komputerem odczuwam wężcz strach. Żeby choć tłumaczenia były podawane w języku zrozumiałym...

Bo nawet, gdy sygnalizujesz mi tylko klawisze do naciśnięcia, zaraz pojawia się problem: te nazwy klawiszów i ikon, które Ty podajesz nie mają nic wspólnego z ich tłumaczeniami na francuski. W związku z tym problem pozostaje taki sam jakbym sam musiał się domyślić, który klawisz nacisnąć.

2) Zdjęcia dostałem. Jakość zupełnie wystarczająca. Nie wiem tylko jak zrobić, żeby pomniejszyć to na ekranie tak, by móc w całości każdy obraz wydrukować. Bo wydrukowałem dwa obrazy, ale po kawałku, na czterech stronach i to nie osiowo, bo maszyna wybrała oś tekstu, a nie oś obrazu. W każdym razie ten sposób przekazu zdjęć jest zupełnie dobry i na przyszłość jak najbardziej do stosowania. Jak się zna Twoje malarstwo i wie się jak to jest namalowane, to łatwo sobie wyobrazić resztę i ocenić całość.

A co z rysunkami?

3) Wielkość czcionki też dobra i wydrukowawszy Twoją, towarzysząca obrazom wiadomość, wszystko okazało się czytelne. Bo choć prawdą jest, że ja mogę powiększyć druk na ekranie, to nie mogę (lub nie umiem) go powiększyć na drukarce. Tak więc pisz tak, jak dziś napisałeś, a będzie OK.

4) Rzeczywiście, wiadomości które Ci przesłano są tajemnicze. Ktoś proponuje Ci jakiś program i obficie tłumaczy właśnie tym strasznym, tym ohydny żargonem złożonym z cyfr i liter, jaki to program. Oczywiście ani w ząb nie rozumiałem. A już na pewno nie rozumiałem, dlaczego Cię wpisano na czarną listę.

5) Jest 20-ta i siadam przed telewizorem do obejrzenia dziennika.

Ściskam.

Piotr

Środa, 13 września 2000, 22:28

Co do Twoich problemów z komputerem, to nie myśl, że miałem inne. Takie same. Do dnia dzisiejszego, gdy trafiam na nowy program lub nowy problem, łamię sobie godzinami głowę i myślę, co Ci uczeni kretyni zno-

wu wyglówkowali, by mi ułatwić. Wiadomo, że informatyk nie pojmuje, czego nie wie ktoś, kto nie jest informatykiem, tak więc na 10 stronach wyjaśnia czym różni się prąd zmienny od stałego, używając do tego symbolicznego krajobrazu z 10 górkami i 10 dolinami, 10 niedźwiedzi na górkach, do których biegnie 10 krasnoludków - można od tego zgłupieć. Po tym wszystkim daję wyjaśnienie w takim np. stylu, że "przyczyną niepowodzenia może być niezaimplementowana pułapka", nie wyjaśniając w ogóle co to jest, czym to się je i do czego to służy. Nawet w przypisach nic na ten temat nie ma. Na dodatek informacja ta jest często w języku angielskim. NP. "please insert integer between 6879 and 987601", bez wyjaśnienia jak to zrobić, bo we wskazane miejsce, o ile jest nim kropka, nie da się wpisać ani integer ani nawet słowa "dupa". Microsoft z kolei pragnie wszystko zautomatyzować i uprzedzić każde moje życzenie. Na razie jeszcze, gdy podpiszę się Zdzisław Beksiński, nie przerabia tego automatycznie na Jan Kowalski, ale (jak napisałem w jakimś artykuliku do prasy komputerowej, o który mnie proszono), jest to niedopatrzanie, które w kolejnej wersji na pewno zostanie usunięte. Inną upierdliwą firmą (choć trzeba przyznać, że ma ona często genialne pomysły) jest MetaCreations. Firma zajmowała się najszerzej pojętą grafiką, ale teraz przerzuca się na handel międzynarodowy, a jej dział grafiki wykupił Corel. W tej firmie połowa pary idzie w gwizdek - obsługa jest dla wtajemniczonych, menu składa się z kolorowych pęcherzyków, które po kliknięciu zaczynają pulsować światłem i uginają się, pustych miejsc na monitorze, które trzeba odszukać myszą i tam kliknąć, rozbłyskujących tajemniczych świateł i światełek; przerost formy nad treścią. Czasem sama praca na programie jest efekowniejsza niż to, co się daje radę uzyskać. To już prawie gra komputerowa.

Co do rysunków, to powiedziałem już, że w tej chwili ich nie mam. Ostrość monitora jest nieco za mała, by uchwycić cieniutkie kreski piórkami, więc obawiam się, że fotografie nie oddadzą tego, co istotne, szczególnie, że zapewne Twój monitor ustawiony jest nie na grafikę, a na pismo, czyli ma małą rozdzielczość. Jak będę coś mieć, to spróbuję wysłać.

Pozdrawiam.

Zdzisław

Czwartek, 14 września 2000, 22:44

Cały dzień przebimbałem udając, że pracuję, a na wieczór rzeczywiście zabrałem się do roboty. Toteż nic do Ciebie nie pisałem.

Mój przyjazd z Anią do Polski w początkach października staje pod znakiem zapytania.

Ania znalazła na internecie hodowlę psów shar pei posiadającą małe. A ponieważ umarła nam jedna z naszych dwóch suczek, żona zobaczywszy te maleństwa na zdjęciu, koniecznie chce kupić jedno z nich. Co oczywiście spowoduje, że nie będziemy mogli się ruszyć przez najbliższe pół roku z domu. Trudno mi jest ją odwozić od pomysłu, bo i mnie brak drugiego psa. Nie mając dzieci przelewam na naszą Figę całe me ojcowskie uczucia. I chce mi się drugiego "dziecka". Toteż, jeśli Ania będzie nalegać, to jej ulegnę i z naszej podróży do Polski będą nici. Chyba, żebym wpadł sam tylko na wernisaż wystawy piętnastego października... Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie.

Ściskam.

Piotr

Sobota, 16 września 2000

Drogi Piotrze,

Twój list nadszedł w dwóch egzemplarzach. Budujesz w nim antynomię: dzieci albo zwierzęta. Ujmijmy rzecz dosadniej. Nie lubię ani zwierząt, ani dzieci. Nic na to nie poradzę, jestem życzliwy i dla zwierząt, i dla dzieci, ale nigdy nie miałem ani instynktu ojcowskiego, ani potrzeby posiadania kota, psa, papugi czy nawet strusia. Mogę doskonale zrozumieć, że inni mają taką potrzebę, szanuję te potrzeby, zapewne nawet przywiązałbym się do jakiegoś stwora, gdybym go z jakiegoś powodu odziedziczył, bo przywiązuję się bardzo łatwo i bardzo też szybko zaczynam odczuwać odpowiedzialność, ale potrzeba i przywiązanie to dwie rozmaite sprawy. To nie jest kwestia aktu woli lecz determinizm genetyczny, podobnie jak kolor włosów, czy kiepskie zęby. Jednym słowem jestem złym człowie-

kiem, bo jak to wie lud prosty: tylko źli ludzie nie lubią dzieci i zwierząt, a lud prosty ma zawsze rację, o czym z kolei wiedzą politycy, fotografując się przede wszystkim z dziećmi na rękę, bo to najlepiej usposabia wyborców. Na moją samotność nie ma rady i trzeba ją zaakceptować, bo żadna kobieta nie zastąpi mi Zosi, podobnie jak nic nie wróci mi Tomka, mimo iż rozmijaliśmy się częściej niż spotykali. Obnoszenie się jednak z tym, byłoby objawem pychy i złego smaku, jako iż ludzkość przerabia ten temat od zarania dziejów i przerabia to też duża część świata zwierzęcego, tak więc nie spotkało mnie nic wyjątkowego. Mam nadzieję, że potrafię też umrzeć nie robiąc przedstawienia, no ale tego nie mogę zagwarantować. Pięknie pozdrawiam i przykro mi, że być może mój opis dotknął Was osobiście. Był to powód, że początkowo nie chciałem na list odpowiadać, jako iż nie czuję bluesa. No ale w końcu nie pisałem o Waszym psie. Pozdrawiam.

Zdzisław

PS: Mój komputer też zapragnął ulżyć mej samotności i zaczął w tej chwili ze mną rozmawiać, wyświetlając mi "blue screen", który sygnalizuje awarię. Sfotografowałem go, bo w takim układzie nie działa drukarka, ani zapisywanie plików. Potem zajrzałem do SYSTEM.INI (wysyłam kopię) i dowiedziałem się jeszcze ciekawszych rzeczy, mimo iż nie odnalazłem tego, co zgodnie z blue screen powinienem odnaleźć i zmienić. Powiedziałem mu więc "pocałuj mnie w dupę" i uruchomiłem powtórnie. Uśluchał i zaczął normalnie działać. I kto tu mówi o samotności.

Nie odpowiedziałem na poprzedni list dotyczący głównie psa, bo nie bardzo było na co odpowiadać. Nigdy w życiu, poza dzieciństwem, nie zrobiłem krzywdy żadnemu zwierzęciu, ale generalnie za nimi nie przepadam, a Szarpeje, czy jak się tam je pisze, szczególnie nie należą do mych ulubieńców. Moje jedyne bogatsze zetknięcie z tą rasą nastąpiło przed jakimiś 4 czy 5 laty. Byliśmy jeszcze z Zosią na kolacji u znajomych lekarzy profesorów (ale nie Noszczyków!) na Żoliborzu. Był tam też jakiś aktor z żoną, no i ten cholerny pies. Ja brzydzę się wszystkiego, co nie jest elektroniczne i co nawet z lekka zalatuje fizjologią. Pewnie jestem cyborgiem i nawet o tym nie wiem. Nie cierpię nawet roślinności w domu. Nawet damskie narządy nie wzbudzały nigdy mego entuzjazmu (porów-

nuję się tu do moich znajomych i przyjaciół), wszelkie wydzieliny budzą mój żywy wstręt, a tak się już składa, że fizjologia to wydzieliny i w każdej dziurze, w każdym pieprzonym otworze naszego ciała i ciała wszystkich istot żywych, gromadzą się jakieś wydzieliny. Ten cholerny pies produkował tak nieprawdopodobne ilości śliny, że każde machnięcie pyskiem, powodowało bryzganie nią na lewo i na prawo, żona tego aktora miała całą rękę obślinioną, bo wpadła w entuzjazm na temat tego psa i droczyła się z nim, a ja siadłem tak za stołem, że pies nie miał do mnie dojścia, co powodowało u niego zauważalne cierpienie psychiczne, bo koniecznie pragnął mnie też obślinić. Nie mogąc tego zrobić, zaczął swój pieprzony łeb pchać do półmisek i talerzy, bo stół był niski i pamiętam do dziś jakąś leguminę, z której jeszcze nie wziąłem ani kawałka, jak w panice podliczałem: dotknął już nosem do tego miejsca gdzie jest wiśnia, obwąchał z tej strony, gdzie jest ukrócone etc, etc. W końcu wykręciłem się, że jestem już strasznie najedzony, a na dodatek uczulony na coś tam, co widniało w tej leguminie, mogę się zacząć dusić jeśli to zjem i tak dalej. Trudno było nie okazywać zachwyty psem, bo gospodarze byli w nim zakochani, ale odchorowałem tę kolację. Widać dowodnie, że to co u jednych wzbudza miłość, u innych wywołuje wstręt. Tak jak wszystko.

Moje obrazy też podobają się nielicznym i standardowy stosunek do nich w Polsce nie jest inny niż we Francji (tu nawiązuję do tej kolacji, którą przed jakimś czasem opisywałeś). Ludzie tylko nie wypowiadają się głośno, bo jestem, jak na polskie stosunki droгим i uznanym malarzem, więc nie chcą się wygłupić.

Nie chciałem więc na ten temat pisać, a innego nie było i dlatego nie pisałem, Howgh, jak powiadają Apacze!

Zdzisław

Sobota, 16 września 2000, 21:07

Gdy z ostentacją obnosimy naszą fobię do dzieci, niektórzy mówią nam: "nie wiecie, co tracicie". Mogę Ci tylko to samo powiedzieć a propos psów. Wiem jednak, że tak samo spłynie to po Tobie, jak po nas spływają zapewnienia, że dzieci to wielka radość. Po prostu ani Ty, ani my nie możemy sobie wyobrazić, co to znaczy mieć taką istotę. A więc i nie

potrafimy poczuć najmniejszej chęci jej posiadania.

Nasz pies, ten, który jeszcze żyje, bo jak Ci to pisałem młodszy zmarł, jest wzorem łagodności, dyskrecji i posłuszeństwa. A na dodatek nie ślini się, nie ma prawa zaczepiać ludzi, nie ma prawa wchodzić na przedmioty (stół, kanapę, fotel), nie ma prawa żebrać pod stołem. Bardzo mało szczenka. Ma więc nie tylko złoty charakter, ale poza tym jest po prostu dobrze wychowany. Ten, którego złośliwie opisałeś był z pewnością wychowaniem ludzi leniwych, którzy nie chcieli sobie zadać trudu nauczania go, jak nie przeszkadzać innym i samemu być szczęśliwym.

Ale przyznaję, że to wyjątkowy zbieg dwóch rzeczy (charakteru i wychowania). Pies, który nam zmarł (Gapa), był o wiele trudniejszy. Potrafił obecnego (Figę) napaść bez żadnego powodu i dotkliwie go pogryźć. Potrafił też, gdy go Ania chciała pogłaskać, warknąć na nią. Ale za to był tak przymiłny, tak pieszczotliwy i serdeczny, że do dzisiejszego dnia Ania ma łzy w oczach, gdy o nim mówi, a mówi często. Ja również wzruszam się, gdy o nim pomyślę. Nie wiesz, co tracisz. Tym bardziej, że jesteś samotny i takie urocze stworzenie w jakiś sposób pozwoliłoby Ci lepiej tę samotność znosić. No, ale powtarzam: rozumiem Cię, bo za to ja nie noszę dzieci. Jak będziesz miał ochotę, to odpisz, ale rozumiem że ten temat Cię nie inspiruje.

Cześć.

Piotr

Niedziela, 17 września 2000, 22:05

Wręcz świerzbi mnie, żeby Ci kupić pięknego psa i przywieźć w prezencie. Bo jeśli przywiązujesz się szybko do wszystkich stworzeń to i do niego szybko byś się przywiązał. To co?

Piotr

Niedziela, 17 września 2000, 22.08

NIEEEEEEEEE!!!!!! Nawet tak nie żartuj !!!!!!!!

Niedziela, 17 września 2000, 23:04

Precz z psem!!!

**zdjęcie znajduje się na stronie xxx*

Poniedziałek, 18 września 2000, 13:33

Natychmiast wydrukowałem zdjęcie "precz z psem" i tekst odpowiedzi, na wieczną rzecz pamiątkę. Niech wszyscy wiedzą kiedyś, jaki byłeś bez serca. Bogu ducha winnego, biednego psa...

Piotr

Poniedziałek, 18 września 2000, 14:30

No, ale przynajmniej uzyskałem skutek. Stokroć gorsze byłoby oddawanie biednego zwierzęcia do przytułku, gdybyś mi go lekkomyślnie kupił. Ten pomysł nie Tobie pierwszemu wpadł do głowy i został już w mojej rodzinie kilkakrotnie zrealizowany (na szczęście nikt mnie nie uszczęśliwił podrzucaniem psa, bo tak głośno podkreślam mój wstręt do wszystkiego co żywe, że wszyscy już wiedzą i nikt się nie wychyla).

Dobrze czasem być potworem!

Przed chwilą wróciłem z radia, gdzie odpowiadałem na pytania słuchaczy. Jeden z nich nie cierpi mego malarstwa, ale widział tylko wystawę w Archidiecezji i porównał mnie do Opalki, że wszystko na jedno kopyto. Ktoś tam pytał jak się ubieram, więc opisałem co mam na sobie. I tak dalej. Jestem jednak kompletnie wyżęty.

Pozdrowienia Zdzisław.

Poniedziałek, 18 września 2000, 15:49

A on Cię już kochał...

Kiedy piszesz odwrotną pocztą wraz z moim tekstem dzieją się dziwne rzeczy. Na ekranie ukazuje się tekst z kwadracikami zamiast polskich liter. Natomiast, gdy go drukuję, to na papierze pojawia się jedna polska litera: "ó" kreskowane. Inne polskie litery są bez ogonków i bez przecinków, tak jak w moim francuskim alfabecie.

Możesz więc tak pisać, bo to czytelne, choć wolałbym, dla potrzeb druku i w celu ułatwienia czytania komuś, kto to kiedyś będzie czytał, żebyś pisał wiadomości jako załączniki WORD. Wtedy, o ile się zorientowałem, całe polskie liternictwo jest respektowane.

Mówisz, że byłeś w radio żeby odpowiadać na pytania słuchaczy. Pamiętam, jakie ja miałem trudności w namówieniu Cię, żebyś choć zjawił się na moich wernisażach... To tak jak niektórzy współmałżonkowie, których rozwodzę: dla osób trzecich zrobią szereg, nawet nieprzyjemnych, rzeczy. A dlatego drugiego zawzięcie, ani nie popuszczą, nawet szklanki wody... Niech ma za swoje... O ileż łatwiejsza byłaby moja praca, gdybyś się do niej choć trochę dołożył... No, ale to już minęło.

Nie mam nowych klientów i zbijam baki. Czytam gazety i słucham BBC dla zabicia czasu. Ania zdaje ostatnie poprawkowe egzaminy (lub raczej je oblewa), więc nie wychodzimy na miasto. Toteż nudzę się jak mops, bo na dodatek nie chce mi się pracować nad moimi uniwersyteckimi piśninami.

Zazdroszczę Ci nie tylko talentu, ale i zwykłej zdolności tworzenia. To znakomita zabawa, gdy spod ręki wychodzi coś nowego, coś, co czasem nas samych zaskakuje, że dobre i udane. No, ale pocieszam się oglądając Twoje obrazy na moich ścianach. Nie ja je wprawdzie stworzyłem, ale zamiast ojcostwa mam własność. A to potrafi jeszcze bardziej cieszyć.

Piotr

Poniedziałek, 18 września 2000

Spróbuję jeszcze jednej techniki, a mianowicie odpowiadania Re, ale z załącznikiem WORD. Re. lub odp. jest o tyle wygodną metodą, że nie muszę powoływać się na Twój tekst, co przy mojej dysleksji angażuje dodatkowy czas i wysiłek. Jeśli się nie uda załączyć załącznika (Tomek nazywał to atachment), to wyślę go jako oddzielny list.

Odpowiadam, że co innego wyjechać do Paryża, na dodatek bez znajo-

mości języka, a co innego pojechać taryfą na godzinę do jakiegoś radia (jest tych stacji teraz w Warszawie chyba ze 20 - ta była na ul. Konopnickiej 6). Inne wyjazdy, jeśli ich bezmyślnie za rok nie przyobiecam, oceniając fałszywie, że i tak do tego czasu albo ja umrę, albo firma, która mnie zapraszała zapomni (na takiej zasadzie byłem w czerwcu w Gliwicach), eliminuję podobnie jak tego psa zaraz na wstępie, w dniu 21 bm.

Będzie w Krakowie wystawa moich prac komputerowych w formacie prawie A1 w ilości 40 sztuk, która ma towarzyszyć Biennale Grafiki i mimo tego, że mnie molestowano o przyjazd, bo będą stacje telewizyjne, radiowe i prasa, i autor musi być obecny, to się wykręciłem. Z powodu radia straciłem dziś cały dzień, bo przed nie pracowałem, gdyż byłem nieco spięty, a po byłem już wyżęty i od dwóch dni w moim dzienniku wpisuję pod swoim adresem uwagi zatytułowane "głupolu, kretynie dlaczego nie odmówiłeś po męsku" i tak dalej, więc nie byłeś wyjątkiem, możesz w to uwierzyć. Czasem komuś udaje się mnie jakoś tak zaskoczyć i potem przeklinając siebie (czyli Chamberlaina) muszę robić coś, czego szczerze nienawidzę, czyli występować, brać udział, odbierać kwiaty etc. List ten zacząłem pisać przed pięcioma godzinami, ale moja samotnia narazona dziś była na liczne odwiedziny i dopiero teraz około godziny 23 mam szansę, by go zakończyć i wysłać. Pozdrawiam
Zdzisław

PS. W międzyczasie nadszedł kolejny Twój message. Moja mina ma wyrażać panikę przed psem. Niestety, aby zrobić zdjęcie, musiałem w rękach trzymać aparat, więc nie mogłem sfotografować, że się nimi zasłaniam, a na robienie fotomontażu zabrakło mi czasu i dostatecznej motywacji.

Środa, 20 września 2000, 13:24

1) Po co Ty stale coś robisz w Twoim mieszkaniu? Czy to obawa przed złodziejami? Na co wymieniać okna i mieć z tym tyle zachodu, problemów i bałaganu?

Wprawdzie i ja obecnie zmieniam sobie kibelek na bardziej luksusowy i dizajnowy, ze spotami w suficie i pięknie narysowanym sraczu, bo mi się stary opatrzył i w ogóle, wraz z Anią, lubimy sobie nieustannie więc

gniazdko. Ale wiem, że Ty do tych spraw nie przywiązujesz wagi. A więc dlaczego?

2) Słuchanie polskiego dziennika i przedwyborczych debat od czasu, gdy mam polską telewizję bawi mnie. Bo Polska stoi na skrzyżowaniu dróg i musi obrać kierunek. To nie to samo, co tutejsza codzienna polityczna paplanina, gdzie kierunek został od dawna obrany i dyskutuje się tylko o detalach codziennego, politycznego życia. Tam u Was chodzi o wybory podstawowe i pytania, jakie sobie zadają ci panowie, którzy reklamują swoich kandydatów na prezydenturę, lub sami kandydaci, są słuszne. Nawet ich sposób argumentacji nie drażni mnie, bo mówią prosto i nie starają się zamydlić problemu pustym gadaniem, które ma uspić słuchacza i pozwolić rządowi spokojnie rządzić bez manifestacji i rozruchów. Jestem tymi polskimi, przedwyborczymi, nocnymi dyskusjami raczej mile rozczarowany (o ile można być mile rozczarowanym). Ja też zadaję sobie takie pytania i wcale nie sytuuję ich na wyższym poziomie. Wstąpić do Unii? Ustalić podatek liniowy? Uwłaszczyć? Jednym słowem jak zrobić pierwszy krok i w którym kierunku?

Nie, nie, wcale nie wybrzydzą i z ciekawością słucham. O ile polityka francuska interesuje mnie tylko wtedy, gdy szykuje się jakaś gruba sprawa sądowa o korupcję i kwestia jest, kogo wsadzą i na ile, o tyle (przynajmniej na razie, zanim całkiem nie przywyknę) polskie spory rzeczywiście mnie interesują.

3) Gra na giełdzie jest interesująca jak się w nią wejdzie, jak się na niej człowiek zna, a to jeśli czyta informacje, śledzi rozwój krzywych i statystyk, patrzy codziennie na rezultaty itd. Ale ma to sens tylko wtedy, gdy w ogóle ktoś lubi grać. Mnie już okres hazardu minął. W młodości jeździłem po wszystkich kasynach Francji (w Paryżu nie ma rulety), by grać z moimi marnymi groszami, które zarabiałem jako popychacz dekoracji w Lido. Dziś nie ciągnie mnie do kasyna nawet, gdy jestem z Anią na dzień w Dauville (najbliższy Paryżowi kurort nad kanałem La Manche). Po prostu mi minęło. Toteż na giełdzie nie gram, w pełnym tego słowa znaczeniu. Nie zmieniam rozkazów danych maklerowi, nie przerzucam pieniędzy z akcji jednego przedsiębiorstwa na akcje drugiego, nie sprzedaję tu, by natychmiast zainwestować tam. Po prostu kupiłem akcje przedsiębiorstwa, które wydaje mi się bardziej już upaść nie może i któ-

rego akcje stoją na tak podłym poziomie, że niżej zejść nie mogą. Liczę więc, że mogą tylko (skromnie) pójść w górę. A na dodatek inwestuję na siedem lat z góry, rezygnując z ewentualnych zmian w międzyczasie. To raczej rodzaj odkładania pieniędzy na książeczkę oszczędnościową na mały procent, niż prawdziwa gra na giełdzie.

W sumie, jak to słusznie powiedziałeś, na starość maleje potrzeba na pieniądze, a rośnie potrzeba na spokój. Toteż zamiast gry i emocji wolę małe dochody z PKO lub czegoś, co PKO bardzo przypomina.

Piotr

Wtorek, 19 września 2000, 23:26

Armagedon na horyzoncie

Przez dwa dni nie będę zapewne mógł odpowiedzieć, bo dopiero znalazłem chwilę czasu, gdyż po powrocie z zakupów gotuję sobie żarcie na 5 dni.

Od jutra od 6 rano zaczynają mi wymieniać dwa ostatnie okna. Około godz. 17 przyjedzie zanocewać kuzyn z Sanoka, bo jutro ma zebranie. W czwartek, po wyjeździe kuzyna, generalne sprzątanie i nowa sprzątaczką, którą trzeba będzie pouczyć, by nie wycierała na mokro głośników i nie sikala z aerosolu PRONTO na obrazy. W piątek może odetchnę. Musiałem jeszcze późnym wieczorem zrywać Grzeška Gajewskiego z kortu tenisowego (to dyrektor TV POLONIA, którą być może oglądasz właśnie w Paryżu), by mnie podrzucił do LEROY MERLIN i pomógł przywieźć stamtąd folię do zabezpieczenia jutro wszystkiego przed kurzem. W tej chwili już tylko oczekiwanie na Armagedon. Na dodatek zepsuł mi się Macintosh i muszę pisać na klawiaturze QWERTY.

Giełda mnie nie nudzi, ale kompletnie się na tym nie wyznaję, natomiast polscy politycy, jak też polityka w ogóle, nudzi mnie wręcz koszmarnie. Jak w ogóle można oglądać nasze Dzienniki? Cześć.

Zdzisław

Środa, 20 września 2000

Drogi Piotrze,

Wyjaśniam (o ile jeszcze tego nie mówiłem i nie pisałem), że wymieniłem okna bo wymiana w mojej pracowni, ale i w innych pokojach jest nieporównywalnie trudniejsza niż w zwykłych mieszkaniach, w mojej pracowni była to wręcz robota konserwatorska, gdyż trzeba było omijać sztalugi i dziesiątki kabli etc. Bez rozwalania wszystkiego. Zrobiłem to, by ubiec spółdzielnię, która w niektórych blokach przeprowadza to taśmowo przy użyciu pana Stefka i pana Władka, którzy kurwa nie majom czasu by się u pana kurwa pieprzyć z takim gównianom robotom tylko musiem lecieć kurwa dalej i jeszcze cały pion dziś obskoczyć, a nie obskoczem jak się kurwa tu zajebiem z tom chujowom robotom, to panie tak kurwa nie można zabudowywać i tak dalej i tak dalej.

To by było oczywiście taniej, gdyby robiła spółdzielnia, ale ja sobie to zrobiłem w dwóch podejściach, najpierw jedną stronę budynku, a teraz drugą, by mieć gdzie schować meble i inne łątwo niszczące się graty. Nie wiem na kiedy spółdzielnia może zaplanować ten Armagedon w naszym bloku, ale wiem jak to przeżył jeden z mych kumpli, który jest zagracony podobnie jak ja, a nie miał dosyć szmalu, by ubiec tak jak ja nadciągającą katastrofę. Ściągnęli go telefonogramem z Berlina, gdzie pracował, bo na czwartek, należy przygotować front pracy dla panów Stefka i Władka. Facet zawiesił robotę w Berlinie na kolku, przyjechał do Warszawy i przez trzy dni rozkręcał regały i inne zabudowy, po czym przez trzy tygodnie czekał wśród prowizorki w rozkręconym mieszkaniu na ekipę, bo im się coś zmieniło w harmonogramie, aż wreszcie wyjechał ponownie do Berlina, skąd znowu go ściągano, ale już miał to w dupie, na skutek czego płaci teraz jakąś karę, a sprawa jest nawet w sądzie, w całym bloku naprzeciw Ogrodu Saskiego, jedyne nie wymienione okno, to jego okno.

Mam nadzieję, że Ci wyjaśniłem, okna już wstawione. Na razie!

Zdzisław

Sobota, 23 września 2000, 12:32

Kilka dni temu pisałem Ci, że interesuję się polityką francuską tylko

wtedy, gdy szykuje się jakaś gruba rozróżba na temat korupcji lub innych oszustw. A tu w dwa dni potem bomba: nareszcie jest dowód, że Chirac uczestniczył w nielegalnym finansowaniu swojej partii. Polska prasa na pewno coś na ten temat mówiła, więc nie wchodzę w szczegóły. Po prostu wymuszali oni, tak zresztą jak i komuniści, (co powoduje, że Hue, Sekretarz Partii komunistycznej broni w tej chwili honoru Chiraca, bo obaj są w tej samej kąpielii) łapówki od przedsiębiorstw w zamian za powierzanie im wielkich prac w przedsiębiorstwach i przedsięwzięciach państwowych lub komunalnych.

Ale ponieważ wszyscy są w tym pomoczeni, to zaraz sprawie leb ukręcili. Już dziś w informacjach nie było o sprawie ani słowa. Tylko te narzekania: "Jak to tak można?! Tak oskarżać biednego Chiraca, to kloaka, to niegodne, do czegośmy upadli!" Etc.

Druga bomba: kilka tygodni temu zainwestowałem w akcje Eurotunelu mówiąc sobie, że nie mogą spaść niżej, a mogą tylko wzrosnąć. Już spadły 14 następnych procent i gdybym dziś je sprzedał to bym już stracił 33 tysiące franków.

Kiedyś, już przed laty, zrobiłem podobny numer: kupiłem akcje przedsiębiorstwa, które zajmowało się pośrednictwem pracy. W miesiąc potem doszli do władzy socjaliści i tak zreformowali rynek pracy, że akcje mojego przedsiębiorstwa zaczęły lecieć na pysk. Gdy straciły już połowę wartości zadzwoniłem do Ani z Polski, żeby je sprzedała. Dosłownie w dwa dni po sprzedaży, akcje zaczęły rosnąć. Po trzech latach wzrosły sześciokrotnie.

Jak widzisz, mam głowę do interesów.

Jak Ci się żyje z nowymi oknami?

Piotr

Sobota, 23 września 2000

Drogi Piotrze,

Rzecz w tym, że nic nie wiem, bo nie słucham radia, nie oglądam telewizji i nie czytam gazet. Przed godziną był u mnie mój kolega ze studiów, cały nabuzowany, bo podobno ktoś z ludzi króla lub koni króla narozrabiał i musiał się podać do dymisji. Słuchałem z uprzejmym uśmiechem, kiwając nawet czasami głową nad tym wszeteczeństwem jakie nas otacza,

ale już w tej chwili nie potrafiłbym powiedzieć o co szło. Z Kamasutry, którą studiowałem jeszcze w dzieciństwie, zapamiętałem tylko dwie rzeczy, bo mnie rozbawiły, czym zajmuje się światowiec przed południem (bo po południu jak wiadomo dupczy) i jakie są metody na powiększenie rozmiarów swego fiuta. Otóż światowiec przed południem powinien się zabawiać z kozą lub z papugą. Dziś światowiec ma jeszcze od biedy do dyspozycji papugę, którą można nabyć w sklepie zoologicznym, ale już z kozą byłyby pewne kłopoty, szczególnie w wielkim świecie. Tak więc dzisiejszy światowiec zabawia się polityką. Nie sądzę, by z innych zapamiętanych przeze mnie szczegółów interesowało Cię jeszcze powiększanie własnego fiuta, ale donoszę, że służy do tego celu maść zrobiona z robaczek, które żyją w koronach wysokich drzew. Bliższych szczegółów dotyczących zarówno robaczek jak i drzew Kamasutra niestety nie podaje, ale zawsze gdy widzę jakiegoś faceta na topoli, jestem prawie pewien, że to jakiś miłośnik filologii orientalnej, z niską samooceną, właśnie poszukuje mitycznych robaczek.

Z nowymi oknami żyje mi się tak samo jak ze starymi. Cytując poetę: Cząstka pracy wykonana... Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Poniedziałek, 25 września 2000, 21:04

Ponieważ nie śledzisz wiadomości politycznych (o ile mają one cokolwiek wspólnego z Polityką przez duże P), to najfajniejsze Ci ucieka. Nie wiesz więc zapewne, że jeden z waszych ministrów musiał przedwczoraj podać się do dymisji, ponieważ pocałował ziemię po wyjściu z helikoptera, przedrzeźniając Jana Pawła II. A tu go ktoś sfilmował i klops.

U nas zaś okazuje się, że dowód o korupcji Chiraca, o którym Ci wspominałem, to znaczy wideokaseta ze spowiedzią jego skarbnika, który wszystko opowiedział w detalach jak brali łapówki, po czym zmarł, odbyła długą drogę zanim trafiła do prasy. Początkiem tej drogi był adwokat owego skarbnika, który był obecny przy nagraniu kasety. Jak skarbnik zmarł, adwokat wszedł w posiadanie kasety, udał się do ówczesnego ministra ekonomii, pana Strauss Khana, socjalisty i powiedział mu: niech Pan spuści

jednemu z moich klientów, niejakiemu Lagerfeldowi, ukaranemu 200 milionami franków grzywny za niepłacenie podatków, a ja Panu w zamian dam w prezencie tę kasetę. Jest tam mały fragmencik o pańskim wrogu, panu Chiracu.

Po czym pan Strauss Khan poczekał kilka lat i parę dni temu, na rok przed wyborami prezydenckimi, do których będzie stawał pan Chirac, czyli tak żeby było a propos puścił cichaczem kasetę do prasy.

No, ale wydało się przy tym, że miał ją przez trzy lata w kieszeni i nie zawiadomił o tym Wymiaru Sprawiedliwości. A to jest przestępstwem. Bo we Francji jak się ma dowody jakiegoś oszustwa (w tym wypadku korupcji Chiraca) to obowiązkiem jest wydać ten dowód sędziemu śledczemu.

Tak więc, pan Chirac z oskarżonego stał się oskarżycielem. To on i jego poplecznicy triumfują dzisiaj. A socjaliści, z panem Straussem Kahanem na czele, stali się oskarżonymi.

Następne odcinki opowieści w najbliższych dniach.

Piotr

Wtorek, 26 września 2000, 10:00

Drogi Piotrze,

Nie tylko Ty, ale wszyscy uważają, że najlepsze mi ucieka. Tyle, że w zależności od pochodzenia, wykształcenia, inteligencji, płci i doświadczenia życiowego, lokują to najlepsze w rozmaitych miejscach. Wczoraj poczynając od godziny 23:05, odebrałem 84 minutowy telefon (uszcześliwia mnie tymi telefonami jakaś pani z Krakowa, która podaje się za pisarkę), którego pierwsze 40 minut poświęcone było lamentowi nad tym, że Paul Mac Cartney ponownie się zeni i usidliła go jakaś jednonoga awanturka i cały kulturalny świat jest przeciwny, co miałem kompletnie w dupie, bo małżeństwo Mac Cartneya, jak też noga i morale jego przyszłej żony, to ich prywatne sprawy, a na dodatek dzieją się poza kontynentem. W końcu skończyła o Mac Cartneyu, a zaczęła o tym, że jako gospodynię domową powinienem zatrudnić bratanicę żony, o której mówiłem jej, że jest moją muzą (!?!). Tu zdecydowałem, że tego już za wiele i powiedziałem babie, że to są konfabulacje, które świadczyć mogą - o ile są wygłaszane

w dobrej wierze, o poważnie zaawansowanej paramnezji. Ona oczywiście tę bratanicę widziała w swoich wyobrażeniach jako pannę i uświadomienie jej, że od 10 lat jest zamężna i ma dwoje dzieci, najwyraźniej zbilo ją z pantalyku i bardzo szybko zamknęła temat, wracając na bezpieczny grunt Mac Cartney'a. Tak więc jak widzisz ja mam też (jestem jak w FERDYDURKE gwałcony przez uszy) dostęp do kroniki towarzyskiej na poziomie magła.

O całowaniu ziemi wspomniałem w sposób nieco zakamuflowany w poprzednim liście. Kolega mi o tym doniósł. Każdy stara się jak może.

A propos: Wojtyła sam siebie wpędził w maliny, bo gdy pierwszy raz przyjechał do Polski, ucałował ziemię polską spontanicznie (gdy oglądałem to na żywo, myślałem, że się potknął i wyrzucił lub ktoś do niego strzelił). Gest ten nie został zrozumiany na świecie i od tej pory w każdym kraju oczekiwano, że pocałuje ziemię, tak więc jako urzędnik stał się niewolnikiem swego prywatnego gestu. Były sekretarz Partii Oleksy, przed paru laty przed wyborami, sfilmował się na klęczniku na Jasnej Górze jak modli się o dobro Rzeczypospolitej. Każdemu politykowi wiadomo, że kupić trzeba przede wszystkim durniów, bo oni stanowią w ustroju demokratycznym sól tej ziemi i potęgę materializującą się w kartce wyborczej. Chodzi o to, że sami czasami stają się w swych gestach głupszy od tych durniów, których głosy chcieliby kupić.

Za chwilę wychodzę na spotkanie w Bibliotece Narodowej. Nawet nie wiem z kim mamy się tam (ja i kilku innych autorów wydawanych przez BoSz) spotykać, ale wydrukowane są zaproszenia i kupiłem sobie nawet wczoraj nowy sweter, bo na poprzedni rzygnął mi (w trakcie nagryzania) majonez z Whoopera.

Pozdrowienia. Zdzisław

Środa, 27 września 2000

Drogi Piotrze,

Zadziwiasz mnie przysłuchiwaniami się debatom przedwyborczym w Polsce. To rejon Europejski ubogie w jod, stąd znacząca jest ilość kretynów, którzy chcą pretendować do tronu królewskiego. Ubiegłą debatę prezydencką przed chyba 4 laty, nagrywałem w całości na VIDEO, bo chciała jej użyć do jakiejś pracy moja kuzynka psycholog i socjolog, która zresz-

tą umarła przed rokiem na raka. Z konieczności musiałem zapoznać się z "obrzeżem umysłu" (jak mówią buddyści) Leszka Bubla i innych prezydentów. NIGDY WIĘCEJ! Zdaję sobie sprawę, że dla Ciebie to na razie egzotyka i rodzaj prowincjonalnego cyrku, ale ja mam już całkowicie dość. Wolę już oglądać galaretowate stwory z kosmosu lub walkę Dobra ze Złem (anioły z demonami) przy użyciu kickboxingu i okrzyków fakkkofff, szyyttt w metafizycznej produkcji made in Hollywood, mimo iż nie jest to mój ulubiony gatunek, zapewniam, że im dalej, tym będzie głupiej i weselej.

Pozdrowienia Zdzisław.

Niedziela, 8 października 2000, 16:33

No to spełniłem obywatelski obowiązek. Głosowałem. Oczywiście na Kwaśniewskiego. Okazało się, że polska demokracja pozbyła się, choć w części, polskiej biurokracji: wystarczyło, że pokazałem w ambasadzie paszport i dowód zamieszkania w Paryżu, a zaraz mnie wpisano na listę i dano papierek do urny. Wprawdzie ogarniający mnie tłumek polskiej gawiedzi, która czekała na swoją kolejkę, ten Zbyszek, ta Maryśka i ten Zenek pokrzykujący do siebie, napawali mnie zmiennymi uczuciami, w których wrażenie obcości górowało: co mnie z tymi ludźmi łączy? Co ja tu z nimi robię? Co mnie obchodzi Ci współbratymcy?

A poza tym głosować w ramach narodowych to czyn patriotyczny, my, Państwo, Bóg, honor i Ojczyzna. Wszystko, czego nie znoszę. No, ale głosowałem, jak nawróceni chodzą do kościoła: skwapliwie. Dawny skrajny lewak stałem się dziś zagorzałym obrońcą demokracji, liberalizmu i wolności słowa. Co pozwala mi na naturalne przejście do Twego mocno kontrowersyjnego zapytania, czy większa jest szansa, że w rządzie miałby rację Einstein czy dwie babki klozetowe.

Po pierwsze rzadko zdarzają się u władzy Einsteiny. Zazwyczaj te wielkie umysły, które potrafią przewidzieć przyszłość i mądrą ręką sterować losy narodów to Staliny, Hitlerzy, Milosewicze i inne Saddamy Husseiny. Tak więc Twój argument jest z lekka demagogiczny.

Po drugie, na to by Einstein znalazł się u władzy, jakoś do niej musi dojść.

Bo tak od razu na stół nie wejdzie. A jaką drogą, pytam? Wskazany palcem Pana Boga, namaszczonego w Reims i ukoronowanego przez z góry przekonany ludkę? Lub dokoptowany przez już siedzących na stołkach innych Einsteina (a jak oni doszli do stołków?)? A może waląc pięścią w stół i robiąc mały zamach stanu?

Tak czy inaczej droga wyborów naszego Einsteina przez babki klozetowe zostaje jedyną, jaką można jeszcze jako tako zaakceptować.

Po wtóre na to, żeby rządzić ludkiem trzeba jakoś ten ludkę sobie pozyskać. Nawet z bicepsami kulturysty Twój Einstein sam wszystkiego nie zrobi. Trzeba mu ludka, bo ludkę ma kilkadziesiąt milionów bicepsów. A dziś samemu niewiele się robi. Nawet Einstein z głową Marksa niewiele mógłby zdziałać. Tak zresztą myśleli nasi panowie z czasów komuny: wystarczy Partia i Politbiuro. Nie trzeba nam pozyskać sobie inteligencji, nie trzeba nam pozyskać sobie naukowców, nie trzeba nam przedsiębiorców, nie trzeba nam artystów. Sama klasa robotnicza pod przewodnictwem kilku Einsteinów z Politbiura wszystko zrobi.

Otóż Einsteiny mają to do siebie, że zazwyczaj nie mają daru zjednywania sobie ludka. A charyzmatyczni politycy, wybrani większością głosów, daleko łatwiej sobie go zjednują. I wtedy wspólnymi siłami...

Potem dochodzi najważniejsze: spokój. Einsteinowie mają to do siebie, i to ich druga cecha, że nie tylko nie umieją sobie zjednywać ludku, ale na dodatek dochodzą do władzy szubienicami i obozami koncentracyjnymi. Czym po pewnym czasie zniechęcają sobie nawet ich pierwotnych entuzjastów i na koniec wszyscy ich nienawidzą. Po czym tylko czekać na Bukareszt i egzekucje Einsteina i jego żony, niejakej Heleny, też Einstein, ba, nawet profesora uniwersytetu. A przecież wybrany przez dwie babki klozetowe Clinton jakoś się trzyma i nikt mu na gardło nie dybie i wszyscy się jakoś na niego godzą, nawet jeśli go nie kochają. Tylko uludne wrażenie babek klozetowych, że uczestniczą we władzy uczestnicząc w wyborach ichniego Einsteina powoduje, że nie myślą całymi nocami, jakby mu tu trucizny wlać do herbaty i jak się go pozbyć.

A na koniec powtórzę Ci to, co Ci odpowiedziałem na argument dwóch babek klozetowych, który mi nieopatrzenie zaserwowałaś. Zapytałaś więc, przekonany że przed takim argumentem, taką ewidencją, taką mądrością nikt nie się ostoi: kto ma większą szansę na rację, Einstein czy dwie babki

klozetowe? Powtarzam to, co powiedziałem w Warszawie: na krótką metę to czasem rację mają Einsteiny. Ale praktyka pokazuje, że na długą mają rację najczęściej dwie babki klozetowe, bo na ogół rację ma kolektyw. Tym bardziej, że polityka to nie równania matematyczne, gdzie jedna głowa może wszystko rozwiązać. To spłot wielu najróżniejszych spraw wymagających wielu najrozmaitszych zdolności do ich rozwiązywania. A tu na długą metę kolektyw jest na ogół, (podkreślam - na ogół) lepszy od Einsteina. Oczywiście, jeśli nie jest to kolektyw dyktatorów z Politbiura.

2) Ogromnie się cieszę z nabytego od Ciebie obrazu. Raz, dlatego że jest znakomity. A dwa dlatego, że wydawało mi się, że już wydałem na siebie wyrok śmierci. Bowiem przestałem bogacić mą kolekcję, a zacząłem ją wyprzedawać (choć na razie z mniej mnie interesujących pozycji). To tak jakbym uznał, że już nie ma co budować przyszłości, a trzeba pomyśleć jak najwygodniej dożyć reszty, która mi pozostała.

Tak więc, nowy zakup wywołuje u mnie wrażenie, że odżywam i że znów coś planuję, znów coś zamierzam, że nie eksploatuję, tylko na nowo inwestuję.

I to tyle. Ściskam.

Piotr

Niedziela, 8 października 2000

Drogi Piotrze,

Jak widzę z Twego obszernego listu, mamy dziś wybory. Nie miałem o tym pojęcia, ale gdybym miał, to też bym nie poszedł. Gównu mnie to wszystko obchodzi. Jeśli bym głosował to, podobnie jak Ty, głosowałbym na Kwaśniewskiego. Ale on doskonale poradzi sobie bez mojej pomocy, a mnie się po prostu nie chce. W poprzednich wyborach bałem się Kwaśniewskiego, a właściwie nie tyle jego, ile jego elektoratu i tego, że zarówno prezydent jak i rząd będą w rękach ludzi, którzy będą zmuszeni liczyć się ze swoim elektoratem, a ten elektorat (szczególnie na prowincji) nastawiony był z jednej strony na rewanż, a z drugiej na powrót dawnych, dobrych czasów komuny, systemu kartkowego etc. W końcu zdarzało mi się rozmawiać z ludźmi. Kontrkandydatem Kwaśniewskiego był Wałęsa

i tylko Wałęsie zawdzięcza Kwaśniewski, że w ogóle wstrzymałem się od głosowania w drugiej turze (w pierwszej głosowałem na Kuronia). Ponad moje siły było głosować na Wałęsę, a Kwaśniewskiego się obawiałem. O ile pamiętam wspomniałem Ci o tym w jednym z listów. Dziś nie miałbym oporów w głosowaniu na Kwaśniewskiego, ale na Boga nie potrzebuje on mojej pomocy. Polskiej prawicy znieść nie mogę, inne orientacje nie liczą się procentowo, zresztą też nie ma wśród nich nikogo, z kim mógłbym się utożsamiać.

Mój przykład z dwiema babkami i jednym Einsteinem, zrozumiałeś na tyle opacznie, na ile tylko było można, skąd płynie wniosek, że gdy dwóch mówi z pozoru to samo, to każdy rozumie to po swojemu. Nie ma między nami różnicy poglądów w tych kwestiach, które mi w swym liście wyluszczaś. Dając ten przykład, chciałem Ci uzmysłowić, że politycy jeśli chcą wygrać demokratyczne wybory muszą przekonać do siebie babki klozetowe i im podobnych, po prostu dlatego, że stanowią one przytłaczającą większość, a szkoda czasu na to, by przekonywać pozostających w mniejszości Einsteinów, którzy i tak zostaną przy swoim zdaniu, a na dodatek każdy z Einsteinów przy innym i to, czego słuchasz w telewizji, nie jest adresowane do Ciebie (doceń fakt, że postawiłem Cię wśród Einsteinów). Ponieważ (jak zwykle) zareplikowałeś zanim skończyłem, powstało nieporozumienie. Zaręczam, że każdy z tych polityków, nawet ci, którzy mają nadzieję coś zyskać na kretyńskim antysemityzmie, mówiłby inaczej, gdyby siedział razem z nami w pokoju i tekst byłby przeznaczony tylko dla nas. Czyli wniosek, do którego zmierzałem był taki, że szkoda słuchać przedwyborczych debat politycznych w telewizji, bo są przeznaczone dla ludu bożego. Howgh.

Poza tym wybory już za mną, bo minęła godzina 20, a do tej pory był u mnie Lonty z żoną, i w związku z przeniesieniem terminu mojej wystawy u Wahl na kwiecień, zaczęliśmy omawiać ewentualną niehandlową wystawę u niego w zimie. Pięknie pozdrawiam Was oboje.

Zdzisław

Środa, 11 października 2000, 0:23

Informacje dostałem. Dziękuję.

Dlaczego mówisz, że do aparatu wkłada się "kostkę", a nie "dyskietkę", skoro ja na własne oczy widziałem małą dyskietkę (mniej więcej dwa na dwa centymetry z maleńką "pucę" metalową), którą właśnie pokazywał sprzedawcy jakiś klient skarżąc się, że już po czterech użyciach nie działa? Ile zapłaciłeś za swój aparat? Fnac żąda ode mnie 665 dolarów. Czy warto więc szukać kupna innymi drogami, czy też jest to mniej więcej cena za jaką Ty kupiłeś swój?

Piotr

Czwartek, 12 października 2000, 10:35

No i wszystko teraz jest jasne: aparatu cyfrowego nie kupię.
Pozdrawiam. Piotr

Warszawa, sobota 14 października 2000

Drogi Piotrze,

Dzwonił do mnie przed chwilą Szymanik. Chodzi o planowany album, do którego wejść by mogły także prace, które są w Twojej kolekcji. Mea culpa! On dzwonił do mnie także w tym dniu rano, gdy byliście po raz ostatni i miałem z Tobą porozmawiać, ale o ile sobie przypominasz, był jakiś młyn, a w każdym razie zbyt wiele spraw jak na głowę tak samotnie na co dzień żyjącego faceta jak ja (fachowiec od odpowietrzenia kaloryferów w mieszkaniu syna, Grzesiek i jeszcze ktoś) i po prostu kompletnie zapomniałem, że miałem z Tobą porozmawiać na ten temat.

Ponieważ i Ty wspominałeś, że chciałeś skontaktować się z Szymanikiem, to donoszę, że on chce wydać ten album albo na wiosnę, czyli na koniec kwietnia, tak aby mógł zaistnieć na wiosennych targach książki, albo jesienią we wrześniu, by mógł być eksponowany na krakowskich i frankfurckich targach książki. Ja, nauczony doświadczeniami (zawsze było na ostatnią chwilę i nigdy nie było czasu na dodatkową korektę) doradzałem jesień. Szymanik chciałby, by w albumie znalazł się inny zestaw prac niż

w znanym Ci albumie BoSz, a więc także prace będące w Twojej kolekcji. Wydaje mi się, że zaczął akceptować to, iż tym razem musiałby poprzestać na materiałach jakie już są, bo nie ma warunków do powtórnego fotografowania. Zaslaniał się trochę Jutrzenką, który jest właścicielem przygotowanej, że Jutrzenka chce by skanował wszystko jeden pracownik, na jednym typie skanera, aby nie było rozrzutu jakościowego, ale przypomniałem mu, że ostatnio wcale nie dało to najlepszych rezultatów i najlepszym rozwiązaniem byłoby takie (o ile wszystko nie będzie robione w ostatniej chwili i na hurra), że gdy Jutrzenka zeskanuje cały materiał, to dostarczy CD ROMy do mnie i ja (wprawdzie z pamięci) dokonam na nich autorskiej korekty kolorystycznej i walorowej. Nie mogę zaręczyć, że wszystko zrobię cacy, że wszystko da się zrobić i że nie będzie odchyłek, ale na pewno mogę zaręczyć, że nie będzie czegoś takiego jak w ostatnim albumie, gdzie kolory w ogóle odbiegały od oryginałów. Poprzednio nie chcieli mi tego materiału wydać, bo nie było już czasu, a poza tym wyczuwałem, iż Jutrzenka nie dowierzał mi, że potrafię to zrobić. Skontaktuj się więc jeśli chcesz z Szymanikiem, bo on jakoś lęka się do Ciebie zwrócić jako pierwszy. Namiary na niego...

Myślę, że gdy już dysponujesz mailem, to najwygodniej będzie napisać maila. Ma też telefon domowy, ale tam trzeba się łączyć przez ręczną centralę w Olszanicy - to zupełny koniec świata, ustalcie ewentualnie szczegóły, według Szymanika ma to być ten sam format w jakim wydał poprzedni album, natomiast nie chciałby powtarzania materiału - zresztą to wszystko jeszcze jest nieostre. Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Warszawa, poniedziałek 16 października 2000

Drogi Piotrze,

Ja się w takim razie nie będę wtrącał ze swymi sugestiami, bo poprzednio z tego co mówiłeś zrozumiałem, że nie będziesz stawiał ograniczeń w wyborze slajdów z Twojej kolekcji. Jeśli to mają być głównie prace z okresu 1991-1994, to nie był to (poza szaro niebieskimi akrylami) najszcześniejszy okres w mojej twórczości, a przede wszystkim (jeśli brać pod uwagę

nawet te akryle), nie był to okres handlowy (jeśli szłoby o album), a z tego co mi mówił Szymanik lub z tego, co jak mi się wydaje, rozumiałem: chodziło mu o to, by w albumie w jakimś tam decydującym sensie dominował walor handlowy, bo to się musi sprzedać, a rynek jest potwornie nasycony. Ponieważ mają do tego albumu wejść w zasadzie inne prace niż te w poprzednim albumie, to już prawie nic nie zostaje z koncepcji marketingowej. To bowiem, co obecnie robię przez ostatni rok i to, co chciałbyś udostępnić Ty, oraz to, co mogę jeszcze dać w formie slajdów z okresu 1995-1999, a co jeszcze nie weszło do albumu poprzedniego, spowoduje ukazanie się na rynku albumu przypominającego wydany przez Ciebie album "Peintures et Dessins 1987- 1991". Oczywiście nie twierdzę, że był to album zły i nie twierdzę też, że album, który by się w proponowanym przez Ciebie układzie ukazał, byłby albumem złym, ale śmiem twierdzić, że byłby - marketingowo rzecz biorąc - strzałem na aut. Powtarzam, że nie będę się już wtrącał, bo wreszcie zarówno Szymanik jak i Ty jesteście dorośli i podejmując decyzje odpowiadacie za nie przed Bogiem, Ojczyzną, Historią oraz własnymi portfelami, natomiast nieśmiało proponuję, byś spróbował zrewidować własną decyzję. Nie wiem ile jeszcze posiadasz egzemplarzy albumu koreańskiego i jakie masz w ogóle szanse na sprzedaż tych egzemplarzy, które zalegają Ci już około 15 lat. Album ten jest za drogi na rynek polski i będzie się rozchodził w tempie ślimaczym, o ile w ogóle jeszcze znajdzie nabywców. Nie zgadzając się na udostępnienie slajdów, będących w Twoim posiadaniu, zaprzepaszczasz szansę szerokiego rozpropagowania w Polsce swojej kolekcji, a kilkakrotnie już wyrażałeś się do mnie z goryczą, że nikt nie powołuje się na tę kolekcję, tak jakbym był temu winien. Wreszcie podobno Glinicki ma sporą ilość slajdów należących do Ciebie prac, więc nic nie będzie stało na przeszkodzie, by Szymanik zwrócił się do niego: adres jego dostał ode mnie jeszcze przed rokiem, gdy kocił się poprzedni album i chodziło o zdjęcia prac z Muzeum sanockiego, ale on wtedy wolał, by je zrobił Rosikoń. Oczywiście nie wiem co ma Glinicki, bo nie miałem z nim kontaktu (poza dwoma telefonami) przez około 5 czy 6 lat, a może i dłużej. O ile jednak pamiętam robił co najmniej jeden komplet zdjęć dla siebie i, o ile ich nie roztrwonil, lub nie pogubił, to zapewne nadal wszystko ma. W ostatnim numerze jakiegoś damskiego miesięcznika pod dziwnym tytułem URODA, był

wywiad ze mną (wywiad bez znaczenia - taki jak do babskiej gazety) i też były tam dwie prace z Twojej kolekcji (oblapiające się mumie i nogi na krześle) ale nikt nie napisał skąd mieli zdjęcia. Oczywiście może da się z albumu zeskanować wyciągi barwne - nie znam się na tym, w końcu nie były to duże reprodukcje lecz tylko ilustracje w tekście, ale nie wykluczam też, że udostępnił je Glinicki. Poddając Szymanikowi pomysł skorzystania z Twojej kolekcji, mniemałem, że sprawi Ci to frajdę i że chętnie na to przystaniesz, a jedyny szkopuł upatrywałem w tym, że Szymanik zawsze naciskał, by wszystkie fotografie robił jeden fotograf. Gdy udało mu się tą ideę wyperswadować, myślałem, że nic już nie stanie na przeszkodzie w wydaniu albumu prac nieznanych w Polsce, a na dodatek podobających się szerokiej publiczności. Gdybym przypuszczał, że tego nie chcesz, nie zaczynałbym w ogóle gadki na ten temat z Szymanikiem. Teraz się bo wiem wszystko zabełtało.

No nic. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

16 Października 2000, 12 :36

Załącznik (nowy obraz).

**obraz znajduje się na stronie xxx*

Warszawa, 17 Października 2000, 08:57

Drogi Piotrze,

Przepraszam, ale wczoraj gdy pisałem list do Ciebie, temat główny do tego stopnia mnie pochłonął, że w ogóle zapomniałem odpowiedzieć na pozostałe pytania.

A więc do Ektachromów, to ja stanowczo nie chciałbym być pośrednikiem, lecz proponowałbym byś kontaktował się bezpośrednio z Szymanikiem. Ja dostanę dopiero od niego zeskanowane obrazy na CDR do retuszu i poprawy kolorystycznej.

Co do wernisazu u Wahl to dopiero od Ciebie dowiedziałem się, że był. Kompletnie o nim zapomniałem. Przepraszam, ale to już prawo wieku podeszłego.

Zdjęcie każdego obrazu jaki namaluję, chętnie Ci prześlę, ale mówiliśmy już o tym, że na razie muszę odbudować swój zapas obrazów na ewentualną wystawę u Wahl. Poza tym nie każdy obraz będę chciał sprzedawać, a już szczególnie i każdorazowo dotyczy to tego, co w danym momencie jest aktualnie malowane. Po pół roku moje preferencje ulegają zazwyczaj albo utrwaleniu albo zmianie, ale MUSZĘ mieć tą świadomość, że "maluję dla siebie", bo inaczej zacznę malować coraz gorzej, co w końcu obaj już przerabialiśmy. Obrazu, o którym mówisz jeszcze nie skończyłem. Obecnie maluję dłużej niż dawniej i jeden obraz średnio od 2 tygodni do 3 tygodni, a czasem nawet cały miesiąc. Gdybym malował nie dla siebie, to dawno bym już ten obraz skończył, a tak przed dwoma dniami wziąłem się za przerabianie całej prawej partii, chciałbym go sobie zostawić, ale jak już pisałem w ciągu pół roku ta preferencja może (aczkolwiek nie musi) ulec zmianie. W każdym razie gdy tylko skończę, to wyślę Ci fotkę taką, jaką się o tej porze roku da wykonać.

Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Wtorek, 17 października 2000, 14:04

Widzę, że nastąpiło nieporozumienie.

Ty sądziłeś, że mi zależy na publikacji byle jakich obrazów z mojej kolekcji, które Ty byś dowolnie wybrał. Ja sądziłem, że będę mógł nabywać w pierwszej kolejności każdy Twój nowy obraz bez żadnych ograniczeń. Może byśmy się jakoś dogadali: Ty byś mi sprzedał obraz, który chciałeś zatrzymać ze względów sentymentalnych, a ja zostawiłbym wolną rękę każdemu, kogo wskażesz do wyboru reprodukcji i udostępnił mu wszystkie posiadane przeze mnie ektachromy? Poszedłbym nawet dalej i jeśli trzeba, wyciągnąłbym wszystkie obrazy, odpakował je (wszystkie są szczelnie opakowane w folię) i pozwolił je sfotografować.

Piotr

Wtorek, 17 października 2000, 17:52

Kochany Piotrze, błagam na kolanach: nie wracajmy już do niezapomnia-

nych układów "coś za coś". Postęp w dziedzinie albumu tak, jak uważasz za słuszne. Ja nie pisnę już ani słowa. Mogę Ci przysiąc na kolanach (jak widzisz padam nieustannie na kolana), że pomysł zwrócenia się do Ciebie w sprawie albumu podsunąłem Szymanikowi ja, myśląc, że robię Ci tym samym frajdę i że tylko czekasz na propozycję, by rozpropagować swoją kolekcję w Polsce, ewentualnie tam, gdzie trafi ten album. Nie wyszło i nie zrobiłem frajdy, tylko faux pas. Przepraszam, chociaż nie mam za co i zapomnijmy o tym. Trzymajcie się kupy.

Zdzisław

Wtorek, 17 października 2000, 22:20

O.K.

Piotr

Warszawa, czwartek 19 października 2000

Drogi Piotrze,

Tak jak obiecałem wysyłam fotkę obrazu, który miejmy nadzieję, że dopilowałem do końca*. Niestety kolory nie za bardzo przypominają prawdziwe, bo pora roku jest taka, że fotografowanie bez lampy błyskowej sprawia problemy. Znowu przez najbliższe dni nie będę mógł malować, bo jutro bawić tu będzie dawny przyjaciel Tomka z Holandii, który urodził się bez nóg i ma władzę tylko w jednej ręce, a i to nie bardzo. Gdy go tu jego holenderska żona wtoczy z wózkiem, to muszę się tylko tak usadowić, by mieć dojsście do drzwi, gdy ktoś zadzwoni i do WCm, gdy mi się zachce. Nie ma szansy na pracę, w sobotę muszę się zabrać za przygotowanie obrazów na jesienno-zimową wystawę u Lontych (wyrównanie połysku, podpisy etc). Potem Rosikoń musi je sfotografować, a Lonty je oprawi. We wtorek, przystępują u mnie do kolejnych przeróbek, a więc montaż dużego stołu w miejsce tapczanu w pokoju komputerowym.

A propos obrazów, to pisałem przecież, że masz pierwszeństwo przed galeriami i aukcjami na dobroczynność, ale nie o tym, że każdy obraz bę-

dzie do sprzedania. Rozumiałem to również nie tak, że wysłać Ci będę fotografię każdego obrazu, jaki w danym momencie namalowałem, bo jest to dla mnie kłępujące, o czym wielokrotnie pisałem, gdyż czuję się podglądany i oceniany na bieżąco lecz wyślę reprodukcję gdy będę mieć coś na sprzedaż. Obecnie jestem bez obrazów. Jurkiewicz w sumie zabrał trzy obrazy i trzy rysunki. Jeden dla Brata Alberta, drugi (stary) na Kantora, a trzeci (trafiło się ślepiej kurze ziarno: był to obraz ze zwrotów dokonanych przez Ciebie - jednym słowem każda potwora znajdzie swego amatora) chciał zarezerwować na rok przyszły więc wołałem pozbyć się go od razu i na dwa lata mam spokój. Teraz jednak odezwał się Ochman w sprawie aukcji na rzecz spalonej opery śląskiej (bytomskiej?), która ma się odbyć w Nowym Jorku. Muszę mu coś dać. W związku z tym chciałem Cię spytać czy ten obraz, który podobał się Twojej Żonie, trzymać dla Was do kwietnia czy mogę go dać Ochmanowi? Bo już prawie nie mam co dać, ale słowo się rzekło, tym niemniej potem gdy już płaciłeś za jeden obraz, nie było jasności czy drugi nadal rezerwujecie, czy też nie? Czterem innym aukcjom od czasu Waszego wyjazdu odmówiłem. Czy ten krąg zwariował i jest na utrzymaniu plastyków? Wczoraj doniesiono mi, że moja praca komputerowa poszła na aukcji w Katowicach (na jakiś aparat do dializy) za 10.000 zł, a więc nie najgorzej jak na fotomontaż. Niby w coraz mniejszym stopniu zależy mi na pieniądzach, ale w coraz większym na spokoju do pracy, a przez spokój rozumiem to, że mogę pracować nad jakimś nie tyle cyklem ile typoszeregiem, a nie mogę jeśli pojedyncze obrazy wyrrywają mi spod siedzenia. To tyle dobrego.

Pięknie Was pozdrawiam.

Zdzisław

**obraz znajduje się na stronie xxx*

Warszawa, piątek 20 października 2000

Na Boga Piotrze,

Dzwonił do mnie wczoraj dziennikarz z radia "Radiostacja", że podobno przedwczoraj był bardzo obszerny materiał z wystawy u Wahl w czymś tam,

w Panoramic czy innym dzienniku. Ja od dwóch tygodni nie oglądałem w ogóle telewizji, ze mną ostatnimi czasy nie przeprowadzał nikt żadnej rozmowy do telewizji państwowej. Może dali jakiś stary materiał, ale chyba są to przekłamania - może ktoś mnie pomylił z Nyczkiem. Ja ostatnio wieczory spędzałem przy internecie, bo utraciłem dziewictwo w zakresie płatności kartą VISA przez internet (ależ to proste!!!) i zafundowałem sobie na okres próbny, który jednak chcę do maksimum wykorzystać, oglądanie fotografii mało artystycznych, ale za to stymulujących, po których mam fatalne wyniki wieczornego pomiaru ciśnienia i nie wiem jak wytłumaczyć to lekarce. Być może sprowadzę sobie (płacąc kartą VISA) też kasetę video z interesującej mnie kategorii x x x (trzy X). Zboczeńcy wszystkich krajów łączcie się.

Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Piątek, 20 października 2000, 12:31

Dopiero teraz doszukałem się, że wczorajszemu zdjęciu obrazu towarzyszył tekst. Toteż natychmiast odpowiadam: obraz, o którym mówiła żona jest znakomity, ale dorwały mnie jakieś organizmy socjalne z żądaniem zaległych składek i nie wiem ile tego będzie. Toteż Ania zadecydowała, że mimo wielkiej ochoty, jednak go nie weźmiemy. Czego żałuję, bo dostanie się jakiemś bubkowi, który się na nim nawet nie pozna.

Co do dalszego nabywania Twoich prac teraz sprawy są jasne: wiem że dostaną mi się wprawdzie przed aukcjami i księżmi, ale tylko "sprzedajne" obrazy, to znaczy te, których Ty nie będziesz chciał zachować i to dopiero po półrocznym odleżeniu się u Ciebie. OK. Ale proszę o zdjęcia, zanim komukolwiek innemu je przyrzekniesz lub będziesz oddawał, tak by mieć naprawdę pierwszeństwo przed wszystkimi innymi prócz Ciebie.

Zabawił mnie pasaż z dzisiejszej Twojej wiadomości, w którym piszesz o zakupie kasety porno.

Zwierzanie za zwierzanie: przyznam się, że załączyłem sobie kanał telewizyjny z łagodnymi filmami erotycznymi. Bo wprawdziwe porno we Francji uprawia, zdaje się, tylko Canal plus późno w nocy, a my kładziemy

się wcześniej. To łagodne porno żona jakoś toleruje. To, co wprawiało ją za dawnych czasów we wściekłość to to, że ją dość często zdradzałem i nieuniknienie jakoś, od czasu do czasu, się to wydawało.

Natomiast nie irytuje jej moje, już dziś niewinne, oglądanie nagich pańienek na ekranie. Te nagie pańienki niewiele mnie zresztą pasjonują, bo we francuskich filmach erotycznych są to z reguły szczupłe (a czasem wręcz chude) dziewczęta o małych piersiątkach. A ja, Panie, uwielbiam wielkie cyce i potężne pośladki, twarde jak stal.

Toteż dotarłem w internecie do rubryki "wielkie cyce". Pełno tam ogłoszeń, ale trzeba płacić kartą za kasety, a ja panicznie się boję, że padnę ofiarą jakiegoś oszusta, który skopiuje mój numer karty i że ładne będą miał porno w portfelu. Toteż na razie kończy się na oglądaniu (zresztą rzadkim, bo ile razy można oglądać te same zdjęcia) obrazków.

W ogóle jestem obecnie w najszcześniejszym okresie mego życia, bo nareszcie nie wali mi w skroniach na widok każdego damskiego tyłka i nie gonię za nim. Moja nadpobudliwość seksualna komplikowała mi życie i w sumie nie opłacała się. Może pięć razy w życiu byłem naprawdę zadowolony z przespania się z jakąś pańienką. Reszta była marna i nie warta takiego zachodu, jakiego trzeba było za każdym razem dołożyć. Oczywiście gdybym był adonisem i wszystko szłoby mi jak z płatka, to bym może milej wspominał ten okres. Ale szło zwykle jak po grudzie, a przyjemności było zazwyczaj na koniec tyle. co kot napłakał. Bo, jak śpiewa Bresens "Neuf dixiemes des femmes s'emmerdent en baisant". Takich, które umieją to robić, a przy tym mają ładne ciało, gładką skórę, wąską cipę, przyjemny oddech i smak śliny, gdy się ją całuje, a wreszcie entuzjazm do tych rzeczy i prawdziwą przyjemność w łóżku. jest bardzo mało.

Toteż okres życia, w którym nareszcie nie staję mi przy każdej okazji i bez okazji, przyjąłem z prawdziwą ulgą. Zwłaszcza, że ustały jednocześnie awantury w domu.

Co do reportażu z wystawy, to Żurek mówił mi, że były u niego dwie telewizje. Toteż sądzę, że to, co jakieś tam pociotki Ani powiedziały jej przez telefon o wywiadzie z Tobą, dotyczyło po prostu reportażu z wystawy u Wahl. Gratuluję sprzedanego montażu komputerowego za pokazną sumę. Stale wierzę, że kiedyś nareszcie ludzie się opamiętają, zrozumieją, że jesteś wielkim malarzem i zaczną nareszcie płacić właściwe pieniądze.

Ściskam. Piotr

Warszawa, sobota 21 października 2000

Mam w tym roku nowy elektroniczny higrometr, więc nareszcie widzę, co się w tym mieszkaniu wyrabia z wilgotnością. Jeżeli w tej chwili mimo otwartych okien spadła już do 29, to można sobie wyobrazić co będzie w zimie, gdy okna będą zamknięte. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak silnie wysusza ogrzewanie kaloryferami. Przed czterema laty kupiłem ultradźwiękowy nawilżacz powietrza, który nawilżał wprawdzie rewelacyjnie, ale wypływał na dobę ponad 15 litrów wody, która w polskich warunkach jest zbyt twarda i na wszystkim, po dwóch dniach, osadził się krzemowy pył. Na dodatek pył ten spowodował u Zosi zapalenie spojówek, więc urządzenie pracowało u mnie przez dwa dni i potem dałem je komuś kto mieszka pod miastem i ma basen z deszczówką. Kupowanie na stacji benzynowej codziennie 3 kanistrów z wodą destylowaną uważałem za przesadnie trudne.

Co do pań, to nie jadając ani żab ani ostryg, dzielam jednak gusta Francuzów. NIENAWIDZĘ! ideału Ameryki czyli dużych biustów (Big Bobs). NIENAWIDZĘ! Budzą moje obrzydzenie, podobnie jak cięża, ucieknę na drugi koniec miasta przed takim biustem! Najbardziej odpowiadają (powiedzmy uczciwie: odpowiadały) mi panie szczupłe, acz nie chude z pionowym mocno zagłębionym pępkiem i niewielkim biustem oraz tzw. "murzyńskimi" (napęczniałymi) sutkami, na widok których dostaję małpiego rozumu. Każdy ma jakieś fetysze i tak wyglądają moje, jeśli idzie o urodę niewieścią. Podejrzewam jednak, że to co z wypiekami 14 latka oglądam teraz w internecie, wywołałoby u Ciebie jedynie ryki śmiechu, szczególnie, że nie wszystkie panie spełniają tam moje warunki opisane powyżej. Niektóre, jak sądzę, byłyby w Twoim stylu. Męski masochizm ma setki odmian i odcieni i będąc zakamieniałym masochistą, rzę ze śmiechu, gdy widzę np. niektóre ogólnodostępne japońskie strony FemDom, które demonstrują japońskie marzenia masochistyczne, mające zdecydowanie kompensacyjny charakter, gdyż mają miejsce w kraju, w którym kobiety powinny siedzieć cicho, gdy rozmawiają ze sobą Praw-

dziwi Mężczyźni. Najbardziej ubawiła mnie fotografia, na której dwie licealistki dopadły dyrektora szkoły. Można tak sądzić po ubraniach, wieku i scenografii. Obie dziewczeczki ubrane są w plisowane czarne spódniczki białe bluzki i białe podkolanówki. Obaliły siwego dyrektora na podłogę w gabinecie z atlasem i jedna go przytrzymała, a druga spuściwszy białe majtki przykucnęła i sika mu na twarz. Sądząc z mimiki, wydają przy tym okrzyki Samurajów. To nie jest oczywiście fotografia adresowana do licealistek lecz do emerytowanych dyrektorów z wyrzutami sumienia, którzy obejrawszy to zdjęcie doznają żywszego bicia serca i podświadomie czują się częściowo rozgrzeszeni z okresu swego bezwzględnego dyktowania. Psychiatrzy standardowo wyjaśniliby to tak, że w dzieciństwie obsikiwała go za karę starsza siostra, a on potem przywykł i zaczął na to oczekiwać, czy coś w tym stylu, ale ja wiem swoje. Ja swoje prawdziwe upodobania odkryłem gdy miałem około 35 lat. Odkryłem nagle w trakcie narysowania jednego z seryjnych rysunków, oświeciło mnie światło jak św. Pawła. Dostałem w łeb jak pałą. Przez co najmniej dwa tygodnie chodziłem po świecie jak ogłuszony z jedną i tylko jedną myślą: "a więc O TO chodzi!" Potem oczywiście oswoiłem się i wszystko wróciło do jakiejś takiej równowagi. Ale SKĄD to do mnie przyszło? Gdzie się tym zaraziłem? Przedtem uważałem, że mam skłonności sadystyczne i nawet marzyłem sobie o tym, by kogoś zgwałcić, ale wiedziałem, że tego nigdy nie zrobię, bo pogardzam przemocą, jestem człowiekiem kulturalnym i "takich rzeczy się nie robi". Nawet Tomek nigdy nie oberwał ode mnie, bo bałem się, że jestem sadystą i mógłbym się rozsmakować w biciu dziecka. I tu nagle ten jeden moment udowodnił mi, że było całkiem na odwrót, że od dzieciństwa ukrywałem przed sobą samym to, czego naprawdę bym pragnął, więc SKĄD mi się to coś wzięło? Ani matka mnie nie maltretowała, ani siostry starszej nie miałem, potem w życiu kobietom zawsze bardziej zależało na mnie, niż mnie na nich. Nigdy w życiu nie kochałem się nieszczęśliwie. Skąd więc się to bierze? Jedynym wytłumaczeniem, które przychodzi mi do głowy, mógłby być fakt urodzenia się martwym, bo podobno udusiłem się w trakcie porodu. Czyżby to było to? Teraz oglądam setki, a nawet tysiące reżyserowanych stereotypowych fotografii przedstawiających facetów duszonych krocem, wraz z podniecającymi angielskimi opisami jak to widać, że z braku tlenu posiniała im twarz

i że duszonemu wysuwa się język i wchodzi do pochwy lub do odbytnicy w zależności od kierunku siadania na głowie i sprawia to podobno duszącej dodatkową frajdę i chodzę znowu jak głupi, bo to nie ja wymyśliłem tylko ktoś z boku to dostarczył, więc jest to inna jakość i mimo iż widzę jak bardzo jest nędzna i o ile lepiej sam bym to wyreżyserował, to nie zmienia faktu, że przeżywam powtórnie olśnienie sprzed 30 lat.

Dlaczego rzecz przed sobą ukrywałem, to łatwiej mi jest zrozumieć. Wynikało to z pewnych zasad mego wychowania, w których nie wolno było okazać się słabszym. Być słabszym od kobiety, to był już niemal znak hańby. Pragnienie bycia słabszym i maltretowanym oraz zabitym przez silniejszą kobietę, tak aby moja agonია sprawiała jej seksualną przyjemność, musiało więc zostać i zostało zepchnięte w podświadomość. Po tym olśnieniu które miałem na początku lat sześćdziesiątych, zacząłem sądzić, że psychoanaliza Freuda nie była aż tak głupia jak się sądziło: zepchnięcie i moment olśnienia, faktycznie mają miejsce. Gdyby przyczyna leżała we wspomnieniach z momentu urodzin, to miałyby one charakter idealnego negatywu zaistniałej wtedy sytuacji, a więc też charakter quasi kompensacyjny, jak u wspomnianych Japończyków. Ale to jak widać potrzeba i doznanie o wiele bardziej powszechne niż do tej pory sądziłem. Samych porno modelek lub prostytutek wyuczonych zawodu (jak dusić do imentu, a nie zadusić naprawdę) w jednej tylko stronie, poświęconej temu odchyleniu jest około 120 (tu musiałem przerwać, bo przyjechali goście z Holandii i byli do późnego wieczora - po czym byłem już zbyt zmęczony by odpowiadać, szczególnie, że musiałem tkwić w internecie, ale tym razem w poszukiwaniu podzespołów do budowy nowego komputera, bo facet z firmy COMPAQ mailował do mnie jeszcze w południe, bym mu jak najszybciej podał wstępnie moje wymagania). To, co wyżej napisałem nie powinno oczywiście służyć do bawienia znajomych opowiadaniem jaki z tego Beksińskiego wariat. Ostrzegaleś mnie bowiem przed dziennikarzami, ale sam od razu sprzedaleś to, co mówiłem i to na dodatek jakiejś facetce, a przecież wiesz doskonale jakie są. Powie, że Beksiński to zboczeniec i świnią, ale gdyby się dowiedziała, że inne facetki też to robią, to za dwa tygodnie siadać będzie Ci na głowie jak kura na jajach, a na dodatek twierdzić, że robi to lepiej od tej głupiej zdziury Gośki, która nie wie co chłopu jest potrzebne i tak dalej. Podczas

gdy my w szkole wagarowaliśmy one kuly i zapracowywały na piątki. Teraz myślą, że w życiu będzie tak samo. Muszą bezwarunkowo dostawać piątki, a więc i robić "to co się robi". Prawie wszystkie są dewotkami z natury rzeczy, ich podstawową religią jest moda i nie wyłamywanie się z szeregu. Zrobią wszystko, co jest "normalne". Jeśli moda wymagać znacznie chodzenia w jesieni po ulicy nago z pięciokilogramowym kamieniem uwiązanym do głowy, to wszystkie dostaną kataru i urazów kręgosłupa, ale będą tak chodzić. Kamieniarze, lekarze i aptekarze będą mogli zamienić Fiata PUNTO na Ferrari. To właśnie określam jako dewocję. Mam nadzieję, że Twoja żona wybaczy mi tą odrobinę seksizmu - w zasadzie patrzę na to z życzliwością i pobłażaniem: mężczyźni też mają swoje fioly i nie uważam się za lepszego, proszę jednak traktować pewne rzeczy, które mówię i piszę, niekoniecznie jako temat do zabawiania znajomych. Wszyscy mamy wbudowany ten sam mechanizm popędu płciowego, ale wyobrażenia seksualna jest już indywidualną cechą, podobnie jak styl malarski. Podejrzewam, że nie istnieje "norma", a jedynie dostosowanie się do wymogów określonej kultury. Czy kto chce, czy nie chce, to wymogi te jak na razie ustaliło na naszym terenie chrześcijaństwo, dopuszczając w celu urozmaicenia ludziom życia tzw. "pozycje", ale bezlitośnie eliminując wszystko inne od stosunków z innymi ssakami, z członkami rodziny, z dziećmi etc, po homoseksualizm, masturbację, koprofagię i tak dalej. Gotów jestem się założyć, że każdy ma ukryte potrzeby, tylko straszliwie się wstydzi ich ujawnienia, bo grozi to anatemą, wyłamaniem się z szeregu oraz ośmieszeniem. Te potrzeby są czasami śmieszne, nawet dla ich posiadacza, bo narodziły się w okresie dojrzewania hormonów, jako wypadkowa opowiadań kolegów głupich książek (oraz tego co się z nich zrozumiało), no bo mając lat 10 czy 12, nie jest się jeszcze krytycznym i wyrobionym, tak więc te wyobrażenia literacko są INFANTYLNE i zostają takimi już na resztę życia.

Kuza tfasz! Zaczynam się rozpisywać, jutro Niedziela, a muszę pójść po chleb.

Pięknie pozdrawiam

Zdzisław

Sobota, 21 października 2000, 18:13

1) Jest kilku artystów, których od lat obserwuję, na FIACach i na innych targach sztuki i których prace koniecznie chciałbym mieć. Jest więc przede wszystkim niejaki Neuman, Niemiec i jest Hernandez, Hiszpan. Dziś zaś, będąc z Anią w Luwrze, gdzie mają właśnie miejsce międzynarodowe targi międzygaleriane i gdzie wystawia jeden z naszych znajomych galerzystów, Koralewski, odkryliśmy następnego fenomena, też Hiszpana, niejakiego Bofill'a. To częściej rzeźbiarz niż malarz, ale wielkiej klasy. Właściwie to nawet nie brak pieniędzy, bo prócz Hernandeza, który jest w Twoim wieku i cieszy się wielką sławą w Hiszpanii, są to młodzi artyści i niezbyt drodzy, ale brak miejsca w tym małym mieszkaniu powoduje, że w końcu niczego nowego nie kupujemy. Tak więc, niczego nie kupiliśmy. Poza tym Ania przypomina, że te organizmy socjalne, które upominają się o moje zaległe składki, mogą się okazać łakome i że znajdziemy się bez grosza.

A wreszcie nie mamy dzieci, toteż, po co zbierać dalej? Żeby oddać po śmierci jakiemuś muzeum? I tak mamy już (nie licząc Twoich obrazów i rysunków) ze sto obrazów, czasem wielkich na ponad dwa metry różnych artystów i tyleż chyba rysunków i grafik. Leży to wszystko opakowane w folię, w specjalnym pomieszczeniu poza Paryżem, zamknięte na kłódkę. Nawet nie mogę ich, od czasu do czasu obejrzeć, bo wszystko jest opakowane i tak ściśle poustawiane, że ani palca włożyć.

Tak, ale przed śmiercią muszę sobie jeszcze jakiegoś Neumana, Hernandeza i Bofilla zafundować. Będąc ostatnio w Polsce chciałem Ci pokazać ich katalogi, ale, o ile pamiętasz, gdy Ci to zapowiedziałem przed przyjazdem tak się wykręcałeś, że w końcu dałem spokój. Następnym razem będąc w Polsce muszę Ci to jednak pokazać. Być może odbierzesz to tak jak żeś odebrał "Sombre", co do którego niewzruszenie twierdzą że jest filmem epokowym, a który tak Cię wyprowadził z równowagi, jak mnie wyprowadzają z równowagi amerykańskie chały, które Ty tak kochasz.

2) Bardzo umiarkowanie wierzę w Twoje psychoanalityczne wywody o przyczynach zбоczeń seksualnych. Wszystko to przyjmuję jako miłą, intelektualną bzdurę i wzruszam ramionami. Te "kompensacje", "zepchnięcia", "fiksacje", "kompleksy" etc. to brednie, w które bezmiernie

wierzą ci sami, którzy wstępują do sekt, nakluwają lalki igłami, czytają przepowiednie Nostradamusa lub chodzą do wróżek. Wśród inteligencji natomiast jest to ten sam typ ludzi, którzy dawniej bawili się w chiromancję, bo to było w modzie, a dziś bawią się w psychoanalizę. U Ciebie jest to jeszcze znośne, bo sam masz do tego trochę dystansu, choć tak naprawdę to głęboko w to wszystko wierzysz. Ale ci, którzy przekonani, że głoszą Pismo święte nawalają z grubej rury slogany Freuda lub Lacana, to po prostu idioci.

Byłem kiedyś na wykładzie Lacana i nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarł na mnie nie on, a nabita po brzegi sala. Ten facet coś bredził pod nosem, nikt niczego nie mógł usłyszeć (a byłem tuż pod katedrą), ale panowała atmosfera najgłębszego skupienia, wszyscy skrzętnie notowali każde słowo mistrza lub pytali sąsiada "co powiedział? co powiedział?" I gdy poirytowany bezdenną głupotą całej tej imprezy wstałem dość głośno, by udać się do wyjścia, mało mnie nie zlinczowano.

To są po prostu fenomeny mas.

3) Jakoś dałem sobie radę i zmniejszyłem obraz na ekranie tak, iż mogę Twoje prace oglądać za jednym zamachem w całości, a nie po kawałku. Ale zrobiłem to przez przypadek, bo Twoje rady, dawane z pozycji komputera o napisach angielskich, niczego nie dały. Takich napisów, jakie mi podyktowałeś, wcale na moim komputerze nie ma. Na szczęście waląc jak małpa palcem we wszystkie klawisze, przez przypadek trafiłem na ikonę ze szkłem powiększającym i to mnie naprowadziło na ślad.

Ściskam.

Piotr

Warszawa, sobota 21 października 2000

Z faktu, że słuchacze Lacana składali się ze snobów i że sam Lacan mamrotał cicho pod nosem, nie wynika jeszcze, że mamrotał głupio, a wszystko razem nie zmienia faktu, że ja doznałem to, czego doznałem i usiłuję sobie jakoś to wyjaśnić. Nie powoływałem się zresztą na psychoanalizę współczesną, ani w ogóle na psychoanalizę, a powiedziałem jedynie, że to, co przeżyłem, może dla mnie być jakimś tam dowodem (przecież trudno

w takiej materii mówić o dowodach innych niż jakieś tam) na istnienie strefy zepchnięć, o której pisał jeszcze Freud i co wydawało mi się przedtem bardziej niż problematyczne. Właściwie przeprowadziłem może nie terapię, ale samouświadomienie sobie problemu na zasadach psychoanalizy historycznej w trzech typowych podręcznikowych fazach: zepchnięcie, uświadomienie i stłumienie. Nie twierdzę, że jest to dowód na cokolwiek, ale jest to zastanawiające doświadczenie, które jakby potwierdzało niektóre teorie, które przedtem wydawały mi się wysoce nieprawdopodobne. Na tym świecie mamy do dyspozycji dwa sposoby tłumaczenia rzeczywistości: Jeden jasny, przejrzysty, zbudowany z logicznie ze sobą powiązanych spostrzeżeń, przyczyn i skutków, przesłanek i wniosków i tak dalej. Drugi mistyczny, mętny, literacko poetycki operujący niesprecyzowanymi do końca teoriami, przeczuciami, analogiami synchronistycznymi etc. Rzecz w tym, że ten pierwszy system tłumaczy tylko te rzeczy, których tłumaczyć nie warto i które są de facto mało istotne. Gdy chce się sięgnąć tam, gdzie znajdują się istotne problemy, trzeba użyć tego drugiego sposobu, a wtedy nic nie jest pewne do końca. Jest to jedna z przyczyn, dla której Francuzi, hołdujący prawie bez reszty tej pierwszej metodzie i to na wielu poziomach od kierowcy taksówki po profesora uniwersytetu, nie mogą ścierpieć mojego malarstwa, z kolei ja nie cierpię z tego samego powodu Francuzów, ich galijskiego poczucia rzeczywistości i kartezjańskiej jasności wyrażania myśli. Ani ja nie przekonam Francuzów, ani Francuzi mnie. Jak sądzę jesteś jakoś tam urzeczony ich sposobem myślenia, a więc Ciebie też nie przekonam. Zostańmy więc: ja ze swoją germańską metafizyką zaprawioną słowiańskim mętniactwem myślowym, a Ty ze swoją kartezjańską jasnością myślenia i wyrażania. Niestety nie podziwiam i nigdy nie podziwiałem tej jasności (oczywiście nie chodzi tu o Ciebie lecz w ogóle). Howgh - jak powiadają Apacze! Zbliża się północ więc kończę i ślę pozdrowienia z Ciemnogrodu.

Zdzisław

Niedziela, 22 października 2000, 16:11

Jak widzisz jest choć jeden kartezjanin który uwielbia Twe malarstwo.

Jako mały chłopiec wierzyłem w te wszystkie rzeczy tak, jak Ty w nie do dziś wierzysz. Wierzyłem w duszę, w Boga, w miłość, w duchowe wloty i w grzech pierworodny etc.

Dzisiaj oczywiście jestem ścisłym materialistą wierzącym tylko w chemię, fizykę i biologię (inaczej mówiąc w nauki ścisłe, których przecież tak nie-nawidziłem w szkole). Nie wierzę w życie pozagrobowe (prócz w formie obiadu dla robaków), nie wierzę w grzech, nie wierzę w zbawienie.

Wierzę natomiast, że już niedługo człowiek przestanie umierać, przestanie chorować, będzie mógł płodzić dzieci o najwyższym IQ, o największych talentach muzycznych czy malarskich, o największej urodzie etc.

Gdzie tu jest miejsce na Boga lub na psychoanalizę?

Swego czasu tak strasznie rozsadał mnie seks, że chodziłem na psychoterapię, by mi to facet jakoś wyperswadował i uspokoił mnie. Na początku byłem zachwycony: co powiedział zdanie to jakby się czarne niebo rozświetliło błyskawicą. Wszystko zdawało się nagle oczywiste. Byłem rozentuzjasmowany, że już za chwilę zrozumieję, o co chodzi i choć w najskromniejszy sposób, przetworzę to na rzeczywistość. Dość szybko jednak przekonałem się, że na żadną rzeczywistość niczego nie przerobię, a to co mówi mój psychoterapeuta to z pewnością zbudowane slogany, o racjonalnym "głębokim" posmaczku, a w rzeczywistości pusta, dęta lipa. Toteż, po pół roku wydawania pieniędzy na szarlatanerię, dałem spokój. Oczywiście moje problemy rozwiązały się po prostu. Raz prozak. Dwa trwała kochanka, z którą uprawiałem udany seks na tyle często, że mi trochę ulżyło. No i wreszcie wiek. I gdzie tu miejsce na guru, na sektę, na tajemnicę, na to co Ty nazywasz "najważniejszym", a co w rzeczy samej jest czysto biologicznym fenomenem, który za sto lat nie będzie interesował nawet dzieci, bo będzie powszechnie znany i rozszyfrowany?

Boże, jak długo można żyć w ciemnocie, w poezji, w religii, w psychoanalizie i w szarlatanerii?

To tak jak Ci materialści starożytni, którzy wiedzieli, że istnieje tylko materia i że istnieją tylko atomy, a nie mogli jeszcze tego udowodnić.

Tak samo jest z tymi wszystkimi metafizycznymi bzdurami. Metafizyki nie ma, bo fizyka nie ma mety. I niczego poza nią nie ma.

Oczywiście spotkałem ludzi wielkiej wartości, którzy wierzyli w te wszystkie gusła. Moja Matka była pierwszą z nich. Ta niezwykła kobieta, racjo-

nalna, praktyczna, rzeczowa wierzyła w Pana Boga do tego stopnia, że cieszyła się, iż umiera bo to miało ją z Nim połączyć.

Toteż nie pogardzam ludźmi, którzy wierzą w mary i w czary. Lituje się tylko nad nimi. Zresztą na razie walka jest równa: tyle samo mogą udowodnić jedni, co mogą udowodnić drudzy. Papież i Einstein są na razie na równi.

W sumie mogę tylko wyrazić akt mojej wiary, tak jak Ty wyrażasz swój: wszystkie te religie, te sekty, te ideologie, te poezje, te psychoanalizy nie są funta kłaków warte.

Żadna rewolucja, żadna religia, żadna filozofia "metafizyczna" nie wyzwoliły kobiety tak, jak wyzwolił ją wynalazek proszku do prania i pigułka. Mnie samego wyzwoliła nie psychoterapia, ale prozak. I na tym właśnie polega różnica między ludźmi takimi jak Ty i takimi jak ja. Ci pierwsi (nie mówię oczywiście o Tobie osobiście) wierzą, że najpierw trzeba oczyścić duszę (i przy sposobności wyróżną w anielskiej rewolucji pięćdziesiąt milionów złych ludzi tak, żeby Ci dobrzy mogli nareszcie szerzyć dobro). Ci drudzy, w żadną duszę nie wierzą, w związku z tym nie myślą nikogo karać, winić, potępiać i pochwalać, a już na pewno nie myślą nikogo wyrzynać. Wiedzą bowiem dobrze, że to, co Ty nazywasz "najważniejsze" nie tu się kryje, ale w skalpeli, w pigułce aptecznej, czy też w próbówce laboratoryjnej. Może zresztą obaj jeszcze dożyjemy czasów, gdy wszystko to stanie się ewidentnym?

Piszę to wszystko trochę podniesionym tonem, bo ilekroć wracam przez przypadek do tego tematu, ogarnia mnie złość na siebie samego. Nie mogę sobie wybaczyć, ale również nie mogę wybaczyć mojej świętej Matce, że się przez całe dzieciństwo snulem w takich oparach duchowości i mistycyzmu. A przecież miałem obok siebie człowieka równie wspaniałego moralnie jak moja Matka, choć materialistę do szpiku kości: mego własnego Ojca. Z niego należało brać przykład. Dziś nie wylewałbym krokodylich łez nad mym przepędzonym na mszach i po klasztorach dzieciństwem. Trzeba mi było ponad pięćdziesiąt lat by zrozumieć, że to, czego szukałem bardzo daleko, było bardzo blisko, tuż obok mnie. Wystarczyło zamknąć uszy na brednie o Panu Bogu, a posłuchać kilku jego mądrych zdań o genetyce. Był biochemikiem i od dzieciństwa starał się mnie biochemią zainteresować. A ja zamiast go słuchać chodziłem do kościoła,

a potem do psychoterapeutów...
Ściskam Piotr.

Niedziela, 22 października 2000, 18:25

A poza tym sygnalizuję Ci, do jakiego stopnia jesteś w sprzeczności z samym sobą. Niby to pogardzasz jasnym, kartezjańskim wyrażaniem się, a sam już od dawna starasz się pisać jasno i przejrzysto, w punktach i z konkluzją, zupełnie inaczej niż w Twoich dawnych listach.

Nie mam wątpliwość, że gdyby Papież zaczął nareszcie korespondować z jakimś chirurgiem z prawdziwego zdarzenia, to też szybko przestałby wierzyć w Pana Boga i po prostu zapisałby się na medycynę. Te rzekome opary niemieckiej metafizyki i polskiego mętniactwa myślowego to tylko dymna zasłona, za którą kryje się ktoś, kto wątpi czy będzie potrafił sprostać wymogom poprawnego myślenia i wysławiania się i który tę obawę podnosi do rangi szlachetnej zasady, której ponoć hołduje. Powtarzam to codziennie mojej ukochanej żonie, o której mówiłem Ci już, że zaczyna każde zdanie od "tej, co to wiesz, która dała tamtej wtedy, no wiesz".

Piotr

22 października 2000

Piotrze, czy Ty nie dyskutujesz z cieniem? Kto Ci powiedział, że wierzę, jak to piszesz: "w duszę, w Boga, w miłość, w duchowe wzloty i grzech pierworodny"? Nieliche to zresztą pomieszanie z poplątaniem. Zapomniałem wczoraj dodać, bo pisałem w pewnym pośpiechu, że kartezjańskie myślenie ma to do siebie, że nie umiając wyjaśnić jakichś rzeczy, po prostu je eliminuje. Twierdzi, że nie istnieją. Bardzo poręczna metoda. Tak też postępujesz i Ty, ale na samym wstępie sobie przecyzysz, przez co dalsza argumentacja, którą stosujesz w stosunku do jakiegoś cienia (bo przecież nie mnie), jest cokolwiek nieprzekonywująca. Co do mnie, to nie chodzę do kościoła, nie operuję terminem dusza w rozumieniu chrześcijańskim i tak dalej, a jeśli nie mówię otwarcie nie wierzę, to tylko

z tego powodu, że akt wiary jest dla mnie tym samym co akt negacji, podobnie jak filosemityzm jest równie głupi jak antysemityzm, tyle, że w świetle ostatnich 70 lat mniej odrażający. Czyżbyś słyszał ode mnie jakieś akty strzeliste o Bogu i grzechu pierworodnym? Może oddziało tak na Ciebie religijne molestowanie, które zaaplikowano Ci w dzieciństwie, ale ja pod tym względem miałem dzieciństwo szczęśliwsze.

Wracając do wyjaśniania. Ja nie muszę rzeczy wyjaśniać ani w nie wierzyć, by wiedzieć, że je odczuwam. Jeśli czasami to robię, to bynajmniej nie po to, by stworzyć teorię lecz by innym przybliżyć w formie wymiany myśli to, co czuję. Dlatego piszę, że na wstępie sobie przeczysz, bo twierdzisz, że uwielbiasz me malarstwo jak też (jak o tym wiem) jesteś sensytywny na sztukę w ogóle. Posłużmy się więc prostym przykładem: Fakt istnienia obrazu można opisać na szereg sposobów. Można opisać ile waży i będzie to opis precyzyjny, można podać jego wymiary geometryczne, można podać nazwy farb, którymi został namalowany i grubość położenia farby, jak też w końcu to co na obrazie zostało namalowane i to co do jednego najdrobniejszego szczegółu. Czy w takiej sytuacji obraz namalowany przez Dwurnika i przeze mnie, o ile zgadzać się będą rozmiary, waga oraz to, co zostało namalowane, staje się tym samym obrazem? Wiesz, że nie, bo nie da się dziś w sposób materialistyczny sprecyzować tego, co na dzień dzisiejszy, a może i na zawsze, określamy mianem przeżycia artystycznego. Mogę zaakceptować fakt, że kiedyś być może uda się to sprecyzować i zastosować niejako "na zimno" - tyle, że obawiam się, iż wtedy przeżycie wezmą diabli, a byłoby szkoda. Myślę jednak, a w każdym razie wiem, że za mego życia nie zniknie to, co w braku innych słów nazywamy niepokojem i intuicyjnym odczuwaniem. Czytając Ciebie, mam wrażenie jakbym słuchał Tomka, z którym na ten temat też nie można było prowadzić dyskusji. Gdy mi mówił, że moje rozważania go nie interesują, że szkoda na nie czasu, bo z nich nic konkretnego nie wynika, odpowiadałem, że ze słuchania muzyki też nic nie wynika. Ja mam stosunek do tego, co określiam jako metafizykę podobny jak do słuchania muzyki. Te myśli mnie poruszają emocjonalnie i po to się nimi zabawiam, cóż więcej można mieć z życia? To co Ci jak twierdzisz (bo nie jestem tego do końca pewien czy nie jest to demonstracja) jest jedyną istotną jego treścią, jest dla mnie niemiłosiernie płaskie i ubogie, zresztą nie odrzucam tego. Kupując

telewizor, naprawiając komputer, czy planując budżet, nie poruszam się w oparach mistycyzmu.

Według Ciebie papież i Einstein są na razie równi. Akcent postawiłeś na "na razie". Powiało optymizmem bohaterów Czechowa, tyle, że bez domieszki jego urzekającej melancholii. Podejrzewam, że Einstein był bliżej mnie niż papieża, a papież bliżej Ciebie niż Einsteina. Jest u niego ta sama pewność, że Prawda jest już określona, a teraz zostaje tylko praca nad jej rozwijaniem i ugruntowaniem. Jednym słowem nauka u ojców Jezuitów nie poszła na marne: "tyś jest Piotr czyli opoka..." Hihi.

Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Poniedziałek, 23 października 2000, 11:48

Po kartezyjańsku podzielmy rzeczy na trzy grupy:

- a) Bóg, wiara chrześcijańska, dusza, grzech pierworodny
- b) uczucia, emocje, wrażenia, niepokoje, melancholie etc.
- c) psychoanaliza

ad a) Co do spraw wiary chrześcijańskiej to niewiele jest do powiedzenia, bo zdaje się, że obaj jesteśmy podobnych poglądów, nawet jeśli Ty jak zwykle wolisz unikać deklaracji, oświadczeń i uściśleń. Ja wręcz odwrotnie, bo mam do tego stosunek emocjonalny i czuję się oszukany w dzieciństwie przez moja Matkę. Uważam, że należy to zwalczać, wypowiadać temu wojnę, zwolywać wiece protestacyjne etc. Dodaję, że mimo tego uważam moją Matkę za najwybitniejszą osobę, jaką w życiu spotkałem, mimo, a może między innymi dlatego, że tak głęboko wierzyła i nas dzieci tak tą wiarą nasycala.

ad b) Co do uczuć to żaden z nas nie może drugiemu nic udowodnić, choć Ty sam przyznajesz, że tak jest tylko na dzień dzisiejszy. Dla Ciebie jest to właśnie ta "dusza", a dla mnie jest to po prostu splot reakcji chemicznych w naszym mózgu. Ani Ty mnie duszy nie wskażesz ani ja Ci nie opiszę, jakie reakcje biochemiczne stoją za wzruszeniami, jakich dostarczają mi Twoje obrazy. Mam tylko nad Tobą tą przewagę, że od dwustu lat moje argumenty stale się rozwijają i nieodparcie zacierają w kierunku namacalnych dowodów, a Twoje twierdzenie o "duszy" stoi w miejscu

i ani nie posunęło się o milimetr.

Dodam, że prócz zdobyczy nauki, w moich materialistycznych twierdzeniach opieram się również na własnym doświadczeniu. Tak jak dla Ciebie osobistym odkryciem i dowodem było zdanie sobie sprawy z Twoich upodobań seksualnych, tak dla mnie osobistym odkryciem i dowodem była pewna nieszczęśliwa miłość, którą przeżyłem i którą jednocześnie cierpiąc obserwowałem jakbym był pobocznym świadkiem, skrzętnie notującym wszelkie wahania. Widziałem więc, że uczucie nieszczęścia przebiegało jak ból zwykłej fizycznej choroby. Bez żadnych obiektywnych przyczyn były okresy złagodzenia, były momenty kryzysów, były ostre ataki etc. Tak samo jak z bólem wątroby. Stąd moja pewność, że z bólem psychicznym (w twoim języku bólem "duszy") jest tak samo jak z bólem złamanej ręki. I z pewnością tak samo jest z miłością i zachwytem nad Twoimi obrazami.

To, że opis Twojego obrazu, w dzisiaj stosowanych fizycznych miernikach, niczym nie różni się od opisu obrazu Dwurnika, też niewiele mnie przekonuje. Prawdą jest, że dzisiejsze komputery, choć umieją już wiele rzeczy, to jednak odróżnić twarzy ładnej kobiety od twarzy kobiety brzydkiej na razie nie potrafią.

Czy to jednak znaczy, że za dwadzieścia lat też tak będzie? Ty, który siedzisz po szyję w komputerach wiesz z ichniej literatury, że oni zupełnie serio biorą w rachubę możliwość na średnią metę komputerów "czujących". A wtedy gdzie "dusza" i "te najważniejsze sprawy", to znaczy uczucia?

ad c) Wreszcie to od czego zaczęliśmy, to znaczy psychoanaliza. To coś stokroć głupszego niż religia i wiara w "duszę", nawet tą Twoją, nie religijną. To po prostu szarlataneria. To to, co nazywam wiarą w gusła i czary, nakłuwanie lalek szpilkami etc.

Oczywiście i w tym są jakieś elementy prawdy, bo podświadomość jest faktem ewidentnym, o który się potykamy co chwila. Ewidentne również jest ogromne, bogate życie tej podświadomości. Ale szarlatanerią są te tłumaczenia podświadomości, precyzyjne, nie znoszące sprzeciwu, dokładne, ujęte w ściśle słowa i formułki. To ta werbalizacja i ta pseudo naukowość, które doprowadzają mnie do rozpacz i irytują. Gdy słyszę ten okropny żargon psychoanalityczny to natychmiast mam ochotę wyciągać

rewolwer. Lepiej już pójść do wróżki, która równie pewnym siebie tonem, lecz bez pretensji na naukowość i ścisłość, wszystko mi tak samo wywróży z kart i powie, w czym tkwi istota rzeczy.
Ściskam Piotr.

Warszawa, poniedziałek 23 października 2000

Pozostawmy zatem punkty A i C w spokoju, bo w sprawie punktu A mamy inne zaszłości i inne niechęci, a z tym nie sposób dyskutować, podobnie jak z tym, że jeden lubi grube baby, a drugi cienkie. Co do punktu C, to w zasadzie mam podobne zdanie i nie słyszałeś chyba ode mnie nigdy zachwyty nad osiągnięciami psychoanalizy. Jeśli doradzałem ją Tomkowi, to tylko dlatego, że sądziłem iż nowa zabawka odciągnie go od działań autodestrukcyjnych.

Twojej nadziei, że postęp techniczny i technologiczny, wyjaśniając wiele zjawisk, udomowi nawet emocje i w końcu przybliży nas cokolwiek do granic nieskończoności, nie podzielam. Oczywiście wiele rzeczy zostanie wyjaśnionych, wiele zbudowanych, ale co z tego. Będziemy tak samo daleko od granic, bo ich nie ma i nie jest to zasadą butelki Kleina, tylko coś nieporównywalnie bardziej skomplikowanego. Wprawdzie istnieje przekonująca konstrukcja kosmologiczna, udowadniająca, że cywilizacje technologiczne mają wpisana w swój rozwój samozagładę (nie chodzi tu oczywiście o wojnę nuklearną - to nie film made in Hollywood z Bruce Willisem w przepoconym podkoszulku w roli głównej) więc można żywić nadzieję, że samozagłada dopadnie nas jeszcze przed ostatecznym końcem naszego układu słonecznego i nie dożyjemy chwili gdy będziemy wiedzieć wszystko do końca, bo byłaby to upiornie smutna perspektywa, która jak widzę niesłychanie Cię stymuluje, niczym muchę zapaloną świecą. Oczywiście jeśli samozagłada nastąpi za 200.000 lat, to nie będziemy już wtedy ludźmi, w dzisiejszym rozumieniu tego słowa.

Dla Ciebie chemia i chemiczna modyfikacja świadomości jest czymś tak oczywistym, że jest to wręcz komiczne. Widzisz świat strasznie po prostu: piesek jest miły i kudłaty, żaba jest obrzydliwa i śliska, cukier jest słodki, a gówno śmierdzi. Tak prosto nie myślał nawet Twój ukochany Kartezjusz.

Nie ma pieska, nie ma gówna, nie ma chemii i tablicy Mendelejewa. Są tylko nasze wyobrażenia.

Czujące komputery. A cóż to ma wspólnego z duszą? Czyżby dusza myślała i czuła??? Większej bzdury już dawno nie słyszałem! Nie zauważyłeś chyba bym używał terminu dusza. Tym niemniej, jak mi się wydaje, dostrzegam w swych rozważaniach metafizycznych pewien odpowiednik tych wyobrażeń, którym religia przypisała nazwę dusza, ale nie będę się wymądrzał, bo (jako chyba wyznawca neopozytywizmu?) nie zechcesz tego słuchać, a zresztą zbyt słabą mam zdolność obrazowania rzeczy skomplikowanych w słowach, a nie widzę pod ręką jakiejś prostej analogii, którą mógłbym się posłużyć. Być może, że duszę postrzegasz jakoś tak bardziej naiwnie, jako coś, co siedzi w ciele i potem po śmierci z tego ciała wylatuje i to konkretne wyobrażenie wydaje Ci się absurdalne. No cóż, mogę się pod tym podpisać. Najogólniej mówiąc, to rzeczywiście możemy komputer w dalszej perspektywie upodobnić do siebie. Możemy w końcu doprowadzić tak jak na filmach SciFi, że cyborgi nie będą się różniły od nas. No ale jeśli nie będą się różniły, to będą po prostu ludźmi. Jest stara metoda produkowania ludzi i jak do tej pory nikt na nią nie narzeka. Szczególnie pierwsza faza cyklu produkcyjnego cieszy się niesłabnącym aplauzem w społeczeństwach całego świata. Jedyna praca, przy której ludzie nie narzekają na wysilek. Po co więc w sposób pracochłonny i mało przyjemny dochodzić do tego samego efektu i produkować coś identycznego, co można wyprodukować w sposób klasyczny? I co wtedy z duszą - pytasz. Ależ toto będzie miało duszę, którą można ekstrapolować z samego faktu jego istnienia- nie może być bytu materialnego bez duszy: pies ma duszę, telefon ma duszę, zegarek, prezerwatywa, kredka do ust i prozac, którym się faszerujesz. To wszystko ma duszę, bo jeśli temu zaprzeczymy, to jedyną konsekwencją będzie skrajny solipsyzm i przyjęcie wszystkiego za indywidualne złudzenie: nie ma świata poza moim wyobrażeniem. Skoro przyjmujemy istnienie obiektywne materii i skoro wyrażamy zgodę, że jest coś równie dla nas niedefiniowalnego jak czas, to istnienie "duszy", której czasoprzestrzenną manifestacją jest materia, a więc i ciało, jest prostą konsekwencją tego założenia.

Od jutra albo od pojutrze pan Krzysztof, którego poznałeś, przystępuje u mnie do budowy drugiego stołu w miejsce tapczanu, który był w po-

koju komputerowym. Przystąpiłem też do wstępnych rozmów w sprawie budowy nowego komputera. Gdy go będę już mieć, zaprzestanę zapewne (zgodnie z prawem Parkinsona) w ogóle pracować na komputerze. W każdym razie zapewne od jutra nie będę mógł ani wysyłać ani odbierać korespondencji, bo cały sprzęt zostanie rozmontowany i wyniesiony do drugiego pokoju. Zawiadomię gdy będzie po wszystkim.

Pozdrowienia Zdzisław.

Warszawa, czwartek 26 października 2000

Najtrudniejsze roboty zostały już wykonane, w przyszłym tygodniu dojdą jeszcze szafki pod stołami i półka, do której przykręcone zostaną lampy, w każdym razie komputer został już podłączony i można odbierać oraz wysyłać listy.

Okazało się, że na stronę z nieprzyzwoitymi obrazkami mogłem bez sztuki dostać się za jedyne 30 Euro, ale gdy postanowiłem sobie w ten sam sposób sprowadzić 5 kaset VIDEO, z tej samej instytucji, która prowadzi w/w stronę, to ustalając shipping payment, nie natrafiłem w wykazie kilkudziesięciu (jeśli nie 100) krajów, na kraj pod tytułem Polska. Próbowałem wpisać go na siłę, ale po naciśnięciu literki P wyskakiwała mi Papua, a po wypisaniu całej nazwy Poland pojawiał się jakiś Denmark. Pełen patriotycznego oburzenia napisałem list, który po przetłumaczeniu wysłę do firmy w kraju, o którego wolność walczył znany koprofaż Tadeusz Kościuszko, który po umyciu zębów, spłodził zapewne sporo Amerykanów, a być może też i dziadków właścicieli firmy. Jesteśmy bardziej zaprawieni w perwersjach seksualnych, a cFragi neofici nie zauważają naszej ojczyzny. Wstyd i hańba! Nawet Albania tam była, a Polski nie ma.

Pozdrowienia Zdzisław.

Czwartek, 26 października 2000, 18:05

a) Wszystko to wygląda imponująco. Gdybym ja mógł sobie pozwolić na taki luksus... A u mnie wszystko spiętrzone na jednym stole: fax, fotoko-

piarka, drukarka, monitor, komputer i skaner. Na myszkę i klawisze ledwo zostało miejsca.

b) Nawiążę do ostatniej debaty "filozoficznej". O ile wiedziałem, że żelazko (naszych matek) może mieć duszę o tyle nie wiedziałem, że duszę może mieć telefon. Po prostu nie pojmuję, co rozumiesz przez duszę, jeśli nawet przedmioty martwe ją mają. Może chodziło o ideę w rozumieniu platońskim? A może o "rzecz samą w sobie"?

Ponieważ te niuanse umykają memu prostemu, jeśli nie prostackiemu, umysłowi to wolę zejść z tematu, bo nie bardzo sobie daję radę.

Dodam tylko, że jest chyba pomyleniem pojęć przeczenie istnienia w miejsce zaprzeczania sensu. To, że całkowite wyjaśnienie mechanizmu uczuć i zdolność do odtworzenia ich, modulowania i przeszczepiania maszynom będzie możliwe już w niedalekiej przyszłości, nie ma się w żaden sposób do tego, czy życie będzie miało wówczas smak i sens.

A swoją drogą bardzo bym chciał sobie pożyczyć wtedy, gdy człowiek wszystko już będzie wiedział lub prawie. Bynajmniej nie boję się, że życie byłoby wówczas mdłe i bez sensu. Myślę tak sobie zwłaszcza wtedy, gdy mnie boli ząb.

c) Jakie jest Twoje wrażenie z wystawy u Wahl?
Ściskam Piotr.

Czwartek, 26 października 2000, 18:13

d) Zapomniałem dodać, że był tu przedwczoraj Lonty z jakimś biznesmenem z Częstochowy, który urządza sobie luksusowe mieszkanie w Warszawie i pragnie zakupić Twoje stare obrazy. Ma już jeden nowy (skrzypka). Lonty strasznie podpalony do wystawy Twoich obrazów z ostatnich dwóch lat w jego galerii.

Zaprosiłem ich do wykwintnej knajpy na Saint Germain des Pres i niemiłosiernie upiłem. Skończyło się na tym, że w oparach wina zaczęliśmy sobie z biznesmenem pokazywać nawzajem bicepsy, bo on też byłby kulturalystą i tak jak ja macha codziennie hantlami.

e) Ty te panienki siadające na głowie z zapaszkami wprost pod nos...
Piotr.

Czwartek, 26 października 2000, 18:15

e) dalszy ciąg. Przypomina mi to stary dowcip: kiedy Cyrankiewicz miał grzywkę? Wtedy, gdy mu Nina Andrycz wlażyła na głowę.
Piotr.

Warszawa, czwartek 26 października 2000

Twój list w trzech ratach wskazywałby na to, że resztki alkoholu wypitego z Lontym nie wywietrzały Ci jeszcze z głowy. Widzę z Twojego opowiadania, że skrzypek kupiony przez emerytowanego inżyniera z Częstochowy i sprzedany potem na aukcji za podwójną cenę (o czym dowiedziałem się z gazet), dostał się biznesmenowi z Częstochowy, który mieszka wprawdzie w Warszawie, ale też pochodzi z Częstochowy. Nie jest to więc wprawdzie skrzypek na dachu, ale mógłby się nazywać skrzypkiem jasno-górskim.

Dyskusji filozoficznej nie podejmuję się kontynuować wobec tak jawnej różnicy potrzeb. Ty nie pojmujesz najwyraźniej moich zachceń seksualnych, a ja jeszcze bardziej nie pojmuję (zakładam roboczo, że nie jest to absurdem, bo osobiście uważam to za absurd) satysfakcji wynikającej z posiadania potencjalnie (bo przecież nie osobiście) kompletnej wiedzy o wszystkim. To jeszcze bardziej dla mnie obce niż dążenie do Nirwany. Nasuwa mi to wspomnienie napisu sprayem, który przez kilka lat zdobił mur budynku administracyjnego naszej spółdzielni: ŚMIERĆ SAMOBÓJCOM! Jest bowiem między nami pewien rodzaj nieporozumienia, będącego wręcz dowcipem z tematu, który poruszamy. Nie wiem jakie wyobrażenie duszy pojawia się w chrześcijańskich dyskusjach teologicznych, w związku z tym używając tego terminu w ostatnim liście, powinienem był pisać w cudzysłowie "dusza", aby było wiadomym, że idzie o MOJE rozważania metafizyczne, do których mam takie same prawo jak Eamanuel Kant, na którego pośrednio raczyłeś się powołać. Mea culpa. Według mnie liczy się tylko to, do czego sami doszliśmy, nawet jeśli mie-

libyśmy wywalać otwarte dawno drzwi. Podobno to samo robię w malarstwie, czyli wywalam otwarte drzwi.

Dowcip o Cyrankiewiczu raczej głupi, a nasunął mi na myśl bardzo stare wspomnienie o charakterze erotyczno-autobiograficznym. Nie miało to jednak nic wspólnego z siadaniem na głowie - reszta jest milczeniem.

Szkoda, że nie oglądasz filmów amerykańskich, bo porównując sobie muskuły z owym biznesmenem, zagraliście rolę ze SZCZĘK Spielberga. Tam chodziło wprawdzie o blizny, ale Prawdziwi Mężczyźni zdolni są nawet porównywać sobie fiuty w łaźni. Sanockim rekordzistą w tym względzie był mój nieżyjący już wujek. Czyli, że nie ja jeden wywalam dawno otwarte drzwi.

Na wystawie u Wahl byłem, bo Żurek na to nalegał telefonicznie. Nie chciałem się jednak z nikim obcym spotkać, bo tego nie cierpię, więc rano umówiłem się, że przyjadę po zamknięciu. Niestety Alicja lyknęła około godziny 18 jakiś nieodpowiedni proszek i coś się z nią złego zaczęło wyrabiać, tak, że w ogóle się z nią nie widziałem, a moja wizyta była najwyraźniej nie w porę. W domu panował nastrój zdenerwowania, jeśli nie paniki, tak więc jechałem w korkach taryfą przez godzinę na Żoliborz i wracałem taryfą przez 45 minut, zaś w Galerii byłem i porozmawiałem z Żurkiem przez 15 minut. No ale byłem, więc już nikt nie może mi mieć niczego za złe. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław.

Piątek, 27 października 2000, 11:35

Widzę, że nadepnąłem na minę.

Od dawna przekonałem się, że o rzeczach poważnych można rozmawiać tylko żartem. Inaczej jest to żenująco nieudolne.

Bo cóż ja mogę powiedzieć o filozofii? Będąc młodym człowiekiem pasjonowałem się tym bardzo, ale ledwo, ledwo coś rozumiałem. Czytałem Tatarkiewicza, ale tylko rozdziały wstępne, mówiące o biografii poszczególnych myślicieli, bo reszty nie rozumiałem. Potem na studiach mieliśmy filozofię na pierwszym roku, z miłym absolwentem, niejakim Leszczyną, który coś nas tam nauczył (miałem nawet piątkę), ale to tyle, co

kot napłakał.

Potem już tym tematem nie zajmowałem się, bo miałem świadomość, że musiałbym najpierw mocno poczytać i zwłaszcza czytając coś zrozumieć. A ci panowie od filozofii używają takiego żargonu, że zrozumieć ich nie sposób. Więc poprzestałem na lekturze Ciorana, bo tu, choć kilka zdań pod rząd mogłem zrozumieć, a poza tym to przepięknie napisane.

Tak więc, gdy zaczynają się debaty "filozoficzne" uciekam, bo świadom jestem mojej pretensjonalności: nie mogłem przebrnąć przez dziesięć stron Pascala, a tu mam perorować o nieskończoności.

Co do naszych upodobań seksualnych to tak samo wydaje mi się, że tylko żartem można o nich mówić, bo temat może łatwo ześlizgnąć się i nabrać złych barw. Toteż żartem odpowiedziałem na wiadomość, że nabyłeś pięć kaset porno.

W ogóle Twój sposób drwiącego na ogół dialogu bardziej mi odpowiada niż debaty na serio. Toteż wołę jak sobie z siebie podkpiwasz, niż jak się obrażasz, że nie rozumiem i nie biorę na poważnie Twoich preferencji seksualnych.

Moje preferencje są chłopsko zdrowe i tylko klasyczne zmagania się w łóżku mnie bawią (choć marzyło mi się zawsze kotłowanie z trzema panienkami na raz, co niestety nigdy mi się w życiu nie udało). Nawet sodomizowanie partnerek wywoływało u mnie odruch wstrętu, bo zaraz mi się kojarzyło z kakalkiem, które trzeba sobie potem zmywać z członka. Toteż tylko raz w życiu uległem namowom pewnej pani, by jej to zrobić. Napiszę jeszcze wieczorem, bo gnębi mnie sumienie, że nie pracuję tak, iż muszę, choć z godzinę pośłędzić nad moimi uniwersyteckimi pisaniami.

Piotr.

Warszawa, sobota 28 października 2000

Nie obrażam się przecież i z reguły piszę żartem i dystansem do tematu, co nie znaczy, że nie traktuję go czasami serio.

Filozofia jako obszar usystematyzowanej wiedzy jest dla mnie równie niedostępna jak dla Ciebie. Koresponduję wprawdzie z jednym młodym filo-

zofem, ale to wszystko co łączy mnie z filozofią. Oczywiście czytałem też przed laty w LITERATURZE NA ŚWIECIE (miesięcznik, który zamieszczał tłumaczenia wybranych tekstów - kupowała go Zosia za komuny, a teraz nawet nie wiem czy wychodzi, gdyż postanowiłem sobie łagodnie zidiociec na starość i realizuję ten plan w sposób systematyczny) jakieś teksty Ciorana. Tak więc przynajmniej wiedziałem o kogo chodziło, gdy mi o nim kiedyś pisałeś. Tym niemniej została mi potrzeba naiwnego filozofowania tzn. usiłowanie budowania konstrukcji metafizycznych, które jest dla mnie tym samym, co konstruowanie obrazu, a niejednokrotnie następuje równocześnie i równoległe, budząc we mnie emocje zbliżone do natchnienia malarskiego. Nie staram się tego ani usystematyzować, ani przenieść na papier. To drugie musiałyby być połączone z tym pierwszym i na odwrót, a jakiegokolwiek pisanie, w coraz większym stopniu, staje się dla mnie niemożliwe z racji dysleksji, o której już wiesz. Da się to porównać z wyobraźnią seksualną u faceta, któremu nie chce już stać.

Jeśli natomiast idzie ściśle o moją wyobraźnię seksualną, to z racji swej istoty jest ona skazana wyłącznie na proces myślowy: nie chciałbym jeszcze zemrzeć, nawet gdyby mi to miała załatwić osobiście Alicja Silverstone. Mam odrazę do woni, a szczególnie gówna, ale to co sobie wyobrażam i co mnie niesłychanie angażuje jest bezwonne i dzieje się w jakiejś urojonej metarzeczywistości. Potrzebą wewnętrzną jest chęć bycia poniżonym, maltretowanym i zamordowanym, ale osobiście i na jawie wcale za tym nie przepadam. Poza tym bardzo mocne poczucie komizmu i obawa śmieszności, nie pozwoliłyby mi na zrealizowanie moich marzeń. Oczywiście mój szwagier, który jest w tych sprawach naiwnym praktykiem, bo jego wyobraźnia erotyczna jest równa zeru, ale stale obawia się, że coś z życia stracił i czegoś nie popróbował, namawiał mnie swego czasu bym dokładnie wyjaśnił mu na czym rzecz polega. Już widziałem jak próbuje to z księgową w zjednoczeniu: Magda, siądź mi na głowę. Beksiński mówił, że to bardzo fajne. Artyści zawsze tak robią.

Cóż można poradzić komuś kto myśli, że wszystko jest dla wszystkich. Chyba już to pisałem: popęd mamy wszyscy ten sam, ale wyobraźnia seksualna, a popęd to dwie rozmaite rzeczy. Podejrzewam, że u kobiet jest to jeszcze silniejsze. No ale ja mam sporo damskich hormonów, tak więc jak sądzę temu zawdzięczam przerost wyobraźni nad możliwością

realizacji. Podobnie jak Ty wierzysz w świetlaną przyszłość poznania intelektualnego, ja jestem pewien, że rzeczywistość wirtualna, nie dająca się odróżnić od rzeczywistości w jakiej żyjemy (na którą już się niestety nie doczekam), załatwi te sprawy w 100%. Oto zamawiam sobie przez komputer z katalogu jakąś Lisę Boyle czy inną sławną modelkę, programuję dla niej (w menu "preferencje") silne skłonności sadystyczne, na wszelki wypadek obniżam jej wiek do 18 lat i wydłużam jej nogi o 10 cm oraz, aby czuć się wobec niej śmieciem, programuję by miała 6 doktoratów i tytuł profesora zwyczajnego MIT, siłę Gołoty oraz czarny pas karate, po czym klikam w "zastosuj", dzwoni dzwonek do drzwi i gdy otwieram stoi tam goła 18 letnia profesor zwyczajna MIT z pięcioma tytułami doktorskimi, daje mi kopa w brzuch, powala na ziemię, pęta, knebluje i potem przez dwie godziny, siedząc mi na głowie dusi na rozmaite sposoby, łamiąc mi dodatkowo ręce i nogi, wylamując palce i wrywając paznokcie, doznając co chwila orgazmu, wreszcie umieram w konwulsjach i budzę się odprężony, a na monitorze w takt relaksującej muzyki, pojawia się łagodnie pulsujący różowy napis informujący, że usługa kosztowała 1.500 zł. Boże, toż to mniej niż jeden rysunek! Jeśli nie będę się lenił i przysiądę wieczorem faldów, to mogę sobie zafundować taką atrakcję codziennie. Jutro zatem zawita w me progi podrasowana programowo Britney Spears i po dwugodzinnych torturach, przywiązawszy mi głowę do zlewu, poderżnię mi gardło rzeźnickim nożem i w agonii będę obserwować jak krew cieknie do zlewu. Już z gry się cieszę. Jest na co oczekiwać. Życie stało się piękne! No tak, ale czas wracać do siermiężnej rzeczywistości i opędzania się paniom, które chciałyby mnie pojąć, ale na nieco innych i mniej mi odpowiadających zasadach. Każdy ma swoje preferencje i swoje marzenia, oraz, co ważniejsze, ma do nich takie same prawo, jak ja do moich. Pięknie pozdrawiam Zdzisław.

Niedziela, 29 października 2000, 10:30

Muszę przyznać, że dawno już tak się nie śmiałem jak przy lekturze Twej ostatniej wiadomości. Wtórowała mi Ania.

Jest w Twych upodobaniach seksualnych rzeczywiście coś dla mnie nie-

zrozumiałego, bo zrozumieć można chyba tylko to, co się, choć w części samemu odczuwa. A ja, jak to już powiedziałem, odczuwam zdrowe, naturalne chucie do grubych bab z cycami, które chędożyłbym (i chędożyłem) leżąc na nich jak Bóg przykazał, czasem tylko pozwalając sobie na jakieś "pozycje". Długie nogi, chude ciała, małe piersi napawały mnie zawsze niechęcią. A już szczególnie niechęcią napawały mnie ciała miękkie. A to niestety można było odkryć dopiero w ogniu walki, jak było już za późno na wycofanie się. Toteż dziesiątki moich podbojów miłosnych uważam za porażki, bo trzeba było miętosić miękkie cyce, a dusza błąkała się gdzie indziej, w chmurach.

Co do rozmyślań filozoficznych i natchnienia to tak, jak powiedziałem: nie mam talentu. Ani nie umiem poprawnie narysować drzewa ani poprawnie zbudować sylogizmu. Całość mych miernych zdolności intelektualnych poświęcam mojej pracy uniwersyteckiej. A tu o wzlotach, jakich Ty doznajesz, gdy uda Ci się zbudować jakieś rozumowanie lub namalować dobry obraz, nie ma mowy. Wiem bowiem z gry, że wszystko co wymyślę i tak zostanie odrzucone przez czytelników. Pochlebiam mi, żona twierdzi, że to dlatego, że moje pomysły są zbyt oryginalne i przedwczesne. No, ale to jest żona. Moja teza w swej pierwotnej, "filozoficznej" wersji wywołała zgrzytanie zębów mego promotora, który kazał mi ją napisać od nowa, tak by każdy mógł ją zrozumieć. Moje jury konkursu profesorskiego nie cierpiało mej pracy habilitacyjnej. Moje wykłady są przez kolegów uważane za stek bzdur i ekipa asystentów, która poprawiała prace egzaminacyjne moich studentów (już Ci o tym pisałem), odkrywając w nich ślady mych teorii, zaprotestowała u dziekana żądając, żeby ich na przyszłość zwolniono z tego obowiązku, bo niczego z moich pomysłów nie rozumieją. Tak też chyba będzie z książką, którą obecnie przygotowuję. Na euforię twórczą nie narzekam więc, bo wiem z góry, co mnie czeka. Zresztą nie liczę nawet na to, że znajdę wydawcę. Będę ją musiał wydać sam. Tak jak musiałem wydać sam albumy malarza, których nikt nie chciał tu wydać i tak jak musiałem wydać po polsku i po francusku opis mych zmagania o wylansowanie go. Opis, którego nikt widocznie nie pragnął, bo prawie nikt mojej książki nie kupił, tak, iż musiałem ją zdjąć z półek księgarskich jako kompletne fiasko.

Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 29 października 2000

Czyli, że można zaryzykować twierdzenie, że nauki pobierane u Ojców Kapucynów, czy jak im tam, nie poszły w las. Masz zdrowe odruchy i potrzeby seksualne chrześcijańskie, albo wręcz katolickie. Ja tak żyłem, ale nie o tym marzyłem, a Ty o tym i marzyłeś i tak żyłeś, tylko nie zawsze dostawałeś to, co byś chciał. Twoje skargi na miękkość cielesną części populacji przypominają mi odezwanie się księdza do mojej babci, gdy w trakcie obiadu prozonego nakładała mu na talerz porcję drobiu: dla księdza mięciutkie z piersi. Piersi to ja pani dobrodziejko wołę twarde. Zostało to u nas jako anegdota rodzinna. Ponieważ jednak, jak twierdzisz, rżałeś ze śmiechu, czytając o moich zachceniach, to już teraz po części wiesz dlaczego Twój pomysł, żebym nakręcił film pornograficzny, nie przypadł mi do gustu. To, co podnieca Jasia, powoduje konwulsje śmiechu u Józia i przeciwnie. Moje potrzeby są nie tyle wstydlive jako potrzeby, bo za dobrze znam repertuar tzw. zbroczeń seksualnych, by cokolwiek mogło mi się wydawać zbyt egzotyczne. One są wstydlive przez swój infantylizm literacki, podczas gdy uważam się za człowieka o wyrafinowanych gustach i chyba nawet taki jestem. Jeżeli japoński obrazek, o którym pisałem parę listów temu, wydał mi się porażająco komiczny, to tym niemniej są ludzie, dla których stanowi on strzał w dziesiątkę jeśli idzie o wyobrażenia seksualne. W jakimś podręczniku psychiatrii przed laty widziałem Dream Drawing lub jak to nazywają Niemcy Wuensch zeichnung jakiegoś koprofaga, u którego umiejętności artystyczne i sprawność manualna w rysowaniu nie dorównywały sile przeżycia. Styl był wypadkową celnika Rousseau i babci Moses. Na tle pokrytych śniegiem Alp widnieje zagroda, gdzie na płocie suszą się garnki, a płot ogradza kilka grządek, z których jedną użyźnia jakaś Heidi opuściwszy majtki w falbanki, podkasawszy spódnicę i przykucnąwszy nad grządką. Na grządce widać już wielką tłustą kupę z zakręconą i uniesioną w grę końcówką w szpic. Poświęcono tej kupie więcej wysiłku artystycznego niż Alpom na horyzoncie, dlatego tak dokładnie ją mogę opisać. Za płotem stoi młodzieniec w tyrolskich spodniach, na tyrolskich szelkach, w tyrolskich podkolan-

nówkach i z tyrolską czapką na głowie i wybalusza pełne entuzjazmu oczy w kierunku kupy. Dwa guziki tyrolskich spodni nie wytrzymały napięcia tak, że całe przyrodzenie wyskoczyło mu na zewnątrz. No cóż obrazek jest porażająco śmieszny i to nie na skutek stylistyki, bo gdyby namalował go Rembrandt, byłoby tak samo, tym niemniej za nim stoi ludzkie przeżycie równie silne jak w wypadku Romea i Julii. Jednym słowem: nie miałbym odwagi publikować własnych wuensch Zeichnung ani też robić filmu pornograficznego, by się ośmieszyć w ten sposób, bo nie jestem wprawdzie koprofagiem, ale to, na co mam ochotę jest dla postronnych równie głupie i śmieszne.

To, że wszyscy jesteśmy mutantami, zrozumiały już nawet niektóre pornograficzne strony w internecie. Np. strona www.fetish.com (nie kupiłem tam prawa wstępu, ale mówię o części ogólnodostępnej) proponuję za niecałe 18 \$ współudział w wymyślaniu sytuacji, które oni potem sfotografują w serii zdjęć. Jak sądzę jest to drenaż pomysłów, bo skąd u licha można wiedzieć czego ludzie chcą: każdy ukrywa własne zachcenia. Przejrzałem pojedyncze ogólnodostępne małe wglądówki, robione według rozmaitych anonimów, czasami było coś jakoś tam zbliżone do moich upodobań, ale dominowała egzotyka. Czyli, że nawet w ramach tak specjalistycznej i wąskiej odmiany masochizmu jak facesitting jest sto rozmaitych pododmian: jeden chce przodem, drugi tyłem, jeden gołą pupą, inny potrzebują panty, a jeszcze inny jeansów, był też taki, który jak dowodnie widać, zażądał by głowę duszonego wsadzać w trakcie tego pod spódnicę, jeden chce być związany, a jeden luzem, jeden związany artystycznie (bondage to jedyna na razie dziedzina BDSM, która zbacza w kierunku sztuki, ciekawy jest szczególnie azjatycki bondage). Nie mówię już o tym, że sama potrzeba bycia uduszonym przez dziewczynę, zmienia swą stylistykę w funkcji czasu. Nasi rodzice chcieli być jeszcze duszeni podwiązkami, a obecnie podwiązki są w Okopach Świętej Trójcy, zaś prym wiodą torebki foliowe i taśma adhezyjna. W wypadku związania ofiary, duszenie następuje też przez zaciskanie dwoma palcami nosa i zakrywanie ust dłonią, ale są też inne mutacje i wyćwiczone modelki, które robią to, całkiem sprawnie, palcami od nóg. Te zdjęcia, które robią cyfrowymi idiotenkamerami rozmaite grupki entuzjastów, dla których jest to sposób na zarobienie trochę szmalu, są w większości niesłychanie nędz-

ne, zarówno technicznie jak i od strony ekspresji aktorskiej i reżyserskiej. Boże muszę kończyć bo zapowiedziała się tu jakaś facetka z Nowego Jorku i będzie za chwilę. Cześć.

Zdzisław.

Niedziela, 29 października 2000, 22:46

Śmiech w czasie lektury Twej wczorajszej wiadomości nie wynikał z tematu (którego jednak nie nazwałbym doznaniem równym doznaniem Romea i Julii, chyba że tylko w intensywności), a z Twojego sposobu rozprawiania o nim.

Sama w sobie rzecz, jak powiedziałem, jest dla mnie obca, a więc i niezbyt fascynująca. Ale Twój drwiący ton jest świetny i zresztą jedyny, jaki można zaakceptować w takich sprawach. Zwłaszcza, że jest to autoironia, a nie wyśmiewania się z osób trzecich.

Tak więc, dusiłem się ze śmiechu z twardych piersi dla księdza, których jak widzę klecha był znawcą, z którym miałbym z pewnością sobie wiele do powiedzenia (i do opowiedzenia). Bo on, polując na polskiej wsi znajdował zapewne po stodółach i folwarkach rarytasy, o jakich ja całe życie marzyłem, a jakich nigdy nie mogłem znaleźć pośród studentek i koleżanek-modelek mojej żony. Polskie, zdrowe dziewczuchy od krów. To prawie brzmi jak ta kupa z ostrym końcem i wpatrzonym w nią młodzieńcem. Tak, z tym księdzem to mógłbym prawdopodobnie z rozpalonymi licami prowadzić przy kominku długie wieczorne rodaków rozmowy.

Tak więc, powtarzam, absolutnie powinieneś zrobić pornograficzny film o Twoich upodobaniach, bo pomysły jakie Ci chodzą po głowie, w sosie w jakim je zaprawiasz, są kapitalne.

Mówiłem Ci już, że widziałam jedno tylko porno, które mi się naprawdę podobało. Było komiczne i jednocześnie podniecające, bo z piękną panienką o ogromnych cycach i o znakomitej figurze. A poza tym pełno tam było prób formalnych, które jak na moje wczesne gusta bardzo mi się podobały. Sądzę zresztą, przypominając sobie niektóre sceny, które utkwily mi w pamięci, że dziś jeszcze nie znudziłbym się tym filmem,

a raczej bym się nim bawił i doceniał jego niezaprzeczalne poszukiwania plastyczne.

Toteż, utrzymana w tonie drwiny i żartu, Twoja erotyczna opowieść filmowa na pewno byłaby super przebojem. Wręcz odwrotnie do tego, co piszesz, jeszcze bardziej namawiam Cię na zrobienie takiego filmu (lub filmów) niż robiłem to podczas naszego ostatniego spotkania u Ciebie w Warszawie. Tym bardziej, iż dowiaduję się z tutejszej telewizji, że za pięćdziesiąt tysięcy dolarów można mieć dzisiaj komputer, program i wszystkie potrzebne rekwizyty do robienia zupełnie poprawnych technicznie filmów, bez udziału montażysty, muzyka, oświetlenia, makijażu etc. Byłaby wręcz szkoda gdybyś umarł nie splodziwszy czegoś innego prócz obrazów, w których, jak Ci to już powiedziałem, nie masz niczego więcej do udowadniania.

A propos: poszliśmy dzisiaj na FIAC i oboje z żoną byliśmy mile zaskoczeni. Znaleźliśmy naszego znakomitego Neumana i mojego ukochanego Moralesa, ale też pewnego figuratywnego Norwega, ultra klasycznego w sposobie malowania, wręcz rembrandtowskiego, o niezwyklej, nowoczesnej, ale udziwnionej tematyce. Muszę koniecznie pokazać Ci jego album, który oczywiście kupilem i usłyszeć, co o nim myślisz. Bo choć zjechałeś jeden z najważniejszych filmów mojego życia, to tu chyba przyznasz mi rację, że chodzi o wielkiego twórcę.

Ściskam. Piotr.

Warszawa, poniedziałek 30 października 2000

Tu się właśnie różnimy. Moim zdaniem nie można nakręcić DOBREGO filmu pornograficznego z autoironią, czy też z ironią. To temat w jakimś tam sensie psychologicznie niesamowity (wykracza poza nasz racjonalizm, dobry smak, kulturę, człowieczeństwo i zwykłą przyzwyczajoność) i traktowanie go powszechnie z przymrużeniem oka (pomijam już intelektualną klasę tego przymrużenia), powoduje, że tzw. filmy erotyczne są żalonym chłamedem nie do oglądania. MUSI się go zrobić tak, jak rysuje się Rysunek Życzeniowy (Wuensch Zeicnung), przedstawiający sytuację wymarzoną i pójść na całość, ale wtedy automatycznie robi się

rzecz śmieszną dla innych. To można zrobić tylko dla siebie. Przeciwny biegun to co najwyżej tylko felieton filmowy na śliskie tematy. Nie ukrywam, że pisanie felietonów, i to nie koniecznie na tematy śliskie, byłoby czynnością, na którą miałbym nawet ochotę i chyba potrafiłbym to robić. Tyle, że byłaby to już jakaś praca na zamówienie i terminowa, musiałbym podpisać jakąś umowę, a sam wiesz jak ja nie cierpię sytuacji w których jestem zobowiązany do czegoś, co jeszcze wczoraj robiłem bezinteresownie i z satysfakcją. Poza felietonami istnieją i inne obszary, co do których czuję, że noszę buławę w tornistrze, tylko problem ze mną jest taki, że jak w jakiejś dziedzinie zapali mi się pod siedzeniem (a inaczej nie potrafię), to wszystko inne idzie w odstawkę. Tak było z komputerem od połowy 1997 do połowy 1999 i zaniedbałem malarstwo, a ja jednak (o czym nie można zapominać) zarabiam na życie i na zabawki obrazami, w komputery wrzuciłem przez dwa lata (bo mogłem sobie na to pozwolić) około 50.000 \$, nie zarabiając na nich ani jednego grosza, ale równocześnie pracując tylko na komputerach, zaniedbałem podstawowe źródło przychodów i nagle w połowie 1999 znalazłem się bez obrazów, za które mogłem wziąć pieniądze, potrzebne choćby na kupno nowych komputerów, bo żywot komputera to dwa lata i tyle. Jakoś z tego wylazłem, ale wcale nie ułatwia mi to podobnego kroku w przyszłości. Nigdy nie ryzykuję też podstawowego bufora finansowego, bo jestem już stary i nie wiem, w którym momencie będę go potrzebować w charakterze zabezpieczenia. To bardziej potrzeba psychiczna niż faktyczna, ale od własnej psychiki nie ma ucieczki. Tak więc przerzucanie się nagle na film czy dźwięk, niesie ze sobą nie tylko obawę, że nie podolam, ale też obawę, że dla chimery ryzykuję własną stabilizacją, która w wieku prawie 72 lat jest już wymogiem podstawowym.

Łatwo przeczytać, że za głupie 50.000 \$ można mieć w domu pełne studio filmowe, ale w praktyce trudno to potem skleić, mając nawet na koncie pół miliona. To jest nieodpowiedzialne głędzenie dziennikarzy. Nawet nie zdajesz sobie sprawy jakim ryzykiem było dla mnie wejście w 1997 w komputer. Oczywiście czytałem pisma i zanudzałem fachowców pytaniami, ale NIKT NIE WIEDZIAŁ NIC KONKRETNEGO. To były takie właśnie nieodpowiedzialne gadki, jak z tym studiem za 50.000 \$. Nie kupuje się w sklepie gotowego studia dla Kowalskiego, podobnie jak nie

kupuje się gotowego komputera dla Beksińskiego. Kupuje się rozmaite zespoły, które teoretycznie powinny ze sobą współpracować, ale wcale nie musi tak być i których na dodatek nie ma w żadnym sklepie, więc trzeba je zamawiać indywidualnie wpłacając zaliczki. To tak, jakbyś miał złożyć z części swój samochód, bo tylko taka droga byłaby dostępna. W magazynie tych ekskluzywnych części nigdy nie ma, bo są drogie i mało kto ich potrzebuje, zatem musisz zamówić wg katalogu lub danych z internetu, a zamawiając zapłacić majątek. Nie może Ci pomóc w tym żaden Bambo, bo wiedza wszystkich Bambo na jakich możesz trafić, ukierunkowana jest inaczej, zaś to, co zamawiasz jest zbyt dla nich drogie, tak że w całym swoim życiu nie mieli szansy, by zetknąć się z tym bezpośrednio. Czytali na ten temat i czytałeś też Ty, ale z czytania niewiele jeszcze wynika. Załóżmy, że aby zbudować ten samochód musiałbyś zamówić w jednej firmie malezyjski silnik w innej firmie szwedzką karoserię w innej firmie chińskie podwozie, a w innej niemieckie drzwi nie wspominając o francuskich siedzeniach i włoskiej tapicerce z amerykańskimi wykończeniami, wreszcie to wszystko masz u siebie i teraz drzwi są zielone i za długie, a karoseria czerwona, ale nie pasuje do podwozia, zaś silnik najlepszy na świecie, ale do łodzi motorowej lub do traktora. Tak właśnie konfiguruje się studio komputerowe, ale płaci się własną, ciężko zarobioną forszą, której jest coraz mniej i nie masz zapasu na pomyłki. Powtarzam: w zasięgu wzroku nie ma żadnego Bambo, który by znał temat, a katalogi operują niedokładnymi danymi lub ogólnymi danymi, nie informując co z czym będzie współpracować. Uzyskujesz wprawdzie nieodpowiedzialne informacje dziennikarskie o studio za 50.000 \$, ale nie wiesz jak i z czego to należy skonfigurować. DEDEN jedyny (a potrzeba ich co najmniej 10) program 3D produkowany przez Alias Wave Front pod nazwą MAYA, kosztuje co roku około 25.000 \$. Wymaga oczywiście specjalnej platformy. Otrzymałem oficjalną ofertę, że ten program wraz z platformą sprzedadzą mi łącznie za około 40.000 \$ podczas gdy faktyczna cena gdybym kupował oddzielnie wynosi około 60.000 \$ i że zarabiam w ten sposób na czysto 19.000 \$. Do tego programu są potrzebne dziesiątki jeśli nie setki pluginów, a żaden nie jest za darmo. Nawet super popularny niemiecki program 3D studio Max, jest cholernie drogi, a nie wspominam już o szeregu programów wyspecjalizowanych do robienia jednego tylko

efektu. Tak, że samo studio to tylko połowa zabawy. To studio za 50.000 to są dziennikarskie bajki napisane przez ludzi z którymi stykam się codziennie i którzy piszą o komputerach z odwagą ekspertów, nie wiedząc o nich więcej niż Ty. Wiem jak takie rzeczy się robi, bo sam raz napisałem (proszono mnie usilnie o to, wręcz nalegano, bo nie mogli znaleźć w tej materii nikogo innego) ekspertyzę 5 amerykańskich programów graficznych, na których zainstalowanie i przejrzenie dano mi około 2 godziny (aby poznać program trzeba na nim popracować intensywnie przez jakie dwa miesiące), w wydawanym przez niemiecki koncern piśmie komputerowym ukazały się potem moje wypociny z moją fotografią i tytułem OPINIA EKSPERTA. Mam prawo sądzić, że wszystkie inne ekspertyzy są tyle samo warte. Od pewnego czasu myślę o robieniu czegoś z dźwiękiem, ale problem wcale nie jest taki prosty jakby Ci się to wydawało. Znowu stoję przed ryzykiem kupna samochodu z silnikiem do łodzi. Prowadzę korespondencję z dwoma kompozytorami, którzy między innymi pracują na komputerze, ale obaj oni pracują z klawiaturą. Jeden to właściwie piosenkarka, która sama sobie robi aranżacje komputerowe, a drugi to adiunkt AM w Krakowie i uczeń Pendereckiego. Znam, a nawet mam już szereg pirackich wersji programów, ale to są programy klawiaturowe, mające nawet w sobie klawiaturę np. syntezatora YAMAHA i innych firm, a mnie idzie o program do manipulowania konkretnym dźwiękiem wprowadzonym wprost z DAT, a nie o pracę na pięciolini. Oczywiście trzeba do tego dokupić zarówno przenośny jak i stacjonarny DAT lub choćby mini dysk z wejściem mikrofonowym i możliwością sterowania nie tylko automatycznego. Mam już jednak nazwę podstawowego programu i karty (bo musi być do niego specjalna karta platformowa) i nawet dostałem od jednego radiowca z Katowic kopie programów do montażu (niestety nagrał to z jakimś błędem), tym niemniej okazało się, że utknęliśmy na konsolocie, bo muszę mieć zarówno kartę jak i programy współpracujące w czasie rzeczywistym z jakąś konsoletą (jaką i gdzie jej szukać, tego nikt nie wie). I gdy pytałem czy te konsolety pracują przez łącze równoległe czy przez SCSI lub USB (a to muszę wiedzieć, bo od tego zależy typ karty) to utknąłem, bo to znowu wiedziałby to tylko pan Wladek od konserwacji sprzętu w radio Katowice, ale pan Wladek z kolei nie rozumie kompletnie nic na temat tego, co ja chciałbym na tym robić (o ile w ogóle

ja sam to wiem na więcej niż na 75%). To nie jest tak, że pójde do sklepu, posłucham co nieodpowiedzialnie plecie sprzedawca, kupię, a potem wrócę do domu i na drugi dzień stworzę arcydzieło. Kiedy wreszcie wygospodarować czas na sprawdzanie i konfigurowanie tego wszystkiego, nie rezygnując z malowania, którym zarabiam, a za to wszystko trzeba będzie płacić, a w tym celu trzeba zarobić pieniądze.

Ponieważ mój dotychczasowy główny komputer nieustannie się zawiesza, to jestem teraz na etapie kupowania nowego głównego komputera do podobnego, jak też i tego samego celu, do jakiego używam go do tej pory. Nawet ten krok napelnia mnie obawą, czy nie będą to wyrzucone pieniądze, bo wreszcie albo będę malować albo robić cokolwiek na komputerze (czasu przed sobą na to wszystko mam coraz mniej). Czyli być może będzie to wydatek około 50-60.000 zł na sprzęt, który będzie tylko stał na nowo wybudowanym stole i po dwóch latach stanie się przestarzały, o ile też nie zacznie się zawieszać. Ostatecznie stać mnie na to, więc dlatego w to wchodzę.

Tak więc, jak widzisz, nie jest to wszystko aż tak proste i nie mogę powiedzieć: zrealizowałem się jako malarz, a teraz czas na film, bo za film może mi nikt nic nie zapłacić (tylko obrazy są towarem), nie mówiąc o tym, że po prostu mogę zaryć nosem i nie zrobić niczego sensownego. To drugie jest bardzo prawdopodobne, bo nie umiem współpracować z zespołem i brak mi na to wystarczającej ilości energii, jak też stanowczości managera. O Boże napisałem za długi list.

Pięknie pozdrawiam Zdzisław.

Poniedziałek, 30 października 2000, 21:26

Oczywiście wszystko to rejestruję i skrzętnie przekażę dalszym pokoleniom, gdy będą kiedyś chciały dowiedzieć się, dlaczego nie próbowałeś robić filmów i na czym stanęły próby robienia kompozycji dźwiękowych (nie mówię muzycznych, bo zaraz byś podskoczył, że Ty wcale nie masz takich pretensji i że nie umiesz...). Racje są słuszne i od dawna wiem, że najpierw dobrze sobie przemyślisz projekt zanim się weń pakujesz. Niemniej szkoda.

A propos sprzedaży obrazów dowiedziałem się od Żurka, że na razie niczego nie sprzedali.

Ja natomiast zmieniam sobie kibel i dziś odebrałem nową muszlę klozetową.

Ściskam Piotr.

Środa, 1 listopada 2000, 21:10

Żona twierdzi, że spłoszyła Cię perspektywa przekazania naszym potomkom Twej korespondencji, w której wyjaśniasz przyczyny, dla których nie chcesz zrobić pornograficznego filmu.

Ja twierdzę, że jeśli nie odpowiedziałeś na mój ostatni mail to po prostu dlatego, że najprawdopodobniej pojechałeś do Sanoka na groby.

Tak czy owak sygnalizuję Ci, że Lars Von Trier zapowiada, że zrobi porno, bo jest to rozdział w życiu ludzkim zazwyczaj przemilczany, a on przemilczać niczego nie zamierza.

Wprawdzie jego ostatni film "Dancer in the dark" był tak nudny, że straciłem prawie całe nagromadzone po "Element of crime", "Europa, Europa" i "Breaking the waves" dla niego uznanie. Więc może niewiele ludzkość ma sobie do obiecywania po owym porno. Ale w każdym razie o tyle jest to do zanotowania, że nawet uznani twórcy nie wstydzą się dzisiaj mówić o seksie w innych niż lekarskich kategoriach zapładniania, miesiączki i pólgu.

Mimo szczepionki przeciwgrypowej, którą sobie i żonie zaaplikowałem natychmiast, gdy tylko ukazała się w aptekach, chyba złapałem wirusa, bo kaszlę nieustannie i mam lekką gorączkę.

Ściskam Piotr.

Warszawa, Środa, 1 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Nie odpowiedziałem, bo nie było kontrowersji. Gdy mam na jakiś temat inne zdanie niż osoba, która do mnie pisze, staram się to moje zdanie

wyjaśnić. Ale w ostatnim Twym liście było tylko potwierdzenie, że uznajesz moje racje.

Co do filmu pornograficznego, a raczej pornografii jako istotnej cechy w życiu człowieka, wypowiadałem się jeszcze w latach sześćdziesiątych. Postulowałem nawet w jakiejś ankiecie wprowadzenie pornografii do podręczników szkolnych, czego nie wydrukowano, ale potem przez parę lat byłem dyżurnym świntuchem Polski Ludowej. Przekonałem się wtedy o różnicy jaka dzieli to, co mnie pobudza od tego, co jest oficjalną wersją erotyzmu w zrozumieniu cywilizacji judeochrześcijańskiej. Wymyśliłem nawet wtedy modelową wersję erotyzmu alla polacca czyli tłusta blondyna i pół litra. Spodobała się do tego stopnia Banachowi, że raz się nią nawet posłużył w jakimś filmie. Od Banacha też dzieliło mnie wiele, ale był to facet, który nie traktował prostego zaspokajania popędu jako erotyzm. Doskonale wiedział, że idzie o coś innego. Zajmował się do śmierci erotologią. Jeździł co roku do Amsterdamu, który wtedy był dla Polski rodzajem rajy dla świntuchów. Jak mi mówił Łomnicki, Andrzej podobno zmarł na ulicy, ale ja tak sobie myślę, że Andrzeja po śmierci wyniesiono dyskretnie na ulicę, by nie mieć kłopotów z policją. Myślę, że zmarł w trakcie badań naukowych, gdyż albo serce, albo żyłka w mózgu nieustraszonego badacza, nie wytrzymały napięcia związanego z przedmiotem badań i samym procesem badawczym. Miał chyba tyle lat co ja obecnie, ale był bez porównania bardziej żywotny. Poznałeś zresztą Andrzeja i jako jeden z nielicznych wyrażał się o Tobie z uznaniem, mówiąc mi, że początkowo nie doceniał stopnia w jakim ten facet, czyli Ty, zajął się lansowaniem mnie.

Na groby do Sanoka nie jeżdżę. Może należałoby, ale nie wydaje mi się, by to co mnie wiąże ze wspomnieniami osób zmarłych, wymagało ceremonialnego podgrzewania nad świecami. Nigdy nie lubiłem Zaduszek.

Dziś szedł w telewizji 24 minutowy film o Tomku, ale trochę taki nijaki, jak (w moim odczuciu) ten SOMBRE. Być może Tobie by się podobał. Powiedziałem reżyserowi, że mi się podoba, bo nie chciałem mu sprawiać przykrości, ale oczekiwałem czegoś innego, tym niemniej niektóre fragmenty mnie poruszyły, bo jednak mówiły prawdę.

Lecka gorączka nie musi być objawem grypy. Szczepionka ma chronić

przeciw grypie, a nie przeciw przeziębieniu. Ja z kolei dziś w nocy miałem coś podobnego do ataku wątrobowego, połączonego ze słabymi dreszczami i zapewne gorączką.
Pozdrowienia Zdzisław.

Piątek, 3 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Wywiad w PLAYBOYU się już nie ukáže, więc nie będziesz już mieć powodów do narzekania, iż to czy tamto Cię dotknęło. Autorka wywiadu postanowiła przenieść go do jakiegoś pisma GENTLEMAN, które jednak nie drukuje tak obszernych wywiadów jak PLAYBOY, więc wywiad skróciła, a dodatkowo jeszcze ja zrobiłem korektę dotyczącą Twojej osoby. Jednym słowem dogadzam Ci już jak ksiądz Kaśce. Nie mogłem wyrzucić wszystkiego o Tobie, ale przerobiłem ten fragment jak poniżej. Posyłam starą i nową wersję. Wywiad ukáže się w numerze grudniowym. To na razie tyle, bo za chwilę zawita tu fotograf GENTLEMANA.
Cześć Zdzisław.

PLAYBOY:

- A nie korciło Pana aby zobaczyć "swoją" galerię w Paryżu? Przez lata pana dzieła były sprzedawane tylko u Piotra Dmochowskiego w Paryżu. Nie chciał pan zobaczyć swoich obrazów w stolicy sztuki!?

- Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Dmochowski wielokrotnie zapraszał mnie do Paryża. Oprócz zainteresowania wystawą, poddany byłem jednak działaniu drugiego silniejszego wektora: niechęci do podróży i związanego z nią napięcia. Poza tym cholernie obawiałem się, że będę - jak to się mówi - noszony na rękach, czego nie cierpię, będą mi pokazywać Paryż i to nie od tej strony, która by mnie interesowała, tylko od turystycznej, a ja powinienem to docenić i okazywać zachwyt. Jeśli pamiętam siebie z tamtego okresu, to jedyna rzecz, która by mnie wtedy zainteresowała w Paryżu, to były specjalistyczne sklepy z płytami. W Polsce wtedy w ogóle nie było płyt CD i miałem na tym tle szmergla. Już wyobrażam sobie jak

zdenewowałbym Dmochowskiego, który najprawdopodobniej chciałby mi demonstrować repertuar turystyczny od Luwru po Lido, wjechać na wieżę Eiffla i tak dalej. Ale chyba najważniejsze było to, że od samego początku miałem świadomość, że nie pasuję do sytuacji, że Dmochowski wystawiając moje malarstwo, chce wcisnąć Francuzom coś co napęlnia ich podobną odrazą jak mnie kuchnia śródziemnomorska. Pokazywanie się tam, a byłbym na pewno demonstrowany zainteresowanym jak utalentowana zielona małpa zza żelaznej kurtyny, było dla mnie nie do przyjęcia.

- A jaką jest rolę odgrywa marszand w życiu malarza, to raczej przyjaciel czy przeciwnik?

- Mogę mówić tylko o sobie. Przez pierwsze lata moja współpraca z Dmochowskim układała się poprawnie, ale potem czułem się coraz bardziej osaczony. Żyję na luzie, jestem dusza człowiek, ale jeśli widzę, że jestem kochany jak mucha przez pająka, zamieniam się w sukinsyna, ostatnio z mojej inicjatywy wypaliliśmy fajkę pokoju, ale nie podpisaliśmy następnego "aktu małżeńskiego". Wszelkie związki działają na mnie fatalnie, skłaniają mnie do działań, na które nie mam ochoty. Czuję się jak na tylnym siedelku motocykla i jeżeli prowadzący ma nieco inne reakcje niż ja, zaczynam się denerwować. Znana jest anegdotyczna już różnica między katolikiem i protestantem? Protestant boi się wydać dziś to co zarobił wczoraj, bo na jutro może mu zabraknąć, zaś katolik zaciąga dziś pożyczkę a konto jutrzejszego wynagrodzenia i od razu wszystko wydaje. Mam naturę protestanta, a Dmochowski katolika i to on prowadził motocykl. Ja tylko siedziałem bez prawa głosu na tylnym siedelku i zawsze miałem wrażenie, że jeżdżę po ścianie śmierci z wariatem za kierownicą. Myślałem - Boże Świąty, ja już tego dłużej nie zniosę! Poza tym nikt w całym moim życiu, nie wymagał ode mnie takiej wyłączności. To przerastało moje możliwości psychiczne. Każde moje słowo chlapnięte bez przemyślenia lub na odczepnego, obracało się po jakimś czasie przeciw mnie. Zaczęłam się pilnować. Nagrywałem rozmowy telefoniczne, po 10 razy przerabiałem listy, bo przekonałem się, że w każdym zdaniu kryć się mogą luki interpretacyjne. Byłem w nieustannym stresie. Dmochowski, w jednym z wywiadów stwierdził: "Umowa jest taka, że Beksiński może sobie zatrzymać 25 proc. rocznej produkcji, ale nie więcej niż 5 obrazów".

- Czy sprzedaż obrazów boli?

Oczywiście, trzeba było się przyzwyczaić i nawet znalazłem mnóstwo wytłumaczeń dlaczego dobrze jest sprzedawać obrazy. Po pierwsze mam ciasne mieszkanie, więc nie dam rady zmieścić wielu obrazów. Po drugie, jeśli by ten blok się zawalił, wszystkie obrazy szlag trafiłby od razu. Po trzecie, gdyby wybuchła wojna, a obrazy byłyby rozproszone, to spali się jeden, drugi i dziesiąty, ale przecież nie wszystkie, zawsze jakieś się przechowają, a mnie zależy na tym by przetrwać, w każdym razie rozproszenie obrazów wydawało mi się sensowne i czyniłem to poniekąd planowo. Z drugiej strony sprzedaż obrazów umożliwiła mi uwolnienie się od pracy na etacie. Kiedyś pracowałem jako architekt, potem w fabryce autobusów, dziś już mogę zarobić malując.

Gentleman:

- A nie korciło pana, aby zobaczyć "swoją" galerię w Paryżu? Przez lata pana dzieła były sprzedawane tylko u Piotra Dmochowskiego. Nie chciał pan obejrzeć własnych obrazów w stolicy sztuki?

- Trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Dmochowski wielokrotnie zapraszał mnie do Paryża. Oprócz zainteresowania wystawą, poddany byłem jednak działaniu drugiego, silniejszego wektora: niechęci do podróży i związanego z nią napięcia. Poza tym cholernie obawiałem się, że będę - jak to się mówi - noszony na rękach, czego nie cierpię, będę mi pokazywać Paryż i to nie od tej strony, która by mnie interesowała, tylko od turystycznej, a ja powinienem to docenić i okazywać zachwyt. Jeśli pamiętam siebie z tamtego okresu, to jedyną rzeczą, która by mnie wtedy zainteresowała w Paryżu, byłyby specjalistyczne sklepy z płytami. W Polsce wtedy w ogóle nie było płyt CD i miałem na tym tle szmergla. Już wyobrażam sobie jak zdenerwowałbym Dmochowskiego, który najprawdopodobniej chciałby mi demonstrować repertuar turystyczny od Luwru po Lido, wwieźć mnie na wieżę Eiffla i tak dalej. Ale od samego początku miałem świadomość, że nie pasuję do sytuacji, że Dmochowski wystawiając moje malarstwo, chce wcisnąć Francuzom coś, co napełnia ich podobną odrazą jak mnie kuchnia śródziemnomorska. Pokazywanie się tam, a byłbym na pewno demonstrowany zainteresowanym jak utalentowana zielona małpa zza żelaznej kurtyny, było dla mnie nie do przyjęcia.

- Jaką rolę odgrywa marszand w życiu malarza? To raczej przyjaciel czy

przeciwnik?

- Mogę mówić tylko o sobie. Przez pierwsze lata moja współpraca z Dmochowskim układała się poprawnie, ale potem czułem się coraz bardziej osaczony. Żyję na luzie, jestem dusza człowiek, ale jeśli widzę, że mam pracować dla kogoś, zamieniam się w sukinsyna. Ostatnio z mojej inicjatywy wypaliliśmy fajkę pokoju, ale nie podpisaliśmy następnego "aktu małżeńskiego". Wszelkie związki działają na mnie fatalnie, skłaniają mnie do działań, na które nie mam ochoty. Czuję się jak na tylnym siodełku motocykla i jeżeli prowadzący ma nieco inne reakcje niż ja, zaczynam się denerwować.

Sobota, 4 listopada 2000, 22:43

Ani pierwsza, ani druga wersja wywiadu nie zawierały żadnego elementu, który ubliżałby mi tak, jak ewidentnie ubliżały mi Twoje wypowiedzi w wywiadzie, na który się obraziłem. Tam wyraźnie mówiłeś, że współpracowałeś z półgłówkiem, który miał pomysły na poziomie mojego psa. Ania prosi mnie bym Cię zapytał czy w "damie z flakami" jest tylko farba olejna i jak najlepiej zmyć plamki po wodzie? Czy czysta woda czy też woda z mydłem? A jeśli z mydłem to czy z szarym marsylskim czy może z toaletowym? O ile pamiętam mówiłeś mi kiedyś, że olejne obrazy łatwo się zmywa wodą. Ale chyba nie wtedy, gdy obok farby olejnej jest domieszka akrylu? A Ty mieszasz czasem dwa rodzaje farby. Tak więc, wiem że zarówno w murzynie w podkoszulku jak i w parze mumii jest domieszka akrylu. Na wszelki więc wypadek, wołę zapytać, czy tak jest również z damą z flakami? Rodzina Ani widziała film w telewizji i oceniła, że mówiłeś o śmierci Tomka z lodowatą obojętnością.

Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 5 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Dajmy spokój tym wywiadam. Ja po prostu nie kapuję o co Ci chodziło, ale moją intencją nie było obrażanie ani Ciebie, ani kogokolwiek i kie-

dykolwiek. Jak widać nie rozumiem Twoich reakcji, w końcu Ty też nie rozumiesz moich. Mogę tylko powiedzieć to, że do PLAYBOYA wywiad po prostu napisałem na swoim komputerze, bo były w nim rozmaite potknięcia stylistyczne. Nie zależało mi na jego ukazaniu się, bo miejsce nie wydawało mi się specjalnie nobliwe, ani nie zależało mi na opinii pani, która go przeprowadzała, chociaż nic przeciw niej nie mogę powiedzieć, bo była osobą miłą i sympatyczną. Inna sprawa była z POLITYKĄ. Bardzo mi zależało, żeby się ten wywiad tam ukazał, bo wyczuwałem (być może niesłusznie i na wyrost), że POLITYKA stanowi dla mnie "wrogi obóz", a Sarzyński mnie chyba nadmiernie nie kocha. Skoro on sam poprosił mnie o wywiad, to doznałem uczucia biblijnego, które wyraża się w tekście, że większa jest w niebie radość z jednego nawróconego, niżli z dziewięćdziesięciu sprawiedliwych. Postanowiłem nie marudzić, lecz zaakceptować to, co napisał, skreślając tylko jedną kwestię w której były błędy formalne, dotyczące techniki pracy na komputerze. Sarzyński (który przed autoryzacją powiedział mi przez telefon, że jest bardzo przywiązany do tego tekstu i zależało by mu, by go nie zmieniać), napisał to więc swoimi słowami i swoim stylem, a ponieważ nie porobił błędów stylistycznych, to nie sądziłem, że coś tam jest źle. Oczywiście biorę odpowiedzialność za określenie "ubodzy krewni kultury europejskiej łączcie się", bo to moje słowa i moje określenie. Biorę odpowiedzialność za Wałęsę, bo do dziś jestem pewien, że sprawa tak wyglądała jak ją zapamiętałem, a że był to "przelotny i nieistotny pomysł" dowiedziałem się od Ciebie dopiero w tym roku. Przecież właśnie incydent z Wałęsą stał się powodem podniesienia odszkodowania z 25 na 50 obrazów, bo ująłeś to potem tak, że nie doceniałeś, iż do tego stopnia lękam się ośmieszenia, że z takiego powodu gotów jestem dać odszkodowanie i zerwać umowę i przy pierwszej nadarzającej się wymianie typu "coś za coś", zaproponowałeś podniesienie odszkodowania, przytaczając taką właśnie motywację. Jeśli idzie o brak profesjonalizmu, to nie było to ani moje określenie ani moje słowa. Był to skrót z dłuższej rozmowy (rozmawialiśmy ze dwie godziny, a wywiad czyta się w 10 minut) zrobiony stylem Sarzyńskiego, ale nie wiedziałem w nim nic niewłaściwego i nie wiedziałem, że to może Cię dotknąć. To by było wszystko, co na ten temat mogę napisać.

Co do mycia obrazu olejnego (to, że podmalówka jest akrylowa nie ma

znaczenia) to póki nie stosuje się ryżowej szczotki, śmiało można użyć wody z jakimś detergentem. Zrobić to najlepiej miękką wilgotną szmatką. Mydła bym nie polecał, istotne także jest to, z czego są to plamy. Niektóre można usunąć szmatką zwilżoną benzyną do zapalniczek, ale nie należy wtedy nadmiernie trzeć, tylko postarać się to zrobić z wyczuciem. NIGDY nie używać alkoholu! Co do murzyna w podkoszulku to w całości jest wyłącznie akrylowy, więc czyścić go należy wyłącznie na sucho!!!

Co do filmu o Tomku, to każdy odbierze, jak odbierze. Ja usłyszałem już tyle pod swoim adresem (nie tylko z okazji filmu), że czuję się trochę jak worek treningowy dla ludu. Chyba nie sądzisz, że śmierć Zosi i Tomka spłynęła po mnie jak woda po gęsi, bo nic okropniejszego nie mogło stać się moim udziałem, ale nie mam zwyczaju publicznego demonstrowania swych uczuć dla widowni. Nie brałbym w ogóle udziału w całym tym przedsięwzięciu, ale sądziłem, że ratuję w ten sposób 20 minut materiału o Tomku, nakręconego na Betacam za jego życia. Potem okazało się, że żadnego materiału chyba nie mieli. Nie będę się ze swego zachowania tłumaczył przed ludem bożym, bo to jest dla mnie poniżające. Te kilka moich słów wyrwanych z kontekstu i stanowiących 5% nagrania, mogło rzeczywiście zabrzmieć głupio. Poza tym reżyser odrzucił jak się dziś dowiedziałem w całości szereg tekstów nagranych z jego przyjaciółmi z Krakowa i z Sanoka.

Pozdrowienia Zdzisław.

Warszawa, środa 8 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Bardzo przepraszam, ale poprzednio, wysyłając Ci tekst obu wywiadów: starego i nowego, popełniłem błąd, gdyż bazowałem na tym co oni w GENTLEMANIE już skrócili, a wydawało mi się, że to co pisałem przed półtora roku do PLAYBOYA było cokolwiek ostrzejsze. Nie mogłem zajrzeć do tekstu, bo był w Macintoshu, a mój Macintosh padł ostatecznie na początku września. Teraz skonwertowałem ten stary tekst z dyskiety Macintosha i rzeczywiście okazało się, że wtedy do PLAYBOYA poszła wersja taka jaka jest niżej. Potem chyba coś retuszowałem w całym

tekście, gdy z redakcji prosili o dodanie odpowiedzi na 3 pytania "bardziej intymne", ale tej wersji już nie mam nigdzie, albo nie umiem jej odszukać. Wtedy może dodałem, że "zmieniam się w sukinsyna", bo tu tej kwestii nie ma. Oczywiście w tej chwili przytaczam ją tylko do Twoich akt, bo cała sprawa jest już nieaktualna. Jak więc widzisz pisanie wywiadu, to w moim wypadku nie "spisywanie do przecinka", ale praca literacka. Wczoraj udzielałem wywiadu facetowi, który spisywał to co mówię w punktach na kartce. Już czuję, że po nadesłaniu tekstu do autoryzacji, będę go musiał pisać od początku - teraz czekam na fotografa, bo do każdego wywiadu muszę dodatkowo pozować. Przedwczoraj udzieliłem wywiadu, odpowiadając na pytania nadesłane z Krakowa w mailu, a przed czterema czy pięcioma dniami też miałem jakiś wywiad i potem pozowanie, ale już zapomniałem dla kogo i z kim. Już mam tych wywiadów powyżej uszu i trudno nie powtarzać tego samego odpowiadając zawsze na takie same pytania. Film o Tomku będziesz mógł zobaczyć w programie POLONIA w dniu 18 bm. o godzinie 23 czasu polskiego. Cześć.

Zdzisław

Środa, 8 listopada 2000, 12:29

Oczywiście obejrzymy program o Tomku 18-go o 23-ej. Poza tym zobaczymy go z pewnością u Ciebie i to z Twoim komentarzem, gdy będziemy w Polsce wiosną. Do wywiadów nie ma już co wracać.

Powiem tylko, że rozumiałbym Twoje złośliwości pod moim adresem przed przeczytaniem mojej książki, gdy jeszcze mogłeś udawać, że niczego dokładnie nie wiedziałeś, bo mieszkałeś w Polsce, a to się działo tutaj. Rozumiałbym te złośliwości również przed wypaleniem fajki pokoju wtedy, gdy nawet wiedząc jak się to wszystko odbyło (bo w międzyczasie przeczytałeś książkę), mogłeś przez żal do mnie udawać, że nic nie wiesz i drwić ze mnie. Natomiast nie mogłem zrozumieć nie tylko braku dobrego słowa, ale wręcz drwin po lekturze, z której dowiedziałeś się ile pracy i ile wysiłków włożyłem w całą sprawę i to z zapalem, zacięciem, a często dobrymi, pozytywnymi rezultatami. A już zupełnie nie mogłem tych złośliwości, drwin i wyszydzań zrozumieć po pogodzeniu się, bo

wtedy nawet na żal do mnie i na umyślne przeinaczanie prawdy już nie miałeś prawa.

O ile potrafisz być realistą i widzieć rzeczy takimi, jakimi są, o tyle (co już stwierdziłem w portrecie, jaki Ci wypędzłowałem) potrafisz całkowicie zamknąć oczy na rzeczywistość i widzieć tylko swoje odczucia.

Oczywiście u wielkich artystów społeczeństwo wybacza to wszystko bez żachnięcia. I niewiele go obchodzi, że twórca mijał się z prawdą, a że ktoś z tego powodu ucierpiał. Ale dla tego kogoś, kto właśnie ucierpiał jest to mniej kławe.

Jednak, jak powiadam cała rzecz jest już nie warta powrotów, bo powroty i wyjaśnienia mają sens, gdy w obrazie, jaki sobie o danej osobie robimy, coś prostują, coś zmieniają lub uzupełniają. A mój obraz o Tobie jest już od dawna kompletny i nie wymaga żadnych dodatków, uściśleń i sprostowań. Tak jak Ty nie wracasz do raz namalowanych obrazów, by po latach zmieniać je i poprawiać, tak ja nie wrócę już do sporządzonego przeze mnie przed laty Twego wizerunku. Pracowałem nad nim wiele tygodni, przez wiele godzin przemyślałem każde zdanie i wiem, że nie ma tam niczego do dodania ani do ujęcia.

Współczuję Ci tych niekończących się wywiadów, ale zadam proste pytanie: to po co je dajesz? Wiele proszonych osobistości po prostu odmawia. Jakoś musi Cię to w głębi rajcować.

Jest rano i siedzę przed telewizorem w oczekiwaniu na ostateczny wynik wyborów w Stanach. Wprawdzie całym sercem głosowałbym za Naderem a nie za Gorem, tak jak zresztą od lat już głosuję na zielonych we Francji. Ale perspektywa zwycięstwa Busha po prostu mnie przeraża. Znow będę miał całymi wieczorami tą okropną mordę na ekranie telewizyjnym, tak jak miałem na nim przez lata okropną mordę jego ojca, a przedtem Regana. Republikanów nie cierpię, choć dawno już mi minęły moje lewackie ciągoty. Nawiasem dodam, że dziś najbliższej czuję się tylko własnego mieszkania i własnej żony. Inni mnie już nie obchodzą. Cała ta przygoda z Tobą całkowicie zmieniła mój pogląd na świat. Dziś w ludziach, wszystkich ludziach, widzę jedynie wrogów, którym źle życzę. I to zarówno na płaszczyźnie osobistej jak i ideologicznej. Toteż w głębi rzeczy niewiele mnie już obchodzi, kto będzie rządził Stanami, a poprzez Stany, kto będzie rządził światem, kto z tego powodu będzie cierpiał, a kto się

będzie bogacił i radował.

Niemniej są mordy, których nie cierpię po prostu fizycznie. I ta Busha należy do najbardziej obrzydliwych.

No, ale może się jeszcze wszystko odmieni i za dziesięć dni dowiemy się, że to jednak Gore wygrał.

Ściskam Piotr.

Środa, 8 listopada 2000, 13:08

OK OK. Zapewne nie uwierzysz, ale dopiero od Ciebie dowiedziałem się w tej chwili, że w Ameryce są wybory. Jakiś Bush chyba już kiedyś był prezydentem? Aha to jego syn. Nie pamiętam w ogóle jak wyglądał jego ojciec, nie wiem jak wygląda Gore. Nic nie mogę powiedzieć o ich orientacjach i programach. Nie inaczej było zresztą w wypadku Polski.

Co do wywiadów to nie umiem nikomu odmawiać, gdyż to wymaga posiadania jakiejś cechy, której mnie brak. Wczorajszego wywiadu udzielałem w zamian za 20.000 \$, które wydawca "Komputer Świat" ma dać na wydanie CD z moimi pracami ludziom, którzy wydają album dla Ochojskiej, który z kolei finansuje wydawca "Techno party". Powiedział, że da forszę, ale za to Beksiński ma udzielić wywiadu do pisma "Komputer Świat". No więc zrobiłem to dla dobra sprawy, a nie dla siebie, by się podrajcować. Ten CD ma być dodatkiem do albumu. Tak sobie wymyślili, a ja jak zwykle przystałem na wszystko głównie dlatego, by nie być zmuszonym do myślenia i planowania. Nasz obecny świat to świat sponsorów. Nawet przed godziną rozmawiałem z właścicielem galerii w sprawie wystawy prac komputerowych w Bielsku, na którą wyłożył 6.000 zł jakiś tym razem lokalny sponsor.

Zdzisław

Warszawa, czwartek 9 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Zrobiło się tak ciemno, że mimo wczesnej pory nie jestem w stanie malować i może zdołam odpowiedzieć choć w części na Twój wczorajszy list

(wczoraj tylko wklepałem kilka słów, bo cały dzień zmarnowałem, gdyż bez przerwy ktoś do mnie przychodził w interesach, co w sumie nie jest rzeczą najgorszą, bo dokucza mi czasami samotność).

Z Twego listu wynika, iż mój dawny wywiad zawierał "złośliwości drwiny i wyszydzenie" oraz "umyślne przeinaczanie prawdy". Podobno obie wersje nadesłane poprzednio "ubliżały" Ci "mniej ewidentnie". No ale jednak ubliżały. Na Boga: w czym? Pisziesz też, że po zapoznaniu się z Twoją książką i z trudami jakie poniosłeś lansując mnie, jak też po pogodzeniu się, nie możesz zrozumieć moich złośliwości. Wspominasz też o portrecie jaki mi zrobiłeś w swej książce, do której już wracać nie zamierzasz. Przeanalizuj proszę najbardziej obszerny z moich tekstów, czyli ten który miał pójść do PLAYBOYA, ale w rezultacie odrzuciłem go. Zawiera w sobie wszystkie skrócone teksty późniejsze. Jeśli oczywiście nie wymagasz, by traktować Cię jak Ojca świętego z rewerencją, która przekracza granice zdrowego rozsądku, to ja nie widzę tam ani jednej kwestii, której nie mógłbym napisać i nie napisałbym o kimkolwiek z mych znajomych i przyjaciół i którego oni nie mogliby napisać o mnie, nie wywołując żadnej obrazy ani nawet komentarza. W moim odczuciu jesteś po prostu nadwrażliwy. Przyjąłem jednak ten fakt do wiadomości i usunąłem ten tekst, a w przyszłości będę się starać, by obcinać na krótko wszystkie pytania o Ciebie, by mimo woli nie narazić Cię na coś co odczujesz jako moją złośliwość i drwinę, bo antagonizowanie Cię (ani nikogo innego) nie jest moim zamiarem. Po Twojej reakcji na wywiad w POLITYCE, w każdym następnym wywiadzie, postępowałem już właśnie w ten sposób, ale w PLAYBOY wywiad już leżał i nie chciałem robić zamieszania. Gdy tylko okazało się to możliwe, skreśliłem wszystko, co tylko mogło być odebrane jako złośliwość.

A Ty, czyż byś nie chciał mi dokopać w książce? Pisanie na jednej stronie, że Beks jest wstydlivy, a na kolejnych, że ma sraczkę nerwicową lub, że fiut nie chce mu stać, bo grzebać się musi w odchodach matki, nie da się chyba wytłumaczyć czystym poszukiwaniem prawdy? Takich rodzyneków jest tam sporo. Nie mam akuratnie książki przy sobie, bo wczoraj pożyczyłem ją jakiejś młodocianej entuzjastce, która zapoznaje się z wszystkim co napisano o mnie i co raz to bierze ode mnie kolejną porcję tekstów lub artykułów, ale to, co zarzucasz mi teraz, to między innymi, że dostrze-

gam tylko swoje odczucia. Moim zdaniem każdy widzi i co ważniejsze jest zdolny widzieć tylko swoje, tym niemniej faktem jest, że w wielu miejscach swej książki opisywałeś też moje odczucia, za każdym razem była to całkowita fikcja. Przykład. Nie jestem w stanie podać w tej chwili strony, ale robisz to choćby w tym miejscu, gdy opisujesz naszą rozmowę telefoniczną, w której między innymi pojawia się sprawa PENTHOUSE. Przecież tam jest opisane w szeregu zdań, co ja sobie myślę w trakcie gdy ze mną rozmawiasz. A niby skąd to wiedziałeś?

A więc w rzeczywistości myślałem sobie wtedy dokładnie tak: Dmochowskiemu cholernie zależy na tym PENTHOUSE i trzeba okazać zainteresowanie, podczas gdy prawda wyglądała tak, że ja cholernie nie chciałem we Francji debiutować z platformy PENTHOUSE. Ale nie mogłem o tym głośno powiedzieć, bo obawiałem się byś nie pomyślał, że jestem zakłamanym i udaję świętoszka, który nie lubi oglądać pism z gołymi dupami (a wręcz przeciwnie bardzo to lubilem, a szczególnie w tamtych czasach), lub byś nie zaczął z perspektywy wielkiego Świata pouczać nas maluczkich, którzy w tym Bangladeszu (to było Twoje ulubione określenie) nie mają pojęcia, że właśnie takie pisma jak PENTHOUSE kształtują w świecie opinię publiczną. Postanowiłem okazać spolegliwość dokładnie w oparciu o tą samą cechę mej psychiki, która powoduje, że udzielam wywiadu każdemu, kto tylko mnie o taki wywiad poprosi, chociaż wcale o tym nie marzę. Potem zachowywałem się już stosownie do przyjętej na początku opcji zachowania.

Takich fragmentów w całej książce jest kilka: piszesz jakbyś uważał się za jasnowidza i znał moje myśli. Prawie za każdym razem walisz na aut. Może więc lepiej jest jeśli każdy mówi tylko o własnych odczuciach (co teraz postawiłeś mi jako zarzut), wtedy nie popełnia błędu, bo wie co odczuwa i co odczuwał, wtedy też nikogo nie obraża, bo w jaki sposób to co ja odczuwam może obrazić kogokolwiek? To po prostu to co czuję i co interpretuję po swojemu. Podpisuję się pod tym. Czy to może być z samej istoty rzeczy obraźliwe? Jeżeli ja w wywiadzie mówiłem to, co czułem, to mówiłem DOKŁADNIE to, co czułem. Nie relacjonowałem ani Twego zachowania ani Twoich domniemyanych odczuć, a tylko to, co widziałem i czułem ja. To chyba uczciwa opcja? Czyżby to było wyszydzanie?

Teraz kwestia umyślnego "przeinaczania prawdy". Z tego co mówileś jeszcze w Warszawie, sądzę, że masz na myśli sprawę Wałęsy, gdyż twierdzisz (i podobnie napisałeś w książce), że to nie był u Ciebie pomysł serio. Pozwól, że wymyślę historyjkę sądową:

Jest jakiś facet, który panicznie boi się napadu i to do tego stopnia, że wywołuje tym rozbawienie całego swego otoczenia. Kumple postanawiają go nastraszyć, ale nie wiedzą, że w międzyczasie facet uzyskuje pozwolenie na broń, kupuje rewolwer, ale nie przyznaje im się do tego, by nie wywoływać kolejnych kpin. Jego kumple w maskach w ciemnej uliczce pozorują napad na niego ze straszakami i nożami w rękach, by móc go potem ośmieszyć przed nim samym, zaś on w panice, błędnie oceniając sytuację, strzela i zabija jednego z nich, ciężko raniąc drugiego. Sprawa pojawia się przed Sądem, a oni tłumaczą się, że to był żart, no bo to rzeczywiście był żart. Nie wiem jaki wyrok wyda Sąd i kogo uczyni winnym, bo może uzna, że było to przedwczesne użycie broni, ale wiem, że facet po prostu miał pełne prawo ocenić sytuację tak, jak ją ocenił i że całkowitą winę za incydent ponoszą owi kumple.

Jak to było z Wałęsą. Przyjechali do mnie, by rozmawiać przez telefon z Tobą Glinicki i Dziworski. W trakcie rozmowy Glinickiego z Tobą, pada określenie "przyjaciół z Gdańska". Gdy Glinicki już skończył, a przez telefon rozmawia Dziworski, pytam Glinickiego (nie przeczuwając nawet o co chodzi) kto to jest ten przyjaciel z Gdańska i o co chodzi i dowiaduję się, że Piotr chce by wstęp do mego katalogu napisał Wałęsa. Gdy Dziworski skończył, biorę od niego słuchawkę i rozmawiam z Tobą, mówiąc, że dam natychmiast odszkodowanie 25 obrazów i zerwę umowę jeśli nie odstąpisz od pomysłu pisanego wstępu przez Wałęsę. W trakcie tej rozmowy nie wspominasz ani słowem o tym, że to miał być żart, ani o tym, że to jest luźny zamysł - wygłaszasz natomiast opinię, że to dziwne, iż nie chcę wstępu pisanego przez człowieka, który znany jest na całym świecie i że sporo na tym moglibyśmy zyskać. O tym, że to było (nie pamiętam w tej chwili określenia) półżartem dowiaduję się dopiero z Twojej książki, ale nie widzę powodu, by traktować to, co tam napisałeś za Ewangelię, skoro kilka stron dalej lub bliżej, piszesz np., że zdobyłem tylko podstawowe wykształcenie inżynierskie, podczas gdy w moim wypadku było akurat przeciwnie, że demaskowałem wrogów ludu, będąc w ZMP, podczas gdy

nigdy tam nie należałem i w całym życiu nikogo nie demaskowałem, natomiast demaskowano mnie, ale nie w ZMP tylko w ZBM czyli w Zjednoczeniu Budownictwa Mieszkaniowego, w którym pracowałem i o tym właśnie Ci opowiadałem.

Nie zarzucam Ci, tak jak Ty robisz w stosunku do mnie, "umyślnego" przeinaczania prawdy, ale nie miało to wszystko nic wspólnego z prawdą i szereg innych rzeczy, które napisałeś tam o mnie, też nie miało nic wspólnego z prawdą. Dlaczego więc miałbym uwierzyć, że był to żart, jeśli idzie konkretnie o sprawę Wałęsy? Do dziś w ten żart nie wierzę. Szczególnie, że przy okazji także "wiedziałeś" co ja myślę i napisałeś, że w szczególny sposób pogardzam Wałęsą jako klasowo obcym (bodajże robotnikiem - znajdź ten fragment sam, bo ja nie mam tekstu przed oczami). Kompletna bzdura. Nawiasem mówiąc to, co w książce występuje jako "portret Beksa 2" oceniłem od samego początku, nawet wtedy gdy byłem jeszcze na książkę wkurwiony, jako najlepszy z portretów jaki kiedykolwiek do tej pory mi zrobiono i ogólnie identyfikuję się z nim bez oporów. To co napisałem wyżej dotyczy szczegółów. To samo od samego początku pisałem do ludzi z którymi koresponduję: szczegóły są nieprawdziwe, ale to jestem ja.

To by było to, co chciałem napisać. Czy wybory w USA już się skończyły i kto wygrał? Zapomniałem wczoraj włączyć telewizor, bo siedziałem na stronie z Facesitting i oglądałem świńskie obrazki. Teraz kończę, bo za chwilę będzie tu redaktor z radia z projektem albumu. Pozdrowienia, ukłony dla Pani Anny.

Zdzisław.

PS. Okazało się, że nie dałem rady się wyrobić, a rozmowa z redaktorem przeciągnęła się do godziny 17. Musiałem także podpisać umowę z niemieckim wydawnictwem Axel Springer w sprawie tych jak się okazało 45.000 \$, które mają wyłożyć na produkcję CD z moimi pracami w zamian za co zgodziłem się, by przeprowadzono ten cholerny wywiad do wydawanego przez nich pisma "Komputer świat". Jutro w tej sprawie przyjdzie redaktor naczelny i przedstawi mi koncepcję. Ależ ja na wszystko się z góry zgadzam, byle dali mi wszyscy święty spokój, ale jeszcze muszę wystąpić na konferencji prasowej i wziąć udział w chat internetowym w ARENA, odpowiadając na pytania. Powiedziałem, że mam dysleksję

i musi klepać w klawisze ktoś za mnie. Nie umiem kontaktować się na Ircu. Zbyt powoli piszę i z błędami. Kompletnie nie rozumiem całej sprawy, ale to ma być jakaś aukcja tych albumów z czego potem mają być dożywiane dzieci w wiejskich szkołach. Mam tylko nadzieję, że nie uczestniczę w wielkiej akcji prania pieniędzy, bo już nie tylko nie rozumiem, ale straciłem wszelką kontrolę nad tym, o co tu chodzi. No, ale nazwisko Ochojskiej gwarantuje, że forsa rzeczywiście idzie na cele charytatywne.

Czwartek, 9 listopada 2000, 22:32

1) Podejrzewam, że do długiego i szczegółowego listu tłumaczącego intencje dawanych przez Ciebie wywiadów nakłonił Cię, choć o tym nie mówisz, fragment mojego, w którym pisałem, że po całej tej przygodzie z Beksem nienawidzę ludzi jak osobistych wrogów i to zarówno na płaszczyźnie osobistej jak i ideologicznej.

Pomyślałeś sobie zapewne, że to przez Ciebie żywię żal do całej ludzkości. Żal do całej ludzkości żywię za to, co cała ludzkość mi wyrządziła. Nie do Ciebie piłem. Jest bowiem na wszelkie do Ciebie żale jedna odtrutka, która powoduje, że one nigdy tak na dobrą sprawę nie zalegają mi na sercu. A przynajmniej zupełnie nie tak jak zalegają mi żale w stosunku do innych. Tą odtrutką są wiszące przede mną Twoje obrazy, które, ilekroć na nie spojrzę, wywołują u mnie falę wzruszenia. Tak więc, nawet przejściowe zachnięcie się na Ciebie jest tylko przejściowym zachnięciem się. Dajmy tej całej sprawie wywiadów wreszcie spokój, bo nabiera ona rozmiarów, których wcale nie chcę jej nadać i których wcale nadać jej nie chciałem.

A już na pewno zejdźmy z tego biednego Wałęsy, do którego ponownie, obsesyjnie wracasz, choć sto razy powiedziałem i powtarzam, że dla mnie to było jakieś tam sobie powiedzenie, tak jak mogłem mimochodem powiedzieć wczoraj do żony przy śniadaniu: "A co myślisz gdybyśmy oprawili damę z flakami w pleksi?" Po czym popiłem kawę i zapytałem "Jedziemy dzisiaj do Dauville? Jest ładna pogoda, co?" O, to tyle było w mojej głowie, gdy mówiłem o Wałęsie. A jeśli nie zamknąłem od razu tego tematu, gdy rozmawialiśmy o tym przez telefon, to (prawdopodobnie, bo już niczego sobie dokładnie nie przypominam) dlatego, że Ty od razu zaczęłaś ostro protestować. A to jak zwykle powoduje u mnie chęć

podkreślania moich racji lub nawet twierdzenia, że sprawa jest ważna. Co wydaje mi się powinno być łatwo czytelne dla innych. Okazuje się, że nie. Tak, z detali, które mi przypominasz i ze znajomości samego siebie wnoszę, że tak to się musiało odbyć.

Ale błagam (bo teraz już błagam), zjeżdźmy z tego tematu. Kiedyś ludzie będą to czytali i po prostu stukną się w głowę na obsesyjne, namolne gderanie dwóch podstarzałych ramoli wracających uparcie do dawnych żali. Co do mojej książki to nieuniknienie była ona pełna fałszywych detali. Co zresztą podkreślałem formą, która zakładała, iż tylko przypuszczam, że tak a tak sobie myślisz ze mną rozmawiając przez telefon.

Wreszcie przypomnę, że pisałem Ci już o tym, ale Ty jakoś tego nie kupiłeś, iż wręcz proszę o listy ze sprostowaniami, bo myślę je kiedyś opublikować przy następnym wydaniu książki tak, by stały się one dokumentem. Co do Penthousa to, wbrew temu co mówisz (lub przypuszczasz, ale mówisz jakbyś wiedział), ja również nie byłem dumny z tego, że tym właśnie zastartowałem. Wprawdzie tak naprawdę to zastartowałem z "L'Oeil", które jest dość poważnym pismem artystycznym (choć nie ma tu w ogóle pisma z którego publikacji byłbym dumny gdyby się nawet taka ukazała). "L'Oeil" zamieścił złośliwy artykulik naśmiewający się z Ciebie, bo powiedziałem niejakiemu Brisset, który go napisał, a którego zaprosiłem do domu i karmiłem moją własną wódką, że w Polsce jesteś uznany za jednego z najwybitniejszych twórców. Po czym napisał pewien dziennik, dla którego Ty i Twoje malarstwo byliście wyłącznie pretekstem, by ubolewać jak to ta biedna Polska cierpi pod jarzmem Jaruzelskiego.

Dopiero potem ukazał się Penthouse, gdy byłem zupełnie bez grosza i w dolku. A i tu musiałem zaprosić na kolację ohydneho typu i znosić jego grubiaństwo przez cały wieczór, a potem przypodchlebiać mu się, żeby zamieścił następny artykulik z małym zdjęciem. Przy sposobności, jak to piszę w książce, zgubił mi 160 ektachromów.

Wziąłem więc to, co mi dawali. A nie dawali nic, bo nikt nie chciał zamieścić nawet jednej reprodukcji Twojego obrazu, mimo iż stawiałem kolację na prawo i lewo, pisałem do wszystkich i dzwoniłem nieustannie.

Na zakończenie dodam, że to nawet nie za krytyki miałem do Ciebie żal i nadal go mam, a za brak jakiegokolwiek uznania za tyle upokorzeń, które stoicko znosiłem codziennie przez wiele lat, gdy wyrzucano mnie

za drzwi. Ale tu to jesteś cały Ty i już się nie zmienisz. Dlatego zresztą napisałem, że portret, jaki Ci wypędzowałem, jest zakończony i nie ma w nim niczego do zmiany lub do dodania, bo zez jakiego Ci na nim wymalowałem jest stokroć autentyczny.

2) Gratuluję, że Twoje wywiady kosztują już 45 tysięcy dolarów. Sądzę, że przebijasz prezydenta Clintona. O ile wiesz, kto to jest...

Ściskam Piotr.

Warszawa, sobota 11 listopada 2000

Odpowiadając na Twój przedwczorajszy list: problem polega na tym, że to Clintonowi płacą za wywiad, a mnie nic nie płacą, a cała sprawa zaczyna na chłopski rozum kosztować więcej niż prognozowany zysk na tych albumach. Prognozowany zysk (bo to jak się okazuje mają być aukcje telewizyjne, radiowe i internetowe w portalu ARENA) ma wynieść średnio 500 zł za 1 album, co przy 1000 sztukach numerowanego nakładu, daje 500.000 zł i to, miejmy nadzieję (bo aukcje mogą dać mizerne rezultaty), dostaną owe dzieci na dożywianie. Okazuje się jednak, że jedno wydawnictwo wydrukuje album za darmo, inne wyda CD ROM w zamian za wywiad w jednej z 20 czy 30 gazet, jakie wydaje na terenie Polski, stacje telewizyjne, a w tym polskojęzyczne bloki MTV i VIVA, dadzą bezpłatne klipy reklamowe. To samo w radio. Czy nie lepiej byłoby. by każda z tych instytucji zasilila tymi sumami, jakie w tym celu wyda, fundusz dożywiania w szkołach wiejskich? Oczywiście oni wszyscy dostaną za to ulgi podatkowe, a więc za wszystko zabuli tak jak w byłym ustroju Socjalistycznym budżet państwa, bo straci właśnie na ulgach podatkowych. Tak więc w Real Socjalizmie było to chyba lepiej urządzone. No, ale tu będzie za to szum: "coś się robi".

Nie pamiętam już czy Ci to opisywałem, ale mniej więcej przed rokiem robiłem nawet w jakimś studio za Pamelę Anderson: rozwalałem się na nowoczesnym fotelu i kładłem na kanapie (oczywiście w ubraniu!), a ekipa złożona z chyba 6 młodzieńców, dwóch pańienek z klipsami w pępkach (mimo iż w studio było tak zimno, iż marzłem w swetrze i w podkoszulku) oraz kamerzysty i dziennikarza skakała dookoła mnie, poprawiając mi po dziesięć razy fałdy na swetrze, spinając sweter od tyłu jakimis klamerkami, podpodrowując i nieustannie ustawiając poszczególne pasma włosów

w mej raczej rozgrzebanej fryzurze. Lewa rączka troszkę wyżej. Więcej optymizmu. Franek piątka. Kasia, włos nad uchem mu się świeci. Gruba szefowa donosiła wszystkim colę i kurczaki z KFC, kierowca jeździł tam i z powrotem, ryczał obłędnie głośno Garbarek z dwóch estradowych boxów. Cała ta swolocz przybyła z Poznania i wynajęła studio na Pradze, a po upływie drugiej godziny pozowania, zacząłem poważnie brać pod uwagę ewentualność, że równocześnie oczyszcza ktoś moje mieszkanie. To wszystko było na cel operacji kardiochirurgicznych u dzieci. Chyba głównie z tego wynikło i cała para poszła w gwizdek. Chyba, że ja nie pojąłem o co tu chodziło. Dało mi to tylko okazję do refleksji nad zgubnym wpływem jaki "Powiększenie" Antonioniego wywarło na zachowywanie się całego pokolenia fotografów i zawdzięczam temu spotkaniu najgłupsze w mym życiu pytanie na jakie odpowiedzieć musiałem do mikrofonu i betacam: "jaki to jest uczucie należeć do elity". Dlatego Jurkiewicz z Rzeszowa (opowiadałem wam o nim), jaki jest taki jest, ale wybudował od cholery domów starców i widzę, że w tym co robi para nie idzie w gwizdek. Dlatego jemu daję zawsze obrazy i rysunki bez oporów. Wczoraj przez trzy godziny siedziałem nad układem fragmentu tego CD ROM, który ma Akcji Humanitarnej zafundować sponsor, bo redaktor wymyślił sobie zadanie nierealne, a mianowicie pokazać z jakich elementów składa się praca. Zachowuję wprawdzie prace w przedostatniej redakcji przed ich splaszczaniem, gdy składają się czasem z 10 lub więcej warstw po to, by ewentualnie móc w nich jeszcze ex post coś zmienić lub poprawić, ale każda z tych warstw też składała się z wielu warstw i tego już nie mam, lub była kilkakrotnie przekształcana i tego też już nie mam. Po jego wyjściu robiłem jeszcze to dalej sam i w końcu nagrałem mu efekt na płytę, po którą ma ktoś, dziś lub w poniedziałek, do mnie przyjść. W poniedziałek, inny facet też w sprawie CD ROM, tym razem z Gliwic, mniejszym nakładem kosztów, ale na własny rachunek. Staję się gwiazdą CD Romów. W dziedzinie komputerów nie zarobiłem nigdy ani grosza, a włożyłem równowartość dwóch samochodów średniej klasy. Może to spowodowało, że "biznes" zaczął się rozkręcać bardziej niż na początku myślałem. No cóż: nie mam na pewno nic przeciw wejściu pod strzechy, o ile ktoś na tym zarobi, to bardzo się cieszę, że nie stracił, bo to najbardziej mnie stresuje, jeśli jestem przyczyną czyjejś straty.

Zacząłem to pisać wczoraj w oczekiwaniu na redaktora, ale skończyłem dopiero teraz, bo do nocy siedziałem nad tym CD ROM.

Pozdrowienia Zdzisław.

Wtorek, 14 listopada 2000, 21:33

Taki jest los ludzi sławnych. Każdy chce na nich zarobić. Więc każdy ubrałby ich w swoje szmatki.

Mam w perspektywie obronę trzech prac magisterskich i kilka spraw sądowych, na dodatek rano. Co powoduje, że nie dosypiam. A jak nie dosypiam to natychmiast wraca depresja.

Tak więc, czekam z utęsknieniem na jakąś ulgę w zajęciach.

Czy masz nowe echa z wystawy u Wahl? Ja tam nie chcę dzwonić, bo rozmowa z Żurkiem jest jak rozmowa z zimną rybą. A rozmowę z Wahl prowadzi się stale na krawędzi klótni. Chciałbym się dowiedzieć, czy coś sprzedali, czy były jakieś echa i czy będę miał za co kupić sobie od Ciebie dalszy obraz.

A propos: czy coś nowego namalowałeś? Jeśli tak, to prześlij zdjęcie. Idę spać, bo jutro o świcie znów jakaś rozprawa sądowa.

Ściskam Piotr.

Warszawa, wtorek 14 listopada 2000

Mania aukcji na dobroczynność osiąga jak widzę kolejne apogeum i tym razem powtórnie zahacza o idiotyzm. Przed paru laty proponowano mi namalowanie obrazu na strusim jajku, gdyż aukcja miała zapewnić Wielkanoc rodakom z Kazachstanu. Myślałem, że głupiej już nie można, ale nie doceniłem ludzi dobrej woli. Obecnie szło o chore dzieci. Trust mózgowy wyglówkował, że czołowi luminarze kultury poprzebierają się za postacie z ich dzieciństwa i 25 fotografów z całej Polski, robić im będzie zdjęcia, które posłużą do celów aukcyjnych. Wyobrażasz sobie mnie jako

Myszkę Miki lub Kaczora Donalda? Powiedziałem cymbalowi, że miałem trudne dzieciństwo i nie pozwalano mi czytać książek i musiałem uciekać z nimi na drzewo. A co pan wtedy czytał? Pamiętam, że były to "120 dni Sodomy" i "Zbrodnie miłości" Markiza de Sade, ale miałem wtedy zaledwie 8 lat, więc już nie pamiętam jak wyobrażałem sobie bohaterów. Co za kretyni!

Na razie Zdzisław.

Warszawa, środa 15 listopada 2000

Tak jak chciałeś zadzwoniłem do Żurka i powiedział, że jak Ci już podobno mówił, sprzedany jest jeden obraz "z leżką" (?), a co do innych to trwają negocjacje, które mogą dać rezultat, ale nie muszą. Wystawa ma podobno spore powodzenie, ale jak to zwykle bywa i bywało z moimi wystawami, powodzenie to ma przede wszystkim w środowisku, które nie dysponuje szmałem, a więc u młodzieży.

Co do mnie to właśnie kończę obraz, ale te obrazy które kończę, a które stanowią mogą przedmiot handlu czy nawet rezerwacji, to dwie rozmaite kategorie. Ja lubię sobie z każdym obrazem nieco pożyć, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję. Najpierw przez dwa lub trzy miesiące czeka on na wykończenie techniczne (musi przedtem wyschnąć), czyli pokrycie warstwą wyrównującą połysk, potem na fotografa, w końcu jest już w grupie obrazów do sprzedania, bo przez ten czas i ja sam uzyskuję już jakąś opinię co do tego, czy chcę go sprzedać, czy zostawić sobie. Natomiast jego fotografię, o ile zrobi się nieco jaśniej, będę Ci mógł wysłać. W ogóle chętnie wysyłać Ci będę na bieżąco wszystkie fotografie obrazów, które właśnie namalowałem, o ile da się je zrobić (np. dziś są ciemności), pod warunkiem, że nie będziesz się wypowiadać na tak lub na nie, rób tak dalej, lub po co do tego wracasz, lub w razie czego reflektuję na ten obraz nie sprzedaj go komu innemu i tak dalej. Takie opinie, strasznie mi utrudniają pracę. Zapewniłem Cię już, że będziesz miał pierwszeństwo przed galeriami i innymi nabywcami. Przywykłem jednak pracować dla jednego odbiorcy, czyli Zdzisława Beksińskiego, z nim rozumiem się bez słów i nie znoszę gdy ktoś mnie z boku zachęca lub zniechęca.

Pozdrowienia Zdzisław.

Środa, 15 listopada 2000, 22:27

Twoje manie, spaczenia psychiczne i chorobliwe dziwactwa znam nie od dzisiaj. Nie od dzisiaj więc nie wypowiadam żadnych opinii o innych obrazach niż o tych, które mam lub które nabyłem (lub nabywam). Strzelasz więc w pudło. Po prostu masz zdaje się przygotowany tekst, który wszystkim serwujesz zapominając, że niektórzy mieli już czas od piętnastu lat nauczyć się go na pamięć.

Obraz z lezką to płynąca na niebie twarz z krwawymi łzami. Zresztą czy krwawymi? Jeśli powiem, że z krwawymi to zaraz strzelisz, że tam żadnej krwi nie ma, że wszystko popieprzyłem i jest tam tylko czerwona farba.

Oczywiście ciekaw jestem nowego obrazu. Chociaż czy ciekaw? Jeśli powiem, że ciekaw to skoczysz na mnie, że Ci przeszkadzam w pracy i że nie cierpisz, gdy ktoś wypowiada jakieś opinie, bo to Cię "blokuje".

Ściskam Piotr.

Warszawa, środa 15 listopada 2000

Niby wiesz o moich chorobliwych blokadach, ale od czasu do czasu jednak coś chlapiesz (np. ostatnio, że powinienem kręcić film, bo już niczego nowego nie powiem w malarstwie) co staram się przelknąć, ale co jednak mi potem utrudnia pracę. Jeśli pamiętasz to nawet Zosia i Tomek mieli zakaz wypowiadania się. To tak jak z zaburzeniem mechanizmu erekcji. Jednym słowem najlepiej mi się pracuję bez świadomości, że ktoś to widzi, ale jeśli już widzi (bo inaczej się nie da), to niech przynajmniej udaje, że nic go to nie obchodzi. Dlatego też powtarzam to w nieskończoność.

Pozdrowienia Zdzisław.

Czwartek, 16 listopada 2000, 10:45

Namawiając Cię żebyś zrobił film i dodając przy tym, że nie masz już ni-

czego do udowadniania w malarstwie miałem na myśli coś wręcz odwrotnego do tego, co mi przypisujesz. Nie myślałem, że nic już nowego nie powiesz w malarstwie, bo malarza tak zmieniającego style i formy jak Ty, i tak stale szukającego czegoś nowego, to nie ma.

Mówilem natomiast, że nie masz co udowadniać, że jesteś wielkim malarzem, bo to już jest dawno udowodnione, choć nie dla panów z Centrum Pompidou. Ale dla tej hołoty nawet to, że Kopernik umarł nie jest udowodnione, dopóki oni tego nie zadekretowali.

Chodziło mi, i z pewnością to rozumiałeś, o to, że jeśli ktoś ma szczęście urodzić się z wieloma talentami, to szkoda jest wykorzystywać tylko jeden z nich. Tym bardziej, że mogłoby z prób w innych dziedzinach wyłonić się coś znakomitego.

Wprawdzie za Twoją literaturą nie przepadałem (czytałeś mi fragmenty) i wydaje mi się, że tu wiele byś nie wskórał (choć mogę się mylić). Ale tam gdzie chodzi o wizje, obrazy, zdjęcia, dźwięk, wszystko to razem połączone w jedną całość to jestem przekonany, że zrobiłbyś rzeczy znakomite. Więc nie przeinaczaj mych intencji, które znasz równie dobrze jak ja znam Twoje spaczenia psychiczne. Znamy się jak mało ludzi się zna, bo mija już prawie siedemnaście lat jak korespondujemy i mieliśmy (na szczęście już nie mamy) wspólne interesy.

Co do młodzieży, która jest Twoją stałą klaką, to chyba zatrzymałem się w rozwoju bo moje uczucia do Twoich obrazów są nieustannie entuzjastyczne. Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 19 listopada 2000

Co na Boga jest z tą Maryską? Miałem w tej materii rozmaite zeznania (bo nie doświadczenia, jako iż nie zdradzałem żony - miałem zawsze podstawowe trudności z życiem w świadomości o własnym braku lojalności w stosunku do kogoś, kto nie dał mi cienia powodu do takiego zachowania) i podobno u jednego z mych znajomych okrzyki w trakcie orgazmu "O mamuńciu złota" wywoływały właśnie ten opisany przez Ciebie skutek. Inne problemy wyjawil mi facet, którego ciężkie warunki życiowe zmusiły do grania we włoskich pornosach. Podobno nikomu tam stać nie chciało wtedy, gdy akurat stać miało, ale mieli do tego celu tzw. rozbie-

gówki, które w pakamerze walily konia lub ciągnęły druta gwiazdorowi, podczas gdy gwiazda, przykryta kocem, by nie zmarznąć, czekała na planie w łodzi rybackiej. W tle toczył się pełen seksualnego napięcia dialog między rozbiegówką, a reżyserem: Kaśka na rany Chrystusa, rusz kurwa dupą, bo światło nam się kończy - do kasy to jesteś pierwsza. Szeffie nie chce mu stanąć - a mówiłam żeby piwa nie chlał jak była przerwa. I tak dalej. Nie wiem jak jest w polskich pomosach, ale zapewne podobnie. Prawdziwi artyści jednak zawsze znajdą wspólny język, a fizjologia jest, jaka jest.

Pozdrowienia Zdzisław.

Warszawa, niedziela 19 listopada 2000

Nie bardzo rozumiem dlaczego dziś dostałem z powrotem rewelację o Maryśce. Czyżbym poprzednio nie dostrzegł w niej jakiegoś subtelnego bon motu, że wysyłasz mi to po raz drugi? Wysłałeś przecież tą informację jeszcze przed kilkoma dniami. Nie bardzo pojmowałem o co idzie, ale odpowiedziałem znakami zapytania i załączyłem krótki list a propos. Teraz otrzymuję tę błyskotliwą informację powtórnie, ale nie wiem, o co Ci tym razem chodzi? Poprzednio zresztą też nie wiedziałem. Czy to jakiś cytat z klasyka, który winien wywołać we mnie strumień skojarzeń? Jestem jak widać bardziej tępy niż sądzisz.

Zdzisław

Niedziela, 19 listopada 2000, 14:48

Oglądaliśmy wczoraj film o Tomku. Film równie ponury i odpychający jak jego bohater. Żona twierdzi, że miała po nim koszmary.

Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 19 listopada 2000

Chyba nawalił coś mój "prowajder" czyli NASK (Naukowa i Akademicka

Sieć Komputerowa), bo zauważyłem teraz w poczcie wysłanej, że dziś rano około godziny 8, sam do siebie wysłałem ten list o Maryśce, a nie mogłem tego zrobić, już choćby z tego powodu, że od rana malowałem i nie zaglądałem do komputera i po raz pierwszy otworzyłem go około godziny 18. Było to o tyle zadziwiające, że w międzyczasie (wczoraj i przedwczoraj) korespondowałem z innymi ludźmi i od pierwszej Maryśki dzieliło mnie już sporo innych listów. Czasami bywa i tak, że niektóre listy w ogóle nie dochodzą do adresatów. Twoją jednozdaniową opinię o filmie otrzymałem równocześnie z tą Maryśką. Listu o krygowaniu się nie otrzymałem.

Cześć Zdzisław.

Niedziela, 19 listopada 2000, 19:23

Zdanie o Maryśce wysłałem raz jeden, chyba przedwczoraj. Nie wiem, czemu pojawiło się na Twoim ekranie dzisiaj po raz wtóry.

Sens był dość prosty i rzeczywiście dziwię się, że go nie zrozumiałeś. Stale kokieteryjnie krygując się powtarzasz, że komplementy przyprowadzają Cię o impotencję twórczą. Tak więc, napisałem "Nie mów mi "kocham" bo mi nie stanie." Boże, jak to ubogo brzmi przetłumaczone od a do z.

Prawdopodobnie nacisnąłem zły guzik przekazując Ci moją opinię o filmie. Tak więc poszła po raz wtóry Maryśka, zamiast pójść po raz pierwszy Tomek. Ponieważ jednak Ania, uradowana tym wymusiła na mnie, bym po raz wtóry opinii o filmie nie przesyłał (mając nadzieję, że pierwsza nie przeszła) to poprzestaję na niniejszym wyjaśnieniu i o filmie milczę, a poprzedni mail na ten temat kasuję.

Ściskam Piotr.

Niedziela, 19 listopada 2000, 19:42

Czy chociaż moja złośliwa uwaga o pretensjonalnym krygowaniu się przeszła, czy też tak jak opinia o filmie gdzieś się zagubiła? Zaczynam się zastanawiać czy mój komputer nie nawalił. Żona przeczytała mój po-

przedni mail i wręcz się na mnie obraziła, że staram się być dla Ciebie nieprzyjemny. Jeśli to prawda, to sorry.
Ściskam Piotr.

Warszawa, Piątek, 24 listopada 2000

A cóż może się dziać nowego? Szczęśliwie ukończyłem w rekordowym tempie kolejny obraz, ale nie sposób go dziś sfotografować, bo jest dosłownie czarno na dworze. Wszystkie inne obrazy wyjechały już przed dwoma dniami do Częstochowy, gdzie będą do połowy lutego, a potem do połowy marca będą w Gliwicach w maleńkiej galerijce, w której nie mam pojęcia jak je ludzie będą oglądać, ale to galeryjka mego znajomego, a teraz bieżące wystawy robię tylko na zasadzie towarzyskiej znajomości - inne propozycje olewam. Inne rzeczy jakoś płyną. Większość przepływa obok. Aha. Obie wystawy nie będą handlowe - w Częstochowie ewentualnie sprzedam 4 starsze obrazy, które już były Ci przedstawiane do wyboru. Pozdrowienia Zdzisław.

Warszawa, sobota 25 listopada 2000

Drogi Piotrze,

Jeśli idzie o wystawę u Wahl, to sam przecież dzwoniłeś w mojej obecności do Żurka i powiedział, że moja wystawa planowana jest w kwietniu. Tak więc z Gliwicami ustaliłem, że prace mam mieć w domu w okresie weekendu między 16-18 marca. Z mojej strony wszystko jest więc planowo i pod kontrolą. Chciałem nawet prace mieć już od 1 marca, ale Lonty chciałby wystawę mieć do 15 lutego. Tak więc Stapowicz z Gliwic prosił mnie o przedłużenie terminu do 15 marca, a chciałem mu pójść na rękę, bo z mojego powodu zamieszano mu szyki jeśli idzie o wydanie CD z moimi pracami. Po prostu Polska Akcja Humanitarna rozkręca sporą reklamę z klipami reklamowymi w godzinach największej oglądalności (ledwie udało mi się wykręcić od pojawienia się z tekstem "Zapraszam Państwa do kupna albumu moich prac komputerowych i tak

dalej"). Z kolei Stapowicz równocześnie zapragnął finalizować wydanie CD z moimi pracami. Myślałem, że ten projekt upadł, bo cała sprawa zaczęła się jeszcze przed rokiem i potem ucichła. Tymczasem projekt nie upadł i został w międzyczasie gruntownie przemodelowany tak, że ocenilem go bardzo wysoko, a już w porównaniu z raczej gównianym i zrobionym w pośpiechu krążkiem Akcji Humanitarnej, jest to wręcz arcydzieło. Teraz faceci z Akcji Humanitarnej, dowiedziawszy się o tym projekcie, zaczęli panikować, że po pierwsze uruchomili już reklamę pod tytułem "world premiere recording" i Stapowicz wyjmie kasztany z ognia, a oni wyjdą na kłamaców, a może i facetów współpracujących za forszę ze Stapowiczem pod szyldem Akcji Humanitarnej. Czulem się poniekąd winny tego zamieszania, bo byłem na 100% przekonany, że Stapowicz projekt CD zarzucił i zapewniałem wydawnictwo Axel Springer, że nikt nie wydaje mojej płyty, więc teraz prosiłem Stapowicza, by projekt odłożył do przyszłego roku. Ponieważ zgodził się na to ze względu na "szlachetny cel", to w formie mojego rewanżu za zgodę, zaakceptowałem pomysł wystawy u niego w Gliwicach.

Jest jeszcze jeden aspekt zagadnienia. Gdy byłem w Galerii Wahl (o czym Ci pisałem) i rozmawiałem przez 10 minut z Żurkiem, zapytałem go wprost, czy mogę obrazy sprzedawać, bo mam zarówno potencjalnych klientów, rozmaite wydatki w perspektywie i niedobór obrazów, które zamrażam ze względu na wystawę w kwietniu. W odpowiedzi (może nie do końca precyzyjnej) uzyskałem rodzaj gestu czy też machnięcia ręką i przyzwolenia bym się nie przejmował planowaną wystawą i sprzedawał obrazy, jeśli ktoś je chce kupić. Wyglądało na to, że stan zdrowotny Alicji może uczynić w ogóle całą sprawę kwietniowej wystawy nieaktualną. Nie było to do końca jasno sprecyzowane, ale tak to odczytałem. Urząd skarbowy nadal trzyma mnie w niepewności jak wysoki podatek będę musiał zapłacić za spadek, natomiast "ryła się" sprawa zamiany mieszkania. Ci ludzie się wycofali i to już po remoncie jaki zrobiłem w dawnym Tomka mieszkaniu, przygotowując je do wymiany. Podobno nie odpowiada im ostatnie piętro, ale prywatnie sędzę, że dowiedzieli się o samobójstwie i są przesądni. No cóż, będę musiał umeblować jakoś tamto mieszkanie i w razie czego, gdy nie uda mi się umrzeć na stojąco, pomieszczę w nim pielęgniarkę. W końcu nie jest to daleko. To by była odpowiedź na Twoje

pytania.

Pięknie Was pozdrawiam. Zdzisław.

Sobota, 25 listopada 2000, 16:51

1) Fotografię obrazu dostałem. Liczę na to, że będziemy się trzymać ustaleń, które sam porobiłeś: na wystawach w Częstochowie i w Gliwicach sprzedajesz dawne obrazy. Co do obecnych (w tym również tego którego zdjęcie przesłałeś mi dzisiaj), na razie nie określasz czy je sobie bierzesz czy nie, ale też nie sprzedajesz ich uprzednio nie zaproponowawszy mi ich kupna. Już ogłędniej nie mogłem tego powiedzieć.

2) W poprzednim mailu pisałeś, że teraz robisz wystawy tylko po znajomości, a innych, którzy o nie proszą "olewasz".

Boże, ileż ja się tu nacierpiałem z powodu wszystkich tych, którzy urządzali wystawy tylko po znajomości, a innych (to znaczy mnie) "olewali"... Jest to chyba najokropniejsza cecha wszelkich elit, które mają pod dostatkiem wszystkiego tego, czego innym brak, niczego nie potrzebują, a więc jeśli już coś zgodzą się zrobić, to tylko ze względów towarzyskich, "olewając" wszystkich innych. A ja układów towarzyskich we Francji nie miałem.

3) W następną sobotę przyjdzie do mnie Bambo z technikiem by rozmawiać o założeniu mego własnego "site" w internecie, w którym chciałbym wystawić na pokaz pewną ilość (ilość zależną od kosztów tej imprezy, o których to kosztach nie mam na razie najmniejszego pojęcia) Twoich oraz innych malarzy obrazów na sprzedaż oraz reszty, która nie jest na sprzedaż, a która stanowi moją stałą kolekcję, którą lubię się chwalić.

Ściskam Piotr.

Warszawa, sobota 25 listopada 2000

Nieustannie robię ten sam błąd, czyli zapominam wyłączyć modem. O godzinie 17 przyszedł list od Ciebie i właśnie miałem go przeczytać, gdy do drzwi zadzwoniła dziennikarka, tak więc nie wyłączwszy modemu gadałem z nią przez dwie i pół godziny, a licznik telefoniczny przez

ten czas stukal. Będę musiał sobie założyć łącze SDI.

Chyba w sposób jasny napisałem, że o ile będę sprzedawać jakieś obrazy, to najpierw zaoferuję je Tobie.

Od chwili namalowania do chwili sprzedawania poza NIELICZNYMI NAGŁYMI WYJĄTKAMI (wtedy wyślę Ci mailem informację z prośbą o szybką decyzję: kupujesz czy nie kupujesz) mija stosunkowo bardzo długi okres czasu, spowodowany kilkoma czynnikami. Przed sfotografowaniem obrazy muszą być pokryte substancją wyrównującą połysk i tylko nieliczne można pokryć nią już po 2 tygodniach - inne, w zależności od kolorów i od grubości położenia farby, muszą na to czekać czasem przez kwartał. Potem kwestia fotografowania. Najchętniej widziałbym fotografa raz do roku z końcem lutego, ale już śmierć Tomka zakłóciła ten rytm, a teraz powtórnie zrobiła to obecna wystawa i tak dalej. Tak więc fotograf był tu ostatnio chyba trzykrotnie w ciągu roku. Dążę do tego, by to było jak najrzadziej. Po upływie tego okresu zaczynam już także sam mieć zdanie co do tego, co chcę zostawić sobie, a co mogę sprzedać. Zawsze staram się zaczynać sprzedaż od obrazów na których najmniej mi zależy, czasami jednak muszę zrobić wyjątek. Tak to jest. Zazwyczaj też unikam sprzedawania w ostatnich miesiącach roku, bo przyjąłem zasadę podnoszenia ceny zgodnie z raportem GUS o wzroście cen i usług w roku minionym, tak więc z reguły sprzedając pod koniec roku, tak jak to zrobiłem teraz, sprzedaję w okresie najmniej dla siebie korzystnym. Trudno było jednak dopasować się w konkretnej sytuacji, gdyż terminy goniły, a bynajmniej nie skreśliłem kwietnia i wystawy u Wahl. Obawiam się tylko, że właścicielki galerii SD zechcą mnie molestować przed Świętami, bym im coś odpalił i chyba zdejmę dwa obrazy ze ściany, te na których mi najmniej zależy, bo nie mam już wyjścia. Mam jeszcze jeden obraz, który bez prawa do handlu wisi w galerii u Napiórkowskiej i chyba go stamtąd wycofam. Nie, to niemożliwe, bo Napiórkowska się obrazi, że u niej nie chciałem sprzedać, a u Dziopak sprzedaję. Na dodatek stale się czuję tak, jakbym miał jakieś zobowiązania i musiał im sprostać. Należy mieć wszystko i wszystkich bardziej w dupie. Jestem staruchem i mam prawo do sklerozy i wypoczynku przy świńskich obrazkach. Co daj Boże amen. Pozdrowienia Zdzisław.

Warszawa, niedziela 26 listopada 2000

Nie rozumiem o co Ci chodzi, zadałeś pytanie - odpowiedziałem. Twierdzisz, że nic nie rozumiałeś. Podobno pomaga na to kwas glutaminowy jak też Cavinton oraz inne środki zwiększające ukrwienie mózgu.

Oprócz pytania wysłałeś informację, że we Francji wszystko załatwiano było po znajomości i na tym traciłeś. Przyjąłem rzecz do życzliwej wiadomości, ale nie żądałeś na to odpowiedzi. Nie było to pytanie.

Poinformowałeś mnie, że zakładasz własną stronę w internecie. Może wypadało życzyć sukcesu? Przepraszam. Osobiście nie widzę sensu w zakładaniu mojej strony, co niejednokrotnie mi proponowano, gdyż moim zdaniem ludzie nie przeglądają stron, a tylko szukają określonych tematów i w ten sposób przez całe życie może na tą stronę nikt nie trafić. To tak jak rzucanie butelek z credo życiowym do oceanu. Zresztą i bez własnej strony mam za wiele nieefektywnego szumu wokół siebie. Co do ceny, to wydaje mi się, że poza ceną projektu jest to przedsięwzięcie groźne, ale z braku osobistego doświadczenia mogę się mylić.

Pozdrowienia Zdzisław.

Niedziela, 26 listopada 2000, 17:03

Ukrwienia mózgu było aż za dużo, bo Twój mail czytałem po suto zakrapianych czyichś tam urodzinach. Toteż lekarstw, które mi radzisz na rozjaśnienie umysłu, jeszcze brać nie będę.

I jeśli pisałem, że niczego nie rozumiałem z Twojego maila, to raczej powinienem napisać, że niczego już nie chcę słyszeć. Bo przypomniało mi to najczarniejsze czasy naszej współpracy. Te niekończące się godzinny dyskusji nad każdym przecinkiem umowy, to dam, tego nie dam, tam dam pod warunkiem, tyle mi się będzie należało, a tyle proszę mi dać później itd. Jednym słowem nasze niekończące się negocjacje nad kontraktem, którego i tak później nie dotrzymałeś, bo co będziemy mówili o przykrych sprawach, o przeszłości, o tych nieudanych umowach, mówimy o świetlanej przyszłości przecież po to wypaliliśmy fajkę pokoju...

A że wolisz nie mówić o przykrych sprawach jest po prostu zgodne z Twoim charakterem. Więc również, po co o koleśiach i o olewaniu...
Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 26 listopada 2000

Przysięgam, że kompletnie nie rozumiem, o co Ci chodzi, że tak zestresowały Cię jakieś moje sformułowania, które zresztą nie mogły być nowością, bo rozmawialiśmy na ten temat ustnie i wymienialiśmy listy. I jakież to przykre sprawy, o których nie lubię pisać? Jacy koleśie? Odnoszę nieodparte wrażenie, że wkurza Cię coś zupełnie innego, co zapewne dostrzegasz w naszych stosunkach, ale z jakichś powodów nie chcesz bezpośrednio o tym pisać, więc wyładowujesz swój stres na moich bogu ducha winnych sformułowaniach, w których nic a nic złego nie dostrzegam. Dziwię się też, że wielokrotnie mnie oskarżając o to, że Cię obrazam, nie dostrzegasz jaki w swych listach jesteś w stosunku do mnie opryskliwy. Cześć. Zdzisław

Warszawa, sobota 2 grudnia 2000

To Ty wracasz do dawnych spraw. Ja na ten temat nie pisałem, ale skoro już wracasz, to przecież wiesz, że mam na ten temat diametralnie inne zdanie niż Ty.

Co do spraw bieżących, to nie wiem gdzie tu są obwarowane "stoma warunkami" moje ustępstwa. Przed kilkoma miesiącami napisałem, że chętnie zapewnię Ci pierwszeństwo wyboru przed galeriami i aukcjami na dobroczynność. Nie było to z mojej strony żadne "ustępstwo" lecz gest dobrej woli. Z niewiadomych powodów po mojej informacji, że robię wystawę w Częstochowie, napisałeś do mnie (cytuję)

1) Fotografii obrazu dostałem. Liczę na to, że będziemy się trzymać ustaleń które sam porobiłeś: na wystawach w Częstochowie i w Gliwicach prze-

dajesz dawne obrazy. Co do obecnych (w tym również tego, którego zdjęcie przesłałeś mi dzisiaj), na razie nie określasz czy je sobie bierzesz czy nie, ale też nie sprzedajesz ich uprzednio nie zaproponowawszy mi ich kupna. Już oględniej nie mogłem tego powiedzieć...

W odpowiedzi na to zapewnilem, że Lonty najprawdopodobniej zakupi 4 obrazy z tych, które już były przedstawione Tobie i które Cię nie interesowały. Napisałem także dlaczego robię dwie wystawy w prowincjonalnych galeriach, z których jedna jest zaledwie korytarzem małej firmy komputerowej mieszczącej się w bloku mieszkalnym na obrzeżach Gliwic, a nie robię ich w Stolicy, gdzie na pewno każda czołowa galeria zrobiłaby ją z pocałowaniem ręki. Wyjaśnienie to nie miało na celu irytowania Cię lub mydlenia oczu, było normalnym listem o tym, co się u mnie dzieje i co robię. To spowodowało natychmiastową Twoją reakcję na temat "kolesiów", ale jaki związek miały utrudniające Ci działalność przyjaźnie jakichś Żabojadów przed laty, z moimi moralnymi zobowiązaniami wobec faceta z Gliwic, któremu mimo woli zamieszałem szyki i chciałem mu to zrekompensować, jak też z chęcią zrobienia wystawy u Lonty'ego, który po prostu obejrzawszy u mnie nowe obrazy, ujął mnie swoim zapalem (bo nie miałem w tym cienia interesu, a tylko kłopot), tego nie mogę zrozumieć. Cała reszta wynikała z uściśleń, które w odpowiedzi musiałem robić pod wpływem Twoich kolejnych listów.

W momencie gdy pisałem Ci przed paru miesiącami, że mogę zapewnić Ci pierwszeństwo przed Galeriami i Aukcjami na dobroczynność i że w tym celu mogę wysłać zawsze zdjęcia obrazów, nie miałem na myśli nowo namalowanych obrazów lecz obrazy, które oferować będę do sprzedaży. Ponieważ wyraźnie prosiłeś o przysłanie Ci zdjęć tego, co ostatnio malowałem, wysłałem te zdjęcia, ale to wcale nie znaczy, że oferuję te prace do sprzedaży komukolwiek! Jestem wolnym człowiekiem i od paru lat jest tak, że nie śpieszę się z oferowaniem czegokolwiek do sprzedaży. Czego ja tu na Boga nie dotrzymałem i gdzie są te "setki warunków", o których piszesz? Mogłem przecież odmówić wysyłania Ci fotografii prac bieżących (bo wiesz, że nie lubię być podglądany), ale pomyślałem sobie, że gdy po pół roku, roku czy też w innym okresie powstanie sytuacja, że "za dwa dni" ma przyjść do mnie kupiec, to nie będę już musiał wysłać Ci zdjęć (co trwa długo i na co może nie być czasu), tylko zawiadomię

Cię mailem: Chcę oferować do zakupu panu X Y Z obrazy AB, BC, DG i ZK, czy któryś z nich Cię interesuje i mam go wycofać? Mam nadzieję, że zauważyłeś, iż przy każdym wysłanym Ci zdjęciu obrazu umieszczam symbol literowy.

W końcu co do opryskliwości, to wystarczy przytoczyć Twoja opinię o filmie: "równie odpychający jak jego bohater", wiem, że nie znosiłeś Tomka podobnie jak on Ciebie, ale wreszcie on nie żyje, a Ty pisałeś do mnie czyli do jego ojca. Było mi cholernie przykro i nazwałbym takie sformułowanie chamstwem, co ex post czynię, ale wtedy postanowiłem zmilczeć i podsumowałem to i inne Twoje odezwania stosunkowo łagodnym słowem "opryskliwość".

Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

PS. Czy mam Ci nadal wysłać fotografie prac bieżących, czy też Cię to wkurza, bo odnoszę (może mylnie) wrażenie, że wszystko spowodowane zostało wysłaniem Ci ostatniej reprodukcji.

Sobota, 2 grudnia 2000, 16:13

Opryskliwy to ja nie jestem. Jestem natomiast przykry. A przykry jestem dlatego, że przypominam o przykrych rzeczach.

Przez miesiące przysycha żal do Ciebie za niedotrzymane słowo i za nie wywiązanie się z jasnych i niezaprzeczalnych postanowień naszej umowy. Żal zasycha, a ja zapominam. Piszemy do siebie, swobodnie rozmawiamy, jakby nigdy nic. Ale od czasu do czasu Twój mail przypomina mi o tych ohydnych czasach i żal wraca.

Wprawdzie ilekroć patrzę na Twoje obrazy mówię sobie: "Boże, przecież to tylko zwykły człowiek. Banalny, zwykły człowiek. Czemu wymagam od niego więcej niż od pierwszego lepszego z mych klientów, który też zrobiłby mnie w trąbę gdyby tylko mógł, a przecież nie jest genialnym malarzem, który dostarczył mi tyle szczęścia, radości i estetycznych zachwyków?"

"Poza tym - wmawiam sobie uparcie - dżentelmeńskie umowy mają to do siebie, że nie opierają się na sądach, a na honorze, na dumie, że się jest

dżentelmenem i na pragnieniu, by tak być odbieranym przez środowisko, w jakim się żyje. Ale kto z moich klientów czuje się dżentelmenem? Komu zależy na tym żeby go uważał za człowieka honoru?"

Schodząc już z niedotrzymanej umowy, a wracając tylko do zapewnienia zawartego w ostatnim mailu, że pozwalasz na swoje wystawy tylko po znajomości "a wszystkich innych olewasz" to - mówię sobie - kto z moich klientów lub kolegów z Uniwersytetu inaczej postępuje niż on, to znaczy pomaga koleśiom po znajomości, a odmawia nie znanym petentom? Prawdopodobnie nikt. Toteż niby dlaczego on miałby być tym dżentelmenem honorowym, który za wszelką cenę dotrzymuje słowa, a swoją pomoc, uwagę i współdziałanie rozdziela uczciwie według jakiegoś bezstronnego, obiektywnego klucza? Dlatego, że maluje wspaniałe obrazy?" Tak to sobie dumam, gdy otrzymuję od Ciebie mail, w którym obwarowujesz każde swoje ustępstwo stoma warunkami, zastrzeżeniami i okolicznościami, tak jak to było wtedy, gdy listownie negocjowaliśmy różne zmiany do naszej umowy. Po czym było "pluf" i wszystko okazało się fikcją. Tak też sobie dumam, gdy zapewniasz mnie, że "olewasz" takich jak ja, którzy nie mają znajomości i których ktoś Ci nie polecił, a współpracujesz tylko po znajomości.

To tyle na dzisiaj po kilku dniach zastanowienia się czy i jak Ci odpowiedzieć na zarzut opryskliwości.

Ściskam Piotr.

Sobota, 2 grudnia 2000, 21:38

Odpowiadam na post scriptum:

Oczywiście Twoje wrażenie jest mylne. Twój ostatni obraz jest bardzo obiecujący i to właśnie perspektywa iluś tam utrudnień w jego zdobyciu, które mi na pewno uczynisz, tak przypomniała mi dawne, ohydne czasy. Tak więc jak najbardziej proszę byś nadal wysyłał mi zdjęcia obrazów.

Nie wiem, czemu jasna opinia o jakimś filmie i o jego wyjątkowo niemiłej postaci miałaby być "chamstwem"?

Ściskam Piotr.

Warszawa, niedziela 10 grudnia 2000

Obraz ma symbol FŃ. Piszę to oddzielnie, bo obawiam się, że u Ciebie na tytule zamiast litery Ń wyjdzie coś dziwnego. Plamy, które widać na tle po lewej, wynikają z kiepskich warunków oświetlenia i tego, że obraz, aż do momentu położenia substancji wyrównującej połysk, lśni się niejednakowo.

Pozdrowienia Zdzisław.

* Obraz do zobaczenia na stronie numer XXX

Niedziela, 10 grudnia 2000

Zdjęcie obrazu dostałem. Niezwykły. Dziękuję.

Dziś skończyłem moją książkę (pierwszy tom, 684 strony). Czy za tego życia napiszę drugi? O trzecim, który zapowiedziałem we wstępie do pierwszego to chyba nie ma nawet co marzyć.

Kupiliśmy nowy telewizor firmy Bang & Olufsen. Nie jesteś snobem, więc prawdopodobnie niewiele Ci to mówi. Ale obraz jest jak w kinie, a sam odbiornik jest dziełem sztuki.

Będziemy na Sylwestra w Polsce i z góry się cieszymy na obejrzenie nowych obrazów. Ściskam Piotr.

Warszawa, poniedziałek 11 grudnia 2000, 00:34

Źle mnie oceniasz jeśli mniemasz, iż nazwa Bang & Olufsen nie jest mi znana, zresztą firma ta ma przedstawicielstwo w Warszawie, ich wyroby są nie tyle snobistyczne (jak piszesz), lecz eleganckie. Harmonizują z zadbanym stylistycznie wnętrzem. Nie powiem, by chęć posiadania eleganckiego mieszkania była mi całkowicie obca i fakt, że go nie posiadam, nigdy nie posiadałem, oraz najprawdopodobniej nigdy posiadać już nie będę, nie wynika ani z niewiedzy, ani z braku środków, co raczej z lenistwa i zbyt nikłej motywacji. Na dodatek nie skończyłoby się to na dzielnicy

i meblach lecz musiałbym się też nauczyć chodzenia w garniturze, używania wody po goleniu, noszenia zegarków, które mi się nie podobają i być może utrzymywania stosunków z ludźmi, którzy mnie nudzą. Sorry, to nie dla mnie. Nie pójdę też w innym kierunku, czyli kupowania sprzętu najwyższej klasy w sensie elektroniki, np. firmy Accuphase. Telewizor mam tani i kupiłem go wyłącznie po to, by zasłonić paskudne sęki w stoliku, których nie zasłaniał poprzedni mniejszy telewizor, a poprzedni stół się nie mieścił, gdy wstawiłem zamiast stołu dwa fotele. Na szukanie po wszystkich magazynach odpowiedniego stolika, ale bez sęków, szkoda mi było czasu i kupiłem go naprzeciwko w magazynie LAND, a w ślad za nim kupiłem telewizor.

Teraz nie oglądam ani sęków, ani telewizji, wieczorami siedzę trochę w płatnych stronach internetu. Przeszukawszy chyba wszystkie strony dotyczące Femdomu i perwersyjnego seksu, zgodnego z moimi upodobaniami, zapłaciłem za wejście na strony dla dorosłych, ale tam literalnie nic dla mnie nie ma, mimo milionów cielsk kotłujących się na rozmaite, aliści stereotypowe, sposoby. Ponieważ jednak było mi wczoraj wieczorem smutno, otworzyłem sobie witrynę Old Man sexual dream czy coś w tym stylu (nie gwarantuję właściwej pisowni), ale jak widać nie jestem typowym old manem i moje sexual dreams wyglądają inaczej, więc aby zobaczyć jak innym udają się to, czego ja już nie mogę, otworzyłem stronę Old man fuck teenagers. Wszyscy old mani, których tam zobaczyłem nie mieli więcej jak 50-55. Mało pocieszające. Sądząc po fotografiach byłem wtedy grubo lepszy od nich, ale to już przeszłość. Jako 72 latek, nie jestem już Old Man ale Dead Man. Teenagers tamże też raczej okropne. Co mi jeszcze zostało? Bare legal virgins! zobaczymy na czym to polega? Będą miały na dupie jakieś pieczęcie? Wszystkie te dziewice (chyba cała kompania, a każda na 25 fotografiach) siedzą w rozkroku ze wschodu na zachód i w zbliżeniach, rozciągając palcami, demonstrują swoje dziewictwo, ozdobione z reguły piercingiem nad lechtaczką. Niektóre mają także piercing na wewnętrznych wargach sromowych. No cóż: przed zaprzyjaźnionymi panami stawia to wyzwanie o skali trudności, która da się porównać z zaparkowaniem w godzinach szczytu przed Narodowym Bankiem Polskim i to pomogło zapewne tym odważnym dziewczynom w zachowaniu dziewictwa ku większej chwale Bożej, jeśli samo obejrzenie

ich twarzy, nie było jeszcze dla panów dostatecznie zniechęcające do złamania 6 przykazania. Wszystko to napęła me serce głęboką melancholią. Gdy przekroczy się 70 rok życia, człowiek zaczyna przede wszystkim współczuć innym, starym ludziom i nieletnim dziewczynom. Marność nad marnościami i wszystko marność. Może raczej obrzydliwość nad obrzydliwościami i wszystko obrzydliwość. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Poniedziałek, 11 grudnia 2000, 19:31

Po przeczytaniu Twego ostatniego maila Ania zażądała: Musisz napisać następną książkę: "Beks i seks". Bo uśmialiśmy się do rozpuku. Takie rodzynki za rzadko mi wysyłasz. Będą one kiedyś bawiły pokolenia czytelników naszej korespondencji, gdy nas już nie stanie.

Co do stylowego wnętrza, to z moją konsekwentną psychiką, mieliśmy ich w domu już cztery, wszystkie zapięte na ostatni guzik. Najpierw były meble szwedzkie z sosnowego drzewa. Taki był wówczas nasz portfel, ale też takie były wówczas nasze gusta. Potem wszystko było umeblowane po angielsku. Po meblach angielskich nastąpił wystrój Louis Napoleon, rasowy, nie fałszowany i bardzo banalny. Bo przez to, że we Francji właściwie od wieków nie było prawdziwej wojny, autentyczne meble stylowe są łatwo dostępne i jest ich pod dostatkiem. Choć tym razem wystrój był już droższy.

Nadszedł czas obfitości. Dziś więc wnętrze jest ultra nowoczesne i designowe. Lamy, dywany, półki, stojaki do rzeźb etc. wszystko jest minimalistycznie proste i jasne.

Największe zmiany nastąpiły ostatnimi miesiącami. A to dlatego, że pewien nabywca twego obrazu z Warszawy (a może ja Ci o tym już mówiłem? Jeśli tak, to wybaczyć, że się powtarzam), młody i uprzejmy człowiek, a przy tym zamożny, zaprosił nas do siebie, gdy wiosną byliśmy w Polsce. Tam oko nam zbiegało. Wszystko było konsekwentne, pedantycznie doprowadzone do końca i w najlepszym guście. Oczywiście designowe.

Natychmiast więc po powrocie do Paryża zmieniliśmy kanapę, fotel, fotelik, cały szracz, telewizor, telefon (też Olufsen), kubły do śmieci, wagę, nawet szczotkę do przecyszczania muszli klozetowej.

A teraz siedzimy, oglądamy nasze mieszkanie i z dumą wyzbywamy się kompleksów przed naszym młodym kupcem obrazów.

Gdybyś nie był odludek i nie stronił od podróży, przyjechałbyś do Paryża i docenił. Dodam, że na tle tych wszystkich nowoczesnych mebli, ściany mieszkania obwieszane Twoimi obrazami i obrazami Henricot wyglądają awantażownie. Wasze barokowe malarstwo żeni się z prostymi liniami mebli z luksusowych materiałów i lepiej je widać.

Ściskam Piotr.

Warszawa, środa 13 grudnia 2000

Dlaczego u licha miałem zachorować? Ty też czasami nie odpowiadasz na listy przez kilka dni. Dziś i wczoraj miałem cały dzień zapieprzony, a poza tym musiałem odpowiedzieć na listy od innych osób, a na dodatek złożyć 500 autografów na CD ROMach z moimi pracami dla Polskiej Akcji Humanitarnej. Nie masz pojęcia jaka to robotka. Po południu miałem znajomych, a teraz jestem już w nerwach, bo jutro na cały dzień jadę do Częstochowy (to tak jak dla Ciebie wyjazd na Grenlandię w styczniu), gdyż przyrzekłem Lonty'emu, że będę na konferencji prasowej, gdzie na dodatek (jak się przed godziną dowiedziałem) ma mnie powitać prezydent miasta, co już jest przegięciem i radosną inicjatywą Lonty'ego. Ludziom można milion razy opowiadać, że czegoś się nie lubi, a oni i tak zrobią swoje. Wrócę późnym wieczorem i na pewno wyżęty jak ścierka. Poza tym nie mam co pisać, bo NIC się wokoło nie dzieje i NIC nie dzieje się u mnie. Idę się kąpać, a potem będę usiłował zasnąć.

Pozdrowienia. Zdzisław

Warszawa, piątek 15 grudnia 2000

Drogi Piotrze,

Wróciłem wczoraj z Częstochowy później niż zamierzałem, bo wszyscy byli bardzo mili i rozmowa sprawiała mi przyjemność (lubię rozmawiać, a nie lubię podróżować, więc skoro już podróż miałem za sobą...). Nie-

stety pojawiła się sprawa, która spowodowała, że kiepsko spałem i zaraz z rana przystępuję do pisania do Ciebie tego listu. W trakcie spotkania towarzyskiego, które nastąpiło po konferencji prasowej, tworzyły się grupki osób rozmawiających ze sobą i ja rozmawiałem raz z tymi, raz z innymi, a między innymi z Lontym i jego znajomym, którzy widzieli się ostatnio z Tobą w Paryżu, o czym zresztą sam mi wspominałeś. Otóż dowiedziałem się od nich, że pomysł spalenia moich obrazów po Twojej śmierci, nie był "przelotnym" i "nie mówionym przecież serio" pomysłem sprzed wielu lat, lecz nadal tkwi w Twojej głowie, a obowiązek spalenia po Twojej śmierci obrazu, który tytułujesz Katyń, jest wręcz zapisany w Twoim testamencie. Powiedziałeś im wręcz, że masz do tego prawo, bo jesteś właścicielem. Obaj Panowie wyrażali się o Tobie z rewerencją i nie były to z ich strony żadne złośliwe pomówienia, a Lonty wręcz twierdził, że to tylko takie gadanie i niczego nie spalisz. Ta kwestia wyszła po prostu w rozmowie, niejako na jej marginesie. Ja obróciłem to w jakiś paradoks, bo żadne inne zachowanie w towarzyskiej rozmowie nie miało sensu, tym niemniej robienie takiego "żartu" już po raz drugi i to po upływie ca 8 lat, a także naszej korespondencji na ten temat, powoduje, że powierzanie mych obrazów Tobie traktować muszę jak rosyjską ruletkę, lub jakąś grę z człowiekiem nie odpowiadającym za własne słowa, a więc zapewne też i za własne czyny. Doskonale wiesz po co maluję obrazy i po co całe swe życie, które mógłbym być może przeżyć inaczej, a w każdym razie bardziej wesoło, zamieniłem na stanie przed sztalugami. Maluję obrazy po to, by przetrwały dłużej niż będę żyć sam, by przetrwały jak najdłużej to będzie możliwe. Jeśli masz na ten temat i na inne tematy związane z życiem, śmiercią i przetrwaniem zdanie inne niż ja - Twoje prawo. Nie chcę by ten list powtórnie nas zantagonizował, a być może tak się stanie, ale oświadczam Ci bardzo poważnie, że NIGDY więcej nie sprzedam Ci już żadnego obrazu, poza tym oczywiście, który już kupiłeś. Oczywiście nie mogę Ci zabronić kupowania ich od ludzi i w Galeriach z obsesyjną (jak się domyślam) ideą, by przez ich spalenie, dokonać na mnie pośmiertnej zemsty za urojone krzywdy, ale sam do tego ręki już nie przyłożę, nawet gdybyś wszystko ponownie uznał za żart i "przelotny pomysł" (Twoje ulubione określenie). Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że będzie to w Twojej interpretacji kolejne wiarołomstwo Beksińskiego, który ponow-

nie nie dotrzymał uroczystych zobowiązań, ale niezależnie od tego, co sobie pomyślisz i jak to będziesz przedstawiać innym, ja wsadzać głowy pod gilotynę nie będę. Możesz mnie uważać za naiwnego lub za paranoika, lub że nie znam się na żartach - to już Twoje prawo - ja jednak swojej decyzji nie zmienię. Poza tym nie chcę się z Tobą spierać i chciałbym zachować dobre towarzyskie stosunki, ale to zależy od Ciebie.

Pięknie pozdrawiam i łączę ukłony dla Pani Anny.

Zdzisław

Mój załącznik (Obraz który już kupileś)*

**Obraz do zobaczenia na stronie XXX*

Piątek, 15 grudnia 2000, 19:44

Że też wielcy artyści mają zawsze kuku na muniu...

Ściskam Piotr.

Warszawa, sobota 16 grudnia 2000, 00:38

Nie wiedziałem, że (jak piszesz) jesteś wielkim artystą. No ale czymże jest sztuka. To co podoba się jednemu, jest bez znaczenia dla innego. A propos. Obejrzałem przed chwilą tłumaczony jeszcze przez Tomka film LOST HIGHWAY. Jeżeli można mówić o zapożyczeniach stylistycznych, a miejscami wręcz o stylistycznej zależności, to autor SOMBRE był urzeczony właśnie tym filmem. Prawie nieustanny mrok, montaż obrazu, prowadzenie kamery, montaż dźwięku, oświetlenie planu, ujęcia i nawet uroda jednego z dwóch aktorów, nie mówiąc już o sposobie gry jest do tego stopnia podobne, jakby oba filmy nakręcił jeden autor. Tu autorem jest David Lynch. Jest to w mej opinii film lepszy od SOMBRE, ale bynajmniej nie budzi mego entuzjazmu. Nie wiem dlaczego był bardzo wysoko oceniany przez Tomka. Dostaniesz go na pewno w każdej wypożyczalni. Zadaj sobie proszę trud taki, jaki ja zadałem sobie przy SOMBRE i obejrzyj go w całości.

Pozdrowienia. Zdzisław

Sobota, 23 grudnia 2000, 18:53

Mimo wszystko: wesółych (o ile mogą być) Święt.
Piotr

Sobota, 23 grudnia 2000, 21:47

Także dla Ciebie i Twojej Żony wysyłam życzenia wszystkiego najlepszego. U mnie w czasie Świąt jest Shawn, którego znasz, ale nie urządzam Świąt w rozumieniu gastronomicznym. Album prac komputerowych wydany przez Polską Akcję Humanitarną już się ukazał, ale jest całkiem do kitu jeśli idzie o stronę techniczną - papier za cienki i sfalowany jakby wyszedł z pralki lub spod deszczu, układ banalny - mam nadzieję, że nikt nie będzie mieć o to pretensji do mnie.

Pozdrowienia. Zdzisław

Poniedziałek, 25 grudnia 2000, 23:24

Ponieważ jesteś tym facetem od definitywnych decyzji, co to na zawsze, nigdy, wszyscy, ludzkość, wieczność; jednym słowem, ponieważ uwielbiasz decyzje ostateczne to i ja Tobie składam przyrzeczenie, że nigdy więcej nie tknę alkoholu.

Piotr

Wtorek, 26 grudnia 2000, 08:46

Lonty objawił mi telefonicznie wielką prawdę, że mamy się podobno wszyscy spotkać u jego znajomego gdzieś tu w moim sąsiedztwie w dniu 28 bm. około 17-18. Miejmy obaj nadzieję, że będzie tam Coca Cola. Przez Świeta do dnia dzisiejszego rano wypilem tylko jednego małego Heinekena u krewnych i już na pewno nic ponad to nie wypiję, ale mam o tyle łatwiej, że nie lubię alkoholu, a wino piję tylko dla towarzystwa. Jest u mnie Shawn, ale dziś wyjedzie.

Zdzisław

Czwartek, 4 stycznia 2001, 17:38

Dawniej już, z korespondencji z Tobą dowiedziałem się, że "masz niezawodną metodę na wkurwanie mnie".

Ostatnio w prywatnej rozmowie z Tobą, w Warszawie, dowiedziałem się, że moje "rozumowania są na poziomie elementarza", a że mam umysł "z betonu", bo nie podzielałam Twojego zdania.

Teraz dowiaduję się z Twoich publicznych wypowiedzi w Gentlemanie, że jeśli nie jestem kretyńcem to przynajmniej mam "kretyńskie uprzedzenia".

Z chwilą, gdy "nigdy w życiu nie sprzedam Ci żadnego obrazu", o czym również zawiadomiłeś mnie ostatnio przez e-mail, nie bardzo widzę na czym miało polegać "wypalenie fajki pokoju" oraz na czym mają polegać nasze dalsze towarzyskie stosunki? Na cierpliwym znoszeniu Twoich obelg?

Piotr

Warszawa, Czwartek, 4 stycznia 2001

Drogi Piotrze,

Powtarzanie w kółko, że nic z tego nie rozumiem, mija się chyba z celem. Cały ten wywiad czyściłem jak odkurzaczem pod kątem właśnie Twojej nadwrażliwości. Przeoczyłem na skutek tego inne kwestie, na co zwróciłeś uwagę w Warszawie, a mianowicie to, że polubiłem w międzyczasie samotność. Wszystko na nic. Zawsze coś znajdziesz. Nie będę więcej przeproszać, bo musiałbym przeproszać za to, że żyję. Powiedziałem to co myślałem. Takie uprzedzenia co do szlachetności tworzywa są kretyństwem. Nie powiedziałem, że jesteś kretyńcem, tylko, że są to kretyńskie uprzedzenia. Ty jakoś nie krępowaleś się (akurat to nagrane mam na kamerze video, bo w tym czasie kręciłem reportaż z sali), by nakrzyczeć na pomocnicę Przekazińskiego, że nie życzyś sobie i zabraniasz jej "kategorycznie" informowania Osęki o tym, że do prac została użyta kserokopiarka, a na mój tekst zza kamery, że wypada bym poinformował mającego za chwilę przybyć Osękę (jeśli mnie spyta o szczegóły) o technice w jakiej wykonałem pra-

ce, usłyszałem "A cóż mnie ten wasz jakiś Osęka obchodzi", tak jakbym ja nie istniał i nie był autorem tych prac i nie miał prawa rozmawiać na ten temat z jednym z czołowych polskich krytyków. Z tego powodu nawet opuściłem jak najszybciej Muzeum Archidiecezji, by nie spotykać się z Osęką. Uważasz, że wtedy z Twych ust spłynęła jak zwykle kartezyjańska mądrość, ale pozwól, że ja określam takie opinie po swojemu.

Co do spotkania w Warszawie, które w przeciwieństwie do Ciebie mile wspominam, gdyż różnicy opinii nie uważałem nigdy za powód do obrazy: przerywając mi kilkakrotnie, zanim jeszcze skończyłem opowieść, w której chciałem tylko zrelacjonować to, co widziałem w jakiejś książce, bez chęci i zamiaru akceptowania tego lub nie akceptowania, usłyszałem cały wykład mający cechy fundamentalistycznego fideizmu w stosunku do swoiście pojmowanej Nauki, tak jakbym podważał jakiegokolwiek ustalenia naukowe. To wszystko od człowieka, który ma trudności z obsługą nawet zwykłego telefonu komórkowego, nie wspominając o nieco bardziej skomplikowanych urządzeniach i który za definicję korby uważa określenie "maszyna prosta". Ponieważ obcęgi, wahadło, czy śrubokręt to też maszyny proste, miałem chyba prawo sądzić, że nie odróżniając obcęgow od korby i jeszcze ze stu czy tysiąca innych maszyn prostych, masz o innych dziedzinach, a więc i o Nauce, którą tak zabobonnie wielbisz, pojęcie na poziomie elementarza, wszak nieustannie podkreślałeś, że wszystkie skomplikowane sprawy można wyrazić w sposób prosty. Czy chodzi o uproszczenie na poziomie wspomnianej definicji korby? Oczywiście powiesz, że to nie Ty przerywałeś mi, lecz to ja Tobie przerywałem, ale ja Tobie przerwałem raz i natychmiast zostałem przywołany do porządku, podczas gdy Ty przerwałeś mi co najmniej 5 razy, nie dopuszczając mnie po prostu do głosu. Kpisz nieustannie z tego, że mam zwyczaj nagrywania rozmaitych rzeczy na magnetofonie, ale nawet nie wiesz jak bardzo przydałby Ci się taki magnetofon w rękawie, byś ex post jakiejś rozmowy mógł skontrolować sam siebie, w jakim stopniu czasami bywasz nieznośny, a na dodatek niesprawiedliwy.

No to tyle. Musiałem odpowiedzieć, bo postawiłeś mi konkretne zarzuty. Ja w ten sam sposób mówię i piszę o innych mych znajomych i przyjaciółach i oni w ten sam sposób mówią i piszą o mnie i jakoś nikt się nie obraża. Cóż mogę zrobić poza nie wymienianiem Twego nazwiska przy

żadnej okazji, co w jakimś sensie już się dzieje - tyle, że akurat w tym wypadku, był to skrócony wywiad sprzed półtora roku.

Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

(O ile pamiętam to po tej wymianie listów nie odzywaliśmy się do siebie przez dłuższy czas. Po czym Ania przekonała mnie, żebym przestał się dąsać. Toteż będąc któregoś dnia w Warszawie odwiedziłem Zdzisława i od tego czasu znów zaczęliśmy ze sobą korespondować).

25 czerwca 2002, 20:03

Drogi Piotrze,

Czy to nie jest aby ten obraz? Bo z Twojego opisu zaraz go zobaczyłem. Nie pamiętam już roku w jakim go namalowałem, ale jestem na 100% pewien, że był Ci oferowany, ale (podobnie w wypadku obrazu, który potem kupił pan Bogdan Michalski) zrezygnowałeś z kupna. Na wstępie naszej umowy kilkakrotnie zrezygnowałeś. Jeśli idzie konkretnie o ten obraz, powiedziałeś mi, że Twojej Żonie się on nie podobał, z czego nawet błędnie wnioskowałem, że to Ona za obrazy płaci. Nie zawsze wszystko pamiętam, ale to pamiętam na 100%. Chyba, że to nie o tym obrazie do mnie dziś telefonowałeś. Dziś nie ma to już żadnego znaczenia, ale w jakimś stopniu jest dla mnie miłe, że Twoja opinia uległa zmianie. Nawet nie wiem komu go wtedy sprzedałem.

Pięknie pozdrawiam i łączę ukłony dla Żony.

Zdzisław

Cieszę się że ze zdrowiem OK.

Czy mimo tego, że obraz, o którym mówiliśmy, jest malowany akrylem można go będzie werniksować? Czy można werniksować parę mumii? Czy można werniksować murzyna w podkoszulku? Co do czystych akryli czarno-białych to wiem że werniksować ich nie można i o to nie pytam. Nie wiem jaką mam czcionkę bo tym zarządza Bambo. Kupiłem sobie

nowy komputer, o którym Ci już wspominałem i to on mi przeniósł ze starego na nowy całą treść. Wiem, że mi pogubił pewną ilość mojej zawodowej korespondencji. Czy również zgubił program z czcionkami o których piszesz, nie wiem. Po prostu spróbuj pisać polską czcionką. Lub napisz mi jak mam wskrzesić program. Dla mnie komputer jest nadal czarną magią.

Nowego albumu BoSza jeszcze w polskiej księgarni w Paryżu nie ma.

Piotr

3 lipca 2002, 20:24

A więc tak:

Murzyna w podkoszulku na pewno nie można werniksować. Jest na tyle niewielki, że można go eksponować za szybą w ten sposób, by szyba nie stykała się z obrazem.

Para mumii była powerniksowana ze sprayu rodzajem werniksu akrylowego, który związał z obrazem. Użyłem raz czy dwa i potem nigdy nie używałem. Nie mam pojęcia jak się sprawdzi w funkcji czasu i nie jestem pewien, czy obraz można dodatkowo powerniksować.

Wydaje mi się (ale nie jestem na 100% pewien), że ten nowo kupiony obraz wykończony był przy użyciu medium olejno alkidowego. W tej sytuacji nadawałby się do powerniksowania. Nie jestem jednak na 100% pewien.

Wtedy, gdy malowałem te obrazy, przechodziłem z oleju na acryl i dokonywałem szeregu prób takich i innych. Najogólniej obraz akrylowy nie nadający się do werniksowania, czyli czysty acryl, łatwo jest rozróżnić po tym, że jest matowy. Widać na nim wprawdzie pod kątem pociągnięcia pędzla jako pewne zakłócenie tej matowości, ale wszystkie te pociągnięcia są matowe. Przypuszczam, że mumie powinny być półbłyszczące i mieć strukturę powierzchni lekko ziarnistą od natrysku sprayem. Teoretycznie powinny być bardziej odporne od czystego akrylu, takiego jak na sinych głowach i na murzynie. Jeśli wszystko dobrze zapamiętałem to nowo-kupiony obraz powinien mieć połysk, który tu i tam zmatowiał na skutek upływu lat. Najogólniej problem werniksowania polega na tym, że

obraz namalowany matowo ma pewne proporcje kolorystyczne i walorowe, które diabli wezmą gdy dostanie połysk. Kolory staną się wprawdzie żywsze, ale brzydsze. To dotyczy wszystkich matowych akryli. Werniksy ich materialnie nie uszkodzi, ale je zmieni i nie da się tego już usunąć i wrócić do stanu pierwotnego. Z kolei tzw. matowe werniksy to generalnie gówno, więc ich nie polecam. Wysyłam, czcionkę Lucida Casual (Lucascre.ttf). Powiedz Bambo, by skopiował ją do folderu FONTS, który znajduje się wewnątrz folderu Windows. O ile ona tam już jest, to oczywiście wyskoczy odpowiedni napis. Pozdrowienia.

Zdzisław

3 lipca 2002, 14 :05

Drogi Piotrze,

Jak widzę nie dowierzasz internetowi, skoro wysłałeś 25 czerwca fotografię obrazu pocztą. Dostałem to dziś. Mail byłby po kilkunastu sekundach. Może to moja wina, bo nie odpowiedziałem na Twój mail z dnia 25 ub. miesiąca, ale ostatnie dwa tygodnie przeżywałem w napięciu, które dopiero przed godziną się rozładowało. Nie byłem pewien co na moje wycinki powie onkologia, na szczęście podobno jestem okazem zdrowia i nie tylko nie ma komórek nowotworowych, ale nie ma nawet komórek, które potencjalnie mogłyby się stać komórkami nowotworowymi (czy jakoś tak). Zapewne jest to efekt niehigienicznego trybu życia i niezdrowego odżywiania się.

Obraz pamiętam. Nie wiem czy wiesz, ale malowany był prawie do końca akrylem, który zapewnia większą łatwość w uzyskaniu dokładnej faktury. Jego wadą jest porowatość i wrażliwość na zabrudzenia, ale kilka obrazów w tym okresie (między innymi o ile pamiętam ten który kupiłeś) malowałem prawie do końca akrylem, ale finiszowałem mediami olejnymi. Czasem jakies bliki robione były olejno, a czasem i to nie, tylko całość była powlekana medium alkidalowym, które zapewnia większą trwałość niż akryl i ułatwia ewentualne czyszczenie obrazu, bo pory akrylu zatknięte są powłoką syntetycznej żywicy modyfikowanej w oleju lnianym.

Co do mojego zdrowia to oczywiście wisi na mnie cholerna ilość drobnych

niedomagań, a to narastająca głuchota, a to wrastanie paznokcia na lewej nodze, który chyba będąc musiał usunąć operacyjnie. Przez cały ubiegły rok leczono mi na nim grzybicę i gdy wyleczono, paznokieć zaczął wrastać, czyli trzeba go było od razu wywalić i już. No, ale przynajmniej raka nie mam. Dobrze i to. Pięknie pozdrawiam Was oboje. Zdzisław

PS: Czy masz nadal zainstalowaną czcionkę Lucida Casual, która ma polskie diakrytyki? Mógłbym pisać załączniki w Wordzie jak przed dwoma laty, ale nie wiem czy przypadkiem nie wywaliłeś tej czcionki.

Piątek, 5 lipca 2002, 20:09

Lewczyński pisze mi, że w lipcu w Zachęcie jest Twoja wystawa fotografii. Czy to prawda?
Piotr

Piątek, 5 lipca 2002, 23:09

Być może, ale pytasz niewłaściwego człowieka. Dawniej miałeś do mnie żal, że nie interesuję się własnymi wystawami, ale mnie to rzeczywiście nadal kompletnie nie interesuje. Jeśli tak napisał Lewczyński, to trzeba mu wierzyć. Ludzie, a w tym moi przyjaciele, wiedzą więcej niż ja oraz nawet wiedzą dlaczego i jak maluję. Wczoraj krew ze mnie pił mój kumpel Jarek, który ma nader pokretny sposób myślenia, a chce o mnie pisać, więc rozmowę, która trwała pięć i pół godziny (Jarek mówi cicho, pod nosem, jękając się i wchodząc w dygresje) zaczął od twierdzenia, że malując nie posługuję się wizją lecz wyobrażeniem, które wprawdzie jest rzeczą samą w sobie, ale nie jest rzeczą z siebie. No, a wizja jest i na pewno o tym wiem, bo inaczej nie umiałbym nic namalować, ale z Kanta bardzo szybko pozeğłowaliśmy w kierunku struktury czasu i przytoczył mi nazwisko (które w swej małoduszności zapomniałem) naukowca z Wiednia, który udowodnił, że najkrótszy odcinek czasu ma trzy sekundy i moje twierdzenie, że czas składa się z przeszłości i przyszłości bez czasu te-

rażniejszego, zbliża się raczej do fałszywego ujęcia Heraklita, podczas gdy do Jarka bardziej przemawia Zenon, tym niemniej jeśli sięgnąć do Plotyna, to daloby się jakoś oba stanowiska pogodzić. Stamtąd już niedaleko było do Wilhelma Reicha i orgonomii jak też dział orgonowych do wywoływania deszczu i kumulowania chmur, przy czym oświecił mnie, że swoje koncepcje Reich przejął zapewne od jakiegoś inżyniera ze Lwowa, który by specjalistą od kotłów (znowu zapomniałem nazwisko), ale Jarek znalazł 7 jego nieznanym nikomu skryptów w Bibliotece Narodowej i te skrypty skierowały jego uwagę na to, że Reich nie był oryginalny. Jak wiesz książki Reicha, po jakimś wypadku z napromieniowaniem, zostały (jak twierdzą jego uczniowie) spalone na polecenie FBI, co przysporzyło mu sławy męczennika i facet ma dużą ilość wyznawców, ale głównie na terenie USA w ramach ogólno-amerykańskiej paranoi. Jarek jest facetem, który przed paru laty miał u siebie materac leczniczy wykorzystujący Efekt Filadelfijski (przechodzenie do nadprzestrzeni) i nawet Zosię chciał tym leczyć, ale chyba już materaca tego nie ma, bo mnie na prostatę zaproponował tylko Wilca Cora. Po pięciu godzinach prania mózgu, niczym wampir opity krwią, wyszedł ode mnie ożywiony i zaróżowiony, a ja padłem jak wyżęta szmata. Jarek też zapewne wie kiedy i gdzie będą moje wystawy o ile są efektem kreacji przez rzeczy same w sobie, które nie są rzeczami z siebie. No, ale ja jestem raczej głupim malarzem, więc nie wiem. Pozdrawiam.

Zdzisław

Sobota, 6 lipca 2002, 15:28

Mam nadzieję, że ci dzielni ludzie nie wpadną na pomysł, że mam być obecny na otwarciu. Teraz sobie uzmysławiam, że ktoś w tej sprawie coś ze mną przez telefon gadał, ale już nie pamiętam kto i co. Ostatni miesiąc czy dwa, przeżyłem jak we śnie, zmaltretowany zarówno prostatą jak i promocją albumu. Tytuł z sanockiej gazety: "Beksiński jak stare wino". Wolę Fantę od wina. Powinno być: "Beksiński jak stara Fanta: ciepła i bez gazu". Tytuł z prasy rumuńskiej: "Apocalipsa dupa Beksinski". Podoba mi się. Pozdrowienia.

Zdzisław

Według informacji uzyskanej od ciecia w Zachęcie, wystawa Twoich fotografii zaczyna się nie jak podał Lewczyński 2 lecz 26 lipca i ma trwać do początków września. Piotr

Środa, 17 lipca 2002, 11:32

Drogi Piotrze,

Opowiadałem Ci, że w przeszłości podzielono w Galerii Zapiecek mój uszkodzony obraz na kilka kawałków. Jeden z napisem "pars pro toto" jest chyba w Niemczech, bo ktoś raz pytał mnie telefonicznie (po polsku), co znaczy ten napis. Na drugą część, którą podobno sprzedano na Zapiecku jako "pole bitwy" (przewracając w poziom, bo w rzeczywistości przedstawiała ścianę, ale podpisana była na odwrocie pionowo) natrafiłem przypadkiem w wyszukiwarce LYCOS pod adresem [tp://cgi.ebay.com/ws/eBaySAPI.dll?ViewItem&item=893931721](http://cgi.ebay.com/ws/eBaySAPI.dll?ViewItem&item=893931721).

Jeśli Cię to ciekawi, to zobacz. Wystarczy kliknąć w adres. Wycenili go bardzo tanio (1.750), ale jest mocno podrapany. Gdzieś zapewne znalazłbym czarno białe zdjęcie tego obrazu, zrobione jeszcze wtedy, gdy był cały. Nie wykluczone, że też je masz, bo przecież Glinicki robił odbitki z moich starych negatywów głównie dla Ciebie. Namalowany był równolegle z obrazem, który znajduje się w Muzeum sanockim, a przedstawia człowieczka z pochodnią, idącego jakby kanionem z olbrzymimi postaciami na jego ścianach. Niestety rozproszył się jak Ołtarz gandawski. Pozdrowienia. Zdzisław

Wtorek, 23 lipca 2002, 23:56

Ja jak wiesz oglądam wyłącznie durne filmy. Niektóre po kilka razy z tym, że oglądam tylko wybrane ich fragmenty by nacieszyć oczy. Taki wyjątkowo kretyński film to "Prawdziwe kłamstwa", ze Schwarzenegerem.

Film ma już jakieś 5 lat, ale końcówka z helikopterami i Harrierami nadal jest perfekcyjna. W zasadzie powinni wyświetlać dookoła Wojtek tylko ostatnie 15 minut. Reszta filmu jest żalсна. Oglądałem go po raz któryś z rzędu (kończówkę) przedwczoraj.

Robota kiepsko mi idzie. Zastanawiam się czasami, po co jeszcze żyję, ale to signum starości. Z jednej strony cholernie chcę żyć, a z drugiej nie wiem właściwie po co. Nie czuję już boskiego wiatru, lecz cholerne zmęczenie. Nawet muzyki już przestałem słuchać. Zaczęła mi przeszkadzać. No cóż. Jakoś to będzie. Pozdrowienia. Zdzisław

PS: Czy zainstalowałeś czcionkę czytającą po polsku? Łatwiej by mi było pisać.

Środa, 24 Lipca 2002, 15:33

Drogi Piotrze,

Twoja deklaratywna niechęć do USA przypomina mi stosunek do Rosji jaki powszechnie panował w Polsce w latach komuny. Wyrażanie przeze mnie entuzjazmu dla Szostakowicza - co tam Szostakowicza, nawet Dostojewskiego i Czechowa, kwitowane było przez niektórych podobnie jak teraz Twoja ocena Polańskiego (nie "Pianisty", bo filmu nie widziałem) i jego chęci powrotu do USA. Opowiadanie Szpilmana (chyba napisał to Walldorf lub pomagał w napisaniu) czytałem jeszcze w czasach Bolesława Bieruta, bo drukował to w odcinkach PRZEKRÓJ. Na dodatek znałem Szpilmana już jako starszego pana, bo z nim i jego żoną spotykaliśmy się w latach siedemdziesiątych u wspólnych znajomych. Oczywiście Szpilman był pianistą i mam nawet nagrania mego kolegi skrzypka, który grał z nim razem Rachmaninowa, tym niemniej znany powszechnie był głównie jako twórca piosenek. W Polsce gierkowskiej nie był lubiany przez młodzież artystyczną, bo ponad 50% socrealistycznych "na lewo most na prawo most" to jego dzieło i nie chciano mu tego zapomnieć.

W jakimś języku trzeba było rzecz nakręcić tak, aby potem się sprzedawała. Zapewne nie obejrzę "Pianisty", bo oglądałem tylko zamierzone idiotyzmy, więc po co mam się smucić oglądając Holocaust. Na amerykańskim

filmie religijnym (?) zatytułowanym, w Polsce "Armia Boga" (czołowego archaniola Gabriela grał Christopher Walken) dialekty też były podzielone, przypisane obszarom Dobra i Zła. Znamcy orzekli, że pozytywni aniołowie mówili dialektem Quinns, a demony dialektem z Bronx. Facet, który ze mną film oglądał, czekał z utęsknieniem na osobistą interwencję pana Boga, przewidując, że odezwie się cockneyem aby zademonstrować europejską klasę, ale niestety Bóg na tym filmie nie wystąpił. Wszelkie problemy między niebem i piekłem rozstrzygnięte zostały przy pomocy walki wręcz z tym, że piekło posługiwało się kickboxingiem, a Niebo klasycznym karate. Obie strony w chwilach zdenerwowania wołały zgodnie: shit shit... Film był jak najbardziej na serio i żałuj, że go nie wdziałeś, bo dostarczyłby Ci jeszcze silniejszych argumentów przeciw kinu amerykańskiemu niż te, jakimi się posługujesz.

Zdzisław

Środa, 24 lipca 2002, 21:35

Nie wiem czy to ja miałem być tym podejrzliwym facetem? Napisałem stylem przypuszczającym, ale sam niczego nie przypuszczam, bo z nikim na ten temat nigdy nie rozmawiałem, lecz powtórzyłem to, co było napisane ostatnio przy okazji recenzji filmu Polańskiego. Było napisane w jednym z trzech pism, które stale kupuję: POLITYKA, WPROST lub Newsweek. Zatem powtórzyłem to, co przeczytałem nie analizując tego, ani nie sądząc, że gdyby gostwriterem był akurat Walldorf, to rzecz sama w sobie byłaby naganna. Nie każdy przecież, kto ma wiele do opowiadania, lubi samemu pisać - dla mnie np. jest to obecnie katorga w związku z moją narastającą dysleksją.

Pozdrowienia. Zdzisław

PS: Czy masz już zainstalowaną czcionkę polską, którą Ci wysłałem?

24 lipca 2002

Byliśmy przed chwilą na rosyjskim filmie "Więzień Kaukazu". Film niezły. To, co chciałbym zasygnalizować jednak to to, że ostatnia scena na kaukaskim cmentarzu jest jak wyjęta z Twoich obrazów z lat 70-tych. Kamienie cmentarne są tylko nieco węższe od Twoich, ale tak samo bezładnie, gęsto rozrzucone i poprzechylane.

Przed chwilą pan Chojcecki przywiózł mi ze Szwajcarii Twój obraz, o którym rozmawialiśmy, przedstawiający dwie postacie w rozkroku na kamiennej ławie w kałuży ciemnej cieczy.

Jest lepszy niż na zdjęciu, które mi uprzednio wysłał. Ania jest absolutnie przekonana, że nigdy go nie widzieliśmy i nigdy mi go nie proponowałaś do kupna. Ja sam tego też nie pamiętam, ale moja pamięć jest tak marna i tak wiele rzeczy nie pamiętam, że wolę się na ten temat nie wyrażać.

W każdym razie zakup jest świetny.

Wczoraj Ania skończyła lekturę, którą mi czytała wieczorami na głos "Pianisty" Szpilmana. Zamiast oglądać durne amerykańskie filmy dla półgłówek, przeczytaj tę książkę, bo jest ważna i świetnie napisana.

Polański, płaszcząc się przed Ameryką, do której marzy móc kiedyś wrócić, gdy mu już tam zapomną gwałcenie nieletnich panienek, zrobił ten film ponoć po angielsku i jego Żydzi mówią z akcentem Brooklinu. Z góry jestem negatywnie ustosunkowany do tego filmu, który wejdzie na jesieni w Paryżu na ekrany, bo najpierw musi go zobaczyć tak imponująca temu bałwanowi Ameryka. Biedny Szpilman przewraca się w grobie.

Zabawne jak u pewnych ludzi funkcjonuje obsesyjna podejrzliwość. Uderz w stół, a nożyce natychmiast się odezwą.

Tak więc, pamiętam jak pewni ludzie z uporem próbowali udowodnić, że to nie żadna Anna Frank napisała swoje dzienniki, ale pewien wytypowany przez izraelski wywiad dziennikarz po wojnie, bo to Panie jasna rzecz, pisane było długopisem, a Pan wie że długopisy dopiero po wojnie wynaleziono. Tak samo jeden z mych przyjaciół uświadamiał mnie z uporem i błędzącym po twarzy tajemniczym uśmiechem, że "Malowanego ptaka" nie napisał żaden Kosiński tylko kilku podstawionych ludzi, przecież to znana rzecz. Teraz Waldorff, bo widać, że literat to pisał a nie pianista, nie ta sama ręka.

Pamiętam ile rzeczy, niecnych zamysłów, oszustw głęboko przemyślanych i krętaskich zamiarów było mi przypisywane, bo przecież ten facet to ewidentny cwaniak i nawet dziecko by odgadło, że za tym entuzjazmem kryją się tajne, obrzydliwe kalkulacje.

Pewne skrzywienia psychiczne są jak widać nie do wykorzenia.

Po Twojej śmierci znajdzie się wielu takich, którzy będą poddawali w wątpliwość wszystko co się z Tobą wiąże, włącznie z autorstwem Twoich obrazów. Bo nie będziesz się już mógł bronić. Zrobią to poważni panowie z Polityki, Newsweeka czy innych Le Mondów.

Książkę Szpilmana przeczytałem pod wrażeniem autentyczności i odczuwam jako niesprawiedliwość podważanie jej autorstwa dziś, żeby jutro podważyć jej wiarygodność.

Tą metodę znam, bo rozgryzłem ją w moich próbach spopularyzowania Twojej sztuki tutaj, na Zachodzie.

Nigdy poważny dziennikarz nie atakował mnie tu za Twoje prace otwarcie. Na to jednak żeby nas ośmieszyć, i przy sposobności zasiać wątpliwość, co do jakości Twojej sztuki i co do autentyzmu moich motywacji, wszyscy tylko cytowali mimochodem, ot tak, w jednym zdaniu, innych panów, tak tylko gwoli ścisłości i oczywiście nigdy nie dają gwarancji autentyczności tego co tylko "powtarzali po innych wiarygodnych źródłach". Gdy Le Monde chce kogoś poniżyć, zawsze ucieka się do tych sposobów powołując się na bliżej niesprecyzowane "źródła".

W niedzielę jedziemy na południe Francji do domu, który wynajęliśmy na trzy tygodnie koło Awinionu.

Wiem, jakie są Twoje fobie i że wręcz boisz się przemieszczania. Może jednak skusilibyś się na gwarantowane słońce i na dalszy ciąg naszych kłótni, tym razem na żywo?

Piotr

Środa, 25 lipca 25 2002, 9:53

Drogi Piotrze,

Nie użyłem tytułów czasopism po to, by porazić Cię wiarygodnością źródeł z których czerpałem informacje, lecz by wyjaśnić, że jej nie wymyśli-

lem. Nasza cała cywilizacja polega na powtarzaniu rzeczy przeczytanych i usłyszanych, których osobiście nie jesteśmy w stanie zweryfikować. Choćby sprawa Kosowa i masowych grobów. Co najmniej dwie opcje i każda przeczy pozostałej. Gdybyśmy w obawie przed manipulacją zrezygnowali z publikatorów, zostało by nam tylko powoływanie się na własne codzienne doświadczenie. Istnieje stare powiedzenie kawalerzystów, że od czasu gdy Arystoteles pomylił się licząc zęby koniowi, wszystkie podręczniki aż do XIX wieku przytaczały niewłaściwą liczbę zębów u konia - mimo, iż ludzie hodowali konie i zaglądali im często w zęby. Sprawa rzekomego autorstwa książki Szpilmana, wydaje się nie warta dyskusji. Mógłbym uzyskać w ciągu pięciu minut autorytatywną informację, dzwoniąc do swego przyjaciela, seniora redaktorów POLITYKI, historyka i specjalisty na linii stosunków polsko-żydowskich, czyli Mariana Turskiego, który był bardzo bliskim kumplem Szpilmana i on na pewno wie jaka jest prawda, ale wydaje mi się to niezręczne. Zresztą cóż to jest prawda jak powiedział Piłat. Ku rozweseleniu posyłam Ci więc przedruk jednego z moich życiorysów z internetu.

Mr. Beksinski Was just a school maths teacher. He was no good at art and he definitely couldn't paint. While driving to school he tried to speed over some railway tracks as he was in a hurry to get there. But alas, he was hit by a train in his haste. (Although that may not have been such a bad thing). He was in a coma for 6 weeks and when he finally woke up, he told an extra-ordinary tale about his experiences in the vast regions of hell. He then started painting a large series of pictures about this. During his time there, he says it was absolutely silent apart from the sound of his own footsteps, that it was very cold and desolate, and that he was constantly hunted by "hunters with ferocious hounds. He now is so afraid of silence that, when he's at home he has to turn on a vacuum cleaner to be rid of it.

Zgadza się tu odkurzacz, bo w jakimś wywiadzie w latach siedemdziesiątych użyłem sformułowania, że do tego stopnia nie lubię ciszy, że gotów jestem włączyć odkurzacz, by jej nie doznawać. Odkurzacz ten jak boomerang, poprzez odległe rejony piekieł, wrócił po ponad 20 latach do mojego komputera.

Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Czwartek, 25 lipca 2002, 11:25

Serdeczne dzięki za zaproszenie, ale jak wiesz Grójec dla mnie to już Antypody. Streszczam się, bo za chwilę mam wywiad do radia w związku z wystawą, a zaraz potem gości na tydzień. Informacja jest z internetu, na co trafia się zazwyczaj przypadkowo, bo to jak staw w którym pływają śmieci. Tę konkretnie zapisałem przed paroma miesiącami. Niedawno widziałem też, że jakaś Tsarina (chyba Gruzinka?) twierdzi, że jestem jej kochankiem. W jakiejś (nieczytelnej) chińskiej witrynie jestem jako jeden z dwóch malarzy europejskich (tak jakby innych nie było) i na dodatek są tam nasze zdjęcia. Toulouse Lautrec i ja sfotografowany przez Glinickiego na tle starego mostu. Widać chiński nastolatek który to umieścił, dokładnie przejrzał mą parszywą naturę. Chętnie zamieszkałbym tak jak Lautrec w Agencji Towarzyskiej pod warunkiem, że zlokalizowana byłaby nad McDonald's. Wszystko co potrzeba pod ręką. Nie trzeba ruszać się z domu.

Cześć. Zdzisław

Czwartek, 25 lipca 2002, 23:30

Drogi Piotrze,

Może zacznę od nowego listu, bo robi się z tego przeraźliwie długi plik. Pytasz o sprzedawanie. W Polsce zapanował zastój. Od początku roku sprzedałem ze dwa obrazy, ale przez galerie tylko jeden obraz, a mianowicie ten namalowany w dawnym stylu. Nie namalowałem go jednak po to, by nareszcie coś sprzedać, bo nie mam poważniejszych problemów finansowych, jako iż nie mam większych wydatków, a zbliżam się wiekiem do rozwiązania ostatecznego. Oszczędności jakieś mam, ale nie są one olbrzymie. W zasadzie od lat interesowałem się forszą tylko o tyle, o ile szło o zabezpieczenie na starość Zosi. Mnie osobiście nigdy nie były potrzebne większe pieniądze, o czym pisałeś przecież w swojej książce, że nie wiadomo na co on (czyli ja) wydaje tyle forsy. On nie wydawał tylko odkładał -sądząc, że po jego śmierci będą potrzebne jego żonie. To był

podstawowy motor zarabiania. W tej chwili jestem lekki jak piórko w sensie poczucia odpowiedzialności za czyjeś życie, a sam potrzebuję tyle co na czynsz, McDonald's, czasami na jakiś sprzęt (np. komputer) o niewygórowanej cenie. Ubieram się w jeansy. Wiatrówkę mam jeszcze sprzed 10 lat - trochę już się rozłazi. Nie utrzymuję samochodu. Nie podróżuję. Tego wszystkiego nie traktuję jako wyrzeczenie - po prostu taką mam naturę. Gdy nie zarabiam, to korzystam z oszczędności, gdyż po śmierci Zosi i Tomka stałem się niezamierzonym beneficjentem własnej protestanckiej zapobiegliwości. Zresztą zawsze, od kiedy sięgnę pamięcią, tak było, że aby mieć psychiczny luz do pracy i do życia, musiałem mieć bufor i dbałem o to by go mieć, czyli odłożyć forszę. Oczywiście z punktu widzenia ludzi bogatych nie są to żadne pieniądze, ale mnie wystarcza, a nawet od czasu do czasu dają radę pomóc innym.

Jeśli idzie o galerię Wahl, to nawet nie wiem, czy mają tam jakiś mój obraz do sprzedania. W Galerii SD coś mają, ale są to obrazy, które kupili u mnie za gotówkę jeszcze w ubiegłym roku. Ogólnie w Polsce jest bryndza, a w każdym razie jest poczucie, że nadciąga gospodarza katastrofa. Ludzie boją się wydawać. Taki obraz wynika z rozmów i z prasy. Nic więcej nie potrafię tu od siebie wydusić, bo w końcu mam swoje własne niepokojące problemy: Znowu szykuje się jakieś choróbsko, ale może panikuję. Na szyi robi mi się od 2 miesięcy coś, co wypisz wymaluj wygląda mi na nowotwór złośliwy pod tytułem czerniak, ale żaden lekarz jeszcze tego nie widział i diagnozowałem sam siebie w oparciu o internet. Może to być też otorbiony czyrak, bo od tego to się na początku czerwca zaczęło i zainicjował to chyba ten pieprzony proscar (finasteridum), który przez 11 dni brałem jako lek mający zmniejszyć prostatę, a który spowodował, że czułem się coraz gorzej i po 11 dniach go samowolnie odstawiłem. W poniedziałek, obiecał to zobaczyć Noszszyk, bo doście (prywatnie!) do dermatologa-onkologa to oczekiwanie do września. W końcu wyciąć to każdy może, a nikt nie podejmie innej decyzji jak wyciąć i wysłać próbkę do onkologii.

Pozdrowienia. Zdzisław

Piątek, 26 lipca 2002, 16:24

Takie jest życie. Nie znacie dnia ni godziny. Tym niemniej przyziemny aspekt całej sprawy wykazuje statystyczną wyższość funkcjonalną zapobiegliwości nad beztroską, co oczywiście nie znaczy, że czasami zapobiegliwy nie przegra, a beztroski nie straci. Mówiąc o sobie lubię przytaczać postać z Podroży Alicji do wnętrza lustra, a mianowicie rycerza, który miał na koniu zainstalowaną łapkę na myszy, a to na wypadek gdyby mysz dostała się na konia. Oczywiście nie chroniło to od utonięcia razem z koniem, gdyby pod koniem załamał się most, właśnie na skutek dodatkowego obciążenia przez łapkę na myszy. Może naciągnąłem to porównanie, ale zmierzam do tego, że to co nas ma zabezpieczyć, może w pewnych sytuacjach obrócić się przeciw nam.

Jestem koszmarnie wyżęty po tej cholernej konferencji prasowej. Robią z igły widły. Najpierw przez dwa dni miałem dwie radiostacje i jedną stację telewizyjną w domu, jak też jeden wywiad przez telefon. Teraz przed i po konferencji były trzy stacje telewizyjne, trzy stacje radiowe, prywatni amatorzy podsuwający swe dyktafony i stado fotografów. Zbiera się tłumek. Wypełnia sobą salę. Siedzę z dwiema innymi osobami za stołem prezydiąlnym i ludzie z sali mają zadawać pytania. Pada ich 3 do 5. Inni patrzą jak pies na kotlet i nic. Zresztą to dobrze, bo bym tego nie przetrzymał gdyby wszyscy pytali. Więc po co przychodzą? No cóż. Jestem już Zombie. Przyszli pooglądać Zombie. Wypili ze mnie energię. Chyba się położę.

Pozdrowienia. Zdzisław

Piątek, 26 lipca 2002, 23:28

Zapewne robi się ze mnie klasyczny hipochondryk, a ten z reguły rozpoznaje u siebie raka. Co do wyglądu czerniaka, to wszystko zależy od jakichś stopni Clarka i skali Brenslowa. Niestety gros informacji w internecie jest po angielsku, a po angielsku to ja umiem głównie kląć. W sumie zdiagnozowałem się wczoraj histerycznie sam w oparciu o kolorowe fotografie w internecie i ogląd własnej skóry, ale dziś po raz pierwszy od

miesiąca wygląda to już znacznie łagodniej. Nie wiem czy mój niewielki czyrak bolał, bo go nie dotykałem, a w tym okresie bolało mnie wszystko, pojawiło się nawet coś, co wyglądało jak hemoroidy (nigdy w życiu ich nie miałem) i srałem na czarno, a więc miałem krwotok wewnątrz jelitowy. Podejrzewam, że była to jakaś bardzo silna alergiczna reakcja na finasteryd (proscar). Nie zdajesz sobie sprawy jak się wtedy czułem. Sikalem co pięć minut z jakąś reakcją od strony prostaty, która przypominała szczątkowy orgazm. Jeśli orgazm porównałoby się do akordu w wykonaniu orkiestry, to ja odczuwałem samą partię kometu, ale za to crescendo i forte fortissimo. Przy każdym sikaniu co pięć, a nawet co trzy minuty. Spuchnięta odbytnica uniemożliwiała mi siedzenie, a na szyi wyskoczył mi ten czyrak (może wyskoczył bez związku z proscarem, bo nie sposób tego udowodnić) i gdy już cały mój organizm został rozregulowany, odstawiłem proscar i wszystko po kilkunastu dniach powoli, ale sukcesywnie wróciło do normy, natomiast po czyraku została plamka, która najdalej do 10 dni powinna była zniknąć, a tymczasem do wczoraj upłynęły prawie 2 miesiące, a ona przybrała formę czarnego krążka o średnicy ca 2-3 mm. Może to jest otorbiony czyrak, którego nie wydusiłem. Oby. Na pewno ucieszy mnie wieść, że jestem tylko hipochondrykiem, ale wszyscy uświadomiamy nas, że w tej materii trzeba dmuchać na zimne i diagnozować zanim nie będzie za późno. Miałem więc czekać co się z tego rozwinie? No, ale dziś nagle przestało to być czarne i wydatnie zmniejszyło rozmiar geometryczny. Może tylko panikowałem?

Pozdrowienia. Zdzisław

27 lipca 2002

Więc nareszcie wiem: wszystko wsadzałeś do skarbonki.

Ja też te wszystkie obrazy, rzeźby, rysunki nadal kupuję, bo mi się stale wydaje, że będzie dla żony na starość jak już mnie się zemrze.

Na co ona mi przypomina przykład mego szwagra, o dwadzieścia dwa lata starszego od mej siostry, a jego żony, który stale powtarzał: co się z tobą Marzenitko stanie jak ja już umrę?

Po czym ona umarła mając 47 lat, a on żył do 86, miał następną żonę

i z tej nowej żony dziecko.

Przecież czyrak boli, a czerniak nie boli. Poza tym czerniak ma bardzo charakterystyczne, nierówne obrzeżenie.

Piotr

Wtorek, 20 sierpnia 2002, 22:54

Jesteś cholernie lakoniczny, a to przecież Ja mam dysleksję. Na dodatek dwa dni zajęło mi kupowanie jakiejś bluzy, bo w tej która ma już 8 lat wyglądam gorzej niż kłoszard, a jakaś Tomka koleżanka zawiadomiła mnie, że w niedzielę 25 będzie msza w jego intencji. Tomek był zdeklarowanym i agresywnym ateistą, a ja jestem obojętny religijnie, tym niemniej nie chciałbym robić demonstracji i chcę pójść skoro zostałem zawiadomiony i niejako zaproszony. No, ale co ubrać? Dwukrotnie straciłem po 3 godziny na szukanie czegoś na grzbiet i należałoby uznać, że jestem człowiekiem wybrednym, a chciałem mieć prostą bluzę bez podszewki, która nie powinna wyglądać ani wytornie, ani elegancko, ale też nie powinna wyglądać jaskrawo. Okazało się to problemem nie do przeskoczenia. W jakimś Cottonlandzie, który mi polecono, dostałem w końcu coś, co potem okazało się nie bluzą, ale koszulą, więc szukałem dalej i dostałem w końcu bluzę, która być może nie jest koszulą, ale jak okazało się potem z faktury jest strojem pułkownika Bundeswehry, bo nie mogąc nic znaleźć włożyłem nieświadomie do sklepu military. Pani, która przychodzi sprzątać, odpruje mi w piątek wszystkie dystynkcje, ale boleśnie czuję się ponizony strojem pułkownika. Mam lat 73 i powinienem mieć co najmniej rangę emerytowanego feldmarszałka, a nie jakiegoś pułkownika z czteroletnią służbą. Metka wskazuje, że to pochodzi z magazynów Bundeswehry z 1997 roku, więc widać co jakiś czas upływają stare zapasy. Więcej szukać nie będę. Po co mi to było? Otóż na internetowym zdjęciu sprzed konferencji prasowej w związku z wystawą, o którą pytasz, zobaczyłem sam siebie i zapłakałem nad własnym strojem. Byłem na tej konferencji (ale nie na otwarciu), udzieliłem 5 wywiadów do radia i 4 do telewizji, ale ocenę w stylu Mane Tekel Fares możesz przeczytać w Gazecie Wyborczej po adresem: http://www1.gazeta.p_l/ku.itura/1,34169,974761.html,

z której niedwuznacznie wynika, że kupowałeś ode mnie samo gówno, bo jedyne dobre rzeczy w swym życiu robiłem jako fotograf. Oczywiście to tzw. "młody krytyk" w spódnicy, który w szczególny sposób nie cierpi tego, co robię i nie pierwszy raz daje temu wyraz. To i tak wiele, że uznała, iż dobrze się zapowiadałem. Były też podobno inne recenzje, ale ja tego generalnie nie kolekcjonuję, a na Jarecką ktoś mi zwrócił uwagę. Mój stosunek do tych prac jest taki jak do rosółu na własnych kościach. To były czasy Bieruta, Ochaba, a potem pierwsze lata Gomułki. Gdzieś w rejonie Chrztu Polski i Bitwy pod Grunwaldem. Zapomniałem już, że wtedy już byłem na świecie. No to na razie. Mam nadzieję, że wypoczęliście? Pozdrowienia. Zdzisław

Środa, 21 sierpnia 2002, 14:05

Do mnie zawsze bardzo zapraszam i będę się bardzo cieszyć, ale wystawa chyba nie jest warta oglądania. Przynajmniej ja tak to widzę. Z innej beczki, to w końcu jestem już właścicielem zrujnowanej kawalerki z wnęką kuchenną, która znajduje się obok mego mieszkania. Sprawa przeszła już przez notariusza (aplikantka u notariusza ma męża redaktora, więc od razu mam kolejny wywiad w perspektywie - znowu będę mówić to samo - Już mnie to tak nudzi, że przyszło mi do głowy, iż mógłbym każdorazowo zmyślać jakieś rzeczy). Dałem za tą kawalerkę dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, wykończone w ub. roku na wysoki połysk z nowymi oknami, parkietem, nowymi nieużywanymi meblami, nowym nieużywanym wyposażeniem kuchni wraz z nowymi: kuchenką, lodówką etc, z nowym radiem, odczytywaczem kompaktowym i nowym nieużywanym telewizorem PHILIPS z płaskim monitorem. Do tego dopłaciłem jeszcze miłej pani 25.000 zł, aby ją w końcu usatysfakcjonować, bo uważała, że wymiana jest dla niej nieopłacalna. Teraz są tutti contentati, a przede mną remont kapitalny - no, ale będę już mieć gdzie pomieścić księżną gospodynię, o ile zaszłaby taka potrzeba. Zrobiłem najgorszy interes mego życia, jeśli spojrzeć na to od strony finansowej, ale jak już powiedziałem: jestem zadowolony. Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Gazeta.pl:

"Szkoda zdjęć"

Dorota Jarecka

Wystawa wczesnych prac Zdzisława Beksińskiego w Zachęcie

Fotografie, kolaże i fotograficzne montaże tworzone przez Zdzisława Beksińskiego od połowy lat 50. i pochodzące ze zbiorów specjalizującego się we współczesnej fotografii Muzeum Narodowego we Wrocławiu to przykład nurtu powojennej polskiej sztuki, który wiąże się z powrotem do stylistyk awangardowych. Zarówno w malarstwie, jak w rzeźbie, projektowaniu, architekturze i fotografii miało wówczas miejsce odświeżające przypomnienie nowoczesnej formy.

Ciało z duchem przedwojennym

Urodzony w roku 1929 Beksiński, w 1952 ukończył Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej i zajął się twórczością fotograficzną. Musiał dobrze znać osiągnięcia europejskiej awangardy - zarówno dzieła Mana Raya, jak i eksperymenty z heliografią łódzkiego awangardowego artysty Karola Hilera. Trudno byłoby sobie wyobrazić twórczość Beksińskiego bez doświadczeń w organizowaniu przestrzeni artystów z kręgu Bauhausu, jak i perwersyjnej fotografii surrealistów.

"Jean Arp" zatytułował Beksiński fotografię z roku 1953 - to widziane z bardzo bliska szyja, ramię i twarz kobiety w mocnym słońcu. Silne kontrasty świetlne tworzą grę abstrakcyjnych form. Płynne linie podziałów między partiami jasnymi, a ukrytymi w cieniu przypominają formy znane z rzeźb i rysunków Jeana Arpa, rzeźbiarza i malarza związanego z dadaizmem. Trzeba było sporo duchowej niezależności, by w roku 1953 zadedykować fotografię temu mistrzowi zmysłowych i abstrakcyjnych form.

W tej fotografii ciało ujęte jest monumentalnie, a więc zgodnie ze stylem socrealistycznym, ale jest w niej także obecny duch przedwojenny - kultu młodości, ciężkiej pracy i sportu - oraz całkowicie obca epoce wczesnych lat pięćdziesiątych siła erotyczna.

W połowie lat 50. powstają akty kobiece, zespół prac wyjątkowych nie mający odpowiednika ani w polskiej fotografii, ani w malarstwie tamtego czasu. Ciekawe kadry czynią z kobiecego ciała abstrakcyjną rzeźbę. Na tym

nie wyczerpuje się inwencja Beksińskiego. Czerpiąc z doświadczeń współczesnej sztuki, potrafi on zbudować własny charakterystyczny styl. Tworzy portrety, interesuje go twarz, z której wydobywa niezwykle moment zadumy lub przestrochu. Kadr jest pracowicie i pomysłowo zaaranżowany. Nie ma tu banału i taniej metafizyki.

W fotomontażach z przełomu lat 1958-59 - najpóźniejszych z prezentowanych prac - brzmi nuta już nie melancholii, lecz grozy. Dramatyczne zestawienia obrazów przypominają fotomontaże niemieckich dadaistów Heartfielda, Hannah Hfch i naszego Kazimierza Podsiadeckiego. Tyle że to już nowe czasy - buntu nie tyle społecznego czy politycznego, ale egzystencjalizmu. Kompozycje te są ważnym zjawiskiem w polskiej sztuce - nawiązując do tradycji przedwojennego fotomontażu, zapowiadają także następne epoki łącznie z dzisiejszą, kiedy to wstrząs moralny i estetyczny stał się jednym z popularnych środków wyrazu sztuki.

Okno, nie ręka

Twórczość Zdzisława Beksińskiego pokazywana na tej wystawie sięga roku 1959. Co robił później ten doskonały fotografik, autor fotomontaży? Uczynił coś bardzo dziwnego. Przestał fotografować. Zajął się malarstwem.

To zaskakujący wybór. Jednak prawdopodobnie wielu fotografików staje przed decyzją, czy próbować czegoś innego. Czegoś więcej? Kłopot w tym, by dobrze wybrać. W "Rozmowach z Picassem", które spisał słynny francuski fotografik Brassai, Picasso naciska w pewnym momencie na swego rozmówcę, by prócz fotografowania zaczął także rysować, by poświęcił się wreszcie prawdziwej sztuce: "Ma pan pewien talent i nie chcę go pan wyyskać!", mówi do Brassai oburzony Picasso. Ten tłumaczy, że odpowiada mu właśnie to ograniczenie, jakim jest fotografia! Ma zresztą świadomość własnego talentu: "Dysponuję okiem - mówi - ale nie dysponuję ręką, nie mam prawa dotykać przedmiotów..." Brassai ujmuje tutaj istotę fotografii jako autonomicznego gatunku sztuki. Fotografia nie jest substytutem rysunku czy malarstwa. Jest odrębną dziedziną, która rządzi się swoimi prawami. Jeśli fotografik wydaje się bardziej posłuszny rzeczywistości niż malarz, bardziej jej podporządkowany, to wcale nie znaczy, że nie ma wizji. Przeciwnie - stworzyć własną wizję w sztuce tak dyskretną, tak zdystansowaną wobec świata jak fotografia, to jest dopiero mistrzostwo!

Każdy może

Czemu Beksiński porzucił fotografię, mając talent na miarę Brassai'a? Bo prawdopodobnie myślał o niej tak jak Picasso, czyli źle: jako o gatunku niższym, który prawdziwemu artyście nie wystarcza. Jeszcze w latach 50. fotografia była postrzegana - zwłaszcza w mało postępowej artystycznie Polsce - jako kierunek właściwie użytkowy, jeśli nawet wymagający wybitnych technicznych sprawności, to na pewno nie tak szlachetny jak malarstwo olejne. Nie była to gleba, na której żywo mogłaby wzrastać awangarda. Zresztą i dzisiaj wiele się w tej kwestii u nas nie zmieniło, a glosy odmawiające fotografii statusu dzieła sztuki nie należą do rzadkości. Przecież każdy może zrobić zdjęcie, i tutaj właśnie tkwi pułapka. Bo malować też każdy może, co udowodnił dalszą twórczością Zdzisław Beksiński.

Jako fotografik wyrafinowany, oszczędny, idący po czystej awangardowej linii, jako malarz sięgnął do repertuaru fin de sieclu w najgorszym, tandetnym metafizycznym, wydaniu. Na jego obrazach pojawiły się stłoczone widma, szkielety i upiory. Malował je i maluje do dzisiaj z taką mimetyczną pasją, jakby chciał, by widz wyciągał rękę w ich kierunku i je macał. To, co stanowiło o wartości jego fotografii, w malarstwie zostało zgubione, a nawet zaprzeczone.

Na nic upiory

Patrząc na wystawę w Zachęcie, myśli się o późniejszej malarskiej twórczości Beksińskiego jako o zerwaniu z obraną wcześniej drogą, jako o tragicznej pomyłce, tym tragiczniejszej, że znalazła natychmiastowy poklask. Uważny widz zauważy jednak i pewną wspólnotę. Już w tej wczesnej twórczości jest przecież wyczuwalny klimat, który - choć wyrażony innymi środkami - trwa w niej do dzisiaj. Zdjęcia z drugiej połowy lat 50. mówią o ulotności bycia, o nadchodzącej pustce, o tym, co zmierzcha i odchodzi. Ale w fotografii, i na tym polega jej wartość, wszystko to jest powiedziane w sposób subtelny, z pomocą aluzji, sugestii. Autorowi to nie wystarczyło.

Nieszczęściem Zdzisława Beksińskiego było to, że chciał być dobrze zrozumiany. Najpierw przez kilka lat tworzył poezję wysublimowaną, czytelną dla nielicznych, ale za to najwyższego lotu. Przez następne 40 postanowił to wszystko przełożyć na język wulgarnego komiksu. Gada do tej pory, strasząc, dopowiadając do końca, wyobrażając gnijące ścierwa i szkielety, malując wymarłe miasta, pajęczyny, trupie poświęty, mgły i dymy w kolorze mułu i popiołu. Wszystko na nic. Poezji nie da się wyłożyć slangiem.

Zdzisław Beksiński: "Fotografie 1953-1959" z kolekcji Muzeum Narodowego we Wrocławiu, kurator Adam Sobota, galeria Zachęta, Warszawa, do 8 września

21 sierpnia 2002

W końcu nic w tym artykuliku nowego. Jak dawniej tak i dziś wzbudzasz skrajne wrażenia i to zarówno w Polsce jak i na Zachodzie. Do naszej galerii wchodzili ludzie, którzy chcieli płacić wejście, bo gdy były Twoje wystawy myśleli, że to muzeum. Tak jak wszyscy ci panowie z centrum Pompidou, przechodząc obok w drodze do biura, nigdy nie zapomnieli plunąć przed moimi drzwiami. De gustibus non est disputandum, (jeśli tak się to pisze...) Ten artykulik tym tylko złośliwszy, że z jednej strony chwali, a z drugiej powołuje się na kilka nazwisk. A to robi wrażenie naukowej znajomości rzeczy.

Gdybym wiedział, że mi opublikują odpowiedź, to mimo iż przyrzekłem sobie, że już więcej w Ciebie inwestować żadnej pracy nie będę, to bym odpisał. Ale pisać sobie, a muzom mi się nie chce.

Niemniej w oczach tutejszego środowiska malarstwa fantastycznego jesteś jedną z najważniejszych postaci obok Hernandeza, Gigera, Fuchsa i Henricot.

Piotr

Środa, 21 sierpnia 2002, 15:40

Drogi Piotrze,

Jeszcze jedno. Wprawdzie zastrzegasz się że nie będziesz pisać jeśli Cię nie opublikują, ale zaniepokoiłem się, że nagle Ci jednak odbije i spróbujesz to zrobić. Nie mogę Ci oczywiście zabronić, ale naprawdę szkoda było by wysiłku! To są wprawdzie wykształceni ludzie, o ile przez wykształcenie rozumieć ukończenie studiów i przeczytanie wielu książek na temat, ale mają straszliwie uproszczoną psychikę i właściwie wszystko,

co piszą to głupstwo, z którym nie warto polemizować. Nie piszę tego dlatego, że ta pani nie lubi tego co robię i daję temu publicznie wyraz, bo - jak chyba wiesz, umiem znieść słowa krytyki i nie jestem nadwrażliwy. W końcu równie bez sensu mnie chwalili za to, co robiłem. To jest takie szkolne wypracowanie. Witkacy przytoczył raz powiedzenie któregoś ze znanych grali: "co tam bedzies z głupim gadol" i to właściwie wyczerpuje sprawę.

Pozdrowienia. Zdzisław

21 sierpnia 2002

Z artykułiku dowiedziałem się, że wystawa trwa do 8 września. Staram się przekonać Anię, że ponieważ nie mamy absolutnie żadnych obowiązków do tego czasu, to przecież moglibyśmy wpaść do Warszawy na kilka dni żeby ją zobaczyć.

Tak też chyba zrobimy. Ania po namyśle mówi mi, że moglibyśmy się wybrać 4 września i wrócić w niedzielę 8-go. Przy sposobności wpadniemy do Ciebie. Piotr

22 sierpnia 2002

Pozostawienie tego artykułiku bez odpowiedzi wydaje mi się błędem. Ktoś odpowiedzieć powinien. Jeśli nie chcesz żebym to zrobił ja to może Skrodzki lub Nyczek? Ale nie skontrowanie takiego jadu pozwoli mu przyczepić się do ludzkich pamięci i szkodzić na długą metę, bo jest zręczny i poparty nazwiskami, a więc "naukowy" i obiektywny.

Piotr

Czwartek, 22 sierpnia 2002, 14:28

Drogi Piotrze,

Mam inną optykę. Wręcz nie cierpię polemiki na własny temat, szczegól-

nie, gdy biorą w niej udział ludzie aprobujący to co robię, bo w końcu wychodzi z tego taki zakalec, że nie mam ochoty zgodzić się ani z wrogami, ani z obrońcami. Takich rozmaitych pozytywnych i negatywnych artykułów są dziesiątki, bo prasa obecnie jest szalenie rozbudowana w stosunku do okresu realnego socjalizmu. O artykule w Gazecie Wyborczej (to fakt, że jest to jeden z największych, o ile nie największy dziennik w Polsce) dowiedziałem się przypadkiem, bo o godzinie 22 zadzwonił do mnie z Katowic stary kumpel-malarz z radą, bym nie przejmował się artykułem w Wyborczej. Odpowiedziałem, że artykułu nie znam, bo w ogóle żadnych dzienników nie kupuję (za życia Zosi kupowaliśmy Wyborczą) i w ogóle mam takie rzeczy w dupie. Rozmawialiśmy chwilę na inne tematy, po czym ciekawy co tak ubodło Andrzeja poszukałem w internecie (bo kioski już o tej porze były nieczynne) i przeczytałem artykuł Jareckiej, przypominając sobie, że nie pierwszy raz wybrzydza się na mnie i to trochę podobnie jak to robił Woźniakowski, używając za każdym razem argumentów dokładnie z tego samego worka jak to: szkielety, landrynkowe kolory, horror, komiks etc - kompletnie na aut, więc najprawdopodobniej nie za dobrze znając to, co robię. Ponieważ o ile wiem dzieli ich ze dwa lub nawet trzy pokolenia (Woźniakowski jest grubo starszy ode mnie), to nawet zacząłem domniemywać, że była jego studentką na KULu. Wysłałem ten artykuł kilku znajomym, bo wręcz uwielbiam gdy piszą o mnie źle. Jareckiej w ogóle nie znam, natomiast Woźniakowskiego poznałem przed wielu, wielu laty i nawet swego czasu popierał gorąco moją kandydaturę na stypendium Forda czy też jakieś inne w USA. Potem straszliwie się na mnie zawiódł i od tej pory demonstracyjnie (!) nie chce obejrzyć moich obrazów, nawet jeśli w tym celu trzeba by wejść przez drzwi, od których dzieli go kilka metrów. (Tak mi opowiadał Banach, że na propozycję zobaczenia mego zbioru w Muzeum, Woźniakowski się aż wzdrygnął). Będąc już starcem patrzę na ten cyrk z pobłażliwością. Pamiętam (jakkż niedawno to było) gdy byłem młody i moi kumple wieszali psy na polskich kolorystach. Potem po 10 latach, moi kolejni kumple, zaczęli wieszać psy na Kantorze. Teraz ja jestem od wieszania na mnie psów, a wszyscy moi kumple z tamtych okresów zrobili się starzy, oburzają się i zapomnieli już co robili przed 40 laty. Ja byłem chyba inny. Nie czułem nigdy potrzeby walki z "betonem" i gdy w końcu sam robię za beton,

mam to wszystko w dupie. Aby kształtować opinie po swojej myśli (bo Ty należysz do ludzi którzy pragną opinie kształtować) trzeba być właścicielem sieci publikatorów lub ministrem kultury w państwie totalitarnym (co na jedno wychodzi). Inni są bez szans i to zarówno Ty jak i Jarecka. Najrozsądniejsze zdanie na ten temat powiedział bodajże Wańkowicz: "obojętnie jak piszą, dobrze czy źle byleby pisali z nazwiskiem". Pod tym względem nie mogę obecnie narzekać z tym, że piszą najczęściej nie tyle dobrze lub źle, ile najczęściej głupio i to zarówno Ci, którzy mnie akceptują jak Ci którzy mnie nie znoszą.

Trzymaj się. Zdzisław

22 sierpnia 2002

Ministrem (Pierwszym) totalitarnego kraju chętnie bym został, a to by móc wywieszać kilka tysięcy ludzi, którym życzę najgorszego, a których nigdy nie uda mi się ugryźć tak, iż umrą spokojną śmiercią nawet nie dowiedziawszy się o moim istnieniu.

Jest w tym porównaniu mnie do małego Hitlera coś słusznego. Podejrzewam, że gotowała się w nim i wypełniała go potężną energią uraza estetyczna. Jako jeden z nielicznych polityków był artystą o głębokim poczuciu piękna. Nie było to piękno, któremu sam bym uległ, ale fascynuje mnie tym, że potrafił kochać artystów (nawet, jeśli nie byli to artyści, których ja bym kochał, - choć Leni Riefenstahl była wspaniała, a Arno Breker nie był gorszym rzeźbiarzem niż na przykład Maillol, zaś sam Hitler miał u siebie jedną z wersji wyspy zmarłych Bocklina, a obraz jest przepiękny, bo mogłem go ocenić własnymi oczyma) i otaczać się nimi, kupować setki obrazów na wielu wystawach, popierać sztukę, budować gigantyczne, piękne gmachy etc. Toteż rozumiem też, że tak potrafił nienawidzić tych, którzy jego poczucia piękna nie podzielali.

Głębokie poczucie piękna daje wrażenie posiadania absolutnej prawdy. Ci, którzy jej nie podzielają, nieodparcie wydają się być kłamcami, którzy przeczą oczywistości. A więc cóż dziwnego, że ich nienawidził? I ja bym powiedział profesora Akademii Sztuk Pięknych, który nie dzieliłby moich gustów do tego stopnia, żeby mi odmówić wstępu na uczelnię.

I ja bym urządził moją wystawę sztuki zdegenerowanej, w której znalazłoby się tacy Bálka, Duchamp i jego ready made, monochromy Kleina czy główna artysty w konserwie Manzoniego oraz kilkuset innych konceptualistów, czy podobnych twórców jarmarcznych rozrywek.

Jeśli nie Ciebie bym wieształ, to przynajmniej przez Ciebie.

Zawsze byłem cholerykiem. Od najwcześniejszego dzieciństwa tupiałem nogą, a kolegów nawalałem pięściami. Lecz do dojrzałego już wieku nie przekraczało to przywoitych granic. Nikomu śmierci nie życzyłem i pamiętam nawet, iż któregoś razu zapytałem sam siebie: czy uśmierciłbym kogoś, gdybym mógł to zrobić bezkarnie? Po chwili zastanowienia nad jedynym kandydatem zrezygnowałem z wieszania.

Po czym przyszła ta cała walka o wylansowanie Ciebie na Zachodzie. I tu zacząłem żyć prawdziwym życiem i spotykać prawdziwych wrogów. Powoli się to nawarstwiało. Gdy jeszcze pisałem moją książkę, zastanawiałem się nad karą śmierci. Już jej nie potępiałem. Ale również jej nie chwaliłem. Lata mijały, a wściekłość i nienawiść rosły. Wrogów było coraz więcej, bo już nie tylko chodziło o tych, którzy śmiali mi się w nos, gdy przedstawiałem Twoje obrazy, ale doszli do nich wszyscy, którzy jeżdżą jak dzikusy na jezdni i narażają mnie na kalectwo, doszedł do tego Ariel, Sharon i kilku panów w jego stylu oraz wielu takich, którzy sami by mnie powiesili, gdyby mogli.

Tak więc, gdybym był generałem, urodził się w Chile i nazywał Pinochet, to pierwszego już dnia mojej dyktatury wysłałbym dziesięć eskadronów śmierci w teren. Tyle tylko, że nie zabijałbym tych samych, co on, ale na pewno robiłbym to z taką samą starannością.

A co do kary śmierci, to moje poglądy tak się zmieniły, iż o ile kiedyś byłem zagorzałym abolicjonistą, to dziś uważam, że w kraju o rozmiarach Francji powinno się wykonywać około 500 egzekucji rocznie na to, by radykalnie wyćpić przestępczość.

Równolegle zauważyłem, że coraz bardziej jestem wrażliwy na cierpienie zwierząt. Doszło do tego, że jeśli w telewizji zapowiada się śmierć jakiegokolwiek zwierzęcia, to natychmiast zmieniam kanał, bo nie mogę na to patrzeć.

Nie zabijam nawet much tylko je łapię i wyrzucam za okno. Jedyna śmierć, jaką zadaję to komarom, gdy mnie gryzą. Ale i tu za każdym ra-

zem mam chwilę wahania.

W sumie u Nerona czy u Hitlera fascynuje mnie to połączenie okrucieństwa w stosunku do tego, co najohydniejsze na ziemi, to znaczy do ludzi, z ich najgłębszym umiłowaniem sztuki i (u Hitlera) zwierząt.

Piotr

Środa, 22 sierpnia 2002, 23:41

Boże! Agresji w Tobie jeszcze więcej niż było w Tomku, ale gdy przeczytałem to zdanie o wieszaniu, to tak jakbym usłyszał zza grobu mego pierwородnego. Wypadałoby jednak dziękować Najwyższemu, że nie namaścił Cię na dyktatora, bo wtedy zapewne byłbym jednym z pierwszych, których byś powiesił. Opowiadał mi Ochman, że rozmawiał z wiekowym już synem polskiego profesora malarstwa na Akademii wiedeńskiej (nie pomnę nazwiska). Otóż ten profesor dwukrotnie sprzeciwił się przyjęciu studenta Schicklgrubera na Akademię, mimo iż inni członkowie komisji gotowi go byli przyjąć. Gdyby student Schicklgruber został artystą, nie wstąpiłby jako ochotnik do armii, nie napisał Mein Kampf i nie mieliśmy II wojny światowej. Oczywiście niejaki Plechanow zapewne powiedziałby, że nie mam racji, bo był zdania, że to rzeczywistość tworzy swych bohaterów, a nie oni rzeczywistość i historia zapewne pomazałaby zastępcę na miejsce Hitlera. Ciekaw jestem czy jakby artysta Bałka urodził się przed stu laty, miałby szansę dostania się na Wiedeńską akademię? Idę spać, bo zasną nad klawiaturą.

Dobranoc. Zdzisław

Piątek, 23 sierpnia 2002, 14:08

Co do zwierząt to chętnie się z Tobą zgadzam. Jako dziecko strzelałem do wron, ale teraz nie jestem w stanie zabić muchy (łapię do szklanki i wyrzucam za okno), a walcząc z Panem Mrówką czyli największym i najważniejszym Królem Mrówek Faraona na całym świecie, z trudem zmusiłem się do tego, że zabijam poszczególne sztuki, które potrafią wleźć mi wszędzie

- już nawet chleb trzymam w lodówce. Co do ludzi, to oczywiście czasami, aż palce mnie swędzą i naprawdę nie miałbym niejednokrotnie oporu, by do kogoś strzelić czy rozwalić mu leb, niejako na własny rachunek i na własne sumienie, ale mam opór przeciwko administracyjnym wyrokom i karze śmierci. Nawet lincz wydaje mi się bardziej do zaakceptowania (choć oczywiście budzi mój opór - jak w ogóle efekty zachowań tłumu), niż administracyjna kara śmierci w majestacie Prawa.

Moja ugodowość polega zapewne na braku asertywności, która u Ciebie występuje w nadmiarze. Czy ten brak asertywności należałoby wyjaśniać tchórzostwem czy też nadmierną refleksyjnością i brakiem mocnych przekonań co do własnej racji i jakiegokolwiek racji? Niejednokrotnie nad tym się zastanawiałem i bynajmniej tej cechy u siebie nie podziwiam, gdyż w jakimś stopniu krzywym zwierciadłem jest dla mnie Neville Chamberlain i traktat Monachijski. Oczywiście Ariel Sharon nie jest moim idolem, ale boję się mieszać w sprawy, które są odległe, które znam niedokładnie i których nie rozumiem, skoro nie potrafię nawet w wystarczającym stopniu ogarnąć spraw dziejących się na terenie Polski. W końcu rzeczywistość zawsze jest bardziej skomplikowana od tego, co jestem w stanie zdefiniować przy pomocy dostępnych mi środków. Co do tego, to sam zresztą słusznie zauważyłeś przed tygodniem czy dwoma, że operujemy tylko tym, co przeczytamy w gazetach i zobaczymy w TV, nie będąc w stanie zweryfikować niczego - tak więc stanowimy dogodny materiał dla wszelkiej manipulacji. Skoro nawet na temat Wilhelma Reicha istnieje ponad 150.000 dokumentów w internecie, a niektóre jak np., fotokopie przesłuchań, zajmują tysiące stron i skoro nawet w Polsce szereg meteorologów będzie poważnie rozważać jako możliwą przyczynę powodzi w Polsce w 1997 roku użycie dział organowych (Cloudbusters czyli strzelające w niebo działa, wykorzystujące energie seksualną do wywoływania chmur i deszczu) z terenu Szwajcarii lub Niemiec, to cóż mówić o tym co dzieje się niejako naprawdę? (Tu nawiasem: Ja osobiście całą istniejącą od czasów wojny sprawę Reicha, skłonny jestem uważać za typową amerykańską paranoję i zastrzegam się od razu, bo zaczniesz mnie nawracać.) Tak więc w całym szumie informacyjnym nie jestem już w stanie ani poprzeć nikogo, ani sprzeciwić się nikomu. Zbyt wiele informacji, równa się kompletnemu brakowi informacji. Sztuka w takim rozumieniu, w jakim

się nią zabawiam, stanowi dla mnie azyl, bo świat w coraz większym stopniu jest dla mnie nieprzenikniony.

Pozdrawiam. Zdzisław

Piątek, 23 sierpnia 2002, 17:06

Proponuję żebyśmy za każdym razem pisali na osobnych stronach, a nie jedno pod drugim. Zacząłem bowiem, wiedziony ukrytymi pod grubą warstwą popiołu i goryczy starymi refleksami archiwizowania naszej korespondencji, znów drukować to, co sobie piszemy. A na razie jest to zapisane tak, że nikt by nie zrozumiał, kto co pisał i kto co odpowiadał.

Nie oceniam braku asertywności w kategoriach tchórzostwa (to brzydkie) lub powątpiewania w obiektywną prawdę (to ładne, bo już Sokrates powiedział "Wiem, że nic nie wiem"). Po prostu dla przyczyn, które są dla nas absolutną tajemnicą, a które będą wyjaśniane małym dzieciom w szkole podstawowej z dokładnymi wykresami na tablicy za dwieście lat, ja jestem agresywny i asertywny, a Ty (jak twierdzisz) nie.

Te rzeczy stanowią temat rozmów wielu inteligentów, którym się zdaje, że mogą dialogiem dotrzeć do zagadki; że to są rzeczy w zasięgu naszego umysłu lub woli.

Będąc swego czasu śmiertelnie zakochanym prowadziłem dziennik i aż do mdłości analizowałem wszystkie moje reakcje. Szybko doszedłem do wniosku, że jestem źdźbłem słomy miotanym huraganem, że nic tu z woli, ani z rozumu. W takich skrajnych sytuacjach orientujemy się, do jakiego stopnia nie jesteśmy panami samych siebie, jak nad samymi sobą nie panujemy i jak minimalny jest udział naszego rozumu i naszej woli w naszym zachowaniu się.

Tak więc, sądzenie w kategoriach chwalebnych (bo wiem że nic nie wiem), czy haniebnych (jestem tchórzem bo nie mam odwagi mieć swego zdania) stało mi się obce.

Raczej do takich pytań podchodzę dziś z punktu widzenia wygody i przyjemności stwierdzając raz jeszcze, że stokroć byłbym szczęśliwszym przez całe moje życie gdybym miał Twój CHARAKTER, (bo to tak się nazywa w skrócie) lub gdybym doszedł do stanu mej obecnej, nabytej równowagi

już przed pięćdziesięciu pięciu laty (to znaczy od chwili, gdy zacząłem się ze sobą samym męczyć). Tak więc, tak jak Ty zawsze z charakteru, tak ja dzisiaj z głębokiego, nabytego, jasno uzmysłowionego egoizmu i wygody, wiele rzeczy olewam. Choć nigdy to, co wyuczone nie jest równie doskonale jak to, co wrodzone. Toteż Ty daleko lepiej sobie z tymi sprawami dajesz radę, bo "masz to we krwi" (to też taki skrót tam gdzie się nie wie) niż ja, który nabyłem to po otrzymaniu kilku uderzeń kijem po plecach i nadal nie umiem tak do końca być obojętnym, do niczego się nie wtrącać, wszystko olewać, niczym się nie irytować, za nikogo się nie bić, nie wierzyć w żadną ideologię, nigdy nie kłaść palca między drzwi... cóż za uroczy stan nieważkości! Dziś nurzam się w nim z poczuciem nabytego mistrzostwa, choć nie zawsze potrafię i wtedy zazdroszczę Tobie, który to robisz z talentem wrodzonym. O, tak to raczej dzisiaj widzę. Jeśli więc mnie nachodzi jakaś nienawiść za to, że ktoś nie lubi Twoich obrazów, to szybko zmieniam temat myśli, bo nie mam ochoty przeżywać stresów. Stałem się wygodny i wielce to sobie chwalebę.

Oczywiście gdyby się przede mną otworzyły bramy do stolicy totalitarnego raju i jak mówisz namaszczone by mnie dyktatorem, prędko bym o wygodzie, jaka płynie z obojętności zapomniał i znalazłbym lepszą metodę na sprawianie sobie przyjemności: zaspakajając najniższy i najradośniejszy instykt, jakim jest w pierwszym rządzie zabijanie ludzi.

Historia dowiodła, że ci spokojni i leniwi, ci bez opinii, bo tego się nauczyli w czasach, gdy po prostu byli bezsilni, w dzień wojny lub rewolucyjnej zawieruchy stawali się najlepszymi i najbardziej wydajnymi mordercami.

Tak, iż wtedy najprawdopodobniej wróciłaby moja naturalna asertywność i agresywność, bo ich zaspakajanie sprawiałoby mi z pewnością większą przyjemność niż wyuczona obojętność i nabyte (z bezsilności) olewanie.

Piotr

Piątek, 23 sierpnia 2002, 19:10

Drogi Piotrze,

Zabawne, bo co dopiero autoryzowałem po raz drugi wywiad (z końca

2000, roku!!!) do magazynu babskiego VIVA, gdzie coś podobnego jak Ty o Hitlerze, piszę o moim ojcu. Też nie chciano go przyjąć na studia we Lwowie, mimo iż według tego, co jeszcze leżało postrzępione na sannockim strychu, rysował w młodości na pewno lepiej ode mnie - tyle, że wyłącznie z modela.

Co do pisania oddzielnie, a najlepiej w załączniku, to poproś swego Bambo, by zechciał Ci zainstalować czcionkę polską, która powinna działać także na Outlook Express. Po pierwsze miałbym o wiele mniej roboty z pisaniem, bo robię tak nieprawdopodobną ilość błędów aliteracyjnych, że bez autokorekty w Word, nie dam sobie w ogóle rady. Nie mogę jednak przeprowadzać autokorekty pisząc bez polskich liter. Czyli muszę list napisać, skorygować, a potem przerobić polskie litery na międzynarodowe znaki. Podwójna robota. Może zresztą masz już tą czcionkę zainstalowaną, ale mimo iż kilkakrotnie Cię o to pytałem, nie uzyskałem odpowiedzi.

Maluję w tej chwili intensywnie i to niejako wbrew swej woli, bo "na zamówienie". Kierowniczka galerii obiecała, że jeśli namaluję do 5 września obraz "z architekturą" to od ręki go kupi. Przede mną sporo wydatków związanych z przebudową kawalerki, w której zostanie tylko przestrzeń zamknięta ścianami, a wszystko do jednego szczygółu (może z wyjątkiem kaloryferów) zostanie zrobione od nowa. Nawet okna i stolarka będą nowe, a także zabuduję balkon. W związku z powyższym muszę skołować sporo kasy i jeden obraz już sprzedałem. Drugi sprzedam 5 września, bo go chyba na pewno skończę w niedzielę, a trzeci jak Bóg da. Na jutro w południe umówił się ze mną właściciel jakichś wylęgarni kurcząt z Kielc. W głosie wyczułem stanowczość. Ma ślub i chce kupić obraz. Jeśli sprzedam trzy w sumie, to będę mieć już tyle, by wykonać i opłacić wszystkie roboty. Może kupi to popiersie z głową kury? W sam raz dla właściciela wylęgarni. Biednyje my ludie.

Przed południem facetka z telewizji namówiła mnie telefonicznie na rozmowę przed kamerą w sprawie wizji przyszłości. Ponieważ powiedziała, że odpowiedzi powinny być zwięzłe trzy-czterozdaniowe, poprosiłem o wcześniejsze nadesłanie pytań, które nadeszły razem z Twoim mailem. Dobry Boże! Kto jej to wymyślił? Może sama. Zatelefonowałem próbując się ex post wykręcić, ale co tylko strzelałem przez telefon jako propono-

waną odpowiedź, to wydawało jej się świetne. Boże jak rozbijając durni są ludzie (posyłam kopię byś zobaczył co to za kretynstwo - tylko jedno pytanie o gest dobrej woli pozwoli mi na odegranie się: pokaże gest Kozakiewicza). No cóż: sam tego chciałeś Grzegorz Dyndało. Muszę na przyszłość ostro odcinać podobne pomysły. Co dopiero w babskim dodatku do Gazety Wyborczej pt. WYSOKIE OBCASY, musiałem telefonicznie odpowiedzieć na 8 czy 10 pytań i oczywiście pokręcono wszystko. Z Flash Gordona zrobiono rysownika komiksów. Na całą stronę z moją fotografią, robię ze siebie idiotę. Teraz to samo będzie w TV. Nie umiem się wykręcać, a prawie codziennie ktoś coś takiego mi proponuje.

Pozdrowienia.

Zdzisław

PS:

- 1) *Dokończ zdanie: Ponieważ nigdy nie umrę to będę (robił to i to...)*
- 2) *Kto ze znanych Ci ludzi i dlaczego jest tym, który buduje dziś nasz Świat tak, jak on będzie wyglądał za 1000 lat?*
- 3) *Jaki będzie typowy Polak za 1000 lat?*
- 4) *Proszę wymienić 3 wynalazki, które zrewolucjonizują najbliższe 1000 lat?*
- 5) *Jak sądzisz, jakie są 3 najważniejsze zasady konstytucji obcej cywilizacji?*
- 6) *Co będzie powodem pierwszej kłótni z obcą cywilizacją?*
- 7) *Wyjaśnij istocie jedno płciowej, na czym polega heteroseksualna miłość.*
- 8) *Jaka będzie przyczyna wyginięcia ludzi na Ziemi?*
- 9) *Masz możliwość decydowania o ewolucji, jakie 3 cechy dodałbyś człowiekowi?*
- 10) *Prześłanie (słowne) do kosmitów.*
- 11) *Pokaż (bez słów...gestem), że jesteś przyjaźnie nastawiony i nie żywisz wrogich zamiarów w stosunku do przybysza z innego świata.*
- 12) *Objaśnij Kosmicie, na czym polega demokracja (w sensie konstrukcji władzy)*
- 13) *Objaśnij Kosmicie pojęcie Boga.*

Piątek, 23 sierpnia 2002, 20:18

Na to by pisać polską czcionką muszę poczekać na powrót Bambo. A Bambo pojechał do Afryki robić interesy. Wróci za tydzień lub wcześniej. Teraz, gdy wiem, że ta czcionka jest dla Ciebie ważna i pomaga Ci w pisaniu oszczędzając korekty, oczywiście zrobię to natychmiast, gdy Bambo się u mnie zjawi. A będzie to zaraz po jego powrocie, bo i inne problemy komputera czekają.

Jak czuje się król Midas?! Ktoś, kto ma dar za dotknięciem pędzla zamieniać rzeczy w złoto. Pomyśleć, że gdybyś nie miał wstępu do nawiązywania do dawnych inspiracji mógłbyś płodzić dziesiątki wymienialnych na złoto (doskonałych) obrazów.

Nie mam ochoty wracać do dawnych żali, ale pamiętam jak prosiłem Cię o namalowanie, choć kilku łatwo sprzedajnych obrazów tak, bym się mógł odkuć, bo byłem na samym dnie i jak uparcie mi tego odmawiałaś. A jak już w końcu to zrobiłaś to tak, żeby mi się na zawsze odechciało powracać do takich pomysłów...

Pytania, które mi zacytowałaś niestety świadczą o tym, że nadal głupi dziennikarze kojarzą Cię z science fiction, z podróżami kosmicznymi, z przyszłością za 1000 lat, (czemu nie za 10? Za dziesięć już lat może się zdarzyć tyle niesamowitych, nowych rzeczy, że na co tu sięgać do tego, co będzie za 100, a cóż dopiero za 1000? Już za głupich 70 lat ludności prawdopodobnie tak się rozmnoży, że się wydusi na małej ziemi).

Gdy wyjechaliśmy na południe, zdjąłem wszystkie Twoje obrazy i zawiozłem je na skład, bo nadal boję się, że to właśnie one byłyby ukradzione w razie rabunku.

Teraz po powrocie przywiozłem je z powrotem i dziś powiesiłem, ale w innym szyku, włączając dwa, które ostatnio nabyłem. Zmiana szyku dobrze wszystkiemu zrobiła. Wprawdzie chciałem przy tej sposobności wymienić obrazy i ze składu zabrać inne, ale jak Ci już pisałem tak pięknie opakowałem wszystko na składzie i tak to doskonale ułożyłem, że gdy zobaczyliśmy to, to zaraz Ani i mnie odeszła ochota od wypakowywania, zapakowywanie etc.

Tak więc, pozostają przy "starych" obrazach, ale w nowym szyku i z dwoma znakomitymi dodatkami.

Stapowicz nie sprzedał żadnego z tych, które mu powierzyłem, prócz jednego, na pewno najgorszego, który wziął sobie, ale nadal za niego nie płaci. Co prawda powierzyłem mu to, czego najbardziej nie lubię.

Wahl otrzymała ode mnie obrazy trochę lepsze, ale też z tych z "odszkodowania", marnych. Ona też nic ni sprzedała. Tylko Tobie jakoś idzie.

Prześlij mi fotokopię tych wywiadów, o których mówisz, choć rzeczywiście jest to od lat monotonne powtarzanie tego samego w kółko. Nie tyle powinieneś zmyślać, co raczej kpić z dziennikarzy, tak jak robił to Salvador Dali i dawać najabsurdalniejsze odpowiedzi nie znoszącym sprzeciwu, perymptoryjnym tonem. Ponieważ masz, tak jak on poczucie humoru, to mogłoby to wypalić.

Piotr

Piątek, 23 sierpnia 2002, 23:52

Odpowiadam:

Niestety jestem zbyt nieśmiały, by zabawiać się tak jak Dali. Każdy - przez całe życie, kreuje nie wiadomo po co jakiś swój wizerunek. Ja kreuję wizerunek rzetelnego, skromnego i nieśmiałego (co raczyłeś przed laty zauważyć), co jest wprawdzie maską, ale maską maskującą swoje lustrzane odbicie - tyle, że maska pozwala mi zachować poczucie, iż się ukryłem. To tak, jakby las ukryć przy pomocy lasu.

Z wywiadami coś trzeba będzie w końcu zrobić, ale nie mogę się wypiąć, bo jak wiesz podgrzewanie zupy jest warunkiem jakiego takiego powodzenia. Nie jest ono oszalamiające w porównaniu ze Stapowiczem i Wahl. Po prostu ja sprzedaję taniej. W bieżącym roku nie podniosłem ceny (ogólnopolska bryndza) i nadal wynosi ona 20.000 zł. Tak więc nie jest to jakaś olśniewająca tajemnica sukcesu, ile prosty rachunek ekonomiczny.

Co do obrazów na zamówienie, to przecież zrobiłem Ci 16 i zapewniam, że te dwa jakie odpieprzyłem teraz, są tak samo niewiele warte jak były tamte. Nie jest to i nie była wtedy kwestia złej woli, ile nieumiejętności malowania, gdy nie mam poczucia, że robię dokładnie to, co chcę i że robię to dla siebie (potem oczywiście część mogę sprzedać). Tak więc porównaniem z królem Midasem czuję się zaszczycony, ale nie zamieniam wszystkiego na złoto, a na dodatek złoto jako takie nie pociąga mnie

aż do tego stopnia, a od czasu gdy osiągnąłem wiek sędziwy i utraciłem spadkobierców, liczy się dla mnie wyłącznie w sensie psychologicznym. Mógłbym sfinansować ten remont z oszczędności, ale moja protestancka dusza cierpiałaby nad tym, iż żyję ponad stan. Jeśli nie potrafię na coś zarobić, to nie powinienem tego kupować. To nonsens, ale nie umiem nad tym zapanować.

Co do Stapowicza, to ma w stosunku do mnie rozmaite zobowiązania, ale nagle ucichł i jakby zapadł się pod ziemię, co jaskrawo kontrastuje z jego zachowaniem przed rokiem i dwoma laty, gdy po prostu było jego i jego pomysłów, nawet jak na moją odporność, za wiele. W mojej opinii ma spore kłopoty finansowe i gorączkowo usiłuje utrzymać się na powierzchni, więc w miarę możliwości nie przypominam o swoim istnieniu, bo jest to nawet dla mnie wygodne. Inaczej już by wymyślał dla mnie zajęcia np. wystawę grafiki czy coś w tym stylu.

Co do pytań, to nie tylko ja je podobno dostałem, ale cała grupa ludzi dostaje takie same pytania. Np. Ochman. To ostatnia polska (może nie tylko polska) moda na wywiady. Zadaje się 10-20 takich samych pytań 30 czy nawet 100 osobom z establishmentu artystyczno-politycznego i drukuje je lub emituje, co tydzień. Bywają pytania głupie i głupsze, a gdy się już wydaje, że głupiej nie można, to przychodzą jeszcze głupsze. Lud boży kompletnie skretyniał i żyje jakimiś Big Brotherami i temu podobnym śmieciem.

Co do warszawskiej Al Kaidy od nowoczesności, to ostatnio jeden z byłych wiceministrów od kultury celowo i uparcie zadawał mi publicznie pytania, co sądzę o sztuce, która polega na wyciąganiu przez artystkę z pochwy jakichś tam rzeczy lub obieraniu kartofli w galerii i czy uważam, że Państwo powinno za to płacić. Jego intencja była przejrzysta. Wyraźnie było widać, że moja odpowiedź publiczna, na którą mógłby się powołać, była mu do czegoś potrzebna, tym niemniej wywinąłem się jak piskorz. Nie kocham warszawskiej Al Kaidy, ale wiem, że w Polsce obecnie WSZYSTKO jest rozgrywką personalną i naprawdę nie będę pomagać sekcje A przeciw sekcje B. Uderzyłem w tony ewangeliczno ekumeniczne, oraz połałem wszystko sosem liberalizmu i życzliwości dla braci odłączonych, chociaż oni bynajmniej dla mnie życzliwi nie są. Taki zresztą naprawdę jestem i nie była to gra, tym niemniej nosiło to charakter pewnej

manipulacji dyplomatycznej. Taki sam tekst wygłosiłem teraz do jakiegoś programu młodzieżowego. Co do pieniędzy państwowych to zawsze uważałem, że Państwo nie powinno finansować sztuki, a tylko nie powinno przeszkadzać, tym niemniej nawet tego powiedzieć nie mogłem, bo bardzo łatwo byłoby wytoczyć przeciw mnie argument, że oto Beksiński się urządził, to gra rolę świętego, ale co mają robić inni. Taki byłem zawsze, ale kto by w to uwierzył. Tak więc nie powiedziałem tego co myślę i na tym polegał ten aspekt dyplomatyczny.

Boże. Znowu chce mi się spać. Starość nie radość. Jutro od rana muszę malować, bo mam czas tylko do 12. Potem przyjedzie właściciel wylęgarni. No więc muszę się wyspać, by być trzeźwym.

Zdzisław

Sobota, 24 sierpnia 2002, 14:38

Drogi Piotrze,

Zrobiłem na próbę to, o co prosiłeś, czyli skanowanie ostatniego większego wywiadu z pisma PRZEGLĄD, ale z tym jest kupa roboty i jeszcze nie wiem jaki uzyskamy efekt. Gdyby nie dało się tego otworzyć w Outlooku, lub udało się tylko częściowo i zamiast plików pojawiłyby się kwadraciki z czerwonym krzyżykiem, to musisz to otworzyć jakimś programem graficznym i dobrać skalę, w której druk będzie czytelny. Przy Twoich trudnościach z komputerem myślę, że najlepszym rozwiązaniem byłoby gdybym kupował zawsze dwa numery i jeden odkładał dla Ciebie z tym, że ja nie dostaję wszystkiego i zawsze. Czasem ktoś znajomy coś znajduje i mi po miesiącu przynosi. Najlepszym rozwiązaniem, które stosuje Ochman, to prenumerata wycinków z określonym nazwiskiem. Są podobno takie instytucje w Warszawie, które to robią. Jak Ochman wróci z Hiszpanii, mogę go spytać jak to się robi. Poza tym każda polska gazeta ma swoją wersję internetową. Czasem bez fotografii, ale tekst się w większości wy-padków zgadza.

Facet od kurczaków zarezerwował dla siebie obraz z postacią leżącą, a nie z kurą. Sfinalizujemy transakcję w terminie 2-tygodniowym. Wracam do malowania architektury.

Pozdrowienia. Zdzisław

Sobota, 24 sierpnia 2002, 15:03

Ania zgodziła się na wyjazd. Tak, iż przyjedziemy we wtorek, 3 września, a wyjedziemy w niedzielę 8-go, co pozwoli nam zobaczyć wystawę, Ciebie i jeszcze kilku znajomych oraz poszwędać się po Warszawie w (mam nadzieję) pogodne dni. Co oboje bardzo lubimy.

W pierwszym odruchu chciałem wziąć ze sobą Twój obraz ze skałą, by go w Polsce opchnąć. Ale w oczekiwaniu na wyjazd nie zaniósłem go do składu, a zawiesiłem nad biurkiem pośród 8-miu innych. I tak znakomicie zagrał, że ochota na sprzedanie go ulotniła się. Tak więc, do Polski go nie zabiorę.

Od czasu, gdy nie wymaga się od Polaków wiz wjazdowych do Francji jest ich tu więcej i w związku z tym więcej jest wypadków drogowych, którym ulegają. A ja specjalizuję się w tych sprawach i współpracuję z polskimi konsulatami, które nasylają mi klientów. Tak więc, moja sytuacja finansowa jest dobra i nie muszę jej reperować sprzedawaniem Twoich obrazów. Toteż nie martwi mnie nadmiernie brak sprzedaży u Stapowicza i u Wahl. Marzą mi się jednak Japończycy nie tyle na to, żeby znów zarobić milion dolarów, ile na to by pozbyć się 50-ciu marnych obrazów z "odszkodowania". Ale taki cud zdarza się raz i już podobnych naiwniaków, którzy by hurtem zabrali wszystkie Twoje knoty, nie znajdę za mego istnienia. A i w Polsce za mego życia chyba nie uda się ich upchnąć, bo jest ich po prostu za dużo jak na obecną, słabą sytuację ekonomiczną rodaków.

Chyba żebyś umarł. Może wtedy ceny wzrosłyby i nawet knoty udałoby się sprzedać. A propos, jak zdrowie?

Piotr

Sobota, 24 sierpnia 2002, 15:58

Drogi Piotrze,

Haha. Nie jestem pewien czy moja śmierć podbije ceny. Efekt może być nawet przeciwny, bo żyję jak na artystę trochę za długo. Ale oczywiście nie znacie dnia ni godziny, a Józef Stalin miał tylko o parę miesięcy więcej niż ja teraz, gdy przekreślił się na swojej daczce. Jak nagle zacznie mi brakować oddechu, zaraz Cię zawiadomię, byś wstrzymał sprzedaż, bo Koniec się zbliża. Jednak jeżeli nawet moje ceny wzrosną, to dopiero wtedy, gdy ani ja ani Ty nie będziemy z tego mieli korzyści. O ile oczywiście malarstwo i kolekcjonerstwo przetrwa przez najbliższe 50 lat.

Sam sobie jesteś winien z tymi "knotami". Ja nie naciskałem byś brał wszystko, a w sytuacji jaka wtedy była w Polsce, na pewno bym te knoty upchnął, a na dodatek nie zarobiłbym na miano sknery, który dla "ciężkiej forsy" z Paryża, lekceważył PT Rodaków. Poza tym straciłbym szansę na zerwanie umowy, bo tylko dlatego na to poszedłem, że nie musiałem odpracowywać odszkodowania w nadchodzącej przyszłości, lecz miałem je już namalowane. To był chyba najpoważniejszy argument za. Nie cierpię zobowiązań "na przyszłość" i myśl, że musiałbym odpierdalać przez dwa lata odszkodowanie była czymś czego bym nie wytrzymał psychicznie.

Kończę już pieprzoną architekturę. Bardzo często w mych obrazach występują jakieś stereotypowe chwytły (występowały w końcu i u Bacha i u Mahlera), ale gdy muszę namalować coś na siłę, to posługuję się nie tylko tymi chwytami, ale gotowymi kliszami i to jest kurewsko męczące. Obym to już miał za sobą.

Od poniedziałku Pan Krzysztof zabiera się za przerabianie dostępu do moich sztalug. Cukierkowa robota, ale nie jestem już w stanie w moim wieku stać przez cały czas przy pracy i muszę mieć inny dostęp, tak by móc okresowo siadać. Pozdrawiam. Miło będzie Was zobaczyć.

Zdzisław

Sobota, 24 sierpnia 2002, 18:23

Wywiad przeszedł, ale pocięty, tak, iż tylko fragmenty można odczytać. Reprodukcje natomiast są dobrze wykadrowane przez moją drukarkę. Boże, jak ta ... z Gazety wyborczej mogła mówić o landrynkowych kolorach i pajęczynach? Ta ... rzeczywiście nie widziała nic poza moim albu-

mem, który reprodukuje Twoje prace do 85 roku. To, że zupełnie zmieniłeś styl jest nieznanne Polakom, bo prócz tego, że to takie niedouczone ... uświadamiają publiczność, to publiczność też zna Cię tylko z dawnej wystawy u Boguckiego, później z kilku u Wahl i z moich w 95 chyba roku, które powędrowały po Warszawie, Krakowie, Katowicach, Łodzi i Gdańsku. W każdym z tych wypadków były to rzeczywiście obrazy z "dawnej" epoki.

Ale też wina w tym Twoja, bo nie znalazłeś sobie na Polskę drugiego Dmochowskiego, który by ganiał za Twoimi interesami i wystawiał Twoje nowe obrazy. Poza tym wszystko zaprzepaściłeś oddając nowe, najlepsze obrazy do dziury za górnym Kłajem pod nazwą Sanok, do której żaden leniwy krytyk w stylu tej ... się nie uda.

Powiadam jeszcze raz: pozostaw w depozycie obrazy w różnych muzeach. Tak zrobił Wróblewski. Teraz, gdy już sława jego jest zapewniona na wieki, jego spadkobiercy odbierają jego rozstrzelania i kierowców autobusu z muzealnych depozytów i doskonale je sprzedają. Jeśli więc nie chcesz dawać obrazów muzeom, a przeznaczasz je dla konkretnej osoby, która ma z nich żyć za pięćdziesiąt lat, to zrób tak samo jak Wróblewski. Albo po prostu daj kilkanaście najlepszych prac do kilku najważniejszych muzeów narodowych.

Odpowiedź "nie chce mi się", "olewam" lub inna w tym stylu niczego nie załatwia. Bo tak naprawdę to Ty niczego nie olewasz i o swoją sławę dbasz bardzo szczegółowo, tyle tylko, że w Twoim, swoistym stylu.

Ja nawet gdybym dał (a w końcu na tym się skończy, bo co ja z tym wszystkim zrobię?) to dam tylko to co mam, a więc prace dawne, te o których ... piszą horrory.

Obrazy te uważam za arcydzieła i kocham je jak własne zaadoptowane dzieci, ale rzeczywiście w tych "dawnych" pracach można się upatrzeć szkieletów, pajęczyn i ostrych kolorów.

Oczywiście odpowiesz, że takim ... i tak się niczego nie wytłumaczy, bo mają koltun zamiast rozumu i nawet gdybyś im sto razy udowadniał, że dziś malujesz zupełnie inaczej, to i tak znalazły by kij by Cię walnąć od tyłu.

Niemniej, o ile nie chcesz ani dawać na własność ani w depozyt muzeom swoich nowych prac, to powinieneś choć urządzić ich wielką wystawę

w Warszawie. I to nie w małej galerijce u Wahl, ale w dużym pomieszczeniu w centrum miasta. Ludzie w masie, a nie tylko indywidualnie ten czy tamten z nich, muszą wiedzieć, że ewoluujesz i że nie zadowolasz się dawnymi uznanymi już i dawno docenionymi pracami, które powielasz. A dopóki wielkiej wystawy "NOWEGO BEKSIŃSKIEGO" nie będzie w Warszawie, w godnym tego miejscu, dopóty takim ... nikt nie będzie mógł zamknąć mordy, bo nie będzie miał argumentów, którymi mógłby się posłużyć.

Piotr

Sobota, 24 sierpnia 2002, 19:59

Drogi Piotrze,

Rozumiem z tego, że na monitorze były tylko paski, ale drukarka wydrukowała? Outlook ma to do siebie, że czasem plik wydaje mu się za wielki i wtedy wyświetla go w paskach albo też daje taki maleńki kwadracik z krzyżykiem, co jednak ani w jednym, ani w drugim wypadku nie oznacza że plik nie doszedł i ja np., z reguły otwieram takie pliki Photoshopen, ale Ty nie używasz programów graficznych.

Ta pani może być całkiem miła, a tylko mnie nie lubi, a Ty zaraz co drugie słowo piszesz o niej "...". Fe! Ja wcale nie mam się w Polsce źle i zawsze tak jest, że jak jedni lubią, to inni nie lubią. Wszak mamy nareszcie wolność słowa. Jakbyś poczytał jak o mnie pisują niektórzy młodzi krytycy, to dopiero byś się wkurzył. Bo Jarecka zdaje się (nie znam jej) już nie jest do końca młodym krytykiem, jako iż obrosła w piórka, pisuje w Gazecie, pisuje korespondencje zagraniczne, więc "prawdziwi" Hunwejbini niedługo i jej dokopią tak jak np. dokopują Abakanowicz nie nazywanej przez nich inaczej jak Magdalena Naftalina Abakanowicz. Ja o dziwo nie mam przezwiska, ale Zachęta nazywa się u nich Zniechęta, zaś Zamek Ujazdowski występuję jako "Zuj w Zuju, Zuja warte" i tak dalej. Bywa to nawet dowcipne. Ja, w słowniku opublikowanym w internecie, chyba przez Dariusza Gorzycę (acz za to nie ręczę), występuję jako przedstawiciel ArtePoło (aluzja do DiscoPoło takiego ludowego hip-hop) i piszą tam o mnie - poczekał najlepiej zacytować:

Do największych rekinów ARTE POLO należą tacy potentaci jak (...) Zdzisław Beksiński, których działalność w zasadzie nie daje się opisywać terminem sztuka.(...) Beksiński - zainspirowany zachodnimi okładkami książek science-fiction - mozolnie, z dbałością o iluzję, maluje infantylne wizje zjawisk nadprzyrodzonych, fantastycznych ruin, potworów. Jego ambicją jest dostarczenie widzowi emocji pokrewnych tym, jakich doznaje się oglądając kasety video z amerykańskimi horrorami.

To są jeszcze bardzo łagodne sformułowania, bo tu i tam trafiałem na bardziej radykalne. Boże mój. Nie można zabronić ludziom by opiniowali to, z czym obcują. Tak samo wielu posiadam klakierów, albo nawet o wiele więcej. Jestem wprawdzie gatunkiem na wymarcie, bo mam 73 lata, ale bynajmniej nie jestem gatunkiem pod ścisłą ochroną i nawet takim bym być nie chciał. To normalka. Tak samo jest zapewne i w USA i we Francji. Nie żywię specjalnej sympatii dla ludzi posiadających "jasne poglądy", bo sam raczej mam "mroczne wątpliwości", poza tym nie potrafię uciec od pewnej perwersyjnej przyjemności, jakiej doznawał już chyba Hrabia de la Rochefoucauld (mam nadzieję, że nie przekreśliłem), który w jednym ze swych aforyzmów napisał coś takiego (może przekreślę, bo cytuję z pamięci) "Uchodźć za durnia w opinii idioty - to przysmak dla znawców". Nie uważam ich oczywiście za idiotów, ale to co oferują artyści, których oni jako krytycy popierają, jest straszliwie przeciętne, nawet nie jest wyraźnie złe, jest raczej nijakie i oni jako krytycy zapewne doskonale to widzą. Tylko o czym tu pisać na warszawskim bruku.

Pozdrawiam. Zdzisław

Sobota, 24 sierpnia 2002, 22:24

Na Boga Piotrze!

Uspokój się z wystawami. Po mojej wystawie w Warszawie nikt by o mnie nie zmienił zdania. Dla pewnej grupy ludzi jestem jak pryszcz na dupie i nie zmienią zdania, bo to kwestia ideologii, chyba żeby Centrum Pompidou wydało okólnik i uznało mnie za nowo odkrytego świętego, ale na to na pewno się nie zanosz. Nie wyczuwasz także stosunków polskich i tego co by było, gdybym zrobił wystawę w Muzeum Archidiecezji. Ko-

ściół w Polsce jest NIE LUBIANY! To, że miliony gapią się na Papieża, to, że Świat uważa nas za katolickich Talibów, to wszystko jest pozór, którego z perspektywy Paryża nie wyczuwasz. Boże: w koszmarnym śnie nie chciałbym wystawić w Muzeum Archidiecezji. Kreuję jakiś swój wizerunek, taki jaki chciałbym mieć, ale błagam: nie pomagaj mi, bo nie czujesz bluesa. Ja nie narzekam. To prawda, że mam 73 lata i mam za co żyć, bo nie mam wielkich wymagań i naprawdę to wszystko pierdołę. Chyba mi wolno? Lud boży chwali mnie dokładnie za to, co robiłem przed laty i co zniechęciło do mnie młodych krytyków, ale akceptuje także moje obecne malarstwo ze względu na dawne zasługi i nazwisko. Młodzi krytycy nie cierpią tego, co robiłem przed laty i ta niechęć przenosi się także na wszystko co zrobię, nawet gdybym zajął się body-artem, bo przy nazwisku mam ptaszka. Nikogo już nie obchodzą moje obrazy! Ani tych z lewej, ani tych z prawej. Niektórych obchodzi podpis. Robię za pewien symbol i czuję się z tym już jak Marylin Monroe, bo nie tak sobie to w młodości wyobrażałem. Dobry Boże: występuję już jako idol nawet w BLOGACH pisanych przez czternastolatki! Najchętniej bym włożył pod stół, aby mi wszyscy dali spokój. Tak więc błagam: USPOKÓJ SIĘ!!!!!! Nie pomagaj! (Nie pomożecie? Nie pomożemy). Cisza. Sza. Dziadek nie chce jeszcze umrzeć! Stary niedźwiedź mocno śpi!

Pozdrowienia. Zdzisław

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 12:10

Potwierdza się dawno już przeze mnie zauważona różnica w strategiach, jakim hołdujemy Ty i ja. Ty preferujesz drobne kroczki, małe uniki, taktyczne alianse, posuwanie się powolutku, macając stopą grunt czy pewny. Ja zawsze woląłem walić od razu, szybko, z grubej rury, prosto do celu: robić wystawy i reportaże telewizyjne z tych wystaw, publikować książki, a nawet walnąć krótkometrażowy film. Muszę przyznać, że, jak na razie, Ty lepiej sobie dałeś radę niż ja. Czy dzięki innej metodzie? Nie wiem. Oczywiście, jeśli nie życycie sobie pomocy, to nie pomożemy. Zresztą tym chętniej, że, jak Ci to już napisałem, przyrzekłem sobie więcej nie inwestować ani pracy, ani pieniędzy w Twoją chwałę. Wolę dziś za tą forszę

kupić sobie jakiś Twój obraz i sam się nim cieszyć.

Tak więc, projekt wystawy "NOWY BEKSIŃSKI" zostaje dziś, zaraz po powstaniu, oficjalnie pogrzebany.

Piotr

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 13:49

Dokładnie tak. Mam naturę kunktatora. Co więcej: nie lubię być zauważany. Dlatego - między innymi, uciekłem z Sanoka. Strasznie trudno przychodzi mi odmawianie, tym niemniej odmówiłem dziś ex post owej pannie z telewizji, bo czułbym się jak idiota odpowiadając na dumnowate pytania, które Ci posłałem. Odpowiedziałem kłaniając się i przepraszając jak chiński służący w Japonii, ale mam to z głowy... Zresztą załączę Ci co i jak napisałem. Ty byś walnął z grubej rury, że na durne pytania nie odpowiadasz. Ja musiałem posmarować wszystko miodem, ale wyszło na to samo.

Pozdrowienia. Zdzisław

Tekst odpowiedzi dla pani z telewizora:

Pani Anno,

Proszę najpokorniej o wybaczenie, ale nie dam rady!!! Zastanowiłem się nad tymi pytaniami, ale ja nie potrafię na nie odpowiedzieć, a co więcej nie chcę (!!!) odpowiadać przed kamerą, bo będę się czuł jak idiota! Nie czuję bluesa, jeśli idzie o taki typ zabawy. Gdy Pani dzwoniła, wyobrażałem sobie, że to będą jakieś pytania problematyczne, ale odpowiedzieć szybko i zwięźle na coś, co jest niewłaściwie sformułowane, nie potrafię. Kwestionariusz zawiera prawie wyłącznie takie pytania. Miałem przez dwa dni sporo innej roboty, ale dziś siadłem, pomyślałem i zobaczyłem, że nic z tego nie będzie. To tak jak z pytaniami w ankiecie, które zakładają czasami oczywistość czegoś, co oczywiście wcale nie jest np: czy wychodząc w poniedziałek, ubierasz sandały zielone czy żółte. Trzeba wtedy wyjaśniać, że nie posiadam ani zielonych ani żółtych sandałów lecz czarne, że nie widzę związku ich koloru z poniedziałkiem, że noszę je tylko po domu, a nigdy w nich nie wychodzę i tak dalej. Masz możliwość decydowania o ewolucji. Nie można

"decydować" o ewolucji, bo to sprzeczność w samym założeniu. Pokaż gest... Słowo daję, tylko gest Kozakiewicza przyszedł mi do głowy. Objasnij kosmicie na czym polega demokracja. Ponad moje siły. Potrzebny jest wybitniejszy umysł. Może Lepper? Objasnij pojęcie Boga. Sam sobie nie potrafię objaśnić, nawet taki profesjonalista jak Wojtyła mówi o tajemnicy, a ja mam to objaśniać jakiemuś jednopłciowemu kosmicie na 40 nogach. Co to w ogóle są kosmici? Jeśli już musimy wchodzić na ten teren, tak jakby istnienie jakichś kosmitów było oczywistością, a jedynym problemem był *savoir-vivre* - to owi kosmici mogą być nie zintegrowani w jedno ciało i każdy może się składać np. z miliarda nie zintegrowanych przestrzennie elementów. Jak mrówki. Trzy zasady konstytucji. Obca cywilizacja wcale nie musi posiadać konstytucji. Wystarczyłaby struktura. Trzeba by najpierw przez pół godziny definiować pojęcie tej cywilizacji. Przesłanie słowne. To z serialu dla młodzieży. Zawsze tam w kosmosie wisi jakaś kosmiczna inteligencja i mówi po angielsku. O Pani - odsuń ode mnie ten kielich goryczy! Zbyt pochopnie się zgodziłem, ale jeszcze jest czas, by się wywinąć. Ohne mich! Proszę raz jeszcze o wybaczenie. Nie dzwonię, bo Pani numer skasował mi się już z komórki, ale mogę mailować. Co złego to nie ja.
Pięknie pozdrawiam Beksiński.

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 15:51

Ten Twój liścik do pani Ani to wcale taki miodowy nie jest. Prócz pięknego klaniania się jest tam sporo kpiny, a nawet szyderstwa. Sam próbowałem kiedyś zadać Ci kilka takich pytań (pamiętam, że leżałeś wtedy po jakimś ataku). Gdy dotarłem do pytania jak widzisz (mówiliśmy sobie jeszcze per pan) połączenie potęgi państwa ze sławą jego sztuki poczułem, że zaczynam zyskiwać sobie w Tobie wroga i że zaraz wybuchniesz. Tak, iż to, co piszesz pani Ani nie dziwi mnie. Co nie przeszkadza, że nadal uważam, że zadawanie takich ogólnych pytań ma sens, pod warunkiem, że pytania są przemyślane. Te o stworach z zaświatów nie wszystkie mi się wydają sensowne. Niemniej chętnie zapytałbym Cię, tak jak kilku jeszcze ludzi, co myślą o Bogu czy o demokracji.
Piotr

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 16:59

To ciekawe, co piszesz. Gdy w trakcie trwania studiów nader często oblewałem egzaminy, do których, jako lepszy w konkretnej materii, pomagałem się przygotowywać kolegom, po czym oni zdawali, a ja musiałem przyjść do poprawki i mój nieżyjący już kumpel tłumaczył mi, że mam nader irytujący sposób ironizowania i irytuję tym egzaminatorów. To całkowicie nieuświadomione zachowanie. Byłem głęboko przekonany, że już grzeczniej nie można, a Ty mi uświadamiasz, że pani Anna Chunowska mogła się poczuć dotknięta. Nie zwróciłbym na to jeszcze uwagi, ale dokładnie to samo powiedział mi przed pół godziną Hoser, gdy przeczytałem mu rzecz przez telefon. Czytałem mu dlatego, że przedwczoraj dzwoniłem do niego w tej sprawie, gdyż czasem nie mam się kogo poradzić (dawniej radziłem się Zosi i Tomka), a formuła tej audycji wydała mi się odstraszająca. Wysłałem ją między innymi Tobie, ale Ty napisałeś tylko o sci-fi, z którym mnie kojarzą. Gdy zadzwoniłem do Hosera, on akurat wracał z urlopu, w samochodzie z otwartym oknem i nie dało się porozmawiać, bo obaj się nie słyszeliśmy. Potem o sprawie zapomniałem, a dziś zadzwoniłem do niego powtórnie, a on poradził mi stanowczo, bym się wykręcił, bo tu chodzi tylko o podpieranie się moim nazwiskiem i odpowiadając na takie bzdury wyjdę na idiotę. Tak więc potem po wykręceniu się przeczytałem mu mój mail, a Tobie wysłałem i obaj odnieśliście to samo wrażenie. Jednym słowem Mea culpa. Czy więc powszechne wrażenie, że maluję szkielety i chcę ludzi straszyć, nie jest również czymś usprawiedliwionym, a z mej strony jest to nieuświadomione? Bo to nie jest moim zamiarem!!! To tak jakby mi z gęby śmierdziało. Cecha niezawiniona. Odpieprzyłem, nareszcie ten knot z architekturą. Jest jeszcze jedna przyczyna dla której nienawidzę malować na zamówienie. Jakoś sobie jej nie uświadamiałem do tej pory. Jest to męka patrzenia cudzymi oczyma. Gdy sam jestem adresatem swego malowania, to wiem, co mi się podoba, a co nie, zaś problem jest tylko w tym, jak do tego dojść. Gdy maluję dla kogoś, jak w tej chwili dla Dziopak, to nieustannie patrzę na to jej oczyma i myślę czego oczekuje i czy nie zawiodę jej oczekiwań. A czy spodoba się jej taki monochrom? Czy nie zrobić góry na czerwono? Czy nie będzie uważała, że wieńczące grę kształty to flaki albo węże? Może je tro-

chę przyslonić? Gdybym malował dla siebie nie miałbym żadnych tego typu hamulców, a tu jest, tak jakbym nieustannie musiał wstrzymywać orgazm. Koszmar, ale mam to już z głowy. Nigdy więcej. Nie umiem w ten sposób. To mnie zabija. Cześć. Zdzisław

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 19:25

Nie zwróciłbyś na to uwagi, bo po prostu w ogóle nie zwracasz uwagi na to, co piszę i mówię. Trzeba Ci potwierdzenia ze strony trzeciej osoby, żeby sobie zdać sprawę, że ktoś ma rację. Co jest objawem dość prymitywnej umysłowości, dla której rację ma liczba. Dla takich jak Ty osób, czym więcej ludzi powie to samo, tym większa jest pewność, że mówią prawdę.

Przypomnę Ci lekcję, jaką dawał mi ojciec, gdy byłem jeszcze małym chłopcem: tak zwany inteligentny umysł stroni od masy i od jej świadectwa o prawdzie, a nawet wręcz się jej wystrzega. Na dowód cytował mi jakiś fragment Biblii, w którym figuruje ponoć maksyma o ile pomnę brzmiąca w ten sposób: "Jeśli jeden Ci mówi, że nie masz racji, to może rzeczywiście jej nie masz. Jeżeli dwóch Ci mówi, że nie masz racji, to prawdopodobnie jej nie masz. Ale jeśli wszyscy Ci mówią, że się mylisz, śpij spokojnie. Na pewno masz rację."

Nic mnie tak nie irytowało jak ludzie, którzy nie zwracają uwagi na to, co mówi im jednostka nawet, jeśli mówi rzeczy sensowne, natomiast jak barany pędzą tam, gdzie pędzi tłum.

Gdybyś dwa razy przeczytał Twój liścik do pani Anny i pomedytował, jaki może na niej wyrzucić efekt, odwoływanie się do inteligencji Leppera to moja uwaga o tym, że jesteś szydery i że z pewnością ją obrazisz, tak jak mnie wielokrotnie obrażałeś w prasie, od razu by Cię zastanowiła. I to bez potrzeby potwierdzenia ze strony żadnego Hosera czy Mosera.

Jeśli nie zwróciłbyś uwagi na to, co pisałem, to po co w ogóle ze sobą korespondujemy?

Piotr

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 20:54

Może jestem rzeczywiście umysłem prymitywnym, bo nawet ksiądz w szkole powiedział, że jestem tępy, ale sąd jednej osoby może być skążony subiektywizmem - tak więc jeżeli ten sam sąd wyrażą inni, zmniejsza się współczynnik potencjalnego subiektywizmu. Tłum czyli wszyscy, to zupełnie coś innego. Twój ojciec cytował Talmud. Co mogę więcej napisać? Pax Vobiscum

Zdzisław

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 22:37

To co? W końcu wysłałeś ten list do pani Anny, czy wstrzymałeś się? Jeśli chcesz, żeby Cię na zawsze niemile wspominała, to wyślij. Odniesie to taki sam efekt, jak Twoje sztydzenie przed prasą z moich pomysłów mobilizowania Polańskiego i Wajdy. Wtedy też nie zdawałeś sobie sprawy, jak mnie to ubodzie w obliczu trzynastu lat walki o Ciebie i tysięcy upokorzeń, jakich musiałem doznać. Ale czy moje protesty nie nauczyły Cię, że ośmieszanie ludzi ich obraża? Pisałeś mi kiedyś, że to ja obrażam ludzi, a nie Ty. Wyraźnie widzisz źdźbło w moim oku, a nie widzisz belki we własnym (żeby znów zacytować któreś ze Świętych Pism). Ale rzeczywiście *Pax vobiscum* (jeśli się to tak pisze...).

Piotr

Niedziela, 25 sierpnia 2002, 23:47

Oczywiście, że list wysłałem, zanim jeszcze wysłałem Ci kopię. Teraz już w ogóle nic nie rozumiem, ale zaczynam się domyślać, że to jakaś Twoja znajoma. Chyba w kolejnym liście podałem Ci jej nazwisko. Przykro mi, ale to akurat w ogóle nie wpadło mi do głowy.

Zdzisław

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 10:37

Gdyby ta pani była moją znajomą, to po prostu bym Ci to powiedział. O ile Ty rozwiązujesz węzeł gordyjski powolutku, cierpliwie, gmatwając, odkręcając, ukrywając, podstawiając, intrygując, przemilczając, podejrzewając, uprzedzając, o tyle ja go po prostu przecinam.

Do głowy by mi nie przyszło ukryć taki element naszej rozmowy i bronić kogoś z ukrycia tak, byś się nie zorientował, że mam w tym jakiś osobisty interes, a żeby wyszło na obronę zasady.

Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 13:04

Dzięki za informacje. Jestem jaki jestem i wiem, że mam skłonności paranoiczne. Przez całą noc się denerwowałem, że mimo woli obraziłem czymś Twoją znajomą. Oczywiście "obraziłem", ale nie chciałem obrazić. W moim odczuciu nic się nie zmieniło w mojej ocenie tego listu. Chciałem napisać list sympatyczny, który osłodziłby stylem gorycz zerwania i jestem nadal przekonany, że zrobiłem to najlepiej jak potrafię. Gdybym tak nie sądził, nie wysłałbym Tobie kopii, którą chciałem się pochwalić jaki to dyplomatyczny być potrafię. Przyjmuję teraz z bólem do wiadomości, że inni mogą to odebrać inaczej, ale nie było to moją intencją. Musiałem zastosować armaty, ale chciałem je ukryć w rżach i lepiej tego zrobić nie potrafiłbym. Gdybym nie opisał przykładami, dlaczego pytania są dla mnie nie do przyjęcia, nastąpiłyby telefoniczne targi i przekonanie, po czym najprawdopodobniej - jako człowiek mało asertywny, uległbym.

Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 14:00

O Twoich paranoicznych, bezsennych nocach, w których podejrzewasz wszystkich o najgorsze, bo masz dowody, możesz wykazać czarno na bia-

lym, zresztą wszyscy to wiedzą, a Ty się nie mylisz, nawet Ci to dwukrotnie doniesiono, a to już pewność... to wiem dobrze od czasu gdyś mi walnął list zapowiadający, że po takiej bezsennej nocy, w której wszystko sobie dobrze przemyślałeś, a teraz jesteś już pewien, i że w ogóle, na zawsze, już nigdy, niech sobie nie myślę, nie sprzedasz mi obrazu, bo wszystko chcę spalić, o! przecież Lonty też tak powiedział. Tak, tak. To znam.

Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 14:59

Mam nadzieję, że daje się zauważyć fakt, iż nie szukam konfliktu, tylko chciałbym nareszcie uzyskać stan Make Love no War i gotów jestem łagodnie traktować, nawet niezbyt łagodne, uwagi na mój temat. Bierze się to z mojej wrodzonej niechęci do konfliktu w ogólności, w tym także konfliktu z Tobą. Poza tym nie mam żadnego ukrytego interesu. Ponieważ jak zapewne wiesz nie stanowisz ideału i Twoje listy też zapewne nie zawsze odczytywane bywają przeze mnie, zgodnie z Twoją intencją i niezwykle często mnie wkurwiają (przyjmij tą uwagę i nie weryfikuj jej u innych, zgodnie z przytoczoną przez siebie zasadą), ale teraz staram się sobie tłumaczyć: to nie było jego intencją. Taki ma po prostu styl. Chciałbym byś zastosował tę zasadę także do mnie. Nie chcę (i to od lat) wchodzić ponownie w konflikt. Chciałbym żyć w zgodzie.

U mnie od rana robota i rujnacja. Pan Krzysztof poszerza dojscie do moich sztalug (ja już jestem za stary na taką robotę), co wymaga rzeźbienia w meblach i nie przecięcia przy tym dziesiątków kabli, które tamtędy przechodzą. Wysyłam zdjęcia*.

*Zdjęcia do zobaczenia na stronie XXX

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 17:47

Bardziej mnie zainteresuje zdjęcie obrazu architektury, który zrobiłeś dla Dziopakowej, niż zdjęcie sztalug.

Po francusku jest powiedzenie "Il n'y a que la verite qui blesse". Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 17:53

Trudno jest walczyć na dwa fronty: bo tu w domu awantura od żony, że na Ciebie napadam. A ja po prostu odpowiadam na Twój list, w którym sam przyznajesz, że masz paranoiczne strachy, a ja byłem tego jedną z ofiar i dowodem. Nic więcej. Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 17:42

Drogi Piotrze,

Od wczoraj gryzłem się tym, że uraziłem bogu ducha winną dziennikarkę (jestem bardzo niepewnym siebie facetem), że muszę bardziej się kontrolować, a najlepiej weryfikować u kogoś moje teksty (za swego życia, prawie zawsze robiła mi to Zosia), a tymczasem dzwoni przed chwilą ta dziennikarka i wcale nie jest obrażona, sprawia nawet wrażenie, że mój mail bardzo ją ujął, dziękuje że ją uprzedziłem i że wprawdzie żałuje, ale mnie rozumie i ma nadzieję, że kiedyś jeszcze będziemy mogli porozmawiać o sztuce, bo chciałaby mnie poznać etc. Kamień spadł mi serca. Może więc nie jest ze mną aż tak źle, jak myślisz. Naprawdę nie mam nigdy intencji, by kogoś dotknąć. To ostatnia rzecz jaka by mi przeszła przez głowę. Raczej lubię, gdy wszyscy się kochają. Takie poczucie jest mi cholernie potrzebne, bo wtedy czuję jakąś taką lekkość i ulgę. To naiwne, ale tak jest. No fajnie, że tak to się skończyło, bo od wczoraj się gryzłem. Cześć. Zdzisław

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 18:19

Prowadząc dziś samochód pogrążony w rozmyślaniach nagle doznałem olśnienia: "a jeśli ta pani Anna jest osobą trzeźwą i sama uważa, że te pytania są (w części) absurdalne? To jeszcze napisze przyjazny list do Zdzisia i wyjdę na durnia."

A tu wracam do domu i bach, Twój mail. I po co tu dawać przyjaciółom radę? Żeby wyjść na półgłówka?

Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 18:38

Drogi Piotrze,

To nie jest obraz, którym bym chciał się pochwalić, ale oczywiście skoro chcesz zobaczyć, to wysyłam. Zdjęcie jest bardzo kiepskie, bo zrobiłem je z ręki cyfrowym aparatem*. Na razie!

Zdzisław

* Zdjęcie do zobaczenia na stronie XXX

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 18:56

Już raz się nadziałem na kontrę, to drugi będę ostrożny. Ale tak jak obawiałem się, że ta dziennikarka może się obrazić za Twój list (a wcale się, jak mówisz, nie obraziła, bo zdaje się mieć trochę oleju w głowie), tak obawiam się, że nie o taką architekturę chyba chodziło pani Dziopakowej (której nie znam i tylko raz z nią przez telefon rozmawiałem). Nie myślę tu o jakości obrazu. Myślę natomiast o stylu, to znaczy o architekturze z tych, o które zanudzają mnie Twoi miłośnicy, żebym im sprzedał, a które pochodzą z okresu żywych kolorów, scenerii i tajemniczej atmosfery. Dalby Bóg żebym znów się mylił. Piotr

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 19:22

Całkiem możliwe, że masz rację, ale jeśli jej nie kupi, to przynajmniej przestanie mnie na przyszłość molestować, bo nie będzie jej wypadało. Finansowo to ja sobie poradzę z tym remontem, jeśli nie od niej, to od

kogo innego. Malowanie na siłę zawsze da efekt martwoty, ale - jak już pisałem, najgorsze są związane ręce: np. miałem ochotę na pustej ścianie osadzić jakiś olbrzymi organizm jako przeciwwagę (w końcu wsadziłem w tym celu jakąś niby szmatę czy pomiętą papier u dołu), nie wiem konkretnie co, ale coś, co by dominowało, niejako oplatało, no ale pohamowałem się, bo w końcu patrzyłem wyimaginowanym spojrzeniem potencjalnego nabywcy, któremu ona chce to wtrynić, a który nie pojmuje, co to jest przeciwwaga, ale paskuda zobaczy i powie, że to potwór z kosmosu. W ten sposób nie mogą powstać dobre obrazy i mam nadzieję, że poznałeś to na przykładzie tych 16 na zamówienie. Ja naprawdę starałem się wtedy jak mogłem i nie chciałem Cię zbyć byle czym - jak potem sugerowałeś, ale gówno wyszło, bo w ten sposób (cudzym okiem) nie da się malować. Przynajmniej ja nie potrafię. Jeśli przed 5 września znajdę jeszcze trochę czasu (ca 4-5 dni) i nie zemrę z obrzydzenia, to może dam tam jakiś dodatkowy akcent kolorystyczny. Zobaczymy. Chciałbym się wywiązać, ale wymiotuję od tego.

Pozdrowienia. Zdzisław

Poniedziałek, 26 sierpnia 2002, 21:17

Mój Bambo wrócił z Londynu gdzie, jak się dowiaduję, doskonalił swój angielski, zanim się rzuci w wir biznesu w Afryce. Tak, iż go dzisiaj dorwałem telefonicznie i umówiłem się na czwartek. Zainstaluje mi wówczas program czcionki polskiej. Zdaje się jednak, że teraz Ty powinieneś mi ów program wysłać, bo po zmianie komputera kilka miesięcy temu ten, który mi wysłałeś poprzednio, gdzieś zniknął z ekranu.

Nie mogę się zabrać do roboty. Od czasu, gdy wróciliśmy z południa Francji minął już tydzień, a ja nie napisałem ani jednego słowa.

Pierwszy, ponad sześćset stronicowy tom mego życiowego dzieła, wywołał lodowate milczenie. Toteż entuzjazm do pisania drugiego proporcjonalnie zmalał. Choć mógłbym drugi tom podzielić na trzy części i jedną wydać już tej zimy, bo jest prawie skończona, nie mogę nawet do tego się zmusić, by dopisać ostatnich pięćdziesiąt stron.

Piotr

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 08:29

"Heeej cuścik mi się zdaje", że niedługo będziesz musiał znaleźć kogoś innego, bo Bambo zacznie robić karierę. W najlepszym wypadku zatrudni Cię w swojej firmie jako radcę. Jaka jest jego specjalność? Czyżby komputery? Ta branża grzęźnie ostatnio w trudnościach (brak przebojowej formuły marketingowej - wszyscy już mają komputery i nie bardzo widzą, co mogliby zyskać na modernizacji), ale może w niektórych rejonach Afryki zachowują nadal dynamikę rozwojową.

Czcionkę wysyłałem Ci już tyle razy, że masz ich pełno w archiwum korespondencji, ale wysyłałem raz jeszcze w załączniku. Wysyłałem także tę samą czcionkę w wersji kursywa, bo czasem może to ułatwić wprowadzanie cytatów etc. Poproś Bambo, by je zainstalował. Zajmują bardzo mało miejsca. A może Ty nie archiwizujesz korespondencji w komputerze, tylko w formie wydruków?

Nie potrafię powiedzieć jak to jest w wypadku prac naukowych, czy dzieł prawniczych, ale w wypadku malowania obrazów reakcja otoczenia nie liczy się dla mnie, jeśli czuję potrzebę kreacji. W końcu nie tylko gówniarze, ale także my starcy piszemy blogi i rzucamy butelki do oceanu. Taka jest natura człowieka. Powiedzieć swoje, nawet jeśli nikt nie słucha.

Pozdrowienia.

Zdzisław

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 12:05

Wprawdzie czuję się słabo, bo pobolewa mnie to tu to tam i nie mam sił, ale nie czuję się jeszcze "staruchem".

Tak samo odpowiada mi moja żona, gdy mówię, "my starsi państwo". "Mów za siebie, powiada, ja mam dopiero pięćdziesiątkę i jeszcze się za mną oglądają panowie."

Wprawdzie Ty pochodzisz z długowiecznej rodziny, bo matka Twoja dożyła sędziwego wieku, ale ja liczę na to, że Tobie pierwszemu pisane.

Piotr

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 13:40

Użyłem wprawdzie liczby mnogiej, ale z budowy zdań wynika chyba jasno, iż myślałem o sobie. Gdzież bym Cię śmiało zaliczyć do starców. Gdy miałem 50, to nie miałem brzucha i nie tylko ja oglądałem się za paniami, ale nawet panie za mną. Z mojej 73 letniej perspektywy nie bardzo już odróżniam wzajemnie od siebie wszystko co od 60 w dół. No może szczeniaki od ludzi dorosłych. Niedawno zresztą się wygłupiłem, bo byli u mnie młodzi ludzie około 25 i w trakcie tego przyszedł jeden z moich "młodych" kumpli, Bogdan, około 50, a ja w rozmowie użyłem sformułowania "wy młodzi", zwracając się do nich łącznie. Bogdan się zachnął i mówi "ja mam 50". Ale ja rzeczywiście nie odczułem różnicy innej niż ja i oni. Może gdybym się zastanowił...

W moim wieku nieustannie mówi się o śmierci, co wkurza zapewne otoczenie ale dla "nas" jest to w tej chwili problem podstawowy: na co, kiedy, w jaki sposób i jak długo jeszcze. Mamy tym wypełnione myślenie tak, jak kobiety zmarszczkami, bo one chyba bardziej martwią się zmarszczkami, niż zbliżającym się końcem. Taka jest nasza kondycja i nie ma co udawać, że jest inaczej.

Pan Krzysztof dziś nie przyjdzie, gdyż wykonuje w stolarni elementy, których potem użyje do przebudowy mego stołu, który już jest skrócony. W związku z powyższym byłem w mieście i kupowałem sobie papier kredowany EPSON. Potem zjadłem w Mc'Donalds niezdrowe jedzenie, które jednak jem ze smakiem. Nieszczęście się zaczyna gdy zostaną do kogoś zaproszony, a tam muszę wybierać między tatarskim, małżami, krewetkami i lososiem, a każda z tych rzeczy nawet swym widokiem pobudza mnie do wymiotów. Kapitalizm fatalnie wpłynął na polskie menu. Wszyscy odrabiają 40 letnie zaległości co powoduje, że po chrześcijańsku zjeść po prostu nigdzie nie można (zrazy z kaszą i ogórkiem oraz piwo). Na każdym stole wyłącznie barbarzyńskie paskudztwo. Pięknie pozdrawiam.

Zdzisław

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 17:24

Myśl o śmierci jest również i moją obsesyjną myślą. Właściwie moje życie ułożyło się na "starszy" wiek (nie "starczy" wiek) w wyjątkowo uporządkowany sposób. Już Ci to pisałem. Prócz mojej pracy naukowej i dydaktycznej oraz moich spraw adwokackich, które zaprzatają mnie w niewielkim stopniu, bo tak sobie zorganizowałem kancelarię, że cztery piąte roboczego dnia jestem od nich wolny, mój umysł błąka się, a raczej się leniwie waleśa od myśli do myśli. Wszystkie one są pogodne i w większości płytkie, chaotyczne, poprzeplatane wspomnieniami osób i zdarzeń.

Jedna jednak dominuje je wszystkie i jak obsesyjny motyw w utworze muzycznym powraca: już za kilka lat trzeba będzie to wszystko opuścić. Nie jest to jeszcze przerażenie ani panika. Ale cholerny żal, bo nie dojrzałem do śmierci, jeśli w ogóle kiedyś dojrzeję. Nie chce mi się umierać. W życiu nacierpiałem się i tego, co za mną, nie żałuję. Ale tego, co przede mną, stracić nie chcę, bo teraz jest mi nareszcie dobrze. Myśli o śmierci nie są u mnie ani wzniosłe, ani metafizyczne. Są proste i zwykłe, związane z codziennością. Tak, iż nie mogę się ich nawet pozbyć opisywaniem ich, bo to, co bym pisał byłoby płaskie i bez polotu. Jedno powraca: "nie chcę umierać".

Prawdopodobnie dlatego, że mój ojciec żył 86 lat, że 86 lat żył mój szwagier, z którym bardzo byłem związany i że 84 lata w dobrej formie żyje Ani mama, ubzdurałem sobie, że ja też będę żył około osiemdziesiątki i to w dobrej formie. Ale nawet w tak radosnej perspektywie nie znajduję pocieszenia. Ostatnie siedem lat, które upłynęły od zamknięcia galerii przeleciały jak jeden rok. Tak, iż nawet gdybym miał umrzeć za 20 lat to i tak wychodzi na to, że będę ich żył jeszcze tylko trzy. Psychicznie to na tyle wychodzi. Fakt, że w moim życiu tak mało się dzieje od czasu, gdy ganiałem za Twoimi sprawami, powoduje, że czas pędzi na zbity pysk. A więc pozostało mi psychicznych trzy lata. W najlepszym wypadku. Na załapanie się o wieczność już nie liczę, choć pewien jestem i mówię to studentom, że oni, a najpóźniej ich dzieci, na tę wieczność się załapią (o ile w ogóle za osiemdziesiąt lat będzie jeszcze czym oddychać i co pić na tej ziemi). Będę jak ostatni Mohikanin. Będę jednym z ostatnich, którzy umrą tak, jak umierali wszyscy przed nami. Stale myślami powracam do tej książki Remarqua, o której Ci już pisałem "Na Zachodzie bez zmian", w której bohater ginie w ostatniej chwili wojny, jako ostatnia jej

ofiara. Myśli o samobójstwie ulotniły się jak kamfora. Dawniej wydawało mi się, że życie jest ciężką mordęgą i że któregoś dnia położę jej kres, dobrowolnie. Dziś, dzięki solidnym dawkom prozaku, solianu i laroxylu raduję się życiem, jakbym wygrał w lotto.

Wiele się poświęca literatury, myśli, sztuki pozbywaniu ludzi życia. Boje się nad skazanymi i tymi, co giną na wojnie. A czyż moja śmierć nie napawa mnie równie wielkim lękiem jak tego, kto ma jutro iść na szafot? Czy mój strach jest mniej bolesny, mniej godny poematów i pieśni niż ich strach? Dlaczego oni są bohaterami a ja "zwykłym śmiertelnikiem". Moja śmierć wcale nie jest zwykła. Nie godzę się na rolę mrówki, której śmierć ma dokładnie takie samo znaczenie jak jej życie: żadne.

Gdybym wierzył tak, jak wierzyła moja Matka, wszystko byłoby łatwiejsze. Ona wręcz pragnęła śmierci, by połączyć się z Bogiem. A z kim ja mam się połączyć? Z nikim. Genialny wynalazek nieba i Pana Boga, życia pozagrobowego i wieczności już zbankrutował. Za jeden wiek wskrzesi się on, lecz nie będzie już głoszony z ambony, a z uniwersyteckiej katedry. A ja miałem właśnie pecha urodzić się w epoce między tymi dwoma wiecznościami: tą z Pisma Świętego i tą z naukowego pisma "Science". Jedyny okres w historii ludzkości, w której nie ma wieczności. Jak tu pogodzić się ze śmiercią?

Piotr

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 18:59

Oddałem do powerniksowania obraz, który nazywam "Chichot króla". Szkielet siedzący na wiklinowym czy bambusowym rozwalającym się krześle, z czerwoną plamką w oku, wśród pędzonych wiatrem kartek. Tonacja brązowa. Namalowany chyba w 83 czy 84 roku. Nie spojrzałem na tył by sprawdzić datę, a obrazu już przed sobą nie mam.

O ile pamiętam, nigdy go nie kazałem werniksować. Zmatowiał dość szybko, a dziś w taki sposób wisi u mnie w pokoju, że to zmatowienie zaczęło mi przeszkadzać.

W związku z tym, pani, która konserwuje obrazy zapytała mnie, jakiego Ty używałeś produktu na pokrycie farby, bo wygląda na to, że frag-

mentami obraz był werniksowany werniksem akrylowym (pokazała mi go w butelce, to taki rodzaj białego mleka rozpuszczonego wodą).

Czy masz jakieś rady w związku z werniksowaniem tego obrazu?

Wiele obrazów zaraz po ich zakupieniu od Ciebie w latach 84-85 powerniksowałem mi facet, który pracuje w Luwrze i z którym niestety się pokłóciłem. Mówię "niestety", bo on sam wymyślił ten werniks, opatentował go i szereg wielkich obrazów w Luwrze (pokazywał mi) jest tym werniksem pociągniętych. Do dzisiejszego dnia na moich obrazach trzyma się ten werniks znakomicie, mimo iż upłynęło z 17 lat. No cóż, takiego werniksu już mieć nie będę. Ale nie chciałbym popełnić teraz jakiegoś głupstwa i wolę zapytać zanim będzie za późno.

Piotr

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 19:46

Nie werniksowałem obrazów olejnych (a to jest obraz olejny) niczym i przed werniksowaniem go, nie należy dokonywać żadnych innych czynności poza zmyciem z obrazu brudu, najlepiej przy użyciu wody z detergentem i zwilżonej ściereczki. Oczywiście nawet tego nie należy robić zbyt agresywnie, bo farba miejscami położona jest cienko. Werniksu akrylowego nie używałem, a poza tym nie nadaje się do farb olejnych (takie mleko, to jest po prostu dyspersja wodna żywicy akrylowej). Werniksowanie obrazu wymaga oczywiście umiejętności, a werniks w zasadzie (o ile nie był użyty przedwcześnie) nie matowieje w funkcji czasu. Nie wymaga to jakichś specjalnych mikstur, a nawet się ich obawiałbym, jako że fabryczne werniksy obe są obecnie na bardzo dobrym poziomie. Zasadą dobrego werniksu jest jego nie żółknięcie i nie pękanie w funkcji czasu oraz bardzo łatwe rozpuszczanie w łagodnych rozpuszczalnikach benzenowych tak, aby ewentualne zmycie po latach, nie uszkodziło samego obrazu. Chyba wszystko. W razie czego służę dalszymi informacjami, ale jutro. Cześć. Zdzisław

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 19:28

Ponura dla mnie jest myśl, że wszystko płynie i ulega nieustannej zmianie. Może przetrwam w obrazach w jakimś muzeum przez 100 lat, w najśmielszych marzeniach przez 200, ale nawet ta poczciwa dziennikarka chlapnęła beztrzesko o 1000 lat, a przecież co to jest 1000 lat? Za 100.000 lat my, dzisiejsi, będziemy dalej od tamtych ludzi przyszłości niż od nas oddalone są wielkie czarne mały w liściach, które widuję czasem na National Geographic czy Discovery. Siedzą, patrzą smutnym wzrokiem, iskają się i wyjadają wszy. Co i jak myślą? Tym będziemy w oczach ludzi za tysiące lat. Nie można się więc nawet pocieszyć utożsamieniem ze światem, bo on się zmienia, a na dodatek także kiedyś przemienie.

Zastanawiam się nad życiem wiecznym (podobnie jak Ty, nie mam cienia wątpliwości, że nieśmiertelność stoi za progim - jest to w końcu najważniejsze marzenie ludzkości, które wykreowało wszystkie religie świata) i oczywiście "na teraz" to też bardzo żałuję tego, że wprawdzie może jeszcze uda się u mnie odnowić to czy tamto, ale na nieśmiertelność nie mam szans. Ale jeśli wyobrazić sobie, że posiadało się wieczność, to od razu zaczyna to być równie koszmarnie jak konieczność rozstania się ze światem i pogrążenie w nicości. Mnie już teraz się nudzi! Oczywiście będąc wiecznym i na dodatek wiecznie młodym, mógłbym spróbować wielu jeszcze rzeczy, których teraz już nie tykam, bo albo mi się już nie chce, albo widzę, że nie mam szans na spełnienie, jakie daje perspektywa czasu przed sobą. Tym niemniej wszystko po jakimś czasie spowszednieje, jak spowszedniało nam to, co mamy: niebo nad głową, wschody i zachody słońca... Jeśli mamy poczucie, że czas biegnie szybciej, a ja takie poczucie mam i to w coraz większym stopniu, to wynika to też ze zubożenia na to, co nas otacza i co byłoby cudowne, a każdy najdrobniejszy element nadawałby się do pełnej zachwyty nie kończącej się kontemplacji, gdybyśmy nie byli znudzeni. Ty patrzysz na świat (jak deklarowałeś) Descartesem, a ja biskupem Berkeleyem z okresu, gdy nie był jeszcze biskupem. Jak mówią słowa popularnej piosenki "to, co się dzieje, naprawdę nie istnieje". Co by to było gdyby to złudzenie miało trwać wiecznie? Skoro jest reakcją naszego umysłu na rzeczywistość, to umysł nie jest nieskończony i nie wyjdzie poza siebie. Rany boskie. Spróbuj to sobie wyobrazić: TO nigdy się nie skończy. Dokąd uciec? Choćbyśmy zachowali wieczną mło-

dość i wieczną sprawność - wieczności nie potrafimy skonsumować, bo nasz umysł nie jest do tego przystosowany. Jesteśmy zamknięci w czasie i nie umiemy tego przeskoczyć.

No to sobie ponarzekaliśmy. Pozdrowienia. Jak co wieczór zabiorę się teraz za oglądanie jakiegoś kretynizmu. Może to działa odmładzająco? Bo nie umiem sobie wyjaśnić, dlaczego nie cierpię filmów, które są najogólniej biorąc "życiowe", ludzie są na nich prawdziwi, a problemy poruszające. Od razu przełączam na kanał, na którym leci film opowiadający o tym, że w piwnicy dokonano przed laty zbrodni i zamurowano w ścianie trupa, a teraz w domu straszy, bo trup pragnie być pochowany na poświęconej ziemi. Sprawcy tej zbrodni sprzed lat, powinni być ukarani, ale na razie trzymają bohaterów przywiązanych na ruchomym blacie pod wirująca piłą mechaniczna i najpierw (tracąc czas) wyjaśniają dokładnie co się stało i jak do tego doszło. Koniec zawsze taki sam: migają koguty stojących wokół wozów policyjnych, które przyjechały w ostatniej chwili, a bohaterowie lekko ranni padają sobie w objęcia i odchodzą w siną dal. O jak dobrze! Tak jakbym jadł lody bakaliowe.

Cześć. Zdzisław

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 21:57

Wszelkie futurologiczne dyskusje o tyle mnie zniechęcają, że moi rozmówcy rozumują jak reżyserzy amerykańskich filmów: jest już trzytysięczny rok, ale wszyscy noszą okulary, wszyscy mają mieszkania z ubikacją, a za oknami kwitną kłaby i zieleńce. Dzieci chodzą do szkoły, a nauczyciele kredą rysują im na czarnych tablicach wykresy. W tym wszystkim panują superkomputery, a ludzie są ich niewolnikami i prowadzą wojny super laserami.

Jeśli nauka dotrze do tego, że będzie mogła uczynić życie wiecznym, to będzie znaczyło, że na stu czy stu tysiącach innych pól dokonała podobnych rewolucji i że WSZYSTKO się zmieni. Zmieniają się stosunki społeczne, zmieni się rodzina, zmieni się sposób przekazywania wiedzy, zmieni się system zarządzania społeczeństwem...

Toteż Twoje rozumowanie w dzisiejszych kategoriach: "będzie nudno"

jest po prostu objawem braku wyobraźni u malarza, któremu się zarzuca, że ma jej za dużo.

Nasze uczucia, w tym również uczucie nudy, nasza struktura mózgu i świadomości, woli, pamięci, kreatywności ulegną tak radykalnym zmianom, że wyobrażenie tego, zwłaszcza w ruchu, w czasie, w tysiącach reakcji i kontrreakcji jest absolutnie niemożliwe.

Wiem dzisiaj tylko jedno: za sto lat nikt nie będzie musiał (ale może zacząć chcieć...) umierać.

Reszta jest niezgłębioną tajemnicą, której nie da się wyobrazić na ponad dwadzieścia lat. A i ten okres, przy dzisiejszym postępie techniki, jest za długi nawet na to, by przewidzieć ogólne tendencje, a coś dopiero przetrwanie jednego z naszych odczuć: odczucia nudy.

Marzy mi się więc, o ile miałbym wyobraźnię równie potężną jak Ty (ale nie w tym samym zakresie), napisanie książki w której opisałbym stosunki społeczne (a nie materialne) za pięćdziesiąt lat, gdy z jednej strony nieśmiertelność będzie już na horyzoncie, a z drugiej wszyscy będą tak płodzili dzieci, jak dziś je płodzą. Gdy przekazywanie wiedzy będzie się odbywało tak jak z komputera do komputera, a nie drogą dwudziestoletnich studiów w szkołach i uniwersytetach. Co wyniknie ze zderzenia się tych fenomenów i jakie konflikty wywoła, jakie wywoła rozwiązania społeczne, jakie ideologie zrodzi?

Tego wszystkiego absolutnie nie da się wyobrazić, a więc zakładać, że byłoby nudno jest absurdem. Takie odczucie może w ogóle już wtedy nie istnieć. Jak może być również tak, że zamiast żyć bez końca nasz zegar biologiczny tak zostanie uregulowany, że po przeżyciu jakiegoś czasu będziemy mieli wrażenie żeśmy przeżyli wieczność i sam nasz organizm stworzy pragnienie śmierci? Bo tak naprawdę to ja nie tyle nie chcę umrzeć, co nie chcę umrzeć nie chcąc umrzeć. Gdybym miał umierać tak, jak moja Matka, pragnąc śmierci, to nic bym nie miał przeciwko doczesności. A przecież jest to doskonale możliwe, że na to, żeby się wszyscy pomieścili na ziemi, tak zostanie w nas wyregulowana ochota do życia, że będzie ona znikać po czasie, na jaki pozwolą warunki materialne społeczeństwa liczącego 15 miliardów ludzi.

Piotr

Wtorek, 27 sierpnia 2002, 23:27

Ależ ja to wszystko doskonale wiem, tylko że nie o tym pisałem lub raczej należałoby powiedzieć: usiłowałem napisać. Niestety moja dysleksja uniemożliwia mi jasne pisanie, bo co chwila, co pięć linijek, nie mogę odczytać tego, co przed paroma minutami napisałem. Gdy piszę rzeczy proste, mogę to jakoś ex post poprawić. Gdy zaczynam się pograżać w rozważaniach, unikam celowo kwestii zbyt skomplikowanych do wyrażenia. Lepiej się czuję mówiąc to niż pisząc, chociaż tu z kolei prześladowuje mnie skłonność do dygresji i gubienia wątku. Obiecywałem sobie, że na starość zacznę pisać, ale nic z tego nie wyjdzie z powodu jak wyżej. Z tego samego powodu jak wyżej, styl jakim się posługuję jest z roku na rok w coraz to większym stopniu kulawy i jest wypadkową moich możliwości formułowania, z możliwością odczytania samemu tego, co sformułowałem. Posłałem Ci swego czasu próbkę, jak taki tekst wygląda bez korekty. Teraz jest o wiele gorzej. Do tego miejsca zrobiłem co najmniej 200 aliteracji. W coraz większym stopniu unikam pisania listów.

Więc gdy pisałem poprzedni mail, chodziło mi raczej o to, że to co nieosiągalne wydaje się promieniować magią atrakcyjności, ale gdy się to już osiągnie, wtedy okazuje się podobnie niepełnowartościowe jak to, co się miało poprzednio. Gdyby tak nie było, moglibyśmy mówić o śmierci za życia, bo istota życia jest właśnie poczuciem dążenia i niespełnienia. Ogranicza nas nie tyle śmierć i nieistnienie ile brak zrozumienia istoty czasu, ale jeśli uzyskalibyśmy to zrozumienie, przestalibyśmy być ludźmi. Stąd w końcu biorą się mity o duszy i dychotomia: "ja w czasie" i "ja poza czasem".

Nawiasem: autorzy filmów sci-fi nie są chyba aż tak durni, by nie zdawać sobie sprawy, że nie tak wyglądać będzie komputer za lat 100 i że nie będzie się używać tablic i kredy. To po prostu styl i problem polega chyba na tym, by nie zgubić łączności ze zrozumiałą dla widowni rzeczywistością. Kilka cudów techniki pokazanych jest, by podkreślić, że mamy wiek XXIII, a reszta jest konwencjonalna jak w teatrze Kabuki. Najczęściej idzie przecież o jakiś prosty moralitet albo o efekty dla ludu i pirotechnikę, a nie o prognozowanie.

Pozdrowienia. Zdzisław

PS: Przed chwilą klepnałem w jakiś klawisz (dysleksja) i wylogowałem się z dostępu do Outlooka. Na szczęście udało mi się powtórnie zalogować, bo inaczej nie wysłałbym już żadnego listu. To koszmar co się ze mną dzieje. Chcę uderzyć w małe "r", a uderzam w duże "M", które jest w innym miejscu klawiatury. Wielokrotnie uruchamiam przypadkowo skróty klawiaturowe. Koszmar. Gdy spisywaliśmy w 1983 umowę, pisałem jeszcze całkiem biegle i bez aliteracji. Teraz mój tekst wygląda jak wiersz Majakowskiego napisany na Enigmie.

Środa, 28 sierpnia 2002, 11:05

Współczuję Ci z tą dysleksją. Jutro będzie u mnie Bambo i zainstaluje przesłany przez Ciebie program polskiej czcionki. Mam nadzieję, że uprości Ci to korektę. Choć nie bardzo rozumiem, w jaki sposób, jeśli to ja mam pisać tą czcionką, a nie w odczytywaniu mnie, lecz w pisaniu do mnie masz trudności. Ale to już są tajemnice informatyki, których i tak nie zgłębię. Tak się zresztą boję tego zgłębiania, że nawet nie chcę próbować. Tak więc, nie pisz mi o różnych komputerowych sprawach wyjaśniając mi to czy tamto, bo ja i tak prześlizguję się po tych wyjaśnieniach wiedząc z góry, że nie zrozumie z nich ani słowa. Perły przed wieprze. Od czasu, gdy korespondujemy przez internet i możesz wielokrotnie poprawiać swój tekst, zanim go wyślesz, wręcz odwrotnie do tego, co Ci się wydaje, Twoje listy nabrały klarowności i koherencji.

Piotr

Środa, 28 sierpnia 2002, 15:21

Nie Ty będziesz pisać tą czcionką lecz ja, a Ty będziesz tylko czytać to, co ja napisałem. Do mnie nadal będziesz pisać, jak pisałeś. Aby komputer odczytał to, co zostało napisane, musi do tego posiadać zainstalowaną czcionkę, która posłużyła do napisania. Czcionka działać będzie na pewno automatycznie na załącznikach Word, a być może także na Outlooku,

o ile nie będzie to odpowiedź, ale przetestujemy to.

U mnie dziś robota, a poza tym była konferencja na szczycie odnośnie kawalerki. Podzielono kto i co będzie robić. Kaloryfery też wymienimy. Wszystko od nowa. Właściciel wylegarni uregulował zapłatę i zabrał obraz. Teraz wszystko przed nami.

Pozdrowienia. Zdzisław

Środa, 28 sierpnia 2002, 19:15

Właściwie to nie śmierć wydaje mi się być najgorszym złem, którego końca chciałbym się doczekać. Wszystko się zawsze sprowadza do wspólnego mianownika, którym jest cierpienie. Cierpienie fizyczne jak i cierpienie "duchowe". O ile śmierć miałaby nadjeść bez cierpienia, strachu, tęsknoty za życiem, to i na śmierć bym się zgodził.

Cierpienie starano się od wieków łagodzić od zewnątrz zmieniając świat, wynajdując lekarstwa, ulepszając społeczeństwo, krzewiąc nadzieję etc. Nie potrafiono go łagodzić od wewnątrz, to znaczy zmieniając człowieka. Oczywiście religie starały się nas wewnętrznie zmienić, ale absolutnie bez skutku. Dziś nadchodzi moment, gdy zmiana człowieka, nie tylko żeby nie zadawał cierpienia innym, ale żeby go sam nie odczuwał, staje się realną perspektywą dwustu następnych zaledwie lat. Bo już za dwa czy trzy wieki będzie można zmienić ten nieudany model, jaki stworzyła przyroda, w którym świat funkcjonuje zmuszając wszystkie istniejące istoty, w tym i nas, do działania poprzez napawanie nas radością lub poprzez karanie nas cierpieniem. Już za dwa czy trzy wieki będzie "wyprodukować" człowieka, który będzie żył w nieustannej pogodzie ducha i nieczuły na cierpienie. Jeśli tak by miało być to i problem śmierci zszedłby na dalszy plan (o ile by jeszcze istniał).

Jeszcze będąc studentem dyskutowałem o tym z moim ojcem, który był biochemikiem i bardzo mądrym człowiekiem. Ogromnie był sceptyczny, co do takich możliwości nauki. Potem to samo pytanie zadawałem niejkiej pani Khouvine, profesorowi biochemii w Instytucie Marie Curie w Paryżu. I ona pobłażliwie się uśmiechała na moje mrzonki.

A przecież dziś jest jasnym, że się do tego coraz większymi krokami zbli-

żamy. Nie cierpieć. I to nie cierpieć nawet rozstając się z życiem. Na zawsze być ciepło pogodnym z egzystencją, jak i z jej końcem. To jest stan, w którym chciałbym się znaleźć. To jest hipoteza, którą chciałbym umieć rozwinąć w książce futurystycznej: jak będzie pracować człowiek, na którego nie będzie czekało cierpienie za bezczynność, bo nie będzie go w stanie odczuć, a którego umysł będzie wypełniony nieustannym poczuciem pogody, takim, jaki odczuwam często pod wpływem prozaku, ale który na razie jest sztuczny i chwilowy. Jak i czy będzie się rozmnażać? Czy pojęcie społeczeństwa, współpracy, współzawodnictwa, hierarchii, władzy, będą miały jeszcze jakiś sens? Jak funkcjonować będą ludzie bez potrzeby nagrody i bez obawy kary, bo bez perspektywy cierpienia?

Bo z cierpieniem fizycznym to ludzkość da sobie radę już niedługo. Do mózgu jednak daleko dalsza droga niż do antybiotyków. Toteż nawet, jeśli choroby zostaną niedługo wytrzebione doszczętnie i zniknie cierpienie fizyczne, to nie zmieni to ludzkiej agresywności, okrucieństwa, zawiści, złości, czyli wszystkiego tego, co powoduje w nas cierpienie "duchowe", a które swój prapoczątek czerpie w biochemii mózgu. A o mózgu ludzkość jeszcze nie wie praktycznie nic.

Najlepszy ze światów, w których będzie żył radosny, a jednocześnie niezdolny do cierpienia człowiek. Nad takim scenariuszem chciałbym żeby pogłowił się jakiś inteligentny scenarzysta i jakiś zdolny reżyser. Odyseja 2250. Wszystkie utopie, począwszy od Biblii, poprzez Platona, Moora, Saint Simona czy Marksa starały się zmienić człowieka, zmieniając społeczeństwo. A jak zmieni się społeczeństwo, gdy już zmieni się człowiek? Nigdy nikt nie napisał na ten temat ani jednego zdania. A przecież to w takich kategoriach rysuje się utopia w początkach XXI wieku. I o tym powinno się zacząć mówić budując zamki z piasku.

Piotr

Środa, 28 sierpnia 2002, 22:15

Ja gdy stykam się z podobnymi wizjami przyszłości, odczuwam obawę, że są one utopijne. Natura ludzka chyba nie może być dowolnie modyfikowana w kierunku usunięcia sprzeczności i wydaje mi się, że stary

Hegel miał i nadal ma rację. W jakimś tam utopijnym i symbolicznym sensie miał rację nawet Wells, wymyślając społeczeństwo Eloi i Morloków. Medycyna, manipulacja genetyczna etc niczego tu nie wniosą, bo zasadą życia jest walka, a walka niesie ze sobą cierpienie. Zlikwidowanie tego, to zlikwidowanie człowieka. Cóż mnie może obejść jakaś szczęśliwa istota, jeśli nie będzie tożsama ze mną? Jak wszyscy pragnę szczęścia, ale taki jaki jestem, więc na pragnieniu się skończy. Oczywiście można taki stan opisać i zrobił to Lem w "Powrocie z Gwiazd". Tam ludzie poddani procesowi betryzacji, żyli w bezkonfliktowym raju, wiecznie młodzi i wszystko bezboleśnie akceptujący, ale Lem widział już w powieści bezsilność twórczą tego utopijnego społeczeństwa. Czy stan taki byłby osiągalny tego nie wiem, ale zaprzepaszcżając konflikt i cierpienie, zaprzepaściliby się przy okazji siłę dającą życie, a więc to o czym mówimy. Co dopiero przedwczoraj oglądałem we fragmentach jakiś film angielski sprzed lat, a dotyczący przyszłości, gdzie w skrajnie naiwny sposób pokazane było szczęśliwe życie wiecznie młodych ludzi, odzianych w powiewne szaty i oddających się zabawie i pierdoleniu, bo właściwie nie istniała (w filmie) alternatywa. Była tam jednak "czarna dziura", bo jak się okazuje nawet filmowym producentom aniołów i raju, pojawia się ona w koszmarnym śnie. Bo podświadomie czują, że biel pojawić się może tylko przez kontrast do czerni, dobro jako antyteza zła i tak dalej. Oczywiście film był kretyński, więc nie przytaczam go jako przykładu prognozowania, ale jako przykład bezsilności w zdefiniowaniu szczęśliwości: piękno cielesne, debilizm salonowy i pierdolenie się. Zwariować można. Któryś z badaczy kultur pierwotnych opisywał wioskę w południowej Ameryce, w której objawił się Bóg i powiedział, że dziś jest taki dzień, w którym wszystko wolno. I co zrobili mieszkańcy? Rozebrali się do naga i biegali wyjąc, a niektórzy powłazili na drzewa. W jednym i w drugim przypadku mamy do czynienia ze zwierzęcą bezsilnością. To, co opisujesz przypomina mi (bez obrazy!) marzenie narkomana na głodzie. Ale to nie zaprowadzi donikąd. Nie możemy zlikwidować tożsamości, nie likwidując siebie, a tożsamość mamy jak ze Spencera, Carlyle'a, Darwina, Stirnera i innych dziewiętnastowiecznych następców Hegla. Jeżeli zlikwidujemy to wszystko o czym piszesz, zlikwidujemy równocześnie swoją tożsamość. To tak jak z mitem duszy nieśmiertelnej. Skoro niepotrzebny jej jest wzrok,

sluch, smak, pożądanie, nienawiść i ból, a wystarczy jej zjednoczenie z Bogiem, to ja wysiadam. To nie będę ja. To z innego filmu i jest dla mnie tak samo niepociągające jak Nirwana.

Cześć. Zdzisław

Środa, 28 sierpnia 2002, 23:00

Dwa słowa odpowiedzi:

Po pierwsze to znów rozumowanie w kategoriach dzisiejszych: zła i dobra, kontrastów bieli i czerni, świadomości własnej tożsamości i strachu przed jej utratą. Te kategorie zginą. One wyrastają z tego, czym jesteśmy. One są naszymi obronami przed tym, co nas prześladowuje, to znaczy przed nami samymi.

A ja wiem, że my, tacy jak teraz jesteśmy, już niedługo nie będziemy. Jak poczwarka motylowi, uciekając przed samymi sobą, damy początek czemuś, co stokroć nas będzie przewyższać i będzie się obracać w świetle innych zupełnie walorów, innych zasad. To właśnie ucieczka od cierpienia doprowadzi nas do tego innego stanu. Ale czym ten stan będzie, absolutnie nie mogę sobie wyobrazić. Wiem tylko, że w ludziach jest sto razy więcej potrzeby wyzwolenia się od cierpienia i od stanu, w jakim się obecnie znajdują, niż jest potrzeby tożsamości. Toteż wiem, że pozbędą się swojej ohydnej skóry poczwarki, gdy tylko pojawi się możliwość nabycia motylich skrzydeł.

I tu druga uwaga. Ty jesteś samolubem do sto piątej potęgi. Ty się kochasz. Ty się sobą lubujesz. Ty właściwie tylko sobą się interesujesz i tylko o sobie lubisz mówić i myśleć. Toteż nie możesz zrozumieć większości ludzkości, do której i ja się zaliczam, a która nie ma dla siebie samego żadnej sympatii i wymieniłaby w sobie absolutnie wszystko bez reszty nie pozostawiając z SIEBIE nic. Jako Twoja odwrotna strona, to znaczy człowiek, który wyjątkowo samego siebie nie lubi, powiem Ci, że nie ma we mnie jednego cala, którego bym nie chciał się pozbyć i to zarówno w mojej cielesnej, intelektualnej i duchowej powłoce. Inni są tacy sami, czego dowodem jest to, że poddają się operacjom plastycznym, że podnoszą ciężary żeby mieć bicepsy, że robią reżimy, żeby schudnąć, że retuszują

zdjęcia, żeby na nich ładniej wyglądać etc. Ze swego intelektu to chyba nikt prawie nie jest zadowolony i gdyby mu dano możliwość chętnie wymienilby się z Einsteinem. Oczywiście Ty masz właśnie coś, na co wielu by się z Tobą wymieniło. Masz wielki talent. Toteż masz pewne prawo być z siebie dumny i nie bardzo mieć ochotę wyzbywać się swej powłoki. Ale ja nie zatrzymałbym w sobie niczego, wraz z moją własną świadomością, jeśli wymiana tej świadomości mogłaby się tylko odbyć bez lęku, bez cierpienia.

Takie dwie, pod tym względem skrajnie przeciwne natury jak nasze, nie mogą się zgodzić i wiem, że to, co mówię, niewielkie ma szanse trafić do Ciebie. Nawet gdybyś to zrozumiał intelektualnie to i tak byś tego nie odczuł. Ty dla wyzwolenia z cierpienia i nabycia radości nie pozbyłbyś się tożsamości. Ja wcieliłbym się nawet w krowę.

Piotr

Czwartek, 29 sierpnia 2002, 08:33

Wczoraj byłem już potwornie zmęczony, więc napisałem tylko to, co napisałem. Jak już wiesz, pisanie dla mnie teraz to tak jak malowanie nogą: spory wysilek, a nawet męka - i NA PEWNO bez żalu zmienilbym to u siebie od ręki, gdyby tylko znaleziono lekarstwo, bo pojęcie tożsamości u mnie nie polega na przywiązaniu do własnego ciała, do własnego image i do własnych banalnych niesprawności i niedoskonałości, a nawet do własnego talentu. Gdyby można było wymienić mi ciało na jakiegoś modela czy przystojnego aktora, nie miałbym cienia oporu - bo moja tożsamość nie polega na ciele. Od zawsze byłem ze siebie pod tym względem niezadowolony, a teraz, na starość, odczuwam do swego ciała wyłącznie wstręt. Bardzo trudno opisać to, o co chodzi i mieści się to poza granicami moich umiejętności. Nie potrafiłbym jednak i nie chcę żyć w raju. Uważam, że rzeczywistość jest niepoznawalna i znamy jedynie nasze jej wyobrażenie, a więc świat, który tak kocham nie istnieje takim, jakim go sobie wyobrażam: nigdy nie było mojej żony i mego syna, nie ma obrazów które maluję, wszystko jest moją sangsarą lub po prostu - jak mówi współczesna nauka - funkcją naszego mózgu. W tej niepoznawal-

nej rzeczywistości (której symbolicznym wyobrażeniem była i nadal jest dusza), mamy swoje miejsce, ale jako coś niewyobrażalnego, jak w motyl z poczwarki, o którym piszesz, ale mnie nic z tego. Ja jestem poczwarką i mam tożsamość poczwarki i wiem, że wszystko się dla mnie skończy. Nawet jeśli jestem częścią motyla - to tożsamość moja i tożsamość motyla, którego manifestacją jestem w czasoprzestrzeni, to dwie inne tożsamości. To jest dla mnie nie do przeskoczenia, mimo iż ćwiczę się w tym od 50 lat. Ja to ja i nie ma na to rady i nie wiąże się to z podziwem dla samego siebie, bo przecież jak można podziwiać coś, co nie istnieje takim, jakim się pozwala dostrzec. Jestem tylko kolorową fotografią motyla. Pyłem ze skrzydła motyla, lub brutalniej: jego gównem. Sorry, ale to nie do przekazania.

Pozdrawiam. Zdzisław

Środa, 28 sierpnia 2002, 23:35

Tu właśnie trafiłeś w sedno. Kilometrowe dyskusje na podobny temat (ale dotyczące buddyzmu) toczyłem z Urbanowiczem przed wielu laty, gdy jeszcze mogłem pisać. Do dnia dzisiejszego podobne dyskusje toczę z ludźmi wierzącymi. Oni pragną stać się motylem, który wylęgnie się z poczwarki, a ja niczego nie lękam się bardziej niż utraty tożsamości. W końcu nie ma dla mnie różnicy między utratą tożsamości i śmiercią. Idę spać. Zdzisław

Czwartek, 29 sierpnia 2002, 14:11

Każdy mówi o czym innym, jak zwykle w życiu rodzinnym.

Z racji mojego wykształcenia interesują mnie problemy społeczne i polityczne: jak będzie wyglądało społeczeństwo, gdy już będzie można manipulować nie tylko ludzkim ciałem, ale i "duszą", to znaczy inteligencją, pamięcią, świadomością, talentem itd. Czy będzie jeszcze społeczeństwo, czy będzie jeszcze rodzina, czy będzie władza, czy będzie potrzeba kary i nagrody etc. Toteż stale wracam do mojego life motywu: napisać książkę

lub zrobić film o przyszłości widzianej z tej strony.

Wprawdzie wypowiedziałem poza tym również pewien sąd: ta przyszłość mnie raduje i wiele sobie po niej obiecuję, żalując, że jej nie dożyję. Bo tego, co mnie otacza, włącznie z moją własną osobą nie lubię, a nawet nie cierpię, a przyszły świat zapowiada się bez cierpienia i ze stałym poczuciem pogody ducha. Ale ten sąd został wypowiedziany mimochodem i tak w rzeczywistości nie na płaszczyźnie sądów, preferencji i wyborów chciałbym o tym mówić, a na płaszczyźnie prawdopodobieństwa i wyobraźni.

Ty natomiast zboczyłeś na dwa inne tory, na których ja czuję się niepewnie. Na jednym czuję się niepewnie, bo nie mam żadnego filozoficznego wykształcenia. Na drugim, bo jest to dla mnie na razie oczywistość.

Nie mam filozoficznego wykształcenia, które pozwoliłoby mi dyskutować o tym, czy świat jest realny, czy też jest wyobrażeniem, bo tak naprawdę nie istnieje. Ten problem był walczony przez filozofów od prawieków, na koniec bez wyraźnej konkluzji. Tak jak dzielili się oni od starożytności na empiryków i na empirio krytyków, tak nadal się na te dwa obozy dzielą. Ja osobiście należę do empiryków i wierzę w rzeczywistość i możliwość jej poznania poprzez doświadczenie. Wprawdzie, gdy miałem 21 lat, i gdy na proseminarium profesora Adamusa poproszono mnie o wygłoszenie referatu na ambitny temat, "Co to jest nauka" szybko i bezwiednie ześlizgnąłem się z tego empiryzmu na prawie skrajny solipsyzm. Bo gdy się zacząłem zastanawiać nad odpowiedzią, doszedłem do wniosku, że rzeczywistość wprawdzie istnieje, ale w formie bezładnej magmy, z której nauka, pojęciami i doświadczeniami wyodrębnia fragmenty i tworzy z nich większe całości. Tak więc, twierdziłem, o ile jakaś rzeczywistość istnieje, to fakty i rzeczy w niej nie istnieją. One istnieją w naszej społecznej, kolektywnej głowie. To my tworzymy fakty i to my tworzymy rzeczy w naszym kolektywnym umyśle całego społeczeństwa drogą dedukcji lub doświadczenia naukowego. Rzeczywistość jest, ale w niej fakty i rzeczy nie istnieją. My ich nie odkrywamy. My je tworzymy za pomocą nauki. To było takie dziecinne paplanie i nadal takim paplaniem pozostało, bo na to, żeby dyskutować na takie tematy, trzeba mieć solidne przygotowanie filozoficzne, a ja go nie mam.

Drugim torem, na który zboczyłeś, a który nie jest moim torem, to za-

pytanie, które zadaje sobie aktualnie wielu ludzi, bo technika stworzy już niedługo możliwości jego realizacji: czy zamieniłbym się na lepsze ciało drogą klonażu, tracąc przy tym moją własną świadomość? To też nie jest mój problem, choć wypowiedziałem się mimochodem na jego temat mówiąc, że ja bym się wymienił nawet na świadomość, gdyby tylko mogło się to objeść bez cierpienia, strachu, rozpaczony etc., a pozwoliło narzeczcie pozbyć się mej duchowej skóry poczwarki. Ale po zastanowieniu to chyba jednak poczekałbym, aż będzie można te dwie rzeczy pogodzić: być "magnifique" będąc jednocześnie mną samym, to znaczy zachowując tożsamość.

Piotr

Czwartek, 29 sierpnia 2002

W książce "Zmagania o Beksińskiego" przypisałeś mi gdzieś tam twierdzenie, że dałbym się sklonować z nadzieją na zmartwychwstanie. Otóż na pewno powstało wtedy nieporozumienie. W mojej opinii od zawsze klon był czymś innym niż ja. Załóżmy dla wyjaśnienia mego stanowiska teoretyczną sytuację optymalną. Utworzono w drodze jakiegoś tam eksperymentu moją wierną kopię. Myśli tak, jak ja, pamięta to, co ja i ma moje poczucie tożsamości i tak dalej - tyle, że jest nieśmiertelna i ma wpisane w swoje potencjalne możliwości także możliwość odmłodzenia się. Ta kopia siedzi w tym samym pokoju co ja i mówi mi: możesz bracie już spokojnie umrzeć, bo ja żyć będę wiecznie. Odpowiem wtedy: żyj sobie wiecznie, żałuję, że tego nie dostąpię, lubię cię, ale ja, to ja, a Ty, to Ty i to Ty będziesz żył wiecznie, a nie ja. Nie czuję się z tobą tożsamy. Jeśli ja umrę, wszystko dla mnie się skończy, nawet jeśli Ty będziesz nadal żyć. Taki jest mój punkt widzenia (aby postawić kropkę nad i). Ani mądry ani głupi: taki i już.

Czyli być może świat będzie tak wyglądać jak to przewidujesz, ale czy możesz wybaczyć mi fakt, że mnie ta wizja nie przekonuje ani nie rozgrzewa? Oczywiście gdy do tego dojdzie, w drodze setek tysięcy kolejnych przybliżeń, to na pewno wszystkim będzie lepiej niż jest dziś nam, tylko co mi z tego. To nie będą już ludzie - jak zresztą w pierwszym porywie do-

brej woli odpowiedziałem na pytanie milej pani Chunowskiej. Kiedy i jak wyginie ludzkość. Odpowiedziałem "na brudno" aby przygotować sobie zwięzłe odpowiedzi: ludzkość ginie codziennie i rodzi się codziennie. Po pewnych tysiącleciach jest już czymś innym. Nie czuję, żadnego związku z *Pithecanthropus erectus*, a osobnik przyszłości nie będzie czuł związku ze mną. Jeżeli przyjąć, że ja jestem człowiekiem, to ani mój daleki przodek, ani mój odległy następca człowiekiem nie byli i nie będą, i nie czuję z nimi związku.

Nawiasem: Inaczej rozumiemy pojęcie "dusza". Dla mnie dusza to nie jest: inteligencja, pamięć, świadomość i talent lecz to, czym jesteśmy poza granicami naszego zrozumienia i co w dostępnej nam czasoprzestrzeni manifestuje się jako my. To o czym pisałem, jest w końcu zgodne z opinią współczesnej nauki: znamy tylko wyobrażenie i nazywamy je rzeczywistością, natomiast to, co je wywołało, jest po prostu niewyobrażalne. To oczy, uszy, smak, tradycja i dziedziczenie kreują nasze wyobrażenie. Nie wiadomo nawet, czy jest ono intersubiektywne. Porozumieć się bowiem i porównać wyobrażenia możemy tylko przy pomocy słów, które są niedoskonałe, zatem nie wiemy nawet czy nasze wyobrażenia poza obszarem łatwo porównywalnym (stół, krzesło, dupa) w ogóle są intersubiektywne. (Przepraszam ale już dzwoni do drzwi moja Tele Pizza!)

Jeszcze raz nawiasem: przecież ja też nie mam wykształcenia filozoficznego, ale czy to, że nie mamy takiego wykształcenia nie pozwala nam już na zadawanie sobie pytań "co jest za tym murem" i szukanie odpowiedzi? Przypomina mi to zdanie, które często słyszę: nie znam się na malarstwie. No to co z tego. Czy brak znajomości ma likwidować wrażliwość? Tych ludzi, którzy się znają i bezbłędnie odróżniają barok od manieryzmu, ale nie potrafią odróżnić kiepskiego malarstwa od wybitnego, jest wszędzie na setki. Filozofia to nic innego. Najważniejsza jest potrzeba zadawania sobie pytań, szukanie na nie odpowiedzi i nie zniechęcanie się tym, że rozsądek podpowiada nam, iż nigdy ich nie uzyskamy.

Pozdrowienia. Zdzisław

Czwartek, 29 sierpnia 2002, 17:54

Teraz wszystko zdaje się być w porządku. Czytam i drukuję Twoje listy w czcionce polskiej, a więc i Ty możesz pisać tą właśnie czcionką. Nie zdawałem sobie sprawy, że pisząc do mnie przerabiasz za każdym razem tekst polski na tekst europejski litera za literą tak, bym mógł go odczytać, bo inaczej polskie znaki ukazywałyby się u mnie na ekranie w postaci ptaszków, cyfr czy kwadracików. Cieszę się, że z tej kolosalnej roboty będziesz teraz zwolniony. Co do meritum odpowiem wieczorem.

Aha, PISZ DATY przed każdym Twoim listem, bo o ile dotychczas te daty ukazywały się automatycznie na wydruku, o tyle teraz zniknęły. A później, jeśli kolejność kartek, które układam pomiesza się, to nie będzie wiadomo kto komu na co odpowiadał.

Piotr

Czwartek, 29 sierpnia 2002, 22:19

Tkwi w Tobie chrześcijańska dusza. Bo jeśli ja identyczny do ja to nie jestem ja, to znaczy, że nawet identyczny ja nie ma czegoś, co mam ja. Z czego wynika, że ja mam duszę. A co do duszy, to jak już pisałem, nie wiem nic prócz tego, że miało ją kiedyś żelazko, choć Ty twierdzisz, że ma ją również telefon.

Zdecydowanie nie dajesz się wprowadzić na interesujący mnie teren: jak będzie funkcjonowało społeczeństwo wtedy, gdy człowiekiem będzie można manipulować dowolnie (prawdopodobnie w kierunku dzisiejszych walorów, jakimi jest piękno, dobro i szczęście).

Oczywiście, że my się pitekanthropusami nie interesujemy. Ale gdyby wiedziały, że kiedyś zamienią się w homo sapiens, to by się z pewnością nami pasjonowały. Zainteresowanie i poczucie łączności z tym, co przeszłe jest może nikle i stanowi obiekt dociekań drobnej grupki antropologów, etnologów czy archeologów. Ale zainteresowanie i poczucie łączności z tym, co przyszłe jest wspólne wszystkim ludziom. A w każdym razie dla mnie jest przedmiotem nieustannych dociekań.

W ostatnich dniach zwiedziłem trzy bardzo interesujące wystawy: Mo-ora w Fundacji Maeght na południu Francji, Mathieu w Pomarańczarni w Paryżu i Pomodoro w parku Palais Royal.

Mathieu zawsze był moim ulubionym abstrakcjonistą gestualnym, tak jak moim ulubionym abstrakcjonistą geometrycznym był i jest Kandyński. Ale wielkie formaty Mathieu, zobaczone na jednej wystawie obok siebie, robią ogromne wrażenie. To tak jak wybuch bomby.

Moora nie udało mi się dobrze zobaczyć, choć wystawa była ogromna, złożona z ponad 160 rzeźb i rysunków. Zepsuł mi ją jakiś idiota, z którym pokłóciłem się o miejsce do zaparkowania samochodu tak, iż mało nie doszło do bójk. Pchnąłem go jednak moim prominentnym brzuchem i pękl. Co nie przeszkadza, że tak się zeźliłem, że później nie mogłem się skupić na wystawie. Ania była zachwycona i miała rację.

Ale rodzynek to jest Pomodoro. To współczesny rzeźbiarz włoski, którego odkryłem na jakimś zdjęciu, w jakiejś kolorowej prasie mojej żony, a którego od razu przyrzekłem sobie obejrzeć, gdy tylko będzie okazja. I okazja się zjawiała. Wystawili chyba ze trzydzieści jego gigantycznych rzeźb z metalu w pięknym parku Palais Royal. Ania zupełnie nie była na niego czuła. Ja natomiast dwukrotnie pojechałem z Marly do Paryża specjalnie, ażeby go zobaczyć, takie na mnie wywarł wrażenie. To też abstrakcja, ale zupełnie inna od tego, co robią sztampowcy. Przywiozę Ci może album, który kupilem, to Ci pokażę, bo warto o tym wiedzieć. Jest w tym coś z dekoracji teatralnych, groźnych, ponurych, całych w kolcach, zebrach, kulach, wewnętrznych żerdziach pod pękniętymi skorupami.

Co do manieryzmu to i ja go rozpoznam i odróżnię od baroku, bo znalazłem trik, który mi to ułatwia: są to podłużne ciała w sztucznych pozycjach, jakby zastygłe. Od razu patrzę, czy jest długa szyja. Ot, tak jak u El Greco. Choć on właśnie do manieryzmu nie jest zaliczany, bo, jak twierdzą znawcy, jego postacie są pełne wewnętrznego żaru i mają DUSZĘ, podczas gdy postacie manierystyczne są ponoć "bezduszne".

Nie przeszkadza to temu, że masz absolutnie rację, iż większość tych durniów, którzy pokończyli historię sztuki będzie potrafiła uczenie gadać o załamaniach fałd u Cranacha i porównywać je do fałd u Holbeina, natomiast nie rozpozna dobrego dzieła sztuki od złego. Bo w rzeczy samej ta holota nie przeżywa żadnych emocji estetycznych, lecz tylko recytuje skrypty uniwersyteckie, z których się uczyła. Boże, gdybym mógł wydeptać to robactwo które zaległo się w tych Centrach Pompidou i innych Zamkach Ujazdowskich!

Piotr

Warszawa, piątek 30 sierpnia 2002

Zaraz, zaraz. To, co odczuwam nie ma nic wspólnego z duszą. To nie jest nawet przekonanie. To jest tak jak z apetytem lub pociągami seksualnym. Żadna argumentacja nie przekona mnie, że powinienem polubić ryby, bo są zdrowe, a zniechęcić czekoladę, bo nie jest zdrowa lub że powinna mi się podobać Kasia, a nie Jadzia. Ja to ja i chrześcijaństwo nie ma z tym nic wspólnego - chyba że chrześcijański personalizm przeciwstawimy buddyzmowi. Nawiasem: od chrześcijaństwa nie ma ucieczki na naszym obszarze kulturowym. Nawet ci, którzy z nim walczyli, przejęli rozmaite jego normy jako własne.

Chętnie mogę się dać sprowadzić na interesujący Ciebie teren, ale wymieniając myśli trzeba po pierwsze ustalić terminologię i określić różnice, bo różnimy się nawet w pojęciu duszy, gdyż to, co określasz jako duszę, dla mnie jest duchowością, a nie duszą i tak dalej, bo na duszy nie wyczerpują się różnice między nami, w pojmowaniu pojęć abstrakcyjnych. Po drugie przyznasz, że jakiegokolwiek prognozowanie z perspektywą 1000 lat jest tym samym, co wróżenie z fusów. Przypomina to owe XVIII wieczne prognozy, że Paryż zatka się za 100 lat końskimi odchodami na skutek intensyfikacji komunikacyjnej. Wiele odkryć, które nastąpi już w perspektywie 30 lat, zmieni kierunki rozwoju na coś zupełnie innego niż to, co możemy prognozować. Jeśli najbliższe 30 lat rozwoju, który podąża za funkcją dającą się symbolicznie wyrazić równaniem $a=X^2$ gdzie "a" symbolizuje prognozowane dokonania w jednostce czasu, a "X" dokonania przeszłe w porównywalnej jednostce czasu, to postęp w najbliższych 30 latach odpowiadać mógłby postępowi w 900 minionych latach. To wszystko oczywiście wyliczenie symbolizujące tendencję i nieprecyzyjne, więc się nie czepiaj - nie jestem matematykiem. Tak więc czy przed 900 laty mógł ktoś przewidzieć wpływ komputeryzacji i www na dzisiejszą technologię, pozwalającą nawet skomplikowane operacje chirurgiczne, przeprowadzać z drugiej połowy półkuli? Nie było ani jednej przesłanki, aby prognozować i to nie tylko komputeryzację. Zapis dźwięku był czymś niewyobrażalnym nawet w XVII wieku. Baron Munhchausen zapakował go do butelki,

co uchodziło za taką sama bujdę jak wyciąganie się samemu za włosy z bagna! Tak więc w tej chwili nie mam przesłanek na przewidywanie czegokolwiek i dalej niż na jakieś 30 lat. Za 1000 lat nawet użyte przez Ciebie słowo "manipulować" będzie zapewne czymś niezrozumiałym, a problemy, które wtedy będą trapić lub uszczęśliwiać ludzkość (o ile ludzkość jeszcze będzie istnieć), są niemożliwe do przewidzenia. Ja po prostu nie potrafiłbym przewidywać niczego na tak ogromną odległość. Moja wyobraźnia, wbrew temu co mi się przypisuje, nie ma charakteru manichejskiego ani Orwelowskiego, więc w mniejszym stopniu przewidywałbym rzeczy ponure, niż rzeczy nam mile, ale to najogólniej.

Moore to jeden z tych, których wpływ widzę u siebie w ogromnej ilości prac i którym zawdzięczam swoje widzenie kształtu. Mathieu był mi swego czasu bliski. Pomodoro nie znam.

U mnie najważniejsze roboty zostały wczoraj zakończone. Pan Krzysztof zdemontował moje sztalugi, by wykonać cięższą przeciwwagę (moja ma około 15 kg i czasami jest za lekka o jakieś pół kilograma). Może uda mu się to dziś zrobić. Chciałbym do niedzieli mieć wszystko zrobione, wysprzątane i wymyte, by móc zabrać się do malowania, ale nie wiem czy się to uda. Dziś przede mną przekładanie rzeczy, gdyż mam o 8 szuflad mniej niż miałem. To dosyć pracochłonna czynność. Po południu przyjedzie pan Krzysztof, o ile uda mu się na czas zespać przeciwwagę, i umocuje ją na nowej linie, bo stara po 25 latach zaczyna się przecierać. Zdzisław

Piątek, 30 sierpnia 2002, 18:46

Eksperyment powiódł się. Mogę czytać Twój tekst z polską czcionką bez żadnej konieczności odwoływania się do załącznika.

Tak i ja uważam: perspektywy, jakie otwiera zbliżająca się do mózgu nauka, są tak ogromne, że żadna, ale to żadna prognoza nie ma najmniejszej nawet szansy na zbliżenie się do czekającej nas prawdy. Co nie przeszkadza, że tak jak Ty chciałbyś byśmy pofilozofowali na temat duszy, nawet z góry wiedząc, że nigdy nie dotrzemy do sedna sprawy i nie znajdziemy odpowiedzi, tak i świadomość, że nic mądrego nie powiemy o przyszłym społeczeństwie nie przeszkadza mi na ten temat szukać rozmowy.

Co do pojęć, to nawet przedstawiając je w postaci wielce imponujących

znaków matematycznych nie uściłisz ich, bo ich uściślić się nie da. I to zarówno, gdy chodzi o duszę, jak i o przyszłość społeczeństwa.

Jedno tylko na temat tej przyszłości może być powiedziane z pewnością: jest nas już teraz za dużo na Ziemi i zanim doczekamy świetlistego 22-go czy 23-go (nigdy nie proponowałem wybiegać na 1000 lat naprzód, jak to sugerujesz) czekają nas ciężkie czasy. Bo jak jest dziesięć ust do jednej szklanki czystej wody, a nie ma już piędzi dzikiej sawanny, bo człowiek wymordował ostatnie dzikie zwierzę, z nadającego się do eksploatacji obszaru, to ciężkie czasy ominąć nas nie mogą. Tak więc, z utęsknieniem czekam na wielką wojnę atomową, w której wyginęłoby z 3 miliardy ludzi. Co wprawdzie oczyściłoby wodę i powietrze, i pozwoliłoby przyszłym pokoleniom jakoś zaistnieć, ale przy sposobności wyniszczyłoby całą przyrodę.

Poza tym, moje maltuzjańskie pragnienia nigdy nie miały i nadal nie mają szans uratowania nas od nacisku populacyjnego z tego względu, że żadna wojna, nawet atomowa, i żaden głód, nawet ten, który szykuje sobie ludzkość niszcząc ziemię, nie wytrzebi nadmiaru ludzkiego robactwa w liczących się proporcjach. Ten proces jest już nieodwracalny: ludzkości nie już nie może zwyciężyć, a więc, tak jak szczury czy myszy w Australii, będzie się przez najbliższe 50 lat rozplądzała w takim samym, jeśli nie w większym tempie, niż robi to dzisiaj. A tym samym doprowadzi do nieuniknionego konfliktu, który niczego nie rozwiąże.

Nie kryję, że problemy nacisku populacyjnego daleko bardziej zaprzatają mnie, niż poszukiwanie duszy.

Piotr

Sobota, 31 sierpnia 2002, 10:11

Wczoraj pracowałem z panem Krzysztofem do północy, a dziś jeszcze robiłem porządek, który w 50% zrobiłem, a co nie uporządkowane na razie wepchnąłem do schowków, bo za chwilę przyjedzie jego żona myć podłogi, sprzątać i prasować (wczoraj - jak co tydzień, odwalilem jeszcze pranie). Myślę, że od jutra będę już mógł pracować.

Co do tego 1000 lat, to nie powoływałem się na Ciebie, tylko na miłą

panią redaktor w TV. Ona jakby nie rozumiała, o co pyta.

No cóż: w swojej wizji świetlanej przyszłości, żywisz nadzieję na rzeź powszechną, której (tak twierdziłeś poprzednio) dokonałbyś, gdybyś miał po temu środki. Dlaczego absolutnie wszyscy, którzy chcą ludzkość uszczęśliwić, muszą zaczynać albo od wymordowania jakiejś jej grupy, albo choćby spowodowania, by jej liczba statystycznie zubożała? To jakiś niepojęty dla mnie syndrom. Hitler, Stalin, Mao, Pol Pot, a teraz Mułlowie, mieli i mają z reguły na uwadze szczęście przyszłych pokoleń, które oczywiście rozmaicie pojmują. Niewielu zresztą powołuje się akurat na Malthusa. Ty masz nadzieję na wojnę jądrową i głód, ale nie uwzględniłeś jeszcze śmiertelnych mutacji wirusów i innych atrakcji z repertuaru Pana lub Pani Śmierć. Jestem w swych wizjach nieporównywalnie bardziej łagodny i życzliwy. Nadmierną rozrodczość, za pięć dwunasta, powstrzyma internet i rzeczywistość wirtualna. Ludzie przestaną się mnożyć, gdy za parę dolarów będą mogli rznąć się z kim tylko zapragną i w sposób, który będzie absolutnie nieodróżnialny od rzeczywistości. Jeśli w ogóle rzeczywistość też nie jest już rodzajem rzeczywistości wirtualnej, jak twierdzi w swej książce A NEW KIND OF SCIENCE niejaki Stephen Wolfram, uznany za kontrowersyjnego geniusza (naraził się genetykom). To naukowiec, więc jako wielbiciel nauki, powinieneś się nim zainteresować. Tak czy siak ja prognozuję recepturę na upiorne wizje neo-malthusianizmu: seks wirtualny. Będzie też można posiadać wirtualne dzieci, jeśli ktoś z natury jest dzieciorobem. Być może na obszarze wirtualnego świata będzie sobie można utworzyć kolejny wewnętrzny wirtualny świat, a w nim jeszcze inne światy, jedne w drugich, niczym w rosyjskiej matryoszce. Na koniec nie będziemy już wiedzieli, w jakim świecie jesteśmy. O odżywianie i leczenie martwić się (już za głupie 100 lat) będzie system mniej rzucający się w oczy niż zegarek na ręce, który non stop pobierać będzie informacje z naszego organizmu i uzupełniać lub naprawiać to, co się da naprawić. Na pewno białko i inne potrzebne składniki żywieniowe będą możliwe do teleportacji. Będziemy w stanie zrezygnować z czasochłonnego, kłopotliwego i upokarzającego obowiązku jedzenia, ale kochające biesiadowanie obzartuchy będą tego mogły dokonywać w jednej z tysięcy wirtualnych rzeczywistości, w dowolny sposób, uzyskując taką samą satysfakcję jak w życiu, lecz nie nabierając tuszy. Jakoś życzliwiej odbieram taka wizję

przyszłości, niż konieczność zagłady nuklearnej. Zresztą jeśli o niej marzysz, a malthusiańskie lęki są jedynie pretekstem dla Dies Ire, to gdybyś dożył, będziesz mógł jej dokonać w jednym z wirtualnych światów o pięknej i wzruszającej nazwie Mordownia. Co daj Boże. Amen.

Zdzisław

Sobota, 31 sierpnia 2002, 12:28

1) Każdy daje upust swojemu sadyzmowi na swój sposób. Ty malując trupy, szkielety, groby, torturowane hakami i haczykami ciała. Ja bezlitośnie rządząc wymagowanym państwem, w którym jestem absolutnym władcą.

Jeśli myślisz, że jesteś pełen dobrych intencji, łagodny i liberalny, wzór dla demokratów i dla bogobojnych dewotek, to się mylisz. W Twoich obrazach wychodzi na wierzch umiłowanie w zadawaniu cierpienia. Sam żeś mi się zresztą kiedyś do tego przyznał, gdy Cię pytałem o inspiracje Twoich sadystycznych rysunków (zresztą przepięknych). "Po co samemu cierpieć jeśli można zadawać cierpienie innym?" powiedziałeś mi.

Nie bardzo wierzę, żeby wirtualne zabawy mogły zastąpić rzeczywiste, czy tymi zabawami byłby seks czy jedzenie. Przepojeni chrześcijańską ideologią, tacy jak Ty, nawet ateści strasznie głośno wypowiadają swoje opinie o nadrzędnej wartości człowieka. To się nazywa humanizmem i nosi się z dumą zadzierając nosa. Pełno tego w prasie. Tak należy pisać, tak należy myśleć, tak należy uczyć dzieci w szkole. Erazm z Rotterdamu. Nawet nagrodę Nobla można za to dostać. W związku z tym wszelka dyskusja o równowadze natury, o utrzymaniu proporcji pomiędzy ludzkim gatunkiem, a resztą żyjącego świata jest niemożliwa. Od razu Ci wyciągną Pol Potą czy Hitlera i będą Ci nimi machali przed oczyma. Człowiek jest tylko jednym ze ssaków, jednym ze zwierząt, a szerzej ujmując jedną z żyjących istot. Nie ma żadnego uprzywilejowanego miejsca na ziemi. Toteż powinien się podporządkować równowadze, jaką zachwiał wytępiając wszystko, co nieludzkie. Jego życie nie jest żadną świętością i powinno być zlikwidowane, jeśli zagraża ogólnej równowadze. Tak więc nie do Stalina czy do Mao mnie porównuj, bo nie o uszczęśliwienie człowieka

mi chodzi, lecz raczej do radykalnych ekologów, dla których przyroda jest większym dobrem, niż miliardy istot ludzkich. Wierz mi, że zabicie białego niedźwiedzia na polowaniu, czy byka na arenie, dla samej przyjemności zabicia go, boli mnie bardziej niż śmierć z głodu stu ludzi w Afryce.

W sumie nie zarzucaj mi, że mój umiłowany świat nosiłby miano Mordowni, bo właśnie o życie mi chodzi. O wszelkie życie, a nie tylko ludzkie. Ludzi jest za dużo. ZA DUŻO!

Piotr

Sobota, 31 sierpnia 2002, 14:07

W ciągu ostatnich kilku dni strasznie żeśmy teoretyzowali, tak iż powstał z tego galimatias, w którym w końcu trudno się rozeznąć.

Chciałbym (zapraszając Cię do zrobienia tego samego), żeby na koniec moje poglądy zostały ujęte w sposób zwięzły i prosty. Co wykaże, że są spójne i uporządkowane.

Jestem dzieckiem naszej epoki i jej problemami żyję. Tak więc, nie obchodzi mnie dawne, zjęłczale kwestie duszy, postrzegania rzeczywistości, subiektywizmu czy obiektywizmu, zapisanej czy nie zapisanej czarnej tablicy, Boga i wszystkich Świętych.

Jestem dzieckiem dzisiejszej epoki, bo jestem materialistą, empirykiem i jeśli ożywiają mnie jakieś marzenia to tylko to, żeby utrzymać równowagę przyrody oraz uszczęśliwić człowieka poprzez naukę.

Mówiłem już ze trzy razy: żadna rewolucja, żadna religia ani ideologia nie wyzwoliły kobiety do tego stopnia, do jakiego wyzwolił ją wynalazek proszku do prania i maszyny do zmywania naczyń.

Toteż nic ze mnie nie wyciągniesz nawiązywaniem do dawno przebrzmiałych problemów, które są mi zupełnie obce.

Natomiast jak uratować przyrodę choćby sztucznie, to znaczy zatrzymując przyrost ludności, albo poprzez ewentualną eutanazję (to się tak ładnie nazywa żeby nie mówić "mordując"), albo zakazując drugiego dziecka, jak w Chinach, albo wreszcie przeznaczając miliardy dolarów na to, by naukowcy jak najszybciej wynaleźli pigułkę antykoncepcyjną braną raz na

trzy lata - o to mnie interesuje!

Jak również interesuje mnie sposób w jaki nauka pozwoli przyszłym pokoleniom być szczęśliwymi, dobrymi ludźmi, a społeczeństwu spokojnym i przedsiębiorczym zbiorowiskiem. Wreszcie interesuje mnie, i to szczególnie, mój żal, że mnie już wtedy nie będzie.

Tylko ten nawrót do XIX wiecznego scientyzmu i do XVIII wiecznego kultu przyrody nie uważam za babranie się w przebrzmiałych problemach.

Piotr

Sobota, 31 sierpnia 2002, 14:08

Ad 1. Zaraz, zaraz. Nie mieszajmy pojęć. Skłonności i marzenia seksualne (sadyzm masochizm), to jedno. Realizowanie ich, to jednak coś innego. Tematy moich obrazów to coś jeszcze innego, bo oczywiście były i takie w których demonstrowałem - w sposób jawny lub częściowo ukryty - własne marzenia seksualne, ale - jak mi się wydaje - wyraźnie różniące się od tych haków i haczyków, które NIC z tym nie mają wspólnego (czyżbyś odczytywał mnie jak Jarecka, czyli wbrew temu, o co mi chodzi?). Zatem moje skłonności seksualne sadystyczno-masochistyczne (raczej masochistyczne, bo uwielbiam w wyobraźni być maltretowany) należą do świata wyobrażeń, a nie do świata zamiarów. Nigdy też nie były, nawet w najmniejszym zakresie, realizowane. Natomiast Ty w swoich wizjach przyszłości zademonstrowałeś zamiary i plany, choćby znajdowały się jedynie na obszarze teorii. W moim odczuciu jest to różnica diametralna. Pomińmy tu sprawy ideologii, humanizmu, moralności etc, bo niczego nie wnoszą do tematu dyskusji.

Jeśli kiedykolwiek - jak piszesz - użyłem określenia (nie przypominam tego sobie): "Po co samemu cierpieć, jeśli można zadawać cierpienia innym", to nie mogłem tego użyć w pierwszej osobie, bo po prostu tak nie myślę, ani nigdy nie myślałem! Może był to jakiś cytat? Może w podobnych słowach chciałem wyrazić coś innego, a Ty tego nie zrozumiałeś? Może to jest wyrwane z jakiegoś kontekstu? Zdanie takie jest mi do tego stopnia obce myślowo, że nie mogłem go wygłosić w trybie oznajmującym lub bez jakiegoś, wyjaśniającego jego użycie, kontekstu.

Ad 2. Jak widać wzajemnie nie wierzymy w swoje prognozy przyszłości.

Ad 3. Masz stuprocentową rację, że jesteśmy tylko elementem przyrody i jednym z gatunków, ale cechą ewolucji jest walka o przetrwanie. Wygląda trochę na to, że chciałbyś zadziałać jak pani Chunowska, czyli pokierować ewolucją. Pozwoliłbym ewolucji działać, nie stosując prostej kierownicy. Lwy pożerają antylopy. Ludzie pożerają świnie i woły. Bakterie i wirusy atakują jedno i drugie, czyli ludzi i zwierzęta. Jeśli ludzie będą musieli wyginąć, to wyginą, a jeśli wyginąć będą musiały misie panda, to wyginą - wszystko samo się dotrze bez planowego pomagania. Robienie skansenu na plus (zachowywanie), czy na minus (wytrzebiecie) jest (przynajmniej na dzisiejszym etapie rozwoju i samoświadomości człowieka) zabawą w ucznia czarnoksiężnika. Nie można zabronić ani lwu, ani niedźwiedziowi, ani człowiekowi, by bronili swego terytorium, bo jak słusznie zauważasz, jesteśmy jednym z gatunków i zachowujemy się tak, jak inne gatunki: pożeramy, niszczymy i może paradoksalnie przygotowujemy sobie własną zagładę. Oczywiście w ramach tego wszystkiego usprawiedliwione jest także to, co uważasz za swoje przekonania, jak też i to, co zwalcza Twoje przekonania. Świat to wielka zupa, która (nie jest to wykluczona - brak mi na to dostatecznej wiedzy) zgodna jest z modelem sieci przypadkowych stanów komplementarnych, jak tego chce wspomniany poprzednio Wolfram.

Nawiasem, to nie cierpię myśliwych i myślistwa jako sportu, więc choć pod tym względem jesteśmy zgodni.

Wracam do porządkowania. Obie panie (matka i córka) powoli kończą czterogodzinne mycie i sprzątanie stajni Augiasza - teraz będę musiał zająć się pożeraniem kurczaków z KFC - przecież też jadasz mięso? Przypominam sobie, że w Warszawie chodziłeś na golonkę.

Zdzisław

Sobota, 31 sierpnia 2002, 15:29

Mój Boże. Częstotliwość naszej korespondencji zaczyna mnie przytłaczać. Ledwie wysłałem odpowiedź na poprzedni mail, już po paru sekundach spłynął kolejny mail od Ciebie.

Przyjmuję do wiadomości to, co piszesz, aczkolwiek materializm i empiryzm to raczej właśnie poglądy poprzednich epok. Nie wiem na jakim podstawie przypisujesz je naszej epoce? Demokryt żył przed Chrystusem, a Grzegorz z Sanoka (hihi), który wszak miał ciągoty materialistyczne, to chyba XV wiek, z kolei empiryzm (zależy czyj) to wiek XVI i XVII. Nie sądzę, by podział, który zademonstrowałeś, dzielił epoki poprzednie od epoki dzisiejszej, lecz dzieli raczej ludzi według sposobu, w jaki postrzegają świat, to co nazywamy rzeczywistością oraz swoje miejsce w tym wszystkim. Powoływałeś się poprzednio, i to wielokrotnie, na Descartesa i przyjąłem ten fakt do życzliwej wiadomości. Nie posiadam kogoś jednego, na kogo mógłbym się powołać, ale od dawna wiem, że dzieli nas bardzo duże różnice w określaniu tego, co dla nas ważne, bo dla mnie ważne jest właśnie to, co nie daje się do końca zdefiniować, co mroczne, niepokojące i za mgłą. Nie pojmuję dlaczego taki stosunek do świata miałby być określany jako "zjelczaly", ale przypisuję to Twojej nieopanowanej chęci dokopywania potencjalnemu przeciwnikowi, choćby poniżając go słowami. Socjologię oczywiście poważam, ale nigdy mnie nie pasjonowała i chyba nawet nie z tego powodu, że spory odłam mej rodziny i przyjaciół to właśnie socjologowie. Nie wybiera się świadomie własnej wizji świata. W którymś momencie pojawia się jako rodzaj psychicznego fenomenu i potem przez całe życie jest tylko przebudowywana i rozbudowywana. To, co dalej piszesz o przyszłości i postulatywnym zakresie, w jakim Cię ona interesuje, nie zostawia już żadnego pola do dyskusji, bo - o ile Cię zrozumiałem, pozostaje już tylko zgodzić się lub zaprzeczyć. Problem podobny jak w ankietach, gdzie należy odpowiedzieć tylko TAK lub NIE i obie odpowiedzi wydają się błędne. Cóż więc mam odpowiedzieć? Chyba tylko tyle, że tak jak każdy, masz prawo do własnych poglądów.

Zdzisław

Sobota, 31 sierpnia 2002, 21:03

Rzeczywiście nasza korespondencja stała się zbyt częsta. Wynika to z tego, że objam się i nie mogę zabrać do pracy nad moją książką. Przypominam, że o ile ja atakuję PROBLEMY, które Cię nurtują jako

"zjęlczale", o tyle Ty MNIE określasz jako "umysł z betonu" czy "wiadomości na poziomie Discovery".

Piotr

Sobota, 31 sierpnia 2002, 22:41

Jeśli użyłem w stosunku do Ciebie takich określeń, to jest mi przykro i bardzo przepraszam. Mam kompletną pustkę w głowie, ale skoro tak mówisz, to tak musiało być.

Zdzisław

Niedziela, 1 września 2002, 17:06

Nawiązuję do Twojego zapytania w formie zarzutu, czyżbym interpretował Twoje malarstwo tak, jak je odczytuje publiczność i ta "...", dziennikarka z "Gazety Wyborczej", zamiast je odczytywać zgodnie z Twoimi intencjami, które przecież znam.

Na ten temat wypowiedziałem się obszernie w mojej książce "Zmagania...". Toteż dziś wyrażę tylko kilka uwag.

To, że świadomie nigdy nie miałeś sadystycznych myśli nie znaczy, bo Ty sam, który interesowałeś się Freudem przyznajesz, że twórczość uzewnętrznia zboczenia seksualne, które są właśnie zepchnięte.

Ale u Ciebie jest to również świadome, jak o tym świadczy jedna z naszych rozmów, która wyglądała mniej więcej tak: pytałem Cię o inspirację Twoich rysunków. Początkowo odpowiedziałeś mi, że miałeś skłonności masochistyczne, lecz że potem doszedłeś do wniosku, że fajniej byłoby męczyć niż być męczonym. Nie pamiętam już dokładnych słów, których użyłeś, ale treść była dość wyraźna. Źle zrobiłem, że nie nacisnąłem Cię wówczas, żebyś powiedział coś więcej na ten temat. Bo jest to punkt istotny, nad którym wielu będzie się zastanawiało, o ile Twoja twórczość zostanie nareszcie uznana, tak jak jest tego warta. Mimo, iż wypierasz się teraz sadyzmu, a przyznajesz tylko do masochizmu (nie wiem zresztą dlaczego, bo robisz to tak, jakby jedno miało być mniejszą winą

niż drugie, a przecież ani jedno, ani drugie żadną winą nie jest, dopóki się jawi tylko w twórczości artystycznej), to Twoje malarstwo, aż prosi się o psychoanalizę w poszukiwaniu Twoich zbroczeń seksualnych, które nawet przed sobą samym w części (bo przynajmniej się do jednego, lecz wypierasz drugiego) starałeś się ukryć.

Piszę to nie po to, by Cię o cokolwiek oskarżać, bo jak powtarzam zarówno jedno jak i drugie zbroczenie nie mają dla mnie żadnej koloracji moralnej, skoro nie prowadzą do przestępstwa. Mogą oczywiście śmieszyć, ale mnie one nawet nie śmieszą, bo z własnego doświadczenia wiem, że wszystko, co dotyczy seksu, jest jednocześnie śmieszne i przepotężne. Tak, iż raczej podziwiam Cię, że byłeś w stanie opanować się i ograniczyć do fantazmów.

Dziwię się jednak, że jak dotychczas żaden z psychoanalityków, którzy znają Twoją twórczość, nie pokusił się o pooglądanie jej pod tym kątem, ani że Ty nigdy ku temu nie pchnąłeś.

W Paryżu spotkałem się z dwoma psychoanalitykami, których ogromnie poruszyłeś (choć znam blisko i trzeciego, który jest malarzem amatorem i który mimo tego, a może właśnie dlatego, absolutnie jest na Ciebie nieczuły). Jeden z tych psychoanalityków kupił Twój obraz, konia zbudowanego z ludzkich ciał (i zapłacił samymi dwusetkami, co pozwoliło nam z żoną domyślić się, ile u niego kosztuje wizyta). Drugi chciał koniecznie coś kupić tanio, ale ponieważ wtedy jeszcze nie posiadałem Twoich rysunków, więc nie kupił nic.

Może kiedyś jakaś redakcja, zamiast wysyłać Ci setnego dziennikarza, by zadał Ci po raz tysięczny te same stereotypowe pytania, pokusi się na wysłanie psychoanalityka. Ten powiedziałby może nareszcie rzeczy ciekawe. Tak więc, niech Cię nie dziwi fakt, że nie ulegam Twoim namowom, by patrzeć na Twoją sztukę jako na grę form i kolorów, bo nie wynika on z mojej tępoty i trudności nauczenia się lekcji. Po prostu uczeń wyzwolił się już spod wpływu profesora i ma dzisiaj na jego nauki swój własny, wręcz odwrotny pogląd, który można wyrazić tak: prócz niewyraźnego piękna i wspaniałej techniki, w Twoich obrazach jest śmierć, jest okrucieństwo, jest tajemnica, jest cierpienie, jest seks. Jest wszystko to, czego się wypierasz, a co tak mnie w nich zachwyca. Wszystko to, co mądrze i uczenie wyłożyłby nam psychoanalityk, a co ja wyrażam dwoma sło-

wami, gdy patrzę na Twoje obrazy: "Piękne i NIESAMOWITE!" Gdyby tylko chodziło o formy i o kolory, gdyby nie ta cała gruba warstwa podświadomych treści, które są mi bliskie, to z pewnością nie miałbym dzisiaj Twoich 174 obrazów. A jednocześnie Ty nie miałbyś rzeszy tak zaciętych wrogów jak ta "... z Gazety wyborczej.

Piotr

Poniedziałek, 2 września 2002, 11:45

Wszystko to bardzo ciekawe i wiele wnosi.

Osobiście przy niczym się nie upieram, a raczej pytam. Jest mi absolutnie obojętnym, czy w Twoim zбочeniu przeważa sadyzm, czy masochizm. Ja osobiście jestem jak ten byk, który rznął liczne krowy w sposób zacięty, lecz bez polotu i wszystkie takie fantazmy są mi obce. Czy przeważa tendencja do duszenia, czy do bycia duszonym, to raczej Twój problem. Ważnym jest dla mnie to, że Twoje malarstwo to żyzny grunt do poszukiwań psychoanalitycznych i to, że Ty sam sobie z tego doskonale zdajesz sprawę. Lecz moim zdaniem Twoje skłonności seksualne są tylko małym skrawkiem wszystkich podświadomych pulsacji, które się objawiają w Twojej sztuce. Wprawdzie oryginalny trend psychoanalizy na ten właśnie seksualny motyw kładzie największy nacisk. Ale psychoanaliza dzisiejsza daleko zdaje się wykraczać poza tę dość ciasną sferę poszukiwań. Toteż nadal chciałbym, by ktoś fachowy, kto widzi sto innych wpływów na podświadomość niż tylko seksualne, "poczytał" Twoje malarstwo. Jest to temat na pracę naukową, nie dla historyka sztuki, bo Ci są zazwyczaj za głupi i za nudni, lecz dla psychoanalityka. Może się kiedyś ktoś o to pokusi.

Wspomnę tylko, że ja w mojej naiwności zaszedłem kiedyś do katedry historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim i zaproponowałem pewną sumę pieniędzy, w formie stypendium, dla kogoś, kto napisałby pracę habilitacyjną o Tobie. Zostałem odesłany z kwitkiem i z ironicznym uśmiechem kogoś, kto zdawał się szczególnie nie cierpieć tego, co robisz. Na tym się moje propozycje stypendium habilitacyjnego skończyły. Ale w myślach nadal mi to krąży.

Musiałoby to być napisane tak, jak napisał o Tobie pewien tutejszy esteta (bo nie jest to ani krytyk sztuki, ani artysta) w książce "Peintres du fantastique", którą bardzo pięknie wydał. Jednocześnie trafiając w sedno napisane jest to na najwyższym artystycznym poziomie. Wprawdzie zajmujesz tam tylko jedną stronę i jeden tylko Twój obraz jest tam reprodukowany, ale jest to literatura na francuskim, najlepszym poziomie. Kiedyś, gdy przyjadę do Polski samochodem, to Ci te grube tomisko przywiozę i pokażę, bo jest to wspaniały album, nagrodzony szeregiem wydawniczych nagród.

Piotr

Poniedziałek, 2 września 2002, 14:09

Dowcip polega na tym, że o mnie pisano już chyba kilka prac, czasem student czy studentka podsuwał temat profesorowi, ale najczęściej temat podsuwany jest przez adiunkta, czy kogoś w tym stylu, bo niezależnie od tego czy lubi to, co robię, czy też tego nie cierpi, uzyskuje w ten sposób bez wysiłku dostęp do niektórych informacji i materiałów, które w przyszłości mogą się potencjalnie przydać do pisania jakiegoś wiekopomnego dzieła o sztuce polskiej. Po prostu studenci odwalają za niego część roboty. Te prace studenckie z reguły są przeciętne i chyba żywiłeś wtedy nadmierne nadzieje na coś, czego byś i tak nie dostał. Oczywiście istnieje coś takiego jak psychologiczny obraz twórcy, ale w końcu liczy się twórczość, a nie obraz twórcy. Może on liczyć się dla psychologa. Zbyt łatwo utożsamiamy pewne cechy wyobraźni twórcy z jego życiem. Gdy Max Brod napisał, że Kafka sporo wiosłował na kajaku po Węłtawie, bo chciał sobie wyrobić mięśnie - entuzjaści Kafki uznali to za świętokradztwo. Kafka i kajak. Kafka i mięśnie. Nie do pomyślenia. Mieli już przepis na Kafkę, mieli jego smutne fotografie, na których pasował do przepisu, a tu nagle taka herezja. Każdy ma psychikę, ale dlaczego psychika twórcy miałaby być ciekawsza od psychiki głównego księgowego spółdzielni mleczarsko-jajczarskiej w Pcimiu, którą nikt się nie interesuje, a może być bardziej pokręcona niż psychika twórcy. Myślę, że istotne są dzieła, a nie życiorys. Ileż to razy musiałem bronić Dostojewskiego przed atakami,

że nie cierpiał Polaczków, lub że ocalił życie, bo podpisał współpracę z Ochroną. Liczy się to, co i jak napisał, a cała reszta jest drugorzędna. Tymczasem ciągle kręci się kretyńskie filmy typu "Chopin, pragnienie miłości" tak jakby istotne było z kim pieprzył się i co jadał Chopin. Istotna jest jego muzyka i jego geniusz, ale to trudniejsze do przedstawienia niż alkowa i jadalnia.

Próbowałem wczoraj i dziś przerobić obraz i jest chyba - w moim odczuciu - lepszy niż był, ale nie bardziej kolorowy. Wzmocniłem przeciwwagę po prawej i podniosłem trochę wizualność niektórych detali. Koloru nie sposób zmienić, bo trzeba by chyba raz jeszcze malować od początku. Bóg z nią. Moim zdaniem nie jest to zły obraz. Jeśli kupi to fajnie, ale jak zaczniesz grymasić, to sprzedam komu innemu.

Zdzisław

Poniedziałek, 2 września 2002, 00:08

Boże. Dochodzisz wręcz do wniosku, że lękam się interpretowania moich skłonności jako sadystyczne i dlatego wciskam wszystkim, że mam skłonności masochistyczne. Na dowód przytaczasz jakąś naszą rozmowę, której nie pamiętam, ale wiem, że musiała być inna niż opisujesz i moje intencje zostały źle zinterpretowane lub źle zrozumiane, a moją pewnością w tym zakresie można wyjaśnić takim oto teoretycznym przykładem: gdybym Ci przytoczył z pamięci jakąś rozmowę, z której by wynikało, że opisałeś mi własne skłonności do nekrofagii, to nie musiałbyś jej pamiętać, by wiedzieć na 100%, że nic takiego mówić nie mogłeś. Jeśli czegoś nie pamiętam, ale prawdopodobnie mogłem to powiedzieć (tak jak dwa niegrzeczne określenia, za które wczoraj przeprosiłem), to nigdy się nie wypieram, ale czasami jestem czegoś na 100% pewien, tak jak ostatnio tego, że nigdy nie wiązałem żadnych nadziei na nieśmiertelność w oparciu o klonowanie i zawsze mój punkt widzenia był taki, jaki ostatnio uściśliłem.

Teraz mały wstęp teoretyczny. Jak wiesz sadyzm i masochizm noszą w psychiatrii wspólną nazwę algolagnia i dzielą się na algolagnia activa i algolagnia passiva. Z reguły występują łącznie z tym, że jedna z ten-

dencji dominuje. W sytuacji posługiwania się wyłącznie marzeniami, nie można tych tendencji oddzielić laboratoryjnie od siebie, gdyż sadysta wczuwa się w rolę ofiary, a masochista w rolę kata i odbiera podniety z obu kierunków.

To by był wstęp teoretyczny, który zresztą na pewno jest Ci znany, ale którego nie mogłem pominąć.

Jeśli idzie o mnie, to w okresie sadystyczno-analnym (do ca 8 roku życia) musiałem się zetknąć z jakąś sytuacją, prawdziwą czy wyimaginowaną (czasami jakbym trafiał na pewne ślady i wtedy opisuję to sobie w Dzienniku, ale nie sposób teraz tego odszukać, a od nowa opisywać Tobie mi się nie chce z powodu trudności dyslektycznych), która spowodowała powstanie u mnie skłonności masochistycznych, tym niemniej prawdopodobnie na skutek wstydu (do dziś to dla mnie wstydliva sprawa, a w dzieciństwie pozwolić się maltretować "babie", to byłaby wręcz hańba - wszak powszechnie panował kult twardziela) o wiele łatwiej było mi się przyznawać do składowej sadystycznej. Nie miałem okazji wykazać się nadmierną wyobraźnią w zakresie sadyzmu: marzenia, by kogoś zgwałcić etc, były raczej niezbyt inspirujące - czułem, że tu leży obszar pobudzenia, ale nie pociągało mnie to specjalnie do marzeń - no bo czyny były na 100% wykluczone z racji wychowania, silnej niechęci do gwałtu i bardzo silnego poczucia groteskowości wszystkiego, co byłoby teatralną realizacją marzenia przy pomocy osoby umówionej. Gdy stykałem się w literaturze lub w opowieściach z problematyką masochistyczną lub nieświadomie postrzeganą jako masochistyczna (np. fotografia kobiety z pistoletem w ręce - pamiętam takie zdjęcie jeszcze z okresu wojny domowej w Hiszpanii), odczuwałem wzburzenie, które prawdopodobnie było efektem zepchnięcia problemu w podświadomość, ale nic więcej z tego nie wynikało. Olśnienie nadeszło, gdy byłem już człowiekiem dorosłym i od wielu lat prowadziłem normalne życie seksualne, a nawet Tomek był już na świecie. Mogłem mieć około 35-36 lat. Nie wiem już dziś czym zainspirowany, wykonałem rysunek gołej kobiety siedzącej okrakiem na twarzy związanego mężczyzny, którego odrzucona do tyłu głowa jest przytroczona do stołka, a ciało w przykłęku na podłodze i trzymającej w rękę bykowiec, czy coś w tym stylu. Musiało być to w drodze kolejnych przybliżeń, czy typowych u mnie poszukiwań najlepszego roz-

wiązania, ale nagle pierdolnęło mnie w leb. Trzęsącą się jak w febrze ręką, usiłowałem bezskutecznie wykończyć rysunek (...) Przez co najmniej dwa tygodnie od tego momentu chodziłem jak oglupiały, ponawiałem w kółko podobne rysunki, nawet w trakcie pracy w fabryce, miałem tym wyladowaną głowę do tego stopnia, jak niczym dotąd. Oczywiście bodziec działał coraz słabiej, ale do dziś działa silnie. Nawiasem mówiąc od tego momentu uświadomiłem sobie, że można coś ukryć przed sobą samym w podświadomości, ale i tak nagle się przebiję. Pisałem o tym przed rokiem czy dwoma do Ciebie, ale kompletnie to zlekceważyłeś. NIGDY nie spróbowałem tego w praktyce z powodów jak wyżej: to byłoby żenująco komiczne, a nie podniecające. Całość pozostała na zawsze w wyobraźni, ale oczywiście w wyobraźni mogą być, zarazem lub na zmianę, człowiekiem maltretowanym, kobietą, która uzyskuje satysfakcję seksualną maltretując i w końcu zabijając mnie oraz obserwatorem sytuacji tak, jakby to robiły dwie inne osoby. Możliwe, że taki stereotyp wytworzył się w wyniku umiejętności rysowania i robienia rysunków, a nawet obrazów, w których oczywiście zawsze były dwie inne osoby. Uprawiałem potem nadal regularnie stereotypowe życie seksualne i w ogóle, w świecie realnym, byłem w sferze seksualnej skrajnie banalny. Wymarzone piekło pojawiała się i pojawia nadal w marzeniach. Osobiście mam teraz, począwszy od tamtego momentu rozdarcia się zasłony, bardzo silną niechęć do wyobrażania sobie sytuacji, w której ja jestem stroną agresywną. To zawsze było u mnie słabe i w momencie olśnienia zostało zagłuszone tym, co mi naprawdę w duszy gra, niczym strumyk wodospadem. Właśnie to musiałem Ci kiedyś wyjaśniać, ale zrozumiałeś to całkiem na opak.

Haki na obrazach i rysunkach nie mają z moimi skłonnościami seksualnymi nic wspólnego. Były rysunki i obrazy, w których zademonstrowałem swoje skłonności na 100% w sposób oczywiście mniej lub więcej "artystyczny", ale tym niemniej nie ukrywający tendencji (choćby kiepski technicznie obraz, przedstawiający ukrzyżowanego, któremu okraciem na twarzy siedzi facetka, dusząc go dodatkowo zadzierzgniętą na szyi pętlą - kupił go ode mnie Banach), po jakiego więc diabła miałbym wykręcać się lub ukrywać przed sobą te elementy, a konkretnie haki, które uważasz za materializację podświadomych potrzeb sadystycznych. Jeśli bym takie potrzeby miał, to też bym je ujawnił i to z mniejszymi o niebo oporami,

niż przyszło mi z masochizmem. Owe haki w całości powstały pod wpływem rysunków Tadeusza Brzozowskiego i nigdy się tych młodzieńczych wpływów nie wypierałem. W dniu dzisiejszym, po licznych przekształceniach, stanowią element formalny (scalanie) i szukanie w nich skłonności sadystycznych to taki sam błąd, jak szukanie we mnie chęci epatowania widza horrorem z filmów grozy. Dlatego powołałem się na Jarecką. Zdaję sobie sprawę, że sadyzm, szczególnie w stosunku do kobiet, jest bardzo popularny, szczególnie w internecie, gdyż zaledwie w jednej na sto z witryn poświęconych BDSM, znajduję coś potencjalnie w moim guście, a reszta zostawia mnie obojętnym. Po jaką cholerę miałbym się akurat tego wypierać! Przecież stawiałoby mnie to w końcu w bardziej komfortowej społecznie i socjologicznie sytuacji, niż moje faktyczne skłonności. Ograniczenie się do fantazmów - jak piszesz - nie było z mojej strony wyrzeczeniem, lecz obawą przed komizmem sytuacji wyreżyserowanych. To, co przychodzi mi do głowy, ma zawsze jakiś dłuższy scenariusz i ten scenariusz jest infantylny, bo bazuje na wyobraźni nastolatka. Nasza cała wyobraźnia erotyczna - o ile w ogóle ją posiadamy - bo ogromna ilość ludzi różnie po prostu tak, jak byk krowę i ani w głowie im jakieś wyobrażenia, więc nasza cała wyobraźnia powstała, gdy mieliśmy nie więcej jak 12 lat i jest infantylna, i dlatego się jej wstydzimy. Realizowanie scenariusza opartego na wyobraźni małolata, byłoby czymś żenującym dla człowieka dorosłego i uchodzącego za wyrafinowanego estetycznie.

Możesz oczywiście nadal uważać, że wszystko to słowa, a Ty trafiłeś na moje faktyczne ukryte skłonności. Nie mam na to rady, by Cię przekonać, że okres ukrywania przerabiałem już osobiście i mam go za sobą, a światło oświeciło mnie jeszcze w połowie lat 60-tych. Parokrotnie o tym do Ciebie pisałem, może nie tak obszernie jak obecnie - dziwię się, że to spłynęło po Tobie jak woda po gęsi i nadal wiesz swoje.

Aha. Bardzo proszę o nie używanie tego, co wyżej jako tematu do zabawiania życzliwych słuchaczy z Polski i w Warszawie, podobnie jak to zrobiłeś przed rokiem czy dwoma, opowiadając, że Beksiński lubi jak mu się siedzi gołą dupą na twarzy. Ludzie generalnie są naiwni seksualnie i wszystko to tylko doda mi w ich opinii "zamiłowania do horroru" i epatowania widza.

Zdzisław

Poniedziałek, 2 września 2002, 16:46

Przeróbka jest możliwa do wykonania po dwoma wszakże warunkami:
Dokumenty po przeróbce będą pisane czcionką Lucida Casual...
Niżej tekst skonwertowany:

Drogi Panie!

Warszawa, 15.1.84

Dostałem przed chwilą list z dnia 3 stycznia oraz protokoły podpisane i do podpisu. Podpisałem więc i odsyłam, ale osobiście jestem raczej za techniką "weksli fotograficznych", bo będzie ona najbardziej przejrzysta dla nas obu. Po krótko [nie mam dziś jakoś nastroju do pisania - palec mnie poza tym boli gdy piszę - jakiś ból reumatyczny] odpowiadam na inne, poruszone w liście kwestie. Szkice ołówkowe do obrazów: Niby w zasadzie nie mam jakiegoś kapitalnego sprzeciwu, tyle że nie bardzo rozumiem, po jakiego diabła Panu te szkice, a po drugie ja tego mam straszną (chyba) kupę wymieszaną z rozmaitych okresów, nawet w przybliżeniu nie dałoby się określić co z jakiego okresu [a Pan zaraz zacznie mnie męczyć i uściślać - już teraz słabo mi się na myśl robi], a poza tym z tym wykorzystaniem też nie jest tak prosto, bo czasem są szkice na lewej stronie i na prawej: jedne wykorzystane, inne nie, a poza tym pojęcie wykorzystania nie jest bynajmniej tak jednoznaczne, jakby z pozorów wyglądało, bo szkic jest jakby początkiem obrazu, który potem rozwija się według własnych reguł i ponowne sięgnięcie do tego samego szkicu, na pewno nie zaowocowałoby takim samym obrazem, a czasami nie zaowocowałoby nawet podobnym. Jest to coś, co można by porównać do szyby i kwiatów z mrozu. Ta sama szyba, w tych samych warunkach i przy tym samym mrozie pokryje się za każdym razem innymi kwiatami, mimo iż tak zasady te i archetypowa, jak też i styl będzie najprawdopodobniej zbliżony. Tak więc musiałbym najpierw sortować te wszystkie szkice pod kątem ich "absolutnej" dla mnie nieprzydatności, a dopiero potem przeznaczać je dla Pana, co byłoby robotą zapewne mniej efektywną finansowo niż malowanie obrazu, szczególnie gdy się zna mój nieustanny brak Decyzji Ostatecznej i nieprzeparte trudności w jej podjęciu. Zapewne (jak znam siebie) skończyłoby się to rodzajem nerwicy i po

bezpownotnie straconym czasie złożyłbym wszystko tak, jak było i napisał, że się wycofuję z koncepcji sprzedawania tego. Co oczywiście nie znaczy, że to ma jakąkolwiek wartość. Jest to raczej wartość potencjalnie...inaczej: wartość zapładniająca. Gdy sobie przeglądam stare szkice, to zawsze za coś się zaczepię i zaczynam malować.

Przeraża mnie Pańska nadzieja w "wypalenie" wystawy i sukcesy finansowe. Czyżby Pan był spod znaku skorpiona? Tak czy siak jest Pan jedyną furtką, lejkiem, bramą czy jeszcze inaczej, przez którą (który) przejdzie cała moja przyszła twórczość, więc nawet gdyby szaleńcy mieli ochotę kupować moje stare kapcie i wypijać wodę z wanny, w której się kąpałem, to tak kapcie jak i woda będzie sprzedana poprzez firmę Dmochowski, z godziwym zyskiem, ustalonym w naszych spisanych umowach. Niechże jednak Pan poskromi własne szaleństwo w tym konkretnym momencie historycznym - już raczej sensownie byłoby zaopatrzyć się w butelki do butelkowania owej wody kąpielowej - może Lourdes ma coś na z byciu?

Odbitki z czarno-białych negatywów. O Jezu! Jeszcze poczekajmy. Przecież to już w żadnym wypadku nie wzrośnie w cenie. O ile kiedykolwiek na to się zdecyduję, to i tak zdecyduję się za darmo, ale na razie ciężko mi podjąć decyzję.

Wreszcie sprawa pytań, na które mam na taśmie udzielić odpowiedzi. O właśnie: Jak tylko trochę poluzowałem, to przestał się Pan wysilać. Uroczę to pytanie "po co malować". Takie pytania padają w trakcie wywiadów, ale normalnie obchodzę się z nimi bez cienia litości. Przebił Pana Kuduk z polskiej telewizji w latach siedemdziesiątych, gdy po trzech godzinach ustawiania mnie i sprzętu [osiem osób: Kuduk, operator, asystent operatora, dźwiękowiec, kierownik produkcji, dwóch elektryków i kierowca furgonetki telewizyjnej, który przyszedł się pogapić jak robią film] powiedział: "proszę się nie denerwować, powie Pan coś jak to pan potrafi o "sensie śmierci", a w momencie gdy pan Felek przewoźkuje kamerę do białej kreski, wstanie pan, jakby nigdy nic i zacznie, obróciwszy się do nas profilem, opisywać obraz, który wisi na oknie". Ten obraz ma Pan teraz w Paryżu i kupił go Pan od Szydły: taki tłum i niesione czy pływające nad nim gondole. Od tego, jak pamiętam, zaczął się film. Siedzę wymęczony na stole na tle okien zasłoniętych obrazami i w oczach mam strach zaszczutego zwierzęcia, po czym zaczynam coś bełkotać drżącym głosem o treściach mych obrazów, reszta to

po pomieszanie z poplątaniem, zresztą w montażu chyba sporo odcięto. Na pytanie typu "po co malować" nie odpowiadam. "Skazi diadia kak żyt" chyba z Wujaszka Wani, nie?

Widziałem wczoraj filmy Dziworskiego, wymieniliśmy papiery uwierzytelniające i obiecał mi, że nie każe mi goło biegać po parkingu przed naszym blokiem, ani skakać na nartach. On lubi zimę i kręcić chce w zimie i na każdym jego nieomal filmie jest zima. Gdyśmy przyszli do wytwórni naokoło też leżał śnieg i było minus 13 stopni, dla mnie jest to stan, w którym zaczynam umieranie! Gdy na dworze jest czterdzieści stopni plus i świeci słońce, to zaczynam czuć się dobrze i brakuje mi do pełnego szczęścia najwyżej jeszcze dodatkowych 10 stopni w górę. DOPISEK NIECZYTELNY Na widok śniegu [nawet na filmie] zaczynam chorować tak, jak inni na kanale la Manche. Dziworski natomiast kocha zimę - już czuję, że mi da popalić!!!

Pięknie pozdrawiam - chyba ten cholerny samochód na ropę sprzedam za pół ceny - nieustannie nim o coś lub o kogoś zaczepiamy, gdyż jest: za duży, za szeroki, po maluchu to katorga - ludzie bredzili, że większe samochody łatwiej się prowadzi - zawsze wydawało mi się to podejrzane, ale teraz już wiem na pewno, że nieporównywalnie gorzej. Być może na autostradzie, ale po co jechać na autostradę - samochód służy do tego, by jeździć po mieście i parkować tam, gdzie nikt się nie wciśnie. Przed godziną oderwaliśmy pół zderzaka i trzeba będzie znowu odtańczyć cały rytualny taniec przed: PZU, Wartą, Pewexem etc, na myśl o którym wolalbym oblać pudło benzyną i spalić ku większej chwale bożej. Każdy z tych zabiegów biurokratycznych wygryza czas - administrowanie sobą i swoim "dobrem" kosztuje więcej czasu niż Normalne Życie.

Na szczęście udało mi się już spisać ten akt notarialny i podarować mą sanocką nieruchomość skarbowi państwa. O tyle jestem lżejszy!!! Pięknie pozdrawiam.

Aha, aha! W Warszawie wyliczył Pan, po odliczeniu obrączek, że na moim koncie jest jeszcze 5400 FR plus piwo w Pańskiej piwnicy [ale proszę je wysłać zanim się zepsuje], teraz pisze Pan o 5000. (?) Wprawdzie te 400 to niewiele, ale Pański pokorny sługa jest człowiekiem ubogim, mimo iż rozda je nieruchomości oraz rozbija samochody i dlatego proszę o skorygowanie. OK? Ukłony....

Beksiński

Poniedziałek, 2 września 2002, 18:07

Jeszcze jedno zapomniałem dodać:

przy konwersji mogą być problemy ...

Co do uciekania od psychologicznej interpretacji, to wcale od niej nie uciekam, ale jestem zdania, że obrazami malowanymi przez pana XYZ można się posłużyć w celu wykrycia ewentualnych kompleksów, czy też traum pana XYZ, jednym słowem w celu wyleczenia go - natomiast nie wnosi to nic do samej interpretacji obrazu. To - co jak piszesz: "jest niewyrażalne, a może być przebogate" jest wyrażone w obrazie w sposób doskonalszy niż umożliwiałaby to psychoanaliza, bo jak sama nazwa wskazuje służy ona do analizy psychiki, a nie sztuki. Ja sam nie wiem dlaczego panicznie lękam się pajaków, w czym nie ma cienia racjonalizmu, bo to pajak winien się lękać mnie i doskonale o tym wiem, ale to w niczym mi nie pomaga.

Aha: Przestańmy obaj używać terminu "dusza", bo jak widzę wprowadza on ciągle nieporozumienia. To termin całkowicie nieścisły i ja używam go sobie z braku innego terminu dla określenia szerszej ponadczasoprzestrzennej manifestacji tego, czego czasoprzestrzenną manifestacją jesteśmy my. W tym ujęciu telefon (jak pisałeś) także ma duszę albo raczej jakaś dusza manifestuje się u nas jako telefon. Nie jest to jednak pojęcie przyjęte powszechnie, lecz moje osobiste, ale wydaje mi się, że w licznych religiach przetrwało (po kim?) i w jakiś kaleki sposób manifestuje się właśnie takie wyobrażenie duszy z tym, że jest zbyt skomplikowane dla ludu i bywa upraszczane jako dusza nieśmiertelna, wędrownka dusz etc. W żadnym ani moim, ani religijnym przypadku, duszą nie jest intelekt, wrażliwość, wartości duchowe, etc. Tu raczej bardziej by mi odpowiadało określenie duch. W duchu, duch czasu, uduchowiony, duchowość, siła ducha etc.

Zdzisław

Niedziela, 8 września 2002, 23:06

Jeszcze raz wyrażam mój najwyższy podziw dla Twojej wystawy fotografii w Zachęcie.

Piotr

Środa, 11 września 2002, 10:51

Jesteśmy już w Paryżu i wszystko jest w porządku. Pobyt w Polsce był krótki, ale przyjemny. Zjawimy się prawdopodobnie znów w Warszawie na Wszystkich Świętych. Czy w końcu Dziopakowa kupiła od Ciebie architekturę?

Piotr

Środa, 11 września 2002, 12:41

O Boże jak spadło mi dziś ciśnienie. Nawet NESCA nie pomagała. Położyłem się zdrzemnąć przed godziną 12, bo nie byłem w stanie malować. Zaraz jednak zbudziły mnie dzieciolki z kawalerki księżnej gospodyni, które zaczęły coś skuwać.

Tak, oczywiście sprzedałem architekturę - w końcu prosiła o jej namalowanie i obiecała, że kupi. Po Twojej opinii o kolorach, miałem wątpliwości takie, jak z tym listem (że się nie wywiązałem), ale obie były pełne entuzjazmu dla obrazu, więc zostałem podbudowany, że może nie było aż tak źle. Koniecznie chciały kupować dwa obrazy - także tę pólśiedzącą małą i kolorową damę w wysokich obcasach i musiałem się wić, by się wykręcić, bo już w myślach przeznaczyłem ten obraz na prezent dla znajomej pani, której się cholernie podobał. Tak więc postawiły przede mną bojowe zadanie, bym namalował dla nich "podobny piękny" obraz. Inne, które mam, są chyba "piękniejsze", ale klienci na których one liczą, mają swój określony gust, a o gustach wypowiedzieli się już Starożytni Rzymianie. Dziś rano poszedł za darmo następny obraz (profil) na Aukcję Wielkiego Serca. Dostałem drugi z kolei (pierwszy od Brata Alberta) brązowy posążek jako stały sponsor, który jeszcze bardziej oszpecił zwieńczenie

mej szafy. Wesole jest życie dobroczyńcy! Miło wspominać Wasz pobyt i pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Czwartek, 12 września 2002, 21:28

Co z tym Twoim ciśnieniem? Byłem dwa dni poza domem w sprawach zawodowych w Aix en Provence i nie pytałem wcześniej.

Piotr

Czwartek, 12 września 2002, 23:33

Nie bardzo mogę odpowiadać, bo mam od rana założonego holtera, którego zdejmą mi jutro i w związku z tym unieruchomione częściowo lewe ramię. Jutro mi to zdejmą, ale od rana mam szereg robót, więc odpowiem chyba pojutrze. Cześć.

Zdzisław

Piątek, 13 września 2002, 21:32

Wczoraj miałem założonego holtera, a dziś jestem dla odmiany cholerne senny, bo holter nie pozwolił mi spać, i mimo iż rano go zdjęto, to cały dzień poświęciłem na rozmaite sprawy techniczne i administracyjne, bo nie byłem w stanie ani wczoraj, ani dziś pracować. Co do mojego ciśnienia, o które pytałeś, to od lat leczę nadciśnienie pod kontrolą szpitala kardiologicznego w Aninie. Niezależnie jednak od licznych środków obniżających ciśnienie i wywołujących ubocznie codzienny, słaby lecz upierdliwy ból głowy - czasami ono ponadnormatywnie rośnie, a czasami ponadnormatywnie maleje, co spowodowane jest zapewne różnymi czynnikami zewnętrznymi, z których głównym jest pogoda, ale też stres, irytacja, jakaś przelotna inna choroba etc.

Wczoraj przyniesiono mi wywiad zrobiony dla bezpłatnego miesięcznika wydawanego przez EMPiK (EMPiK news), w którym dziennikarz prze-

robił po swojemu moją wersję autoryzowaną, dodając do niej fragmenty wersji nieautoryzowanej i przerabiając w wielu miejscach styl. I co mam robić? Nie jest aż tak źle jakby mogło być, ale zamiast stylu lekkiego i dowcipnego mamy styl wypracowania szkolnego z poprawną gramatyką i szereg kwestii jest sformułowanych w sposób całkowicie niejasny. Chyba przestanę udzielać wywiadów, a tu znowu mam kolejną propozycję wywiadu-rzeki w wydaniu książkowym. Mam już sam siebie i wszystkiego całkowicie dość.

Zdzisław

Sobota, 14 września 2002, 19:10

Przyznaję, że potrafisz być dowcipny. Zazwyczaj czyimś kosztem, ośmieszając ludzi i szydząc z tego, co dla Ciebie zrobili.

Co do lekkości stylu, to mam pewne wątpliwości. O ile Twoje listy od czasu, gdy je piszesz na komputerze i poprawiasz są jaśniejsze, a zdania krótsze, o tyle dawniej, gdy jeszcze pisałeś na maszynie, wszystko było zawile, zdania niekończące się, a do nich dorzucane były dopiski ręczne. Ale głównie zastanawia mnie jak pogodzić Twoją programową i wszystkim serwowaną skromność, z Twoim samozachwytem nad lekkością i dowcipem Twego stylu.

Boję się trochę tego Twego wywiadu-książki, o którym wspominasz, bo będzie to konkurencja dla Twoich listów, które po Twojej śmierci myślę opublikować. Ale w końcu jakoś tego wywiadu-rzeki zależeć będzie od Twego rozmówcy. A jeśli będzie to człowiek inteligentny, to może z tego wyjść coś klawego, bo mimo krytyk, jakie kierują pod Twoim adresem, to ani rozumu (dalekiego od betonu), ani oczytania (ponad poziom Discovery) Ci nie odmawiam.

Piotr

Niedziela, 15 września 2002, 09:25

Pojęcia lekkość stylu i dowcip bywają względne. Co do nas obu, to mamy

raczej rozmaite poczucie humoru. Niewiele z moich dowcipów trafia lub trafiałoby do Ciebie i podobnie jest w przeciwnym kierunku. Co do stylu listów i stylu tekstów, to są to jednak rozmaite sprawy. W listach czasami chodzi nie tyle o dowcip i lekkość, co o unikanie logicznych sprzeczności i możliwości dwojakiej lub wielorakiej interpretacji. Dotyczyło to wielu listów do Ciebie, bo zajmowały się z reguły różnicą zdań. Dyskutując z człowiekiem o innym poczuciu humoru, nie mogłem sobie w nich pozwalać na humor, który natychmiast byłby interpretowany niezgodnie z moimi intencjami. Co do lekkości. W wywiadzie przerabiam czasami toporny, a czasami tylko poprawny lub nawet niepoprawny tekst, informujący o tym, co zrozumiał wywiadowca z tego, co powiedziałem i na ile udało mu się to sformułować, bo przecież drukowany wywiad to zaledwie 1/20 z tego, co zostało powiedziane! Posłałem Ci raz przykład surowego tekstu. Głównie idzie mi o styl i on mnie najczęściej razi w tych "wypracowaniach". Nie wycofuję się z tego, co powiedziałem, lecz prostuję rzeczy, które albo zostały niewłaściwie zrozumiane i potem streszczone, albo też źle usłyszane i wychodzą na nonsens. W końcu Tobie trafia się to od czasu do czasu. W swojej książce piszesz gdzieś np., że powiedziałem, iż daję Ci jakiś rysunek Cost and lost, a ja powiedziałem Kostenios czyli za darmo i była to pewna ironia do sytuacji oraz pewna (przepraszam) "lekkość stylu", której nie dostrzegłeś, a więc w swym tekście całkowicie zagubiłeś. To się powtarza w każdym wywiadzie, bo poczucie humoru i ironii różne jest u różnych ludzi, a także u różnych narodów, w różnych kulturach i w różnych środowiskach. Nawet polskie wyrazy są przekręcane na skutek nie dosłyszania przy spisywaniu z taśmy, a nazwy własne, to już wręcz śmiech na sali. Po to jest w końcu autoryzacja! Poza tym słowo mówione nie przekłada się bezpośrednio na słowo pisane. Zanikają nie tylko dygresja, ale zanika gestykulacja, mimika, kontekst pytań i odpowiedzi. Chyba, że ktoś, tak jak minister rolnictwa, udziela w wywiadzie tylko informacji resortowych - może to robić okrągłymi zdaniem i bez dygresji. Ja wywiad traktuję jako swobodną ROZMOWĘ, a nie jako zestaw informacji o pracy resortu. I to by było na tyle. Pozdrawiam. Zdzisław

Niedziela, 15 września 2002, 11:44

W moim wczorajszym mailu była pewna nuta zazdrości. Bo przyznaję, że Twoje najlepsze listy to te, w których sobie podkpiwasz z ludzi. A ja niestety dowcipu nie mam za grosz. Ograniczało mi to przez całe życie powodzenie u kobiet, które o wiele lepiej dają się podrywać na śmiech, niż na przemądrzałe wywody. Otóż moja potrzeba kobiet była przemożna i stale nienasycona. A tu z powodu poważnej miny, co próba, to porażka. Był taki facet, który spotykał się z moją starszą siostrą. Nie wymienię jego nazwiska, bo mógłby poczuć się dumny, gdyby to kiedyś przeczytał, a tego nie chcę, bo go nie lubię. Z rozdziawioną gębą patrzyłem jak z łatwością nawiązywał kontakt z kobietami, jak był śmieszny, jak potrafił nawet niezręczne sytuacje obrócić na swoją korzyść i wszystko zamienić w żart. Gdy wchodził do pomieszczenia, w którym siedziało milcząco i nudząc się pięć osób, natychmiast wszyscy się ożywiali, zaczynali ze sobą rozmawiać, a on wodził rej i śmiech.

Tak jak mój najstarszy brat zawsze mi imponował namaszczeniem, z jakim opowiadał różne historie, które ludzie słuchali wisząc mu na wargach, tak ten luby mojej siostry, pokazał mi jak łatwo jest poderwać, prawie każdą panienkę, na dobry żart i jak być powszechnie (z wyjątkiem przeze mnie) lubianym.

Tak więc, jak najbardziej zachęcam Cię do utrzymywania tonu Twoich najlepszych listów (tylko nie moim kosztem, błagam), bo już mi się widzi wydanie naszych listów i zaraz czuję święty zapal.

Piotr

Niedziela, 15 września 2002, 19:37

Na moim e-mailu znalazłem przed chwilą zaproszenie na wernisaż od jakiejś czeskiej galerii, której nie znałem. Przesyłam Ci ich adres, bo jest tam kilku dobrych rysowników i Anderle, którego bardzo z Anią lubimy i którego mamy szereg grafik.

Rzuć okiem. www.galerieart.cz

Piotr

Niedziela, 15 września 2002, 20:32

Niektóre prace znam z oryginałów (Brunowsky). Rzeczywiście jest sporo ciekawych, a przynajmniej na takie wyglądają, bo jakości trzeba się domyślać, jako iż standard internetu nie nadaje się do pokazywania sztuki. To, co najcenniejsze, diabli biorą. Pozostaje najogólniejsza informacja.

Cały dzień przeciekl mi między palcami. Najpierw kolega z wizytą, a potem klienci z Waszyngtonu, którzy być może kupią jutro obraz, o ile bank wypłaci im forszę, czego nie są pewni. Twoja koleżanka po fachu (prawnik polskiego pochodzenia) z mężem Amerykaninem i ośmiomiesięcznym dzieciakiem, który najbardziej dał mi się we znaki, bo nie kontaktuję z dziećmi. Jestem kompletnie wyżęty.

Postawiłem sprawę tego wywiadu ostro. Zawsze jestem ugodowy, ale tym razem napisałem, że w EMPiKu nie wystąpię i nie będę podpisywać książki. Przeprosiłem wydawcę, ale wyjaśniłem, że nie mogę. Rzadko bywam wkurwiony, ale to mnie wkurwiło. Dostaję mailem tekst. Siedzę nad nim pół dnia lub dłużej, odstawiając na bok malowanie. Wysyłam mailem do redakcji z nagłówkiem jak byk: TEKST AUTORYZOWANY, a oni drukują tekst nie autoryzowany i to nawet nie ten, który przysłali mi do autoryzacji. Są tam te same fragmenty, które autoryzowałem (ale nie autoryzowane) i kupa innych kwestii, których mi nawet mi nie wysłano. Czy ponownie mam się jak zwykle oblizać i powiedzieć, że nic nie szkodzi? Naprawdę: tego już za wiele. Potem jakaś Jarecka będzie mnie cytować, wytykając jaki to jestem głupi.

Pozdrawiam. Zdzisław

Niedziela, 15 września 2002, 21:16

Tytułujesz: "drugi list". A gdzie pierwszy? Nic nie dostałem.

Ta marna jakość reprodukcji malarstwa, a nawet rysunku w internecie powoduje, że nie bardzo się mogę zdecydować na otwarcie wirtualnej galerii. Prowadziłem wprawdzie na ten temat długą wymianę e-mailowej korespondencji z Sołtyskiem. Nawet zgodziłem się na zaproponowa-

ne mi przez niego logo i już uzgodniliśmy wspólnie, jaki będzie ogólny schemat. Po czym, usłyszawszy wysoką cenę, jakiej zażądał, zastanowiłem się czy warto. Bo przy lichej jakości przekazu włądować w to następną forszę i znów nie mieć żadnego rezultatu? Chyba poczekam do czasów, gdy w internecie jakość obrazu będzie podobna do obrazu w moim telewizorze Banga i Olufsena. Na nim jest on tak jak w lustrze - idealny. Tak, iż oglądanie obrazów i w ogóle muzeów i wystaw w telewizyjnych reportażach, stało się dla mnie atrakcją od czasu, gdy kupiłem sobie cały sprzęt tej firmy. Żaden Grundig, żaden Sony czy inny Telefunken nie reprodukuje tak idealnie malarstwa.

Mam nadzieję, że nadejdzie niebawem chwila, gdy będzie można internetem zwiedzić wszystkie muzea świata w sposób, który nie będzie odbiegał od zwiedzania ich na filmach nagranych na najlepszej błonie.

A propos: widziałem wczoraj w telewizji reportaż z nowej Pinakoteki w Monachium. Jak zwykle jej zawartość niewiele mnie poruszyła, bo są to nowoczesne klasyki, wszędzie te same i w większości dla mnie nie interesujące, bo marne albo takie, które znam już na pamięć, bo nam je tu serwują przy każdej okazji. Ale architektura muzeum wydaje mi się ciekawa. Po zobaczeniu najpiękniejszego gmachu, jaki kiedykolwiek wybudowano na ziemi (myślę o muzeum w Bilbao. Jeśli na Wszystkich Świętych przyjadę samochodem to Ci przywiozę album) i po zwiedzeniu przed kilkoma miesiącami nowej Tate Gallery w Londynie, która również zawiera prace nieinteresujące, a czasem nawet idiotyczne, za to jest imponująco ogromna, teraz zdecydowaliśmy się obejrzeć architekturę nowo otwartej Pinakoteki w Monachium. Jeśli Ania nie zmieni zdania, to wyjedziemy tam w przyszły piątek. Przejedziemy przez Szwajcarię, gdzie chcemy zobaczyć muzeum Giger w Gruyere.

Moje wykłady zaczynają się dopiero za miesiąc, tak, iż do tego czasu chcę porobić kilka wycieczek na prawo i lewo, a zwłaszcza pojechać po Niemczech, by pooglądać moje ulubione malarstwo Nowej Obiektywności, którego jest tam pełno, a które w większości znam tylko z albumów. Wprawdzie od przedwczoraj pokazują w Pompidou Maxa Beckman'a, oczywiście od razu się tam udałem, to jednak to nie jest to. Bo po pierwsze, on jest dość marginalny w tym prądzie i mało reprezentatywny. A na dodatek jego najmniej z nich wszystkich lubię. Dwa lata temu na połu-

dniu Francji, w Fundacji Maeght, widzieliśmy najlepszego z nich, Otto Dix'a. Ten to Ci był malarz! Było to coś równie zachwycającego jak najlepsze Twoje wystawy.

W tym roku, w tej samej Fundacji, widzieliśmy, jak Ci to już pisałem, doskonałą wystawę rzeźb i rysunków Henry Moore'a, którą zepsuł mi ten dureń w czerwonej koszulce, z którym pokłóciłem się o miejsce na parkingu.

Piotr

Niedziela, 15 września 2002, 22:58

Wina za jakość nie do końca leży po stronie internetu i komputera. Jest po prostu zamierzona. Na komputerze można uzyskać obraz przekraczający jakość najlepszego telewizora i to nawet standardu HD, czyli dwa razy wyższego niż PAL lub SECAM. Standard HD ma 1025 linii pionowo, a gdy pracuję nad grafiką mój monitor po obniżeniu jakości do jakości roboczej, ma ich 1200. Za niską jakość obrazów w internecie ponosi winę nadmierna kompresja i nadmierna miniaturyzacja plików. Wystarcza to do pornografii, ale nie wystarcza do grafiki. Pliki większe otwierałyby się czasami za wolno. Czyli praktycznie można przesłać plik przewyższający wielokrotnie to, co można uzyskać na najlepszym telewizorze, ale linie przesyłowe internetu są zbyt zapchane i przedłużałoby to czas otwierania się pliku, wobec czego pliki są miniaturyzowane i dodatkowo kompresowane "stratnie" tzn. z pogarszaniem jakości w funkcji stopnia kompresji. Jak będziecie w Warszawie, to chętnie zademonstruję Ci jak to działa. Na pierwszy rzut oka wygląda, że w pliku nie skompresowanym i skompresowanym widzi się to samo, ale przy dokładnym oglądzie widać, na ile rzecz została pogorszona i kosztem czego to nastąpiło. Oczywiście działa tu jeszcze najprawdopodobniej copyright. Z dobrych plików można by było drukować dobre albumy, a tego nie chcą autorzy zdjęć, które w internecie są bezpłatne i łatwe do ściągnięcia.

Wysłałam raz jeszcze kopię listu wysłanego rano. Dziwi mnie, że nie dotarł, ale czasami listy docierają z opóźnieniem nawet o dobę.

Zdzisław

Poniedziałek, 16 września 2002, 12:45

Chciałaby dusza do raju tzn. chciałbym mieć manualnie taką łatwość klepania w klawisze, jaką miałem jeszcze przed 15 laty. Niestety moja dysleksja uniemożliwia mi takie pomysły. Najchętniej jeszcze gadam do kamery, bo scripta manent, a obrazów nikt nie rejestruje w pamięci, o ile w tej mnogości informacji w ogóle je zauważy.

Do południa kotłowałem się przy pakowaniu obrazu - w końcu pani prawnik zapłaciła i zabrała, a ja nadal nie mogę się zabrać do pracy, bo na 13:30 zapowiedział się POLSAT z jakąś migawką "o prowokacji" w sztuce. Do kamery można gadać. Na szczęście jeszcze nie doszło do problemów z artykulacją, ale wszystko przede mną.

Zdzisław

Poniedziałek, 16 września 2002, 18:37

Ciekaw jestem, który obraz sprzedałeś polsko-amerykańskiej prawnicze?
Piotr

Poniedziałek, 16 września 2002, 20:49

Nie bardzo miałem co zaoferować, bo większość obrazów była jeszcze nie zreprodukowana, inne pokryte gelem, niektórych zaś nie chciałem się na razie pozbywać, więc w ogóle ich nie pokazałem i do wyboru były tylko dwa. Ten, który kupiła i którego zdjęcie wysyłam* i postać kobiety w pozie takiej samej jak "dama z flakami". Oba w tym samym formacie. Wybrała jak wybrała, a raczej jej amerykański małżonek wybrał, bo interesują go podobno moje deformacje dłoni i mięśni. Mówiłeś, że o ile ten obraz oznakowany VI znajdzie się na aukcji w Krakowie, to abym Cię zawiadomił (planowałem jeden z dwóch, prócz niego do decyzji był też profil). Niestety los ułożył to inaczej. Dziopakowa, gdy brała architekturę, chciała też kupić kolorowy obraz, który mam przeznaczony na prezent

i zaczęła molestować bym namalował "równie piękny" obraz dla galerii. Ja się wykręcałem jak mogłem i wtedy nieostro poprosiła, że o ile nie namaluję czegoś piękniejszego, to może by kupiły w przyszłości obraz V1, ale nie na 100%. Gdy więc przyjechali z Krakowa po obraz na aukcję Wielkiego serca, dałem im profil, zatrzymując obraz V1 z myślą o Dziopak, bo potrzebowałem w perspektywie forsy. Gdy nagle pojawiła się pani z USA, miałem tylko dwa obrazy do zaoferowania, a ponieważ Dziopak nie rezerwowała "na beton", a tylko "o ile", to sprzedałem obraz V1, gdy go pani prawnik wybrała, bo dostałem gotówkę, a nie wiem ile pochłoną roboty przy kawalerce. Oto sprawozdanie jak na świętej spowiedzi.

Zdzisław

* obraz do zobaczenia na stronie nr XXX

Poniedziałek, 16 września 2002, 21:03

To żałuję...

Piotr

Wtorek, 17 września 2002, 11:57

Błąkając się po internecie znalazłem stronę: "fantasticart.tripod.com". Jesteś tam obficie reprezentowany. Strona jest ogromna i obejmuje szeroki wachlarz malarstwa fantastycznego. Jeśli jej nie znasz to zajrzyj, bo moim zdaniem jest wartościowa i solidnie zrobiona. Kto ją robił i w jakim celu nie wiem, bo gdy staram się im przesłać e-mail z kilkoma zapytaniami, to mi internet odpowiada, że ich adres nie istnieje.

Żałuję, że sprzedałeś ten obraz amerykańskiej prawniczkce, bo miałem na niego ochotę. Ale może coś fajnego namalujesz do naszego przyjazdu na Wszystkich Świętych, to sobie powetujemy.

Piotr

Wtorek, 17 września 2002, 13:54

Wszedłem tylko na tą stronę, ale nie wiedziałem, jak stamtąd dojść do galerii obrazów, tym niemniej uzyskałem informację, że strona wygasła. Takie strony robią zwykle zapaleńcy całkowicie bezinteresownie. Dla niektórych jest to metoda opiniotwórczego zaistnienia (tak jak własny dziennik), która po pewnym czasie (o ile zamontowali licznik odwiedzin), w efekcie słabego uczęszczania, staje się dla ich twórców obojętna. Może za czas istnienia takiej strony trzeba coś płacić albo jakoś to podgrzewać? Nie wiem. Nigdy nie chciałem mieć własnej strony, bo musiałbym odpowiadać na liczne listy, a tego obecnie nie lubię z powodu dysleksji. Strona Tomka pod tytułem KRYPTA zrobiona przez jakiegoś entuzjastę ma bardzo duże powodzenie, bo do tej chwili odwiedziło ją 57.535 osób. Zwykle ilość odwiedzin stron nie pornograficznych (o ile jest licznik) nie przekracza ca 183 lub 215 osób. Mnie też robiono strony, ale to nie ja robiłem, tylko zawsze ktoś z entuzjastów. Niestety nie mam liczników. W zależności od techniki szukania, niektóre przeszukiwarki układają strony według częstotliwości odwiedzin, a inne według dokładności w relacji z pytaniem. Ta dokładność też bywa rozmaicie definiowana. W polskiej wersji przeszukiwarki Google mam, w zależności od tego, czy szuka się pod Beksinski czy beksinski, ponad lub poniżej 3000 informacji - część z nich o Tomku (nawet jego głos jest na wielu plikach MP3), a część o innych Beksieńskich. Wiele z tego to tylko nazwisko w jakimś tekście, ale np., w innej polskiej przeszukiwarce (zapomniałem: albo Interia albo Wirtualna Polska) jest na nazwisko Beksinski ponad 27.000 informacji, ale, być może, gdy w jakimś tekście jest 7 razy moje nazwisko, to wyszukiwarka traktuje to jako 7 dokumentów. Nie wiem. Czasem, jak się nudziłem, to próbowałem szukać czegoś interesującego o sobie, ale to beznadziejne poszukiwanie. Jakiś Koreańczyk, czy Chińczyk zrobił animację z moich prac p.t. Hommage a Beksinski (Twój tytuł!) pod adresem: http://www.poowa.com/here/beksinski_yiew.htm
Trzeba trochę poczekać i sama się uruchomi. Pozdrawiam
Zdzisław

Środa, 18 września 2002, 08:14

Ależ Piotrze! W uniwersalny sposób odstraszasz mnie od strony, którą propagujesz. Przecież wiesz, bo wielokrotnie to mówiłem i pisałem, że jak ognia unikam oglądania dzieł kolegów po fachu, bo tracę wtedy do reszty wiarę w siebie, która potrzebna mi jest do pracy.

W nagraniu dla POLSATu przedwczoraj musiałem stanąć w obronie jakiejś dziewczeczki z Wybrzeża, która wycięła dzieło przedstawiające fotografię fiuta na krzyżu i podobno grozi jej proces i dwa lata. Nie uwierzę, że znajdzie się choć jeden równie głupi sędzia, by wydać taki wyrok, ale sama sprawa jest mocno w stylu Chomeiniego. Dzieło raczej nie rzuciło mnie na kolana, o ile w ogóle je zdążyłem obejrzeć, gdy przed pół rokiem mignęło mi na monitorze. Przy okazji nawiązałem do - moim zdaniem wybitnych - aranżacji Catellano, takich jak papież pod meteorytem, czy modlący się Hitler, bo papież przed rokiem też był w Polsce przyczyną skandalu. Ludzie po prostu są prymitywni i widzą tylko symbole, a nie dostrzegają emocji. Ci od swych delikatnych uczuć, które nieustannie narażone są na obrazę, żyją w doskonałej symbiozie z tymi, którzy je obrażają. Jedni bez drugich nie potrafiliby funkcjonować. Gdyby wszyscy: od pedofilii poprzez grubasów, aż po członków Al Kaida zaczęli się obrażać... No ale tak właściwie jest. Nie pojmuję tego. Ja jestem trochę jak byczek Fernando w tym całym gąszczu zaciekłości. Dobra. Powiedziałem, co do mnie należało. Przy okazji Rushdiego wypowiedział się przed laty Miłosz, który oczywiście stawał w jego obronie: książka kiepska, facet chciał ewidentnie dokopać Muzułmanom, ale co ma robić tzw. intelektualista czyli tzw. sumienie tzw. świata? Pieprzona Political Corectness.

Zdzisław

Środa, 18 września 2002, 13:53

Podepnę Cię na duchu mówiąc, że nie masz się co obawiać konkurencji kolegów po fachu, bo może trzech z nich (Henricot, Nerdrum i Hernandez) mogą się z Tobą równać. Tak więc możesz śmiało obejrzeć

stronę internetową, do której Cię zapraszam, bo raczej Cię to podeprze psychicznie, niż pognębi. Co nie przeszkadza że, jak mówię, strona jest poważna i reprodukuje to, co robi się najlepszego w dziedzinie malarstwa fantastycznego i to od wieków.

Tu znów proces pisarza, który napluł na islam. Cały Paryż w sądzie i skrajna prawica w koszulkach z napisem "wolność słowa". Wprawdzie katolicka prawica nie strzela, a fundamentaliści muzułmańscy podkładają bomby, ale i jednych i drugich mam w dupie.

Co do fiuta na krzyżu, to wisi mi on obojętnym kalafiorem. Te problemy są tak mi obce i tak obojętne mi są wszystkie wiary (prócz tej, którą żywię dla nauki, która zresztą jest taką samą wiarą jak każda inna), że nawet w formie anegdoty nie potrafię o tym rozmawiać. Co mnie to obchodzi? Czyżbym dobrze usłyszał: instalacje przedstawiające papieża przygniecionego meteorytem i modlącego się Hitlera wzbudziły Twój zachwyt? To chyba żart? Jeśli tak, to znaczy, że tak samo Cię można kupić na gówno artysty w konserwie jak tą swołocz, z Pompidou i innych Zamków Ujazdowskich.

Piotr

Środa, 18 września 2002, 15:01

Mnie też wisi to martwym kalafiorem, ale jeśli stanę oko w oko z kamerą i padnie takie pytanie, to podobna odpowiedź potraktowana byłaby jak unik. To typowe pytanie z ankiety, na które trzeba odpowiedzieć tak lub nie, nie ma trzeciej ewentualności. Pytanie jest w istocie pytaniem: czy jesteś za wolnością słowa, czy przeciw. Osobiście nie cierpię nikogo drażnić, w tym także skrajnej prawicy i muzułmanów, i nie przepadam za prowokatorami co najmniej tak samo jak za tymi, których prowokują. Ale postawiony wobec kamery, nie mam szans na odpowiedź inną niż tak lub nie. A więc jestem za wolnością słowa. Ot co.

Co do tzw. instalacji i sztuki typu Centrum Pompidou, to tak jak w każdej sztuce, obserwuję działanie kompletnie dla mnie odległe (Opalka, Bałka etc) które na mnie w ogóle nie działa, niezależnie od tego, czy jest "nowoczesne" czy nie i działanie, które wywołuje we mnie mniejszy lub

większy rezonans, też niezależny od tego, czy jest "nowoczesne", czy nie. Jeśli sam czegoś takiego nie uprawiam, to dlatego, że chcę malować obrazy, bo to mnie bawi i chcę, by po mnie zostały w domach i muzeach, bo zapewnia mi to iluzję przedłużenia życia (dlatego tak wkurwiała mnie idea palenia - podobnie wkurwiłaby faraona idea spalenia jego mumii), ale to nie znaczy, że nie czuję emocjonalnie innej twórczości, jeśli oczywiście nie jest ona ode mnie stylistycznie odległa (zimna, intelektualna). Jeśli coś mnie drażni, to podział sztuki według kryteriów łączących wartość z nowoczesnością i klasyfikujących dzieła według zasady: nowoczesne, a więc dobre, eklektyczne, a więc złe, co jest od stu lat powszechnie przyjętą metodą krytyczną dla ubogich duchem. Można było zrobić kiepski i dobry happening, można zrobić kiepską lub dobrą instalację. Jeśli tego nie robiłem i nie robię, to TYLKO dlatego, że nie da się tego zachować (choćby w formie przestrzennego hologramu) i zostają tylko kiepskie zdjęcia trzyczlorowodorowych fotografów i pisane opinie głupawych krytyków, którzy "rozumują" według zasady jak wyżej.

Zdzisław

Środa, 18 września 2002, 19:38

I mnie obce jest kryterium współczesności i tradycji. Ogromnie cenię Szajnę, choć swego czasu był ultranowoczesny. Kupiłem od niego szereg prac. Przed chwilą wyszedłem z dwóch wystaw, w tym Zadkina, który też jest "nowoczesny", a który ogromnie mi się podoba. Nie powracam już do słów uznania i zachwytu dla Moore'a, o którego wystawie Ci pisałem, choć jest on również bożyszczem hołoty z Centrum Pompidou. Sam kupuję Szalka, Szurka, Czesnika, Rouland czy Guenier, choć są "nowocześni". I tak dalej. Nowoczesność nie przeszkadza mi w niczym. Tak jak nie przeszkadza mi w niczym tradycja.

Jednak, gdy piszesz, że spodobała Ci się instalacja papieża pod meteorytem lub modlącego się Hitlera, to zdajesz się należeć do tych, którzy dają się nabrać na gówno artysty w konserwie (Manzoni). Ja rozróżniam sztukę (nowoczesną czy tradycyjną, mniejsza z tym) od nabijania facetów w butelkę. To coś zupełnie innego. A przedstawianie papieża pod mete-

orytem lub modlącego się Hitlera, to są to po prostu chwytym jarmarczne. To właśnie nabijanie w butelkę odpustowymi trikami. Takie triki mogą zadziwić gawieź, która w ogóle nie ma wrażeń estetycznych i której wszystko może wmówić ktoś, kto cieszy się autorytetem. Ale równie naiwne manewry mnie się nie imają.

Ja również posługuję się jednym tylko kryterium w rozpoznawaniu wartościowej lub nie wartościowej sztuki. Ale jest to kryterium, którego się nie wstydę i nie boję się zarzutu, że zubożam nim pojęcie estetyki. To kryterium zamyka się w krótkim pytaniu: piękne czy nie piękne?. To wszystko. Może być to ukrzyżowanie z dwóch kawalków zbutwiałego drzewa niejakiego Stroubla, tak jak to sobie ostatnio kupiłem za półtora tysiąca euro. A może to być wylizany, klasyczny portret młodego mężczyzny z rękawiczką Tycjana, o którym marzę. Piękne lub nie piękne. To wszystko.

Chwyty polegające na zamknięciu w puszcze gówna Manzonię, ready made Duchamp, czy monochromy Klein'a uważam za obrazę sztuki. Tak jak uważam za obrazę sztuki chwyt papieża pod meteorytem, czy fiuta na krzyżu.

O ile filozofia traktuje o prawdzie, o ile moralność traktuje o dobru, o ile prawo traktuje o sprawiedliwości, o tyle sztuka traktuje o pięknie. Jeśli coś nie jest piękne, to nie jest dla mnie sztuką, nawet jeśli jest pomysłowe, nowe, zaskakujące, współczesne, jedyne, przemyślane etc.

I to dlatego nienawidzę tej hołoty z Centrum Pompidou. Nienawidzę jej za to, że sprowadziła sztukę do odpustowych, czy cyrkowych przedstawień. Nowoczesność nic mi nie przeszkadza. Wręcz odwrotnie. Ale robić ze mnie dumia, wystawiając koło od roweru (Duchamp) w najpoważniejszym muzeum w Londynie, lub w tym samym muzeum wystawiając dren od studni (Bałka) jako obiekt sztuki - tu mam ochotę walić w mordę. Tak jest z większością tak zwanej sztuki conceptualnej. Co myśl i rozum mają wspólnego ze sztuką? Niech koncepty wymyślają filozofowie. To ich robota, a nie artystów.

Na koniec powiem Ci komplement: druga wystawa, którą dzisiaj obejrzałem, otwarta od wczoraj w Musee d'Orsay to ogromna panorama nazwana "Od Velasqueza do Maneta". Miała to być jakaś próba wykrycia stylu hiszpańskiego, któremu jakoby hołdowali nie tylko sami Hiszpanie, ale

również i niektórzy Francuzi. Bo tam niby, panie, dużo czerni, tematy starców lub nędzarzy, ekspresja etc.

Pic na wodę fotomontaż. Ani mnie nie przekonali o istnieniu stylu hiszpańskiego, ani nie wywołali westchnienia zachwytu.

Stokroć wolę Twoje malarstwo i stokroć bardziej podziwiam Twoje umiejętności malowania niż Velasqueza (którego tylko dwa maleńkie obrazki po piętnaście centymetrów kwadratowych każdy, tak naprawdę mi się podobaly), Goi, Maneta czy Moreau (bo oni tam nawet wtrynili Moreau, Ingres'a i kilku innych, ani od Sasa, ani od lasa). I to nie dlatego, że cienko kładziesz farbę, tak jak to robił Tycjan, lecz dlatego, że gdy patrzę na Twoje obrazy lub na obrazy Nerdruma (które właśnie są malowane grubo, tak jak czasami u Rembranta), to aż mi się serce unosi. A tu była nuda, drewniane postacie, martwe ręce, skamieniałe twarze i puste oczy.

Piotr

Środa, 18 września 2002, 20:35

Trudno się zgodzić z tym, co piszesz. Ja też w końcu nie twierdziłem, że papież i Hitler należą do najwybitniejszych rzeczy, jakie widziałem. Moja akceptacja obu prac wynikała ze sposobu, w jaki to odebrałem. Gdy poinformowano mnie przed rokiem czy dwoma o skandalu w Zachęcie, nie widziałem w ogóle instalacji, a tylko przeczytawszy o tym, wyrobiłem sobie zdanie, że ktoś postanowił zamieszać w Polsce i doskonale mi się to udało, oszołomy zlapały przynętę, a twórca, mając skandal na własnym koncju (o co już niesłychanie trudno na początku XXI wieku), ma otwarte drzwi na salony artystyczne. Około roku potem zobaczyłem kolorowe fotografie jak to wyglądało i instalacja mi się po prostu spodobała. Zrobiła na mnie wrażenie. Co ja jestem temu winien? Miała w moim odczuciu o wiele szerszy wymiar ekspresji niż nadali jej zarówno klakierzy, jak i przeciwnicy. Potwierdziła to praca z Hitlerem, którą widziałem w jakimś piśmie i w internecie, i o której przeczytałem opis. Też w moim odczuciu miała szerszy wymiar niż tylko heca. W każdym razie te obie prace demonstrowały typ ekspresji zupełnie inny niż to, co robią w Polsce, bo u nas wszystko (razem z Bałką i Kozyrą) jest bez jaj. Nawet rock. Przed

wielu laty chciałem zrobić Chrystusa z wyrazem wściekłości na twarzy i z kałasznikowem w rękach. Zastanawiałem się nawet jak technicznie wykonać strumień giłz. Jak widać jakieś tego typu treści we mnie siedzą i stąd zapewne pozytywna ocena obu prac, ale mnie też nie zależało na skandalu. Czulem w tym emocję, której nie umiałem wyrazić słowami. To wszystko co umiem na ten temat napisać.

Zdzisław

Piątek, 20 września 2002, 21:39

Mieliśmy dziś jechać samochodem do Monachium zobaczyć nową Pinakothekę (Moderną). W końcu jedziemy jutro i to nie samochodem, a pociągiem i nie do Monachium, a do Brukseli zobaczyć Muzeum Królewskie. Znam je już, ale Ania go nie zna. Decyzja uległa zmianie, bo stwierdziliśmy przy śniadaniu, że już jesteśmy za starzy na tak dalekie podróże samochodem. Tak więc do Monachium polecimy samolotem za kilka tygodni. Jedyne, co przez tę zmianę tracimy, to powrót samochodem przez Szwajcarię i zobaczenie muzeum Gigera w Gruyere. Mam co do niego mieszane uczucia, bo przyznaję fenomenalną jakość techniczną jego obrazów (dwa sam wystawiałem w mojej galerii), ale to, co on robi trąca łatwizną i horrorem na poziomie tatuaży amerykańskich motocyklistów. Trzeba to zobaczyć w kupie i to duże rozmiary. Zdaje się, że wówczas robi to wrażenie. Na razie grzecznie ograniczę się do Brojglów i do Holendrów, bo tego pełno jest w Brukseli.

Jak postępują prace w Twoim nowo zakupionym mieszkaniu?

Piotr

Piątek, 20 września 2002, 22:45

Nie należy zapominać, że tatuaże amerykańskich motocyklistów były wzorowane na Gigerze i jemu podobnych, a nie przeciwnie. Też jednak nie przepadam za tym typem wizji. Podziwiam jakość i fakturę, aczkolwiek znam ją tylko z reprodukcji. Wbrew temu, co mniemają ludzie

z branży krytyków, którzy nie mają bladego wyobrażenia o technologii i umiejętnościach manualnych: zrobienie ulizanego posteru typu "tanioccha": z gołą dziewicą w złotym łańcuchu na szyi, leżącą na grobowcu z wyrzeźbionymi czaszkami, a z tyłu palmy, potwory, ruiny świątyni Azteków i pioruny, wcale nie jest łatwe i jest dostępne manualnie nader nielicznym. Ciekaw jestem, jakby się tu sprawdził Bałka czy Opalka. Nie wiem dlaczego nagradzana jest podziwem wrażliwość i pomysł, jak też spolegliwość w stosunku do political - przepraszam: artistic corectness, skoro ona jest o niebo, albo o sto tysięcy razy bardziej dostępna i powszechna, jak też prosta w realizacji. Tamci uchodzą za nędznych rzemieślników, a Ci od wymyślania rzeczy, o inwencji niewiele przekraczającej inwencję prymitywów z Big Brothera, za wielkich artystów. Coś tu jest na tym świecie gruntownie popierdzielone. Nie uświadamiaj mnie, bo nie jestem entuzjastą soft sex posterów, ale dziwi mnie po prostu stuprocentowa pewność krytyki. Mnie by zadrżała ręka. Miałbym wiele wątpliwości. Bardziej zazdrozczę technicznych umiejętności jakiemuś Vallejo, niż wyobraźni (bo umiejętności żadnych nie posiada) jakiemuś Balce. Nie potrafiłbym zrobić tego, co robi Vallejo (oczywiście nie pragnę), natomiast bezproblemowo mogę na pęczki produkować dzieła typu Bałka (tylko po co). Oczywiście nie chodzi o dublowanie, lecz o własną twórczość. Syndrom bowiem rozumiem i to zarówno w wypadku Vallejo jak i w wypadku Bałki. Mógłbym przestawić się choćby jutro, tyle że jedno byłoby technicznie trudne i może niewykonalne, a drugie banalnie łatwe. Dlaczego więc wyżej cenione jest to drugie? Może zbyt przyczepiłem się Bałki i nie chciałbym krytykować kogoś personalnie, ale przyznasz, że coś tu jest nie tak.

Roboty przy kawalerce postępują bardzo powoli, ale nie angażują mnie osobiście i to jest najważniejsze.

Zdzisław

Sobota, 21 września 2002, 21:56

Wróciliśmy z Brukseli. Tak jak to zwykle bywa przy takich okazjach, robią na mnie wrażenie prace marginalnych artystów, o których się nie mówi

lub mówi się wstydliwie: Spiliart, Degouve de Nuncques i Wunderlich. Prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś o żadnym z nich. Zawsze, gdy chodzę po muzeach to z myślą, co bym tam ukradł. A w tym ogromnym muzeum XIX i XX wieku (muzeum z poprzednich wieków mniej nas interesowało i tym razem nie poszliśmy tam) trzy obrazy chętnie bym ze sobą zabrał: pawie Degouve de Nuncques o niezwyklej, nocnej atmosferze, jeden pejzaż Spiliarta prawie schematyczny, ale o wielkiej sile wyrazu i przepiękną "Pani Recquamier" Wunderlicha namalowaną tak, że sam byłbyś zachwycony materia, bo takiej się nie spotyka. Jak zwykle mój gust kieruje mnie automatycznie do figuracji znaczącej, symbolicznej lub ekspresywnej, namalowanej starannie.

Ale Khnopff też był bardzo piękny i to wiele obrazów, oraz jeden rysunek Delvilla. Obaj też symboliści.

Z dwudziestego wieku (prócz Wunderlicha) sporo tam było dobrych prac, ale oboje z Anią szczególnie długo oglądaliśmy Moore'a, myśląc o Tobie, bo wśród innych, była tam mała rzeźba przedstawiająca leżącą na boku, wspartą na łokciu postać kobiecą. Typowa dla Moore'a i właśnie taka jak te, które i Ty wielokrotnie malowałeś.

Co do Twojej wczorajszej uwagi wyrażającej zdziwienie, za co płaci świat artystom, zgadzam się z nią całkowicie. I dla mnie jest to ciemna magia, z której nic nie rozumiem. Obejrzawszy w życiu tysiące dzieł sztuki wiem tak jak Ty, choć nie z praktyki, a z obserwacji, że tak wybitnych zdolności manualnych jak Twoje, miało bardzo niewielu artystów. Wunderlich jest jednym z nich. A mimo tego ani jemu, ani Tobie nikt z krytyków nie powie za to jednego poczciwego słowa, a raczej Was wyśmieję za "lizanie aż do mdłości". Co nie przeszkadza, że jako wasz wielbiciel, dzieląc z Wami waszą marginalność, jestem z niej raczej uradowany. Głupio byłoby zachwycać się Mona Lisą.

Piotr

Niedziela, 22 września 2002, 08:54

Przepraszam, ale jestem tak stłamszony, że nie mam nawet siły na odpowiedź. Nie znam żadnego z tych malarzy. W ogóle niewielu znam. Chy-

ba to, w co się bawię, nie jest "Sztuką" i nie wymaga znajomości świata. Wszystko bez sensu. W jakimś momencie życie staje się cholernie nudne i tylko zwierzęcy lęk przed śmiercią i umieraniem i tym, co nieodwołalne, trzyma nas tu nadal. Myślę, że i nędzna pogoda dodaje mi gazu. Raczej odejmuje.

Zdzisław

Niedziela, 22 września 2002, 14:02

Skończyłem podmalowywać kolejny obraz i sprawdziłem w internecie nazwiska, które podałeś. Nie znalazłem tylko Spiliarta. Może błąd w pisowni. Najwięcej znalazłem Delvilla. Jeśli czasem coś ciekawego chcesz przekazać, to zamiast konkretnej strony (na tamtą, którą przed kilkoma dniami podałeś, za skarby świata nie mogę się dostać, a raczej z niej skorzystać - to podobno strona nieaktualna, ale jak mi się wydaje czeska, bo znalazłem jej czeską - też nieaktualną - wersję, szukając czegoś innego) podaj mi, ale bardzo dokładnie, nazwisko i w miarę możliwości imię, bo wystukując tylko nazwisko dostaje się czasami i polityków, i baseballistów, i vipów, i nawet porno gwiazdy. W przeglądarce Google <http://www.google.com.pl/> jest przeglądarka oddzielna dla grafiki, gdzie wyskakują tylko te strony, na których są rysunki, fotografie lub reprodukcje związane z konkretnym nazwiskiem. Rzecz jasna, że bardziej niż nędzne, ale przynajmniej dają pojęcie, o co chodzi.

Zdzisław

Niedziela, 22 września 2002, 16:28

Trafiłem na takiego faceta trochę w stylu neo-manieryzmu wiedeńskiego. Zwie się Heinz Zander. Tobie zapewne znany, bo ja (szukając czegoś innego) trafiłem przypadkowo do galerii pod adresem: <http://www.galerie-thoms.de/>. Można tam także zamówić jego katalog.

Zdzisław

Niedziela, 22 września 2002, 18:04

Twoje stany ducha znam, aż za dobrze, z dawnych czasów, gdy bywałem w niedzielę sam, goły jak palec i wylem do nieba "Je hais les dimanches" (Nienawidzę niedziel). Toteż gratuluję sobie, że jestem o dziesięć lat starszy od Ani, że prawdopodobnie umrę przed nią i że nie przyjdzie mi znów przez lata przeżuwać powoli minut za minutami w oczekiwaniu, aż skończy się dzień.

Co do artystów, o których wczoraj wspominałem, to oczywiście Delville jest z nich najbardziej znany i sławny jako jeden z przodujących, belgijskich symbolistów. Nie wszystko tam jest wartościowe, w przeciwieństwie do Khnopffa, którego dziesięć wczorajszych obrazów było bez pudła.

Co do Paula Wunderlich'a, to w internecie, prócz jednej tylko reprodukcji jakiejś jego litografii, nie mogłem niczego znaleźć. Widziałem kiedyś jego wystawę w galerii obok Valmay, na ulicy Sekwany, gdy w 1986, czy 87, sam Ciebie wystawiałem. Zrobił na mnie wtedy silne wrażenie, choć jeszcze nie miałem skali porównawczej i nie wiedziałem, jak jest rzadkim zjawiskiem. Ma nieco mdłe kolory, ale wielką, fantastyczną wyobraźnię przedziwnych form. Wszystko tam się kręci wokół seksu i kobiety. Jedyne, co o nim wiem to to, że jest Niemcem i że ma o dwa lata więcej od Ciebie. Zaraz po powtórnym odkryciu go wczoraj w Brukseli, zacząłem szukać jakiegoś albumu po księgarniach. Ale nic nie znalazłem prócz jednego, podartego już i zapomnianego na półce "catalogue raisonne" reprodukującego w czarno bieli jego litografie. Nie pozwalał na stworzenie sobie wyobrażenia o tym, jakie jest to malarstwo, toteż go nie kupiłem. Ale jadąc do Niemiec może coś znajdę.

Co do Leon Spilliaerta to jest to zjawisko. Odkryłem go pewnej nocy patrząc na kanał "Arte" w telewizji, na którym puścili jemu poświęcony film. Tak ogromnie mi się spodobał, że zaraz zacząłem szukać, gdzie też by można zobaczyć jego obrazy. Okazało się, że w Ostendzie, małej belgijskiej miścinie nad morzem. W dwa dni potem wybraliśmy się tam z Anią i nie żalowaliśmy tego. To też malarz z kręgu symbolistów. Wszystko jest tam zasugerowane, podszeptane, niewypowiedziane, ciemne, mroczne i niepokojące. Jeśli przyjadę samochodem do Warsza-

wy, to Ci przywiozę jego dość marny album. Kupilem ten album jeszcze w muzeum, toteż mogłem natychmiast porównać reprodukcje do oryginałów i zdać sobie sprawę, jak wielka jest różnica choćby tam, gdzie u Spilliaerta jest tajemnicza biel, a w reprodukcji jest po prostu biel. Ten facet to dla mnie odkrycie.

Degouve de Nuncques to inny symbolista belgijski, którego wiele prac mogliśmy wczoraj zobaczyć, lecz z których tylko dwie tak naprawdę mną poruszyły, a w pierwszym rzędzie te "Pawie", o których wczoraj wspomniałem. Tu też na to, by docenić, co to naprawdę jest, musiałbyś obejrzeć oryginały, bo wszystko jest w półtonach, niuansach i atmosferze. A tego niełatwo przekazać w reprodukcjach.

Co do Burne-Jones'a, jak słusznie powiedziała Ania, gdyśmy się spotkali po wyjściu z muzeum i zaczęliśmy wymieniać wrażenia: "Tak wspaniali byli wszyscy symboliści, że nawet jedyny obraz Burne Jones'a, który tam był, wydał mi się mniej obrzydliwy niż te, które widzieliśmy na poświęconej mu wielkiej wystawie w Musee d'Orsay w Paryżu jakieś trzy lata temu". Bo to na ogół okropna tandeta. Zresztą inny prerafaelita, Gabriel Rossetti, którego widzieliśmy w Tate Gallery kilka miesięcy temu, choć daleko lepiej namalowany, też tani i łatwy.

Żeby już skończyć o moich wrażeniach z wizyty w Brukseli dodam, że James Ensor, którego tam widziałem, był obfity lecz nietypowy, mało interesujący, prawie klasyczny. Tylko jeden jego obraz przypominał to, czego jest pełno o tym artyście w albumach, a co ma związek z karnawałowymi maskami, kukielkami i w ogóle z symbolizmem i ekspresjonizmem.

Wspomnę tylko, że całe muzeum sztuki XIX i XX wieku liczy sobie chyba z dwanaście pięter (w tym osiem pod ziemią) i że jest tam wiele współczesnych klasyków, którzy mnie mniej interesują. O dziwo nie widziałem żadnego Picassa i tylko jednego Bacona. Ale za to Magritow i Delveau na kopy. Ten ostatni, którego na ogół nie cierpię, raczej zyskuje na bezpośrednim spotkaniu. A tak to banalna, powszechna sieczka, jaką można spotkać w każdym muzeum sztuki nowoczesnej.

Na samym dnie gmachu znajdowały się instalacje i "sztuka" konceptualna. Całe to piętro przebiegłem galopem, nawet nie zatrzymując na niczym oka, bo jak wiesz nie jestem ciekaw jarmarcznych trików i odpustowych gier.

Piotr

Niedziela, 22 września 2002, 19:23

Odkryłeś mi "site", którego nie znałem, a w którym, gdy wystukałem Twoje nazwisko ukazało się kilkadziesiąt kartek. No to będę teraz miał co oglądać przez kilka dni.

Piotr

Niedziela, 22 września 2002, 19:51

Przejrzałem na razie kilka tylko stron polskiego googla poświęconych Tobie. W większości ich reprodukcje to przebitki z moich książek.

Gdy kiedyś Twoja żona zapytała mnie, czemu się staram spopularyzować Twoją sztukę, odpowiedziałem, że mam nadzieję, iż dzięki temu za Twoimi plecami wślizgnę się do historii. Po przejrzaniu tych i innych "site" poświęconych Tobie widzę, że mi się ten numer nie uda: właściwie nikt nie wspomina, nawet mimochodem, mojego nazwiska i faktu, że się Tobą zajmowałem przez lata lub tego, że posiadam kolekcję Twoich prac, większą nawet niż Sanok. Dawniej być może zabolaloby mnie to. Dziś jest mi już obojętne. Ale nadal, przy takiej szczególnej okazji, zadaję sobie pytania ogólne: jakie są ścieżki sławy? Na czym to polega? Dlaczego długa, mozolna praca niczego w tej materii nie gwarantuje? Jak rodzą się zbiorowe zachwyty, uwielbienia i legendy? Dlaczego masy reagują wspólnie w takim lub innym kierunku i nic, nawet największy wysiłek ze strony jednostki nie zmieni tego kierunku ani o cal?

Piotr

Niedziela, 22 września 2002, 20:37

Mam nadzieję, że to ostatni list w dniu dzisiejszym. Bo za trzy kwadranse mam amerykański (hihi) thriller w TV. Wbrew pozorom usiłuję dziś

pracować, podmalowałem nowy obraz, skończyłem też jedną grafikę, ale teraz coś wesołego: pamiętasz zapewne obraz szkieletu jakiegoś potwora, rzekomo mojego autorstwa, który pokazywałem Wam na komputerze. Tamten przyszedł z Radomia. Dziś ten sam przysłano mi z Torunia. Widmo krąży po Europie... Dzwoni galerzystka, że chciałaby bym potwierdził autorstwo, bo ma "piękny" mój obraz, ale nie jest podpisany. Nawet ślepy nie miałby tu wątpliwości, a ona ma. Historyczka sztuki. Fachowiec. Wysłałem jej fotkę rysunku, z którego zerżnięto (wysyłam dla przypomnienia i Tobie zarówno rysunek jak i dzieło*). Ale na tym nie koniec. Przedwczoraj, gdy w atmosferze dyskretnego luksusu, pochłaniałem w McDonald's hamburgera z papieru i frytki palcami, dzwoni telefon, a z drugiej strony Poznań. Mają trzy moje "przepiękne" obrazy zrolowane i znalezione w Sanoku na strychu u jednej z mych ciotek. Facet czyta mi przez telefon tytuły: Śmierć na oceanie i Upiomy cmentarz - trzeci zapomniałem. Nie podpisane, ale na pewno pańskie. Jakbym tam był. Gdy mieszkałem jeszcze w Sanoku, na wystawie u szklarza widziałem w "moich" ramach (stolarz wypaczone odrzuty komuś sprzedał) dzieło przedstawiające rękę topielca wynurzającą się z fal oceanu, a obok na maszcie tonącego jachtu siedziała śmierć z trupią główką i grała na skrzypcach. Pomyślałem sobie wtedy, czy aby ktoś tego nie podpisał na odwrocie Beksiński. Założę się, że to właśnie Śmierć w oceanie. Wyjaśniłem, że skoro na płótnie to żałuję, ale to nie moje. Ludzie żądają potwierdzenia, a więc mają wątpliwości, co dobrze by o nich świadczyło, gdyby nie to, że obrazy nie są podpisane. Gdyby były podpisane, nie mieliby wątpliwości!!! Gdy Van Meegeren fałszował (podobno genialnie) Veermera, za co poszedł siedzieć, to sam w to uwierzyłem, zanim nie obejrzałem reprodukcji falsyfikatów. Toż to kompletne gówno niegodne leżeć nawet o kilometr od Vermeera. Były podpisy, fachowcy uwierzyli i stworzyli mit, który poszedł w świat. Może badali farbę, płótno, ramy, jednym słowem to wszystko, co można przeanalizować chemicznie i spektralnie, podczas gdy wystarczyło popatrzeć na kobietę nalewającą mleko lub dziewczynę w kapeluszu lub zaulek i dowolny obraz Van Meegerena. I chyba stąd bierze się akceptacja metody: "nowoczesne = dobre" "Nienowoczesne = złe". To poręczna metoda dla tych, którzy są po prostu kompletnie ślepi.

Cześć. Zdzisław

* Obrazy do zobaczenia na stronie XXX

PS. Nadszedł kolejny mail. Wystukaj w jakiejś przeszukiwarce Beksin-ski+Dmochowski. Ważny jest znak +. Nawet dziś znalazłem po angielsku swój życiorys podpisany Piotr Dmochowski.

Niedziela, 22 września 2002, 23:14

Gdy spotkałem się z reprodukcjami fałszywych Veermerow przez Van Meegerena, to po prostu wydawało mi się, że jestem ofiarą jakiejś pomyłki. Potem jednego takiego Van Meegerena sprzedawano u nas w Drouot na aukcji. Przyjrzałem mu się wówczas dobrze. To nawet nie była zła podróbka Veermera. To było coś wręcz innego. Tak Veermer nigdy nie malował. Jak można było jednego brać za drugiego? Ktoś, kto choć raz widział kobietę nalewającą mleko przy oknie, czy widok Delf, nigdy nie mógłby się pomylić. Byli inni malarze, którzy malowali podobnie jak Veermer, nawet nie ściągając z niego. Ale nie Van Meegeren.

To tak jakby obrazy Daliego chcieć sprzedać jako obrazy Picasso, lub odwrotnie. Na taki numer mogli się nabrać moi Japończycy, którzy niewiele się znali na rzeczy. Na wszelki jednak wypadek milczałem, bo bałem się powiedzieć głupstwo, które by byle znawca, specjalista, krytyk natychmiast udowodnił i ośmieszył.

Ciesz się więc, iż Twoje odczucie jest podobne i że i Ty podzielasz moją najgłębszą pogardę dla krytyków, znawców i specjalistów sztuki (choć swego czasu ilekroć zdradziłem się przed Tobą z jakiegoś problemu, który mnie nurtował, to automatycznie radziłeś mi zapytać o radę jakiegoś "specjalistę"). To banda idiotów, którzy z uniwersyteckich skryptów nauczyli się na pamięć kilkuset informacji o sztuce i to stanowi całość ich bagażu kulturalnego. Wiele o tym pisałem w mojej książce, więc nie wracam do tego tematu obszerniej.

Piotr

Wtorek, 24 września 2002, 08:30

Gdy się teraz rano budzę, to ledwie się poruszam. Nic mi się nie chce. Odczytałem Twój mail. Strony internetowe na tym polegają, że jeden ściąga z drugiego, bo można zrobić kopię obrazu, który zamieścił Wacek i zamieścić na stronie robionej przez Kazika lub Magdę. Znalezienie czegoś oryginalnego, lub choćby śmiesznego (artykuły, zapisy chatów oraz blogi), jest trudne, ale czasami się udaje. Skąd autorzy stron mają brać reprodukcje? Tylko z albumów, bo przecież (pomijając prace komputerowe, których trochę za darmo porzysyłałem) ja nikomu tego nie udostępniam, bo to za wiele wysiłku. Wystukałem teraz tak, jak radziłem Tobie: Beksinski+Dmochowski i dostałem 10 stron w Yahoo i 119 stron w Google (posyłam na dowód zrzuty ekranowe, czyli fotografie ekranu), ale można szukać także gdzie indziej. Strony będą się powtarzać, ale w każdej wyszukiwarce jest nieco inaczej i czasem to, co jest w jednej, nie znajduje się w drugiej. Nie wiem co nazywasz "site" - czyżby strony poświęcone w całości mnie? Bardziej interesujące jest szukanie po nazwisku, bo wtedy trafia się np. na artykuły w gazetach, sprawozdania ze spotkań etc. Średnio jest takich haseł na nazwisko Beksiński lub Beksinski od 500-3.200 z kawalkiem. Wiele się powtarza, nawet w ramach tej samej przeszukiwarki, ale tylko tak doszukasz się czegoś interesującego dla Ciebie.

Zdzisław

Wtorek, 24 września 2002, 10:51

Nie kupujesz mojej przynęty. Niewiele mnie już obchodzi czy o mnie mówią, piszą, czy nie. To już sprawa zaklepana. Wiem, że przejdę przez życie niezauważony, mimo iż zrobiłem kilka rzeczy wartościowych. Tam natomiast, gdzie chciałem Cię zaprowadzić, to zapytanie: jakie są ścieżki glorii? Bo jest z tym tak, jak z posłuchem. Są tacy, do których natychmiast Ignie tłum. Tacy, którzy ledwie usta otworzą, a już wszyscy milkną. Tacy, którzy gdzie by się nie pojawili, natychmiast stają się najważniejszymi osobami. Wreszcie tacy, którzy jak magnes przyciągają do siebie popularność i sławę.

Oczywiście pilnie ich obserwując i mocno się nachylając nad tym, co zrobili, można to w przybliżeniu wytłumaczyć: są lepsi od innych, więc

i lepiej coś tam zrobili lub umieją zrobić, byli pierwsi etc. Ale tego rodzaju tłumaczenia racjonalne niedaleko zachodzą. Patrząc na sprawy trzeźwo od razu widać, że nie tu tkwi rozwiązanie.

A więc skąd te masowe sugestie, skąd te owcze pędy, skąd nagle masa zaczyna wirować wokół jednej postaci? Skąd Marilyn Monroe lub Brigitte Bardot były tak wielkimi gwiazdami, skoro ja na własne oczy widziałem kobiety ładniejsze, a na pewno zdolniejsze aktorki i ciekawsze umysły. Skąd do jednych, aż lepi się sława, o którą prawie nie zabiegają, a drudzy mogą na nią harować jak woły i niczego nie osiągną?

Coś z Tobą nie najłepiej. Od dwóch dni się skarżysz. To przygnębenie czy osłabienie fizyczne?

Piotr

Wtorek, 24 września 2002, 21:00

Chyba i przygnębenie i osłabienie. Może to kwestia pogody. W ciągu dnia się rozkręcam, ale dziś nie było szans i zamiast się rozkręcić, dodałem sobie jeszcze gazu. Musiałem, wraz ze szwagrem, wybierać armaturę, glazurę, terakotę, drzwi etc, a mam problemy z kręgosłupem - jak twierdzi lekarka - bo jeśli dłużej stoję, to drętwieją mi potwornie zewnętrzne strony ud. Jeśli siedzę lub idę, to nie mam tego efektu, a tu trzeba było stać i stać, bo szwagier nie jest szybki, wszystko spisuje, więc gdy około godziny 17:30 wróciłem, to zjadłem dwa kupione w trakcie powrotu Mac Royale (przedtem nie jadłem, jak zawsze gdy wychodzę domu) i padłem na wyro. Teraz się zwlokłem, ale wypoczęty będę chyba dopiero jutro. Z kolei jutro muszę pójść na godzinę 14 do audiologa i dostroić moje aparaty słuchowe, gdyż albo lewy jest za słaby, albo prawy za mocny, bo mam poczucie nierównowagi.

Na Twoje pytanie nie umiem odpowiedzieć. Gdybyśmy to wiedzieli, to wszyscy odnosilibyśmy sukces za sukcesem. Zazwyczaj działa efekt kuli śnieżowej, ale co poruszy kulę? W wypadku Brigitte Bardot kulę poruszyło chyba zagranie w ryzykownych, na owe czasy, scenach erotyczno-rozbieranych. Potem to już kula była w ruchu. Zresztą BB była fajna - wtedy była zdecydowanie w moim typie. Co powoduje, że jedna jest faj-

na, a druga mniej? Przed kilku laty zobaczyłem takiego gówniarza (wtedy) pod tytułem Alicja Silverstone, gdy wystąpiła razem z córką starego dobrego Tylera w pierwszym (były dwa) klipie "Crying" grupy Aerosmith. Dostałem jak pałką w łeb. Oczywiście ona już dziś jest ucywilizowana, nosi kreacje, fryzury i styl gwiazdy Hollywood, ale wtedy w kusej kieckie i glanach do pół łydki, z jakimś chłopakiem na motocyklu, uosabiała mój ideał seksualny. Znajoma pani prychnęła z oburzeniem, że mnie się podobają dziewczyny o urodzie panny sklepowej. Co ja na to poradzę? Zdarza się więc, że ktoś uosabia ideał milionów i to nie tylko urodą, ale np. twórczością. Skąd się to bierze? W moim wypadku skłonny jestem to przypisywać wystawie w 1972/73 na której dałem bardzo niskie ceny i sprzedałem wszystkie obrazy. Potem to była już kula śniegowa. Tym grubiej oblepia ją śnieg, im bardziej niechętnie reaguję na propozycje wystaw i im trudniej zobaczyć moje obrazy (np. trzeba jechać aż do Sannoka - to nobilituje tych, którzy pojechali). To tak, jak w wypadku dziewczyny, która nie jest łatwa, faceci wokół zaczynają bzikować. Oczywiście nie robię tego przez premedytację, a tylko z wygody, a na dodatek moje powodzenie dotyczy tylko Polski. Bo pierdnięcie w Nowym Yorku nie jest tym samym, co pierdnięcie w Warszawie. Na Bałkanach zginęło więcej ludzi niż w WTC, w Afryce giną miliony, a o ile mniejsze jest zainteresowanie mediów. Środek Świata to Środek Świata. Nic więcej nie wyduszę ze siebie, bo jestem wymęczony. Wykąpię się i zwałę na wyro.

Zdzisław

Wtorek, 24 września 2002, 22:41

Ja tu Ci stawiam najtrudniejszą zagadkę życia, a Ty mi po prostu, trywialnie starasz się ją rozwiązać.

Mnie również żona zarzuca, że swego czasu podrywałem panny sklepowe i kucharki. Ale jakie one były słodkie... Szczególnie kucharki!

I tak dobiega końca następny dzień. Za chwilę pójde do łóżka i powiem żonie rytualną formułę: "I tak skończył się następny dzień." Po czym miną jak jedna chwila 24 godziny, a ja znów położę się do łóżka i powiem żonie "I tak skończył się następny dzień." Po czym...

Po raz pierwszy jadąc na rozprawę w Aix skorzystałem z taryfy ulgowej dla seniorów po sześćdziesiątce przy kupnie biletu pociągowego.

Ania przypomniła mi dziś w kinie: "za pięć lat idziesz na emeryturę".

Piotr

Środa, 25 września 2002, 12:23

Nigdy nie płaciłem kartą kredytową przez internet. Czy wiesz jak się to robi? Znalazłem w Amsterdamie jakąś księgarnię, która ma album Wunderlicha i godzi mi się go wysłać w zamian za płatność kartą. A ja nie wiem, jak się do tego zabrać.

Piotr

Środa, 25 września 2002, 13:22

Ja załatwiałem to w ten sposób, że poszedłem do banku i poprosiłem o kartę VISA CLASSIC do określonej wysokości (500 USD). Wtedy, w ramach normalnego konta jakie masz w banku, robią coś w rodzaju subkonta o innym numerze i innym PIN CODE. Jeśli boisz się, że mimo wszystko może prowadzić tamtędy droga do oczyszczenia Twojego konta, to po prostu w dowolnym banku wpłacasz 500 dolarów (tyle można zaryzykować bez konieczności popełnienia harakiri w wypadku oczyszczenia) i zakładasz konto VISA CLASSIC. Potem, gdy już masz kartę (zwykle ważna jest około rok), wchodzisz w internecie na stronę płatności, co może być oznakowane albo BUY albo INSTANT ACCESS lub jeszcze podobnie i pojawiają się możliwości zapłaty: VISA, American Express lub telefoniczne zamówienie. Wybierasz VISA i wpisujesz wszystko, o co Cię proszą (numer, termin ważności, kraj, adres internetowy lub jeszcze inaczej) klikasz w PROCESS lub podobnie i cześć. Za chwilę powinno spłynąć mailem potwierdzenie przelewu wraz z zawiadomieniem o sposobie i terminie realizacji. Ja tego używałem do uzyskania numeru instalacyjnego programów ściągniętych z internetu lub za wejście na określone świńskie strony. W tym drugim wypadku mailem spływa hasło dostępu. Czasami

odzywa się w trakcie tego Microsoft ostrzegając, że witryna nie jest pewna i nie gwarantuje realizacji. Można to olać. Raz jednak nie nadesłano mi mailem programu, o który prosiłem, mimo iż dostałem potwierdzenie. Ponieważ koszt był 15 dolarów, to olałem sprawę. Lecę do OTICON z aparatem słuchowym.

Zdzisław

Czwartek, 26 września 2002, 11:58

Jak samopoczucie?

Piotr

Warszawa, Czwartek, 26 września 2002

Raczej nędzne. Na dodatek coś mi dolega z żołądkiem, jakieś bóleści... Mam nadzieję, że jeszcze nie wrzód, a wraz z nim *Helicobacter Pylori*, ale wszystko przed nami. Boli mnie kość ogonowa i to już od ponad tygodnia. Podobno moje drętwienie zewnętrznej strony ud, które pojawia się, gdy stoję, a które w trakcie zakupów wraz ze szwagrem przed dwoma dniami omal mnie nie dobiło, pochodzi od kręgosłupa.

Coś tam maluję. Jak na mnie, to wściekle kolorowa dama w ujęciu damy z flakami (konwencjonalnym en face). W kawalerce trwają roboty wyburzeniowe, szwagier to kocha i jest w stanie upojenia. Najchętniej rozwalilby cały blok. Proponował mi nawet coś takiego w moim mieszkaniu argumentując, że mnie stać. Dobry Jezu! Czy mam robić każdą głupotę tylko dlatego, że mnie stać? Nie zniósłbym takiego burdelu chociaż trzeba przyznać, że wszystko, co teraz można sobie zafundować, poczynając od kształtu kaloryferów, a kończąc na 40 rodzajach jacuzzi, i co relatywnie nie jest aż takie drogie, może zabeltać błękit w głowie osobnikom bardziej myślącym o wyglądzie mieszkania, niż o świętym spokoju do pracy lub choćby do nic nie robienia. Zrobienie mi w mieszkaniu takiej ruiny, jak na załączonym obrazku, przypląciłbym zapewne zawałem lub udarem mózgowym*. Na szczęście ta kawalerka koci się poza obszarem mego

świętego spokoju.

Zdzisław

*Zdjęcie do zobaczenia na stronie numer XXX

Piątek, 27 września 2002, 22:38

Poszliśmy dzisiaj z Anią na wystawę Franciszka Kupki. Nie wiem, czy o nim słyszałeś, więc na wszelki wypadek przypominam, że to był Czech, który od około 1900 r. mieszkał w Paryżu, najpierw był rysownikiem, potem malarzem. Z początku był figuratywny, potem stał się abstrakcjonistą. Wystawa obejmowała tylko prace graficzne, nie malarstwo.

Jako rysownik był bardzo dobry. Ale w końcu widziałem innych, równie dobrych. Tylko ostatnie prace, około 1910 r., na pół abstrakcyjne, są naprawdę frapujące i zasługujące na uwagę. Toteż długo się im przyglądałem i przeczytałem skąd pochodzą: wszystkie z centrum Pompidou. Zostały podarowane przez żonę Kupki w 1963 roku.

Nie pisałbym Ci o tym, gdyby nie pewna refleksja, która mi się nasunęła, w związku z moimi próbami przeforsowania Twojej sztuki tutaj.

Otóż ona: kiedyś jakiś galerzysta, na ulicy Quincampoix, z którym trochę się kolegowaliśmy, a który wyraźnie Cię nie cierpiał, gdy mu się skarżyłem na obojętność, a nawet wrogość Centrum w stosunku do Ciebie powiedział mi, że inaczej by się to przedstawiało, gdybym podarował im Twoje obrazy.

Przypomniałem sobie wówczas o, słynnej we Francji, sprawie darowizny kolekcji Caillebotte'a (nie wiem czy Ci o niej mówić, bo Ty, jak panienka krygujesz się na tego niewinnego, co to nic nie wie, nic nie widział, a potem, gdy ja zaczynam coś wyjaśniać to okazuje się, że od lat to wszystko dobrze wiesz). Więc przypominam, że Caillebotte, bogaty malarz podarował w 1876 roku swoją wspaniałą kolekcję impresjonistów Państwu francuskiemu, a że Państwo odrzuciło dar. Do dzisiejszego dnia oficjalna sztuka boi się popełnić podobne faux pas.

Toteż uwaga mego kolegi galerzysty wydała mi się rozsądna. Oczywiście można założyć, że dar przyjmą, wsadzą do piwnicy i na zawsze zapomną.

Ale przecież taki Kupka rysował rzeczy figuratywne i dość mało awangardowe przez wiele lat. Tak jak i Dufy, którego pełno obrazów czysto figuratywnych (a na dodatek dennych) znajduje się w Muzeum miasta Paryża. Te też zostały подарowane przez rodzinę.

Bo jak już by mieli Twoje prace, to być może zaczęliby tak lansować Ciebie, jak zaczęli lansować Kupkę i Dufiego od chwili gdy dostali dar.

Moim zdaniem powinienes się na to skusić. Ja żadnego obrazu nie dam, bo większość za bardzo lubię, a te, które są marne wolę sprzedać i dobrze sobie za nie pożyć.

Tak więc Tobie sugeruję, żebyś zaczął rozdawać różnym muzeom Twoje dobre obrazy. Bo jeśli chcesz przetrwać (a powtarzasz to w kółko), to jest to na pewno jakaś metoda.

Piotr

Sobota, 28 września 2002, 08:59

Kochany Piotrze! Czytając myślałem, że to Ty pragniesz zapisać swoją kolekcję Centrum Pompidou, ale jak wynika z końcówki chodzi o mnie. Ja nie bardzo już mam co darowywać, bo wszystko już darowałem, a tylko mam to, co maluję na bieżąco i czego nie ma za dużo, a wręcz lękam się każdej wizyty (na jutro zapowiedzieli się Szkop i Faleńczyk i mając nadzieję, że idzie tylko o autograf na nowym albumie i pogadanie, trzęsę się równocześnie z obawy, że zacznie się nagabywanie o sprzedaż, a ja lubię mieć swoje obrazy koło siebie, zaś szmal na kawalerkę już skołowałem).

Jak zwykle masz rację i to dwukrotnie, że lubię krygować się niewiedzą, ale także w tym, że nie wiedziałem nic o kolekcji Caillbota. Nie znam dostatecznie stosunków francuskich, ani stosunku Centrum do mnie, ale obawiam się, że ten numer nie przeszedłby. Każdy bowiem precedens można odczytać na kilka sposobów i jestem nieomal pewien, że w moim wypadku odczytanie byłoby dla mnie niekorzystne. Niezależnie od tego jednak - Centrum Pompidou za 50 lat będzie omszałą, rozsypującą się i nie doinwestowaną instytucją bez większego znaczenia, lekceważonym przedmiotem kpin i przystanią niezłomnych starców, broniących ostatniego przybytku Prawdziwej Kultury przed zalewem barbarzyństwa.

Tak działo się zawsze. Postrzegasz trochę Centrum Pompidou, podobnie jak Cezanne i Van Gogh akceptację obrazu za oficjalny salon sztuki. Nie zmienimy biegu historii i nie będziemy żyć po śmierci, spoglądając z Nieba jak to wspaniale kiełkuje na Starej Ziemi, roztropnie zasiane przez nas ziarno. Tak więc zainwestujemy raczej w nadzieję, że po naszej śmierci niewątpliwie zdarzy się cud, bo i tak nic innego nam nie zostaje. Czekając dziś na znajomą z Kanady, wykorzystuję czas na robienie dodruków z grafiki (to strasznie powolna robota - jeden wydruk ca 15 minut), bo niektóre pozycje rozeszły się już, a mam w perspektywie kolejne aukcje na dobroczynność, jak też PT Klientów.

Zdzisław

Niedziela, 29 września 2002, 17:47

Piękny, pogodny dzień. Niedziela, cicho i pełno słońca. Zrobiliśmy z Anią długi spacer z psem po naszym wielkim parku. U Was już chyba liście żółkną. Tu jeszcze zupełnie zielono, a ponieważ w lecie dużo padało, to zieleni jest w parku pełno.

Siedzę sobie w moim pokoju i coś tam piszę do drugiego tomu mojego dzieła o prawie międzynarodowym. A w przerwach, z lubością patrzę na zalane słońcem Twoje obrazy, które wiszą na ścianach nad biurkiem. Od lewej: głowa kapuściana z błyszczącymi czerwonymi oczyma, Madonna z dzieckiem, nowo zakupiony obraz z dwoma postaciami rozkraczonymi na kamiennej ławie (jeszcze go nie nazwałem), Żyd (facet z kryzą i krogulczymi paznokciami), drzewo z półksiężycami, nowo zakupiona skała z trzema maleńkimi krzyżami, mały, czerwony cmentarz i nietoperz.

Nigdy nie będę potrafił Ci wyrazić wdzięczności za tyle radości, ile mi te Twoje dzieła przysparzają. Są jak ukochane dzieci. Mogę na nie patrzeć kwadransami (jak dumny ojciec patrzy na latorośl) i stale się cieszę, że są moje. Takich obrazów nie potrafię puścić. Jest ich ze sto. Wprawdzie do dzisiejszego dnia puściłem ich z dziesięć: ślepca z psem, drzewo z kamieniem i czerwonym niebem, damę z piersiami, wannę, cyklistę, flecistę, wreszcie morze z księżycem.

Mam jednak na to usprawiedliwienie: damę z piersiami musiałem sprze-

dać na gwałt, bo mi groziłeś zerwaniem umowy, jeśli nie zapłacę dokładnie w terminie należnych Ci pieniędzy. A morze z księżycem sprzedałem za 100 tysięcy dolarów. To też sobie jakoś wybaczam.

Co się z tymi obrazami stanie, nie wiem. Bo z tymi stoma, które kocham, nie potrafię się rozstać, chyba żeby mi zapłacono ogromne sumy (bo przyznajmy, że moja miłość, jak się okazuje, może być przeliczona na dolary. Byle były grube). A na to się nie zanosí dopóki Ty i ja żyjemy. A ponad pięćdziesięciu knotów, które chętnie bym sprzedał, nikt nie chce. Tak więc pozostaję ze 174 obrazami (choć Dziopakowa zapowiada, że kupi architekturę szarą z dwoma domami pochylonymi, a pośrodku z małym ludzikiem. Tak więc za kilka tygodni będzie tego 173, a nie 174 obrazy).

Obiektywnie więc może się zdarzyć, że będę to wszystko kutwił do ostatniej chwili, po czym albo moja żona mnie przeżyje (czego jej życzę) i z tego będzie żyła, nie wzdragając się przed sprzedażą, albo mnie nie przeżyje i wtedy powstaje znak zapytania.

Piotr

Niedziela, 29 września 2002, 19:00

Czarno to widzę, jeśli idzie o przyszłość mych dzieci, które z nędry i dla chleba oddałem do adopcji. Kobiety, które zostają same, przeżywają u schyłku swego życia swą ostatnią miłość, a jest to miłość do kościoła katolickiego. Miejmy nadzieję, że do tego czasu kościół katolicki nie cofnie się do epoki Norwida i Markiza de Sade, co jest jednak nader możliwe, bo przyszłość świata widzę w barwach fundamentalistycznych. W takiej sytuacji dzieła te, jako heretyckie, zostałyby zapewne spalone w tym celu, by pomóc mojej i Twojej duszy nieśmiertelnej w uzyskaniu spokoju wiecznego i zapewnić im obcowanie z Panem w Jego Chwale. Jednak dużo bardziej prawdopodobna jest ewentualność, że moje nazwisko w Polsce wyjdzie do tego czasu z mody i nawet Twoja żona nie dożyje jego renesansu, o ile takowy w ogóle nastąpi, bo miłość do malarstwa nie jest człowiekowi wrodzona i wszystko może przeminąć, tak jak przeminęła Alchemia i kolekcjonerstwo cebulek tulipanowych w Holandii. Wresz-

cie nie jest wykluczona przyszłość perwersyjna: otóż 50 knotów zostanie uznane za najwybitniejsze moje osiągnięcia i zawisnie w muzeach jako ze zbiorów Piotra Dmochowskiego zaś Twoje ulubione obrazy zostaną w jakichś magazynach, zapomniane jako prace marginalne i drugorzędne. Ja nawet ten temat przerabiałem w erze Gierka tak, że do dziś znajdują się jeszcze osoby, które nazywają mnie "autorem Golema". Golem to był wyjątkowy knot, który stanowił jedyną moją kolorową wizytówkę w albumie sztuki polskiej tamtych czasów, bo dostał się do Muzeum Narodowego za wstawiennictwem doc. Zanozińskiego, wykupiony z zestawu, który wysłałem na polecenie Ministerstwa do Szwecji, złożony z najgorszych prac, bo bałem się, że je w transporcie uszkodzą. Miał to być wreszcie w moim zamiarze nie Golem tylko Szamir, ale nikt nie znalazł Talmudu i Zohar, za to wczesnego polityka Szamira powszechnie znano, więc będąc na polecenie Zanozińskiego zmuszonym zatytułować obraz, zatytułowałem go Golem. W końcu ani Golem, ani Szamir nie byli istotami ludzkimi, ale pierwszy był z kamienia, a drugi posiadał właściwość rozsadzania od środka kamieni, co jakoś usprawiedliwiało zmianę nazwy. W coraz większym stopniu skłaniam się do mniemania, iż nasze wzruszenia rodzą się w nas i nie są indukowane przez przedmiot sztuki - nawet nie wiadomo, czy nasze doznania dadzą się porównywać. Każdy obcuje z własnym złudzeniem. Nawet autor. Cześć.

Zdzisław

Niedziela, 29 września 2002, 21:19

Zanim pójdziesz spać, napisz mi czy byli u Ciebie Szkop i Faleńczyk? Od dawna krążą obaj wokół mnie.

Faleńczyk jest prostoliniorny i jego przesłanki są jasne. Chce mieć ode mnie kilka Twoich najlepszych obrazów z epoki "fantastycznej". A co się tyczy Ciebie i to, dlaczego prosił Cię o spotkanie, to jak wielu młodym ludziom imponuje mu, że wielki malarz przyjmuje go i konwersuje z nim. Natomiast intryguje mnie Szkop. Ten ma jakieś zamysły handlowe. Ale nigdy się nie wdał ze mną w konkretne rozmowy na ten temat.

Przyjechawszy tutaj przed kilkoma miesiącami wspomnił mi, że chciał-

by "porozmawiać o obrazach". Ponieważ kiedyś opowiadał mi jak to chciał kupić hurtem 50 obrazów Dudy Gracza, nastawiłem uszu, bo jak Ci to już pisałem, chciałbym spytać owe 50 Twoich knotów.

Toteż ciekaw jestem, czy nie obwąchuje Cię teraz w nadziei, że mu sprzeczysz (tanio) jak największą ilość obrazów.

Stąd moje zapytanie.

Oczywiście piszę to wszystko licząc, że nie wypuścisz pary z gęby i nie nadasz mu od razu, jakie żywiłem w stosunku do niego nadzieje.

Piotr

Niedziela, 29 września 2002, 23:49

Odpowiadam zapewne z opóźnieniem, ale oglądałem pod rząd dwa filmy. Skoro prosisz, bym nikomu nie mówił o tym, co pisałeś, to nikomu nie powiem. To oczywiste. Szkop z Faleńczykiem (myślałem że nazywa się Floreńczyk) przybyli tu dziś w towarzystwie dwóch córek Szkopa i na szczęście nie było mowy o żadnym handlu. Wizyta towarzyska plus autografy w albumach. Było miło. Ja nie częstuję nikogo, nigdy i niczym, co robię nie ze skąpstwa, lecz z lenistwa. Zawsze jestem gotowy negocjować sprzedaż obrazu lub dwóch, ale na pewno nie wejdę w jakiś biznes, który jest mi niepotrzebny, bo mam za co żyć - zaś grobowiec już wykonałem. Pokazałem im, co namalowałem. W trakcie gdy teraz patrzyłem na filmy, ale nie chciałem sobie przerywać, bo akurat był finał pierwszego filmu, dzwoniła i nagrała się Dziopak z zapytaniem, czy mam dla niej obiecany "piękny" obraz z "piękną" dziewczyną (Ona zawsze tak jakbym obiecywał, że coś jej namaluję - to jej technika negocjacyjna). Skojarzyłem to raczej z Twoim poprzednim mailem i pomyślałem, że skombinowała szmal na jeden obraz i upewnia się, bo wolałaby "piękną" dziewczynę, ale jeśli jej nie ma, to kupi od Ciebie architekturę z pochyłonymi domami. W tej chwili nie jest jednak wykluczone (bo oni coś wspominali o Dziopak - nie pamiętam już co, a ja mam ostatnio namalowany obraz z kobietą en face, wściekle kolorowy, który im pokazywałem), że ona dzwoniła po rozmowie ze Szkopem, który dokonał rekonesansu. Może to jednak paranoja. Tyle wiem i zadzwonię do niej jutro.

Zdzisław

PS Załączam fotkę: chyba tego nie sposób nazwać "piękną dziewczyną"?*

*Obraz do zobaczenia na stronie numer XXX

Poniedziałek, 30 września 2002, 10:03

Jeszcze w uzupełnieniu wczorajszego listu. Dopiero dziś rano przesłuchałem nagranie od Dziopak (wczoraj słyszałem je na tle finałowego gwizdu opon, walenia po mordach i strzelaniny) i przekonałem się, że dzwoniła z jakiegoś Kamionu, gdzie nie ma łączności z komórką, a w sprawie "piękną dziewczyną" skontaktuje się 6 października. Zatem nic nie dostanie, bo maluję obecnie balony. Odpada też domniemane pośrednictwo Szko-pa. To po prostu przypadkowa koincydencja. Jednym słowem wszystko w normie: Stalin był niewinny, a Elvis nadal żyje. Pozdrawiam.

Zdzisław

30 września 2002, 14:03

Ni cholery tego nie rozumiem. Vide załącznik*. Czyżbym był głupszy niż sądzę?

Zdzisław

*Załącznik do zobaczenia na stronie numer XXX

Wtorek, 1 października 2002, 08:09

To nie był test na inteligencję, lecz tzw. złudzenie optyczne. Też nie umiałem tego zauważyć. Po prostu cała figura nie jest trójkątem, gdyż przeciwprostokątna nie jest linią prostą, lecz załamaną do środka i w trakcie innego przedstawienia figur geometrycznych, przeciwprostokątna staje się linią załamaną na zewnątrz, tak więc obszar rzekomego

trójkąta wzrasta o to jedno nie mające pokrycia pole. Decydują dwa trójkąty, stanowiące części składowe całej figury. Wysłałem to 5 znajomym w dużym rozrzucie wiekowym i nikt tego nie zauważył. Ja też. Jeden z nich ma to dziś dać do zbadania matematykom, ale muszę go zastopować, bo oni wcale nie są bardziej spostrzegawczy, ale zaczną budować równania i odkryją powtórnie paradoks Banacha. O ile oczywiście nie znają tej zagadki.

Zdzisław

Wtorek, 1 października 2002, 11:34

To, że jest to złudzenie optyczne podejrzewałem od pierwszego rzutu okiem, bo w młodości w szkole spotkałem się z podobną zagadką i wyjaśniono mi wówczas jej rozwiązanie. Woląłem się jednak nie wychylać, żebyś mnie kąśliwie nie skontrował. Faktu, że dwie figury nie są identyczne doszukiwałem się jednak w ilości i grubości linii czarnych, obrzeżających figury. Tego, że przeciwprostokątna nie jest prosta, nie zauważyłem.

Co nie przeszkadza, że Ania, podejrzewając oszustwo w rysunku, narysowała sobie podobną figurę z linijką w rękę na papierze kratkowanym, tak iż przeciwprostokątna na pewno jest linią prostą... i też się jej pojawia dziura.

Piotr

Wtorek, 1 października 2002, godz. 14:30

Dziś przez całą noc rysowałem w półśnie (przejadłem się jogurtem owocowym i źle spałem) tą figurę, ciąłem ją nożyczkami, ale rano jakoś zrezygnowałem z praktycznego doświadczenia. Gdy tylko zdobędę chwilę czasu (dziś od rana go tylko tracę, a przed chwilą wróciłem z miasta i w tej chwili na dodatek jestem bez sił), to spróbuję rzecz narysować dokładnie. Przypomina się szkolny dowcip o polowaniu na stare mądre słonie. Przepraszam jeśli się powtarzam. Stawia się na pustyni tablicę z napisem $2+2=5$ i przychodzi stary mądry słoń i zaczyna sobie łamać

głowę: lamie i lamie, aż w końcu złamie i jest wtedy upolowany. Czasem coś takiego zabija człowiekowi klin do głowy, a przecież elementarna wiedza arytmetyczna powinna od razu zapewnić, że jeśli trójkąty są takie same, to ich powierzchnia też musi być taka sama. No ale słynny matematyk Stefan Banach stworzył dowód zwany paradoksem Banacha i dotyczący wprawdzie powierzchni kuli, ale udowadniający właśnie coś równie absurdalnego.

Zdzisław

Wtorek, 1 października 2002, 17:46

Czy na Wszystkich Świętych zostajesz w Warszawie, czy jedziesz do Sanoka? Bo my zjawimy się na kilka dni (Ania chce się spotkać ze swoją rodziną) i chcielibyśmy Cię odwiedzić.

Piotr

Wtorek, 1 października 2002, 19:29

Wyjadę tylko do Krakowa w dniach od 25-27 października, bo mam tam na Targach Książki podpisywać album. Potem mam wyjechać na dzień 7 grudnia do Wrocławia w tym samym celu, ale tam zabrać mnie ma swoim samochodem Ochman. Poza tym jestem non stop w domu. Na Zaduszki do Sanoka nie jadę, tak więc miło mi będzie, jeśli mnie odwiedzicie.

Zdzisław

Piątek, 4 października 2002, 22:46

No i co? Dorysowałeś się prawdy? Bo jak Ci to już pisałem, Ania zrobiła sama rysunek na kratkowanym papierze bez wygięcia przeciwprostokątnej w jednym, czy w drugim kierunku i ponoć stale jej wychodzi dziura. Ja jej nie sprawdzałem, więc wolę podać to w trybie przypuszczającym. Wpadliśmy na następną książkę wspomnień z Getta, która jest równie

świetnie napisaną jak "Pianista". Są to wspomnienia pisane w formie pamiętnika niejakiej pani Ligockiej, która przychodziła do naszej galerii i pokazywała nam swoje dość liche malowidła. Wówczas nie zwróciliśmy na nią uwagi. Po czym zrobiono "Listę Szindlera", a jej przyszło do głowy, że w takim razie to i ona może napisać książkę o swoich przeżyciach. Zrobiła to, kapitalnie odtwarzając psychikę małej, cztero a potem pięcioletniej dziewczynki, która stale ucieka i stale się boi. Włosy się jeżą, jak ci biedacy musieli cierpieć. I pojawia się nadzieja, że jednak są dobrzy ludzie, którzy z narażeniem życia gotowi są pomóc w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

W ogóle przyznam, że literatura pamiętnikarska lub oparta na wspomnieniach, ma w moich oczach przewagę nad każdą fikcją. Co się tłumaczy, bo opisywane fakty są wówczas tak obecne w umyśle pisarza, że potrafi je oddać z wiernością i wymową jakiej nie może osiągnąć autor zmyślonej fabuły. Jeśli do tego dochodzi talent gawędziarski, to wychodzi z tego znakomita powieść.

Spotkałem się z dwoma innymi jeszcze książkami o tym charakterze, które też zrobiły na mnie równie silne wrażenie: "Papillion" Henrie Charier (czyli "Motyl") i "Obóz wszystkich świętych" niezjącego już Tadeusza Nowakowskiego (szalenie dowcipnego pana, którego można było słuchać z otwartymi ustami i co chwilę wybuchać śmiechem). Pierwsza mówi o przeżyciach faceta, który był skazany na katorgę w latach trzydziestych tego wieku i przebywał na Gujanie francuskiej, by na koniec z niej uciec. Druga to opowieści wojenna, a raczej powojenna samego Nowakowskiego, który zdemobilizowany po 45 roku przebywał w obozie uchodźców na Zachodzie i czekał na wizę, chyba do Stanów, bo nie chciał wracać do Polski.

Na ogół nie czytam niczego innego prócz gazet lub moich książek i artykułów prawniczych. Gdy próbuję coś przeczytać z beletrystyki, natychmiast mnie to nudzi. W ostatnich latach chciałem powrócić do Dostojewskiego, do Kafki i do Faulkenra, których wszystkich czytałem, gdy byłem wyrostkiem, bo wtedy wszystko połykałem jak leci, niczego właściwie nie rozumiejąc. Ale tak mnie ta próba powrotu, teraz, gdy jestem już w podeszłym wieku i mógłbym coś zrozumieć (o ile jest tam coś szczególnego do zrozumienia...) wynudziła, że po przeczytaniu pięćdzie-

sięciu stron każdego z nich dałem spokój próbom.

Jedyna literatura, jaką się zachwycam to nieustannie odczytywany "Voyage au bout de la nuit" Celina. Tą książkę mogę czytać i odczytywać na okrągło, zawsze mając wrażenie piękna tak wzniosłego jak wtedy, gdy patrzę na Twoje obrazy.

Piotr

Sobota, 5 października 2002, 08:07

Mówiąc prawdę, to nie chciałem poprzednio martwić Twojej Żony, ale przy dokładnym rozrysowaniu nie ma cudów. Najlepiej zrobić to na papierze milimetrym w powiększeniu.

Ja już w ogóle nie czytam. W tej chwili mam nawet zaległości jeśli idzie o ilustrowane tygodniki. Kupuję, kładę na kupkę z zamiarem przeczytania i potem obiecuję sobie, że przeczytam w następnym tygodniu, ale dochodzi kolejna kupka i po miesiącu wyrzucam stertę, która równie dobrze mogłaby leżeć w kiosku. Czasem coś liznę, czasem na jakiś felieton natrafię, ale ogólnie zarówno czytanie jak i pisanie przechodzą obok mnie. W pisaniu przeszkadza dysleksja i nawyk do twardej klawiatury w maszynie. W czytaniu powiększająca się nieregularnie i zależna od pogody, jak też samopoczucia, niesprawność prawego oka, która najsilniej występuje, gdy mam do czynienia z czytaniem. Nie uniemożliwia, ale drażni i męczy. Okuliści nie potrafią mi pomóc i, podobnie jak z uchem, problem ich przerasta. Zresztą to wymówki: jestem po prostu coraz bardziej leniwy i nie zaciekawiony.

Powracania do okupacji, a szczególnie do holocaustu, nie cierpię, ani w kinie, ani w książkach. Mam coś na kształt nieczystego sumienia, chociaż byłem tylko dzieckiem, i niczego nie zrobiłem, ani pozytywnego, ani negatywnego. Może dlatego, że mnie to bezpośrednio nie dotyczyło i mogłem wepchać głowę w piasek? Podobnie nie cierpię czytać o wszystkich innych okropnościach od Chile po Kambodżę. Mam naturę faceta, który jest predestynowany do życia w raj, a nie na świecie, obcowanie ze światem jest dla mnie na tyle bolesne, że go, w miarę możliwości, unikam. Nawet filmy lubię tylko takie jak Bond i jemu podobne. Dokład-

nie wypłukane z rzeczywistości, gdzie trupy nie są trupami, a nędza jest tylko kolorową pocztówką z egzotycznego kraju, dobro i zło są umowne i na poziomie 10 latka. Dobrzy wyrzynają złych i następuje happy end. W stosunku do świata przyjmuję, w celach ochronnych, postawę lalki Barbie. "Papillion" nie czytałem, ale wiem, o co biegnie, bo widziałem przed wielu laty w kinie, ale był to film tego typu, jakich nie cierpię oglądać.

Zdzisław

Sobota, 5 października 2002, 14:12

Strasznie słabo znam historię sztuki - jeśli w ogóle. Dziś, szukając jakiejś reprodukcji Desiderio Monsu (też znam go jedynie z czarno białych reprodukcji 5-8 cm), na którego chciałem się powołać, znalazłem faceta z lat 1789-1854 pod tytułem John Martin. Oczywiście tylko 3 miniaturowe reprodukcje, ale wygląda mi on na faceta sprzed 150 lat o takim samym sposobie widzenia, jak mój. Nie wiem jak to jest namalowane, ale zobaczone jest "muzycznie". Dobrze, że nie znam historii sztuki, bo w ogóle nie mógłbym malować. Jednym słowem wiem, co robię, broniąc się przed oglądaniem albumów.

Zdzisław

Sobota, 5 października 2002, 14:48

John Martina zobaczyłem po raz pierwszy u Ciebie na okładce jakiejś płyty. Obaj wówczas stwierdziliśmy, że jest fajny.

Po czym długo go szukałam w różnych albumach i zawsze wpadałam na jedną i tą samą (zresztą kławą) reprodukcję.

Wreszcie zwiedzając starą Tate Gallery zobaczyłem trzy jego wielkie obrazy w oryginale. Z tego jeden to właśnie ten, który zawsze odkrywałem na reprodukcjach. Nazywa się Wielki dzień Jego gniewu. Ten obraz był świetny. Natomiast ten, który był zaraz obok niego tak zaciągał tanioczą, że Anię aż odrzuciło. I rzeczywiście niebo do ziemi. Trzeba by oczywiście

zobaczyć tego więcej, żeby móc sobie wyrobić zdanie.

Niemniej pocieszę Cię, że nawet w stosunku do Wielkiego dnia Jego gniewu, łatwo znosisz konkurencję.

Piotr

Sobota, 5 października 2002, 15:56

To fakt. Fragment obrazu Martina był na okładce płyty EMI z symfonią Chaussona. Jest też na okładce CD z tym samym nagraniem. Też natychmiast skojarzyłem. Jeśli inne jego obrazy nie są tej samej miary, jaką sobie wyobrażam na podstawie tej miniaturki - świadczy to tylko na korzyść wyrwykowego poznawania historii sztuki. Tak jak z Wyspą umarłych Boecklina. Obejrzenie "całego" Boeckina szalenie mnie rozczarowało. Niektóre obrazy innych malarzy widziałem tylko w migawkach filmowych. Np. obrazy Klimta. Zaczyna się od ich oglądania jakiś "sensacyjno psychologiczny" film Nicolasa Roega. Obraz Turnera, przedstawiający wejście jakiegoś statku do portu, pamiętam do dziś, a widziałem go przez dwie sekundy na jakimś filmie. Waniek twierdził, że wielbiąc Turnera nie wiem, o czym mówię, bo przecież nie widziałem ani jednego oryginału, a tylko jakieś migawki, kiepskie reprodukcje w miniaturze etc. Tak, to racja, ale nikt nie odbierze mi mego doznania, a właśnie tym migawkom je zawdzięczam. Nie jestem w komisji przyznającej wyróżnienia. Napisałem już raz do kogoś: jadę pociągiem i patrzę przez okno. Nagle mignął tam Turner na jakiejś stacji i zostałem olśniony. W "Obywatelu Kane" starszy facet opowiada jak przez kilka sekund, gdy był jeszcze młodym człowiekiem, widział jakąś dziewczynę za barierką przepływającego statku i pamięta jej obraz przez całe życie. Tak to właśnie u mnie jest.

Zdzisław

Sobota, 5 października 2002, 20:29

Tak jest chyba u każdego: twarz która raz człowiekowi mignęła, jakaś przypadkowo obejrzana okładka płyty, czy fragment filmu prześladują

nas przez całe życie, podczas gdy solidnie obejrzane, nawet przeanalizowane i potem powtórnie odwiedzone wystawy znakomitych artystów, nie pozostawiają śladu.

Dziś z Anią, siedząc w Luwrze na couscousie (to taka arabska pyszna potrawa, bo tam prócz obrazów są i restauracje), staraliśmy się sobie przypomnieć, jakie wystawy zrobiły na nas trwale wrażenie. Ja doliczyłem się trzech, może czterech. A przecież widziałem ich grube dziesiątki.

Bo właśnie rozmawialiśmy o wystawach, ponieważ poszliśmy dzisiaj zobaczyć amerykańskie malarstwo post impresjonistyczne w fundacji Mony Bismarck. PRZE-PIĘK-NE ! O ileż wspanialsze niż francuski impresjonizm i post impresjonizm, a przecież w ogóle nieznanne. Już będąc w Stanach, w początku lat 70-tych odniosłem takie samo wrażenie, choć wtedy nie interesowałem się jeszcze sztuką i zwiedzałem muzea na zasadzie turystycznego zaliczania. Tak pięknie namalowanego światła nigdy u Francuzów nie spotkałem.

Co do Boecklina, to widzieliśmy jego ogromną wystawę jakiś rok temu. Było tam, jak i u Ciebie, sporo knotów. Ale w większości obrazy były wspaniałe. Widziałem kilka wersji "Wyspy umarłych" i mogę potwierdzić, że w oryginale jest jeszcze bardziej tajemnicza i niepokojąca niż w reprodukcjach. A poza tym było tam kilka obrazów mało znanych, a o niezwyklej, jeszcze mocniejszej atmosferze niż "Wyspa umarłych". Mam album z tej wystawy. Niestety marny. I taki właśnie album musiałeś widzieć, gdyż obejrzał "całego" Boecklina. Widząc w oryginale byłbyś oniemiał, tak to jest wspaniale.

Co nie przeszkadza, że w tym samym Musée d'Orsay, w pół roku potem, oglądaliśmy naszego Malczewskiego i stwierdziliśmy, że klasą absolutnie nie ustępował Bocklinowi, ani żadnej niemieckiej, francuskiej czy hiszpańskiej (bo jak Ci to pisałem przed kilkoma tygodniami byliśmy w tym samym Orsay na wystawie na której sporo było Hiszpanów) sławie. W ogóle Malczewski dla nas obojga był jedną z tych trzech czy czterech wystaw, które zrobiły na nas największe wrażenie.

Co do Turnera to jest ich niejako dwóch.

Jeden, którego po raz pierwszy spotkałem stosunkowo niedawno, jest mało znany, dość banalny, wylizany, wykończony, dziewiętnastowieczny, staroświecki. Ot, takie sobie pejzaże.

A potem jest Turner szkicowy, rozmyty, taszystowski, kolorowy, jakby pastelowy, zasugerowany, niedokończony, zupełnie nie ze swojej epoki. W Tate Gallery mają tego lepszego Turnera ponad sto sztuk i wraz z Martinem mocno nam utknął w głowie. Dla niego samego warto było pojechać do Londynu.

Powolujesz się na "Obywatela Kane". Mało filmów tak mnie poirytowało jak ten właśnie. Ty i wielu innych wielokrotnie powołujecie się na ten film, a w historii kina uchodzi za jeden z najwybitniejszych, jakie stworzono. Dla mnie jest śmieszny, naiwny, amerykański, grubymi nićmi szyty, pelen tików i trików czysto amerykańskich i po prostu pretensjonalny. Irytujący tak, że wytrzymałem pół godziny i cisnąłem kasetę video w kąt, bo zgrzytało jak żelazem po szkle. No, ale cóż, tak się utarło i tak już wszyscy będą twierdzić do końca naszego żywota, nawet jeśli tego filmu nie widzieli.

Jest z tym trochę jak z Szekspirem. Coś pustego, rozgadanego, nudnego i rozkrzyczanego ogłoszono arcydziełem sztuki światowej wszech wieków i tak już pozostania do końca świata. Nikt nie ośmiela się powiedzieć, że król jest nagi. Jeszcze nie dalej jak kilka tygodni temu zmusiłem się w Warszawie na pójście na jakąś jego sztukę do Dramatycznego. Docieriałem dwudziestej minuty, po czym jak wyrzucony z katapulty wyskoczyłem z teatru na ulicę, bo już nie mogłem dalej wytrzymać.

Jak można być jednocześnie wrażliwym na delikatnego, cienkiego i zwiewnego Turnera i na ciężkiego, grubego, amerykańskiego acz silącego się na filozofię, zadumę i romantyzm "Obywatela Kane"?

Tam są jedynie ładne zdjęcia.

Piotr

Niedziela, 6 października 2002, 8:59

Powolałem się na przykład z Obywatela Kane. Nie pisałem nigdzie, że Obywatel Kane jest najwybitniejszym filmem, jaki widziałem. Tak mówią podręczniki, z których Ty wyeliminowałbyś wszystkie filmy amerykańskie tylko dlatego, że amerykańskie, a ja w ogóle wszystkie filmy, bo okrzykana awangarda radziecka jest dla mnie także nudna jak flaki z olejem i nie

interesująca, podobnie jak Marcel Carne, Charlie Chaplin, awangarda niemiecka i cała reszta. Po prostu nie interesuje mnie historia filmu. Nie śledzę co i na kogo wywarło wpływ w ciągu tego krótkiego stosunkowo czasu.

Na obronę Obywatela Kane, którego po raz pierwszy, drugi i chyba 20 (miałem wtedy nadzieję na zostanie reżyserem i filmy zaliczałem wielokrotnie) obejrzałem gdy miałem poniżej lat 20, mogę podać to, co Ty uznajesz za jego wadę a więc "tricki". Ja głównie na tricki, pomysły inscenizacyjne i dramaturgiczne oraz montaż i prace operatora chodziłem, przez całe młodzieńcze lata, do kina. Z kolei teraz oglądam filmy już tylko dla rozrywki. Z krótkiego okresu zainteresowania kinem w latach późniejszych, najwyżej absolutnie stawiałem dojrzałego i późnego Felliniego i do dziś te filmy robią na mnie wielkie wrażenie. Szczególnie "Rzym" i "Amarcord". Niedawno obejrzałem film dokumentalny o Orsonie Wellesie, odsłaniający między innymi kulisy Obywatela Kane i okazało się, że miał on podłoże skandalizujące, a miejscami (Rosebud) był wręcz chamski w stosunku do Hearsta i jego przyjaciółki. Ten aspekt był dla mnie 20 letniego w ogóle egzotyczny. Nie miałem najmniejszego cienia wyobrażenia o tym aspekcie filmu w Polsce Bolesława Bieruta i w wieku 20 lat. Było to dla mnie pierwsze w życiu zetknięcie z dramaturgią nie-chronologiczną, bo wtedy jeszcze nie przeczytałem szeregu książek i tak ten film odebrałem i coś z tego uwielbienia pozostało we mnie do dziś. Gdybym to dziś obejrzał po raz pierwszy, znając rzecz tylko z podręczników, to nie wiem jakbym zareagował. Nie można jednak zapominać, że film zrobił nieumiarkowany, dwudziestokilkuletni, genialny szczeniak, specjalizujący się w skandalach, awangardowych inscenizacjach szekspirowskich i sluchowiskach radiowych i niewątpliwie bardziej niż wybitnie zdolny. Co do Boecklina, to nie kwestionowałem jego warsztatu, którego nie znam. Drażnią mnie całkiem irracjonalnie (podobnie jak Ciebie filmy amerykańskie) wszelkie odniesienia do mitologii śródziemnomorskiej, podobnie jak religijność chrześcijańska sprowadzona do aniołów ze skrzydłami i pasterzy etc, etc. Nie cierpię tego, a Boecklin jest tym wręcz przeladowany. Oczywiście i w Wyspie umarłych pojawił się motyw Charona, ale był on na tyle dyskretny i bez kropki nad i, że nie zepsuł mi wrażenia. Dostyc. Idę kończyć obraz. Czyżby nareszcie mi się udał? Powrót do

samego siebie sprzed lat?

Zdzisław

Niedziela, 6 października 2002, 12:31

Mam nadzieję, że przysłesz mi e-mailem fotografię nowego obrazu. Powrót do czasów sprzed lat? To brzmi obiecująco.

Co do Felliniego to ze świadomością, że ani Ty, ani ja nie jesteśmy oryginalni, bo tak myślą tysiące miłośników sztuki, zgadzam się zupełnie. Satirikon uważam za jeden z najpiękniejszych filmów, jakie w życiu widziałem. Wszystkie inne filmy Felliniego, zarówno z okresu czarno-białego neorealizmu sprzed "Osiem i pół" jak i z okresu kolorowego, który nastąpił potem, a który nie bardzo bym umiał jednym słowem określić, widziałem wielokrotnie i to zawsze z równym wzruszeniem (dla tych pierwszych), jak i estetycznym zachwytem (dla tych drugich).

Co nie przeszkadza mi po cichu składać hołd mało znanemu, a dla Ciebie nieinteresującemu filmowi Grandrieux "Sombre".

Piotr

Niedziela, 6 października 2002, 16:11

Niestety dziś jeszcze nie skończę obrazu, bo będę mieć za chwilę niezapowiedzianych wczoraj gości. Obraz podobny do... Zależne jest od tego, co traktujemy jako cechę podobieństwa. Może dla Ciebie będzie całkiem niepodobny. Takie balony, trochę w stylu mego fotomontażu, a trochę w stylu obrazu Tomka. Czasami odnoszę wrażenie, że obraz jest lepszy i chcę go wtedy sobie zostawić. Ale to tylko moje zdanie. Już nawet odbiór Felliniego, co do którego się zgadzamy, mamy chyba cokolwiek inny. Jeden z nielicznych filmów w całej historii kina, który porusza mnie do łez to "Amarcord". Ale mnie co innego porusza do łez. Zupełnie coś innego niż dramaty ludzkie. Choćby finały neoromantyczne w muzyce symfonicznej. Ravel podobno płakał na Petruszce Strawińskiego, co przeszło już do historii. To tyle na razie. Leje i zrobiło się tak ciemno, że nawet

niedokończonego obrazu "nie idzie" sfotografować.

Zdzisław

Niedziela, 6 października 2002, 18:01

Jeszcze jedno: niesłusznie zarzucasz mi systematyczną antyamerykańskość. Nie tylko podziwiam sposób, w jaki oni się rządzą (prócz tego że pozwalają każdemu prawie obywatelowi na posiadanie broni). Podziwiam ich niezwykle osiągnięcia naukowe i ich zrozumienie, że tu nie należy oszczędzać ani pieniędzy, ani wszelkiego typu ułatwień administracyjnych (zwłaszcza dla badaczy zagranicznych, którzy chcą tam pracować). Nie cierpię natomiast ich imperializmu i ochoty do zmuszania innych, by myśleli tak, jak oni.

A więc w pierwszym rządzie nie akceptuję ich sposobu działania na arenie międzynarodowej, ich wojny w Wietnamie, wojny, którą chcą wydać Irakowi bez poparcia całej Wspólnoty Narodów etc.

Z tego samego powodu nie cierpię niektórych z ich polityków, z reguły republikańskich, bo w ogóle nie cierpię prawicy i tak samo nienawidzę Sharona, Begina, Samira, Netanyahu jak Reagana, starego Busha, młodego Busha, Kissingera, Rumsfelda, Wolfowitza i wielu im podobnych.

Wreszcie nie mogę znieść niektórych elementów amerykańskiej kultury. Choć lubię Presleya, amerykańskie słodkie pioseneczki i rock and roll, choć cenię wielu amerykańskich reżyserów europejskiego pochodzenia, Fritza Langa, Kubricka, Redleya Scota, Dawida Lyncha i kilku innych, tak nie mogę zaakceptować tego, co w kulturze amerykańskiej najistotniejsze: jej optymizmu, konformizmu, manicheizmu, moralizmu, a w sumie jej charakteru ludowego, skierowanego do odbiorcy masowego, niewybrednego, łatwego, którym się chce manipulować środkami niewybrednymi, prostackimi.

Tak więc nienawidzę w Ameryce tego, czego na ogół nienawidzę również i u wszystkich innych, lecz co u tych innych występuje lub zauważa się mniej: szeroko pojętej propagandy, jej środków i jej celu.

Dla potrzeb propagandy tak samo działali Hitler i Stalin. Wprawdzie robili to w imię innych niż Amerykanie wartości i walili z grubszej niż

Amerykianie rury, ale w każdym z tych wypadków chodziło o propagandę, zarówno w prostackich środkach, jak i w nie do przyjęcia celu: manipulowania innymi na to, by ich zdominować.

Piotr

Niedziela, 6 października 2002, 19:01

W miarę nadchodzących wiadomości o nowym obrazie napięcie rośnie. Balon Tomka jest jednym z najpiękniejszych, jakie namalowałeś.

W każdym razie jak najrychlej przyslij zdjęcie.

Piotr

Niedziela, 6 października 2002, 21:15

O Boże: narozrabiałem. Teraz będziesz się spodziewał nie wiem czego, a to jest w pewnym sensie normalny monochromatyczny obraz z tych, jakie obecnie maluję, tyle że ma wkomponowane chmury i drugi plan. Stylistycznie pasuje do tych kilku monochromatycznych obrazów, jakie ostatnio robiłem. Po prostu jestem z niego zadowolony. Dobrze - gdy tylko skończę i poprawi się światło (zapewne jutro) - wyślę Ci zdjęcie, ale to nie będzie obraz z cyklu Fantasy World, a raczej coś w stylu balonów na czarnym fotomontażu komputerowym. Jeśli powołałem się na obraz Tomka, to ze względu na typ sfalowania tkaniny u dołu. Nie znoszę, gdy ktoś oczekuje na zbyt wiele, a potem jest rozczarowany, bo potem zabija mi to chęć do pracy. Niepotrzebnie w ogóle o tym napisałem.

Co do Ameryki, to podzielał wiele z Twoich poglądów, ale ja pisałem tylko o tym, że masz jakiś uraz na temat filmów amerykańskich. Oczywiście są w większości rozrywkowe, ale tego właśnie w filmie obecnie szukam. Naiwność mogę wybaczyć, tym niemniej w dziedzinie filmu rozrywkowego, żadna inna kinematografia nie dorównuje statystycznie kinematografii amerykańskiej. Niezależnie od tego powstają tam też filmy nie rozrywkowe i to dobre. Zakładanie (jak to wielokrotnie czyniłeś), że film jest zły ALBOWIEM jest amerykański, jest dla mnie nie do przyjęcia. Jest to

założenie skrajnie mechaniczne. Zakładanie, że tylko europejscy lub pochodzący spoza Ameryki reżyserzy potrafią dobry film nakręcić, jest także mechaniczne i nie potwierdza się w praktyce. Generalnie nie szukam w filmie sztuki nadmiernie wysokiej. Szukam zabawy i optymistycznego zakończenia. Chcę wieczorem odpocząć w świecie wymyślanym i sztucznym. Oczywiście czasem robię od tego wyjątki.

Niezależnie od tego, czym można obciążyć Amerykę, to nie jest ona ani Rosją Stalina, ani Niemcami Hitlera, a na dodatek powstają tam także filmy demaskatorskie o nie optymistycznym dla USA wydźwięku. Nie zawsze głębokie i nie zawsze dobre, ale to było niemożliwe ani w ZSRR, ani w Niemczech.

Zdzisław

Niedziela, 6 października 2002, 22:55

Co do obrazu, to nastąpiło nieporozumienie, wynikłe z mojej nieudolności w żartowaniu. Gdy napisałem "napięcie rośnie", to chciałem być trochę ironiczny. Po czym przyszło mi do głowy zwierzyć Cię się jak podobał mi się balon Tomka. W sumie to ostatnie zdanie zniwelowało drobną drwinę, która miała być zawarta w pierwszym i wyszło na to, że ja naprawdę żyję w napięciu i marzy mi się Twój nowy balon.

Wiedz, że mój stosunek do Twojej twórczości jest zupełnie trzeźwy. Nie obawiaj się więc histerycznie zaciskanych pięści i przyśpieszonego oddechu w oczekiwaniu na to, jak boska ręka mistrza wykona ostatni ruch pędzlem, po czym boskie usta mistrza powiedzą słowo "skończone".

Co do Ameryki, to po to, by Cię przekonać, iż nie jestem tak systematycznie antyamerykański jak twierdzisz, przypomnę iż od ponad dziesięciu lat codziennie nie czytam "Le Monde", a "Interantional Herald Tribune", czyli właśnie prasę amerykańską.

Ja nie mówię, że film amerykański musi być zły. Ja tylko czynię spostrzeżenie z perspektywy doświadczenia moich 54 lat chodzenia do kina (bo chodzę do kina od wieku 6 lat), że jest 99,9 szans na sto, że jeżeli film będzie amerykański, to będzie nie do ścierpienia. Co nie przeszkadza, że widziałem trzy czy cztery filmy amerykańskie, zrobione przez rdzennych

Amerykanów, które były zupełnie dobre i pozostały mi w pamięci. Myśle o "Gronach gniewu", o "Pięciu łatwych utworach", o "Porozmawiajmy o kobietach" etc. Może ich było jeszcze kilka. Poza tym na wieśset filmów amerykańskich, jakie widziałem, nie było ani jednego, który chciałbym jeszcze raz obejrzeć, a w większości wychodziłem z kina już przy pierwszym oglądaniu. To jest kultura masowa, której nie mogę połączyć. To mnie brzydzi jak śledzie: genetycznie. Przeczytałem bowiem gdzieś, że wstręt do śledzi (a ja go mam) jest u niektórych ludzi wpisany w geny i nie ma co z nim walczyć, bo się go nie przełamie. Ja po prostu ich kulturą filmową i literacką rzygam. Nie cierpię Orsona Welles'a, nie cierpię Hemingwaya, nie cierpię Faulknera, nie lubię Steinbecka. Ale na odwrót, ogromnie lubiłem wystawę malarstwa post impresjonistów amerykańskich z początków tego wieku, o której Ci pisałem wczoraj. Tak to już jest i nie ma w tym żadnej systematyczności.

Na ogół filmów rozrywkowych nie chwytam. Nie umiem się śmiać, lub raczej trudno jest mnie rozśmieszyć w kinie. Co do przygód i napięć wynikłych z pogoni lub procesów i policyjnych dochodzeń, to nie ruszają mnie. Tak więc już przez samą tematykę kino amerykańskie, które na ogół jest oparte na jednym z tych motywów, jest mi obce. Do tego dochodzi ta amerykańska lopatologia, to mówienie rzeczy do końca, te utarte sposoby gry aktorów, które znam na pamięć, ten sensacyjny montaż i podkreślony dźwięk i wreszcie ta absurdalna muzyka. Wszystko, żeby mną wstrząsnąć. I wszystko, żeby mnie uciekło z kina.

Lubię kino o fabule ciężkiej, o zdjęciach starannych i malarskich, o grze aktorów naturalnej, wyciszonej, dyskretnej, o muzyce zadumanej i smutnej lub na odwrót, patetycznej, wspaniałej. Lubię jak mówi się tam mało lub wcale, jak jest dużo ciszy i spokojnych twarzy, bez przesadnej lub nawet żadnej mimiki. Jednym słowem lubię dobre filmy radzieckie, włoskie, angielskie czy francuskie, ale również irańskie lub izraelskie. Wiem, że jeśli Ania proponuje mi film francuski, a już na pewno angielski, to jest spora szansa, że wieczór będzie klawy i że wyjdę z kina zadowolony. I na odwrót. Toteż na przykład wczoraj, idąc Polami Elizejskimi po wystawie amerykańskich post impresjonistów, pomyśleliśmy z Anią, żeby przechadzkę zakończyć kinem. Ale ponieważ na Polach były same amerykańskie i kilka rozrywkowych francuskich, to po prostu do kina nie

poszliśmy, bo trzeba by było jechać do dzielnicy lacińskiej lub na Bulwar Saint Germain. A tego się nam już nie chciało.

Piotr

Poniedziałek, 7 października 2002, 09:15

Ulżyło mi. Dzięki. Rzeczywiście nie zauważyłem ironii i denerwowałem się. Pogoda dziś taka, że nawet nie będzie chyba szans na dokończenie obrazu, nie wspominając o jego sfotografowaniu z ręki, a innych warunków teraz już nie mam.

Co do filmów, to stanowimy klasyczny wypadek upodobań komplementarnych. Gdy wyliczałeś co w kinie lubisz, to pozycja po pozycji - tego właśnie najbardziej nie cierpię. Dla mnie hasło film amerykański, jest uniwersalną zachętą do obejrzenia, nawet jeśli początkowo miałem wątpliwości. Nie oceniam demokracji amerykańskiej i imperializmu, który zresztą wynika jak zawsze z siły, a siła, zawsze w historii, stała ponad prawem lub stanowiła prawo dla swoich celów, z tym, że wolę siłę w rękach safanduly w rodzaju Busha (które są na dodatek częściowo związane), niż w rękach Stalina. Na pewno wyrządzi mniej szkody, ale generalnie ja nie chcę oceniać Ameryki, bo brak mi przygotowania i zainteresowania tematem. Polityka, z racji mego stosunku do rzeczywistości (o czym już pisałem), jest dla mnie dalekim marginesem zainteresowania; zdaję sobie oczywiście sprawę z jej meandrów, zgnitych kompromisów, ukrytych przed opinią publiczną poczynań i faktycznych celów, ale to w dosyć niewielkim stopniu mnie interesuje. Wypowiadałem się tylko na temat filmu, podobnie jak wypowiadałbym się na temat komiksu lub jazzu.

Jeśli idzie o jazz, to w latach 20-tych wszędzie były próby jazzu (nawet w ZSRR), były to próby czasami nawet oryginalne, ale jedynie dobry i autentyczny jazz, który przeszedł do historii, powstał i rozwinął się w USA. Robili go oczywiście głównie czarni, ale nie robili go w Afryce, lecz w USA. Z tą samą pewnością sędzę, że jedynie w USA powstają fajne filmy, bo to rodzaj specyfiki narodowej i przemysłu narodowego. Podobnie jest z musicalami, mimo że ja generalnie nie lubię musicalu.

To oczywiście generalnie sztuka dla mas i popularna. Tym niemniej

powstaje tam bardzo wiele filmów adresowanych do inteligenta. Filmy innych krajów sprawiają na mnie wrażenie jazzu granego (w latach 20-tych!!!!, bo dziś nie ma już mowy o autentycznym jazzie) przez Rosjan, Polaków, Francuzów, Hiszpanów czy Żydów. Są tu wyjątki, ale prawie z reguły brak tym filmom prawie wszystkiego, co stanowi istotę gatunku! Ale oczywiście można nie cierpieć jazzu lub można też nie odbierać jazzu, mimo wykształcenia muzycznego i kultury muzycznej, a może nawet dlatego. To sztuka stereotypu i film amerykański to także sztuka stereotypu. Ty jednak, wyliczając jego największe zalety, nazywasz je wadami. Odnośzę wrażenie, że zachowujesz się jak krytyk posługujący się tymi samymi kryteriami do oceny impresjonizmu i komiksu. W tym wypadku komiks przegrywa. Nawiasem: to wszystko oczywiście nie znaczy, że każdy czarny, który grał w latach 20-tych jazz amerykański (nawet w Paryżu, który był w USA modny) był tak samo dobry, gdyż w ramach stereotypu także istnieje hierarchia jakości. Osobiście mi nie mam, że nie jestem w swej twórczości stereotypowy, ale jestem bardzo otwarty na niektóre stereotypy. Niekoniecznie na musical, balet, teatr Kabuki lub Manga i Hentai, ale na brytyjską pop music i film amerykański tak.

Zdzisław

Poniedziałek, 7 października 2002, 19:15

No to co? Wyślesz mi to zdjęcie?

Sprzedalem dzisiaj Dziopakowej Twój obraz z dwoma nachylonymi, szarymi domami.

Piotr

Poniedziałek, 7 października 2002, 21:40

Wyślę, gdy tylko będzie jaśniej. Dzisiaj non stop leje i panują ciemności, tak więc w ogóle nie malowałem, tylko pracowałem na komputerze. Zrobienie cyfrówką zdjęcia z ręki (statywy pożyczyl ode mnie przed rokiem Stapowicz i już ich więcej nie widziałem) jest niemożliwe bez lampy

błyskowej, a z lampą błyskową trzeba by fotografować pod sporym kątem. Moja sympatia do tego obrazu dziś po jego skończeniu raptownie spadła - może przyczyną była korespondencja na jego temat? Zobaczę jak będzie, gdy się trochę odleży. Gdy zrobi się choć przez chwilę jaśniej, to Ci obraz sfotografuję.

Zdzisław

Wtorek, 8 października 2002, 11:35

Wysłałam zdjęcie, o które prosiłeś.* Dziopak wczoraj późnym wieczorem przyszła i wymogła na mnie obietnicę namalowania dwóch obrazów z architekturą (do wyboru miałem jeszcze "morze" i "piękną dziewczynę" - jeśli coś sprzeda i ktoś u niej zamówi coś podobnego, to potem ja mam to "coś podobnego" odpierdalać - wszyscy galernicy są tacy sami). Po jaką kurwę się zgodziłem? Czyżby mi było źle? Gdy ktoś zacznie na mnie naciskać i prosić, jestem za mało asertywny. Dziś od rana przeklinam siebie za to, że się zgodziłem. Gdyby prawdą było to, co o mnie pisałeś, że liczę tylko na forszę - miałbym "noc spokojną i dzień nie tęskliwy". Niestety ja najbardziej ze wszystkiego na świecie kocham wolność, niezależność, brak zobowiązań i luz. Chciałem sobie namalować damę w długiej do ziemi XIX-wiecznej sukni - tyle że z blachy, a będę musiał odpierdalać kolejną architekturę i to razy dwa.

Zdzisław

*Obraz do zobaczenia na stronie numer XXX

Wtorek, 8 października 2002, 12:09

Dzięki za zdjęcie. Jeśli sobie nie zachowujesz, to zostaw obraz do naszego przyjazdu. Bardzo o to proszę (tak jak Dziopakowa, to znaczy w sposób, który, jak się okazuje, zapewnia skutek). Że Ty jesteś uczulony na wolność i swobodę nigdy nie przeczyłem. Zwłaszcza dziś. Że Twoje apetyty pieniężne były dawniej również

nienasycone, nadal podtrzymuję. Dziś tłumaczysz to tym, że chciałeś zapewnić żonie byt na wypadek, gdyby Cię zabrakło. Niezależnie jednak od tłumaczenia, które moralnie jakoś Cię ma usprawiedliwić, fakt pozostaje faktem: byłem pod stałym brzemieniem Twoich pieniężnych wymagań, które nieustannie rosły, mimo naszych ustaleń spisanych i krwią podpęczętowanych i nie znosiły zwłoki (w ten sposób musiałem się pozbyć "damy ściskającej piersi", bo zapowiedziałeś mi, że "znasz konsekwencje w wypadku, gdybym nie dostał pieniędzy na wyznaczoną datę").

Piotr

Wtorek, 8 października 2002, 17:28

Myśl sobie co chcesz. Ja po prostu w wypadku Dziopak zbieram cięgi za swoje wychowanie w dzieciństwie: bądź grzeczny, szanuj ludzi i nie wywyższaj się. Najchętniej maluję DLA SIEBIE. Nie umiem jednak odmówić prośbom: "niech pan coś nam namaluje", bo mogłoby to wyglądać na to, że Beksiński zadziera nosa. I tylko taka (przekłeta!!!) motywacja istnieje. Do dziś odczuwam, że powinienem ustępować starszym miejsca w metrze i tramwaju, a przecież jestem już starcem! Ty tego nie rozumiesz, bo byłeś wychowany całkiem inaczej.

Oczywiście, że w trakcie trwania kontraktu walczyłem o forszę, bo TYLKO DLA NIEJ zrezygnowałem ze wszystkiego, co cenię i lubię, a więc z wolności, niezależności i luzu, który poprzednio, przed spisaniem naszego kontraktu, zbudowałem sobie w Polsce. Nie istniał najmniejszy cień innej motywacji!!! Miałem obowiązek względem matki, która utrzymywała mnie przez całe lata ze swojej emerytury, względem żony (nikt na świecie nie był mi tak bliski), której chciałem zapewnić spokojną starość i wobec syna, któremu każdy ojciec na świecie chce przekazać wszystko, co ma. Odczuwałem też pewne zobowiązania wobec Ciebie, ale były one wręcz nieporównywalne z tymi trzema zasadniczymi i bynajmniej nie dotyczyły tego, czego ode mnie oczekiwałeś. Uważałem, że spisaliśmy wtedy kontrakt, mając na celu wzajemny interes finansowy. Twój pogląd na jego cel w trakcie jego trwania ulegał płynnej zmianie (zakładałeś przecież na początku galerię sztuki polskiej dla swojej żony,

która kończyła karierę modelki - i tak postrzegałem cel naszego kontraktu w trakcie jego spisywania). Mój cel, poza pierwszymi dwoma, trzema miesiącami, gdy uwierzyłem na krótko w świetlaną przyszłość, jakąż, z właściwym sobie optymizmem roztoczyłeś przed oczyma prowincjusza - był minimalistyczny: zarabianie na bieżąco pieniędzy, zanim wszystko runie (po pierwszym zauroczeniu, nie miałem co do tego wątpliwości, że dryfujemy na topniejącej krze) i zostanę na lodzie bez obrazów i bez przyszłości, bo w Polsce traciłem z dnia na dzień w sposób dostrzegalny dla siebie: rynek, ciągłość kariery i wszystko to, co miałem tu zbudowane. Znam Twoją optykę - choćby z Twojej książki, ale moja była taka, jaką wyżej opisuję. Mojej optyki nigdy nie chciałeś dostrzec.

Jeśli chciałbym dokładniej opisać swój sposób funkcjonowania, zanim spisaliśmy kontrakt, to był on bardzo zbliżony do tego, jaki stosujesz teraz sam dla siebie. Sprzedawałem obrazy w DESAch i prywatnie według uświęconej obecnie i przez Ciebie zasady: najpierw najbardziej gówniane, potem mniej gówniane, dobre sprzedawałem do muzeów, a najlepsze zostawiałem dla siebie, żony i syna. Nikt nie zmuszał mnie do podejmowania w określonych terminach decyzji, wszystko toczyło się powoli, z dystansem i refleksją. Nikt nie mówił mi, że najlepszych ma być w roku najwyżej 5, bo czasem było ich 7, a czasem tylko jeden, zaś bywało, że czasem nawet po roku, obcując z wiszącym na ścianie obrazem, zmieniałem własne preferencje, nie pytając nikogo o zdanie i o pozwolenie - chyba, że był to obraz подарowany żonie. Gdy pojawiali się klienci, zdejmowałem ze ścian i chowałem w pokoju teściowej najlepsze obrazy. Miałem zunifikowane formaty, więc w 15 minut zmieniałem wystrój. Nastąpił stan wojenny i rynek zbytu okresowo zamarł. To i tylko to było przyczyną spisania kontraktu, z jego sztywnymi regulami, które były dla mnie taką samą potwornością jak kuchnia śródziemnomorska, ale czułem się do tego zmuszony, bo przyszłość Polski rysowała się niejasno, a stan wojenny mógł zaowocować nawet radziecką wersją komunizmu i bałem się, że utracę dożywotnio możliwości zarabiania. Piszesz teraz, że w celu zapłacenia mi, musiałeś sprzedać obraz. Ależ w moim mniemaniu po to właśnie spisywaliśmy ten kontrakt!!! Początkowo planowałeś być tylko pośrednikiem! W miarę zmiany swej optyki i preferencji, zacząłeś postrzegać mnie jako utrzymanka, który smarowany jest miodem

i zamiast nieustannie doić forszę, winien odczuwać wdzięczność dla kogoś, kto go z poświęceniem utrzymuje. Ja natomiast czułem się obdzierany codziennie ze wszystkiego, co było dla mnie cenne, czyli: z wolności, niezależności, luzu psychicznego do pracy, świadomości, że pracuję dla siebie, oraz miałem nieustającą świadomość, że moja pozycja handlowo-artystyczna we Francji jest nadal praktycznie żadna, natomiast z każdym dniem tracę pozycję, jaką przez lata wyrobiłem sobie w Polsce. Na cóż więc miałem na Boga liczyć, jak nie tylko na pieniądze i wyszarpać ile się da, zanim ich całkiem zabraknie, a tylko taką przyszłość dostrzegałem (nawiasem: w końcu się przecież nie myliłem). To nie jest mój naturalny sposób bycia. Ani taki przedtem nie byłem, ani teraz taki nie jestem. To był sposób bycia wymuszony tym kontraktem.

Kontynuowałem więc to wszystko tylko za pieniądze i bynajmniej nie czułem się smarowany miodem, lecz czułem, że grzęznę coraz głębiej, opleciony pajęczyną warunków i zobowiązań na piśmie, z których nie wiadomo, jak mógłbym się wyzwolić. To wszystko pod akompaniament nieustannych krajowych przytyków i złośliwości w stosunku do faceta, który sprzedał się za grube dolary, zrobił się skurwysynem i żał mu nawet dać rocznie dwa czy trzy obrazy lub kilka rysunków na cele dobroczynne. Nikt przecież nie wiedział, jak wygląda faktycznie ten sukces, a w obawie, że zostaną w Polsce do reszty przeceniony w dół (co w końcu się stało i po zerwaniu kontraktu musiałem przez kilka lat odrabiać straconą pozycję, bo - o czym zapewne nie wiesz; moich obrazów się wtedy w Polsce pozbywano), nikomu nie wspominałem nawet o faktycznych "ryczałtowych" cenach moich obrazów, tylko odgrywałem rolę milionera.

Ty napisałeś na ten temat całą książkę. Ja tylko kilka listów takich, jak ten teraz, ale moje preferencje były równie ważne, mimo że ich nawet chyba nie zauważałeś. Czuję się traktowany przedmiotowo: smarowany miodem i chciwy Bekiński, który nigdy nie okazał cienia wdzięczności swemu dobroczyńcy. Przepraszam. Nie chciałem już do tego wracać, ale te parę słów w Twoim liście spowodowało nawrót dawnego rozgoryczenia. Złość na Ciebie już dawno mi minęła, ale podobnie jak Ty na mnie, ja też ją odczuwałem i nie tylko Ty, ale ja również, czułem się pokrzywdzony.

Zdzisław

Wtorek, 8 października 2002, 17:57

Zapomniałem jeszcze w ferworze pisania poprzedniego listu wspomnieć o obrazie z balonami. Ja w ogóle nie pozbywam się obrazów nadmiernie szybko, już choćby z przyczyn ściśle technicznych. Najpierw farba musi wyschnąć, potem muszę go pokryć gelem i znowu musi wyschnąć, potem muszę uprosić Rosikonía by zrobił jego zdjęcie, co trwa co najmniej tydzień, bo trudno się czasem z nim umówić. Potem zostawiam sobie obraz (chyba, że go zdecydowanie nie lubię) na czas jakiś, czasami ponad rok "na magazynie". Szybko odbębnię dwie architektury dla Dziopak, bo chcę się tego zobowiązania pozbyć. Tu już zostaną tylko okresy technologiczne i oczekiwanie na Rosikonía, ale gdy tylko to będę mieć za sobą zadzwonię do niej, że zamówienie wykonałem.

Co do balonów, to nie mam jeszcze zdania, bo najpierw wysłałem nieopatrznie kumpłowi fotografię obrazu gdy był w 50%, on go pochwalił, co mnie wprawdzie pobudowało entuzjazmem, ale teraz lękam się mu wysłać wersję skończoną, by nie napisał, że poprzednio było lepiej. Potem Ty napisałeś coś o obrazie Tomka i ja już zdecydowałem, że jestem z roku na rok coraz gorszy i tylko się powtarzam. Mane Tekel Fares. Obraz był prawie ukończony, więc z obrzydzeniem skończyłem i odłożyłem, ale znam siebie i wiem, że u mnie to wszystko zawsze tak właśnie wygląda i wcale nie nie znaczy - tak więc musi się to odleżeć. Na razie podmalowałem dziś obraz dla Dziopak i czekam do jutra, by podmalówka wyschła. Jutro wpaść ma Ochman i nie daj Boże coś powie, co znowu mnie zniechęci, bo nawet do odpięprzenia zamówienia, muszę się nabuzować wewnątrznie
Zdzisław

Wtorek, 8 października 2002, 19:43

Tak to jest, gdy napomykasz nierozważnie o dawnych czasach. Po prostu nigdy, nie tylko w prasie i w wywiadach, ale nawet w naszej korespondencji, choćby tylko aluzjami nie wracaj do tego, co było, bo natychmiast wraca fala goryczy, przypominają się dawne żale i całą przyjazną atmosferę trafia szlag. To był okres czyśćca i nie chcę, by mi go przypominano.

To, co napisałem w mojej książce jest tylko bladym odbiciem tego, jak ja to przeżyłem, bo Ania wielokrotnie kazała mi poucinać lub zmienić całe fragmenty Ciebie dotyczące.

Wróćmy do tego, co obecne, a co zapowiada się znakomicie, bo obraz jest piękny. Nie bierz tego jako zapowiedzi nalegania, byś mi go sprzedał, bo mając 60 lat raczej nie powiększam mej kolekcji (choć ostatnio kupiłem dzieł sztuki za ponad 100 tysięcy franków), a raczej ją sprzedaję. W dodatku obecnie nie pachnę gotówką, bo nasze akcje na giełdzie spadły o połowę i nie mogę ich sprzedawać tak, by z tego źródła uzupełniać finansowe braki. Niemniej chciałbym obraz zobaczyć, bez tego żeby mi było powiedziane od razu: "Za późno. Już sprzedany". Rzeczy nieprzesądzone pozwalają na pewien komfort psychiczny.

Ania radzi mi, bym wyjął z mojej książki, co się tylko da wyjąć o Tobie i o sprawach twego lansowania na Zachodzie, zaś w tej części, w której nijak wyjąć fragmentów o Tobie nie będzie można bez masakrowania reszty nazwać Cię "Artystą" a nie "Beksem" i w ten sposób obciążyć do połowy książkę wydać przez jakiegoś dużego wydawcę (o ile w ogóle jakiś wydawca zainteresuje się tym i przyjmie to do druku). Tytuł byłby wówczas inny, ale na pewno bez Twego nazwiska.

Może Ania ma rację, a i Ty chyba nie będziesz żądał, bym uczynił to dopiero po Twojej śmierci?

Bo o ile wydanie w maleńkiej serii, po zerwaniu przez Ciebie naszego układu i sytuacji, gdy byliśmy skłóceni, nie wywoływało we mnie rozterki duchowej, o tyle dziś znów poczuwam się do pewnej lojalności w stosunku do Ciebie i wolę Cię zapytać o zdanie.

Piotr

Wtorek, 8 października 2002, 23:39

Mój Boże. Do samej książki już się przyzwyczaiłem i wznowienie jej nie byłoby dla mnie przeżyciem traumatycznym. Jest tam wiele fragmentów, co do których już Ci nawet pisałem, że są ewidentnie błędne, tak jak to ZMP zamiast ZBM, oraz takie, które miały za zadanie wskazać palcem: w rozdziale zatytułowanym bodajże "Dzieci", a wyliczającym kłopoty

i nieszczęścia, jakie walą się na szaleńców, którzy nierozważnie zdecydowali się rozmnożyć, tylko Tomek ma nazwisko. W kilku miejscach - podobnie jak madame Jarecka, wiesz co sobie myślałem i dlaczego tak, a nie inaczej postąpiłem i tak samo jak ona się mylisz. No ale w końcu Ty ten tekst podpisujesz, a nie ja. Ja sprostowań pisać nie będę, bo mi się po prostu nie chce, ale zawsze jest obawa, że jeżeli wyjdzie to po polsku, to jakiś dziennikarz lub nawet dziennikarze, zechcą ze mną na ten temat rozmawiać i wręcz trudno byłoby nie zareplikować, a jak sam uważasz bywam złośliwy i ironiczny - zresztą chyba nie chciałbyś bym w polemice (o ile takowa by powstała) dawał Ci fory. Tylko na Boga nie traktuj tego co wyżej jako jakichś zakamuflowanych pogroźek z mojej strony, bo tak to mimo mej woli wygląda. Tyle, że ja mniemam, iż w Polsce to nie ma szans, bo ludzie tutaj szukają skandalu, cudzych żon, współpracy z mafią lub wywiadem PRL. Ta książka była moim zdaniem dobrze napisana w sensie stylu, ale nieco paranoiczna: wszyscy się odwrócili, nikt nie pomógł etc. Miała szereg interesujących wątków autobiograficznych, ale Ci, którzy potencjalnie byli nią zainteresowani, już ją przeczytali. Inni sięgnęliby po nią tylko wtedy, gdyby pomawiała mnie o współpracę z bezpieką, a zresztą i to się już przejadło, może jeszcze zainteresowałoby lud boży fałszowanie przeze mnie pieniędzy lub molestowanie niemowląt lub to, że moim klientem był za komuny Mulla Omar, który przebrany za kobietę z brodą przyjeżdżał do Warszawy, lub że pozowała mi nago do obrazu kochanka kardynała Glempa. W Polsce obecnie dominuje dureń, który domaga się chleba i igrzysk. O rynku wydawnictw nie decyduje inteligent, bo on wykupi tylko znikomą ilość nakładu. Rzecz musi poruszyć gospodynie domowe, które w zaduchu kuchni boleśnie przeżywają fakt, iż życie przeszło im przed nosem w trosce o to, by mąż miał czyste skarpetki, a innym w tym czasie udało się zdrowo poświntuszyć, ale w końcu zostali napiętnowani i dobrze im tak.

Szymanik nie zrezygnował z wywiadu rzeki i obecnie jego pomazańcem w tej sprawie jest Leszek Mazan z Krakowa, który miałby ze mną gadać. Nawet Ochman mnie namawia, ale ja nie lubię być przedmiotem zainteresowania i chyba uda mi się wykręcić nie obrażając nikogo.

Zdzisław

Środa, 9 października 2002, 21:59

Wprawdzie mam o mojej książce lepsze mniemanie (jak i wielu z tych, którzy ją czytali), niż twoja "realistyczna" i "oszczędna" opinia, lecz przyznaję, że może masz i rację z jej, mało prawdopodobnym, powodzeniem wśród szerszej publiczności. W końcu jeszcze niczego nie zdecydowałem. Chodziło mi tylko o to, by Tobie robiąc zarzut nielojalności, sam nie poczynić podobnego faux pas. Toteż Twoja odpowiedź, że nie widzisz przeszkód, mi wystarcza.

Piotr

Czwartek, 10 października 2002, 08:16

Nie prosileś mnie przecież o opinię o samej książce, a zresztą obawiałbym się opiniowania słowa pisanego, bo to nie moja działka. Nie czuję się kompetentny. Na dodatek nie cierpię opiniować niczego - nawet plastyki. Zachowuję się w takich sytuacjach sztucznie, tak aby wyglądało, że to z innego filmu i niewiele mnie obchodzi. Powiedzenie rzeczy milej, nie przejdzie mi przez gardło, bo mam nerwicową obawę, że będzie to wyglądało na nieszczerzy komplement (nie potrafię nawet kobiecie powiedzieć że jest piękna), powiedzenie rzeczy przykrej tym bardziej. Ustawiam się niejako profilem i coś bąkam ogólnie, tak jakby horyzont bardziej mnie interesował, niż fakty z jakimi mam bezpośrednio do czynienia. Dlatego tak zdecydowanie unikam roli belfra w malarstwie. Gdy wspomniałem o aspekcie paranoicznym, to tylko dlatego, by Ci jakoś zasygnalizować, że w wypadku jeśli doczekałbyś się krytyki, to właśnie tu zbierałbyś zapewne cięgi. Nie z mojej strony, bo ja takiego wątku nigdy bym nie poruszył w innym miejscu, jak tylko w liście lub w prywatnej rozmowie z przyjaciółmi i jeśli zmuszony byłbym polemizować publicznie, to polemizowałbym tylko z tymi fragmentami, które dotyczą osobiście mnie oraz naszych minionych układów.

Dziś nareszcie słońce (ale złapał w nocy przymrozek), więc idę po zakupy, a potem biorę się za odpierdalanie obrazu dla Dziopak.

Zdzisław

Czwartek, 10 października 2002, 10:23

Po godzinie, jaka jest zapisana na twoim e-mailu widzę, że budzisz się rano i już o 8-ej funkcjonujesz. Ja zazwyczaj budzę się między 9:30 a 10:30, patrzę na informacje, czytam moją gazetę i dopiero około 12-ej zaczynam coś tam dłubać.

Twoja niechęć do pochwalenia nie wynika, jak piszesz z tego, że to nie Twoja działka, tylko z Twego charakteru: pamiętam jak z dumą pokazałem Ci mój pierwszy album o Tobie, który był równie dobry jak najlepsze profesjonalne i co do którego wielu ludzi mi szczerze gratulowało. Przyglądałeś się mu uważnie przerzucając kartka po kartce, po czym jedyną uwagą jaką wyraziłeś było "po coś zrobił te ramki?" (chodziło o rysunki które nie wiem po co drukarz ujął w ramki, ale co w niczym niczemu nie szkodziło).

Tak więc tłumaczenie się, że nie jest to Twoja działka jest trickiem, który dobrze znam, bo codziennie sam się nim posługuję, gdy w moich przemowach obrończych chcę okłamać sąd i wykręcić się sianem.

Poza tym wspomnę Ci, że o niczym innym jak o sobie nie potrafisz mówić, czego setnym dowodem jest Twój wczorajszy list: ja Cię pytam, co sądzisz o książce, z której Ty byłbyś usunięty prawie bez śladu, na co Ty mi piszesz, że książka mogłaby zainteresować publiczność, gdyby stało w niej o TOBIE tyle tylko, że współdziałającym z UB, malującym nagą kochankę Glempa etc.

Po francusku mówi się "Chassez le naturel, il revient au galop". Co znaczy "przeгоні co naturalne, a wróci galopem". Od własnej natury nie uciekniesz, ale i mnie nie zmylisz adwokackimi sofizmatami. Nie umiesz być miły, sprawiać ludziom przyjemności ciepłym słowem, podziękowaniem lub uznaniem. Jesteś jak zimna ryba.

Piotr

Czwartek, 10 października 2002, 11:27

Co do ostatnich dwóch zdań to pełna zgoda. NIE UMIEM. Taki jestem i nie mam na to większego wpływu, niż na kolor włosów. Mógłbym je oczywiście przefarbować, ale jestem uczulony na farbę. Raz ze STRASZLIWYM WYSIŁKIEM psychicznym powiedziałem bileterce w kinie (pamiętam to od ponad 30 lat!!!) niewybredny komplement, bo już nie było biletów, a z jakichś powodów, które już zapomniałem, musiałem je zdobyć i bilety się od razu znalazły. Czyli wysiłek przyniósł wymierny i korzystny rezultat lecz czułem się tak, jakbym się musiał napić z kibla. Nawet gdybym jej poderżnął gardło, by zawładnąć pieniędzmi z kasy, nie czułbym się już gorzej. Zdecydowałem się więc w życiu być takim, jakim mnie wykreowała wrodzona nieśmiałość (bo to nieśmiałość stoi u źródła - niezależnie od tego, co byś sobie myślał), bo inaczej skróci mi to życie, mimo iż przynosić będzie za każdym razem wymierne korzyści. Druga sprawa: z faktu, że pytałeś mnie o zdanie, czy będę mieć jakieś obiekcje co do powtórnego wydania książki, gdzie nie byłaby użyta ksywa Beks" tylko artysta" (nie nazywam się Beks i nikt poza Tobą tak mnie nigdy nie nazywał, a więc obojętnie jaki kryptonim zostałby wybrany - może być i Beks) sądziłem, że nie zostaną usunięte nici wiążące tekst ze mną do tego stopnia, że nikt tego ze mną nie połączy. Dlatego też napisałem o mnie, bo przecież nie o tych miejscach, gdzie piszesz o sobie czy nawet swoim dzieciństwie lub snujesz rozważania na rozmaite tematy. Tym niemniej umiem przede wszystkim mówić o sobie. Inni w niewielkim stopniu mnie obchodzą. Jestem klasycznym egocentrykiem. Zawsze to podkreślałem, więc nie wywalaj otwartych drzwi.

Wreszcie sprawa wstawania. To zależy o której kładziemy się spać. Ja gaśnię światło o północy, a zabieram się do mycia, ścielenia etc około 23:30. Przedtem zazwyczaj oglądam jakiś film. Radio budzi mnie dokładnie o godzinie 7 rano. Też mam trudności z rozkręceniem się i to tym większe, im starszy się staję. Ma na to kolosalny wpływ pogoda. Gdy jest słońce, to o wiele szybciej "zaskakuję". Po zjedzeniu obiadu zaczynam obecnie odczuwać senność (dawniej udawało mi się ją zwalczyć) i od kilku lat ucinam sobie drzemkę ca 15-30 minut.

No nic, wracam do landszaftu z kościołem, nie wiedziałem, że tak szybko odpiszesz.

Zdzisław

Czwartek, 10 października 2002, 12:57

A więc mówmy o Tobie. Lecz mówmy tak, żeby Cię zmusić do tego, czego najbardziej nie cierpisz: do przyznania komuś jego zasługi.

Otóż skończyliśmy na wiele mówiącym określeniu "zimna ryba".

W związku z tym powróciła mi na pamięć twoja ocena szerszego portretu, jaki Ci odpędzlowałem w "Zmaganiach".

Już od dawna mi chodziło po głowie, żeby od Ciebie uzyskać pisemne potwierdzenie tego, coś mi swego czasu powiedział ustnie. A teraz jest to a propos, bo akurat mówiliśmy o Twoim charakterze.

Otóż powiedziałeś mniej więcej coś takiego: "Tak, portret, który mi zrobiłeś jest wierny. Rzeczywiście to jestem ja".

Ot, teraz wystarczy, że to potwierdzisz.

Tak więc i wilk będzie syty (bo będzie o Tobie) i owca będzie cała (bo ja będę miał to pożądane słowo uznania).

Piotr

Czwartek, 10 października 2002, 14:56

O Boże. Widzę, że zebrało Ci się na pisanie. Ja mam komputer włączony zazwyczaj non stop, ale zaglądam tylko od czasu do czasu, czy nie nadeszła jakaś korespondencja, co nie zawsze jest regularne, bo czasem raz na godzinę, a czasem raz na pięć godzin. Chciałeś, byśmy nie wracali do tego przykrego dla nas obu okresu, ale sam nie wytrzymujesz.

A zatem mówiłem Ci już, a może nawet pisałem, że portret jaki mi zrobiłeś (portret Beksy numer dwa o ile pomnę) jest w mojej ocenie najwnikliwszym i najwierniejszym portretem z tych, jakie mi robiono. Określa w dużym stopniu - podobnie jak to sam widzę, mój charakter i sposób bycia, ale to nie znaczy, że nie ma tam od cholery przekłamań, niecisłości lub fałszywych spostrzeżeń. Tym niemniej ja się w tym portrecie rozpoznaję - wprawdzie trochę jak w zabrudzonym i krzywym zwierciadle.

dle, ale to jednak jestem ja, podczas gdy inni, którzy o mnie pisali (nikt tak obszernie) widzieli mnie w dosyć fantastycznym świetle. Chyba Ci to już pisałem, a jeśli nie pisałem to na pewno mówiłem. Takich rzeczy nie zapominam. Oczywiście wiele moich zachowań tłumaczyłeś po swojemu lub celowo złośliwie - przytaczam np. z pamięci jak to rzekomo tylko wtedy zmieniam się w pilnego słuchacza, gdy mówisz o sprawach monetarnych, podczas gdy ja zmieniam się zawsze w pilnego słuchacza, gdy ktoś mówi fachowo o sprawach dla mnie nowych lub nieznanych. W ustroju, jaki u nas wtedy panował, o problemach monetarnych i ekonomii miałem takie samo wyobrażenie, jak o technice egzorcyzmów. Egzorcysty również słuchałbym w skupieniu. Jestem otwarty na fachowe opinie jeśli się na czymś nie znam, a ja wtedy nie pojmowałem nawet różnicy między dewaluacją a inflacją - spisując umowę w ogóle tych terminów nie rozumiałem, zaś wszedłem jakby nie było w układ "międzynarodowy". Przytoczyłeś ten przykład ewidentnie dla podbudowania swojej tezy: "chciwy Beksiński". Mógłbym więc na bazie Twoich sądów o mnie, które pośrednio są sądami o Tobie, a tylko jakoś tego chyba nie dostrzegasz, toczyć bardzo długą i szczegółową dyskusję, ale chciałbym - podobnie jak zasugerowałeś przedwczoraj, dać temu spokój, bo to tylko psuje atmosferę.

Zdzisław

Czwartek, 10 października 2002, 15:54

O ile Ty uczciwie pracujesz, o tyle ja przez całe dni bumeluję i obijam się. Toteż mam wiele czasu i lubię spędzać go na rozmowie lub pisaniu. Stąd częstotliwość mojej korespondencji do Ciebie.

Absolutnie nie zobowiązuje Cię to do odpisywania na każdy mój e-mail. Możesz odpisywać albo wybiórczo, albo zbiorowo.

Jeśli pisałem z prośbą o potwierdzenie, iż portret, jaki Ci zrobiłem jest wierny, to dlatego, że sądzę iż nasza korespondencja i moja książka, o ile Twoja sława po Twej śmierci się rozwinie, będą podstawowymi źródłami wiedzy o Tobie. Otóż potwierdzenie na piśmie przez Ciebie samego, że czytelnik może się inspirować tym, co ja napisałem, zmienia moje zapiski

w dokument.

Jako adwokat i naukowiec przywiązuję ogromną wagę do dokumentów, do dowodów, do niezaprzeczalnych źródeł.

Teraz już chyba rozumiesz, że nie było to powracanie do dawnych pretensji? No i widzisz? Znow chodziło o CIEBIE.

Piotr

Sobota, 12 października 2002, 11:55

Czy Tobie też się zdarza, że znika Ci z komputera ileś tam e-maili, których nie możesz również odnaleźć w korespondencjach skasowanych?

Na szczęście ja natychmiast drukuję to, co otrzymuję przez internet, toteż ślad pozostaje.

Przedwczoraj, na jakimś wernisażu, spotkałem po raz pierwszy jakiegoś tutejszego liczącego się krytyka o dobrym piórze (wielokrotnie czytałem jego teksty i uważam go za jednego z nielicznych dających się czytać), który jest Twoim entuzjastą. Coś mi tam przebąkiwał, że chciałby na Twój temat napisać duży tekst, a w związku z tym odwiedzić Cię w Polsce. Oczywiście wiem, że to na wodzie pisane, ale fakt, że choć jeden z tutejszej swoloczy kulturalnej docenia Cię, jakoś dodał mi otuchy.

Piotr

Warszawa, sobota 12 października 2002

Jak powiada Pismo: większa jest w Niebie radość z jednego nawróconego niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Bardziej realistycznie to: pierwsza jaskółka nie czyni wiosny, ale dobre i to.

Nie zdarza mi się coś podobnego, by znikaly maile. Nie wiem jakby się to dziać mogło. Nie robię archiwalnych wydruków poza tym, że często drukuję po to, by potem odpowiadając mieć tekst przed nosem. Można robić archiwalne zapisy maili na kilka sposobów.

Zdzisław

Poniedziałek, 14 października 2002, 18:38

Tak przywykłeś do wywiadów, że odpowiadasz tylko na zadawane pytania. W przeciwnym wypadku milczysz. Nie na tym polega dialog. Ja również nie jestem stworzony do roli zadającego pytania i stale ożywiającego rozmowę dziennikarza.

Byłoby mi miło gdybyś i Ty czasem podjął rozmowę, bo mam coraz bardziej nasilające się wrażenie, że narzucam Ci się, i że korespondencja ze mną Cię męczy, tak iż z ulgą odpoczywasz w dni, w które o nic Cię nie nagabuję.

Piotr

Poniedziałek, 14 października 2002, 21:02

Już mi raz przed wielu laty jeden znajomy grafik (Siara) zarzucał to samo, co Ty i nazwał mnie reponderem. Coś w tym musi być. Bardzo rzadko nie pytany odczuwam wewnętrzną potrzebę, by mówić coś o sobie i swoich sprawach, a nic innego chyba nie znajduje się w zasięgu mej uwagi. Jeśli nawet ktoś chce ode mnie się czegoś konkretnego dowiedzieć (np. początkujący malarz), to zawsze proszę o zestaw konkretnych pytań na które albo umiem, albo nie umiem odpowiedzieć. Za niekonkretne uważam takie, jakie zadają najczęściej kobiety: niech pan napisze coś o sobie. Cóż mogę napisać o sobie? Rano wstałem, potem malowałem, potem przyszedł Grzesiek, a potem zjadłem obiad i potem znowu malowałem, a wieczorem oglądałem TV. Z dużym wysiłkiem zmuszam się codziennie do napisania paru informacji w Dzienniku, który prowadzę chyba po to samo, po co moja matka chodziła na starość dookoła parkingu: by nie stracić całkowicie umiejętności. Jest to Dziennik o wiele bardziej związany niż dziennik Goebbelsa, o ile oczywiście poznać nam dano cały dziennik Goebbelsa, a nie tylko wypisy. Dochodzi do tego także dysleksja i męczarnia pisania, co chyba powoduje, że nie mobilizowany doraźnie jakimiś kwestiami, unikam przelewania mych myśli na papier. To naprawdę jedyną powód mego nie pisania. Porównaj zresztą na wagę ilość Twojego tek-

stu, z ilością mojego. Chyba też nie należysz do gejzerów spontaniczności w tym zakresie. Jakby nie było, nie ma mowy o odczuciu z mojej strony, że narzucasz się ze swym pisaniem.

Odpieprzyłem z ulgą pierwszy obraz dla Dziopak, morduję drugi. Wziąłem pod uwagę Twoje uwagi o tym, by było więcej koloru. Boże, jak ja nienawidzę robić tego, co nie wynika ze mnie spontanicznie. W listach lubię odpowiadać na pytania. W malowaniu lubię mówić sam do siebie. Wręcz marzę, by to mieć już za sobą i wypłynąć na czyste wody.

Zdzisław

Poniedziałek, 14 października 2002, 22:56

Trochę mnie to uspokoiło.

Pisałem z obawą, że Ci się narzucam, bo przypomniały mi się dawne, ciężkie czasy moich początków paryskich. Byłem wtedy sam, goły jak kolek i tygodniami nie miałem do kogo otworzyć ust. Toteż raz dorwawszy jakiegoś dalekiego kuzyna, który też mieszkał na poddaszu, i jak ja cierpiał bidę, przykleiłem się do niego.

Kiedyś jednak pod jego nieobecność przeczytałem kilka stron jego dziennika, w którym napisał że "Piotr mi się narzuca".

Było to dla mnie tak upokarzające, że nigdy więcej się już z owym dalekim kuzynem nie spotkałem. Wołałem od tego czasu siedzieć w wolne chwile na ławce w parku i patrzeć na przechodniów.

A potem obawa, że się komuś mogę narzucać, doprowadzała do dość komicznego refleksu: gdy do kogoś mówiłem, to od czasu do czasu przerywałem mój dyskurs, żeby zobaczyć, czy on podejmie rozmowę. Jeśli by jej nie podjął, miałbym wrażenie, że mu się narzucam, że słuchał mnie cierpliwie z grzeczności i że odetchnął, gdy wreszcie zamilkłem. Jeśli by się coś takiego zdarzyło, zrejterowałbym natychmiast, bo wspomnienie tego zarzutu narzucania się (bo w rzeczy samej było to narzucanie się), zrobiony mi przez dalekiego kuzyna, gnębi mnie i paraliżuje do dzisiaj jak zepchnięty traumatyzm z dzieciństwa.

Piotr

Poniedziałek, 14 października 2002, 23:37

Skąd ja to uczucie znam... Jeszcze w dzieciństwie delikatnie obsztorcowała mnie babcia, u której mieszkał mój kuzyn, też 10 lub 12 latek. Musiałem być wyjątkowo upierdliwy bywając tam codziennie i zapewne wrzeszcząc tak, jak to robią bachory i babcia wezwła mnie do raportu wyjaśniając zawiłości życia towarzyskiego słowami: "gdzie Cię chętnie widzą, tam rzadko bywaj", co odczytałem tak, jak należało: że mają mnie wyżej uszu. Też zostałem na tyle boleśnie dotknięty, że pamiętam to do dziś. Idę spać, bo minęła 23:30 i należy udać się do łazienki.

Zdzisław

Środa, 16 października 2002, 22:01

Zdaje się, że to Prus napisał taką pouczającą nowelkę która nazywała się "Powracająca fala". Chodziło tam, o ile pamiętam, bo czytałem to, gdy byłem malcem, o jakiegoś bogatego, a złego człowieka, który narobił krzywd biednym ludziom, a potem wszystko, jak powracająca fala, do niego wróciło i na koniec został poprawnie ukarany przez swoje własne sumienie. Tak i mnie przychodzi dzisiaj więc się jak piskorz, bo niektórzy z tych, których obsmarowałem w mojej książce, po latach oddalenia powrócili i z wyrazami przyjaźni zwracają się do mnie, by odnowić znajomość oraz bym im udostępnił lekturę książki, o której słyszeli. A jak to zrobić, gdy wiem, że doczytają się tam, że oskarżałem ich o to, że są kanalią, lub że śmierdzi im z ust?

Więc kręcę się niespokojnie i chętnie bym z książki wymazał kilka słów, jeśli nie całych stron. A nie dać książki lub nie odpowiedzieć na wyciągniętą rękę, też nie wypada.

Stracony dzień. Wystarczy, że się nie wyśpię, a potem nie mogę się zabrać do roboty. Na dodatek jakaś klientka nie przyszła na spotkanie i niepotrzebnie pojechałem do kancelarii do Paryża tracąc pół dnia. Wreszcie zaczęło padać i zrobiło się ponuro. Na szczęście jest Prozak!

Piotr

Środa, 16 października 2002, godz. 23:34

Mail od Ciebie spłynął równocześnie z listem pasterskim z niemieckiej firmy eurosex anal. com, zatytułowanym po angielsku "dear surfer" i zachęcającym mnie do obejrzenia jak sobie figlują Hausfrauen w czasie, gdy mężowie są w pracy. Ledwie popływam po stronach internetowych ze świńskimi obrazkami, a już zostaję namierzony. Oczywiście namierza mnie maszyna, a nie człowiek, więc trudno obrażać się na maszynę. To jednak nadal jest nie najgorszy biznes. Przedwczoraj był tu u mnie młody bankowiec, którego dziewczyna jest podobno utalentowana i on przyniósł mi do oceny jej prace (piszę to byś nie mniemał, iż mam prywatnie do czynienia z bankami). Otóż ten bankowiec powiedział mi, że jego kumpel z żoną założyli internetowy sex biznes i miesięcznie wyciągają na czysto netto 20.000 zł, co w polskich warunkach trudne jest do osiągnięcia, o ile nie jest się posłem, adwokatem lub lekarzem z prywatną praktyką w zakresie chirurgii plastycznej. Wejście na stronę kosztuje od 5 - 25 USD i działa prawo wielkich liczb. Pośrednikiem jest jakiś niemiecki bank. Na razie fiskus tego nie namierza. Mniemałem naiwnie, że ten biznes ma tak gigantyczną konkurencję, że nie opłaci się w to wchodzić, ale jak widzę nisza się jeszcze nie przepełniła.

Znam poniekąd, ale od innej strony, problem, o którym piszesz. Dopieprzanie na piśmie bliźnim jakoś nigdy nie było mi bliskie i tego w zasadzie chyba nigdy nie zrobiłem. Nawet w intymnym dzienniku usiłuję być umiarkowany w inwektywach (choć złośliwy) - tym niemniej w milionach sytuacji zachowałem się (jak dziś to widzę) w sposób nie taki, w jaki zachować się dziś chciałbym lub wygłosiłem na piśmie (w listach) sądy, które dziś wydają mi się naiwne i głupie. Gdybym tak mógł cofnąć czas i wszystko poprzerabiać...

Ale, ale: Hosanna! Alleluja! Odpierdoliłem do dziś już oba landszafty dla Dziopak. Boże mój jak mnie to lekkomyślne zobowiązanie psychicznie zmęczyło! W niedzielę pogeluję, na wtorek umówiłem się na zdjęcia z Rosikonem i może w środę, najdalej w czwartek, pozbędę się tego gówna z pracowni. W piątek muszę na trzy dni wyjechać do Krakowa w sprawie podpisywania albumów na Targach Książki. Taka podróż to dla

mnie przeżycie. Chciałbym mieć to już poza sobą. Zarówno Kraków jak zamówienie na obrazy. Zawsze sobie obiecuję: nigdy więcej, a potem nie umiem się wykręcić. Pogoda dzień w dzień taka, że chyba zostawię na razie malowanie i zabiorę się za grafikę przy komputerze. Nie widzę nie tylko koloru, ale nie widzę nawet ciemniejszych partii w obrazie, natomiast odwyłem jakoś od pracy przy świetle elektrycznym.

O Boże. Trzeba już iść spać.

Zdzisław

Sobota, 19 października 2002, 16:56

Michel Henricot, którego jak wiesz kolekcjonuję i bardzo wysoko cenię, pokazał mi wczoraj katalog zrobiony przez Lindnera (przypominam, że Lindner wystawił moją kolekcję Twoich obrazów i przy tym zrobił ładny album w Panorama Muzeum we wschodnich Niemczech) wystawy martwych natur, namalowanych, na zamówienie, przez najróżniejszych malarzy europejskich, dla celów tej wystawy.

Jestem osobiście obrażony, że Lindner nie poprosił mnie o żaden Twój obraz na tę wystawę, że nie wysłał mi katalogu, a nawet i zwykłego zaproszenia. Ale żal chowam do kieszeni, bo muszę przyznać, że wystawa dobra i katalog na zadawalającym poziomie. Mimo, iż przyłecę do Warszawy samolotem i nie chce mi się taszczyć ciężkich książek, przywiozę Ci do pokazania ten katalog, bo otworzył mi oczy na rzeczywistość pocieszającą, a której nie znałem. Mianowicie, że tyłu jest współczesnych malarzy figuratywnych w Europie o technice, która zatyka dech. Czyli, że sztuka malowania nie jest jeszcze martwa i nie stała się tylko dalekim wspomnieniem

Musisz to zobaczyć, bo to prawdziwi wirtuozi.

I pomyśleć, że tak wielkie malarstwo gdzieś się tam pałęta po trzeciorzędnych galeriach i prowincjonalnych wystawach, a oficjalne muzea pełne są drenów do studni Balki, robótek na drutach Opalki, gówna artysty w konserwie Manzonięgo lub, w najlepszym wypadku, monochromów Kleina.

Piotr

Niedziela, 20 października 2002, godz. 07:46

O Boże! Piotrze. Nie przywoź żadnych książek, bo wiesz, że mnie to pograza. Lindner nie prosił Cię o moje obrazy, bo nie maluję martwych natur. Mnie też chyba nie przysłał zaproszenia do wzięcia udziału w wystawie, a może i przysłał - ja od razu wywalam takie rzeczy na makulaturę i od razu o nich zapominam. Branie udziału w czymkolwiek, jest obce mej naturze.

Co do reszty, mam takie zdanie jak Ty - pewnie za jakiś czas karta się obróci i nasze będzie na wierzchu, ale jakie to ma znaczenie? O ile w ogóle wszystko nie jest tylko naszym złudzeniem. Przepraszam, że tak zwięźle, ale jestem cholernie rozbity i robię dziś rano o wiele większe błędy aliteracyjne niż zwykle

Zdzisław

Niedziela, 20 października 2002, godz. 11:10

Nie bardzo rozumiem Twoje obawy przed obejrzeniem malarstwa innych artystów. Zdajesz się być upokorzony tym, że bywają od Ciebie technicznie lepsi. Wyraźnie imponuje Ci i gnębi przewaga techniczna. Oczywiście są tu malarze, "trompe l'oeil", którzy odpieprzą Ci martwą naturę tak, jak fotografię. Tak jak amerykańscy hiperrealiści. Czy masz z tego powodu czuć się poniżonym? Nie na tym polega Twoja sztuka i nie o to nam, widzom, w tym chodzi. To, co tak uwodzi w Twoich obrazach, to zestaw wielu naraz wartości, w których warsztat jest tylko jedną spośród innych. Twoja miłość własna jest równie naiwna jak śmieszna.

Piotr.

Niedziela, 20 października 2002, godz. 12:42

Obojętne, czy coś we mnie jest naiwne i śmieszne lub czy takie nie jest. Grunt, że w ogóle jest i że przeszkadza w pracy. Zresztą mechanizm wygłada inaczej niż go przedstawiłeś i jest zbyt skomplikowany, by mi się go

chciało (przy mojej dysleksji) opisać lub tylko starać się opisać.

To trochę tak, jak z zasadą aeronautyki wyjaśnianą mi przed laty przez robotnika na budowie: śmigło się obraca i wytwarza wiatr, a wiatr podwiewa skrzydła i samolot się unosi. Wiedziałem, że to nie tak, ale wyjaśnienie jak, przekraczało moje umiejętności. Możesz tą książkę przywieźć, bo oczywiście po Twoim mailu zajrzałem na stronę Panorama Museum (rozbudzona ciekawość, nakazuje mi z reguły robić rzeczy niewskazane wraz z wsadzaniem palca w tryby) i po kilku miniaturkach przekonałem się, że idzie o klasyczne martwe natury, a to mnie nie zbulwersuje, bo to nie moja dzialka. Mogę zazdrościć warsztatu (jak choćby Dudzie Graczowi), ale nie przeszkadza mi to później w pracy, bo to jest z innego filmu. Poza tym nie idzie mi o dokładność malowania. Od dawna już nie jestem dokładny i inne cechy obrazu obecnie wytrącają mi pędzel z ręki.

Zdzisław

Czwartek, 24 października 2002, godz. 22:50

Rzuć okiem na adres www.idartists.com i odnajdź tam malarza Jean RUSTIN. Zwłaszcza popatrz na jego rysunki i powiedz mi, co o nim myślisz. Jest to facet, którego cenimy z Anią i sami chcieliśmy go wystawić, gdy zakładaliśmy galerię.

Maluje zawsze siebie samego w najbardziej odpychających seksualnych sytuacjach i pozach. Jest chyba tak samo zboczony jak Ty, tylko na innym punkcie. Niestety kilka tygodni wcześniej związał się z jakimś facetem, podobnie jak Ty wówczas związałeś się ze mną, i nic nie wyszło ze współpracy. Nawet nie udało mi się kupić od niego żadnego obrazu, bo i tego mu nie było wolno (nawiasem zwrócę Ci uwagę, że Twój los nie był tak okrutny i niegodny jakieś to często wyjękiwał. Wielu znakomitych malarzy było w takiej samej jak Ty sytuacji i nie widzieli powodu do pomstowania na swoich galerzystów). Potem nam zginął z oczu i tylko od czasu do czasu widywaliśmy jego prace to tu to tam na wystawach i w galeriach. Dziś spotkaliśmy jego obrazy i rysunki na małym FIACu, który ma miejsce obecnie w Luwrze. Był chyba jednym z dwóch czy trzech, którzy wydali się nam tam godni uwagi. A zwłaszcza jego rysunki, których uprzed-

nio nie znaleźmy. Jako anegdotkę dodam, że jest obecnie wystawiany za pokaźne sumy przez galerię prowadzoną przez córkę niejakej Ceres Franco, która była moją sąsiadką na ulicy Quincampoix. A zapisała mi się w pamięci tym, że kiedy w 1983 i 84 roku chodziłem po galeriach paryskich, próbując znaleźć kogoś, kto by się zgodził Cię wystawić, owa Ceres Franco była jedyną, która nie poprosiła mnie żebym wyszedł i nie zabierał jej czasu i nie wyśmiała mnie (bo byli i tacy, którzy po prostu się śmiali), a długo oglądała reprodukcje, które jej wówczas pokazałem. I choć odmówiła jak inni wystawienia Cię, to przynajmniej okazała prawdziwe zainteresowanie. Później, gdy założyłem galerię prawie naprzeciw jej galerii, staliśmy się dobrymi znajomymi i zawsze mnie podtrzymywała na duchu, pochlebnie się wyrażając o różnych artystach, których wystawialiśmy, szczególnie o Szajnie, którego znała od wielu lat.

Piotr.

Piątek, 25 października 2002, godz. 07:56

Odebrałem teraz mail, ale dziś po południu jadę pociągiem do Krakowa na to pieprzone podpisywanie albumów. Jestem już tak zdenerwowany wyjazdem, że absolutnie niezdolny do jakiegokolwiek oceny jakichkolwiek prac. Może uda mi się to uczynić po powrocie, gdy po paru dniach, dojdę jakoś do siebie. Boże jak ja nienawidzę podróżowania!!!!!!!!!!!!!! Nikt tego nie zrozumie.

Zdzisław

Piątek, 25 października 2002, godz. 12:23

No fajnie. Spakowałem się i teraz jeszcze bardziej bym się denerwował, gdybym nie miał się czym zająć do godziny 15:15, kiedy to wyruszę z domu. Obejrzałem te kilka prac Rustina i wydają mi się atmosferą dość bliskie temu, co robiłem w końcu lat sześćdziesiątych.

Dlaczego piszesz, że jest tak samo seksualnie zboczony jak ja, a tylko na innym punkcie? Ty też jesteś zboczony tylko na innym punkcie. Wszyscy są zboczeni, bo przecież nie istnieje norma zachowań seksualnych i tyl-

ko Kościół uważa prokreację, jako podstawowy cel zabiegów seksualnych, a tymczasem w tej zupie zderza się nieustannie wszystko ze wszystkim i przekształca (mechanizm opisał jeszcze Von Neumann) i prokreacja nie jest celem pierdolenia, lecz tylko jego skutkiem, podobnie jak zarażenie syfilisem. Równie sensownie za cel życia można by przedstawić śmierć i za normalne określić to, co do niej przybliży, a za zboczenie wszystko inne. Facet uskokzył przed przejeżdżającą ciężarówką, ale zboczenie! Jeśli by nawet przyjąć rozumowanie, jakiego używa Kościół, to wszyscy użytkownicy środków antykoncepcyjnych - jakie one by nie były, to zboczeńcy. Nawet, więc w tym ujęciu, świat składałby się prawie wyłącznie ze zboczeńców.

Co do mojego - jak to, z właściwą sobie delikatnością, określasz "jęczenia", to rozmaici byli i są malarze i rozmaici marszandzi, jak też rozmaite między nimi relacje. Też nie ma tu jakiejś normy, ale jak mi się wydaje, jesteś w jakimś tam stopniu prekursorem, bo jesteś chyba pierwszym marszandem, który narzeka na malarza. Tak trzymać! Mamy obaj szansę na wejście do historii.

Zdzisław

PS: Roboty przy kawalerce dla Księżnej Gospodyni ruszyły nareszcie z martwego punktu. Wczoraj momentami pracowało na raz 7 robotników. Wymieniono okna, wstawiono żelazne drzwi wejściowe, zmontowano obudowę balkonu. Może wyrobimy się przed zimą z kompletnym zamknięciem pomieszczenia i pozostaną roboty, które już można robić niezależnie od mrozu i śniegu. Wysłałam kilka fotek.

Piątek, 25 października 2002, godz. 13:47

To nie mieszkanie dla gospodyni budujesz a przytulny buduar dla kochanki. Zdaje się, że szykujesz sam sobie kupę problemów. Bo jak ktoś się do tak przygotowanego mieszkania raz wprowadzi to wyjść mu się z pewnością nie będzie chciało i raczej wołami będziesz go musiał wyciągać.

Nie bardzo widzę jak inaczej Cię określić niż tak, jak się sam określasz.

Bo zamilowanie w duszeniu się pod kobiecym odbytem z wydalany mi zapachami trudno nazwać inaczej niż zboczeniem. Ale w końcu i wielu ludzi bywali zboczeni, bo zboczenia tak chodzą po geniuszach, jak chodzą po maluczkich. Istotne jest to, że nie zabijasz, nie dręczysz i nie gwałcisz małych ani dużych dzieci. Reszta jest Twoją sprawą, która raczej śmieszy niż przeraża. Nie potępiam Cię więc mówiąc, że jesteś seksualnie zboczony, a raczej tylko stwierdzam komiczny fakt.

Coś mało mi powiedziałaś o tym Rustinie. Chciałbym więcej.

Piotr

Piątek, 25 października 2002, godz. 14:52

Ale mi się zdrowy seksualnie znalazł. Uwielbiam czytać takie oceny. Jakbym księdza proboszcza z Sanoka słuchał. Na dodatek mieszasz upodobania. W tym, co lub boży określa mianem dupy, jest raczej wiele obszarów i wiele sposobów zainteresowania nimi. Assworship (brak w seksuologii polskiej nazwy) nie jest moją specjalnością. Z odległości wszyscy murzyni są podobni do siebie.

Przez dwie godziny internet miałem wyłączony, bo coś tam przestawiają. Potem musiałem wysłać od cholery pomniejszonej grafiki do Stapowicza. Musiałem także oprawić, a raczej poprawić ramę obrazu, który przehandlowałem, bo muszę skołować szmal dla mego krewniaka na kupno kawalerki w mieście, bo on należy do kompletnie gołych facetów, a wnuki i dzieci wygniatają go z mieszkania jak z tubki.

Oczywiście przejrzałeś mnie na wylot: kawalerkę przygotowuję dla 19 letniej ukraińskiej pornomodelki, która obiecała mnie w zamian, co wieczór dusić. Jeśli mnie udusi i obrobi mieszkanie, będzie to rodzaj dodatkowej gratyfikacji dla niżej podpisanego. Jestem przecież skrajnie naiwny i podatny na zdominowanie, o czym przekonałeś się w trakcie trwania naszego kontraktu. Beksiński daj głos!

Zaczynają mnie boleć plecy.

Mój Boże: Rustin nie jest bohaterem mego romansu. Jest to, co robi jakoś tam bliskie nie tyle moim "zboczeniom", ile mojej niegdysiejszej plastycz-

nej wrażliwości. Nigdy nie byłem uświadomiony, więc mam podstawowe trudności z odróżnianiem płci, ale wydaje mi się, że Rustin maluje kobiety, a nie siebie - jak to napisałeś. Chyba, że jest kobietą z brodą. Dzwonię po taksówkę.

Zdzisław

Warszawa, niedziela, 27 października 2002

Cholera - zmiana czasu! Wstałem o godzinę za wcześnie, ale przynajmniej wypałem się we własnym łóżku. Takie wyjazdy, kolej, hotele, to nie dla mnie. Jakoś przez to przebrnąłem, wróciłem i o dziwo jeszcze żyję. Młyn, wrzask, megafony, co najmniej 300 wydawnictw, po alejkach między boksami laziły jakieś takie potwory jak na zdjęciu, co w znakomity sposób zwiększa czytelność. Może dziś uda mi się trochę pomalować, bo jutrzejszy dzień mam zapieprzony na styk od rana do wieczora.

Pozdrawiam

Zdzisław

Załącznik (Beksiński podpisuje albumy BoSza)*

*Zdjęcie do zobaczenia na stronie XXX

Niedziela, 27 października 2002, godz. 10:27

Takie to już są obowiązki wielkich ludzi.

Przyjeżdżamy do Warszawy dziś (niedziela) wieczorem. Ponieważ, jak pi-szesz, jesteś jutro zajęty, zadzwonimy we wtorek, żeby się umówić.

Jesteśmy jak zwykle u pani Nalewajek pod numerem...

Mimo kwękania Ani, wziąłem ze sobą kilka albumów, ale tylko na tyle, żeby nie urwała się rączka od walizki. Masz się zachwyć! Pamiętaj!

Piotr

Czwartek, 7 listopada 2002, godz. 20:58

Jesteśmy już z powrotem w Paryżu cali i zdrowi. Pobyt w Warszawie był

wyjatkowo udany i z przyjemnością wspominamy wizytę u Ciebie.

Ania dodaje, że zapraszamy Cię do nas na pączki.

Na wstępie masa korespondencji zawodowej, która czekała na mnie i na moje odpowiedzi. Jutro jednak trzeba będzie wrócić do mojej naukowej ściboliny drugiego tomu "Soft law". Jest to przedsięwzięcie na jeszcze dwa lata. Po czym nadejdzie tom trzeci, który nie wiem ile mi zabierze czasu. Po co to wszystko? Nie wiem, bo nie tylko nikt mi za to nie płaci i żadnej korzyści z tego nie będę miał, ale na dodatek sam wydając zawsze moje publikacje, grubo za to zapłacę i tylko wkurzę kolegów, wśród których drugi tom spotka się z tak samo lodowatym przyjęciem bez jednego słowa, z jakim spotkał się tom pierwszy.

Jak katar i jak samopoczucie?

Piotr

Czwartek, 7 listopada 2002, godz. 23:46

Katar już w zasadzie minął, ale kaszlanie jeszcze trwa i zapewne potrwa do wiosny, bo u mnie z oskrzelami nigdy szybko nie mija. Na dodatek przyplątało się coś z zębami, a raczej dziąslami i gruczołami limfatycznymi. Miejmy nadzieję, że jakoś z tego wyleżę. Komputer, na którym piszę wysiada w tym sensie, że trzeba wymienić w serwisie zużyte i hałasujące wentylatory, a może najlepiej wymienić 4 letni komputer na nowszy model, ale boję się wszelkich zmian, bo zaraz coś przestaje właściwie funkcjonować i trzeba coś kolejnego zmieniać, a w tej chwili wszystko działa i się nie zawiesza. Przez pół dnia autoryzowałem dziś tekst do tego pieprzonego VIPa i teraz dopiero go wysłałem.

Pozdrawiam

Beksiński

Piątek, 8 listopada 2002, godz. 22:37

Według wskazówek Solyska kupiłem przed chwilą domenę pod nazwą dmochowskigallery. Czy zacznie się nowa przygoda podobna do tej, jaką

przeżyłem od 83 roku do 95-go? Czy też nic z tego nie wyniknie i skończy się na niewypale? Moja kolekcja obejmuje ponad 550 dzieł sztuki, ponad dwudziestu artystów, w tym prawie połowę stanowią Twoje obrazy i rysunki. Trzeba to wszystko przed śmiercią pokazać. Bo przyznam, że to była wielka zabawa, w którą chętnie się znów pobawię, choć łączyła się z mordęgą i okresami rozpaczliwego zadłużenia, strachu i beznadziei. Ale mam nadzieję, że tu koszta i pracochłonność nie będą takie same.

Piotr

Piątek, 8 listopada 2002, godz. 23:18

Jestem pełen sceptycyzmu, ale nie chciałbym zapeszyć. Jak już mówiłem: nie istnieje rozsądny sposób ściągnięcia widzów. Oglądają tylko ci, którzy już wiedzą. Nawet olbrzymie portale reklamują się w gazetach i na billboardach w nadziei, że ktoś zapamięta adres i kliknie.

Potencjalnie jest na kuli ziemskiej sporo ludzi, którzy chcieliby od Ciebie kupić per partes wszystkie Twoje obrazy, na pewno pięć razy więcej niż posiadasz obrazów, ale jak ich o tym zawiadomić, że tu bije źródło? Oni nawet sami się nawzajem nie znają i jeśli szukają, to znajdują nie to, co najbardziej chcieliby znaleźć. To tak jak z doborem seksualnym i matrymonialnym: nigdy nie trafia się w 100% na to, co by nam najbardziej odpowiadało i co na pewno gdzieś tam istnieje, a tylko na to, z czym zetknie nas los i na co się godzimy. No, ale to tak jak z tym pobożnym Żydem, który skarżył się Jehowie, że nigdy nie wygrał na loterii, na co odezwał się Jehowa: Itzhak, Ty daj mi szansę, Ty kup los. A więc traktuj to, jako nabycie losu.

Pięknie pozdrawiam

Beksiński

Poniedziałek, 11 listopada 2002, godz. 22:01

Wychodząc dziś z kina, Ania powiedziała mi "O, Amerykanin a inteligentny". I co nie zdarza się codziennie w Paryżu, a już nigdy po amery-

kańskim filmie, sala głośnymi oklaskami okazała swoje zadowolenie. Jak widzisz nie jestem jedyną osobą przekonaną o tym, że w amerykańskiej kulturze o inteligencję niełatwo i że kogoś, kto jej trochę posiada, od razu się zauważa. Jeśli w Polsce puszczą ten film pójdź i zobacz go, bo jest dowcipny, błyskotliwy, świetnie zmontowany i nie dydaktyczny (choć aż się prosiło żeby taki zrobić i wszystkich zanudzić).

Nazywa się "Bowling for Columbine" niejakiego Moore'a.

Z początku myślałem, że go zrobił jakiś Żyd, bo jest to inteligentne, dowcipne i zjadliwe. Ale faceta widać na ekranie i na Żyda nie wygląda. Jest to rodzaj reportażu i traktuje o drugiej poprawce do konstytucji amerykańskiej, która pozwala każdemu obywatelowi na posiadanie broni i o tym, co z tego wynika.

Piotr.

Wtorek, 12 listopada 2002, godz. 08:28

Jak już niejednokrotnie mówiłem i pisałem, nie szukam we filmie akurat inteligencji, lecz raczej stylu, jeśli już w ogóle szukam czegokolwiek poza zabiciem czasu, gdy jestem już zbyt zmęczony by pracować. Film oczywiście obejrzę, gdy znajdzie się w repertuarze telewizyjnym, bo do kina, z racji prostaty, od lat nie chodzę. Tyle, że jak go odszukać? Przy rodzimej potrzebie zmieniania nieomal każdego tytułu na jeszcze głupszy niż był w oryginale, może by wyświetlany jako np., *Wesoła kręgielnia*, *Ucieczka pod prąd*, *Bez broni*, lub *Johny pechowiec* i tak dalej.

Zdzisław

Wtorek, 12 listopada 2002, godz. 16:58

Zawsze uważałem za enigmatyczną, lub po prostu niezrozumiałą odpowiedź mojej żony na moje pytanie, "po co czytasz tego szmatławca, który zajmuje się samymi plotkami i przestępstwami, lub po co oglądasz te bzdurne filmy amerykańskie lub czytasz książki dla panien służących" brzmiąca "tak jestem zmęczona, to mnie relaksuje, to mi pozwala zapo-

mnieć, to mnie bawi". Jak może bawić, rozrywać i pozwalać zapomnieć coś, co zgrzyta na każdym kroku jak żelazo po szkłe? I niby, dlaczego dobre filmy, mądre książki czy inteligentne artykuły w prasie miałyby męczyć lub przynajmniej nie pozwalać odpocząć?

Jak coś inteligentnego może męczyć? Jak coś dobrze napisanego czy sfilmowanego może nie relaksować?

To są odpowiedzi ludzi, dla których po prostu dobra literatura, film, prasa są horrorem, z którego nic nie rozumieją i w takim tłumaczeniu znajdują usprawiedliwienie. Po prostu głupi ludzie czytają głupie pisma, oglądają głupie filmy i prześlizgują się wzrokiem po głupich książkach (najlepiej ilustrowanych).

Oczywiście nie odnosi się to do Ciebie...

Piotr.

Wtorek, 12 listopada 2002, godz. 18:21

Jakże to nie odnosi się do mnie? Jak najbardziej adresujesz to do mnie, a tylko stosujesz prawnicze chwyt, które seryjnie oglądałam na filmach sądowych, które zapewne uznajesz za głupie. Proszę tą kwestię wykreślić z protokołu, a przysięgli mają ją traktować, jako nie była. Nie wiem, dlaczego jeden wypoczywa przy rzeczach mądrych i podniosłych, a drugi przy głupich i trywialnych, ale podobnie jak fascynacje seksualne, nie jest to przekładane na jego własną inteligencję, moralność jak też zdolność do dostrzegania i oceniania rzeczy skomplikowanych. Tak samo nie wiem, dlaczego jednym smakuję to, a innym to, co nie smakuje tamtym. Dlaczego szaleję za Kasią, która jest ziółko, kurwa, leniwa i na dodatek kłamczucha, a nie zauważam Kazi, która jest prawdomówna, cnotliwa i ośniewająco inteligentna. Myślę, że dałoby się na ten temat napisać nie tylko tezy, jakie przybiłeś do drzwi świątyni, ale spory traktat i być może dojść do wniosków możliwych do przyjęcia przez wszystkie zainteresowane strony, ale mi się nie chce.

Za chwilę zaczyna się film o poszukiwaniu trzygłowej czaszki astronauty sprzed 100.000 lat, która posiadaczowi zapewni władzę nad światem. W tym celu bohaterowie nie tylko walczyć będą bronią laserową z my-

śliwców F-16, ale także kopać się po szczękach z armią Ninja, prznosić się w czasie i przenikać przez mury. Szkoda byłoby stracić taką rzecz dla mądrej dyskusji. Gdy mieliśmy wypożyczalnię kaset w naszej klatce schodowej - jej właściciel pytał mnie wielokrotnie: "dla pana film wartościowy czy ogłupiający?" - na co nieodmiennie odpowiadałem: "Niech pan mnie nie obraża. Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby oglądać filmy wartościowe? Tylko ogłupiający!" Jak widać miał on poglądy zbliżone do Twoich.

Pozdrawiam

Zdzisław

Środa, 13 listopada 2002, godz. 22:53

Dobra seria trwa. Zobaczyliśmy przed chwilą z Anią film niezwykle. Już fakt, że na sali byliśmy prawie sami zapowiadał coś dobrego. Ale tak wielkiego przeżycia nie spodziewałem się. Nazywa się "Spider" i jest zrobiony przez niejakiego Davida Cronenberga, Kanadyjczyka.

Tego reżysera nie znałem, choć Ania twierdzi, że jest głośny, kontrowersyjny, że często bywa w Cannes i że krytyka napada na niego zazwyczaj z zacięłością.

To ponure, pasjonujące i przerażające, ale i wzruszające studium obłąkania, a właściwie ponownego zanurzania się w obłąkanie po chwilowym wyjściu prawie na powierzchnię. Zdjęcia świetne, światło świetne, aktorzy świetni i znakomity, prosty, banalny, na półgębkiem dialog. Nie wiem, czy mam powiedzieć również "świetna reżyseria", bo nigdy nie rozumiałem, co to jest "reżyseria" i nie mógłbym tego wyodrębnić od reszty. Dla mnie "reżyseria" to po prostu "film", bo reżyser ustawia wszystko, od lamp, dekoracji, doboru muzyki po szminkę na ustach bohaterki. A więc gdzie tu można oddzielić od reszty coś, co można by określić, jako "doskonałą reżyserię". Po prostu "doskonały film".

Oczywiście zaraz odszukam wszystkie filmy tego faceta, które na pewno gdzieś się snują po małych salach studyjnych w Paryżu i pójdę je w te pędy zobaczyć.

Takie filmy godzą z rzeczywistością, bo świadczą namacalnie, że jest na

świecie trochę talentu, prawdziwego piękna, mądrych ludzi i wartych przeżycia chwil.

A Ty patrz sobie na te Twoje amerykańskie "Wojny gwiazd", "Drugie pierścienie" i "Jurassic parki".

Piotr

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 08:46

Akurat Cronenberga prawie wszystkie filmy znam. Co, jak co, ale nie sposób mu zarzucić, że kręci filmu "życiowe", a najbardziej nie cierpię filmów, w których muszę współczuć tzw. zwykłym ludziom, którym wiatr wieje w oczy. Poczynając od "Nagiego lunchu", bohaterowie Cronenberga są na tyle odjechani i psychotyczni, a styl na tyle "barokowy" i wysuwający się na pierwszy plan (nawet w science fiction), że w większym stopniu pozwala obcować ze sztuką niż z życiem.

Twoja niechęć do kina amerykańskiego przypomina mi wypisz wymaluj polski antysemityzm, gdzie widzi się żydowskich przodków do czwartego pokolenia wstecz. Cronenberg mógł zostać przez Ciebie zaakceptowany, bo - jak podkreślasz, jest Kanadyjczykiem. Mój błyskotliwy szwagier zapoznał mnie przed kilkoma dniami ze swoimi spostrzeżeniami oraz porządkującą je ideą, z której wynika, że Żydzi chcą opanować Polskę chytrą metodą, którą wszakże on przejrzał. Metoda ta polega na opanowaniu katolicyzmu od środka. Żydzi celowo przyjmują chrzest i zajmują jedno po drugim stanowiska w hierarchii kościelnej i państwowej: kardynał Glemp, prezydent Kwaśniewski i tak dalej i po pewnym czasie katolicy bez wyjątku będą już Żydami, a my (Prawdziwi Polacy?) obudzimy się pewnego dnia nakryci jarmułkami. Byłby to niezły scenariusz dla Cronenberga. Brak głębszej wiedzy na temat rzeczy dziwnych, nie nasunął szwagrowi oczywistych skojarzeń z Zosią i sektą Żydowinów w Rosji 15 wieku. Na pewno jednak czytał "Protokoły Mędrców Syjonu". Oczywiście na tym nie skończył, bo gdy nie może mówić o pierdoleniu (a ze mną ten numer nie przechodzi, gdyż zaczynam o duszeniu, a tego to z kolei on nie pojmuje: "a gdzie tu przyjemność?" -pyta pocziwie), to obrzeże jego umysłu - jak mówią buddyści - nadal pozostaje ruchliwe. Kolejnym, więc

mechanizmem, jaki udało mu się przejrzeć to odpowiedzialność papieża za atak Czeczeńców na Teatr w Moskwie i Al kaidy na WTC. Owóż nadmierna ekspansja i nieodpowiedzialne misjonarstwo Wojtyły zdenerwowały pokój miłujący Islam, który był zmuszony zareagować taką samą ekspansją.

Szwagier nie lubi nie tylko Żydów, ale i katolików, oraz czuje się dożywotnio związany z minionym ustrojem w Polsce, co oszczędziło mi indoktrynacji na temat Żydokomuny. Tym niemniej - jak sądzę - nie lubi też Ameryki i Amerykanów, więc może moglibyście znaleźć wspólny język?

Zdzisław

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 13:56

Ani w ząb nie zrozumiałem. Tak więc lubisz filmy Cronenberga? Nie cierpisz ich? To już nie dysleksja. To trudności w ułożeniu myśli w zwarty ciąg.

Napiszę wieczorem, bo muszę lecieć na wykład.

Piotr

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 14:47

To, co niżej, nie odnosi się do Ciebie (że pozwolę sobie zacytować Mistrza), ale Twoja ocena mego listu przypomniła mi Marysię, kuzynkę mojej żony. Słynne jej powiedzenie: wyjątkowo głupia książka - nic z niej nie rozumiałam.

A zatem: lubię Cronenberga, ale ostrzegam, że jego filmy są nader nierówne, jeśli idzie o ciężar gatunkowy, aczkolwiek widać w nich wspólny styl w tym, czego (jak twierdzisz) nie rozumiesz, a więc w reżyserii. Aby nie opierać się na mętłym gadaniu Beksińskiego, radzę wypożyczyć kasety i obejrzeć.

Zdzisław

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 17:36

Wracając jeszcze do Cronenberga. Mam problem z poleceniem Ci czego-

kolwiek, gdyż w przeciwieństwie do Tomka, prawie nie znam angielskich tytułów, a polskie (jak już raz pisałem) bywają nader zawodne. Mogę na pewno polecić jego stary film "Naked Lunch", bo tytuł zgodny jest ze znaną książką Burroughs'a w oparciu, o którą powstał. Cronenberg to też facet od horrorów i thrillerów, których nakręcił mnóstwo (on ma też swoją Dziopak i musi z czegoś żyć) i niektóre na pewno Ci się nie spodobają, chociaż wszystkie są doskonale zrealizowane.

Z "dziwnych" i "artystycznych" filmów hollywoodzkich, radziłbym gorąco pożyczyć gdzieś kasetę z filmem Alexandro Jodorowsky'ego pod tytułem "Santa Sangre". Niektóre fragmenty są niezwykle. Też powiesz, że to nie Amerykanin, bo jest to Chilijczyk z ZSRR. Miałbym sporo do polecenia, ale zupełnie zapominam tytuły i nawet filmy. Nie wiem, na ile znasz firmy braci Cohen (też powiesz, że to nie Amerykanie tylko Żydzi, a więc mają prawo robić dobre filmy).

Gorąco polecam "Barton Fink" i "Fargo", w którym na dodatek jest świetny motyw muzyczny.

I tak dalej.

Zdzisław

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 18:49

A teraz wracając, na pewnym przykładzie jeszcze do tego, dlaczego wolę rozrywkowe filmy amerykańskie (o innym kinie niż rozrywkowe się nie wypowiadałem - tam, bowiem nie ma podziału na szkoły narodowe). Nie pamiętam tytułu, a film jest dość stary, ale być może go znasz. Jego pierwotna wersja była francuska, a jego remake zrobiono po paru latach w Hollywood. To thriller. Wersja francuska jest bez porównania lepsza pod każdym prawie względem, ale gdybym miał obejrzyć to raz jeszcze, to wybrałbym wersję amerykańską.

Zapewne ten film, którego tytułu nie pomnę oglądałeś. Młoda para, wybierająca się na urlop, gubi się na stacji benzynowej. Konkretnie znika dziewczyna. Chłopak przez całe miesiące poszukuje jej lub wiadomości o niej i nagle pojawia się człowiek, który zna jej miejsce pobytu, bo to on porwał dziewczynę. Obiecuje zawieźć chłopaka tam, gdzie znajdą się razem, ale w tym celu żąda wypicia przez niego silnego środka nasennego. Po ustaniu jego działania młody człowiek budzi się pod ziemią w

trumnie, gdzie dusi się i umiera. Tam, więc - jak teraz i my wiemy, została pochowana też ta dziewczyna. Film był doskonały, ale zakończenie powiodło, że nie spełniał zadania rozrywkowego, lecz przygnębiał. W wersji amerykańskiej w ostatniej sekundzie chłopak zostaje odkopany przez poszukującą go inną dziewczynę.

Oczywisty banał, rozkładający na dodatek dramaturgię, ale od filmu rozrywkowego, a typowy thriller i horror, to takie właśnie filmy, oczekujemy optymizmu i odprężenia, a nie prawdy życiowej i przygnębiaenia. Ja gotów jestem się przygnębiać nawet do siódmej potęgi, ale wtedy, gdy mam do obejrzenia arcydzieło, a nie wtedy, gdy chcę odpocząć po pracy. Ten film nawet w wersji francuskiej nie miał zadęcia na arcydzieło, lecz na typowy thriller. Tam nie było pytań o znaczeniu transcendentnym, tam nie było stylistyki mającej charakter artystyczny lub choćby niecodziennie dziwny jak np. "Dziecko Rosemary". To była regularna rozrywka, ale po francusku na smutno, a po amerykańsku na pogodnie. Ja lubię wersje pogodne. Dobro zwycięża, a źli zostają przykładowo wyrżnięci, ku większej chwale bożej. To nie jest prymitywizm i brak inteligencji. Po prostu, gdy jem batonik, to nie smaruję go musztardą i nie obkładam cebulą, a gdy jem kotlet, to nie polewam go czekoladą i konfiturami. To prosty zabieg na własnym organizmie, podobny do zjedzenia pączka: chcę się odprężyć i wiem, co mnie odpręża. Z tego punktu widzenia: Amerykanie generalnie robią filmy, które mnie relaksują, a Francuzi nie. Za chwilę obejrzę nagrany wczoraj thriller (podobno znakomity) francuski: "Harry, un amis qui vous veut du bien" (przepisałem jak małpa). Może się nie zawiodę.

Zdzisław

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 19:57

Serdecznie odradzam "Herry, un ami qui vous veut du bien". To inteligentny, dowcipny film, w którym nie ma ani pędzących rakiet, ani przemieniających się w czarownice Harry Potterów (czy jak tam to się pisze). Znudzi Cię i po pół godzinie rzucisz.

Natomiast zaraz kupiłem sobie przewodnik po kinach paryskich i na przedmieściach i powoli przestudiuję wszystkie filmy, które idą, a jest ich

kilkaset, by znaleźć owego Cronenberga.

Najbardziej mnie bawi Twoja poza tego, co to niby niczego nie wie (nawet tego, że jutro mają być wybory prezydenckie w Stanach, bo i taki numer mi zagrałeś swego czasu), nie czyta gazet i nie widuje żadnych, prócz amerykańskich, filmów. Przyznam, że i ja gram podobne komedie, choć według innego scenariusza. Ja to się chwalebę moją marginalnością. Ten, co to popiera marginalnego malarza, pisze marginalne książki, których nikt nie chce mu wydać, a które czyta garstka najbliższych przyjaciół, na swój rachunek wydaje je i publikuje artykuły naukowe, na które nikt ze środowiska nie reaguje. Szczycę się tym, że jestem bezimiennym, marginalnym profesorem i drugorzędnym adwokacina.

Tak, to mi pochlebia. Bo jeśli nie móc mieć Nobla to jak się wyróżnić? Udując kompletnego naiwniaka tak jak Ty, lub niezrozumianego geniusza, tak jak ja.

Piotr

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 22:01

No to już wszystko wiem. Ania znalazła mi na internecie hasło Cronenberg i rozumiem teraz, dlaczego Ty tyle o nim wiedziałeś. Okazuje się, że jeden jego film widziałem, ale ledwie go sobie przypominam, a więc chyba nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia. Sądzę, po przeczytaniu szeregu krytyk na internecie, że prawdopodobnie i reszta nie zrobiłaby (lub raczej nie zrobi, bo zaczną chodzić na jego filmy o ile znów się ukażą, gdyż na razie w Paryżu nie ma żadnego innego niż Spider) na mnie takiego wrażenia jak ten.

Bo to, co mnie uderzyło to nie tyle strona fantastyczna, morbide i zboczona seksualnie (co ponoć jest częste u niego i stanowi jego specyficzną pieczęć), ile dramat biednego wariata potraktowany z artystyczną delikatnością, aluzyjnością i litością. Tak, więc to, co mnie urzekło w tym filmie to to, co niegdyś urzekło miłośników włoskiego neorealizmu, ludzi marginalnych, cierpiących po cichu, kameralnie, budzących współczucie. Oczywiście to tylko wspólnota tematu, bo sposób filmowania jest całkiem inny i oczywiście na korzyść Cronenberga. Ale zanim coś definitywnego powiem, to muszę zobaczyć trzy, czy cztery jego filmy.

W każdym razie omal nie przeszedłem nie zauważając, nawet nie wiedząc o istnieniu twórcy, który zdaje się jest istotny. A może i więcej? Zobaczymy. Poszukam również "Santa Sangre", "Barton Fink" i "Fargo", które mi polecasz.

Niestety tu wcale nie jest łatwo znaleźć dawne filmy. Jak tylko zrobił kasę, film znika i odnaleźć go nie sposób. Twierdzisz jednak, że jest w wypożyczalniach video. Spróbuję. Może we FNACu coś znajdę.

Delopoio, przyjaciel i kinoman o dobrym guście, o którym Ci kilkukrotnie wspominałem zapowiedział mi, że ma się pojawić nowy film Grandrieux, faceta, którego "Sombre" olśnił. Oprócz niego jedynie mnie zachwyił, bo gdy pokazałem go Tobie, temuż Delopoio i Henricot, a więc ludziom, których estetyka jest mi bliska, nikt z Was nie zareagował. a raczej wszyscy wzruszyliście ramionami.

Ja natomiast marzę o odnalezieniu wszystkich tych niezwykłości czysto filmowych, które tam odkryłem, a które każdemu z Was kompletnie umknęły.

Często pierwsze dzieło jest doskonale przemyślane od lat, wychuchane i w każdym calu wypieszczone. To dopiero po drugim, a najlepiej po trzecim sądzić. Bo wtedy to już naprawdę, trzeba mieć talent żeby nadal zachwycać.

Piotr

Czwartek, 14 listopada 2002, godz. 22:04

Film mnie nie znudził, ale może nieco zawiódł pod koniec. Wolna narracja w thrillerze nie jest bynajmniej błędem, o ile napięcie w tle narasta, a tu narastało od samego początku - tym niemniej oczekiwałem w ostatniej sekwencji jakiegoś zaskoczenia. Taki numer najlepiej udał się przed laty Clouzotowi na filmie "Widmo". Chodzi o ten typ zaskoczenia, który pozwala nagle na inny sposób odczytania wszystkiego i Bogiem, a prawdą czegoś takiego nieśmiało oczekiwałem, ale generalnie nie bawiłem się źle, bo film był mało francuski, a bardziej amerykański i eksploatował pewien schemat z lat 90-tych, który widziałem w kilkunastu co najmniej lepszych lub gorszych wariantach. Tytułów już nie pamiętam, ale zawsze

była to albo zakochana kobieta, albo nowa cudowna guwernantka, albo współlokatorka, albo fan jakiejś gwiazdy. Osobnik ten opanowywał powoli psychikę "pozytywnych" bohaterów, ograniczając ich wolność i odcinając z ukrycia wszelkie możliwości wybrnięcia z sytuacji. Schemat ten stworzył chyba w latach 50-tych jeszcze Hitchcock, swoim "Nieznanym z pociągu". Napisał także coś w podobnym stylu Pinter. Coś jeszcze sobie dziś obejrzę.

Zdzisław

Piątek, 15 listopada 2002, godz. 09:58

De gustibus etc.. mawiali starożytni Rzymianie. Nade wszystko nie cierpię, by film wywoływał we mnie uczucie współczucia i wzruszenia, co oczywiście nie znaczy, że takich uczuć nie przejawiam (czasami nawet w nadmiarze), poza obszarem sztuki. Obawiam się więc, że polecany przeze mnie film "nagi lunch", który nie był wprawdzie na pewno dziełem komercyjnym, nie wzbudzi Twego entuzjazmu, bo ja pochwaliłem go za wizję i "odjazdowość", w końcu dzieje się w wyobraźni całkowicie znarkotyzowanego bitnikowego pisarza, któremu wydaje się, że wpłątany jest w jakąś intrygę spiskową, maszyna do pisania staje się równocześnie ogromnym karaluchem i ma nogi, całość połączona jest pętlą czasowo zdarzeniową w stylu Robbe Grilleta - to zdecydowanie jest owo wypieszczone pierwsze dzieło, po którym nastąpiła hollywoodzka komercja typu thriller (bo tak go zaszufładowano), ale te filmy, będąc już komercją, nie były bynajmniej złe, ale na pewno już nie w Twoim stylu. Coś podobnego było z Weirem. Nigdy już potem nie nakręcił czegoś równie zachwycająco dziwnego jak "Piknik pod wiszącą skałą", ale robi bardzo dobre filmy komercyjne (np. "Truman show").

Oczywiście, że internet pełni rolę podręcznej encyklopedii, a szczególnie dla kogoś, kto zna języki. Myślałem, że non stop się nim posługujesz, a nie musi Ci poszczególnych haseł wyszukiwać żona. Oczywiście ilość błędnych informacji i przekłamań jest tam olbrzymia, ale tak samo jest też w ksiązkach.

Zdzisław

Niedziela, 17 listopada 2002, godz. 21:30

Ania mówi mi: "Napisz doZdzisi."

Pytam: "Co?"

Na co ona: "Że u nas wszystko w porządku. A jak u niego? Co namalował?"

Więc piszę.

Piotr

Niedziela, 17 listopada 2002, godz. 22:26

Rzeczywiście skończyłem dziś niewielki 73/92 obraz, ale nie jestem z niego zadowolony. Poprzednio namalowałem duży, ale na pewno widziałeś go, bo chyba był na sztalugach. Zresztą też mnie nie zachwyca. Podmalowałem dziś kolejny. Postać leżąca. Poza tym nic się nie dzieje. Wczoraj musiałem przez godzinę gadać do telewizora, ale razem z zastawkami i dokrętkami oraz taryfą tam i z powrotem, wyjęło mi to dokładnie 3,5 godziny: od 12:30 do 16.

Kręcono od godziny 13 z dwóch kamer w jakimś ogromniastym nocnym klubie KULT, który o tej porze nie był czynny. Były tam takie wielkie pseudo-barokowe schody ze sztuczną perspektywą, umieszczone w czymś, co przypominało skrzyżowanie Centrum Pompidou z Folies Bergere. Typowy postmodernizm. Siedząc na podeście tych schodów na trzech krzesłach z panem i z panią, rozmawialiśmy o sensie życia i twórczości. Ma to pójść w jedyne gdzieś w połowie grudnia lub przed Świętami. Czuję się potem cholernie wyżęty. Przedtem autoryzowałem wywiad dla VIP. Nie będzie niestety ciekawy, bo ten pan wybrał z naszej rozmowy najbardziej stereotypowe kwestie, ale zaowocował zaproszeniem, które dostałem na przyjęcie w Hotelu Sheraton z okazji jakiejś rocznicy jakiegoś "Świata Elit". Czyżbym i temu pismu miał potem udzielać wywiadu? Spadam coraz niżej. A gdyby tak zaczął wychodzić "Świat Kretyna"? Ostatnie zdanie na czerpanym papierze brzmi: "gwarantujemy miło spędzony czas w elitarnym gronie". Po moim trupie! Ponieważ było

R.S.V.P. musiałem jeszcze poprosić Ochmana, by mnie wyłgał przez telefon. Mnie elity napełniają odrazą nawet poprzez ścianę, sekretarkę i telefon. Za chwilę amerykański film o facecie, który wraca do domu i zastaje tam własnego klona. Życiowa historia. Na pewno będzie strzelanina i być może podróże w czasie. Mniem, mniem.

Pozdrawiam

Zdzisław

Wtorek, 19 listopada 2002, godz. 20:15

Może jutro będzie jaka taka pogoda i uda się zrobić zdjęcie. Dziś odebrałem mail od Ciebie, gdy było już zbyt ciemno. Na jutro jednak zapowiadają zachmurzenie. Zobaczymy. Na razie mogę wysłać zdjęcie obrazu, który widziałeś in statu nascendi. Zrobiłem je przed kilkoma dniami. Poza tym pracuję trochę na komputerze.

Trudno sterować dziennikarzem, bo pytania są pochodną jego inteligencji, a sformułowania pochodną jego zdolności do pisania, zaś układ całości wynika chyba z umiejętności literackich. Tak czy siak spisany wywiad, to jest w zasadzie to, co zostało powiedziane przeze mnie (który jak wiesz nieustannie pogrążam się w dygresjach i zmieniam temat), sprasowane do 5% przez kogoś, kto dysponuje taką indywidualnością jaką dysponuje. W VIP jest to wypracowanie szkolne. Nie ma rozmowy, lecz są pytania i odpowiedzi jak w katechizmie. Usiłowałem coś tam przerobić i wdusić swoje opinie o krytykach, ale bloku mieszkalnego z wielkiej płyty nie da się przerobić na katedrę Gaudiego. Nagranie do TV było chyba nieco lepsze, bo pytania były ciekawsze. W sumie wszystko to bez znaczenia.

Zdzisław

Załącznik ("Przeczekany obraz"), do zobaczenia na stronie XXX

Wtorek, 19 listopada 2002, godz. 23:24

Po moich entuzjazzmach nad poważnym, cienkim, klasycznie, ale pięknie

zbudowanym i sfotografowanym "Spiderem", o ogromnej atmosferze, ale i zręczności w opisie schizofrenii zaraz dziś zakupiłem dwa dalsze filmy Cronenberga na DVD. Jeden z nich, "Videodrom" natychmiast po powrocie do domu obejrzałem z Anią. Siadając zapowiadaliśmy sobie "mniem, mniem". Ale czym dalej szło w las, tym bardziej zbierało się nam na wymioty. Film według Twoich kryteriów "świetnie" zrobiony, to znaczy na poziomie intelektu, ale i wyobraźni dwunastoletniego chłopca. Gra głównego aktora karykaturalna, amerykańska, ze wszystkimi trikami, jakich uczą w Hollywoodzie, a potem powtarzają w każdym amerykańskim taśmowym produkcyjniaku. Efekty fantastyczne prostackie i naiwne aż do zgrzytu.

Oczywiście rozumiem, czemu znasz tak doskonale całą filmografię tego reżysera, bo jest tam trochę sadyzmu. Ale też definitywnie widzę, że o ile bardzo kocham Twoje malarstwo, o tyle zupełnie nie trawię Twojego gustu filmowego.

Już twoja obojętność na "Sombre" zastanawiała mnie. Po czym przyszedł Twój zachwyt nad "Obywatelem Kanem"... Wreszcie ten... Tu już zupełnie opadły mi ręce.

Ale dzisiaj rozczarowałeś mnie podwójnie. Myślałem też, dając się nabrać Twoim zapewnieniom, że masz do siebie dystans i mimo skrajnego egocentryzmu masz luz w stosunku do własnej osoby. Toteż mogę tylko wyrazić moje ubolewanie skonstatowawszy, z jaką starannością ominąłeś w dzisiejszym e-mailu moją propozycję podsuwania dziennikarzom przed udzieleniem im wywiadu mojej książki, żeby ich zainspirować innym niż zazwyczaj spojrzeniem na Ciebie. Jak widzę, książka nadal leży Ci na wątrobie, i ubodzony moimi krytykami nie potrafisz dostrzec jak wielce mogłaby ożywić Twoje monotematyczne wywiady.

Co nie przeszkadza, że zdjąłem dziś ze ściany niedawno zakupiony, znakomity obraz Cześnika i pojechałem specjalnie za miasto żeby wziąć ze składu Twój (ten, który kupiłem od Tomka) i powiesiłem go z lubością w moim gabinecie, na miejsce tamtego. Tak więc teraz, gdy piszę ten message, jestem już otoczony tylko Twoimi obrazami z okresu "fantastycznego". Tak samo jest w pokoju Ani i w korytarzu. W hallu są za to same obrazy Henricot, od którego dziś kupiłem następną, lecz który na razie pozostał u niego.

PS Gdy pisałem ten message Ania zawołała mnie do hallu: "Zobacz, jakie piękne zdjęcia" powiedziała. A to właśnie szedł w telewizji "Obywatel Kane". No to, pomstując na Twoje kinowe, gusta na ładnego dumnia wyszedłem... Oczywiście w jej oczach. Bo ja "mordicus"podtrzymuję moją awersję do tego filmu, do jego autora i w ogóle do amerykańskiego kina, którym Ty się karmisz co wieczór.

Piotr

Środa, 20 listopada 2002, godz. 09:49

Twierdzenie, że akceptuję Cronenberga dlatego, bo jest tam trochę sadyzmu, jest brednią na poziomie jakiejś Jareckiej (że Beksiński rzucił fotografię, bo malarstwo traktował jako sztukę"wyższą").

Nie akceptuję jakoś wybiórczo Cronenberga i napisałem Ci, że jest nader nierówny. Z filmu "Mucha" wręcz się nabijałem w wywiadzie do "Fantastyka". Nie oznacza to jednak, że nie cenię jego talentu jako dynamicznego i ekspresyjnego reżysera w kinie komercyjnym. Nie znam chyba filmu Videodrom albo go sobie nie przypominam.

Nie znam "doskonale" całej filmografii Cronenberga jak też w ogóle czyjejkolwiek filmografii.

Nie zauważyłem sadyzmu w żadnym znanym mi filmie Cronenberga.

Radziłem Ci tylko jeden jego stary film "Naked lunch", ale z zastrzeżeniami, iż być może nie jest w Twym guście.

Na film "Obywatel Kane" powołałem się raz, w kontekście jakiejś sceny, tak jak powołałbym się na "Kubusia Puchatka", więc nie wiem skąd Twoje opinie na temat mego "zachwytu". Nie wyrażałem żadnej opinii na temat tego (nakręconego przed Twym urodzeniem!!!) filmu. Ani pozytywnej, ani negatywnej, co nie znaczy, że jej nie mam.

Odnoszę więc nieodparte wrażenie, że walczysz z wiatrakami.

Co do dziennikarzy, to (jak mniemam) wyjaśniłem rzecz dokładnie, ale chyba nie przeczytałeś mego ostatniego listu. Nikt z nich przecież nie będzie czytał Twojej książki i jeśli zaraz po mnie będzie przeprowadzał wywiad z wiceministrem finansów - także w tym celu nie będzie się uczył z podręczników Friedmana i Fullbrighta. Ma w dupie "Wiedzę na temat"

przez wielkie W. Ten, kto przeprowadza wywiad, zapowiada się telefonicznie we wtorek, i przychodzi w środę lub czwartek, przygotowany po swojemu. Najczęściej z internetu lub z archiwum redakcji. Ma pytania na kartce i magnetofon, który czasem działa, a czasem nie działa.

Najczęściej nie umie go obsłużyć, bo pożyczył od koleżanki. Potem wysła rzecz do autoryzacji mailem i nigdy go już potem w życiu nie spotkam. Czasem po latach spotykam (jak na mszy za Tomka) i słyszę: "przeprowadzałam z panem wywiad dla...". I Ty chcesz bym tych ludzi indoktrynował??? To czysta wariacja! Jedyne, na co można mieć nadzieję to, że nie napiszą wypracowania szkolnego, z którego nie da się już nic wycisnąć.

Zdzisław

Środa, 20 listopada 2002, godz. 12:21

Powinieneś być adwokatem.

Piotr

Środa, 20 listopada 2002, godz. 13:17

Zdjęcia obrazu chyba dziś nie zrobię i nie wyślę, bo od rana panują egipskie ciemności i ledwie dają radę malować. Czasami na nie całą minutę rozrywają się gdzieś chmury i pojawia się błysk słońca, ale zanim sięgnę za aparat, ponownie wracają ciemności.

Uwaga: jeśli za dni parę przestanę odpowiadać od ręki, to oznacza, że zmieniają mi komputer do internetu. Zdecydowałem ten mój wyremontować i przekazać ubogim krewnym, a sobie zamówiłem nowszy model. Zazwyczaj zależny jestem w takim okresie od serwisu i bywa, że sprzęt jest wyłączony przez parę dni, a wszystko czeka rozbebeszone. Mam to obiecane pod koniec tygodnia, ale Ci panowie z firmy, tylko w nader wyjątkowych wypadkach dotrzymują terminów. Tak więc "nie znacie dnia ni godziny".

Zdzisław

Środa, 20 listopada 2002, godz. 15:05

Takie kadrowania robiłeś za młodu w Twoich zdjęciach. Ale na obrazach nie przypominam sobie żebyś to już robił.

Obraz ciekawy, jak zresztą większość tego, co teraz robisz.

Gdy napisałem, że powinieneś być adwokatem, chciałem przez to powiedzieć (i powtórzyć), że Twoja argumentacja i sposób jej konstruowania nabrały klarowności i siły przekonywującej. Pamiętam, że kiedyś próbowałem przeredagować nasze rozmowy nagrane na magnetofon, a potem spisane. Robiąc to chciałem, żeby były zrozumiałe i dostępne dla ewentualnego czytelnika. Jednak po niedługim okresie prób zrezygnowałem. Żeby to uczynić czytelnym, właściwie trzeba by było wszystko napisać od nowa. Te ponad sto godzin naszych rozmów są niestety nie do wyprostowania.

Podobnie było z Twoimi listami. Tu też po ich przepisaniu na komputer przez maszynistki, starałem się coś zrobić, by z chaosu wydobyć jasne fragmenty. I też bez skutku, choć tu nie zrezygnowałem jeszcze z dalszych wysiłków i na starość wrócę do tego.

Natomiast, jak Ci to już zresztą pisałem, od czasu, gdy redagujesz Twoje listy na komputerze i możesz je wielokrotnie przeczytać, zanim je wyślesz oraz wielokrotnie też wprowadzać poprawki, wszystko to nabrało wyrazistości i stało się interesującą lekturą. Wiem, że kiedyś wydana, nasza e-mailowa korespondencja na pewno będzie uznana za ciekawą, w przeciwieństwie do tej, którą wymienialiśmy dawniej, a która była pisana na maszynie. A to dlatego, że można z niej będzie coś zrozumieć a nie dlatego, że dawniej chodziło prawie wyłącznie o pieniądze i o kłótnie na ich temat. Jak to, w zgodzie z materializmem historycznym, narzędzie kształtuje rękę, a byt kształtuje świadomość.

Piotr

20 listopada 2002, godz., 15:17

Lepiej się nie dało. Format 73 na 92 cm.

Załącznik (Nowy obraz) *

Zdzisław

* obraz do zobaczenia na stronie XXX

Środa, 20 listopada 2002, godz. 18:09

Tekst mówiony, to tekst mówiony. Zdaję sobie sprawę, że mówię chaotycznie. Tak samo mówię, gdy udzielam wywiadu, stąd potem, gdy ktoś to po swojemu zredaguje, wychodzą nonsensy. Nie pamiętam jak wyglądały, pisane na maszynie, moje listy do Ciebie, tym niemniej, jeśli kiedyś chcesz je wydawać, to ich na Boga nie "redaguj", bo to nie będą już moje listy, lecz Twój tekst. Czy byłem dla Ciebie jasny, czy chaotyczny i nieprzejrzysty, to sprawa także Twojego sposobu percepcji. Wszyscy uważaliśmy, że Wałęsa jest szczytem niejasności ("jestem za, a nawet przeciw"), ale znajomy robotnik powiedział mi, że wszyscy kręcą, a jak Wałęsa coś powie, to jest to sensowne, zwarte, proste, jasne i od razu wiadomo, o co chodzi. Nie jestem Wałęsą, a Ty nie jesteś robotnikiem, tym niemniej ten model może sprawdzać się i na innych poziomach. Jeśli to mają być moje listy, to bez skrótów, bez redagowania, z moją interpunkcją etc.

Zdzisław

Środa, 20 listopada 2002, godz. 19:46

Próby "redakcji" miały być Tobie przedłożone na zachętę by pokazać Ci, że poprawione, nasze rozmowy mogłyby nie być tylko banalnym gadulstwem dwóch przeciętnych inteligentów. Widzę, bowiem, że nie pamiętasz naszych rozmów na ten temat. Toteż przypominam, że prosiłem Cię kiedyś, żebyś Ty zredagował Twoją część rozmów, a ja zredaguję swoją, tak by w sumie można było z tego coś zrozumieć, bo na ogół z naszych rozmów wyszedł tylko bełkot. Czego odmówiłeś.

Tak więc nasze rozmowy są już skazane na zapomnienie. Wprawdzie nie wyrzucam taśm, ale je złożyłem w piwnicy i pozostawiłem je samym sobie. Może po mojej śmierci ktoś się nimi zainteresuje i coś z nimi zrobi. Natomiast o ile kiedyś, po Twojej śmierci, wydam naszą korespondencję,

to nie myślę niczego w niej zmieniać. Nawet błędy ortograficzne pozostawię takimi, jakimi są. Ale z góry Cię uprzedzam, że powycinam całe kawały naszych listów, które uważam za nieinteresujące a i całe listy czasem przemilczę. Zastąpię je wielokropkami, tak żeby czytelnik wiedział, że tekst jest skrócony a już w przedmowie uprzedzę go o tym, jak skonstruowana jest publikacja. Może kiedyś, gdyby twoja renoma się na tyle ustaliła, żeby sam fakt czytania Twoich propos mógł zainteresować ludzi, bez względu na to czy jest to coś warte, czy nie, będzie można wydać całość, bez cięć, nawet z opisami ram, skrzyń, ustaleniami co do transportu obrazów etc.

Piotr

Czwartek, 21 listopada 2002, godz. 11:05

Co do naszych rozmów, to publikowanie ich w formie drukowanej nie miałyby cienia sensu i masz rację, iż umieściłeś taśmy w piwnicy. Jednak co do listów, to wcale nie jestem pewien tego, co może być ciekawe dla ewentualnych przyszłych czytelników. Gdy w czasach komuny nagrywaliśmy z nabożeństwem na video nieliczne filmy zachodnie, które dawała nasza telewizja, to na końcówce każdej kasyty zostawało czasami 20 minut, czasami pół godziny, wypełnione normalnym programem naszej ówczesnej telewizji. Gdy przed paru laty przeglądaliśmy z Tomkiem te taśmy, to jedynie ciekawe okazały się te końcówki pokazujące jakby oficjalną otoczkę świata bredni, w którym wtedy przyszło nam żyć. Spieranie się o forszę lub opisywanie kształtu ramek, może być tysiąc razy ciekawsze niż wygladzona część oficjalna. Ja w każdym razie nie marzę wprowadzić o wydaniu naszej korespondencji, ale jeśli już, to całej i bez skrótów.

Zdzisław.

Czwartek, 21 listopada 2002, godz. 11:39

Gdy wpadłem na pamiętniki Henry Kissingera, odkryłem nowy, fascynujący świat maleńkich, przyziemnych spraw wielkiej światowej dyplomacji:

ten facet opisywał nawet, na jakim papierze korespondował z Chińczykami (bez nagłówka, i bez podpisów). Co pozwoliło mi na odkrycie całej masy interesujących mnie detali, których nigdzie indziej nie mogłem znaleźć. Żaden z przywódców świata nie wgłębiał się w takie szczegóły w swoich pamiętnikach, a nawet Churchill, który napisał tego z 12 tomów, raz tylko czy dwa zszedł tak nisko. W sumie, po przeczytaniu czterech potężnych tomisk Kissingera mogłem z dowodami w rękę zaprzeczyć najpowszechniejszym, a jednocześnie najbardziej fałszywym przekonaniom, jakie panują od lat środowisku prawników międzynarodowych. W sumie pomogło mi to ogromnie w mojej pracy naukowej.

Tak więc całkowicie się zgadzam z Tobą, że dla niektórych czytelników sprawa ram czy przewozu obrazów może być stokroć bardziej ciekawsza niż moje monotonne zachwyty nad Twoją twórczością, a nadto może się dla nich okazać istotną, jeśli ich samych będzie w jakiś sposób tyczyła.

Proponuję więc wyjście następujące:

To, co ja uważać będę za mało ciekawe, będzie wydrukowane drobnym drukiem. To, co będę uważał za ciekawe, będzie wydrukowane drukiem normalnym.

Piotr

Czwartek, 21 listopada 2002, godz. 12:56

Taka forma nie budzi mych oporów.

Pytanie (bo Stapowicz przystępuję do kreowania 2 CD i przywiózł dziś do opisaną koszmarną ilość skompresowanych starych reprodukcji): czy ten obraz, którego kiepskie (kompresja) zdjęcie załączam*, jest Twoją własnością? Bo niby skąd jest jego kolorowe zdjęcie? Kupił go przed laty dyrektor fabryki płyt pilśniowych w Przemyślu. Nawet nie wiem czy jeszcze żyje. Może on to sprzedał a Ty to nabyłeś?

Zdzisław

*załącznik (dawny obraz nabyty przez dyrektora fabryki płyt pilśniowych w Przemyślu) do zobaczenia na stronie numer XXX

Piątek, 22 listopada 2002, godz. 00:11

Niestety, ten piękny obraz nie należy do mnie.

Kiedyś sprzedałem podobną, barokową, czerwoną budowlę na górze. Był to moim zdaniem słaby obraz, a w każdym razie słabszy od innych, ponieważ w trzech czwartych nic się na nim nie działo i poza jarzącą się budowlą był jednolicie czarny. Kupił go za dobre pieniądze jakiś kolekcjoner w momencie szczytu, gdy zaraz po Japończykach zważyło się szereg kupców (którzy zresztą o Japończykach nic nie wiedzieli, ale zagrało prawo serii), którzy chcieli kupić nie TEN ani TEN obraz Beksińskiego, ale po prostu (tak zawsze marzyłem) JAKIŚ obraz Beksińskiego. Wtedy to sprzedawałem po 200 tysięcy franków za obraz (czyli na dzisiejsze pieniądze po 30 tysięcy euro) pseudo "kolekcjonerom", którzy w ten sposób lokowali pieniądze. Zaczynałeś się liczyć na tutejszym rynku i uznawano wtedy, że jesteś dobrą inwestycją. Były to niedłgie, ale złote czasy, gdy wszystko zdawało się ruszyć nareszcie ostrym pędem do przodu. Niestety zaraz potem zaczął się kryzys, ta pierdolona wojna w Zatoce Perskiej i recesja w Japonii. Tak, iż zarówno Japończycy, jak i inni nabywcy zniknęli z horyzontu. I nigdy już, aż do zamknięcia galerii tak naprawdę nie wrócili. Kryzys skończył się w 1999 roku a nowy szczyt zaczął się w 2000, roku. Ale ja już nie miałem galerii i było po ptakach.

Przepraszam za dygresję.

Ostatnio kupiłem, jak Ci to już pisałem, podobną skałę, lecz bez budowli, a za to z trzema krzyżami. W pierwszym odruchu myślałem, że go sprzedam z zyskiem, bo kupiłem niedrogo od międzynarodowego handlarza, który sam kupił go na aukcji w Niemczech, a mnie znalazł przez internet. Lecz w oczekiwaniu na nabywcę nieopatrznie ów obraz powiesiłem nad biurkiem i szybko tak go polubiłem, że dziś już nie ma mowy o jego sprzedaniu.

Jest późno, wracamy pełni emocji po wspaniałym koncercie Ray Charlesa.
Piotr

Piątek, 22 listopada 2002, godz. 21:46

Jutro mam podpisywać pieprzone albumy, w tym pieprzonym EMPiK

i już od kilku pieprzonych dni, wisi to nade mną, jak pieprzona czarna chmura. Nie cierpię tego. Jakoś przez to przebrnę, ale jedyna pieprzona myśl, na jaką mnie stać to świadomość, że jutro o tej porze będę to mieć już za sobą. Ani jednego pieprzonego gestu więcej dla tego pieprzonego albumu! Nawet pracować dziś nie bardzo mogę. Przerwałem nawet oglądanie wzruszającego filmu o upiorze, który ciągle wylazi po śmierci z jeziora i dusi innych oraz drugiego, w którym ciągle wszystko wybuchalo, albo wpadając na siebie, albo od broni maszynowej. Jeszcze został mi jeden, w którym szalony zbrodniarz ma zamiar zbudować Chrystusa z kawalków swoich ofiar, ale jakoś nie mam dziś cierpliwości nawet na tak życiowy temat.

Zdzisław

Piątek, 22 listopada 2002, godz. 22:56

Poszliśmy dziś z Anią na Salon Jesienny, którego byłeś przez długi czas płacącym składki członkiem. Nawet miał się któregoś roku odbyć tam Twój "Hommage". Do czego zresztą nie doszło, bo w międzyczasie wypisałem Cię stamtąd i przestałem płacić składki. Nie ma się jednak czym szczyścić, bo choć to jeden z lepszych salonów w Paryżu, to i tak jest to straszna miernota. Dziś znaleźliśmy tam kilka niezłych grafik i dwa obrazy rzeczywiście warte przemieszczenia się. W tym jeden należący do naszego Bułgara, Rousseva, którego czterokrotnie sam wystawiałem i którego posiadam szereg wielkich, wspianiałych formatów.

Ale nie po to, by oglądać marne obrazy żeśmy się tam udali, a żeby się spotkać z Hernandezem. Bo i on, jak szereg innych malarzy zagranicznych, jest członkiem (ograniczającym się tylko do wystawienia dwóch grafik, ale dbającym o to, by jego nazwisko widniało wśród członków tytularnych w katalogu) na tym snobistycznym Salonie, na który przychodzi cała burżuazja paryska z szesnastki (to znaczy z 16-tej dzielnicy Paryża).

A umówiliśmy się tam z Hernandezem, ponieważ postanowiłem zrobić skok w przepaść i... kupić jeden jego duży obraz. Jest on wściekle drogi i nigdy bym nie mógł sobie pozwolić na kupno jego prac (chyba, że gra-

fik), gdyby nie gruba forsa, na jaką czekam na wiosnę przyszłego roku. Bo należeć mi się wówczas będą bardzo sute honoraria za pewna sprawę odszkodowawczą, którą prowadzę od roku, a w której chodzi o duże pieniądze, od których ja dostanę duży procent.

Ania chciała, byśmy kupili za te pieniądze jakieś mieszkanie i albo wynajęli je, albo tam złożyli wszystkie nasze obrazy, które obecnie znajdują się na płatnym składzie. Ma mi trochę za złe, że utopiłem na giełdzie nasze wszystkie oszczędności.

Przekonałem ją jednak, że choć nigdy nie sprzedam raz kupionego obrazu Hernandeza, nawet gdyby było ciężko i że choć studio zawsze można sprzedać, należy mimo wszystko kupić obraz Hernandeza.

Tak więc spotkaliśmy się z nim dziś na Salonie, na który przyleciał z Hiszpanii. Byłem prawie tak podekscytowany jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem się z Tobą.

Pokazał nam swój nowy album i rzeczy, które teraz maluje. Tu trochę mina mi zrzędła.

Wprawdzie Ty, oglądając jego poprzednie albumy, które Ci przywiozłem do pokazania wolałeś właśnie te ostatnie prace. Ja wolę jednak dawne, fantastyczne, barokowe, "morbide", zbliżone duchem do Twojej własnej twórczości z okresu "onirycznego", jak również zbliżone duchem do obecnych obrazów Henricot.

Nie zobowiązał się wprawdzie, że coś takiego mi namaluje, a nawet się trochę zachnął, tak jak Ty, gdy na początku naszej znajomości chciałem Cię namówić na "odgrzanie kilku starych kotletów". Ale przyrzekł mi, że jeśli namaluje obraz w dawnym stylu, to mnie o tym zawiadomi i dla mnie go zarezerwuje. Poza tym, w tych dniach prześle mi internetem szereg dalszych propozycji. Tak, iż nie tracę nadziei, że znajdę wśród nich coś, o czym od dawna marzyłem.

Wyraźnie nabral do mnie szacunku, gdy mu walnąłem, że posiadam 174 Twoje obrazy oraz dużą kolekcję Henricot, którego zna i z którym poczuwa się do pewnego pokrewieństwa. Zresztą obaj wystawiali w tej samej galerii, w Paryżu, do 1982 roku, aż się ich galerzysta przekręcił na marskość wątroby i galeria zniknęła. U mnie nigdy wystawić nie chciał. Ma mieć wystawę 400 prac w Maladze, w kwietniu przyszłego roku, na którą się oczywiście wybierzemy.

Jeśli uda mi się zakupić jego obraz, to będę miał wreszcie wszystkich moich trzech najukochańszych malarzy.

Piotr

Sobota, 23 listopada 2002, godz. 14:13

No to mam to już za sobą. Było koszmarnie gorąco, a ja ubrałem się za ciepło, obawiając się, że będzie za zimno, więc mogę ponownie się zaziębić, bo gdy w końcu wyszedłem na dwór, to wydawało mi się, że to Syberia, mimo iż było prawie 10 stopni. Panienska zapowiadała co chwilę przez megafon na wszystkie piętra, że na 1 piętrze trwa spotkanie z artystą światowej sławy Zdzisławem Beksińskim. Na świecie znam Ciebie, Cowana i jeszcze z pięć osób. Chyba nie upoważnia to jeszcze do użycia takiego terminu i czułem się jak Britney Spears. Zjadłem potem w McDonald 's, przy wspólnym stoliku z dwiema panienkami, które wymieniały się obrazkami na telefonach, kopiując je sobie wzajemnie przez podczerwień - cóż znaczy światowa sława, jeśli świat składa się z takich pocziwych kretynek i kretynów, a może to też jakieś moje fanki i w ich wyobraźni figurują gdzieś między obrazkami z telefonu. Wróciłem do domu i rozpakowałem prezent od EMPiK, czyli kilkupłytkowe pudełko z "Władcą Pierścieni" na DVD. "Pan ma oczywiście DVD" zapytała panienska z EMPiK. Machinalnie skinąłem głową. W końcu w tej chwili DVD ma każda kucharka, ostatnio są nawet odtwarzacze, które pozwalają na oglądanie na telefonach komórkowych - wstyd byłoby się przyznać, że artysta światowej sławy, został tak daleko w tyle za trafiającym pod strzechy postępem. Nadgonię jednak postęp w połowie przyszłego tygodnia, bo nowy komputer ma mieć wbudowaną stację DVD. Włączę do wanny i idę się przespać. Takie rzeczy cholernie mnie wyczerpują.

Zdzisław

Poniedziałek, 25 listopada 2002, godz. 19:53

Skończyliśmy covieczorną od tygodnia lekturę "Losu utraconego". Tak

więc, przez szereg miesięcy nie wyszliśmy poza krąg wspomnień o zagładzie Żydów, który zapoczątkowaliśmy Pianistą, potem Ligocką, Primo Levy'm a teraz Imre Kerteszem.

Z wyjątkiem Primo Levy, który wydał mi się nieco słabszy, choć tu na Zachodzie jest najsłynniejszy, każda z tych opowieści była znakomicie napisana. Jakby horror dodawał jego świadkom talentu.

Na koniec książki jakiś człowiek, którego bohater spotyka na ulicy w Budapeszcie zaraz po powrocie z obozu, zadaje mu bez wstępów, ot tak, "a brule pourpoint" pytanie, które mnie nurtuje od kilku lat: "Czy widział Pan na własne oczy komory gazowe?". I tu, tak jak mnie odpowiedziało kilku spotkanych byłych więźniów z Oświęcimią i innych obozów, bohater odpowiada: "Ja ich nie widziałem. O tym się mówiło w obozie."

Już kiedyś Ci o tym opowiadałem że mam przyjaciela, Francuza, który kiedyś, na wernisażu w mojej galerii, w rozmowie o tym i o tamtym napomknął że to wierutne kłamstwo. Oburzyłem się i podniesionym tonem wręcz zakazałem mu czegoś podobnego mówić przy mnie. Na co on ze złością obrócił się na pięcie i wyszedł ostentacyjnie z galerii.

Na drugi dzień zadzwoniłem do niego wyciągając rękę na zgodę, bo głupio mi było za mają śmieszna "political correctness".

Dał mi w zamian cały plik publikacji rewizjonistycznych, głównie niejakiego Faurisson. Było tego wiele kajetów. Przeczytałem je wszystkie bardzo dokładnie. Treść była napisana w sposób, do jakiego jestem przyzwyczajony w mojej uniwersyteckiej i sądowej pracy, to znaczy rzeczowo i z argumentami ułożonymi w koherentną całość, a nawet z ekspertyzami biegłych.

Potem zacząłem przypominać sobie dokładną topografię Majdanka, który zwiedziliśmy wracając z Sanoka, gdyśmy się tam z Tobą spotkali jeszcze za życia Twojej żony. Otóż przypominam sobie, że nie widziałem tam komór gazowych. W Oświęcimiu nie byłem i mówią mi, że nic bym tam nie zobaczył, bo ponoć zostały zdynamitowane przez Niemców w przeddzień ucieczki.

Od tego czasu nieustannie prześladuje mnie to pytanie: czy naprawdę istniały komory gazowe, skoro nie ma po nich ani śladu pisanego (w żadnych dokumentach, rachunkach, rozkazach, sprawozdaniach z posiedzeń, korespondencji etc.), ani śladu materialnego (bo właśnie ponoć

wszystko zostało wysadzone w powietrze), ani wreszcie śladu ustnego (bo raz tylko słyszałem kogoś, kto w telewizji francuskiej twierdził, że pracował w sonder komando zajmującym się komorami gazowymi, ale nie znalazłem potem nikogo, kto by to potwierdził. Ten, kto to powiedział dodał, że wszyscy więźniowie, którzy robili tą właśnie robotę, byli co pewien czas systematycznie rozstrzeliwani).

Jak mogło się zdarzyć, że wymordowanie wielu milionów ludzi tą drogą, (bo oczywiście ani chwili nie wątpię, że oni zostali jakoś zamordowani, skoro byli żywi przed wojną a po wojnie nie wrócili do domów), nie pozostawiło żadnego namacalnego śladu?

Oczywiście święcie wierzę tym strasznym opowieściom o prześladowaniach i o mordowaniu, (choć Kertesz opisuje Buhenwald, jako prawdziwą synekurę, gdzie go starannie i pieczołowicie leczono w prawdziwym szpitalu). To wszystko można udowadniać choćby poprzez świadków, takich jak ci, których książki ostatnio przeczytałem. Ale jak racjonalny umysł, a do takiego pretenduję, może zaakceptować twierdzenia, na które nie ma żadnego dowodu?

Stało się to dla mnie rodzajem obsesji. Na dodatek nie bardzo można o tym rozmawiać we Francji i wypytywać kogokolwiek, bo wszelka negacja komór gazowych jest tu sędownie karalna. A jak tu pytać bez tego, żeby mi zaraz przypisano negację?

Piotr

Warszawa, Poniedziałek, 25 listopada 2002

Ja na pewno nie dostarczę Ci dowodu, jako iż problem ten w znacznie mniejszym stopniu mnie porusza. Jeśli wymordowano taką kupę ludzi (bo przecież nie schowali się w mysiej dziurze, gdzie siedzą do dziś) i to w czasie stosunkowo krótkim, to przecież obojętnym jest, w jaki sposób i po co ktoś miałby wymyślać, zaraz po wojnie, akurat komory gazowe, gdy stosunek do śmierci był całkiem inny niż dziś i panowała nieporównywalnie większa obojętność. Hiroszimę postrzegano wyłącznie, jako niezwykły sukces nauki. W najbardziej egzotycznym rozumowaniu nikomu by nie wpadło do głowy myśleć o ofiarach. Ale przypierdolili w Japońców

atomówką! Nie wiem czy nie ma dowodu. Był proces norymberski, był proces IG Farben, może były jakieś dowody, a może nie było. Zeznania świadków zawsze można uznać za kłamliwe, a cały proces za sfigowany, ale identyczne argumenty można powołać na okoliczność owych (jak piszesz): "koherentnych całości" i "ekspertyz biegłych". Zazwyczaj interesuje mnie skąd dochodzą informacje, bo wszystkie informacje są z zasady tendencyjne. Ludzie po prostu chcą mieć Prawdę, Sprawiedliwość, Słuszność, Dobro i Boga po swojej stronie, więc tak długo będą naginać to, co w końcu podatne jest na naginanie, aż im się zgodzi, że ich strona ma czyste ręce, a podły wróg jest po przeciwnej stronie. Po lewicy, po prawicy lub w centrum. Oczywiście upraszczam. Lubię coś takiego w kinie, ale nie w rzeczywistości. Nie wykluczam, że w tym jest przyczyna, że lubię filmy kretyńskie. W trakcie ich oglądania zaspokajam te typowe dla wszystkich emocje, które bez takiego środka zastępczego, musiałbym jakoś ukierunkować politycznie. Warto poczytać ile opracowań ukazało się na temat Jedwabnego. Ile opracowań w Polsce i na Ukrainie ukazało się na temat krzywd narodu i zbrodni przeciwnej strony. Zawsze ktoś wytlukł statystycznie więcej, ale przecie nie o to chodzi po czyjej stronie jest "wina" w Irlandii, czy w Palestynie i która strona prowadzi w tym pojedyńku "na trupy". Zboczyłem z tematu.

Odpieprzyłem dość szybko obraz, który wydaje mi się udany, ale namalowany jest bez wylizywania (vide szczegóły). Pracuję także od paru dni nad grafiką taką, jaką pokazywałem. Czuję się jednak nie świetnie. Komputer będą mi chyba wymieniać w drugiej połowie tygodnia, bo zapowiedzieli, że w Warszawie będzie on w środę (czyżby z Niemiec?), a więc w moim domu około piątku. Pozdrowienia

Zdzisław

Załącznik (Nowy obraz) - obraz do zobaczenia na stronie numer XXX

Załącznik (Fragment) - obraz do zobaczenia na stronie numer XXX

Poniedziałek, 25 listopada 2002, godz. 21:18

Jeszcze jedno: nie chcę brać udziału w sporze, w którym nie posiadam

argumentów. Coś podobnego jest moim udziałem w wypadku ekonomii. Wszyscy w Polsce mają tu coś do powiedzenia i mają swoich ekonomistów, a ja jestem bezradny. Argumenty każdej ze stron (poza śmiesznymi i naiwnymi ekstremami) przerastają moją wiedzę i wydają mi się przekonujące, a są przecież wzajemnie sprzeczne.

Zdzisław

Poniedziałek, 25 listopada 2002, godz. 22:53

Złośliwi powiedzieliby, że chodzi o ilustracje książki Kertesza.

Za to ja powiem, że obraz bardzo mi się podoba i jest ogromnie More'owski.

Jego zdjęcie jest jednak tak skadrowane, że nie mogę go w całości wydrukować, a chciałbym, bo do Twojej korespondencji zawsze załączam reprodukcje, które mi wysyłasz, żeby było wiadomo, o czym była mowa. Czy możesz więc przesłać mi zdjęcie w takiej formie, w jakiej będę je mógł wydrukować na jednej kartce papieru? Przy sposobności nie przysyłaj mi detalu, bo nie umiem drukować selektywnie i będę musiał wydrukować oba zdjęcia, a do moich archiwów chcę tylko mieć reprodukcję oryginału. Twojej odpowiedzi na moje uzalania się na meczącą mnie obsesję komór gazowych nie zrozumiałem. Jest tak napisana, jak dawniej były pisywane Twoje listy. Można w niej zrozumieć każde zdanie, ale sensu całości nie sposób wyłapać.

Piotr

Warszawa, Wtorek, 26 listopada 2002

Zrozum... Nie - zapomniałem, że nie zrozumiesz. Zmniejszając zdjęcie dla Ciebie, jestem w sytuacji oślepiętego faceta, który wali kijem golfowym w piłkę o północy, nie wiedząc nawet czy stoi na polu golfowym czy minowym.

Strona wygląda bardzo ładnie. Mam nadzieję, że zamiast albumu BoSz będzie tam fotka Twego albumu. Fryderyka Kowalskiego nie znam.

Strasznie podobny do Jurka Lewczyńskiego w młodości. Rozumiem, że moje prace też mają na razie charakter zastawek.

Zdzisław

Wtorek, 26 listopada 2002, godz. 08:25

Piotrze: straszny z Ciebie facet.

Co do zrozumiałości lub niezrozumiałości tekstu, rzecz się chyba ma tak jak z postrzeganiem tej przysłowiowej szklanki, która dla pesymistów jest w połowie pusta, a dla optymistów w połowie pełna. Nie wykluczam też, że w stylu cenisz najwyżej to, czym ja najbardziej pogardzam (dlatego domagam się autoryzacji wywiadów). Byłaby pouczającym doświadczeniem analiza tego niezrozumiałego dla Ciebie tekstu, którą wysłałbyś mi mailem i wtedy może skopiowałbym, co tam dla Ciebie jest niejasne. Bo wiem że stylem jest tak jak z obrazami: wylizany i realistyczny, szkicowy, zamglony jak u Turnera, krążący obok formy, którą opisuję, podkreślający ją przez odbicia, operujący groteską, deformujący etc. Chciałbym wiedzieć, CO KONKRETNIE powoduje jego niezrozumiałość (dotyczącą oczywiście przekazu) dla Ciebie.

Zdzisław

Wtorek, 26 listopada 2002, godz. 10:54

Oczywiście stało się tak, jak to przewidywałem: drukarka wydrukowała mi tylko nogi Twojego obrazu.

Wskazując mi jak mam pomniejszyć obraz, tak by cały się zmieścił na jednej stronie zapominasz, że nazwy ikon, jakie mi podajesz po polsku są u mnie napisane po francusku i wcale nie są dokładnymi tłumaczeniami podanych przez Ciebie haseł. Toteż absolutnie nie jestem w stanie posługiwać się podanym przez Ciebie przewodnikiem. Na dodatek zrozum, że ja jestem tak uprzedzony do tej zagmatwanej techniki, że mój umysł odmawia jakiegokolwiek współpracy. Ja nie jestem nawet w stanie uważnie

przeczytać technicznych wyjaśnień, tak jestem głęboko przekonany, że natychmiast utknę na pierwszym niezrozumiałym słowie i nie posunę się ani o centymetr. Tracisz więc czas mając nadzieję, że czegoś mnie nauczysz. Wprawdzie mówi się, że tępi uczniowie są ofiarami tępych profesorów, których metody tak zniechęcają tych pierwszych, że ich umysł staje w miejscu i jak osioł zapiera się nogami, żeby nie postąpić kroku naprzód.

Może gdyby ktoś umiał do takich tępaków jak ja znaleźć metodę (tak jak do umysłu dzieci można trafić poprzez zabawę), to może bym się w to wszystko wdroył i nawet zaczął się w tym rozsmakowywać. Ale tak, ucząc mnie klasycznie, racjonalnie, pokazując palcem, co i jak nie pokonasz mego oporu.

Co do zrozumienia Twego ostatniego mesażu przypomniało mi to ostatnie strony Kertesza. Całość książki jest krystalicznie jasno napisana przez ewidentnego racjonalistę. Na koniec jednak, wracając z obozu i rozmawiając z sąsiadami, do których zaszedł, ów racjonalista zaczyna coś im wywodzić, czego oni ani w ząb nie mogą zrozumieć, tak, iż w końcu tracą cierpliwość i wypraszają go za drzwi. Na co oboje z Anią zgodnym chórem powiedzieliśmy: ja bym zrobił to samo. Po prostu facet daje odpowiedzi bez najmniejszego związku z pytaniami, które mu są zadawane, używa określeń, które nie mają żadnego odniesienia do poprzedzającej je kwestii i wypowiada oderwane sentencje o nieokreślonej treści. Ma to chyba znaczyć, że po tym, co on przeszedł nikt go już nie będzie mógł zrozumieć, tak niewyrażalne są cierpienia, jakich doznał. Stąd bełkot.

Nie wiem, dlaczego gardzisz jasnością i logiką wywodu? Przecież nie wykluczają one ani dowcipu, ani groteski, ani lekkości, ani oryginalności. Nawet Ionesco jest jasny i przejrzysty, mimo że uprawiał prozę absurdalną.
Piotr

Wtorek, 26 listopada 2002, godz. 12:05

Nawiasem: Mnie nikt nie uczył obsługi, lecz nauczyłem się (w potrzebnym mi zakresie) sam na swoich błędach, a człowiekiem, zachęcającym mnie w latach jeszcze osiemdziesiątych do kupna komputera i używają-

cym dziwaczego, jak na moje ówczesne wyobrażenia słowa MENU, które kojarzyło mi się wyłącznie z restauracją, był niejaki Piotr Dmochowski. Zostało to nawet nagrane na kamerze video. System WINDOWS jest takim samym systemem w USA jak w Polsce i na pewno takim samym we Francji, a tylko nazwy są inne. Lokalne zmiany polegają tylko i wyłącznie na przetłumaczeniu nazw i to nawet nie wszystkich, bo ogromna ilość plików i programów wewnętrznych, nawet w chińskich WINDOWS, ma (i musi mieć z przyczyn informatycznych) nadal brzmienia identyczne z amerykańskim oryginałem. Jestem też prawie pewien, że IMAGING także we Francji nazywa się tak samo. Ja wiem, że Francuzi są najzacieklejszymi nacjonalistami na całej kuli ziemskiej, przy których wysiadają nawet Polacy i Czeczeńcy, więc pozmieniali w sensie nazewnictwa zapewne wszystko, co tylko dało się zmienić, ale nie mogli zmienić istoty poleceń.

Co do tego, co piszesz o moim tekście, to Kertesza nie znam, a Twoja opinia o moim stylu, pozostaje przy ogólnikach. Dla mnie ten tekst, o który nam idzie jest jasny (oczywiście nierozjaśniający Twych wątpliwości odnośnie komór gazowych, bo przecież tego chyba po mnie nie oczekiwałeś), więc chciałbym zrozumieć, dlaczego Ty uważasz go za niejasny, nie po to, by spierać się czyje na wierzchu, lecz by w przyszłości stosować w listach do Ciebie styl dla Ciebie zrozumiały. Stąd moja prośba o analizę.

Dziś nie pracuję, albo pracuję na wyrwyki, bo pan Krzysztof robi u mnie rozmaite robótki wewnętrzne, ryczy wiertarka, otwierane co chwila okna powodują zimne przeciągi i w ogóle nie ma warunków do pracy, a na dodatek około południa zapowiedział się jakiś gość "w sprawie prywatnej".
Zdzisław

PS. Obraz wysyłam oddzielnie i obrócony w pion. Teraz chyba już go wydrukujesz bez ruszania głową.

Czwartek, 28 listopada 2002, godz. 17:57

Drogi Piotrze. Nie wysyłaj żadnego maila do odwołania, bo dziś zdemon-

tują mi instalację i przyłączają nowy komputer, a jeszcze nie wiem, jak to wszystko będzie działać, więc nie chcę, by jakieś listy zaginęły.

Zdzisław

29 listopada 2002

Wprawdzie uprzedziłeś mnie, że zmieniasz komputer i ostrzegłeś żebym Ci przez kilka dni nie wysyłał mesaży, ale jestem pod tak silnym wrażeniem, że muszę to, co odczuwam natychmiast zarejestrować. A gdy już Twój komputer znów ruszy, to Ci to zarejestrowane odczucie wyślę, tak jak je wyślę do Henricot i do Delpoio (do Henricot bo tak jak Twoje tak i jego malarstwo bardzo cenię i dlatego pokazałem mu "Sombre", a Delpoio, dlatego że stale rozmawiamy ze sobą o filmach i informujemy się o tym, co warto zobaczyć. Tak, iż jemu też dałem do oceny "Sombre").

Dając wam kasetę, miałem nadzieję, że się na nim poznacie. Żaden z Was niczego nie przeżył, a nawet wszyscy trzej okazaliście znudzenie.

Tak więc, jak to powiada Talmud (ja myślałem, że tak mówi Biblia, po czym skorygowałeś mnie), jeśli wszyscy Ci mówią że się myślisz, wiedz, że są głupcami i że to Ty masz rację.

Otóż przed chwilą wyszedłem z drugiego filmu Grandrieux "Nowe życie" ("La vie nouvelle") i z całą pewnością mogę stwierdzić, że jest to dzieło geniusza, film najwybitniejszy ze wszystkich filmów, jakie w życiu widziałem, przy którym "Statiricon" czy "L'annee derniere a Marienbad" bledną. Takich zdjęć nigdy nie widziałem, takiego dźwięku nigdy nie słyszałem, takiego ruchu kamery, takich efektów uzyskanych w laboratorium przy wywoływaniu taśmy, takiego oświetlenia, takiej "reżyserii", która dla mnie polega na stworzeniu atmosfery (w tym wypadku okrucieństwa, agresji, brutalności) zaledwie kilkoma słowami i przemieszczeniami aktorów, takiego montażu, czegoś takiego nikt nigdy nie stworzył, a w każdym razie ja tego nigdy nie widziałem! I to prawie bez scenariusza, ze strzępami fabuły ledwo połączonymi ze sobą w luźną całość.

CO ZA FILM!!!

Okazuje się, że tysiące twórców od stu lat mogło stworzyć dziesiątki tysięcy filmów i jeszcze pozostawić ogromne miejsce na twórców całkowicie

nowy, w każdym calu oryginalny i w każdym calu wspaniały.

Jestem jedynym z nas czterech, który się umiał od razu poznać na tym reżyserze i jestem z tego dumny.

Przynaję, że ten film jest lepszy od "Sombre". Zrobił na mnie tak piorunujące wrażenie, jakie zrobiło na mnie Twoje malarstwo, gdy je po raz pierwszy zobaczyłem w 76 roku w Łodzi. Z tą przewagą dla filmu Grandrieux, że gdy spotkałem się z Twoimi obrazami byłem młodym i zielonym facetem, który niewiele się znał i nie miał pewnego, wyrobionego zdania o sztuce.

Podczas gdy dziś mam sześćdziesiątkę i trochę widziałem, trochę napisałem, trochę przemyślałem i trochę przeczytałem. I, co się mnie tyczy, to już wiem dokładnie, o co chodzi.

Ania zaciekle broni Cię na dwa sposoby: raz, że "Sombre" nie widziałeś na sali kinowej, gdzie jest ciemno, słychać i widać nawet półcienie i półszept.

A potem mówi: "Nie możesz się jemu dziwić, że się nie poznał na "Sombre", bo on lubi tylko specjalne efekty w amerykańskich filmach".

Nie wiem czy ta druga obrona pójdzie Ci w smak. Mnie raczej wydaje się uwłaczającą.

Odpowiadam jej więc, że nie zwracalbym uwagi na Twoją predylekcję do głupich, zrobionych na najniższym poziomie artystycznym amerykańskich filmów, gdybyś poza tym był w stanie poznać się na dziele wybitnym.

Toteż czuję się wręcz osobiście upokorzony, że malarz, którego twórczość tak cenię, tak niewielką ma zdolność poznania się na wielkiej sztuce. To mniej więcej tak, jakbym się sam siebie pytał: "Kogo ja w końcu tak wielbię?"

Gdy wyszedłem z tego filmu, to zamiast się nim cieszyć poczułem się poirytowany na Ciebie, tak jak jestem poirytowany na tych wszystkich, którym pokazuję Twoje obrazy a którzy patrząc na nie, ziewają.

Oczywiście możesz odpowiedzieć "de gustibus...". Ale to jest tak jakby ktoś patrząc na obraz Tycjana stwierdzał "Nic mi to nie mówi". Tu już zasłonięcie się "de gustibus..." nie wystarcza. To pachnie ignorancją estetyczną.

Dane techniczne filmu, jakie znalazłem na internecie: LA VIE NO-

UVELLE

Sortie le: 27 novembre 2002

Duree: 1 h 42 mn - France - 2002 Realisateur: Philippe Grandrieux

Avec Zack Knighton, Anna Mouglalis, Marc Barbe, Zolt Nagy

Scenario: Philippe Grandrieux, Eric Vuillard Photo: Stephane Fontaine

Production: Mala Films, L. Films Distribution: marca Films

Piotr

30 listopada 2002

Mimo podeszłego wieku, człowiekowi zawsze się wydaje i trudno mu się od tego wrażenia opędzić, że osoba, której dzieło zrobiło na nim wielkie wrażenie, musi pochodzić z tej samej gliny, rozumieć rzeczy tak jak samemu się je rozumie, odczuwać, myśleć i cierpieć jak samemu się myśli, cierpi i odczuwa.

Po pierwszych stwierdzeniach, że tak nie jest, człowiek nadal sam siebie przekonuje, że to tylko pomyłka, że jak już swoje uczucia i odczucia dobrze wytłumaczy, to ta druga osoba oczywiście będzie musiała je przeżyć tak samo.

Po czym rzeczywistość bezwzględnie pokazuje czarno na białym, że nie ma żadnej wspólnoty, żadnego wspólnego zrozumienia i że jest się na zawsze zamkniętym w swojej własnej wieży z kości słoniowej, sam i beznadziejnie sam.

Stąd pochwalne hymny, jakie po cichu śpiewam codziennie na cześć mojej żony, na której nie tylko malarstwo Beksińskiego, ale i filmy Grandrieux zrobiły takie samo elektryzujące wrażenie jak na mnie.

Piotr

Wieczorem 30 listopada 2002

Oczywiście rozdrażnienie minęło i dziś raczej mnie śmieszy. Przesyłam Ci jednak wczorajszą notatkę, bo jako sumienny archiwista nie ośmieliłbym się fałszować historii i zamazywać niezręcznych dokumentów.

Niemniej poczucie zdziwienia pozostaje: jak Ty mogłeś nie zachwycić się "Sombre"? Przecież jak się ma podobne gusta, to wspólnota nie objawia

się tylko na jednym punkcie, a na wielu.

Zapytaj pięciu ludzi, którzy głosują na lewicę o dziesięć kwestii politycznych i socjalnych a stwierdzisz, że wszyscy bez porozumienia się ze sobą dadzą Ci takie same odpowiedzi. Tak samo będzie z tymi, którzy głosują na prawicę. Będą się tylko między sobą różnić stopniami, odcieniami, natężeniami. Ale co do samej istoty będą zgodni. A poza tym dla mnie samego dowodem na istnienie wspólnoty duchowej jest fakt, że z Anią zgadzam się w sprawach estetycznych do tego stopnia, że niezależnie od tego, które z nas pierwsze się wypowie na temat filmu, obrazu czy sztuki to powie to samo, co powiedziałoby drugie i to prawie tymi samymi słowami.

A więc wspólnota duchowa nie jest wymaginowaną chimerą. Takie coś istnieje.

Jak więc może się stać, że ktoś, kogo estetykę pikturalną podzielam, choć jest marginalna i prawie przez wszystkich odrzucana, (co jeszcze bardziej potęguje poczucie wspólnoty) może jednocześnie być tak ślepy na to, co dla mnie jest wielkie jak wieża Eifla?

Nie, tu chyba jest jednak jakieś nieporozumienie.

Piotr

1 grudnia 2002

Odszedłem na chwilę od telewizora, w którym na Arte była audycja poświęcona El Greco.

Patrzałem na nią znudzony, mówiąc sobie "To mi nic nie mówi". Bo rzeczywiście jest to jeden z tych przesławnych malarzy, którego wiele obrazów widziałem w Hiszpanii i w całej Europie, a których nigdy bym nie powiesił u siebie.

"Tu pachnie ignorancją artystyczną"?

Przypominam sobie, że kiedyś poprosiłem Cię, byś mi nagrał na taśmie i przysłał Twoje najbardziej ulubione fragmenty muzyki, której słuchałeś swego czasu (bo ponoć już nie słuchasz) malując.

Zorientowałem się wówczas, że prawie nic z tego, co od Ciebie dostałem nie podobało mi się i chyba w żadnym z owych fragmentów nie odnala-

złem atmosfery, która aż wali z Twoich obrazów.

A może rzeczywiście "de gustibus... "?

Trzeba tylko zaznaczyć, że na muzyce znam się słabo, a na filmie lepiej. Więc może jednak "tu pachnie ignorancją estetyczną"?

Dość, że Ty a Twoje obrazy to dwa różne światy, choć biedny spektator zawsze sobie wyobraża, że twór jest na podobieństwo twórcy i odwrotnie (w zależności od tego z czym spotka się w pierwszym rzędzie) i strasznie jest rozczarowany stwierdzając na dłuższą metę, że żadnego związku tu najczęściej nie ma.

Co do Henricot, to już dawniej stwierdziłem że jest płytki, światowy, dowcipny, lekki i wszystko co gwałtowne w sztuce hamuje go. Może dlatego, że jest pederastą?

Delpoio nie jest ani światowy, ani płytki, ani dowcipny, ale choć zna na pamięć wszystkie nazwiska reżyserów, których filmy ogląda i wymawia je bezbłędnie, nawet jeśli są tureckie, czy irańskie; choć założył wśród adwokatów i sędziów klub filmowy którym dyryguje, to jednak dzieł naprawdę wielkich unika, bo na ogół są brutalne, a on tak jak Henricot jest łagodnym homoseksualistą.

A... może i Ty jesteś ukryty pedzio, którego wielka sztuka napawa niepokojem?

Piotr

2 grudnia 2002

Żeby się upewnić, że nie uległem chwilowemu zaćmieniu umysłu a i po to, by zdążyć zanim film zdejmną z ekranu (dwadzieścia trzy osoby wyszły z sali), poszedłem dziś jeszcze raz obejrzeć "La vie nouvelle".

Niepotrzebnie w międzyczasie przeczytałem kilka krytyk, z których dowiedziałem się, na czym niby ma polegać fabuła (której absolutnie nie można i nie należy rozumieć). Tak, iż na początku starałem się odnajdywać powiązania pomiędzy scenami zgodnie z tym, co mi zapowiedziano. Potem zapomniałem o tym i poddałem się oszołomieniu, ogłuszeniu, zachwyceniu. Tak, to najdziwniejszy i najznakomitszy film, jaki w życiu widziałem!

Prócz przepięknej estetyki zdjęć i niesamowitego montażu, tym razem lepiej odczułem jego atmosferę pornograficzną, homoseksualną, brutalną, okrutną, sadystyczną.

Bo jeśli podziwiałem Twoje zdjęcia to muszę przyznać, że facet pobił Cię na głowę. Takich zdjęć jak żyję, nie widziałem.

Poza tym jeszcze lepiej wsłuchałem się w taśmę dźwiękową i odczułem to, co kiedyś odczuwałem, gdy upijałem się na umór i słuchałem na cały regulator zespołu "Nomenklatura" - rodzaj zjaw, hałasów, delirium, muzyki, kolorów, migających obrazów, urywanych zdań, upiornych, przestępczych twarzy w ogromnym planie, wszystko jak pod wpływem LSD.

Żaden eksperymentalny ani abstrakcyjny film spośród tych, które widziałem nie zbliżył się nawet o kilometr do tej wspaniałej choreografii postaci i cieni, które wyszły z koszmaru.

Ostatnimi laty tak zachwyciłem się tylko muzeum Guggenheima w Bilbao, które, gdy Ci pokazałem jego album, rozdrażniło Cię tak, iż dostałeś wypieków.

Piotr

Wtorek, 3 grudnia 2002, godz. 19:54

Nareszcie mam czynny w pełni (?) komputer. Najdłużej trwało z wysłaniem zawiadomienia o tym podniosłym fakcie do Ciebie, bo gdzieś w rozgardiaszu przenoszenia plików ze starego komputera na nowy, zatraciła się czcionka Lucida Casual, ale w końcu ją znalazłem i jest już w tym wszystkim, jaki taki porządek (musiałem przenieść ponad 18.000 plików, zachowując poprzednią strukturę katalogów). Mam teraz upierdliwe dla mnie (jak na razie) Windows XP, ale pracując przez dwa dni, upodobniłem je zewnętrznie i w miarę możliwości do tego, do czego byłem przyzwyczajony. Będę teraz pracować na trzech systemach: stary komputer na Windows 98 SE, komputer do pracy na Windows 2000 Pro i ten nowy, pomocniczy, na Windows XP Home. Oczywiście nic nie pracowało tak, jak powinno, ale trochę w tym mojej winy, bo musiałem mieć w komputerze dodatkową stację ZIP (w fabrycznym modelu nie było) i dwie partycje na dysku głównym, aby je zrobić, trzeba było w tym celu

przeinstalować Windows i ja chciałem wpakować 2000 Professional, bo pracuję na nim w komputerze do pracy, aliści nie chciały współpracować z niektórymi ustawieniami, zresztą nie ma Cię co męczyć opisem.

Mogę tylko powiedzieć, że z soboty na niedzielę pracowaliśmy wraz z moim Bambo od godziny 17 po południu do godziny 6:50 rano przez całą noc non stop. W końcu boję się jeszcze mówić o sukcesie, ale chyba podstawowe kłopoty się skończyły, mimo iż do Windows XP musiałem dokupić inny czytnik pamięci fotograficznych, dodatkowy mały tablet, dodatkowe głośniki i w ogóle kupę pozmieniać. Na razie nie umiem na żaden inny temat myśleć. Jestem wyjąłowny. Pozdrawiam
Zdzisław

Czwartek, 5 grudnia 2002, godz. 08:46

Przepraszam, że wczoraj nie odpowiedziałem na olbrzymi list o filmach, ale nie miałem sił, a poza tym ciągle mam jeszcze jakieś drobne robótki przy komputerze. Co do obrazów, to obraz z koniem bez nóg na drzewach jest o wiele bardziej kontrastowy i jaśniejszy. Trudno po tylu latach zapamiętać, ale wydaje mi się, że w oczodołach jest akcent czerwony. Obraz został sprzedany w Niemczech, w galerii przy Karstadt. Obraz z "psami" jest bardziej szary, o ile cokolwiek pamiętam. Na górze, która zamyka promenadę, stoją trzy krzyże. Nie pamiętam gdzie i komu go sprzedałem. Może też w Karstadt.

Co do filmu, to przecież go nie widziałem, więc nie jestem w stanie niczego pisać. Być może też uznałbym go za genialny, mimo iż SOMBRE mi się nie podobał. W końcu zapewne jest to młody reżyser, więc szybko się rozwija. Nie tyle jednak bronisz filmu ile atakujesz mnie, że nie podzielał Twoich fascynacji określonym dziełem, a więc zapewne jestem ignorantem artystycznym i pedałem. Mógłbym mieć podobne pretensje do Ciebie, że nie podzielałaś wielu moich fascynacji literackich i muzycznych, o czym zresztą sam piszesz. Tak więc trudno mi się w ogóle ustosunkować do Twego listu, bo żeby posłużyć się Twoim przykładem: ja nie głosuję ani na lewicę, ani na prawicę. Nie głosuję w ogóle, a raczej w duchu przyznając raz jednym raz drugim, albo nawet czasami także ko-

ściolowi lub ekstremistom.

Zwróć uwagę na jedno: swoim fascynacjom artystycznym przypisujesz wartość normatywną! Trudno o większy solipsyzm, a przecież mienisz się entuzjastą Descartesa. Nie wiedziałem, że stałem się czerwony po obejrzeniu albumu z Muzeum w Bilbao. Rzecz mnie w końcu nie tak wiele obeszła. Nie podobało mi się, a raczej razilo mnie i usiłowałem wyjaśnić racjonalnie dlaczego, a mianowicie przez zderzenie płynnej formy z niedostatkami współczesnej techniki, które w każdym spojeniu wylażą jak słoma z butów. Ta sama forma wykreowana techniką budowlaną, która zapewne pojawi się za jakieś 50-100 lat, nie raziłaby tą niekoherencją, tyle, że wtedy będą już dominować inne formy. W historii architektury zawsze istniał i musiał istnieć ścisły związek między możliwościami, ekonomią, funkcją i formą, co zresztą zniechęciło mnie do tego zawodu. Gaudi usiłował to obejść, ale także często powijała mu się noga. Projekty Leonarda zostały tylko na papierze. To, co zaprojektował Gehry nie tyle wyprzedza epokę formą, bo jest jednak plastycznie konwencjonalne, ile nie bierze pod uwagę możliwości techniki. No ale Tobie się podobało, a ja bynajmniej nie jestem fundamentalistą - wyjaśniałem tylko mój własny brak upodobania. Pozdrawiam

Zdzisław

Czwartek, 5 grudnia 2002, godz. 11:01

Oboje z Anią jesteśmy podekscytowani perspektywą nabycia Twoich dwóch obrazów, które Ci wczoraj pokazałem poprzez e-mail. Tym bardziej po tym, jak określiłeś ich barwy. Bo tym samym obrazy wydają mi się ciekawsze niż to, co można zobaczyć na ekranie.

Za tydzień handlarz przysłał mi dobre zdjęcia, tak, iż będę dokładnie wiedział, co na mnie czeka.

Wczoraj, oglądając polską telewizję, posłuchałem trochę Abakanowicz w jakimś wywiadzie, w związku z nadaniem jej honoris causa Akademii Poznańskiej.

Przyznaję, że tak jak i Szajna, z którym dużo rozmawiałem, ich zapatrzenie się w siebie i potwornie na serio stosunek do własnej sztuki (choć

przyznając, że są to oboje wielcy artyści, których wysoko cenię) są jak zgrzyt żelaza po szkle i to do tego stopnia, że musiałem wyjść z pokoju i przeczekać aż skończy się wywiad i reportaż wróci do prezentacji prac. Toteż już wolę Twój brak asertywności.

Wiesz dobrze, że jeśli zapytałem, czy aby nie jesteś pedzio, jeśli zakrzyknąłem, że nie masz gustu i jeśli stwierdziłem, że się zaczerwiłeś oglądając album o Bilbao, to były to tylko figury retoryczne. Wynikało to jasno z kontekstu i miało być szczyptą złośliwego dowcipu. Dziwię się, że się na tym nie poznałeś.

Praca nad wirtualną galerią trwa. Wysłałem Soltyskowi ektachromy trzydziestu Twoich obrazów spośród tych, które najbardziej lubię, by je zaprezentować w pierwszym rzędzie. Ponieważ nie mam zamiaru ich sprzedawać, wystawiam je za "zaporowe" ceny. Tym samym Ci, którzy zetkną się z moją galerią, w te pędy polecą do Ciebie, żeby kupić o wiele taniej. Jednym słowem nagonię Ci ryb do sieci.

Piotr

Czwartek, 5 grudnia 2002, godz. 13:16

Jeśli oglądasz polską telewizję, to w programie I, w poniedziałek 9 bm., zapowiedziana jest rozmowa ze mną w tym klubie, o czym już pisałem. godzina 23:25, "Ze Zdzisławem Beksińskim o pejzażu wewnętrznym". Nie ja wyglówkowałem ten tytuł. Jeśli nie masz programu I, to w POLO-NII pójdzie to chyba też, w jakimś późniejszym terminie. Co do obrazów, to czarno białe zdjęcia obu obrazów na pewno masz na odbitkach wykonanych przez Glinickiego z mojego filmu. Ja je chyba też mam, bo niedawno je gdzieś widziałem - tyle, że może to był materiał od Ciebie przygotowywany do dysku Stapowicza. Co do ryb w sieci, to ja tak wiele znowu nie maluję, bym dawał radę łowić siecią, zresztą po co. A propos ryb, to o terminie emisji programu, o którym wyżej, dowiedziałem się od jakiejś panienki, która prezentuje zespół LESZCZE i która dzwoniła, że w ramach programu "Wrzuć jedynek", o godzinie 18:40, członkowie zespołu LESZCZE mają pokręcić fotografią mojego obrazu, na którym rzekomo namalowałem Leszcze i ona zapyta czy to są Leszcze... nie to

jest Beksiński i wtedy ona zapowie program wieczorny. Spytała, czy wyrażam zgodę. Spytałem, więc co to są leszcze, bo ja nie jestem Zanussi i nie wiem wszystkiego. Wtedy dowiedziałem się, że są to ryby, a scenka ma być dowcipna. Łokki żart. Bomba. Dziwny jest ten świat i nie tylko Twego poczucia humoru czasami nie chwytam. OK. Niech kręcą leszczami namalowanymi przeze mnie. Najlepszy w tym dowód na to, iż mówię szczerą prawdę, twierdząc, że nie wiem, co maluję.

Zdzisław

Czwartek, 5 grudnia 2002, godz. 14:11

Ja też czasami nie bardzo rozumiałem Twoje dowcipy, zwłaszcza, gdy je sobie ostrzyłeś na mnie przed polską prasą, wyśmiewając się publicznie ze sposobu, w jaki zabrałem się w Paryżu do lansowania Cię na Zachodzie. W związku z wywiadem natomiast dwie prośby: Na wszelki wypadek nagraj go dla mnie na video. A ponieważ nie mam "Jedynki", zasygnalizuj mi, kiedy to pójdzie w "Polonii", bo tylko ten kanał odbieram we Francji. Czarno-białe zdjęcie konia bez nóg doskonale pamiętam, tak, iż nawet sądziłem, że go mam gdzieś w moim albumie. Teraz mi mówisz, że widnieje na zdjęciach zrobionych przez Glinickiego. Ale to, co mnie właśnie interesuje, to jakie są jego kolory, a czarno białe zdjęcia mi tego nie mówią. Dowiem się o kolorach za tydzień, gdy handlarz wyśle mi kolorowe zdjęcia. Co do obrazu psów, z daleką perspektywą trzech krzyży na wzgórzu, to go sobie nie przypominam i nie tylko w albumie, ale nawet w czarno-białych zdjęciach zrobionych przez Glinickiego, też go z pewnością nie mam.

Ale jakie by nie były ich kolory, to i tak oba obrazy kupię, bo już z tego, co ukazało się na ekranie widzę, że będą mi się podobały.

Piotr

Czwartek, 5 grudnia 2002, godz. 19:38

Problem z nagraniem może być taki, że chciałbym nagrać i dla siebie, a ja teraz nie mam już (jak było dawniej - co wymuszał na mnie Tomek) możliwości nagrywania na dwóch magnetowidach na raz lub kopiowania

z jednego na drugi. Jeden działa jako tako, a drugi prawie w ogóle nie działa, ale moja energia, skierowana w tym kierunku, jest na miarę mego zainteresowania filmem: traktuję go jako sieczkę, którą mogę zapchać wieczór, gdy czuję się zmęczony i sam. Kiedy to pójdzie w Polonii i czy pójdzie, trudno wyczuć. Tak mało interesuje mnie telewizja...

Zdzisław

Piątek, 6 grudnia 2002 godz.19:32

Jeśli nagrywasz dla siebie, to mi wystarcza. Bałem się bowiem, że jeśli nie złapię Twego wywiadu na Polonii, to go w ogóle już nie zobaczę. Jeśli jednak nagrywasz go dla swoich potrzeb to go obejrzę, gdy będziemy w Polsce w lutym.

Operacja zakupu Twoich dwóch obrazów z lat 75 i 78 jeszcze nie doszła do skutku, ale prawdopodobnie zostanie sfinalizowana w przyszłym tygodniu. Cieszę się na nią ogromnie, bo będzie to dla mnie prezent pod choinkę. Przez chwilę bałem się, że Ania zaprotestuje twierdząc, że pieniądze są nam potrzebne na zakup większego mieszkania. Ale nie tylko nie zaprotestowała, a wręcz ucieszyła się jak ja, zgadzając się ze mną, że obrazy są znakomite, z Twojego, przez nas (i przez innych), ulubionego okresu jeszcze nieodgrzewanych wtedy "kotletów".

Jak Ci to już pisałem, te ostatnie wystawiam na pierwszej wystawie w mojej wirtualnej galerii, która będzie chyba funkcjonowała od stycznia. Jej pierwszą próbkę widziałeś już. Jesteśmy w trakcie tłumaczenia tekstów na niemiecki, angielski i francuski, bo był to warunek, jaki postawiłem Sołtyskowi.

Wprawdzie nie zrobiłem z Ciebie Picassa na Zachodzie, ale nadal nie poddaję się. I mimo iż zarzekałem się przed Tobą, że już palcem nie kinę ku Twojej chwale, nadal jednak będę się tu szarpał.

Dodaje mi otuchy świadomość, że moje zabiegi nie spełzły jednak zupełnie na niczym. Nie zapomnij, bowiem, Ty, który twierdzisz, że przez to, że ja Ciebie lansowałem na Zachodzie, Ty przestawałeś powoli istnieć w Polsce, że było wręcz odwrotnie. Czego najlepszym dowodem są Twoje

niezliczone wywiady i artykuły o Tobie w tym okresie w polskich mediach, które aż dyszały z podekscytowania obserwując to, co się dzieje z Tobą na Zachodzie. A że i na Zachodzie poszło mi nie najgorzej dowodzi fakt, że 90 procent niezliczonych, wielojęzycznych stron internetowych, które są dziś Tobie poświęcone są pośrednio moim dziełem, ponieważ są one przedrukami z moich albumów. Dzięki tym albumom zaistniałeś poza Polską i, jak nadal twierdzą, również w Polsce. Przynajmniej dla szerokich rzesz. Bo o ile środowisko знаło Cię od dawna, lubiąc lub nie lubiąc, o tyle masy nigdy nie słyszały dawniej nawet Twojego nazwiska. Podczas gdy dziś KAŻDY w Polsce, nawet chłop ze Swardzewa wie, kim jesteś.

Oczywiście zgadzam się, że pieniądze wielkie z tego nie wynikły i że Twoje obrazy nie osiągnęły ani na Zachodzie, ani w Polsce zawrotnych poziomów. Jednak jest temu winna bardziej zła koniunktura ogólna, niż to, że ja pojawiłem się w Twojej karierze i że przez pewien czas, z mojego powodu, nie było Twoich obrazów na polskim rynku.

Tak rozumiem nie tylko ja. Tak rozumie KAŻDY, z kim rozmawiam w Polsce o Tobie.

Ponoć Szajna dostał dzisiaj honoris causa od jakiegoś niemieckiego uniwersytetu. Czy nie czas na Ciebie?

Piotr

Piątek, 6 grudnia 2002, godz. 22:40

Czy zdajesz sobie sprawę (a piszę teraz całkiem serio), że tak jak lękam się cholernie śmierci, tak wolalbym już umrzeć, niż dostać jakiś honoris causa nawet od uniwersytetu w Sanoku, nie wspominając o większych. Zresztą zdajesz sobie chyba dostatecznie sprawę z tego, jak koszmarnie stresujące byłoby to dla mnie i sądzę, że to zdanie to Twój złośliwy żart. Ale mnie nawet takie żarty stresują. Jedni lubią honory bardziej, inni mniej, a są tacy (jak ja), którzy boją się ich bardziej niż pajaków wielkości psa. Gdy mijaly moje 70 urodziny i obawiałem się, że urzędnikom wpadnie do głowy, by mnie uhonorować, wykorzystałem wszelkie dostępne mi kanały, by ukręcić sprawie łeb, zanim jeszcze powstała. Nie mam pojęcia,

co w moim wypadku stymuluje publikatory i więcej jak pewne jest, że udział w tym mają zarówno Twoje albumy jak i audycje muzyczne Tomka, który bardzo często powoływał się na mnie, a był w swoim środowisku bardzo popularny, osobiste tragedie, które mnie spotkały, to, że się nie udzielam publicznie, ale przede wszystkim wzrost ilości tytułów w Polsce, które to tytuły nie mają o czym pisać, a niejednokrotnie są po prostu pralnią pieniędzy. Tym niemniej udzielenie wywiadu na 3 strony ilustrowanego magazynu, mniej znaczy obecnie niż jednoszpaltowa wzmianka w Ekspresie Wieczornym lub Trybunie Ludu w czasach komuny. Dziś ginie to wszystko w oceanie informacji i podaży tytułów. Jeśli jest otwarcie wystawy, to są na nim co najmniej 3 stacje telewizyjne i tyleż radiowych oraz sfera fotografów, ale nic z tego nie wynika. Ja sam nawet nie wiem, kiedy i gdzie to poszło. Czasami widzę lub słyszę coś przypadkiem i tyle. Tego, co pisałem, iż układ z Tobą w warunkach polskich raczej mi zaszkodził, nie wysłałem z palca i nawet znalazłem w moim dzienniku z 1 września 1995 stosowny fragment, a było takich sytuacji więcej. Stałem wobec sytuacji kompletnej niemożności sprzedawania czegokolwiek. Potem powoli to odkręcałem.

Okolo 21:30 zadzwonił Nowotny, że nie dogadał się z Jurkiem, który za rysunek zażądał 80.000.000.- zł. "Trochę za bogato", jakby to ujął pan Julcio. Być może Nowotny podejrzewa, że ja wiedziałem o cenie, a ja właściwie nic nie wiedziałem, a bałem się raczej, że Jurek powie zbyt mało. Zresztą kompletnie jestem zdezorientowany, co do tego, ile można w tej chwili realnie dostać nie tylko za rysunek, ale i za obraz. Nowotny z oporami i krygowaniem się powiedział, że zasięgał informacji w galeriach i że zerwanie kontraktu z Dmochowskim spowodowało, że moich obrazów nikt nie chce kupić, natomiast sporo osób chce je sprzedać. Rynek jest przesycony. No i że w związku z tym on mi życzliwie radzi, że powinienem ograniczyć ich ilość na rynku. Odpowiedziałem, że w ogóle niczego nie wprowadzam na rynek, z wyjątkiem tego, co jest u Wahl, a jeśli idzie o te obrazy, to też nie ja je chciałem do jej galerii wstawić, lecz ona, a mnie ze względów na układy towarzyskie nie wypadało się wykręcać. Powiedziałem też, że Dmochowski groził mi, iż zaleje rynek polski moimi obrazami, więc być może są to pierwsze fale owego "zalewania" i jestem na taką sytuację psychicznie i poniekąd

finansowo przygotowany, bo liczyłem się z nią, zrywając umowę. Zosia twierdzi, że Nowotny, to mogą być "Oczy i Uszy" Dmochowskiego i że jestem podpuszczany. Nie jest to wykluczone, ale mało prawdopodobne.

Potem już z tym konkretnie panem nie miałem do czynienia, a dziś nie pamiętałbym nawet całej scenki, ale przewinałem kawalek dziennika z okresu po zerwaniu umowy, pamiętając, z jakimi reakcjami się stykałem i że zapewne coś zanotowałem i znalazłem ten fragment. Oczywiście niczego on nie dowodzi, ale jakoś określa atmosferę, jaka wtedy mnie otaczała. Co do mas, to byłem tam właśnie znany jeszcze zanim się poznaliśmy. Moim przywilejem, lub jak kto woli nieszczęściem, była zawsze duża popularność wśród ludu bożego, połączona z niechęcią krytyki i nieustannymi pytaniami w wywiadach na ten sam temat: gdzie się urodziłem, co studiowałem i tak dalej. Tak jakby mnie wczoraj ktoś odkrył i demonstrował swe odkrycie. W trakcie mojej pierwszej operacji u Noszczyka, jeszcze w 1982 roku, jego nieudawane zdumienie wywołał fakt, że znają mnie wszystkie pielęgniarki, a nawet personel kuchni, co było raczej ewenementem. Zostałem wcześniej kupiony przez Lud. Trafiłem pod strzechy jeszcze zanim zaistniał internet. Nie mam złudzeń, że trafiłem nie za to, co u siebie cenilem, lecz za pewną ilustracyjną epidermę moich obrazów, która do dnia dzisiejszego powoduje, że kojarzony bywam z Tolkienem, którego nie znoszę. Powiedziałbym nawet, że dziś jest z tą popularnością u ludu nieco gorzej, bo w opinii ludu dawniej malowałem lepiej, no a poza tym nie było wtedy Big Brothera. Co do internetu, to jeszcze poznasz jego działanie na sobie. To dziesiątki i chyba setki milionów informacji. Większość bez znaczenia, jak gwar na targowisku. Zaistnienie tam, powoduje samorozmnażanie się tego śmiecia, ale to nic nie znaczy.

Zdzisław

Sobota, 7 grudnia 2002, godz. 12:07

Bezwzględnie się z Tobą zgadzam, że byłeś znany jak to mówisz "pod strzechami" w Sanoku, a nawet w Rzeszowie. Poza tym nikt nawet nie

znał Twojego nazwiska. Tak było, gdy się z Tobą związałem. Wiem o tym dobrze, bo chciwie wypytywałem wówczas dziesiątki, jeśli nie setki ludzi, czy znają Twoje obrazy, czy coś o Tobie słyszeli. Chciałem, bowiem wiedzieć, czy jesteś sławny i czy w takim razie ta sława ma szansę rozejść się na Zachodzie. Pies z kulawą nogą nie miał o Tobie zielonego pojęcia, prócz ludzi ze środowiska.

Natomiast po famie, jaka poszła w kraju, że masz swojego marszanda w Paryżu, który Cię wystawia za horrendalne ceny, że zrobił film, który uczestniczył w festiwalu w Cannes, że wydał poważne albumy, zrobił szereg wystaw w wielu krajach, wystawia Cię permanentnie w swojej galerii w Paryżu etc. stałeś się w Polsce postacią tak popularną, że gdy czasem będąc w Warszawie, dla zabawy pytam pierwszego lepszego taksówkarza czy wie, kim jesteś, to wie.

Siedzisz w dziupli, samotnie, i po prostu nie znasz świata, z którym nie masz łączności. Już dawno temu pisałem o Tobie, że wszelkie informacje o ludziach i sprawach czerpiesz z jakiejś przypadkowej, jednej rozmowy z kimś, kto Cię odwiedził raz na trzy miesiące. Na tej podstawie wyciągasz nieznoszące sprzeciwu, ogólne sądy, w które potem tak głęboko wierzysz, że sam siebie cytujesz, jakbyś powoływał się na cudzy, a wielki autorytet. Gdy jako małe dzieci pletliśmy w domu wierutne bzdury, nasz Ojciec głaskał nas łagodnie po głowie, pobjął się uśmiechał i powiedział "Plec pleciugo, byle długo, byle długo."

A propos, okazuje się, że handlarz, o którym wczoraj pisałem, a który ma mi sprzedać dwa Twoje obrazy, jeszcze ich nie ma w posiadaniu, a tylko myśli je dopiero zakupić. Tak więc, mój prezent pod choinkę, na który już sobie ostrzyłem zęby, może się okazać fata morgana.

Piotr

Sobota, 7 grudnia 2002, godz. 14:42

Zapomniałem dodać, że w sumie Twoja niechęć do tytułów i nagród raczej ludzi nastraja do Ciebie pozytywnie. Pogoń za sławą takiego Szajny czy Abakanowicz, ich nieodparta potrzeba przechwalania się, że tu dostali tytuł, a tam wyróżnienie, jest uwłaczająca.

W ostatnim wywiadzie, o którym przedwczoraj wspominałem Ci, przy okazji nadawania jej honoris causa, Abakanowicz przemawiała jak wielce uczony krytyk o swojej własnej sztuce. W pewnym momencie, ni z gruszki ni z pietruszki podkreśliła, że dostała pierwszą nagrodę w Sao Paulo. Nie wiedziała potem jak znaleźć przejście i powrócić do głębokiej analizy własnych wspaniałych dzieł, tak, iż ta przechwałka zawisa przez kilka sekund w powietrzu, w mozolnym milczeniu i wywołała we mnie takie zażenowanie, że wyszedłem z pokoju, żeby na to nie patrzeć.

Piotr

Poniedziałek, 9 grudnia 2002, godz. 17:02

Przeczytaj wersję polską niniejszego tekstu i zwróć mi uwagę, jeśli coś pomyliłem:

"Zdzisław. BEKSIŃSKI urodził się 29 lutego 1929 roku w Sanoku. Architekt z wykształcenia, w młodości fotograf, potem rzeźbiarz i rysownik, w końcu malarz a obecnie «grawer», (jeśli tak to można nazwać) przy pomocy komputera.

W okolicach 1960 roku zrywa z awangardą.

Od tego czasu maluje na płycie pilśniowej obrazy figuratywne, o tendencji fantastycznej, o atmosferze ekspresywnej, tragicznej i przytłaczającej. Od około 1990 roku wraca do sztuki bliższej abstrakcji, często monochromatycznej, w której elementy figuratywne nierzadko prawie zanikają. To, co obecnie maluje nie można właściwie zaklasyfikować do żadnej znanej kategorii. Jednocześnie poświęca dużo czasu na fotomontaże i rysunki, które poddaje skomplikowanym przeróbkom na komputerze.

Od 1983 do 1994 roku współpracuje z kolekcjonerem Piotrem Dmochowskim, który przez szereg lat wystawia jego prace w swojej galerii na ulicy Quincampoix w Paryżu.

Malarz kontrowersyjny, którego krytyka ceni za dawne prace awangardowe (fotografie, rysunki i rzeźby) a publiczność za malarstwo fantastyczne, jak również za aktualne fotomontaże i rysunki sporządzane z pomocą komputera.

Obecnie żyje i pracuje w Warszawie.

Największą kolekcję jego rysunków i obrazów posiada Piotr Dmochowski. Druga, co do wielkości kolekcja znajduje się w muzeum miasta rodzinnego artysty, Sanoku. Jego prace awangardowe znajdują się głównie w Muzeum Narodowym we Wrocławiu."

Piotr

Poniedziałek, 9 grudnia 2002, godz. 18:19

Trudno mi ocenić jak to brzmi w języku francuskim. Po polsku określenie "grawer przy pomocy komputera" brzmi nader sztucznie. Używa się określenia "grafik komputerowy". To określenie jest też nie na miejscu w stosunku do faceta, dla którego komputer stanowi jedno z wielu narzędzi pracy - na dodatek w znacznym stopniu pomocnicze i niezmiennające samej istoty pracy. Pod mianem grafika komputerowego zwykło się widzieć człowieka zajmującego się tzw. modelowaniem komputerowym, czyli grafiką 3D. No, ale od biedy można się tym określeniem posłużyć i w moim wypadku. Ja bym w ogóle odróżnił tylko trzy kategorie. Architekt z wykształcenia, fotograf i plastyk. Zamiast "prawie abstrakcyjna" napisałbym o formie bardziej surowej i ascetycznej. To typowy belkot, który zostanie zrozumiany w naszej enklawie, podczas gdy określenie prawie abstrakcyjna, może wywołać nieporozumienia. Do "fotografie, rysunki, rzeźby" dodałbym też reliefy. Reszta OK.

Nadal walczę z komputerem. 19" monitor SAMSUNG, który według internetowych danych technicznych wydawał się rewelacją - w praktyce okazał się zmorą, z którą walczę, ale firma już obiecała mi wymienić go na inny model. Zapewne na NEC MultiSync FP 955, a jeśli nie NEC to PHILIPS, bo iiYama akurat nie ma na magazynie i trzeba było by czekać. Niestety SONY wycofuje się z monitorów, a posiadany przeze mnie główny mój 21" monitor SONY jest rewelacyjny. Na PHILIPSIE wypada w Polsce wieszać psy, ale miałem dwa PHILIPSY: 21" i 17" i złego słowa o nich nie powiem. Nie mają wprawdzie wyśrubowanych danych, ale są niezawodne.

Nawiasem: nie pojmuję skąd się brały zachwyty nad "Władcą Pierścieni". Jest to jedyny materiał na DVD, jaki posiadam, a ponieważ między innymi tym od ponad tygodnia ustawiam i testuję monitor, to muszę stale

na to patrzeć. Boże mój, co za przenudne gówno! Ohydna scenografia, jak z oleodruku. Tymczasem tak właśnie bywam postrzegany! Panienska, która mi to - zapakowane i przewiązane wstążką wręczyła, jako prezent od EMPiK, powiedziała "na pewno się to panu spodoba". Poprzednio, co najmniej trzy, jeśli nie cztery razy, dostawałem komplet Tolkiena od rozmaitych moich entuzjastów. Nigdy nie umiałem przebrnąć przez połowę pierwszej części, a filmu nie dałem rady obejrzeć w całości nawet na podglądzie z szybkością x 38.

Zdzisław

Sobota, 7 grudnia 2002, godz. 14:19

Właściwie nie bardzo jest się o co spierać, ale trochę mnie wkurza, gdy tak łatwo dopasowujesz sobie to, co powiedziałem lub napisałem, do własnej wizji. Przypomina się anegdota o jednym z wyznawców Mitu Wielkiej Piramidy, którego przyłapano z młotkiem w rękę, gdy usiłował dopasować piramidę do swojej teorii "W Sanoku lub w Rzeszowie". To, co Ci napisałem najwyraźniej dotyczyło Warszawy. Już w Sanoku odwiedzały mnie wycieczki z całej Polski, bo robiłem trochę za jakiegoś guru. Przypominam, że w poprzednim mailu odpowiedziałem tylko na Twoje twierdzenie, że masy nigdy dawniej nie słyszały mego nazwiska, a na skutek Twojej działalności, nawet chłop ze Swaradzewa wie, kim jestem. "Fama o marszandzie". Właśnie ta fama była ś c i ś l e środowiskowa i, oprócz wąskiego kręgu inteligencji, głównie warszawskiej, oraz galerii i instytucji charytatywnych, którym musiałem nieustannie odmawiać, tłumacząc się kontraktem, fama owa szerzej nie dotarła, bo nie była w Polsce nagłaśniania.

"Ogólne zasady, którym głęboko wierzysz". Napisałem coś dokładnie przeciwnego. Mogłoby wyglądać, że spieram się o moją - pozał się Boże - sławę, a ja spieram się o Twoje przykrwanie lub odwracanie cudzych tez do własnego wyводу. Faktem było to, że przez kilka lat po zerwaniu umowy miałem bardzo trudny rozruch w Polsce. Po prostu wyszedłem z obiegu. Przecież wiem czy do mnie dzwonią kolekcjonerzy po obrazy i czy galerie chcą i mogą je sprzedawać, a moja dziupla nie ma z tym nic

wspólnego. Były to dla mnie lata bardzo trudne.

Zatem "Pleć pleciugo byle długo". Znam ten tekst, bo używała go także moja babcia, ale proponuję, by na tym zakończyć. Wracam do pracy.

Zdzisław

Sobota, 7 grudnia 2002, godz. 17:32

Moja niechęć do tytułów i blichtru nie wynika z nadmiaru skromności, ale raczej z prowincjonalnej nieśmiałości oraz z poczucia żenującego komizmu sytuacji oficjalnych. Jak już człowiekowi wtłoczą na głowę biret i ustawią na trybunie, to musi wydusić z siebie kretyńskie przemówienie, które przygotowywał z pomocą znajomych przez tydzień. Cóż innego można uczynić niż to, czego oczekują organizatorzy. Nawet stojąc pod ścianą wznosi się okrzyki. Przewaga formy nad treścią. Nieśmiałość, która człowiekowi nie pozwalała na uczestniczenie w imprezie, teraz nie pozwoli na urażenie szanownego grona jakąś niestosownością. To w sumie wszystko jest okropne i najlepiej przez to nie przechodzić. Chociaż niektórzy to uwielbiają. Duda Gracz, którego poznałem, jest facetem dowcipnym i inteligentnym, ale chyba rozchorowałby się, gdyby Kwaśniewski nie był na jego warszawskim wernisazu. Nie określa to więc człowieka, a tylko jego rozmaite kompleksy.

Przed chwilą znowu pojawiły się problemy druku z nowego komputera (na szarych plikach graficznych, czyli poddrukach do grafiki, program do wydruku kreuje kilka ostrych pionowych pasów, które widać już na komputerze przed wydrukiem. Na szczęście zainstalowanie innego programu usunęło - miejmy nadzieję, że ostatecznie - ten problem).

Zdzisław

Poniedziałek, 9 grudnia 2002, godz. 18:47

Poprawilem zgodnie ze wskazówkami. Sprawdź jeszcze raz, czy wszystko OK.

Tak jak Ty odebrałeś "Władcę pierścieni", ja odbieram 99 procent kina

amerykańskiego.

Zdzisław. BEKSINSKI urodził się 29 lutego 1929 roku w Sanoku.

Architekt z wykształcenia, fotograf i plastyk. W okolicach 1960 roku zrywa z awangardą.

Od tego czasu maluje na płycie pilśniowej obrazy figuratywne, o tendencji fantastycznej, o atmosferze ekspresywnej, tragicznej i przytłaczającej. Od około 1990 roku wraca do sztuki o formie bardziej surowej i ascetycznej, często monochromatycznej, w której elementy figuratywne nierzadko prawie zanikają...

Zdzisław

Poniedziałek, 9 grudnia 2002, godz. 19:29

Myślę, że teraz jest OK.

Zdzisław

Piątek, 13 grudnia 2002, godz. 18:54

Jak małe dziecko w oczekiwaniu na swój prezent, czekam na Twoje dwa obrazy, które mają być kupione na jutrzejszej aukcji w Niemczech i w poniedziałek, przywiezione do Paryża. Oczywiście o ile cena, jaką zapłaci handlarz, nie będzie wygórowana. Bo w takim wypadku, żeby zarobić, z kolei on zaproponuje mi cenę, której nie będę mógł przyjąć. Już mnie zresztą straszy, że sprzedawca zrobił dużą rezerwę i że cena, jaką sam mi proponował na wstępie może ulec zmianie.

Tak, iż przebieram palcami w bucie i niecierpliwię się.

Co u Ciebie? Czy nowy komputer działa?

U nas wszystko OK. Ania była przez szereg dni mocno chora i powoli wraca do siebie.

Czeka nas za chwilę jakaś większa kolacja, a to mnie jak zwykle napawa lękiem i niechęcią. Czym jestem starszy, tym mniej chce mi się udzielać towarzystwo. Dawniej jeszcze z takimi spotkaniami (przynajmniej bez obecności Ani) łączyły się nadzieje na jakiś podryw. Dziś już mnie to nie obchodzi, a gadanie z ludźmi mnie męczy.

Piotr

Sobota, 14 grudnia 2002, godz. 12:38

Nie cierpię proszonych kolacji jeszcze bardziej niż Ty, bo nie chodzi o to, bym się nudził albo martwił, że nie mam kogo poderwać, jako iż nigdy w takich sytuacjach nie podrywałem nikogo. U mnie proszona kolacja łączy się z potworną paniką na temat tego, co podadzą do jedzenia i jakich tricków użyć, by nie obrażając gospodarzy, wymówić się od tego, co napawa mnie odrazą, a napawa mnie odrazą prawie wszystko, co ludzie zwykli jadać. Może z wyjątkiem jajek na twardo. Nie zdajesz sobie nawet sprawy z tego, jakie katusze cierpię, widząc, że prawie nic nie nadaje się do jedzenia. O Boże: gdyby tak można było zmawiać proszone kolacje w McDonald 's!

Ryby: czy istnieje coś paskudniejszego niż ryby? Chyba żaby i owoce morza. Szczytem paskudztwa w naszym rejonie świata jest kuchnia śródziemnomorska. Lub sery francuskie. Francuzi to naród, który nie ma pojęcia o produkcji sera.

Komputer już chodzi. Jutro przyjedzie rodzina z Dynowa zabrać poprzedni, który poddałem renowacji w serwisie, a potem przeinstalowałem wszystko i naregulowałem monitor. Od końca listopada nic nie malowałem i dopiero od poniedziałku wezmę się ponownie do pracy. Kawalerka posuwa się jak krew z nosa. Miejmy nadzieję, że do Wielkanocy zostanie skończona. Ty kupujesz obrazy, a ja sprzedaję. Właśnie zmuszony jestem rozstać się z ikoną (facet z dzieckiem-kurą) z pokoju, w którym zwykle rozmawiamy. Niestety w skrzyni ze złotem pokazało się dno, a klient uparł się na ten obraz. To tyle ode mnie. Pięknie pozdrawiam
Zdzisław

Sobota, 14 grudnia 2002, godz. 19:02

Jeśli już wyprzedajesz zwierzęta domowe to pamiętaj, że zawsze chętnie kupię i dołączę do mojej kolekcji trzy obrazy szare, które znajdują się

w Twojej pracowni komputerowej.

Kolacja była, tak jak się tego spodziewałem, śmiertelnie nudna a jedzenie marnie. Zazwyczaj jest ktoś taki, kto ożywia rozmowę tak, iż jakoś można milczeć udając, że się go słucha. Natomiast tu trafiliśmy na towarzystwo bez wodzireja, raczej milczące i trzeba było samemu się udzielać. A ja do tej roli zupełnie się nie nadaję.

Na dodatek skończyło się to zebranie późno, tak, iż położyliśmy się o drugiej. Co spowodowało, że obudziłem się o drugiej po południu bez sił i całą sobotę przeleżałem licząc w duchu marnujące się na leżeniu i zipaniu godziny. godziny, które mogłem poświęcić mojej naukowej dłubaninie, lub choćby oglądaniu telewizji.

W końcu nie wiem, co Polska wynegocjowała w Kopenhadze, bo patrząc w nocy na Polonię słyszałem tylko zachwyty ziomków jak to wiele żeśmy uzyskali. Słuchając natomiast po obudzeniu się CNN wcale nie miałem już tego wrażenia. Idę więc do telewizora i będę szukał. Może wreszcie ktoś konkretnie powie mi, co dostaliśmy, a czego nie.

Piotr

Niedziela, 15 grudnia 2002, godz. 12:22

Przepraszam, że nie odpowiedziałem wczoraj, ale dziś rano przyjechała tu rodzina żony z Dynowa, której przekazywałem po remoncie mój poprzedni komputer pomocniczy i wczoraj pisałem jeszcze dla nich instrukcje etc. Dopiero przed chwilą wyjechali. Wiesz: zwierzęta domowe mam podzielone na te, których nigdy nikomu i te, które po prostu wypełniają miejsce na ścianie. Wszystko, co przykręciłem do ściany listwami w trzech pokojach, to prace, z którymi jeśli się rozstanę, to tylko do Muzeum. Ta ikona z kurą była pracą lubianą przeze mnie, ale nie w sposób dozwolony, podobnie jak praca w pracowni, przedstawiająca dwie głowy, a raczej popiersie i głowę (str. 92 albumu), której właściwie nie lubiłem, ale jako jedyna miała dokładnie format typu zapchaj dziura. W związku z robotą przy kawalerce i moralnym obowiązkiem sfinansowania członkowi rodziny 60% kupna kawalerki w mieście, pozbyłem się między innymi tych głów i tej ikony. Teraz stoi przede mną bojowe zadanie pogelowania, sfo-

tografowania i oprawienia obrazu z dwiema głowami, którego reprodukcję wysłałem Ci w liście z dnia 20 listopada, bo szerokością zapełni dziurę po głowach w pracowni oraz namalowania jakiegoś obrazu do zapełnienia dziury w sypialni. Być może moje zamiary znowu zostaną obrócone w nic, bo facetowi, który jutro ma zapłacić i zabrać ikonę, podobał się też ten obraz z głowami. W ogóle to uparł się na obraz ze 104 strony albumu, ale odmówiłem, bo to właśnie jeden z obrazów przykręconych listwami. Ponieważ ma tu przyjść z kolegą, który też chciał obraz, to nie wykluczam, że teraz wybiorą te głowy lub postać z trąbką. Zobaczymy. Może nie będzie się koledze podobać, bo do wyboru mam tylko 5 obrazów. Od jutra biorę się do malowania. Ponad 2 tygodnie pożarła mi zmiana komputera.

Cześć.

Zdzisław

Poniedziałek, 16 grudnia 2002, godz. 19:47

Niech to szlag trafi, nie będzie prezentu świątecznego. Ktoś z Polski zwiadział się o aukcji w Niemczech i przeliczył przez telefon mojego handlarza. Tak, iż prawdopodobnie oba obrazy niedługo ukążą się na rynku w jakiejś polskiej galerii. Bo podejrzewam, że zrobił to Mielniczuk, Tylicz-czak, czy inny warszawski galerzysta.

Tak mi to zepsuło humor, że nie mam ochoty nawet na rozmowę z żoną. Piotr

Poniedziałek, 16 grudnia 2002, godz. 20:36

Nie miałem pojęcia, że w Polsce jest aż takie zainteresowanie moimi starymi obrazami. Chyba, że ta oferta była wyjątkowo korzystna. To fakt, że te obrazy zostały sprzedane w okresie komuny, gdy cena za mój obraz wynosiła równowartość ca 300 dolarów, bo na moją korzyść wpływał absurdalny przelicznik dewizowy. Jeśli ktoś nie zdawał sobie sprawy ze zmian, jakie tu nastąpiły po 1989 roku, to mógł złożyć Tobie i nie tylko Tobie

ofertę bardzo niską i ktoś się w Polsce zlakomił. Ja miewam klientów sporadycznie i nie zauważyłem jakiegoś specjalnego ciśnienia.

Podmalowałem już dziś pierwszy obraz od 25 listopada. Nie wiem jak pójdzie mi robota.

Klient się nie pojawił, ale swoją drogą nie mówił o poniedziałku, lecz o następnym tygodniu.

Cześć

Zdzisław

Środa, 18 grudnia 2002, godz. 08:25

Wczoraj od godziny 21 do północy siedział u mnie klient, który kupił "kurę", tak więc nie miałem nawet okazji przeczytać Twego listu.

"Nie będzie ani jednego, prócz waszych dwóch, dobrego obrazu". Piotrze, Piotrze, czyżbyś jeszcze nie pojął, że nie ma obrazów dobrych i złych, lecz tylko te, które się podobają i są akceptowane i te, które się nie podobają i budzą niechęć? O jakie piękne te kwiaty, a ten portret żony jak żywy, a jej oczy wyrażają tyle uczucia. Tylko jakiś Polak zepsuł nastrój ponurym bohomasem, nie warto się tu zatrzymywać i przechodzimy szybko do drugiej sali. W obrazie jakiegoś Henricot brak życia, którym tętni ta radosna wystawa, będąca pochwałą witalności i wiecznej młodości naszego narodu i tak dalej. No fajnie. Sam tego chciałeś Grzegorzu Dyndało.

Wszystko mnie boli: krzyże, plecy, zrogowaciała skóra na piętach, która zaczęła pękać, głowa etc. Nie wiem nawet, co jeszcze nie boli. Starość, fatalnie reaguję na zmiany pogody.

Cześć

Zdzisław

PS. "Europa wczoraj, Europa jutro..." A więc dajesz obrazom tytuły? czyżby to Twoją inwencją było nazwanie architektury wystawianej u Dziopak mianem "Petra"? Dzwoni do mnie przedwczoraj młody Zempliński, że widział mój obraz "Petra". Jaka u licha Petra, nie znam, ani nie malowałem żadnej Petry. Petra proszę pana to kamienna dolina z jaskiniami w Izraelu i taki właśnie tytuł nosi pański obraz. W końcu dowiedziałem się tyle, że informacja o tytule nie pochodziła od Dziopak, lecz od pani,

która tam w galerii siedzi. Pomyślałem, że to w niej obudziła się poetka, ale może to Ty dajesz tytuły?

Zdzisław

Środa, 18 grudnia 2002, godz. 11:12

Pomysł "Petry", (który kojarzy mi się z imieniem ładnej modelki, koleżanki mojej żony) nie jest moim pomysłem. Nie wiedziałem również, że tak nazywa się jakaś pustynia w Izraelu. Wymyśliła to chyba Dziopakowa, lub owa pani, która przyjmuje gości w jej galerii.

Gdy za dawnych lat wystawiałem Twoje obrazy to nie dawałem im tytułów, myśląc, że jest to zgodne z Twoim życzeniem. Zrobiłem to dziś po raz pierwszy, przez słabość. Bowiem organizatorzy nalegali żeby trzymać się tematu wystawy, którym była "Europa". Tak więc, wystrzeliłem pierwszym lepszym tytułem, który przyszedł mi do głowy, a który jako tako mógł się żenić z Twoim obrazem.

W życiu codziennym bardzo często daję tytuły Twoim obrazom, czego najlepszym przykładem jest właśnie "Katyń", to znaczy ten obraz, który wystawiłem pod tytułem "Europa wczoraj, Europa jutro...". Portret Twojego wujka nazywam "Żydem", a szkielec na krześle "Chichotem króla"etc. Praca nad wirtualną galerią posuwa się do przodu. Mam nadzieję, że galeria zacznie funkcjonować w styczniu.

Stale kombinuję sobie ile też mi zostało do życia i żywię nadzieję, że dojdę do osiemdziesiątki. Ale jeśli wszystko ma mnie boleć, ebie, to dziękuję. Siedemdziesiątką się zadowolę.

O ile wiem, zrogowaciałą skórę na piętach wystarczy namoczyć w mydlinach, a potem zeszkrobać specjalną tarką. Wtedy nie ma już, co pękać.

Ania żyje pod stałą obawą zamachów terrorystycznych. Prawdą jest, że nas tu karmią codzienną strawą informacji o zamachach to tu, to tam. Ja się na szczęście w ogóle tym nie przejmuję, mówiąc sobie, że szansa na bycie ofiarą takiego zamachu jest taka sama jak szansa wygrania głównej wygranej w lotka.

To, co z życia publicznego interesuje mnie obecnie we Francji, to głównie fakt, że zarówno Chirac jak i jego minister spraw wewnętrznych, Sarkozy,

nareszcie zdecydowali ostro zabrać się do walki z wypadkami drogowymi. Wprawdzie będąc specjalistą od odszkodowań za takie właśnie wypadki cieszę się niezmiernie, gdy takowy wpada mi w ręce, bo jest to zapowiedź sporych pieniędzy. Ale jednocześnie wściekłość mnie ogarnia tak, iż w myślach wymyślam sędziom, prokuratorom i władzom państwowym, za ich wisimielstwo. Jeszcze niedawno, gdy facet zabił dziecko na pasach, będąc w dupę pijanym, dostawał 3 miesiące w zawieszeniu. Dziś już jest trochę lepiej i dostaje około dwóch lat. Mam nadzieję, że jutro będzie dostawał dziesięć. Tak samo jest z odszkodowaniami dla ofiar i dla ich rodzin. Jest to nędzna sumka na odczepne w porównaniu do tego, co płacą w Stanach. Wreszcie nie ma tu żadnej kontroli na drogach i od ponad dwudziestu lat, od kiedy prowadzę samochód, byłem zaledwie raz czy dwa kontrolowany. Nic więc dziwnego, że nikt, absolutnie nikt nie przestrzega przepisów, pędzi z szybkości 180 kilometrów na godzinę i nie zwraca uwagi na znaki drogowe.

Zdecydowanie uważam, że państwo o rozmiarach Francji (58 milionów ludzi) powinno wykonywać około pięciuset egzekucji rocznie, trzymać około pięciuset tysięcy przestępców w więzieniach (jest ich obecnie tylko 55 tysięcy) i drugie tyle w obozach pracy za drutem kolczastym. Te ostatnie powinny przyjmować tak zwaną "młodzież" ("les jeunes»), której tysiące sieje postrach w robotniczych przedmieściach wielkich metropolii. Jest to hołota, która tak się rozbestwiła, że udało się jej stworzyć miejsca, w których policja nie ośmiela się pokazać, bo grozi jej to pobiciem lub zabiciem (nazywają te miejsca "les zones de non droit" i jest ich ponad piętnaście we Francji).

Jedynym leitmotywem, jaki się tutaj nieustannie słyszy w publicznych debatach nad przestępczością jest to, że winne temu jest wyłącznie społeczeństwo, że trzeba zapobiegać, że trzeba wychowywać, że trzeba dawać więcej pieniędzy i przydzielać więcej personelu dla celów prewencyjnych. O represji w ogóle się nie mówi. Jest to w złym tonie i jeśli się o tym wspomni to jest się natychmiast obwrzeszczanym przez wszystkich pozostałych rozmówców, jako faszysta.

Piotr

Środa, 18 grudnia 2002, godz. 12:13

No cóż. Wypada się zgodzić z tezą, że więzienie lub obóz pracy nie mają na celu wychowywać, lecz karać. Jestem przeciwnikiem kary śmierci i moim zdaniem całkowicie wystarczyłyby za skrajne i udowodnione przestępstwa kary dożywotniego więzienia bez możliwości warunkowego zwolnienia po kilku latach. Gotów jestem do poniesienia obywatelskich kosztów, jakie to w sensie finansowym pociągnie. Zabijanie w mocy prawa napawa mnie odrazą, aczkolwiek nie miałbym oporu, by zakatrupić kogoś osobiście, o ile pojawiłyby się sytuacje równie jednoznaczne jak w znanym i dumnym filmie z Bronsonem przed laty (taki architekt, który osobiście wymierzał mętom sprawiedliwość - niestety tym głupiej, im dłużej ciągnięto kolejne edycje filmu, jako 1, 2 i 3). Skądinąd political correctness uważam za całkowity kretynizm, więc nie trzeba mnie przekonywać.

Zdzisław

Środa, 18 grudnia 2002, godz. 12:57

I ja zgodziłbym się na zastąpienie kary śmierci na dożywocie bez możliwości przedterminowego zwolnienia. Zgodziłbym się nawet na zwolnienia przestępców-starców, którzy choćby z racji wieku, nie mogliby już ani zabijać, ani gwałcić, bo byliby na to za słabi fizycznie.

Co do filmów z Bronsonem, to o tyle nie były głupie, że i ja patrząc na jeden z nich (ten, w którym komisarz policji ratuje w ostatniej chwili swoją własną córkę od zbrojeńca, który zamordował już kilka jej koleżanek, a samego zbrojeńca zabija) wstałem z fotela jak pchnięty w górę sprężyną i powiedziałem na głos do siebie samego "Teraz już jestem za". "Za" znaczy się za karą śmierci. Bo do tego czasu miałem zdanie niesprecyzowane i raz dawałem się unieść hasłom humanitarnym, a drugi przemagało we mnie oburzenie na przekraczające wszelkie wyobrażenie przestępstwa i pragnąłem śmierci sprawców.

Była to cezura tak wyraźna w moim życiu, że mogę nawet określić jej datę. A od tej daty jestem już "za".

Tak więc, i głupi amerykański film, może odegrać znaczącą rolę w rozwoju świadomości kogoś, kto na ogół nie ulega, a nawet przesadnie broni się przed praniem mózgu i przed codzienną propagandą szerzoną przez media.

Dodam wreszcie, że liczba 500 tysięcy więźniów i tyleż zamkniętych w obozach pracy, nie jest ani przesadna, ani wzięta z powietrza. W końcu w Stanach Zjednoczonych, o których właśnie mówimy jest grubo ponad milion ludzi za kratkami. Oczywiście nie wykorzeniło to przestępczości, ale ileż milionów ludzi dzięki temu nie zostało ograbionych, zgwałconych, czy oszukanych...

Ciesz się mnie to, że widzisz to wszystko w kategoriach równie realistycznych jak ja, bez tego, nie do zniesienia, nalotu politycznej "poprawności".
Piotr

Sobota, 21 grudnia 2002, godz. 11:07

Korespondencja z Tobą przypomina mi owe meczące egzaminy, podczas których niezliczoną ilością pytań trzeba zmusić studenta do tego, żeby wystękał, od czasu do czasu, jakiś fragment odpowiedzi. Po czym wszystko należy rozpocząć od nowa i znów stoma pytaniami wyrwać jedną, niedokończoną, wydukaną odpowiedź.

Czyż byś był chory?

Piotr

Sobota, 21 grudnia 2002, godz. 13:26

To fakt, że ostatnio niezbyt fajnie się czuję, co zawsze w moim wypadku wywołuje zwiększenie trudności z pisaniem listów, bo zamiast zrobić 300 błędów, robię ich 600, a poprawiając robię kolejne błędy i tak dalej.

Złe samopoczucie to dwa bóle w plecach. Między łopatkami, który narasta przy siedzeniu, ale trwa i w nocy oraz w krzyżach, który od około tygodnia już jest silny i niepokojący w tym sensie, że sygnalizuje, iż każdy nieostrożny ruch, sięgnięcie po kawę lub odwrócenie głowy, grozi

natychmiastowym postrzałem. To musi samo minąć i zazwyczaj mija, ale w okresie, w którym dominuje, niczego prawie nie daje się zrobić. Przy pisaniu denerwuje to w sposób skrajny, a przy malowaniu jest po prostu utrudniające i ryzykowne. Właściwie powinienem poprzestać na grafice, ale nie malowałem przez ponad trzy tygodnie zmagają z komputerem i chciałbym już do tego powrócić. Na dodatek rozsypała się bania z gośćmi i znajomymi i gdy zwykle aż wędnę od samotności, to ostatnio miałem na raz nawet trzy rozmaite sprawy tak jak wczoraj: pani Sawczuk, współniczka Dziopakowej, kupiła przedwczoraj obraz dla syna, ale na dziś do obioru, a nie był ani pokryty gelem, ani podpisany, ani sfotografowany. Był więc wczoraj Rosikoń, ale spóźnił się i przyszedł o godzinie 19, gdy równocześnie przyszła odwiedzić mnie znajoma i równocześnie zadzwonił kolega, że ma okazijną szansę kupna za pół ceny 21" monitora Nokia z prośbą, bym mu wyszukał w internecie wszelkie informacje na jego temat. Najpierw musiałem pomóc Rosikonowi, potem, zabawiając znajomą, szukać informacji o monitorze, potem znajoma siedziała do północy, a potem musiałem jeszcze podpisać, położony na podłodze (krzyże, plecy!!!), sfotografowany obraz, by dziś mogła go zabrać madame Sawczuk. Też chciała koniecznie jeden z obrazów z pracowni komputerowej, ale musiała zadowolić się blaszaną głową. Dziopak molestowała o architekturę lub krajobraz. Dziś zapowiedziane trzy wizyty, a ja ledwie się ruszam. Plecy naprawdę cholernie mnie bolą. Dlatego też nie odpisałem na list. Przepraszam. Pożyczyłem przed tygodniem Ochmanowi taśmę z nagraniem wywiadu, bo chciał ją komuś skopiować, a teraz on ma jakąś anginę, co u śpiewaka jest zdarzeniem dramatycznym, więc nie może jej oddać, ale przed Twoim przyjazdem chyba odda (chciałeś ją obejrzeć). Na razie tyle, bo już padam, a przede mną ca 500 błędów do poprawienia.

Zdzisław

Sobota, 21 grudnia 2002, godz. 14:19

To nieklawo. Bo starość w bólu to to, czego należy się bać najbardziej. Te Twoje dolegliwości niepokoją mnie poważnie, bo mogą się skończyć koniecznością leżenia bez ruchu. A i to nie jest rozwiązaniem, bo mówisz,

że nawet leżąc Cię boli.

Ponieważ Twoje obrazy z aukcji w Niemczech przeszły mi koło nosa, zrobiłem sobie piękny prezent świąteczny kupując doskonały obraz Henricot, któremu się przyglądam całymi godzinami.

Byliśmy na wernisazu owego salonu w Luwrze, na którym wystawiłem "Katyń" (pod tytułem "Europa wczoraj, Europa jutro...") i jeden duży obraz Henricot.

Będąc na tym wernisazu mogłem jeszcze raz stwierdzić, jak wielką przeszkodą w lansowaniu malarza jest fakt, że nie ma go fizycznie obok. I na odwrót: jak ważną i ułatwiającą wszelkie tego typu poczynania, jest fizyczna obecność artysty. Przez to, że Henricot poszedł z nami na wernisaz, (na który, tak jak Ty, nie ma nigdy ochoty) natychmiast znalazł wśród publiczności admiratorów, propozycję kupna obrazu, spotkał jakiegoś faceta z Ministerstwa Kultury, który proponuje mu poważną wystawę etc.

To samo potwierdza mi się, gdy mi piszesz, że Dziopakowa kupiła od Ciebie nowy obraz i że zamawia następny. Przecież ja jej pokazałem 40 Twoich obrazów i zaproponowałem sprzedaż na takich samych warunkach, jak Ty. Jednak fakt, że kupuje go u samego artysty, a nie u handlarza, że ma z nim dobre, przyjacielskie stosunki, że może go odwiedzić, popatrzeć, pogadać, to wszystko powoduje, że ona jak i inni zupełnie inaczej podchodzą do twórczości, a nawet do handlu dziełami sztuki. Wokół artysty tworzy się krąg miłośników i przyjaciół, których nie sposób inaczej stworzyć, działając na odbiorców samą jakością malarstwa i pośrednictwem kogoś trzeciego, nawet zapalonego, energicznego i oddanego.

Bo do dziś zastanawiam się, czemu mnie się nie udało tam, gdzie Tobie się udało? Czemu w Polsce jesteś sławą, a we Francji nie? Przecież wystaw miałeś tu dziesięć razy więcej niż w kraju. Tu wyszły o Tobie albumy, film, moja książka, tu przez szereg lat była Twoja galeria autorska etc. Bo nawet jeśli jest w Polsce, w Sanoku, Twoje muzeum, to tam prócz harcerzy na obozie wędrownym pies z kulawą nogą nie zajrzy, bo nawet dróg nie ma, żeby tam normalnie dojechać. A więc gdzie jest pies pogrzebany?

To wszystko nie jest tylko przeżuwaniami dawnych porażek, ale ma również wymiar przyszłościowy. Jeśli bowiem choroba rozłoży Cię zupełnie tak, iż przestaniesz pracować lub się przekręcisz, czy fakt, że posiadam potężną ilość Twoich prac wystarczy, bym mógł nadal bawić się w tą za-

bawę, w którą nadal, mimo porażki, chce mi się bawić (mimo zapewnień, że już palcem nie kiwnę), czego dowodem jest wystawianie Cię tutaj, sprzedawanie jednych a kupowanie drugich Twoich obrazów etc? Czy też wszystko się załamie i po prostu razem z Twoją śmiercią znikniesz z ludzkich pamięci, a ja zostanę z kupą obrazów, z którymi nie będę miał, co zrobić?

Piotr

Sobota, 21 grudnia 2002, godz. 16:23

Przepraszam, ale nie potrafię odpowiedzieć ani na Twoje wątpliwości, ani na Twój list. Marzę tylko, by przestało mnie boleć, co nie jest kwestią wieku, lecz wady kręgosłupa i pogody oraz zapewne jakiegoś nadwerężenia. Na dodatek klepiąc dyslektycznie w klawisze zalogowałem nieświadomie kogoś wirtualnego na mój komputer, z czego jedynym wyjściem było zamknięcie komputera i utrata tego, co już napisałem, bo tego nie zasejfowałem zanim stało się nieszczęście. Nie mam siły powtarzać. Przekłete nadmiernie uczynne Windows XP, Word i cały Microsoft ze swoją pieprzoną filozofią! Z trudnością się poruszam i najchętniej wlaźlbym do wanny z gorącą wodą (pomaga!), a potem do barłogu, ale ma jeszcze przyjść Sawczuk po obraz i Bogdan w sprawie monitora. Tak więc na razie. Zdzisław

Sobota, 21 grudnia 2002, godz. 18:32

Podejrzewam, że Święta spędzisz samotnie. Przy stole wigilijnym będziemy o Tobie myśleć i mówić, jeśli to w najmniejszym nawet stopniu może Cię rozpogodzić.

Jestem przekonany, że dobry kinezeterapeuta, kilkoma drobnymi ruchami uwolniłby Cię od wszelkiego bólu.

Taki ból miałem swego czasu w boku przez trzy dni i trzy noce. Nie mogłem ani leżeć, ani się ruszać i oczywiście nie było mowy o spaniu.

Dwukrotnie byłem na pogotowiu, bo myślałem, że się przekręcę z bólu.

Po trzech dniach wpadł do mnie przez przypadek kumpel, który z racji ciężarów, które razem uprawialiśmy w młodości, a potem z racji pracy, jako tancerz i siłacz w Lido, miał stale problemy z kręgosłupem. Był pod stałą opieką kinozeterapeutów, znalazł się na rzeczy i natychmiast, gdy tylko dowiedział się, co się ze mną dzieje orzekł: "To minimalne przedstawienie kręgosłupa. Siądź, o tak." Po czym stanął za mną, założył mi "nelsona" i lekko szarpnął w górę. Po dwóch minutach nieśmiało stwierdziłem, że chyba przestało boleć. Po pięciu już byłem pewien. Znow mogłem chodzić, spać, ruszać się. Przeszło jak ręką odjąć i to z chwili na chwilę. Od tego czasu ból powtórzył mi się dwa razy i dwa razy Ania, która przecież wielkiej siły nie ma, wykonała ruch, jaki wykonał wówczas ów kumpel. I w ten sposób dwa razy uratowała mnie od kosztownego cierpienia.

Nie wiem czy i Ty wymagasz manewru polegającego na poderwaniu tułowia w górę ostrym szarpnięciem. Ale to, co wiem to to, że takie rzeczy najlepiej oddać w ręce kine. Wystarczy, że zadzwonisz do pierwszego lepszego, którego znajdziesz w książce telefonicznej i każesz mu przyjść. W końcu stać Cię na to.

Jeśli Cię to męczy, nie odpowiadaj na ten e-mail. Powrócimy do dialogu, gdy wydobrzejesz.

Piotr

Niedziela, 22 grudnia 2002, godz. 08:02

Rano, po nocy, zawsze czuję się nieco lepiej z plecami i krzyżami. Potem w ciągu dnia problemy narastają. Oczywiście proponowano mi wielokrotnie kręgarza, a fotograf Rosikoń ma nawet jakiegoś rewelacyjnego, o czym przypominał mi nawet przed dwoma dniami, to samo żona Wańka, też ma zamiary na jakiegoś geniusza w tych sprawach, ale ja mam jak zawsze obawy i jak do tej pory takie bóle po jakimś czasie mijały samoistnie. Wszelkie manipulacje przy kręgosłupie, zawsze wydają mi się ryzykowne. Sto tysięcy razy pomoże, a raz coś uszkodzi i po ptakach. Jest to zapewne mój przesąd, ale na tyle silny, że jak do tej pory nigdy mi niczego nie ustawiano i to wyłącznie na skutek oporu z mojej strony. Tomek miał

w pewnym momencie operację kręgosłupa w specjalistycznym szpitalu i potem, przez jakiś czas, musiał nosić gorset. To chyba jakaś dolegliwość dziedziczna. Zawsze wpływa na to pogoda oraz jakiś wysiłek. Ja chyba dodałem sobie gazu wstawiając monitor komputera na wysoka półkę, co zresztą zrobiłem niepotrzebnie, gdyż obawiałem się, że rodzina z Dynowa przyjedzie po mój poprzedni sprzęt dopiero po Świętach, a monitor i komputer zajmowały mi stół w pracowni - tymczasem oni przyjechali na drugi dzień po tym, jak wysadziłem ten monitor na półkę.

Co do obecności malarza, to nie mam wątpliwości, że to pomaga, ale zapominasz, że przeciw mojej obecności przemawiały także moje ogromne trudności w opanowaniu jakiegokolwiek języka obcego i kompletna nieznajomość francuskiego. Cóż z tego, że byłbym na miejscu i głupio się uśmiechał do rozmówcy, zanim ktoś przełożyłby tekst na francuski i przeciwnie. Wreszcie w Polsce, zabawiam PT klientów swobodną rozmową i żartami, niekoniecznie związanymi z obrazami i przedmiotem handlu, opowiadam anegdoty, pokazuję różne tricki na komputerze, a nawet pstrykam zdjęcia. We Francji stałbym jak kołek od płotu. Ooo, już się zaczyna z krzyżami, a więc kończę pisanie. Miło mi, że będziecie o mnie myśleć w Święta.

Zdzisław

Niedziela, 22 grudnia 2002, godz. 21:07

Absurd!

To znaczy, że ponieważ przy tysięcznym schodzeniu ze schodów możesz sobie złamać kark, to na wszelki wypadek w ogóle nie będziesz z nich schodził? Chyba, że to cierpienie jest tylko lekką dolegliwością, a tylko Ty nadajesz mu wielki rozgłos. Takiego postępowania spodziewałbym się raczej po naszej służącej, tępej hiszpańskiej chłopce, ale nie po kimś, kto jak twierdzi ma olej w głowie.

Francuzi mówią "Pas de nouvelles, bonnes nouvelles". Co znaczy "Brak wiadomości, to dobre wiadomości". Tak więc, u nas nic nowego. Wszystko OK.

Piotr

Niedziela, 22 grudnia 2002, godz. 21:53

Ależ Piotrze. Musisz przyjąć do wiadomości tą porażającą prawdę, że nie wszystkie umysły są równie światłe jak Twój. Pozdrowienia z Ciemnogrodu.

Zdzisław

Wtorek, 24 grudnia 2002, godz. 15:42

Zazwyczaj Twoi ziomkowie z Ciemnogrodu nie tylko boją się leczyć i wolą cierpieć, ale na dodatek wkurwia ich, gdy się ich łagodną perswazją stara namówić, by przestali gadać głupstwa. Toteż o ile Ty również tak reagujesz (a ponoć wszyscy mieszkańcy tego ponurego miasta są podobni do siebie jak krople wody), toteż przemilczę zarówno Twoje skargi jak i moje namowy, byś jednak położył kres Twym zabobonnym strachom przed kine i choć poradził się któregoś z nich, co samemu mógłbyś zrobić bez jego pomocy.

Piotr

Wtorek, 24 grudnia 2002, godz. 16:27

Wszystkiego najlepszego w okazji Świąt! Pokpiwasz czasami z mojego stylu, ale Twój ostatni message nie wzbudziłby stylem i przejrzystością entuzjazmu u Kartezjusza i chyba wskazuje na przedwczesne spożycie świątecznego alkoholu. W wigilię nie wypada tego robić!

Pozdrowienia

Zdzisław

PS. Zapewne zasłużoną satysfakcję wywoła u Ciebie wiadomość, że mi się dziś wyraźnie pogorszyło, ale też zasłużyłem na to, bo mam przez te trzy dni rzadką okazję, gdy na pewno nie pojawią się klienci i wykorzystalem ją, gelując (co jest pracą obciążającą niekorzystnie kręgosłup) obrazy

ukryte przez PT klientami i przeznaczone dla Muzeum. Takie obrazy muszą przez trzy dni schnąć rozstawione w mieszkaniu, zanim się je złoży w kupkę i stąd owe trzy dni 100% samotności, były nie do pogardzenia.

Wtorek, 24 grudnia 2002, godz. 18:53

I Tobie wszystkiego najlepszego, a w pierwszym rzędzie żeby Cię przestało boleć.

Mój ostatni mesaż był poprawnie sformułowany. Posiadał jednak wadę, którą na ogół tępię u siebie i u mych studentów: jego zdania były za długie. To powoduje czasami, że człowiek gubi się w czytaniu.

Poza tym sądzę, że jeśli Cię ostro boli to i skupić Ci się nie jest łatwo.

Satysfakcji z tego, że ktoś sam sobie szkodzi nie mam, chyba, że chodzi o wroga. Tak więc, chybileś. Ale też moje wyobrażenie o Tobie, jako o człowieku rozsądnym, znacznie maleje w miarę jak dowiaduję się, że zamiast iść do kina żelujesz obrazy jeszcze bardziej nadwyrężając sobie kręgosłup. Czyżbyś miał jakieś ukryte przede mną obrazy, które teraz wysyłasz do muzeum? To by mi sprawiło przykrość. Jeśli zataiłeś przede mną ich istnienie, gdy byłem u Ciebie i mogłem je obejrzeć, to przynajmniej teraz prześlij mi ich zdjęcie.

Siadamy do kolacji, łamiemy się z Tobą oplatkiem i ściskamy Cię serdecznie.

Ania i Piotr

Wtorek, 24 grudnia 2002, godz. 20:42

Nie mam żadnych ukrytych przed Tobą obrazów. Po prostu ukrywam je przed ewentualnymi klientami "z ulicy", by nie spierać się, że czegoś nie sprzedam, tak jak to ostatnio musiałem robić z panią Sawczuk, która upierała się na "ptaka-samolot" z pracowni komputerowej. Co oczy nie widzą, to serce nie boli, jak mawiała moja żona. Jeśli klient nie widzi jakichś prac, to wybiera z tych, które ma do wyboru, a w przeciwnym wypadku boleje, że coś lepszego przechodzi mu koło nosa. Ostatnio mam nie-

ostro zapowiedzianego klienta, więc wolę być przed nim zabezpieczony. Od biedy mógłbym, w sposób racjonalny wyjaśnić dlaczego lękam się kręgarzy. Domyślam się, że to co Ty nazywasz jakoś tam "kiziorami" (czy jakoś tak), to francuska wersja słowa kręgarz. Po pierwsze Twój przykład z poprzedniego listu. Chodzenie po schodach bywa ryzykowne, podobnie jak jeżdżenie windą i gdybym tego (mieszkając na 3 piętrze) robić nie musiał, to bym tego nie robił. Kręgosłupa naprawiać nie muszę, bo zawsze po jakimś czasie ból sam przechodził. Muszę tu dodać, że w szczególny (irracjonalny?) sposób lękam się wszystkich zabiegów przy oku, mózgu i kręgosłupie. Gdy Tomek miał mieć operację kręgosłupa, to przez parę nocy w ogóle nie spałem.

Po drugie bywają kręgarze i kręgarze. Jak mam znaleźć tego, który mi nie zaszkodzi lecz pomoże? Każdy doradzający ma doświadczenie tylko z jednym lub dwoma, którzy mu akurat pomogli, lecz ten obszar usług znajduje się w rękach ludzi równie utalentowanych jak i niepewnych: nie stoi za nimi żadna gwarancja, że tym razem także im się uda. To trochę naprawianie telewizora przy pomocy walenia pięścią. Działa w tej branży ogromna ilość ludzi nieodpowiedzialnych. Nawiasem: nawet mój szwagier przez jakiś czas był kręgarzem. To było wtedy, gdy przestał przewidywać przyszłość i czytać w myślach, a nie zaczął jeszcze leczyć przy użyciu ziół tybetańskich, piramidki i wahadélka. Obecnie pracuje w spółdzielni, a ubocznie przerabia moja kawalerkę. Jeden z takich guru z USA, który z inicjatywy Ochmana leczył ziołami moją żonę, zamknął sklepik z dystrybucją cudownych wyleczeń w lecie 1998, bo wyjechał w Góry Skaliste kuć sobie grotę, jako iż miał nastąpić za pół roku koniec świata: woda z oceanów zalać miała Las Vegas, Nowy Jork, Warszawę i inne jaskinie rozpuszty, a przetrwać mieli tylko Ci sprawiedliwi, którzy na czas wykują grotę. Jakoś nie mam do końca zaufania do tego typu osobników, a kręgarze po trosze do nich należą.

Po trzecie w specjalistycznym szpitalu, w którym przeprowadzono operację kręgosłupa Tomka, widziałem na wózkach, karmione z rurki ofiary kręgarzy, którym się nie udało.

Po czwarte kręgosłup kręgosłupowi nie równy i schorzenie kręgosłupa nie jest zawsze takie samo. Lordoza, Skolioza, Spina Bifida etc. Ja nie podnosiłem w młodości ciężarów, lecz zawsze miałem wadliwą postawę,

poza tym po części jest to dziedziczne (po ojcu) i mam to od dzieciństwa, tyle że w dzieciństwie rzecz ukrywałem, mniemając, że bierze się to z brandzlowania i wysycha mi rdzeń pacierzowy, a już niedługo zacznie się trząść głowa.

Rutynowe zabiegi, jakie mi ostatnio często doradzano, i jakie nawet na mnie wykonywano (rozciąganie - mam zaprzyjaźnioną masażystkę), nie przynosiły żadnych rezultatów ani dobrych, ani złych. Na koledze zadziałał kręgarz mongolski z byłego ZSRR. Podobno są najlepsi. Kazał mu się położyć na brzuchu i gdzieś nacisnął, po czym walnął, w kręgosłupie coś cholernie chrupnęło i kolega wyzdrowiał. Wolę, by mi nie chrupnęło, bo równie dobrze mogłoby być po mnie i zostałbym rośliną. Banalnie się boję, podobnie jak boję się skakania z ekspanderem, mimo że wszyscy zapewniają, iż lina się nie urwie i nadmiernie nie rozciągnie. Nawet wicepremier Kołodko skakał. Nigdy nie twierdziłem, że jestem odważny.

Zdzisław

Wtorek, 24 grudnia 2002, godz. 22:53

Cały Twój, zresztą zgrabnie spisany wywód, sprowadza się właściwie do dwóch słów: "na razie przechodzi". No, bo myślę, że jednak gdyby nie przechodziło, to prędzej czy później zapomniałbyś o "irracjonalnych" obawach, poszedł po rozum do głowy i jeśli nie kręgarza, to przynajmniej lekarza osteopatę zapytałbyś o radę. W przeciwnym wypadku naprawdę zacząłbym się o Ciebie obawiać.

No i zjedliśmy, popiliśmy herbatą (wbrew temu, co piszesz o prawdopodobnych przyczynach mojego niezrozumiałego wczorajszego mesażu, nie piję w ogóle i to już od dobrych dwóch lat) i koniec Wigilii.

Właściwie, jak to słusznie powiedziała moja małżonka łamiąc się ze mną oplatkiem, cała filozofia sprowadza się do prostych trzech słów: byle była miłość, pieniądze i zdrowie. Lapidarniej istoty szczęścia, a tym samym najważniejszego motoru ludzkich poczynań, nie można ująć. Mogę to powiedzieć z pewnością, bo mamy wszystkie troje i wiem, o czym mówię. Toteż lepiej się nam już nigdy nie będzie działo. Na dobrą sprawę życie

mogłoby się zatrzymać w tym miejscu. Bo jeśli coś na nas czeka, to tylko gorszego.

Piotr

Środa, 25 grudnia 2002, godz. 22:30

Nie odpowiedziałeś na mój wczorajszy mesaż. Czyżby Cię tak przygłał ból, że nie możesz się zebrać? Jutro w Polsce jeszcze święto. Tu zwykły, roboczy dzień. Toteż dla mnie święta, święta i... po świętach. Znow w spraw, telefonów, poczty, klientów. Za to przez dwa ostatnie dni trochę popracowałem nad drugim tomem mej prawniczej książki i nieco mniej mnie gnębi sumienie, że nic pożytecznego nie robię, a tylko ganiam za pieniędzmi.

Wróciliśmy do czytania Priomo Levi i dobrze żeśmy zrobili, bo mój dość niechętny o nim sąd, który sformułowałem na początku lektury "Si c'etait un homme" uległ zmianie. To ciekawy i inteligentny facet. Toteż Ania kupiła mi na gwiazdkę następną jego książkę i dziś wieczorem, przed zaśnięciem, będzie mi ją czytała. Niedługo stanę się ekspertem od holokautu, obozów koncentracyjnych i getta.

Piotr

Środa, 25 grudnia 2002, godz. 23:30

Ja nie świętuję w ogóle, zatem pierwszy, czy drugi dzień to dla mnie po równo. Przed dwoma tygodniami, przez telefon do redakcji EMPiK News, wypowiedziałem się o świętach, bo jakaś poczciwa idiotka pytała mnie, czy przygarne ubogiego do wigilijnego stołu, czy coś w tym stylu. Gdy skończyłem zapytała: A czy pan chce, by to wydrukować? Na co odpowiedziałem, że po to chyba mnie pani pytała. Wydrukowali, ale od znajomych dowiedziałem się, że podobnie jak ja wypowiedział się podobno tylko Urban, który jest PO etatowego Szatana Polski Odrodzonej. Nie sądzę, bym powiedział coś drastycznego, jako iż obce to jest mojej na-

turze, ale Polak Katolik z definicji winien kochać święta, wigilię, choinkę i wspólne kołędowanie.

Masz rację. Dziś pracowałem przy sztalugach, ale jęcząc z bólu przy każdym ruchu. Teraz jest lepiej, ale postawiwszy sobie własną diagnozę, że idzie chyba tym razem o zapalenie nerwu, zacząłem brać IBUPROM, który znalazłem w domu i jest teraz lepiej. Czyli, że zgadłem. Kręgarz nic by w takiej sytuacji nie zdziałał. Powoli kończę obraz. Pracuję też przy grafice.

Okolo lutego będę mieć wystawę ca 20-25 prac graficznych u Dziopak. Na dworze upiorne zimno, poniżej -17. Na szczęście mam zapas jedzenia na kilka dni. Nikt mnie na dwór nie wygoni nawet batem. Pozdrowienia
Zdzisław

Niedziela, 29 grudnia 2002, godz. 00:13

Jak wiesz miałem o Tomku wyrobione zdanie, głównie, jeśli nie wyłącznie, za jego stosunek do Was. Nie wiedziałem jednak, że była to kultowa postać w środowisku miłośników muzyki pop. Dziś przyjmowaliśmy małżeństwo z Polski, które z uznaniem wyrażało się o jego audycjach radiowych i o sposobie, w jaki przetłumaczył Monty Pythona. Rozumiem teraz, czemu przypisujesz trochę własnej sławy wśród polskiego ludku temu, że Tomek był wśród niego znany a, jak twierdzisz, często o Tobie wspominał w swoich audycjach.

Piotr

Niedziela, 29 grudnia 2002, godz. 09:15

Tak, Tomek ma dużą grupę fanów. Ostatnio odbył się w Katowicach koncert kapel rockowych, poświęcony jego pamięci. Jest o Tomku wiele informacji w internecie, a jedna z witryn, która jest mu poświęcona <http://www.in.com.pl/~dpswad/krypta/> ma na dzień dzisiejszy 66.741 odwiedzin, co jest bardzo dużą liczbą, gdy idzie o prywatne witryny. W swojej witrynie załóż sobie licznik, to przekonasz się, jak powoli pnie się w górę

wskaźnik liczby zwiedzających.

Nawet jeśli szukasz pod "beksiński", to tam informacje o nas są mniej więcej po połowie. Pamiętam jak jeszcze wtedy, gdy Tomek żył, jakaś stacja radiowa chciała ze mną przeprowadzić na żywo rozmowę przez telefon, bo akurat miałem jakąś wystawę prac komputerowych. Siedząc ze słuchawką telefoniczną przy uchu, słyszę na tle muzyki tekst: "Wszyscy znamy Tomka Beksińskiego, ale niewiele wie, że jego ojciec też jest znaną publicznie osobą i maluje obrazy i tak dalej..."

Myślałem, że o tym wiesz. Bóle krzyża chyba powoli mijają. Widać źle Cię kiedyś zrozumiałem i sądziłem że będziecie w Warszawie w trakcie Świąt. Wesolego Nowego Roku

Zdzisław

Wtorek, 31 grudnia 2002, godz. 15:53

Moja przyjaciółka, pani Ola Frykowska, którą poprosiłem o załatwienie mi wyświetlenia mojego filmu w Polsce, powiedziała mi dzisiaj przez telefon, że spotkała dyrektora tego kanału, który z kolei powiedział jej, że Ty sprzeciwiasz się owej projekcji.

Przypominam Ci, że to, co Twoje, to Twoje, a co moje, to nie rusz. Nie chodzę po ludziach i nie mówię "Nie kupujcie tego obrazu od Beksińskiego, bo ja go nie lubię". Ty też nie wtrącaj się ani do losów mojej kolekcji, ani albumów, ani książki, ani filmu. To, że ich przedmiotem jest Twoja twórczość, w niczym nie upoważnia Cię do wtrącania się do sposobu, w jaki zarządzam moimi tworem.

Liczę więc na to, że dziś jeszcze zadzwonisz do owego dyrektora Polonii i wyraźnie, jasno i niedwuznacznie odwołasz Twoje zastrzeżenia.

Happy New Year!

Piotr

Wtorek, 31 grudnia 2002, godz. 16:12

Oczywiście wiem, że odpowiesz mi, że niczego nie zakazywałeś, a tylko

wyraziłeś swoją niechęć do filmu. Oczywiście również takim tłumaczeniem się nie zadowolę. Jest bowiem rzeczą jasną, że Twój znajomy dyrektor Polonii usłyszawszy od Ciebie, że nie cierpisz tego filmu, nie mógł tego inaczej zrozumieć, niż jako implicite wyrażoną prośbę o niewyświetlanie. Trudno mu było udać, że niczego nie zauważył i dla jakiegoś tam nieznanego mu Dmochowskiego film jednak wyświetlić. Wyrażając swój pogląd na film, postawiłeś go w sytuacji bez innego wyjścia niż odmówienie mi.

Piotr

Wtorek, 31 grudnia 2002, godz. 18:06

Jak sam zauważyłeś, nie mam żadnej władzy po temu, by cokolwiek telewizji POLONIA nakazywać lub zakazywać. Zachowuję też chyba prawo do wygłaszania własnego zdania. Nie znam nikogo w telewizji POLONIA, więc trudno bym do kogoś w tej sprawie dzwonił i odwoływał. Co zresztą miałbym odwoływać? Zdania nie zmienilem. Moim znajomym jest Grzesiek Gajewski, który przed rokiem przestał pracować w POLONII i w tej chwili pracuje gdzie indziej. Oczywiście, gdy dowiedziałem się, że mają to wyemitować, powiedziałem między innymi jemu, że gotów byłbym wysadzić w powietrze telewizję POLONIA, byle tylko to gówno nie ujrzalo więcej światła dziennego, bo moje zdanie na temat kretyństwa, tego filmu i tego, że mnie splyca do poziomu szaletu i wręcz ośmiesza, wcale się nie zmieniło, mam jego kopię w domu i czasami demonstruję zainteresowanym. Jak doszło to do pani Frykowskiej, której nie znam, tego nie wiem. Może Grzesiek wykazał się własną inicjatywą i do kogoś znajomego z telewizji w tej sprawie zadzwonił, może z kimś gadał na ten temat i chwala mu za to. Gdy teraz do niego zadzwoniłem (jak sobie tego życzyłeś) powiedział, że z Frykowską na ten temat nie rozmawiał, a ze swoim następcą nie jest chyba w najlepszych stosunkach. Piszę "chyba", bo sprawy nie znam, a nie chcę robić plotek. Nie wiem nawet jak nazywa się ten jego następcę. Tyle na ten temat umiem powiedzieć. Jeśli to nie pójdzie na antenę, to jest to najlepsza wiadomość jaka mnie w Nowym Roku spotyka. Bez urazy, ale ja Ci nie zabraniam, ani nawet nie miałbym tego

za złe, gdybyś wypowiadał się negatywnie o moich obrazach, a w końcu film nie jest Twój, lecz Dziworskiego, o którym, jak i o jego bracie, nie wyrażałeś się raczej w superlatywach. Na dodatek film ten w przemontowanej ex post przez Dziworskiego i nieco znośniejszej wersji, leciał już parokrotnie w naszej telewizji i zapewne w POLONII. Nie miał tytułu odwołującego się do mego nazwiska, lecz "Sen", więc można było od biedy uznać go za infantylne impresje, podbudowane moimi obrazami, a nie coś stworzone "W holdzie Beksińskiemu", co siłą rzeczy kojarzone byłoby wyłącznie z moją pracą. Na koniec: nie pytałeś mnie, czy nie mam nic przeciw wyświetleniu tego filmu, który ewidentnie mnie dotyczy i którego, jak doskonale wiesz, nie cierpię, to dlaczego masz za złe, że ja wypowiedziałem się przeciw? Każdy z nas ma prawo do wygłaszania własnego zdania. Wypowiadałem się o tym filmie jak najgorzej do każdego, kto ze mną na ten temat rozmawiał i to wielokrotnie od prawie 20 lat!!! W końcu: nie wypowiadałem się przeciw Tobie, tylko przeciw filmowi.

Zdzisław

Wtorek, 31 grudnia 2002, godz. 20:09

To, że uważasz iż masz interes w tym, żeby film nie był pokazywany, rozumiem. Tego, że przedkładasz swój interes ponad mój, nie akceptuję. Gdy chodziło o uszanowanie Twego interesu nie wydawania naszej korespondencji za Twego życia, mimo iż byliśmy na noże, uszanowałem.

Poza tym widzę, że jesteś z tych, którzy dają do zrozumienia zaprzyżnionym mediom, jakie krytyki powinny być o nich publikowane, a jakie "nie sprawią przyjemności". Tak bufoniasty nie był nawet Kantor. A bufoniasty był.

Piotr

Wtorek, 31 grudnia 2002, godz. 20:52

Programy telewizyjne to nie jest krytyka, lecz maniulowanie opinią. Przeciw czemuś takiemu, zawsze bronię się na miarę posiadanych środków.

Ten film też sam w sobie nie był krytyką, a tylko peanem pochwalnym, wyśpiewanym przez prymitywa, jakim był Dziworski. Czy mógłbyś mnie oświecić jaki był ten Twój interes (nad który przełożyłem mój interes) w pokazaniu tego prostackiego i nieudolnego gówna, bo to najtrudniej jest mi pojąć. Pokazywałeś to już przed wielu, wielu laty we Francji, ale wtedy przynajmniej można się było ludzić, że ma to zachęcić do obejrzenia wystawy. Efekty sam opisałeś w swych wspomnieniach. Czemu miał się przysłużyć teraz, jeśli nie upowszechnieniu w oczach bezmyślnego ogółu - tezy, że Beksiński to tani horror. Czy to miało za zadanie zwiększyć atrakcyjność Twoich zbiorów? Nie uwierzę!

Czyżbyś sam tak postrzegał to, co robisz? Może na początku tak, ale teraz głosisz coś wręcz przeciwnego! Czyżby nieszczercze? Też w to nie uwierzę. Więc o co na Boga szło?

Zdzisław

Mam inne zalety.

Ktoś (mąż jednej z dyrektorek jakiegoś tam banku światowego z USA - nie umiał po polsku, a ja po angielsku, więc wpadł w ekstazę i mi to wyrysował - był tym cholernie przejęty) radził mi racjonalnie zbudowanie sobie takiej domowej szubienicy, ze specjalnym uchwytem na szyję, który musi zrobić specjalista i czegoś w rodzaju drążka do ćwiczeń. Dość mnie to przekonało, a nawet zlokalizowałem sobie miejsce w mieszkaniu na to urządzenie, ale jak na razie tego nie zrobiłem, bo musiałby to zrobić pan Krzysztof Złota Rączka, więc muszę operować tym, co mam - bardzo pomaga mi gorąca wanna. Nawet teraz mi pomogła - inaczej nie wysmażyłbym tak długiego listu.

Pozdrowienia Zdzisław

Środa, 1 stycznia 2003, godz. 15:35

1) Wielokrotnie miałem okazję stwierdzić, jaki masz gust filmowy i wyrobiłem sobie o tym moje własne zdanie. To, iż nie znosisz filmu Dziworskiego jest Twoją, i prawie wyłącznie Twoją, sprawą. Większość ludzi, którzy film widzieli ceni go, a i ja, choć daleki jestem od zachwyków uważam,

że jest dobry i w niczym nie uwłacza Twojej sztuce.

2) Nie wiem, co miały znaczyć aluzje "Czyżbyś sam tak postrzegł to, co robię? Może na początku tak, ale teraz głosisz coś wręcz przeciwnego! czyżby nieszczerze? Też w to nie wierzę."

Jeżeli nie wierzysz, to nie pisz. A jak wierzysz, to wyrażaj się jasno. Że niby, co? Że ja niegdyś odbierałem Twoje prace jako horror, a teraz twierdzę, że to nie horror, ale chyba nieszczerze? Co Ty bredzisz?

Nigdy nie "postrzegalem" Twoich prac jako tani horror, bo gdyby tak było, to bym po prostu nigdy się nimi nie interesował.

Dodaję, że mnóstwo ludzi "postrzega" je jako tani horror i dlatego nie chce mi pomóc ani w ich wystawianiu, ani w innych formach ich nagłośnienia.

Po prostu Twoje malarstwo jest kontrowersyjne tak, jak jest kontrowersyjny film Dziworskiego. To wszystko. Cała filozofia "postrzegania" się na tym kończy. Jeśli żądasz od ludzi, by ponad kontrowersję, docenili jednak Twoją sztukę (a Ci, którzy jej nie doceniają są po prostu dumiami), to ponad kontrowersję umiej i Ty również docenić film Dziworskiego.

3) A na dodatek, co ma piernik do wiatraka? Czy fakt, że nie cierpię tego obleśnego typu i jego brata ma jakikolwiek związek ze stosunkiem, jaki mam mieć do jego filmu? Odwoływanie się do mojej najgłębszej pogardy dla osoby Dziworskiego, jest argumentem marnego adwokacyny, który miesza wszystkie racje i obelgi, jakie tylko może znaleźć w zasięgu ręki, bez ładu i składu, ot by tylko uzyskać jakiś skutek, bo ma nadzieję, że strzelając zarazem z procy, łuku i karabinu w coś może przez przypadek trafi.

Piotr

Środa, 1 stycznia 2003, godz. 17:51

Jeśli idzie o punkt 1, to filmowe gusta niewątpliwie mamy inne, ale nawet przyjmując, że możemy się bez konieczności dyskwalifikowania, lub przeciwnie filmu "Sombre", różnić w jego ocenie, to po prostu poza zdolnością mego pojmowania mieści się zrozumienie Twojej oceny filmu Dziworskiego. Może to dlatego, że dotyczy mnie i ma taki tytuł. Co do oceny

tego filmu przez ludzi, to byłbym tu pełen wątpliwości. Pokazywałem to bardzo wielu ludziom i NIKT nie miał tu innego zdania niż ja, a wielu miało jeszcze bardziej negatywne. Jeżeli w Twoim wypadku jest przeciwnie, to należy tylko mniemać, że ludzie zawsze zobaczą tylko to, co się im chce pokazać. W końcu to jeden z typowych testów psychologicznych. Ta chmura przypomina wielbłąda - jak w rozmowie Hamleta z Poloniuszem. Oczywiście Poloniusz widział w Hamlecie zarówno psychologa jak i następcę tronu, więc łatwo zrozumieć jego dworactwo. Czy inni też widzą w nas obu psycholi?

Jeśli idzie o punkt 2 Twego listu, to wydaje mi się oczywiste, że na samym początku naszej znajomości, Twój odbiór mych obrazów, był w mojej ocenie bliski temu, jaki zademonstrował Dziworski np. w scenach na cmentarzu. Ostatnio jest inny i, jak sądzę, bliski mojemu. Chęć emitowania tego starego filmu o zdecydowanie innej optyce, można byłoby potraktować jako signum, że Twoja optyka nie uległa przez te lata zmianie, a tylko wzorem Poloniusza mówisz mi to, co chciałbym usłyszeć, a nie to, co myślisz. Napisałem, że jednak w to nie wierzę, gdyż jestem przekonany, że Twoja optyka uległa na pewno zmianie. Czyżby to nie było wyrażone jasno? To wszystko napisałem w kontekście niezrozumienia tego: dlaczego, w jakim celu chciałeś ten gniot wyemitować i to nawet trzykrotnie, jak to teraz znalazłem w moim dzienniku.

Już napisałem, ale powtórzę raz jeszcze. Moim zdaniem może moje malarstwo jest kontrowersyjne, ale film Dziworskiego nie jest kontrowersyjny, tylko jest żalonym, sklejonym na poczekaniu i bez koncepcji gównem i tyle. W końcu i ja mogę mieć czasem o czymś sąd apodyktyczny i niewyważony. Przemontowana ex post wersja pt. "SEN" była lepsza i bardziej trzymała się kupy.

Ad 3. Masz tu stuprocentową rację. Oczywiście nie ma związku między jakością filmu, a mało świetlaną postacią jego twórcy.

Ogólnie: gdyby w filmie nie było dwóch ujęć: jak wyglądam przez okno i maluję, i gdyby nie było tytułu "Hommage a Beksiński" to mógłby sobie chodzić codziennie we wszystkich kanałach na świecie, bo nic by mnie nie obchodził, tak jak dziesiątki miernych, lub zgoła dennych twórców telewizyjnych i płytowych, w których udział biorą moje obrazy. To tytuł wyraźnie zaznacza, że mamy do czynienia z próbą egzegezy, a taka pry-

mitywna egzegeza odebrana przez ludzi, którzy nie oddziela w tym filmie tego, co Dziworskiego od tego, co moje, utrwali tylko dość powszechny stereotyp, z którym, jak mniemam, obaj walczymy, czyli postrzegania mego malarstwa jako taniego horroru.

Zdzisław

Środa, 1 stycznia 2003, godz. 19:05

1) Nigdy nie odbierałem Twojego malarstwa jako horroru. Chyba, że horrorem jest życie ze wszystkim, co w nim straszne. Przyznaję, że zawsze fascynowała mnie śmierć, cierpienie, upodlenie, bezwzględne okrucieństwo... Przyznaję również, że tematyka Szajny i Abakanowicz bardziej mnie pociąga niż Siudmaka. Lecz to, co naprawdę zdecydowało, że wlałem w tą całą historię i że mam dziś setki Twoich prac to po prostu dlatego, że są w przytłaczającej większości PIĘKNE.

Malarstwo Henricot nie ma w sobie połowy cierpienia, jakiego dopatruję się w Twoich obrazach, a jednak też uważam, że jest PIĘKNE i kolekcjonuję je.

To są dwie rzeczy, z których być może żadna wzięta osobno nie zachwycałaby mnie, tak jak z jednej strony nie zachwyca mnie Botiacci, bo choć piękny to mdły, a z drugiej nie zachwyca mnie reportaż z rzeźni, choć krwi tam co nie lada, śmierci i okrucieństwa też. Lecz jeśli dzieło sztuki wyraża cierpienie, a jest jednocześnie piękne, to staram się je natychmiast sobie kupić. I tak jest z Twoimi obrazami.

2) Co do filmu, to powtórzę tylko opinię czterech osób, które są niejako "ekspertami", jeśli ekspertami są ci, którzy sami robią filmy. Twój film bardzo lubił Wajda, Kostenko, Ola Frykowska i jej mąż Kajtek Frykowski. Nie lubił go Polański. Poza tym film był wybrany do Cannes przez filmowców francuskich, wśród których przewodniczącym komisji był Bernard Tavernier. Ubiegało się o wyjazd do Cannes ponad 260 filmów krótkometrażowych, z których wybrali oni 10. Wreszcie, gdy film był dwukrotnie wyświetlany wśród samych filmowców w Cannes, oklaski trwały dobrych piętnaście sekund, co jest wyjątkowe.

Prócz tego tłum ludzi, który przychodził do galerii Valmay, zaprowadzi-

lem do pobliskiego kina, które wynająłem specjalnie do tego celu i tam im film Dziworskiego pokazałem, prosząc o głosowanie za i przeciw. Za było 80 procent. Przeciw tylko 20.

Oczywista jest rzeczą, że sposób, w jaki Ty poddajesz ocenie film w obecności osób trzecich, skazujesz te osoby, jak to słusznie zauważyłeś na potulne potakiwanie Ci. Weź ich nie sam na sam, nie u siebie w domu, nie przy pączkach i herbatce, ale w miejscu neutralnym, bez Twojej obecności, bez wstępnych komentarzy i po projekcji poddaj film pod głosowanie. Wtedy zbliżysz się do optymalnych warunków prawdziwego sondażu. Przecież jasną jest rzeczą, że nikt, kogo zaprosiłeś do domu, nie ośmielił Ci się sprzeciwić. Czulby się po prostu niegrzecznym. To są metody badania opinii publicznej stosowane przez dyktatorów, lub zwariowane diwy, które za wszelką cenę chcą usłyszeć, że są nadal piękne.

Piotr

Środa, 1 stycznia 2003, godz. 21:53

Generalnie, to ja w ogóle nie słucham i nigdy nie słuchałem opinii publicznej, a to co napisałem o osądzie ludu bożego, było tylko odpowiedzią na Twoją opinię i nie ma wpływu na moją ocenę filmu. Można by się było spierać niejako dla zasady z Twoimi argumentami, choćby na przykładzie Wajdy. Gdyby mi ktoś pokazał na ścianie wyjątkowo kiepski obraz Wańka i spytał, co o nim myślę, to też powiedziałbym, że fajny, bo Waniek to mój kumpel, a ten ktoś, kto mnie o to pyta, niewiele mnie obchodzi, ale naprawdę niech Ci będzie Wojtek: akceptuję Twoją informację, że publiczności w 80% film się podobał. Co innego wprowadzić napisaleś w "Zmaganiach o Beksińskiego", ale czy było tak, czy było siak, to ja nadal zachowuję swoje zdanie. Poza tym zapominasz, że co innego patrzeć na film, jak na film, a co innego jak na to, czemu rzekomo miał służyć. To nie był film o tych ludziach, ani abstrakcyjna suita estetyczna, lecz to był film o moim malarstwie. Zresztą po co dyskutować. Ja miałem dość czasu, by wyrobić sobie o nim własne zdanie i tego zdania nie zmienię, nawet wtedy, gdyby objawiła się po raz drugi w Lourdes Madonna i powiedziała, że dzieło Dziworskiego jest genialne i stale oglądane w Niebie.

W końcu, jeśli - jak napisałeś w poprzednim swym liście - ogromna większość ludzi odbiera to, co robię jak horror, to może są to Ci sami, których zindoktrynował ten "genialny" film? Jest w końcu coś w tym filmie, co mnie osobiście poniża i oburza (jeszcze dramatyczniej odebrali to Zosia i Tomek), mimo iż nakręcono na mój temat kupę kretynizmów w rodzaju dzieł Gębskiego, którymi nigdy się nie przejmowałem. Jeśli chcesz, możesz to sobie tłumaczyć nieprzeciętnością filmu Dziworskiego, Twoje prawo. Ja mam swoją optykę i to jest moje prawo.

Zdzisław

Czwartek, 2 stycznia 2003, godz. 23:32

Niestety on fałuje razem z obłądnym tego roku fałowaniem pogody i ciśnienia. Wpływają też na niego nadużycia, których nie sposób uniknąć. Dziś musiałem pogelować obraz dla Stowarzyszenia Brata Alberta, bo przyjadą po niego na przełomie stycznia i lutego, a Rosikoń będzie w nadchodzącym tygodniu robić zdjęcia materiału, który w styczniu weźmie Sanok, tak więc musiałem te rzeczy połączyć. Ogólnie jednak jest lepiej.

Zdzisław

Sobota, 4 stycznia 2003, godz. 15:55

Ktoś mailował mi w tej chwili, że jest do kupienia mój obraz za 500 USD. Znam ten obraz i jest mocno zniszczony, ale tyle chyba jest wart. Nie mam czasu więcej pisać, bo za sekundę będą tu goście, podaję więc tylko adres:

<http://cgi.ebay.com/ws/eBayISAPI.dll?ViewItem&category=153&item=2152627190>

Zdzisław

Sobota, 4 stycznia 2003, godz. 22:13

Uwielbiam Twoją naiwną ignorancję. Jest obraz! Za głupie 500 dolarów! Kupuj, bo to okazja jak nie wiem!

Po czym sprawdzam: po pierwsze jest to aukcja. Po drugie, tylko chwilowo zatrzymała się ona na 510 dolarach. Po trzecie ja zaproponowałem 2000. Po czwarte okazuje się, że jestem jeszcze daleki, daleki od rezerwy. Jeśli sądzisz, że Morfeusz sprzeda Cię za 500 dolarów, to się mylisz.

Piotr

Niedziela, 5 stycznia 2003, godz. 00:00

Przykro mi, ale jak miałem postąpić. Dostałem taki mail, jaki kopiuję niżej, na 10 minut przed przyjściem gości (znajomych z USA).

"Możliwe to żeby ktoś z morpheus próbował sprzedać pański oryginalny obraz za \$500?"

Trafiłem na to przypadkiem: "Cmentarz - Beksiński (chwalony przezGigera)"

"<http://cgi.ebay.com/ws/eBayLSAPI.dll?ViewItem&category=153&item=2152627190>

Łukasz"

Zajrzałem na tą stronę i zobaczyłem o jaki obraz idzie, a reszta była po angielsku, co wymagałoby ode mnie pół godziny siedzenia ze słownikiem. Raz na wyprzedazy znalazłeś mój obraz za jeszcze niższą sumę. Wysłałem Ci jak najszybciej wiadomość. Miałem nie wysłać?

Cześć.

Zdzisław

Czybyś nie dostał mego wczorajszego e-maila? Nie mam żadnej odpowiedzi.

Z cowieczornego czytania naszej korespondencji z ubiegłego roku wynika pewien wniosek: za często atakuję Cię, w większości bez specjalnego powodu. To wytknęła mi Ania i tak wydaje mi się, że jest. Tak więc, od tego

czasu, postaram się wyciszyć moje wycieczki w Twoim kierunku. Oboje natomiast stwierdzamy z Anią, że to co Ty piszesz jest ciekawe i dowcipne.

Prace Sołtyska nad galerią postępują do przodu. Wysłał mi próbki reprodukcji, które, choć na ogół zbyt rozjaśnione, nie są najgorsze. Obecnie sprawdzam teksty po francusku, angielsku i niemiecku (w tym ostatnim języku za pomocą przyjaciółki Ani, Niemki z pochodzenia). Dziś jeszcze, lub jutro wszystko mu wyślę i w ten sposób będzie miał wszystkie karty w rękę. A w związku z tym chyba szybko zakończy prace.

Tak jak Ci to już pisałem, zamierzam wystawić trzydzieści spośród moich najbardziej znanych, bo najczęściej reprodukowanych w internecie (na podstawie mego albumu) obrazów. Mam nadzieję, że nagrzeję to polski rynek i że zjawi się u Ciebie kilku nabywców. Może i Wahl uda się wówczas coś sprzedać z obrazów, które jej powierzyłem, a z których od roku nie sprzedała żadnego.

Piotr

Piszesz jak mały Zdzisio, który chciał dobrze, a został skarcony. Oczywiście jest rzeczą, że dobrze zrobileś i masz rację przypominając, że jeden z Twoich zupełnie niezłych obrazów poszedł za 30 euros na aukcji w Paryżu. Toteż, jeśli Cię mój poirytowany, przez rozczarowanie (bo rzuciłem się na tą okazję z wielką nadzieją, że będę miał ów obraz), ton uraził, to przepraszam.

Ania zaczęła mi do poduszki czytać nasze listy wymienione od kilku miesięcy. Czyta się to dobrze i nie nudzi. Sądzę, że będzie z tego udana książka. Lecz w związku z jej wydaniem za ileś tam lat poproszę Cię o małą przysługę. Spiszę wszystkie moje listy na jednej kartce i prześlę Ci je e-mailem, byś mi je przekonwertował na polskie czcionki (i przy sposobności poprawił automatycznym korektorem błędy).

Napiszę jeszcze dzisiaj, lecz ponieważ dopiero przed sekundą Bambo skończył pracę, to najpierw chcę przeczytać wszystką korespondencję, jaka do mnie przysłała przez te ostatnie dwa dni.

Piotr

Warszawa, Środa, 8 stycznia 2003

A jednak oglądasz thrillery amerykańskie! Przemawia przez Ciebie propagowana przez te filmy naiwna wiara w komputer, który rozumie to, o co się go poprosi.

Jeśli piszesz listy bez polskich diakrytyków, czyli l zamiast ł i n zamiast ń, to nie ma na dzień dzisiejszy możliwości na skonwertowanie tego i trzeba w pocie czoła robić to całymi godzinami i nawet dniami na piechotę, a tego się nie podejmę, bo to strasznie mroźcza praca.

Jeśli piszesz listy na polskim programie i z polskimi diakrytykami i zamiast "ląka" uzyskujesz na zachodnim komputerze np.: A#ka, to można to konwertować, bo daję komputerowi polecenie "zmień wszystkie A na ł w całym tekście" (oczywiście w bardziej skomplikowany sposób wydaje się to polecenie), to komputer w ułamku sekundy dokonuje tej operacji. Jeśli jednak wydalbym mu polecenie "zmień wszystkie l na ł", to on zamiast lustro napisze lustró, a zamiast lalka napiszę łąka i tak dalej. Skąd on może wiedzieć w jakim miejscu zamiast l ma wstawić ł.

Program do takiej konwersji, z bardzo rozbudowanym słownikiem polskim i analizatorem budowy zdań, byłby możliwy do napisania, ale na razie o takim nie słyszałem. Zresztą nawet on czasami by się mylił, podobnie jak myślą się programy OCR do rozpoznawania pisma.

Jeśli takie sprawy miałyby być dla Ciebie istotne także na przyszłość, to widziałbym tu tylko możliwość kupienia taniego komputera out of date, zainstalowania tam polskich Windows (mogę Ci wysłać) i polskiego edytora tekstu Word i używania tego komputera do pisania po polsku, jak też powolnego przerabiania wszystkich swoich starych polskich dokumentów dla celów drukarsko-edycyjnych w Polsce. Być może udałoby się też na francuskim PC zainstalować drugie Windows, ale polskie. Istnieje możliwość zainstalowania dwóch systemów i Bambo na pewno wie, jak to zrobić, nie wiem tylko, czy można łączyć na jednym PC systemy z rozmaitych obszarów językowych. Poza tym uruchamianie takiego dwu systemowego komputera, wymagałoby od Ciebie pewnego wysiłku tego typu, jakiego nie lubisz. Pozdrawiam

Zdzisław

Środa, 8 stycznia 2003, godz. 23:28

Zdaje się, że po naprawie mego komputera, mogę wysłać e-maile, ale nie mogę ich otrzymywać. Napisałem wczoraj i dzisiaj do Ciebie oraz do Sołtyska. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. A ponieważ przez telefon potwierdziłeś mi odbiór oraz powiedziałeś mi, że odpowiedziałeś, to wnoszę, że musiało się coś zatkać.

Jeśli dostaniesz ten mesaż, potwierdź na wszelki wypadek. Może przejdzie.

Piotr

Warszawa, Czwartek, 9 stycznia 2003

Przepraszam. Nie usłyszałem telefonu, bo malowałem i akurat kończyła się cholernie hałaśliwa i zarazem upierdliwa muzyka Glassa (Concerto for Saxophone Quartet and Orchestra - movement IV). Gdy się skończyła, wyszedłem do WC i widzę, że miga reponder. Nagranie dosłownie sprzed minuty. A więc nie zająrzałem jeszcze na stronę Sołtyska, bo muszę dopiero poszukać adresu w starej Twojej korespondencji. Od dwóch dni nie dostaję maili od Ciebie, ale wydaje mi się, że Ty je ode mnie dostajesz, więc wysyłam też na próbę zdjęcie*. To właśnie z Tobą rozmawiam na tym zdjęciu. Był tu fotograf magazynu babskiego VIVA, na wstępne rozpoznanie i robił sporo zdjęć normalnym aparatem, a przy okazji migawki kiepską cyfrówką, które skopiowałem sobie od razu na swój dysk. Równocześnie była jedna dama w sprawie podpisania fotomontaży na aukcję Orkiestry Świątecznej Pomocy w Sanoku i skorzystała z tego, że był fotograf, by sobie ze mną porobić zdjęcia (okazjonalnie robię za Shakirę). W tym momencie zadzwoniłeś, więc nie bardzo byłem w stanie rozmawiać.

Zdzisław

PS: W tej sekundzie reprodukcje od Sołtyska jednak doszły. Obejrzę później, bo kończę obraz i odpiszę.

*Załącznik (Beksiński w korytarzyku swego mieszkania) dostępny na stronie XXX

Warszawa, Czwartek, 9 stycznia 2003

Nie pamiętam już tych wszystkich prac, ale wydaje mi się, że generalnie wszystko jest za ciemne. Podniosłem na Photoshop w menu Image: Adjust: Brightness/Contrast poziom Brightness do 50 i efekt jest taki, jak na załączonym zrzucie*. Nie twierdzą, że akurat tyle trzeba podnieść, bo monitory w każdym komputerze ustawione są nieco inaczej i być może mój jest za ciemny, gdyż nie cierpię ustawiania na full, bo wali mnie po oczach! Jeżeli jednak i na Twoim komputerze wygląda to za ciemno, to zasugeruj facetowi, by podbił Brightness. Przy niektórych obrazach (np. samochód na "drzewie") trzeba będzie podnieść także nieco Contrast. Poza tym reszta OK.

Zdzisław

*Załącznik (zrzut ekranowy) dostępny na stronie XXX

Warszawa, Czwartek, 9 stycznia 2003

OK. Skończyłem pilowany od dłuższego czasu obraz, który planowałem na pustą ścianę, gdzie była "kura" i zabrałem się za otwieranie zdjęć z Twojego listu, ale to jest u mnie niemożliwe, albo ja nie wiem, jak to się robi.

Obawiam się, że muszę mieć w tym celu adres na tym samym serwerze jak Ty. Po kliknięciu w dowolny numer pracy otwiera się okno tak, jak na załączniku, ale wpisanie tam mojego adresu nic nie daje. Zrób mi z wszystkich prac normalne załączniki w formacie JPEG i wyślij.

Zdzisław

Czwartek, 9 stycznia 2003, godz. 20:38

Wszystkie moje korespondencje, które wymieniłem od wielu miesięcy z ludźmi, w tym również z Tobą, zostały wymazane z mego komputera przez nieostrożność Bambo. Przed naprawą mego komputera powiedział mi, że nie mam co utrwaląc tego wszystkiego na moim twardym dysku, bo to jest przechowywane "u nich" (u serwera) i że "oni" mi to odtworzą po naprawie. Otóż okazuje się, że tak się dzieje, tylko o ile z góry się to zaprogramuje. Czego Bambo nie zrobił.

Jestem na niego wściekły, ale on jest rozbijający w swej naiwności i nie potrafię go opierdolić.

Toteż mam do Ciebie następną prośbę. O ile zdołałem się zorientować, Ty posiadasz na swoim komputerze wszystkie Twoje wysłane do mnie i otrzymane ode mnie listy. Czy możesz je wziąć w kupę i mi je przesłać e-mailem tak, bym to miał u siebie? Czy też wymagałoby to zbyt wiele pracy?

Wprawdzie mam to wszystko wydrukowane na papierze, ale na to, by powróciło to na komputer, musiałbym mozolnie skanować stronę po stronie.

Dostałem Twój mesaż doradzający większe rozświetlenie obrazów. Przesłałem go Sołtyskowi. Zresztą i ja prosiłem go już wcześniej, by rozjaśnił o jeden ton prawie wszystkie obrazy.

Piotr

Warszawa Piątek, 10 stycznia 2003

Boże święty - Piotrze. Nie tylko od Ciebie dostaję listy i coroczny bilans, to setki pozycji spakowanych razem w folderze identities. Całego folderu skopiować Ci nie mogę, bo są tam listy od innych ludzi, więc trzeba by robić kopię za kopią indywidualnie: wyłącznie listy od Ciebie. Od jakiego momentu? Bo nie da się zaznaczyć po prostu wszystkich listów od Ciebie i polecić "skopiuj". Trzeba każdy otwierać i zapisywać oddzielnie. Naucz

się robić sobie sukcesywnie kopię archiwalną foldera identities, o czym Ci już pisałem. Wtedy, w razie awarii, tracisz tylko te listy, które wysłałeś i odebrałeś od momentu ostatniej kopii awaryjnej tego folderu.

Inne polecasz importować z miejsca, w którym przechowujesz kopię identities i w kilkanaście sekund, czy dwie minuty (w zależności ile tego jest) masz to z powrotem w Outlook Expressie. Serwer zapewne przechowuje Twoją korespondencję, ale tylko przez jakiś czas i tylko w zakresie miejsca za jakie placisz (np. 5 MB). Moje identities od 1998 roku mają już dziś ca 491 MB, a w końcu ja nie koresponduję szczególnie dużo.

Co do zdjęć na stronie to - jak już pisałem - ocena ich nasycenia zależy w dużym stopniu od ustawienia monitora. Ludzie z reguły ustawiają go o wiele jaśniej, niż robię to ja. Najczęściej do oporu, bo tak lubią. Ja też w młodości wkręcałem do lampy przy biurku żarówkę 200 W, a teraz czasami 40 W wydaje mi się za jasna. To może kwestia wieku. Tak więc moja ocena "za ciemno za jasno" jest subiektywna, bo mam w stosunku do przeciętnej bardzo ciemno ustawione monitory. Niestety nie ma międzynarodowej normy luminiscencji i jakiegoś guzika, który w razie potrzeby ustawiałby przejściowo i na żądanie każdy monitor świata na tą samą międzynarodową wartość - tak jak to jest z żarówkami. Jest to problemem, szczególnie przy przygotowywaniu albumów i innych tego typu rzeczy. Gdy drukuję sam dla siebie, to zawsze mogę skorygować i zapisać ustawienie konkretnej pracy po zweryfikowaniu, jak wyjdzie na wydruku. Gorzej jest, gdy pliki idą do drukarni i tu to, z czego tak kpiłeś przed laty, czyli klin barwny, miałby kolosalne znaczenie, gdyby tylko ktokolwiek chciał na niego spojrzeć i podkręcić sobie w oparciu o próbne wydruki, nasycenie czy kolor na komputerze do potrzebnej wartości. Wszyscy mniemają, że to jest już międzynarodowo ustawione w komputerze, a tymczasem nie jest. Stąd biorą się potem przekłamanie przy wydrukach.

Zdzisław

Piątek, 10 stycznia 2003, godz. 12:42

Może mógłbyś zrobić tak: jeśli nie chcesz przysyłać mi całości Twoich wszystkich korespondencji, bo nie ufasz mi, że skopiowałbym tylko listy,

które do Ciebie wysłałem i od Ciebie dostałem, a innych bym w ogóle nie otwierał, to mógłbyś sam zrobić duplikat całej Twojej poczty od daty, kiedy zaczęliśmy korespondować przez internet, z duplikatu skasować przez pół godziny wszystkie inne listy niż te, które mnie dotyczą, a całą resztę wtedy jednym załącznikiem do listu mi przesłać?

Nawet jeśli masz setki innych korespondencji, to klikanie na każdą z tych, które mają być skasowane, zabierze Ci kilkanaście minut, a mnie rozwiąże problem. Co o tym myślisz?

Piotr

Warszawa, Piątek, 10 stycznia 2003

Uwierz mi, że nie takie to proste, jak to sobie eksplikujesz, bo musiałbym po zrobieniu kopii rezerwowej Identities odłączyć internet, by jakieś listy nie wpływały mi w trakcie tej roboty (a tu nie jestem niestety mocny i zawsze polegam na jakimś swoim Bambo), potem zdemontować identities, by zrobić wersję dla Ciebie, potem skasować zdemontowane identities i z powrotem wsadzić tam zrobioną poprzednio kopię i podłączyć internet, potem Ci te niekompletne identities wysłać (jak?), a wcale nie jestem pewien czy na francuskim systemie dałbyś radę importować z niej swoje stare listy. Zawsze taka operacja grozi potem awarią u mnie. To już raczej na piechotkę będę się starać porobić kopie Twojej korespondencji pod postacią plików, o ile w ogóle wiem, jak to zrobić. Muszę się zastanowić i to przećwiczyć. I jak to potem Ci wysłać? Nie wiem, czy poczta takie pliki przyjmie. Wysyłanie całego identities nie jest sprawą zaufania do Ciebie, lecz nielojalnością w stosunku do innych mych korespondentów. Nie pamiętam już o czym i z kim korespondowałem przez te lata. Poza tym musiałbym to wysłać pocztą jako CD, bo tego jest prawie pół giga!!!

Aktualnie tylko leżę i przy każdym ruchu aż skręcam się od dwóch dni z bólu, bo lumbago powróciło razem z atakiem mrozu. Był tu u mnie nawet "kizior" i ugniatał mnie na podłodze (nie mam stołu), ale gówno to dało. Jak zwykle: musi to samo minąć gdy poprawi się pogoda, lub ulegnie zmianie jakiś inny niewyjaśniony czynnik.

Zdzisław

Warszawa, Piątek, 10 stycznia 2003

Abym się na darmo nie urobił, a Ty i tak z tego niczego nie uzyskasz, przeprowadzam próbę techniczną. Zrobiłem kopię Twojej tegorocznej korespondencji czyli od 10 dni. Z tej kopii powinien Ci Bambo zaimportować do Outlook Express Twoje listy do foldera np. Robocze czy jak się to u Was nazywa. O ile się to uda, to siądę i zrobię kopię na trzy ostatnie lata. Na oko już widzę, że będzie za wielka, by wysłać inaczej jak na CD jako przesyłkę zwykłą pocztą, co uczynię gdy zacznę wychodzić z domu. Na razie nie wychodziłem od połowy grudnia i żywność donoszą mi ludzie.

Zdzisław

10 stycznia 2003

Po pierwsze realnie współczuję, że znów Cię boli. I martwię się, że kręgarz nie pomógł.

Po drugie otrzymałem Twoją przesyłkę, za którą serdecznie dziękuję. Nagrałem ją od razu na twardy dysk i przegram na ZIP. Na razie jednak nie mogę jej otworzyć i zobaczyć jak to wyszło od wewnątrz, bo komputer odpowiada mi, że nie może otworzyć, dopóki nie powiem mu, w jakim programie to zostało nagrane.

Jeśli to jest proste, to napisz mi, a spróbuję sam wpisać nazwę owego programu i zobaczyć, czy wówczas da się otworzyć. Jeśli natomiast jest to bardziej skomplikowane, to poczekam do jutra rana. Przyjdzie wówczas Bambo i albo sam zrobi, co trzeba, albo podczas jego obecności zadzwonię do Ciebie i zapytam, co ma wpisać.

A już posądzałem Cię o egoizm i skarżyłem się Ani, że jesteś nieużyty i na pewno nic mi nie pomożesz... Mea culpa.

Piotr

Warszawa Piątek, 10 stycznia 2003

Być może radość jest przedwczesna. Ja tego nigdy nie robiłem, a Windows to upierdliwe bydlę. U siebie nie mogę tego sprawdzić, bo w tym celu musiałbym zapewne skasować całą bibliotekę mojego Outlooka. Boję się stracić na skutek nieumiejętności własne archiwum.

Nauczono mnie, że korespondencja mieści się tam, gdzie się mieści i w celu jej zachowania powinienem robić kopie rezerwowe folderu Identities wraz z zawartością. Robię je sukcesywnie, a przed każdym kasowaniem dysku C, wymianą komputera na nowy etc, nagrywam kopię Identities na CD. Radziłem to i Tobie. Technik, który konfiguruje mi połączenie z e-mail (w tej dziedzinie nie jestem lepszy od Ciebie), robi zawsze potem import starej korespondencji z tej mojej kopii i zawsze jest OK. Tym razem zrobiłem wewnątrz folderu "Kopie robocze" folder "Dmochowski kopie", po czym, szukając w korespondencji przychodzącej z 3 lat po nazwisku Dmochowski, skopiowałem wszystkie pliki. Gdy kontrolnie otwarłem ten folder, otwierały się też wszystkie listy, w które na próbę kliknąłem. Ten spakowany folder skopiowałem i wysłałem Tobie. Nie jest to jednak kopia całych Identities (pół giga), lecz konkretnego folderu, więc nie wiem, czy nie pojawią się jakieś problemy z importem. Poza tym jest to kopia, a może jest potrzebny oryginał, lub jakaś tożsamość np. komputera lub programu. Nie ja wymyśliłem Windows i tą upierdliwą metodę pakowania plików. Jeśli to nie zadziała, to słowo skaut: nie wiem co należy zrobić.

Zdzisław

Piątek, 10 stycznia 2003, godz. 22:50

Nie wiem, czy bardziej martwić się tym, że nijak nie jestem w stanie otworzyć Twojej przesyłki (i że i Bambo jutro mi jej z pewnością nie otworzy), czy też cieszyć się z tego, że nareszcie musisz przyznać, że komputer jest pierdoloną, paskudną maszyną, z którą nie można sobie poradzić, nawet przy najlepszych chęciach. Co znaczy, że nie taki dureń ze mnie na jakiego wyglądam, a że winna jest bardziej myśl techniczna panów, którzy nie

umieli uprościć maszyny, niż mój mały mózdzek. Próbowałem bowiem na wszystkie dostępne mi sposoby, klikając na wszystkie dostępne mi ikony. Na próżno.

Pozostaje mi tylko próbować list po liście zeskanować i wszystko zarejestrować na twardym dysku. Ale to roboty na wiele, wiele godzin, a na dodatek po naprawie komputera zniknął skaner i nie wiem, czy mi go jutro Bambo wskrzesi.

Co z tymi Twoimi bólami? Czy to jest wina pogody? Czy aby nie masz za ciepło w mieszkaniu? Będąc u Ciebie ostatnio spociliśmy się, jakbyśmy byli w łaźni. Takie różnice temperatur pomiędzy rozgrzaniem do przesady wnętrzem, a lodowatym powietrzem na zewnątrz, na pewno dodatnio na Ciebie nie wpływają. Wprawdzie piszesz, że ludzie przynoszą Ci jedzenie i nie wychodzisz, ale jestem przekonany, że jesteś przegrzany. Współczuję Ci serdecznie. Od wielu już lat nic mnie nie boli. Pobolewa to i tamto, ale ostrych bólów, jakie miewałem z różnych powodów w młodości już od dawna nie mam. Za mego dzieciństwa były to zęby. Potem nerki. Wreszcie żołądek. Dziś jakoś wszystko się uspokoiło i fizycznie nie cierpię na nic, choć dokucza mi cała chmara drobnych dolegliwości.

Piotr

Warszawa, Sobota, 11 stycznia 2003

No więc wysłałem, poczynając od roku 2002, który był najobfitszy, ale skoro poszło, to potem wysłałem i inne lata. Powinnoś to dostać w formie załączników z wyjątkiem roku 2001, gdzie był tylko jeden list. Czy to się u Ciebie otworzy, to już inna sprawa. W nocy przyszedł mi ten pomysł. Co do komputera, to nie byłbym aż tak surowy i raczej narzekam na Microsoft, który produkuje wszystko jak dla idioty, ale takiego jak sobie idiotę wyobraża informatyk z Redmond, a w związku z tym kłopoty ma zarówno idiota, jak i człowiek niegłupi. Właściwie wszyscy. Najlepiej skrytykował Microsoft mój znajomy, który powiedział: "Co można sądzić o przejrzystości obsługi systemu, w którym, w celu wyłączenia, trzeba naciskać START". Na Windows można zrobić bardzo wiele, tyle że prawie nikt nie wie jak. No, ale ja

nieomal nie korzystam z Windows i innych produktów Microsoft, lecz z oprogramowania dla grafików, które robione jest przez inne firmy. Co nie znaczy, że Gates nie jest dla mnie postacią sympatyczną. Mam do niego słabość.

Moje krzyże na razie bez zmian. Unikam lekarzy, bo nie ma już chyba w Polsce prawdziwych lekarzy, którzy by przyszli do domu, kupili Ci lek w aptecce, porozmawiali i starali się w ograniczonym zakresie pomóc. Gdy wezwę lekarza, to on po przybyciu wystawi mi skierowanie na rezonans magnetyczny kręgosłupa, na badanie Doplera, na USG, na krew, każde gdzie indziej i w innym terminie, na każde trzeba się zapisać i na mrozie jechać na drugi koniec Warszawy - niech ich po prostu szlag trafi!!! Ja poczekam i w końcu to minie. To nie pierwszy i myślę, że nie ostatni raz w mym życiu.

Zdzisław

Sobota, 11 stycznia 2003 godz. 16:32

Boże, jak mi ten mój Bambo pokomplikował sprawy swoją niewiedzą i złą wskazówką, którą z tej niewiedzy mi dał.

Wprawdzie po dziesięciu nieudanych próbach, nareszcie otworzyłem Twoje pliki naszej korespondencji rok po roku, ale nie możesz sobie wyobrazić, w jakim nieporządku, jak pocięte i jak zmasakrowane. Od rana staram się wymazywać listy, czasem aż cztery razy reprodukowane w tym, co mi przysłałeś i posztukować to, co doszło w kawałkach. Ale pracy jest na kilka dni. I tak i tak będę musiał uzupełnić to, co nie przeszło, lub zostało nieopatrznie przeze mnie skasowane w czasie roboty skanującej z wydruków, które na szczęście mam.

Natomiast w pliku za 2000 rok nie ma Twoich listów! Pokornie zaznaczam, że to nie mnie będą z zaciekawieniem czytali ludzie, a Ciebie. Toteż postaraj mi się wysłać Twoje listy za ów rok.

Na koniec: czy w 2001 był tylko jeden list (mój) ? Bo wysłałeś mi tylko jeden jedyny. Wreszcie Twoje listy z 2003 roku nadeszły z kwadracikami i ptaszkami, zamiast polskich znaków.

Piotr

Warszawa, Sobota, 11 stycznia 2003

Ponieważ nic nie robię, a siedzenie przy monitorze z walkiem podstawionym pod plecy, jest pozycją stosunkowo komfortową, to przejrzawszy raz jeszcze zdjęcia do Twojej strony, zobaczyłem na niektórych (jedno załączam) adres DMOCHOWSKIGALLERY.COM.

Poszedłem na tą stronę, a tam między innymi usługi dentystyczne, wszystko po angielsku i gdy wystukałem w wewnętrznej przeszukiwarce tej strony słowo "beksinski", to program niczego nie znalazł. Rejestrować się nie chciałem, bo nie wiem, co to za strona. Co to takiego jest?

Zdzisław

Załącznik ("Żyd" na fałszywie zaadresowanej stronie w internecie) na stronie XXX

Warszawa, Sobota, 11 stycznia 2003

Piszesz dosyć chaotycznie, więc nie wiem, dlaczego moje listy z 2003 nie mają polskich diakrytyków. Czy Bambo naprawiał (jak napisałeś) komputer, czy też przeinstalowywał Ci program systemowy, czyli Windows? Sądzę teraz, że to drugie. Zatem nie zainstalował czcionki Lucida Casual, którą wysyłam raz jeszcze i zaraz ją zainstaluj, tylko na Boga nie filozofuj i nie pytaj od nowa po co i dlaczego, tylko zainstaluj. Nie napisałeś mi (pytałem!), które Windows masz, to nie jestem w stanie napisać Ci, jak masz dokonać tej instalacji.

Zrozumiałem Cię opacznie i myślałem, że na skutek nieostrożności Bambo, tylko Twoje listy Ci zaginęły, a nie cała nasza korespondencja. Wysłałem Ci więc wszystkie (o ile nie przeoczyłem jednego czy dwóch) Twoje listy do mnie. Mogę tak samo wysłać moje do Ciebie, ale tu powstaną szeregi problemów. Po pierwsze zaginą najprawdopodobniej załączniki, a ja dawałem wiele załączników, zaś w roku 2000, prawie wyłącznie załączniki, bo pisałem listy na załącznikach, gdyż twierdziłeś, że na Outlooku masz przekłamania. Poza tym, jeśli przypadkiem pójdą też załączniki, to moje

listy do Ciebie ważyć będą kilkakrotnie więcej niż Twoje listy do mnie i trzeba je będzie wysyłać w większej ilości rat. Nie napisałeś mi teraz, czy odczytałeś dopiero materiał wysłany dziś, czy też materiał spakowany w pliku "Dmochowski kopie". TO WAŻNE, bo w takim pliku nie zaginą załączniki, a obawiam się, że w takiej formie transferu jak dziś - zaginą. W ogóle utyskujesz, ale nie podałeś prawie w ogóle istotnych informacji, które pomogłyby mi w zrobieniu czegoś konkretnego więcej.

Wysyłam więc teraz czcionkę Lucida Casual i zainstaluj ją!!! To pierwsze i najważniejsze.

Wysyłam na próbę (według metody tej jak dziś rano) 3 stare listy z załącznikiem i napisz, czy przyszły z załącznikami czy bez.

Odpowiedz, co w końcu odczytałeś: dzisiejszy transfer czy wczorajszy. Ostrzegam, że z wysłaniem moich listów będą większe kłopoty także dlatego, że co roku kopiuję starą korespondencję do folderów 1998, 1999, 2000, 2001, 2002. W trakcie takiego kopiowania do działu "listy wychodzące", ginie adresat listu i od dołu do góry przez kilka lub nawet kilkanaście tysięcy pozycji mam tylko nadawcę: Zdzisław Beksiński. Muszę zgadywać, co było do Ciebie lub otwierać każdy list. Masz pojęcie ile to potrwa? W dziale listy przychodzące zostaje nadawca i dlatego stosunkowo szybko i bez większych błędów mogłem odszukać Twoje listy. W 2001 był tylko jeden, bo obraziłeś się na mnie. Tak więc ta druga droga poza 2002 rokiem (w 2002 listy do Ciebie z reguły datowałem zamiast tytułu, a do innych ludzi wstawiałem tytuły), znajdę to dość szybko i bez większych pomyłek. W roku 2000, już tak nie było i dawałem tytuły lub wysyłałem RE. W roku 2000, chciałeś mieć listy w załącznikach WORD. Te załączniki najprawdopodobniej nie przejdą według metody tej, w jakiej wysłałem pocztę dziś, natomiast przejdą według metody, którą wysłałem wczoraj, o ile Babmo potrafił to importować. To wszystko nie jest już teraz takie proste. Nie tylko Tobie pochłonie to szmat czasu, bo także i mnie. Może Cię to wkurwi, ale przed pół rokiem mówiłem, byś robił sobie kopię Identities w tym konkretnie celu, aby nie mieć sytuacji takiej, jak teraz. Czy mam dodać: "A nie mówiłem?"

Zdzisław

Pokornie do nóg się kłaniam i przyrzekam, że temu pierdolonemu Bambo nogi z dupy powyrywam. Ale jeśli wolno coś powiedzieć, to mnie właśnie o Twoje listy chodzi, a nie o moje. Bo gdzie bym tam ja. Już dwunastą godzinę dzisiaj pracuję, żeby z tego, co mi przesłałeś, zrobić jakąś koherentną całość. Łaski błagam i o miłosierdzie proszę, ale prześlij mi Twoje listy.

Ponadto donoszę w nieładzie:

Po pierwsze: udało mi się otworzyć pliki coroczne, te, które przesłałeś ostatnio. Tego jednego potężnego pliku z całością czterech lat, który wysłałeś na wstępie, nie udało mi się otworzyć.

Po drugie: dzisiejsza Twoja poczta była napisana właściwymi znakami polskimi. Czy dlatego, że słowo po słowie poprawiłeś? Czy też dlatego, że nagle program polski w moim komputerze zafunkcjonował? W każdym razie jutro będzie Bambo (dziś się kanalia wykręcił) i każę mu zainstalować program czcionki polskiej, jaki załączyłeś w ostatnim e-mailu.

Po trzecie: czy nie było naszej korespondencji w 1999 roku? Ja już nie pamiętam, kiedy zaczęliśmy pisywać do siebie e-maile.

Po czwarte: Bambo wszystko kompletnie wymazał z mego komputera włącznie z programami, bo wszystko trzeba było zainstalować od nowa. To nie była tylko "naprawa", ale przeinstalowanie wszystkiego, co komputer zawierał, bo nijak już nie można było pisać.

Po piąte: jutro napiszę Ci, lub zadzwonię, po zapytaniu o to Bambo, jaki ja mam Windows. Jeszcze raz ręce litościwego Pana całuję i proszę pokornie o JEGO listy.

Po szóste i najważniejsze: jak już ten pierdolony Bambo przyjdzie, to mi zainstaluje od nowa skaner, bo mi go zdemontował i nie zainstalował ponownie. Wtedy dokonam szybkiej próby, czy aby skanowanie jest wykonalne przy tak drobnym druku, jakim pisałeś. Jeśli tak, to nie będę Ci zawracał głowy i po prostu przez kilka dni wszystko przeskanuję, bo jak już pisałem, mam wszystko na papierze.

Tak więc, jeszcze dzisiaj nie pomstuj na mnie, że Ci przysparzam roboty, tylko się wstrzymaj do jutra w południe.

Piotr

Warszawa Sobota, 11 stycznia 2003

Tylko dwa słowa: Jeśli dzisiejszy list odczytałeś bez przekłamań, to znaczy, że czcionka Lucida Casual jest zainstalowana. Reszta jutro, ale napisz czy doszły w trzech załączonych listach załączone fotografie. To będzie wskazówka, jak mam wysyłać moje listy. Idę spać.

Zdzisław

12 stycznia 2003

W Twojej wczorajszej poczcie pod tytułem "test" były załączone trzy Twoje listy do mnie z 2002 roku, jeden Twój obraz (dwie postacie), jeden obraz kogoś, kogo podawałeś za wzór techniki przy naiwnej estetyce (dwie kobiety całujące się), oraz program liternictwa polskiego. Pozostałych załączników nie udało mi się otworzyć.

W dzisiejszej poczcie był załącznik z listą Twoich korespondencji nazwanych "Zdzisław Beksiński", posiadających tytuły, ale bez określania ich adresatów. Widzę, więc, że rzeczywiście odnalezienie listów do mnie to szukanie igły w stogu siana.

Zaraz ma przyjść Bambo i wówczas będę wiedział, czy możliwe jest zeskanowanie naszej korespondencji. Jeśli coś z tego wyjdzie, to nie będę Cię zamęczał, a wszystko odtworzę sam.

Na koniec dwie uwagi: jak na samotnika, któremu pisanie sprawia wielką trudność, to prowadzisz imponująco szeroką korespondencję. Ja koresponduję prawie wyłącznie z Tobą, oraz w moich sprawach zawodowych. Druga uwaga to zapytanie: po co prowadzić tak ogromne archiwum, jeśli sposób zapisu znajdujących się w nim rzeczy, nie pozwala łatwo i natychmiast odnaleźć tego, czego się szuka?

Piotr

PS

Od dziś będę datował i podpisywał się. To ułatwia archiwowanie, czy archiwizację?

12 stycznia 2003

Sygnalizuję, że Bambo uruchomił mi skaner. Zabierze mi to teraz kilka weekendów, ale wszystko przeskanuję sam. Tak więc, minęła Cię ogromna robota wyszukiwania Twoich listów do mnie skierowanych, w Twoich (moim zdaniem źle zorganizowanych) archiwach.

Niestety w trakcie skanowania litery polskie zastąpione są ptaszkami, ale prześlę Ci cały plik i ponieważ Twoje listy były pisane polską czcionką, to łatwo Ci będzie je skonwertować.

Dodaję, że według informacji uzyskanych od Bambo mam Windows XP Professional.

Piotr

Niedziela, 12 stycznia 2003 godz. 08:32

Według tego, co znalazłem, to nasza korespondencja komputerowa zaczęła się w dniu 2.9.2000. W roku 2001 był tylko jeden list od Ciebie i zapewne jedna odpowiedź. Obiecuję, że zrobię Ci kopie wszystkich moich listów, ale to może potrwać BARDZO długo i przyjąć, z konieczności programowych, rozmaite formy (raz jako załącznik, inny raz jako kopia etc.), bo starsze listy do Ciebie nie były (dla odróżnienia od innych) oznakowane datami, lecz albo jako re albo jako temat. Ja w roku 2000, muszę indywidualnie przeszukać tysiące listów, by znaleźć pisane do Ciebie. Wygląda to u mnie tak, jak na załączonym zrzucie* i muszę KAŻDY list otwierać i potem indywidualnie kopiować, wysyłać Tobie. To praca na miesiąc lub dłużej, bo to, co widać na zrzucie, to maleńki ułamek zawartości mej korespondencji wychodzącej, tak jak to u mnie wygląda. Nie wiem, który list był do Ciebie. Muszę otwierać każdy oddzielnie. Jeśli czegoś będzie brakować, to pomoże mi z Twojej strony data tego, co brakuje (podobno piszesz je na wydrukach), a wtedy łatwiej mi będzie odnaleźć.

Zdzisław

Załącznik (Zrzut ekranowy. Fragment archiwum mailowego) dostępny na stronie XXX

Warszawa, Niedziela, 12 stycznia 2003

Ta moja korespondencja też nie jest z całym światem i setkami ludzi, lecz z kilkoma osobami stale i z wieloma dorywczo lub jednorazowo (jeden list, odpowiedź na jakiś list lub wysłanie czegoś, o co ktoś prosi np. fotografia, adres strony internetowej etc.). Taka korespondencja jak z panienką, która pytała o kosmitów. To korespondencja z anonimem. Czasami bardzo związła. Nie archiwizuję tego - robi to za mnie automatycznie program. Pytanie po co? W znakomitej większości wypadków po nic. Nie lubię jednak niczego wyrzucać, skoro już jest, bo nigdy nie wiadomo do czego nagle okaże się potrzebne. Na początku (zaczęłam pisać e-maile od końca 1998 roku) myślałam, że to będzie incydentalna zabawa lub wyglup. W roku 1999, gdy prowadziliśmy z mego komputera korespondencję równoległe z Tomkiem (trzy czwarte listów jest jego i do niego - prawie wszystko po angielsku), zacząłem dzielić narastający nadmiar na lata i lokować w poszczególnych folderach (można podzielić w Outlook Express dowolnie: na lata, na nazwiska, na ważne i nieważne etc.).

W roku 2000, zorientowałem się, że trudno w tym wszystkim się połapać, gdy pragnie się coś konkretnego odszukać. Kieruję się najczęściej datą, która się zapisuje i jeśli wiem, że list od kogoś lub do kogoś wysłałem w okolicach sierpnia i lipca, to nie pozostaje nic innego jak przeszukanie w tym okresie kilku lub nawet kilkudziesięciu listów. "Tematy" ułatwiały, bo najczęściej z kimś korespondowałem o programach, z kimś o malowaniu, z kimś o muzyce, komuś doradzałem w problemach sercowych, a komuś autoryzowałem wywiad. Dziś nadal panuje tam chaos, ale w 2002, mniej więcej od połowy roku, zacząłem listy do Ciebie oznaczać datą, zamiast tematem. To obecnie bardzo mi ułatwi odszukanie listów pisanych do Ciebie w tym okresie. Myślę teraz, że najrozsądniej byłoby oznaczać "temat" nazwiskiem lub imieniem osoby, do której się pisze. Data sama wyskoczy w innej rubryce i zostanie. Czyli pisząc do mnie podawaj jako temat Zdzisław i nie musisz już numerować. Łatwo odnaj-

dziesz potem listy do mnie, gdy zarchiwizujesz je latami. Ja z kolei pisać mogę Piotr i w ten sposób w przyszłości, w takiej sytuacji, jaką mamy teraz, łatwiej odnajdę całą korespondencję. W końcu sam się też uczę na swoich błędach i w oparciu o ograniczenia, jakie niesie program. Na pewno istnieje szereg możliwości (choćby przeszukiwania ex post), których jeszcze nie poznałem. Można też oczywiście codziennie każdy list kopiować w dowolnym miejscu, co trwa sekundy i robić stosowne katalogi w tym miejscu. Wtedy nie ma problemu przy zmianie komputera, przy jego przeróbce lub jego awarii.

Raz Ci już to, co niżej, doradzałem, ale nie wiem czy to zrobiłeś, bo nie uzyskałem żadnej informacji. Zrób tak, aby w komputerze były co najmniej dwa dyski. Jeden podstawowy na Windows i oprogramowanie - może być niewielki i nazywać się będzie Dysk C i drugi, który nazywać się będzie Dysk D, na którym będzie Twoje archiwum, czyli wszystko, co robisz, a więc także obszar pracy, niedokończone teksty, projekty etc. Można te dwa dyski zrobić na jednym dużym dysku, dzieląc go na dwie partycje oznaczone C oraz D i zagospodarowane w ten sam sposób, jak dwa oddzielne dyski. W razie awarii i konieczności powtórnej inicjacji systemu, tracisz tylko część C, a część D zostaje nienaruszona. Oczywiście warto najważniejsze rzeczy kopiować na CDR (które są już za grosze), bo raz na sto lat, może jednak szlag trafić mechanizm dysku i wtedy odzyskanie danych kosztuje bardzo drogo, bo istnieją firmy które się tym zajmują. Tak więc architektura komputera powinna wyglądać w ten sposób, by były tam dwa dyski lub dwie partycje i nagrywarka CDR/RW (obecnie kosztuje grosze i są ich dziesiątki na rynku). Dobry jest też ZIP, ale obecnie nieporównywalnie droższy w eksploatacji i wcale nie szybszy od współczesnej nagrywarki CDR/RW. Radzę dobrze i z myślą właśnie o unikaniu takich sytuacji, przez jaką przechodzisz. Dodatkowo radzę sukcesywnie robić kopie Identities, z których potem (gdy jest to całościowa kopia) bez trudu importować można z powrotem całego Outlokok Express, wraz z jego archiwum. Te kopie można robić na dysku D lub na CDRW metodą InCD/Package Writing lub na ZIP, ale ma on za małą pojemność. Tyle zrzedzenia.

Zdzisław

PS: Aha: jeśli załączniki fotograficzne w poczcie nie otwierają się same, a w ich miejscu jest taki kwadracik oraz x, to można je otworzyć programem, który zazwyczaj otwiera u Ciebie pliki graficzne. Robisz kopię z załączników do jakiegoś wybranego foldera, a potem otwierasz program, szukasz foldera i polecasz otworzyć pliki. Zawsze się to powinno skończyć sukcesem.

12 stycznia 2003

A więc przesiedziałem dziś prawie całą noc i zrobiłem Ci kopię całej mojej korespondencji z Tobą od 2.9.2000, do 12.1.2003. Jest tego około 32 MB i jest to zbyt wielkie, by wysłać to mailem, chyba, że bym podzielił to na 10 rat. Nagram Ci to na CDR i zabierzesz sobie, gdy będziecie w Warszawie w trakcie przerwy międzysemestralnej. Mogę też dać komuś, kto się po to do mnie zgłosi i wyśle Ci pocztą, bo ja nadal nie mogę wychodzić z domu. Zrobiłem to - mimo iż chciałeś wszystko skanować, bo nie zdajesz sobie nawet sprawy ze skali trudności, jakie powstałyby w perspektywie. Być może jakiś jeden lub dwa listy pominąłem przez nieuwagę, a być może, że znajdzie się tam jakiś mój list do kogoś innego. Taka robota jest męcząca i ogłupiająca, a automatycznie powtarzane czynności, po pewnym czasie zaczynają generować błędy. Gdy w swych drukowanych archiwach znajdziesz jakiś list, którego tu będzie brak, to podasz mi datę, a ja go szybko odszukam i skopiuję. Podejmij więc decyzję jak mam Ci to dostarczyć: na kilka rat via e-mail, czy też na CD.

Pozdrowienia

Zdzisław

13 stycznia 2003

Jak słusznie zauważyła Ania: "Zerwałeś z papierosami, zerwałeś z alkoholem, zerwałeś (nareszcie!) z panienkami. Tylko ze Zdzisią nie możesz zerwać. To jest Twój obecny narkotyk".

To prawda. Choć zarzekałem się, że już nie będę nic w Ciebie inwesto-

wał, nadal biegam za Twoją sławą. I z pewnością tak już będę ganiał do śmierci. Jest we mnie natura sługi. Ale jak służyć, to już wielkiej sprawie. W końcu nawet królowie służyli do mszy i uważali to sobie za zaszczyt.

Piotr

Poniedziałek, 13 stycznia 2003 godz. 10:53

O, Panie, to dla Twojej chwały!

Dzięki, że wszystko skopiowałeś. To wielka robota. Ja też, i jak widzę niepotrzebnie, cały wczorajszy dzień, do północy, przesiedziałem skanując kartka po kartce cały 2002 rok. Ale ponieważ Twoje listy ukazywały mi się z ptaszkami a, jak słusznie piszesz, wcale nie wiadomo, czy te ptaszki dałoby się przekonwertować na polską czcionkę, to zrobiłeś ogromną, doskonałą i pożyteczną robotę.

Toteż nie będę już skanował 2000 roku, który też jest potężny i zabrałby mi co najmniej jeden cały dzień. Gdy przyjadę do Polski dasz mi CD rom i wpiszę sobie całość Twoich listów do komputera oraz doZIPu.

Na marginesie zauważę, że Twoje namowy, bym coś zrozumiał z komputera są skazane na wieczne spelzanie na niczym. A to dla trzech przyczyn: Po pierwsze komputer nie jest jeszcze doskonałą maszyną o prostej i łatwej obsłudze takiej, jaką ma na przykład telewizor.

Po drugie winni są jego konceptorzy i autorzy podręczników do obsługi. Piszą tak, jakby rozmawiali z samymi sobą, lub kimś takim, jak oni sami. Używają zwrotów zaczerpniętych nie z potocznego języka, a z ichniego żargonu, tak, iż już na pierwszej linijce wyjaśnienie człowieka staje jak wryty i nie może postąpić ani kroku dalej.

Po trzecie nauczyciel, jakim jesteś, nie może zrozumieć, że jeśli nawet miałbym jak małpa naciskać na każdą ikonę, jaką mi wskazujesz to i tego nie mogę zrobić, bo nazwy, jakie mi wysyłasz po polsku, czy po angielsku nie mają żadnego związku z nazwami francuskimi, jakie ukazują mi się na ekranie. Toteż, żeby móc ruch po ruchu wykonać całą drogę, jaką mi wyznaczasz, musiałbym najpierw zrozumieć, o co chodzi, a to z założenia jest właśnie trudnością, która jest dla mnie nie do przeskoczenia.

Piotr

Poniedziałek, 13 stycznia 2003 godz. 12:48

Przy sposobności skanowania zrobiłem trochę porządku w naszej korespondencji. Zorientowałem się wówczas, że nie mogę doszukać się dwóch Twoich listów, które są dla mnie istotne.

Jeden to ten krótki, w którym zrywałeś ze mną znajomość oznajmiając mi, że od tego czasu moje listy będą mi zwracane. Drugi to ten, w którym odnowiłeś tą znajomość, proponując wypalenie fajki pokoju.

Czy masz kopie tych listów? Czy możesz mi je przysłać? Dzięki.

Piotr

Poniedziałek, 13 stycznia 2003 godz. 21:39

Otrzymałem przesyłkę listów z 2000, roku oraz jeden list z 2001 roku. Natychmiast wszystko, według Twoich wskazówek zarejestrowałem na twardym dysku, a zaraz również zarejestruję na ZIP-ie.

Wyczyściłem dokładnie moją skrzynkę pocztową, wyrzucając wszystko, co niepotrzebne do śmieci, a potem oczyściłem mój kosz do śmieci tak, by znów posiadać szeroką przestrzeń wolną i tak, byś mógł przesłać następny pakiet listów. Bo chyba było za mało miejsca w moim e mailu na przyjęcie wszystkich trzech pakietów.

Co do zaginionego listu, to mogę w przybliżeniu podać jego datę: ostatni list przed zerwaniem miałem z 29 listopada o godz. 8:12. Prawdopodobnie następny lub dwa-trzy następne były tymi, o które mi chodzi. Co do listu o fajce pokoju, to go w końcu znalazłem.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję Ci, że dokonałeś całej tej pracy.

Piotr

Poniedziałek, 13 stycznia 2003 godz. 23:25

Podzieliłem na dwie części rok 2002 i wysłałem tylko pierwszą, ale znowu się odbiło od Paryża. Myślę, że po prostu skopiuję to na CDR i albo sobie wezmiesz w lutym, albo podeślij kogoś, kto Ci to nada na pocztę. Zapakuję i jutro poproszę o to Gajewskiego, ale nie wiem, czy znajdzie czas. Wysłałem list, o który prosiles i jakiś list, który podobno był do niego załączony, a który u mnie figurował jako list nie wysłany. Oczywiście wystrój literniczy jest inny, bo konwersji ulega tylko goły tekst bez wykrojów czcionek etc.

Zdzisław

Poniedziałek, 13 stycznia 2003 godz. 23:35

Przepraszam: wysłałem poprzednio napisane niewłaściwą czcionką. Jestem już zmęczony. Niżej dwa listy z minionej epoki.

Zdzisław

Drogi Piotrze!

Odpowiadam na Twój list z dnia 6 grudnia 1995, który otrzymałem w dniu dzisiejszym. Na wszystkie poruszone w nim kwestie odpowiedziałem już w listach wysłanych Ci poprzednio w ciągu lat 1994 i 1995. Nie będę na nie odpowiadać po raz drugi. Wystarczy przeczytać uważnie to, co pisałem poprzednio. Listu z dnia 10 kwietnia 1995, którego kopię teraz mi wysłałeś, w ogóle nigdy nie dostałem. W dniu 10 kwietnia 1995, kiedy go napisałeś, umowa była już zerwana, a obrazy stanowiące odszkodowanie, zostały zaakceptowane przez Ciebie w liście z dnia 24 listopada 1994. Dlatego tylko je oprawiłem i przekazałem do Muzeum Archidiecezji.

Zaprezentowana przez Ciebie interpretacja terminów "posiadania" i "własności" jest rzucaniem prawniczych pereł przed wieprze. Nie znam się na prawie, ale wiem, że umowa została zerwana, wątpliwości interpretacyjne wyjaśnione, zaś Twoje jątrzące listy, wyprowadzają mnie na długie dni, z potrzebnej do pracy, równowagi, w związku z czym od dnia dzisiejszego proszę, byś się ze mną przestał kontaktować, bo listy zostaną Ci zwrócone bez otwierania. Moja żona jest bardzo poważnie chora i naprawdę nie mogę użerać się w nieskończoność na temat nieistniejących

kwestii. Odwołuję także moją zgodę na wystawę w Paryżu w roku przyszłym. Załączam na Twoją prośbę wydruk mojego niewysłanego listu z dnia 9 października.

Łączę pozdrowienia dla Ciebie i Twojej Żony.

Warszawa, godz.:

Drogi Piotrze!

Nie wiem, co mam odpowiedzieć na Twój list z dnia 27 września 1995. Po ostatnim spotkaniu, wydawało mi się, że nasze stosunki powoli zaczynają się poprawiać, tymczasem okazuje się, że znowu zasiadłem na ławie oskarżonych. O co Ci teraz chodzi? O to, że nie powiedziałem w wywiadach "całej prawdy". Przecież w wywiadach odpowiada się na zadane pytania. Cała prawda musiałaby wypełnić więcej miejsca niż cały wywiad i więcej niż posiada cała gazeta, a i to jeszcze nadal nie byłaby cała prawda. Kogo zresztą ona obchodzi, oprócz Ciebie i mnie? Ty też udzielając w radio wywiadu, nie powiedziałeś "całej prawdy". Nie zająknąłeś się nawet, że zrywając umowę dałem Ci odszkodowanie. Wręcz przeciwnie: mówiłeś wyłącznie o tym, że odmawiam respektowania punktu 30, jakby to on właśnie miał stanowić jedyny ekwiwalent za zerwaną umowę. Inne Twe kwestie też w znacznym stopniu odbiegały od "całej prawdy", o czym niżej. I czy ja zgłaszałem o to pretensje?

W żadnym wywiadzie nie użyłem określenia, że byłem wyzyskiwany. Powiedziałem, że dałem za darmo 50 obrazów, bo je przecież dałem za darmo. Mówiłem jednak równocześnie, że było to odszkodowanie. W określeniu "odszkodowanie" mieści się *implicite* to, że jest to ekwiwalent za coś. Powiedziałem, że to były dwa lata mojej pracy, bo były. Powiedziałem też, że za jeden obraz żądałeś więcej, niż mnie płaciłeś za wszystkie. Mnie zapłaciłeś rocznie za wszystkie 16.500.- \$, a za jeden żądałeś średnio 20.000.- \$. Powiedziały mi to, niezależnie od siebie, co najmniej 4 osoby, które odwiedziły Twoją galerię.

Mój, jak uprzejmie określasz, "nigdy niezaspokojony apetyt na pieniądze" wynika z prostego faktu, że pozbywam się obrazów wyłącznie w celu zarobienia na życie. Każdy musi jakoś zarabiać i czyni to zgodnie z własnymi umiejętnościami. Ty prowadzisz sprawy sądowe, ja maluję i sprzedaję obrazy. Gdybym nieustannie nie dbał o pieniądze, nie zrobiłbym żadnych

oszczędności i nie miałbym obecnie, gdy w Polsce nie istnieje rynek sztuki, za co utrzymać siebie, domu i rodziny, bo przecież nie pobieram pensji na pierwszego. Jak, z mojej perspektywy, wyglądała sprawa z "Morfeuszem": w pierwszych dniach listopada, za pośrednictwem Jerki, zwrócił się do mnie Cowan, z propozycją wydania albumu i prośbą o slajdy. Odesłałem go do Ciebie, bo posiadałeś wyłączne prawo do czerpania zysków z publikacji na mój temat. Nadszedł jednak 16 listopada i zerwałem umowę. Jerka poinformował o tym fakcie Cowana. W następstwie tego, Cowan zadzwonił do mnie i powiedział (za pośrednictwem tłumaczki), że pertraktuje o udostępnienie slajdów z wydawnictwem Ramsay (nie z mojej inspiracji, bo mu w ogóle o tym wydawnictwie nie wspominałem), po czym napisał, że ma trudności z odkupieniem od nich slajdów. Podąłem mu, więc, adres Glinickiego, bo wiedziałem, że robił też ze wszystkiego slajdy dla siebie. Umowa z Tobą nie zabraniała robienia slajdów przez trzecie osoby, a Glinicki nigdy tego przede mną nie ukrywał i nawet proponował, od samego początku, że będzie jeden komplet robić także dla mnie, ale zrezygnowałem wtedy, ze względu na koszt. Utrzymujesz, że robił je na Twoim materiale, ale to są tylko domniemania. Udostępniłem im wzajemnie ich adresy i na tym moja rola się skończyła! Podpisałem potem umowę z Cowanem i mam dostać 7% z wpływów za album i nie będzie to na pewno majątek. Na jakiej więc podstawie używasz w stosunku do mnie określenia "całość owoców sobie przywłaszczyłeś"? Co sobie przywłaszczyłem? Czyż nie jestem autorem tych prac?

Na marginesie: będąc u mnie w maju, powiedziałeś, że Cowana zgubiła własna chciwość, bo gdyby zwrócił się do Ciebie, dałbyś mu slajdy za darmo, a Glinickiemu musiał za nie zapłacić 6.000.- \$. No więc, o co w ogóle chodzi? Chyba, że mówisz co innego, niż myślisz.

Wystawa w Polsce: a więc uważasz, że to mnie urządziłeś tą wystawę, do której nawet nie pozwoliłeś mi wybrać zestawu obrazów (Twój list z dnia 13 lutego 1995). To była wystawa Twojej KOLEKCJI, co oczywiście nie oznacza, że była zła. Piszesz, że Twoja galeria otworzona została tylko dla mnie. Tak, ale w celu sprzedawania moich obrazów, które były Twoją własnością. Po to wreszcie spisaliśmy umowę i podzieliliśmy obowiązki. Czy ja mam w związku z tym ponosić współodpowiedzialność za deficyt, za cocktaile, których nawet nie wahałem, za socrealistyczne obrazy, jakie kupo-

waleś w Warszawie i w Moskwie, za wszystkie inne, związane z nią wydatki i błędne (jak sam ostatnio przyznałeś) inwestycje?

Poza tym: czy nie zdajesz sobie sprawy, że dużą część, jeśli nie większą część tych wydatków, sfinansowałeś za pieniądze uzyskane ze sprzedaży moich obrazów? Wreszcie Japończycy też kupili moje obrazy. O szeregu innych transakcji sam mi opowiadałeś. A czy wreszcie nie zostało Ci jeszcze sporo obrazów i to najlepszych, do własnej kolekcji? Pozwól sobie wreszcie przypomnieć, że obrazów po 5.000.- \$, nie byłeś zmuszony (jak to powiedziałeś w radio) kupować, a miałeś tylko prawo pierwokupu, zresztą kupiłeś ich tylko 4. W tym okresie, mogłem je sprzedać w Warszawie, za trzykrotnie wyższą cenę. Po 3.000.- \$, kupiłeś w sumie 26 obrazów (końcówka za rok 1990 i cały rok 1991). Twoja pierwsza wypłata z pieniędzy od Japończyków, polegała na wykupieniu ode mnie, leżących u Ciebie na składzie 32 obrazów, które zostały przecenione na połowę dawnej ceny podstawowej. Ponadto wykupiłeś około 80 rysunków wycenionych po 50.- \$. Wreszcie pozostałe obrazy, które miałem wtedy namalowane, kupiłeś po 1.600.- \$. W połowie lat osiemdziesiątych, sporą ilość obrazów nabyłeś po 600.- \$, bo zostały przeze mnie przecenione. Wszystko to jakoś inaczej wygląda w Twoich wspomnieniach, szczególnie wtedy, gdy głosisz je przez radio i dajesz do zrozumienia, że "dziesiątki, jeśli nie setki obrazów" opłaciłeś sumami pięciokrotnie wyższymi niż były umówione, ale "cała prawda", której się domagasz, jest mniej efektowna od Twych wspomnień.

Myślę, że teraz po zerwaniu umowy i po tym, jak minął prawie rok czasu, można nareszcie postawić grubą kreskę, oddzielającą przeszłość i przestać sobie wzajemnie zatruwać życie. Jak to się dzieje, że z wieloma ludźmi prowadziłem i prowadzę korespondencję, w której dyskutujemy o sztuce, polityce, filozofii i sensie życia, piszemy sobie o tym, co się nam wydarzyło i tak dalej, a korespondencja z Tobą, staje się nieustającą wymianą not dyplomatycznych! Miałem nadzieję, że teraz, gdy już nas nie wiąże umowa, to się zmieni.

Pięknie pozdrawiam Ciebie i Twoją Żonę.

Wtorek, 14 stycznia 2003 godz. 11:15

Nie dostałem od Ciebie roku 2002 i 2003. Czyżby moje wyczyszczenie skrytki pocztowej i kosza od śmieci nie pomogło i nadal masz trudności w zapakowaniu tego i przesłaniu mi? A może źle się czujesz? Daj znać.
Piotr

13 stycznia 2003

Z pewnym opóźnieniem nadeszła Twoja dzisiejsza poczta, tak, iż wiem, że nic Ci nie jest.

Co do zaginionego listu, to chodzi o jeszcze inny niż te, które mi przysłałeś (prawdopodobnie następny po nich). Był to krótki list z czterech linijek, w którym zapowiadałeś mi, że od tego dnia moje listy skierowane do Ciebie będą mi zwracane.

Jako skrzętny archiwista mam wszystkie Twoje listy dokładnie poukładane z wyjątkiem dwóch, które są ważne, a których absolutnie nie mogę się doszukać.

Jednym jest właśnie ów list o zerwaniu naszych stosunków, drugim zaś jest dawny, jeszcze na maszynie pisany Twój list, w którym odmawiałeś zrewaloryzowania ceny obrazów w związku z podniesioną do ponad 10 franków ceną dolara.

Co do tego ostatniego to wiem, że go już nigdy nie odnajdę i pogodziłem się z tym faktem.

Lecz chciałbym, chociaż ten pierwszy odzyskać.

Cieszę się, że te wszystkie złe chwile są już za nami.

Piotr

Wtorek, 14 stycznia 2003 godz. 12:19

Ależ ja wczoraj wysłałem informację o tym, że ponowna, czyli trzecia z kolei próba, spaliła na panewce. Ponadto wysłałem kopie dwóch listów i to dwukrotnie, bo za pierwszym razem zapomniałem o konieczności zmiany czcionki na Lucida Casual. W końcu dziś wysłałem już jeden list i Ty nic nie otrzymałeś. Tego to nie kapuję. Pewnie tego, co teraz piszę też nie otrzymasz. Może coś się zablokowało w programie serwera, na skutek

wysyłania zbyt dużych plików.

Przed chwilą Grzesiek zawiadomił mnie, że wysłał wszystko na CDR normalną przesyłką lotniczą. Powinieneś to chyba dostać do końca tygodnia. Wadą maila jest to, że ogranicza wielkość transferu: raz, ze względu na powolność transmisji, a drugi raz ze względu na rozmiary poszczególnych kont. Masz zapewne mniejsze konto niż ja, bo moje nie przyjmie 15 MB, ale 10 przyjęło, a Twoje nie przyjmuje nawet 5.

Zdzisław

14 stycznia 2003

Wczoraj po Twojej przesyłce listów z 2000 i ze stycznia 2001 roku otrzymałem e-mail od Noos, że moja elektroniczna skrzynka pocztowa przekroczyła próg 20 MB. Po czym nastąpiła rada skasowania za dużej ilości mesaży przez wrzucenie ich do kosza od śmieci (dossier corebeil), po czym o wyrzucenie całego kosza od śmieci. Tak też zrobiłem sądząc, że dobrze robię. Za chwilę dzwonię do Bambo, żeby mi to wytłumaczył, jeśli popełniłem głupstwo. W każdym razie przez Ciebie wysłaną e-mailem korespondencję zarejestrowałem na twardym dysku i na ZIP-ie. Tak, iż przynajmniej temu już nic mi nie grozi.

Słyszałeś zapewne, że republikański gubernator Illinois ustępując z urzędu wypuścił na wolność czterech skazanych na śmierć, a pozostałym 160 zamienił wyrok śmierci na dożywocie.

Przyznam się, że, mimo iż jestem fanatycznym zwolennikiem kary śmierci nie mogę mu nie przyznać racji. Motywował, bowiem swój gest tym, że amerykański wymiar sprawiedliwości za często się myli, żeby być w pełni wiarygodnym. Przy tym zacytował chyba z dziewięćdziesiąt skazań na śmierć w pierwszej instancji i to tylko w swoim stanie, które w apelacji skończyły się niewinnieniem albo zwykłą karą więzienia. Poza tym wielu skazanych na śmierć miało adwokatów z urzędu, którzy słynni byli z tego, że "olewali" sprawy i wręcz kolekcjonowali kary śmierci, nie broniąc lub udając tylko, że bronią narzuconych im klientów. Wreszcie jest absolutną prawdą, że nieproporcjonalnie więcej jest skazanych na śmierć wśród kolorowych, niż wśród białych.

Wszystkie te argumenty przemawiają do mnie i nawet ucieszyłem się, że ktoś miał dość tupetu, żeby wałnąć pięścią w stół i wrzasnąć "dosyć!". Bo system sprawiedliwości, w którym główną rolę grają złożone z półgłówków jury, a które sądzą "na nos" jest niedopuszczalny w dzisiejszych czasach. I to zarówno we Francji, (w której wprawdzie kary śmierci już nie ma, lecz, w której głupie jury nadal sięgają spustoszenie i za to samo albo wymierzają karę 5 lat albo 20), jak i w Stanach i w każdym cywilizowanym kraju.

Co nie przeszkadza, że nadal twierdzę, iż w kraju wielkości Francji powinno być co najmniej 500 wyroków śmierci wykonywanych rocznie, bo morderstw jest tu około dwóch tysięcy, a poza tym około sześciu tysięcy ludzi rocznie znika na amen. Z czego z pewnością trzy czwarte zostało zamordowane, a tylko nie udało się tego wykryć.

Bo uważam, że w wypadkach, w których nie ma żadnej wątpliwości, co do winy, ponieważ sprawca został złapany na gorącym uczynku, kara śmierci za morderstwo jest jedyną, jaka powinna być wymierzana. I to nie z nienawiści do przestępcy lub ze współczucia dla ofiary, a z przyczyn czysto społecznych i prewencyjnych: tacy ludzie mogą to zrobić jeszcze raz, a więc trzeba ich wyeliminować. Trzymanie ich w więzieniach to sprowadzanie niebezpieczeństwa na rzesze małych przestępców, którzy z nimi muszą w więzieniu żyć i przed nimi drzeć. Pozostają dwa ostatnie względy uczuciowe, (które wzniosłe nazywa się "humanitarnymi"), które mogłyby wejść w grę: współczucie dla sprawcy lub poszanowanie w nim ludzkiego życia. Ale te dwa uczucia są mi obce.

Piotr

Wtorek, 14 stycznia 2003 godz. 23:32

Pisałem już niejednokrotnie, że mój sprzeciw wobec kary śmierci nie wynika z jakiejś ideologii, czy sumy poglądów, lecz jest irracjonalny i emocjonalny. Nie podejmuję się dyskusji na ten temat: po prostu jestem emocjonalnie przeciw. Nie zmienia to faktu, że gdybym spotkał się osobiście z sytuacją jednoznaczną, to podobnie jak Bronson, nie wahałbym się, by wałnąć z luźni do jakiegoś drania. Tyle, że w życiu sytuacji jednoznacz-

nych jest nader niewiele, możliwości bezpośredniego zetknięcia z nimi jeszcze mniej, a dominują biurokracja, sprzeczne interesy, matactwo sądowe, naginanie przepisów, luki prawne i tak dalej, co jako prawnik znasz sto razy lepiej ode mnie. Nie mam do demokratycznej instytucji wymiaru sprawiedliwości cienia zaufania i dominuje u mnie, wyniesiona zapewne z młodzieńczych lektur i prostych filmów, psychika szeryfa z Dzikiego Zachodu. Dlatego też jako wyborca, nie chciałbym tym instytucjom powierzać życia nieznanym mi ludzi, choć zdaję sobie sprawę z tego, że doskonałych rozwiązań nie ma. Mordowanie związanych, budzi mą najgłębszą odrazę i ja pod tym się nie podpiszę. To wszystko oczywiście dotyczy sfery kryminalnej i poza tym, takim gołębiem nie jestem i w stosunku do terroryzmu islamskiego, a także ekspansji cywilizacji islamu, mam pogląd dokładnie taki sam, jaki zademonstrowała Oriana Fallaci. Tolerancja nie jest wartością abstrakcyjną, kończy się tam, gdzie nie spotyka się z tolerancją drugiej strony i musi ustąpić miejsca konfrontacji.

Jutro od rana mam sesję zdjęciową do babskiego magazynu, do którego wywiadu udzieliłem ponad dwa lata temu w listopadzie 2000. Teraz się ocknęli. Przed kilkoma dniami fotografował mnie wstępnie szef działu fotografów, a jutro przychodzi ekipa z oświetleniowcem i kosmetyczką, by robić "na czysto" i "z koncepcją". Cóż to za arcydzieła powstaną...
Zdzisław

Środa, 15 stycznia 2003 godz. 16:36

Wielki Mistrzu! Została Jego Wspaniałości przyznana niezwykle cenna nagroda: miasto Kłaj dolny przyznało Mu "wyróżnienie".

Tak, tak, Mistrz został wreszcie uznany przez cały Świat, bo w samym Paryżu, a to nie lada co, Societe Nationale des Beaux Arts (mała asocjacja niedzielnych malarzy) przyznała Mistrzowi dyplom (niestety zapomnieli o medalu) z "wyróżnieniem". Dyplom mam i zachowuję go dla przyszłych pokoleń.

Wystawiłem Twój obraz (Katyń) wraz z obrazem Henricot na zupełnie nieliczącym się salonie (wprawdzie mającym miejsce w gmachu Muzeum Luwru) na prośbę niejakiego Pierre Henri, milego człowieka i marnego

malarza, który tam sprawuje funkcję "Prezydenta".

Ów Prezydent zapowiedział mi, że za rok zostanie Mistrzowi złożony "Hommage a Beksiński" (będzie pasowało jak ulał do mojego filmu) i będzie dla niego zarezerwowana cała jedna sala. Tylko musi o to poprosić oficjalnie ambasada polska.

No, proszę! Jeszcze tylko jedno takie wyróżnienie, a będziesz robił za Pi-cassa.

Piotr

15 stycznia 2003

Nawiązuję do naszej wczorajszej rozmowy o karaniu przestępców.

Otóż widziałem w telewizji (lecz nie zglębilem tego jeszcze w prasie fachowej) dwa króciutkie reportaże o tym, jak ostatnio w Finlandii władze dokonały zakrętu o sto osiemdziesiąt stopni w materii karania.

Zamiast wsadzać do więzienia (oczywiście nie ma tam mowy o karze śmierci, bo nikt jej już w Europie nie stosuje) nawet za poważne przestępstwa zaczęto karać małą grzywną. A jednocześnie zamyka się więzienia (przy-pominam że Le Pen, a z nim 18 procent Francuzów, którzy na niego głosowali w ostatnich wyborach prezydenckich, żądają otworzenia dziesiątków nowych więzień dla 250 tysięcy!!! nowych więźniów).

Nie jestem przeciwny takiemu rozwiązaniu pod warunkiem, że system wykrywania przestępstw (co między innymi zakłada obecność policji na każdym zakręcie codziennego życia) będzie funkcjonował ze stu procentową skutecznością.

Bo sędzę, że nie wysokość kary odstrasza potencjalnych przestępców (ona odstrasza takich strachliwych jak ja mieszczuchów, którzy inaczej daliby być może upust swej agresywności, ale ponieważ się boją, to siedzą cicho). To, co naprawdę odstrasza rzeczywistych przestępców, to pewność, że zostaną złapani i ukarani. Wtedy nawet minimalna kara wystarczy, by ich odstraszyć.

Kiedyś byliśmy z Anią w Norwegii. Wynająłem tam samochód i zjechałem długą trasą z północy na południe wzdłuż fiordów. Pewnego dnia zostaliśmy na dzień w Bergen. Rano zaparkowałem samochód nieprawidłowo

wo i po powrocie znalazłem mandat. W godzinę potem pojechałem dalej i znów zaparkowałem nieprawidłowo. Wróciłem po trzech minutach i już znalazłem następny mandat. Wreszcie pod wieczór zdarzyło mi się to samo i po pięciu minutach nieobecności zastałem trzeci mandat. Od tego czasu rozumiałem. Nigdy już w Norwegii nie zaparkowałem niewłaściwie. Tam policja drogowa była tak sprawna, że nawet najmniejsze wykroczenie było natychmiast wykryte i ukarane.

Ale czy policja (w tym wypadku fińska) będzie równie skuteczna i to w stosunku do morderców? Czy Państwo liberalne może sobie na długą metę pozwolić na wszechobecność policji i na ścisły policyjny nadzór nad każdym z obywateli?

Ciekaw jestem, co z tego wyniknie po roku, czy dwóch i czy zropaczeni, że zupełnie niczego nie wskórali Finowie, nie wrócą do dawnej polityki surowych kar?

Piotr

Czwartek, 16 stycznia 2003 godz. 19:42

Problem został rozwiązany. Rzeczywiście wszystko się zatkało z chwilą, gdy mi wysłałeś potężną paczkę Twoich listów. Natomiast ja, żeby odblokować nie tu kasowałem, gdzie trzeba było kasować. Teraz już wiem. Wszystko wraca do normy.

Piotr

Czwartek, 16 stycznia 2003 godz. 20:41

OK. List dostałem. Kolega właśnie poszedł. Z telefonami tak zawsze jest, że przez cały dzień nikt nie dzwoni, a potem wchodzi się do WC lub wychodzi, by wyrzucić śmieci do zsypu i w tym momencie od razu jest telefon. Kolega zaryczał: ktoś dzwoni (ja w kiblu puszczałem muzykę) na co odwrzasnąłem: podnieś słuchawkę zaraz wyjdę, ale on nie podniósł. Poza tym nic się nie dzieje. Od tygodnia nie malowałem, bo zbyt bolały mnie krzyże. Dziś podmalowałem obraz, ale nie wiem, czy mi się jeszcze

nie pogorszy, bo cudownie nie jest, ale jest trochę lepiej niż wtedy, gdy było bardzo źle. W ubiegłym roku też trwało to chyba tak długo. Nie dają jeszcze rady wychodzić z domu.

Zdzisław

Piątek, 17 stycznia 2003 godz. 12:01

Niechże mnie sobie wyróżniają, byłem nie musiał kupować czarnego ubrania i nigdzie pojawiać się osobiście - bo Ty oczywiście nie zrezygnujesz. Przed laty kolekcjonowałem jako fotograf dyplomy honorowe z rozmaitych części globu i medale, na których przekręcano moje nazwisko - teraz nawet nie wiem, gdzie to jest. To akurat jest całkowicie bez znaczenia.

Co do karania grzywną, to wiele sobie można wyobrazić kar, ale jak je wyegzekwować. Obok nas stał sobie kamienny pomniczek przedstawiający jakiegoś świętego. W końcu ktoś rozwalil mu na kawałki głowę. Przez rok w ASP, w ramach pracy dyplomowej z konserwacji, odkuto według tych kawałków i według fotografii replikę i uroczyście postawiono na dawnym postumencie. Po dwóch miesiącach ktoś ponownie rozwalil na kawałki głowę postaci i problem zaczyna się od początku. Można wymyślić kilka wariantów kary i najbardziej mi odpowiadający swym humanitaryzmem i aspektem wychowawczym wyglądałby w ten sposób, że winny dostawałby w celi dłuto i inne przyrządy do rzeźbienia oraz kamień i tak długo nie miałby prawa opuścić celi, dopóki nie wyrzeźbi wiernego duplikatu. Inny, bardziej racjonalny, ale droższy wariant, polegałby na opracowaniu hologramu wyrzeźbionej postaci, który byłby już niewrażliwy na poczynania wandalii. Trzeci, trochę w stylu scifi, połączony z natychmiastowym karaniem: rzut kamieniem w kierunku pomnika, wywoływałby szok elektryczny u rzucającego. Co by tylko w ramach takich utopii nie wymyślić, wszystko w zetknięciu z szarą rzeczywistością okaże się niewykonalne z kilku powodów: inteligencja przeciętnej gliny nie przekracza inteligencji wandalii. Policja jest niedofinansowana, więc jest jej za mało i jest nieskuteczna, bo łatwa do przekupienia i nie chce się narażać za takie gówniane pieniądze. W zakresie mandatów za złe parko-

wanie można odnieść sukces, ale w zakresie powiązań mafijnych, handlu narkotykami i bronią, morderstw etc., sukces taki jest w odległości Alfa-Centauri i to zapewne także w Norwegii. Polska jest tak niedofinansowana, że nie tylko policja jest do niczego. Oglądam amerykańskie filmy i widzę to samo. Samochód powinien być ubezpieczony, a warunki ubezpieczenia dokładnie przestudiowane, bo NIKT w policji nie będzie mieć czasu na nic więcej poza przyjęciem zeznania i sporządzeniem protokołu, a poza tym firma ubezpieczeniowa wykorzysta wszelkie luki umowy, by zapłacić mniej niż oczekiwaliśmy lub w ogóle wykręcić się od płacenia. Można by, więc, sądzić, że przede wszystkim opłaca się być przestępcą, ale to też nieprawda. W pewnych granicach wszystko się opłaca, w szerszym zakresie należy nauczyć się pływać na desce surfingowej oraz uzbroić w tolerancję i wyrozumiałość dla świata, w najszerszych granicach i tak należymy wszyscy do przegranych. Tytuł filmu Herzoga "Wszyscy przeciw sobie, a Bóg przeciw wszystkim" bardzo dobrze oddaje istotę bytowania na tym padole płaczu. Koniec kazania.

Zdzisław

Sobota, 18 stycznia 2003 godz. 14:12

Na Boga. Cóż ja mogę napisać szczegółowego. Strona zrobiona profesjonalnie i z dyskretną elegancją, bez płomieni, wosku kapiącego ze świec, latających obiektów i migających kolorów, co zaliczam jej na plus, a poza tym szybciej się ładuje. Osobiście wolalbym nieco większe powiększenia niż można je obecnie uzyskać, ale oczywiście spowolniłoby to manewrowanie. Tym niemniej, jeśli to ktoś ma kupić, to myślę, że najpierw chciałby obejrzeć, co kupuje. Być może należałoby przewidzieć możliwość "download" większego formatu, co najmniej na obszar monitora 1024/768, który jest obecnie najpowszechniejszym standardem dla ludu bożego, także w zakresie monitorów LCD, ale nie wiem, czy taki "bank obrazów" nie podraża całej imprezy, bo wymaga zwiększenia kupionego miejsca w domenie. Nie znam się na tym. Spytaj o to Sołtyska. Rozumiem, że okładka albumu BoSz użyta jest na razie jako zastawka? Bo jest przy nim informacja, że to album prac z okresu 87-91. Moim zdaniem mi-

gawki fotograficzne w dziale Piotr i Anna powinny być większe lub mieć możliwość powiększenia. Ludzi ciekawią takie rzeczy. Wpisy w księdze gości są takie, jak wpisy w księdze gości. Dobrze będzie, jeśli w ogóle będziesz mieć gości - no ale to już Twoja decyzja. Należałoby się w tym celu postarać, by link do Twojej galerii umieściły podobne, lecz ogromne domeny jak choćby: <http://www.artsforge.com/index O.html> jak też i inne, które odszukasz w internecie. Wracam do malowania zanim nie zajdzie słońce.

Zdzisław

18 stycznia 2003

Jestem coraz bardziej zaniepokojony tymi Twoimi bólami. Czy Ty nie masz jakiegoś dobrego lekarza, który by określił, co to jest i jak się to leczy? Bo stale piszesz, że to "chyba" zmiana pogody czy też "chyba" coś innego. Przecież istnieją również kompetentni lekarze, którzy, gdybyś ich zapytał, umieliby ściśle określić, co Ci dolega i coś na to poradzić.

Listy, które mi wysłałeś nie zawierają tego, w którym anonsowałeś mi zerwanie naszej znajomości. Powtarzam, iż ten list, o który chodzi, był króciutkim, trzylinijkowym listem, który kończył się słowami "od dzisiejszego dnia Twoje listy będą Ci zwracane". Sądząc po datach tych, które mi wysłałeś, list ten musiał być z drugiej połowy grudnia lub nawet później. Jak Cię przestanie boleć, to sprawdź.

Piotr

Sobota, 18 stycznia 2003 godz. 15:26

Jest taka galeria, na którą czasami trafiam i zawsze dawniej myślałem, że masz z nią coś wspólnego. Jest po zabojadziemu i pod adresem:

<http://peintre.beksinski.free.fr/index -800.html>

Teraz sobie przypomniałem o jej istnieniu, bo z ciekawości szukałem czy Twoja nowa galeria jest do znalezienia po moim nazwisku. Ta powyżej, wyskoczyła dziś w przeszukiwarce Google jako pierwsza pozycja

na liście ponad 3000 znalezionych odniesień. Nie wiem w takim razie, kto ją wykombinował, ale są tam obrazy z Twoich albumów lub z Twoich slajdów.

Zdzisław

Sobota, 18 stycznia 2003 godz. 21:45

Nie wiem jak sobie dam radę, bo przed godziną złapał mnie cholerny ból prawego barku od góry (tak jakby się na nim wsparł cały nasz blok) i promieniujący w stronę ramienia i łopatki. Gorąca kąpiel nieco to uciżyła. Wczoraj dla odmiany rąbnęło mnie w lewe ścięgno Achillesa tak, że przez pół godziny skakałem na jednej nodze. To wszystko pewnie uboczne skutki lumbago.

Oba listy dostałem, ale przecież wysłałem Ci tą skonwertowaną korespondencję. Czyżbyś jej nie dostał? Na wszelki wypadek wysłałam po raz wtóry. Na razie. Tak boli, że nie umiem zebrać myśli.

Zdzisław

Stare listy...

Sobota, 18 stycznia 2003 godz. 23:12

Czyżbyś nie czytał tego, co napisane? Ależ jest tam dokładnie ten tekst, o którym piszesz, tylko zapewne rzuciłeś pobieżnie okiem na koniec, a na końcu jest list inny, który zgodnie z listem pierwszym, krótkim i pochodzącym z 21 grudnia, był do niego dołączony - wobec czego dołączyłem go i obecnie. Więc jeszcze raz: wysłałem kopie DWÓCH listów. Pierwszy z 21 grudnia i drugi, który był do niego dołączony, bo jak wynika z tego, co napisane jest w pierwszym liście, życzyłeś sobie go otrzymać. Jest to "nie wysłany list" z dnia 9 października.

Innych listów z grudnia nie mam. Przeczytaj, choć raz, uważniej, bo np. wielokrotnie zadaję Ci jakieś pytanie, a Ty nie odpowiadasz na nie, stąd wniosek, że z reguły nie czytasz uważnie.

Co do lekarzy, to już chyba pisałem, dlaczego nie lubię do nich chodzić,

mimo, iż mam szereg prywatnych znajomości w tym świecie. Skierują mnie na 10 rozmaitych badań analitycznych typu: rezonans magnetyczny, tomografia etc., wszystko z dojazdem na mrozie i zimnie, każde w innym czasie i w innym miejscu. Będzie cudem, jeśli przy mojej łatwej zapadalności na zaziębienia, nie zachoruję jeszcze dodatkowo na gardło, nos i płuca lub nie zarazę się czymś w poczekalniach, pełnych kaszlących ludzi. W wyniku tych badań mogą wymyślić operację w STOCER w Konstancinie, a na to nie mogę sobie w tym roku i w mojej sytuacji pozwolić, bo nie mam jeszcze pomieszczenia dla księżej gospodyni, a po operacji kręgosłupa bez aprowizacji i opieki zginę, nie mogąc samodzielnie wciągnąć nawet spodni. Wiem jak to było z Tomkiem.

Kto mi kupi krzesła rehabilitacyjne (klęczniki do pracy), zamówi gorset etc. Są ludzie, którzy lubią się leczyć i są tacy, którzy (pomijając banalną profilaktykę) leczą się dopiero w ostateczności. Ja do takich należę, a ostateczności jeszcze nie ma. Ja przez to WIELOKROTNIE przechodziłem. Raz w młodości, na początku lat 60, trzymało mnie przez trzy miesiące non stop. Poza tym biorę cholerną ilość leków na nadciśnienie, zaordynowanych mi przez Klinikę w Aninie. Przed tygodniem lekarka, którą przytargala do mnie z telewizji moja znajoma, zapisała mi dwa środki, z których pierwszy wchodzi w reakcję ze środkami moczopędnymi, a drugi jest ubocznie usypiający. Żaden lekarz nie myśli o synergizmie i każdy widzi tylko swoją działkę. Etc., etc.

Zdzisław

19 stycznia 200

Mea culpa.

Jak sobie człowiek coś wyobrazi, to potem, ani rusz, nie może od tego wyobrażenia odstać.

Otóż ja sobie wyobraziłem, że Twój list zrywający stosunki był trzylinijkowy. Toteż, gdy wysłałeś mi dwa ostatnie Twoje listy z 95 roku, które trzylinijkowe nie były, to nawet ich dokładnie nie przeczytałem.

Na Twoje pytania na ogół odpowiadam, z wyjątkiem, gdy dotyczą komputera. Gdy tylko wchodzisz na ten temat, rzeczywiście prześlizgnę się

oczyrna do miejsca, gdy zaczniesz się coś dla mnie zrozumieć. Toteż na ogół nie wiem nawet, o co w sprawie komputera pytasz, a tym mniej na to odpowiadam. Lecz resztę czytam uważnie, najczęściej dwa razy i na wszystkie pytania (zresztą, jeśli nie dotyczą komputera bardzo rzadkie), odpowiadam.

W sprawie Twego leczenia odnajduję u Ciebie takie same uprzedzenia nie do przeskoczenia, jakimi są u mnie uprzedzenia w sprawie zrozumienia czegokolwiek z komputera. Ty po prostu założyłeś sobie, że badań będzie dziesięć, że wszystkie będą w innych miejscach Warszawy, że oczywiście Ty złapiesz grypę, że oczywiście będzie operacja kręgosłupa, gorset etc. I cokolwiek rozsądnego by się Tobie powiedziało na temat leczenia się, Ty automatycznie wyciągniesz tę stereotypową odpowiedź, tak jak ja wyciągam moją o mej niezdolności zrozumienia czegokolwiek na temat komputera. Są to zahamowania, które na zawsze skazują Ciebie na cierpienie z bólu, a mnie na cierpienie z powodu niesprawnie działających maszyn. Zresztą mogę również użyć porównania do mego uporu w ponawianej prośbie o przysłanie mi trzylinijkowego listu. Tak to sobie ubrałem i dopiero, gdy tupnąłeś nogą zadałem sobie trud, żeby sprawdzić, że wcale on nie był trzylinijkowy i że od dawna już znajdował się w moim archiwum.

Piotr

Niedziela, 19 stycznia 2003 godz. 13:52

Być może we Francji istnieje coś takiego jak Pan Doktor, który przychodzi do domu, zna od lat pacjenta, wypisuje recepty i może nawet w sytuacjach, gdy pacjent jest sam, przynosi mu leki do domu. Taki przedwojenny Pan Doktor, do którego ma się zaufanie jak do wujka i który dopiero w sytuacji podbramkowej zaleca jakieś badania dodatkowe. U nas jest przeciwnie i wiem, co mówię, bo od lat (dwie babcie, Tomek, Zosia, a także ja sam) stykałem się ze światem medycznym. On nie istnieje bez badań dodatkowych. Wydaje się to jakim (jakimś?) stereotypem zrzucania odpowiedzialności. Wskoczy Ci przyszcz na nosie, a oni już wysyłają na badanie próbki, i do dermatologa, i na badanie krwi. W szpitalu jest

nie inaczej. Leżałem wielokrotnie w szpitalu i moja rodzina też. Istnieje taki film Monty Pythona "Sens życia". Pokazany jest tam w formie groteskowej poród w klinice angielskiej. Pan doktor żąda aparatu, który robi "ping", bo bez niego nie może sobie poradzić, a ktoś tam narzeka, że szpital jest nie doinwestowany i nie mogą udostępnić aparatu który robi "ping". DOKŁADNIE to samo jest w polskim szpitalu. Pobyt trwa tam z reguły od 10 dni do dwóch tygodni tak, aby pacjenta można było przepuścić przez wszystkie aparaty które robią "ping". W czasie tego pacjent najczęściej zdrowieje sam z siebie i z tego, że sobie poleżał w ciepłe i wypisują go ze szpitala. Nie zauważyłem, by ktokolwiek wyciągał jakiegokolwiek wnioski ze wskazań tych aparatów. Oczywiście na pewno przesadzam, ale to trochę jest na zasadzie Ju-Ju. Gdy wyczerpie się repertuar badań, bo już nie ma więcej aparatów, to doktorzy tracą inicjatywę, ale jak już napisałem, w tym okresie pacjentowi najczęściej mijają objawy i można go wypisać.

Oczywiście przesadzam w kierunku groteski, ale ta groteska oddaje dokładnie to, co jest. Zaczyna się od rentgena i badania krwi, a potem jest Doppler, echo serca, usg, rezonans, tomografia, nie wspominając o encefalogramie i elektrokardiogramie, rektoskopii, gastrokopii, skanowania osteoporozy itepe, itede. Nie ma już dawnego Pana Doktora, który przychodzi do domu, opukuje i każe pokazać język oraz powiedzieć aaa.

To wymarły gatunek. A takiego doktora na pewno bym wezwał. Dodatkowo (o czym wiesz), mam kłopoty nerwicowo-gastryczne. Prawie każde badanie wyznaczają na godzinę 8 rano na drugim końcu Warszawy. Aby nie mieć problemów ze sraczką, muszę w tym celu nastawić budzik na godzinę 4 rano i dopiero, parokrotnie się wypróżniwszy, jechać na badanie. To dla mnie droga przez mękę. Cały dzień potem jest spisany na straty, bo morzy mnie senność. Oczywiście, gdy nie będzie innego wyjścia to i tą drogę przejdę na czworakach, ale na razie nie jest aż tak źle. Gdy leczyliśmy moją mamę, to po jakieś badanie krwi musieliśmy w zimę i mróz jechać aż do Instytutu Atomowego w Świerku pod Warszawą. Przywieźliśmy po pół dnia cały wachlarz papierów zadrukowanych jakimiś wzorami, ale pani doktor zaledwie rzuciła nań okiem przez kilka sekund i potem, do śmierci babci, leżał sobie bezużytecznie na półce. Wczorajszy (koszmarny!) atak bólu barku, przeszedł po gorącej wannie i ubraniu się potem

we flanelową koszulę i sweter. Potem dziś rano powrócił, ale osłabiony, a teraz nie boli. To wszystko są nerwobóle, a na nerwobóle i na alergie "dochторы" znają tylko takie leki, które ubocznie wywołują senność. Napisane jest w ulotce, że po zażyciu nie można obsługiwać maszyn i prowadzić samochodu ale W MOIM WYPADKU oznacza to koszmarną senność, przy której nie mogę pracować ani przy rysunku, ani przy obrazie, ani przy komputerze, a tylko drzemać jak kot na fotelu. Zazwyczaj taki lek przepisują na czas nieokreślony. Bóg zapłać. Trzeba mieć końskie zdrowie, by się leczyć!

Zdzisław

19 stycznia 2003

Rzuć okiem na ten tekst, który ma być niejako credo galerii. Napisz, co o tym sądzisz nie wykręcając się jak zwykle, że też, co Ty możesz powiedzieć na temat tego, co inni piszą.

Muszę to jutro rano wysłać Soltyskowi ze zdjęciami z Twoich wernisaży, ektachromami innych malarzy, których myślę wystawiać oraz dalszymi wskazówkami dotyczącymi budowy galerii.

Gdy przeczytałem owo credo Ani, to zrobiła minę i powiedziała, że "o ile Beksiński ma styl lekki i dowcipny, o tyle Ty masz agresywny i wkurwiający".

Osądź czy tak jest i wyraż wszelkie uwagi, które przejdą Ci przez głowę, tak, jakbyś Ty miał coś takiego napisać.

"Wirtualna galeria «DMOCHOWSKI GALLERY» jest następczynią realnej galerii noszącej nazwę «Galerie Dmochowski. Musee-galerie de Beksiński», która działała od 1989 roku do roku 1995 przy ulicy Quincampoix w Paryżu. Założeniem tej ostatniej było popularyzowanie sztuki Beksińskiego. Założeniem jej następczyni jest dziś pokazywanie nie tylko prac tego wielkiego artysty, ale również szeregu innych, których spotkałem po drodze i których prace cenię.

Są to z reguły artyści figuratywni, dający wyraz cierpieniu, niepokoju i bólowi. Bo nic mnie tak nie mierzi jak sztuka zimna, konceptualna, lub

dekoracyjna.

Niektórzy z nich tworzą prace realistyczne. Inni fantastyczne lub symboliczne.

Są wśród nich wielcy i uznani jak i mało znani, a mimo tego, moim zdaniem, wybitni.

Wszystkich ich chcę Wam pokazać i podzielić się z Wami wrażeniami, które odczuwam, gdy patrzę na ich prace.

Prace te będą wystawiane wyłącznie dla przyjemności pokazania ich, bez propozycji sprzedaży.

Bo prezentować je wam będzie kolekcjoner a nie marszand."

Piotr Dmochowski

Poniedziałek, 20 stycznia 2003 godz. 20:14

Odpowiem jutro, bo dziś przyjechał kuzyn z Sanoka na nocleg.

Zdzisław

Wtorek, 21 stycznia 2003 godz. 08:04

Wydaje mi się, że tekst jest napisany dobrze i ja osobiście mam wątpliwości do jednego tylko zdania: "Bo nic mnie tak nie mierzi jak sztuka zimna, konceptualna, lub dekoracyjna". Ja bym to zdanie usunął, bo - w moim odczuciu - wylamuje się z ogólnej powagi tekstu swoją zaczepnością i wezwaniem do polemiki. Może - skoro masz ochotę na polemikę - uruchomić w Galerii forum dyskusyjne, coś w rodzaju BLOGa na rozmaite znane Ci języki, gdzie mógłbyś się z jednej strony wygadać, a z drugiej podyskutować. Sołtysek zapewne wie, w jakiej formule to się zwykle robi. Nie rękę za skutek, bo tematy, na jakie ludzie chcą podyskutować, z rzadka tylko dotyczą sztuki - no ale można spróbować. Zastrzeżenia do Twojej galerii (lub raczej jej wersji próbnej), które uzyskałem od innych, były z reguły takie, że te prace są już znane "internautom". Mój stały korespondent np. w ogóle nie zauważył, że obrazy mają ceny i są także towarem. Większość internautów to ludzie młodzi i bez forsy, działający dla idei i postrzegający resztę świata w tych kategoriach. Musisz też być przygotowanym na

to, że do dyskusji włączą się ludzie całkowicie nieprzygotowani - tak jak ten facet, który w poprzedniej wersji forum dyskusyjnego zauważył dużą postać Orka. Najogólniej potwory i monstra z filmów SciFi lub Phantazy, kojarzone lub mylone są z deformacją malarską, która w jakimś sensie wywodzi się z Picassa, a nie z Walta Disney'a.

Zdzisław

Wtorek, 21 stycznia 2003 godz. 12:09

Nie wiem, czego chce ten Twój NOOS, ale zwrócił mi przed chwilą jedno czy dwuzdaniowe RE na list do Sołtyska. Być może NOOS nie przyjmuje RE(pond), więc piszę powtórnie i wysyłam jako normalny list.

Wysłałeś mi o godzinie 9:58 tekst przeznaczony dla Sołtyska i nie wiedziałem, czy zrobiłeś to jako "do wiadomości", czy przez pomyłkę w adresowaniu.

Zdzisław

Wtorek, 21 stycznia 2003 godz. 13:56

Dokumentnie nic nie rozumiałem z Twojego e-maila z godziny 12:09. Na dodatek są w nim błędy maszynowe, które zupełnie uniemożliwiają dojście, o co tu chodzi.

Twojej rady o wykreślanie z credo galerii zdania o tym, co mnie mierzi w sztuce, uważnie wysłuchałem i skrzętnie wykonałem.

Piotr

Wtorek, 21 stycznia 2003 godz. 18:29

Twojej rady, żeby skreślić to zdanie posłuchałem. Ale rozkaz, jaki dałem na ten temat Sołtyskowi, z niewiadomych dla mnie przyczyn, został przesłany do Ciebie.

Toteż Sołtysek wydrukował to zdanie, a ja przed chwilą znów mu napisa-

lem, żeby je skasował. Spójrz teraz na moją galerię (dmochowiskigallery.com), a zwłaszcza na jej stronę "wernisaż". Wydaje mi się OK. Napisz, co myślisz.

Co do całej reszty to są tam różne poprawki i uzupełnienia do zrobienia. Ale zaczyna się to już wyraźnie rysować.

Piotr

Środa, 22 stycznia 2003 godz. 08:03

Wydaje mi się wszystko OK. Pod fotografiami pamiątkowymi w działach wernisaż i Piotr wstawiłbym daty ich dokonania. Oczywiście nie tam, gdzie prezentujesz swoją galerię, bo jest to zdjęcie niemające charakteru historycznego. Trochę się lękam efektu, jaki Ci przyniesie galeria, bo przywiązujesz do tego wagę, jak do pierwszego wernisażu w 1985, a to jest rzucanie butelki z listem do oceanu. Mała szansa, że ktoś zauważy.

Wczoraj, po raz pierwszy od miesiąca, wybyłem z domu starym polonem pana Krzysztofa złotej rączki. Podjechaliśmy z arkuszem płyty pilśniowej na miarę, by zamówić ramy w firmie na ul. Rakowieckiej. Dziś wyjdę już po zakupy, bo nie jest ślisko, a krzyże wracają chyba powoli do normy. Wczoraj przez cały dzień pan Krzysztof oprawiał u mnie obrazy dla muzeum w Sanoku. Przyjadą po nie 4 lutego. W związku z tym, zmieniłem dekorację w dwóch pokojach (sypialni i magazynie obok). Sam teraz nie biorę się za żadną fizyczną robotę w obawie, by z krzyżami się ponownie nie pogorszyło. Nawet bielizny pościelowej nie wkładam do tapczanu, lecz układam na regale w magazynie za zasłoną. Zacząłem już malować.

Zdzisław

22 stycznia 2003

Ponieważ sam z rzadka i przez zupełny przypadek trafiam na taką, czy inną galerię internetową, czy na prace takiego, czy innego artysty, to wiem, że na nic innego ze strony widzów nie mogę liczyć. Z tym, że

o istnieniu galerii sam poinformuję jak najszersze grono i będę to robił permanentnie.

Co do nadziei, to zupełnie nie jest to ta sama, którą miałem w 1983-85 roku. Wtedy rzeczywiście spodziewałem się, że świat padnie na kolana i zakrzyknie alleluja. Dziś mam do tego stosunek bardzo płytki. Chodzą mi raczej o zabawę, niż o wielkie zwycięstwo. Na to ostatnie już nie liczę za mego życia. Tyle tylko, że mając ogromną kolekcję, będę w ten sposób miał zawsze możliwość uruchamiania mechanizmów jej upowszechniania, których inaczej uruchamiać bym nie mógł.

Nie zapominaj wreszcie o tym, że jako kolekcjoner lubię chwalić się tym, co mam. Tak, iż nawet bez zysków pieniężnych będę usatysfakcjonowany, jeśli ktoś wdepnie od czasu do czasu do galerii i napisze pochlebne słowo w złotej księdze.

O ile prowadzenie realnej galerii łączyło się z fantastycznymi wręcz wydatkami na zaproszenia, koktajle, afisze, czynsz, podatki, pracownicy i sto innych rzeczy, o tyle galeria wirtualna kosztuje mało i na dodatek nie zmusza mnie do codziennej fizycznej obecności w niej po 4 godziny ciurkiem (plus dojazd w dwie strony zabierający w sumie dalsze trzy godziny).

Nie, nie, w ogólnym rozrachunku jestem zadowolony, tym bardziej, że Sołtysek zrobił dobrą robotę.

Przyjeżdżamy do Polski na tydzień w środku lutego, bo mam tam wygłosić jakiś odczyt prawniczy. Pozwolimy sobie odwiedzić Cię. Szkoda, że nie zobaczą obrazów, które teraz już jadą do Sanoka.

Czy Ty tam nie pchasz za dużo swoich prac? Ty, który słusznie zawsze się bałeś, że zgromadzone w jednych rękach mogą zginąć w jakimś nieszczęśliwym wypadku lub zostać z woli właściciela zepchnięte do wilgotnej piwnicy i zapomniane...

Jeszcze raz nakłaniam Cię do podarowania (jeśli Ci wstyd samemu się do tego zniżyć, mogę to wziąć na siebie) szeregu obrazów szeregowi polskich muzeów.

Cieszę się, że przeszły Ci już bóle krzyża. U nas dziś piękna pogoda i całkiem ciepło.

Piotr

Środa, 22 stycznia 2003 godz. 11:33

To, co przekazuję teraz do Sanoka (kilka obrazów, chyba w sumie 7) doskonale znasz, bo widziałeś je na ścianie mojej sypialni i sąsiadującego pokoju-magazynku, oraz na regale wśród obrazów namalowanych. Większość obrazów sprzedaję, daruję lub przekazuję na aukcje dobroczynne. Nie maluję w sumie tak wiele jak dawniej. Starość. To, co jest w Sanoku, stanowi nie tylko reprezentatywną dla mnie kolekcję, ale także zdejmuję mi z barków problemy wystawowe. Teraz, gdy ktoś się zwraca o wystawę, to zamiast wić się i kłamliwie wykręcać, skieruję go do Muzeum w Sanoku. W jakimś sensie zapewnia mi to stan, jaki zawsze lubilem najbardziej, czyli luz. Choćby ostatni koncert pamięci Tomka połączony był z wystawą moich obrazów, będących jego własnością. Złatwili to od początku do końca pracownicy Muzeum, którzy na dodatek rozwiesili prace i pilnowali samej wystawy. Niestety galeria w Prado nie jest zainteresowana moją osobą, a szeregowo muzea w Polsce mają tylko przeładowane magazyny i wystawy okolicznościowe, tak więc byłbym albo stale reprezentowany jednym obrazem, albo okresowo trzema z okazji wystawy tematycznej "Malarstwo polskie drugiej połowy XX wieku" lub "Sztuka fantastyczna w Polsce" i tak dalej. W tym celu zawsze wypożyczają sobie obrazy z Sanoka. Nie sądzę, by to było źle pomyślane.

Zdzisław

Czwartek, 23 stycznia 2003 godz. 22:47

O, francuski, inteligentny, cienki i pięknie zagrany film Alain Resnais "Amour a mort" (Miłość na śmierć)! Jakaż przyjemność obejrzeć mądry, medytacyjny i subtelny film po gruboskórnej, prostackiej i wrzaskliwej amerykańskiej "sztuce filmowej", która hałasuje w telewizji cały dzień. Jednak mimo wszystkich żali, jakie mam do Francuzów o sto różnych rzeczy, miałem fart, że w 1964 roku nie wylądowałem w Nowym Jorku, a w Paryżu.

Piotr

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 08:11

Nie wiem, czy ten list miał być zaproszeniem do polemiki i jako "Beksin-ski semper fidelis amerykańskiemu filmowi" powinienem replikować - czy też chodziło po prostu o wyrażenie bezinteresownego entuzjazmu? Czysty entuzjazm jednak nie wymagałby takiej ilości uproszczeń i uogólnień, co wskazywałoby raczej na chęć dokopania moim rzekomym gustom estetycznym, niż na kartezjańską jasność wyводу. Resnais to reżyser z górnej półki - nie jestem miłośnikiem akurat tego stylu i w końcu tego chyba nikt ode mnie nie wymaga, ale wszędzie są reżyserzy z górnej półki: jeśli na jednej szali postawi się np. Marienbad, a na drugiej z tej samej epoki serial Starski i Chacz (czy jak mu tam) i wyciągnie w oparciu o to wniosek o wyższości kultury francuskiej nad amerykańską, oraz pogratuluje sobie, że nie mieszka się w USA, lecz we Francji, to są to uogólnienia bardziej bezsensowne niż owe popularne i funkcjonujące wśród ludu: Ognisty Hiszpan, ociężały i prostacki Niemiec, błyskotliwy Francuz oraz głupi i leniwy Polak. A poza tym, od kiedy to Ty jesteś taki "cienki"? Zauważyłem raczej, że walisz zwykle prosto przed siebie z grubej rury i to o wiele grubszej niż potrzeba.

Nie znając żadnego miasta na świecie poza Sanokiem i Warszawą - nie wiem, czy lepiej jest mieszkać w Paryżu, Nowym Jorku czy Hong Kongu. Mnie dawniej pociągał przede wszystkim chaotyczny ogrom organizmu miejskiego, no i jego otwarcie na świat. Dziś, gdy przestaję znać nawet Warszawę, bo wszystko zaczyna być poza moim zasięgiem - aspekt ten prawie kompletnie utracił znaczenie.

Ponieważ domagasz się jasnych sformułowań i wniosków, to wniosek brzmi tak: subtelni, inteligentni i cieni bywają ludzie, a nie narody lub państwa.

Cześć.

Zdzisław

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 11:47

Twoja konkluzja o braku cech narodowych wydaje mi się nietrafna. A na dodatek właśnie cechy, jakie przypisujesz Polakom, Niemcom i Francuzom (o Hiszpanach nic nie powiem, bo ich za mało znam) są słuszne. Oczywiście nawet w Afganistanie są ludzie inteligentni, cieni i lotni. Na ogół jednak jest to w masie ciemna dzicz, mroczne, groźne i agresywne tłumy.

Zawsze wolę samochód niemiecki lub szwedzki niż francuski, bo będzie solidniej wykonany.

Zawsze wolę sobie pogadać, nawet z przeciętnym, Francuzem niż z przeciętnym Amerykaninem.

I zawsze wiem, że od Polaka usłyszę jak najgłupsze odpowiedzi i mamą, niedokończoną robotę.

Choć i w Polsce zdarzają się rzemieślnicy solidni, ludzie dowcipni i świątli, a we Francji tłumoki.

Są jednak pewne statystyczne, przeciętne (choć jest to statystyka intuitywna, nie naukowa, bo i jak?) cechy narodowe i Twoja relatywność jest równie drażniąca jak generalny i skrajny antysemityzm, lub skrajnie zdecydowany rasizm.

Ucieczka w relatywizm jest objawem słabych przekonań i lękliwej inteligencji, która woli na wszelki wypadek się nie wypowiadać. Co zresztą dokładnie pasuje do Twojej osoby.

Rzuć teraz okiem na moją galerię i powiedz, co myślisz o detalach obrazów, jakie porobił Sołtysek. Czy nie za bardzo widać pędzel?

Piotr

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 13:06

Kilka komentarzy dodatkowych.

Trochę trzeźwości w myśleniu nigdy nikomu nie zaszkodziło. A więc rzecz nie w tym, żeby bogobojnie zaprzeczać różnicom narodowym i rasowym. Rzecz w tym, żeby nie przypisywać tym różnicom trwałości i nieusuwalności, jaka wynika z genetyki. Jak również żeby z różnic, które dzielą całe grupy ludzkie, nie czerpać argumentu do uciskania, pogardza-

nia lub agresowania jednych, a uprzywilejowywania drugich.

Różnice pomiędzy grupami istnieją i są wyraźne. Z tym, że w przeważającej większości są one socjo-kulturalne, a nie genetyczne.

Jest dla mnie niezaprzeczalnym, że Żydzi są inni niż Palestyńczycy, że czarni są inni niż biali, że homoseksualiści są różni od heteroseksualistów, że kobiety są różne od mężczyzn, że Amerykanie są różni od Francuzów i tak dalej. Różnice między nimi są widoczne jak na dłoni.

Co nie przeszkadza, że zawsze będę potępiał posługiwanie się tym argumentem do odpychania i upośledzania homoseksualistów, Żydów, kobiet, czy czarnych i twierdzenia, że różnice są nieodwracalne, bo genetyczne. Pewien jestem, że dziecko murzyńskie wyjęte z buszu i od niemowlęcia wzięte na wychowanie przez dwoje intelektualistów, liberałów i kochających go Francuzów, będzie takim samym zdolnym i inteligentnym dzieckiem jak ich własne białe, francuskie dziecko.

Tylko głupi "Le Monde" będzie się upierał, że różnic nie ma, a z nim wszyscy dobrze i poprawnie myślący lewicowi demokraci.

Różnice są i cała rzecz w tym, żeby te, które są złe, starać się zwalczać, jednocześnie pozwalając się rozwijać tym, które są dobre.

Oczywiście powiesz sprytnie: a co jest w takim razie "dobre" a co "złe"? I już będzie Ci się zdawało, że mnie zagnałeś w kozi róg i że będę zaraz skamlał o wybaczenie. W odpowiedzi przypomnę Ci, że jeśli cieszymy się, że buduje się wspólna Europa, to właśnie dzięki temu, że złe różnice pomiędzy narodami europejskimi powoli się zacierają i że wszyscy się na starym kontynencie do siebie upodabniamy. Jeśli tej wspólnoty "dobrych" cech europejskich by nie było, to Unii Europejskiej też by nie było.

A jeśli nie chcemy w Unii Turcji, to właśnie dlatego, że jest inna i to w "zły" sposób. To są ewidencje. Ale nic nie jest trudniejsze niż przekonać ludzi o rzeczach ewidentnych.

Egzemplum: Bekiński

Piotr

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 13:28

Nie powiedziałbym, że mam lękliwą inteligencję, bo to określenie jest

całkowicie niejasne, ale o tym, że nie mam przekonania, to oczywiście wiem i nawet jestem z tego dumny. Nie znam więcej jak 5 Francuzów i więcej niż 5 Amerykanów, a nawet nie jest wykluczone, że pięciokrotnie przesadzam, bo cóż to znaczy znać (nie znając na dodatek języka)? Znam natomiast sporo literatury, dramaturgii i filmu, zarówno francuskiego jak i amerykańskiego, by móc się wypowiadać na temat porównań. Czy w Ameryce zdolny jest zrobić dobry film jeden na 3 miliony Amerykanów, a we Francji jeden na 300.000 Francuzów (bo coś takiego wynika z Twojego tekstu) tego nie wiem, ale bynajmniej nie twierdziłem czegoś przeciwnego. W końcu czytałem bardzo elitarne teksty literackie napisane przez Palestyńczyków i Nigeryjczyków, a zapewne takie teksty powstają też w Afganistanie i ani w głowie mi było przeprowadzać statystyki takie, jakie przeprowadzasz. Jeśli porównuję to wybitnych z wybitnymi - Ty natomiast porównałeś jednego z najwybitniejszych reżyserów na świecie z seryjnym chłamek telewizyjnym na zasadzie francuskie cienkie i inteligentne kontra amerykańskie prostackie i hałaśliwe. Może byś tak z repertuaru francuskiego sięgnął po "Żandarma na wakacjach", "Leona zawodowca", "Asterixa" i inne temu podobne jak choćby "Goście" (Les Visiteurs).

Nawiasem: BMW to cholernie awaryjne i kiepsko wykonane wozy. To samo dotyczy VOLVO. To nie moja opinia, lecz wybitnego fachowca w tej dziedzinie. Oczywiście jest on Polakiem, więc możesz przyjąć tą wypowiedź, jako kompletnie głupią. Skądinąd BMW jest nobilitującą marką w USA, co z kolei możesz przypisać głupocie Amerykanów. Jakby nie było - wyjdzie na Twoje!

Co do szczegółów, to ich wadą nie jest nadmierna widoczność pędzla, co niedostateczna widoczność pędzla, ale to już wina jakości slajdów, a nie Soltyska.

Zdzisław

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 13:34

Gdy wysyłałem list, nadszedł następny. Nie dam rady tak szybko, bo poprawianie błędów, zajmuje mi strasznie wiele czasu. Muszę trochę popra-

cować, bo po południu ok. 15 przyjedzie pan Krzysztof i pomagać mi będzie w przywiezieniu ram i oprawieniu obrazu. Czas będę mieć dopiero wieczorem. Na razie.

Zdzisław

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 19:49

Jak możesz, powołując się znów na jakiegoś "wybitnego fachowca w tej dziedzinie" twierdzić (Ty, który stronisz od określeń dobitnych i nie znoszących sprzeciwu), że "VOLVO to cholernie awaryjny i kiepsko wykonany wóz", skoro go sam nigdy nie miałeś? Ja miałem cztery VOLVO, Volkswagena, Chryslera i Renault i mogę Cię zapewnić, nie powołując się na żadnego "wybitnego specjalistę", żeby wyglądało tak ogromnie poważnie i na serio, i żeby tak zatkać usta każdemu, kto ośmieliłby się protestować, że jest to ZNAKOMITY samochód i najlepszy z tych, które wymieniłem. Jednym VOLVO jeździłem ponad sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i miałem tylko raz problem z air condition. Pozostałe trzy, włącznie z tym, które mam teraz, nie miały nigdy żadnej naprawy z wyjątkiem, gdy zahaczyłem o coś i powyginał się błotnik lub drzwi lub wjechałem na gwóźdź i trzeba było zmienić oponę.

ZDUMIEWASZ mnie!

Co myślisz o liście, jaki sobie wydrukowałem z zaproszeniem do galerii?

Paryż, 24 stycznia 2003

Szanowni Państwo,

Zapraszamy do wirtualnej galerii dmochowskigallery.com

e mail : piotr@dmochowskigallery.com

Anna i Piotr Dmochowscy

Mój załącznik (Zaproszenie)

Piątek, 24 stycznia 2003 godz. 20:22

Jak widać jesteś jeszcze wybitniejszym specjalistą niż ten, który mnie in-

formował. Ja nie potrafię nawet odróżnić VOLVO od Poloneza. To nie była moja opinia, lecz opinia cytowana. Będę teraz zainteresowanym przytaczać Twoją opinię, dopóki znowu kogoś ona nie zdenerwuje.

Nie bardzo wiem, komu i jak chciałbyś wysłać zaproszenia? Ja nie mam na ten temat żadnego zdania, bo nigdy nie wysyłałem zaproszeń i w ogóle jestem raczej źle wychowany. Może Sołtysek zna sposoby, by galerię uczynić bardziej widoczną w przeszukiwarkach, albo po nazwisku Dmochowski, albo inaczej. Obecnie wystukanie Dmochowski+Gallery lub nawet DmochowskiGallery w oknie przeszukiwarki niczego nie daje - prowadzi raczej do starej Twojej Galerii na Quincampoix i do Esty w Gliwicach, zaś wirtualna galeria jest niewidoczna, a widoczność jest ważniejsza od zaproszeń. Ciekaw jestem, ile kosztuje umieszczenie banera galerii w jakimś uczęszczanym obszarze. Sołtysek będzie znalazł odpowiedź na te wszystkie pytania.

Mój komputer padł przed dwoma godzinami i wyświetla napis jak na załączonym zdjęciu. Bez wizyty pana z serwisu i straty dwóch dni na powtórnej instalację wszystkiego na dysku, już się nie obejdzie. Pan Krzysztof oparł obraz w bardzo (moim, a nie fachowca zdaniem) ładne ramy, które niestety są dosyć drogie, bo kosztują 530 zł. To na prezent, ale może by tak oprawiać i inne obrazy?

Zdzisław

24 stycznia 2003

Dzięki za śmieszne zdjęcia. Najbardziej mi się spodobał "uszkodzony" samochód. Dwóch jednak napisanych ręcznie nie mogę odczytać.

Prace nad galerią trwają, ale chyba się już skończą w przyszłym tygodniu. Na ogół jestem zadowolony. Wysyłając wczoraj mailowe zaproszenia do wielu artystów, którzy mają swoje strony w internecie, mogłem stwierdzić, że w miażdżącej większości są one denne, przeladowane, krzykliwe, bez gustu, pstrokate. Tak, iż pogratulowałem Sołtyskowi roboty, bo na to zasługiwał.

Dziś caluteńki dzień wypisywałem koperty i zaproszenia, które wieczorem wyślę do różnych ludzi, by ją obejrżeli.

Ania, tak jak Ty, lamentuje, że znów będą nadzieje, praca, rozczarowania, nerwy, a tak się jej dobrze i spokojnie żyło od zamknięcia galerii na rue Quincampoix...

Argumentuję, że jakkolwiek by nie było, to przynajmniej nie będzie to wymagało codziennego siedzenia na stolku po cztery godziny ciurkiem, plus trzy, które pochłaniał przejazd w tą i z powrotem.

A poza tym, wiercie mi oboje, ja naprawdę liczę wyłącznie na przyjemność w pokazywaniu tego, co mam lub nie mam, lecz lubię i chciałbym mieć. Wielkich nadziei już sobie nie robię. Toteż ani rozczarowań, ani napięć, ani wściekłości, ani żalów czy pomstowania już nie będzie. Przyrzekam.

Sołtysek pisze mi, że ma kasetę z Twoim wywiadem "Rozmowa na początek wieku", w której "Beksiński dość mile o Panu wspomina". Czyżby Ci się odmieniło i zdecydowałeś się o mnie mówić publicznie na plus? Wprawdzie to "dość" jest mocno powściągliwe, tak, iż jestem ciekaw, co tam rzeczywiście zostało powiedziane. Ale sam fakt, że w wywiadach już nie nazywasz mnie kretyńcem, jest ogromnym postępem, za który pokornie dziękuję...

Piotr

Niedziela, 26 stycznia 2003 godz. 10:39

Mnie z kolei najbardziej rozbawił ten Bieszczad Tadeusz, który kryje na równi w Knurem Trykiem i Buhajem. W tekście pisanim chodzi o usprawiedliwienie z ćwiczeń gimnastycznych dziewczynki, która przechodzi masturbacją. Jest on rzeczywiście niewyraźny.

Nie pamiętam, czy mówiłem coś o Tobie w wywiadzie, bo najpierw pożyczyl go ode mnie Ochman, by komuś skopiować, a gdy oddał, to zaraz, z kolei, pożyczyl Janek Hoser, bo komuś zainteresowanemu chciał to zademonstrować, ale jego stosunek do sprzętu elektronicznego jest taki sam, jak Twój do komputerów. Okazało się, że od dwóch czy trzech tygodni nie potrafi uruchomić własnego magnetowidu i gdy mu usiłowałem coś wyjaśnić przez telefon, to słyszałem szalone majaczenie w stylu, że

są tam trzy pudełka duże i cztery małe, fachowiec (Bambo?) to wszystko połączył, ale chyba małe pudełka się gdzieś pogubiły, ale nie jest to pewne, bo może sprzątaczką pochowała i tak dalej. Domyśliłem się, że duże pudełka to magnetowid i dwa dekodery, a małe to remoty - on najwyraźniej w tym wszystkim się gubi i ma mi dziś odnieść kasetę, ale sam nie wie, czy odniesie właściwą, bo pudełko nie chce się uruchomić i tak dalej. Sołtysek zrobił rzeczywiście dobrą stronę - większość takich stron nie jest robiona przez fachowców, lecz przez młodocianych entuzjastów internetu i oni wpychają tam wszystko, co tylko uda się znaleźć w licznych programikach do robienia efektów - natomiast brak im wyczucia plastycznego. To, czy w ogóle ona będzie jednak funkcjonować w sensie odwiedzin i dyskusji, to całkiem inna sprawa i niezależna od jej jakości.

Zdzisław

Poszliśmy dziś z Anią na wystawę rysunków Otto Dix'a w Centrum Pompidou. Marna wystawka zupełnie drugorzędnych prac. Nie umywa się do wspaniałej, obszerniej ekspozycji zarówno grafik z czasów wojny, jak i najbardziej typowych obrazów, którą widzieliśmy w Fundacji Maght w Saint Paul de Vance, chyba w zeszłym roku.

Ale przy sposobności obejrzelśmy stałą kolekcję i na piątym piętrze wiele nowych prac różnych dzisiejszych twórców.

Trudno mi wyrazić jednoznaczną opinię. Są tam Bonnard, Matis, Alechynski, Rouaut, Baselitz, Klein i kilku innych, głównie francuskich sław, których bez chwili wahania wyrzuciłbym na śmietnik. Bo tylko śmietnika Ci "artyści" są wari. Co za gnój!

Jakoś przychylniej mi się dziś widział Baltus, Dubuffet, Klee. Choć nie przepadam.

Za to z wielką przyjemnością obejrzałem (jak zawsze) Kandynskiego, Leger, monochromatyczne, utrzymane w brązach prace Picasso i Braque z okresu kubistycznego postsezanowego z lat około 1907-1909. Wspaniały Bacon, kilka słabszych prac Cesara. Zauważyłem, że zdjęli znakomitego, wielkiego Mathieu, którego zawsze długo i uważnie oglądałem. I tak dalej.

Ale prawdziwą rewelacją była seria wielkich portretów namalowanych przez średniego pokolenia Chińczyka, nazwiskiem Ming. Coś niezwykle: malowane jest to nawet nie szerokim pędzlem, a wręcz pędzlem do malowania ścian, wręcz miotłą. Monochromatyczne, gigantyczne, ponad wyraz ekspresywne. Jak wspaniale uchwycony wyraz twarzy, jaka siła!

Widywałem tego faceta na różnych FIAC-ach i zawsze go podziwiałem. Ale wtedy widziałem jeden, może dwa obrazy stosunkowo niewielkie (po półtora metra na półtora). Dziś widziałem serię złożoną z chyba pięciu ogromnych gabarytów po dwa i pół na dwa i pół, bardzo dobrze zgranych, ustawionych w szeregu, utrzymanych w tej samej, czarno-szarej tonacji. Jak ten facet potrafi, wałąc zamazyście pędzlem (jedno maźnięcie ma rozmiar 30 centymetrów na piętnaście), tak wspaniale uchwycić wyraz twarzy, a przecież malując nie ma ku temu wystarczającego odejścia (bo trzeba co najmniej czterech metrów żeby zorientować się, co tam w ogóle jest namalowane). FENOMEN! O, to bym chętnie ukradł z Centrum, wybudował moje własne muzeum i dla mojej wyłącznej przyjemności powiesił obok Twoich obrazów. To jest dokładnie to, co "lubią tygrysy", jak mawia Mistrz Beksiński.

Co u Ciebie?

Piotr

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 08:46

U mnie wszystko płynie powoli i nie zawsze w jednym kierunku. Wczorajszy dzień przeciekl między palcami, jeśli idzie o prace nad obrazem. Przedwczoraj, w trakcie fotografowania jednego z ubiegłorocznych obrazów, w celu przeprowadzenia symulacji komputerowej (bo chcę tam zamalować głowę ptaka tak, aby została tylko ciemna głowa bez oczodołów i dzioba i nie jestem pewien co to da, a nie chcę spaskudzić obrazu) coś zaczęło cholernie śmierdzieć.

Pomyślałem o zwarciu w aparacie, ale nadal działał. Wylączyłem go, wyjąłem baterie i pamięć i wewnątrz w aparacie śmierdziało, ale śmierdziało, jak mi się wydawało, w całym mieszkaniu (nawet znajoma która przyszła w chwilę potem spytała, co tu tak śmierdzi) i myślałem, że coś innego

się pali (przewody, wyłącznik etc.). Po jakimś czasie włożyłem baterie i pamięć i aparat normalnie fotografował, tym niemniej do wczoraj, włożone do niego nowe baterie, rozładowały się na zero. Wczorajszy dzień był więc dniem kupowania innego aparatu, dodatków etc., co zajęło czas do późnego wieczora. Naprawianie zminiaturyzowanego sprzętu najnowszej generacji mija się z celem, bo serwisy potrafią jedynie gorzej zepsuć. Jeśli padnie, to padnie. Trzeba się z nim pożegnać. Pogoda okropna. Idę po chleb, a potem biorę się do malowania.

Zdzisław

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 14:00

Dostałem, w formie załącznika, dwa ogromne teksty francuskie, z których nic nie kumam ale domyślam się, że to jest nowa i zapowiadana przez Ciebie wersja *Zmagań o Beksińskiego*. Jeśli dostałem to z prośbą o imprimaturę, to nic z tego, z powodów jak wyżej. Zresztą - jak już pisałem - drukuj to ku większej chwale bożej, o ile widzisz w tym sens. Przeciwno filmowi Dziworskiego się bronilem, ale tylko przeciw filmowi Dziworskiego.

Wczoraj w jedyńce, bez zapowiedzi, powtarzano podobno przed północą rozmowę ze mną w Klubie Qlt. W programie nic podobnego nie było, ale dziś przed południem miałem już dwa telefony w tej sprawie.

Zdzisław

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 15:06

Rzeczywistość jest bardziej prozaiczna: po prostu zamiast przesłać tekst książki po francusku Sołtyskowi, myśląc się, przesłałem go Tobie. Za co przepraszam. Czy masz tekst Twojego wywiadu, o którym wspominasz? Jeśli tak to mi go wyślij.

Piotr

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 16:23

Wywiad, do którego robiono mi te kretyńskie fotografie - bo chyba o nim wspominałem - ma się ukazać (o ile się ukáže) na przełomie lutego i marca w 4 lub 5 numerze babskiego magazynu VIVA. Rozmowa przeprowadzana była w jesieni 2000, i w życiu nie miałem wywiadu, który by się tak długo kocił. Dlatego też piszę "o ile się ukáže", bo oni jak widać przebywają w innym wymiarze czasu. Inny wywiad, który miałem przed świętami, był do pisma VIP i mam jeden egz. dla Ciebie. Trudno byłoby to zeskanować nie drąc na kawalki, bo pismo jest dosyć sztywne. Innych grzechów nie pamiętam.

Zdzisław

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 16:54

Oczywiście niczego nie rwij. Gdy za kilka dni przyjadę (bo będę w Polsce już 9 lutego), to mi po prostu dasz owo pismo.

Założyłem sobie "gad-u-gadu". Na razie pogaduję z Sołtyskiem. To czasochłonne, ale za to natychmiastowe. Podaj mi Twój numer (bo zdaje się, że każdy ma swój numer), a gdy będzie potrzeba szybkiej wymiany zdań, to będziemy się do tego środka porozumiewania uciekali. Na ogół jednak wolę formę e-maili, bo jest bardziej koherentna, lepiej napisana i mogę ją archiwizować.

Piotr

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 21:24

Numer to ja Ci mogę podać, ale BŁAGAM: nie wysyłaj mi SMS. Jestem WROGIEM SMS z kilku przyczyn. Po pierwsze bez okularów do bliży nie wiem, co tam jest na tym monitorku napisane. Zazwyczaj SMS przychodzi wtedy, gdy przechodzę przez jezdnię lub leżę w wannie. Najczęściej przychodzi wtedy, gdy komórka leży w kieszeni kurtki lub w innym pokoju, więc odbieram go po trzech dniach, gdy trzeba gdzieś

wyjąć, bo z komórki korzystam incydentalnie, a jej dzwonek jest zbyt cichy, by przebić się przez inne dźwięki mego mieszkania. Ponieważ raz omal nie wybiłem zębów jakiejś damie, bo miałem o dziwo w kieszeni okulary do bliży, gdyż szedłem coś ważnego kupować i usiłując odczytać, co jest na monitorku, szedłem machinalnie chodnikiem i nagle ryps!!! Gdzie pan ma oczy!!! Tak więc teraz znalazłem swój prywatny nieelegancki, ale skuteczny sposób na SMS. Umieję skasować go przed przeczytaniem i to nawet na ślepo w kieszeni. Tak więc oduczono się ślać do mnie SMS-y. Jak ktoś chce coś obgadać, to niech dzwoni, lub nagra się na sekretarkę w domu lub w Plus GSM, ale w ogóle częściej jestem w domu niż poza domem. Abyś jednak nie sądził, że ukrywam przed Tobą mój numer, to podaję jak niżej: 601-274-179.

Zdzisław

28 stycznia 2003

Nieporozumienie. Ja nie mówiłem o numerze SMS i o telefonie, lecz o numerze "gadu-gadu", które jest sposobem porozumiewania się przez internet. Bowiem do potrzeb założenia mi adresu internetowego galerii był dziś u mnie technik polecony przez Sołtyska. Ten, w ramach uczenia mnie jak się posługiwać owym adresem, pouczył mnie również o szeregu innych czynności, które mogę wykonać (wpisać adres nowego korespondenta do kalendarzyka, stworzyć załącznik do e-maila etc.). Przy sposobności założył mi "gadu gadu", którym teraz porozumiewam się z Sołtyskiem, bo to daleko wygodniejsze niż e-maile. Otóż, o ile zrozumiałem, do tego "gadu gadu" niepotrzebny jest adres e-mailowy, a natomiast potrzebny jest numer. Ja ponoć też taki numer mam. I o takim to numerze pisałem proponując, byś mi go podał.

Po prostu zapomnij o całej sprawie, bo taka forma, w jakiej korespondujemy obecnie, jest dla mnie zadawalająca. Chaotyczna wymiana zdań, do której prowadzi owo "gadu-gadu", a którą potem trudno jest archiwizować (a przynajmniej, której ja nie umiałbym archiwizować), mija się z celem, jaki sobie stawiam.

Bo znów wpadlibyśmy w styl naszych dawnych, nagranych na magneto-

fon rozmów, o których pisałem Ci już, że tak były powikłane, iż trzeba je potem było jakoś "wyprostować" tak, by coś można było z tego zrozumieć. Ale ani Ty nie popierałeś tej idei, ani ja nie byłem w stanie, mimo wysiłków prowadzić "prostowania" dłużej niż na trzech stronach maszynopisu, (bo jak wiesz wszystkie nasze rozmowy prowadzone u Ciebie w domu kazałem swego czasu spisać na maszynie).

I znów minął dzień, i znów zaraz pójść do łóżka i znów zaraz powiem żonie: "No, i o jeden dzień bliżej do śmierci". Jest to zdanie, które powtarzam rytualnie, co wieczór, w tym samym momencie, przykrywając się koldrą, a które wydaje mi się, że powtarzam co pięć minut. Tak jak wydaje mi się, że co pięć minut przykrywam się koldrą...

Piotr

Wtorek, 28 stycznia 2003 godz. 23:28

Nie wykluczam, że gadu-gadu zmieniło formę. Przed rokiem czy dwoma był to program do wysyłania SMS-ów, które wystukiwało się na klawiaturze komputerowej, a potem ktoś męczył się z odczytywaniem na swoim telefonie. W tej chwili jest to, być może, polska nazwa na BLOG-a (choć BLOG nazywa się i u nas BLOG) albo coś podobnego. Dla mnie pisanie jest torturą i najwygodniejsza byłaby komunikacja z kamerą nad monitorem i mikrofonem. Sprzęt LOGITECH i inny jest prawie darmo, ale polskie łącza są na to za wolne. Zdzisław

31 stycznia 2003

Na razie, po czterech dniach od otwarcia licznika, galerię zwiedziło 100 osób. Prawdą jest jednak, że wysłałem około stu zaproszeń we Francji i do Polski.

Jak do tej chwili jedynym tego efektem są dwa listy, które napisała do mnie jakaś galerzystka z Łodzi. Dwa fajne listy, które zapowiadają interesującą korespondencję. Wprawdzie to, co pokazuje nie bardzo mi się

podoba, lecz pisze dobrze.

A tak, to bez zmian.

Tylko co do ostatnich wyborów w Izraelu nachodzi mnie następująca refleksja: często w mediach i w pismach politycznych oddziela się "niewinnych" cywilów, do których nie należy strzelać i (implicite) winnych żołnierzy i polityków, do których (również implicite) strzelać można.

Co do żołnierzy, to nijak nie rozumiem, dlaczego mieliby być "winni" bardziej od cywili. Chyba, że są zawodowi. Bo jeśli są z poboru to nikt ich o zdanie nie pytał.

A co do polityków, to w końcu, kto ich wybrał? W krajach demokratycznych do rządu dochodzą ludzie wybrani w tajnych i wolnych wyborach.

Tak jest i w Izraelu. Sharon nie wybrali Eskimosi, a jego współobywatele. I to na podstawie ściśle określonego programu, z którym się nie krył: rżnąć, mordować, upokarzać, okradać Palestyńczyków ze wszystkiego, co mają, a zwłaszcza z ziemi.

Można mi odpowiedzieć, że wśród Izraelczyków też są, choć w mniejszości, pacyfiści i uczciwi ludzie. Czy do nich również należy strzelać? Czyż oni nie są tymi właśnie "niewinnymi", którzy nie zasługują na bomby i na zamachy terrorystyczne?

Przypomnę, że żelazną zasadą demokracji jest postulat Rousseau, który wyraził w "Umowie społecznej": większość nie może się pomylić, jej wola jest nieomylna. To mniejszość pomyliła się, popełniła błąd, lecz nauczona przez większość, gdzie jest dobro społeczne ma ku niemu takie samo prawo jak większość.

Tak zresztą jest i w praktyce: jeśli Sharon wygra wojnę, skorzystają z tego wszyscy Izraelczycy i Ci z większości i Ci z mniejszości. Skorzystają również wszystkie przyszłe pokolenia jednych i drugich. Toteż wszyscy powinni zapłacić w wypadku wojny przegranej. A z nimi również ich potomstwo.

Nie bez kozery Biblia mówi o karze, która powinna sięgnąć aż do czwartego pokolenia. Nie ma w Izraelu ani jednego "sprawiedliwego", którego powinni respektować terroryści. Cały ich naród i jego potomkowie są odpowiedzialni za to, co robi obecnie Sharon, co poprzednio robił Neta nyachu, Shamir, Begin i Golda Meir. I ani myślę się wzruszać śmiercią "niewinnych" przechodniów zamordowanych przez palestyńskich kami-

kadze. To raczej tych ostatnich podziwiam, bo sam bym tego, co oni robią, nie potrafił zrobić.

Odpowiedzialność zbiorowa Izraelczyków jest słuszna.

Można by powiedzieć, że takie rozumowanie nie ma zastosowania do dyktatur i do absolutnych monarchii. I tu się nie zgodzę. W końcu leży na każdym narodzie obowiązek zbuntowania się przeciwko tyranowi. Rumuni potrafili sami obalić Ceaucescu. Niemcy mogli to samo zrobić z Hitlerem, a nie zrobili.

Fakt, że jestem jednym z nielicznych adwokatów, którzy są z pasją zwolennikami kary śmierci i odpowiedzialności zbiorowej, wcale mi nie przeszkadza.

Co Ty o tym wszystkim myślisz?

Piotr

Piątek, 31 stycznia 2003 godz. 22:46

Ależ Piotrze. Na tak postawione kwestie NIKT nie udzieli sensownej odpowiedzi. Musiałbym być Bogiem, by znać odpowiedź. To, co piszesz, prawie zdanie w zdanie przypomina mi repertuar mojej niekończącej się młodzieńczej dyskusji z mym ojcem na temat Polacy - Ukraińcy. Nie muszę tym celu sięgać po przykłady z Izraela, bo ten model powtarza się wszędzie, a na trupy natykałem się w najbliższym otoczeniu. Moja lękliwa inteligencja (jakoś tak ją określiłeś) cofa się przed prostymi wnioskami i zaleca mi wetknięcie głowy w piasek (co mówię z autoironią), jako iż na szczęście nie muszę brać osobiście udziału i podejmować decyzji, a decyzje moralne nie przychodzą mi tak łatwo jak Tobie. Tak naprawdę, jedno tylko prawo - jak mi się wydaje - istnieje na tym świecie: silniejszy wygra i o uzasadnienie swej słuszności nie będzie się musiał martwić. Problem istnieje wtedy, gdy siły są zrównoważone. Cierpią na tym ludzie, a podobnie jak Ty nie widziałem nigdy różnicy między umundurowanymi i nieumundurowanymi.

Zdzisław

1 lutego 2003

Ania zobaczyła dziś rano w polskiej telewizji Twój obraz dany Ochmanowi na aukcję w Stanach. Ponoć znakomity. Czy możesz mi przysłać jego zdjęcie?

Zdecydowanie dyskusje polityczno-społeczno-moralne nie inspirują Cię. Ty to byś chciał tylko o komputerze lub o aparatach fotograficznych...
Piotr

Sobota, 1 lutego 2003 godz. 13:01

To fakt, że aktualności prawie mnie nie interesują. Ktoś mi powiedział dziś, że podobno Izrael ponownie najechał na obszary Palestyńskie i to zapewne było inspiracją dla Twego listu, ale ja Dziennik Telewizyjny widziałem chyba jeszcze przed miesiącem lub dawniej, a gazet w ogóle nie czytam, tygodniki kupuję, ale najczęściej nie czytam, a jeśli, to artykuły zajmujące się np. prognozowaniem nowych technik energetyczno-paliwowych lub eksperymentom z mózgiem.

Przykro mi, ale nie umiem w sobie wykrzesać zainteresowania dla polityki. To tak, jak z kibicowaniem w sporcie. Mógłby mnie zainteresować sport, gdybym go uprawiał. Podobnie chyba byłaby mnie w stanie zainteresować polityka, gdybym ją uprawiał i w niej siedział. Jako kibic jestem CAŁKOWICIE obojętny, zarówno na politykę, jak i na sport. To trochę myślenie średniowieczne, a nie z epoki informacji i globalnej wioski. Ideal średniowiecza: człowiek słyszy jak psy szczekają w sąsiedniej wsi i NIC go to nie obchodzi. Taki niestety jestem.

Obraz, który Ochman wybrał na aukcję, jest moim zdaniem dobry, ale nikomu do tej pory się nie podobał, a Ty widziałeś go u mnie kilkakrotnie i chyba nie zwrócił Twojej uwagi. Pani Dziopak widziała w nim "flaki" i "straszenie". A obraz był przeznaczony do handlu i oferowany wielu osobom.

Zdzisław

1 lutego 2003

Ten obraz jest świetny i jak najbardziej zwrócił moją uwagę. Ale już się nauczyłem nie wyrażać opinii o Twoich pracach, w Twojej obecności.

Mówisz, że nie czytasz prasy i nie słuchasz dzienników telewizyjnych. A przecież widziałem u Ciebie kilka gazet i aktualnych tygodników leżących chyba na stole. Prócz tego, gdy kiedyś napomknąłem o jakiejś aktualności i naiwnie zacząłem Ci wyjaśniać, o co chodzi (bo już dawniej przechwalałeś się brakiem jakiegokolwiek zainteresowania obecnością), to mnie natychmiast skontrolowałeś, samemu dorzucając dalsze szczegóły do owej informacji.

Tak więc, Twoją manifestacyjną obojętność dla spraw doczesnych, pomiędzy bajki włożę.

Toteż powrócę na chwilę do otaczającej nas rzeczywistości i wyrażę mój niepokój z powodu szykującej się wojny. Każda wojna zaczyna się radośnie z kwiatami na bagnecie i hymnami narodowymi, a kończy żalosaną kapitulacją w zburzonych miastach. Agresywność Busha mnie nie dziwi, bo to typowy republikański bałwan, którego natychmiast należałoby wsadzić na dwadzieścia lat do obozu pracy. Ale skąd ta agresywność udzieliła się Blairowi? Wydawał się być porządnym, kulturalnym Anglikiem, umiarkowanym i zdrowo patrzącym na świat i ludzi.

Nic z tego nie rozumiem. Co go wzięło? Przecież wiadomo, że Blix nie znalazł i nie znajdzie żadnej broni masowej zagłady w Iraku i że Amerykanom chodzi tylko o obalenie Sadama, którego nienawidzą. Ale takich Sadamów jest stu na świecie, bo demokratycznych państw jest tylko garstka. Czy należałoby każdemu dyktatorowi wypowiadać wojnę, by w ten sposób nawrócić jego współobywateli na demokrację? W końcu każdy naród ma obowiązek sam pozbyć się własnych tyranów, jeżeli cierpi i pragnie wolności. Ta wojna zatrzęsie spokojem całego Zachodu. Toteż czuję się osobiście zaangażowany i nie potrafię olewać.

W Polsce ponoć mróz. Jak Ty to znosisz?

Będziemy w Warszawie już 9-go i zaraz Cię odwiedzimy.

Piotr

Sobota, 1 lutego 2003 godz. 20:19

Myślę, że to Ty raczej chcesz się wypowiedzieć na piśmie na jakiś temat i korespondencja ze mną na ten temat jest pretekstem. Jeśli u mnie widziałeś jakieś gazety, to musiał to być absolutny przypadek. Może był tam jakiś wywiad ze mną lub coś o jakiejś mojej wystawie, o czym donieśli mi znajomi. Zosia oczywiście czytała Wyborczą codziennie, ale od jej śmierci żadnej gazety nie kupuję (kupuję tygodniki, o czym już pisałem) i nigdy nie oglądam dziennika, chyba że ktoś, kto jest u mnie prosi, o włączenie. Nie sposób czasem nie wiedzieć czegoś, bo ludzie nieustannie zainteresowani są polityką (podobnie jak Ty) oraz plotkami (afery Rywina, rzekoma ciąża Edyty Górniak z Kwaśniewskim etc.) i natychmiast mi o tym donoszą (tak jak przed chwilą szwagier). Musiałem być akurat na bieżąco w jakiejś sytuacji i stąd Twoja i nie tylko Twoja opinia, że ja wszystko wiem, a tylko udaję nieświadomego.

Stykam się więc oczywiście z opinią na temat wojny w Iraku podobną jak Twoja (ostatnio przez telefon z Ochmanem) i nie posiadam kontr-opinii z wyjątkiem tej, że jakoś nie wydaje mi się możliwe, by rzeczywistość polityczna była jeszcze głupsza niż filmy hollywoodzkie, bo wtedy należałoby sądzić, iż mylisz się gruntownie w swej opinii o tych filmach. Ja je oglądam jako rozrywkową sieczkę, ale nie wnioskuję w oparciu o nie o rzeczywistości, którą generalnie bez zainteresowania konkretami, zwykłem uważać za coś niepomernie bardziej skomplikowanego. Tym niemniej jest oczywiście możliwym, iż wszystko wokół jest bardziej prostackie i głupie, niż podejrzewam. Nie upieram się więc przy swoim. Skłonny jestem jednak mniemać, że nie znamy nigdy prawdziwych powodów jakichś decyzji (np. nafta lub rozruszanie podupadłej koniunktury wewnętrznej), a poznajemy jedynie oficjalną wykładnię dla ludu. Znalezienie przez najjaśniejszą Komisję w Iraku jakichś haków na Saddama, jest w mej opinii poszukiwaniem prostego argumentu dla ludu, który to argument jednak, nie ma nic wspólnego z decyzjami i ich przyczyną i nie będzie nie mieć cienia wpływu.

Z powodu zimna, a raczej z powodu gołoledzi na chodnikach, nie wychodzę z domu, bo panicznie boję się coś sobie złamać. Poza tym czuję się już lepiej (ale nie do końca) i maluję.

Zdzisław

2 lutego 2003

Ja zainteresowanie polityką i aktualnościami odziedziczyłem po Ojcu, który nieustannie na swoim malutkim tranzystorze, nie dając spać mojej Mamie, wsłuchiwał się w radiowe informacje (wtedy jeszcze nie było u nas telewizji).

Ja również słucham informacji zaraz po wstaniu z łóżka na Euronews. Potem o 13 na francuskim kanale A2, po czym, co najmniej dwa razy w ciągu popołudnia znów na Euronews lub na LCI, (która też nadaje informacje, co pół godziny, tyle, że prawie wyłącznie francuskie). Wreszcie wieczorem o 19:30 na TV Polonia, o 20-tej znów przez 45 minut na A2 na koniec na BBC o 22-ej.

Prócz tego rano czytam Heralda dość dokładnie.

Natomiast podzielam Twój brak zainteresowania kibicowaniem w sporcie. Nawet, gdy sam jeszcze uprawiałem sport wyczynowo, to też ograniczałem się do własnych treningów.

Cudzymi wynikami się nie interesowałem. A dziś, gdy już nic nie robię, to tym bardziej nudzą mnie sportowe wiadomości.

Do polityki przymierzałem się za młodu wstępując na Uniwersytecie do ZMS. Zająłem się wtedy do reszty agitacją i dokonywałem niezliczonych wysiłków organizując najróżniejsze akcje. Lecz robiłem to wyłącznie dla kariery a nie z przekonania, (choć byłem zawsze lewicowy). Gdy okazało się, że kariery nie zrobię, bo inni wcale nie myślą mi w tym pomóc, choć przechwalają się moimi dokonaniem (które na różnych meetingach i konferencjach sprawozdawczych przypisywali całej organizacji albo po prostu sobie), to i temu dałem spokój. Intrygi polityczne, spiski i zamachy na mikroskopijną skalę, których byłem ofiarą, odebrały mi raz na zawsze ochotę do dalszego wyklócania się i walczenia o sprawy społeczne. Trzeba do tego mieć stalowe nerwy. A ja ich nie mam i będąc "działaczem" wpadałem szybko w taką wściekłość i w takie stresy, że w końcu nabawiłem się nadkwasoty żołądka.

Toteż przyjechawszy do Francji i nauczony doświadczeniem, ile to kosz-

tuje zdrowia, nigdy już nie próbowałem na nowo zaczynać kariery politycznej.

A robić tego nie dla kariery, a dla idei, nie potrafiłbym, bo jak Ci to już wielokrotnie mówiłem i pisałem, ludzi nie lubię i dobrze im nie życzę. A żeby walczyć o idee, trzeba kochać ludzkość. Nawet Hitler kochał Niemców i dlatego się o nich bił. Ja kocham tylko zwierzęta i to jest jedyna sprawa, za którą gotów byłbym się bić. Jednak świadomość, że nic nie może ich uratować od wyćpienia (bo te oswojone trzeba jeść, a tych dzikich już niedługo nie będzie, bo zabierają ludziom przestrzeń) powoduje, że nie wdaję się w żadną walkę. Zresztą i tu bałbym się zdeenerwowań i nieprzespanych ze złości nocy.

Przez pewien czas byłem przewodniczącym komisji ogrodowej w naszym osiedlu, które ma piękny, 30 hektarowy park. Ale i tu wszystko zamieniło się szybko w ocet. Bo ja dyplomacji nie mam za grosz i na ogół, tak jak Ci to już pisałem, jestem zwolennikiem silnej ręki. Toteż nie mając naturalnego ani nabytego autorytetu, nie jestem słuchany i natychmiast powoduję sprzeciwy u współpracowników lub rozmówców. A to doprowadza mnie do takiej pasji, że w sumie rezygnuję z akcji. Tak więc dałem spokój komisji ogrodowej i tylko od czasu do czasu robię dziką awanturę, gdy zetną w naszym parku niepotrzebnie jakieś drzewo lub nie uzupełnią tego, które przewróciła burza.

Nie, do polityki, ani do tej dużej, ani do tej miniaturowej, niestety nie nadają się.

Na dodatek lubię szybkie i wyraźne wyniki każdej akcji. A na ogół polityka ich nie daje. Wymaga cierpliwości, zdolności przekonywania ludzi i kompromisów. To znaczy trzech cech, z których nie posiadam żadnej.

Powinienem urodzić się już synem dyktatora, bo dojście do takiej pozycji normalną drogą spisków, intryg i aliansów, jaką dochodzą do niej tuzinkowi tyrani, wymagałoby uprawiania polityki przez dłuższy czas. A to już mnie zniechęca. O, gdybym na przykład urodził się synem Kim II Sunga i nazywał się Kim Jong II, to by mi to bardzo odpowiadało. Tak, tak! Tu dałbym popalić niejednym, a już na pewno Amerykanom. Och, to mi się marzy! Zachowywałbym się z pewnością tak, jak on. To mój rzeczywisty ideał.

Co do wyborów politycznych, to dawno się już zorientowałeś, że racjo-

nalnie jestem zwolennikiem liberalnej demokracji. Lecz wiem, że gdybym doszedł do władzy, to szybko bym o tych zbożnych przekonaniach zapomniał i zaprowadził rządy bezwzględnie totalitarne. Martwi mnie, że nic z tego wszystkiego Cię nie interesuje, bo ogranicza to nasze pole porozumienia.

Próbuję, próbuję, a Ty niczego nie chwytasz.

Piotr

Niedziela, 2 lutego 2003 godz. 13:53

Przede wszystkim nie jestem partnerem do dyskusji na tym obszarze rzeczywistości. Zbyt mało wiem i niewiele mnie to interesuje. Wiele z tego, co napisałeś o sobie, wygląda tak samo i u mnie (nie umiem siać na polu, którego potem nie będę do końca sam uprawiać).

Jako polityk uprawiałbym zapewne po pracy działkę przyzagrodową, ciesząc się, że tak wspaniale obrodziła rzodkiewka, bo to byłoby od początku do końca wykonane własnymi rękami a w polityce, co najwyżej (będąc nawet prezydentem USA) miałbym jakiś pozytywny udział, przypisany na dodatek przez historię komuś innemu. Jednym słowem nie umiem pracować w zespole - chociaż może z innych powodów niż Ty, bo nie mam zapędów dyktatorskich (za wiele wątpliwości), a konstruktywne działanie "w tle", mnie nie pociąga.

Swymi listami siłą rzeczy wpłynąłeś na kierunek mego myślenia przez ostatnie dwa dni. Rozważając wszelkie możliwe uwarunkowania, dojdę do wniosku, że postępowaniem polityków na szczeblu Busha czy też Blaira, rządzą przede wszystkim prognozy polityczne, a nie rzeczywistość, jaką widzimy w TV. Zetknąłem się raz przypadkiem z przyczynami przystąpienia USA do wojny z Hitlerem. Ku memu zaskoczeniu, poprzedzone to było bardzo daleko idącym prognozowaniem polityczno-ekonomicznym, bardzo racjonalistycznym i odbiegającym na sto lat świetlnych od tego, co do dnia dzisiejszego przytaczane bywa jako przyczyny. A przecież nie było jeszcze wtedy teorii Neumana. Dziś w epoce komputerów, tworzone są (jak sądzę) symulacje komputerowe, które sprawdzają się potem lub nie sprawdzają, w tym samym mniej więcej stopniu, jak przewidywa-

nie pogody, ale na pewno ulica, pacyfiści, ludzie dobrej woli i polityczni kibice telewizyjni (jednym słowem wyborcy) nie mają w rękach tych przesłanek, jakimi dysponują rządy. W przeciwieństwie do rządów, ich argumentacja ma charakter wyłącznie emocjonalny. Tak więc (jak sądzę) rządy mają więcej szans na prawidłową ocenę sytuacji i prognozowanie niż lud boży, ale (oczywiście) może się też poniewczasie okazać, że to akurat ulica, nie tyle miała rację, ile wstrzeliła się w dziesiątkę. Nie znam historii prawie w ogóle (nigdy mnie nie interesowała), więc być może taki mechanizm podejmowania decyzji istniał od zawsze.

Co do poglądów to nie wiem jakie posiadam, bo lewicowcy zawsze uważają mnie za prawicę, a prawicowcy za lewicę, ateiści za człowieka kościoła, a kościół za "sceptyka" (tak określił mnie proboszcz w Sanoku). Z poglądami jest mi nie do twarzy. W Polsce na dodatek wszystkie kierunki są popierdzielone. Lewica jest liberalna, prawica populistyczna, a chłopom 40 lat sojuszu robotniczo-chłopskiego kompletnie pomieszało pod sufitem i postrzegają się jako lewica. Lewicowy chłop to tak, jak konny marynarz lub katolicki Żyd. No, ale nie o tym miałem. Wracam do malowania, bo pogoda dziś sprzyja i jest jasno.

Zdzisław

3 lutego 2003

Wydajesz się mieć dość wyraźne poglądy na to, jak podejmowane są decyzje polityczne oraz przypisujesz im zalety, co do których ja jestem mocno sceptyczny.

Jak podejmowane są decyzje polityczne jest zagadką, nad którą łamią sobie głowę pokolenia politologów.

Ja sam studiowałem procesy decyzyjne na Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu (Sc Po), potem na studiach doktoranckich w zakresie nauk politycznych, potem sam wykladałem to moim studentom. I nadal jestem w kropce.

Oczywiście w demokracji, która jest systemem rządów najbardziej racjonalizowanym i prawnie uporządkowanym, istnieją pewne schematy, które określa konstytucja, ustawy i dekrety.

Jeszcze bardziej jest to sformalizowane w procesie sądowym, gdzie wszystko jest ściśle przewidziane, kto ma być wysłuchany, kiedy, w jakich formach, ilu będzie decydentów, ile będzie posiedzeń, jakie będą terminy, czy będzie i w jakich formach głosowanie etc. etc.

Nie przeszkadza to temu, że jak powtarzam, właściwie nikt nie wie i nikt dogłębnie nie rozumie procesu podejmowania decyzji, ani w polityce, ani w sądownictwie, i to nawet w demokracji.

Mimo że istnieją w niej z góry określone procedury i wiele elementów decyzji jest zobiektywizowanych, to na koniec udział inteligencji, talentu lub głupoty, solidnego przygotowania lub lekkomyślności, osobistej ambicji i strachu o utratę władzy, silnej osobowości, która dominuje daną debatę, partycypacja osób trzecich i sto innych imponderabiliów powoduje, że nikt nic nie wie, jak dochodzi do takiej, a nie innej decyzji.

Na dodatek bardzo często jej podejmowanie, nawet w demokracji, jest pokryte tajemnicą. Tajemnicą przewidzianą przez prawo lub tajemnicą faktyczną.

Na przykład deliberacje składu sędziowskiego nad wyrokiem są dla mnie niedostępne, bo są okryte tajemnicą, przewidzianą przez kodeks. Toteż spędzam z moim przyjacielem Parisot, też, jak ja, adwokatem, całe kwadransy na telefonicznych dociekaniach, jak mogła zapadnąć taka decyzja, jaka zapadła, jaki był nasz udział, nas, adwokatów, w jej podjęciu, co było wzięte pod uwagę, czy sędzia nas w ogóle słuchał, czy trafił do niego, chociaż jeden z naszych argumentów...

A cóż dopiero w dyktaturach, które są większością na świecie! Tam nie wiadomo nic. Wszystko jest pokryte tajemnicą i nikt nie wie, kto właściwie podejmuje decyzje, na podstawie jakich informacji i w porozumieniu z kim.

Wspaniale to ujął Breza w "Urzędzie" (czy w "Spizowej bramie"?, już nie pamiętam, bo czytałem te książki czterdzieści lat temu i już nie pamiętam, która jest która), w odniesieniu do Watykanu.

Ty wydajesz się mieć głębokie przekonanie, że władcy mają wiele racjonalnych elementów w ręku i że opierają się na przesłankach materialnych, wyczerpujących i sprawdzonych. A "lud boży", jak go nazywasz, działa wyłącznie pod wpływem emocji. Czyli racja kontra egzaltacja.

Ja jestem daleki od takiej pewności.

Jest bardzo prawdopodobnym na przykład, że decyzja Busha, od której zaczęła się nasza rozmowa na temat napadu na Irak, podjęta została w trakcie banalnej rozmowy z ojcem podczas kolacji, w której ów ojciec wyraził żal, że nie kazał armii wejść do Bagdadu i powiesić Sadama. Na co syn odpowiedział mu: "Tato, ja to zrobię. Przyrzekam Cię, że ja dokończę to, czego Tyś nie dokończył".

I co tu racjonalnego? Co tu kolektywnego? Co tu wynikającego z ekonomicznych przesłanek, lub politycznych konieczności?

Oczywiście, i znów wracam do demokracji, fakt, że w tym ustroju w zasadzie decyzje są podejmowane zbiorowo, że jest obowiązek wytłumaczenia się przed wyborcami, a więc obawa, że jeśli się strzeli głupstwo, to można będzie za nie grubo zapłacić utratą stanowiska, że istnieją partie polityczne i asocjacje, związki zawodowe i wolna prasa, które sprawdzają, kontrolują (też w sposób nieujęty w żaden precyzyjny proces, a więc chaotycznie, wrywkowo, spontanicznie i żywiołowo) - to wszystko powoduje, że irracjonalność jest zmniejszona, bo spontaniczność i indywidualizm w podejmowaniu decyzji są ograniczone.

Niemniej nawet i w tym ustroju tak wielkie ma znaczenie osobowość i indywidualność, tak wielkie ma znaczenie szybkość w podejmowaniu decyzji i natychmiastowość w jej wykonaniu, że niczego nie sposób przewidzieć i ułożyć w koherentną, logiczną całość, etap po etapie.

Zakończę powrotem do mojej małej osóbkki: swego czasu uczestniczyłem w zebraniach rady pedagogicznej na naszym Uniwersytecie. Łatwo się wówczas zorientowałem, że mnie nikt nie słucha, a zabierają stale głos dwie lub trzy osoby, które w końcu stawiają na swoim i zapada decyzja (rzekomo wspólna i racjonalna) zgodna z ich poglądami i niekoniecznie, według mnie, słuszna. Jeśli jest głosowanie, to jeszcze mogę to zaakceptować. Lecz większość decyzji zapada na takich zebraniach bez głosowania, w wyniku tak zwanego "consensus".

Ty masz zdecydowane zaufanie do władzy. Ja go nie mam, bo ani z moich lektur, ani z moich przemyśleń, ani z mego doświadczenia nie wynika, że władza wie lepiej ode mnie i że postąpi słusznie, bo ma w ręku karty i metody, których ja nie mam, a które pozwalają jej wydać słuszne, bo racjonalne decyzje.

Toteż od dawna już, jak Ci to wczoraj pisałem, nie uczestniczę w żadnych

komisjach, w żadnych zebraniach i w żadnych (prócz narodowych) głosowaniach. Jestem indywidualistą i potencjalnym dyktatorem, który, jak mówi samo słowo, "dyktuje" swoją wolę, sprowadza cały proces decyzyjny do indywidualnego dyktatu. Ten sposób podejmowania decyzji jest mi najbliższy, choć przyznaję, że u innych jest niepewny i często może prowadzić od błędów.

Mówię "u innych", a nie u mnie, bo (mówiąc stale o mojej małej osobie i wracając do mojej predylekcji podejmowania samemu decyzji, bez procedur i bez udziału kolektywu) w moim życiu prawie WSZYSTKIE decyzje, jakie podjąłem, były słuszne.

Tak więc, wyjazd do Francji, zrobienie tu powtórnie całych studiów mimo materialnych trudności, nauczanie się solidnie języka, wybór kariery naukowej, a nie biurowej, wstąpienie do palestry, ożenienie się nie z żadną inną kobietą, która mi to proponowała, ale właśnie z Anią, nie mienie dzieci, naleganie, żeby Ania stała się tu modelką, zainwestowanie w Ciebie i cała przygoda z Tobą (co spowodowało, że nie stałem się profesorem mając już 40 lat), a więc również to, co było z nią związane to znaczy kupno ogromnej ilości Twoich obrazów, napisanie książki i wydanie albumów, otwarcie galerii (mimo że następnie upadła), nawet film Dziworskiego, ze wszystkim tym się zgadzam i niczego nie żałuję.

Dochodząc do wieku starczego i patrząc w tył z wszystkimi tymi decyzjami się zgadzam, nawet, jeśli poniosłem sporo porażek. Jest tylko jedna decyzja, którą sobie wyrzucam, bo pasja wzięła wówczas górę nad racją: mając do wyboru kupno mieszkania sąsiada lub utrzymanie z tych pieniędzy przez dwa jeszcze lata i tak upadającej galerii, wybrałem to drugie. Galerię i tak straciłem, a teraz muszę się kisić w małym, 70 metrowym mieszkanku.

A więc czy kolektywne, ujęte w proces, w przepisy, terminy i obowiązkowe konsultacje decyzje mają przewagę nad zdrowym, indywidualnym rozsądkiem? Wątpię.

Piotr

Poniedziałek, 3 lutego 2003 godz. 18:26

Zapewne masz rację w swych wywodach, ale ja bynajmniej nie myślę inaczej, tyle, że nie mam siły na równie dokładne formułowanie mych przemyśleń, gdyż, jak już wiesz, pisanie jest dla mnie torturą, więc coraz bardziej staję się lakoniczny. Nie mam "zdecydowanego" (jak piszesz) zaufania do władzy. Napisałem tylko, że władza ma dostęp do większej ilości informacji (w tym tajnych) niż lud boży i w związku z tym większe szanse na dokonanie racjonalnego wyboru. Z opiniami ludu bożego stykam się na co dzień i to, co on artykułuje, na temat choćby ekonomii, jest tak absurdalne, iż skłonny jestem podejrzewać, że we wszystkim, co artykułuje, kieruje się wyłącznie doraźnym interesem na poziomie kury, która dziobie to, co ma przed nosem. Nikt (w tym i ja) nie chce iść na wojnę - tak więc doraźny interes ludu mamy jak na dłoni. Lud będzie przeciw, ale to nic nie znaczy w sensie racjonalnym. Nie twierdzą jednak tym samym, że decyzje podejmowane wśród tych, którzy mają dostęp do szerszych informacji oraz potencjalną możność planowania z wyprzedzeniem, są z definicji racjonalne i sensowne. No, ale w takim razie nie przyznawajmy racji żadnej ze stron i zapanuje już między nami absolutna zgodność poglądów. Oczywiście, w głębi duszy, jestem pacyfistą i chyba wszyscy jesteśmy pacyfistami (Tuwim napisał na ten temat wiersz "Do prostego człowieka", który do dnia dzisiejszego mnie głęboko porusza) - niestety pacyfizm jest utopią.

A propos mego nie słuchania dziennika i nie czytania gazet: przed chwilą dowiedziałem się od pana Krzysztofa Złotej Rączki, że przed kilkoma dniami rozbił się prom kosmiczny Columbia. W swej pustelni zdobywam wiadomości jak w dawnych czasach od karawan, kupców oraz wędrownych czeladników i kaznodziei. Nie jest mi z tym źle. A propos: Bush, który chce zaimponować tatusiowi i dokończyć jego dzieła, to bardzo popularna obecnie wykładnia. Usłyszałem ją przed tygodniem od Ochmana i nawet od pana Krzysztofa. Ja w swej naiwności sędzę, że stary Bush nie mógł bez ryzyka destabilizacji regionu usunąć Saddama i dlatego tego nie uczynił. Czyżby obecnie zmieniły się realia regionu? Saddam wygląda mi na sztucznego zająca na psich wyścigach. No, ale to tylko takie luźne domniemanie Beksińskiego, który się tym NAPRAWDĘ niewiele interesuje. W końcu w trakcie studiów postrzegalem Stalina jako kukłę animowaną przez Biuro Polityczne, w celu zintegrowania ludu ZSRR i dopiero po

latach dowiedziałem się, jak bardzo się myliłem.

Zawsze popełniałem błąd traktowania odległej rzeczywistości, jako o wiele inteligentniejszej, niż faktycznie była.

Zdzisław

5 lutego 2003

Oczywiście pomyliłem się i list do Ciebie wysłałem do niejakiego Głaba. A więc wysyłam powtórnie.

Z pewnością nudzę Cię, ale mam ochotę jeszcze raz powrócić do od dawna nurtującego mnie problemu podejmowania decyzji, zarówno przez taką zwane władze jak i przez indywidualnych ludzi.

Po pierwsze wydaje mi się, że należy rozdzielić dwie kwestie, które przynajmniej teoretycznie są różne, choć w praktyce mocno na siebie wpływają.

Pierwsza kwestia to metoda podejmowania decyzji. Druga kwestia to jej zasadność.

Obrać metodę, to jedno. Podjąć dobrą decyzję, to drugie.

Oczywiście dobra metoda wpływa na jakość decyzji. Ale tylko w pewnym stopniu.

Tak więc, wydaje mi się że wielowiekowa praktyka wykazała, że metoda polegająca na wydawaniu decyzji zbiorowo, prowadzi do lepszych wyników niż metoda podejmowania ich samodzielnie. Bo dyskusja, która poprzedza podjęcie decyzji, pozwala odkryć aspekty sprawy, które nie przyszły do głowy jednym, a przyszły drugim. Sam niejednokrotnie na różnych zebraniach łapałem się na tym, że nie widziałem takiego a takiego elementu sprawy, podczas gdy inni go widzieli.

Po drugie i zwłaszcza: decyzja zbiorowa daje moralną satysfakcję tym, którzy uczestniczyli w jej podjęciu, że jeśli już nawet ich punkt widzenia nie został całkowicie, a nawet częściowo przyjęty, to przynajmniej mogli go wyrazić. Toteż kontestacja decyzji zbiorowych w procesie ich stosowania jest mniejsza niż wtedy, gdy podejmuje je jednostka. Demokracja rymuje z pacyfikacją.

Tyle, co do wpływu metody na jakość decyzji. To wszystko demokracja już od dawna zauważyła i wprowadziła w proces podejmowania decyzji przez władze.

Jednak ten wpływ metody na meritum zna swoje granice. Bo do dzisiejszego dnia demokracja nie uporała się, i chyba nigdy nie upora się z tym, że decyzja nie zawsze jest kwestią racjonalności i wszechstronnego zbadania wszelkich dostępnych aspektów sprawy. Bardzo często jej słusność zależy od co najmniej trzech innych walorów, których kolektywizacja w jej podejmowaniu, wcale nie gwarantuje. Myślę o intuicji (ja ją wolę nazwać "inteligencją"), o odwadze, a ZWŁASZCZA o szczęściu. To znaczy o tym wszystkim, czego żadna kolektywizacja procesu decyzyjnego, ani jego najbardziej szczegółowa kodyfikacja (kodyfikacja potrzebna na to, żeby niekończące się dyskusje kiedyś zakończyć i wreszcie decyzję podjąć) nie zagwarantują.

I to jest to, czego Ty nie bierzesz pod uwagę ufając, że władze wydają lepsze decyzje od bożego ludku, bo mają dostęp do informacji, do których nie ma dostępu ów ludek.

W Republice Platona, w której mieli rządzić starcy, na pewno decyzje nie posiadałyby cechy odwagi. Starcy są ostrożni, bo doświadczenie ich nauczyło, że łączy się ona z większym ryzykiem porażki. Toteż niechętnie rzucają się na głęboka wodę, nie bardzo umiejąc pływać. Gdybym rozumował tylko i opierał się na moim doświadczeniu, to ostrożność nigdy nie pozwoliłaby mi na rzucenie się w przygodę z Tobą. Nie miałem bowiem ani grosza, gdy zaczynałem i dwukrotnie zadłużyłem się tak, że byłem bliski katastrofy. A już przynajmniej po pierwszym zadłużeniu nie powinienem zapaść w następne. Tego uczy ostrożność i doświadczenie. Ale nie odwaga i nie szczęście. Gratuluję więc sobie, że miałem tą odwagę. I oczywiście gratuluję sobie, że miałem to szczęście.

Właśnie, a propos szczęścia. Starcy i kolektyw niekoniecznie mają fart i to, co go prowokuje (młodość, pomoc ludzka, energia, sympatia, miłość, upór, i sto innych rzeczy, o których nie wiemy a które nazywamy "przypadkiem", a które tak naprawdę przypadkiem nie są i kiedyś zostaną choćby w przybliżeniu określone). Gdybym nie miał owego szczęścia, to moja odwaga przerodziłaby się po prostu w głupotę. I tak by mnie określano. Zbankrutowałbym już po pierwszej wystawie, a na pewno po otwarciu

galerii. Kto bowiem mógł przewidzieć, że akurat wtedy, gdy będę się już topił, zjawią się Japończycy i wyciągną mnie z otchłani? Oczywiście, że bez albumu nigdy by się o mnie nie dowiedzieli. Toteż owo szczęście samym trafem nie było. Ale to, że zgrał się moment agonii z momentem napływu japońskich grubych pieniędzy jest, jak na nasze możliwości analizy, niezrozumiałe i należy do kategorii "przypadku", "fartu", lub "przysłowiowego, łutu szczęścia".

Tak, tego i stu innych imponderabiliów (przekonania ideologicznego, uporu w dążeniu do jednego, wytkniętego celu, entuzjazmu, osobowości etc.) ani skodyfikowanie procesu podejmowania decyzji (tak jak to jest w wypadku procedury ustawodawczej, wyborczej czy sądowej), ani jej skolektywizowanie, nie rozwiąże.

O, tyle miałem do powiedzenia i teraz już się zamykam.

Piotr

Środa, 5 lutego 2003 godz. 17:35

Odebrałem Twój mail wysłany dziś o godzinie 16:12, w którym brak listu, a więc albo zapomniałeś o nim, albo przez pomyłkę wydałeś polecenie wysłania czegoś na mój adres.

Zdzisław

6 lutego 2003

Nie będę już międlil problemu podejmowania decyzji, ale żeby go zakończyć zauważę że:

po pierwsze, mówiłem ogólnie o samym problemie podejmowania decyzji, bez chwaleń ani tych, które są podejmowane przez władze, ani tych, które podejmuje boży ludek, ani tych, które są podejmowane przez jednostkę. Zastanawiałem się tylko nad samym faktem podejmowania decyzji i otchłanią niewiadomych, które jawią się przed każdym decydem, oraz skodyfikowaniem procesu decyzyjnego, jako jednym ze sposobów poprawienia jakości samej decyzji. Z konkluzją, że chyba nawet

to nie rozwiązuje kwestii i czarna dziura pozostaje nadal czarną dziurą. Po drugie, jak się poskrobie trochę e-maili to wychodzi prawda, która jest pod spodem. Myślę o tym, że pod politurą liberalnego demokrata okazuje się, że głęboko pogardzasz "głosem ludu" i "wolą ogólną" ("volonte generale" jak ją nazywał Rousseau i jak się to od tego czasu ogólnie określa) uważając boży ludek za otumaniony propagandą, niedoinformowany, dziki, sfanatyzowany tłum linczujący na prawo i lewo niewinnych ludzi. Ja natomiast, który przyznaję się do mej osobistej predylekcji do rządów silnej ręki (żeby nie powiedzieć dyktatury), wyszedłem na obrońcę demokracji i wolnych wyborów (które nie są niczym innym niż właśnie podejmowaniem decyzji przez boży ludek w sprawie, kto nami będzie rządził i na podstawie jakiego programu), procedury parlamentarnej i sądowej, w które przecież w głębi nie wierzę.

Przyznasz, że jest to szczyt paradoksu.

Piotr

Czwartek, 6 lutego 2003 godz. 13:37

Chyba dostatecznie często podkreślałem, że nie posiadam poglądów, lecz wyłącznie wątpliwości, więc skąd Ci się wziął ów "liberalny demokrata" w stylu pana Settembrini? Gotów byłbym nawet zachwycić się skrajną dyktaturą, zachowując liberalizm wyłącznie dla rynku, gdyby owym skrajnym dyktatorem był nadczłowiek - niestety smutna praktyka dowiodła, że na szczycie stają z reguły takie same matoly, jakie są u jego podstaw, tyle że wyposażone w nieomal nieograniczoną władzę. W demokracji łatwiej mi było pokładać nadzieję, gdy żyłem w kraju dyktatury ciemniaków - dziś pełen jestem sceptycyzmu. Co oczywiście nie oznacza, że odczuwam nostalgię za dyktaturą.

Zdzisław

Czwartek, 6 lutego 2003 godz. 16:23

Trochę dziwne to materii poplątanie, ale skoro wystawia miłośnik, a nie

marszand, to wreszcie podobać mu się mogą rzeczy niekoniecznie z tego samego syndromu. Proponowałbym podawanie formatu oryginału, bo w końcu mógłby ktoś Stasysa, Starowieyskiego i Henricot potraktować jako obrazy tej samej wielkości, a jestem prawie pewien że Starowieyski i Henricot są ogromni, a Stasys niewielki. Ja zwróciłem uwagę nade wszystko na Mroza. Czyżby syn starego Mroza? Nie wiem jak inne jego obrazy, ale ten mnie zachwyił, o ile w ogóle można ocenić sposób malowania na tak malej reprodukcji. Socrealizm opatrzyłbym stosownym komentarzem o tym, jak to jechałeś do ZSRR, by to kupić i co Cię w tych obrazach urzekło, bo same niestety się nie tłumaczą, co piszę w oparciu o obraz będący przykładem Twoich zbiorów.

Zdjęcia pamiątkowe ciekawe, ale można by tego dać więcej, ale może sądzę po sobie. Ja najbardziej zawsze lubię oglądać nie tyle obrazy, ile otoczkę. Znam tą gębę, a nie mogę skojarzyć. Wysoki facet gadający w tle z Kołodziejczykiem, podczas gdy na pierwszym planie nawijasz coś z Młyńczyk Marszałek. Czy biały prostokąt na czole Twej żony to odbłask okularów, czy też paproch na zdjęciu. Wyretuszowałbym to, bo nawet jeśli to z okularów, to ich nie widać.

Zdzisław

6 lutego 2003

Kim jest ten wysoki, łysy facet rozmawiający z Kołodziejczykiem, nie wiem.

Co do Stasysa to mylisz się: jest ogromny i rozmiarami niewiele ustępuje obrazom Henricot i Starowieyskiego. Te ostatnie są rzeczywiście bardzo duże i są tego samego rozmiaru (Henricot przyjaźnił się ze Starowieyskim i często wymieniali się blejtramami). Ale pomysł sygnalizowania rozmiarów jest dobry. Kupuję.

Mról jest moim ulubionym artystą łódzkim, którego kilkakrotnie wystawiałem, raz w Paryżu na zbiorowej wystawie na "Salonie zimowym", a raz indywidualnie w Wersalu, gdzie na dwa tygodnie, w bardzo ładnym i ogromnie uczęszczanym przez gapiów (niestety, właśnie tylko przez gapiów) miejscu, udzieliła mi lokalu miejska instytucja kulturalna.

Sam posiadam szereg jego obrazów i bardzo jestem do nich przywiązany. Wszystkie one są utrzymane w tej samej atmosferze, która mnie wzrusza. Kilkukrotnie potem wystawiałem go na zbiorowych wystawach w mojej galerii na Quincampoix.

Na jego temat powiem Ci małą anegdotkę: jak to wyżej wspomniałem, jeszcze przed wystawą w Valmay (o ile się nie mylę, bo już nie pamiętam) wystawiłem jeden Twój obraz, nie pamiętam już jaki, oraz ten właśnie obraz Mroza, który jest teraz reprodukowany w mojej wirtualnej galerii na marnym, paryskim "Salonie zimowym". Gdy przyszedłem oba je na koniec odebrać, to organizator salonu powiedział mi, że nikt na Twój obraz nie zwracał uwagi, natomiast ogromna ilość zapytań dotyczyła obrazu Mroza.

Niestety jego wystawa w Wersalu nic nie dała. A ponieważ nie miałem już ani grosza, to zaniechałem współpracy z nim. Potem kontakt się urwał. Jest to człowiek bardzo dyskretny i wyciszony.

Sygnalizuję, że w związku z otwarciem galerii wirtualnej, otrzymuję pełne zachwyty mesaze od różnych ludzi z całego świata na temat Twojego malarstwa. Czy interesuje Cię, żebym Ci je tłumaczył i wysyłał?

Piotr

DmochowskiGallery.com - księga gości 06.02.2003 11:53 Georges HOT, peintre

Je tiens BEKSINSKI pour l'un des tres grands artistes de notre epoque, Il est manifeste qu'il n'occupe pas la place qui lui serait normalement due. Cette meconnaissance de son genie en dit long sur le peu de perspicacite du monde de l'Art contemporain si prompt par ailleurs a s'emeveiller devant l'imposture et la mediocrite quand la mode ou l'interet le commande. Bravo a vous et a votre galerie de le soutenir. A lui mon respect admiratif.

03.02.2003 16:24 JACK BURGIN

THANK YOU FOR SENDING ME THIS LINK, I'VE NOW SEEN MORE OF YOUR WORK AND I THINK YOU ARE IMPROVING WITH TIME. YOU ARE *by FAR* MY FAVORATE ARTEST AND WILL BE FOR A VERY LONG TIME. YOUR WORK SENDS ME TO A DIFFERENT PLACE WERE NOTHING ELSE MATTERS TO ME BUT

TRYING TO FIGURE OUT HOW YOU DO THIS BEAUTIFUL WORK. I KNOW THAT I WILL NEVER FIND OUT HOW YOU DO IT BUT ITS A CHALANGE TO TRY. I HAVE MANY THOUGHTS ABOUT ART AND MUSIC. BUT YOUR WORK SEEMS TO BE VERY REAL AND NATURAL. I RESPECT YOU SO MUCH, BECAUSE TO GET TO THE LEVEL THAT YOU ARE AT IT MUST TAKE SO MUCH WORK AND TIME. I KONW THAT IN THE FUTURE YOU WILL BE THE MOST IMPORTANT PERSON IN THE ART MOVEMENT. YOU HAVE SET NEW STANDARDS AND THAT IS A GOOD THING OR WE WOULD ALL STAY IN ONE PLACE. IM GOING TO GO NOW OR YOU WILL GET BORED, KEEP IN TOUCH MY FRIEND. THAN X AGAIN JACK.

03.02.2003 08:21

jean claude davreux

un tres grand de la peinture!! fantastique?? tous les mots sont trop faibles!! l'horreur est humaine

27.01.2003 10:29 *debeve*

Merci de m'avoir permis de decouvrir votre galerie virtuelle et les superbes tableaux que j'aimerai maintenant voir de visu; Bravo ! vous pour le travail que vous faites avec cet artiste, dommage qu'actuellement il n'y a que des marchands de tableaux et si peu d'hommes de votre trempe; A bientôt, je-an-luc debeve

26.01.200316:31 *Pierre Gilou*

Belle presentation, sobre, distinguee etc.laire. On peut regretter de ne pas avoir des images couvrant l'ecran. Bravo pour la promotion d'un artiste comme Beksinski, pour notre grand plaisir - je ne sais si le terme "plaisir" est approprie - tout du moins pour notre grande satisfaction. Qui le con-nafrait sans la conviction et l'energie que vous avez deployees pour sa renommee?

Peut-etre souhaterions-nous un peu plus de biographie et de pensees de l'artiste. Etes-vous toujours en relation avec lui? Travaille-t-il toujours? PierreGilou

Wtorek, 4 lutego 2003 godz. 21:06

A: p.dmochowski

Parfois, on ne trouve pas de mots... Je gardais votre message pour y répondre et... rien. Rien ne vient, rien n'est assez bien pour exprimer combien j'aime ce que vous m'avez fait découvrir. C'est étonnant, fort, très fort, tant en émotions qu'en technique. Un bravo ne suffirait pas, un chapeau bas pas plus. Alors un merci, sincère, ému. Merci, vraiment, c'est très beau.

Catherine

PS: Mon préféré est, bien sûr (?) celui qui représente deux corps tendrement enlacs, vieux, très vieux... :o) Fantastique.

De:Jean-Francois ANDRE [jfasculpture@hotmail.com] Envoye:

Środa, 5 lutego 2003 godz. 12:44

Merci,

Superbe, j'ai vraiment apprécié l'atmosphère, les couleurs les détails... Je ne sais trop quoi dire tant cette peinture me concerne avec une étrange sensation familière.

I faudra que j'approfondisse. Encore merci!

Jean Francois ANDRE

De:Georges HOT [georges.hot@infonie.fr]

Czwartek, 6 lutego 2003 godz. 11:50

Merci pour votre e-mail. Je suis très heureux d'avoir par votre site des nouvelles de BEKSINSKI que je tiens pour l'un des très grands artistes de notre époque. Je connais son œuvre depuis des années, dans les salons où j'exposais en même temps que lui et dans votre ancienne galerie. Je fais découvrir souvent son œuvre extraordinaire à des amis peintres qui l'ignorent le plus souvent à travers le volumineux et superbe ouvrage que vous lui avez consacré. Tous mes compliments pour votre action et vos initiatives en faveur de cet artiste génial et malheureusement trop méconnu. Transmettez lui mon salut admiratif et respectueux. Pour vous toute ma sympathie.

Georges HOT, peintre. Cordialement

Etc.

**Pisownia i gramatyka wpisów w księdze gości nie została poddana redakcji, publikuję je w oryginalnym brzmieniu.*

Czwartek, 6 lutego 2003 godz. 21:56

Koresponduję od dwóch lub trzech lat z takim chłopakiem z Bochni, który pracował najpierw na komputerze, potem zaczął malować olejem, a teraz odkrył akryl. Przeszedł przez okres zżynania ze mnie, ale już to przezwyciężył. Mam kilka migawkowych reprodukcji jego obrazów, bo przysyłałyśmy sobie wzajemnie to, co robimy i mnie się wydaje, że facet ma przed sobą przyszłość, a ma obecnie tylko 23 lata. Mogę Ci ze dwa, trzy ostatnie wysłać, o ile Cię to interesuje - więcej nie znajdę, bo muszę szukać po mailach od niego, a mam, jak wiesz, setki maili. Nie pytałem go o zdanie, ale ponieważ należy do pokolenia internetowego, to usiłuje się sprzedać na całym świecie i nieustannie wysyła wszędzie oferty internetowe, to może i Ciebie zainteresuje.

Zdzisław

6 lutego 2003

Oczywiście, że mnie interesuje. Wyślij jak najwięcej zdjęć prac tego faceta.

Nie odpowiedziałeś mi, czy mam Ci przysłać opinie zwiedzających o Twoim malarstwie w tłumaczeniu na polski? Są pełne zachwytu.

Piotr

Piątek, 7 lutego 2003, godz. 14:11

Starsze prace, jak i w ogóle innego typu prace Banacha, znajdziesz pod adresem jego strony: <http://www.lukaszbanach.prv.pj/>

Zdzisław

Piątek, 7 lutego 2003, godz. 14:02

Przepraszam, ale nie cierpię słuchać, ani czytać opinii o sobie, nawet gdyby były entuzjastyczne. Negatywnych też nie lubię. W ogóle nie lubię słuchać o sobie, a raczej o swej twórczości, ani dobrze ani źle. Strasznie mi to potem utrudnia pracę! Od niepamiętnych już czasów, chyba od urodzenia, żyję w świecie wyobrażonym, który bywa dla mnie bardziej realny niż tzw. rzeczywistość. Wszelkie "nawoływania" i "trzaskania drzwiami" pochodzące z "rzeczywistości", rozpraszają mnie i budzą ze snu, a sen bywa niepomernie bardziej interesujący.

Z anegdot zabawnych: być może zwróci się do Ciebie, z prośbą o reprodukcję mego obrazu jakieś wydawnictwo, które wydaje jakiś podręcznik dla liceów. Wczoraj telefon stamtąd wyrwał mnie z popołudniowej drzemki i usłyszawszy, czego ode mnie chcą, zdecydowałem, że chyba właśnie umarłem, ale jeszcze o tym nie wiem. Jeśli mam trafić do podręcznika dla niewinnej dziatwy szkolnej, to oznaczać może już tylko śmierć. Wysyłam trzy ostatnie (ponumerowane według kolejności malowania) obrazy Łukasza Banacha. To młody facet, więc zmienia się z obrazu na obraz i nie ma sensu wysyłać starszych, zresztą pełno tego w internecie pod Lucas Banach. A propos: ja nie wspominałem mu o tym, że wysyłam Tobie obrazy, więc gdybyś znalazł kontakt przez internet, to nie zdemaskuj mnie. Na razie.

Zdzisław

Piątek, 7 lutego 2003, godz. 17:50

Bardzo mi się ten facet podoba. Mówisz, że ma 23 lata? Może z niego wyrosnąc doskonały artysta. Napisałem do niego, chcąc nawiązać kontakt. Gdzie on mieszka?

Oczywiście, jak słusznie piszesz, w wielu wypadkach zrzuca z Ciebie, a przynajmniej imituje Twoją atmosferę. Ale imituje ją zupełnie nieźle. Chciałbym to zobaczyć z bliska. Jeśli nie jest jeszcze drogi, to może coś od niego kupić, o ile zobaczywszy bezpośrednio nie rozczaruję się.

Piotr

7 lutego 2002

Niestety nie odebrałem na czas Twojego maila, zakazującego mi powołanie się na Ciebie, w ewentualnej korespondencji z owym Banachem. Toteż popełniłem tą "gaffę" o ile w ogóle ma to być jakaś "gaffa". Bo niby czemu chłopak miałby się kryć, skoro się ogłasza? I skąd u Ciebie ta mania dyskrecji? Czy przedstawiając sobie ludzi też się kryjesz za parawanem z obawy, że mogliby być na Ciebie obrażeni, że zdradziłeś jednemu i drugiemu ich nazwiska?

Jeszcze raz z Anią spojrzeliśmy na prace tego młodego człowieka i oboje stwierdziliśmy, że tam, gdzie nie stara się do Ciebie upodobnić, jest bardzo dobry. Chętnie go kiedyś wystawię w mojej galerii i chętnie coś od niego kupię, o ile praktykuje dostępne ceny. Czy on mieszka w Bośni, to znaczy w byłej Jugosławii? Bo co to jest, jak piszesz, Bochnia?

Porównanie stanu, w jakim żyjesz do snu, z którego budzą Cię niepotrzebnie hałasy, dochodzące z rzeczywistości, podobało mi się.

Piotr

Piątek, 7 lutego 2003 godz. 23:39

Tylko dwa słowa, bo cholernie jestem zmęczony. Nienawidzę robót technicznych, a dziś przystąpiłem do robienia wydruków z grafiki. W perspektywie wystawa w Sanoku i u Dziopak. Każdą grafikę drukuje się 15 minut. Wydrukowałem około 30 i padam już z ogłupienia.

Nie ma chyba nieszczęścia, jeśli Banach dowie się, że to ja podałem Ci jego namiary w internecie. Tyle, że nie lubię być swatką. Banach mieszka w Bochni pod Krakowem, obok Wieliczki. To takie miasteczko wielkości Sanoka. Poznałem go przed dwoma, czy trzema laty za pośrednictwem redaktora takiego pisma komputerowego GFX, które już nie wychodzi, bo miało za wysoki poziom (ten redaktor jest Fizykiem Teoretycznym). Udzielałem mu wywiadu. Banach był po jakiejś szkole komputerowej

i pracował na Studio Max, co zapewne niewiele Ci powie. Pytał o mój adres i tak się poznaliśmy. Był dwukrotnie przez kilka dni u mnie - to naprawdę niegłupi chłopak, ale trochę splątany psychicznie i chorowity. Ja też taki jestem, ale on inaczej niż ja.

Zdzisław

Niedziela, 16 lutego 2003 godz. 09:39

Pytałeś mnie wczoraj jak doszło do tego, że sprzedałem Szkopowi obraz z architekturą, a ja pamiętałem, że to była jakaś wiązana transakcja, ale szczegóły wyleciały mi już z głowy, tym niemniej od czego dziennik i fotografie. Znalazłem zdjęcie, które Szkop chciał, bym mu zrobił na tle obrazu i okazało się, że jego data to 14.10.2001. Kierując się tą datą, zająłem do mojego dziennika i po kolei przypomniałem sobie całą sprawę. Po wystawie u Lonty'ego w grudniu 2000, Szkop koniecznie chciał kupić ten obraz, ale nie chciałem go sprzedawać. Dla odczepnego obiecałem mu, że jeśli kiedykolwiek będę się tego obrazu pozbywać, to on ma pierwszeństwo. We wrześniu 2001 jacyś krakowscy znajomi Ochmana kupili i zabrali ode mnie obraz z krzyżem, a Ochman miał po tygodniu dostarczyć mi forszę. Po tygodniu Ochman, przywożąc mi forszę, powiedział, że obraz jest jeszcze u niego i Ci ludzie go nie kupią, bo w międzyczasie nastąpiła tragedia rodzinna, czyli trzy trupy, gdyż wystrzelał ich jak kaczki (dwukrotnie wymieniając magazynek) emerytowany pracownik UB, po tym jak sąd wydał wyrok uprawniający ich do przejazdu i przepędu bydła przez jego podwórko (sprawa była podobno głośna w krakowskim środowisku prawniczym, bo żona owego "wystrzałowego" emeryta jest sędzią). Powiedziałem, że jeśli idzie o obraz, to nie ma sprawy i sprzedam go komu innemu, ale Ochman jednak wciskał mi forszę, twierdząc, że sam chce mój obraz kupić, tylko ponieważ ma już mój krzyż, to czy nie mógłbym mu obrazu wymienić na inny. Nie chciałem brać forsy, ale on stanowczo nalegał, więc pozwoliłem mu wybrać obraz na wymianę i on wybrał właśnie tą architekturę. Nie potrzebowałem wtedy forsy, ale nie mogłem się wykręcać, bo Ochman wielokrotnie załatwiał mi rozmaite sprawy (jest z natury cholernie uczynny) i miałem w stosunku do nie-

go liczne zobowiązania, a wtedy konkretnie za specjalistyczne programy komputerowe, które wysyłał mi jego syn, pracownik telewizji w Bostonie. Tym niemniej pamiętałem, co obiecałem Szkopowi i powiedziałem Ochmanowi, że niestety w wypadku sprzedaży tego obrazu, pierwszeństwo ma ktoś przyrzeczone, ale ten facet na pewno już zapomniał i zrezygnuje. Połączyłem się z Lontym (nie miałem w ogóle zamiaru na Szkopa) i powiedziałem, że jestem zmuszony sprzedać ten obraz, ale obiecałem i tak dalej. Reszta potoczyła się już tak, że Szkop nie zrezygnował, lecz obraz kupił. Tak to było. Pozdrowienia

Zdzisław

17 lutego 2003

To umówmy się tak: na odczepne powiedz mi, że na wypadek gdybyś sprzedawał obraz szary, przedstawiający budowlę z okrągłym otworem i chmurami, zawieszony w Twojej pracowni komputerowej po lewej stronie, to sprzedasz go mnie. OK? Ot tak, na odczepne. I zaraz zapomnij o wszystkim, by przypomnieć sobie tylko wtedy, gdy z takich czy innych przyczyn zdecydujesz się obrazu pozbyć.

Dojechaliśmy szczęśliwie, by od razu wpaść w kocioł spraw sądowych, wykładów na Uniwersytecie i kolacji z przyjaciółmi. Pobyt w Polsce był przyjemny i mile wspominamy wizytki u Ciebie. Jeszcze raz dziękuję za piękną grafikę.

Wprawdzie darowanemu koniowi nie liczy się zębów, ale poczyniłem następujące obliczenie: jeśli sprzedajesz je po dwa tysiące złotych, to o ile sprzedasz wszystkich pięćdziesiąt egzemplarzy, to za jedna grafikę zarobisz sto tysięcy złotych. Ty, który zawsze liczysz wartość Twoich prac miarą wysiłku i czasu, jaki musisz im poświęcić, liczysz więc za pracę, którą włożyłeś w grafikę pięciokrotnie więcej niż za pracę, którą włożyłeś w jeden obraz. Czy to sprawiedliwe?

Piotr

Wtorek, 18 lutego 2003 godz. 10:03

Obraz przeznaczony został dla Muzeum w Sanoku i całość 3 obrazów jest obecnie połączona jako tryptyk - ten o który Ci chodzi, został domalowany w tym celu ex post. Tym niemniej mogę oczywiście obiecać, że gdybym kiedykolwiek obraz ten sprzedawał, zmieniawszy zamiar pierwotny i złamawszy obietnicę złożoną Muzeum (bo np. władzę tam przejęli ikonoklaści), to Ty będziesz mieć pierwszeństwo.

Cena grafiki: pierwsza informacja o Tobie, jeśli nie liczyć rozmowy telefonicznej, na podstawie której ocenilem Cię jako starszego, lysiejącego pana w binoklach (nie wiem dlaczego, ale ten obraz stanął mi przed oczyma i taki zapamiętałem) pochodziła od Alicji Wahl, lub od Żurka, lub od obojga chórem. Owóż podobno byłeś pierwszym w historii ich galerii facetem, który dowiedziawszy się, ile kosztuje mój obraz, wybuchnął świętym oburzeniem, porównując tą cenę do zarobków robotnika i urzędnika w Polsce. Tak więc to raczej Ty oceniasz wartość rzeczy według włożonej w nie pracy. Istnieje wiele wykładni sprawiedliwości, wśród których skrajnymi byłyby: każdemu po równo lub każdemu według jego siły. Pierwsze skrajnie komunistyczne, drugie skrajnie liberalne. Przeszedłem w życiu przez obie te opcje, ale w tej chwili nie mam żadnej. Decyduje raczej "pańska fantazja", "widzimi się", emocjonalne przywiązanie do konkretnego obrazu czy też rysunku, oraz opcja "dla świętego spokoju". Jeśli przystąpiłem do robienia grafik, to nie dlatego, bym liczył na zarobek lecz dlatego, że miałem taki pomysł. Potem zdecydowałem, że będą jak znalazł przy licznych aukcjach na dobroczynność, które z reguły wymagały zrobienia w ostatniej chwili jakiegoś rysunku, mimo iż nie miałem ani ochoty, ani pomysłu, a właśnie robiłem coś całkiem innego. Wtedy trzeba było wymyślić i wielkość nakładu i cenę, co zrobiłem "dla świętego spokoju" i stąd wzięło się te 2.000 zł. Chciałem nawet zmienić cenę na 1.000 zł, aliści jeden z kupujących u mnie obraz klientów, z którym to dyskutowałem, powiedział, by nie zmieniać, tym niemniej sprawa ceny nadal jest otwarta. Mogę Cię uspokoić, że nie zarobiłem do tej pory nawet tyle, bo wszystko rozdałem - podobnie jak Tobie - za darmo, głównie na aukcje charytatywne, Stapowiczowi na pokrycie kosztów remontu, dwóm zakochanym paniom na otarcie łez, Muzeum sanockiemu na wystawę etc. Nie jestem królem Midasem i wprawdzie to, co robię nie zamienia się chyba

w gównu, ale nie zamienia się także w złoto, o ile między jednym i drugim jest jakaś różnica.

Zdzisław

18 lutego 2003

Oczywiście jak każdy doświadczony handlowiec wiesz, że żeby jakiś interes ruszył, trzeba na wstępie poczynić ustępstwa, dać, puścić za jedną dziesiątą ceny, dać biednym, żeby się rozniosła wieść, że szczodry, dać na dobroczynną aukcję żeby było, że miłośnicy i tak dalej. Toteż doskonale rozumiem i popieram Twoje postępowanie, bo jest w zdrowym tego słowa znaczeniu kupieckie.

Ale potem? Jak już grafiki ruszą? Czy pięciokrotna cena w stosunku do obrazu usprawiedliwi się? Czy nie okrzykną Cię (tak jak już niektórzy Cię okrzykują) narywaczem?

Co do Alicji Wahl, to raczej nie ufalbym jej relacjom, bo na ogół są fałszywe i plotkarsko oszczercze. Nigdy żadnym oburzeniem na cenę Twoich obrazów nie wybuchnąłem, lecz wkurwiła mnie jej kłótniwość jarmarcznej przekupki. Taką ma zresztą opinię u wszystkich kolekcjonerów, jakich znam, a którzy mieli z nią do czynienia.

Jako anegdotkę dodam, że kiedyś wszedłem do jej galerii, by sobie popatrzeć na Twoje obrazy. Na co zjawiła się ona i zdejmując płaszcz powiedziała. "O! Pan Dmochowski. No! Mnie oszczędził." Miało to niby znaczyć, że jest mi wdzięczna, że nic złego o niej nie powiedziałem w mojej książce. Czego dzisiaj żałuję, bo tak okropnej baby to nie spotyka się codziennie i jakoś powinienem był temu dać wyraz.

Za owo przeoczenie przepraszam wszystkich, których uda się jej zastraszyć wraskiem, a którzy, uprzedzeni przeze mnie, mogliby tego uniknąć.

Piotr

Środa, 19 lutego 2003 godz. 08:27

Bardzo dziwne i egzotyczne są motywacje, jakie mi przypisujesz. Kom-

plement, że jestem "doświadczonym handlowcem" i mam "kupieckie" podejście, traktuję jako niezasłużony. Obawiam się tylko dalszego ciągu: zastosujesz moje "metody": dasz kilka rysunków na dobroczynność, aby rozniosło się, "że szczodry", puścisz to, co reklamujesz w internecie za 1/10 mojej krajowej ceny, a na końcu nic nie zyskasz i o wszystko jak zwykle mnie obwinisz, dodając w konkluzji, że moje metody nie sprawdziły się, co w domyśle oznaczać będzie, że byłem i nadal pozostałem naiwny, a moje prymitywne rady wiodą na manowce.

Nie wiem, czy to, czego dowiedziałem się wtedy od Wahl lub Żurka, odpowiadało prawdzie, ale faktem jest (a to pamiętam), że ten pierwszy Twój telefon do mnie (być może z galerii) dotyczył zadanych, nieco podrażnionym głosem, pytań czy to prawda, że moje ceny wynoszą aż tyle, oraz że niektóre są w dolarach i parokrotnie wyższe od innych (tak wtedy faktycznie było). Powiedziałem, że to rozmowa nie na telefon, ale nie mogłem zaproponować spotkania u mnie, bo akurat przerabiałem otoczenie sztalug, by móc malować większe formaty i tonąłem we wiórach i bałaganie. Spotkaliśmy się po raz pierwszy w parę tygodni lub miesięcy później.

Zdzisław

Środa, 19 lutego 2003 godz. 10:04

Pytanie nietypowe: znajomy musi na gwałt sprzedać mój obraz. Chce za niego szybko 20.000 - zł. Obraz pochodzi z lat 70. i należał do mojej żony. Około godziny 14 obiecał go do mnie przywieźć, a około 17 ma tu być Dziopak i jej ten obraz zaoferuję. Daj mi szybko znać, czy jesteś wiążąco zainteresowany. Zdjęcie dostałem mailem, więc jest nie za fajne, ale chyba obraz pamiętasz, bo u nas wisiał.

Zdzisław

19 lutego 2003

Pamięć Cię zawodzi na pewno, bo gdy podchodziłem do Ciebie z pro-

pozycją współpracy, to tak bałem się Twojej odmowy, że aż mi się stopy pociły. Toteż nigdy nie ośmieliłbym się wówczas "podrażnionym głosem" zarzucać Ci, że liczysz sobie w dolarach i że tak drogo. Być może cichym głosikiem, nieśmiało sugerowałem, że może by tak trochę taniej, ale to wszystko.

Jeszcze raz Cię uczulam na to, czego zdajesz się nie zauważać: mimo Twoich darów na prawo i lewo od czasu, gdy pracujesz na komputerze i sprzedajesz te prace po 2 tysiące złotych, ludzie, którzy nie mają pojęcia ile w to włożyłeś pracy i kosztów określają Cię jako "narywacza". Jeśli nie chcesz zmienić cen Twoich grafik komputerowych, to przynajmniej jakoś to wytłumacz publicznie, żeby opinia społeczna wiedziała, o co chodzi i żeby podejrzeniom i oskarżeniom położyć kres.

Piotr

19 lutego 2003

I znowu Ania mnie oskarża, że wbrew mym przyrzeczeniom, nadal na Ciebie napadam bez powodu. Po pierwsze nie napadam, tylko zwracam Ci uwagę na coś, czego wyraźnie nie zauważasz, a co zarzucają Ci wszyscy, którzy Cię nie lubią a chcieliby przypiąć Ci łatkę.

Po drugie sprowokowany to jestem raczej ja, którego zaatakowałeś cytując złośliwie Wahl i jej pomówienia na mój temat wypowiedziane "zgodnym chórem z Żurkiem, bo byłeś pierwszym w historii ich galerii facetem, który dowiedziawszy się, ile kosztuje mój obraz wybuchnął świętym oburzeniem porównując tą cenę do zarobków robotnika i urzędnika w Polsce".

To tyle, co do prowokacji.

Piotr

Środa, 19 lutego 2003 godz. 17:14

Mam chyba paraamnezję, ale przypominam sobie, że propozycja współpracy wyszła od Ciebie dopiero po którymś kolejnym spotkaniu u mnie. Na początku był tylko wspomniany telefon. Po jakimś czasie (miesiąc,

dwa?) pojawiłeś się i ku memu zaskoczeniu wyglądałeś młodo (w przeciwnym wypadku nie zapamiętałbym do dziś poprzedniego telefonu, jako od osoby statecznej - Twój wygląd był dla mnie potężnym zaskoczeniem). Kupiłeś ode mnie obraz lub dwa obrazy. Potem, po jakimś czasie (miesiąc, dwa?) odwiedziłeś mnie jeszcze i dopiero potem doszło do propozycji współpracy. Tak więc moje wspomnienie nie przeczy Twojemu (o zdenerwowaniu), ale jest inne.

Co do cen za grafikę, to zapewne je obniżę, tym niemniej taką cenę za grafikę stawia wielu liczących się grafików w Polsce. Czyżbym się nie liczył? Sam sugerowałeś, bym podniósł ceny na obrazy.

Zdzisław

Środa, 19 lutego 2003 godz. 18:47

Jeszcze a propos drugiego listu i tych, którzy jak piszesz, chcą mi przypiąć łatkę. Pamiętam, że mówiłeś mi dwukrotnie o jakimś facecie, który gorszył się, że wystawiam u Napiórkowskiej - mimo, iż tam od dwóch lat w formie dekoracji wisi jeden jedyny mój obraz, o który rzeczona pani mnie poprosiła, ale wystawiony jest jako dekoracja i bez zgody na jego sprzedaż - nigdy poza tym niczego tam nie wystawiałem, ale nie wykluczam, że wstawiają tam moje stare obrazy inni. Jeżeli wystawianie tam jest jakąś hańbą (?) to ja jestem bez winy - dałem jej ten obraz do ekspozycji wyłącznie z dobrego serca. Jeśli z kolei idzie o obecnie robioną grafikę w nakładach 50 sztuk, to NIKT jej jeszcze nie widział, poza reprodukcjami w wywiadzie w "empik news", które nie były w ogóle oznaczone jako grafika - po prostu były. Zarzut więc tego faceta dotyczył nie tej obecnej grafiki, lecz moich fotomontaży komputerowych. Od samego początku powiedziałem, że udostępniam je BEZ WYJĄTKU za darmo. W ciągu tych trzech lat wydałem na sprzęt, którego już zresztą nie używam i dałem za darmo innym (bo mam nowy) około 30.000 dolarów (w Polsce sprzęt komputerowy jest bez porównania droższy niż na Zachodzie) i nie zarobiłem na tym ani jednej złotówki i ani jednego grosza. Robiłem to za darmo, dla czystej przyjemności, jaką mi dawał proces kreacji. Czasem Stapowicz i inni handlowali tym i chcieli mi nawet odpalać dołą, ale

powiedziałem (i jest to spisane!), że całość mojego zysku ma być przekazywana na Stowarzyszenie Brata Alberta. Mam więc pod tym względem nader czyste sumienie, a na to, że jakiś ewidentny kretyn (z którym się gdzieś zetknąłeś) mniema inaczej, nie ma naprawdę rady. W końcu na całym świecie funkcjonuje pewien odłam ludzi - najczęściej źle zarabiających - którym wydaje się, iż są niesłychanie przebiegli, przypisując znanym i lepiej zarabiającym czysto merkantylną motywację. Ostatnio w "czacie" jaki miał Owsiak (animator Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy), ktoś go pytał czy to prawda, że 10% "utargu" z całej Polski wsadza sobie do kieszeni. Na kretyna nie ma rady. Zawsze i wszędzie widzi tylko motywację finansową. Czy mam więc pozwolić, by moje zachowanie regulowane było opiniami kretynów?

To tyle odnośnie tych, którzy chcą mi "przypiąć łatkę". Psy szczekają, karawana jedzie dalej.

Zdzisław

19 lutego 2003

Dla mnie Twoje grafiki są bezcenne, bo są po prostu przepiękne. I nie ja się skarżę, że są za drogie, bo na razie dostałem ich trzy od Ciebie za darmo. To, co chciałem powiedzieć to to, że jest absolutna dysproporcja pomiędzy cenami Twoich obrazów (które są ewidentnie za niskie!!!), a cenami Twoich grafik. Powtarzam to od dawna i martwię się tym, bo sam mam interes w tym, żeby były wyższe. W końcu posiadam co najmniej 50 Twoich obrazów, które chętnie bym spylił, a nie chcę tego zrobić za psie pieniądze. Ale to Ty wyznaczasz ceny i ja się muszę do nich dostosować). Bo rachunek, jaki ja zrobiłem jest łatwy i każdy potrafi go zrobić. I go zrobi. Toteż podnieś nareszcie ceny na Twoje obrazy do poziomu, na którym być może będą się sprzedawać rzadziej, ale przynajmniej za pieniądze, których są warte. A wtedy i ceny grafik, (które w porównaniu do prac innych artystów też nie są wysokie) staną się naturalne i nie będą szokować. Co do Twoich dobrych intencji, to nie mam większych wątpliwości prócz ochoty czasami Cię uszczypnąć. A co do kretynów, to się zupełnie zgadzam, że nikt ich nie przekona i że zawsze będą widzieli machlojkę, oso-

bisty zysk i krętaćtwo.

Co do naszych początków, to nie będę się upierał przy detalach, lecz w mojej pamięci pozostało, że dzwoniąc do Ciebie z zapytaniem, czy mogę się z Tobą spotkać, miałem w głowie projekt współpracy, w związku z ideą założenia małej galerii dla żony i zakupienia od Ciebie od razu kilku obrazów. Zresztą zaraz zobaczę w moich archiwach. O, cytuję "Wspominałem Panu wówczas, iż od lat jestem wielkim admiratorem Jego talentu i że po pierwsze dla mej własnej kolekcji, a po wtóre dla projektowanej przez mą małżonkę małej galerii sztuki polskiej w Paryżu, byłbym wielce wdzięczny za umożliwienie mi zobaczenia najnowszych obrazów Pana i zakupienia części z nich". List był datowany z 25 maja 1983 roku i mam jego kopię z notatką po francusku "wysłane 26 V 83".

Chyba, że projektem współpracy nazywasz pomysł naszego kontraktu. Idea kontraktu rzeczywiście przyszyła potem, gdy pokazawszy tutaj pewnemu facetowi, z którego zdaniem liczyłem się, slajdy, które od Ciebie dostałem, usłyszałem ohy i ahy oraz radę "takiego artystę to warto mieć pod umową". Wtedy powstał w mej głowie projekt zawiązania współpracy już nie na zasadzie kupowania od Ciebie poszczególnych obrazów, ale po prostu kupowania lub przynajmniej położenia łapy na nich wszystkich.
Piotr

20 lutego 2003

Dzięki serdeczne, że o mnie pamiętałeś i mnie pierwszego zapytałeś. Jednak po naradzie z Anią, wiążąco rezygnujemy z propozycji. Naszym marzeniem był obraz altany z niebieskim niebem oraz ze smuzką czerwieni spływającą po schodach, altany z wyzierającą zza słupa postacią oraz postaci ze zniczem. Te kupilibyśmy natychmiast. Ale, o ile się orientuję, wszystkie je oddałeś do Sanoka.

Jeszcze raz dziękuję za miły gest.

Piotr

20 lutego 2003

Jeszcze raz dziękuję za pamięć o mnie, jako o pierwszym w kolejce do ewentualnych zakupów Twoich prac.

Nie odpowiedziałeś mi na temat sugerowanej podwyżki ceny obrazów tak, by była proporcjonalna do ceny grafik, która sama w sobie wydaje mi się całkiem uzasadniona.

Będąc dziś na składzie sprawdziłem, jakie grafiki mi się już dawniej od Ciebie dostały. Bałem się bowiem, czy dwa razy nie wyludziłem od Ciebie zwierzaka. Okazuję się, że nie. A więc mam postać leżącą, postać siedzącą i tego wspaniałego psa-konia. Toteż mam Twoje trzy najlepsze grafiki. Dziękuję.

Nabrałem Twoich manier i podarowałem trzem osobom trzy Twoje rysunki. Ja też mam gest!

Piotr

Czwartek, 20 lutego 2003 godz. 21:02

Dziopak obiecała zapłacić za ten stary obraz w poniedziałek, tym niemniej one mają tam kompletną bryndzę i są bez forsy. Ode mnie nie kupiły, tylko zarezerwowały (na moment gdy wpadnie im gotówka), postrzępiony ptako-samolot, który stoi na regale obok wejścia do pracowni. Nie bardzo mam ochotę go sprzedawać, ale też potrzebuję forsy, więc chyba namaluję im jakąś architekturę, bo chyba mają na to kupca. Wtedy odczepią się od ptako-samolotu. Cała Polska jest bez forsy. W końcu facet, który teraz sprzedawał ten mój obraz, do niedawna był bardzo dobrze sytuowany. Na pewno lepiej niż ja. Rosikoń też dwa moje dobre obrazy teraz sprzedał u Dziopak, bo podobno nie miał na studia w USA dla syna. Wczoraj, gdy zajrzałem w Jankach do olbrzymiego jak hangar magazynu z elektroniką i Artykułami Gospodarstwa Domowego, by zmierzyć sobie (do kawalerki) jakąś z ponad 50 typów lodówek, które tam stały - byłem jedynym klientem na przestrzeni prawie kilometra kwadratowego. Dla mnie świeciło się ponad 100 telewizorów. Czynna była tylko jedna z 20 kas. Przypominało to przewrotnie sceny z okresu, gdy w sklepach był tylko ocet. Wtedy sprzedawczynie zbite w kupki pogady-

waly sobie, nie patrząc nawet na klienta. Teraz było dosłownie to samo, a tylko towaru był nadmiar. Ponieważ czasami zauważam rzeczywistość i wyciągam wnioski, to bardziej racjonalne wydało mi się obniżenie cen grafik do 1000 zł, niż podnoszenie cen obrazów do poziomu grafik, jeśli w ogóle te rzeczy są porównywalne. Czeka nas siedem lat chudych, bo i w USA popyt na sztukę gwałtownie spada. Obawiam się poważnie o finansowy efekt tej aukcji Ochmana w Nowym Jorku. Po części jest to kwestia Iraku, po części skandali finansowych z ubiegłego roku, a teraz dołożyła się zima. Postanowiłem więc cen na obrazy nie podnosić. Zobaczymy, co wyglówkuje minister Kołodko, bo jeśli się posłucha jego planów, to nie jest wykluczona gwałtowna dewaluacja złotówki od połowy roku. Wtedy coś trzeba będzie zrobić z cenami, ale na razie pożyję sobie skromniej, cienie smarować będę chleb margaryną i raczej zadbam o to, by namalować sporo obrazów na zapas, które będą jak znalazł, o ile coś w ekonomii drgnie.

Zdzisław

20 lutego 2003

Czemu więc się upierasz? Jeśli nie masz forsy, to sprzedaj mi trzy szare obrazy, które wiszą w Twojej pracowni komputerowej. Przecież Ty namalujesz takich obrazów jeszcze wiele. Przecież to Ty jesteś ich producentem, który może wypędzłować ich tyle, ile zechce. Sprzedaj mi wszystkie trzy, a jutro wyciągam 60 tysięcy złotych z banku, wsiadam do samolotu i pojutrze wręczam Ci forszę.

Rozumiem, że nie chciałeś sprzedać obrazów, które były z jakiegoś względu unikalne, bo należały do Twojej żony lub do Tomka, a w związku z tym były pamiątką. Ale to są zwykłe, szeregowe obrazy, które prócz tego, że są bardzo dobre, nie mają w sobie nic szczególnego.

Powtarzam, jutro namalujesz następne, które w niczym jakością nie ustąpią tym.

No, więc?

Piotr

Piątek, 21 lutego 2003 godz. 08:21

Rozumiem, że wykorzystujesz wszelkie możliwości, by wejść w posiadanie obrazów, na których Ci zależy, ale wiesz przecież doskonale (wbrew temu co piszesz), że najlepsze obrazy malują się same i przypadkiem, a nie zgodnie z zamiarem, bo w przeciwnym wypadku malowałbym wyłącznie najlepsze obrazy. Jeśli więc je w końcu namaluję, to lubię się nimi otaczać. Picasso, który miał sporo celnych uwag na temat malowania, powiedział raz, że malarz jest kolekcjonerem, który nie ma forsy na kupowanie obrazów, więc musi je sobie namalować sam. W pełni się z nim zgadzam.

Co do realiów, to ja też mam konto i mogę z niego podjąć te 60.000, a w końcu mogłem także nie pokazywać Dziopak tego mojego starego obrazu, gdyż wiedziałem, że ma forszę tylko na jeden obraz i wtedy kupiłaby coś ode mnie. Myśl taka zagościła w mej głowie jeszcze przed południem, ale przegoniłem ją, jako nieuczciwą. Jakoś sobie dam radę, zawsze spadałem na cztery łapy, to i teraz się to uda, ale gdy kiedykolwiek zaryję nosem w błoto, będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

Zdzisław

21 lutego 2003

Przed chwilą rozmawiałem z dyrektorem Muzeum Narodowego w Gdańsku, panem Tadeuszem Piaskowskim.

Zaproponowałem mu dokonanie depozytu w jego Muzeum trzech Twoich obrazów pod warunkiem, że znajdą się w stałej kolekcji, to znaczy, że będą wystawiane non stop. Na co on przystał natychmiast, prosząc tylko, bym mu to napisał. Co niezwłocznie uczynię. Jeśli się zgodzisz, to tymi trzema obrazami będzie ów tryptyk szary, za który dam Ci 60 tysięcy złotych i prosto od Ciebie zawiozę go do Gdańska.

Czy na tych warunkach godzisz się mi go sprzedać?

Jeśli nie, to dam do Gdańska jakieś trzy moje obrazy, wśród których jeszcze nie dokonałem wyboru.

Piotr

21 lutego 2003

Wprawdzie jedynym komentarzem, którym opatrzyłeś moje namowy, byś porobił depozyty Twoich obrazów w różnych muzeach było "uspokój się", ale jak wiesz ja uspokoić się nie potrafię. Tak więc, sam zaproponowałem i już zaklepałem, że z własnej kolekcji dam do depozytu dwa lub trzy obrazy do Muzeum Narodowego w Przemyślu, Muzeum Śląskiego, Galerii Miejskiej w Częstochowie, Muzeum Narodowego w Gdańsku. Umówiłem się z nimi, że każdy z nich wybierze sobie dwa lub trzy obrazy z całej mej kolekcji (z wyjątkiem około dwudziestu, z którymi żyję na co dzień i z którymi nie chcę się rozstawać) pod warunkiem, że owe obrazy znajdują się w kolekcji permanentnej i będą stale wystawiane.

Muzeum Łódzkie też chce mieć Twoje obrazy, ale musi się zorientować, czy będzie mogło mi zagwarantować, że będą one wystawione "co najmniej 6 miesięcy w roku". Do Poznania, Szczecina, Bydgoszczy i Kielc nie mogę się dodzwonić.

Tylko Wrocław, którego tak hojnie i lekkomyślnie obdarzyłeś (tak jak dziś ekscesywnie i lekkomyślnie obdarzasz Sanok) lekceważąc mi odpowiedział, że absolutnie ich to nie interesuje, dając mi przy sposobności do zrozumienia, że jest to szmelc, który im tylko zawała składy.

Co do Krakowa i Warszawy to już Ci pisałem, że albo naprawdę nie mają miejsca w stałych kolekcjach i nie mogą mi zagwarantować ekspozycji, albo był to tylko pretekst, którym się wykęcili.

Czekam na Twoją odpowiedź w sprawie propozycji sprzedania mi szarych obrazów, które natychmiast przekazałbym do depozytu w Narodowym Muzeum w Gdańsku.

Piotr

21 lutego 2003

Dograłem, na razie telefonicznie, depozyt 2 Twoich przeze mnie posiada-

nych obrazów, które będą mogli sobie wybrać spośród około 160 w Katowicach (Muzeum Śląskie), w Toruniu (Muzeum Okręgowe), w Przemysłu (Muzeum Narodowe), w Gdańsku (Muzeum Narodowe), w Lublinie i w Częstochowie. Dadzą mi odpowiedź, bo w tym celu musieliby się zorganizować w Łodzi (Muzeum Sztuki), w Kielcach i w Zielonej Górze. Nie mogę się dodzwonić do Poznania (Muzeum Narodowe) i do Szczecina (Muzeum Narodowe).

Odmówili Wrocław (Muzeum Narodowe, bo po prostu mają Cię w dupie i uważają, że to jest szmelc), Kraków (Muzeum Narodowe, bo nie mają miejsca w stałej kolekcji, chyba że się rozbudują i wtedy odezwą się), Warszawa (Muzeum Narodowe, bo nie mają miejsca w stałej kolekcji). Nie mam od Ciebie odpowiedzi w sprawie sprzedania mi trzech obrazów szarych do depozytu w Gdańsku.

Piotr

Piątek, 21 lutego 2003 godz. 18:12

Ależ Piotrze: przecież pisałem Ci i mówiłem, że obrazy te przeznaczone są i obiecane Muzeum w Sanoku. Rosikoń wręcz namawiał mnie (podobnie - ale pod innym adresem docelowym - jak to robisz Ty) bym to "już" zrobił, ale dobrze się czuję w tak zaaranżowanym wnętrzu, a poza tym miewam od czasu do czasu nowych gości, którym jednak pragnąłbym, oprócz swojej gęby i albumów pokazać "na żywo" kilka prac, które sobie cenię. Choćby dziś miałem taką okazję, bo Ochman przyprowadził jednego faceta. Natomiast pomyśl, by oddać w depozyt muzeum krajowym niektóre posiadane przez Ciebie dobre prace, w zamian za przyrzeczenie stałej ekspozycji wydaje mi się fajny, bo zarazem zareklamowałby Twoją kolekcję. Co do Muzeum wrocławskiego, to ono rzeczywiście nie ma miejsc magazynowych i nie tylko ze zbiorem moim, ale innymi rzeźbami też ma cholerny kłopot. Leży to zapewne, jak leżało w Klasztorze Cystersów w Lubiążu, który jest wprawdzie wspaniałym zabytkiem, ale był i zapewne jest nadal zrujnowany i nie nadaje się do przechowywania sztuki. Przekazanie im tego nie było lekkomyślnością, bo NIKT inny (łącznie z Sanokiem) nie mógł lub nie chciał tego przejąć, a mnie groziło w cią-

gu trzech miesięcy (potem się to przesunęło o trzy lata, zapewne z braku środków) przeprowadzenie się do mieszkania w bloku, bo mój dom miano burzyć w trybie natychmiastowym. Miałem do wyboru: wyrzucić lub oddać temu, kto chciał przyjąć, a chciał przyjąć tylko Hermansdorfer z Muzeum we Wrocławiu. W końcu sam (wraz ze mną) w roku 1995 (chyba) oglądałeś w Zamku Ujazdowskim ekspozycję moich prac ze zbiorów wrocławskich. Sanok do dnia dzisiejszego boleje, że nie przyjął (też z braku miejsca, bo nawet XIV-wieczne ikony leżały w szopie), ale dykcja wtedy była inna, a ja nie byłem jeszcze znany. Łatwo pouczać z perspektywy Paryża i po prawie 30 latach.

Zdzisław

Piątek, 28 lutego 2003 godz. 13:36

Nie wiem, jakie zamieszanie wywołała w Częstochowie Twoja propozycja, ani nie wiem jaka to była propozycja, bo tekst jaki mi wysłałeś jest zbyt mały na to, by z wyjątkiem tytułu dało się go odczytać. Musisz tekst zeskanować z rozdzielczością co najmniej 150 dpi, zapisać w formacie JPEG i wysłać w charakterze załącznika, bym w ogóle mógł mieć cień szansy na odczytanie tego. Czyżbyś odwiedził Częstochowę??? Jeśli natomiast plik ściągnąłeś z internetu, to podaj mi adres tej strony.

Zdzisław

28 lutego 2003

Jak Ci to już pisałem, zaproponowałem czternastu muzeum w Polsce depozyt dwóch Twoich obrazów na pięć lat, pod żelaznym warunkiem, że będą wystawiane non stop. A jeśli znikną ze ściany na dłużej niż na dwa miesiące, ja je odbieram.

Zrobiłem to w części telefonicznie, a w części listownie.

Otrzymałem od razu kilka odpowiedzi pozytywnych, między innymi z Muzeum Narodowego w Gdańsku, w Lublinie etc. Muzeum Łódzkie najpierw powiedziało mi, że nie mają miejsca w stałej kolekcji, ale pro-

szą, żeby napisać, bo muszą się zastanowić, co zrobić. Potem potwierdzili, że nie mają miejsca. Dyrektor Muzeum Narodowego we Wrocławiu dość grubiańsko odpowiedział mi, że nie ma mowy, bo mają Twoich prac w bród, a Ciebie głęboko w dupie. Narodowe Muzeum Warszawskie i Krakowskie już dawniej odpowiedziało, że nie mają miejsca. Chyba szczerze. Teraz zacząłem dostawać odpowiedzi na moje listy. Tak więc, Częstochowa wysłała mi artykuł z Gazety Wyborczej o kłótniach jakie wynikły wśród radnych miasta i tamtejszych prominentów kulturowych, bo podnieceni sukcesem obecnej Twojej wystawy u nich (która przypisują mnie, a nie Sanokowi...) oczywiście jedni bardzo by chcieli, ale drudzy twierdzą, że nie ma miejsca, że trzeba by było czasu i pieniędzy na uruchomienie w tym celu lokalnego muzeum, którego strop się wali, a elektryczność jest w oplakanyam stanie i które stoi zamknięte. Kłótnia jest na tyle zażarta, że przysłała mi ochota podsyć ją. Toteż podniosłem stawkę i zamiast dwóch zaproponowałem 5 Twoich obrazów, a przy tym szereg prac Stasy, Starowieyskiego, Szajny etc. Zobaczymy, jak z tego wybrną.

Jeśli chcesz przeczytać artykuł z Gazety Wyborczej, który Ci przesłałem o obecnej Twojej wystawie w Częstochowie, to musisz to zrobić w systemie "betesum", potem naciskać na "V4cgt", a wreszcie uruchomić "firer". Tam znajdziesz okienko "szremslet", po czym już wystarczy przeczytać instrukcję, która wprawdzie jest napisaną po japońsku, ale to dla Ciebie małe piwo. Gdybyś miał trudności, to wystarczy, że przeczytasz wyjaśnienia na listwie ikonowej. Tam wszystko stoi jak byk i tylko absolutny dureń mógłby mieć mimo tego problemy.

Pozdrawiam

Piotr

Piątek, 28 lutego 2003 godz. 23:06

(...)

Niestety w internetowym wydaniu częstochowskiej Gazety Wyborczej, nie znalazłem tego artykułu. Może go nie umieszczono albo może jest sprzed paru dni. Takie sytuacje, jaką opisałeś, pojawiają się wszędzie, dokąd się zwróciłeś i może w końcu zrozumiesz, że wybór Sanoka nie był aż tak

glupi, jak sądzisz. Cóż w końcu zyskamy ja lub Ty na dwóch czy pięciu obrazach, wiszących w jakimś miejscu. Ludności miejscowej opatrzą się po tygodniu, a nikt specjalnie tam jechać nie będzie, by zobaczyć kilka moich obrazów. Oczywiście zrobisz, co chcesz. Co do Hermansdorfera, to on nie ceni tego, co robiłem i nie umieszcza w stałych zbiorach, ale bynajmniej nie dlatego, że mają rzeczywiście nadmiar moich prac. Każdy w końcu ma jakąś politykę wystawową. Nawiasem: ubiegłoroczna wystawa fotografii pochodziła ze zbiorów wrocławskich.

Zdzisław

1 marca 2003

Bo ja wiem, czy coś wyniknie dla Ciebie lub dla mnie z tego, że dwa czy pięć Twoich obrazów będzie to tu czy tam wisiało? W końcu, jeśli mają leżeć u mnie na składzie, to cóż mi szkodzi zawiesić je w jakimś muzeum? Po pięciu latach mogą tylko nabrać wartości. Toteż, jeśli nie zarobię, to i nie stracę.

W Częstochowie zapowiadają zamach stanu, bo zdecydowani są przyjąć moją kolekcję za każdą cenę. Jak Ci już pisałem zaproponowałem im szereg czołowych nazwisk w Polsce. Tak, iż sami nie mogąc ich sobie kupić, będą się mogli choć szczyścić się tym, co ode mnie pożyczyci.

Zresztą Częstochowę polubiłem. Gdy pojechałem tam, by zobaczyć Twoją wystawę u Lonty, byłem przez nich wszystkich przyjęty jak król. Zarówno przez samego Lonty jak i przez miejscowe media. Prócz tego pokazano mi szereg prac fotograficznych i plastycznych tamtejszych facetów i stwierdziłem, że nie mają się czego wstydzić. Byłem nawet zaskoczony, że na prowincji jest tylu dobrych plastyków. Wreszcie polubiłem tamtejszego potentata finansowego, Szkopa, który jest fajnym facetem i mile się z nim rozmawia.

Tak więc, czemu by nie Częstochowa? Tym bardziej, że prowadzi tam dobra autostrada z Warszawy, z Krakowa i z Katowic, a więc nietrudno dojechać tam samochodem.

W końcu i tak za pięć lat odbiorę te obrazy, lub jeśli się przekręcę, to odbierze je moja żona.

Co do Zielonej Góry i do Lublina, to już zaklepałem to, iż dam im po dwa Twoje obrazy. Nie mam jeszcze odpowiedzi pisemnej od Torunia, Bydgoszczy, Katowic i kilku innych miast. Ale wszystkich ich chętnie obdarzę Twoimi, jak i innych malarzy obrazami, które, jak powiadam, jeśli przez pięć lat pobytu w muzeach nie nabiorą wartości, to na pewno jej i nie stracą. A ja będę dzięki temu miał skład trochę mniej zaphany i będę go mógł sobie nadal dopychać nowymi nabytkami.

Tyle, co do racjonalności przedsięwzięcia.

Piotr

Niedziela, 2 marca 2003 godz. 08:16

No cóż. Twoje argumenty brzmią racjonalnie. Nie liczyłbym może na wzrost wartości w wyniku leżakowania w muzeum, ale poza tym Twoje prognozowanie wydaje mi się OK.

Nawiasem: ja nie cierpię być przyjmowany jak król. To zdanie określa po części różnice naszych charakterów i postaw. Tyle, bo dziś robię dwa razy więcej błędów w tekście niż normalnie.

Zdzisław

4 marca 2003

Pokaż coś namalował nowego.

Myślałem, że pójdzie łatwiej. Otóż przeliczyłem się. Po odmowie Muzeum w Poznaniu, które już nie brakiem miejsca się wykręciło, a szczerze i bez ogródek przyznało, że "scenariusz ekspozycji polskiej sztuki współczesnej nie pozwala nam włączyć tych dzieł do stałego zestawu ekspozycyjnego", dziś dostaję suchy list z Muzeum Narodowego w Kielcach, które nawet nie bawi się w formułki grzecznościowe i po prostu stwierdza "informujemy że nie jesteśmy zainteresowani Pana propozycją."

Przypomina mi to wszystko to, czego się nasłuchałem tutaj przez dwanaście lat moich prób wylansowania Cię we Francji.

Widzę, że francuski podział na nie niemogących wskórać entuzjastów

i wściekłych przeciwników z establishmentu muzealnego, którzy mają tę przewagę, że wszystko trzymają w garści, niczym nie różni się od polskiego. Zobaczymy jeszcze, co napiszą Toruń, Gdańsk i Bydgoszcz. Ale już teraz widzę, że teren jest grząski. A ja myślałem, że przynajmniej w Polsce Twoja sytuacja jest stabilna i takie Jareckie są nieliczącymi się wyjątkami...

Toteż rozumiem teraz, czemu nie spieszyłeś się z propozycjami darów czy depozytów w polskich muzeach, do czego Cię naiwnie namawiałem.
Piotr

Wtorek, 4 marca 2003 godz. 21:04

To przynajmniej jest miłe, że czasami jednak skłonny jesteś przyznać mi rację. Nie maluję tak szybko, jak sądzisz. Od Waszego wyjazdu namalowałem dwa obrazy, z których ostatni malowałem z myślą o sobie oraz z podtekstem, że gdy w moim odczuciu nie spełni pokładanych w nim nadziei, to dostanie go Galeria. W moim odczuciu udał mi się, więc będę mieć do dekoracji kawalerki, w której sam zamieszkać, zanim jeszcze zagnieździ się tam jakaś księżna gospodyni. Przedstawia temat, jaki już kilkakrotnie opracowywałem, a więc katedrę w chmurach, które są jakby tkaniną lub są splątane z tkaniną. Poprzedni mniejszy obraz przedstawia pół-akt męski, jeśli tak to można nazwać. Tego Dziopak na pewno nie zechce. Obecnie podmalowałem nowy obraz, ale jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie. Zdjęć nie mam i wykonam je, o ile będzie dostatecznie jasno. Co do księżnej gospodyni, to Japończycy wyprodukowali taką w raptem 8.000 USD, a ma nawet stanieć. Widziałem zdjęcie. Sprząta, pilnuje byś zażywał terminowo pigułki, chodzi po zakupy, sama dba o naładowanie swoich akumulatorów i alarmuje znajomych telefonicznie, gdy nie możesz wyleźć z wanny oraz otwiera im drzwi wejściowe. Muszą ją jeszcze, jak na warunki polskie, nauczyć strzelania spod biodra gumowymi kulami lub posługiwania się elektro-paralizatorem, bo ją natchmiast ukradną, gdy wyjdzie po zakupy.

Zdzisław

Środa, 5 marca 2003 godz. 10:05

Wysyłam jak obiecałem trzy fotki "z ręki" ostatnio namalowanych obrazów. Numeracja kolejna. Pierwszy chyba widziałeś. Lepiej sfotografować się nie dało, bo jest ciemno, tak więc oświetlenie nie jest zbyt równe.
Zdzisław

5 marca 2003

Jak to masz w zwyczaju, katedrę odpędzłowałeś piękną.
Piotr

5 marca 2003

Na wsiakoj słuczaj precyzuję, że gdybyś myślał sprzedać katedrę, to jestem pierwszy w kolejce.
Piotr

p.dmochowski

A: *tadeusz.piersiak@czestochowa.agora.pl* Objet: RE: *Besknski i inni*
----- Message d'origine-----

De: *Tadeusz Piersisk* [mailto:*tadeusz.piersiak@czestochowa.agora.pl*]

Envoye:

Czwartek, 6 marca 2003 godz. 10:47 A: *p.dmochowski@noos.fr* Objet: *Besknski i inni*

Szanowny Panie!

Ponieważ mam problem z dodzwonieniem się do Pana na numer uzyskany od Romana Lontego, pozwałam sobie na napisanie tego listu.

Jestem autorem tekstu "Gazety Wyborczej", który - jak wiem - dotarł do Pana. Wybacz mi więc Pan - mam nadzieję - dalsze zainteresowanie sprawą. Jako osoba blisko związana z częstochowską kulturą jestem Panu oso-

biście wdzięczny za uczynioną Galerii propozycję. Powstanie tekst, który o Pana propozycji informuje opinię publiczną. W związku z tym proszę napisać mi: dlaczego zdobył się Pan na taką propozycję? Czy opis sytuacji w Częstochowie miał wpływ na Pana postanowienia? Na ile uszczerbkiem dla Pana działalności marszanda będzie "zamrożenie" kilkudziesięciu - jak rozumiem - obrazów w naszym mieście? Przepraszam za tę końcową uwagę: proszę o pilną odpowiedź, chcemy żeby tekst był już jutro w "Gazecie".

Pozostaję z szacunkiem! Tadeusz Piersiak

ODPOWIEDŹ:

Szanowny Panie,

Ja nie jestem marszandem. Sto razy już mówiłem i pisałem w prasie, że jestem kolekcjonerem. Stąd nieporozumienie. Jak każdy kolekcjoner kupuję i sprzedaję, wymieniam się i robię inne transakcje, by wzbogacić i uczynić cenniejszą moją kolekcję. Ale moje sprzedaże na tym się kończą. Łatka marszanda przykleiła się do mnie w polskich mediach i nie chce się odkleić. Moja dość spora kolekcja (posiadam ponad 550 obrazów najróżniejszych malarzy, poza tym rzeźby, grafiki, rysunki etc.) nie jest przeznaczona na sprzedaż. Jest moją przyjemnością i moją radością. Toteż ja niczego nie "zamrażam", bo prócz sporadycznych zamian lub sprzedaży, nic nie jest przeznaczone na handel.

A tego wszystkiego jest tyle, że nie jestem w stanie pomieścić u siebie nawet jednej dziesiątej kolekcji. Toteż reszta jest złożona na składzie i oglądam ją fragmentarycznie i rzadko, bo wtedy tylko, gdy udaję się na skład, by coś zabrać lub coś dołożyć, bo akurat kupiłem.

Toteż trochę mi żal, że to, co tak lubię (bo kupuję tylko to, co lubię a nigdy, powtarzam NIGDY nie kieruję się ewentualną nadzieją, że kiedyś dany autor czy dane jego dzieło nabiorą wartości) leży niewidziane i niepodziwiane przez ludzi. Bo jak każdy kolekcjoner lubię się chwalić tym, co posiadam.

Wystawienie więc choćby drobnej części moich zbiorów w kilku ośrodkach kulturowych w Polsce nie jest dla mnie zamrożeniem "TOWARU" a okazją do podzielenia się z widzami dumą z "KOLEKCJI", jaką mam.

Poza tym mam już 60 lat i nie mam dzieci. Toteż cała ta kolekcja nie ma już handlowej przyszłości, bo nawet gdybym tego chciał to i tak nie zdążyłbym jej spieniężyć przez czas, który mi zostało do przeżycia. Ten wzgląd też ma wpływ na decyzję, że jest to ostatni (lub miejmy nadzieję przedostatni)

dzwonek na to, by jeszcze za mojego życia publiczność mogła się spotkać z moją kolekcją i podzielić się ze mną wrażeniami, jakie ta kolekcja będzie na niej robiła.

Na koniec dodam to, co napisałem ostatnio do Bekińskiego wyjaśniając mu przyczyny tego posunięcia: polubiłem Częstochowę. Bo gdy przyjechałem tam na jeden dzień kilka lat temu, by zobaczyć wystawę Bekińskiego u pana Lonty, to zostałem tak serdecznie przyjęty przez nich obojga i przez miejscowe środowisko artystyczne oraz przez media, że ów pobyt pozostał mi głęboko w pamięci. Poza tym pokazano mi wówczas prace kilku artystów częstochowskich, które przekonały mnie, że w tym mieście są zdolni ludzie, którzy nie mają się czego wstydzić w porównaniu do innych wielkich polskich sław.

Wreszcie pozostał wzgląd praktyczny. Częstochowa znajduje się stosunkowo niedaleko od Warszawy i prowadzi tam dobra droga, którą w dwie i pół godziny można dojechać. Tak, iż jeśli chciałbym komuś pokazać wystawę, to łatwo wsiąść w samochód i dojechać do Częstochowy, by tego samego jeszcze dnia powrócić do Warszawy.

A poza tym, jak to napisałem do Bekińskiego: jeśli renoma mych obrazów nie zyska, to na pewno wisząc w Częstochowie nie straci. Prawdopodobnie będzie odwrotnie. A o to każdemu kolekcjonerowi chodzi.

Piotr Dmochowski

Sobota, 8 marca 2003 godz. 16:54

Bardzo fajny facet ten Alessandro Bavari. Animacji nie byłem w stanie załadować, bo łącze jest u mnie za wolne, albo ja nie jestem dostatecznie cierpliwy. To, że dopiero teraz odkryłeś tą stronę - surfując po stronach sztuki o wiele intensywniej niż ja - wskazuje na to, że jeśli nawet istniemy w internecie, to jest to zaledwie tak samo, jakbyśmy istnieli w prowincjonalnym muzeum. Przez całe życie można na nas nie trafić. Oczywiście facet istnieje na rynku i jest znany w swoim środowisku, podobnie jak ja w moim, ale trzeba znać nazwisko i wtedy znajduje się o nim informacje. Nie znasz nazwiska, to nie wiesz i możesz się nigdy nie dowiedzieć o jego istnieniu, mimo iż informację masz na odległość kliknięcia myszą. To

podstawowa wada internetu. A przecież facet jest znany w środowisku grafików komputerowych, bo robił choćby kalendarz dla Adobe, co znalazłem szukając potem po nazwisku w Google. Dziwne więc, że pracując przez lata na programach Adobe, nigdy o nim nie słyszałem. Nie przysyłał mi więcej takich informacji, bo mi to psuje nastrój, o czym już sto razy pisałem i mówiłem.

Zdzisław

Sobota, 8 marca 2003 godz. 18:22

Pękła mi wczoraj o północy żyłka w oku i wyglądam jak Belfegor. Gdy następna pęknie w mózgu, to istnieje skromna nadzieja na to, że może obrazy podskoczą w cenie.

Zdzisław

9 marca 2003

Czy możesz pracować z tym okiem?

Jest ogromna różnica pomiędzy pęknięciem żyłki w oku, (co zdarza się często nawet młodym ludziom a i mnie się zdarzyło), a pęknięciem naczyń w mózgu.

Błagam, nie tragizuj, bo nie ma powodu.

Piotr

Załącznik (Beksiński Belfegor) dostępny na stronie XXX

Niedziela, 9 marca 2003 godz. 08:04

Ależ nie tragizuję, lecz zażartowałem. Mnie też już kiedyś pękła żyłka na białkowiec. Nie upośledza to widzenia. Raz pękła mi przed ca 10 laty żyłka wewnątrz ciała szklistego i wtedy były jaja: najpierw zniemacka zaciemnienie widzenia, potem po godzinie widziałem tak, jakbym tam miał

rosól, potem miałem mgłę i to wszystko w ciągu doby, potem widzenie się wyklarowało, ale wewnątrz były (z pozoru czarne jak smoła) skrzepy i w końcu jeden z nich ulokował się w samym przecięciu promieni optycznych, co dawało taki efekt, że z pozoru wszystko widzę OK, ale jeśli chcę coś konkretnego zobaczyć i nastawiam na to wzrok, to zaczynają być jaja i coś tam przeszkadza. Trwało to ponad pół roku.

Noszczyk oczywiście skierował mnie do jakiegoś profesora, który chciał mi to usunąć laserem ale ja - jak wiesz - nie za bardzo ufam nauce i profesorom, szczególnie jeśli idzie o oko, natomiast ktoś mi powiedział, że takie skrzepy bardzo powoli osiadają na dnie i się w końcu zresorbują, co nastąpiło.

Zdzisław

9 marca 2003

Cieszę się, że jak powiadasz "tylko żartowałeś", bo bałem się, że panikujesz o nic. Takie pęknięcia, jak powiadam sam miałem, a przecież nie mam nawet nadciśnienia.

Czy przeniosłeś się już do kawalerki? I po co? Źle Ci w większym mieszkaniu?

Wprawdzie prosisz, żeby Ci dobrych plastyków nie wskazywać, bo tracisz błogie poczucie, iż jesteś jedynym utalentowanym malarzem na kuli ziemskiej, niemniej zwrócę Ci uwagę na Witkina, na którym mocno wzoruje się ów Bavari.

Co do prób przekonania mnie, że internet jest złym nośnikiem, to jest to zarzut doktrynalny, podobny do tego, jakie Tobie robią Twoi przeciwnicy, że posługujesz się w pracy komputerem.

W ich podtekście ma to znaczyć, że ułatwiasz sobie pracę, by za dobre pieniądze sprzedawać pęczkami twory, do których nie musiałeś się dołożyć.

W Twoim podtekście ma to znaczyć, że niczego moją wirtualną galerią nie zdziałam, bo pies z kulawą nogą tam nie zajdzie, zważywszy, że są miliardy takich stron jak moja.

Oba argumenty są chybione.

Ani Ty nie ułatwiasz sobie pracy, a po prostu posługujesz się innym niż ołówek lub pędzel narzędziem, z którego możesz zrobić zarówno chały jak i arcydzieła, ani ja nie przemawiam w dżungli, gdzie miliony ptaków krzycząc pokrywają mój głos.

Internet jest jak pędzel: od malarza zależy, czy zainteresuje widzów, czy nie. Ja nagłaśniam mój adres w prasie, kontaktuję dziesiątki, setki e-mailowych adresów różnych artystów, by ich zaprosić do obejrzenia mojej strony. Zaprosiłem ponad dwieście domów kultury w Polsce oraz prowincjonalnych szkół etc. Poza tym są ludzie, którzy przekazują informacje innym ludziom. Toteż mogłeś zauważyć u tego Bavari, że jego stronę obejrzało ponad 70 tysięcy ludzi.

Nawiasem powiem, że nie ja odkryłem Bavarię, a to on mnie odkrył i do mnie napisał zapraszając do obejrzenia swej strony, ponieważ zdaje się znał już Twoją twórczość i logo, na którym jest reprodukowany Twój obraz, zachęciło go do otwarcia drzwi mojej galerii.

Piotr

Niedziela, 9 marca 2003 godz. 15:37

Nie ulega wątpliwości, że obaj mamy tą wyższość nad Bavarim, iż logo moje i Twoje reprodukowane jest nie tylko w internecie, ale nawet na niejednej dupie. Upojna noc w motelu lub agencji towarzyskiej, może zaowocować zainteresowaniem sztuką. Nie mam akurat pod ręką dupy, ale mam pod ręką logo na ręce. W Polsce, a może i za granicą funkcjonuje ono jako jeden z wzorców w salonach tatuaży. No cóż. Załóż sobie licznik w galerii tzn. niech Ci Soltysek założy. Zauważyłem licznik Bavarię i jest imponujący jak na sztukę, bo oczywiście stron porno nie będę brać pod uwagę. Tomek, <http://www.in.com.pl/-dpswad/krypta/>, też ma taki imponujący licznik - aktualnie (specjalnie zajrzałem) 73.371 odwiedzin. Mogę Ci zagwarantować, że to nie będzie łatwe, ale oczywiście, jeśli poświęcasz aż tyle energii na reklamowanie, to być może dopniesz swego. Teraz facet z Kanady buduje moją stronę i nie protestuję tak długo, dopóki nie wpadnie mu do głowy wsadzić tam mój prywatny adres. W tej chwili jest to we wstępnej fazie budowy. Adres to www.beksiniskiart.com

Moje krwawe oko przydało się Banachowi, który pytał, czy nie mógłby wykorzystać tego, jako renderingu twarzy jednookiej dziewczynki w jakiejś animacji. Jeszcze nigdy nie byłem jednooką dziewczynką, więc wyraziłem zgodę.

Jest taka niszowa grupa rockowa z Holandii pod tytułem "The Legendary Pink Dots". Tomek rozpropagował ją przed laty w Polsce tak, że u nas znani byli bardziej niż w Holandii. Ja też tą grupę cenilem. Teraz od roku, czy dwóch wychodzi, wydawana przez SPV POLAND seria reedycji ich wszystkich nagrań poświęcona Tomkowi. Rodzaj wydania bibliofilskiego. Okładki stanowią moje fotomontaże. Jest tego chyba już 8 czy 9 płyt. Czy kupić dla Ciebie te płyty, które jeszcze są w dystrybucji?

Zdzisław

8 marca 2003

Co chcesz powiedzieć mówiąc, że "mam pod ręką logo na ręce"?

Licznik mam założony, ale jest to licznik na mój własny użytek. Toteż ja wiem dokładnie ile było odwiedzin, w jakim dniu i w jakim miesiącu, a nawet w procentach, które rubryki w mojej stronie były oglądane najczęściej. Lecz o tym nie wie nikt, prócz mnie.

Co do faceta z Kanady to rzeczywiście jego strona jest w samych początkach konstrukcji, bo prócz tytułu "oficjalna strona Beksińskiego" (Dlaczego oficjalna? Czy to Ty ją firmujesz?), nie ma tam jeszcze nic Twojego, a tylko jakieś nieokreślone bliżej zdjęcia o niezrozumiałej treści.

Płył mi nie kupuj, bo za rockiem nie przepadam. Musiałbym najpierw usłyszeć. Może kiedyś puścisz mi te płyty, gdy będziemy u Ciebie. Wtedy zadecyduję.

Na razie w domu nastrój okropny, bo zdaje się, że nasz pies ma znów raka. A to kładzie moją żonę na łopatki. Tak, iż płacze i zupełnie nie może funkcjonować. Kocham tą psinę ogromnie, bo czegoś tak łagodnego nie sposób znaleźć pod słońcem. Ale ma już 13 i pół roku, gdy psy jej rasy żyją zazwyczaj tylko 12 lat.

Ponieważ nie podjąłeś tematu o sprzedaniu mi świeżo upieczonej katedry, wsadzę ostatnio spadłą mi z nieba forszę do banku na poczet mojej

i Aninej przyszłej emerytury.
Piotr

Poniedziałek, 10 marca 2003 godz. 09:21

Pytasz co znaczy "mam pod ręką logo na ręce". Ależ chyba dostałeś załączone zdjęcie, przedstawiające bark lub łopatkę z wytatuowanym moim obrazem, który przez długi czas stanowił logo Twojej galerii? Czyżby nie doszło? Może to był jakiś JPEG z rozszerzeniem, który nie dawał się u Ciebie otworzyć? Wysyłam więc raz jeszcze - tym razem w formacie BMP. To już musi odczytać każdy komputer.

Co do katedry, to namalowałem ją dla siebie, ale pamiętam, że gdybym kiedykolwiek sprzedawał prywatnie, to Ty zaklepałeś pierwszeństwo.

Co do Kanady - to ja tego faceta o nic nie prosiłem, mimo iż go znam, bo mnie dwukrotnie odwiedził. W jakimś tam stopniu żywi takie same nadzieje i popełnia takie same błędy jak Ty w roku 1983. Jest nieprzesiąkliwy na racjonalną argumentację. Spisał ze mną umowę na sygnowane "Limited Editions" wydrukowane techniką Gicle - dotyczące głównie obrazów, jakie są w Sanoku. Podawałem mu także namiary na Ciebie. Związał się Waldemar Plusa. To jemu wpadła do głowy "Oficjalna strona". Rozkręca się to bardzo powoli. Nie wiąże z tym ŻADNYCH nadziei i planów. Usiłowałem to wszystko facetowi wyperswadować, ale każdy ma prawo pchać swój palec do ognia.

Zdzisław

10 marca 2003

Jeśli lubiłeś Bawariego, to na pewno będziesz lubił Witkina. Nie mogę znaleźć jego oficjalnej strony. Ale tych kilka adresów pozwoli Ci wyrobić sobie jako takie zdanie o nim.

Piotr

11 marca 2003

Matko Boska! Cóż bardziej naturalnego niż dzielenie się z kimś wrażeniami i opiniami na temat jakiegoś fotografa, który wybija się ponad innych (a Witkin wybija się ponad wielu)? Ty naprawdę jesteś pokręcony. Przecież nawet już nie fotografujesz. Więc w czym zapoznanie się z pracami wybitnego fotografa miałoby Cię przyprawić o paralizujący strach, że są na świecie lepsi od Ciebie lub Tobie równi. Ani on nie uprawia Twojej estetyki, ani Twojej techniki. Więc czemu mam sobie dać spokój?

A czy o pogodzie można?

Piotr

Wtorek, 11 marca 2003 godz. 18:16

Mea culpa, ale dziś jestem obolały więc i zły. Myślałem, że wszystko już na ten rok minęło wraz z mrozami, a teraz ni z gruszki ni z pietruszki zaczyna się ponownie wraz z wilgocią.

Jeszcze rano znalazłem tego Witkina w przeszukiwarce grafiki Google. Jest tam jego sporo. Nie jest ten facet tym, co bym lubił najbardziej. Jeśli już mamy się przerzucać fotografiami, to przed chwilą trafiłem na kilka fotografii jakiejś młodej Rosjanki z USA, która fotografuje sama siebie. Znalazłem je na stronie, którą permanentnie odwiedzam dwa razy dziennie, bo zajmuje się najnowszej generacji sprzętem fotografii cyfrowej. Jest to bodajże najlepsza strona tego typu na świecie. Nie wiem (nie znam dostatecznie angielskiego) dlaczego Askey'owi odbiło na pokazywanie jej autoportretów (może to jakaś jego znajoma) ale trzeba przyznać, że kilka z nich jest doskonałych. Adres strony: <http://www.dpreview.com/reviews/specs.asp> i należy poszukać w News pod Asya Schween.

Jeżeli narzekam na internet, to dlatego, iż nie sposób trafić na interesujące nas informacje, ukryte wśród kilku miliardów nieinteresujących. Wydawałoby się, stosunkowo łatwa do wprowadzenia przez administratorów sieci, idea katalogowania. Jeśli otwierałbym sobie stronę (jak Ty), na którą chciałbym zaprosić osoby potencjalnie zainteresowane, musiałbym ją oznakować jakimś symbolem. Wszystkie te symbole byłyby powszechnie dostępne i każdy posiadacz internetu mógłby kreować specjalny folder

z bramką dla adresów oznaczonych konkretnym symbolem i rejestrować ten folder tak, jak domenę. Otwarcie jakiejś nowej strony oznakowanej tym symbolem automatycznie wprowadzałoby adres tej strony do foldera osoby zainteresowanej. Cały internet jest dziś nieprzeźroczystą zupą, wypełniającą obszar morza śródziemnego, w której dokonuje się połowu łyżeczką od herbaty. Oczywiście posurfowaliśmy trochę po stronach porno, dostaje się potem wraz z pocztą zaproszenia od rozmaitych NikiWetc.zy Wetlvette, których serwery szczytują automatycznie Twój adres, ale nie istnieje coś takiego w dziale sztuki, a poza tym nawet w dziale porno istnieje tylko incydentalnie.

Zdzisław

11 marca 2003

Facetka jest niesamowita. 22 lat smarkula, a ileż pomysłów, ile wyrazu! Przeczytałem wywiad z nią i dowiedziałem się z niego, że ma ona swoją stronę, na której jest 75 jej portretów. Obejrzałem je wszystkie uważnie i niejednokrotnie jeszcze do nich wrócę. Jeśli tego nie wyłowisz z jej wywiadu to wejdź na stronę MyOwnSelf.com., a zobaczysz tam mnóstwo innych autoportretów, jedne lepsze od drugih.

Jak widzisz internet nie jest zupełnie nieużyteczny, ale każda informacja, którą zawiera jest jak książka, która gdzieś tam leży na półce w jakiejś bibliotece. Jeśli Ci ktoś jej nie zasygnalizuje, jeśli nie przeczytasz recenzji w jakiejś prasie lub nie zaczeplisz oka na jakiejś reklamie, to oczywiście niczego się nie dowiesz i książki nie przeczytasz. Toteż wiem, że jest tysięcy książek, które z pewnością przeczytałbym jednym tchem, a nigdy nawet nie będę przypuszczał, że istnieją, bo właśnie do nich nie dotarłem. Tak samo jest prawdopodobnie stu Bawarich i takich małych Rosjanek, o których nie będę miał nigdy bladego pojęcia, bo na nich w internecie nie wpadnę. Ale w końcu i tak mój świat złożony z tego, co zobaczyłem filmów, obrazów, baletów czy książek jest bogaty i nie narzekam. W końcu też przez przypadek trafiłem na "Sombre" i na "La vie nouvelle". Przypadku nie da się wyeliminować nawet nowoczesną techniką.

Wymaganie od internetu czegoś więcej od tego, co się wymaga od wiel-

kiej biblioteki, jest naiwne.

Pamiętam, że porównania do biblioteki użył mój ojciec, który był naukowcem i wiedział, co się prawdopodobnie stanie za czterdzieści lub pięćdziesiąt lat wtedy, gdy ludziom się nawet nie śniło o różnych rzeczach. Gdy byłem więc małym chłopcem i miałem dziesięć lat powiedział mi między innymi: "Dożyjesz czasów, gdy będziesz miał wszystkie biblioteki świata w Twoim pokoju". (Nawiasem dodam, że powiedział również wiele innych rzeczy, które się sprawdziły lub sprawdzą się niedługo. Na przykład "Dożyjesz czasów, gdy słonia będzie można zamienić w mrówkę, a mrówkę w słonia").

Toteż internet, traktowany jako największa biblioteka świata, jest rządzony takimi samymi prawami. Tak samo będzie już niedługo musiał mieć swój katalog, swoje działy, swoje bibliotekarki i swoje przewodniki. Internet jest dopiero w swoich embrionalnych początkach.

Ale również nigdy żadne spisy rzeczy i katalogi nie zastąpią przekazywania sobie informacji o ciekawych pozycjach pomiędzy ludźmi. Na tej samej zasadzie wielu ludzi dowiedziało się o Twojej twórczości i o mojej galerii. Po francusku się to nazywa "de bouche a l'oreil" (od ust do ucha). Ale powracając do tej facetki, to zastrzeliła mnie. Przypomina mi to pomysliwość Stasysa, który co narysuje, to inaczej a zawsze zaskakująco i wyraziście. Ponoć odkryła w sobie talent przypadkowo, gdy kiedyś niezadowolona z siebie zrobiła minę i sfotografowała się. Od razu zorientowała się, że coś z tego wyszło. Wprawdzie zapowiada, że będzie kontynuowała karierę matematyka, ale prawdopodobnie szybko z niej zrezygnuje, bo nieuniknienie pojawią się propozycje nie do odparcia.

Witkin zrobił na mnie silne wrażenie, gdy kupiłem sobie przed kilku laty jego album. Natomiast muszę powiedzieć, że gdy poszedłem na jego wystawę w Paryżu, to olśnienie jakby minęło. Zobaczymy jak będzie z Bavarim, bo zapowiedział mi, że w maju wystawia w Paryżu.

W każdym razie ja Cię nie namawiam, żebyś sobie "odpuścił", a wręcz odwrotnie, ilekroć taki rodzynek znajdziesz, to natychmiast informuj mnie o nim, bo ja nie mam Twoich zahamowań i z najwyższą przyjemnością oglądam to, co ludzie potrafią dobrego zrobić.

Bawariego jak i tą Rosjankę zaproszę do połączenia ze mną linków.

Piotr

11 marca 2003

Jeszcze raz obejrzałem te zdjęcia. Daję głowę, że jest Żydówką, bo za zdolna, żeby być Słowianką. Tych portretów naliczyłem się ponad dwieście, a nie jak sądziłem na początku 75. Ale prócz inteligentnej i pełnej poezji kilkudzaniowej introdukcji nie ma ani kontaktu, ani księgi gości ani niczego, co znajduje się zazwyczaj na stronach ludzi, którzy tylko marzą o tym, żeby się z nimi ktoś skontaktował i żeby im coś zaproponował. Ona naprawdę gra w grę internetową: butelka rzucona na ocean. Wiele tam również z Twoich chwytów i skojarzeń, które pokazałeś w fotomontażach komputerowych a i dawniej, gdy fotografowałeś w latach 60-tych. NIE-ZWYKŁA !

Gratuluje i dziękuję, że mi ją odkryłeś.

Piotr

Środa, 12 marca 2003 godz. 08:30

Zapominasz o jednym, a mianowicie o tym, że Ty jesteś odbiorcą, a ja twórcą i dlatego mamy nieco inne podejście do tego, co jednakowo może robić na nas wrażenie. Twórcy też różnią się między sobą i jedni tworzą w kawiarniach, inni na zbiorowych plenerach, inni wymieniając doświadczenia i pomysły z kolegami, ale są też i tacy jak ja, którzy wymagają wokół ciszy, bo każda inna melodia zagrana nawet na fujarce i cicho, jeśli jest - nie daj Boże - podobna do tego, co sam słyszę w swojej głowie, zaczyna mnie mylić. Nic na to nie poradzę, ale tak jest i dlatego unikam oglądania czegoś z podobnej jak moja półki. Na pewno każda postawa ma swoje zalety i wady, a moja grozi wyjałowieniem, z czego doskonale zdaję sobie sprawę, tym niemniej moja podatność na inne melodie jest tak wielka, że postawa przeciwna groziłaby utratą indywidualności. Tak więc chcąc nie chcąc, zachowuję się tak, jak się zachowuję. I tak nie uniknę kontaktu z innymi melodiami, ale zmierzam do tego, by kompletnie nie zagłuszyły tego, co gra we mnie.

Zdzisław

12 marca 2003

Ładnieś to ujął, przyznaję i w sumie rozumiem Cię. Lecz to trochę tak, jakbyś nakazał mi włożyć sobie knebel, kiedy coś mnie silnie ubodło. Oczywiście mogą przemilczeć lub podzielić się emocjami tylko z Anią. Lecz to mi nie wystarcza.

Przyznaj jednak, że nie zanudzam Cię codziennie nowymi odkryciami i było ich najwyżej trzy, czy cztery z którymi polecałem do Ciebie w tym jeden, zresztą najważniejszy, którego wcale nie uznałeś (myślę o Grandrieux i o jego filmach).

Ty zresztą zrobiłeś to samo wskazując mi Banacha i tą wczorajszą Rosjankę. Trudno sobie odmówić przyjemności podzielenia się z kimś, z kim ma się podobny gust i wyznaje się jego estetykę jakimś olśnieniem. W końcu życie jest raczej ubogie w olśnienia.

Piotr

Czwartek, 13 marca 2003 godz. 11:36

Spójrz na www.bsimple.com i nie narzekaj, że odkrywam Ci fajną sztukę.
Piotr

Czwartek, 13 marca 2003 godz. 12:59

No, ten facet jest rzeczywiście doskonały! Gdzieś już nazwisko Misza Gordin słyszałem. Zapiłem sobie stronę i obejrzę na raty. Nie umiem na raz obejrzeć więcej jak trzy cztery prace. Tym niemniej, jeśli mi będziesz podsyłać codziennie jeden adres, to mnie pograżysz do reszty. STOP! Zdaję sobie sprawę z tego, że świat pełen jest takich stojących w cieniu oficjalnej sztuki talentów - tym niemniej mnie oglądanie tego szkodzi, podobnie jak stosunek płciowy z osobą zarażoną AIDS. Cóż

z tego, że mnie to pociąga niczym pornografia, ale na pewno jest dla mnie bardziej od niej szkodliwe.

Zdzisław

Sobota, 15 marca 2003 godz. 12:02

Pokazywałem komuś Twoją stronę i zauważyliśmy, że w wersji niemieckiej w opisie mojej osoby, pojawiło się słowo "a publiczność", (czyżby brakowało niemieckiego słowa?).

Mischa Gordin już wywarł na mnie być może zły wpływ, a w każdym razie wpływ. Zacząłem serio myśleć o wyeliminowaniu koloru z fotomontaży. Swoją drogą, w latach 1998-2001 zrobiłem pewną ilość prac bez koloru (w końcu nie chwałę się wszystkim, co zrobiłem, a mój licznik wynosi ponad 1200 prac), ale jakoś nie wpadło mi do głowy, by uczynić z tego metodę na dłuższy czas. W ten właśnie sposób spada się w zależność.

Zdzisław

15 marca 2003

Nie ośmielałem się niczego mówić, bo wrzaśniesz, że Cię zarażam AIDS. Jednak nieśmiało pisnę, że zupełnie się z Tobą zgadzam. Facet ma poczucie rytmu i kilka pomysłów. Jednak całość nabiera niesamowitego wyrazu przez głębokie kontrasty między czernią a bielą, których nie możesz użyć w kolorze.

Poza tym pocieszę Cię, że Twoja wyobraźnia jest o wiele bogatsza.

Piotr

Sobota, 15 marca 2003 godz. 18:20

Dzięki za dobre słowo w związku z wyobraźnią. Problem polega na tym, że po pierwsze trudno sobie samemu zaimponować własną wyobraźnią, a po drugie praca nad każdym obrazem, czy montażem komputerowym,

trwa na tyle długo, że następuje zmęczenie własną wizją lub pomysłem, którego nie ma, gdy obcuje się z cudzą pracą. W końcu jest jeszcze technologiczna podszewka: to znany kawałek muru w okolicy, bo nie było czasu, energii i sił, by szukać czegoś lepszego, a to zdeformowana twarz kuzyna, bo akurat był pod ręką. Oczywiście jest już w Warszawie agencja modeli, ale gdy pomyślę sobie, że muszę kogoś wybrać, potem zarezerwować na określone godziny atelier - bo istnieją już także atelier do rezerwacji - potem zatrudnić ze dwie osoby do pomocy przy tle i światłach, to na samą myśl o tym, odechciewa mi się fotografowania, bo przy malowaniu nie ma całego tego enturazu. To zresztą główny powód, dla którego nie chciałem zająć się ruchem i taśmą. Kolosalna strata czasu na organizowanie wszystkiego i dogadywanie się z ludźmi. Przy czym trzeba mieć pomysł, a mnie najlepsze pomysły przychodzą dopiero w trakcie pracy przy sztalugach lub komputerze. Zresztą cały ten wysiłek nie uchroniłby człowieka przed zmęczeniem własną pracą i nadal cudze bardziej by mi się podobało.

Zdzisław

16 marca 2003

Wracając do Twego projektu robienia czarno białych fotomontaży: może by tak po połowie? Czemu miałbyś całkowicie wyeliminować kolor? Są przecież pomysły, które na pewno lepiej wychodzą w kolorze. Nie?

A czy poza tym na komputerze można uzyskać tak głęboką czerń i takie niuanse, jakie ów Gordin uzyskuje na pewno na kliszy i w specjalnym atelier, z setką zabiegów chemicznych?

Ostatnimi dniami przeleciałem kilkaset stronnic internetowych różnych artystów, by zaprosić ich do obejrzenia mej galerii. Przy sposobności porobiłem kilka spostrzeżeń:

Po pierwsze panuje generalnie zły gust. Strony są "marmurkowe" (jakby mi to czegoś nie przypominało...) pstrokate, cielisto różowe, zasypane zawijasami i zakrętasami, "pełne esów i wzorów".

Po drugie ludzie w ogóle nie mają w głowie świadomości, że pierwszą rzeczą przy zawieraniu znajomości jest podanie swego nazwiska i swego

adresu. Adres e-mailowy albo w ogóle nie widnieje na ich stronach, albo go trzeba szukać wiele minut, bo jest gdzieś ukryty pod nazwą, która wcale go nie przywodzi na myśl.

Po trzecie i to jest najciekawsze: moje pomstowania na to, że panujący system muzeów, wystaw, galerii, pism i innych środków przekazu jest mało sprawny i niczego, co istotne, nie przekazuje były częściowo chybione. Mimo iż przeleciałem, jak mówię, wieśset stron najróżniejszych artystów, w tym za każdym razem zatrzymując się na tyle długo, żeby rzucić okiem na twórczość i ocenić, czy mi się to podoba, stwierdziłem, że wielkie odkrycia porobiłem już dawniej i to od razu, na samym początku, dwadzieścia lub dziesięć lat temu. Tych artystów, których można było natychmiast zauważyć jako wybitnych, zauważa się szybko. Reszta, która jest w cieniu i o której nie wiedziałem, rzeczywiście niewiele jest warta. Poza Gordinem i Bavarim oraz tą młodą Rosjanką, którą mi wskazałeś nie znalazłem nikogo, kto naprawdę poruszyłby mnie. Ty, Henricot, Od Nerdrum, Hernadez, Witkin, Salgado, Mc Culig, Pardon, Frank Gehry a nawet zupełnie nieznanymi, a najgenialniejszym z Was wszystkich Philippe Grandrieux też byli od lat na tyle nagłośnieni, że już dawno ich zauważyłem i doceniłem.

Tyle filozofii na dzień dzisiejszy.

Piotr

16 marca 2003

Nie myślę Cię zarażać wstydliwą chorobą, bo i ona nie taka zaraźliwa. Spójrz na stronę <http://gric.at/links.htm>, którą ktoś mi wysłał. Zobaczysz tam kilku trochę lepszych od przeciętnej malarzy fantastycznych z dwoma gwiazdami Fuchsem i Gigerem. Ot, tak żeby Cię pokrzepić na duchu, że nie jest jeszcze z Tobą tak źle.

Jeśli dodasz Poumerolla, Cata, Leonor Fini, Lepriego, Verlinda, Baka, Margottona i kilku innych, to masz establishment europejskiego malarstwa fantastycznego w obecnej chwili.

No, a potem są już ci, których ja lubię.

Piotr

Niedziela, 16 marca 2003 godz. 23:34

To nie tak, jak myślisz. Z czernią nie ma problemów, a Gordin na pewno robi na komputerze. Posyłam kopie kilku starszych prac i jedną nową w formie brulionu, gdzie też korzystałem z czystej czerni lub też w ogóle pracowałem w czystej czerni. Jeżeli dać zero to wyjdzie zero i tylko od monitora lub drukarki zależy, jakie to będzie zero. Miałem dziś do godz. 23 gości, a jutro od rana pozuję do kalendarza, więc tylko dwa słowa. Cześć. Zdzisław

Poniedziałek, 17 marca 2003 godz. 10:10

Jeszcze mi trochę czasu zostało po powrocie z apteki i zakupów, a nie ma sensu, by brać się do pracy, bo w ciągu najdalej półtorej godziny, pojawi się ten fotograf z asystentką. Ma to być kalendarz luminarzy sztuki polskiej ze wszystkich zakresów: muzyka, malarstwo, rzeźba, poezja, literatura, jazz etc. Zwrócił się o to, za pośrednictwem Sołtyska, jakiś fotograf z Torunia i nie wypadalo się wykręcać lub udawać, że nie ma mnie w domu.

Wracam do Twego wczorajszego maila. Marmurki na stronach internetowych i całe to paskudztwo, które im towarzyszy, są efektem dostępnych programów. Gdy ktoś robi sobie stronę, to kupuje podręcznik i wypożycza lub kopiuje program do budowy stron (nie tak wielu jest takich, których stać na zapłacenie komuś za projekt i wykonanie strony). Do takiego programu dochodzą gotowce, a więc ten "marmurek" (rodzaj kalejdoskopu - cokolwiek tam wsadzisz, można to rozłożyć w formie dowolnie wielkiego dywaniku - nawet fotografię własnej gołej dupy, a rodzaj dywaniku "zamawia się" wybraniem specjalnej planszy w trójkącik, ósemeczkę, spiralkę etc.). Dalej masz uginające się i świecące guziczki, którym możesz nadać (rysując obrys myszą) własny kształt lub sięgnąć po przebogatą bibliotekę złego gustu: kotki, słonie, złote rybki etc., w końcu kapiący wosk ze świecy i gotowe płonące świece wstawione do lichtarzy wybranych

z biblioteki, lub ogień, którym możesz podpalić, co tam chcesz (najczęściej palą się wnętrza oczodołów w czasie pod akompaniament Dies Irae) - to wszystko gotowce dla idiotów: im kto głupszy, tym więcej tego nawkleja, co tylko opóźnia załadowanie się strony. Co do własnych adresów, to przypisywałbym temu zamiar racjonalny. Gdybym kiedykolwiek robił własną stronę, to nie dałbym tam własnego adresu, bo potem dobre wychowanie nakazuje odpisywanie na listy, a u mnie z tym coraz trudniej, szczególnie na pieprzonym Windows XP, które wprowadziło szereg "ułatwień" prawie uniemożliwiających pisanie komuś tak niezręcznemu jak ja.

Co do odkryć, to po pierwsze w internecie nie widzi się materii i to nie tylko malarskiej, ale nawet fotograficznej. Prace są tak zmniejszone i tak pogorszone kompresją stratną, że ja nie potrafiłbym (w sensie pełnej oceny) ocenić niczego w oparciu o internet. Po drugie nie można wyrokować o niczym, czego się nie znalazło, a fakt, że się nie znalazło, nie świadczy o tym, że tego nie ma. Po trzecie: Ty od lat zwiedzasz muzea, kupujesz książki i wreszcie surfujesz po internecie w poszukiwaniu Sztuki przez wielkie S. W końcu stałeś się w tej materii ekspertem, więc niełatwo zaskoczyć Cię czymś nowym.

A propos tego, na co już wczoraj pobieżnie odpisałem. Komputer ma możliwości wielokrotnie większe niż klasyczna ciemnia. Wreszcie spędziłem w niej całe lata. To, co dawniej z trudem uzyskiwałem specjalnie wywołując film, osłabiając osłabiaczem Farmera, po czym wzmacniając wzmacniaczem miedziowym i kopiując na specjalnym papierze - dziś na komputerze można uzyskać w mig i w sposób bardziej przewidywalny i dokładniejszy, dwoma posunięciami suwaka na obszarze jaskrawości i kontrast. Oczywiście końcowy efekt zależy od jakości wydruku, ale można zastosować tzw. naświetlarkę w której końcowy efekt jest identyczny jak na fotografii, bo papier wywoływany jest w fotolabie, a naświetlany z komputera przy użyciu specjalnego urządzenia z laserową szyną naświetlającą, przesuwaną się podobnie jak w skanerze lub w kserokopiarce.

Zdzisław

17 marca 2003 godz.

Wystukaj <http://bsimble.com/alldoubt.htm>

Są tam różne inne warianty postaci na jednej nodze Gordina. Wydaje mi się, że są gorzej zreprodukowane, bo czerni jest jakby pokryta kurzem i wiele przez to traci. Co o tym myślisz?

Natomiast w próbkach czerni, jakie mi pokazałeś na przykładzie Twoich fotomontaży komputerowych, moim zdaniem brakło niuansów. Wszystko było albo ostro białe, albo ostro czarne.

Piotr

Środa, 19 marca 2003 godz. 10:49

Ponieważ nie chcesz sprzedać katedry, to za spadłe mi z nieba pieniądze kupilem sobie dwie wielkiego formatu fotografie Bawarięgo i trzy fotografie (trzy wersje postaci stojącej na jednej nodze) Gordina. Faceci się bardziej cenią niż Ty, bo sprzedają fotografie prawie po cenach jakie Ty bierzesz za obrazy.

Mam nadzieję, że gdy Polska wejdzie do Unii, to podniesiesz ceny, bo po prostu wszystko zdrożeje. Na razie muszę się trzymać Twoich cen a uważam, że są grubo za niskie. Wprawdzie raz mi udowodniłeś (w sprawie przekazywania obrazów muzeom), że znasz lepiej ode mnie warunki polskie. Ale w sprawie cen wydaje mi się, że po prostu brak Ci odwagi. Czy w tym roku podnosisz ceny, chociaż o 10 procent?

Rozsyłając zaproszenia na prawo i lewo, otrzymuję wiele listów. Okazuje się, że jesteś znany o wiele większej ilości ludzi, i to na całym świecie, niż sądziłem. Wiem oczywiście, że na to, by umniejszyć moje zasługi stałe z uporem będziesz twierdził, że to sława Tomka wpłynęła na to, że i Ty jesteś znany, lub dlatego że Nyczek napisał jakąś notatkę w krakowskim piśmie, lub wreszcie dlatego, że kichasz głośniej od innych. Ja jednak twierdzę, że to sprawa moich albumów, które dotarły nawet do Nowej Zelandii.

Piotr

Środa, 19 marca 2003 godz. 12:03

Uwielbiam pisać na temat techniki. Brak tu miejsca, by przedstawić liczne próbki możliwości wpływania na ilość półtonów np. w twarzy czy ciele, czy krajobrazie. Rzecz polega na tym, w jakim stopniu ustawi się suwakami od 0 do 100 kontrast i jaskrawość. Można uzyskać to, co się chce. Np. 150 odcieni pośrednich lub 4 odcienie pośrednie. Ja chciałem uzyskać to, co uzyskałem, a Gordin to, co on chciał uzyskać. To nie jest kwestia dostępnych środków, bo każdy ma w tym zakresie 100% środków. Jeśli idzie o przejścia nasycenia na niebie, to ja zrobiłem czarne niebo, a on wszędzie zastosował gradient. Można zastosować ogromne ilości gradientów jak też przechodzenia z koloru w kolor etc. Nie ma ograniczeń. Wysyłam dwie małe próbki czarnego gradientu, być wiedział, o czym piszę.

Co do strony z wielką ilością biegacza, to są to możliwości zapamiętania każdej wersji, jakie daje komputer (w obrazie trzeba poprzednią wersję zamalować, by namalować kolejną, a w komputerze można ją zapisać), ale osobiście ja nie przepadam za demonstrowaniem wszystkich wariantów, lecz staram się wybrać jeden lub maksimum 3 najlepsze. Oczywiście przechowuję sobie na CD wszystkie wersje finalne, ale się nimi nie chwaleb. W wypadku gdybym był Gordinem, też z jednonogiego biegacza wybrałbym maksimum 3 wersje, a inne zarchiwizował. Wielka ilość bynajmniej nie zwiększa siły działania. Przynajmniej w mojej opinii.

Zdzisław

Środa, 19 marca 2003 godz. 13:18

Zafascynowany sprawami techniki, zapomniałem odpisać na inne kwestie.

Ceny w Polsce są wypadkową sytuacji ekonomicznej. Mam poważną obawę, czy udałoby się je podnieść. Może nawet trzeba je będzie opuścić? Oczywiście podnieść zawsze można, ale zatrzyma to tylko handel. Zresztą handel i tak stanie od pewnego momentu w miejscu i wprawdzie cykle ekonomiczne Kondratiewa są generalnie krótsze od cykli biblijnego Józefa (siedem chudych krów we śnie Faraona), ale jesteśmy w tej chwili

przed co najmniej dwuletnią posuchą. Obym się mylił. Po wejściu do Unii (o ile wejdziemy!), na ceny zachodnie za obrazy mogą liczyć (o ile im się uda!) malarze w wieku Banacha. Będą już twórcami europejskimi, a nie zaściankowymi. Ja nie doczekam.

Nie wiedziałem, że jestem znany z tego, że głośniej kicham niż inni, ale takie kryterium bardzo mnie ujmuje i przekonuje do siebie. Faktycznie kicham głośno i zaczynam być z tego dumny, jeśli dzięki temu słyszany jestem w Nowej Zelandii. Co do Twego nazwiska, to nie ja, ale Ty narzekałeś na to, że nikt Cię nie zauważył. Ja spotkałem je nawet na stronach chińskich razem z moim, co oczywiście nie znaczy, że Chińczycy rozumieją z naszych nazwisk więcej niż my z różnic między Lao Wang Jong i Bao Tseng Liang.

Jutro podobno zaczyna się wojna w Iraku? Znajomi zakupili nowe telewizory i zakładają talerze satelitarne jak przed olimpiadą. Oto ufność w rzetelność publikatorów! Powinno się w Iraku ustawić trybuny dla najbogatszych i w przerwach między odpaleniem rakiet na Bagdad, sprzedawać lody.

Zdzisław

20 marca 2003

Czy można zrobić sobie bezpośrednio z internetu duże odbitki (takie jak te, które Ty masz u siebie w gościnnym pokoju) wszystkich prac Gordina? Czy są jakieś laboratoria, które byłyby w stanie to zrobić? Czy jakoś jest wtedy poprawna? Bo o ile gładko poszło z Bawarim i już transakcja została zawarta, o tyle z Gordinem jest problem, bo nie chce ustąpić w targach. Tak więc, zamiast oryginałów podpisanych i numerowanych myślę obejść się wulgarnymi odbitkami, po warunkiem, że jest to technicznie do zrobienia. Poradź. Z góry dzięki za odpowiedź.

Piotr

Czwartek, 20 marca 2003 godz. 14:14

Niestety jest to całkowicie wykluczone. Wszystkie obrazki, jakie występują w internecie, są geometrycznie pomniejszone. To raz. Poza pomniejszeniem geometrycznym są dodatkowo skompresowane stratnie tzn. w ten sposób, że nawet ta mała odbitka jest pogorszona jakościowo do tego stopnia, iż powiększenie i wydruk są niemożliwe (załączam niewielkie powiększenie, gdzie strzałkami zazaczyłem klasyczne efekty kompresji stratnej niewidoczne zanim się nie powiększy). Można wydrukować tylko maleństwo. Czyni się to z reguły po to, by prace w internecie, który jest powolny, otwierały się szybciej, a więc były mniejsze w sensie ilości informacji, tym niemniej w dziedzinie handlu sztuką lub pornografią czyni się to też dodatkowo po to, by nie można było ściągnąć sobie pliku w większym rozmiarze. Czasami bowiem jest to umożliwione po wniesieniu opłaty. Wtedy otwiera się okno "download" i w ciągu 3 minut, 10 minut czy nawet dłużej, ściąga się cały dokładny plik. Dla porównania. Jednostką rozmiaru geometrycznego jest piksel. Jeden piksel to jeden kwadracik szachownicy, z jakiej składa się obraz. Moje oryginalne prace mają przeciętnie 3200/2400 pixeli, ale z punktu widzenia takiego powiększenia jak u mnie i tak muszą być interpolowane w górę, bo są za małe. Interpolacja w górę nie dodaje oczywiście dodatkowych informacji, bo ich w obrazku nie ma, lecz tylko powiększa matematycznie ilość pixeli. Internetowe obrazki Gordina mają rozmiar 303/404 pixeli i są na dodatek skompresowane stratnie, czyli nie są w formacie TIFF, lecz w formacie JPEG. Jeśli idzie o "ciężar", to (upraszczając) moja praca w oryginale ma około 22.000 kilobajtów, a praca Gordina, reprodukowana na jego stronie, ma około 24 kilobajty. Jakie są w oryginale prace Gordina, tego nie sposób dociec. Mogą być większe od moich albo mniejsze od moich i nawet w oryginale mogą nie mieć szans na duże powiększenie. Możesz go o to zapytać. Jeśli będziesz pytać, to sam "ciężar" nie wyjaśni rzeczy do końca, bo zależny jest też od formatu i trybu, tak więc najbardziej miarodajna informacja powinna dotyczyć geometrycznego rozmiaru oryginału, z którego on drukuje, a więc ile na ile pixeli (pixeli) posiada oryginał, oraz jak wielki jest wydruk (czy też odbitka fotograficzna z naświetlarki), którą po podpisaniu Ci dostarczy. Na oko, nie wydaje mi się, by były to prace zbyt wielkie (mała ilość szczegółów). Nie wiem, czy wyjaśniłem to w sposób zrozumiały, ale starałem się uprościć, jak mogłem.

Zdzisław

20 marca 2003

To szkoda. Bo albo trzeba będzie ustąpić i zapłacić fortunę, albo objeść się smakiem. Przyznam jednak, że jeśli mam zapłacić Gordinowi po cztery tysiące dolarów za każde zdjęcie, to wolę za te pieniądze kupić Twoje obrazy niewiele dopłacając. Jak widzisz ludzie umieją się cenić.

A tu Panie, wojna. No, cóż. "Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna".

Amen. Piotr

Piątek, 21 marca 2003 godz. 08:22

Ano właśnie: wojna, ale jakaś taka niemrawa w stosunku do zapowiedzi. Wszyscy moi znajomi i przyjaciele ostro protestują - ja jeden (choć należę do ludzi zgodliwych i łagodnych) zachowuję dystans, bo nie umiem podejmować decyzji inaczej, jak tylko w oparciu o przesłanki, a przesłanek nadal nie mam, prócz bełkotu prasy i telewizji.

No cóż: nie wiem jakie ceny są przeciętnie na prace komputerowe sygnowane przez autora. Być może Gordin utrzymuje się w skali przeciętnej. Ja też - mimo iż według Ciebie sprzedaję za tanio - bardzo często stykam się z targowaniem i pytaniami czy za 3.000 zł. bym nie sprzedał mniejszego obrazu. Jedni mają więcej pieniędzy, inni mniej i nie zawsze tym, którzy mają więcej, bardziej zależy na posiadaniu obrazu. Będąc zarazem autorem i sprzedawcą, stoi się wielokrotnie przed stresem, gdy trzeba odmówić, bo w końcu muszę za coś żyć, a ludzie wyobrażają sobie to tak, że skoro obraz maluję np. 2 tygodnie lub mniej, to w roku maluję ich ca 30, więc jeden (każdy uważa się za tego jedynego, który o to pyta) mógłbym sprzedać taniej. Tymczasem prawda jest taka, że ten jeden, to może być jedna z zaledwie trzech propozycji, jakie mam w roku. Nie wiesz ile osób kupuje rocznie od Gordina. To, że ktoś okupuje 5.000 pozycji w internecie, o niczym nie świadczy. Opinie internetowe wygłaszają ludzie młodzi

i bez forsy, początkujący poeci, nieznani aktorzy teatrzyków ulicznych lub off off, urodzeni entuzjaści internetu i tego typu malowania, nieprzystosowani, na których wywarło to wrażenie i tak dalej. Nie ma między nimi ludzi majątnych. Ten szum jest miły i cenny, ale w sensie ekonomicznym niewiele lub nic nie znaczy.

Boże: od rana krew leci mi z nosa tak, że gdybym pisał piórem na papierze, list byłby cały w czerwone plamy. Kończę i położę się na wznak.

Zdzisław

21 marca 2003

W tym największy jest ambaras, że masz rację. Cały ten szum, którym się upajam, otrzymując z wielu stron entuzjastyczne odpowiedzi na moje zaproszenie do obejrzenia Ciebie i Gordina (bo i jego przy sposobności rozslawiam, zachęcając setki odbiorców do obejrzenia jego strony internetowej) nic nie znaczą, prócz miłego polechtania za uchem. Ale dostałem również i wrogie reakcje. Tak jak to było w czasie, gdy miałem galerię. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

Czemu krew z nosa? Czyżby chodziło o naciśnięcie?

Ja z kolei którąś tam z rzędu noc nie śpię, bo nad ranem zatyka mi się nos, budzę się i potem już nie zasypiam. Toteż chodzę po omacku w ciągu dnia.

Nasza ukochana psinka nie ma raka. Wycięliśmy jej ogromny guz w brzuchu i myśleliśmy, że to już koniec. Po zbadaniu okazało się na szczęście, że to tylko skutek zapalenia. Tak, iż mamy nadzieję, że jeszcze z rok żyje. Te psy żyją po 12 lat. Nasza suczka już żyje 13 i pół roku. Tak, iż jeśli przetrwa jeszcze rok, to będzie to dar nieba. Ania jest cała w skowronkach. Piotr

Piątek, 21 marca 2003 godz. 11:18

Krew z nosa (już nie pierwszy raz tej zimy) leci mi chyba na skutek zbyt suchego powietrza, w wyniku ogrzewania kaloryferami. W tej chwili

mam pewien komfort, bo po rozwieszeniu prania, wilgotność względna wynosi 18% (normą jest 40-50%), ale bywają dni, że wynosi tylko 11%. Nie ma sposobu na nawilżenie powietrza, bo eksperymentalnie stwierdziłem, że aby wilgotność podniosła się powyżej 40% trzeba na dobę wpompować w moje mieszkanie ca 14 litrów wody. Nasza kranowa jest twarda, a chemiczne zmiękczacze niewiele dają. Po wpompowaniu takiej ilości przy pomocy ultradźwięków, z twardej wody wytrącają się zawarte w niej minerały pod postacią białego pyłu, a po trzech dobach mieszkanie jest tak potwornie zapyłone, że żaden odkurzacz temu nie zaradzi, gdyż pył wciska się we wszelkie szczeliny: do odczytywaczy laserowych, nagrywarek laserowych, aparatów fotograficznych etc., niszcząc wszystko w sposób większy niż używanie tego na Saharze, w trakcie nieustannej burzy piaskowej. Należałoby nawilżacze zasilać wodą destylowaną lub deszczówką, ale skąd brać jej dzień w dzień takie ilości? Czekam więc do maja, gdy skończy się konieczność ogrzewania, a wtedy wilgotność z dnia na dzień podskoczy do wilgotności atmosferycznej.

Zdzisław

23 marca 2003

Co namalowałeś? Czy się już przeniósł do kawalerki? Jak krwawienie z nosa?

Piotr

23 marca 2003

Nie odpowiedziałeś mi, co malujesz, czy się przeniósł już do kawalerki i co z krwią z nosa?

Ilość tych, którzy odwiedzili mą galerię (1260) jest mniej więcej równa ilości zaproszeń, które wysłałem w ciągu ostatniego tygodnia (1450).

Piotr

Niedziela, 23 marca 2003 godz. 23:05

Od godziny 11 do godziny 17 kupowaliśmy dziś ze szwagrem lodówkę, kuchenkę mikrofalową i blat grzejny oraz trochę czegoś do zarcia. Wybieraliśmy także prakkę i zlewozmywak, ale nie kupiliśmy, bo modele nam nie odpowiadały. Gdy wróciłem, byłem głodny i potwornie skonany. Zjadłem, wykąpałem się, a dopiero teraz zająłem do komputera. Odpowiadam: krew z nosa to incydent, jakich wiele. Tego roku szła mi parokrotnie. W dzieciństwie była to moja zmora.

Kawalerka chyba nigdy nie będzie gotowa. Wielkanoc w każdym razie odpada. W końcu nie ja odpowiadam za organizację, a ze swej strony nie ponaglam, szczególnie, że ostatnio mam niedobory forsy, ale Dziopak po 18 kwietnia chce zrobić wystawę grafiki i kupić przedtem jeden obraz ode mnie - prosi o architekturę - oraz wypożyczyć trzy inne, by urozmaicić wystawę. Nie pokażę jej w ogóle katedry, ale namaluję jej jakiś obraz z architekturą dla forsy, tyle że muszę odpocząć do jutra. Dziś jestem jak szmata. Nawet myśleć nie umiem. Do dekoracji dam jej to, co mam już namalowane - pewnie oprócz nieistniejącej jeszcze architektury, te trzy obrazy jakie są na zdjęciach. Jeden z nich widziałeś. Są mniejsze od tego, co malowałem do tej pory. Gdyby nagle ktoś chciał je kupić, to raczej nie miałbym oporów z pozbyciem się ich. I tyle dobrego lub złego.

Zdzisław

24 marca 2003

Co do Holendra, to jak mi to słusznie przypomniała Ania, może chodzić o tego, który dzwonił do mnie przed chyba miesiącem zachwalając że organizuje największe, najwspanialsze i najbardziej i w ogóle i że muzeum sztuki fantastycznej. A w związku z tym ja mam absolutny interes w tym, żebyś i Ty się tam znalazł. Gdy jednak usłyszał, że trzeba będzie zapłacić i że ceny wahają się od 5 do 30 tysięcy euro, to od razu mu rura zmiękla i zamilkł. Od tego dnia słuch o nim zaginął.

Co nie przeszkadza, że dla spokoju sumienia zadzwoniłem dziś pod numer, który widniał na wizytówce (treści listu niestety nie można było od-

czytać z Twojego e-maila, a i tak po niemiecku lub po holendersku nie zrozumiałbym ani słowa). Niestety nie zastałem go. Zadzwoń jutro.

Druga sprawa: wprawdzie włożyłem gros mojej ostatnio spadłej z nieba forsy na fundusz emerytalny, ale na tyle żeby wykrobać 20 tysięcy złotych, to jeszcze mam. A więc, jeśli potrzebujesz pieniędzy, a jesteś gotów zrobić poświęcenie, to chętnie kupię katedrę. Co Ty na to?

Twarz ślepca znakomita.

Moje rozmowy z Częstochową dobiegają końca. Powierzę im sporą część mojej kolekcji (w tym nie tylko Twoich). Dam tyle obrazów, ile będą chcieli spośród najlepszych, ale i dobre prace Szajny, Stasysa, Bawarięgo (którego, jak wiesz, ostatnio kupiłem), Starowieyskiego, Czesnika, i co jeszcze wybiorą. Tak mi każą, że nie wypada okazać się centusiem.

Muzeum w Zielonej Górze dostanie 4 Twoje obrazy (morze, samochód, facet na ławce i już nie pamiętam, co wybrali czwartego). Muzeum w Lublinie dostanie postać oranżową w oranżowym kwadracie i głowę z czerwonym kołnierzem i z przyklepioną kartką papieru, czy innej materii zamiast twarzy, bo te dwa najbardziej się im podobały.

Piotr

Poniedziałek, 24 marca 2003 godz. 21:10

Pisałem, że katedrę chcę zostawić sobie i udekorować nią mieszkanie księżnej gospodyni, zanim takowa się nie wprowadzi i nie będzie chciała udekorować go po swojemu, a więc powiesić reprodukcję słoneczników van Gogha, Chrystusa w Ogrójcu, fotografie dzieci, malowany z fotografii portret nieboszczyka męża, a ponadto firanki, zasłony, obrusy, serwetki, porcelanowe lalki i koty, miniatury młynków do kawy etc. etc. Na razie ja tam sobie zamieszkam, bo nareszcie będę mieć wannę, w której po raz pierwszy będę mógł umyć sobie kolana, których nie myłem od 64 lat (do 10 roku życia byłem krótszy). Dziś przykręcano tam włoskie uchwyty zabezpieczające przed poślizgnięciem się. Krzyże bołą mnie od przedwczoraj w jeszcze jeden, ale najbardziej upierdliwy sposób tak, że dziś rano dzwoniłem nawet do kiziora, ale go nie mogłem złapać. Jest to stosunkowo słabszy ból, ale nie zlokalizowany. Mój znajomy określał ten

typ bólu (jest typowy) jako "słodki ból", bo przypomina stan pośredni między swędzeniem i bólem, ale zlokalizowany jest jakby we wnętrzu kości. Jego mankamentem jest to, że wprawdzie nie upośledza ruchów, ale boli non stop, niezależnie od pozycji i pory dnia i nocy. Nie można spać. Znam te bóle na pamięć, ale tracę już czasami cierpliwość. Nie wiem, czy kizior na ten ból poradzi, ale można spróbować. Boli między obszarem nad prawym pośladkiem aż po kolano prawej nogi, ale nie wiadomo dokładnie gdzie.

Zdzisław

25 marca 2003

Dodzwoniłem się dzisiaj do Holendra. Oczywiście chodzi o tego samego, który przed trzema tygodniami próbował wycygnąć ode mnie obrazy za darmo, bo on jest idealista i on zna Fuchsa i w ogóle tych facetów i że ma projekt wielkiego muzeum.

Tak więc, nic z tego nie wynikło prócz zapowiedzi, że przyleci specjalnie samolotem żeby się "kiedyś" ze mną zobaczyć.

Zdecydowanie miłośnicy sztuki fantastycznej są fantastycznymi naiwniakami.

Co do katedry, to nie bardzo żeśmy się zrozumieli. Ja myślałem, że ponieważ (jak twierdzisz) kurwienie się i malowanie na zamówienie mierzi Cię (tak przynajmniej nadawałaś, gdy ja błagałem Cię, byś mnie uratowała malując kilka sprzedajnych obrazów, kiedy topiłem się), to wolisz sprzedać nawet dobry obraz, by tylko tego uniknąć. Stąd moja ponowiona propozycja zakupu katedry. Takie to już są nieporozumienia, gdy się chce komuś uniknąć spółkowania za pieniądze.

Piotr

Wtorek, 25 marca 2003 godz. 11:04

Dawanie dupy za pieniądze nie zawsze musi być wyrzeczeniem. W wypadku galerii SD proszono mnie "tylko" o architekturę. To tak jakby Britt-

ney Spears prosiła mnie grzecznie o to, bym ją za dobrą forszę obmacał (bo na nic innego już mnie nie stać, chyba żebym się załadował viagrą, ale w życiu tego nie próbowałem). Przepraszam za cynizm i sprośność. Gdy mam jakiś ważny pomysł lub akurat pracuję nad czymś innym, nic nie zmusi mnie, bym zrobił akurat coś na zamówienie, ale akurat w sobotę skończyłem to, co określasz jako "ślepa", niedzielę pochłonęły zakupy do kawalerki, a wczoraj podmalowałem już "architekturę" dla Dziopak, bo w zasadzie nie miałem jakiegoś gorącego pomysłu na nową pracę. W fotomontażu też pracuję w godzinach wieczornych, od kilku dni nad kilkoma wersjami architektury. Posyłam Ci to, co na sztalugach i fragmenty tego co na komputerze.

Zdzisław

Załącznik (Nowy obraz "Ślepiec") dostępna na stronie XXX

Wtorek, 25 marca 2003 godz. 16:35

A propos jeszcze tego, co dotyczyło tych nieszczęsnych 16 obrazów na zamówienie. Każdy z nas zapamiętał to, co zapamiętał, więc umówmy się, że nie jest moim zamiarem jątrzenie, a tylko życzliwe pokpiwanie sobie. Napiszę Ci, jak ja to zapamiętałem. Byłeś w kłopotach. To się zgadza z tym, co zapamiętałem. Wydaje mi się, że prawie dosłownie zapamiętałem Twoją inwokację: "Ach, gdybym miał choć jeden taki obraz, jakie malowałeś dawniej, to od razu pozbyłbym się bieżących kłopotów". I tak dalej. Na co - też chyba dobrze to pamiętam - odpowiedziałem: "Jeden obraz? Żaden problem. Odpiardolę Ci taki obraz." Na to NATYCHMIAST zareagowałeś po swojemu. "Spisujemy zatem umowę! Dziesięć obrazów na zamówienie rocznie przez okres dziesięciu lat!". Tu może dla efektu przesadziłem, bo ilości nie pamiętam, ale w każdym razie i lat i rocznej produkcji zażyczyłeś sobie o wiele więcej, niż 4 obrazy rocznie w ciągu 4 lat. Kochałeś "spisywać", co się tylko dało, co jest raczej obce mej naturze, więc nieodmiennie mnie śmieszyło, ale i napelniało obawami. Zaczęliśmy więc długie i męczące targowanie się co do ilości obrazów i lat, jak też ceny za nie i w końcu

stańło na czym stańło, przy czym dodatkowo i precyzyjnie uściłiłeś, co na obrazach może być, a czego być nie może, bo francuska publiczność tego nie lubi. W końcu uzyskaliłmy jakiś konsensus i wtedy (jak zwykle w tym okresie) zwałiłeś sformułowanie umowy na mnie, a sam popędziłeś korzystać z "Warsaw by Night". Napisałem więc konspekt umowy, usiłując przy pomocy sformułowań i stylu ośmieszyć całą ideę (na pewno jest w Twoich papierach) z pewną nadzieją na to, że rano po przeczytaniu tego, co napisałem - jednak choć trochę ustąpisz. Nic z tego. Wpadłem jak Ferdinand Marian w przebiegłych (jak mu się wydawało) negocjacjach z dr Goebbelsem, dotyczących obsady "Żyda Sussa". Zaakceptowałeś całość, nie skreślając ani słowa. Zachnąłeś się tylko na porównanie Chateuneuf du Pape z Coca Colą. Wpadłem jak śliwka w gówno i musiałem odpracować. Było to jedno z najgorszych wspomnień w mej karierze. Męczyłem się jak przy kieracie przez około pół roku! Obecnie Dziopak prosi mnie o jeden obraz. Nie stawia wymagań, co na nim być może, a czego być nie może. Ma być architektura. To jednak dość niewielkie ograniczenie dla wyobraźni i wolności. Płaci gotówką. Jest więc marchewka, a nie ma kija. Nie muszę niczego spisywać!!!! Mogę namalować, ale nie muszę. Mehschenskind! Was willst Du noch mehr?

Prawie cały dzisiejszy dzień zajęło przyjmowanie sprzętu kupionego w niedzielę. Potem szwagier odsiedział u mnie ponad 3 godziny, nadając non stop o polityce. Teraz nie mam już sił do malowania. Wysłałem zdjęcia.

Zdzisław

Wtorek, 25 marca 2003 godz. 21:03

Ja również nie chcę jątrzyć, toteż krótko: już nie pamiętam tego epizodu z takim bogactwem detali, jak Ty. Pozostało tylko wrażenie i żal.

Wrażenie, że wtedy, gdy ja prosiłem o pomoc, wydawało się, że będę musiał nawet sprzedać mieszkanie, by zapłacić długi, znajdowałeś sto racji, żeby mi odmówić. Żal natomiast za to, że gdy dziś prosi o to samo Dziopakowa jest sto niuansów, które różnią obecną sytuację od poprzedniej i usprawiedliwiają pracę na jej zamówienie.

Twoje mieszkanko wygląda czysto i schludnie.

Piotr

Środa, 26 marca 2003 godz. 08:17

Zaraz, zaraz. Gwoli prawdzie: przecież Ci wtedy nie odmówilem (jak teraz czarno na białym napisałeś), lecz namalowałem te obrazy! Narzekałem, ale i w rozmowie z Dziopak też narzekam i to w sposób identyczny. Nie cierpię malować na zamówienie i jestem przekonany, że w ten sposób powstają słabe obrazy. Jedyna sprawa, która nas wtedy poróżniła, polegała na tym, że po roku nie chciałeś mi zapłacić za te obrazy umówionej sumy, twierdząc, że są gorsze od tego, na co oczekiwałeś. Dziopak, jeśli zamawia, to potem płaci i nie narzeka, że w obrazie brak duszy, tak jak we wszystkim, co powstaje na zamówienie, a nie z potrzeby serca.

Zdzisław

26 marca 2003

Jeśli już wracamy do moich żalów do Ciebie, to przypomnę, że namalowałaś te obrazy, gdy już było "po ptakach". To po pierwszej wystawie byłem zrujnowany i wtedy właśnie potrzebowałem pomocy. A Ty wtedy jej odmówiłaś. Uratowała mnie wówczas Ania swoimi pieniędzmi i tym, że miała akurat znakomity sezon mody i wiele zarobiła. Gdy Ty zdecydowałaś się wreszcie namalować obrazy na zamówienie, moje długi już były spłacone.

Co do moich pretensji dotyczących jakości obrazów i niechęci w płaceniu podwyższonej ceny, to do dziś żałuję, że tak postąpiłem i uważam, że była to plama na moim honorze, której się wstydzę i za którą biję się w pierś. Na (niewielkie) usprawiedliwienie powiem, że obrazy (prócz dwóch pierwszych, a potem drzewa z księżycem) były tak marne, jakby je namalował początkujący malarzyna. Stąd moje oburzenie, że odpierdoliłeś w tydzień całą robotę, żeby mieć spokój niewiele się wysilając. Dziś już nie mam tego podejrzenia, bo sprawdziłem w międzyczasie, że gdy malu-

jesz na zamówienie, to po prostu systematycznie spieprzasz obrazy.
Piotr

30 marca 2003

Mój e-mail nadal zdaje się nie działa, choć czasem coś otrzymuję. Czy jednak moje własne listy dochodzą do ich adresatów, nie wiem. Tak się przyzwyczaiłem do tego sposobu porozumiewania się z ludźmi, że jest mi bez niego jak bez ręki.

Była tu Elżbieta Dzikowska ze swoją przyjaciółką Hanią Cywińską, malarzką abstrakcyjną, której wystawa w Instytucie Polskim zaczęła się kilka dni temu.

Widzieliśmy wczoraj wystawę Chagalla, bo Ania napierała, by choć dla kultury ogólnej pójść zobaczyć. Po obejrzeniu ponad dwustu obrazów potwierdzam moje dawno już wyrobione zdanie, że jest to sztuka zdegenerowana, którą słusznie jako taką wystawił Goebbels i którą należałoby palić w piecach. Boże, co za paskudztwo!

Kilka dni temu widzieliśmy natomiast ciekawą wystawę Malewicza, która, choć nie była dla mnie żadną wielką atrakcją, to jednak sprawiała mi przyjemność. Dużo dobrze skomponowanych i dobrze namalowanych obrazów i rysunków. Ale też, co temu facetowi przyszło do głowy namalować czarny kwadrat na białym tle, ogłaszając to jako rewolucję w sztuce? Od tego czasu pozwoliło to wszystkim beztalenciom, takim jak Yves Kleinom czy Opalkom kontynuować, zawsze mogą się powołać na autorytet mistrza.

Jest piękna pogoda i wiosna pełną gębą. Chodzimy z Anią na długie spacer-y z psem po naszym wielkim parku, który jest cały zielony i kolorowy od najróżniejszych kwiatów.

Piotr

PS: Potwierdź czy ten e-mail przeszedł.

Niedziela, 30 marca 2003 godz. 16:28

Przepraszam, że nie odpowiedziałem od razu po Twoim telefonie, ale miałem po kolei dwie wizyty, które zazębiły się o siebie, bo dziś jest zmiana czasu, o której zapominałem. Ponieważ mój wczorajszy list nie doszedł, to na razie wysyłam tylko test poczty na oba adresy i czekam na potwierdzenie, czy dotarł do Ciebie.

Zdzisław

30 marca 2003

Jeśli wysłałeś dwa mesaze na dwa adresy, to dotarł tylko jeden, ten wysłany na "Piotr Dmochowski" (czy to odpowiada adresowi Piotr@Dmochowskigallery.com?).

W każdym razie zdaje się, że jeden z mych adresów działa. Teraz tylko pytanie, czy moje mesaze wysyłane do Ciebie docierają?

Odpowiedz czy otrzymałeś ten. Jeśli tak, to mój problem będzie częściowo rozwiązany, bo będę mógł pisać normalnie, a otrzymywać od Ciebie mesaze na adres "Piotr Dmochowski"

Piotr

Wtorek, 1 kwietnia 2003 godz. 14:46

Wysłałem poprzedni mail i znowu przerwano połączenie. Myślę, że to potrwa przez kilka najbliższych dni. Mój Boże (a propos Dzikowska), nieustannie stykam się z apodyktycznymi poglądami na rozmaite dziedziny rzeczywistości, jak choćby obecny konflikt w Iraku, który podzielił naród na fanatycznych zwolenników i fanatycznych przeciwników. Słuchanie, zarówno jednych jak i drugich, przyprawia mnie o ból brzucha. A wszyscy, którzy obzierając się na co dzień w domu tłustą wieprzowiną z kluskami w sosie śmietanowym, pouczają mnie nieustannie i przy każdej okazji, że niszczą sobie zdrowie, bo jem w McDonalds jednego hamburgera Royal z frytkami i Colą raz na dwa tygodnie, bo nie za często wychodzę z domu. Stąd nawet biorą się moje kłopoty z kręgosłupem, bo mam z powodu

Mc'Donalds za wielki brzuch i tak dalej.

Przychodzi do mnie obecnie kręgarz, czyli po Waszemu Kizior i już dwukrotnie mnie maltretował. On też przepisał mi gimnastykę (niedoczekanie!), ale maltretuje mnie na przywożonym przez siebie łóżku dwa razy w tygodniu w sposób straszliwy, że czuję się po takim zabiegu jak owca, którą wypieprzył hipopotam. Po zabiegu nie nadaję się już przez resztę dnia do niczego. To skądinąd sympatyczny fanatyk kręgarstwa, który poza tym świata chyba nie dostrzega, ale to jedno ma w małym palcu. Po pierwszym zabiegu miałem tak podwyższone ciśnienie i tętno i to przez całą dobę, że poważnie obawiałem się o swoje naczynia w mózgu. Drugi więc masaż zrobił blokując jakieś receptory od ciśnienia, co mu się udało (ciśnienie jest w normie), ale muszę mu wierzyć na słowo. Zobaczymy jak długo to potrwa. Mam cholernie pokrzywiony kręgosłup i miednicę oraz jedną nogę krótszą, co podobno wpływa na skrzywienie kręgosłupa. Polecił, bym podkleił na obuwiu podwyższenie dla lewej nogi o 1,5 cm, co właśnie robię, bo odszukanie szewca, którym w dzieciństwie grożono mi, jeśli nie będę się uczyć, graniczy obecnie z cudem. Zawód nieistniejący.

Pozdrawiam

Zdzisław

1 kwietnia 2003

Zawsze się człowiek dziwi, gdy spotyka takiego człowieka przy sobie, wśród swoich znajomych, których na dodatek poza tym lubi. Bo na ogół świat, jaki sobie stwarzamy wokół siebie jest do nas podobny i to nie tylko w jednym wymiarze, a w wielu. A tu nagłe odkrycie, że w jednym z tych wymiarów nie możemy strawić danej osoby.

Czy w e-mailu, który zapraszał do obejrzenia galerii były dwie reprodukcje (jedna Gordina a druga pary mumii)? Bo nie wiem, czy gdy wysyłam ludziom takie zaproszenia, to otrzymują tylko adresy, czy reprodukcje też. Napisz. To dla mnie istotne.

A więc jednak przekonałeś się do kręgarza. A tyle było wywodów na temat niebezpieczeństw z tym związanych i powodów, dla których nigdy, zawsze, wszyscy, nic, nikt i nigdzie.

Piotr

Wtorek, 1 kwietnia 2003 godz. 17:46

Tak oba zdjęcia prac doszły. Co do kręgarza, to od stycznia szukałem kogoś "poleconego", kto poza tym przyjedzie do mnie (a nie ja do niego), kto będzie mieć swój stół (bo ja w całym domu nie mam niczego, na czym można zrobić masaż). Chciałem też, by przemiął stan ostry, bo to, o czym pisałeś Ty (jeśli idzie o Twój przypadek), a więc szarpnięcie "podwójnym Nelsonem" i natychmiastowa ulga, pomaga przy tzw. dyskopatii, czyli wysunięciu się dysku, a na gównie się zda przy zwyrodnieniowym zapaleniu nerwu kulszowego i silnej lordozie. To wszystko razem nie zmienia faktu, że trzęsę dupą przy każdym kolejnym zabiegu, mimo iż facet jest bardzo ostrożny, gdy idzie o tzw. "nastawianie" i stosuje raczej bardzo agresywny (wrzeszczę z bólu) masaż. Na dodatek zwałił mi na głowę całą serię ćwiczeń gimnastycznych na tyle ryzykownych (na moją optykę), że zatrudnię moją zaprzyjaźnioną masażystkę i rehabilitantkę, by przeprowadzała je ze mną, bym nagle nie został leżąc pokręcony na podłodze, bez szans na ratunek.

Zdzisław

Napisz czy doszło na stary adres!

1 kwietnia 2003

Twój mail przyszedł na adres "Piotr Dmochowski". Ale czy to jest "stary" adres? W każdym razie od Ciebie e-maile znów dochodzą. To najważniejsze. Lecz za to ja nie mogę już wysyłać ludziom zaproszeń do mojej galerii. Ukazują mi się na ekranie niezrozumiałe pytania, na które oczywiście nie potrafię odpowiedzieć i wszystko staje. Jestem kompletnie zablokowany i drażni mnie to, bo to cholernie przyjemna zabawa zapraszać gawiedź do galerii, a potem dostawać od niej pełne zachwyty podziękowania. Umówiłem się wprawdzie z Bambo na czwartek, ale wątpię, czy będzie w sta-

nie mi pomóc. A gdy dzwonię do Noos'a który jest moim "serwerem" (tak się to nazywa?), to głupie panienki przy telefonie umieją tylko jak papugi powtarzać pewną ilość zwrotów i całymi kwadransami każą mi powtarzać czynności, które nie przynoszą żadnego skutku, a w międzyczasie licznik bije i każda minuta rozmowy kosztuje prawie pół euro. Podejrzewam, że mają za instrukcję przeciągać rozmowę jak najdłużej.

Piotr

Środa, 2 kwietnia 2003 godz. 10:15

Wczoraj wieczorem i dziś rano moje połączenie nie działało. Teraz przed godziną 10 rano, zająłem odruchowo i widzę, że pali się lampka łączności. Włączyłem Outlooka i przyszedł mail od Ciebie, ale natychmiast ponownie wszystko uległo rozłączeniu. Gdy otworzy się kolejne okienko łączności, postaram się wysłać ten mail z informacją, byś się nie denerwował, o ile nie masz ode mnie odpowiedzi. Wczoraj informowano mnie, że awaria potrwa krótko i niedługo wszystko naprawią. Na moje dwukrotnie powtarzane pytanie, by sprecyzowali określenie "niedługo", uzyskałem odpowiedź, że "wkrótce" i jeszcze jakiś synonim. Jak sądzę osoby, które odpowiadają na telefony w takiej sieci nie przeciągają rozmowy na polecenie, lecz NIC z tego nie rozumieją, ale nie chcą stracić pracy. Wbrew temu, co sądzisz, nie jesteś rzadkim przypadkiem nie rozumienia komputera, tyle że ogromna większość nie może się do tego przyznać, a Ci którzy ich weryfikują, też prawie nic z tego nie kapują. Np. sprzedawcy w sieci komputerowej. Już wielokrotnie słyszałem z ust profesjonalistów (?) takie brednie, że jak mi się wydaje taka właśnie jest prawda: niewielu cokolwiek z tego rozumie. Nie wiem, kiedy znajdę sposobność, by wysłać ten mail. Na razie.

Zdzisław

2 kwietnia 2003

Okazuje się, że problem w nadawaniu e-maili jest problemem krajowym,

a nie specyficznie moim. Tak więc, znów muszę czekać ileś tam dni zanim naprawią całą sieć. Pociesza mnie to o tyle, że próby rozwiązania mojego osobistego problemu nie tylko doprowadzały mnie do gorączki, ale co najgorsze nie widziałem w jaki sposób mogłyby być uwieńczone sukcesem.

Mimo iż od tygodnia już nie wysyłam zaproszeń, frekwencja w mojej galerii internetowej nadal się utrzymuje na poziomie około dwudziestu zwiedzających dziennie. No i te zachwyty...

Czy do Polski przyjedziemy za dziesięć dni nie wiem, bo pies cierpi na komplikacje pooperacyjne i jest na antybiotykach. Jeśli mu się nie polepszy do 12-go kwietnia, to Ania na pewno nie zgodzi się na jazdę. Jeśli pojedziemy, to chcę zawieźć do Częstochowy i pozostawić im do wyboru 88 ektachromów Twoich najlepszych obrazów, by sobie wybrali pięć lub dziesięć, które się im spodobają. Poza tym wiozę im ektachromy Russeva, Henricot, Podholzaka, Wieczorka, Stasysa, Szajny, Starowieyskiego, Walczaka, Czesnika, Szalka, Korczowskiego i Mroza. A wreszcie zdjęcia Bawarięgo, które kupilem. Pokażę im również wydruki Gordina. Jeśli będą chcieli, to im jeden lub dwa kupię. Chciałbym wreszcie mieć swoją realną, a nie tylko wirtualną wystawę, a nie kisić wszystkie moje zbiory na składzie. W ten sposób będąc w Polsce, będę mógł skoczyć samochodem do Częstochowy, pokazać ludziom moje skarby i tego samego dnia wrócić do Warszawy. Uprzedzam, że Ciebie również taka podróż będzie czekać i niczym się nie wywiniesz.

Po dokonanych przez nich wyborze, po moim powrocie do Francjiopakuję to wszystko tak, iż będą mogli, kiedy będą chcieli przyjechać furgonetką i zabrać ze sobą. Jestem świadom, że mogą być problemy na granicy. Ale próba wysłania kolekcji legalnie jest kwadraturą koła. Tak, iż sami zawodowi przewoźnicy odradzają mi włożenie w negocjacje z cłem. Przedwczoraj poszliśmy na wystawę Nicola de Stael. Ania była zachwycona. Ja wynudziłem się. Nie było to obrzydzenie, jakiego doznałem na wystawie Chagalla, ale za to było obojętne przesuwanie wzrokiem od obrazu do obrazu. Wystawa Malewicza sprzed tygodnia, to było jednak coś znacznie lepszego.

Gdy pomyślę, że są wspaniali malarze jak Nordrum, Ty, Hernadez, których nikt nie zna, a na wielkich wystawach o światowej renomie stale ta

sama, monotonna, powielana rąbanka. Te same nazwiska, te same obrazy, te same zachwyty nic nierozumiejącego pospółstwa i nic nieodczuwającej krytyki, równie służalczej w stosunku do wielkich, jak aroganckiej dla nieznanym.

Piotr

Czwartek, 3 kwietnia 2003 godz. 12:13

Od wczoraj nie miałem w ogóle łączności z internetem i pocztą. Przerwała się natychmiast po wysłaniu maila do Ciebie. Dzwoniłem, rozmawiając w AsterCity z panią, która wciskała mi, że jest to wina mojej karty sieciowej i trzeba, bym sobie kupił i zainstalował nową, a gdy powiedziałem, że nie umiem tego zrobić, umówiła mnie z technikiem na dziś na godziny 17-20 ostrzegając, że to sporo kosztuje, bo będę musiał zapłacić całe 50 zł. Powiedziałem z samozaparciem i determinacją, że chcę odzyskać łączność i gotów jestem w tym celu ponieść ofiary i cieniem smarować chleb margaryną przez nadchodzące dwa miesiące więc zapożyczę się i całe 50 zł zapłacę, ale poproszę, by w tym terminie przyszedł też mój technik z firmy VOBIS, bo obawiam się grzebania w moim drogim komputerze przez osoby trzecie, by nie utracić gwarancji. Od tego momentu nagle zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Mój modem w ogóle stracił połączenie z siecią, potem uzyskał stan activity, ale nie łączył, potem wszystko się wyłączyło na amen i nagle dziś o godzinie 11 z minutami, wszystko się włączyło. Nie wiem na jak długo, ale tłumaczę sobie to moją gotowością do poniesienia 50 złutowej opłaty, której jedynym celem było odstraszenie mnie. To się zwie w Polsce "spychotechnika", a zmierza do tego, by natarczywi klienci nie przerywali swą upierdliwością spokojnego trawienia. W końcu znalazł się szczególnie upierdliwy rodzaj klienta, który chce zapłacić i trzeba coś z nim zrobić, bo inaczej trzeba będzie do niego jechać, a forsa i tak nie wpadnie za to do kieszeni lecz na rachunek firmy. Tym niemniej łączność może z powrotem paść.

Z Twego listu zrozumiałem, że Częstochowa chce Ci udostępnić pomieszczenie na stałe eksponowanie Wyboru Zbiorów Dmochowskiego. Wypada pogratulować - może to być początek zupełnie nowej inicjatywy

prywatnych muzeów w Polsce i zostaniesz w tej mierze prekursorem. Tylko po co mnie chcesz tam ciągnąć? Ledwie wczoraj wywinąłem się Błogosławionemu Emilowi Jurkiewiczowi ze Stow. Św. Brata Alberta, który wydumał sobie jakąś galę w Warszawie, którą sponsorować będzie między innymi jakiś Żabojad Leclerc, taki od sieci domów towarowych, który nawet wczoraj przyleciał do Warszawy, by spotkać się w tej sprawie z Jurkiewiczem. Błogosławiony Ojciec: Ohne mich! (Jurkiewicz raczej mógłby być moim synem).

Co do Chagalla, to z reprodukcji znam jego 5 czy 6 obrazów, a w oryginale, przed wielu laty, widziałem jeden. Może były szczególnie dobre, może mam inne podejście, ale jednak jest mi o niebo bliższy od Malewicza. Swoją drogą, że nie znam ani jednego oryginału Malewicza, a tylko kilka małych reprodukcji, takich jak z rajzbretu. Może też bywał czasami inny? Zdzisław

3 kwietnia 2003

Zwłaszcza współczuję Ci tej margaryny.

Plany się zmieniły. Pies ma komplikacje pooperacyjne i Ania do Polski nie chce jechać. Toteż przyjmę facetów z Częstochowy bezpośrednio w Paryżu. Za to jedziemy na weekend do Malagi na wernisaż Hernadeza. Wystawia tam ponad 340 prac w ramach retrospektywy. Przyznam się, że bardziej mnie to raduje, niż ciężka jazda samochodem przez dwa dni (i tyle samo z powrotem) z psem do Polski. Tak więc, w Warszawie z pewnością zjawimy się dopiero w lecie. Wtedy będziesz się musiał ciepło opatulić, założyć szalik i wsiąść z nami do samochodu, by udać się w długą (2 godziny!) podróż do Częstochowy.

Piotr

4 kwietnia 2003

Dlaczego nie przesłałeś mi fotek tych etapów pracy? Ja też chciałbym wiedzieć, w jakim momencie się wahałeś, jak dokonałeś próby na kom-

puterze i na jakiej podstawie zdecydowałeś wynik próby wprowadzić w obraz. Przyślij serię fotek o każdym takim zabiegu. To mnie interesuje ogromnie.

Jest przepiękna pogoda.

Piotr

Piątek, 4 kwietnia 2003, godz. 09:32

Dla Ciebie podróż nawet do Malagi jest czymś emocjonującym w sensie pozytywnym, więc nie możesz mieć wyobrażenia o tym, co odczuwam ja, gdy muszę (nawet opatulony szalikiem) wyjechać do jakiejś Częstochowy. To tak jak 100% homoseksualista i gerontofil, nie mógłby pojąć, że nie chce "tylko jeden raz" obciągnąć druta sędziwemu kardynałowi z Watykanu. Tylko jeden raz i to samemu kardynałowi, a nie chce! Cóż za sobek! Zdzisław.

6 kwietnia 2003

Kupiłem od Bawariego te trzy zdjęcia, które załączam. W oryginale, to znaczy w dużym rozmiarze (ponad metr na ponad metr) prezentują się znakomicie. Tylko gdzie je zawiesić? Mam nadzieję, że Częstochowa je weźmie, bo chciałbym, żeby były oglądane.

Staram się jednocześnie przekonać Gordina, żeby mi spuścił na cenie i sprzedał jedenaście zdjęć, które również załączam. Co o nich myślisz? Mnie na koniec miesiąca szykuje się jakaś większa gotówka, to może dobiję z nim targów... Bo cholernie mi się te prace podobają i obsesyjnie o nich myślę.

25-go jedziemy do Malagi z Anią i na spotkanie z Hernandezem.

W czasie jego wernisazu (retrospektywa złożona z 345 prac!) mam zamiar zaproponować mu wystawę w mojej galerii. Żywię nadzieję, że się zgodzi. Takie samo pytanie zadałem Witkinowi oraz galerii, która wystawia Nerdruma. Zobaczymy, co mi odpowiedzą.

Na razie echa, jakie mnie dochodzą o galerii są bardzo pozytywne i to nie

tylko w stosunku do Twoich obrazów, ale i do reszty tych, które znajdują się na stronie "Galeria".

Zdziwiło mnie, że ocenileś je jako szwarc mydło i powidło, ani od lasa ani od Sasa, co (łaskawie to wybaczyłeś) tłumaczy się tylko tym, że należy do prywatnego kolekcjonera, a więc nie wymaga żadnej koherencji. Moim zdaniem pomiędzy tymi wszystkimi twórcami (oczywiście prócz secrealizmu, który jest ciekawostką) istnieje ścisła więź. Wszystkie one są EKSPRESYWNE! A tego zdajesz się nie zauważać. Bo to, że jedni są fantastyczni, podczas gdy inni abstrakcyjni, lub Ci są fotografami, a tamci rzeźbiarzami to pozór niespójności, który może zmylić tylko nie-doświadczone oko.

Piotr.

Mój załącznik (Bavari) dostępny na stronie XXX

Mój załącznik (Gordin) dostępny na stronie XXX

Mój załącznik (Gordin) dostępny na stronie XXX

Mój załącznik (Gordin) dostępny na stronie XXX

Mój załącznik (Gordin) dostępny na stronie XXX

6 kwietnia 2003

Ponieważ nie mogłeś znaleźć na internecie prac Witkina, to Ci ich kilka przesyłam. Chciałbym, by na zbiorowej wystawie fotografiki, która myślę zrobić, znalazło się również kilkanaście Twoich zdjęć. Pomożesz? Z góry dziękuję.

Piotr

Mój załącznik (Witkin) dostępny na stronie XXX

Mój załącznik (Witkin) dostępny na stronie XXX

Niedziela, 6 kwietnia 2003 godz. 22:35

Jeśli już pytasz o moje zdanie, to załączone tu trzy prace Gordina pod-

bają mi się zdecydowanie mniej. Zmniejszyłbym też ilość związanych biegaczy. Każdy jednak ma swoje upodobania i to dotyczy również tego, co swego czasu napisałem o Twojej galerii: nie każdy postrzega ekspresję tak samo. Każdy ma jakieś indywidualne preferencje, ograniczenia i zastrzeżenia. Np. prace Witkina dla mnie są nadmiernie ostre. Pewien typ fizycznej brzydoty jak też horroru, jest dla mnie do zaakceptowania w obrazie, a nawet to lubię, bo obraz z natury rzeczy nie jest odniesieniem do innej rzeczywistości niż wyobrażona, ale w wypadku fotografii jest to odniesienie do rzeczywistości faktycznej, a ona zaczyna mnie razić, co oczywiście nie oznacza niczego więcej poza moimi upodobaniami. Generalnie to, co zachwyca jako obraz, budzi odrazę jako odniesienie do rzeczywistości: np. ohydne cielsko. Tak to postrzegam i dlatego dziwiłem się, że ludzi drażnią kości czy krew na obrazie. Z jego prac najbardziej podoba mi się martwa natura z głową.

Co mam rozumieć pod pytaniem "Pomożesz?" W każdej chwili mogę Ci wysłać kilkanaście nagrań moich fotomontaży i potem podpisać wydruki, ale nie wymagasz chyba, bym to na własny koszt drukował, transportował i składał, bo w takim razie wysiadam.

Nie wiem, jaką umowę masz z Częstochową. Zapewniają Ci aż tyle miejsca? Zapewniają ochronę? Czy to wszystko jest do końca przemyślane? Bo nie jest to chyba radosna twórczość?

Zdzisław

6 kwietnia 2003

Uwielbiam takie pieprzenie w bambosze. Czy ja Cię kiedykolwiek obciążylem jakimkolwiek wydatkiem? Twoje skąpstwo, które zawsze niewinnie tłumaczyłeś myślą o zapewnieniu starości Twojej żonie, nie będzie narażone na żaden szwank. NICZEGO, co by kosztowało, choćby jeden złoty od Ciebie nie żądałem i nadal nie zażądam. Oczywiście również o innej pomocy już nie myślę. Przypomina mi to czasy, gdy płaciłem Ci setki tysięcy dolarów, a Ty wygrażałeś mi pięścią wyrzaskując: "Nie mam już z czego dokładać do tego interesu!"

Co do "radosnej twórczości" to nie wiem, co Ci przyszło do głowy. Że

Częstochowa ma ubezpieczyć Twoje obrazy u Loydsa, bo inaczej to nie będzie "przemyślane"? Że mają założyć pancerne szyby, żeby ich nie ukradziono, bo to "nieprzezorne"? Co Ty wygadujesz?

Przypomina mi to jazgot mojej żony, gdy chce mnie maksymalnie wkurwić swoją "przezornością", która ją nic nie kosztuje, a która zawsze pozwoli jej powiedzieć, gdyby coś się złego stało: "a nie mówiłam. To wszystko przez Ciebie". Pod tym względem jesteście równie irytujący, jedno jak drugie. Częstochowa jest biedna jak mysz kościelna i daje, co może dać. W Twoim deskami zabitym Sanoku Twoje obrazy z pewnością mają się podobnie, jeśli nie gorzej. Czy im też krakasz nad uchem o "radosnej twórczości" ostrzegając, że mogą Ci zniszczyć obrazy, a Ty przecież ostrzegałeś, mówiłeś, Ty wszystko przewidziałeś?

Piotr

Poniedziałek, 7 kwietnia 2003 godz. 08:03

Jaki, na Boga, "jazgot"? Odnoszę nieodparte wrażenie, że jazgoczesz raczej Ty. Nie mam pojęcia, co w moim liście mogło to spowodować. No nic: wracam do tarzania się w wyciągniętych od Ciebie setkach tysięcy dolarów i wygrażania pięścią całemu światu, oraz złośliwego przewidywania czarnych scenariuszy, bo jak widać - taką mam naturę.

Zdzisław

7 kwietnia 2003

Ciebie o cokolwiek poprosić to od razu, "nie dam, nic nie mogę, proszę mi nie przeszkadzać" etc. To jedyne, co potrafisz jak się do Ciebie zwrócić o najmniejszy nawet gest (chyba, że się prosi Cię o jakiś dar i to tylko w postaci Twoich prac). Trudno znaleźć bardziej nieużytego człowieka. A co do Częstochowy, to podkreślam jeszcze raz, że Twoje wymagania luksusowych warunków, że ma być asekuracja, że musi być fachowy transport, że musi być właściwe opakowanie etc. etc. etc., bo inaczej będzie "nieostrożnie, a ja mówiłem, przecież ostrzegałem etc." doprowadza do

żywej pasji. Jak będziesz się nazywał Picasso, to będziesz mógł wymagać. Na razie jesteś tylko Beksiński i przewozi Cię chyłkiem, oszukując cło, marną furgonetką mały kolekcjoner Dmochowski, a wystawia prowincjonalne miasto Częstochowa.

Piotr

Poniedziałek, 7 kwietnia 2003 godz. 17:10

Byłoby dorzecznym, byś zanim zaczniesz sierzdzić się i dopisywać, przeczytał najpierw uważnie to, co zostało przeze mnie napisane, bo odpisujesz na wymaginowane listy i na wymaginowane przez siebie kwestie, natomiast samemu stawiasz czasami sprawy w sposób tak uogólniony ("Pomożesz"? W jaki sposób? W czym? Jak?), że bez pytań uściślających nie sposób zrozumieć, o co Ci idzie. Wielokrotnie mówiłem w wywiadach, o które prosisz i które rzekomo czytasz, a także wielokrotnie mówiłem bezpośrednio Tobie, że prace fotomontażowe udostępniam na CD za darmo każdemu, kto o nie poprosi (a więc logicznym jest, że i Tobie, a nawet przede wszystkim Tobie) i nie zarobiłem na nich przez cały okres ani jednego grosza, jak też, że za darmo podpisuję wydruki każdemu i to czasami nawet po kilkadziesiąt prac. Ponieważ napisałeś bezpośrednio przedtem, że masz już prace Bavariego ponad metr na metr i nie masz ich gdzie powiesić, więc przekażesz je Częstochowie i że chciałbyś też dołączyć kilkanaście moich prac, LOGICZNYM było (jeśli potem pytasz "pomożesz?") domniemanie, że być może myślisz, iż ja też dostarczę prace ponad metr na metr, a to w moim wypadku byłoby wprawdzie wykonalne, ale kosztowne (kilkanaście oprawionych prac metr na metr to około 4.000 do 5.000 dol) i kłopotliwe, jako iż nie mam samochodu do zwożenia tych prac i problemy z kręgosłupem, no i ostatnio wspominałem Ci przecież o moich niedoborach finansowych. Zatem spokojnie zapytałem, czego po mnie oczekujesz, jeśli używasz pytania "pomożesz?" Uzyskałem w odpowiedzi opryskliwy wybuch pretensji nie wiadomo o co. Co do Częstochowy, to po prostu pytałem, jakie tam są warunki, bo byłem tego ciekawy, jako iż dzień wcześniej rozmawiałem na ten temat telefonicznie z dyrektorem Banachem, informując go między innymi

o Twojej częstochowskiej inicjatywie i to właśnie jemu nasunęły się takie pytania. Wbrew temu, co piszesz, w Sanoku prace są stale pilnowane, a gdy jest jakiś pokaz poza obszarem Sanoka (np. ostatnio w Rzeszowie, a poprzednio z okazji koncertu poświęconego Tomkowi na Śląsku), ZAWSZE jedzie z nimi eskorta i jeden lub dwóch oddelegowanych stałych pracowników muzeum, którzy prac non stop pilnują. Wydaje mi się to oczywiste. Byłem po prostu ciekaw, czy to Częstochowa opłaci etat dla takiego pracownika, czy to Ty ten etat opłacisz. Spytałem też, jak wielki obszar ekspozycyjny dostaniesz, w związku z planami rozmiarów ekspozycji, o których mi napisałeś. Konia z rzędem temu, kto zrozumie skąd wyciągnąłeś, z tych moich kilku prostych pytań, tak daleko idące implikacje wraz z prognozami, że będę potem wymawiał Ci "a nie mówiłem" etc. Czytaj uważnie to, co napisałem, bo inaczej dyskutujesz lub raczej wściekasz się na własną nad-interpretację tekstu, a nie na faktyczny tekst. Zdzisław

7 kwietnia 2003

Jak mnie uczyła moja Święta Matka, gdy się małżeństwo klóci, to przynajmniej jedno powinno zachować spokój.

Cieszę się, że wśród Twych rozlicznych wad jest chociaż ta zaleta.

Ja stale zapominam, że Ty nie jesteś zdolny do żadnego gestu i że jeśli ich nigdy od Ciebie nie znalazłem za dawnych czasów, to nie dlatego, że panowały wówczas między nami stosunki handlowe. Nadzieja, że ponieważ dziś panują stosunki przyjacielskie, to mogę czegoś od Ciebie oczekiwać jest, jak mi to słusznie przypominasz, naiwnością. Ty po prostu panicznie się boisz, że ktoś mógłby Cię o coś poprosić, niezależnie od tego, czy to jest biznesowy partner, czy osobisty przyjaciel.

Nie miałem na myśli obciążania Cię jakimikolwiek pracami ani kosztami. Chodziło mi tylko o przychylny stosunek na wypadek, gdyby trzeba było, tak jak to było z naszą korespondencją, skopiować coś z komputera, żebyś mógł to dać do obróbki. Na dodatek ja nie myślę wystawiać realnie Twojej fotografii, a tylko wirtualnie w zbiorowej wystawie Gordina, Bavariego, Ciebie, Witkina, Brackmana oraz Prouvost. To, że od Bawariego ku-

piłem duże rozmiary, nie ma nic wspólnego z wystawą w mojej wirtualnej galerii. Do tej potrzebuję tylko i wyłącznie materiałów informatycznych lub potrzebnych Sołtyskowi do opracowania informatycznego. Ty też czytaj dokładnie moje listy.

Wystawę robię dla mojej przyjemności. Ty, który zawsze zaznaczasz "bo może chodzi o jakieś sprawy finansowe Dmochowskiego, który by stracił" (tak to przynajmniej insynuowałeś, gdyśmy dyskutowali z Sołtyskiem o zakupie filmu przez Polonię) wiedz, że nie wrabiam Cię w nic, co by mnie mogło przynieść zyski, a Tobie straty. Po prostu odbiło mi na punkcie tej galerii. Bawię się nią o stokroć lepiej, niż bawiłem się galerią realną, bo tamta kosztowała fortunę i codziennie widziałem widmo zbliżającej się finansowej klęski, zaś ta kosztuje (proporcjonalnie) grosze, a zewsząd płyną pochwały i zachwyty. A Ty wiesz jak ja jestem na to czuły.

Toteż jak dawniej organizowałem sobie dzień szybko załatwiający sprawy zawodowe, tak się urządzając, żeby nie musieć już prowadzić samochodu i w miarę możliwości odwalając na chybcika wszystkie powinności towarzyskie, żeby wreszcie móc sobie spokojnie sięść i samotnie popić, tak teraz odwalam robotę w try miga, żeby móc całymi dniami siedzieć przy komputerze rozsyłając zaproszenia na cały świat i dyskutować z Sołtyskiem, jakby tu ulepszyć galerię. Po prostu znów wpadłem w nałóg. Tak jestem tym wszystkim zaabsorbowany, że zapominam o otaczającej mnie rzeczywistości. Boję się, że dojdzie do tego, że będę musiał z tym zerwać równie radykalnie jak zerwałem z alkoholem, papierosami i panienkami.

Pax.

Piotr

Poniedziałek, 7 kwietnia 2003 godz. 23:44

Gdybyś napisał po prostu, że chodzi Ci o zamieszczenie moich fotomontaży w Twojej galerii internetowej, natychmiast bym to zaakceptował, bo nawet sam myślałem, by Ci to poddać pod rozwagę, ale potem pomyślałem, że może uznasz to za chęć autoreklamy i czekałem, że sam może na taki pomysł wpadniesz. Z Twoich dwóch wysłanych wczoraj prawie równocześnie listów, nic nie wynikało jasno. To, że szło tym razem o ga-

lerię internetową (nawet teraz, gdy wiedząc już o co chodzi, czytam je pod tym kątem powtórnie) jest ostatnią z rzeczy, jakie mogą przyjść do głowy. Byłem przekonany, że Gordina, Witkina i Bawariego wystawisz po kupnie w Częstochowie i chciałbyś dołączyć do tego moje prace. Nie zostało to wyrażone *expressis verbis* w stosunku do nikogo, więcej jak tylko w stosunku do Bawariego, ale myślałem, że to dlatego, iż Bawariego już kupiłeś, a kupno innych dopiero negocjujesz. Piszesz bowiem o "zbiorowej wystawie fotografii", a nie o galerii internetowej, a ponieważ piszesz bezpośrednio po rozważaniach na temat zamiaru powieszenia Bawariego w Częstochowie, domniemanie moje było prawie oczywiste. Stąd pojawiły się też kolejne pytania, bo taka ilość prac, o rozmiarach metr na metr, wymaga jednak sporej sali, więc zapytałem, co na to Częstochowa itd. Nie wiem skąd bierzesz swą opinię o mojej nieuczynności, o czym pisałeś już w swojej książce w kontekście tego, że podobno nie odwiozłem gdzieś Twojej teściowej. Nie pamiętam w ogóle tego zdarzenia, ale nie ja prowadziłem samochód, tylko moja żona, która miała zawsze cholerne trudności z prowadzeniem po zmroku, więc być może było to po zmroku i ona bała się jechać przez Śródmieście. Być może było to w okresie, gdy opiekowała się moją matką i nie można było jej zostawić samej dłużej niż na godzinę, być może wyobrażałem sobie, że po Twoją teściową ma przyjechać lub przyjechał ktoś z rodziny, być może, być może, nie jestem jednak człowiekiem nieuprzejmym i nieużyтым. Bywam postrzegany jako człowiek uczynny i to chyba przez wszystkich z wyjątkiem Ciebie. Moje obawy, że mnie ktoś o coś poprosi, wynikają raczej z lęku, że nie będę w stanie spełnić prośby lub że będę musiał odmówić, bo wbrew temu, co sądzą ludzie, nie jestem człowiekiem, którego stać na wszystko. Odma-
wiałem więc kilkakrotnie Stapowiczowi, bo jeszcze nigdy niczego mi nie zwrócił, a raz prosił o pożyczkę na 3 miesiące 100.000 zł i byłem pewien, że nawet gdybym tą sumę posiadał, to on i tak nie miałby mi jak jej potem oddać (ostatnio prosił, bym Tobie zapłacił za jakiś Twój obraz, który on sprzedał, ale forszę włożył w firmę i mi to w trzech ratach odda - też się wykrciłem, zresztą nie miałem wtedy tyle forsy - ale równocześnie dałem mu za darmo na rzecz remontu galerii i obraz i grafiki), tym niemniej pomagam ludzikom na ile mogę, ale wtedy gdy mam z czego to zrobić. W ubiegłym roku bezpowrotnie wydałem na zapomogi około 90.000 zł wyję-

te z szuflady, czyli prawie połowę tego, co w ogóle zarobiłem, ale dawałem te pieniądze tym, którzy rzeczywiście, w mojej opinii, nie mieli przed sobą wyjścia. Wprawdzie według Ciebie jestem królem Midasem, ale tak, czy siak na pomoc wydałem co najmniej kwartał stania przed sztalugami, jeśli nie więcej. Niezależnie od tego, wstawiam kilka obrazów co roku na aukcje na dobroczynność. Gdy ktoś poprosi mnie o drukowanie lub skanowanie czegoś lub nagranie szeregu płyt z mojej kolekcji, robię to tym ludziom, tracąc czasami cały dzień i to wielokrotnie w ciągu roku. Co mam więc według Ciebie robić: rozdać wszystko, lizać rany trędotowym i zostać Sadhu? Żyję dzięki mojej pracy, a ta praca też pochłania pieniądze. Nie wiem więc czemu zawdzięczam tekst z ostatniego Twego listu wygłoszony z całkowitą pewnością aksjomatu.

"Ja stale zapominam, że Ty nie jesteś zdolny do żadnego gestu i że jeśli ich nigdy od Ciebie nie znalazłem za dawnych czasów, to nie dlatego, że panowały wówczas między nami stosunki handlowe. Nadzieja, że ponieważ dziś panują stosunki przyjacielskie, to mogę czegoś od Ciebie oczekiwać jest, jak mi to słusznie przypominasz, naiwnością. Ty po prostu panicznie się boisz, że ktoś mógłby Cię o coś poprosić, niezależnie od tego, czy to jest biznesowy partner czy osobisty przyjaciel."

To jest głęboko niesprawiedliwe.

Zdzisław

8 kwietnia 2003

Czasem Całe życie poświęcamy na stworzenie sobie portretu (lub na zwalczaniu jakiejś wady...). Płacimy cenę ogromną i czynimy niekończące się wyrzeczenia. A na koniec stwierdzamy, że nasi najbliżsi uparcie nas widzą szkaradnymi. Wystarczyło bowiem, że raz jeden, ot tak przez nieuwagę, w chwili roztargnienia, zrobiliśmy zeza. I wszystko na nic.

Można to tłumaczyć na trzy sposoby.

Pierwszy to ten, według którego tacy ludzie są oszustami, którzy złe serce chowają pod maską przychylności, by zaskarbić sobie ludzką przychylność. I właśnie wtedy, gdy odkrywają się sądząc, że nikt ich nie obserwuje, wychodzi na jaw ich wstrętna dusza.

Po drugie, że są oni bogobojnymi moralistami pragnącymi pogwałcić swą złą naturę i sublimować swe niskie popędy. Lecz niestety czasami załamują się i powracają do dawnych błędów.

Trzeci to ten, który wini otoczenie: uprzedzili się. Uparci, fanatycy, nieufni aż do oblędu, raz wbiwszy sobie w głowę jakieś wyobrażenie o kimś, na podstawie nic nieznaczącego faktu, obcęgami nie dadzą go sobie wyrwać z głowy. Mnożenie gestów pojednania i szczerości jeszcze bardziej ich upewnia w przekonaniu, że mają do czynienia z obludnikiem.

Kiedyś, gdy byłem jeszcze asystentem i prowadziłem ćwiczenia ze studentami, kazałem mówić sobie po imieniu, nie karałem za nieobecności i stawiałem wszystkim co najmniej trójkę. A na koniec roku kazałem im anonimowo napisać, co o tym sposobie prowadzenia zajęć myślą.

99 procent uznało, że jestem miłym liberałem, że ćwiczenia były "sensacyjne", że zrobiłem na nich wielkie wrażenie. Ale jeden napisał "Cała ta koleżeńskość i liberalizm, to maska obludnego i pysznego bęcwała. Całe Twoje ćwiczenia mam głęboko w dupie, a do Ciebie czuję głęboką antypatię."

Wystarczyło, że raz jeden, na samym początku roku warknąłem na niego, gdy przeszkadzał mi rozmawiając z sąsiadem. A przecież tak pracowałem żeby ukryć? (czy żeby stłumić?) mą dyktatorską naturę...

Czy robiłem sobie maskę? Czy dusiłem w sobie wadę? Czy wreszcie ów student był zatwardziałym wrogiem, który nawet, gdybym mu dupę pocałował i tak by mi charchnął w gębę? Dość że fakt, iż poświęcasz kwartał swojej rocznej pracy na dobre uczynki, to że dajesz obrazy na brata Alberta, Twoje wieloletnie zabiegi wokół Twej umierającej matki i cała Twoja szczodrość w stosunku do zupełnie nie zasługującego na zaufanie Stapowicza, nie wrywa mi z głowy wspomnienia drobiazgów, jakimi było na przykład podarowanie mi najgorszego, nie schnącego i porysowanego obrazu, zagrożenie mi zerwaniem umowy, jeśli na czas nie zapłacę należnych Ci pieniędzy (co zmusiło mnie do sprzedaży "damy z pierśiami"), twardego opierania się, gdy prosiłem o wypożyczenie wycinków z gazet o Tobie, które mi były potrzebne do dossier prasowego na pierwszą wystawę, lub ostatnio odmowy wypożyczenia ektachromów Twojej nowej twórczości, bym sobie porobił z nich kopie.

Czy jest to u Ciebie robienie sobie maski? Czy jest to tłumieniem jednej

z Twych poważnych wad? Czy wreszcie, to ja jestem uparcie podejrzliwy i mimo ewidentnych dowodów Twej szczodrości, upieram się przy swoim?

Co nie zmienia faktu, że mimo woli oddałeś mi przysługę największą nadając memu życiu sens od czasu, gdy wlałem w tą całą historię i przysporzyłeś Twoimi obrazami więcej szczęścia, niż mógłbyś to zrobić nieustannie na mnie chuchając i dmuchając.

Tyle słów świętych na dzień dzisiejszy. Pan z wami.

Piotr

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 09:50

Pomijam cały Twój wywód, bo w końcu każda rzecz i zdarzenie nie istnieje same w sobie, lecz każdy postrzega je w oparciu o mechanizmy własnej psychiki, ale ponieważ swego czasu prosiłeś o sprostowania odnośnie swojej książki, to sprostuję teraz tą jedną historię, na którą się powołujesz, a którą, w przeciwieństwie do incydentu na lotnisku, doskonale pamiętam. Sprawa porysowanego obrazu, który rzekomo ofiarowałem Ci w formie prezentu. Sprawa miała się tak jak niżej i dokładnie ją pamiętam.

Ku rozpaczy mojej żony, dla której oznaczało to późniejsze mozolne sprzątanie, wydobywałem na Twoją prośbę stare i niedokończone lub uszkodzone obrazy z zaplecza szafy w przedpokoju. Między innymi (opakowane jeszcze w Sanoku w paczki) sterty rysunków, w tym duże rysunki, z których większość odkładałeś na bok z nieodmiennym tekstem "kupuję!", po czym zapłaciłeś za nie po 50 \$ (tyle mniej więcej płacę każdorazowo sprzątacze za pozamiatanie mieszkania) dopiero po kilku latach, wtedy, gdy wpadła Ci forsa od Japończyków. Wydobyłem też i rzeczony obraz. Powiedziałem coś, że muszę to wyrzucić, bo się klei i nie sposób tego poprawić, na co usłyszałem stereotypowe "kupuję!". Odpowiedziałem mniej więcej tak (sens na pewno był taki, tylko konkretnych słów nie pamiętam) "to gówno - może se to pan wziąć za darmo", co nie znaczyło, że robię Ci prezent, tylko oznaczało całkowite lekceważenie dla obrazu, jako dla bezwartościowego śmiecia. Z tego zbudowałeś historię o skąpym Beksieńskim, który w końcu odżałował i dał swemu dobroczyńcy jeden

obraz za darmo, ale najgorszy i podrapany. Tak w ogromnej ilości wypadków budowałeś własne wspomnienia. Ogół rzeczy widziałeś po swojemu, w sposób oddalony od moich intencji na miliony lat świetlnych. W tym konkretnym wypadku nie mam najmniejszego cienia wątpliwości, bo doładnie go zapamiętałem. Na razie
Zdzisław

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 11:27

Ponieważ już po wysłaniu mojej odpowiedzi nadeszła druga, rozbudowana wersja Twojego poprzedniego listu, a w niej między innymi jedna dodatkowa kwestia, która zwróciła moją uwagę. Chodzi o pożyczanie ek-tachromów (jak je nazywasz) w celu porobienia kopii. To jest do zrobienia, ale nie u mnie, lecz u Rosikonía, który robi od lat cały zestaw nie tylko dla mnie, ale i dla siebie. Ja swojego zestawu nie dotknąłem nawet moją własną dłonią, lecz od chwili dostarczenia przez Rosikonía, leży wszystko zabezpieczone wielowarstwową folią i czeka na moment, w którym dostępne staną się na rynku płaskie skanery o dużej rozdzielczości optycznej dla formatu 6/9 adresowane cenowo dla amatorów. Na razie istnieje tylko sprzęt heavy duty i flatbety kosztują majątek, a crossfieldy są jeszcze droższe i co tu mówić: niszczą negatywy na skutek konieczności kopiowania przez glicerynę. Moment ukazania się w handlu takich skanerów, mimo postępu fotografii cyfrowej, staje się coraz bliższy, tym niemniej Rosikoń robi każdą pracę także dla siebie i w albumie oraz innych wydawnictwach, użyte były jego negatywy lub ich kopie. W wypuszczaniu mego materiału z rąk doskonale chroni mnie to, czego Ty nie posiadasz: dogłębna wiedza jak to się robi i na jakie ryzyko uszkodzenia wystawia się unikalny materiał. Szczególnie, że robią to osoby trzecie. Nie chcę nawet wspominać sobie, co stało się z moimi czarno-białymi negatywami z czasów sanockich, które tak samo na Twoją prośbę udostępniłem w celu wykonania odbitek. Szereg w ogóle gdzieś przepadło, reszta była pomieszana, szereg pobrudzonych etc. Nikt o zdrowych zmysłach nie wypuszcza z rąk unikalnego materiału analogowego! Przypomnij sobie swoje doświadczenia z PENTHOUSE. Rosikoń na moją prośbę udostępnił

swoje zdjęcia wielokrotnie, ale prawa autorskie (nawet do tego, co jest u mnie) posiada on, a nie ja (taki mamy układ), czyli że nie miałbym prawa udostępnienia tego nikomu, nawet gdybym był do tego stopnia szalony, by to uczynić.

Zdzisław

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 11:49

Przypominam, że cenę za rysunki po 50 dolarów za małe, a o ile pamiętam, duże były droższe, wyznaczyłeś Ty, a nie ja. I to nie mnie, a Cię gryzie dziś złość, że zrobiłeś zły interes i za mało na tym zarobiłeś. Zwracanie się do mnie z pretensją, że dziś tyle kosztuje sprzątaczką jest chybione.

Piotr

9 kwietnia 2003

Dodaję, że za tamtych czasów jakaś pociotka Nyczka przyjechała do Paryża i sprzedała mi dość duży i bardzo ładny Twój rysunek za 100 dolarów i była bardzo szczęśliwa z interesu. Tak więc, były to panujące wówczas ceny i Twoja szczodroliwość była zupełnie umiarkowana zważywszy, że brałem wszystko hurtowo.

Piotr

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 12:25

Tak. Masz rację: ceny takie podałem ja. Byłem wtedy kompletnym jele-niem, żyjącym w fikcji finansowej PRL. Jedyne żal, jaki wtedy miałem (dziś - uwierz mi - minęło mi to już całkowicie) wynikał z faktu, że z perspektywy PRL postrzegałem Cię początkowo jako człowieka mającego lub polskiego prawnika, który reprezentuje kogoś, kto ma zwały forsy. Bardzo poważnie liczyłem, stymulowany sformułowaniem "kupuję"

lub "biorę", na szybko (w ciągu dwóch dni, tygodnia lub najdalej miesiąca) zdobycie jakiegoś bufora finansowego, który w tamtym okresie był nam cholernie potrzebny. Dlatego tak chętnie sprzedawałem wszystko. Mój stosunek do handlu był zawsze oparty na czymś zbliżonym do znanej maksymy rzymskiej "bis dat, qui cito dat", a nasze stosunki handlowe stały się wtedy dla mnie zaprzeczeniem tej maksymy i głównie dlatego były źródłem nieustannego stresu. Wtedy więc, w tamtym dziesięcioleciu trwania kontraktu, potężny żal jaki miałem do Ciebie i zawód, wynikał z faktu, że po słowie "kupuję" nie nastąpiły fakty i przez cztery czy pięć lat, czy może nawet więcej, nic za zabrane mi rysunki nie dostałem. Dziś nie ma to już żadnego znaczenia.

Zdzisław

9 kwietnia 2003

W filmie, który chyba nazywał się Rashomon (czy coś takiego), a który widziałem w czasach młodości, to samo zdarzenie opowiadane było przez cztery osoby, które były jego naocznymi świadkami. Powstały z tego cztery zupełnie inne zdarzenia. Sam jako adwokat spotykam się ze świadkami, którzy tak jak Ty "dokładnie pamiętają" i "przysiąc mogą, że tak było" etc. Co do przecinka. Po czym okazuje się, że prawda była zupełnie inna. Ja wspominam te zdarzenia inaczej. Ponieważ NIENAWIDZĘ mieć długów to zaraz, gdy tylko pojawia się pierwsza forsa, płacę co do grosza to, z czym zalegam. Toteż dług za rysunki zapłaciłem bardzo prędko, bo w przeciągu kilku miesięcy. Taka jest moja wersja.

Przypominam również, że jeśli Cię dziś piecze na wątrobie, że za mało wzięłeś ode mnie za owe rysunki, bo dziś sprzątaczką tyle samo bierze za jeden dzień pracy (powiedzmy, dwa dni, by być bliżej prawdy), to tyle wówczas brała za cały miesiąc. 50 dolarów za tamtejszych, komunistycznych czasów odpowiadało temu, co w dzisiejszej Trzeciej Rzeczypospolitej warte jest 500. A za tyle właśnie dziś sprzedajesz swoje rysunki.

Poza tym przypominam, że za duże rysunki policzyłeś mi więcej, choć nie pamiętam o ile, i gdy chciałem Cię namówić do powrócenia do rysowania odpowiedziałeś mi, że o ile to zrobisz, to będą mnie one kosztowały

tyle samo, co obrazy. A za obrazy brałeś wówczas ode mnie około 1200 dolarów, ze słynnym "nawisem inflacyjnym" skrzętnie sprawdzanym na notowaniach giełdowych i w Wolnej Europie a potem hojnie - do czasu aż się nie zorientowałem, że nie zawsze dokładnie - naliczanym mnie. Nie pamiętam więc już ile kosztowały mnie wówczas duże rysunki, ale z pewnością więcej niż 50 dolarów. To tyle.

Ty oczywiście pamiętasz "dokładnie", że wcale tak nie było i możesz "nawet przytoczyć słowa, jakie wówczas każdy z nas wypowiedział". Ale to już innym razem.

Piotr

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 13:16

Wracając jeszcze do spraw cen. Oczywiście, że teraz czasami pluję sobie w brodę po jaką cholere sprzedalem to czy tamto za taką cenę, za jaką sprzedalem, podczas gdy teraz (posiadając te obrazy czy rysunki) mógłbym je bez trudu sprzedać po 16 krotnej cenie, a niejednokrotnie nawet za 250 do 300 razy wyższą cenę. (Mówię tu o mojej wystawie z przełomu 1972/73, gdy prawie wszystko sprzedalem po 2.000 zł, czyli za odpowiednik, o ile pomnę, około 17 i pół dolara.) O nasze ceny nie miałem jednak nigdy pretensji, gdyż sam takie postawiłem. Pretensje zaczęły pojawiać się, gdy zrozumiałem, że biznes nie wypalił i do końca życia będę tylko na ryczałcie i wtedy zacząłem walczyć o jego coroczne urealnianie w wyniku inflacji, oraz potem, na przełomie 1989/90, gdy nagle w Polsce wartość pieniądza zaczęła się urealniać, a w perspektywie widać już było to, co mamy dziś, czyli kraj stosunkowo drogi, o cenach na większość dóbr (z wyjątkiem może mieszkań i czynszów) wyższych niż w wielu innych krajach europejskich, nie wspominając o USA.

Zdzisław

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 13:52

Nareszcie coś, z czym mogę się zgodzić. Myślałeś, że to będzie świetlana

przyszłość, a okazało się, że masz do czynienia z golcem Dmochowskim, z którym możesz liczyć tylko na czarny chleb bez szynki. I to było powodem, że przy każdej okazji wychodziła z Ciebie gorycz, rozdrażnienie, a nawet złość i tym samym niechęć do jakichkolwiek gestów czy ustępstw. Z czego mój żal, że byłeś człowiekiem nieużyтым, a już na pewno nie przyjacielskim.

I w ten sposób, po wielu esach i floresach koło się zamyka i okazuje się, że obaj jesteśmy zgodni, co do jednej i tym razem już nie interpretowanej prawdy.

Proponuję, żebyśmy tym zgodnym akcentem zakończyli polemikę na temat dawnych czasów.

Piotr

Środa, 9 kwietnia 2003 godz. 14:17

Zdaje się, że nasze listy się rozmiijają. Oczywiście chętnie kończę polemikę, która żadnego z nas - jak dowodnie widać - nie przekona, co do racji adwersarza. Nie trzeba w tym celu sięgać do Rashomona, a całkiem wystarczy przedwojenny Pirandello, a już najlepiej Karel Capek. Pokornie przypominam tylko, że to Ty 6 bm. sięgnąłeś jako pierwszy do wspomnień z przeszłości i siłą rzeczy uruchomiłeś kulę śniegową.

Zdzisław

Środa, 16 kwietnia 2003 godz. 12:09

Mój dzielny przyjaciel, pan Bryński ma zaawansowanego raka jelita grubego. Przyjąłem to spokojnie.

Natomiast gdy przede mną jakiś wariat pędzi na złamanie karku, lekko hamuję mój samochód, żeby mieć lepszy widok jak się rozpierdoli.

Z kolei powiedziałem wczoraj Ani: "To, że moje książki, ani beletrystyczne, ani naukowe nie odniosły żadnego sukcesu, a "Le Monde" odmówił nawet otworzenia jednej z nich, żeby zobaczyć, co się tam znajduje, nie napawa mnie specjalną goryczą."

Jest piękna, wiosenna pogoda, a Paryż cały jest ukwiecony.
Piotr

Środa, 16 kwietnia 2003 godz. 13:43

Zapewne nie zdajesz sobie nawet sprawy, w jak wielkim stopniu podobny jesteś do Tomka. Patogeneza była czy jest zapewne inna, ale efekt, jeśli idzie o stosunek do świata i bliźnich, IDENTYCZNY. Nie mam w sobie złości, a raczej złośliwość oraz ironię. Oczywiście irytują mnie czasami reakcje ludzkie podobne tej, jak reakcja dziennikarzy, gdy w Bagdadzie przypierdolili z czołgu czy z czegoś tam w hotel Palestyna i trzech dzielnych białych dziennikarskich misjonarzy poległo, bo musieli nos pchać na pierwszą linię. Przedtem naszatkowało Irańczyków (Irakczyków?) jak kapusty, ale kogo by tam interesowali Indianie - poczciwi durnie z prasy, uwierzyli zapewne w "chirurgiczną precyzję" uderzeń, o których trąbiła propaganda, a tymczasem gdzie drwa rąbią i tak dalej. Swoją drogą, że precyzja w porównaniu z II wojną jest olśniewająca. Jeden jedyny raz w moim życiu leżałem w biały dzień na trotuarze, a nade mną rozgrywał się spektakl nalotu dywanowego i teraz przypomniałem sobie, jak to wyglądało. Usłyszawszy dudnienie silników wybiegłem przed dom i zobaczyłem klucz Bostonów (amerykańskie bombowce średniej klasy dostarczane do ZSRR w ramach pomocy wojskowej) na (nad?) którymi tańczyła ochrona myśliwców. Na wszystkie strony ulicą przyskali Niemcy i jeden z nich w mundurze oficera, mamrocząc coś pod nosem, przykleił się na płask do muru nade mną, bo ja już leżałem na plecach, rozplaszczony jak żaba i patrzyłem jak sunie na dół kupa srebrzących się w słońcu bomb. Po czym, po długich sekundach bomby coraz większe skryły się jednak za obrysem gzymsu i po chwili zatrzęsła się ziemia i już było po wszystkim. Jak ciekawy świata gówniarz poleciałem w kierunku zakrytego czarnym dymem i pyłem pola. Kilkanaście ton przypierdoliło w szczere pole wrywając ogromne leje, w których szybko pojawiła się woda gruntowa, ale jedynym efektem była przekrzywiona chałupa niejakiego Grzebienia oraz - jak się potem okazało - dwie zabite baby na polu, z których jedna niedorozwinięta, znana w całej okolicy. Przed kilkom dniami pokpiwając

z chirurgicznej precyzji, zmitygowałem się, wspomniałem tamten moment i zrobiłem bilans. Niewolnicza praca uwięzionych wrogów socjalizmu w kopalniach rudy, ciężka praca hutników nad wytopem stali, trud wygłodzonych kobiet w jakiejś Alma Ata na nocnej zmianie przy tokarkach, na których powstawały panczerze bomb, śmiertelne ryzyko, atakowanych przez U-Boty amerykańskich marynarzy w konwojach do Murmańska z rozmontowanymi samolotami Boston na pokładach, strach i śmierć niemieckich marynarzy w U-Botach zatopionych bombami głębinowymi przez osłonę konwojów etc. etc. wszystko nawet nie do policzenia, a efekt to dwie zabite baby, z których jedna niedorozwinięta. Oczywiście należy się cieszyć, że nie zniosło bomb o pół kilometra na północny zachód, bo Sanoka by już nie było, Zamku by nie było, więc i Muzeum Beksińskiego w Zamku i całej reszty. Można więc jednak mówić obecnie o precyzji. Na razie.

Zdzisław

18 kwietnia 2003

Piszę króciutko, bo przed chwilą dostałem e-mail od nowo poznanej polskiej artystki Hanny Cywińskiej (jej rzeczy tak jak Twoje są w Muzeum Narodowym w Warszawie). Ponieważ jej opinia na piśmie pokrywa się z opiniami szeregu osób, które wyraziły ją ustnie (prócz Dudy Gracza, który też to napisał. On porównywał moją książkę do Biblii, którą powinien przeczytać każdy student Akademii Sztuk Pięknych) przekazuję Ci fragment Ciebie dotyczący. W ten sposób będziesz miał nowe światło na kwestie, na którą zdaje się wyrobiłeś sobie błędne zdanie, według którego Twoja popularność poszła od audycji muzycznych Twego syna, a nie od moje działalności.

"(...)Muszę Ci powiedzieć, że czytam te Twoje najprawdziwsze relacje z zapartym tchem. Czyta się prawie tak łatwo jak James Bonda z tym, że dla mnie to jest jeszcze sama wspaniała dydaktyka. Każdy artysta to powinien czytać jak Chińczycy kiedyś czytali czerwoną książeczkę. Nie tylko czytać, ale i modlić się, aby na ich drodze twórczej stanął taki mecenas Dmochowski i wyciągnął artystę na światło dzienne. Ba! Nie tylko, że wyciągnął, ale

i zrobił z Niego sławę! Ileż Ty włożyłeś trudu, ileż przeciwności musiałeś pokonać, aby do tego doszło.

Właściwie jesteś współtwórcą zaistnienia Beksa. Gratulacje. Wspomniała robota! Gdyby jeszcze któremuś z Was chciało się kiwnąć palcem w stronę popchnięcia prac Cywińskiej to uważałabym, że urodziłam się w czepku. Zdaję sobie jednak sprawę, że już macie dość "wiosłowania pod prąd"(..)"
Piotr

Piątek, 18 kwietnia 2003 godz. 14:54

Cóż mam napisać w odpowiedzi? Chyba tylko to, że trzeba było lansować Cywińską, a nie zimnego jak gad niewdzięcznika Beksińskiego. Zabawne jest to, że cieszy Cię to, co mnie osobiście napawa rezerwą. Wczoraj dostałem zestaw panegiryków od dziatwy III liceum w Częstochowie, a jestem, jak widzę, kiepskim adresatem dla tego rodzaju aplauzu. Właściwie nie wiem, czego bym tak naprawdę pragnął, ale na pewno nie entuzjazmu w takim stylu, jaki zachwyca Ciebie. Jak sądzę wynika to z mojej nieśmiałości, ale Ty na pewno wiesz, że to nieprawda, bo to efekt mej wrodzonej podłości i wyrachowania: "niech się tylko nie entuzjazmują, bo na pewno potem o coś poproszą." Twoja prokuratorska przenikliwość nie da się tak łatwo oszukać naiwnym mataczeniem przebiegłego (ale tylko we własnym mniemaniu) Beksińskiego. Reasumując: "Zważonym, oszczędzonym, okazałem się lekki" czyli "mane, tekel etc.". Pozdrowienia
Zdzisław

Wesołych Świąt!

20 kwietnia 2003 13:19

I Tobie życzę miłych Świąt.

Powracając do Twego kąśliwego e-maila z piątku 18-go napomknę, że zdanie dziatwy z III liceum w Częstochowie jest trudno porównywalne ze zdaniem Starowieyskiego, Szajny, Stasysa, Cywińskiej i kilku innych najwybitniejszych polskich twórców lub jakichś anonimowych artystów,

którzy piszą mi po obejrzeniu mojej galerii, w której właśnie promuję aktualnie Ciebie: *"These are too wonderful for words. All the work on your sites is exquisite.. Thank you so much for showin me. Merren"*

Od dwóch i pół miesiąca, od kiedy mam wirtualną galerię, otrzymałem takich mesaży DZIESIĄTKI.

Napomknę, że i działwa z III liceum w Częstochowie (jak i w stu innych polskich miasteczkach) jeśli o Tobie wie, to dlatego, że pani nauczycielka przeczytała w lokalnej Gazecie Wyborczej na pierwszej stronie duży artykuł z trzema zdjęciami napisany przez tamtejszego dziennikarza, pana Tadeusza Piersiaka, że Beksińskiego lansują "w Paryżu" i że niejaki Dmochowski użyczy Częstochowie szereg jego obrazów na stałą wystawę. Takich panów Piersiaków i takich pań nauczycielek było wielu i stąd poszła fama wśród polskiego ludu bożego o malarzu Beksińskim, którego poza tym znało tylko środowisko.

Oczywiście wiem, jak musi Cię to drażnić, bo już kiedyś wybuchnąłeś złością w którymś z Twoich listów pisząc "Jeszcze by tego brakowało, żeby powiedziano, że to Ty mnie zrobiłeś!".

A jednak obstaję przy swoim.

Co nie przeszkadza, że nigdy pies z kulawą nogą nie zainteresowałby się malarzem Beksińskim, nawet gdyby go dziesięciu Dmochowskich lansowało w dziesięciu Paryżach, gdyby ów malarz Beksiński nie był geniuszem, jakich niewiele na świecie. Mam nadzieję, że tym, co mówię, nieco osłodziłem pigułkę.

Pozdrawiam.

Piotr

Niedziela, 20 kwietnia 2003 godz. 14:50

Ależ Piotrze! Czytasz w listach nie to, co zostało napisane, lecz to, co pasuje do Twojej tezy, po czym z tą okrojoną wersją polemizujesz. Np. że rzekomo napisałem iż to, że jestem znany zawdzięczam Tomkowi, a nie Twojej książce. Jeśli kolekcjonujesz listy, to proponuję byś przeczytał (dokładnie!!!), co napisałem w odpowiedzi na podobne Twoje listy w dniach 6.12 oraz 7.12 ub. roku. Między innymi:

Nie mam pojęcia, co w moim wypadku stymuluje publikatory i więcej jak pewne jest, że udział w tym mają zarówno Twoje albumy jak i audycje muzyczne Tomka, który bardzo często powoływał się na mnie, a był w swoim środowisku bardzo popularny, osobiste tragedie, które mnie spotkały, to że się nie udzielam publicznie, ale przede wszystkim wzrost ilości tytułów w Polsce, które to tytuły nie mają o czym pisać, a niejednokrotnie są po prostu pralnią pieniędzy.

Świętej pamięci Ksiądz Tischner powiedział raz, że górale stosują trzy stopnie Prawdy: Święta prawda, moja prawda i gówno prawda. Nadużywanie "mojej prawdy" (bo przecież chyba o nią Ci chodzi) powoduje, że wnioski, które wyciągasz, stają się trzecim stopniem prawd góralskich. Takie więc wnioski są przyczyną mojej kąśliwości i ironii, których by nie było, gdybyś zechciał widzieć i opisywać rzeczy w ich złożoności, a nie walić na odlew. Czymże jak nie ironią, mam się bronić przed rodzącą się tezą o nikomu w Polsce nieznanym Beksińskim, którego - jak nieoszlifowany diament, leżący w prowincjonalnym rynsztoku - znalazł przybysz z Wielkiego Świata, Piotr Dmochowski. Pochylił się, podniósł diament i zamyślił nad istotą Piękna, po czym postanowił oprawić ten diament i ukazać Światu, by ten mógł paść na kolana, wielbiąc zarazem artystę i jego odkrywcę. Nieszczęściem świat nie padł na kolana, bo wszyscy mali ludzie się odwrócili, nikt nie pomógł, zaś diament okazał się (już jako człowiek) moralnym gównem, niegodnym pochylania się, chociaż - jakby nie było - jest to gówno w jakimś tam swoim prowincjonalnym wymiarze wybitne.

Zdaję sobie sprawę, że to, co piszę jest złośliwe i przesadne, ale jak mam reagować? Z reguły stawiasz tezę, która jest w pewnej części prawdziwa, ale generalnie fałszywa, stawiasz ją w stylu prokuratorskim jako aksjomat, zmuszając partnera do defensywy i tłumaczenia się. Jeśli nawet próbuję się tłumaczyć, to w końcu słyszę "pleć pleciugo byle długo", a po paru miesiącach zapominasz, o czym pisaliśmy i zaczynasz ten sam temat od początku. Zostaje mi tylko ironia, bo nie będę bez końca tłumaczył, że nie jestem wielbłądem, jako że i tak tego nie przyjmujesz do wiadomości. Rehabilitacja mego kręgosłupa jak na razie doprowadziła do pęknięcia jednego żebra po prawej i z trudem się poruszam. Tym niemniej kręgosłup boli teraz mniej niż żebro, więc można mówić o sukcesie.

Zdzisław

20 kwietnia 2003

Gdy skarżę się na kłamliwą prasę to nie dlatego, że przemilcza lub, że wręcz mówi nieprawdę, ale dlatego że najczęściej używa metody, która polega na wspomnieniu jednym słowem rzeczy ważnej zalewając ją potokiem informacji o rzeczach błahych i w ten sposób dokładnie topiąc ją w grzęzawisku. Ty celujesz w tym. Oczywiście coś tam bąkniesz o moich zasługach, żeby nie można Ci było zarzucać kompletnej ślepoty. Ale zaraz potem będziesz się rozwodził o audycjach muzycznych Twego syna i o ilości tytułów w Polsce, które nie mając co pisać, piszą o Beksińskim. Gdybyś i Ty czytał uważnie to, co stoi napisane, to pamiętałbyś, co napisałem w mojej książce o dziennikarzach. Tak jak twierdzę, że kunsztem inteligentnego kłamania bijesz niejednego adwokata, tak bijesz tym kunsztem wszystkich publicystów. Ty powinieneś być obrońcą albo gryzi-piórkiem, a nie malarzem. We wszystkim, co poczynasz, osiągasz bardzo szybko doskonałość.

Czyżby to Twój osteopata tak Cię urządził, że Ci złamał zebro? No, to gratuluję. A kiedy złamie kręgosłup?

U nas bez zmian. Leżę na kanapie i gwarzę z żoną, zamiast pracować lub bezmyślnie rozsyłam tysiące (bo to już poszło w tysiące) zaproszeń do mojej galerii, a potem chciwie wczytuję się w pełne zachwyty e-maile zwiedzających. Wówczas stwierdzam, że zupełnie mi to nie wystarcza i znów nawołuję tłum do podziwiania mego idola. Swoją monotonią i stałym niezadowoleniem, jakim mnie to napawa, przypomina mi to onanie za moich młodych lat.

Piotr

Niedziela 20 kwietnia 2003 13:58

Mimo Niedzieli Świątecznej malowałem przez dzień cały, a teraz nawet przyjąłem klienta, który jest takim samym wariatem jak ja i nie świętuje.

W odpowiedzi na Twój list, mogę tylko napisać, że jesteś niereformowalny - nie mam siły, by spierać się z Tobą. Jesteś zapewne prekursorem rzeczywistości wirtualnej - tyle, że nie tworzysz jej przy użyciu komputera, tym niemniej jesteś w niej całkowicie pogrążony. No cóż - w jakimś sensie żyjemy w niej wszyscy. Zaprzyjaźniony, bardzo wybitny, ale chory nerwowo krytyk polski, odwiedził ostatnio przychodnię psychiatryczną, bo potrzebował jakiejś recepty. Młoda pani doktor przeprowadziła z nim wywiad i skierowała go do swojej przełożonej, a mojej znajomej, z adnotacją: "chory ma urojenia: wydaje mu się, że jest krytykiem". Moja znajoma potraktowała to, jako klasyczny przykład głupoty młodych lekarek, ale ja dostrzegłem inny aspekt, którym jak zwykle zamączę Ci jasny i przejrzysty "kartzjański" obraz. W końcu my wszyscy, którzy zajmujemy się sztuką, jesteśmy we władzy urojenia. Nikt poza mną, nie dostrzega w moim obrazie tego, z czego jestem dumny, ani tego, czego się wstydzę. "Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi", te słowa Konrada z "Dziadów" dotyczą całokształtu sztuki, a nie tylko poezji.

Moje zebro pękło w wyniku terapii. Jak widać niepiśmienne hiszpańskie chłopki oraz tępaki w rodzaju Beksińskiego mają czasami rację w tym, że czegoś się obawiają. Ponieważ wszystko wskazuje na to, że masz uszkodzony hipokamp, przypominam, że wymieniliśmy na ten temat korespondencję. Cześć.

Zdzisław

20 kwietnia 2003

Widzę, że nie mając już pomysłu na ironiczny unik, kończysz jak Lepper: wyzwiskami. Niech Ci będzie "Burek". Dłużej się z Tobą kłócić nie będę. Piotr

20 kwietnia 2003

Zamiast przypisywać urojeniom mojego uszkodzonego mózgu, przypisywanie sobie jakiegoś miejsca w popularyzacji Twojej sztuki, lepiej pokaż mi,

co nowego namalowałeś.

Piotr

21 kwietnia 2003

Masz zdecydowanie dobry okres. Prace są świetne. Wpisuję się na pierwsze miejsce w kolejce do architektury w postaci członka. Mam nadzieję, że gospodyni będzie miała pieniężne wymagania, i aby im sprostać, zdecydujesz się mi obraz sprzedać.

Piotr

Warszawa, poniedziałek, 21 kwietnia 2003

Napisałeś o wyzwiskach, więc nie miałem pojęcia, o czym piszesz, a nawet miałem skojarzenie z polskim filmem, gdzie pada słowo "industrializacja", na co gospodyni odpowiada: "tylko bez wyzwisk, bo tu są dzieci". Teraz dowiaduję się, że chodzi o hipokamp. Jak wiadomo hipokamp odpowiada między innymi za tzw. pamięć krótkotrwałą, a Ty w ogóle nie pamiętasz listów sprzed dwóch miesięcy, tak więc domniemanie uszkodzenia hipokampu, wiązałem z koniecznością nieustannego przypominania Ci, o czym sobie pisaliśmy. Na dodatek, w trakcie ostatniego Waszego pobytu w Warszawie, osobiście skarżyłeś się w rozmowie z żoną i ze mną na to, że nieustannie wiele wydarzeń zapominasz i masz luki. Czyżbyś to potraktował jako wyzwisko?

Ja przez ponad dwa tygodnie męczyłem samolot, który malowałem dla siebie, ale teraz musi się odczekać, bo już jestem nim przemęczony. Poprzednio namalowałem architekturę dla Dziopak, którą jednak także postanowiłem zostawić sobie (pisałem o tym). Na razie boli mnie zbyt mocno zebro i nie mogę się w związku z tym wyspać, tak więc nie potrafię się w spokoju skupić nad tym, czy z tych obrazów jestem zadowolony, czy nie. Dziopak wzięła 18 bm. do galerii 3 obrazy, które znasz: postać lecącą i wplątana włosami w drzewo, akt stojący pokryty falbankami i twarz, którą nazwałeś "twarzą ślepca". Trochę pracowałem też nad fotomontażami,

którym nadaję czasami formę bardziej graficzną, ale to na razie in statu nascendi.

Zdzisław

21 kwietnia 2003

Jakie są rozmiary obrazu z architekturą? Przypominam, że jestem pierwszy w kolejce. Wprawdzie przygotowałem grubszą forszę dla Gordina, ale jeśli mi sprzedasz ten obraz, to Gordin poczeka.

Piotr

21 kwietnia 2003

Od momentu poprzedniego wyczyszczenia komputera, czyli od 4-go kwietnia do dzisiejszego dnia, wysłałem 1881 zaproszeń na Twoją wystawę. Otrzymałem 960 wizyt. Wypada więc, że co druga osoba, która otrzymuje zaproszenie, otwiera moją stronę. O ileż to łatwiejsze niż pisemne zapraszanie, nieuniknienie zawsze tych samych krytyków i dziennikarzy, którzy po prostu wyrzucali zaproszenia rzuciwszy na nie okiem lub nawet nie rzuciwszy okiem. A innym, nawet jeśli zaproszenie się podobało, to nie chciało się jechać aż do mojej galerii, żeby zobaczyć ciąg dalszy. Dziś ani ja, ani oni nie muszą zrobić kroku, a nawet nie muszą wystukiwać mego adresu, tylko jednym kliknięciem wchodzą do mojej wirtualnej galerii. Boże, co za postęp! A na dodatek są to ludzie wybrani, bo zaproszenia wysyłam na razie tylko artystom.

Okolo 3 procent wysyła mi w odpowiedzi swoją opinię głównie e-mailem, bo wpisywanie się do złotej księgi jest o tyle kłopotliwe, że trzeba się zidentyfikować, napisać swój własny adres, nazwisko etc., a to ludzi odstrasza. A tak wystarczy odwrotną pocztą napisać kilka słów i raz jeden kliknąć. Co za czasy!

Opinie dotyczą najczęściej całej galerii i wszystkich artystów, których pokazuję. Czasami tylko odnoszą się wyłącznie do Ciebie lub do innego artysty. Są na ogół entuzjastyczne. Jeden tylko krytyk sztuki zrobił mi

awanturę, że wysłałem mu nieproszone przez niego zaproszenie. Po czym przeprosił mnie. Podejrzewam, że zna Twoją twórczość i tak jak niektórzy, odbiera ją jako agresję.

Piotr

Poniedziałek, 21 kwietnia 2003 godz. 15:17

Pozostaję sceptykiem, ale oczywiście szczerze Ci życzę, by to przyniosło jakieś bardziej konkretne rezultaty. Znajoma z Kanady też ma zamiar otworzyć teraz galerię internetową i jakoś nie mam serca, by ją zniechęcać, bo wróżka przepowiedziała jej sukces, a ona jest po rozwodzie i z problemami finansowymi, ale ja niestety w to wszystko nie wierzę. Chyba, że sam fakt potwierdzenia odwiedzin jest sam w sobie dla Ciebie stymulujący. Patrząc na to trochę przez pryzmat wielkich liczb. W końcu sam zajrząwszy na Twoją stronę, kopiuję potem i odwiedzam kilka adresów osób, które do Ciebie napisały, by przekonać się, kto zaczął - to zachowanie automatyczne, ale w końcu zaglądam też codziennie na strony ze sprzętem cyfrowym, czy też na strony porno i jeśli się widzi, że tylko dla amatorów oglądania mocz, istnieje kilka tysięcy stron z kilkuset tysiącami zdjęć, przedstawiającymi dziewczyny w spódnicach, szortach lub jeansach z mokrą plamą, bo się posikały (oczywiście jest to mistyfikacja, bo chyba szkoda niszczyć nowe jeansy) i mam świadomość, że wśród 3,083,324,652 plików, które przeszukuje dziś przeszukiwarka Google, jestem gdzieś między takim to materiałem, to raczej nie napawa mnie to optymizmem. Po internecie chodzi się jak po śmietniku: zawsze coś się przypadkowo znajdzie, ale jakie to ma znaczenie? Można znaleźć tylko wtedy o ile wie się, czego się szuka. Można oczywiście wysłać zaproszenie i wtedy temu komuś wypada zajrzeć i napisać kurtuazyjnie coś miłego, a potem zajrzeć jeszcze na panienki w posikanych jeansach. One też zarabiają na swój chleb powszedni na tej ziemi, która rodzi osty i ciernie. No, ale niektóre zapewne to lubią i cieszy je, że są oglądane.

Co do obrazu, to na razie myślę o sobie i dekoracji kawalerki, gdy w końcu zostanie wykończona. Oczywiście zapisałem Cię jako pierwszego na liście, na wypadek gdybym się rozmyślił, ale przecież tego typu obrazów masz

stosunkowo sporo. Taka jest co najmniej połowa obrazów namalowanych "na zamówienie". Obraz ma format 98/132. W tej branży bardzo trudno jest zarabiać rytmicznie. W tej chwili wpadła mi forsa za dwa obrazy i ma wpaść za trzeci, oraz jeden z kumpli oddał mi po spowiedzi Wielkanocnej 20.000, które stanowią część długu sprzed ponad trzech lat, co do którego zwrotu straciłem już wszelką nadzieję. Nagle więc mam forszę z nawiązką i raczej nie chcę niczego już sprzedawać.

Zdzisław

21 kwietnia 2003

Zacznij od tego, co nazywasz "konkretnym rezultatem"? Kupno? No przecież wpadłszy na Gordina i na Bawariego przez czysty przypadek, kupiłem od nich sporo prac. Czyli są tacy, którzy przez internet kupują. To jedno. A drugie to to, że dla mnie "konkretne rezultaty" mają zupełnie nie merkantylny a ambicjonalny i emocjonalny sens. Dla mnie "konkretnym rezultatem" jest sama ilość zwiedzających. Dla mnie "konkretnym rezultatem" jest ich słowo uznania. Dla mnie "konkretnym rezultatem" jest świadomość, że służę wielkiej sprawie. Etc. Boże jak Ty masz zawężone horyzonty! Forsa, forsa, forsa...

Piotr

Poniedziałek, 21 kwietnia 2003 godz. 16:50

Nawet jeśli Ci dobrze życzę, to usłyszę, że mam zawężone horyzonty. A kto (na Boga) poumieszczał horrendalne ceny przy obrazach. Ja? Sam mi powiedziałeś, że po jakimś czasie usunąłeś je tylko ze względu na francuski fiskus. Jak widzę potrzebny Ci jest do szczęścia Beksiński: mały, skąpy i wyrachowany centuś, bez poczucia wielkości Misji i szczęścia, jakie daje służba Wielkiej Sprawie, który wszystko przelicza na pieniądze i to marne, ale odgrywa świętego Franciszka z Asyżu. Ja nawet, gdy maluję, to zapewne w Twojej opinii postępuję tak jak Nikifor, który zanim zaczął akwarelkę, to najpierw ślinił pędzelek i pisał: "100 złotych", co potem in-

spirowało go do dzieła. No cóż. Jeśli taki mój obraz jest Ci potrzebny, to nie wypada protestować już choćby ze względów humanitarnych.
Zdzisław

21 kwietnia 2003

To po co piszesz "konkretny"?

Gdybyś napisał tylko "rezultat" albo "co z tego wynika" to bym zaczął z grubej rury, zszedłbym prawdopodobnie na sens życia i coś wspomniał o Platonie, okrasił Bergsonem i w ogóle wzniosłbym debatę na wyższe piętra. Ale tak, "konkretnie"? No to oczywiście pomyślałem o forsie.

Bo co wynika "konkretnego" z bycia wybranym na prezydenta Państwa? Kupa obowiązków i nieprzespanych porządnie nocy. Co wynika konkretnego z uskładanej pięknej kolekcji sztuki? Masa zmartwień jak ją zabezpieczyć przed kradzieżą i zniszczeniem. Co wynika konkretnego z uganiania się za spółniczkami? Choroby weneryczne i awantury od żony.

Nic "konkretnego" z niczego nie wynika, dopóki się jest pesymistą i NIC nie cieszy. Ty gdybyś nawet namalował Mona Lisę i przez ponad pięć wieków ludzkość uczyniłaby z Ciebie symbol sztuki, też wrzasnąłbyś na końcu "Co z tego wynika KONKRETNEGO?!" Otóż nawet spojrzenie na ptaszka, którego obserwowałem dziś przez kilkanaście sekund w naszym pięknym parku ma bardzo konkretny sens. Bo daje przyjemność. Najwyższym rezultatem konkretnym jest szczęście.

To ludzkość już odkryła od wieków.

Sądziła ona jednak, że ów błogi stan prowokują zdarzenia zewnętrzne, sława, pieniądze, władza, ludzkie uznanie, miłość, uroda, talent... Stąd beznadziejny wyścig pokoleń, kto pierwszy do nich dobiegnie. A ci, którzy dobiegali albo padali z wycieńczenia, albo po godzinie radości musieli od nowa rozpocząć wyścig, bo w międzyczasie szczęście znów im umknęło. Tylko najbardziej przenikliwi widzieli, że szczęście znajduje się nie na zewnątrz nas, a w nas, w naszym osobistym "charakterze". I że nie trzeba do tego żadnych wyścigów ani wyprawy po złote runo. Wystarczy być tym, kim się jest, jeżeli ma się szczęście mieć optymistyczny charakter.

Dziś, w XXI wieku wiemy już, że pod enigmatycznym słowem "charakter"

należy raczej rozumieć naszą "osobistą biochemię".

Natomiast tacy faceci jak ja, są w trakcie odkrywania czegoś jeszcze bardziej rewelacyjnego, a mianowicie tego, iż można ową "osobistą biochemię" zastąpić jej sfabrykowanym substytutem. Wystarczy do tego wziąć jedną pastylkę prozaku dziennie, a w przyszłości zastosować prawdopodobnie inne, jeszcze bardziej skuteczne zabiegi chemiczne.

Mówiłem Ci to już wielokrotnie, gdyśmy dyskutowali o Tomku i o jego depresji, a wreszcie samobójstwie.

Od kiedy biorę prozak znalazłem "konkretny rezultat" wielu, jeśli nie wszystkich moich poczynań. Stąd moja radość z owego ptaszka oraz z adawanie się zachwytnymi gości mojego małego, wirtualnego muzeum.

Twoje pytanie było więc albo za płytkie, bo sugerowało, iż chodzi o forszę, albo za głębokie, bo wymagałoby filozoficznej debaty o sens życia.

Piotr

Poniedziałek, 21 kwietnia 2003 godz. 18:38

Pytanie dotyczyło konkretnie forsy, bo Twój kontemplacyjny stosunek do otaczającej nas nierezeczywistości, jest u Ciebie czymś całkowicie nowym, tak więc byłem przekonany - i do tej pory nie wyprowadzałeś mnie z błędu - że chodzi Ci o galerię sprzedażną. Jeśli nie, to nie musisz mnie przekonywać do takiego postrzegania świata, bo od kiedy tylko na nim jestem, od wtedy moje preferencje (nawet bez prozacu) mają charakter ludyczny i kontemplacyjny. Nie ożeniłem się bogato, ani nie miałem bogatych rodziców, tak więc jestem zmuszony zarabiać na życie, ale nie to stanowi motor napędzający moją psychikę - szczególnie teraz, po śmierci żony i syna, gdy za nikogo prócz siebie już nie odpowiadam.

Zdzisław

22 kwietnia 2003

Już kilkakrotnie zauważyłem w moim życiu, że moje zasady i moja moralność są dość giętkie, gdy chodzi o duże pieniądze. Nie tylko potrafię

sprzedać nawet dobry obraz, ale i popelnić grube świństwo. Natomiast, gdy chodzi o codzienność, to zasad trzymam się dość porządnie i dobrych obrazów nie sprzedaję. Stąd te, Twoim zdaniem horrendalne ceny, jakie umieściłem w pierwszej wersji mojej galerii. Gdyby ktoś był gotów mi zapłacić 30 tysięcy euro za niektóre (bo nie wszystkie przeznaczyłem na ten cel) obrazy, to bym je sprzedał (i prawdopodobnie jeden taki za tydzień sprzedam, bo zgłosił się do mnie ów Holender, który i Ciebie nagabywał i chyba kupi niebiesko-zieloną czaszkę z hełmem.) Ale kurwić się za drobne grosze nie potrafię. Wtedy, gdy chodzi o złe pieniądze, odradza się we mnie kolekcjoner, marzyciel o własnym muzeum, szlachetny miłośnik sztuki i z oburzeniem słucham jakiś tam namów na sprzedaż.

Po prostu jestem, jak każdy z nas, sprzedajną call girl, tyle tylko, że taką, która się ceni. Bo KAŻDY ma swoją cenę, jeśli nie w pieniądzech, to w innych walorach. A najlepszy dowód w tym, że i chrześcijanie gotowi są zabijać masowo ludzi, gdy mają za zapłatę obiecanie odkupienie grzechów i wieczny raj.

Piotr

Wtorek, 22 kwietnia 2003 godz. 13:14

Tu bym się nie zgodził. "Grube świństwo" być może mógłbym wykonać z nieświadomości, głupoty lub ze strachu (nie znam własnej odporności), ale z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że nie ma takiej forsy, za którą gotów byłbym zrobić coś kolidującego z moim poczuciem moralności – bo tylko tak można by postrzegać "grube świństwo". Forsa jest i zawsze była dla mnie ważna, jako zabezpieczenie buforem finansowym siebie i swojej rodziny, a poza tym jako środek umożliwiający osiągnięcie jakiegoś celu. Teraz - gdy z racji wieku - nie ma już sensu stwarzanie sobie jakiegoś celu, forsa ma dla mnie bardzo niewielkie znaczenie: utylitarne i umożliwiająca bezszmerowe funkcjonowanie na bardzo relatywnie średnim poziomie zamożności. Uważam, że zarabiam w sposób wystarczający i nie marzę, by mieć więcej.

Zdzisław

22 kwietnia 2003

Po pierwsze o forsie: wiem, że potrafiłbym popełnić "grube świństwo" za grube pieniądze. Jak grube miałyby być owo świństwo i za jakie pieniądze miałbym je popełnić, nie wiem. Na szczęście życie raz tylko wystawiło mnie na próbę, w której, za niewielkie stosunkowo pieniądze, starałem się już jako adwokat, dwadzieścia lat temu, popełnić oszustwo. Bóg chciał, że nic z tego nie wyszło. Chwała Mu.

Jak by było, gdyby przyszło do większych pokus i do większej stawki, nie wiem, ale raczej jestem sceptyczny, co do moich barier.

A teraz nie o forsie, a o tak zwanych "innych walorach".

Zakładasz hipotezę mocno uproszczoną zapewniając mnie o swej niezłomności w przestrzeganiu zasad moralnych. Rzeczywistość jest bardziej złośliwa i z reguły stawia nas w konflikcie, w którym dwie lub więcej wartości stoją ze sobą w sprzeczności.

Może to być konflikt między dwoma walorami w ramach jednego i tego samego systemu wartości, na przykład moralnych. W razie konfliktu pomiędzy dwoma wartościami moralnymi, każdy dla jakiegoś waloru (na przykład dla ochrony życia najbliższej osoby) gotów jest popełnić "grube świństwo" poświęcając inny walor, który w tym samym systemie uzna za niższy. Przekonany jestem, że moja Święta Matka, która była wcieleniem wzoru chrześcijanki ze wszystkimi tego dobrymi stronami, popełniłaby sto "świństw", gdyby w konflikcie moralnym zgodziła się to z jej walorami w tym systemie najwyższymi i na przykład miało jej zapewnić zbawienie. W końcu Abraham gotów był zabić syna sądząc, że Bóg tak chce.

Poza konfliktem w łonie jednego systemu wartości, istnieją bardzo często konflikty wartości wyjętych z różnych systemów. Na przykład konflikt pomiędzy wartościami prawnymi, a wartościami moralnymi. Tu również każdy gotów by był popełnić "grube świństwo", jeśli walor prawny (na przykład posłuszeństwo w stosunku do dowódcy) nakazuje mu poświęcić walor moralny (na przykład zabić tego, kogo dowódca określił jako wroga). Lub odwrotnie, gdy walor prawny zakazuje kraść, a walor moralny nakazuje pomoc umierającemu z głodu bliźniemu, kradnąc dla niego kromkę chleba.

Żyjemy w świecie handlowym. Nasza moralność jest handlowa. Prawo jest handlowe. Obyczaje są handlowe etc. Wszystko jest określane skalami wartości. Do wszystkich systemów normatywnych są przyłączone etykiety z cenami. Wszystko ma swoją cenę i każdy za jakąś tam cenę popęlni to, co uznane będzie za "grube świństwo".

Oczywiście, że preferencja wartości pieniężnych nad wartościami moralnymi jest godna pogardy. Ale ja się przyznaję, że w razie takiej alternatywy, często wybrałbym forszę, a nie spokojne sumienie.

A poza tym dodam, że prócz głupoty, nieświadomości lub strachu, o których mówisz (a do których ja dodaję to, co powiedziałem wyżej) najłatwiej popęlniłbym najgorsze świństwa z NIENAWIŚCI. To uczucie jest we mnie tak silne, że żadne zasady moralne, przepisy prawne, sumy pieniężne, względy towarzyskie, dobre obyczaje etc. nie powstrzymałyby mnie od najokropniejszych rzeczy, gdybym je robił z nienawiści. Tu tylko strach, że mógłbym trafić na szybszego i mocniejszego ode mnie lub strach, że mogłaby mnie za to spotkać kara powstrzymują mnie od posunięcia się jak najdalej. Dlatego wiem, że gdybym był dyktatorem, to byłbym krwawym dyktatorem i w dniu objęcia przeze mnie władzy, spadłoby kilkaset głów.

Piotr

Wtorek, 22 kwietnia 2003 godz. 15:48

Wyraziłem się nieściśle. Chciałem konkretnie powiedzieć, że "za pieniądze" nigdy nie wykonam czegoś, co stoi w sprzeczności z moim poczuciem moralności. Oczywiście świadom jestem wszelkich uwarunkowań, o których piszesz i bynajmniej nie uważam się za anioła. Nienawiści we mnie nie ma zbyt wiele, ale poza nienawiścią, rzeczywiście istnieje sporo realnych uwarunkowań, o których napisałeś, a które mogą spowodować, że postąpię tak, a nie inaczej. Rozważania na temat relatywizmu moralnego przerabiałem sobie jeszcze przed stu laty i mam świadomość tego, że niezłomne mury mej moralności stoją na niczym, podobnie jak na niczym stoi cały ten świat, w którym żyjemy i który jest tylko naszym wyobrażeniem. Sądzę jednak, że nie tworząc jakiegoś systemu wartości,

zamiast zyskać wolność, tracimy wszystko, bo tylko ten system oddziela nas od rajskiego bagna zwierzęcości, z którego zostaliśmy wygnani, spróbowawszy jabłka z drzewa wiadomości złego i dobrego, które w moim odczuciu symbolizuje świadomość oraz zdolność do refleksji i wyboru. Tylko to mamy, chociaż jak wszystko, czego doznajemy, ten stan posiadania jest tylko wyobrażeniem.

Zdzisław

Wtorek, 22 kwietnia 2003 godz. 16:04

Uściślam jeszcze to, co napisałem. "Za pieniądze" to znaczy za osobistą korzyść materialną. Obawiam się bowiem przykładu w stylu: co byś zrobił, gdyby za pieniądze uzyskane w efekcie dokonania "grubego świństwa" dało się sfinansować realną pomoc dla chorych na AIDS, czy coś w tym stylu. "Za forszę" znaczy "za forszę" OK.?

Zdzisław

23 kwietnia 2003

Piszesz, że problemy moralne przerobiłeś sto lat temu. I mnie się zdaje, że to już sto lat minęło, gdy mnie one zamieszkiwały.

Cale moje dzieciństwo u boku mej ultrakatolickiej Matki było wręcz przepelnione problemami moralnymi. Był to przedmiot mych codziennych rozważań. W moim domu nie mówiło się o prawicy lub o lewicy, o poglądach politycznych i o walce klasowej. Mówiło się za to nieustannie o miłości bliźniego, o prawości charakteru, o wyrabianiu mocnej woli i katolickiej postawy wobec grzechu etc. Potrafiłem, więc chodzić codziennie do spowiedzi, by z moimi problemami moralnymi dzielić się z proboszczem.

Potem przerodziło się to w postawę ideologiczną. Przestałem wierzyć w Boga, za to zacząłem wierzyć w Marksa. Tu znów pojawiły się problemy moralne, tym razem komunistyczne, obowiązki już nie w stosunku do bliźniego, a do człowieka uciskanego przez człowieka, humanitaryzm,

poświęcenie dla sprawy, sprawiedliwość społeczna, rewolucja etc. To też trwało jakiś czas. Nawet dość długo. Przypominam sobie, że jeszcze w początkach zajmowania się Twoją promocją, miałem głowę pełną projektów jakby tu uszczęśliwić ludzkość ofiarowując jej wielkiego malarza. Dawałem każdemu żebrakowi jałmużnę i w pośpiechu biegałem na pochód pierwszomajowy u boku partii komunistycznej i syndykatu CGT.

Dziś to wszystko jest już za mną i wydaje mi się, że minął od tego cały wiek. Żyję sobie pomalutku własnym małym życiem, myślę o sobie, o Ani, o mojej kolekcji i o przyszłych wakacjach. Czasem, gdy się nudzę to dumam przez chwilę, że gdybym miał forszę Billa Gatesa, to bym dał trochę na poprawę dróg w Polsce, bo gdy sam tam jadę samochodem to robię w portki ze strachu, że jakiś chuj na mnie wpadnie.

Ot, i tyle mi zostało z moralnych problemów.

Piotr

Środa, 23 kwietnia 2003 godz. 16:11

W przeciwieństwie do Ciebie byłem wychowany w rodzinie, która nie zaprzętała sobie chyba nadmiernie głowy problemami moralnymi, przyjmując za oczywistość istniejący stereotyp i starając się nadmiernie nie wychylać poza dopuszczalne tym stereotypem normy. Moje więc zainteresowania moralnością były od początku ściśle teoretyczne i "porównawcze". Relatywizm moralny wiódł mnie raczej do młodzięńczych poglądów o braku jakichkolwiek norm moralnych, co jednak nie odzwierciedlało się w praktyce, a raczej chodziło mi o to, czy istnieje jakkolwiek wspólny fundament, dla wszelkich sprzecznych ze sobą norm moralnych, który by połączył faszyzm, chrześcijaństwo, Islam, Thugów dusicieli i nihilistów. Oczywiście nie znalazłem takiego fundamentu i to spowodowało owe młodzięcze nihilistyczne poglądy, tym niemniej o wiele później doszedłem do wniosku, że skoro ten fundament budowano (nie opierając na niczym prócz wiary) we wszelkich kulturach i religiach, to poczucie jego istnienia, stanowi dla istoty ludzkiej konieczność i być może jest warunkiem jej (tej istoty) samookreślenia, a więc i istnienia. Poza nim jest zwierzęca niewinność bez zadawania sobie pytań - jednym słowem

pierwotny raj, do którego jednak nie było mi po drodze. Stworzyłem więc sobie system najbardziej mi odpowiadający i zbliżony do chrześcijaństwa w którym wyrosłem, ale jest to tylko mój osobisty system, któremu usiłuję dochować wierności i żyć z nim w zgodzie. To jakby wyższa konieczność, poza którą jest tylko mrok.

Zdzisław

Piątek, 25 kwietnia 2003 godz. 21:42

Wysłałem dwie zrobione dziś wglądówki, z otwartej wczoraj, wystawy mojej grafiki u Dziopak, o której wspominałem w mailu z 23 marca. Nie bardzo istnieje, najmniejsza nawet, szansa na sprzedanie czegoś, bo te prace, powieszona i oprawione w ogóle nie rzucają się w oczy i są jakieś mdlę. Dziopak oprawiła także trzy moje obrazy, z których dwa są tylko wypożyczone po to, by ożywić wystawę. One też wyglądają mdló. Zapewne sam jestem już mdły. Mam siebie aktualnie dość.

Zdzisław

27 kwietnia 2003

Jak Ci to już chyba pisałem, polecieliśmy w piątek do Malagi na wernisaż Hernandeza. Toteż dopiero teraz odpisuję, bo przed chwilą wróciliśmy z lotniska.

Nie bardzo wiem, czemu uważasz swoją wystawę u Dziopakowej za mdlą. Wprawdzie na Twoim zdjęciu grafik niewiele widać, ale obrazy są piękne i nie masz się czego wstydzić.

Wystawa Hernandeza była przewspaniała, ponad 350 prac (w tym z pięćdziesiąt obrazów). Oczywiście masa ludzi, piękny kadr (pałac episkopalny). Zaraz jak tylko splecę Gordina, to muszę zrobić ogromny wysiłek finansowy (bo ten facet jest naprawdę drogi i to nie są ani Twoje, ani Henricot ceny, tylko piętnaście razy więcej) i kupić od niego obraz, bo bez jego obecności, w mojej kolekcji będzie za poważna luka. Już i tak nigdy nie będzie mnie stać na Nerdruma. To chociaż Hernandeza trzeba mieć.

Jutro napiszę obszerniej.

Piotr

Poniedziałek, 28 kwietnia 2003 godz. 22:51

Twój wczorajszy mail nie doszedł, albo doszedł do kogoś innego, bo np. pomyliłeś adres. Nie wiem, jakie szczegóły miałbym podać odnośnie wystawy u Dziopak. Najpierw miała być na przełomie stycznia i lutego, potem na przełomie lutego i marca, a w końcu po Świętach. Dałem tam 25 prac, one je oprawiły (niektóre się falują), ale chyba nie wszystkie wiszą, a jak mi donosiła znajoma, jakieś 3 grafiki wisiały już przedtem, więc może zostały sprzedane. Ponieważ pod koniec marca Dziopak, prosząc mnie o architekturę (której w końcu nie namalowałem, albo raczej ukryłem i zostawiłem sobie) powiedziała, że proszą o wypożyczenie 3 prac, które miałyby na celu ożywienie ekspozycji. Podpisałem, sfotografowałem i dałem te trzy prace, które już znasz. Za jedną z góry zapłacili, ale nie wiem za którą, bo zapomniałem to uściślić. Bez znaczenia. Dodatkowo wisi tam przy oknie obraz z 98 strony pierwszego albumu BoSz, który zaliczam do swoich najlepszych, ale drugi o wiele słabszy (oba wstawił Rosikoń, bo potrzebował forsy na studia w USA dla syna) poszedł szybko, a ten wisi i wisi. De gustibus... To wszystko, co wiem.

Cześć. Zdzisław

Wtorek, 29 kwietnia 2003 godz. 13:28

Twój mail z 27 bm. doszedł dopiero w tej chwili, a może wysłałeś go po raz drugi. Pamiętam album Hernandeza, ale jest to nazwisko tak popularne w Hiszpanii, że w przeszukiwarce grafiki i zdjęć mam 27.500 pozycji, ale żadna nie dotyczy tego konkretnie Hernandeza, którego zapamiętałem. Napisanie Hernandez+Painter lub Hernandez+Peintre lub Hernandez+Artist, zmniejsza ilość informacji, czasem do 600, ale nadal nie ma tam tego Hernandeza, są natomiast inni Hernandezi płci obojga, którzy też malują, ale tak sobie. Jeśli facet ma swoją stronę, to podaj mi

jej adres, abym sobie to i owo przypomniał.

Coś drgnęło w robotach przy kawalerce i montowano wczoraj pralkę. Kuchnia prawie skończona. Nie mogę się doczekać, kiedy się tam przeniosę, bo dotychczasową sypialnię chcę przekształcić na pokój do gimnastyki, którą mam zaleconą, gdy zrośnie się źebro. Wywaliłem już z domu cały prawie zbiór książek i w tym miejscu wisi materac do ćwiczeń. Zanim pękło mi źebro wykonywałem je pod okiem rehabilitantki z wdziękiem żaby, która postanowiła odtańczyć Jezioro Łabędzie. Podobno to ma mi zapewnić względny spokój z kręgosłupem, który tego roku tak cholernie dał mi się we znaki.

Zdzisław

1 maja 2003

Obejrzelśmy z żoną i teściową zdjęcia mieszkania dla księżnej gospodyni. Proste, użytkowe, schludne. Oczywiście żadnych upiększeń, tak jak i w Twoim "dawnym" mieszkaniu. Gdyby ktoś niewiedzący, kim jesteś zobaczył je, to by pomyślał, że mieszka tu technik budowlany, który o wszystkim pomyślał, co użyteczne, ale niczego dla oka nie przewidział, bo go to nie interesuje.

Porównuję Twoje mieszkanie do mieszkania Starowieyskiego lub Szajny, które są wychuchane, wypieszczone i przepelnione dziełami sztuki, i powtarza mi się wrażenie, jakie odniosłem, gdy po raz pierwszy zjawiłem się u Ciebie w 1983 roku: zaskoczenie jaskinią pustelnika.

Co do materaca to jest imponujący i koszmarnie brzydki. Oczywiście wiem, że ważniejsze jest, by nie bolało w plecach, niż żeby było ładnie na ścianie, a on Ci służy do ćwiczeń na kręgosłup. Ale czy nie można by, choć odrobinę, estetyczniej?

Piotr

Czwartek, 1 maja 2003 godz. 12:10

Jak to miło, że choć czasami mamy na jakiś temat identyczną opinię. Ma-

terac rzeczywiście jest szczytem ohydy, ale kupowała go - na moją prośbę - siła fachowa na międzynarodowych targach wyposażenia sportowego na AWF. Na dodatek jest ciężki, lejący się i cholernie trudny w manipulowaniu. Zamawiając go, wyobrażałem go sobie jako coś podobnego do materaca jogi lub do maty, której używam (używałem) pod kolana, gdy muszę (musiałem) klęknąć na beton. Obecnie leży bezużyteczna. Jest ona lekka jak piórko, uginająca się pod kolanami, ale sztywna jako całość i podobno można ją też dostać w formacie metr na dwa. No ale madame fachowiec po AWF, chyba wie, co mówi, a tylko prychnęła z pogardą na tą moją matę (załączam foto).

Co do mieszkania i mojego i dodatkowego, to każdy lubi to, co lubi. Ja wręcz NIENAWIDZĘ wszelkich dodatków, niepotrzebnych z punktu widzenia funkcji podstawowej. Nawet moje własne obrazy bym być może wywalił, gdyby nie to, że od czasu do czasu muszę je demonstrować i wygodniej jest, gdy wiszą na ścianie. Gdy dostaję w prezencie kwiaty, to nie mam nawet wazonu i zaraz po wizycie osoby, która je przyniosła, wywalam je do zsypu. Najchętniej upodobniłbym wnętrze mieszkania do łodzi podwodnej lub kabiny kosmicznej. Wszystko, co potrzebne w zasięgu ręki, ale nic do ozdoby. Ale nie ma się co martwić. Gdy nastanie era księżnej gospodyni, to ona już zadba o to, by spaskudzić do reszty wszystko tzw. kobiecą ręką (przepraszam Twoją Żonę i Teściową za tą dawkę seksizmu). Powiesi firanki i zasłony, rozścieli dywan, postawi wazony i donice z kwiatami oraz jakiś filodendron, porozkłada rozmaite serwetki, a także bibeloty typu: pluszowe zwierzaczki, drewniane świątki, porcelanowe tancerki, wszystko na miarę złego gustu, który zapewne będzie reprezentowała. Na jednej ścianie zawisnie reprodukcja słoneczników van Gogha, a na drugiej oleodruk z Chrystusem w Ogrójcu. Ponadto na szafce przy tapczanie fotografie za szkłem: nieboszczyka męża, dzieci i ewentualnie wnuków oraz zdjęcie ślubne. Mój Boże: na razie zamieszkać tam sam, a potem - jak mniemam - wieszak na nową formę jest przygotowany i to mieszkanie jest takim właśnie wieszakiem. Można je zagospodarować zgodnie z gustem jego użytkownika.

Zdzisław

Piątek, 2 maja 2003 godz. 21:13

Przyjechali wczoraj Ci ludzie z Częstochowy po obrazy. Pierwotnym moim projektem było, że zabiorą część mojej kolekcji różnych twórców, plus pięć Twoich obrazów. Chciałem im powierzyć Henricot, Russeva, Stasysa, Szajnę, Starowieyskiego, Szalka, Walczaka, Cześnika i kilku innych plus fotografie Gordina i Bawariego.

Przetransportowałem tych innych twórców do składu, tylko Twoich obrazów nie ruszałem, bo nie wiedziałem, które sobie wybiorą na podstawie ektachromów.

Otóż, gdy im przedstawiłem wczoraj wieczorem osiemdziesiąt Twoich ektachromów do wyboru owych 5 Twoich prac, to zmienili zdanie i teraz chcą tylko 25 Twoich obrazów i niczego więcej. Na takie rozwiązanie nie mogę się zgodzić z wielu przyczyn. Pierwszą jest strach. Bo jeśli coś stałoby się 5 Twoim obrazom, to moja kolekcja Twoich obrazów nie upadnie. Jeśli by się jednak stało coś 25 Twoim obrazom, to kolekcja Beksińskiego w posiadaniu Dmochowskiego już nigdy by się nie podźwignęła.

Poza tym nie mają właściwego samochodu do przewozu, bo tylko Volkswagena trochę większego niż Renault Espace.

Tak więc, stanęło na tym, że dam im 12 Twoich obrazów i szereg Twoich rysunków. Innych twórców nie będą brali w ogóle. Tak więc, nadal nie będę się mógł pochwalić przed publicznością moją ogólną kolekcją (w której są wielcy artyści), a tylko będzie to "szczególna kolekcja" Beksińskiego. Jednym słowem jeszcze jedna wystawa Beksińskiego.

A poza tym, po co ja robiłem tą całą robotę w przetransportowaniu, ogromnych czasem, płócien innych twórców do składu, gdzie mieli spośród nich wybierać i skąd mieli je wywieźć? To była wielka praca, jak na moje 61 lat, a robiłem ją sam jeden, nawet bez pomocy Ani.

Teraz, z jej pomocą, będę musiał wydobyć 12 Twoich obrazów z masy 150 innych, które są skrzętnie poukładane i bardzo trudne w dostępie. Na to, by wydobyć te 12 Twoich obrazów, będę musiał przemieścić własnoręcznie około stu pięćdziesięciu innych, z których każdy waży co najmniej dziesięć kilo (z ramą i z płytą pilśniową). Potem to wszystko trzeba będzie znów odłożyć na swoje miejsce i poukładać. I to wszystko na to, by lokalna częstochowska gazeta napisała, "jaki ten pan Dmochowski szczodry".

A Ty, który nigdy nie widzisz celu żadnej ludzkiej czynności bez "konkretnych" rezultatów myślisz sobie, "Co on na tym zarobi?"

No, to jadę na ten skład i zaczynam robotę.

Piotr

Piątek, 2 maja 2003 godz. 21:29

Byłbyś zapewne chory, gdybyś przy okazji nie usiłował dokopać mi zdaniem. "A Ty, który nigdy nie widzisz celu żadnej ludzkiej czynności bez "konkretnych" rezultatów myślisz sobie, "Co on na tym zarobi?", które to zdanie jest kwestią wypowiedzianą przez aktora, grającego w Twym wirtualnym teatrze wyobraźni rolę "chciwego i wyrachowanego Beksińskiego". Jeśli Ci to sprawia przyjemność, to baw się tak dalej.

Na temat Częstochowy nie wypowiadam się już w ogóle (nie potwierdzam nie zaprzeczam), bo cokolwiek bym powiedział, zostanie obrócone przeciw mnie, połączone (tak jak te "konkrety") z jakąś moją opinią wyrażoną, w całkiem innej sprawie, i na dodatek niewłaściwie zrozumianą i w takiej formie wsadzone w moje usta, jako przykład mej małostkowości. Zdzisław

3 maja 2003

Z tym, "co on na tym zarobi", to było tak:

Często mi się zdarza, że piszę różne horrory pod Twoim adresem, gdy przypominają mi się dawne czasy i gorycz, jaka po nich się nagromadziła. Tym razem było to dlatego, że pokazując reprodukcję "damy z piersiami" musiałem komuś wyjaśnić, że sprzedałem ten piękny obraz "bo Beksiński zagroził mi, że jeśli mu nie zapłacę w terminie, to zerwie ze mną kontrakt" (czemu zaprzeczyć nie możesz, bo napisałeś to expressis verbis w jednym z Twoich listów).

Jednak na ogół po takich spontanicznych wybuchach przychodzi refleksja i zaczyna działać auto cenzura. Toteż i to zdanie miało być wymazane. Natomiast napisawszy ten list i nie mając czasu ani go przeczytać,

ani nawet poprawić błędów ortograficznych czy maszynowych, gdy tekst znajdował się jeszcze na ekranie, musiałem szybko napisać coś innego, z zakresu mojej korespondencji zawodowej. Zapomniałem, że mogę się posłużyć brulionem. Zamiast zarejestrować list w brulionie i potem do niego wrócić, by mieć wolny ekran, natychmiast go wysłałem. Czego dziś żałuję.

Co do Częstochowy to Ci faceci rzeczywiście przyjechali. Wyciągnięcie wszystkich prac, by im je pokazać było TYTANICZNĄ pracą, którą wykonałem, z Ani pomocą, mimo moich 61 lat.

Po czym jeden z nich, po obejrzeniu Twoich rysunków stwierdził peremptryjnym tonem, "tego nie weźmiemy, Beksiński jest malarzem, rysownikiem to on nie jest". Tak mnie to zeźliło, że mu nawtykałem, przypominając mu Jarecką i jej stwierdzenie, że każdy może być malarzem, czego dowodem jest Beksiński. Zrobiła się okropna atmosfera i facet stulił mordę, ale wiem, że od tego czasu będę miał wroga na całe życie. Gdyby obrazy nie były już spakowane i nie znajdowały się u nich w hotelu, w ich władaniu, to chyba bym zerwał wszelkie rozmowy na ich temat i zrezygnował z całego projektu.

W sumie całej mojej kolekcji, którą przytransportowałem z ogromnym trudem, by z niej powybiali, co chcą, nawet nie obejrzeni. Po sukcesie, jaki odnieśli w związku z Twoją ostatnią wystawą ze zbiorów sanockich (miewali po 1000 osób dziennie), chcieli tylko Ciebie i najpierw poprosili o 26 obrazów, które sobie powybiali na podstawie slajdów, po czym, gdy się sprzeciwiłem, zadowolili się dwunastoma. Na tych dwanaście, osiem pochodziło z pierwszej paryskiej wystawy, bo są to hity, które publiczność preferuje. A im wyraźnie chodziło o jak najliczniejszą publiczność, prawdopodobnie by wykazać się prężnością przed władzami miasta i dostać większy budżet na dalsze lata.

Pokazali mi video z ich pomieszczeniami, które są zupełnie zadawalające i z pomieszczeniem, w którym owych 12 Twoich obrazów będzie wystawione. Nie mam na razie zastrzeżeń na ten temat. Wydaje mi się poprawne.

Czyli znów wystawa Beksińskiego, a nie mojej kolekcji.

Coś tam wprawdzie przebąkiwali, że za rok przyjadą prawdziwą ciężarówką, a nie małym Volkswagenem (do którego owe 12 obrazów weszło

prawie co do milimetra i o jeden więcej, a samochód pękłby w szwach) i że wezmą całą moją kolekcję. Ale już nie mam do tego takiego serca jak przed tym incydentem, bo wiem, że jeden z dwóch decydentów tej galerii jest durniem. A w ręce durnia nie bardzo chce mi się powierzać moje najcenniejsze przedmioty sztuki nawet, jeśli mają być dobrze wystawione.

Piotr

3 maja 2003

1) Z Twojego punktu widzenia (w który, mimo iż został mi od początku zdefiniowany przez Ciebie samego i spisany w umowie, dopiero grubo po fakcie uwierzyłem) chodziło o zarabianie pieniędzy, a więc o sprzedawanie WSZYSTKICH Twoich obrazów.

Z mojego punktu widzenia (którego, przyznaję, wcale od razu nie wyjawiłem, bo sądziłem, że nikt by mi w "szlachetne" intencje nie uwierzył, a raczej by mnie wyśmiał za naiwność lub w najlepszym wypadku oskarżył o hipokryzję) chodziło o coś zupełnie innego (mimo iż ja również twierdziłem, iż chodzi o zarabianie pieniędzy i takową umowę podpisałem): chodziło o sprzedawanie obrazów, których nie lubiłem, za jak najwyższe ceny, by kiedyś za zdobyte w ten sposób pieniądze zrealizować "jakiś" (wówczas jeszcze niezdefiniowany, tak jak to jest dzisiaj, ale już odczuwany) "wielki projekt".

Od stu lat wiem już, że zaszło nieporozumienie. Niemniej żal pozostał i sprzedanie damy z piersiami przeżyłem jako osobistą tragedię, o którą Ciebie winiłem i winię.

Już to chyba pisałem, więc może się powtarzam: musiałem sprzedać siedem Twoich najlepszych obrazów (z tego jeden odkupiłem, gdy tylko mogłem). Każda z tych sprzedaży była bolesnym rozstaniem się pod presją z ukochanym przedmiotem albo dla życiowej potrzeby pieniędzy, bo się topiłem, albo dla ogromnych pieniędzy, które zapłacili Japończycy za morze ze słońcem (tu, przyznaję, nie odczułem żadnej tragedii, gdy dostałem 100 tysięcy dolarów do ręki za jeden obraz), albo wreszcie dla świadomości, że jestem już stary cap i że "wielkiego projektu" (to znaczy, teraz już wiem, prywatnego muzeum) nigdy nie zrealizuję, i że już

i tak jest za późno na kurczowe trzymanie najlepszych obrazów w kolekcji (taka była motywacja sprzedaży dwóch znakomitych obrazów, wanny i cyklisty, Faleńczykowi). Wiesz to wszystko na pamięć, bo ten temat przerabialiśmy już stukrotnie.

2) Dobiegając sędziwego wieku zaczynam robić bilanse.

Przypominam sobie, gdy będąc jeszcze dzieckiem zapytałem mego Ojca, czy był w życiu szczęśliwy i czy powtórzyłby je, gdyby to było w jego mocy. Dziś mnie samemu takie pytania się nasuwają. Oczywiście, co to znaczy przeżyć "tak samo"? Czy z takimi samymi możliwościami, jakie mi były dane? Czy też z możliwościami, jakie bym sobie wymarzył?

Jeśli jednak miałbym dysponować tym samym mózgiem i tym samym ciałem, to z pewnością chciałbym przeżyć inaczej całe dzieciństwo i całą młodość do 24 roku życia. Prócz wspaniałych i zupełnie niepowtarzalnych Rodziców nie zaznałem w młodości NICZEGO, co by mnie w jakikolwiek sposób napawało tęsknotą. Wręcz odwrotnie. Te 24 lata były radykalnie stracone (prócz rozdziału rodzicielskiego).

To, co zdarzyło się potem, przeżyłbym jeszcze raz z dużą przyjemnością. Jedynym wielkim cierpieniem, jakie przeżywałem przez me wszystkie dorosłe lata, był nienasycony apetyt kobiet, którego z powodu braku wielkiej urody, nie mogłem nigdy zaspokoić na miarę potrzeb. To mi dokuczalo okropnie i do dziś ten rozdział życia wspominam z niechęcią. Tym bardziej, że w sumie na prawdopodobnie 200 kobiet, z którymi poszedłem do łóżka, może dziesięć razy byłem naprawdę zadowolony.

Co do reszty, to właściwie osiągnąłem to, co przy moich zdolnościach i moim ciele mogłem osiągnąć. Jestem profesorem, adwokatem, mam piękną kolekcję sztuki, wspaniałą żonę, w której jestem zakochany jak za narzeczeńskich czasów i z którą żyję wręcz sielankowe życie (od czasu, gdy przestałem ganiać za spódniczkami), zarabiam dobrze, napisałem kilka książek, których się nie wstydzę, mam piękne, (choć za małe) mieszkanie w wielkim parku, w którym czuję się jak u Pana Boga za piecem, jestem zdrowy (prócz bezsenności i problemów ze służówką w nosie), nie mam żadnych stresów ani w pracy, ani w domu, żadnych wrogów, którzy by mi zatruwali życie, żadnego przełożonego, którego musiałbym się bać, ani kolegów w pracy, których musiałbym znosić. Jestem nawet trochę sławny w pewnych środowiskach. Nie mam dzieci, o które musiałbym się

martwić lub gryźć sobie palce z rozpacz, że je splodziłem. Tak znakomitej sytuacji mogłoby mi pozazdrościć 99 procent ludzi.

Kiedyś czytałem i dziś przypomina mi się jak pewien Japończyk popełniając samobójstwo w liście pożegnalnym napisał: osiągnąłem wszystko, co mogłem osiągnąć. Nie mam żadnych problemów. A więc, po co żyć? Może mnie spotkać tylko gorsze.

Mnie konkretnie może spotkać tylko choroba albo śmierć Ani. Niczego lepszego nie oczekuję i prócz niezrealizowanego marzenia o własnym muzeum Twoich obrazów, niczego nie pragnę. A więc, wypadaloby się powiesić... Co?

Piotr

Sobota, 3 maja 2003 godz. 18:28

Pewien Chińczyk powiedział natomiast, że gdy się umiera, obojętnym się staje czy życie, przez które się przeszło, było szczęśliwe czy koszmarnie. Idolem mej młodości był Martin Eden (może dlatego, że uważałem się za self made mana), ale nie umiałem kupić idei samobójstwa. Po pierwsze zapewne dlatego, że jestem na to zbyt tchórzliwy, po drugie nigdy nie umiałem w żadnej sprawie podjąć ostatecznej decyzji, bo zawsze pojawiała się jakaś ambiwalencja i jakaś dychotomia "i chciałabym i boję się" - mam naturę kunktatorską, o czym już zresztą wiesz, a taka natura, najbardziej ze wszystkiego, lęka się stanąć przed wyborem. Nic dla mnie nigdy nie było Prawdą Ostateczną przez wielkie P i wielkie O. Raczej wokół była zupa i w tej zupie było wszystko wymieszane ze sobą i diamenty i gówno i jeszcze "niewiadomoco". Poza tym zawsze chciałem tak jak w znanym przysłowiu: mieć ciastko i zjeść ciastko.

Zadajesz mi pytanie i jak mniemam oczekujesz poważnej odpowiedzi. Jest ona niestety banalna i brzmi tak, że żyje się nie tylko dla siebie. Straciłem wszystkich i moje życie jest całkowicie puste. Chyba nie chcesz, by życie Twej Żony stało się takie, jak moje.

Zdzisław

Sobota, 3 maja 2003 godz. 18:42

Z weselszych spraw, to odkryłem teraz (znałem to, ale jakoś nie stosowałem) użyteczność komputera i zalety symulacji komputerowej w procesie kreowania zwykłego obrazu. Około godziny 17 zrobiłem fotografię malowanego aktualnie obrazu z reminiscencją krzyża, którego ramię poziome wydawało mi się kompozycyjnie przytłaczać całą kompozycję, ale sporo już nad nim pracowałem i lękałem się zamalować, bo gdyby okazało się, że to wcale nie poprawi, a pogorszy, to już nie byłoby odwrotu. Strzeliłem szybką fotkę aparatem cyfrowym, wprowadziłem do komputera i pobieżnie "zamalowałem" w komputerze. Ocenivszy na monitorze, że to będzie zabieg korzystny, zamalowałem także na obrazie. Jutro oczywiście muszę to jeszcze poprawić, bo za pierwszym podejściem nigdy nie da się zamalować ostatecznie.

Zdzisław

Niedziela, 4 maja 2003 godz. 10:59

W sumie z tego konkretnie obrazu zrobiłem tylko jedną fotkę dla celów symulacji i to w stanie dość sporego zaawansowania pracy. Póki praca nie będzie skończona, nie chcę jej pokazywać nikomu in statu nascendi, ale gdy skończę, to chętnie wyślę Ci fotografię, o której pisałem.

Tutaj pogoda też jest fajna, ale na skutek zaniechania (na czas zrośnięcia się żebra) zarówno masaży jak i gimnastyki, zaczynam powoli czuć ponownie dolegliwości od kręgosłupa. O ile wszystko oczywiście nie jest efektem pogody: zarówno poprawa, którą przypisywałem masażom jak i pogorszenie, które można zwalić na ich brak, podobnie jak na pogodę, ale też i na wysiłek.

Przed kilkoma dniami - gdy z zapasu farb musiałem wydobyć umbrę paloną - wysunąłem zbyt silnie ciężką szufladę z farbami w pudełkach i aby nie runęła na podłogę, musiałem ją przytrzymać i potem wsunąć na miejsce. Być może, że to właśnie stało się przyczyną nawrotu bólów.

Zdzisław

4 maja 2003

Nadal przeżywam wściekłość na tego bubka z Częstochowy. (Nazywa się Głowacki). Zaczął od tego, że w już samochodzie, w rozmowie o Tobie stwierdził, że powinienś tylko malować pejzaże, a nie postacie ani twarze. Wzruszyłem ramionami.

Potem zadeklarował, że uwielbia w Twoich obrazach to "że są takie dopracowane. Tyle tam szczegółów". "Oj - pomyślałem - nie najlepiej to wróży". Gdy pakowałem wybrane przez nich na podstawie slajdów obrazy (bo to ja wykonałem prawie wszystkie zabiegi, począwszy od wyjęcia obrazów z masy, która znajduje się w magazynie, a wymagało to przedstawienia o dziesięć metrów ponad dwustu obrazów, które były ustawione w szeregach i spiętrzone, do pakowania włącznie) facet spojrzął na "nogi na krześle" i zapytał swego dyrektora "Tego nie bierzemy, co?" Na co ostro zareagowałem mówiąc, że to, co wybrali, to zabiorą. A pomyślałem sobie "Jest coraz gorzej."

Po czym wchodząc do mego domu i patrząc w hallu, w którym znajduje się kilka obrazów Henricot, na piękny obraz przedstawiający jakieś przedpotopowe ptaszysko czy nietoperza stwierdził: "A to, to jak komiks". Tu już zgryztnąłem zębami. Przypomniało mi to podobną (choć nieco dyplomatyczniej wyrażoną) opinię Dzikowskiej o tym obrazie.

Następnie dureń wszedł do mego pokoju gdzie wiszą moje "zwierzęta domowe". Popatrzał, popatrzał i pokazując najmniej ciekawy, ale i najmniej agresywny Twój obraz góry z trzema małymi krzyżami powiedział: "To jest najpiękniejszy obraz, jaki Beksiński namalował". Zła seria trwała.

Wreszcie bukiet: przygotowałem im starannie wszystkie Twoje duże i małe rysunki. Patrzy, patrzy i nic nie mówi. Po czym idiota wypowiada sentencjonalnie "Rysownikiem to on nie jest. On jest malarz". Tu odwróciłem się jak ukłuty szpilką, bo akurat coś im tam przygotowywałem na stole i powiedziałem dusząc się ze wściekłości "Pan mnie przeraża!!"

I wyszedłem do mego pokoju.

Myszę sobie: "Wrzasnę, muszę wrzasnąć, nie mogę się powstrzymać. Ale będę miał wroga na całe życie. On ma już w posiadaniu 12 moich najlepszych obrazów (obrazy były już u nich w hotelu). Może im coś zrobić."

I jak zwykle nie potrafiłem się oprzeć wściekłości mimo ewidentnego niebezpieczeństwa. Wróciłem więc do hallu gdzie siedzieli i wygarnąłem mu porównując absurdalność jego opinii do Jareckiej, która twierdziła, że "Każdy potrafi malować, czego dowodem jest Beksiński". Dyrektor coś tam pisał. Facet zaś stulił mordę, ale patrzył na mnie spođe lba i z pewnością przysięgał mi zemstę.

W sumie nie wzięli rysunków. Co moja żona słusznie skomentowała: "Musisz tego człowieczka zrozumieć. W małym, pruderyjnym miasteczku, obok Jasnej Góry i Paulinów, rysunek faceta wciskającego palec w cipę facetki lub torturowanej postaci z niekończącym się chujem, czy wreszcie związanego dziecka patrzącego w cipę swej matki, która go smaga szpicrutą musiało go zaszokować. To jest małe miasteczko. To jest prowincjonalny esteta." Oczywiście rozumiałem. Ale po niewczasie. Bo klnę się, że jeśli by mi wywalil ten numer przed przekazaniem im obrazów w ręce, to bym mu dał kopa w dupę i wypędził z pustymi rękami do Częstochowy.

Piotr

Niedziela, 4 maja 2003 godz. 14:04

No cóż. Nie dam ja rady napisać tak obszernego tekstu jak Ty, bo przy mojej dysleksji poprawiałbym go do wieczora, a tymczasem muszę malować, bo jest dobre światło. Najogólniej rzecz w tym, iż potrafimy porozumieć się tylko na tym obszarze rzeczywistości, na którym panują niedwuznaczne kryteria. Stół jest stołem, a dupa dupą. Tu nie ma nikt wątpliwości i choćby dupa była płaska jak stół, nie zostanie nazwana stołem. Nikt nie zgłosi votum separandum. Tam, gdzie mamy do czynienia z magmą imponderabiliów, nie ma szansy na porozumienie inne, jak tylko częściowe i to tylko między osobnikami reprezentującymi ten sam typ wrażliwości. Tymczasem wszyscy przypisują swojemu typowi wrażliwości cechę uniwersalizmu. Jedni mniej, inni bardziej, jedni mądrzej, inni głupiej, ale podziały zaczynają się kształtować już w kolysce, potem umacniają w efekcie edukacji szkolnej, wreszcie petryfikują w trakcie uprawiania zawodu w miarę odnoszonych sukcesów zawodowych i uznania środowiska. Stykając się z czymś, na co brak rezonansu we własnej wrażliwości, poszu-

kuje się gorączkowo jakichś wyuczonych określeń, którymi trzeba wypełnić kłopotliwe milczenie, by nie wyjść na idiotę. Stąd biorą się określenia "Taak, to bardzo narratywne". To w końcu klasyczny tekst podręcznikowy, który miał zastąpić brak rezonansu i wyrazić rezerwę i kulturalne zgorzzenie. Raz przy kolaudacji filmu "Kalejdoskop" w Ministerstwie Kultury i Sztuki, wszyscy po projekcji zamilkli, bo nie bardzo wiedzieli, co mają rzec, by się broń Boże nie wygłupić, w końcu najśmielszy z członków komisji, zasłonił się stwierdzeniem, wygłoszonym zresztą z życzliwością dla mnie: "mamy do czynienia ze sztuką obsesyjną". Osobiście najchętniej słuchałbym opinii typu "o kurwa, jakie to fajne", ale takie, czy inne opinie zawsze są tylko porykiwaniem krów. "Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzodzi". Nie sądzę, by prowincjonalność Częstochowy miała tu większe znaczenie (choć oczywiście urzędnicy mają swoich zwierzchników i lękają się podejmowania odpowiedzialności). Sanok to nieporównywalnie głębsza prowincja niż Częstochowa, ale robię tam obecnie za Świętego Zdzisława i gdybym wystawił nie wiem co, to i tak zwróconoby się do mnie o namalowanie obrazu ołtarzowego, co nie znaczy, że w tym aplauzie byłoby więcej sensu, niż w rezerwie urzędnika z Częstochowy. Przy sztalugach umieściłem tekst: "Nie oszukuj się! Nikt nic nie widzi!" Jednym słowem: chory ma urojenia, wydaje mu się, że jest malarzem. Król nie jest nagi. Król istnieje o tyle, o ile go sobie wymyślimy i uwierzymy w jego istnienie.

Zdzisław

4 maja 2003

Ponieważ masz dziś dobre światło i masz ochotę malować, nie żądam żadnej odpowiedzi.

Twój relatywizm (de gustibus...) i Twój solipsyzm (wszystko jest naszym wyobrażeniem...) są postawami filozofa, który siedzi sobie w dziupli i nudząc się bawi się w sofizmaty. Dla człowieka, który działa w materialnej rzeczywistości, takie igraszki intelektualne są niebezpieczne. Działając trzeba ludzi osądzać za ich wybory i preferencje i trzeba brać pod uwagę realia nagiego króla, który wcale nie jest niczym wymysłem, lecz postacią

z krwi i kości. Postępując inaczej, można sobie boleśnie rozkwasić nos. Gdybym się zorientował, że ten facet ma zupełnie inne preferencje niż moje (mimo deklarowanych zachwytów nad Beksińskim), to pozostawiając mu jego wucetowy gust (bo ja również wiem, wyobraź sobie, że w sztuce nie ma wielu obiektywnych prawd), bym się po prostu z Częstochową nie związał. A teraz ryzykuję, że ten facet natworzy mi problemów, ponieważ nie o to samo mu chodzi w tej sztuce, co mi, a ma 12 moich najlepszych obrazów. A druga kwestia to to, że ja rozumiem doskonale cudze gusta i nie dopierdałabym się do nich nawet, jeśli są, jak mówię, wucetowe, gdyby nie wściekłość, jaka mnie ogarnia, gdy człowiek zaproszony przeze mnie do Francji i do mego domu, peremptoryjnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, wyraża się z pogardą o tym, o czym wie z okoliczności, które nawet dziecko potrafiłoby rozszyfrować, że jest dla mnie cenne i kochane. Tak właśnie zachowała się owa Nguen Grympans i ten chujek z Częstochowy.

Tu nie chodzi o żadną filozofię, relatywizm i solipsyzm. To są twarde jak kamień realia.

Byliśmy wczoraj na spektaklu, który zachwycił mnie do najwyższych granic. Był to balet, tańczony przez japońską trupę Sankai Juku. Tak jak filmy Grandrieux "Sombre" i "Vie nouvelle", tak jak niektóre piosenki Vysotskiego, tak jak Twoje malarstwo, czy jak niektóre fotografie Gordina jest to szczyt artystycznego osiągnięcia. Niczego bardziej zachwycającego nie widziałem i nie słyszałem przez te moje 61 lat. Pure beauté.

Piotr

Niedziela, 4 maja 2003, godz. 22:04

Nie dyskutuję z tym, czy facet zachował się nieuprzejmie, bo to jest oczywiste. Mam po prostu podstawowe wątpliwości w zakresie wartościowania i to także jeśli idzie o to, co sam robię. W sztuce zewnętrznej pewne rzeczy mi się podobają, inne nie podobają, pewnych wręcz nie cierpię, ale wiem, że inni się nimi zachwycają. Czy mam w takim razie dojść do wniosku, że to ja jestem posiadaczem Racji? To dopiero byłaby skrajna forma solipsyzmu. Czy mam wszystkich obcych uznać za ślepych idio-

tów? Mam czasami na to ochotę, ale potem przychodzi refleksja, że to absurd. Jedynym możliwym do przyjęcia wytłumaczeniem tego fenomenu, wydaje mi się mnogość wirtualnych światów, jakie sobie wokół siebie tworzymy i niemożność przyjęcia uniwersalnych kryteriów oceny. Idealnego krytyka postrzegalbym nie jako kogoś, kto ocenia, szereguje rosnąco lub malejąco, lecz kogoś o bardzo szerokim spektrum wrażliwości, kto jest w stanie zbliżyć się emocjonalnie do wielu rozmaitych wirtualnych światów i je opisać. To oczywiście utopia.

Zdzisław

Niedziela, 4 maja 2003, godz. 22:37

Nie bardzo wierzę w teorie indywidualnych, wirtualnych światów. Za to w stu procentach godzę się z Twoją definicją idealnego krytyka. Dokładnie o to chodzi. I nikt mnie bardziej nie wkurwia jak ktoś, kto gradacyjnie szereguje artystów "Ten jest od Beksińskiego lepszy. Tamten jest od niego gorszy". I nikt mi tak nie imponuje jak ktoś zdolny ODCZUĆ i WYRAZIĆ różne, czasem bardzo odległe "światy" estetyczne.

A propos: mam w tym tygodniu spotkać się na temat tekstu o Tobie z pewnym francuskim krytykiem sztuki, który zdaje się mieć bardziej otwartą głowę niż inni. Facet ma piękne pióro i może z tego wyjść coś ciekawego.

Dobranoc.

Piotr

Poniedziałek, 5 maja 2003, godz. 11:40

Chodzi też o to, że wykształcony ogół, a wśród nich być może także pani Dzikowska, nie widzi kompletnie waloru ściśle malarskiego z pominięciem wizji, tematu etc. Np. taki Nerdrum. Z tego, co widziałem w albumie, nie ma w tej chwili chyba na całej kuli ziemskiej kogoś o tak mistrzowskim władaniu pędzlem. Pomijam pomysły, atmosferę i wszystko inne. Patrzą jak położona jest farba, jak zestawiony kolor i aż się skrę-

cam z zazdrości, jeśli idzie o to, co facet potrafi. Tymczasem ostatnio rozmawiał z kimś, kto ma pretensje do bycia znawcą sztuki i kto zestawiał jego obrazy z obrazami Dwurnika, kompletnie nie widząc (pytałem !!!) na czym polega jakościowa przepaść warsztatowa. Gdy mówię, że Picasso malował jak kura pazurem i BARDZO wiele mu zawdzięczam, nawet klękam przed nim na oba kolana, ale malować to on nie potrafił i już. W żadnym ze swoich okresów. Nie sposób tego powiedzieć, bo poczytają to za zazdrość. Przychodzi ktoś i widzi, że maluję postać leżącą. Przecież już to robiłeś. Dla niego istnieje tylko informacja, jaką niesie obraz. Postać leżąca już była. Teraz powinna być albo postać stojąca, albo las, albo architektura aby się nie powtarzać. Nie mam czasami zdrowia dla ślepych, ale jestem w stosunku do nich nieporównywalnie łagodniejszy niż Ty. Skoro nie widzi i na dodatek nie zdaje sobie z tego sprawy, to nie jego wina. Teściowa czytała non stop "Trędowatą" i "Nad Niemnem". Dwa największe pomniki literatury. Jaką miarką mam zmierzyć jej wzruszenie przy lekturze tych książek i porównywać je z moim, które odczuwam przy całkiem innej literaturze. A więc jakie mam prawo, by rzucać kamieniem? Mnie porusza do łez finał ósmej Mahlera, a panienkę, która ostatnio prosiła mnie o wybór i skopiowanie "Chopin Greatest Hits", tak samo porusza Eminem. Gdzie tu jest wspólna miara? Nawiasem: znajoma pani krytyk muzyczny, powiedziała mi, że w trakcie prowadzonego przez nią quizu w Krakowie, jakaś dama miała wymienić najwybitniejszych kompozytorów polskich i wymieniła dwóch: Szogun i Penderewski.

Cześć Zdzisław

5 maja 2003

Nie wiem wprawdzie, kto jest Szogun ani Eminem, ale jeśli kogoś potrafili wzruszyć do najgłębszych warstw wrażliwości to i tak już dobrze. Jeśli kogoś wzrusza liść spadający z drzewa, to już jest mi bliski.

Oczywiście nigdy nie ośmielę się wychylić publicznie i nie powiem tego głośno, ale fascynuje mnie Hitler. Bo, z wyjątkiem jego chorobliwego, psychopatycznego antysemityzmu, którego nie rozumiem i oczywiście nie

podzielał, nie tylko potrafił ruszyć z mielizny osiadły niemiecki statek pancerny i zrobić z niego nieporównywalną potęgę, która prawie zawojowała całą Europę, ale ponadto potrafił obłądnie nienawidzić jakiejś estetyki ("zdegenerowanej") albo wejść na wystawę i kupić trzysta obrazów, będąc nimi wyraźnie głęboko wzruszonym. Nie znam innych mężów stanu, którzy chodziliby na wystawy malarstwa, a jeszcze mniej nienawidzili lub kochali sztukę. Nie mogę więc obojętnie przejść obok Hitlera, nawet jeśli jego własne malowidła i jego gust były banalne (widziałem na własne oczy szereg jego obrazków).

To, co cenię najwyżej u moich rozmówców o sztuce, to zdolność do wzruszenia estetycznego, w tą lub w tamtą stronę. Dopiero potem stawiam warunek, by to wzruszenie było powodowane takimi samymi bodźcami jak te, które na mnie działają.

To, co zarzucam wszystkim tym Jareckim, Ngyen Grympans, czy temu ch. z Częstochowy to to, że nie czują niczego, a posługują się sloganami wyuczonymi na pamięć z książek (których czasem przeczytali bardzo wiele i są obkuci na cztery nogi).

A na dodatek ich pozycja decydentów nauczyła ich arogancji i pogardy dla artystów, z którymi obchodzą się jak z workami kartofli.

Piotr

Wtorek, 6 maja 2003, godz. 09:51

Eminem to aktualny idol muzyki pop. Co do Szoguna i Penderewskiego to chodziło o Szopena i Pendereckiego, którego ta baba ukręciła z Paderewskiego i Pendereckiego. Z perspektywy Francji jest to mało czytelne. "Shogun" to był przed wielu laty taki serial z Richardem Chamberlainem. Szedł u nas za czasów komuny i mocno zapadł w wyobraźnię ludu, jako iż niewiele wtedy mieliśmy zachodnich seriali.

No cóż: moje zdanie o krytykach jest akurat takie samo jak Twoje, ale mam jakby inne podejście, uwarunkowane chyba moją psychiką. Pociągają mnie ludzie, którzy nie cierpią tego, co robię. Gdybym był grubo młodszy, a pani Jarecka należałaby do pańienek choć trochę atrakcyjnych (może to jest gruba, stara, nisko skanalizowana baba z dupskiem jak komoda

i przyszczem na nosie - nie znam jej), to natychmiast bym się nią zainteresował i usiłował przekonać do tego, jaki to ja jestem fajny. Mam podejście chrześcijańskie: większa jest w Niebie radość z jednego nawróconego niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. To, co u Ciebie wytwarza agresję i nienawiść, u mnie wytwarza pociąg. Nic na to nie poradzę. Wracam dziś do masażu i gimnastyki. Zobaczymy, czy znowu coś mi pęknie. Na razie będę ostrożny. Cześć
Beksiński

Wtorek, 6 maja 2003, godz. 23:04

W oczekiwaniu na ektachromy Henricot wystawiłem ukraińskiego grafika Podolczaka. Rzuć okiem i powiedz, co o tym myślisz. Układ stron i napisy się pozmieniąją. Ale to, co mnie interesuje już teraz to to, czy reprodukcje nie są za mdłe, za szare i zbyt niewyraźne. A poza tym powiedz, co myślisz o artyście.
Piotr

Środa, 7 maja 2003, godz. 11:01

Nie wiem, czy dam radę skończyć tekst, bo o godzinie 11 przyjedzie po mnie szwagier i jedziemy kupować tapczan do kawalerki, bo od jego wielkości i formy zależy kształt i rodzaj boazerii. Jak znam życie, wygrzyzie mi to cały dzień pracy, ale na szczęście obraz mam prawie skończony. Miał być krzyżem, a wczoraj jedna pani od razu powiedziała mi, że to symbol falliczny. Boże ty mój. Jeśli chcę namalować fiuta, to maluję fiuta. Symbole (o ile pojąłem coś z Freuda) występowały wtedy, gdy prawdziwa treść była przed świadomością ukryta z przyczyn obyczajowych. Tak mi wyszło - miał być krzyż, ale został słupek. Teraz sam widzę tam fiuta, tym niemniej obraz polubiłem i chcę go sobie zostawić. Jak skończę, to wyślę fotki. Tylko nie wiem, czy jutro to się uda, bo też cały dzień zapieprzony będzie sprawami nie malarskimi.
Reprodukcje grafiki są technicznie OK. Obejrzałem wszystkie dokładnie.

Jeśli mam być szczery, to mi się ten grafik nie podoba. Jego świat jest mi bliski, ale jego forma i jakość wykonania nie są dla mnie (podkreślam: dla mnie) zadowalające. To maleńkie prace, więc trzeba przyłożyć inną miarę do formy, tym niemniej mam wrażenie dezawu (tak jakbym to już widział). Może u Brunowsky'ego. Może nawet u Hernandeza. Mnie się to w tym wykonaniu nie podoba. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za "hujka" (pisze się przez ch!!!!) tak jak uznałeś faceta z Częstochowy. Cześć.
Zdzisław

7 maja 2003

Oczywiście za żadnego chujka (chyba jednak pisanego przez h. Twierdzę tak, mimo iż moja korektorka też wprowadziła ch do mojej książki. W jej oryginale zawsze pisałem to słowo przez samo h i tak też je ryliśmy jako dzieci gwoździami na ścianach naszej szkoły) Cię nie uznam, a za opinię jestem wdzięczny. I ja mam, co do wykonania, mocne zastrzeżenia. Ale podoba mi się jego świat. Wystawa potrwa więc tylko dwa tygodnie i szybko ją zdejmę, by ją przelożyć do rubryki "byłych wystaw", a zabiorę się do wystawy Henricot. Tu już nie będę Cię zanudzał pytaniami o samo malarstwo, bo wiem, na czym stoję.
Z niecierpliwością czekam na obraz fiuta.
Piotr

Środa, 7 maja 2003, godz. 18:55

Nie tylko w szkole, ale w całej Polsce używana jest forma przez "h" - tym niemniej słownik poprawnej polszczyzny wymaga by pisać przez "ch". W opinii powszechnej, samo "h" brzmi dosadniej. Sam tak dawniej pisałem.

Wysłałam zdjęcia poprzednio skończonego obrazu oraz obrazu, który zapewne skończę jutro i z punktu widzenia fotografii nic się już tam nie zmieni. To, nad czym jeszcze pracuję, to niuanse. Na dwóch fotkach wersja jak była oraz pobiczna symulacja komputerowa. Jestem potwornie

wyżęty - byłem na nogach od godziny 11 do 18. Przedtem malowałem też głównie stojąc. Ledwie żyję, a muszę jeszcze zrobić nagrania fotomontaży dla Szymanika, bo rano przyjedzie po nie kurier "Stolicy". Jutro od rana dyrektor Banach ze Sanoka, potem masażysta, potem rehabilitantka - niewiele znajduję czasu na malowanie.

Zdzisław

7 maja 2003

21 kwietnia przesłałeś mi zdjęcie podobnego obelisku. Czy może jest na sprzedaż z powodu pojawienia się młodszego brata?

Piotr

Czwartek, 8 maja 2003, godz. 10:03

Nie, na razie nic nie chcę sprzedawać, ale pamiętam o Twoim pierwszeństwie, gdybym kiedykolwiek chciał sprzedawać tamten obraz. Obecnie po pierwsze mam trochę forsy, a po drugie dwa wypożyczone obrazy do Galerii Dziopak (jeden z trzech zapłaciły), które mogą zostać sprzedane, chociaż rynek jest gówniany, a wtedy będę mieć nawet nadmiar gotówki jeśli idzie o moje niewielkie potrzeby. Wydatki na kawalerkę dobiegają końca, a na dodatek trwają rozmowy na temat sprzedaży drugiego mieszkania po Tomku (płacę obecnie 3 wysokie czynsze i mam obowiązek administrować mieszkaniem w sąsiednim bloku na ul. Mozarta). Gdy do tego dojdzie, to też wpadnie jakaś kasa, chociaż rynek zbytu na mieszkania jest obecnie jeszcze gorszy niż rynek na obrazy.

Czekam teraz na dyr. Banacha z Muzeum sanockiego, który ma podobno jakąś sprawę do mnie i ma przyjechać koło godziny 10, ale nie mam pojęcia, jaka to sprawa. Potem masażysta, potem rehabilitantka na gimnastykę - prowadzę życie milionera! Do kompletu muszę koniecznie znaleźć psychoanalityka oraz jakiegoś guru.

Gorąco zachęcam do kupna aparatu cyfrowego Canon Digital I X US 400. IX US'ów jest wiele, więc chodzi konkretnie o ten właśnie model.

Nie jest drogi, a naprawdę mały, lekki oraz bardzo wszechstronny i łatwy w obsłudze. Jednym słowem po godzinach dorabiam sobie także jako reklama Canona.

Cześć Zdzisław

10 maja 2003

Tak więc, na starość stałeś się zamożny i opływasz w dostatki. Przyznam, że i mnie się na starość nieźle powodzi. Nawet nabrałem luksusowych gustów. O, na przykład, marzy mi się Jaguar. I nawet byłbym go sobie i kupił, bo mnie stać, ale nazajutrz by mi go ukradziono. A i fiskus może by sobie o mnie przypomniał...

Lepiej siedzieć cicho. Jak mówią Francuzi "Pour vivre heureux, vivons cachés" ("By żyć szczęśliwie żyjmy w ukryciu").

Przekonałeś mnie co do Podolczaka. Jak najszybciej przejdę do wystawy Szajny, a Podolczaka umieszczę na stronie "byłe wystawy".

Mocno przemeblowałem układ mojej galerii i nadal go przemebluję, by uprościć wizyty.

Jutro mam przyjąć u siebie Barriera. To krytyk sztuki, który najpierw był Tobie nieprzychylny, ale się nawrócił. Ponieważ pisze dobrze, więc trochę wokół niego zabiegam, by spłodził jakiś tekst o Tobie. Akurat mam w domu wszystkie Twoje małe i duże rysunki, bo przygotowywałem je dla Częstochowy, z którą wiesz, jak się na ten temat odbyło. Toteż będę mógł pokazać Barrierowi więcej, niż tylko obrazy wiszące jak zawsze na moich ścianach. Na szczęście już nie mam, ani tych nadziei, ani tych obaw. Tak więc i emocji większych nie przeżywam. Ale tak sobie dumam, że dobrze by było, gdyby jednak jakiś dobry tekst o Tobie powstał po francusku. Może i po polsku ktoś kiedyś napisze coś sensownego?

Piotr

Niedziela, 11 maja 2003, godz. 08:12

Opływam w dostatki trochę tak, jak kłozard: mam umiarkowane wyma-

gania i właściwie na wszystko mi wystarcza. Od kiedy zmarła Zosia, przestały mnie prawie w ogóle interesować samochody, bo nie nauczę się już prowadzić, wyjeżdżając z domu raz na tydzień. Tym niemniej mam inne nieco niż Ty podejście do przedmiotów użytkowych. Przede wszystkim powinny mi się podobać estetycznie. Zarówno Jaguar, jak i zegarki z tej samej półki, ubrania wiszące w sklepach, które odwiedzają Ci sami ludzie, którzy poruszają się Jaguarami - to wszystko w bardzo niewielkim stopniu mi się estetycznie podoba lub najczęściej wcale nie podoba. Kolejne wersje Jaguara (nazwa oczywiście jest piękna) oceniam tylko pod kątem, że na szczęście nie jest aż tak brzydki jak poprzedni model. Zegarki Cartiera to wręcz popis paskudztwa w porównaniu z tanioczą Casio. Nie odczuwam ani na jeden milimetr potrzeby prestiżu - natomiast mam określone potrzeby estetyczne, tym niemniej jeśli już mam dokonać wyboru i muszę coś konkretnego kupić, to idę po linii najmniejszego oporu: kupuję to, co jest pod ręką. Byle szybciej. Wyjątek stanowią narzędzia pracy (u mnie stanowią one zarazem przedmioty kultu) np. aparaty fotograficzne lub komputery. Tutaj szukam długo i dokładnie, wybierając to, co jest najlepsze z tego, na co mnie stać.

Zdzisław

11 maja 2003

Popołudnie spędziliśmy z Barrierem. Przywiozłem go z Boulogne do nas i pokazałem wiele Twoich rysunków z różnych epok, wiele obrazów, które są u mnie zawieszane, wreszcie pełno publikacji o Tobie, którymi na koniec go obdarowałem, tak, iż uginał się niosąc to wszystko do samochodu. Uzgodniliśmy, że pojedzie ze mną do Polski, żeby się z Tobą spotkać. Nie mówi wprawdzie po polsku, ale za to ja mówię po francusku. Toteż będę Wam służył za tłumacza. Upprzedzam, że facet jest zupełnym abnegatem, chodzi w poplamionej koszuli, ma zjedzone zęby i pali papierosa za papierosem. Wygląda jak kloszard.

Co z tego wyniknie, nie wiem. Ale trzeba, żeby wreszcie powstał o Tobie poważny tekst. Ten facet wykladał przez dwadzieścia lat na Uniwersytecie filozofię sztuki i pisze wspaniale. Wprawdzie Dziworski też robił

wspaniale filmy do czasu, aż ja mu powierzyłem zrobienie takiego o Tobie (choć powtarzam, że ja ten jego film właściwie lubię). Toteż i tym razem może się zdarzyć niewypał. No i oczywiście nie wiem jeszcze, ile każe sobie zapłacić, bo takiego tekstu nie pisze się za darmo.

Dał mi jakąś revue o sztuce, w której 30 stron jest jemu poświęcone. Zobaczymy, co inni o nim myślą jako o krytyku sztuki i filozofie. Po lekturze napiszę Ci moje impresje.

Dziś znów była piękna pogoda. Nasz park jest niewyczerpanym źródłem radości w takie dni. Cisza, zielono, pełno kwiatów, korty tenisowe, sadzawki i tylko od czasu do czasu ktoś przemyka się alejkami.

Piotr

Niedziela, 11 maja 2003, godz. 23:12

Dobrze Piotrze. Będę jak ten słazowy cukierek. Czy abnegacja tego faceta pozwala mu na picie PepsiMax? Bo herbaty u mnie nie ma. Nawet nie wiem, jak się ją robi. Czy można w przybliżeniu wiedzieć, kiedy ten wielki moment odwiedzin nastąpi? No cóż: do mnie należeć będzie tylko uprzejme uśmiechanie się jak idiota. Po francusku umiem tylko słowo "merde". Od ostatniej takiej wizyty dzieli mnie prawie rok. Wtedy był to czeczeński malarz z Petersburga wraz z południowo-koreańskim kolegą po fachu (chyba) i ukraińskim tłumaczem, który coś trochę dukał po polsku. Odbębniłem rolę gospodarza jak umiałem. Od czasu śmierci Zosi zapominam zazwyczaj podać nawet słone paluszki. To była jej rola. Dostałem katalog z dedykacją "memu bożyszczu". Tyż piknie.

Cholernie zmęczyła mnie dziś gimnastyka. Trzy razy w tygodniu po pół godziny, a mam tego kompletnie dość. Jak to robią rosyjscy zabójcy na zlecenie, którzy jak dowiedziałem się z wywiadu z jednym z nich, 4 godziny dziennie spędzają na nartach lub w morzu i trzy godziny dziennie w siłowni. Jak to dobrze, że nie zostałem zabójcą na zlecenie. To zbyt wyczerpujący tryb życia. Swoją drogą sama praca jest już lekka - puknąć z tłumikiem, ukręcić kark czy udusić garotą. Podrzynanie gardła, zdaniem fachowca, wiąże się z ryzykiem zniszczenia garnituru od Armanięgo. Przy obrazach bardziej się urobię i to za gorszą forszę.

Zdzisław

12 maja 2003

Ja jestem wolny, po sesji egzaminacyjnej, od 15 czerwca. Nie zapowiada się również, bym miał mieć jakąś rozprawę w Sądzie, (choć może się zjawić jakiś złoczyńca, którego będą sędzili w trybie przyspieszonym i wtedy trzeba przemawiać już w dzień lub dwa po jego pojawieniu się). Tak więc, możemy się zjawić w końcu czerwca lub pierwszej połowie lipca. Wiem, że wolisz już z góry znać dokładną datę, ale nie jestem w stanie Ci jej podać. Barriere powiedział mi wprawdzie, że jest wolny, ale on też może mieć jakieś imperatywy czasowe, gdy przyjdzie do ścisłego określania daty.

Twoja rola nie będzie polegała na idiotycznym uśmiechaniu się, bo facet ma szereg pytań do zadania Ci i niektóre z nich już mnie zadał. Niestety nie bardzo byłem w stanie odpowiedzieć.

Ja przyjadę samochodem z psem, a ich oboje wsadzę do samolotu. Przyrzekłem bowiem muzeum w Lublinie i Muzeum w Zielonej Górze szereg Twoich obrazów i muszę je sam im przywieźć. A do tego samochód jest niezbędny.

Piotr

12 maja 2003

Otóż za ile powinieneś sprzedawać swoje prace. Twój rysunek przedstawiający dom z drzewem, które się w niego wrosło, został mi zaproponowany za... 14.500 euros. A Ty uważasz, że ja jestem chciwcem zachłannym na forszę bo wystawiłem Twoje najlepsze obrazy olejne z dawno już minionego okresu fantastycznego po "horrendalnych" cenach 30.000 euros...

Piotr

A oto korespondencja z niejakim Schuslerem:

Moje pytanie: "What is the price of the "hous" of Beksinski (black chalk

1973, 62 x 77 cm)? Dmochowski"

Jego odpowiedź: "The price for the black chalk is 14500,-

I should like to draw your attention too, to the 3 museal oil paintings of the beginning period, that have been mailed to you. As you might remember there is no better demonstration of power and ability of Beksinski oil paintings (as the house/tree black chalk). I do remember that you had your old gallery near Pompidou. We visited you quite a long time ago. I do remember you as a great connoisseur of Beksinski. It would be a pleasure to get y reply back from you so or so. Best regards.

Schussler"

Poniedziałek, 12 maja 2003, godz. 20:42

A więc stary poczciwy Rolf Schussler jeszcze żyje? Chyba wtedy, gdy był u mnie w Sanoku, to ja miałem ca 40, a on miał ca 60. Musiałby teraz mieć ponad 90. Był szczupły i w dobrej formie, więc to możliwe, że jeszcze żyje. Może to ktoś z jego rodziny, a może syn? A więc po kolei: nigdzie nie napisałem, że jesteś chciwcem. Uważam, że wyższe niż moje ceny, nie mają szans w Polsce, a ja sprzedaję w Polsce. Mam za co żyć. Po co mam walczyć o nic? Pieniądzy nie przetransferuję na drugi świat. Nie istnieje nic, co bym chciał sobie kupić aż tak silnie, by w tym celu walczyć o kasę. Z drugiej strony, to nie robię już tego typu rysunków, więc uzyskać one mogą cenę dzieł pośmiertnych, o ile w ogóle ktoś mną się interesuje. Na zdrowie! Facet z Kanady (Plusa) chce drukować tekę 28 tych rysunków w wersji nieco zmniejszonej, bo na skalę 1:1 nie pozwalają zachowane negatywy. Na razie wydrukował w Polsce jeden zestaw i mam go podpisać. Nie bardzo wierzę w sukces i przestrzegalem go, podobnie jak Ciebie na początku naszej znajomości, ale skoro koniecznie chce sobie opalić skrzydła? Mnie się coraz mniej chce. Dziwne, że jeszcze "tworzę", ale bez tego nie umiałbym już żyć w tej ciszy, jaka wokół mnie panuje. Prawie wszyscy pomarli, a Ci którzy zostali, pograżają się w takiej sklerozie, że nawet telefonowanie do nich jest nudne jak flaki z olejem.

Zdzisław

Wtorek, 13 maja 2003, godz. 20:48

Co się stało z Twoimi rysunkami, których nieopatrznie nie kupiłem tej pamiętnej nocy (za co do dziś pluę sobie w brodę)?

Jutro mam być poddany zabiegowi kolonoskopii, więc cały dzisiejszy dzień piję jakąś ohydłą miksturę, która mnie czyści.

Piotr

15 maja 2003

A nie sprawdziłbyś, co z tymi rysunkami? Co? Poprzednio, gdy je od Ciebie kupowałem, wyciągałeś je z szafy w korytarzu. Może tam leżą do dziś? Chętnie kupię, po pięciokrotnej cenie (bo pięciokrotnie zdrożały Twoje obrazy od tamtych czasów).

Będziemy w Polsce w połowie czerwca, bo mamy tam jakąś uroczystość, a poza tym mam nadzieję, że Częstochowa zawiesi w międzyczasie obrazy tak, iż wspólnie będziemy mogli się wybrać, by je obejrzieć. Będę w Polsce samochodem, toteż będzie Ci się do Częstochowy jechało jak królowi zważywszy, że prowadzi tam z Warszawy wygodna autostrada.

Tu kolonoskopia odbywa się pod narkozą, tak, iż niczego nie czułem. A narkoza jest (w porównaniu do tej, którą mi stosowano w dzieciństwie w Polsce) tak łagodna, że nawet nie zdałem sobie sprawy, że spałem i że miał miejsce jakiś zabieg. Jediną ujemną stroną było to, że musiałem się zerwać z łóżka o 6 rano. A dla mnie znaczy to, że cały dzień będzie spięprzony.

Dziś czeka mnie fizyczna robota z przestawieniem wszystkich obrazów, których ci faceci z Częstochowy nie wzięli oraz odwiezienie na skład Twoich rysunków. Ponieważ każdy jest włożony do specjalnej plastikowej teczki, toteż waży to wszystko ze czterdzieści kilo. Będę to musiał po kolei znieść z czwartego piętra. I ja, który przyrzekałem sobie, że już nigdy nie będę biegał za Twoimi sprawami...

Piotr

Piątek, 16 maja 2003, godz. 12:40

Czy nie dostałeś mego wczorajszego mesażu z propozycją kupna reszty Twoich rysunków? Nie mam żadnej odpowiedzi.

Piotr

Piątek, 16 maja 2003, godz. 13:54

Ostatni mail od Ciebie był przedwczoraj i dotyczył zapytania, czy mam jeszcze jakieś stare rysunki oraz tego, że idziesz na kolonoskopię. Odpowiedziałem. Innych maili od Ciebie nie dostałem.

Zdzisław

Piątek, 16 maja 2003, godz. 15:08

O Jezu! Nie chce mi się zaglądać do szafy, szczególnie, że od wczoraj powróciło moje lumbago niezależnie od kiziora-masażysty, rehabilitantki i zdrowego sposobu życia. Po prostu jedynym decydującym w moich sprawach jest pogoda - tak jak to zawsze sądziłem. Jeśli zmienia się niekorzystnie front atmosferyczny, to choruję na wszystko, co tylko mam w danym momencie najslabsze.

Nie chcę sprzedawać po pięciokrotnej cenie, nie chcę sprzedawać nawet po 16.000 Euro. Nie chcę w ogóle sprzedawać, mam wszystkiego dość, nic mi się nie chce: tu dajd tu slip. Zmiłuj się nade mną: po co mam jechać do Częstochowy? Ledwie przedwczoraj wykręciłem się od wyjazdu do Łodzi, gdzie chcieli mi przyznawać jakąś nagrodę. Po co mi nagroda? Po co mi Łódź (dokąd też miałem być w obie strony dostarczony w poduchach, jak dostojny starzec).

Aktualnie pan Krzysztof zakłada interkom w moim mieszkaniu i kawalerce, ale dzwoniący "kulturalnie", więc dodatkowo założy dzwonek na trawę z podświetlanym na czerwono napisem ALARM, którym będę mógł wezwać opiekunkę: Pani Kowalska! Pani Kowalska!!! Powietrze ze mnie

uchodzi! Zamknij się dziadu! Ma uchodzić, bo na obiad była fasolka po bretońsku.

Zdzisław

Piątek, 16 maja 2003, godz. 18:47

Twój wczorajszy list, razem z kilkoma zaległymi listami od innych nadawców, nadszedł dopiero w tej chwili. Nie rozumiem dlaczego, ale wina wydaje się leżeć po stronie polskiej sieci. Plecy mnie tak bołą, że ledwie dają radę pracować.

Zdzisław

16 maja 2003

Ledwo pojawia się hasło "Dmochowski", a natychmiast, jak w refleksie Pawłowa mówisz "Nie!".

Pojechać do Częstochowy? Nie! Sprzedać prace Dmochowskiemu? Nie! Pani Dziopak? No tak, to pani Dziopak. Jej sprzedawać można, a nawet należy.

Robić prace na zamówienie? No przecież to dla pani Dziopak!

Jechać do Krakowa na promocję książki BoSza? Jasne. Z chęcią i radością. Na promocję książki Nyczka? Ma się rozumieć.

Pojechać do Wahl na Mazury? Co za frajda. Taka piękna okolice. Ale przecież na Boga, nie dla Dmochowskiego!

Piotr

Piątek, 16 maja 2003, godz. 23:57

Przeinaczasz część faktów, co zawsze było Twoją specjalnością. Może to zawodowe skrzywienie prawnika. Po kolei: pani Dziopak kupuje lub nie kupuje to, co jej zaoferuję do sprzedaży. Na tych samych prawach zapewniłem Ci pierwszeństwo przed panią Dziopak, ale z niego ani razu nie skorzystałaś.

Na zamówienie zrobiłem Ci 16 obrazów, a pani Dziopak 4. Na dodatek nigdy nie stawiała sprecyzowanych warunków (bez kości, bez postaci etc.), a Ty stawiałaś. Pojechałem na promocję książki BoSza i odchorowałem to (przez całe dwa miesiące!) i Szymanik wie, że nigdy już i nigdzie nie pojedę - odmówiłem Wrocławia etc. Na żadną promocję książki Nyczka nigdzie nie jechałem. Była w Warszawie i miałem o 20 lat mniej. Nie umiałem się wtedy wykręcić! Na pewno ta promocja skróciła mi życie o jeden rok. Ty to może lubisz - ja tego nienawidzę!!!! Na Mazury pojechałem za życia Zosi jej samochodem. Nie chciałem jechać, ani tam, ani nigdzie i odchorowałem to. Między innymi te fakty spowodowały, że nie chcę już nigdzie więcej jeździć. Jestem coraz starszy i coraz gorzej to znoszę. Wyjazdu do Częstochowy już kilkakrotnie od dwóch lat odmawiałem - nie tylko Tobie. Boże czy tak trudno zrozumieć, że już chcę siedzieć w domu. Nawet do Sanoka na groby nigdy już nie jadę. Nie tłumacz wszystkiego przeciw sobie! Są rzeczy, które przychodzą mi lekko i są takie których nienawidzę.

Zdzisław

Sobota, 17 maja 2003, godz. 08:14

Zapomniałem jeszcze wczoraj napisać, dlaczego nie chcę szukać rysunków w zapleczu szafy, których to rysunków może tam już nie być. Nie mam po prostu siły na to, by bez zatrudnienia pana Krzysztofa, a potem jego żony do posprzątania, wydobyć stamtąd cały ten chłam. Przedtem zrobiłem to wraz z Zosią, ale mieliśmy o 20 lat mniej. Ty mi nie pomożesz, bo nigdy tego nie potrafiłeś, a teraz też jesteś starszy. Wszystko tam jest sprasowane jak w walizce pakowanej przez pedantyczną kobietę. Wylecą tony 20 letniego kurzu i jakiegoś śmiecia. Do mojej śmierci nie będę tam zaglądać, a potem niech się w tym grzebią spadkobiercy. Wszystko popakowane w rozsypujący się i skruszały papier z ery socjalizmu i pedantycznie powiązane sznurkami. Wiem, ile napracowała się (po tym jak w tym grzebałeś) Zosia. Potem doszły do schowka jeszcze inne zapomniane rzeczy, które są na to zwalone - to po prostu koszmar - grzebać się w tym. Myślisz, że to dla mnie taka cholerna atrakcja dostać po 250\$

za jakieś kilka czy kilkanaście starych prac, o ile w ogóle tam są? Po pierwsze za każdy narysowany na bieżąco mały rysunek A4 biorę obecnie standardowo 2.000 zł czyli 500 \$. Wielki rysunek z tego okresu sprzedaj wczoraj (częściowo za moim pośrednictwem) mój kolega i wziął za niego 20.000 zł czyli 5.000 \$. Nie wiem, czy tam w ogóle są jakieś rysunki małe lub duże, ale nie decyduje tu nawet mała atrakcyjność Twojej oferty, ile przerażenie na myśl, że musiałbym to wszystko wybebeszać. To nie jest tak, że "Dmochowski to NIE". To jest tak, że "zaplecze szafy to NIE".

Zdzisław

Niedziela, 18 maja 2003, godz. 23:28

Ponownie strzeliło mi zebro. Tym razem wyżej i ledwie mogę oddychać. Poprzednie strzeliło 18 kwietnia. Jak widać w dniu 18 pękają mi zebra. Zdrowie wymaga poświęceń, cierpień i wyrzeczeń.

Zdzisław

19 maja 2003

No to ładny gips.

Zdaje się, że zapowiada Ci się bolesna starość. To jest to, czego obawiam się najbardziej dla siebie. Bo żyć do osiemdziesiątki, to by mi się chciało. Ale stale na coś cierpieć? O nie, tego nie chcę!

Piotr

Poniedziałek, 19 maja 2003, godz. 10:53

No cóż. Nawet Faust nie chciał być stary, ale to nie jest zależne od naszej woli. Całą zresztą historię dr Fausta, w tej wersji, jaka obowiązuje dziś wyдумаł sobie Goethe, bo chciał przelecieć małolatę, ale był za stary i albo ona nie chciała albo on już nie mógł. Warto zobaczyć, co z tego zrobił potem Liszt (też miał chyba ochotę na małolatę, a musiał dmu-

chać dojrzałą hrabinę Iwanowską pod nieobecność jej męża, zaś ona namawiała go w łóżku na przyjęcie święceń kapłańskich, brrr), zaś Mahler osiągnął w finale 8 symfonii takie szczyty uduchowienia, że nikt by nawet nie śmiał przypuszczać, że właściwie w całej historii chodziło na początku tylko o dupę. Ja ostatnio spodobałem się jednej panience, która przyznała się do upodobań gerontofilskich i nekrofilskich. No cóż: niedaleko mi już do trupa. Nawet rozważałem, by zatrzymać ją przy sobie, ale na odległość. Niech sobie dziewczyna poczeka. Po mojej śmierci zbecześciłaby w pozycji na jeźdźca moje zwłoki, sprawdziwszy uprzednio, czy nastąpił już rigor mortis. Ach: jakież by to był groteskowo - piękny finał żywota zbroczenia! Niestety, nikt by się o tym nie dowiedział i dlatego zrezygnowałem z pomysłu. Jestem - jak widzisz - nadmiernym kunktatorem, jeśli idzie o zastosowanie mitu Fausta do siebie.

Zdzisław

19 maja 2003

Ja bym tam panience nie przepuścił.

Piotr

19 maja 2003

No to prześlij w załączniku ten wywiad.

Ja zawsze wołałem rznąć panienki, a nie brandzlować się WYOBRAŻAJĄC je sobie w ponętnych pozach. Brandzlowałem się tylko wtedy, gdy nie było niczego pod ręką. Zresztą zawsze wołałem konkret od widma. Być może to banalne, ale chętnie bym jeszcze przeżył kilka takich "banalnych" chwil. Niestety panienki zupełnie się mną już nie interesują, a przy tym żona śledzi uważnie horyzonty i natychmiast piekielną awanturą eliminuje taką, która by mi za długo patrzyła w oczy.

Piotr

Poniedziałek, 19 maja 2003, godz. 15:35

"Ponętne pozy"! Dobry Jezu! Już to jedno określenie świadczy o tym, że mówimy innymi językami. To trochę jak opublikowany ostatnio stenogram dialogu Edward Henry Garson kontra Oscar Wilde. Może prawnicy tacy już są? Prokurator Starr też był taki, tyle że Clinton nie był niestety Oscarem Wilde. No bo, jak się domyślasz, swoje własne poczucie ironicznego dystansu do świata i siebie, śmiem porównywać z Oscarem Wilde. W końcu jednak Wilde był, w świetle ówczesnego prawa, winny i Carson go dopadł i przyszpilił - z tym, że nie tyle chodziło mi o fakty i proces, co o rozmijanie się sposobu myślenia. Prosiłem o znak Zodiaku i go nie dostałem.

Po co ja nieszczęsny wspominałem o tym wywiadzie. Teraz będę go musiał jakoś zeskanować i wysłać, a nie będzie to proste, potem Ty będziesz go musiał otworzyć i odczytać, a to (jak uczy moje minione doświadczenie) będzie jeszcze mniej proste (za duży, za mały, zrób coś etc.) i o wszystko obwinisz mnie. No nic, spróbuję powalczyć, ale to trochę potrwa.

Zdzisław

19 maja 2003

Widzę, że pojęcia nie masz, jak pracuje komputer. Tak zeskanowanych stron gazety nie przeczytam nawet pod lupą.

Piotr

Poniedziałek, 19 maja 2003, godz. 18:35

A to niby dlaczego? Robisz sobie jaja z biednego starca? Ja nie poprzestałem na skanowaniu i zmniejszeniu (dla celów poczty) na ile to było możliwe bez utraty czytelności, ale wysłałem to do Janka z zapytaniem, czy odczytał i odczytał mi płynnie przez telefon (z moich warszawskich przyjaciół Janek jest najbardziej oporny na postęp techniki, ale skoro nawet Janek odczytał bezproblemowo...). Dlatego to tak trwało. Zawsze bo-

wiem zakładam, że najprostsza czynność będzie dla Ciebie bez Bambo niewykonalna i dlatego tak się staram. Jak widać na nic. No cóż - poniekąd (o ile nie robisz jaj) obawiałem się takiego wyniku. Nie wspominałbym już, że nadal nie dostałem znaku Zodiaku, a traktuję to jako test. Przed pół rokiem kilkadziesiąt razy pisałem, by Bambo zainstalował Ci TT Lucida Casual i nigdy nie mogłem uzyskać na ten temat odpowiedzi. Wyciągam stąd wniosek, że jesteś absolwentem i beneficjentem techniki tzw. "szybkiego czytania".

Zdzisław

19 maja 2003

To ja nie mam pojęcia o pracy komputera. Bo wystarczyło powiększyć obraz 50% na 100 % i wszystko stało się czytelne jak na dłoni.

Wywiad ZNAKOMITY. Żywy, barwny, ciekawy. Zupełnie inny od poprzednich. Ale też dzięki zadawanym pytaniom, które nareszcie odchodzą od stereotypów, a są zwykle, banalne, codzienne, a przez to prowokują odpowiedzi dowcipne, różnorakie i często odkrywcze.

Oczywiście winnym za Tomka jesteś Ty. Mój brat, Janek, tak samo wychowywał swego jedynaka: żadnych zakazów, żadnych nakazów. Syn do dzisiaj leży na gołej podłodze u niego w domu i patrzy w sufit, bo ma pomyłone w głowie. Jakie szczęście, że miałem Rodziców, którzy umieli mi kazać i zakazać. Dzięki temu jest we mnie w ogóle jakieś poczucie moralności, zła, dobra, odpowiedzialności. Nic z tego nie zrodziłoby się we mnie, gdybym nie był "skrzyczany" przez Mamę lub gdyby Ojciec z niechęcią nie popatrzył w moim kierunku. Nigdy mnie nie bili. Ale skarcić potrafili, choć tylko słowem.

Znajomi przyrzekli, że przysła mi egzemplarz tego pisma. Ale na wszelki wypadek: jeśli go masz w dwóch egzemplarzach, to mi jeden zachowaj do czasu naszego przyjazdu do Polski w czerwcu.

Aha, jeszcze jedno: porównanie nas do bledniejącego obrazu duszy, a duszy do czegoś, w czym my jesteśmy, a nie odwrotnie, bardzo mi się spodobało.

Piotr

Poniedziałek, 19 maja 2003, godz. 21:30

Tak to właśnie bywa z wychowaniem. Chcemy dobrze, a wychodzi źle. Wielokrotnie mówiłem potem (gdy już było za późno na odkręcanie wajchy), że gdybyśmy żyli przez 1000 lat i mieli możliwość przez cały czas płodzić dzieci, to pod koniec robilibyśmy o połowę mniej błędów, co nie znaczy, że nie robilibyśmy ich w ogóle. Jak widzę z artykułów w magazynach popularnych, podejście wychowawcze, które stosowałem, zaczyna być polecane masowo przez psychologów, a więc za 20 lat będziemy mieli pierwsze efekty. Z drugiej strony każdy człowiek ma inne predyspozycje genetyczne i kształtowany jest nie tylko przez rodziców, ale przez otoczenie, filmy, telewizję etc. Nie sposób przewidzieć rezultatu.

Krzyże mnie tak dziś napierdalają jak w styczniu. Okazuje się, że to nie masaż i ustawianie kręgosłupa i nie gimnastyka, a tylko pogoda spowodowała, iż czułem się przez ca miesiąc dobrze. Dziś czuję się jak szmata. Bolą mnie: głowa, żebro, kolano i krzyże... Nasiliły się problemy z prostatą i sikam w sposób bolesny co 5 minut. Na dodatek zaczął mi obierać koło paznokcia mały palec na lewej ręce. Co kurwa jeszcze? Zalanie mieszkania? Awaria komputera? Urząd skarbowy? No bo już chyba nic cielesnego. Zdzisław

25 maja 2003

Wróciliśmy przed kilkoma godzinami z Berlina. Właściwie z berlińskich muzeów, bo miasta niewiele widziałem (Ania ganiała za to wszędzie). A jeszcze najważświej mówiąc, to z wielu godzin przesiedzianych przed 17-toma obrazami Caspara Dawida Friedricha i jedną Wyspą zmarłych Arnolda Boecklina. Bo poza nimi wiele tam było sław i wielkich nazwisk, ale niewiele mi się to wszystko podobało. Może jeden portret przez Holbeina malowany en trompe l'oeil, który bił wszystkich obok na głowę techniką i wyrazistością. Ale ani Włosi, ani Holendrzy (mają tam wiele Rembrandtów, z których ten, który najbardziej mną poruszył był... pracą

jednego z jego uczniów. A poza tym maleńki portret matki Rembrandta, namalowany przez jakiegoś obcego mi malarza, też wydał mi się godny uwagi), ani kilka marnych francuskich impresjonistów nie wari byli podróży. Wszystko to było nudne. Już dawniej poczyniłem to spostrzeżenie: gdy się zobaczyło jedno muzeum na świecie to tak, jakby się ich zobaczyło sto. Wszędzie te same, monotonne tematy, stale ten sam sposób malowania. O ileż dziewiętnasty i dwudziesty wiek są pod tym względem ciekawsze! Niestety były tam tylko dwa czy trzy obrazy Otto Dix'a, na którego, jadąc do Berlina ostrzyłem sobie zęby.

Ale Friedrich przepiękny i Wyspa zmarłych Bocklina niezwykła. Widziałem już trzy jej wersje, ale nadal wywołuje we mnie te same emocje. Rozumiem, jak zakochany w takim malarstwie Boecklina Hitler, mógł nazwać Chagalla "zdegenerowaną sztuką" i kazać jego bohomazami palić w piecach. Boże, jak wspomnę te chagałowskie rzygowiny, które nam ostatnio pokazują w Paryżu na jego wielkiej retrospektywie... Z przyjemnością zrobiłbym z nimi to samo, co Hitler. A żeby już ująć za zupełnego półgłówka dodam, że ostatnio widziana, też w Paryżu, wystawa Magritta upewniła mnie w przekonaniu, że Jarecka miałaby rację gdyby powiedziała "Każdy może malować. Najlepszy dowód Chagall i Magritte." Boże, jak to jest nieudolnie namalowane!

Piotr

Poniedziałek, 26 maja 2003, godz. 08:16

Magritte rzeczywiście kiepsko malował, ale zalety jego najlepszych obrazów polegały na scenografii, czyli tym, co tam i jak było zestawione i jaki ciąg skojarzeń budziło. Obrazy Magritta były ściśle literackie i mogły być równie dobrze podyktowane innemu malarzowi i namalowane przez niego. Co do Chagalla, to w oryginale widziałem bodajże jeden jego obraz przed laty i ten podobał mi się (wtedy!), poza tym widziałem sporo reprodukcji i - o ile były namalowane tak, jak ten jeden obraz, to nie bardzo mogę się z Tobą zgodzić. Nie twierdzę, że jest to syndrom w sztuce, jaki najwyżej cenię, ale obrazy jego podobają mi się. Twój list jednak wywołał potrzebę otwarcia nawiasu: zarzucając mi, że niejako na złość

Tobie nie chcę jechać do Częstochowy, wydobyłeś ze studni minionego czasu prawie wszystkie podróże mego życia (do Wahl, do Częstochowy i Krakowa). Było ich może dwa razy więcej, bo byłem także raz w Poznaniu z Zosią i raz we Wrocławiu z Zosią. Jeździliśmy też wielokrotnie z prowiantem dla teściowej do Dynowa. Zawsze to odchorowywałem, a przez trzy dni, poświęcone na wyjazd, nic nie jadłem i byłem nieustannie spięty. Ilość Twoich wyjazdów w trzy miesiące załatwia jednak mój limit 30-letni lub nawet życiowy. Odległości czyli rozległość tych wyjazdów wykracza poza wszelkie wyobrażalne i dopuszczalne dla mnie granice. Wypada więc stwierdzić, że to, co jednemu sprawia przyjemność lub jest niezauważalne, bo jest przecwiczonym stereotypem - dla drugiego może być potwornym, nieludzkim wysiłkiem. Ty byłeś nawet w Bilbao! Gdybym musiał tam pojechać, to chyba poważnie zacząłbym myśleć o samobójstwie. Niechże to będzie wyjaśnieniem mojej niechęci do wyjazdu do Częstochowy.

Zdzisław

26 maja 2003

Oczywiście to wszystko wiem, ale też, dlatego nie umieszczałbym Magritta wśród malarzy, a wśród literatów szkicowo ilustrujących oryginalne pomysły, skojarzenia i zaskakujące zderzenie między nimi.

To zresztą tak, jak ze sztuką conceptualną : wystarczy mieć koncept. Po tem każdy może go wykonać i powielać.

Poczucie obrzydzenia przy spotkaniu z malarstwem Chagalla nie jest u mnie retoryczną figurą. To naprawdę działa na mnie tak, jakbym patrzył na cudze wymiociny i je wahał. Uczucie wstrętu, jakie okazywał Hitler na jego widok, jest mi bardzo bliskie. Tu nie chodzi o sposób, w jaki on kładzie farbę (rzecz, która jest uwłaczająco mozolna i niezręczna u Magritta), ale o jego estetykę, o te fruujące osiołki i te ohydne ręce u szybujących po niebie brzydkich, niezgrabnych par zakochanych. Wszystko tam jest zdenaturowane w najgorszym tego słowa znaczeniu. Lubię skrzywienia, przesadę, zwyrodnienie, czego zresztą u Ciebie jest pełno. Ale jeśli jest to piękne. Zwyrodnienie dla zwyrodnienia brzydki

mnie. A takie odnoszę wrażenie, gdy patrzę na przykład na plafon paryskiej Opery z malowidłami Chagalla.

Barriere chce się ze mną wybrać do Gruyeres w Szwajcarii, by spotkać się z Gigerem i obejrzeć jego muzeum. Myśląc o tekście o Tobie nie zamierzałem fundować tekstu o Gigerze. On jednak Was łączy i chce o Was obu pisać, bo podobnie na niego działacie, jak waleriana na kota. W nieodparty sposób przyciągacie go i odpychacie zarazem. Kiedy jednak do tej Szwajcarii pojedę nie wiem, bo we Francji coraz większe strajki i to nawet na Uniwersytetach. Toteż mogą być jakieś zmiany w datach egzaminów.

Co z Twoim samopoczuciem? Co nowego namalowałeś?

Piotr

Poniedziałek, 26 maja 2003, godz. 23:49

Pisałeś, że facet mnie dawniej nie znosił, a teraz działam na niego jak waleriana na kota? Większa jest radość w niebie z jednego nawróconego niż z 99 sprawiedliwych.

Pytasz, co malowałem. Tak szybko nie maluję. Zrobiłem jeden obraz według uświęconych wzorów, a teraz męczę się nad małym obrazem, który jest jakby zainspirowany tym fallicznym słupem, a raczej odrealnionymi kwiatami wokół. Maluję takie kwiaty i takiego jak te kwiaty motylka lub coś w tym stylu. Wszystko w czerni i bieli. No, ale z tym jeszcze sporo roboty. Dziś przeszedł mi nareszcie ból kręgosłupa, ale to efekt zmiany pogody. Do kawalerki powoli wciągane są meble, ale jeszcze sporo roboty wykończeniowej jak boazeria za tapczanem. Może w ciągu miesiąca wszystko odpieprzę i będę się tam mógł przeprowadzić - poszerzając o obszar byłej sypialni fabrykę obrazów, w której w tej chwili mieszkam. Poza tym nic nowego.

Jakiś dziadek filozof, uwodził dziś panienkę w kiosku na dole, gdzie kupuję tygodniki: "Najbardziej Panu Bogu udało się mama". Panienka chichocce, a dziadek zwraca się do mnie jak dziadek do dziadka: prawda, proszę pana, że mam rację?

Udaję, że nie słyszałem rozmowy więc powtarza: "Najbardziej Panu Bogu

udała się mama - prawda, że mam rację"? O żebyś cię!

Wiele rzeczy udało się Bogu, ale wiele też spieprzył - odpowiadam ostrożnie. Dziadek się jeży. Jak to? Co mu się nie udało?

No wie Pan... ja się na tym nie znam, ale np. ksiądz Rydzyk nie za bardzo mu wyszedł.

No i spór gotowy. Po co ja się wdaję w takie rozmowy? Ty byś pewnie powiedział, że Chagall też się nie udał. No ale ten dziadek nie miał na pewno pojęcia o tym, kto to był Chagall. Jesteś pewien, że Hitler kojarzył, kto to był Chagall? No nic: załączam skończony obraz i migawkę z kawalerki. Zdzisław

27 maja 2003

Obraz wydaje mi się bardzo ciekawy. Czy też wyłączony ze sprzedaży? Jeśli nie, to czy możesz poczekać z jego sprzedażą do naszego przyjazdu do Warszawy w drugiej połowie czerwca? Chciałbym go obejrzeć. Jego rozmiary wydają się inne niż zazwyczaj. Czy to złudzenie?

Co do Twego mieszkania, to Ani się podoba i prosiła, by Ci przekazać, że niedługo się wprowadzimy.

A propos Hitlera i Chagalla, to na własne oczy widziałem malowidło Chagalla na pięknie wydrukowanym dyplomie wysokiego odznaczenia wojskowego podpisanego własnoręcznie przez Hitlera. Czy Hitler kazał wydrukować dyplom na malowidle, czy Chagall wykonał malowidło na dyplomie już nie skleję, bo nie pamiętam wyjaśnień danych mi przez galerzystę, u którego to widziałem, a potem informacji danych przez "commissaire priseur" ewentualnym nabywcom na aukcji (bo w końcu malowidło znalazło się na aukcji w Paryżu i telewizja pokazywała nam je jako kuriozum). Ale mogę zaświadczyć, że fenomen nie jest dziennikarską kaczką.

Za miesiąc kończę 61 lat. Boże, już tak niewiele mi pozostało do życia, a tak się w nim rozsmakowałem...

Piotr

Piątek, 13 czerwca 2003, godz. 2:28 PM

Jestem u znajomych i piszę z ich komputera, bo mój stale nie działa. Nieustanne reklamacje nie odnoszą żadnego skutku.

Czy napisałeś choć jedno słowo podziękowania uczniom z Częstochowy? Niczego tak Ci nie wypominał Margonari (który urządził Ci dwie wystawy), ten facet z Metz (który na głowie stawał by Twoja wystawa zabyła), a i ja, jak braku podstawowego wychowania, które nakazuje, gdy ktoś miał w stosunku do nas jakiś gest, choć dwoma słowami podziękować mu za to. Zawsze mienisz się człowiekiem dobrze wychowanym. Rzeczywistość jest niestety odwrotna.

Przyjedziemy do Polski w drugiej połowie czerwca. Przedtem będziemy się przez kilkanaście dni szwędzić po Szwajcarii i po Niemczech.

Ciekaw jestem, co nowego namalowałeś? Ale nawet gdybyś mi wysłał zdjęcie, to i tak nie będę go mógł odczytać na moim komputerze. Co za mordęga.

Pozdrawiam. Piotr

Sobota, 14 czerwca 2003, godz. 09:38

Tym razem mail dotarł do mnie. Nie piszesz jasno, albo właściwie w ogóle nie piszesz, czy na ten grzecznościowy adres, z którego list wysłałeś, mogę Ci odpowiedzieć i list przeczytany Ci zostanie przez telefon, czy też są to Francuzi i nie rozumieją z tego ani słowa. Dlaczego moje zdjęcia (gdybym je wysłał), nie mogłyby być odczytane na Twoim komputerze? Nie wiem jak daleko mieszkają Twoi znajomi, ale jeśli blisko, to wystarczy zdjęcie przegrać na mały CDR, wziąć do kieszeni i otworzyć na Twoim komputerze. Przecież nie komputer masz uszkodzony, a tylko łącze internetowe (o ile dobrze Cię zrozumiałem).

No dobrze, odpowiadam po kolei: podziękowanie do Częstochowy wysłałem do Sanoka z telefoniczną prośbą o przekazanie pod właściwy adres, bo te teksty przywiózł mi Banach i tam nie było żadnego adresu zwrotnego z wyjątkiem tego, że jest to kółko literackie przy jakimś liceum. Częstochowa jednak jest sporym miastem - więc bez dokładnego adresu,

przesyłka wróciłaby do mnie.

Co do podziękowań dla Margonariego, to już ze dwa razy tłumaczyłem Ci, jak ta sprawa wyglądała (a była skomplikowana), ale jak zwykle kompletnie zapomniałeś.

Co do faceta z Metz, to po prostu nie wiem, o co chodzi. Robiłeś wystawę u Lindnera, a także u Hartla, ale ten Metz pojawił się teraz jak diabeł z pudełka.

U mnie Armagedon trwa nadal. Obawiam się, że nie ma szans, by przed Waszym przybyciem roboty zostały skończone.

Pięknie pozdrawiam.

Beksiński

17 czerwca 2003

Nareszcie ta pierdolona maszyna znów działa.

Cieszę się, że napisałeś do uczniów z Częstochowy. Zależało mi na tym, bo myślę ich spotkać i porozmawiać z nimi, gdy będę tam. A głupio by mi było musieć tłumaczyć im, że jesteś człowiekiem źle wychowanym i nie znasz słowa dziękuję.

Przypominam, że facet z Metz nazywał się BANAS, był pedałem i zrobił Ci piękną wystawę w ichniejszym domu kultury wtedy, gdy nikt nawet nie chciał mi otworzyć drzwi. Potem ten facet przyjechał do Warszawy z jakimś swoim "przyjacielem" (tak mi to potem donosiłeś Ty) i został przez Ciebie (tak mi donosił on) przyjęty lodowato, nawet nie usłyszawszy słowa podziękowania.

Takich kwiatków mógłbym Ci wytoczyć dziesiątki. Zazwyczaj dziękujesz dziennikarkom, które mają z Tobą przeprowadzić wywiad. Wtedy to rzeczywiście dziękujesz. Ja przez dwadzieścia lat (bo mijają dwadzieścia lat od początku naszej znajomości), nie usłyszałem jednego nawet dziękuję i wiem, że do końca życia się go już nie doczekam, mimo iż nadal propaguję Twoją sztukę (wypożyczenie 13 obrazów Częstochowie na pięć lat, zakup dla Częstochowy czternastego obrazu, tekst Barriere i galeria wirtualna, głównie dla Ciebie, stworzona są tego ostatnimi przykładami)...

Prześlij mi zdjęcia ostatnio namalowanych obrazów.

Facet, którego mi wskazujesz jako interesującego, ma kilka prac, które mi się podobają, bo... są jak wyjęte z Twoich własnych prac komputerowych.
Piotr

Wtorek, 17 czerwca 2003, godz. 12:46

Rozumiem, że kłopoty z internetem skończyły się, ale ni cholery nie rozumiem skąd u diabła masz jakąś reprodukcję mojego obrazu, bo przecież Ci jej nie wysyłałem, gdyż internet był niesprawny. Czyżby Banach Ci wysłał? Namalowałem dwa załączone obrazy i są poza zasięgiem. Obraz z kwiatami i motylem właśnie oprawiany jest w grubą ramę i zawiśnie u mnie w pracowni jako zwierzę domowe. Obraz z facetem na słupku jest co dopiero skończony i nawet nie wiem, czy jeszcze nie będę czegoś w nim przerabiać (dłoni na piersiach). Jeśli idzie o ewentualną sprzedaż czegokolwiek, to wymaga to zawsze szeregu czynności dodatkowych, które w wypadku obrazu, jaki warunkowo zarezerwowałeś, zostały już w połowie wykonane. Wyrównanie polyskutrzy dni. Fotografie (zrobione w piątek, ale jeszcze ich nie dostałem) i podpisanie. Obecnie już obrazów nie oprawiam, bo brak mi na to sił. Wraz z zarezerwowanym przez Ciebie obrazem, dokonałem teraz tych zabiegów na kilku innych obrazach, na których farba była już sucha i które miałem gdzie rozstawić, ale wszystkie je już znasz.

Co do kawalerki, to znowu napotkaliśmy na usterki i trwa ich usuwanie. Zaczynam podejrzewać, że termin 22 lipca jest już nieaktualny i pozostaje Rocznica Rewolucji Październikowej. Rzygam już tym wszystkim.

Co do remontu balkonów, to nie zostanie zakończony przed Waszym przyjazdem i dobrze będzie, jak to skończą na połowę lipca. Jest wielka nadzieja na to, że wyglądać będą gorzej niż przed remontem. Polak potrafi.

Co do dyrektora Banacha, to wprawdzie w dniu 6 nie będzie go już w Sanoku, gdyż rano wyjeżdża na urlop, ale 5 wieczorem Was wpuści i wyda polecenie, by 6 rano wpuścił Was określony pracownik. Musicie jednak wymienić namiary (numery komórek etc.), by nie musiał warować na Zamku, lecz mógł zjeść obiad etc. Jego komórka to 0-603..., telefon do

domu: 0-1033-13-46-34... i telefon do Muzeum 0-1033-13-46-30...
Zdzisław

Wtorek, 17 czerwca 2003, godz. 13:44

Dopiero w tej chwili zauważyłem, że Twój list, który dotarł do mnie w dniu dzisiejszym o godzinie 10:13 rano, wysłany był 27 maja!!! Ten cały Noos to rzeczywiście jakieś kuriozum. Tak więc orientuję się, że chodziło Ci o obraz, którego reprodukcję wysłałem jeszcze 26 maja.

Zdzisław

Wtorek, 17 czerwca 2003, godz. 23:56

Wysłałem już dziś dwa listy, a teraz nareszcie przyszedł aktualny mail od Ciebie. Pamiętam dwóch facetów, których przed laty zaanonsowałeś mi jako parę homoseksualną, ale nie pamiętam, czy przyszli z tłumaczem, czy tylko pomagała w tym moja żona, ale być może oczekiwali, że podejmę ich obiadem? Trudno teraz wyrokować. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mam im za coś dziękować - poza tym nie byłem (bo nigdy nie jestem) lodowaty, lecz jak myślę, sytuacja była niezręczna (czego właśnie i teraz się obawiam), bo zapewne musiałem korzystać z tłumacza. Mnie to szalenie utrudnia nawiązanie kontaktu! Tamuje moją spontaniczność. Margonari to zupełnie inna sprawa. W pierwszym okresie stanu wojennego, naczytawszy się zapewne bzdur w rodzaju: że po ulicach Warszawy krążą szwadrony śmierci, a ludzie kryją się w piwnicach i na poddaszach, napisał do mnie, bym przysłał mu obrazy, a on je wystawi w celach handlowych, by mi pomóc. Mnie nie trzeba było pomagać, bo dawałem sobie radę, a bardzo obawiałem się wysyłania obrazów, by nie uległy uszkodzeniu lub zagubieniu. Napisałem mu prostym stylem, że pośrednikiem będzie galeria Wahl, z którą mam umowę (nie miałem). To było tak samo, jak obecnie z Sanokiem. Teraz pośrednikiem jest Sanok, tyle że nie w sprzedaży, ale w zdjęciu z mej głowy problemu wystaw. Nigdy tego nie znośiłem. Nie mogłem Margonariemu opisać dokładnie, jak wygląda

moja sytuacja, bo wymagało to bardziej skomplikowanej budowy zdań, a byłem zależny od Zosi. Zosia nie znała francuskiego tak, jak Ty. Dla niej przetłumaczenie takiego skomplikowanego listu na francuski, to był dzień lub dwa dni ślęczenia ze słownikami, w atmosferze ostatecznego stresu, bo była ambitna i nie chciała przepuścić błędu, mimo iż Margonari walił błąd na błędzie. Na jej głowie (jedzenie, pranie, cerowanie) był wtedy Tomek i dwie babcie (nie licząc nas obojga), a szansa że list dojdzie do Margonariego niewielka, bo u nas był stan wojenny, a u nich nieustanne strajki, w czasie których listy roznosili karabinierzy (lub trzeba je było samodzielnie wyszukiwać w urzędach), bo listonosze walili je do kanału. Tak więc, by jej dodatkowo nie męczyć, nie poprosiłem jej o przetłumaczenie takiego listu, lecz o wersję uproszczoną. Stąd Margonari miał powody do narzekania, bo inaczej oceniał sytuację, niż ona faktycznie wyglądała.

Nie chcę pisać o nas, bo obaj pewne (jeśli nie wszystkie) sprawy ocenialiśmy rozmaicie, więc nie ma sensu rozdrapywanie tego, co dla obu stron było wieloletnim głaskaniem kota pod włos. Obecnie też nie mam zamiaru Ci dziękować za Częstochowę, bo jestem głęboko przeświadczony o tym, że to wszystko bardziej zaszkodzi mojemu image w Polsce, niż pomoże lub raczej, że na pewno mi zaszkodzi. Realizujesz swoją politykę i to Twoja sprawa, ale nie rób tego w moim imieniu, bo ja Ci mandatu nie dałem. Ja nie przeszkadzam, ale wcale mnie to nie cieszy.

Fotografie ostatnich dwóch obrazów wysłałem Ci jeszcze rano. Idę spać!
Dobranoc.

Zdzisław

19 czerwca 2003

Nareszcie zdjęcia Gordina dotarły do mnie. Są niesamowite. Nawet Ania, która miała mi za złe utopienie 18 tysięcy euros uznała, że rzecz warta była zachodu. Czy chcesz żebym Ci je przywiózł do Polski, byś mógł je obejrzeć z bliska w oryginale?

Poza tym kupiłem kilka dni temu przepiękną głowę ślepca w brązie zrobioną przez francuskiego rzeźbiarza Roulland. Stoi na moim biurku obok

rzeźby ukrzyżowanego Chrystusa, też francuskiego rzeźbiarza Strubel'a i napawa mnie nieustanna radością.

Czy rzuciłeś okiem na moją wystawę Szajny?

Piotr

Czwartek 19 czerwca 2003, godz. 13:27

Twój list datowany jest z dnia dzisiejszego. Czy więc w końcu mail działa w obu kierunkach? Daj mi znać, czy dostałeś moje ostatnie listy, bo inaczej szkoda mojego wysiłku! Zgodnie z Twym wczorajszym telefonem, podpisałem już obraz, który przeznaczasz dla Częstochowy. Mam nadzieję, że ktoś, kto się po niego zgłosi, pomoże mi w jego opakowaniu folią, bo sam jestem już teraz cholernie ostrożny, by pracą na podłodze powtórnie nie naruszyć kręgosłupa i nawet oprawianie 4 obrazów wczoraj (dwa nowe zwierzęta domowe na ścianę i dwa poprzednie ze ściany na jakąś wystawę, ale bez prawa do sprzedaży - facet to u mnie wymolestował) zważyłem na pana Krzysztofa, który zajęty jest usuwaniem w kawalerce licznych usterek, jakie porobiła ekipa mojego szwagra. Rusztowania wokół mojego balkonu nadal grożą włamaniem, więc od 2 bm. w ogóle nie wychodzę z domu. Na Twoją stronę zaglądam dwa razy w tygodniu, więc jestem na bieżąco. Na razie.

Zdzisław

Czwartek, 19 czerwca 2003, godz. 20:44

Ja dostałem teraz, o godzinie 20:13, e-mail z prośbą o potwierdzenie łączności. Potwierdzam, ale czy moje maile docierają do Ciebie? Nie mam żadnego potwierdzenia.

Zdzisław

Czwartek, 19 czerwca 2003, godz. 21:13

Potwierdzam odbiór Twego e-maila, w którym zapewniasz mnie, że daleka od Ciebie myśl o jakimkolwiek dziękowaniu mi.

Odpowiadam, że prawdę powiedziawszy masz rację. Bo jeśli to robię, co robię, to nie dla Ciebie, dla którego nawet palcem bym nie kiwnął, gdybyś był w potrzebie, a robię to dla Twego malarstwa, które pięciokrotnie przerasta Twoją małą, pokrętną osobkę.

Piotr

19 czerwca 2003

Nie odpowiedziałeś mi, czy chcesz żebym przywiózł ze sobą prace Gordina, abyś mógł je obejrzeć w oryginale. Dostałem je dziś rano i nie mogę od nich oderwać oczu.

Piotr

Czwartek, 19 czerwca 2003, godz. 22:34

Przywożenie prac Gordina uważam za rzecz ryzykowną, szczególnie, że wiele za nie zapłaciłeś. W końcu zapewne nie są małe? Możesz mi po prostu napisać, czy wykonane są ploterem, czy też na naświetlarce, na matowym czy na błyszczącym papierze - resztę potrafię sobie wyobrazić. Madame, która rozmawiała ze mną do VIVY, na wieść, że przyjedziesz do Warszawy, zapalała chęcią przeprowadzenia z nami rozmowy, ale ja zacząłem jej perswadować, że to niezbyt fajny pomysł, który siłą rzeczy rozdrapałby stare zabliźnione zadry - tym niemniej, aby nie sądziła, że Ciebie przed nią ukrywam, dałem jej posiadane namiary na Ciebie i powiedziałem, że o ile o to poprosi, to najprawdopodobniej prześlesz jej polską wersję "Zmagań o Beksińskiego", bo ona nigdzie tego nie umie znaleźć. Jeśli do Ciebie zadzwoni, zamailuje lub napisze, to znaczy, że skorzystała z dostarczonych przeze mnie namiarów. Mam nadzieję, że nie jest to wbrew Twojej woli. Oczywiście może też nie napisać, bo to osoba nieco roztargniona.

Roboty na moim pionie balkonowym osiągnęły półmetek. Być może

przed Waszym przyjazdem zostaną zakończone. Załączam widok z mego okna obok sztalug i widok całego pionu.

Zdzisław

19 czerwca 2003

Ja nie chcę, żebyś Ty sobie wyobrażał. Na dodatek pytania, jakie mi zadajesz, co do techniki, są dla mnie niezrozumiałe. Ja chcę Cię zobaczyć z rozdziawioną gębą mówiącego "No, to jest coś!" Wprawdzie rozmiary zdjęć są duże (ponad metr dwadzieścia na ponad metr dwadzieścia), ale też wrażenie dzięki temu jest ogromne. Ja byłbym wręcz nieszczęśliwy, gdybyś Ty tego nie zobaczył i nie zacmokał. A więc wbrew Twym radom przywiozę. Moje zapytanie było, przyznaję, retoryczne.

Przy sposobności przywiozę trzy zdjęcia Bawariego, które oczywiście nie są tej samej klasy, ale którego polubiłem i, mimo narzekania żony, że "to nie to samo", jestem z zakupu zadowolony.

Niestety nie będę się mógł przed Tobą pochwalić głową z brązu, którą kupiłem kilka dni temu, a która jest przepiękna i ukrzyżowaniem, które stoi na moim biurku od pewnego już czasu i razem z głową cieszy oczy.

Oczywiście nie myślę dawać wyrazu moim żalom publicznie i możesz spokojnie sprowadzić tą dziennikarkę na wspólną rozmowę. Jeśli chce ona zobaczyć się tylko ze mną, to też nie widzę przeszkód, choć wolałbym z Tobą. Książkę jej dam, bo wszystkim daję, gdy okazują zainteresowanie Tobą.

Piotr

Czwartek, 19 czerwca 2003, godz. 23:27

Aha! Jeszcze jedno. Czy mail sprzed chyba trzech dni, zawierający reprodukcje ostatnich prac dostałeś, czy nie dostałeś? Jedną z nich zresztą jeszcze przerabiam, a motyla oprawiłem i wisi w mojej pracowni.

Co do Częstochowy, to wyjaśniam dokładniej, o co mi chodziło, gdy napisałem, że w moim odczuciu, bardziej to zaszkodzi memu image niż po-

może. Owóż moim zdaniem, jeśli w ogóle jestem w Polsce przedmiotem jakiegoś tam zainteresowania, to DLATEGO, że jestem trudno osiągalny, nieco lub całkiem na uboczu, trochę ezoteryczny i trochę nieznan. Gdy pojawi się więcej miejsc, gdzie stale będę dostępny, bardzo szybko się opatrę i już nikogo nie będzie to specjalnie interesować. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to, co można nazwać legendą, z reguły musi opierać się na kłanie wtajemniczonych i na trudnym dostępie, na tych, którzy widzieli i tych, którzy znają tylko z opowiadania. Tak to sobie przed paru laty na zimno wymyśliłem, potem z pomocą Sanoka zrealizowałem i teraz obserwuję, jak zaczynasz mi to z impetem burzyć, domagając się na dodatek, bym za to Ci dziękował. Twoje prawo, ale nie wymagaj, bym tańczył ze szczęścia. Ty też nie podziwiałeś mojego planu, tylko nieustannie narzekałeś, że Sanok na końcu świata, tylko harcerze tam docierają etc. No dobra: nikt nie ma receptury na sukces.

Z poważaniem

Mała, pokrętna osóbka

PS: W tej chwili nadszedł kolejny mail. No cóż, chętnie zobaczę Gordina w oryginale, ale wieżć takie ogromne prace... Jeszcze się zastanów. Sto tysięcy możliwości uszkodzenia! Sądzę, że dziennikarka, nastawiona byłaby głównie na żale z mojej i Twojej strony jako, że nie jest wciągnięta w sprawę, ale nagle zobaczyła temat, który nazwała Zborowki- Modigliani i chciała iść tym tropem. Na mnie można wylać nie wiem jakie żale i oskarżenia, bo jestem opanowany, ale jak znam Ciebie, to każda moja uszczypliwość i ironia wkurzy Cię do ostatnich granic - no a mnie trudno byłoby grać rolę Modiglianiego ze związanymi przez siebie rękami (i językiem). Dlatego ten pomysł mnie nie ujął, ale w końcu od Ciebie to zależy. No i od dziennikarki, której - być może - pomysł w międzyczasie wywietrzeje.

Zdzisław

20 czerwca 2003

Gdyby Twoim obrazom groziło opatrzenie się, to dawno bym te, które

posiadam zdjął ze ścian i zwałił do lamusa. Twoje rozumowanie o tajemniczym starcu z gór, niedostępnym i otoczonym legendą mnie raczej bawi, bo na tej zasadzie Picasso powinien nigdy nie zaistnieć, a pełno go w każdym muzeum. Mówiąc wprost, uważam to za naiwne, niedojrzałe mrzonki nastolatka. Tak rozumują czytelnicy komiksów. Twoje odosobnienie i życie anachorety powoduje, że budujesz sobie świat wyobrażeń i traktujesz go zupełnie na serio, na nim opierając czasem zupełnie konkretne poczynania. Stąd zresztą te Twoje nawroty do twierdzenia, że świat jest tylko naszym wymysłem i że poza naszą świadomością jest tylko nicość.

Jadę do Polski samochodem, a Gordin tak zapakował swoje prace, jak tylko Ty byś potrafił zapakować: skrzynka z dykty, osiemdziesiąt śrub, które zamykają wieko. Mógłby po tym przejechać czołg i nic by się temu nie stało. Toteż z tą skrzynką niewiele ryzykuję. A tak jak uwielbiam pokazywać ludziom Twoje obrazy i się nimi chwalić, tak korci mnie, by się przed Tobą pochwalić Gordinem.

Co do dziennikarki, to jeśli jej chodzi o jątrzenie, to dajmy sobie z nią spokój. Jeśli się do mnie zwróci, to powiem jej kilka banałów i na tym się rzecz skończy.

Twoje poprzednie e-maile dostałem razem z reprodukcjami obu obrazów (w tym motyla). Na szczęście nie jest on w moim guście. Tak więc, nie będę cierpiał z tego, że znów sobie zachowujesz najlepszy obraz i że znów nie mam co o nim marzyć. Drugi obraz ciekawy i cieszę się, że go zobaczę.

Roboty na Twoim balkonie i rusztowania, które do niego prowadzą, są rzeczywiście wręcz zaproszeniem dla każdego młokosa, aby się wspiąć i zobaczyć, co by tam można było ukraść.

Dowiedziałem się od Ani, że jestem rakiem (urodzony 27 czerwca).

Piotr

Piątek, 20 czerwca 2003, godz. 15:21

Jak widać polemika nikogo nie przekona, więc zostawmy rzeczy ich biegowi. Sekcja wykaże - jak mawiał pewien radziecki chirurg, gdy problem

dotyczył diagnozy.

Przed chwilą dzwonił jakiś dyrektor z Częstochowy i przyjadą po obraz 25 cm. około godziny 11. Powiedzieli, że oprawiony zostanie zgodnie z moją sugestią. Proponuję takie ramki, jakie wybieram dla siebie. Warszawska firma wykonuje je w Częstochowie i dlatego trzeba na nie dwa dni czekać. W Częstochowie będą więc mieli od ręki. Chcą też nagrać ze mną krótką migawkę na wernisaż. To wszystko. Wysyłam zdjęcia, pokazujące jak wyglądają moje ulubione ramy. O ile budzą Twą odrazę, to wyraż jakiejś sugestie. Obraz podłużny na zdjęciu jest jeszcze węższy, niż ten dla Częstochowy. Posyłam zdjęcie tego samego obrazu co poprzednio, ale poprawiłem tą dłoń, która przedtem wyglądała jak z Damy z Łasicą i strasznie mnie drażniła. Miejmy nadzieję, że przestanie Ci się podobać. Zdzisław

20 czerwca 2003

Wprawdzie nie jest to to, o czym marzą młode dziewczęta w bezsenne noce, ale w końcu ramy są OK. Toteż, jeśli Częstochowa płaci, to każ im je zamówić dla dwóch obrazów: jeden to ten, który od Ciebie kupuję obecnie i który znajduje się w Twoim posiadaniu (i którego rozmiary znasz), a drugi to ten, który poprzednio od Ciebie kupiłem, a który znajduje się u pani Nalewajek (i którego rozmiary chyba sobie przypominasz. Prawdopodobnie 98 na 132?). Jest to w tonacji zielonej klęcząca postać widziana od tyłu. Ci z Częstochowy wiedzą, że obraz znajduje się u pani Nalewajek i że to od niej mają go odebrać. Ale ponieważ to Ty będziesz ich informował, gdzie mają zamówić ramy (na klęczkach błagam o przebaczenie, że tak ogromnym zadaniem Cię obarczam!), to podaj im rozmiary obu obrazów i dokładnie wytłumacz, jak ramy mają wyglądać. Piszę do nich uprzedzając ich o tym.

Piotr

Piątek, 20 czerwca 2003, godz. 17:28

Rozumiem, że obraz odbiorą od pani Nalewajek w tym samym czasie, gdy odbiorą ode mnie. Jeśli coś się myłę - sprostuj. Niech go więc ramiarz pomierzy!!! Rzecz w tym, że nawet padnięcie na kolana nie spowoduje, bym poznał dokładne wymiary obrazu u pani Nalewajek. Generalnie to są obrazy około 98/132. Tym niemniej malowałem je na rozmaitych płytach, które miały rozmaite odchyłki, gdyż zamawiając płyty w warsztacie, gdzie cięto je na szwedzkich maszynach i dokonywali tego specjaliści, zrezygnowałem z, wielokrotnie przez Ciebie wyśmiewanej, pedanterii w związku z tym, każda płyta jest inna, jedne to prostokąty inne romby, inne trapezy i odchyłki są do 2 milimetrów. Różnią się one także od płyt ciętych przed laty przeze mnie i Zosię o jakiś wymiar, ale już w tej chwili nie pomnę jaki (2mm?), bo tych starych płyt od paru lat już nie mam. Jeśli idzie o ramiarzy, to również i oni należą do popieranego przez Ciebie klubu, czyli nie przesadzających z pedanterią, tak więc raz im rama wyjdzie większa, a raz mniejsza. Ostatnio, mimo doręczenia do ramiarza wzorca identycznego (do 1/10 mm) z dwoma (ciętymi jeszcze przeze mnie) formatami, ramiarz wykonał dwie ramy: do jednej wsadził mój wzorec, a co do drugiej, to nawet jej nie pomierzył i zrobił za ciasną. Klient (pedant) sam u mnie oprawił sobie oba obrazy i załączam fotkę zrobioną w momencie, gdy oprawił już jeden, a teraz rozpakowuje drugą ramę, nie wiedząc jeszcze, że obraz (ani wzorec) się do niej nie zmieści. U mnie w tej chwili roboty trwają na moim poziomie. Załączam zdjęcie sprzed pół godziny.

Zdzisław

22 czerwca 2003

Narzekania Ani, że samochód będzie przeładowany i że zabraknie miejsca dla psa, zmuszają mnie do zaniechania projektu jazdy z Gordinem do Polski. Tym bardziej, że muszę wziąć Twoje dwa obrazy, które przyrzekłem Lublinowi.

Oprawimy go więc i powiesimy zamiast Henricot, który na pół roku pójdzie na skład. Pół roku wystarczy, by posprasać przyjaciół i wszystkim im go pokazać.

Stale mi chodzi po głowie to, co mi napisałeś na temat Twojej "strategii": jak dorosły człowiek może być równie śmiesznie naiwny jak Ty z tą Twoją legendą, kultowym, owianym tajemnicą, nieosiągalnym bożyszczem, gdzieś tam daleko za górami, na które się kreujesz. Przypomina mi to niedojrzałość psychiczną Tomka.

Przyjazd Barriere do Polski znalazł się pod znakiem zapytania, bo odkrył on, że nie ma paszportu i zdaje się, że nie uda mu się go załatwić w dziesięć dni. A już wszystko zakupione, bilet samolotowy, pokój w Grand Hotelu i nie sposób tego odkręcić, ani zmienić dat, bo są sztywne. I znów utopiłem 600 euros w błocie.

Piotr

Niedziela, 22 czerwca 2003, godz. 11:45

Zakłęcia typu, że jestem naiwny i psychicznie niedojrzały, nie są w stanie zmienić rzeczywistości, nawet jeśli jest ona tylko urojeniem. Sekcja wykaże kto miał rację, a kto nie. Jedno jest pewne i mam to jak w banku: jeśli nawet wyjdzie na moje i efekt mnożenia moich ekspozycji w kraju przyniesie rezultat negatywny - winą za ten stan rzeczy obciążysz mnie (o ile oczywiście dożyjemy). Ty z samej natury rzeczy jesteś doskonały i bez winy. Porównałeś mnie ostatnio do Picassa pisząc, że jego prace są wszędzie, a nie stracił popularności. Zapomniałeś, że w tym roku i w związku z Częstochową, po raz drugi porównywany jestem przez Ciebie do Picassa. Przed paroma miesiącami napisałeś, że nie jestem Picassem (7.4.2003). Chodziło oczywiście o coś innego, o czym na pewno już zapomniałeś, bo o wszystkim błyskawicznie zapominasz, ale poszukaj w swoich mailach. Otóż to: nie jestem Picassem, który zdobył popularność ogólnowiatową, zupełnie niezwykłą, niczym Napoleon, Hitler i Mona Lisa i nawet na najbardziej zasranej wiosce ściany czy płot robi się w pikasa. Moją skromną, polską popularność usiłuję budować swoimi sposobami, nie robiąc ustępstw artystycznych, ale stosując określoną politykę kontaktu z widzem.

Pytał mnie wczoraj telefonicznie o Twój adres Miliszkievicz, który chce z Tobą przeprowadzić jakąś rozmowę bodajże do "Rzeczpospolitej".

Facet jest dziennikarzem i przed rokiem chyba rozmawiał ze mną w związku z pracą o, niezującym już, Andrzeju Banachu. Podąłem mu telefon i mail oraz powiedziałem, że 27 bm. będziesz w Częstochowie w związku z otwarciem ekspozycji obrazów.

Zdzisław

22 czerwca 2003

Picasse nie jesteś i niesłusznie. Bo Twoja sztuka (jeśli nie Twoja osoba) daleko przerasta jego geniusz i zasługuje na równą, jeśli nie na większą sławę.

Piotr

Niedziela, 22 czerwca 2003, godz. 23:01

Wielkie dzięki za dobre słowo. Starajem się Wasze Błagrodzie.

Zdzisław Stanisławycz

23 czerwca 2003

Zgodnie z podsuniętą mi sugestią (żeby nie powiedzieć wręcz z wyraźnym danym mi nakazem) udałem się do FNACu, by zakupić wskazany mi przez Ciebie aparat fotograficzny. Niestety jest długa lista oczekujących, bo aparat idzie jak woda i Canon nie nadąza z produkcją. Tak więc, żaden FNAC w Paryżu i w okręgu paryskim go nie posiada. Szkoda, bo Ania miała nadzieję uwiecznić uroczystość w Częstochowie i nasze spotkanie z Tobą. Może aparat znajdzie się w jakimś warszawskim sklepie?

Piotr

Poniedziałek, 23 czerwca 2003, godz. 22:56

Na Boga Piotrze! Czy coś takiego jest możliwe, by w Paryżu (!!!) nie było aparatów Canon digital IXUS 400? Przecież nie jeden FNAC chyba sprzedaje sprzęt. Ja w Warszawie kupiłem go w sieci domów towarowych z elektroniką "Media Markt". Są chyba takie 3 domy na peryferiach w Warszawie. Kupiłem na początku maja w Raszynie przy Krakowskiej, ale jest jeszcze na Pradze przy Ostrobramskiej i jeszcze gdzieś. Oczywiście w tych domach nie ma sprzętu profesjonalnego, ale popularny. Myślę, że u nas bez problemu kupisz. Sam bym Ci kupił, ale nadal nie mogę wydaleć się z domu na dłużej niż na 10 minut, po chleb czy jajka do Marc Polu, w zasięgu wzroku, gdyż rusztowanie nadal stoi i postoi jeszcze co najmniej przez tydzień. Poza tym nic nowego.

Zdzisław

24 czerwca 2003

Wskazany mi przez Ciebie aparat fotograficzny dostałem... w naszym supermarkecie. Teraz będziesz mnie musiał nauczyć, jak się nim posługiwać. A to nie będzie proste, bo jest tam tyle guzików, ile gwiazd na niebie. Piotr

Wtorek, 24 czerwca 2003, godz. 19:02

Przecież dodana jest tam instrukcja. Masz bystrą żonę i ona na pewno opanuje ten aparat błyskawicznie. To, co radzę zrobić przed wyjazdem w dłuższą podróż, to dokupić do tego aparatu pamięć lub dwie pamięci, gdyż ta, która jest dodana (zapewne 32 MB) jest za mała. Pamięci teraz są tanie i osobiście radzę kupić pamięć CompactFlash ULTRA 256 MB (raczej dwie po 256 zamiast jednej 512 - mniejsze są szybsze). Najbardziej znana firma to ScanDisk, ale w zasadzie może być pamięć dowolnej firmy. Uwaga: pamięci typu MicroDrive (mikro dysk) nie pasują do tego aparatu. Przeciętne zdjęcie w trybie maksymalnej jakości (superfine) pochłania w zależności od tego, co przedstawia od 1,3 do 2 MB. Czyli na pamięci tego typu dasz radę zmieścić ponad 120 zdjęć superfine, a nawet

w praktyce o wiele więcej. Jeśli kupisz dwie pamięci, to możesz zwiedzać całą Europę, a nie wystrzelasz wszystkiego, szczególnie, że poszczególne nieudane klatki można w dowolnym momencie kasować. Akumulator w tej kamerze jest wyjątkowo trwały i pojemny, ale ja kupiłem na wszelki wypadek drugi, bo jak jeden się rozładuje, to wyjęcie z kieszeni drugiego i wymiana trwa zaledwie kilkanaście sekund. W celu wprowadzania zdjęć do komputera, można posłużyć się załączonym na CD oprogramowaniem (ZoomBrowser) lub użyć oprogramowania dla aparatów cyfrowych, które zintegrowane jest z Windows XP (Ty masz właśnie XP). Do katalogowania materiału (jeśli by go było z biegiem czasu coraz więcej - tak jak to jest u mnie) może posłużyć specjalistyczne oprogramowanie katalogujące dla grafiki i fotografii, które chętnie Ci skopiuję, jak będziesz w Warszawie. Jeśli w końcu chcesz zrobić sobie normalne odbitki, to wystarczy zanieść pamięć do fotografa, który skopiuje wybrane zdjęcia i powiększy na naświetlarce. Jeśli masz zdjęcia w komputerze, to zawsze możesz je nagrać na CDR (nagrywarki są bardzo tanie, a płyty za grosze - w Polsce po złotówce) w dowolnym zestawie i płytę zanieść do fotografa, by zrobił odbitki. W Polsce istnieje też możliwość wysłania ich do fotografa pocztą elektroniczną. Oczywiście wysyłając zdjęcia mailem, z reguły trzeba je pogorszyć lub zmniejszyć, bo inaczej będą szły zbyt długo. Robię to zawsze wysyłając jakieś zdjęcia do Ciebie. Jeśli chciałbyś oprogramowanie do tej roboty, to też chętnie Ci je skopiuję. No, ale na razie naucz się pstrykać.

Cześć. Zdzisław

PS: Rzecz jasna, że gadżetów dodatkowych dla fotografii cyfrowej jest obecnie zatrzęsienie. Za grosze są miniaturowe czytniki pamięci, do których wtyka się pamięć i kopiuje zawartość do komputera. Dla podróżników są miniaturowe, ale pojemne banki pamięci, które kopiują zawartość wprost z aparatu lub wtyka się do nich, w celu skopiowania, pamięć wyjętą z aparatu, istnieją nawet przenośne kieszonkowe nagrywarki CDR. To wszystko na później.

24 czerwca 2003

Wystarczy poruszyć choćby najniewinniejsze zagadnienie techniczne, a Twoje listy stają się od razu obszerne, szczegółowe, pisane z zacięciem i wręcz proszące się (w podtekście) o dalszą rozmowę. Mija dysleksja, problemy krzyża, kolana i paznokcia na palcu u nogi.

Rzeczywiście żona jest o wiele bardziej bystra w tych sprawach ode mnie, ale ona nie słuchała objaśnień ekspedientki, bo była właśnie obrażona na mnie i w tym momencie odwróciła się ostentacyjnie plecami. Teraz będzie musiała wszystko sama odkrywać. Ale wiem, że pójdzie jej to łatwo. Tak jak radziłeś, kupiłem dodatkową pamięć, taką właśnie, o jakiej piszesz. Natomiast nie mieli w sklepie zapasowej baterii. Ale też w porównaniu do Ciebie, ja robię bardzo małą ilość zdjęć. Toteż ta bateria, która była dołączona do aparatu, wystarczy mi na długo, zanim trzeba ją będzie od nowa naładować.

Piotr

Środa, 25 czerwca 2003, godz. 08:19

Podobnie zachowujesz się Ty, gdy tematem listu są jakieś perturbacje polityczne. Każdy ma zakres rzeczy, który lubi i na którym się jako tako zna, oraz zakres, który go prawie nic nie obchodzi i o którym, w związku z tym, bardzo niewiele wie. Gdy napotykam w jakimś czasopiśmie artykuł dotyczący nowej technologii w budowie matryc CCD, to czytam go dokładnie od deski do deski, a gdy przy artykule zobaczę oblicze Chiraca, Busha lub Schroedera, lub też bezrobotnych z transparentami, nie rzucam nawet na to okiem, tylko szukam innej strony. Nikt na tym świecie nie interesuje się wszystkim i nawet nie jest w stanie tego robić. Nawet dziennikarze.

Zdzisław

25 czerwca 2003

A ja sobie wymarzyłem, że z Tobą to tak można o wszystkim...

Za chwilę wyruszamy. Jak na złość spałem dziś tylko 3 godziny i będę się

w ciągu dnia czuł okropnie.

Oddawać kierownicę Ani boję się, bo ona prowadzi rzadko i nie ma refleksu równie automatycznego jak ja, który prowadzę codziennie. Mam jednak nadzieję, że dotrzemy do Ciebie cali i zdrowi.

Piotr

Wtorek, 15 lipca 2003, godz. 17:30

No, to już jesteśmy jesteśmy z powrotem.

Wracając z Polski zatrzymaliśmy się najpierw w Dreźnie, a potem w Monachium, żeby obejrzeć tamtejsze zbiory. W Dreźnie byłem czterdzieści lat temu, jako zupełnie młody człowiek, raczej zwiedzający świat, niż muzea. Toteż niewiele pamiętałem z tamtej podróży. I dobrze zrobiłem wracając na to samo miejsce, bo było co oglądać. Oczywiście nie myślę o wielkich nazwiskach i sławnych obrazach, bo te niewiele mnie poruszyły, a nawet mocno zmęczyły. Było tam wiele Rembrandtów, Cranachów, Vermeerów, sławna Madonna Rafaela, Rubensy, Venus Giorgione (zupełnie jak poupee gonflable), kilka wspaniałe, ale nudnie namalowanych martwych natur holenderskich, piękny portret Durera Bernharda von Resen. Ale dopiero w budynku "Nowych mistrzów" było to, co jak mówi mistrz Beksiński najbardziej lubią tygrysy: wielki, piękny i imponujący tryptyk przedstawiający pole bitwy Otto Dix'a, który wydaje się, jakby był pierwowzorem Guereniki z wyciągniętą ręką o rozczapierzonych palcach, nogami i głowami poodrywanymi od ciał i rozrzuconymi to tu, to tam po powierzchni obrazu, a wreszcie szesnaście obrazów Caspara Dawida Friedricha, z których cztery nieprawdopodobnie piękne. Takich fioletoów, żółci, oranżów na niebie nie ma u żadnego malarza. I takiej atmosfery żalu, rezygnacji, melancholii w promieniach zachodzącego słońca. Coś wspaniałego. Spędziłem na tej sali chyba ze dwie godziny, przyglądając się temu to z oddali dwóch centymetrów, to znów z ponad dwóch metrów i nie mogąc się nacieszyć widokiem.

Ale rewelacja była zupełnie gdzie indziej. Był nią nieznanymi malarz niemiecki z XVIII wieku, niejaki Christian Seybold. Jego pięć portretów, w tym jednego autoportretu, nie zapomnę do końca życia, bo takie

techniki nie widziałem u nikogo, prócz amerykańskiego hyperrealisty De Andrea, który robi rzeźby nagich kobiet tak ludzaco podobne, że nawet patrząc z centymetra odległości ma się wrażenie żywej osoby, tak tam każda żyłka, każda pora, każdy włoszek są dokładnie odtworzone. Otóż ów Seybold robił tak samo pędzlem już przed dwustu pięćdziesięciu laty. Najbieglejsi nie potrafili, nawet w części, oddać tak skóry, tęcza oka, brodawki, sieci zmarszczek, chropowatości skóry, rzęsy, koloru i wilgotności ust etc. To coś wręcz niesamowitego. Ty, który zazdrościłeś Jerce, że "tam tak każdy włoszek wyciągnięty..." nareszcie byś zobaczył mistrza, który Was wszystkich o dwie głowy przerastał. A przecież kompletnie nieznanymi i nawet w encyklopediach malarstwa nie podawany.

Za to Monachium rozczarowało nas. Oczywiście nie mówię o Pinakotece Modernej, której nowo wybudowany gmach zachwalała francuska prasa, ale który nie ma w sobie nic nadzwyczajnego (zwłaszcza, gdy się go porównuje z Guggenheimem w Bilbao, o którym wiesz jak wygląda, bo Ci go pokazywałem) a to, co w niej się znajduje, jest zupełnie do dupy. Brzydkie lub po prostu śmieszne. Widząc w masie ekspersjonistów niemieckich (których już dobrze znałem z retrospektywnej wystawy w Paryżu kilka lat temu w Musée de la Ville), utwierdziłem się w przekonaniu, że są szpetni i że ich sławetna ekspresja do mnie nie przemawia, za to odstręcza mnie ich sposób malowania. Co do konceptualnych przedmiotów i instalacji, to nawet nie wypowiadałem się na ich temat, takie jest to ewidentne nabijanie gości w butelkę (a propos, namaluj faceta nabijanego w butelkę i nazwij obraz "sztuka konceptualna". Na pewno zyskasz polklask, przynajmniej mój. Skoro Manzoni mógł zarobić forszę na puszkach konserw z napisem "To jest gówno artysty" a Magritte na obrazie jabłka, na którym napisane jest "to nie jest jabłko", to Ty mógłbyś wyrobić sobie nazwisko śmiałego konceptualisty malując małego, biednego, umęczonego człowieczka nabijanego w ogromną butelkę przez tutejszych bonzów kulturalnych).

Co do Nowej Pinakoteki, to żaden z Friedrichów mnie nie zadowolił i na ogół nic mnie tam nie zainteresowało. Tylko mało znany symbolista Unger, bardziej znany Khnopff i jeszcze bardziej znany Stuck przykuli moją uwagę. A w starej Pinakotece oczywiście obraz Aldorfera "Bitwa pod Ipsos" był tak naprawdę jedyną wielką atrakcją. Reszta była dość nudna

i monotonna.

Aha, powracając do Drezna muszę nadmienić Joos van Cleve, którego "Adoracja dzieciątka Jezus" była niezwykle piękna i długo, długo się jej przyglądałem. Że też już w tamtych czasach, w XVI wieku, tak potrafili malować, jak dziś nie są w stanie nawet ci od "trompe l'oeil". Musiałem przyznać przed Anią (która go nie bardzo lubi w przeciwieństwie do mnie), że nawet Poirier, najwybitniejszy spośród współczesnych francuskich "trompe l'oeil", był słabszy!

Po przyjeździe do domu masa listów, spraw zawodowych i upał. Za kilka dni jedziemy do Szwajcarii z Barrierem na spotkanie z Gigerem, a potem z Anią na południe, do Prowansji, gdzie wynajęliśmy, jak co roku, dom na cały sierpień.

Barriere pokazał mi album Ciurlionisa. Nie wszystko mi się tam podobało, ale to znakomity malarz i mnie bliski, bo często syblizujący i czasami zbliżony do mojego ulubionego belgijskiego malarza (którego wiele obrazów widzieliśmy rok temu w Ostendzie i w Brukseli) Spiliaerta. A coraz bardziej odkrywam w sobie predykcje do romantyzmu i symbolizmu. Stąd może moje zainteresowanie Twoim malarstwem, które choć fantastyczne na pierwszy rzut oka, to w duchu i ekspresji bliższe jest romantyzmowi i symbolizmowi niż Siudmakowi, Odilon Redon lub Moreau (to porównanie Siudmaka do francuskich, uznanych sław, może Cię zaskoczyć. Ale znam wszystkie ich obrazy, bo je na własne oczy oglądałem i mogę Cię zapewnić, że są czasami równie chałowe jak te kicze Siudmaka).

Piotr

Piątek, 18 lipca 2003, godz. 12:19

Mam taki układ - spowodowany zakładaniem klimatyzacji w odstępie 2 letnim - że silny agregat mam podłączony do małej pracowni komputerowej, a o wiele słabszy, podłączony jeszcze przed dwoma laty w pracowni głównej. Ponieważ do pracowni komputerowej nie ma drzwi, to w gorące dni włączam tam klimatyzację do oporu, nie włączając tej starej w dużej pracowni, bo nie przepadam za zimnym podmuchem, dzięki czemu po

jakimś czasie w całym mieszkaniu robi się nieco chłodniej, ale w samej pracowni komputerowej - mimo braku drzwi - zaczyna być jak w zamrażarce. Teraz, by odpisać na list, musiałem ubrawszy sweter wyłączyć agregat, otworzyć okno ale i tak wszystko, czego się dotknę, jest takie, jak w zimie.

Nie odpowiadałem na Twój duży mail, bo w zasadzie był felietonem z podróży po niemieckich Muzeach, a ja nie potrafiłbym dodać tu nic od siebie, bo wszystko, co kiedykolwiek widziałem ze sztuki dawnej, było tylko reprodukcją, a nawet tego nie oglądam za często i za wiele. Jedyna refleksja, jaka nasuwa mi się po przeczytaniu takiego tekstu, to myśl o tym, jakby mnie cholernie rozboleły nogi i krzyże, gdybym tyle obrazów musiał zaliczyć. Na dodatek moja wrażliwość kończy się po paru obrazach, a jeśli jest między nimi coś (w moim odczuciu) wybitnego, to potem jest już jak z piwem. Nawet lepsze piwo mniej smakuje, gdy pije się je jako drugie z kolei.

O ile dobrze rozumiem termin "trompe l'oeil", to chyba nie usiłowałem się nigdy ścigać na tym obszarze z najlepszymi i nawet w okresie, gdy mnie chwalono za wylizywanie, daleki byłem od mistrzów w tym zakresie, co - jak myślę - w ogromnej mierze wynika z mego lenistwa i zmęczenia tematem. Obecnie męczę, walcząc z bólem krzyży, niewielki obraz przedstawiający wagon lub tramwaj w stanie śmierci technicznej i na pewno pomogłoby tu wylizanie, ale mam go już nawet w tej chwili dość.

Nie wiem, czy znasz współczesnego malarza, należącego do nurtu wiedeńskiego neo-manieryzmu, niejakiego Rudolfa Hausnera.

Wyobraźnię ma nieco ograniczoną przez stereotyp, ale precyzja niektórych rzeczy (aczkolwiek nie realistyczna) wydaje mi się olbrzymia. Widziałem w Warszawie przed wielu laty jego wystawę ze zbiorów Wiedeńskiej Albertiny. Zrobił na mnie ogromne wrażenie precyzją malowania. Obrazy były prawie wszystkie zamknięte w ogromnych pleksiglasowych pudłach (szklane trumny), idealnie widoczne, ale niemożliwe do uszkodzenia. Co do Moreau, to rzeczywiście porównywanie go z Siudmakiem, czy nawet Borisem Vallejo <http://www.artsforge.com/boris/vallejo.html>, który jest chyba najbardziej znanym remiechą od tego typu malarstwa, wydaje mi się ryzykowne, ale nie będę się wypowiadać. Mnie się wydaje, że niektóre rzeczy Moreau miały jednak na mnie wpływ. No nic - biorę się

do pracy przy wagonie.
Zdzisław

18 lipca 2003

Oczywiście Hausnera znam. Namówiony przez krytyka Rando (ten, którego tekst znajduje się w moim albumie), który myślał, że Tworzy się wybitna galeria sztuki fantastycznej (a on jest specjalistą od sztuki fantastycznej), gdy zaraz po Tobie wystawiłem Henricot, Hausner zaproponował mi wystawę na rue Quincampoix. Byłem jednak wtedy zbyt łakomy po sukcesie, jaki odniosłem w Japończykami. Toteż Hausner spłoszył się, gdy mu zastrzegłem, że za wystawę galeria pobiera jeden, dowolnie przez nią wybrany obraz. Dziś już nie żyje.

Gdy pisałem o fenomenalnej technice Seybolda, mówiłem o innej zdolności niż ta, którą mają trompe l'oeil czy też Siudmak. Tam twarz była jak żywa. To nie były gumowe kukły. Wystarczyło klasnąć w ręce albo powiedzieć "halo!", a uśmiechająca się głowa odwróciłaby się i postać odezwałaby się. No i nie było tam za źdźbło tego ohydneho, taniego, pomyjowatego gustu jak u Siudmaka, tych dziewic ze skrzydłami i tych młodzieńców o anielskich twarzach z kartonu. Takich jak Siudmak i ten facet, którego stronę internetową przed chwilą mi wskazałeś, są setki. Dzyga jest jednym z nich. To fajny facet i jak Ci to już pisałem, wielki Twój wielbiciel. Ale po mistrzowsku maluje takie same kicze.

Z wielkich techników, po Seyboldzie i po XVI i XVII wiecznych Holendrach, to bym raczej typował tutejszego, współczesnego Poirier. On też już nie żyje. Ale to, co malował, to było prawdziwe malarstwo. Tam była kompozycja, tam był duch, tam był żart, a przede wszystkim z jego obrazów aż tchnęło piękno. Gdyby mnie było stać na kupno jego obrazów, to z pewnością kupiłbym ich sobie z dziesięć. Najdziwniejsze, że był to człowiek skromny, który stale wystawiał na tych wszystkich szajsowatych salonach, na których na początku musiałem Ciebie wystawiać, bo żadna galeria nie chciała tego zrobić. A Poirier kontynuował wystawianie tam niejako z poczucia solidarności dla małuczkich, mimo tego, że jego obrazy kosztowały ponad milion franków, były wystawiane w burżuazyjnej galerii Minet naprzeciwko Pałacu Elizejskiego, na placu Beauvau, i nawet

za takie ceny miały więcej nabywców, niż Poirier był w stanie zaspokoić. Mnie też nogi odmawiały posłuszeństwa podczas zwiedzania tych wszystkich muzeów. Zawsze mi się marzy, że znajdzie się jakiś inteligentny dyrektor takiej instytucji i pozwoli na wynajmowanie foteli na kółkach, w których mógłbym, nie mecząc się, bo siedząc, oglądać sobie wszystko do woli. Bo ja jestem długodystansowcem. Oglądanie jednego obrazu przez długie minuty, a nawet czasami przez godziny nie tylko nie męczy mnie, a wręcz jest niezbędne, żebym go w pełni odczuł i docenił.

Ostatnio, właśnie przez to, że się spieszyłem, spieprzyłem wizytę w Musée Luxembourg, gdzie wystawiali szkole z Barbizon i Gaugina. Ania musiała zostać na zewnątrz w samochodzie, bo byliśmy źle zaparkowani. Toteż zwiedzaliśmy wystawę na zmianę. A ponieważ bałem się jej narzekań, to pospiesznie rzuciłem tylko okiem na każdy obraz i po dwudziestu minutach wyszedłem, żeby jej ustąpić miejsca. A teraz żałuję, bo wystawa wyjechała z Paryża na północ Francji i już jej nie zobaczę. A były tam piękne i warte przyjrzenia się im dokładnie rzeczy, w tymi kilka doskonałych obrazów Gaugina.

Piotr

18 lipca 2003

Pisałem dziś o wystawie w Musée de Luxembourg w Paryżu obrazów Gaugina i malarzy ze szkoły z Barbizon. Oczywiście myślałem o szkole z Pont Aven. Za lapsus przepraszam.

Piotr

Sobota, 19 lipca 2003, godz. 08:33

Rzucasz perły przed wieprze, a potem się tłumaczysz, że przez pomyłkę rzuciłeś niewłaściwe. Dla mnie różnica między szkołą Barbizon i Pont Aven jest taka, jak dla Ciebie między najnowszą kartą graficzną firmy Matrox i firmy Creative. Gdzieś mi się te nazwy objęły o uszy, ale niczego dla mnie nie oznaczają. Jestem z historii sztuki gorszy, niż my-

ślisz! Interesuje mnie to, co sam robię i ewentualnie zbliżone syndromy. Często spotykałem się w recenzjach ze stwierdzeniem w stylu: "widać, że autorowi nieobce są dokonania XYZ", a tymczasem jeśli coś mi jest nieobce (wizualnie!) to tylko to, co z gazet lub telewizora zaczepia czasami na chwilę o moje oko, w sposób równie chaotyczny i przypadkowy, jak twarze ludzi oczekujących na metro, widziane z okna wagonu, w którym sobie siedzę. Oczywiście znam obrazy Gauguina, wiele z nich lubię, ale trafiałem na nie tak, jak na kolorowe pocztówki, które wypadły z tonącego statku i pływają po falach: raz Gauguin, a innym razem Britney Spears lub myśliwiec F-16. Jestem w dziedzinie historii sztuki jeszcze bardziej niedokształcony niż w polityce. Coś tam najogólniej pamiętam ze studiów, ale dotyczy podziałów w sztuce przeszłości i to podziałów najogólniejszych: barok - gotyk etc. Rozmowa np. z Wańkiem, który wykladał historię sztuki powoduje, że mogę tylko słuchać lub czasami strzelić jakimś bezpiecznym kalamburem. Zatem przykro mi, ale rozmowa ze mną o kierunkach i historii sztuki jest tak samo owocna, jak rozmowa na ten temat ze sprzątaczką. Nie wyrosłem oczywiście sam z siebie, ale wyrosłem w oparciu o te kolorowe fotografie, które pływają po oceanie lub o to, co przelatywało przed oknami wagonu, którym gdzieś jechałem.

Zdzisław

PS: Pogoda się skończyła, a krzyże nadal bołą. Wezmę od rana prochy. Tracę powoli cierpliwość i odporność.

19 lipca 2003

Twoje bóle, dawniej głowy, dziś krzyża napawają mnie niepokojem, jakby o mnie samego chodziło. Bo jeśli tak miałyby i mnie boleć na starość, to chyba lepiej odkorkować pomagając sobie w tym aktywnie.

Zazwyczaj twórcy oglądają czy czytają prace innych twórców, bo coś by sobie z nich chcieli ściągnąć, czymś się zainspirować. Twoja wyobraźnia malarska jest tak ogromna, że niczego takiego nie potrzebuje. Toteż nigdy nikt nie zarzuci Ci w przyszłości, że zamykając się w swojej dziupli, oderwałeś się od rzeczywistości lub, że przeszedłeś obok niej.

Piotr

Niedziela, 20 lipca 2003, godz. 09:09

Dzięki za komplement, ale nie mam o sobie aż tak dobrego zdania. Co do cierpień somatycznych, to przecież znane jest stare angielskie powiedzenie: jeżeli mężczyzna po czterdziestce budzi się rano i nic go nie boli, to znaczy, że umarł. Przesunęliśmy już ten wiek do ca 60 i zapewne przesuniemy dalej, poza tym jedni cierpią bardziej, inni mniej, jedni odczuwają z tego powodu większy dyskomfort, inni mniejszy, nie ma reguły - dla mnie życie ma nadal wartość, chociaż gdybym przed 30 laty wiedział bez czego będę się musiał obejść i co w zamian za to znosić, to pewnie myślałbym tak samo, jak Ty.

Zdzisław

22 lipca 2003

Cud się stał pewnego razu, oj, Bekiński powiedział "dziękuję". Takie małe "dziękuję" powiedziane mimochodem. Ale jednak. Jak go znam od dwudziestu lat, tak po raz pierwszy wyrwało mu się niechcący. No, no! A myślałem, że już nigdy go nie wykszтусi, że się raczej udławi, że się zaperzy, że się zadusi, że... no ale jednak poszło! Co za ulga!

Wysłałem marną, pociętą w kawalki reprodukcję Aldorfera. Jeśli coś z niej wywnioskujesz, to jesteś zuch.

Co ostatnio namalowałeś? Wyślij fotkę, tak jak wyślij fotkę również tego obrazu, który był na sztaludze, gdy odwiedzaliśmy Cię. Robię sobie potem z tych fotek odbitki na papierze i zbieram. A nuż kiedyś na tym zarobię?

Pojutrze jadę z Barrierem do Gigera. Nie bardzo mi to w smak i nie bardzo wiem, czemu mam to finansować, ale tak sobie zażyczył twórca, to też wykonuję. Podobnie było z Dziworskim: "nie trzeba krępować polotu artysty". Tak to sobie tłumaczyłem i dawałem forszę na każdą jego nową zachciankę. Jak widać nadal mi to nie przeszło.

Piotr

Wtorek, 22 lipca 2003, godz. 16:47

Czy Barriere ma coś wspólnego z Dziworskim?

I pomyśleć, że gdy obwieściłem światu, że zamierzam zostać Artystą, uruchomiła się cała Rodzina i znajomi, którzy mieli jak widać w tej mierze przykre doświadczenia i także wspomnienia i zaczęto słać do mej mamy listy pasterskie z sugestiami, by mi to wyperswadowała. W jednym z listów, wysłanych przez jej głuchą przyjaciółkę, przeczytałem, za mamy pozwoleniem, tekst brzmiący mniej więcej tak: "niech Zdzisio, który ma fach w rękę, zarobi trochę pieniędzy, a będzie mógł zostać mecenasem i popierać młode talenty, ale niech sobie wybije z głowy karierę artystyczną". Jak widać pisane Ci jest wykonywanie tego, od czego udało mi się uciec. Czyżby w Twej młodości było podobnie, a tylko zastosowałaś się do wymogów rodziny i otoczenia?

Barriere sprawił na mnie wrażenie faceta nawiedzzonego. Znam ten typ i w układzie bezpośrednim potrafię się dostroić, tym niemniej tłumaczem w obu kierunkach był ktoś uważający się za racjonalistę. Zrobiła się z tego 3 osobowa wieża Babel z jej pomieszaniem języków. Wszyscy powinniśmy budzić współczucie, ale najwięcej napracowałaś się Ty, bo w obu kierunkach. Podobny układ miałem, korespondencyjnie udzielając przed kilku laty wywiadu, niejakiemu Damianowi Michaelsowi z Australii, za pośrednictwem brata Nyczka, który jest polskim Australijczykiem i jeszcze większym racjonalistą niż Ty. Gdy dopisał do wywiadu dwa dodatkowe pytania od siebie, to bałem się na nie odpowiadać, aby się uduchowiony Michaels nie obrazził, że ktoś go do tego stopnia ściąga na ziemię. Tymczasem z samym bratem Nyczka całkiem miło mi się rozmawia. Jak widać umiem być kameleonem - jeśli zależy mi na nie drażnieniu rozmówcy. W pewnym zakresie, rzecz jasna.

Co do obrazów, to postać stojąca przeznaczona jest do kawalerki. Wagon jest mały czyli 92/73, z trochę nachalną symboliką numerologiczną, ale jakoś tak zaczął w trakcie roboty zmierzać w kierunku symboliki osobistej i tak już zostało.

Zdzisław

Załącznik (Nowy obraz "Wagon") na stronie XXX

27 lipca 2003

Byłem w Szwajcarii z Barrierem, gdzie zobaczyłem niezwykle muzeum sztuki "brute". Wielkie, wielkie wrażenie. Po czym zwiedziłem muzeum Gigera i spotkałem się z nim. Barriere starał się go wypytać (bez większego skutku) o wpływ na jego wyobraźnię pobieranych substancji halucynogennych. Postawione bez wstępów pytanie aż замуrowało Gigera ze strachu, że ktoś chce go uwikłać w zwierzenia, które zaprowadzą go do paki. Potem jednak rozluźnił się. Spędziliśmy z nim kilka sympatycznych godzin.

Ponieważ na "felietony" nie odpowiadasz, toteż nie piszę niczego więcej o tej podróży.

Przez miesiąc będę na południu Francji bez e-maila.

Piotr

Niedziela, 27 lipca 2003, godz. 17:11

Dzięki za informacje. Giger jest z rodziny farmaceutycznej, więc pytanie o prochy, spanikowało go podwójnie. W końcu via apteka wiele można załatwić, ale naiwność krytyków, wyobrażających sobie, że można pod wpływem prochów i alkoholu malować obrazy takie jak Giger, jest wręcz piramidalna. Można, ale takie jak van Gogh lub jak Ensor. Tam, gdzie w grę wchodzi precyzyjne rzemiosło, tam nie ma miejsca na trzęsącą się rękę i zmąconą świadomość.

Dostałem reprodukcję obrazu Altdorfera. Nie znałem go. Zapewne niedokładna reprodukcja i złe (jak piszesz) kolory powodują, że jakoś nie wzbudza we mnie aż takich emocji jak w Tobie, ale oczywiście krajobraz w tle i niebo są bardzo oniryczne. Miałem dawniej takie sny z niekończącą

się perspektywą i niezwykleymi chmurami. Nawet teraz czasami wracają w wersji poronnej. Zawsze przygotowuję wtedy gorączkowo aparat fotograficzny, ale jak na złość wysiadają baterie i zaczynam szukać zapasowych, ale te, które wkładam do aparatu, wyglądają jak surowy kotlet, a w trakcie ich wsadzania zabrudziłem obiektyw. Wreszcie patrzę na chmury przez wizjer, ale widzę tam tylko gasnącą żarówkę i prawie nic innego nie widać, nie działa taster w aparacie, a w końcu nie ma już chmur i niezwyklego nieba, tylko jakieś mizerne resztki. Miłego urlopu.

Zdzisław

27 lipca 2003

Zanim spakuję komputer do samochodu jeszcze jedno pytanie: Piszesz, że "Miałem dawniej takie sny z niekończącą się perspektywą i niezwykleymi chmurami. Nawet teraz wracają w wersji poronnej. Zawsze przygotowuję wtedy gorączkowo aparat fotograficzny..."

Nic z tego nie zrozumiałem. Co znaczy w "wersji poronnej"? Czy aby nie "porannej"? Ale wtedy czy chodzi jeszcze o sny, czy już o rzeczywistość? Bo o ile, jak piszesz, rzucasz się wówczas do aparatu fotograficznego, to chyba chodzi o prawdziwe chmury? A może to tylko metafora z tym fotografowaniem i nadal chodzi o sen? Bo o ile pamiętam, to w jednym z wywiadów z dawnych lat użyłeś tego właśnie przenośnego wyrażenia, które miało określać Twój zamiar artystyczny i "to, o co tu chodzi": "sfotografować sen".

Wyjaśnij, bo to ciekawe.

Ponieważ będziesz udawał, że nie wiesz, co to jest "art brut" to precyzuję, że chodzi o sztukę ludzi psychicznie chorych lub prostaczków, którzy nigdy nie widzieli muzeum, ani nie uczyli się malarstwa. Tak ich zdefiniował Dubuffet, który, jak wiesz, sam jest znanym twórcą "art brut" i założycielem tego wspaniałego muzeum, które chciał ponoć podarować Francji, na co inteligentni urzędnicy kultury tego kraju, tak jak i mnie, grzecznie odpowiedzieli mu "nie, dziękujemy". Tak więc muzeum dostało się Szwajcarii.

Naprzeciw mojej galerii była galeria Ceres Franco. Nazywała się "L'oeil

de boeuf" i pokazywała sztukę "brut". Ceres była uroczą osobą i jedną z nielicznych, które były rzeczywiście zafascynowane Twoimi obrazami, gdy szukałem dla Ciebie galerii i obchodziłem cały Paryż z reprodukcjami z kalendarza, jaki mi podarowała Wahl, pod pachą. Jednak jej artyści byli słabi i, sądząc po nich, ta sztuka nie wydawała mi się interesującą.

Dopiero gdy zobaczyłem teraz, w masie dobrze preselekcjonowanych mistrzów, to już na samym początku wystawy stanąłem z rozdziawioną gębą. Dlatego samego muzeum warto było jechać do Lausanny. Z wdzięczam to Barrierowi, który wbrew temu, co mówisz, nie jest absolutnie "nawiedzony", a przynajmniej nie więcej niż Ty, bo ma bardzo zbliżone myślenie do Twojego, choć w przeciwieństwie do Ciebie jest ono klarowne i przejrzyste.

Te kilka dni spędzone z nim w samochodzie i na zwiedzaniu były bardzo przyjemne. Ale też w rozmowach z nim poczułem się maleńkim, niedouczonego amatorem. Ma on kolosalną wiedzę o kulturze i o filozofii, pamięta setki nazwisk, tytułów i tekstów, czym zaimponował mi ogromnie. Jest to typowy przykład hipisa filozofa, który zwiedził cały świat z plecakiem na ramionach i z torebką haszyszu, LSD i pięciu innych substancji w kieszeni. Wszystko przeczytał, zna sanskryt, odwiedził wszystkie najdalej położone w dżungli na Borneo, czy w Amazonii plemiona, by w trakcie inicjacyjnych rytuałów zażyć z nimi wszystkich możliwych substancji halucynogennych i rozprawiać o duszy i o "esprits" z mnichami buddyjskimi i szamanami z buszu. Ale też, co jeszcze bardziej mi zaimponowało, uprawiał "parapente" i skakał z 200 metrów na elastiku.

Co do muzeum Giger'a to nie wypowiadam się. Nadal nie wiem, co o tym malarstwie myśleć.

Piotr

Niedziela, 31 sierpnia 2003, godz. 11:22

Jestem już w Paryżu. Co do obrazu, to musisz zaczekać jakiś czas, bym się upewnił, czy pieniądze, na które liczyłem, nadejdą. Twój połamany klient i tak na razie ma co innego w głowie.

Piotr

Niedziela, 31 sierpnia 2003, godz. 13:48

Dzięki za wiadomość, że już jesteś w Paryżu. Niestety mój połamany klient dostał na punkcie tego obrazu kompletnego pierdolca i wykonał już kilka telefonów na temat tego, czy Dmochowski kupuje, czy rezygnuje. Nie wiem dlaczego akurat ta praca wywołuje u niego takie emocje, gdyż poprzednio przymierzał się do innego mego obrazu i twierdził, że jest na etapie zbierania gotówki, a gdy mu Łukasz Banach podesłał fotografię tego wagonu, to od razu znalazła się gotówka i facet znosi jajo. To facet, który kupił już ode mnie kilka obrazów. Nie wiem jak teraz somatycznie wygląda, bo gdy Banach zawiadomił mnie o wypadku, to dzwoniłem do niego do szpitala i stąd moje informacje o jego stanie. Osobiście go nie widziałem. Teraz jednak jest już w domu i nawet w pracy i już do mnie wydzwaniał. Tak czy siak nie ponąglam Cię w sprawie gotówki, bo ta potrzebna mi będzie dopiero pod koniec września, lecz w sprawie wiążącej decyzji: tak lub nie, bo facetowi obiecałem dać wiążącą odpowiedź na początku września. Przystępuję na 90% do budowy korytarza łączącego oba mieszkania. Tzn. z mojej strony jest to 100%, ale wszystko zależy od administracji spółdzielni, zgody straży pożarnej, akceptacji architekta etc. Szwagier jest teraz na etapie załatwiania dla mnie tych spraw. W związku z tym będę potrzebować szmal, ale na początku września mam umówionego klienta na postać leżącą z czerwoną głową, wysłaną Ci 7 maja, więc na rozpoczęcie robót (o ile w tym czasie uzyskam potrzebne zezwolenia) będę coś mieć - w sumie jednak będzie tego za mało, więc pod koniec września potrzebować będę kolejnego zastrzyku gotówki. Rynek krajowy kompletnie padł, w galeriach nic nie idzie. Mam jeszcze w perspektywie napalonego klienta z USA, ale to (żeby nie wiem jak technicznie przyspieszać) nie wypali finansowo przed drugą połową października lub początkiem listopada. Kawalerka już nareszcie skończona i chyba w ciągu najbliższych dni postaram się tam przenieść ze spaniem. Poza tym wszystko po staremu. Cześć.

Zdzisław

Niedziela, 31 sierpnia 2003, godz. 17:33

Jeżeli facet ma zajoba na punkcie tego obrazu, to poczeka jeszcze dwa tygodnie. Nic Cię nie zmuszało do zapewniania go, że odpowiedź dasz w początku września. Co do kupna, wypowiem się 10 września. Do tego czasu i Ty i facet poczekacie. Cześć

1 września 2003

Wnętrze prawie luksusowe. Lampę na stole masz taką samą, jak ja. Obrazy prezentują się świetnie. A jak wygląda druga strona pokoju? No i na co biurko? Czy księżna gospodyni będzie pisarką pomiędzy dwoma posiłkami, które Ci będzie pichcić?

Odczyściłem moją pocztę z dziesiątek reklam, jakie nadeszły podczas mej nieobecności tak, iż problemy z przepelnieniem mojej skrzynki i automatycznym odsyłaniem mojej poczty do nadawcy powinny zniknąć. Co nowego namalowałeś?

Przyczyną, dla której muszę odłożyć decyzję, co do kupna obrazu do 10-go, jest idiotyczny incydent z pocztą francuską: list, jaki był mi wysłany przez klienta w Polsce pocztą poleconą zaginął już we Francji. Szukają go wszędzie i ani rusz nie mogą znaleźć. Otóż od tego listu zależą moje pieniądze. Sądzę, że do 10-go sprawa się wyklaruje. Gdyby wyklarowała się wcześniej, to też dam znać.

Piotr

Poniedziałek, 1 września 2003, godz. 12:06

Przecież już mówiłem, że jak na razie nie mam i nie potrzebuję żadnej księżnej gospodyni, tylko przeniosę się tam sam z prześcieradłami, ręcznikami etc. w najbliższych dniach. Biurko jest więc dla mnie. Ilość zakusów na tą kawalerkę zmusza mnie do tego. Czyjs tam syn, z Krosna

obok Sanoka, zaczyna studia prawnicze i szuka stacji, jakaś "bardzo ładna" (opinia innej nieładnej, która sądzi, że z tego powodu odmówiłem jej zatrudnienia jako księżna gospodyni) nie ma mieszkania i zajmie się mną w pełnym zakresie, w końcu ktoś tam chce kawalerkę na razie wynająć ode mnie. Wwwwooooon!!! Przenoszę się tam sam. Mam tam lepszy tapczan, dużą wannę, lepszy telewizor i nawet lepsze magnetowidy z czytnikiem DVD. Gdy zniedołężnieję, zamieszka tam księżna gospodyni. Dlatego właśnie i wyłącznie dla siebie, projektuję to połączenie korytarczykiem, aby gdy sobie w nocy (co mi się nagminnie zdarza) przypomnę, że zostawiłem włączoną drukarkę lub nagrywarę, nie być zmuszonym do wkładania butów oraz szlafroka i forsowania wspólnego holu. Niewiele ostatnio malowałem, ale gdy będę mieć odrobinę wolnego czasu, wyślę Ci fotki. W tej chwili zakładają mi urządzenie do telekonferencji, czyli jakiś videophone i specjalną linię przesyłową, bo specjalista od wystaw z Muzeum w Sanoku wymyślił, że każda moja wystawa połączona ma być z telekonferencją (najbliższa w Poznaniu), a ja nieopatrznie się na to zgodziłem. Aktualnie działają u mnie fachowcy. Cześć.

Zdzisław

Poniedziałek, 1 września 2003, godz. 19:41

Tak jak prosiłeś, wysyłam zdjęcia dwóch namalowanych ostatnio obrazów oraz zdjęcia kawalerki na chwilę bieżącą. Właśnie się tam przenoszę i w związku z tym jeździłem jeszcze do miasta po rozmaite drobiazgi. Co do obrazów, to kończę obecnie trzeci, który jednak już na pewno zostawię sobie, bo moim zdaniem trafiło się ślepej kurze ziarnko. Gdy skończę, to wyślę fotkę. W sumie stereotypowa postać leżąca w stylu obrazu, który kupiłeś dla Częstochowy, ale raz człowiek jest z czegoś bardziej zadowolony, a raz mniej.

Zdzisław

Wtorek, 2 września 2003, godz. 18:32

Skończyłem dziś ten obraz, o którym wspominałem wczoraj i wysyłam jego fotografię. Dziś chyba będę już spać w kawalerce, bo z wyjątkiem pościeli przeniosłem tam już wszystko - nawet lekarstwa. Dogrzewam na razie klimatyzatorem, bo dziś w nocy było na dworze 11 stopni, a teraz jest około 14. W moim mieszkaniu klimatyzatory nie mają funkcji grzania i dogrzewam kaloryferami olejowymi. Koszmarne zimno. Jak w lutym! Nasz blok nadal spowity jest w rusztowania i obecnie przystępują do poprawiania pionu balkonów nad wejściem do bloku. Harmonogram przewidywał koniec robót na całym bloku na koniec lipca, ale jeśli w tym tempie skończą do połowy października, to uznam to za sukces. Na szczęście mnie bezpośrednio to już nie dotyczy. Jeśli jednak szwagrowi uda się załatwić w spółdzielni, by sprzedano mi ten kawałek korytarza i zezwolono na jego zabudowę, to na obrzeżu mego mieszkania ponownie zaczną się roboty i ze względu na procesy technologiczne (wysychanie zaprawy) potrwać co najmniej przez miesiąc. Czyżbym kretyniał rozbudowując się pod koniec życia?

Oglądałem przywiezioną mi wczoraj taśmę z przebiegu wernisazu w Kołobrzegu. Myślę, że trochę przegięli, robiąc jakiś konkurs i sprzedając nawet koszulki z moim podpisem, czego nie ustalano ze mną. Teraz dla Sanoka robi to dawny kumpel Tomka, który poprzednio specjalizował się w organizacji imprez i koncertów rockowych, tak więc jego działania są wprawdzie profesjonalne, ale trochę nadmiernie głośne, jak na moje upodobania. Tym niemniej zorganizował dla celu tych wystaw bardzo dobre przenośne oświetlenie obrazów przy pomocy świetlówek. Teraz na wystawę w Poznaniu organizują tą telekonferencję. Połowa obrazów nadal jest w Sanoku i mieli podobno w tym roku w lecie już 10.000 sprzedanych biletów, więc nie jest najgorzej z tymi harcerzami, którzy się tam (jak twierdziłeś) zapędzają tylko od czasu do czasu. Jeśli zaś idzie o Kołobrzeg, to na monotonnej taśmie dokumentalnej, nakręconej z nieruchomości postawionej kamery, w której ktoś włączał guzik i przekręcał ją tylko od czasu do czasu tak, że nie miałem nawet cierpliwości, by to obejrzeć, widać monitor na którym nieustannie gadam zachwycony sam sobą, a ludzie chodzą, zatrzymują się, patrzą, potem przechodzą dalej, zatrzymują się, patrzą. W tej czynności niepokojąco przypominamy zwierzęta w ZOO. Zacząłem myśleć nad tym, jak idiotyczny zawód wybrałem

i strasznie mnie to zdołowało. No nic. Kończę. Wysyłam kilka fotek z sierpniowej wystawy w Kołobrzegu. Zadowolony tęgi facet w koszulce z moim podpisem, to właśnie Janusz Barycki, organizator wystawy. Ludzie na krzesłach to Ci, którzy każdorazowo chcieli obejrzeć moje gadanie, nagrane przez niego przed dwoma laty, które szło non stop przez okres całej wystawy. Cześć.

Zdzisław

3 września 2003

Zabawne jak Ty, który przechwalasz się jak to Ci nie zależy na sławie i na popularności, a nawet cieszysz się, że gdzieś tam w Sanoku, za mgłami i górami jak anachoreta drzemiesz, a uczniowie udają się do Twego sanktuarium jak na mszę, nagle odzyskujesz werwę i serwujesz zdjęcia z wernisaży, swoje wystąpienia na ekranie i podkreślasz ilość biletów sprzedanych przez muzeum. Świat pełen jest komicznych sprzeczności.

Widzę, że nadeszła nowa generacja niewolników, którzy na Ciebie robią za darmo. I mnie się przy tym upieczę, bo i mój w tym interes, by Twoją metodą, nie musząc nawet powiedzieć dziękuję, nie kiwnąwszy palcem, na zasadzie czystego pasożyta mieć armię lokai, którzy ganiają za sławą artysty, którego mam wiele prac.

Obraz, którego zdjęcie przysłałeś, rzeczywiście bardzo udany.

Coś Ty wymyślił z tym korytarzykiem? Czy on ma być na klatce schodowej, czy też masz przebić ścianę? W sumie to Twoje nowe locum prawie eleganckie.

Piotr

Środa, 3 września 2003, godz. 13:39

Przepraszam, ale zapomniałem napisać co z korytarzykiem, bo w momencie, gdy kończąc pisanie, dowiedziałem się, że nie mam łączności, zaczęły się telefony na linii Warszawa-Rzeszów, z których część przychodziła do mnie na komórkę, tak więc podpisałem i wysłałem mail zapomniawszy

o korytarzyku. Przebić ściany się nie da, bo teoretycznie mógłbym zrobić to tylko na styku mojego tapczanu z ścianką WC, a w tym celu trzeba by przerabiać zakryte boazerią zbiorniki na wodę, nie wspominając już o tym, że jest to podwójna (z dylatacją w środku) ściana konstrukcyjna, mająca w sumie około 60 cm grubości. Korytarzyk (nieco pokraczny) połączy jedne drzwi wejściowe z drugimi. Pokraczność wynikać musi z faktu, że wspólne dla innych lokatorów dojście do zsypu, musi zostać nadal poza obszarem tego korytarzyka. Niezależnie jednak od wszystkiego, będzie to wykonalne i dostatecznie funkcjonalne, o ile oczywiście zgodzi się spółdzielnia. Nie mam od dwóch dni wiadomości, ale to dlatego, że szwagier nie zadzwonił na komórkę, a numer mam odcięty, ale już trwają prace by go ponownie spiąć. Podobno na poczcie w Warszawie odpięli mi analog, a nie włączyli cyfry. U mnie w poniedziałek siedzieli trzech pracowników poczty i to robili. W przedpokoju wisi jakaś skrzynka z zieloną diodą i migającą czerwoną. Jak podepną, to ma się czerwona świecić ciągłym światłem.

Przed każdym moim wystąpieniem na telekonferencji (przewidują i dalsze) przywiozą mi urządzenie z kamerą i monitorem kontrolnym i już tylko wetkną wtyczkę do tego pudełka, pociągną kabel po podłodze do dowolnego pokoju, a potem po konferencji odłączą i zabiorą tak, że nie wprowadzi to dodatkowego zamętu.

Zdzisław

Środa, 3 września 2003, godz. 12:53

Z Tobą jest ten kłopot, że kompletnie zapominasz, co napisałeś, a napisałeś mi (wtedy gdy usiłowałeś mnie przekonać, bym przestał liczyć na ekspozycję w Sanoku i raczej przekazał obrazy innym muzeom), że do Sanoka trafić mogą najwyżej harcerze, którzy zbłądzą w trakcie obozu, czy coś w tym stylu. W razie czego (Tobie trzeba na dodatek wszystko udowodniać) poszukam stosownego cytatu, ale w komputerze mam setki maili i po prostu szkoda mi czasu. Ponieważ w poniedziałek, z okazji zakładania u mnie przez pocztę łącza cyfrowego do telekonferencji, był u mnie Barycki, który na zlecenie Sanoka prowadzi ekspozycje moich ob-

razów w Polsce (w przyszłym roku chce to robić w Kijowie i Pradze, ale z kolei dyrektor Banach łąka się trochę o obrazy), przekazał mi taśmę i zdjęcia z Kołobrzegu i udzielił informacji, że w Kołobrzegu było do tej pory ponad 3.500 sprzedanych biletów, a w Sanoku od czerwca miesięcznie ponad 3.000. Prosiłeś mnie niejednokrotnie o informację wizualną, jeśli ją będę mieć, a więc w dobrej wierzę wysłałem zdjęcia (bo od tego jest łącze mailowe) i udzieliłem informacji w sprawie tych harcerzy - przyznam, że to drugie z satysfakcją, ale innego rodzaju niż sądzisz. Po prostu masz cholerną naturę besserwissera. Ilość informacji, jakie od Ciebie w ciągu całego okresu naszej znajomości otrzymałem, udzielanych zawsze tonem człowieka, który zna zastrzeżony numer Pana Boga i poucza małuczkich, przekraczała czasami moją psychiczną odporność. Oczywiście nie wszyscy ci, którym sprzedano bilety chcieli oglądać właśnie mnie, bo jest tam pokazny i bardzo dobry zbiór ikon ruskich z tych terenów Łemkowskich i Bojkowskich, których nie posiadają inne Muzea i od lat te ikony są wizytówką Sanoka, ale chodziło mi o uzmysłowienie Ci, że z logistycznego punktu widzenia wybrałem Sanok nie historycznie, lecz po namyśle i wcale (jak na razie) nie jest to wybór aż do tego stopnia głupi, jak chciałeś mnie o tym przekonać.

Co do łącza cyfrowego to akurat są jakieś kłopoty, bo przed chwilą dowiedziałem się z rozmowy przez komórkę, że mój domowy numer od dwóch dni nie odbiera, lecz udziela informacji "abonent chwilowo niedostępny". Już dzwoniłem do Rzeszowa, by coś z tym zrobili.

Zdzisław

3 września 2003

Co znaczy "besserisser"?

Właśnie tak myślałem, że rozwiążesz połączenie dwóch mieszkań. Ale w zarządzie Twego domu musiały zaistnieć jakieś zmiany od czasu, gdy prosiłem dla Ciebie o pralnię na górze, która miała Ci służyć za pracownię, bo wtedy byli nastawieni wrogo, choć przekonywałem prezesa, że chodzi o sprawę "narodowej wagi".

Może ów prezes już się przekreślił (czego mu z całego serca życzę i chęć-

nie bym mu w tym pomógł, bo nie zapomniałem upokorzenia, jakiego doznałem z jego strony w wyżej wymienionej sprawie pralni). Jeśli tak, to może dadzą Ci pozwolenie na realizację tego dziwnego pomysłu. Myślę, że jeśli takich wyczynów w dziedzinie frekwencji dokonuje Sanok, to radni stołecznego miasta Częstochowy zrozumieją, że jest w ich interesie doprowadzić projekt muzeum Twoich obrazów (niestety tylko z mojej kolekcji, bo jak zwykle uprzejmie odmówiłeś mi wszelkiej pomocy...) do szczęśliwego końca.

Piotr

Środa, 3 września 2003, godz. 14:28

Besserwisser (z niemieckiego) oznacza dokładnie "lepiej wiedzący". W Galicji jest to określenie tak popularne w języku codziennym, że sądziłem iż podobnie jest w całej Polsce, ale zapomniałem, że zasięgi zaborów pozostawiły swoje określenia tylko w zakresie własnych rejonów. Z problemem tym zetknął się Tomek, tłumacząc całego Monty Pythona. Bardzo często jako zwornik jednego skeczu z drugim, pojawia się tam jakieś angielskie określenie gwarowe, które on przełożył na "a teraz z innej beczki". Szereg osób pytało potem dlaczego użył tak dziwnego określenia, a tymczasem u nas było to określenie codzienne. Z drugiej strony nie zauważamy, że czasem jakieś określenia rodzą się po prostu tylko w jednej rodzinie lub w jednym środowisku i potem człowiek powtarza je innym tak, jakby były powszechne. Waniek napisał mi raz, że niosę jakąś ideę filozoficzną "jak gówno na patyku". Zacząłem tego określenia używać nader często, bo mi się spodobało, ale nie jest to określenie powszechne i może być niezrozumiałe. Przed lat wymyśliłem określenie "powinni tego zabronić" na rzeczy, których zabronić nie sposób jak np. opady deszczu - bo nasza Ludowa Ojczyzna kochała zabraniać. Teraz ktoś być może wziął to pośrednio ode mnie, bo od dwóch lat sieć Hipermarketów "MediaMarkt", oferujących rzekomo niskie ceny, używa na zakończenie reklamy radiowej sformułowania: "MediaMarkt? Powinni tego zabronić". W końcu powiedzenia rodzą się w ten właśnie sposób.

Zdzisław

5 września 2003

Przypominam sobie, gdy miałem 12 lat i moi koledzy ze szkoły nie wiedzieli, co odpowiedzieć na moje argumenty (a miałem ich zazwyczaj więcej niż oni, bo były to dzieci z prostych robotniczych rodzin), to ze złością wykrzykiwali, że jestem zarozumiały i że "ty zawsze wiesz lepiej". Jak widzę u niektórych dorosłych osób występują podobne syndromy. Jak zwykle unikasz odpowiedzi na kwestie dla Ciebie kłopotliwe, które stawiają Cię w lichym świetle.

No cóż, trudno się temu dziwić. W ten sam sposób odpowiadasz mi (lub raczej nie odpowiadasz) od lat na mój nieustanny żal, że nie dotrzymałeś przepisów naszej umowy, nie pozwoliłeś wybrać obrazów na odszkodowanie i kupować co roku pięciu, dowolnie przeze mnie wybranych, obrazów po gołych 1000 dolarów.

Ponieważ są to dla Ciebie dawno przebrzmiałe sprawy, "do których nie ma co wracać, bo już tyle razy o nich mówiliśmy" to mówmy o Twoim korytarzyku.

Jak myślisz umieścić wspólne drzwi wejściowe? Przecież, jeśli postawisz ściankę z gipsu, a w niej owe drzwi, to jedno kopnięcie ją rozwali. Chyba, że za korytarzykiem pozostawisz nadal oboje opancerzonych drzwi do każdego z mieszkań, a korytarzyk będzie po prostu parawanikiem.

Po powrocie z wakacji masa roboty z drugim tomem mojej pracy z prawa międzynarodowego. Ponieważ ostro popracowałem w czasie wakacji, to pojawiła się szansa, że wszystko skończę jeszcze w tym roku. A to dodało mi skrzydeł i cały wolny czas spędzam na ostatecznej redakcji.

Wczoraj spłynęły na mnie jakieś nowe, ale jeszcze niewystarczające pieniądze. Tak, iż deska, która zbliżała się powoli do Twego potencjalnego warszawskiego nabywcy, znów się od niego trochę oddaliła. No, ale decyżę podejmę 10-go.

Piotr

Sobota, 6 września 2003, godz. 08:56

Chodziło mi raczej o to, że nieustannie "wiesz lepiej", ale potem i to bardzo często, okazuje się, że wcale lepiej nie wiedziałeś, a wręcz przeciwnie: gruntownie się myliłeś i to właśnie miałem na myśli, pisząc jeden z poprzednich listów, ale tak jak sobie życzysz, zostawmy temat i mam nadzieję, że nie uznasz tego za "unikanie odpowiedzi na kwestie dla mnie kłopotliwe". Od momentu Twego powrotu z urlopu, zauważyłem u Ciebie nieustanne rozdrażnienie, które skupia się między innymi, a może głównie na mnie, wzorem słynnego stwierdzenia prokuratora Wyszyńskiego: "dajcie mi człowieka, a ja już znajdę paragraf".

Pytasz o ściankę. Nie wiem skąd wzięłeś informację, że ma być z gipsu? W moim planie miała być na ćwierć cegły na zaprawie cementowej 1:3, zbrojona wkładkami z płaskownika. Ścianka taka jest niezwykle odporna i mocna, o ile jej długość i wysokość nie przekroczą pewnych granic. Niestety architekt nie wyraził zgody na taką ściankę, lecz na ściankę na pół cegły (jeszcze silniejszą), której poprzednio nie chciałem, a to dlatego, że w ograniczonym obszarze, w jakim muszę się zmieścić, zmniejsza obszar mego manewru o około 6-7 cm (co jest wielkością znaczącą), a to ze względu na nie dające się przesunąć drzwi do zsypu. Na szczęście przedstawiciel Straży Pożarnej, w zamian za przyjęcie korzyści majątkowych, zgodził się w tym wypadku odstąpić od przepisu z roku 1925, określającego minimalną szerokość drzwi do zsypu na 80 cm i będę je mógł (oczywiście na mój koszt) wymienić wraz z futryną na drzwi 70 cm.

To wszystko na dzień dzisiejszy, ale jeszcze mogą powstać jakieś przeszkody. Na razie korzyści majątkowe, które serwuje tu i tam w moim imieniu szwagier, nie przekroczyły 2.000 zł, co stanowi raptem 8 krotną równowartość tego, co płacę co tydzień sprzątacze (250 zł). Problemy finansowe zaczną się wtedy, gdy trzeba będzie opłacić roboty. Nowe drzwi stalowe, z elektronicznym wizualnym powiadomieniem, zostaną dodatkowo wzmocnione słupami stalowymi przymocowanymi do podłogi i sufitu. W końcu jestem byłym architektem i zdaję sobie sprawę z tego, jak powinna wyglądać konstrukcja. Drzwi do kawalerki zostaną, ale będą stale otwarte, a drzwi do mojego mieszkania zostaną zlikwidowane, a to dlatego, by ewentualna księżna gospodyni (o ile w ogóle nastanie), mogła się oddzielić od zgrzybiałego pracodawcy. Cześć. Zdzisław

6 września 2003

Wyjaśniam przyczynę mego rozdrażnienia.

Będąc ostatnio na południu Francji na wakacjach, wieczorami Ania czytała mi po kilka stron naszej (to znaczy Twojej ze mną) korespondencji przed zaśnięciem.

Robiąc to wpadła na kopię listów zrywających nasz kontrakt, o które prosiłem Cię chyba z rok temu, bo wydawało mi się, że mi zaginęły.

Po lekturze Ania powiedziała "Z tym Twoim zaciętrzewionym tonem przegrasz. Beks pisze spokojnie. To jemu historia przyzna racje w waszym sporze."

Od tego się zaczęło, bo to stwierdzenie poderwało mnie z łóżka tak, aż siadłem.

Tak więc z ofiary mam stać się zaciętrzewionym kundelkiem, który obszczekuje swego pana? Od tego czasu nie mam spokoju.

Żal, jaki miałem do Ciebie odżył i zaczął mnie wręcz dusić. A więc będąc oszukany, ot tak, nawet bez prób usprawiedliwienia się z Twojej strony, bez pretekstów, bez prób jakiegokolwiek zadośćuczynienia, po prostu pisząc "możesz sobie pójść do sądu jak Ci się nie podoba", ja wyjdę na tego, który był winien?!

Powróciła fala wściekłości, jaka ogarnęła mnie, gdy przeczytałem po raz pierwszy owo sławetne, "jeśli chcesz temu nadać bieg sądowy, to rób jak chcesz", wiedząc, że oczywiście nigdy do sądu nie pójde, choć gdybym poszedł to wygrałbym bez najmniejszej trudności, bo oba pogwałcone przez Ciebie przepisy naszej umowy są jednoznaczne i nie podlegają żadnej interpretacji, za którą mógłbyś się schować - i mnie historia ma odmówić racji tylko dlatego że ja się unoszę a Ty wypierając się wszelkiej odpowiedzialności za złamanie święcie danego słowa zachowujesz spokojny ton?!

To, co było na dodatek nieznośnego w Twoim zachowaniu i co do dziś mi stoi ością w gardle to to, że poszedłeś w zaparte. Wielokrotnie uprzedzam mych klientów: okażcie skrucę, przyrzeknijcie poprawę, obiecując jakieś zadośćuczynienie za zło, które żeście zrobili. To może sąd jakoś

zaakceptuje. Nie idźcie w zaparte, bo to tylko doprowadzi go do takiej złości, że wlepi wam najwyższy wymiar kary. Tak było jeszcze niedawno, gdy bronilem jednego z trzech grubych przestępców przed sądem przysięgłych. Jeden z nich poszedł właśnie w zaparte. Jak każdy idiota, mój klient też chciał pójść w jego ślady. Z najwyższym trudem przekonałem go, żeby choć trochę okazał skruchy i choć bąknął "przepraszam". Co w końcu zrobił. Toteż tamten dostał 10 lat, a mój tylko 6, mimo że zrobili dokładnie to samo.

Twoja postawa idącego w zaparte jest jedną z zasadniczych przyczyn mego najgłębszego żalu do Ciebie. Gdybyś próbował jakoś załagodzić, coś zaproponować w zamian, jakoś starał się rzecz naprawić, nawet nie ustępując na tych dwóch punktach naszej umowy (prawo wyboru w ramach odszkodowania i prawo zakupu co roku pięciu obrazów po tysiąc dolarów za obraz), to bym to jakoś przelknął i zapomniał.

Ale pójść w zaparte tak jak Ty, udawać, że nie ma żadnego problemu, bo wiesz, że ja do sądu nie pójdę, bo za bardzo sobie cenię Twoją sztukę, Ciebie, naszą przyjaźń i moją rolę w całym tym przedsięwzięciu, nie, tego nie mogę przelknąć.

Tym bardziej, że wiesz, że nie chodzi mi o pieniądze, ponieważ trzeba by mi było stu lat, by sprzedać choćby tylko te Twoje obrazy, które posiadam, bo rynek ich szybciej nie pochłonie. I tu historia miałaby TOBIE przyznać racje?!

O, teraz już wiesz skąd od powrotu z wakacji moje rozdrażnienie.

Piotr

Sobota, 6 września 2003, godz. 22:30

Grzebanie w strupach zawsze wywoła taki efekt, jaki wywołało. Zadziwia mnie jedno: że do dziś nie pojmujesz faktu, iż nie ma dymu bez ognia, i że ja też czułem się pokrzywdzony i wyeksploatowany i to w stopniu zapewne takim, jak Ty i czuję to nadal. Każdy ma swoją prawdę. Gdy czasami, w poszukiwaniu jakiegoś faktu, wróć do starych listów, zaczyna się we mnie DOSŁOWNIE gotować i skacze mi w górę ciśnienie, co natychmiast wychodzi na pomiarze, ale zapewne mam odporniejszy niż Ty ho-

meostat psychiczny. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo była to jedyna metoda, gdyż miałem takie - zapamiętane do dziś - odczucie, że oto dałem sobie odciąć kawałek palca, a potem cały palec, a potem całą rękę i jak tak dalej pójdzie, to stracę też głowę i MUSZĘ to zastopować, choćby nawet rozbijając samolot, którym lecimy. Zapomniałem już dziś szczegóły i nawet czasami o co wtedy chodziło. Pamiętam tylko odczucia. Byłem zrywając i zaraz po zerwaniu, skrajnie lakoniczny w korespondencji, bo tak poradziła mi żona: nie rozpisuj się jak zwykle, bo rzecz musisz po męsku przeciąć w paru słowach. Do dziś zachowało się w moim komputerowym archiwum kilka długich listów z uzasadnieniami, które za namową żony każdorazowo zastępowałem maksymalnie skróconym tekstem. Nie wiem, czy wygrałbyś przed sądem, bo nie jestem wrózką, ale wiem, że dwóch bardzo znanych adwokatów (jeden z Krakowa) aż podskakiwało (po zapoznaniu się za pośrednictwem moich znajomych z kserokopią naszej umowy i jej uzupełnieniami), by wziąć tą sprawę. Ja nie chciałem sprawy sądowej, bo to byłoby dla mnie żenujące upublicznianie, ale byłem tak pewien swych racji, że na pewno nie obawiałbym się procesu z innych przyczyn, jak zażenowanie. Dlatego więc w ogóle kontaktowałem się z adwokatami, bo byłem (wbrew temu, co piszesz) pełen obaw, że to Ty możesz zapragnąć występować na drodze sądowej. Nie neguję Twoich odczuć, ale ja mam swoje i mogę Ci zaręczyć, że są co najmniej tak samo istotne jak Twoje. Dlatego też rozgrzebywanie tego nie ma sensu. Nie wymagałem od Ciebie przeprosin, których teraz wymagasz ode mnie, a zaręczam Ci, że czuję się tak samo, jak i Ty. Pragmatyzm nakazuje zakopanie topora wojennego i wypalenie fajki pokoju. Nic więcej nie umiem tu dodać.

Zdzisław

7 września 2003,

Ponieważ piszesz, że "Ja nie chciałem sprawy sądowej, bo to byłoby dla mnie żenujące upublicznienie, ale byłem tak pewien swych racji, że na pewno nie obawiałbym się procesu z innych przyczyn, jak zażenowanie" a na dodatek nie byle jaki adwokat, bo aż z Krakowa, pali się, żeby zająć się Twoją obroną, to powierzmy sprawę tych dwóch najważniejszych punk-

tów umowy, których nie dotrzymałeś sądowi honorowemu. Weźmiemy trzech zawodowych sędziów, których poprosimy o tajne przeprowadzenie przewodu i o tajne wydanie wyroku. W ten sposób nie będzie zenującego upublicznienia, jak to określasz, za to w końcu będziemy wiedzieli, czy miałeś prawo tak postąpić, czy nie.

Godzisz się?

Co nowego namalowałeś?

Piotr

7 września 2003

Zrobię dobry uczynek: sprawię przyjemność, połamanemu w wypadku, Twemu znajomemu i zrezygnuję z zakupu obrazu przedstawiającego wagon. W zamian szykownie oprawię sobie zdjęcie Gordina.

Tarczyński, do którego przed chwilą dzwoniłem, powiedział mi, że doszły do niego słuchy, iż wystawa w Kołobrzegu zakończyła się fiaskiem (ponoć dyrekcja była zrozpaczona niską frekwencją), a że gdy pojechał ostatnio do Sanoka odwiedzić Twoje obrazy, to zastał miasto jak wymarłe. "Tam nikogo nie ma" powiedział mi.

Za to ponoć pieniądze na muzeum w Częstochowie mają być wyasygnowane już na przyszły rok. Według jego planów budynek, w którym znajduje się obecnie Miejska Galeria Sztuki, zostanie wyremontowany (wystąpił do miasta o 700 tysięcy złotych na ten cel) oraz wszyscy, którzy go obecnie okupują (a jest tam kupa jakiś sklepów i kawiarni) wyrzuceni. Powstałe z tego straty czynszu, jaki dotychczas płacili galerii, mają być pokryte przez miasto. Tak więc, Tarczyński ma odzyskać już w przyszłym roku 900 metrów kwadratowych powierzchni wystawienniczej (na ziemi) w dobrym stanie.

O by te pobożne marzenia się spełniły.

Piotr

Niedziela, 7 września 2003, godz. 15:11

Piotrze, Ty chyba oszalałeś! Po tylu latach, gdy nareszcie udało mi się uzyskać spokój, mam wracać do tego KOSZMARU? A cóż taki sąd honorowy miałby oznaczać, jeśli nie upublicznianie? Taki sąd to właśnie upublicznianie. Nie chodzi przecież o publiczność jak na koncercie rockowym! Co miało by znaczyć "miałeś prawo". Jakie prawo? Chyba tylko moralne? Bo Prawo w sensie, jaki zdajesz się mu nadawać, jest tylko zbiorem przepisów. Czasami mądrych, czasami głupich, a czasami barbarzyńskich, ale tylko przepisów! Polak, który w okresie hitleryzmu ukrywał swą żydowską żonę, nie miał prawa tego robić. Jeśli jednak idzie o prawo moralne, to moja moralność jest moją własnością i żaden zespół sędziów, a nawet łączna opinia Papieża i Dalajlamy niczego tu nie zmieni. Według Ciebie nie miałem "prawa". Niech Ci będzie Wojtek. Nie miałem prawa. Czy to Cię zadowala? Lepiej Ci? Ja patrzę z punktu widzenia pragmatyzmu. W każdym konflikcie istnieją zaszczości, z których trzeba jakoś się wygrzebać. Gdyby Żydzi i Palestyńczycy umieli przekreślić zaszczości, tamta ziemia zmieściłaby wszystkich i mogliby żyć jak w raj. Oczywiście trudno wymagać tego od narodów, bo w każdym rodzą się nieugięci fanatycy powołujący się na prawo boże, na niezbywalne dziedzictwo i mającący o ojcach, dziadach i sztandarach, o bohaterach i ofiarach, ale dwoje ludzi może w końcu stłumić własne poczucie krzywdy i starać się żyć dalej w sposób konstruktywny.

Niczego nowego jeszcze nie namalowałem. Maluję i jeszcze chyba daleko od końca. W jakimś sensie maluję stereotyp pejzażowy w stylu tych jakich 16 Ci namalowałem. Robię to dla odprężenia po poprzednim obrazie.

Zdzisław

Niedziela, 7 września 2003, godz. 16:55

Dzięki za informację w sprawie obrazu. Zawiadomiłem już pana S., że ma zielone światło.

W dniu 10 bm. jestem umówiony z Rosikonem na wykonanie fotografii. Szczerze życzę, aby Twoje nadzieje związane z Częstochową spełniły się w 100%.

Zdzisław

12 września 2003

Rzuć okiem na ten site. Jeśli to jest w rzeczywistości tak namalowane, jak wygląda na komputerze, to niektóre z tych pejzaży zapierają dech.

<http://www.georgishishkov.cib.net>.

Jak się mieszka w nowym mieszkaniu?

Poszliśmy zobaczyć Baskię. Mimo że jest to tak malowane, jak oboje z Anią lubimy, na pograniczu graffiti i rysunków dzieci, mimo że jest gestualne, chłaśnięte, zabazgrane, to jednak wyszliśmy rozczarowani. Nie ma tam pazura, dramatu, siły, ekspresji. Ania uważa i ja się do tego przychyliam, że jest to prawie za ładne i za poprawnie skomponowane. Wygląda jakby to zrobił starszy profesor z Akademii, który chce udawać młodego gniewnego.

Piotr

Piątek, 12 września 2003, godz. 23:25

Baskię? Z niczym tego nie kojarzę, ale ja słabo znam współczesną sztukę, a nawet sztukę w ogóle. Może zrobiłeś jakiś błąd w pisowni nazwiska, ale nie wyskoczyły mi w internecie żadne informacje poza siecią magazynów "Czarodziejski Koszyk" i jakimś sportowcem. Co do Bułgara to ja byłbym tu ostrożny. Oczywiście niektóre prace, jak np. "Before The Storm" z drugiego zestawu, wyglądają bardzo ciekawie, ale podejrzewam, że malowane są manierą oleodrukową, jaką posługują się często cierpliwi amatorzy. To oczywiście nie deprecjonuje dzieła, ale wylizywanie, takie jak u niektórych Hiszpanów, a wylizywanie typu oleodrukowego na niewielkich formatach, to dwie rozmaite rzeczy, których różnicę ujawnia kontakt z oryginałem. Ja osobiście zalecałbym rezerwę i ostrożność. O ile oczywiście zależy Ci na mojej opinii.

Przeniosłem się już ze spaniem, myciem i kąpielą do kawalerki, a więc też z pościelą, bambetłami, bielizną, okularami do czytania etc. Początkowo

czulem się jak w hotelu, ale teraz jest już OK. Przez kilka dni miałem niustające wizyty i nawet przez dwa dni odstąpiłem swoje mieszkanie, lodówki i kuchnię mojej dalekiej kuzynce, pochodzącej z Zakopanego, która w wyniku małżeństwa jest obywatelką szwedzką. Była z mężem, który pracuje jako inżynier u Siemensu i mówi całkiem dobrze po polsku. To moja generacja, ale ze Szwecji, więc niustannie wpadali w zdumienie, jak ja mogę się tak fatalnie odżywiać. Oni pili tylko wodę (cola zawiera kwas fosforowy - zgroza!!!), gotowali owsiankę i jedli ekologiczne jarzyny i owoce. O dziwo doktryna żywieniowa pozwoliła im na jedzenie jajek na twardo z mojej lodówki (inne rzeczy były tam niejadalne), ale jedno jajko pokrajali na 20 plasterków, poprzekładali ekologicznym pomidorkiem, poukładali obok ekologiczne mirabelki (trwało to godzinę!) i dziobali po troszeczkę, więc też obrałem jajko, nałożyłem nań czubatą łyżeczkę majonezu (uważaj - to bardzo niezdrowe!!!) i w całości włożyłem do gęby. Zwykle to robię na dwa kęsy, ale diabeł we mnie wstąpił. Niech myślą, że jestem Yeti. Dzikus ze Wschodu. Musiałem po ich wyjeździe wszystko myć raz jeszcze, bo Marysia nie używa detergentu (to strasznie niezdrowe!!!). Każdy z nas ma bzika na innym obszarze rzeczywistości. Po ich wyjeździe przyjechał, jak co miesiąc, kuzyn na nocleg - dopiero dziś jestem u siebie. Wszyscy są dla mnie bardzo mili i ja też jestem jak mydelko Fa, ale mówiąc prawdę, to na starość zaczynam nie znosić gości. Rozbijają rytm mego życia, uporządkowanego z zegarkiem w rękę.

Zdzisław

13 września 2003

Napisalem nazwisko po polsku, bo nie przyszło mi do głowy, że możesz nie skojarzyć. Chodzi o Jean Michel Basquiat, amerykańskiego Murzyna, popieranego przez Andy Warhola, który zmarł na overdose kilkanaście lat temu.

Dziwi mnie trochę i intryguje Twoja ostentacyjna pogarda dla tego Bułgara. Oczywiście daleko lepiej wiesz niż ja, jak to się technicznie robi i co jest naprawdę trudne, a co łatwe i tylko efekciarskie. Ale co znaczy technika oleodruku? Czy to jest jakieś specjalne ułatwienie? Czy to zna-

czy, że on nie malował pędzlem? Bo jeśli pędzlem malował, to pogardliwe określenie jego techniki jako amatorskiego wylizywania, wydaje mi się co najmniej równie intrygujące, jak podobne określenie, które tutejszy establishment używał w stosunku do Ciebie : "wylizane aż do mdłości".

Jeśli facet tak maluje pędzlem i w rzeczywistości, po zobaczeniu obrazu w naturze, nie ma się wrażenia lipy, którą maskuje komputer, to chyłą głowę i zdejmuję czapkę. Bo choć jest tam sporo tandety i szmiry, jak to często w malarstwie fantastycznym typu Siudmaka czy Dzygi, to technicznie wydaje mi się to na najwyższym poziomie. Stale pod warunkiem, że po zobaczeniu in concreto, nie byłoby rozczarowania.

Mam dla Ciebie znakomity i radykalny środek na prostatę. Musisz się jak najczęściej brandzlować. Wyczytałem to dziś w Paris Matchu (jest to tutejszy szmatławy ilustrowany magazyn cotygodniowy), który mi podsunęła żona z myślą o Tobie. Wysłałem Ci artykuł pocztą, bo jest tam całe uzasadnienie i receptura, dokładnie spisane przez tutejszych lekarzy. Jestem przekonany, że pójdzie Ci jak z płatką i będzie koniec Twoich kłopotów. Zaznaczam, że według specjalistów zwykle spółkowanie nie załatwia sprawy tak, iż na nic sprowadzanie sobie po kryjomu księżnych gospodyń na małe sprzątanie. No widzisz, przyjemne z pożytecznym i bez żadnych kosztów.

To, że będziesz teraz z nowym mieszkaniem miał nieustanny strumień gości, było do przewidzenia. No, ale czy nie rozwiązuje to Twego problemu samotności?

Piotr

Sobota, 13 września 2003, godz. 20:03

"Ostentacyjna pogarda" to określenie noszące wszelkie cechy prawniczej przesady. Niczego takiego nie napisałem. Myślałem, że pytasz mnie o radę i jestem zdania, że obraz komputerowy bardzo może zmylić kogoś takiego jak Ty, czyli kogoś, kto sam nie maluje. Oczywiście daleki jestem od tego, by lekceważyć malarzy niedzielnych, chorych psychicznie, czy też amatorów i piktomanów, do których w dużej mierze sam się zaliczam. Widzę tam jednak pewne cechy, które - może niezbyt szczęśliwie - okre-

śliłem jako "oleodrukowe", a które sam dojrzysz, gdy zobaczysz obraz w oryginale. Może zresztą nie będą Cię razić, bo w końcu każdy, a w tym Ty i ja, ma prawo do własnych upodobań i krytyki - przy czym ja nie krytykuję rzeczy dlatego, że została wylizana, lecz z powodu tego, że nie przepadam za pewnym określonym i znanym mi typem wylizywania. Trudno je zdefiniować w sposób intersubiektywny, bo brak mi określeń. Jednym zdaniem: uważam, że w naturze obrazu te mogą Cię rozczarować, ale ponieważ zapewne nie są równie drogie jak Gordin czy ja, to możesz jeden zaryzykować. A nuż nie mam racji? W końcu nie musimy też mieć identycznych upodobań.

Leczenie prostaty brandzłowaniem się. To nie takie proste. Istnieje oczywiście bezpośredni oraz pośredni związek między orgazmem i prostatą, ale medyczne "teorie" na ten temat są znacznie uproszczone.

Bardzo popularną teorią jest np. twierdzenie, że przerost gruczołu krokowego zafundowali trzem ostatnim pokoleniom (a w tym mojemu) seksualodzy, czyniąc mężczyzn odpowiedzialnymi za seksualną satysfakcję mniej lub bardziej opornych pań. Zalecali - bo tak podobno robił Casanova czy też Don Juan - technikę wstrzymywania orgazmu tak, aby najpierw doprowadzić partnerkę do pięciu, sześciu czy dziesięciu orgazmów (część biedactwa musiały udawać, aby panowie poczuli się dowartościowani), a ponieważ każdy z nas chciał być we własnym mniemaniu lepszy od Casanovy, to nadmierny rozrost prostaty rozpoczął się już w okresie aktywności seksualnej, stymulowany właśnie wstrzymywaniem orgazmu. Coś w tym zapewne jest, bo wszyscy moi znajomi czerstwi starsi panowie, na których w czasach chlubnej mojej młodości narzekały żony i przyjaciółki, że stosują Fast Fuck, nie myśląc o zaspokojeniu partnerki, mają teraz zdrowe jak u konia prostaty i nie wiedzą, co to trudności z oddawaniem moczu. W moim otoczeniu jest to wręcz regułą. No ale ja niczego nie twierdzę, bo sądzę, że sprawa zależności tzw. łagodnego rozrostu gruczołu krokowego od częstotliwości orgazmów, nie jest tak jednoznaczna i prosta. Na przykład to, co w wieku aktywności seksualnej powoduje u mężczyzn całonocną erekcję, w wieku starym powoduje coś w rodzaju erekcji prostaty. W nocy ona jakby pęcznieje i utrudnia, a niejednokrotnie prawie uniemożliwia oddanie moczu, zaś w dzień problem ten znika. Co do teorii z Paris Match przytoczonej przez Ciebie, sądzę, że jest

po części słuszna, a po części wręcz przeciwnie, gdyż częsta masturbacja zmniejsza wprawdzie blokowanie odpływu moczu, ale stymuluje dalszy rozrost gruczołu krokowego. Jednym słowem wyścig zająca z żółwiem. Wszystko się psuje. Nie da się nie umrzeć. W każdym razie dziękuję za radę i nie omieszkać z niej skorzystać.

O Basquiacie nic nie słyszałem, ale odnalazłem sporo reprodukcji w internecie. Cóż mam powiedzieć. Spontaniczność tego typu występuje u stu tysięcy twórców, u których chęć wykrzyczenia siebie przerasta ich skromne umiejętności techniczne. Ja też taki byłem. Obecnie mnie to ani ziębi, ani grzeje. Nie mój syndrom.

Zdzisław

13 września 2003

Nigdy nie dowiem się, jak wyglądają z bliska obrazy tego Bułgara, bo nigdy ich nie kupię. Nie było to w moich zamiarach i nie dlatego Cię pytałem o zdanie, a tylko dla przyjemności podzielenia się z Tobą pewnym silnym wrażeniem. Bo poza prawdopodobną kiczowatością oryginałów, wrażenie, jakie odniosłem w pierwszej chwili, rzuciwszy okiem na te przepiękne zachody słońca, przypominało mi wrażenie, jakie wywarły na mnie niektóre obrazy Kaspara Dawida Friedricha. Zresztą potrafię oglądać z okna całymi minutami zachody słońca, które u nas są wyjątkowo malownicze i ten motyw zawsze mnie wzrusza, gdy go widzę w malarstwie. Tyle, co do Bułgara.

Ja zawsze byłem zagrodowym Casanową i też wstrzymywałem się, czasami i pół nocy z orgazmem, by sprawić przyjemność moim paniom. Jednak z prostatą nie mam żadnych kłopotów i wiem, że jest w normie, bo mi ją badano. Tak więc, może jest jakieś statystyczne uzasadnienie Twojej teorii, ale indywidualnie jest inaczej. Ten artykuł w Paris Matchu rozbawił mnie nie tyle z Twojego powodu, co z przyczyn niejako obiektywnych. Bo mnie całą wczesną młodość, aż związałem się mając siedemnaście lat z pewną panienką i mogłem już wtedy dowoli spółkować, prześladowało poczucie winy za brandzlowanie się. Przeżywałem to okropnie i w skrytości. A dziś, panie, w gazetach stoi, że jest to zdrowy i pożądany nawyk.

To tak jak ze skrobanką. Byłem na takim filmie Chabrola o znanej sprawie sądowej we Francji za czasów Petina, w której pewna kobiecina, chyba o nazwisku Nosiere za przerywanie sąsiadkom ciąży znalazła się pod gilotyną. Wychodząc z kina podsłuchałem rozmowę jakiegoś starszego małżeństwa, w której ona mówiła do niego: "A dziś ubezpieczalnia zwraca za to koszt!". Uderzające są przemiany obyczajów w ostatnich latach. Niestety już z nich nie skorzystam, bo rozluźnienie seksualne, którego tak pragnąłem całe życie, gdy nieustannie gonil mnie seksualny głód nadeszło, gdy jestem już za stary na swobodne uprawianie seksu (z jak największą ilością panienek). Tym bardziej, że od czasu, gdy Ania przestała być modelką i stale być w rozjazdach, jesteśmy nieustannie razem tak, iż nawet spojrzeć w bok nie mogę, a co tu mówię "skoczyć". Na szczęście głód seksualny też złagodniał do stanu zupełnie wytrzymałnego tak, iż w sumie patrzę na to wszystko z góry i z przymrużeniem oka. Może nawet po kryjomu się trochę cieszę, że dzisiejszej młodzieży też nie jest tak znów dobrze, bo za to ma stracha przed AIDS i też nie może pójść na całość, tak jak my nie mogliśmy pójść na całość ze strachu przed ciążą i syfilisem.

Piotr

Sobota, 13 września 2003, godz. 22:48

Oczywiście, obyczajowość ulega zmianie. W mojej młodości panienki musiały demonstrować całkowitą nieświadomość wszystkiego, co dotyczy seksu, a jakiegokolwiek doświadczenia seksualne, obniżały ich pozycję rankingową w drodze do ołtarza, zaś dokonaniem seksualnymi przechwalali się tylko chłopcy. Natomiast teraz, czyli przed kilkoma laty, jedna ze znanych mi osobiście polskich gwiazdek rocka, opowiadała Tomkowi, i to w celu zwiększenia własnej atrakcyjności, że w trakcie jednego tournée zaliczyła 150 facetów. To wszystko bez znaczenia: można przyzwyczaić się do takiej lub innej obyczajowości, ale zawsze pozostanie margines tego, co niedostępne, a przez to szczególnie pożądane. Prawie każdy w okresie mojej młodości, łącznie ze mną, przeżywał zawstydzenie w powodu brandzlowania się, a ja na dodatek byłem przekonany, że rdzeń pacierz-

wy mi wysycha i zacznie mi się trząść głowa. Wielokrotnie sprawdzałem, patrząc na jakieś dwie pokrywające się linie, czy głowa już mi drży, czy jeszcze tego nie widać. Teraz niedawno jakiś znajomy młodociany komputerowiec mówi mi przy jakiejś okazji i mimochodem, że brat mu podpierdolił fotografie do brandzlowania, traktując rzecz jako oczywistość, której nie należy się wstydzić.

Ja nie mam żadnej swojej teorii w temacie prostaty. Może to być po prostu genetyczne. Moje skłonności seksualne zawsze pchały mnie w kierunku samogwałtu, w tym nawet samogwałtu z użyciem drugiej osoby (co innego z kimś robiłem, ale co innego sobie wyobrażałem), gdyż to, co mi się marzy, jest po prostu niewykonalne bez utraty życia, no a życia bynajmniej utracić nie chciałem i nie chcę. Banialuki, które się czyta przy próbach opisu syndromu masochistycznego (ostatnio w *POLITYCE*, przy okazji wystawy sztuki masochistycznej, która z masochizmem tyle miała wspólnego co nic). Sarzyński opisując życiorys i skłonności Sacher Masocha, dziwi się, że batożenie mu się nie znudziło. Ale przecież jeśli ktoś prowadzi tzw. "normalne" życie seksualne, to zakres czynności jakie wykonuje, jest (obserwowany laboratoryjnie) czynnościami na poziomie pszczoły (wsadzić, trzeć, wlać) i jakoś nawet wyrafinowanym intelektualistom nigdy nie może się to znudzić. Podobnie jest jeśli fetyszem jest pejcz. I to kretyńskie wyobrażenie, że masochiści kochają ból. Masochiści kochają upokorzenie, ale też nie w normalnym życiu, bo zapewne by tego nie zniesli, lecz uwielbiają być krańcowo upokarzani w wyobraźni. Ból jest tu tylko ubocznym elementem scenariusza i na pewno nikt bólu nie lubi - on występuje jako element upokorzenia. Wyobrażenie tego, że się jest torturowanym i zamordowanym przez jakąś abstrakcyjną kobietę, w efekcie uduszenia pod dupą czy genitaliami, nie oznacza (jak to kiedyś ze zdziwieniem pisałeś) upodobania do smrodu, lecz do sytuacji największego możliwego upokorzenia: zostać zabitym po to, by sprawić komuś satysfakcję seksualną i to w sposób maksymalnie okrutny i upokarzający. To są wirtualne zabawy, które można odbywać tylko w wyobraźni, bo wymagają abstrakcyjnego dystansu między katem i ofiarą, którego to dystansu nie osiągnie się namawiając do odegrania scenki jakąś znajomą panienkę lub zgola prostytutkę, której płaci się za usługę. Pewna ilość ludzi tego nie rozumie i chyba nie chce nawet zrozumieć, plotąc tak jak

Sarzyński koszalki opalki.

No, ale dość bajania na tematy seksualne. Cały dzisiejszy dzień zeszedł mi na wymianie w kawalerce tych kretyńskich, obitych skórą foteli, na zwykłe krzesła biurowe. Nie cierpię skóry, więc nie spocząłem, aż nie wtryniłem tych foteli za ćwierć ceny panu Krzysztofowi i nie wstawiłem tam zwykłych krzesel biurowych.

Zdzisław

Piątek, 26 września 2003, godz. 13:01

Przepraszam ale czy nie jesteś aby chory? Nasza korespondencja urwała się jak nożem uciął 13 bm., czyli przed dwoma tygodniami i początkowo myślałem, że może napisałem coś, co Cię wkurzyło, potem że gdzieś wyjechaliście, ale cisza trwa już od dwóch tygodni i zacząłem się zastanawiać, czy coś się nie stało?

U mnie właściwie nic się nie dzieje. Odbyło się już otwarcie wystawy w Poznaniu wraz z wizualnym połączeniem, które - jak to przewidywałem - nie zdało się na nic, bo ludzie w takich sytuacjach są zbyt onieśmieleni koniecznością publicznego wystąpienia, na to, by zadawać jakieś pytania. W końcu, ciągnięte za krawat, wystąpiły trzy albo cztery osoby. Nawet dostały brawa za odwagę! Reszta stała i patrzyła w monitor. Poza tym wszystko jak dawniej. Cześć.

Zdzisław

26 września 2003

Już mnie dobrze znasz i wiesz, że jestem z typu pamiętliwych, ale o opóźnionym zapłonie.

Pamiętliwy jestem w tym sensie, że od lat przeżuвам Twoją zdradę i nie mogę się z nią pogodzić. A że z opóźnionym zapłonem, to się objawia tym, że nie od razu reaguję, a dopiero po jakimś czasie. Toteż Twoja odmowa sądu honorowego pod pretekstem, że nie chcesz przeżywać jeszcze raz tych okropnych czasów, że właściwie to było takie nieprzyjemne i że

w ogóle boli Cię głowa, przeżuwałem przez szereg dni, mimo iż w międzyczasie normalnie z Tobą korespondowałem. Toteż wreszcie przestałem pisać, bo czułem, że mi podchodzi pod nos i że znów zacznę na ten sam temat.

Dziś mi już trochę przeszło i na nowo przyszło. Toteż znów mogę normalnie.

Widzieliśmy wspaniałą wystawę wariatów ze szpitala świętej Anny w Paryżu, która zrobiła na mnie jeszcze silniejsze wrażenie niż muzeum sztuki "brute" w Lozannie. Oczywiście, że to wszystko nie miało klasy prac wystawianych na artystycznych targach sztuki, jakie mają miejsce obecnie w Luvrze (byliśmy tam wczoraj na wernisażu). Ale za to u wariatów jest siła i ekspresja, których nigdzie na owych targach nie znalazłem.

Zastanowiło mnie również i nadal zastanawia, jak wielkie znaczenie ma nastawienie psychiczne w ocenie sztuki. Na wystawie wariatów był parter i pierwsze piętro. Obejrzałem parter i podziwiałem go przez dobrą godzinę. Po czym wszedłem na piętro i zobaczyłem w wejściu typowe dzieło konceptualne. Ponieważ uprzedzono mnie, że na pierwszym piętrze chodzi o jakiegoś artystę brazylijskiego, to od razu rzekłem sobie "To już mnie nie interesuje. Konceptualne". Jednak wszedłem dalej i zaraz przeczytałem informację wiszącą na ścianie, że tu również chodzi o wariata, który przez pięćdziesiąt lat siedział w zakładzie psychiatrycznym. I tu OLSNIENIE! Wszystko nagle zaczęło mi się cholernie podobać tak, iż tam również spędziłem godzinę na cmokaniu.

Wiążę tą uwagę o uprzedzeniu z inną, a mianowicie: często myślę sobie, jak mogłeś się nie poznać na mojej internetowej galerii stwierdzając, że wszystko jest tam od lasa i do Sasa. Uprzedzony i sceptyczny co do mojego gustu nie zauważyłeś spójności, jaką wszyscy inni, którzy moją galerię oglądają widzą od razu: wszystkie te prace, wszystkich tych autorów są EKSPERESYWNE. Jedne są fantastyczne, drugie realistyczne albo abstrakcyjne. Ale wszystkie mają to samo źródło - koherentny gust jednego i konsekwentnego zbieracza, który poszukuje w najróżniejszych kierunkach, ale tylko tego jednego i tego samego. A Ty, jak pewna znajoma, dla której sztuka fantastyczna jest z zasady złem, zobaczywszy na ścianie obraz Henricot, przedstawiający fantastycznego stwora powiedziała "Tego nie lubię". Ale gdy zaraz potem zobaczyła zwykłą postać ludzką

malowaną przez tegoż samego Henricot rzekła: "To lubię".

Tobie też, ponieważ założyłeś sobie, że nie mam pojęcia o sztuce i nie wiem, czego chcę, kierujesz się tylko powierzchownymi różnicami i wystarczy Ci, że moi artyści inaczej malują, albo że jeden maluje fantastyczne ptaki (Henricot), a drugi zniszczony mur i pustą drogę (Mróz) lub abstrakcje krzyże (Korczowski czy Szalek), by Ci się wydało, że to zupełnie co innego i że jedno jest od lasa a drugie od Sasa, no bo Dmochowski nie ma pojęcia o sztuce i zbiera wszystko, co popadnie. To uprzedzenie pozbawia Cię możliwości odkrycia tego, co istotne. W tym wypadku spójności moich wyborów. To zupełnie tak, jak ja na tej wystawie wariatów.

Oczywiście, gdy po raz pierwszy się z Tobą spotkałem, to niewiele o sztuce wiedziałem i mogłem Cię zaskoczyć naiwnością i niewyrobieniem. Ale wypadaloby zauważyć, że minęło dwadzieścia lat od tego czasu i że sporo wody upłynęło pod mostami Paryża. Ale Ty jesteś z typu twardogłowych, którzy jeśli raz wyciągnęli jakiś wniosek, nawet z przelotnych przesłanek, to się go trzymają i za nic go nie zmieniają, choćby sto rzeczy się w międzyczasie przemieszczało.

Piotr

Piątek, 26 września 2003, godz. 22:59

Ulżyło mi! Dmochowski w formie, a ja ponownie służę za chłopca do bicia. Jak miło! Jeżeli Dzikowska (której rzecznikiem bynajmniej nie jestem) o jednym obrazie mówi "Tego nie lubię", a o innym "To lubię", to przecież budując swoją galerię i precyzując własne kryteria oceny, posługujesz się dokładnie tym samym mechanizmem. W końcu - na dobrą sprawę - nie istnieje żaden inny rozsądny mechanizm odbioru sztuki jak właśnie taki, czyli to lubię, a tamtego nie lubię. Oczywiście istnieją mechanizmy - moim zdaniem nierozsądne - takie jak "to zgodne jest z kryterium nadrzędnym, a tamto niezgodne". To zgodne jest z ideą postępu w sztuce, a tamto nie. Gust osobisty nie ma z tym wiele wspólnego. Jest to myślenie fundamentalistyczne, które reprezentują tak przez Ciebie znienawidzeni krytycy z Centrum Pompidou, a także z Warszawy i Krakowa - jednym słowem oficjalna krytyka współczesna. Każdy jednak

z tych ludzi, którzy posługują się własnymi emocjami, mając w dupie wszelkie kryteria nadrzędne, dysponuje jednak nieco innym spektrum upodobań i na jakimś obszarze to się pokrywa, a na innym nie pokrywa ze spektrum innego człowieka. Ekspresywny - jak to określasz - jest Nolde, Ensor, Rops, Grosch, Dix, Kolwitz, Linke, Witkacy i w końcu także ja, ale rzadko kto zaakceptuje te wszystkie nazwiska na raz. A co zrobić z nieekspresywnymi, ale niezwykle pięknymi obrazami np. Klimta. Lub Vermeera. Tak więc napisałem rzeczywiście raz, że przekrój Twojej galerii jest, z mego punktu widzenia, niejednorodny, no bo tak mi się wydaje, ale nie miała to być krytyka Twych upodobań. Przypisywane mi twierdzenie, jakobyś nie miał pojęcia o sztuce, jest bezpodstawne. Wręcz przeciwnie: nie głosząc wprawdzie peanów na Twoją cześć, ale stale, w licznych rozmowach podkreślam, że jesteś facetem wrażliwym na sztukę i jej znawcą. To, że uprzedzenie ma kolosalne znaczenie w naszej percepcji, zauważyłem już dawno, gdy po erze Bolesława Bieruta, ale przed erą Gomulki, zapoznawałem się z maszynopisami tłumaczeń Ionesco, Becketta, czy tekstami Gombrowicza (np. "Ślub"). Będąc człowiekiem młodym i nieoczytanym i nie mając poparcia w drukowanej książce, lecz w szóstej kopii na papierze przebitkowym, nie byłem pewien, co o tym myśleć. Było to tak inne od tego, do czego przywykłem. A jeśli ktoś to sfabrykował, by sobie ze mnie zakpić? Potrzebujemy jakiegoś autorytetu, który by z ołtarza zagwarantował, że się nie mylimy w ocenie lub nawet narzucił nam ocenę. Zauważyłem to na przykładzie Tomka. Przez wiele lat miał do dyspozycji ołtarz radiowy i zajmował się narzucaniem rówieśnikom swoich ocen. Nieustannie stykam się z ludźmi, którzy dziś są biznesmenami, dyrektorami banków i aktorami, ale których gusta ukształtował przed laty Tomek, bo dysponował ołtarzem lub trybuną, która uwiarygodniała to, co mówił. Kilka polskich zespołów które wyróżniał, zrobiło w Polsce karierę, odbierało nagrody, a bynajmniej ja nie podzielałem jego opinii, tym niemniej ja mogłem głosić swoją opinię jednostkom i w rozmowie, a on tysiącom przez głośniki radia. Podobnie potrafimy się nabuzować sami. Jeśli zaakceptujemy własny sąd, że jakiś typ sztuki jest nam bliski, to potem patrzemy już w inny sposób. Ten mechanizm oddziałuje nawet na fundamentalistycznych krytyków. Jakaś pani profesor krytykując ostatnio Mitoraja, że robi solidnie wykonane gadżety, przeciwstawiła go Bałce, który

"mówi ważne rzeczy". Dałbym sto tysięcy dolarów za usłyszenie chociaż jednej ważnej rzeczy powiedzianej przez Bałkę (co oczywiście nie ma być krytyką Bałki, lecz owej pani profesor, która zamiast oczyma, posługuje się doktryną). W końcu sztuka nie jest od mówienia ważnych rzeczy, lecz od emocjonalnego poruszania odbiorcą, o ile nastrojony jest na podobną częstotliwość. Jednych porusza Mitoraj, innych Bałka, a jeszcze innych ani jeden, ani drugi. W końcu bez sensu jest porównywanie roweru do szyncla, połączone z wartościowaniem, co jest lepsze. Tym niemniej taka pani profesor na pewno myśli tak samo, jak mówi. Każdy z nas - a więc i ona - posiada zbudowany przez siebie, a czasem "z niewielką pomocą przyjaciół", jakiś ołtarz i służy przed nim do mszy. Pięknie pozdrawiam.
Zdzisław

27 września 2003

Ja bym tam nie odczuł żadnego zażenowania w umieszczeniu u mnie w domu na ścianach bezpośrednio obok siebie Grosza i Witkacego. Zresztą muzea są właśnie od tego, żeby łączyć to, co na pozór odległe. Ale mniejsza z tym. Bo ja w moich malarzach się odnajduję, a o spójność mego myślenia w ogóle, w tym również myślenia o sztuce, nie obawiam się. Uchodzę za człowieka koherentnego, którego propos zazwyczaj trzyma się kupy. Twierdzę, że tak jest również w moich wyborach estetycznych.

Powoli kończę pracę nad drugim tomem mej pracy z zakresu teorii prawa międzynarodowego (której główną tezą jest, że jest to intelektualny gadżet, a nie żadne prawo). O ile pierwszego tomu było około 900 stron, o tyle drugiego będzie 1000. Jak ja to zmieszczę w jednej okładce?

Oddałem do oprawy zdjęć Gordina i teraz drzę, czy aby wybrałem dobre ramy i czy ich szerokość nie zabije zdjęć. Ramy kosztowały 6100 euro i, jak to Ty je nazywasz, są "kwalitetne". Ale proste i eleganckie, bez "marmurków", które mi kiedyś (słusznie) zarzuciłeś. Powiniennem je już mieć za dwa tygodnie. Zdejmę wtedy obrazy Henricot z hallu i na ich miejsce powieszę zdjęcia, które są równie wielkie, jak owe obrazy lub prawie.

Czy rzuciłeś okiem na moją wystawę Stasysa? Co o niej myślisz?

Już przygotowuję następną, tym razem Henricot. Jego prace można znaleźć na stronie www.cfmgallery.com. Jest to strona pewnej galerii w Nowym Jorku, która go obecnie wystawia. Sama galeria jest kiczowata i promuje marnych malarzy (jeśli sądzić po Kandlu, którego lubię jako człowieka, ale którego nie cenię jako malarza). Ale zrobili mu za to wernisaż na dziesięć fajerek, z pięćuset gośćmi, w tym kilku gwiazdami Hollywoodu, podróżą pierwszą klasą samolotem i siedmiodniowym pobytem w luksusowym hotelu na Manhatanie. Galeria znajduje się w Soho i ma 300 metrów kwadratowych. No, ale zobaczymy jak to będzie ze sprzedażą. Bo ceny potroili w stosunku do tych, które ustaliła pewna galeria paryska, która wystawiała Henricot przed wakacjami i nieźle go sprzedała.

Piotr

Sobota, 27 września 2003, godz. 21:56

Wystawę Stasysa widziałem zaraz po tym, jak dostałem mailem zaproszenie do jej obejrzenia. Wydaje mi się dobra, bo wprawdzie nie jestem jakimś fanem Stasysa, ale tutaj wybór prac działał na jego korzyść. Wystawa Henricot w Nowym Jorku wydaje mi się bardzo fajna, a mnie osobście szczególnie spodobały się obrazy pokazujące coś, co można by było nazwać wykopaliskami architektury. Oczywiście internetowe miniatury niewiele pozwalają zobaczyć, ale mniej więcej wiem, czego należy spodziewać się po Henricot, więc nie mam obaw, że może to być źle namalowane. Nie wiem jakie ceny bierze, tak więc nie wiem, na ile uda się je w Nowym Jorku podwoić, ale szczerze mu tego życzę. Kandla nie znam, a wymieniona galeria zamiast obrazów Kandla, wyświetla puste kwadraty. Znalazłem Kandla w internecie (jakieś koty itepe), ale ja też nie przepadam za tego typu obrazami.

Zdzisław

Niedziela, 28 września 2003, godz. 22:49

Co nowego namalowałeś lub narysowałeś? Jak wygląda studio bez foteli,

a za to z krzesłami?
Piotr

Poniedziałek, 29 września 2003, godz. 17:12

Jako żywo nic nie dotarło, więc może wysłałeś te pytania pomyłkowo nie na mój adres, ale nie wykluczam także jakiejś awarii u mnie. Rzecz polega na tym, że facet, który nadzorował moje połączenie wizualne z Poznaniem, zaczął mnie straszyć, że nie mam u siebie zabezpieczenia przeciw włamaniu hackera z zewnątrz, który nawet przez cały dzień może podglądać, co na komputerze robię, ściągać sobie moje grafiki i listy etc. Tłumaczył mi, że są specjalne programy szpiegowskie, którymi zabawia się komputerowa młodzież i on sam, przy pomocy takiego programu, podglądał komputer swojej żony w pracy i nawet zrobił jej całodniowy wydruk tego, czym się zajmowała. Właściwie nie planuję samobójczego ataku lotniczego na Pałac Kultury, a moje listy nie zawierają tajemnic, zaś w internecie oglądam prawie tylko witryny ze sprzętem elektronicznym oraz witryny porno, więc jeśli ktoś chce tracić swój czas, by mnie podglądać, to niech podgląda do woli i ku większej chwale bożej. Tym niemniej, gdy byłem przedwczoraj w mieście, przechodziłem obok firmy PROMISE (oprogramowanie) i wstąpiłem pytając, czy mają program FireWall. Kupiłem, zainstalowałem z czystej ciekawości jak to działa i zaczęły się dwudniowe kłopoty. Najpierw, co kilkanaście minut, miałem informację, że nastąpił atak na mój komputer, wyglądającą równie enigmatycznie, jak na załączonym obrazku. Potem okazało się, że na stale odwiedzanej stronie z cyfrowym sprzętem fotograficznym, wszystkie napisy przesunięte zostały w stosunku do obrazków, potem na witrynach porno zaczęły się otwierać nie te zdjęcia lub nie te filmy, w które klikałem, lecz inne witryny porno, które nie dawały się usunąć, w końcu w ogóle utraciłem połączenie z internetem i pocztą. Odinstalowanie FireWall niczego nie dało, zatem w końcu wróciłem do stanu z dnia 1 września (takie możliwości automatycznego powrotu do stanu sprzed awarii lub nawet sprzed miesiąca są w Windows XP) i tym samym do normalności, ale nie wykluczam, że FireWall mogło potraktować mail od Ciebie jako atak na system i zablo-

kować go (pytanie: gdzie?).

Mam dwa nowe obrazy, których zdjęcia załączam. Postać - jak na razie - traktuję jako zwierzę domowe. Wnętrze kawalerki wygląda tak, jak na zdjęciach. Mieszkam tam już na dobre, ale w okresie budowy korytarzyka (zaczynamy 6 października i trwać to ma ca 6 tygodni) przeniosę się z powrotem na stare śmieci, bo po co zakurzyć dwa mieszkania - z pracowni muszę korzystać, a z nowej sypialni nie muszę, tak więc wybór, które mieszkanie należy zamknąć i obkleić drzwi taśmą, był prosty. To tyle. Cześć. Zdzisław

Poniedziałek, 29 września 2003, godz. 21:37

Przed chwilą dopiero dotarł Twój wczorajszy mail. Jednym słowem to Firewall zablokował go skutecznie w jakiejś mysiej dziurze.

Zdzisław

30 września 2003

A czy usuwając fotele pomyślałeś o Twoich gościach, którzy będą źle siedzieć? Zrobiła się z tego cela więzienna ogołocona z wszelkich przedmiotów prócz absolutnie niezbędnych.

Czy śpisz w kawalerce, a pracujesz w mieszkaniu, czy też przemieszczasz się z jednego do drugiego bez ładu, jak Ci w sercu zagra? Nie wiem dlaczego, ale Ania stale mi każe Cię o to spytać.

Piotr

Środa, 1 października 2003, godz. 17:54

Z braku odpowiedzi na mój wczorajszy e-mail wnoszę, że go nie dostałeś. Nic tam specjalnego nie pisałem prócz tego, że tak wyprzątnąłeś z Twojej kawalerki wszystkie ozdoby, że przypomina teraz szwedzką celę więzienną. Mówię "szwedzką", bo tam ponoć w celach można zawieszać obrazy.

Dłubię poprawki w mojej książce i całe dnie spędzam na mozolnych operacjach komputerowych.

Bambo miał mi zainstalować program do wyświetlania w komputerze i przekazywania e-mailem zdjęć. Ale gdy tylko udzieliłem mu rad prawnych w jego procesie, zaraz zniknął i zapomniał o przyrzeczeniu.

Gdy wreszcie to wszystko będzie działało, prześlę Ci zdjęcia zawieszonych na ścianie zdjęć Gordina.

Piotr

Środa, 1 października 2003, godz. 19:01

Rzeczywiście nic nie dostałem. Coś moje AsterCity bruździ albo też źle działają łącza z Paryżem. Myślę, że ten mail dojdzie z podobnym opóźnieniem jak poprzedni. Czyżbyś nie zauważył, że w całym moim mieszkaniu nie ma od śmierci Zosi ani jednej ozdoby, a od nowej kawalerki odróżnia je tylko nieporównywalnie większe zabudowanie? Nie cierpię ozdób i nawet kwiatów nie cierpię i jeśli je ktoś przyniesie, to po jego wyjeździe wywalam je do zsypu. Jeśli przyniosą mi donicę z kwiatami, to uszczęśliwiam nią sąsiadkę. Co do fotografii i ich wysyłania, to rozumiem, że idzie Ci o program, którym można zdjęcia dowolnie zmniejszyć, przyciąć i zapisać w dowolnym formacie zapisu (dla poczty: JPEG). Chciałem Ci taki program (są ich dziesiątki) skopiować, gdy byliście w Warszawie i zainstalowałbyś sobie bez trudu sam, ale nie chciałeś. A może Ci skopiowałem - tylko tego już nie pamiętam? Istnieje sposób na częściowe obejście tego problemu. Należy zrobić fotografie według niższego standardu (ustawia się w aparacie) i po zapisaniu w komputerze (to chyba już umiesz zrobić?) można je potem wysłać. W najwyższym standardzie są "za ciężkie". Czy mam wysłać Ci migawki z wystawy robionej przez Sanok w Poznaniu? Kołobrzeg najwyraźniej czymś Cię zirytował, bo napisałeś mi wtedy kąśliwy list, dlatego wołę wiedzieć, co mam zrobić. Napisz.

Zdzisław

3 października 2003

Czy znasz film von Triera "Element of crime"? Mnie on mocno poruszył, gdy go widziałem na dużym ekranie. Na małym traci wiele, ale nadal uważam, że formalnie jest ciekawy. Czy zabawi Cię obejrzenie go? Jeśli tak, to Ci go wyślę w formie CD. Uprzedzam jednak, że z dialogów nic nie zrozumiesz, bo są tylko w wersji angielskiej.

Piotr

Piątek, 3 października 2003, godz. 15:33

Wiesz: ja nie oglądam wartościowych filmów. Zresztą przez ostatnie 2 miesiące nie włączałem nawet telewizora. Z filmu bez zrozumienia dialogów niewiele odbiorę. Może go gdzieś wypożyczę. Von Thriera oglądałem raz jakiś 4-odcinkowy film telewizyjny "Królestwo" i pierwsze dwa odcinki były rewelacyjne, trzeci rozczarowywał, a czwarty był wręcz głupi. Może dlatego tak to odebrałem, że nie lubię (poza banalnymi filmami kryminalnymi), by zagadki były wyjaśniane, a to co było spowijającą narrację mgłą, racjonalnie rozwiewane. Dla mnie świat i życie spowite są mgłą i tak postrzegam to, co mnie otacza. Jeżeli znajdziesz to w jakiejś wypożyczalni, to obejrzyj i ciekaw jestem, czy odbierzesz to tak, jak ja. Odnoszę wrażenie, że więcej niż ja oglądasz filmów i w większym niż ja stopniu oczekujesz od nich arcyzmu. Ja ostatnio musiałem obejrzeć na DVD film "Podziemny krąg" ("Fight Club" Finchera), bo mam w kawalerce czytnik DVD (którego w ogóle nie używam), a młody Banach, będąc w Warszawie kupił sobie ten film, bo jest jego entuzjastą i chciał go u mnie obejrzeć. No cóż: film warsztatowo bardzo dobry, ale trochę młodzieńczo naiwny w swym romantyzmie. Zapewne stanowi pozycję kultową w środowiskach, których celem jest spuścić łomot napotkanym na ulicy rówieśnikom. Boże: zasypiam dziś na stojąco i to obojętnie, czy przed komputerem, czy przed obrazem.

Zdzisław

Niedziela, 5 października 2003, godz. 22:28

Zdjęcia dostałem w 5 przesyłkach. Te z Częstochowy już znam, bo skopiowałem je z Waszego aparatu w trakcie, gdy byliście w Warszawie. W celu wysłania pocztą, zdjęcia warto pomniejszyć. Oczywiście spada wtedy ich jakość, ale nadal jest w granicach wystarczających dla celów informacyjnych. Dla przykładu odsyłam zmniejszone na dwa rozmaite rozmiary jedno ze zdjęć. Mogę Ci nagrać (o ile nie nagrałem) program Photoshop, na którym robi się to bardzo łatwo, a właściwie automatycznie. Program jest bardzo wszechstronny, ale nie powinno to Cię przerażać, bo nie musi się wykorzystywać jego wszystkich możliwości, a tylko te, które będą Ci potrzebne. Zdjęcie zmniejszone zajmuje mniej pamięci i wtedy w jednym liście wyślesz wszystkie.

Zdzisław

Środa, 8 października 2003, godz. 16:51

Zaczyna rosnąć ścianka. Poza tym nic nowego.

Zdzisław

9 października 2003

Podaję, że mocne kopnięcie rozwaliloby ściankę rach ciach.

Przez szereg dni mój e-mail nie działał, toteż nie pisałem. U mnie wszystko OK.

Sygnalizuję przepiękny film "HERO" Ziang Yimou, tego samego, który zrobił "Chińska kobieta", "Żony i konkubiny" oraz ten film, którego tytułu nie pamiętam, o chińskiej mafii z lat trzydziestych, widzianej oczyma małego chłopca. Coś niezwykłego. Jeśli będzie szedł u Was, zobacz go koniecznie.

Prawdopodobnie za dwanaście dni zjawimy się w Polsce, bo nam tęskno.

Piotr

Piątek, 10 października 2003, godz. 08:25

Za dwanaście dni, kiedy pojawicie się w Warszawie, daleko jeszcze będzie do końca robót, ale do rozwalania ścianki kopnięciami "rach ciach" (jak piszesz) możesz na próbę przystąpić pod warunkiem, że pokryjesz potem szkody tynkarskie, bo tynk oczywiście rozwalisz, ale srodze zawiedziesz się na swoich wyobrażeniach o niskiej wytrzymałości ścianki. Jest ona dodatkowo zbrojona na całej wysokości i długości stałą zbrojeniovą, wpuszczaną w ściany boczne i jest na zaprawie cementowej. Jeśli ja coś robię, to robię może niezbyt efektownie i nie jest to Muzeum w Bilbao, ale ścianki Muzeum w Bilbao rozwalabyś swoja niezawodną metodą kopania szybciej i łatwiej niż u mnie. Oczywiście wszystko da się rozwalić tak, jak dał się rozwalić bunkier Hitlera, ale podejrzewam, że nawet przy użyciu TNT, łatwiej poszłoby Ci z innymi ścianami w moim bloku. Posyłam zdjęcie z wczorajszego wieczoru, na którym widać już wstępny narzut gipsowy pod tynk. Dziś będziemy tynkować.

Wierzę na słowo, że te filmy są wybitne, ale - jak już sto razy pisałem - nie oczekuję od filmu wybitności, lecz wyłącznie standardowej rozrywki.

Zdzisław

15 października 2003

Co z murkiem, który mam rozwalić? Już podkułem sobie buty, żeby tak od razu, za jednym kopnięciem. Co nowego namalowałeś?

Przyjeżdżamy za dziesięć dni.

Piotr

Środa, 15 października 2003, godz. 18:19

Niestety z murkiem sprawa się przewlecze, bo pan Krzysztof, który prowadzi roboty, dostał wczoraj zapalenia płuc i dziś pracował z gorączką (bo już był umówiony z elektrykiem i murarzem) i teraz nastąpi nieplanowana poprzednio przerwa do przyszłej środy, czyli do 22 października. Do dnia

dzisiejszego też trwała - planowana tym razem - przerwa od piątku, bo musiała wyschnąć ściana, by można było oszlifować tynk i podmalować całość. Aktualnie wstawiono już prowizorycznie drzwi, ale na razie bez progu, oraz nowe drzwi do zsypu i całość jest na razie jednokrotnie pomalowana emulsją. Wnętrze, a więc nowe zamknięcie szybu rewizyjnego wod-kan oraz liczników prądowych, boazeria na jedną ścianę, oświetlenie hallu i oświetlenie korytarzyka, monitoring i podłoga etc. będą wykonywane po 22 bm. Od przeszło tygodnia nie pracuję i nie maluję, bo mnie taki burdel kompletnie psychicznie dezorganizuje, ale od jutra zabiorę się do pracy. Przed robotami namalowałem jeden duży obraz monochrom, który jak na razie zostawiam sobie. Wysłałem zdjęcie obrazu oraz zdjęcie korytarzyka z zewnątrz i wewnątrz, które zrobiłem przed 10 minutami. Drzwi są jeszcze na czas robót obklejone folią ochronną i dlatego tak dziwnie wyglądają na zdjęciu.

Zdzisław

15 października 2003

I te piękne, opancerzone z taką pieczołowitością drzwi teraz rozwalisz? A kiedy rozwalisz (o ile mnie się to nie uda jednym kopnięciem) nowy murek z taką pieczołowitością postawiony?

Obraz fajny. Dziś żałuję, że wagonu jednak nie kupiłem, bo dosłownie w dwa dni po mojej rezygnacji spadło na mnie 20 tysięcy złotych, które teraz przehułam z małżonką podczas pobytu w Polsce na golonkach i na kolacjach z przyjaciółmi.

FIAC pełen Chińczyków, w tym dwóch interesujących. Jeden to ten, o którym Ci już pisałem, że maluje pędzlem do malowania ścian, ale tak wyraziście, że wychodzi z tego coś ogromnie ekspresywnego i mocnego. Drugi maluje urocze kicze w kolorach landrynkowych, w wielkich formatach: portret Mao z ustami jak maliny i różową muszką w kształcie kokardki dziewcząt z przedszkola.

Poza tym żadnego zachwytu. Ot rutyna. Stale tylko Neuman jest tam naszą atrakcją. Niestety za drogi, jak na moją kieszeń. Pokazywałem Ci jego album i nie bardzo Cię poruszył.

Jutro zdjęcia Gordina już będą gotowe. Ponieważ jednak jadę do Lille na jakąś ekspertyzę lekarską z klientem, to odbiorę je dopiero w piątek. Ciekaw jestem ogromnie, czy nie przedobrzyłem wybierając ramy szare, monochromatyczne, płaskie, ale szerokie na 17 centymetrów. Czy zdjęcia nie zginą przytłumione ramami?

W piątek wybieramy się na wystawę Gaugina. To będzie prawdziwa radość, bo oboje wielce sobie cenimy jego kolory i formy.

Poza tym rok szkolny i sądowy znów się zaczął tak, iż mam moje zwykłe wykłady i moje codzienne sprawy sądowe.

Tak jak w domenie estetyki wyróżniam się tym, że Ciebie wybrałem za moje artystyczne credo, za co jestem zepchnięty na margines tego światka i nie tylko już od lat, ale i na wiele następnych, tak i w moich wykładach jestem absolutnym samotnikiem, którego opuszczają studenci uważając, że opowiadam herezje i że nie należy mnie słuchać. Dziś z mojego pierwszego wstępnego wykładu na piątym roku o moich teoriach prawa międzynarodowego zrezygnowała połowa sali. Po prostu po przerwie nie wróciła na miejsce.

A ja tu i tam wiem, że mam rację.

Piotr

Czwartek, 16 października 2003, godz. 09:19

Wybacz, ale nie bardzo pojmuję tok Twoich myśli. Na jakiej na Boga podstawie wywnioskowałeś, że mam rozwalać drzwi??? Zostały osadzone prowizorycznie, bo razem z nowymi drzwiami od zsypu zajmowały przez tydzień prawie cały korytarzyk w moim mieszkaniu. Gdy nareszcie pomalowana olejno zostanie ściana zewnętrzna, przyklejone listwy przypodłogowe i przykręcone nowe świetlóówki, które zafunduję spółdzielni, bo stare oprawki rozlatują się na kawałki, wstawiony zostanie próg, a drzwi zostaną rozfoliowane i ostatecznie dopasowane (regulacja na zawiasach). Swoją drogą zostawię (zmieniając okleinę) jedno i drugie drzwi wewnętrzne, a to na wypadek zgubienia klucza od nowych drzwi. Chodzi o to, że w takiej sytuacji musiałbym zniszczyć (wypalić dziurę laserem lub autogenem) drzwi zewnętrzne po to, by dostać się do własnego mieszkania,

a wtedy na okres (w najgorszym wypadku) weekendu czyli trzech do czterech dni, zostalbym bez zamknięcia. Tak więc jedno i drugie wewnętrzne drzwi zostaną, ale będą stale otwarte. No, ale nie jest moim zamiarem gubienie klucza.

Zdzisław

16 października 2003

Odpiszę jak Ci już przejdzie z tym murkiem i będzie można nareszcie mówić o czym innym.

Piotr

Piątek, 17 października 2003, godz. 00:09

Rzecz w tym, że o niczym innym nie piszesz tylko o kopaniu w murek lub o tym, co Ci się przydarzyło. Ja jestem życzliwie nastawiony na każdą wymianę opinii, natomiast z Twojej strony prócz sprawozdania z wystaw, których nie widziałem, ani nie będzie mi danym obejrzeć, filmów których nie znam, oraz kłopotów na uczelni, nie padła ani jedna opinia, która byłaby zaproszeniem do dyskusji. Na wszystkie moje maile, odpowiedzią były tylko lakoniczne jednozdaniowe pytania lub komunikaty. Zdecydowałem więc, że ta forma Ci odpowiada. Z murkiem nie skończy się przed grudniem, bo potem muszę wymienić skorodowane zbiorniki na wodę w pokoju i wannę w starej łazience zamienić na kabinę natryskową. Nie wyleżę z tego przed grudniem.

Zdzisław

17 października 2003

Dobrze, niech już będzie, będziemy mówić o Tobie i tylko o Tobie, bo o niczym innym nie sposób. Ale błagam, już nie o murku.

Spotkałem lekarza z Łodzi, który jest moim klientem, a który wycina

prostatę w piętnaście minut laserem bezkrwawo, bezboleśnie i natychmiastowo. Po zabiegu pacjent wraca do domu i w godzinę o wszystkim zapomina. Prostata po prostu wyparowuje pod laserem. Może Cię to zainteresuje? Jest profesorem i szefem kliniki. Ponieważ strasznie jest wrażliwy na punkcie swoich funkcji i ogromnie zapatrzonny w siebie, to uważaj zwracając się do niego, by wymienić najpierw wszystkie jego tytuły i niezmiernie go chwalić za osiągnięcia naukowe, które, jak twierdzi, gdyby były nagłośnione to pozwoliły by mu na Nobla, "ot tak."

Piotr

Piątek, 17 października 2003, godz. 19:18

Dzięki za troskę, ale ja jak na razie lubię się z moją prostatą i mam nadzieję nie opuścić jej aż do śmierci, a poza tym obstawiony jestem sławami od urologii, kolekcjonującymi na dodatek obrazy czyli mam tzw. "wejście". Poza urologami warszawskimi mam też ostatnio urologa z Nowego Jorku, który kupił ptaki, z których jeden zapewne wiąże się z jego urologiczną profesją. Zdjęcie tego obrazu wysłałem Ci jeszcze w dniu 1 września. Bardziej odpowiada mi metoda terapeutyczna jaką obiecałeś mi podesłać przetłumaczoną z Paris Match, ale potem zapomniałeś o tym. Byłoby to połączenie przyjemnego z pożytecznym.

Nie musimy pisać koniecznie o mnie, w ogóle niczego nie musimy, skoro Cię to napawa zniechęceniem. Trudno jednak, bym podejmował temat, który podany jest w trybie oznajmującym i dotyczy tego, że podobały Ci się na wystawie, na której nie byłem, jakieś obrazy, których nie znam. Jak mogę na to zareagować? Po prostu przyjmuję rzecz do wiadomości. Gdy napisałeś o filmach, podając mi ich tytuły też napisałem do Ciebie i też podałem Ci tytuły, ale podobnie jak ja, nie podjąłeś tematu, czego bynajmniej Ci nie wypominam. O murku bym nie pisał, gdybyś nieustannie nie podgrzewał tematu i nie zadawał pytań.

Z powodu przestoju z robotami, zabrałem się za malowanie obrazu, ale jeszcze nie wiem, co z niego będzie. Pracuję też nad grafikami komputerowymi. Wysyłam kilka pomniejszonych fotek.

Pięknie pozdrawiam

Zdzisław

18 października 2003

Nie bardzo wiem, co by tu powiedzieć, co by Cię pobudziło do rozmowy, która zainteresowałaby przyszłego czytelnika naszej korespondencji, o którym myślę, że raczej będzie miłośnikiem sztuki niż murarzem lub specjalistą od komputerów.

A może zacznę od tonu nie "oznajmającego" a pytającego? Co myślisz o kłopotach Busha w Iraku? Co myślisz o Papieżu? Co myślisz o przyłączeniu się Polski do Uniii? Co myślisz o Gaugenie? Co myślisz o sytuacji ekonomicznej na świecie i w Polsce? Pozdrawiam

Piotr

Sobota, 18 października 2003, godz. 13:48

No i proszę: jest już kontrowersja, ale może nie taka, na jaką oczekiwałeś. Pisząc list do Ciebie, piszę do Piotra Dmochowskiego, zamieszkałego pod Paryżem we Francji, a nie do jakiegoś "przyszłego czytelnika". Gdy otrzymuję list od Ciebie, to także sądzę, że pisany jest do mnie. Taka rozmowa "z profilu" z zerkaniem w bok, kojarzy mi się z dyskusją dwóch chłopców siedzących w przedziale kolejowym i rzekomo rozmawiających ze sobą, ale nieustannie zezujących w bok, czy zapatrzona w krajobraz pannenka przy oknie odbiera i kojarzy. Nie wiem, jak jest w innych krajach, ale skłonny byłbym dostrzegać w tym polską specyfikę. Cała nieomal polska sztuka jest tworzona z nieustannym zerkaniem na Zachód, by sprawdzić, czy już nas zauważyli i uznali za fajnych. Nawiasem: to czym interesować się będzie (o ile w ogóle będzie) "przyszły czytelnik" jest nie do przewidzenia. A nuż właśnie stawianiem murów? Waniek przed wielu laty opisał mi w liście wystawę moich obrazów za 500 lat. Ogólne zainteresowanie w mediach i wśród publiczności, ale na wystawie wszystkie obrazy wiszą stroną zamalowaną do ściany, bo zainteresowanie wzbudza płyta piłśniowa, jako archaiczne tworzywo, które dzięki opiece muzealnej

nad obrazami, zachowało się do tych czasów. Same obrazy nikogo już nie obchodzą. Gdy w erze komunizmu nagrywaliśmy seryjne kretyńskie thrillery hollywoodzkie, w celu stworzenia sobie cennej biblioteki białych kruków rozrywki (wyświetlano je może dwa razy w miesiącu i były rarytasami), przez myśl nam nie przeszło, że już po 10 latach, gdy thrillery idą co najmniej 3 razy dziennie w każdym programie, a programów jest ponad 500, najciekawsze okażą się końcówki taśm, na których zapisane zostały realia epoki: fragmenty ówczesnych wiadomości, wystąpienia sekretarzy, kartki żywnościowe etc.

Co do pytań to w niewielkim stopniu mnie mobilizują.

Kłopoty Busha w Iraku były do przewidzenia. Z obawy przed takimi kłopotami poprzedni Bush nie usuwał Saddama. W końcu i tak są to na razie tylko kłopoty wewnętrzne. Interesowałoby mnie coś innego, co zresztą w jakimś tam stopniu interesowało mnie od początku: o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi, bo tego niestety nie wiemy nadal i nie wiemy jak kłopoty, które zapewne przewidywano (w końcu mają w USA chyba orientalistów i islamistów jako doradców) umiejscawiają się w ogólnym bilansie, zarówno przewidywanych i nieprzewidywanych strat i zysków.

Co mam myśleć o Papieżu? W ogóle nie myślę o Papieżu. Żal mi starszuszka i przykro na niego patrzeć, ale nie gram w tej drużynie i to od lat.

Przyłączenie Polski do Unii. Przyznam się po cichu: nie mam o tym pojęcia. Głosowałem ZA, bo ludzie, z którymi raczej w innych sprawach mam podobne zdanie, namawiali do głosowania ZA, a ludzie z którymi prawie w żadnej innej sprawie się nie zgadzam, namawiali do głosowania PRZECIWI. Natomiast nie potrafiłbym samemu odpowiedzieć w tej materii na prawie żadne pytanie dotyczące zysków i strat.

Z Goginem jest tak, że pewne obrazy mi się podobają, a pewne nie, ale ogólnie nie jest to ten typ malarstwa, bez którego nie umiałbym żyć. Obrazy jego znam tylko z reprodukcji w czasopiśmie, a te (przy tym typie kładzenia farby jak u Gogina) mogą bardzo mylić.

Ekonomia nie jest moją dziedziną. Nie lubię wypowiadać się na tematy, na których się kompletnie nie znam, poza oczywiście ogólnymi zasadami, bo te jako tako rozumiem, w przeciwieństwie do większości polskiego społeczeństwa. Ekonomia to Twoja dziedzina - gdy na ten temat mówisz, nie zbieram głosu tylko słucham, co zechciałeś już zauważyć w swojej książce.

Pięknie pozdrawiam i idę malować, bo obraz fatalnie mi idzie.
Zdzisław

18 października 2003

To jednak udało mi się Cię sprowokować do jakiejś rozmowy.

Co do porównywania mnie do polskich snobów, którzy zerkali co pomyśli Zachód, a pletli bzdury, żeby tylko na siebie zwrócić uwagę to się mylisz, bo jak to już pisałem w mojej książce (o której wspominam, bo Ty o niej wspomniałeś) uważam, że jest tu tyle samo durniów co na Wschodzie, tyle tylko, że mają czystsze koszule i są dobrze ogoleni.

Wręcz cieszy mnie sytuacja, w której nie tylko nie zerkają na mnie, ale ode mnie stronią i nazywają mnie głupcem. Sam się przed kilkoma dniami chwaliłem przed Tobą (co nazwałeś, ewidentnie nie zrozumiawszy, że jest to dla mnie raczej tytuł do dumy niż ubolewania, "zwierzaniem się z kłopotów na uczelni"), że z mojego wstępnego wykładu wyszła połowa sali. Pozycja jednego przeciw wszystkim odpowiada mi bardzo wtedy, gdy jestem siebie pewien. A w tych sprawach, jak Ci to już pisałem, jestem siebie pewien na sto procent. Jest wręcz egzaltujące być jedynym, który wie i wie, że inni się myślą. Rola Galilea wielce mi odpowiada.

Dlatego też właściwie i Twoja pozycja artysty, który nie walczy o swoje miejsce na świeczniku, ale wszystko olewa i chce tylko fajnie się bawić, bo wie, że ma rację też mi odpowiada.

Wprawdzie bez Twego talentu, ale i ja odczuwam rzeczy podobnie. Mojej książce nie nadałem żadnego rozgłosu i w jej nagłośnienie nie włożyłem nawet jednej tysięcznej wysiłku, jaki włożyłem i nadal wkładam w nagłośnienie Twego malarstwa. Tak samo, a nawet więcej, jest z moimi książkami naukowymi. Sam je wydaję, nawet nie proponując ich żadnym wydawnictwom, bo wiem, że nikt ich nie wyda. I ograniczam się do małej serii, którą rozsyłałem kilkunastu specjalistom. Na tym próby samonagłośnienia kończę. Tak więc, niesłusznie podejrzewasz mnie o zerkanie w bok czy ładna panienka, która patrzy w okno zwróciła na mnie uwagę. Co do Busha, to wydaje mi się, że go demonizujesz, niesłusznie przypisując mu dawniej wiadomości (bo twierdziłeś, że on je ma, a my ich

nie mamy), a dziś intencje, których my nie znamy, ale one na pewno są głębokie i pełne skomplikowanych obliczeń politycznych.

Jest to dość prosty zbieg szeregu okoliczności: strachu całego establishmentu amerykańskiego, że jutro ci, którzy ich nienawidzą będą mieli broń, którą na nich mogą rzucić. Ponętny zapach nafty, której kurek chciałoby się mieć we władzy, bo samemu pracowało się w tej branży i jest się wyczulonym na ten temat. Potężne lobby żydowskie, które pcha do ucięcia wszelkich dochodów islamskim związkom palestyńskim, które popełniają zamachy (a za każdy zamach Sadam płacił po 20 tysięcy dolarów rodzinie palestyńskiego kamikadze). Konieczność silniejszego wejścia do Azji, która się zwolniła, bo zniknął Związek Radziecki. Wściekłość, że potężną Amerykę ośmiesza jakiś bliskowschodni satrapa i lży ją w sposób prawie otwarty. Temperament republikanów amerykańskich i całej ekipy u władzy w Washingtonie, że wszelkie pertraktacje, umowy międzynarodowe, dyplomacja etc. są stratą czasu i nie prowadzą do niczego. Młodość polityczna syna Busha, który nie miał doświadczenia swego ojca w dyplomacji i myślał, że może się rzucić do przodu sam, bez poparcia sojuszników. Brak politycznego wycucia, do jakiego stopnia dawniej Vietnam, a niedawno jeszcze Somalia zraziły opinię publiczną amerykańską do wysyłania młodych ludzi na odległe fronty, by się dawać zabijać za mgliste sprawy, co potem prasa roznosi z lubością. Niedoświadczenie polityka, który nie zna realiów arabskich i nie docenia ich zaparcia, zacierzewienia i gotowości do bójki. Niemożność użycia potężnej siły na poskromienie ich, bo to pociągnęłoby za sobą śmierć tysięcy ludzi, a tego opinia publiczna światowa i amerykańska już nie chce. Etc.

Boże, takich racji jest jeszcze z dziesięć, ale żadna z nich nie jest diabelską, niewiadomą, tajemniczą, taką wyjętą z WIELKIEJ POLITYKI.

Ponieważ nie znasz się ani na ekonomii, ani na stosunkach międzynarodowych, to wydają Ci się one takie wielkie, potężne i pełne niezgłębionych zagadek.

Otóż cały budżet państw niczym nie różni się od budżetu domowej gospodyni i rządzi się tymi samymi prawami. A cała wielka polityka nie różni się od kłótni, związków, bijatyk i donosicielstwa w trzeciej klasie szkoły podstawowej, która wyjechała na kolonie letnie.

To Twoje demonizowanie stygmatyzowałem już poprzednio, mówiąc Ci,

że gdyby Bush miał dowód, że broń masowej zagłady jest w Iraku, to by nam ten dowód pokazał, bo byłoby to w jego interesie, ponieważ tak funkcjonuje polityka w państwach demokratycznych, w których wielką rolę odgrywają wyborcy i w ogóle opinia publiczna, przed którą trzeba się wytłumaczyć. Ty zaś twierdziłeś, że gdzieś tam wyczytałeś, że przyczyną Drugiej Wojny Światowej były szalenie skomplikowane wyliczenia ekonomiczno-polityczne, że nikt o nich nie wiedział prócz rządzących, wówczas tych najmądrzejszych, i że w związku z tym trzeba sądzić, że i tu przyczyna (szalenie skomplikowana) jest znana tylko elicie.

Jest to typowy syndrom pierwszoklasisty. Gdy wstąpiłem na pierwszy rok studiów, to wydawało mi się na pierwszych ćwiczeniach, że niektórzy z moich kolegów są niezwykle uzdolnionymi erudytami i że ja sam jestem małym karzełkiem, który się zaraz utopi w łyżce wody. Dopiero poważniejsza wiedza pozwala stwierdzić, że ludzie niewiele wiedzą, że są na ogół przeciętnej inteligencji i niewielkiej erudycji i że powodują nimi podobki dość łatwe do rozszyfrowania.

Pozdrawiam Piotr

PS Mam nadzieję, że ton "oznajmiający" tego e-maila nie spowoduje, że rozmowa znów się zatnie.

Niedziela, 19 października 2003, godz. 20:10

Jakby to najwięźle napisać. Bo generalnie nie widzę między nami kontrowersji i chyba nie byłoby jej i w przeszłości z tym, że raz jeszcze zastrzegam się, bo robiłem to i poprzednio: nie jestem partnerem do tego typu rozważań. Polityka to daleki margines mych zainteresowań i brak mi wiedzy w tym zakresie. Jeśli poprzednio pojawiły się kontrowersje lub pozór kontrowersji, to wynikał z założenia, którego byłeś głosiicielem: Bush szuka w Iraku broni masowej zagłady i to jest jedyna przyczyna interwencji, a ponieważ na pewno jej nie znajdzie, to interwencja jest błędem. Ja (nieśmiało) sądziłem, że przyczyny są chyba bardziej skomplikowane, bo też nie bardzo wierzyłem w znalezienie tej broni (choć tego nie wykluczałem) i skłonny byłem przypuszczać, że jest to legenda na doraźny

użytek dziennikarzy i ulicy. Nie wiem do dziś jak było naprawdę, ale argumenty, które przytaczasz teraz, są dla mnie nieporównywalnie bardziej przekonujące. Takie powody interwencji, wydają mi się już bardziej prawdopodobne. To, że powołałem się na jakiś film z Discovery na temat prognozowania ekonomicznego przed przystąpieniem USA do II wojny - no bo taki film widziałem - nie miało rozstrzygać sporu, lecz tylko wskazać to, iż oficjalna wiedza to jedno, a faktyczne przyczyny to drugie. Sam zresztą przed laty opowiadałeś mi o tym, jak wyglądają tajne rozmowy międzynarodowe i że nie wszystko podaje się do wiadomości opinii publicznej. Nadal jednak sądzę, że interwencji w Iraku nie da się oddzielić od dalekowzrocznej (choć niekoniecznie mądrej i słusznej) polityki USA w tamtym rejonie i że jakieś prognozy na pewno są przeprowadzane, bo wręcz trudno sobie wyobrazić, że gremium, składające się nawet z ludzi dość ograniczonych, byłoby w stanie podejmować decyzje na poziomie piaskownicy: "a teraz dopierdolimy Saddamowi, niech nie podskakuje". W końcu Saddam grał w propagandzie USA rolę Największego Szatana od wielu lat przed atakiem na WTC (nawet w starych kreskówkach!) i trudno się oprzeć podejrzeniom, że było to dyskretnie sterowane, a teraz po ataku na WTC nasunęła się fajna okazja do interwencji, przy większościowym poparciu, urabianej przez lata, opinii publicznej. Nie upieram się przy swoim, ale ciągle wydaje mi się, że są jakieś ukryte powody, których nie znamy. Może jestem paranoikiem?

Co do ekonomii, to nie jestem chyba głupi i zdaję sobie sprawę, że prawa ekonomii działają tak samo w moim budżecie domowym, jak i w zakresie globalnym, ale co innego znać podstawowe zasady, a co innego znać rynki paliwowe, rynki monetarne, trzymać rękę na pulsie giełdy etc. Nie mam krztyny wiedzy w tym zakresie, więc na nic mi są ogóle zasady. Dotyczy to nie tylko świata, ale i Polski. Może bym to potrafił ogarnąć i zrozumieć, na pewno bym to potrafił, ale musiałbym przestać malować, bo nie starczyłoby zarówno czasu jak i energii psychicznej na jedno i na drugie. Wolę więc malować.

Zdzisław

20 października 2003

Pamiętam, że kiedyś nazwałeś jedną z Twoich wystaw "Oczekiwanie". Miałem to samo przy budowie galerii. Oczekiwałem godzinami aż moi robotnicy wrócą i zechcą pracować. A miałem już wydrukowane zaproszenia na pierwszy wernisaż i daty zmienić nie mogłem. Tego oczekiwania nie zapomnę.

Wysłałem Ci dwanaście zdjęć. Z tego, co piszesz wynika, że dotarła polowa. Ale jak widzę dała Ci mniemanie o tym, jak to wygląda. A wygląda super.

Mam grypę i czuję się podle. Także z przyjazdu do Polski nici.

Piotr

Poniedziałek, 20 października 2003, godz. 22:07

Dotarło 6 zdjęć. Ramy wyglądają bardzo elegancko. Jakoś z opowiadań wydawało mi się, że prace Gordina są geometrycznie większe. Możliwe, że były już na passe partout i opisywałeś mi wymiar wraz z passe partout. Wygląda to w każdym razie bardzo dobrze.

Jestem cały w nerwach, bo zapalenie płuc u pana wykonującego roboty u mnie przedłuża się, co spowoduje, że przystąpimy do ich kontynuacji dopiero po 28 bm., o ile nie okaże się, że jeszcze nie jest wyleczony. Miałem nie pisać więcej o murku, ale mnie to podłamało, bo już odliczałem czas do tyłu i nagle wszystko ponownie mi się posypało. Nie cierpię stanu zawieszenia i oczekiwania na finał! Dezorganizuje mnie to psychicznie. Nie umiem pracować.

Zdzisław

Poniedziałek, 20 października 2003, godz. 9:46 PM

Czy i ile zdjęć dotarło?

Piotr

Wtorek, 21 października 2003, godz. 12:03

Zamiast 6 brakujących fotografii spłynęły w tej chwili na mnie, wraz z Twoim mailem, zaległe maile mojej korespondencji z jedną damą, ale takie, które już dawno wysłałem i ona dawno na nie odpowiedziała lub przeciwnie. Nie mam pojęcia, co zakłóca czasami normalny bieg rzeczy. Współczuję w grypie. Czyżbyś tego roku nie brał zastrzyku VAXIGRIPu? Zachęcony przed co najmniej 10 laty właśnie przez Ciebie, biorę go teraz co roku i jak do tej pory grypy nie miałem, ale także nie wiem, czy to na skutek zbawiennego działania Vaxigripu, czy też w wyniku tego, iż nader rzadko stykam się w jesieni i zimie z innymi ludźmi, a nawet nie codziennie wychodzę z domu. Boję się teraz, że złapię wirusowe zapalenie płuc od pana Krzysztofa lub od jego żony, która tu co tydzień sprząta.

Zdzisław

21 października 2003

Gips w tym, że jak co roku tak i w tym, trzy tygodnie temu wraz z Anią zaszczepiliśmy się. Już mi się to raz zdarzyło, że zaraz po szczepionce dostawałem (trochę łagodniejszej niż bez szczepionki) grypy. Mówi się, że grypę łapie się od innych. Ale i ja nie mam wrażenia, iż z kimś chorym się spotkałem. Ty żyjąc jak anachoreta masz rzeczywiście daleko mniej okazji na niefortunne spotkanie.

Czy obraz, nad którym męczyłeś się jest już skończony? Jeśli tak, to prześlij fotkę.

Piotr

Wtorek, 21 października 2003, godz. 14:54

Niestety obrazu nie mogę kończyć z kilku powodów, w których każdy jest na miarę owego braku armat, których salwy nie mogły powitać Napoleona. Po pierwsze od dwóch dni jest cholernie ciemno. Licząc, że od jutra zacznie się Armagedon budowlany, wczoraj rano namalowałem na

obrazie błyskawicę, kładąc farbę na tyle grubo, by świeciła. Aby przeszła potrzebne będzie minimum 5 dni. Wokół błyskawicy trzeba będzie za 5 dni wetrzeć palcem cienko to tu to tam trochę białej farby, aby pojawiły się takie mgliste rozbłyski - no ale nie sposób tego zrobić zanim sama błyskawica nie wyschnie. Mniemałem, że akurat przez te 5 dni nic robić nie będę, bo panować będzie burdel budowlany, a tymczasem teraz i przez nadchodzący tydzień będzie spokój, więc chyba (o ile się rozjaśni) zacznę malować coś innego. Ten odstawiony obraz przedstawia jakby ducha samolotu na tle pustego nieba przeciętego błyskawicą. Na razie nic nie robię - trochę dłużej przy grafice na komputerze. Też powinienem porobić dodruki grafiki i wydrukować kilka lub kilkanaście nowych prac na czysto, ale cholernie mi się nie chce. Zimno, zmrok i jesień, zawsze mnie demobilizowały.

Zdzisław

PS: Połączenie internetowe nieustannie przerywa: to jest, to go nie ma. Nie wiem, czy coś przy nim majstrują, czy też to wpływ pogody. A może znowu złapałem jakiegoś wirusa?

22 października 2003

Z grypą już jest o wiele lepiej. To właściwie już regularnie tak jest, że po szczepionce łapie mnie ból gardła i głowy, kaszel i katar. Natomiast nie jest to nie do zniesienia i mija już po trzech dniach.

Rzuć okiem na moją nową wystawę Henricot.

Jest tam wiele przekłamań, głównie wynikłych z tego, że niektóre reprodukcje były kopiowane z książki, a nie z ektachromów (choć i te ostatnie nie zawsze są wierne). Nie skarżę się jednak za bardzo, bo to, co najważniejsze, to znaczy piękno, pozostało. Obrazy nadal wywołują wrażenie takie, o jakie mi chodziło. A przy tym i przekłamania nie mają już wtedy takiej wagi.

Byliśmy dziś wreszcie na wystawie Gauguina, na której są kolejki po godzinie czekania i tłumy. Ale warto było odczekać, bo obrazy, drzeworyty, rysunki i płaskorzeźby starannie dobrane i wysokiej klasy. Przepiękne ko-

lory i deformacje bardzo udane. Jest tam wiele z symbolizmu i z ekspresjonizmu, ale tego mojego, tego, który lubię (nie zaś z Noldego, Kirsznera i innych Niemców, których sposobu malowanie nie znoszę). Tylko cztery obrazy mniejszej wagi należą do Francuzów. Wszystkie inne należą do Ermitażu, do muzeów amerykańskich i niemieckich. Ta francuska, głupia swolocz z establishmentu kulturalnego nie umiała się na czas poznać nawet na Gauguinie i jak przyszło co do czego, to już obrazów na rynku nie było albo były za drogie, jak na kieszeń tych centusiów.

To spostrzeżenie koi moje rany, gdy myślę o Twoich obrazach, których ta swolocz nie chciała, gdy jej je proponowałem. I tu także kiedyś będzie sobie gryzła palce, gdy będzie za późno. Boże gdyby wolno mi było ich jednego po drugim wymordować, najpierw godzinami mecząc ich prądem elektrycznym lub batożąc grubym kijem, aż by zdechli.

Piotr

Czwartek, 23 października 2003, godz. 10:22

Nie mam w sobie takiej porcji mściwości, jaka emanuje z Twoich listów - tym razem w stosunku do francuskiego establishmentu kulturalnego. No cóż: sam kiedyś głosiłem podobne przekonania i jeśli teraz je słyszę od innych, to zachowuję pokorę wobec bezmiarów głupoty i pychy, jaka nas wszystkich łączy. Nie mów, że jesteś inny, bo sam raz określiłeś się w rozmowie ze mną, jako młody idiota czy też młody kretyń, gdy rekapitulowałeś jakąś dyskusję ze swoim ojcem. Patrzyłem np. na obrazy Siemiradzkiego i widziałem dokładnie to samo co dziś, ale byłem przekonany, że facet nie miał pojęcia o malowaniu, bo tak głosiła obiegowa środowiskowa opinia. Do dziś nie potrafię zrozumieć tego fenomenu, jako iż można nie cierpieć Siemiradzkiego, ale naprawdę nie sposób odmówić mu mistrzostwa. A mnie wtedy chodziło tylko o to, że Siemiradzki to kicz. Zadowalało to mnie i nie budziło cienia wątpliwości. "Najgorsze gówno w historii polskiej sztuki" tak mniej więcej się wypowiadałem o Siemiradzkim, na co - jak pamiętam - moja mama zwróciła mi uwagę, że mogę tak nieświadomie powiedzieć przy kimś z jego rodziny i sprawię temu komuś przykrość. Jak więc mogę potępiać innych? Panie wybac

im, bo nie wiedzą co czynią. Zapewne ja też do dziś nie wiem, bo na jakiej podstawie mógłbym sądzić, że przedtem byłem głupi, a teraz jestem mądry. Może nadal jestem głupi tylko inaczej? To fakt, że jestem obecnie bez porównania bardziej tolerancyjny dla odmienności. Ci, dla których liczy się Sasnal, a Beksiński to stare gówno, mają w sobie ogromną dawkę fundamentalizmu, bo ja potrafię zaakceptować i zrozumieć nie tylko Sasnala, ale wiele innych sposobów kreacji. Zrozumieć i zaakceptować nie znaczy tego samego co polubić i być poruszonym. Porusza mnie to, co jest mi bliskie - tym niemniej skłonny jestem wszystko traktować życzliwie, w tym nawet idiotów z establishmentu, no bo sam taki byłem.

Ekspozycja Henricot bardzo fajna. Z wyjątkiem jednego, zabrakło mi na niej obrazów architektonicznych - no ale to Twój wybór. Ja obecnie nie maluję, lecz zabrałem się za wykonanie dodruków grafiki i za drukowanie nowych grafik. Odpychałem to od siebie, bo to nudna robota i to co najmniej na tydzień, ale w końcu jak nie teraz, to kiedy?

Zdzisław

24 października 2003

Nie sądzę, żeby moją nienawiść do francuskiego establishmentu kulturalnego można było nazwać "głupotą" lub "kretynizmem". To uczucie zupełnie nie jest z tej beczki. Ja nie tyle zięję do nich nienawiścią z zaślepionego zamilowania do Twojej sztuki, czy z nietolerancji dla sztuki, którą oni preferują ile za sposób, w jaki okazywali mi wzgardę. To, że Twojej twórczości nie lubią może by mnie drażniło jak drażni tego, kto widzi coś ewidentnego, czego inny twierdzi, że nie widzi. Natomiast ośmieszanie tego, co im pokazywałem określeniami typu "okładki do książek science fiction" lub "pompiers" lub jeszcze "kicz" jest uwłaczające mojej osobie i moim gustom. Ja ich nie opluwałem za ich sztukę, choć jej na ogół nie lubię. Oni za to pluli na mnie.

Tak więc, jest to kwestia uczuć, a nie rozumu, a więc fundamentalizmu, głupoty czy kretynizmu.

Przez całe dzieciństwo mój starszy brał okazywał mi na każdym kroku bezmierną pogardę i nigdy nie odmówił sobie przyjemności, by ją podkre-

ślić. Mimo iż jako dorosły człowiek pogodziłem się z nim, żal i niechęć za owe urazy z dzieciństwa były tak głębokie, że w końcu jednak zerwałem z nim i nigdy już się do niego nie odezwałem, choć oblegał mnie latami prosząc o pogodzenie.

Upokorzenie jest o wiele silniejszą podniętą do nienawiści niż niezgodność gustów estetycznych.

Są ludzie, którzy gdy na nich plują, ocierają się z uśmiechem i mówią, że to deszcz pada. Ja natomiast myślę o zemście. Nawet jeśli jestem za stary i za słaby, by mieć kiedykolwiek szansę ją wyrzucić.

A prócz tego jest we mnie od urodzenia skłonność do przemocy i do nienawiści. Gdybym był żołnierzem Hitlera, to szybko stałbym się rekordzistą w zabijaniu wszystkich tych, których bym nienawidził. Ale prawdopodobnie nie zaszedłbym daleko w randze biurokratycznej, bo nie o zabijanie anonimowe w rodzaju Eichmana mi chodzi, a o zabijanie moją własną ręką. Tak więc, chętniej byłbym kapo niż oficerem w obozie koncentracyjnym.

Jest w tym pewien ewidentny sadyzm, z którego sobie zdaję sprawę. Ale sadyzm wyłącznie anty-ludzki. Bo napawa mnie z kolei nienawiścią wszelkie znęcanie się nad zwierzętami. Te naprawdę kocham, nawet jeśli nie są moimi własnymi. Na filmy o zwierzętach żyjących na wolności mogę patrzeć godzinami, cały czas radośnie się uśmiechając. Gdy je widzę, głównie w telewizji, w klatce, zabijane lub bite, to jak najspieszej szukam telecommande, żeby przeskoczyć ten kanał i nie zdążyć zobaczyć ich cierpienia.

Ty tego nie rozumiesz i traktujesz nienawiść w kategoriach racjonalnych, a więc w kategoriach "głupoty" czy "kretynizmu". Moja żona też nie ma w sobie jadu i nie jest zdolna do takich jak ja nienawiści. Jej po prostu nikt nie może przyprawić o uczucie nienawiści. A nawet, jeśli na kogoś furknie, to po pięciu minutach zapomina mu wszelką urazę. Tak więc, na jej przykładzie wiem, że spokojne temperamyenty istnieją realnie i nie są tylko maską, w którą ubierają się obłudnicy. Ale o ile ja ich rozumiem i wierzę, że nie kłamią o tyle oni, tak jak Ty, nie rozumieją mnie, często nie wierząc w to, co im mówię, a najczęściej określając to mianem głupoty (a więc niewiedzy).

Piotr

Piątek, 24 października 2003, godz. 16:49

Ja nie traktowałem nienawiści w kategoriach głupoty lub kretynizmu. Jakoś opacznie mnie zrozumiałeś. Nienawiść taką, jaką opisujesz Ty i to nie po raz pierwszy, zawsze traktowałem w kategoriach seksualnych jako sadyzm, co doskonale znam po sobie, bo u mnie występuje to samo uczucie, tyle że w kategorii biernej i w stosunku do abstrakcyjnej kobiety (jako takiej), która nie posiada żadnego odwzorowania w rzeczywistości, a istnieje tylko w wyobrażeniu i jest czymś w rodzaju boga. Stąd realizacja tego uczucia jest poza wyobraźnię niemożliwa, bo taki świat (w przeciwieństwie do obozów) nie istnieje i chyba nie istniał, ale wymyślanie absurdalnych, z punktu widzenia realizmu, historii i scenek jest milion razy atrakcyjniejsze od normalnego obłapienia. W końcu myślenie, by być kimś w rodzaju kapo w obozie, jest wprawdzie bardziej realistyczne, bo taki świat istniał lub nawet tu i tam istnieje, ale nie różnią się gatunkowo tak bardzo od myśli, by być w tym obozie więźniem pod warunkiem, że byłby on dowodzony przez atrakcyjne i abstrakcyjne panienki. Zdaję sobie sprawę, że z punktu widzenia realizmu i racjonalizmu jest to pomieszanie z poplątaniem, ale skoro tak już jest, to nie ma na to rady, podobnie jak na zarost i kolor włosów.

Oczywiście gorzej jest na świecie komuś odczuwającemu tak, jak Ty. Mogę sobie to wyobrazić. Ja chyba podobny jestem do Twojej żony: gdy nawet ogarnie mnie furia, to po krótkim czasie mija, fale się wygładzają i właściwie nic się nie stało. Nie istnieje tu nawet chowanie urazy i spychanie jej do podświadomości. Nie mówię tu już oczywiście o aspekcie seksualnym, który w moim wypadku i przy moich wyobrażeniach, jest czystą abstrakcją. W świecie realnym pojawia się u mnie nawet coś w rodzaju pociągu do ludzi, którzy nie lubią tego, co robię i dają temu wyraz. Gdybym był młodszy, to zapewne usiłowałbym zjednać do siebie te wszystkie panie, które tak nie lubią mego malowania. Wszystko to nadbudowa. Mamy jakąś nie dającą się zdefiniować konstrukcję osobowości i cały ten kram, łącznie z popędami i wyobrażeniami, gustem artystycznym i poczuciem tożsamości, to tylko wariacje na temat lub bluszczy

obrastający ową konstrukcją.

Od trzech dni zająłem się drukowaniem nowych grafik i dodrukowywaniem starych, które uległy wyczerpaniu. Poza tym skanuję i nagrywam na CD nie zarchiwizowane prace, które też potem będę drukować. Potem trzeba to wszystko podpisać i skatalogować, jednym słowem robota na pełny tydzień, codziennie od rana do wieczora i to robota koszmarnie nudna, bo jedną pracę skanuje się około 15 minut, a z kolei drukowanie jednej pracy trwa około 10 minut. Nie można tego robić równocześnie. Każdą pracę drukuję 4 razy. Sen mnie w czasie tego morzy, ale staram się trzymać. Wczoraj na dodatek prawie cały dzień diabli mi wzięli, bo przyplątał się kablem robak internetowy (tzw. blaster worm) i zaczął około godziny 11 rozmnażać się w Systemie 32 powodując automatyczne wyłączanie komputera co 2 minuty. Mieli mi z firmy przysłać pomoc, ale dopiero późnym wieczorem, około godziny 20, więc walczyłem sam i w końcu około godziny 17, odniosłem zwycięstwo niczym św. Jerzy w walce ze smokiem, ale dzień przeszedł bezproduktywnie, jeśli idzie o drukowanie. W związku z tym powziąłem ideę, by do internetu i korespondencji kupić jakiś jeden niewielki komputer, którego nie używałbym do niczego innego (obecnie drukuję z tego, który podłączony jest do internetu). W ten sposób złapanie wirusa lub robaka, nie pozbawiałoby mnie możliwości pracy. Teraz też streszczam się, bo skaner co 15 minut wzywa mnie do siebie, a z kolei drukować mogą tylko z tego komputera, na którym teraz piszę.

Zdzisław

PS: W poniedziałek u notariusza sprzedaję drugie mieszkanie po Tomku i w ten sposób przestaję być kamienicznikiem, a co ważniejsze spada mi jeden kłopot z głowy: dwa mieszkania na Sonaty połączone zostaną w jedno, a trzecie na Mozarta sprzedane.

24 października 2003

Jeśli wymyślasz absurdalne, z punktu widzenia realizmu, historyjki i scenki erotyczne, to mi ich kilka opowiedz. Pozwoli mi to, choć z daleka rzu-

cię okiem na Twój świat wewnętrzny. Jeśli Cię to nie krępuje, to opisz mi Twoje erotyczne wizje.

U mnie nienawiść i bezspreczny sadyzm nie mają podłoża seksualnego. Najbardziej lubilem kochać się z panienkami za ich zgodą, a najlepiej z ich entuzjazmem. Nigdy nie użyłem siły, żeby jakąś dziewczynę zmusić do spółkowania, a nawet, jak sądzę, po prostu opadłby mi członek, jeśli nakazano mi używać siły i dręczyć fizycznie kochankę.

Mój sadyzm jest skierowany do osób, których nienawidzę. Niektórych nienawidzę za bardzo konkretne rzeczy. Lecz wiem, że nie muszą to być urazy osobiste ani realne.

Potężnie potrafiłem nienawidzić za dawnych czasów wyimaginowanych wrogów politycznych czy ideologicznych. Moje dawne zaangażowanie polityczne, które było skrajne, nieuniknienie miało się zrealizować przez przemoc i gwałt. Dziś polityka bawi mnie tylko jako pretekst do gapienia się w telewizję lub opowiadania anegdot studentom. Ale kiedyś dochodziłem do zenitu wściekłości przeciwko wrogom politycznym, których najchętniej bym nawet nie uśmiercał, a ciężko okaleczał tak, by męczyli się jeszcze przez trzydzieści lat.

Na pewno byłbym oprawcą, gdyby system mi na to pozwolił. Czy oprawcą tych, którzy by na to jakoś zasłużyli? Na razie wydaje mi się, że nie byłbym w stanie dręczyć człowieka, którego bym nie nienawidził.

Ale jakby to było gdyby granice się otworzyły? Miliony niemieckich żołnierzy nauczyło się nienawiści do Żydów zaledwie w kilka lat i wydawało im się potem, że mordując ich mordują prawdziwych, osobistych wrogów. Może i ze mną tak by było? Może i ja bym nauczył się nienawidzić całych kategorii ludzi, których nie widziałbym nawet na oczy, ale których jak Niemcy, nienawidziłbym szczerą nienawiścią za sam fakt ich przynależności? Zresztą jest w sadyzmie rodzaj pędu, który porywa. Jeśli się weszło w morderstwa liczne, łatwe i niekarane, to chyba i autentyczna nienawiść nie jest potrzebna, żeby kontynuować. Sztuczna wystarcza. A może nawet i ta nie jest konieczna?

Toteż wielokrotnie dumam nad mądrym wynalazkiem ludzkości, jakim jest Państwo, sądy, policja, więzienia etc., to znaczy wszystko to, co uniemożliwia takim jak ja, poczciwym mieszczuchom, zamienić się w potwory.

Jeszcze raz namawiam Cię do opowiedzenia mi Twoich seksualnych dywagacji.

Piotr

Piątek, 24 października 2003, godz. 23:47

Tego właśnie wstydzę się tak potwornie, że nigdy nikomu nie opowiem. I nie dlatego by tam było coś niezwykłego dla postronnych, bo dla nich będzie to być może komiczne, lecz dlatego, że ta moja wyobraźnia erotyczna jest niesłychanie infantylna i tandetna literacko. Wstyd wynika więc nie z tematyki, ile ze stylu. Bo tak właśnie jest. Umiem to ocenić na zimno. W życiu realnym - czy ono miało zakres seksualny czy nie, zachowywałem się zawsze w granicach przeciętności. Ani mi w głowie powstało, by wzorem pocziwego de Sade'a moje pomysły realizować, gdyż one były nie do zrealizowania, a wszelka realizacja splaszczylaby je do zera. Świat realności i świat wyobraźni seksualnej to dwa całkiem inne światy i jeżeli przekraczałem czasem ich granice, to tylko tak, że w trakcie realnego stosunku wyobrażałem sobie całkiem coś innego. Obecnie - na starość - nawet do zwykłej fotografii porno z internetu, umiem dopisać w wyobraźni inną egzegezę, która nawet nie zaświtała w umysłach ludzi, którzy tą banalną fotografię wyprodukowali. Patrzą przez nią jakby na wylot przez szybę i widzą inny świat.

Zdzisław

25 października 2003

Jeśli by wielce filozofować i powoływać się na dziadka Freuda, to samochód jest przedmiotem seksualnym. A ponieważ ja najczęściej i najgoręcej nienawidzę moich bliźnich na drodze, gdy źle prowadzą, wniosek z tego prosty, że mój sadyzm ma podłoże seksualne i jest dokładnym przeciwieństwem Twego masochizmu.

No tak, ale pod warunkiem, że bardzo się będzie filozofować i wielce żą-

głować synonimami i przenośniami. Szkoda, że gwoli prawdy nie chcesz opowiedzieć, jakie masz fantasmy seksualne.

Twój Banach wysłał mi reprodukcję swego ostatniego obrazu. TEGO NIE LUBIĘ. Brrr!

Piotr

Niedziela, 26 października 2003, godz. 10:43

Banach jest młodym, utalentowanym chłopakiem. Niechże ewoluuje, jak chce. Ja też nie przepadam za takimi obrazami jak ostatni, ale to jego niezbywalne prawo, by bawić się po swojemu.

Co do Twego charakteru i potrzeb, to na pewno nie miałem racji, określając je jako seksualne, bo po prostu poszedłem za nazwą, a sadyzm to pojęcie z zakresu potrzeb seksualnych. Określmy to inną nazwą i będzie OK. Tomek też taki był: pamiętliwy i nie przepuścił żadnej urazy, a najchętniej wszystkich by wystrzelał. Mój Boże: wszyscy jesteśmy nosicielami jakiegoś dziedzictwa genetycznego, a poza tym uwarunkowują nas jakieś doświadczenia z dzieciństwa, a potem to już po prostu staje się cechą charakteru. Mój masochizm ma zdecydowanie seksualny charakter i dzieje się całkowicie w wyobraźni. Na jawie wcale nie lubię być poniżanym ani upokarzany, tyle, że nie tak łatwo jak Ty, postrzegam coś jako upokorzenie (np. odmowa dyrektora spółdzielni), nie reaguję na to tak gwałtownie jak Ty, no i nie jestem pamiętliwy. To, co mnie podnieca, to rozmyślanie na taki temat i wyobrażanie sobie takich sytuacji i to w wymiarze ekstremalnym. Nie wiem skąd to się wzięło, bo przez całe lata było ukryte - o czym chyba już pisałem poprzednio - i nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak mocno to we mnie siedzi i jak mocno porusza.

Zdzisław

Niedziela, 26 października 2003, godz. 13:23

Przerywając na chwilę robotę przy katalogowaniu, archiwizowaniu i drukowaniu grafiki, które pociągnie się jeszcze przez kilka dni, skończyłem

obraz i wysyłam zdjęcie.
Zdzisław

Załącznik (Nowy obraz "Duch samolotu") na stronie XXX

26 października 2003

Obraz jest super!
Piotr

Poniedziałek, 27 października 2003, godz. 20:07

Dzięki za informacje w sprawie Medium Rowneya, ale jestem już dziś tak zmęczony, że nie jestem w stanie ani myśleć, ani pisać. Rano założyli mi jak na razie kabel do Neostrady. Jakiś generator ma podłączać inna grupa. Potem spisywałem u notariusza kontrakt sprzedaży drugiego mieszkania po Tomku. Potem zjadłem w McDonald's i zaraz pojawił się starszy o 7 lat ode mnie kumpel ze studiów, któremu na jakiś międzynarodowy zjazd architektów trzeba było robić w komputerze zestawienia portretów fotograficznych, jakie porobił rozmawiając z Calatrava, Mies van der Rohe, Frankiem Gehry i innymi sławami, wraz z ich odręcznymi, kilkudziesięcioma wypracowaniami na temat "Czym jest architektura" (skąd pan bierze pomysły do obrazów - odpowiadanie na głupie pytania jest jak widać nieuniknionym przekleństwem wszystkich twórców). To wszystko trzeba było skanować, dopasowywać, sklejać, retuszować. Za chwilę chyba usnę nad klawiaturą. Jutro, ozdrowiały pan Krzysztof rusza z robotą przy korytarzyku. Plecy mnie boją, głowa mnie boli, wszystko mnie boli.

Beksiński

Załącznik (Wejście do mieszkania od klatki schodowej po dokonanych pracach) na stronie XXX

Załącznik (Korytarzyk prowadzący do "kawalerki Księżnej Gospodyni")
na stronie XXX

De: Zdzisław Beksinski [bex@acn.waw.pl]

Przepraszam ale przed chwilą wysłałem do Ciebie tekst przeznaczony dla Banacha. Już drugi raz w tym tygodniu źle kieruję listy. Efekt zmęczenia.
Pozdrowienia
Zdzisław

28 października 2003

Co mam zrobić z listem do Banacha, który do mnie dotarł?
Piotr

Wtorek, 28 października 2003, godz. 12:39

Nic nie rób. Zaraz w momencie, gdy zauważyłem, że wysłałem list pod nieodpowiedni adres (ostatnio list do Banacha wysłałem jednej damie), a zauważam to natychmiast, bo to po prostu tylko błędne kliknięcie, wysłałem mu go powtórnie, a Ciebie zaraz zawiadomiłem o pomyłce. To mi się zdarza niezbyt często, ale ostatnio jakby częściej. Może przemęczenie, bo wczorajszy dzień był koszmarny. Rano zakładanie kabla do Neostrady. Wiercenie w ścianach i gruz, potem jazda i stanie w cholernym ogniu w banku, by dowiedzieć się, czy doszedł przelew 140.000 za mieszkanie. Po czym jazda do notariusza i spisywanie kontraktu, po czym, po obiedzie przyniesionym z McDonald's (przyniosłem sobie i zjadłem w kuchni dwa Royale), przyszedł mój stary kumpel jeszcze z Wydziału Architektury, a był ostatnio zagrypiony, więc wbija w siebie czosnek, bo wierzy że to ma jakieś znaczenie lecznicze i dysząc czosnkiem, siedział mi nad głową od godziny 15:30 do około 20, a ja skanowałem zdjęcia i teksty i przygo-

to wywałem dla niego materiał pogładowy na temat referatu o architekturze na jakiś międzynarodowy zjazd architektów. Jak to się już skończyło, to byłem jak dętka. Dziś od rana przyszedł nareszcie po chorobie pan Krzysztof z elektrykiem, ale dla odmiany nie mogą drukować grafiki ani pracować na komputerze, bo bez przerwy wysiada światło, gdyż przerabiane są wszystkie podłączenia. Chyba położę się i przysnę.

Zdzisław

PS. W trakcie korekty tego listu dwa razy wyłączono światło!!!

Wtorek, 28 października 2003, godz. 22:29

Obejrzyj koniecznie. Genialne fotomontaże (chyba na metalu) Roberta Parker Harrisona.

Niestety zbyt małe reprodukcje.

<http://photoarts.com/21stphotography/platparkeharrison.htm>

Zdzisław

29 października 2003

Wiele tu jest z Twojej estetyki i bardzo jest to klawe. Nie robi to na mnie równie piorunującego wrażenia jak Gordin, bo nie jest okrutne, ale postać trzymająca ptaki-latawce ma wielką klasę.

Pierońsko drogie te wydawnictwa. Gdyby to były zdjęcia poszczególne tak jak Bavariego lub Gordina, to bym sobie zamówił kilka. Ale w formie książki to mniej mnie to bawi.

Znow muszę biec na wykład i znow nie dokończę tego listu. Może wieczorem.

Piotr

PS : Zauważyłeś, że to wydawnictwo robi również publikacje z Witkinem?

1 listopada 2003

No, to teraz jesteś bogaty jak Krezus. Chyba przestaniesz sprzedawać obrazy.

Nadal roboty w domu?

A może coś namalowałeś?

Piotr

Sobota, 1 listopada 2003, godz. 19:58

Nie bardzo rozumiem skąd informacja o moim bogactwie? Pewnie myślisz o tej sprzedaży mieszkania. Zdziwisz się, gdy Ci opiszę ile razy to mieszkanie "kupowałem i sprzedawałem". Piszę w cudzysłowie, bo była to na przestrzeni kilku ostatnich (5-6?) lat, transakcja tak skomplikowana, że już nie sposób jej zbilansować. Chyba jeszcze w 1998 roku, pożyczyłem Tomkowi forszę w dolarach na kupno tego mieszkania. Nie pamiętam już ile. Chciałem mu tą forszę dać, ale uparł się, że będzie mi zwracał. Potem płaciłem za jego remont. Nie pamiętam już ile, bo to było w szeregu rat i trwało ponad rok. Tomek sukcesywnie oddawał mi forszę za mieszkanie i za remont, ale nie oddał wszystkiego z tym, że teraz nie pamiętam już, ile wynosiło saldo ujemne. Napisał mi w komputerze życzenie pośmiertne, bym to mieszkanie przekazał jego znajomej z Krakowa, która nie ma gdzie mieszkać. Nie było na to szansy prawnej, bo najpierw trzeba by było przeprowadzić postępowanie spadkowe, a potem dokonać aktu darowizny, jako iż nie był to formalny testament, tylko wpis do komputera, który odczytałem ex post, opierając się na jego kartce "wszystko jest w komputerze". Tak więc biegle wycenił mieszkanie. Ja obliczyłem ile za to mieszkanie i remont Tomek mi zwrócił, dodałem do tego przewidywaną sumę tantiem za tłumaczenia, jakie mogłem po jego śmierci odziedziczyć z ZAIKS. W sumie wyniosło to coś około 90.000 zł, bo część była w złotych, a część w dolarach i tą forszę przekazałem tej osobie, dając jej jednak również pod rozwagę i do jej decyzji ewentualność otrzymania tego mieszkania zgodnie z wolą Tomka za rok czy półtora, w formie

darowizny ode mnie, ale po opłaceniu proporcjonalnej części podatku spadkowego (po przeprowadzeniu postępowania spadkowego i zapłaceniu podwyższonego podatku, który umożliwiał sprzedaż lub darowiznę od ręki - w przeciwnym wypadku trzeba z tym czekać 5 lat), no i opłacenia potem podatku od darowizny, ale ona wybrała gotówkę. Dziś nie mam pojęcia, czy na tym interesie cokolwiek zyskałem, czy raczej straciłem, bo i ceny mieszkań uległy przez ten czas zmianie. Od paru lat to mieszkanie pełniło rolę stryżku, na który wynosiło się rzeczy, jeśli nie wiadomo było co z nimi zrobić. Była nawet w pewnym momencie koncepcja przeprowadzenia się tam, no bo tam był parkiet, nowe okna, wanna i kabina natryskowa, tyle że metraż był niższy niż u mnie. Ja zresztą, ze zrozumiałych przyczyn, nie cierpiałem chodzić nie tylko tam, ale nawet do tamtego bloku. Tak więc to mieszkanie stanowiło raczej kulę u nogi, za którą od paru lat buliłem wysoki czynsz. Od momentu gdy wszedłem w posiadanie kawalerki obok, idea przeprowadzenia się ostatecznie upadła, gdyż przedtem myślałem, że księżną gospodynię umieszczę w dawnym mieszkaniu Tomka pod 1109 (które w 2001 wyremontowałem), a sam ulokuję się w tym 3 pokojowym pod 1101, no ale skoro już mam kawalerkę tu na Sonaty, to postanowiłem, że zostanę na starych śmieciach. Aktualnie zacząłem od wczoraj chorować. Gardło, katar, gorączka, wprawdzie nie mierzę, ale po prostu czuję. Mam nadzieję, że do 6 bm. wszystko przejdzie w fazę mniej upierdliwą, bo teraz leje się z nosa i drapie w gardle. W związku z tym w ogóle nie pracuję. Roboty nadal trwają i szybko jeszcze się nie zakończą. Wysyłałbym Ci - jak innym - zdjęcia na bieżąco, ale nie chcę Cię wkurzać i dlatego o tym nie informuję.

Zdzisław

Wtorek, 4 listopada 2003, godz. 18:50

Jest ciekawe zdjęcie Lewczyńskiego do sprzedaży na aukcji w Rempexie. Co nowego? Co namalowałeś?

Ja mam okropne sensacje żołądkowe spowodowane próbą diety białkowej. Już po jednym dniu złamało mnie tak, iż ledwie zipię, jakbym się zatrzał. Tak więc, musiałem dać spokój odchudzaniu i wrócić do normal-

nego jedzenia.

Mój załącznik (Zdjęcie Lewczyńskiego)

Wtorek, 4 listopada 2003, godz. 20:13

Pisałem Ci przecież przed trzema dniami, że jestem chory, tak więc w ogóle nie pracuję! Starałem się, w miarę sił, archiwizować i dodrukować grafikę, jak i wydrukować nowe prace. W sumie było tego około 200 wydruków (każdą pracę drukowałem x 4) po 15 minut każdy wydruk, do tego numerowanie, katalogowanie, podpisywanie. Wygląda, że to proste, a zeszło na to kilka pełnych dni z tym, że czasami choróbko tak mi się daje we znaki, że w ogóle nie pracuję, lecz śpię. Na zewnątrz trwa przebudowa korytarzyka. Co to jest dieta białkowa? Czy to jest może to samo, co u nas zwie się dietą dr Kwaśniewskiego, czyli tłuszczu i mięso bez ograniczeń zaś odstawienie cukru, pieczywa, klusek etc. Nie cierpię tłuszczu i w ogóle ciężkiego żarcia, tak więc chyba to nie dla mnie.

Zdzisław

5 listopada 2003

Jak na chorego, to jesteś mocno aktywny.

Moje problemy żołądkowe minęły. Nie mogę uwierzyć, że był to wynik jednodniowego jedzenia białka (bez tłuszczów). Musiałem się zatruć tarem, który od razu, w ramach reżimu odchudzającego, walnęła mi żona. Dziś wieczorem już jest OK, ale cierpiałem jeszcze przez cały dzisiejszy dzień.

Włokąc się więc, udałem się z Anią na wystawę Zao Wou Ki do Jeu de Pomme. Znów nie zareagujesz, bo ja oznajmiającym tonem, bo felieton, i że Ty i tak tych malarzy nie znasz.

Choć wiem, że rozmowy o sztuce nudzą Cię i wolałbyś o murku i o tynku, to jednak powiem Ci, że to wielki, gigantyczny malarz. Jeśli nie wiesz, kto on zacz, to zobacz w komputerze pod tym hasłem. Kiedyś powie-

działeś mi, że chciałoby Ci się malować jak Turner. To jest właśnie nowoczesny Turner. Nie tylko przepiękne, delikatne kolory, ale ponadto bogata, skomplikowana materia, a wszystko to harmonijne i impresjonujące. Wielkie rozmiary dodają wrażenia. Czasami przypomina to to, co nam pokazują w telewizji o wybuchających super nova i innych kataklizmach kosmicznych.

Razem z Mathieu to największe tegoroczne wrażenia estetyczne (bo o Mathieu pisałem Ci chyba mniej niż rok temu? Już nie pamiętam tak czas zapierdala.).

Piotr

Środa, 5 listopada 2003, godz. 23:55

To jest właśnie powód, dla którego nie cenię dzisiejszego internetu jako przekazu obrazu malarskiego. Zao Wou Ki według tego, co widać z internetu, może być zarówno genialnym malarzem jak i przeciętnym chlupaczem farby. Przecież na tych znaczkach pocztowych niczego nie widać. Chętnie wierzę, że jest świetny, ale przyznasz, że po tym, co jest w internecie, można to sobie jedynie wyobrazić. Samemu też chodzą mi teraz po głowie takie amorficzne krajobrazy i nieba, dlatego w jakimś tam stopniu nawet wyobrazenie sobie, jak to może wyglądać, jest dla mnie bliskie. Gdybyś samemu stawiał murek i miał do czynienia z remontem w mieszkaniu, to zrozumiałbyś, że to akurat, mimo iż się tego nie lubi, może odsunąć na plan dalszy wszelkie uniesienia artystyczne. Dziś zresztą czuję się już nieco lepiej, ale cały dzień zszedł mi na próbach zainstalowania w komputerze wersji beta rosyjskiego programu z grą komputerową "Zapomniane Bitwy", która zapewne za jakiś czas dojrzeje do handlu. Niestety z wersją beta były nieustannie kłopoty, a poza tym boję się wersję beta instalować na komputerach do pracy i zainstalowałem na starym, a ten był do tej gry zbyt wolny. Nie robiłem tego dla siebie, lecz dla faceta, który tak był do tej gry zapalony, że koniecznie chciał i mnie tym uszczęśliwić. Rzeczywiście grafika jest bardzo realistyczna. Jako teren przyjęto jakiś zdefiniowany geograficznie obszar Niemiec i nad tym obszarem można toczyć walki powietrzne nawet na kilka komputerów z tym, że każdy

z uczestników może wybrać sobie i typ samolotu z okresu II wojny światowej (jest ich 30-50) i kraj oraz język. Ryk silników i realizm tego typu, że np. gdy startujesz to w zależności czy robisz to rosyjskim, czy niemieckim samolotem, musisz wyrównywać ściąganie śmigłem w lewo lub w prawo, bo obrót śmigieł niemieckich i rosyjskich był w przeciwnym kierunku. Już wystartować jest trudno (ja przypierdoliłem o hangar i spaliłem się), joystick szarpie przy wszelkich nierównościach gruntu lub pasa betonowego, a gdy jesteś w powietrzu to zaczyna się normalna walka, siedzisz w Messerschmitt 109 lub w Spitfire lub rosyjskim Jaku (jest także polski PZL 11 z 1939 roku) i trzeba umieć zarówno prowadzić jak i celować, a jak Ci ktoś wlezie na ster i ostrzela, to zaczynasz się palić i musisz odrzucić pokrywę wjazdu (deski rozdzielcze są dokładnie według dokumentacji, widać stan benzyny, widać jak ubywa amunicji) i wyskakiwać. Krajobraz, który koziółkuje z dołu raz bliżej raz dalej lub całkiem blisko, gdy rozwalasz się w lesie, jest stosunkowo bardzo dobrze realistycznie odtworzony, podobnie jak smugi z karabinów maszynowych i działek jeśli wypuszczasz serię, a na dodatek szarpie to rączka joysticka. Ja byłem chłodniejszy w ocenie i odbiorze, ale mój młodszy kolega zupełnie oglupiał mimo swych 45 lat i podobno uzależnił się od tej gry tak, że żona cieszyła się, że wyjechał z Krakowa do Warszawy, bo walił seriami i zrzucił bomby przez cały tydzień i nikt w domu nie mógł spać. Mnie nie zaraził, ale świadom jestem tego, że na naszych oczach rodzi się sztuka nadchodzących lat: jeszcze 20 lat i potrafimy budować taką rzeczywistość, której nie będziemy w stanie odróżnić materialnie od tej, która nas otacza, a może przecież być całkowicie fantastyczna. Oczywiście dziś jeszcze komputery są za słabe, ale to, co już zobaczyłem, napawa nadzieją, że już niedługo będziemy mogli zbudować wokół siebie świat jak z Matrixa.

Zdzisław

6 listopada 2003

To prawda, że na internecie nic nie widać i że sądząc po tym, co widać, to można zarówno wzruszyć ramionami jak i zachwycić się.

Ja również znałem Zao Wou Ki tylko z reprodukcji i wcale mi się na tą

wystawę nie śpieszyło. Nie spodziewałem się niczego, co by miało mną wstrząsnąć. Na szczęście poszliśmy do Jeu de Paume (zabawne, bo w poprzednim liście do Ciebie napisałem "Jeu de Pomme" co znaczy "Gra w jabłko" podczas gdy jest to "Jeu de Paume" czyli "Gra dłonią", to znaczy XVII wieczna prababka tenisa. Na szczęście nie znasz francuskiego. Natomiast na nieszczęście ja starzeję się i coraz częściej takie pomyłki mi się zdarzają), mimo mego słabego samopoczucia i było po co.

Co do gier komputerowych to jedyne, co mnie w Twojej opowieści zafascynowało to to, że według Ciebie może to być sztuka XXI wieku, bo można będzie już niedługo odtworzyć detale realii z taką dokładnością, że całość ich będzie robiła wrażenie rzeczywistości. Ja jednak uważam, że zawsze będzie coś, co pomoże rozróżnić nawet najlepszą fotokopię od oryginału. I twierdzę, że mimo tego nie będzie to wyrok na artystów i na sztukę, bo każda nowa technika będzie wymagała pracy w jej opanowaniu i talentu w pomysłach.

Piotr

Piątek, 7 listopada 2003, godz. 09:00

Wczoraj nawet nie zauważyłem, że docierała jakaś poczta, bo od rana do nocy miałem zajęcie i najpierw byłem u fryzjera, potem od południa do godziny 18 z minutami robiłem na komputerze dla kolegi, który siedział mi nad głową, takie plansze o architektach świata (przeprowadzał wywiady chyba ze wszystkimi architektami świata, jego całe życie polegało na dokumentowaniu architektury na całym świecie), potrzebne mu na jakiś kongres, które to plansze zacząłem przed tygodniem czy dwoma. Urobiłem się jak dziki osioł, bo była to nudna i męcząca praca edytorska, ale chyba był uszczęśliwiony. W trakcie tego przyszła jakaś squaw ze Stowarzyszenia Przymierza Rodzin po obiecaną grafikę na aukcję na rzecz jakichś wiejskich dzieci, ale już nie pamiętam, co konkretnie wiejskie dzieci mają z tego mieć. Potem, gdy po wyjściu kolegi jadłem kolację, przyszedł inny kumpel i siedział do odjazdu ostatniego metra, po czym wykopałem się i walnąłem na wyro. Równorzędnie trwała non stop do godziny 19 praca przy korytarzyku.

No cóż: mnie też gry nie wciągają, ale widzę bardzo ciekawą przyszłość. Rozwój technologii wymaga nakładów, ale ponieważ gry idą jak ciepłe buleczki, to nakłady są opłacalne i nowe generacje komputerów robione są po to, by mogły obsłużyć coraz to bardziej skomplikowane gry. Gry są dziś elementem napędowym (koniem pociągowym) całego konsumencckiego przemysłu komputerowego. Dość łatwo jest więc prognozować przyszłość. Wydaje się oczywiste, że w momencie, gdy będzie to finansowo i technologicznie osiągalne, pojawi się nisza dla artystów. Zapewne kupiłbyś czasami zamiast obrazu olejnego, coś o nazwie dajmy na to "Ogród marzeń" lub np. "Labirynt", co przyszło mi do głowy w związku z budową korytarzyka. Znajoma przed jakimś czasem powiedziała, że mógłbym wykupić więcej mieszkań i połączyć je korytarzykami i przyszło mi do głowy, że wykupuję sukcesywnie cały blok i robię w nim labirynt na kształt mrowiska, a potem gdzieś umieram i nikt nie może mnie odnaleźć szukając jak mumii faraona. Założmy, że podstawą programu jest zmieniająca się struktura wizualna labiryntu i że zostajesz w nią wprowadzony i chodzisz po niekończącej się płataninie korytarzy i pokoi bez okien, po którym włączają się też jakieś dziwne senne zwierzęta, niektóre piękne, inne obrzydliwe, niektóre budzące lęk, a niektóre budzące litość: rozdeptane, ale ruszające się, zwisające z sufitów przyklejone do ścian i włączają w końcu do pokoju, z którego nie ma wyjścia jak tylko do tego samego pokoju, w którym już jesteś: powstaje dwóch Dmochowskich, czterech Dmochowskich, tysiąc Dmochowskich... Każda niemożność znalezienia wyjścia i bardziej historyczny gest, powoduje pojawienie się bezosobowej informacji, że właśnie ilość pokoi w labiryncie podwoiła się, masz oczywiście czerwony guzik, którym całość się wyłącza, ale gdy po zastanowieniu, wymyśleniu planu postępowania i powzięciu przekonania, że teraz się już nie dasz zapędzić w kozi róg wchodzisz powtórnie, labirynt już się zmienił, jest całkiem inny i przypomina gigantyczną i zmurszałą arkę tonącą w bagnie, wszędzie wcieka zgnięła cuchnąca woda, przed którą trzeba uciekać, struktura została ta sama, ale wystrój jest całkiem inny, a gdy wyłączysz i włączysz ponownie, to okazuje się, że labirynt wisi kilometr nad ziemią i trzeba poruszać się czepiając się klamer, które grożą urwaniem się, a to grozi runięciem w przepaść, a następny labirynt składa się z niekończącego się tłumu ludzi bez oczu i ust, z którymi nie sposób

się porozumieć, a w następnym chodzisz po swoim wnętrzu lub masz poczucie, że gdzie indziej są Twoje nogi, gdzie indziej ręce, gdzie indziej oczy i wszystko porusza się jak chce, w sposób niezależny, cała osobowość się rozpada i tak dalej i tak dalej i tak dalej. Takie możliwości realizacji są już za ścianą. Ja nie dożyję, ale Ty być może tak. Tematyka i emocjonalny wyraz tych rzeczywistości, zależny będzie od stylu i psychiki artysty, który je stworzy. Będą mogły być ekstatyczne, idylliczne, erotyczne, religijne i jakie tylko przyjdą do głowy. Ja to już teraz widzę i żałuję, że nie dożyję.

Pozdrawiam

Zdzisław

7 listopada 2003

Podobne wrażenie, jakie budzi we mnie Twoja wizja labiryntu, zrobił na mnie film Tarkowskiego "Stalker".

Przypominam, że filmy robione kamerą z czterech desek i jednego szkiełka przez radzieckich twórców w latach 20-tych do dzisiejszego dnia, mimo że zostały o tysiące kilometrów przekroczone dzisiejszymi możliwościami technicznymi są znakomite i lepsze od Matrixów, czy innych hollywoodzkich Jursasic parków.

Toteż jestem przekonany, że gdybyś dziś, nawet z małymi możliwościami technicznymi, jakie dają obecne, przeciętne programy komputerowe zrobił taki film, to na pewno przez dziesiątki lat byłby ikoną.

Może uda mi się Ciebie do tego przekonać, tak jak zdaje się nakłoniłem Cię kiedyś do malowania na większych, niż miałeś zwyczaj, formatach.

Piotr

Piątek, 7 listopada 2003, godz. 18:08

Pan Krzysztof walczy w korytarzyku, a ja przesypiam rekonwalescencję. Jakiś taki jestem kurewsko senny.

"Stalker", o ile mi wiadomo, nakręcony został w schyłkowej fazie ZSRR na raczej nowoczesnym sprzęcie, a Tarkowski był kimś w rodzaju radzieckie-

go Bergmana. Pozorny brak koloru, przyciemnione zdjęcia i tak dalej nie wynikały z prymitywnego sprzętu, lecz z reżyserskiego zamiaru. U źródła leżało opowiadanie braci Strugackich (nawiasem: science fiction było w ZSRR partyjnie dopuszczalnym marginesem dla fantazji, podobnie jak cierpienia wielkiej wojny ojczyźnianej jedynym dopuszczalnym marginesem dla ukazywania tragizmu, dramatu i destrukcji). Strugaccy byli zręcznymi autorami SciFi, a drukowano nawet ich opowiadania z zakresu mediumizmu - tym niemniej Tarkowski to, czego się tknął, przerabiał na Tarkowskiego.

Mnie osobiście nie chodziło o opowieść o scenariuszu filmowym, bo może ich być dziesiątki, ale o to, byś spróbował sobie wyobrazić, że niedaleki jest moment, gdy będziemy mogli stworzyć pseudo-rzeczywistość o dowolnym wyrazie artystycznym, ale charakteryzującą się olbrzymim realizmem (także zapachowym i dotykowym). Sam dawniej myślałem, że to zbyt skomplikowane, bo w takim świecie trzeba by projektować każdy mały kamyk przy drodze i modelować każde źdźbło trawy, ale obecne już teraz możliwości w dziedzinie software'u przekonują mnie coraz bardziej, że wiele niesłychanie żmudnych manipulacji można będzie powierzyć maszynie. Programy pracują w sposób naśladowy rzeczywistości odbiór tego, co widzimy oczyma. Jeśli np. widzimy określony typ samolotu, przewalający się na tle nieba i oświetlonych słońcem chmur i w pewnych momentach na kadłubie i skrzydłach pojawiają się bliki od słońca, to nikt nie projektował każdego kolejnego ujęcia i każdego bliku. Tworzy się model przestrzenny samolotu, ustala stopień refleksji poszycia, zakłada się miejsce skąd świeci słońce i ruchomy tor skąd wszystko widzimy (camera). Ruchu w kadrze się nie zakłada w programie, tylko każdy nadaje samolotowi i widzeniu taki ruch jaki chcemy, a samolot zachowuje się jak normalny obiekt z lśniącej blachy, w normalnej rzeczywistości i to program na bieżąco powoduje, że w pewnych momentach, wynikających tak jak w życiu, z układu słońce, oko i obrót samolotu, pojawiają się bliki, których nikt nie planował. Podobnie jest z krajobrazem. Zakładam sobie kamieniste dno prześwitujące przez czystą i płytką wodę. Buduję jeden lub kilka wzorcowych kamieni i polecenie rozmnożenia ich na zasadzie rozrzutu proporcji, koloru i wielkości. Program wypływa dno pokryte milionem rozmaitych kamieni w ciągu kilku sekund. Pokrycie ich dowolnie

grubym lustrem wody, nie zakłada pracy nad deformacją, falowaniem i zniekształcaniem na skutek załamania światła, nad błyskami na kamieniach rzucanych przez oświetloną słońcem wodę etc., bo zachowanie wody, słońca i kamieni, wpisane jest w program i wszystko dzieje się jak w życiu. Woda i dno zaczynają zachowywać się tak, jak do tego przyzwyczaiło nas normalne życie. Jest to wirtualna woda i wirtualne kamienie, ale zamiast kamieni możemy wyścielić dno czaszkami, między którymi poruszają się ryby lub węże. Piszę to wszystko nie po to, by ubawić Cię banalnym horrorem, lecz by uświadomić Ci na ile staje się to w naszych rękach NARZĘDZIEM do stworzenia nowego świata, do którego można będzie wejść, a nie tylko obejrzeć go na ekranie - oczywiście świata ograniczonego regułami, bo świat ten ma w założeniu służyć jakiejś strukturze, więc w jakimś zakresie nie powinien być nieprzewidywalny. Jeśli po programie oczekujesz np. doznań erotycznych, to z nosa atrakcyjnej dziewczyny nie wyjdą nagle mrówki lub robaki, a ona sama nie przemieni się w liniejącego i zdychającego psa, bo to złamałoby reguły artystyczne, ale świat stworzony przez Pana Boga też ma swoje reguły i ograniczenia i gdy rękę włożysz do ognia, to Cię ogień boleśnie poparzy. Chcę po prostu Ci uświadomić, że narzędzie to, za kilkanaście już lat, nie będzie od artysty wymagało budowania każdej sceny od najmniejszego kamyczka, lecz umiejętności zbudowania układu, który po włączeniu zasilania, zacznie sam "żyć" i potem żyć będzie własnym życiem w interaktywnym połączeniu z ję "konsumentem". Mam nadzieję, że Cię nie wynudziłem. Murek powoli dobija do finału i niedługo weźmiemy się za moją starą łazienkę i rezerwowe zbiorniki z wodą. Cześć.

Zdzisław

7 listopada 2003

No i co z tego?

Piotr

Piątek, 7 listopada 2003, godz. 23:11

Jeśli nie widzisz "co z tego", to nie ma sensu całe moje pisanie. Dla mnie jawi się to jako największa zmiana w twórczości artystycznej od czasów rysunków naskalnych, a dla Ciebie jest "co z tego". Nie jakaś zmiana stylu, nie jakaś nowa technika kreacji, bo to będzie tworzenie alternatywnych światów. Oczywiście za 20 lat jeszcze to nie będzie od razu tak rozbudowane, że wszystko będzie możliwe, ale po raz pierwszy w całej historii dostajemy do zabawy czarodziejską różdżkę Pana Boga i zdumiewające jest, że można tego nie widzieć i nie preczować skutków.

Zdzisław

8 listopada 2003

Całe "Twoje pisanie" będzie miało sens dopiero wtedy, kiedy będzie sensowne. Bo na razie nie widzisz w ogóle, o co chodzi. Nie różdżka Pana Boga jest czarowna, lecz czarownym jest sam Pan Bóg. Dopóki nie zmieni się człowieka, dopóki jego mózg nie osiągnie poziomu umysłu Pana Boga, dopóty czarowna różdżka będzie tylko kawałkiem patyka, tak jak kawałkiem patyka okazał się wynalazek samolotu, fotokopiarki czy komputera. Te patyki nie są bez znaczenia. Dzięki nim życie jest mniej uciążliwe, ból jest mniejszy, cierpienie maleje i jest z czego wyżywić sześć i pół miliarda ludzi tam, gdzie jeszcze dwieście lat temu mogło się utrzymać tylko miliard. Ale na tym sprawa się kończy. Kto nie ma daru zamieniania rzeczy w złoto dotknięciem swej boskiej ręki, temu kawałek patyka nie pomoże zmienić świata.

Toteż Twoje "pisanie", które miało tak mną wstrząsnąć raczej mnie bawi i potwierdza w przekonaniu, że ludzie ewidentnie nie widzą, gdzie jest pies pogrzebany.

Piotr

8 listopada 2003

Spójrz na stronę, którą podsunął mi Sołtysek (a którą chyba doskonale

znasz, bo musiał Ci ją zasygnalizować Banach).

http://www.gnosis.art.pl/e_gnosis/sztuka

Wszyscy oni Tobą się inspirowują, ale ten Wiśniewski robi to doskonale, zwłaszcza naśladowując komputerem Twoją technikę. Bardzo mi się ten facet podoba.

Piotr

8 listopada 2003

Po dokładnym przyjrzeniu się tej stronie widzę, że jest tam sporo fajnych rzeczy. Szkoda, że mi o niej nic nigdy nie mówiłeś, a widzę, że musiałeś o jej istnieniu wiedzieć, bo to jest Twój świat i kanonizują Cię tam umieszczając obok Rembrandta. Może mi nawet o niej coś mówiłeś, ale jak zwykle, nie lubiąc pomagać ludziom i nagłaśniać ich zalet, żeby ich aby nie rozślawić, zrobiłeś to prawdopodobnie tak mimochodem, że oczywiście niczego nie szukałem, ani o nic na ten temat Cię nie prosiłem. A zwłaszcza na temat tego Wiśniewskiego nie mówiłeś mi nic prócz tego, że widziałem jeden rysunek u Ciebie.

A było o czym, bo to znakomity facet i muszę go sobie kupić.

Czy możesz, chociaż podać mi jego dane? Czy i tu "nie chcesz być w nic mieszanym"? (przez delikatność oczywiście)

Piotr

Sobota, 8 listopada 2003, godz. 17:04

Bogdan Wiśniewski jest od około 30 lat moim najbliższym kumplem i Twoje domniemanie, jakobym mu nie chciał w jakikolwiek sposób pomóc, są dla mnie przykre i obraźliwe. Jego prace komputerowe zamieszczone na stronie Gnosis, nie były mi do tej chwili znane i są rzeczywiście doskonale! Na pewno Ci o nim, i to nie raz, opowiadałem, ale Ty w ogóle nie słuchasz tego, co ja mówię, lub nie chcesz się nawet spróbować wysilić, by to rozważyć, zakładając a priori, że potrafię pleść jedynie bzdury, na które szkoda czasu (np. na temat perspektyw w sztuce, jakie otwiera

kreacja rzeczywistości wirtualnej). Z tego co mówił mi Bogdan, z którym widziałem się nie dalej jak przedwczoraj, nie wynikało, że wykonuje na komputerze cokolwiek poza pracą zarobkową.

Strona pisma GNOSIS jest mi od dawna znana, ale też nie bywam na stronach internetowych poświęconych sztuce tak często i tak regularnie jak Ty. Na prośbę Robakiewicza, który kilkakrotnie był u mnie lub mailował do mnie, udostępniłem wszystkie posiadane reprodukcje i na tym się chyba skończyło. Jest wiele stron na których lepiej czy gorzej reprodukowane są moje prace, ale ja czasami nie znam nawet autorów tych stron.

Namiary na Wiśniewskiego:. Cześć

Zdzisław

Sobota, 8 listopada 2003, godz. 16:27

Haha! Przypomina mi się gaffa Alicji Wahl, która przed laty powiedziała Polańskiemu, że w zasadzie nie podobają jej się jego filmy, ale jeden z nich zrobił na niej duże wrażenie i tu podała tytuł filmu Skolimowskiego. Ten obraz z zaproszenia namalował Henricot, a nie ja!!! Zresztą na zaproszeniu jest to wyraźnie napisane w języku barbarzyńców!!! Czyżby na Wyspach Kanaryjskich nie czytano tekstów? Henricot jest jednym z malarzy francuskich, których kolekcjonuje Dmochowski. Kończę, bo muszę z kolei udobruchać Dmochowskiego, który właśnie znalazł w internecie bardzo fajne obrazy mego kumpla, których to obrazów nie znałem i teraz oskarża mnie, że go przed nim ukrywałem, co jest w jego opinii typowym zachowaniem takich nieuczynnych ludzi jak ja. Stawianie jakiejś sprawy przez Dmochowskiego, zawsze wygląda w ten sposób, że inni muszą się przed nim tłumaczyć tak, jakby był Prokuratorem przesłuchującym oskarżonego. Każdy jest od razu i bez chwili wątpliwości OSKARŻANY z domniemaniem, iż jest egoistyczną i małoduszną kanałą, lekceważącą interesy ludzi, którzy w swej naiwności uważają go za swego kumpla. Mane Tekel Fares. Beksiński marsz na przesłuchanie!

Pozdrowienia Beksiński.

Sobota, 8 listopada 2003, godz. 17:09

W tej chwili, wysyłając mail do Ciebie, zorientowałem się, że przez pomyłkę wysłałem Ci przed pół godziną mail przeznaczony dla kogo innego. Przepraszam. Skasuj, bo wyślę go po raz drugi pod właściwy adres.

Zdzisław

Sobota, 8 listopada 2003, godz. 18:43

Mówiono mi o kimś, kto spraszał do siebie ludzi i nie uprzedzał ich o tym, że w salonie, w wazonie, jest ukryty magnetofon. Po czym rozpoczął z nimi dość agresywną i poruszającą rozmowę, aby po pięciu minutach wyjść niby do telefonu. Oczywiście goście zaczęli mówić na jego temat lepiej lub gorzej (zazwyczaj gorzej, bo byli wkurzeni).

Po czym ów facet siedząc wieczorem w fotelu z lubością odsłuchiwał wszystkich horrorów, jakie zostały o nim wypowiedziane. Wiedział również mniej więcej, co o nim tak naprawdę myślą.

Toteż i ja z lubością przeczytałem Twoje utyskiwania na mnie.

Moja Matka była podobnego zdania jak Ty. Ja zresztą też: daleko lepszy byłby ze mnie prokurator niż jest adwokat. I byłbym nim z pewnością, gdyby łączyły się z tym równie ciepłe pieniądze jak z palestrą. Złość na ludzi i pragnienie ukarania ich daleko łatwiej mnie nawiedzają niż współczucie im i pragnienie biegnięcia im z pomocą.

W sumie skrzętnie wydrukowałem Twoją odpowiedź do nieznanego mi rozmówcy i skrzętnie ją utrwaliłem na komputerze.

Co do programów komputerowych w niedalekiej, jak twierdzisz, przyszłości powtarzam po raz setny: na nic artystom nowe narzędzia i to nawet najgenialniejsze, jeśli nadal mają tylko tyle wyobraźni, ile jej mają z racji urodzenia. Będzie to ulepszenie, poszerzenie, rozwinięcie. Sztuka się wzbogaci jak o dren do studni Bałki lub kupę gruzu Beuysa. Nie będzie to natomiast żadna REWOLUCJA, jaką zwiastujesz. Boże, jak trudno jest przekonać ludzi o rzeczach, które mnie się wydają być pojmowalne przez sześćdziesiąt lat dzieci!

Zaraz kontaktuję się z tym Wiśniewskim. A propos: nie zrozumiałem

z Twego listu czy on rysuje tylko zarobkowo, czy też on nigdy nie robi tego zarobkowo?

Najważniejsze jest tylko czy sprzedaje i za ile.

Piotr

8 listopada 2003

Wróciłem do Twego listu z danymi Wiśniewskiego i widzę, że nie podałeś mi jego e-maila. Czyżby go nie miał?

Piotr

Sobota, 8 listopada 2003, godz. 21:41

Bogdan nie ma połączenia z internetem. Powiedział, że boi się wirusów, co jest racjonalne, bo ostatnio - przynajmniej w moim wypadku - ingerencja wirusów i, o wiele groźniejszych niż wirusy, robaków (worm), bardzo się nasiliła. W końcu gdy pracuje się przez wiele godzin i dni nad jakimś rysunkiem, utrata wszystkiego na skutek wirusa lub robaka, który dostaje się po prostu po kablu, nawet bez uruchamiania internetu, jest wydarzeniem na tyle wkurwiającym, że czasami człowiek gotów jest zrezygnować z dobrodziejstw cywilizacji. W rzucie ekranowym posyłam wykaz infekcji na moim komputerze od czerwca br. Główne nasilenie zaczęło się w październiku. Czasami pozbycie się infekcji kosztuje sporo czasu nawet pół dnia i wymaga pewnej wiedzy komputerowej. Czasami - jak mi mówiono - jest niemożliwe. Co do pracy Bogdana to według tego, co wiem, pracuje on bardzo nieregularnie i bardzo długo opracowuje każdą pracę. Niektóre robione długopisem były szczytem benedyktyńskiej pracy. Od roku czy dwóch narzekał, że nie pracuje twórczo, bo musi pracować zarobkowo nad jakimiś plakatami, ale on jest w inny niż ja sposób na luzie. Gdy chce coś wyrzeźbić, to rzuca wszystko inne. Gdy chce sobie lub ojcu zrobić meble, to bawi go precyzyjne robienie mebli. Jest manualnie niezwykle utalentowany i sprawny. To bardzo spokojny i porządny facet. W okresie gdy HiFi było u nas niedostępne, Bogdan budował sobie

wzmacniacz najnowszej generacji metodą chałupniczą: wykonywał układ drukowany, wlotowywał ręcznie procesory. Trawił w kwasie płytę czołową i na tokarce toczył przełączniki i pokrętła. Zaangażowany był w to bardziej niż w malowanie. Gdy sfajczył mi się niedawno bardzo skomplikowany aparat cyfrowy Minolta Dimage 7, Bogdan zabrał się za jego naprawianie (a to sto razy bardziej skomplikowany sprzęt niż szwajcarski zegarek) - nie wierzyłem, że ktokolwiek potrafi to naprawić, a on przywrócił ten aparat do życia. Jego - jak sądzę - potrafi pochłonąć problem i gdyby trzeba było uszyć buty, to Bogdan zrobiłby lepsze buty niż czołowa fabryka obuwia. Przed rokiem przeszli z kumplem całą Tanzanię na piechotę w poszukiwaniu jakiegoś robaka i jakichś kamieni. Bogdan kolekcjonuje kamienie. Nie zajmuje się tylko jednym, więc być może nie będzie posiadać setek rysunków do celów handlowych, bo rysowanie to zaledwie część jego życiorysu. Aktualnie masę czasu pochłania mu fotografia cyfrowa. Wysłałam zdjęcie jak fotografuje mój murek.

Wracając teraz do mnie: nigdzie nie napisałem, że rzeczywistość wirtualna powoła do życia samych geniuszy, gdyż przekrój ludzi parających się sztuką zawsze był taki sam jaki jest teraz i taki sam będzie w przyszłości. Nie zechciałeś w ogóle zwrócić uwagi na to, co było tematem mego listu. Po prostu jakbym pisał o czym innym, bo odczytałeś całkiem nie to, co starałem się przekazać i walczysz z wiatrakami. Ja z kolei nie mam zdrowia (dysleksja), by ponownie uściślać, bo na korektę swego tekstu tracę całe godziny czasu, by potem otrzymać beztróską odpowiedź "i co z tego". Z tym co napisałem nie dyskutujesz merytorycznie, lecz stosujesz swoją metodę "rach ciach". Może Cezar miał rację przecinając nie tylko węzeł ale i jałowy spór, ale Ty jej nie masz, bo to, co teraz dzięki informatyce powstaje, nie jest jałowym sporem lecz probabilistyczną prognozą. Zdzisław

11 listopada 2003

Kilkukrotnie pisałem Ci, że zrobił na mnie silne wrażenie zarówno w muzeach, wystawach jak i na targach nowoczesnej sztuki (głównie FIACu)

pewien malarz chiński żyjący we Francji, który maluje szeroką szczotką ogromne (2,5 metra na 2,5) bardzo ekspresywne twarze.

Dziś znalazłem przez przypadek jakąś stronę internetową, która reprodukuje szereg jego obrazów. Rzuć więc okiem na:

www.artpubjic.ch kliknij na "artists", potem na "all", a potem na "MING Yan Pei" i napisz mi, co o tym sądzisz.

Nie chodzi tu o Twoje "artystyczne myślenie" toteż nie sądzę, żeby odwiedzenie tej strony miało Cię w jakikolwiek sposób "sparalizować".

Piotr

Wtorek, 11 listopada 2003, godz. 17:45

No cóż: ładne i chyba ładniejsze byłoby w kolorze, ale jakbym gdzieś coś takiego już widział. Może niekoniecznie były to twarze. To niewielkie obrazki, więc i pędzel nie jest jakoś nadmiernie duży. Gdy gość maluje obrazy większe, nie zmienia pędzla na "miotłę" (a warto by było - tyle, że farby jednak kosztują i trudno wyduszać po trzy tuby jednego koloru na paletę, wiem to po sobie) i te większe obrazy są już dość banalne jeśli idzie o kształt i wyraz, a w sensie materii nie różnią się już tak bardzo od moich podmalówek.

Zdzisław

21 listopada 2003

Mam okropne trudności z moimi e-mailami. Nie mogę wysłać do nikogo e-maila z internetu. Mój serwer nie jest w stanie rozwiązać mojego problemu od ponad dwóch miesięcy. Sądziłem, że rozwiąże go, jeśli zmienię adres e-maila. Niby mi go zmienili, choć nadal ukazuje się mój dawny na ekranie.

Toteż spróbuj wysłać do mnie dwa krótkie e-maile o różnej treści na dwa adresy, stary i nowy. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dawny adres: p.dmochowski@noos.fr Nowy adres: dmoch@noos.fr

Pozdrawiam Piotr

27 listopada 2003

Od wielu już dni czuję się wręcz przygnębiony problemami związanymi z moją wirtualną galerią. Toteż nie pisałem. Skończył mi się okres ważności tak zwanej domeny i nie sposób dotrzeć do instytucji amerykańskiej, która tym zarządza, żeby zapłacić na następne lata i móc znów funkcjonować. Sołtysek i ja już od ponad tygodnia wypełniamy najróżniejsze rubryki, wysyłamy pieniądze i e-maile i nikt nam sensowny nie odpowiada. Poza tym mam problemy z wysyłaniem zaproszeń przez internet. Niekończące się rozmowy telefoniczne z francuską instytucją, która zainstalowała mój internet nie prowadzą do niczego i są źródłem takich zdenerwowań, że potem całymi dniami nie mogę dojść do siebie. Trwa to już ponad trzy miesiące i nijak nie potrafią mi tego naprawić.

Poza tym niewiele się zmienia prócz tego, że powoli się starzeję i czas ucieka z zawrotną szybkością. Stale jest sobota, koniec następnego z kolei tygodnia.

Co nowego namalowałeś?

Piotr

7 grudnia 2003

To trochę tak, jakbym już umarł. Wyrzuciłem dzisiaj prawie całą moją bibliotekę ze świadomością, że nigdy już nie wrócę przed śmiercią do dawnych książek i że mi są już niepotrzebne. Tak samo oddałem młodym ludziom wszystkie moje hantle i inne narzędzia do ćwiczeń, bo już nigdy trenować nie będę. Pozostały w domu tylko dokumenty związane z moimi próbami lansowania Ciebie tutaj i z moimi własnymi publikacjami naukowymi lub beletrystycznymi.

Od wielu już dni cierpię na początki astmy i biorę końskie leki na bazie kortyzonu, bo nie przestaję kaszleć.

Poza tym nic. Galeria nadal nie działa. Sołtysek zawałił sprawę i teraz próbują z niejakim panem Głębem odbudować ją, ale z nowym adresem.

A co za tym idzie wszystkie dawne kontakty z ludźmi, którzy mają zapisany mój stary adres, a ja ich nie mogę zawiadomić o jego zmianie, przepadną.

Co namalowałeś nowego?

Piotr

Niedziela, 7 grudnia 2003, godz. 23:35

Kaszlałeś ostro od kiedy Cię znam. Czy to już właśnie była astma? Może to jest uczuleniowe o ile leczą Cię kortizonem? Czy to się objawia uczuciem braku powietrza? Bo jakoś tak właśnie wyobrażam sobie astmę. Bardzo Ci współczuję, bo musi to być koszmar. Niestety moja zła passa się przedłużyła i obraz, który zacząłem w listopadzie nadal jeszcze nie jest skończony, mimo iż jest niewielki rozmiarami i nie ma na nim nic szczególnego. Na dodatek od wczoraj powróciły cholerne bóle krzyża, spowodowane frontem atmosferycznym, który przewala się nad Europą. Od wczoraj głównie leżę i drzemię, bo nie nadaję się do niczego innego. Szymanik, mimo iż opieprzyłem go cokolwiek niegrzecznie za ten album, zamiast się pogniewać, zadzwonił wczoraj i przeproszał, że tak wyszło, ale prosił mnie, bym we wtorek spotkał się z dziennikarzami i chyba w tym celu wypożyczę w teatrze taką laskę jaką ma Wojtyła, bo od wczoraj chodzę równie sprawnie jak on. Mam już drugi komputer do internetu i pisanie maili wyłącznie, ale nadal coś w nim jest nie tak i jutro wieczorem raz jeszcze przyjdzie do mnie technik. Co do moich książek, to postąpiłem przed pół rokiem podobnie jak Ty teraz. Wszystko dałem jakiejś takiej studentce i zostało tylko to, czego ewidentnie nie chciała zabrać. Jakimś rodzajem mojego kretynizmu jest przebudowywanie teraz mieszkania, ale to czynność magiczna, mająca utrzymać mnie dłużej na tym świecie, na zasadzie: tonący brzytwy się chwyta. Jestem w złej formie, w złym nastroju, obolały i senny. Prawie nie wychodzę z domu.

Kupiłem jakiś skaner do filmu 6 x 9 i być może, gdy przestanie mnie boleć, będę co wieczór po pracy skanować i kopiować na płyty po dwa slajdy z obrazami. Mam nadzieję, że sukcesywnie będzie można wypożyczać je także od Ciebie. Chcę jakoś to, co jest możliwe, zarchiwizować

w sposób względnie trwałą i nadając się do szybkiego kopiowania. Niestety nie wiem jeszcze, co wart jest ten skaner, bo kosztował tylko około 1.400 zł (EPSON Perfection 3170 PHOTO), co jest podejrzanie niską ceną w stosunku do dominującego na rynku Nikona 8000, który kosztuje ca 18.000 zł. Być może będzie to tylko zabawka, tym niemniej ma bardzo pozytywne recenzje na całym świecie. Na razie jeszcze nic na nim nie zrobiłem, bo do niczego się jeszcze nie nadaje. No nic, kończę, bo siedzenie nad klawiaturą powoduje, że zaczynam jęczeć z bólu.

Zdzisław

Poniedziałek, 22 grudnia 2003, godz. 11:05

Będziemy w Warszawie od 28.12 do 6.1.2004. Mamy nadzieję się z Tobą zobaczyć. Tymczasem życzymy miłych Świąt i lepszego niż poprzedni 2004 roku. Co z samopoczuciem? Co nowego namalowałeś?

Pozdrawiam Piotr

Poniedziałek, 22 grudnia 2003, godz. 21:26

Dziękuję za życzenia i także Wam życzę wszystkiego dobrego. Czuję się mniej połamany niż w ubiegłym roku, ale to i owo daje się we znaki. Skończyłem wreszcie obraz, który pewnie zawiśnie w przejściu z kawalerki do korytarzyka. Obecnie powróciłem do tego, który przed prawie miesiącem porzuciłem. Może coś z niego będzie?

Remont na razie zawieszamy do początku lub połowy lutego aż przewali się przez Polskę epidemia grypy, gdyż obawiam się przerw takich, jak przy korytarzyku i bezradnego tkwienia w brudzie i pyłe w oczekiwaniu, aż murarz wyzdrowieje. Jestem cały czas w Warszawie i nigdzie nie wyjeżdżam.

Zdzisław

Wtorek, 23 grudnia 2003, godz. 12:05

Obraz jest super! Czy bierzesz pod uwagę jego ewentualną sprzedaż?
Piotr

Środa, 24 grudnia 2003, godz. 15:01

Przepraszam, że nie odpowiedziałem wczoraj, ale przez całe dwa ostatnie dni byłem tak zabiegany, że nie miałem szans. Nie załatwiałem bynajmniej prezentów pod choinkę (jedyne jakie sobie sprawilem, czyli aparat fotograficzny SONY, ma być dopiero po Nowym Roku) ani zapasów jedła na Święta, lecz ściągałem do kawalerki większy kaloryfer, bo jak dla mnie było tam za zimno (ca 22 stopnie), a poza tym musiałem gdzieś znaleźć odpowiednią miskę klozetową do kawalerki. Zapewne napiszesz, że to nie zainteresuje przyszłych pokoleń, ale w końcu pisze się o tym, co się przeżywa na co dzień. Schwagier, w trakcie budowy, kupił do łazienki w kawalerce produkty niemieckiej firmy LAUFEN, która uchodzi podobno za jedną z najlepszych. Niestety - jak się okazało dopiero teraz, w trakcie korzystania z muszli klozetowej, jest ona wprawdzie elegancka, ale za płytka i człowiek dotyka tym i owym do porcelany, co nie należy do rzeczy przyjemnych, mimo iż nikomu nie pozwalam korzystać z tego kibla i korzystam z niego tylko sam, ale i tak się brzydzę. Firma LAUFEN robi kilkanaście typów muszli, ale wszystkie tak samo płytkie. Jeździliśmy, by znaleźć wyrób innej firmy, który ma ten sam lub bardzo zbliżony odcień bieli oraz styl na tyle zbliżony do umywalki LAUFEN, by można to było potraktować jako stylistyczną całość. Po Nowym Roku wymienię więc LAUFEN na jakąś hiszpańską muszlę GIRALDA, która w tym miejscu jest o 3,5 cm głębsza. Na tym i na zamianie kaloryfera 14 żeberkowego na 22 żeberkowy (nareszcie jest ciepło czyli 27 stopni) zeszło dwa ostatnie dni. Co do obrazu, to jeszcze nie wiem, co o nim myśleć i na razie posłużył za dekorację mego mieszkania, bo w związku w korytarzykiem to i owo musiałem zmienić. Jestem w tej chwili w fatalnej formie, wczoraj wywaliłem powtórnie obraz, do którego wróciłem przed trzema dniami, a dziś podmałowałem coś nowego, ale stereotypowego, po to tylko, by nabrać rozpędu. Nie obchodzę Świąt, więc wykręciłem się w kilku miejscach od

zaproszeń na Wigilię. Jeszcze raz Wesółych Świąt i oczekuję w Warszawie.

Zdzisław

KONIEC TOMU DRUGIEGO